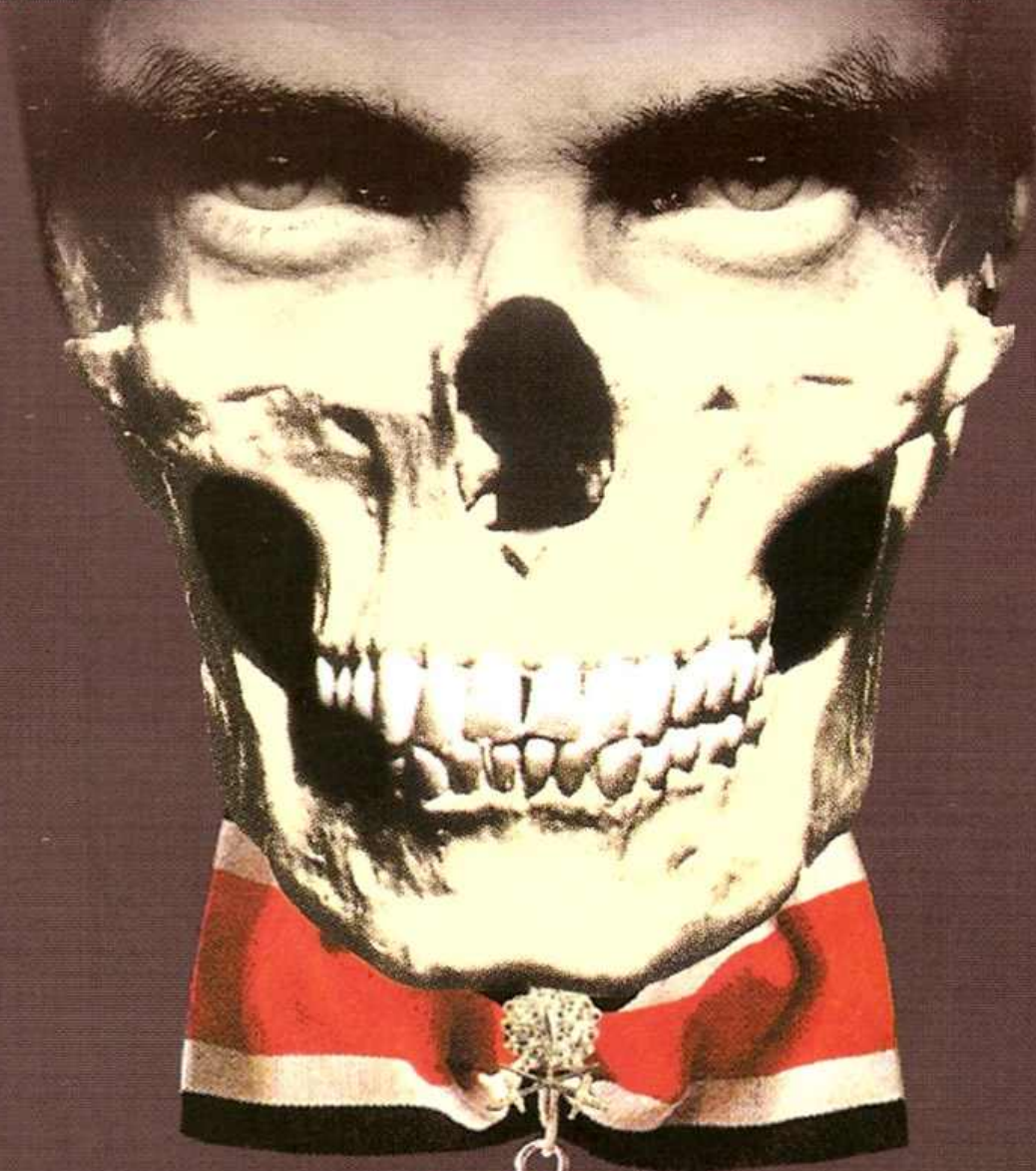


— Irwin Shaw —
MŁODE LWY



— Irwin Shaw —
MŁODE LWY
— przełożył —
TADEUSZ JAN DEHNEL



Warszawskie Wydawnictwo Literackie
— MUZA SA —

Oto Ja przeciw tobie!

– wyrocznia Pana Zastępów –

i puszczę z dymem twe rydwany,

a lwiątko twoje miecz pochłonie,

i wykorzeń z ziemi twój łup, i nie będzie więcej

słuchać głosu twoich posłów.

(Księga Nahuma, II, 14)

Rozdział I

Maleńkie, wymuskane miasteczko lśniło o zmierzchu jak pocztówka z życzeniami „Wesołych świąt”. Padał śnieg. Latarnie znaczące tor kolejki elektrycznej kreśliły świetlną linię na białym zboczu u stóp tyrolskich szczytów. Na zasypanych śnieżnym puchem ulicach przechodnie – narciarze i tubylcy w barwnych strojach – wymieniali pogodne uśmiechy. Girlandy zdobiły okna i drzwi brunatno-białych domów, była to bowiem wigilia nowego, wróżącego piękne nadzieje roku tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego.

Margaret Freemantle szła zboczem w górę i z przyjemnością słuchała, jak jędrny śnieg skrzypi pod jej narciarskimi butami. Pozdrowiała uśmiechem kryształowy zmierzch i głosy dzieci, które śpiewały gdzieś w położonej niżej wiosce. Tego dnia z rana, kiedy wyjeżdżała z Wiednia, mżył deszcz. Ludzie uganiaли się po ulicach ulegając nastrojowi zaskoczenia, jaki niepogoda budzi zawsze w dużym mieście. Margaret Freemantle była młoda, ładna i korzystała z wakacji, toteż panoramę wyniosłych gór, bezchmurne niebo i sportową, dobroduszną wesołość cichej miejsciny uważała poniekąd za osobisty dar losu.

W nogach czuła przyjemne zmęczenie, kiedy roztrącała zagrządzające jej drogę mikroskopijne zaspy śniegu. Po obiedzie jeździła na nartach, a później wypila dwa kieliszki cherry brandy, która przyjemnie rozgrzała jej gardło. Teraz dyskretne macki ciepła sięgały pod swetrem do ramion i piersi.

– *Dort oben am Berge da wettet der Wind* – śpiewały dzieci, a głosy ich dźwięczały czysto w rzadkim kryształowym powietrzu.

– *Da sitzt Maria und wieget ihr Kind* – zawtórowała cicho Margaret. Z niemieckim radziła sobie jeszcze słabo, toteż cieszyła się nie tylko melodią uroczej kolędy, lecz również własną odwagą, która pozwoliła jej zaryzykować śpiewanie w obcym języku.

Margaret była wysoka i smukła. Miała pociągłą twarz, zielone oczy i kształtny nos usiany tu i ówdzie delikatnymi piegami, które Joseph nazywał „amerykańską dekoracją”. Joseph miał przyjechać następnego dnia porannym pociągiem. Dziewczyna pomyślała o nim i uśmiechnęła się do siebie.

Przed drzwiami hotelu przystanąła, by jeszcze raz spojrzeć na wyniosłe szczyty gór i mrugające w dolinie światła. Odetchnęła głęboko rześkim wieczornym powietrzem. Następnie otworzyła drzwi i weszła.

Salka skromnej gospody, udekorowana wesoło zielonym ostrokrzewem i jedliną, pełna była ciężkiego zapachu dobrych domowych ciast. Z bezpretensjonalnym staroświeckim umeblowaniem – dąb kryty skórą – harmonizowała niezwykła czystość często spotykana w górskich wioskach i miasteczkach, a tak nierozdzielna z izbą, że podobnie jak sprzęty stanowi jej urządzenie.

Pani Langerman przechodziła właśnie dźwigając ogromną kryształową wazę na poncz. Okrągła, rumiana twarz gospodyni wyrażała głębokie skupienie. Na widok gościa uśmiechnęła się i ostrożnie postawiła wazę na stole.

– Dobry wieczór – zagaiła rozmowę mówiąc po niemiecku z miękkim tyrolskim akcentem. – Jak tam narty?

– Wspaniale – odpowiedziała Margaret.

– Mam nadzieję, że nie zmęczyła się pani za bardzo – podjęła pani Langerman zerkając nieśmiało po kątach pokoju. – Dziś wieczór będzie małe przyjęcie. Tańce. Moc chłopców. Nie powinna pani być zmęczona.

Margaret wybuchnęła śmiechem.

– O, mam siłę tańczyć, pod warunkiem, że chłopcy nauczą mnie, jak się to u was robi.

– Z tym nie będzie kłopotu. – Gospodyni szerokim gestem rozłożyła ręce. – Nasi chłopcy potrafią tańczyć! Panią będą zachwyceni. – Krytycznym wzrokiem zmierzyła Margaret. – Pewnie, trochę pani za szczupła, ale takie teraz gusty. Cóż, wpływ amerykańskich filmów. Niedługo tylko suchotnice będą miały powodzenie.

– Uśmiech pogodny i gościnny jak suty ogień na kominku rozjaśnił jej czerstwą twarz; pieczołowicie ujęła wazę i ruszyła w stronę drzwi.

– A niech się pani strzeże mojego syna Friedricha – powiedziała. *Herr Gott!* Ten lubi spódniczki! – zachichotała i wyszła do kuchni. Margaret odetchnęła z lubością wonią korzeni i topionego masła, która nagle wtargnęła do salki. Nucąc poszła na piętro do swojego pokoju.

Zabawa rozpoczęła się spokojnie. Starszyzna siedziała sztywno pod ścianami. Młodzi mężczyźni stali w niewielkich, zmieniających się grupkach i z poważnymi minami popijali z wolna mocny poncz zaprawiony korzeniami. Tęgie, barczyste dziewczęta wyglądały nieswojo w powiewnych wieczorowych sukienkach. Harmonista zagrał bez przekonania dwa kawałki, ale że nikt nie tańczył, przypiął się posepnie do wazy ponczu i ustąpił miejsca patefonowi wyposażonemu w amerykańskie płyty.

Grono gości stanowili przeważnie krewni i sąsiedzi Langermanów – wieśniacy z doliny i miasteczkowi sklepikarze – opaleni na brąz górskim słońcem, pospolicie ubrani, ciężcy, solidni, zdrowi. Zdawać się mogło, że są nieśmiertelni, że posiew choroby i rozkładu nie ma przystępu do krzepkich góralskich ciał, a dłoń śmierci nie muśnie nigdy ogorzalej, gładkiej skóry. Nieliczni goście z miasta, rezydujący w kilku pokojach gospody, wypili uprzejmie po szklaneczce ponczu i poszli na weselsze zabawy do innych, większych hoteli. Wreszcie Margaret była jedynym przybyszem z obcego świata. Piła niewiele i miała zamiar wcześniej pójść do siebie, bo pociąg z Wiednia przyjeżdżał o ósmej trzydzieści rano. Chciała spotkać Josepha świeża i wypoczęta.

Wieczór mijał. Zabawa ożywiała się stopniowo. Margaret tańczyła już prawie z wszystkimi młodymi ludźmi – walce i amerykańskie fokstroty. O jedenastej zrobiło się duszno i gwarno. Wniesiono trzecią wazę ponczu. Twarze zebranych utraciły tępy wyraz poczciwości i zdrowia właściwy ludziom spędzającym życie na świeżym powietrzu; promieniały podnieceniem zabawy w ciasnej, ograniczonej czterema ścianami przestrzeni. Wówczas Margaret zaczęła uczyć Friedricha rumby. Inni stali poważnie dokoła, a po lekcji nagrodzili oklaskami nauczycielkę i ucznia. Ojciec Langerman nalegał, by Margaret i z nim zatańczyła. Był to okrągły, przysadzisty staruszek o różowej, łysej czaszce. Pocił się obficie, kiedy dziewczyna przerywając sobie wybuchami śmiechu objaśniała subtelny karaibski rytm i zawłości spóźnionego taktu.

– *Mein Gott!* – westchnął, kiedy patefon umilkł. – Pomyśleć, że w tych górach zmarnowałem życie!

Margaret roześmiała się znowu, schyliła głowę i pocałowała starego. Goście tworzący dokoła nich ciasny pierścień na woskowanej posadzce odpowiedzieli hałaśliwą owacją, a Friedrich uśmiechnął się i zawołał:

– Pani nauczycielko! Na mnie kolej!

Ktoś puścił tę samą płytę. Ktoś podał Margaret szklaneczkę ponczu i poprosił, żeby wypila, zanim zacznie tańczyć. Friedrich był niezdarny, ciężko przebierał nogami, ale w namiętym, żywym tańcu jego silne ramię grzało przyjemnie i bezpiecznie.

Kiedy skończyła się rumba, harmonista, napompowany kilkunastoma szklaneczkami ponczu, na serio wziął się do roboty. Grał teraz i śpiewał stojąc przed kominkiem w kręgu sutego ognia. Goście skupili się wokół niego i jeden po drugim zaczęli wtórować. Mocne głosy i tony harmonii huczały w wysokiej izbie o belkowanym pułapie. Margaret miała twarz rozpromienioną, gorącą. Stojąc obok Friedricha, który otaczał jej kibić ramieniem, nuciła cicho, jak gdyby tylko dla siebie. Myślała, że to wszystko zacni, serdeczni ludzie, po dziecięcemu pogodni i bardzo życzliwi dla obcych. Oto piosenką witają Nowy Rok i szorstkie głosy, przywykłe do wołania pod gołym niebem, brzmia zgodnie z nakazem łagodnej, słodkiej melodii.

– *Röslein, Röslein, Röslein rot, Röslein auf der Heide* – śpiewali, a głos starego Langermana wznosił się ponad chór i grzmiał niczym porykiwanie buhaja komicznie czymś zatroskanego.

Margaret śpiewała razem z góralami. W blasku ognia widziała ożywione twarze. Milczał i stał spokojnie tylko jeden z gości.

Christian Diestl – wysoki, smukły młodzieniec – miał skupioną, zamyśloną twarz o cerze ubarwionej słońcem, ostrzyżone na jeża czarne włosy i jasne spojrzenie złotawe od żółtych iskierek, takich, jakie widuje się w oczach drapieżnych zwierząt. Margaret zauważyła go po południu na stoku wzgórze. Z należytą powagą udzielał lekcji początkującym narciarzom, sam zaś poruszał się na śniegu godnym zazdrości swobodnym, posuwistym krokiem. Obecnie stał na uboczu, z dala od śpiewaków, i trzymając w ręku pełną szklanekę przyglądał się im zamyślonym, dalekim wzrokiem. Biel rozpiętej pod szyją koszuli pięknie kontrastowała ze spaloną na brąz skórą.

Margaret spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Proszę śpiewać! – rzuciła.

Odpowiedział poważnym uśmiechem i uniósł szklanekę. Dziewczyna spostrzegła, że posłusznie zaczął ruszać wargami, ale w ogólnym gwarze nie mogła ocenić wkładu nowego uczestnika chóru.

Czas mijał, zbliżał się uroczysty moment. Mocny poncz zaczynał robić swoje. Towarzystwo coraz mniej dbało o formy. Po ciemnych kątach parki całowały się i ścisnęły czule. Głosy chrypiły, przybierały na sile. Margaret z trudem chwyciła i rozumiała słowa śpiewek pełnych gwarowych dwuznaczników, przy których starsze kobiety chichotały wstydliwie, a mężczyźni wybuchali gromkim śmiechem.

Tuż przed północą ojciec Langerman wspiął się na stołek, zarządził ciszę i skinąwszy na harmonistę przemówił oratorskim, nieco podпиты tonem:

– Jako weteran z frontu zachodniego, trzykrotnie ranny w piętnastym i osiemnastym roku, proszę, aby wszyscy podchwycili pieśń, którą zaintonuję.

Znów machnął ręką w stronę grajka, ten zaś rozpoczął wstępne takty *Deutschland, Deutschland über alles*.

Margaret pierwszy raz słyszała ów hymn w Austrii, ale kiedy miała pięć lat, nauczyła się go od służącej, Niemki. Nie zapomniała słów, toteż ochoczo przyłączyła się do chóru i chociaż zdawała sobie sprawę, że tego popiła, miała wrażenie, iż w sposób rozumny daje wyraz poczuciu solidarności międzynarodowej. Friedrich uradowany jej niespodziewaną umiejętnością mocniej objął dziewczynę i pocałował ją w czoło, a ojciec Langerman, który stał jeszcze na stołku, wyciągnął w stronę Margaret szklanekę i wznosił toast:

– Niech żyje Ameryka! Za zdrowie młodych Amerykanek!

Dziewczyna wypiła do dna i skłoniwszy się odpowiedziała z godnością:

– Niech mi będzie wolno oświadczyć w imieniu młodych Amerykanek, że jestem zachwycona i szczęśliwa.

Friedrich pocałował ją w szyję, nim jednak zdecydowała, jak na to zareagować, grajek wziął się znów do dzieła i z harmonii popłynęły prymitywne dźwięki, a ochrypli chór podchwycił je triumfalnie. Z początku Margaret nie mogła się zorientować, co to za pieśń. Dwa czy trzy razy słyszała jej fragment w Wiedniu, teraz jednak donośny ryk głuszył melodię, a pijackie głosy zacierały znaczenie słów, które trudno było zrozumieć.

Friedrich wyprostował się i podniecony śpiewem przygarnął sąsiadkę tak mocno, że poczuła, jak twardnieją mu mięśnie ramienia. Całą uwagę skupiła na jego słowach i wreszcie poznała pieśń.

– *Die Fahne hoch, die Reihen fest geschlossen* – śpiewał, a żyły pęczniały mu na szyi. – *S.A. marschert in ruhig festen Schritt, Kameraden, die Rotfront und Reaktion erschlossen.*

Dziewczyna słuchała ze skamieniałą twarzą i zamkniętymi oczami. Czowała, że dławi ją brutalna melodia. Próbowwała uwolnić się z objęć sąsiada, ten jednak silnie otaczał ją ramieniem, stała więc bez ruchu i słuchała. Kiedy otworzyła oczy, spojrzała przede wszystkim na instruktora narciarskiego. Nie śpiewał. Przyglądał się jej życzliwym, smutnym wzrokiem.

Głosy huczały coraz potężniej, srożej, groziły łoskotem gromu zbliżając się do końcowych taktów *Horst Wessel Lied*. Mężczyźni, dumni i okrutni stojąc na baczność miotali z oczu błyskawice. Upojone kobiety śpiewały jak operowe mniszki przed obliczem operowego bóstwa. Tylko Margaret i opalony narciarz o złotawych oczach milczeli, gdy salka rozbrzmiewała ostatnimi słowami pieśni: *Marschieren mit uns in ihrem Geiste mit!*

Dziewczyna zaczęła płakać cicho, bezradnie i zaskoczona własną słabością zwiśla ciężko na ramieniu Friedricha. W tej chwili dzwony w wiejskich kościółkach uderzyły cienko, radośnie, a stokrotne echa odbiły się od gór i zawtórowały im w nocnym zimowym powietrzu.

Ojciec Langerman był czerwony jak burak. Pot zraszał mu okrągłą, nagą czaszkę. Oczy błyszczały tak, jak mogły błyszczeć, kiedy po raz pierwszy ujrzały front zachodni w piętnastym roku. Uniósł w górę szklankę i przemówił namaszczone, kapłańskim tonem:

– Za Führera!

– Za Führera! – powtórzyli obecni.

Szklanki błysnęły w świetle płomieni. Usta wypiły poncz, jak gdyby spełniały doniosły obrzęd religijny.

– Nowy Rok! Wszystkiego najlepszego daj ci Boże w tym Nowym Roku!

Uroczysty, patriotyczny nastrój prysnął. Goście śmiali się, ściskali sobie ręce, klepali się po ramionach, wymieniali uściski i pocałunki. Znowu byli weseli, przyjaźni, niewojowniczy.

Friedrich przygarnął Margaret i chciał ją pocałować, lecz wyrwała mu się i pochyliła głowę. Z oczu jej płynęły łzy. Szlochała głośno. Zupełnie złamana umykała po schodach do swojego pokoju na piętrze. Z daleka dobiegł ją śmiech i głos Friedricha:

– Amerykanki lubią trzymać fason! Zdaje się im, że umieją pić.

Łzy wyschły powoli. Margaret było niemilo i głupio. Próbowwała zapomnieć o tamtych ludziach z dołu. Systematycznie czyściła zęby, układała na noc włosy, zwilżała zimną wodą czerwone, zapuchnięte powieki. Na spotkanie Josepha chciała być świeża i ładna.

Rozebrała się w lśniącym czystością, bielonym pokoju, gdzie nad łóżkiem wisiał ciemny drewniany krucyfiks z figurą zbolełego Chrystusa. Zgasiła światło, otworzyła okno i w szerokim łóżku schroniła się przed wiatrem i księżycowym blaskiem płynącym z gór osypanych śnieżnym puchem. W pierwszej chwili zadrżała od dotknięcia lodowatych prześcieradeł, niebawem jednak zrobiło się jej ciepło pod ciężką pierzyną. Bielizna pachniała pralnią, jak niegdyś za dziecinnych lat w domu babki. Sztynno nakrochmalone białe firanki szeleściły w otwartym oknie. Harmonista grał teraz smutne jesienne melodie o miłości i rozstaniach, a muzyka dochodziła zza wielu zamkniętych drzwi, dziwnie wzruszająca i odległa. Margaret zasnęła wkrótce i w rzeźwym górskim powietrzu leżała na wznak ze spokojną, ufną, niemal dziecięcą twarzą.

Często bywają takie sny. Jakaś dłoń ślizga się po skórze. Ciemne, niczyje ciało leży w pobliżu. Ciepło bezimiennego oddechu owiewa policzek. Kibić oplata ramię silne, natrętne...

Margaret obudziła się nagle.

– Cicho bądź! – powiedział męski głos po niemiecku. – Nie zrobię ci nic złego.

„Pijany! – pomyślała dziewczyna. – Zieje od niego alkoholem”.

Przez chwilę leżała jak martwa, zapatrzona w oczy napastnika – żywe isierki na czarnej plamie twarzy. Dłoń ślizgała się delikatnie po jej brzuchu, sięgała niżej, wzdłuż ud. Ciężar nogi przytłaczał kolana. Mężczyzna był ubrany. Szorstkie sukno nieprzyjemnie drażniło skórę. Margaret szarpnęła się gwałtownie, uskoczyła pod ścianę i usiadła. Ale napastnik był zwinny. Obalił ją, przytłoczył, zakrył usta ręką.

– Zręczna bestyjka – zachichotał – niczym wiewióreczka.

Poznała głos.

– To tylko ja – mówił Friedrich. – Nieproszony przyszedłem z wizytą. Nie zrobię ci nic złego. – Na próbę usunął dłoń z jej ust. – Nie będziesz krzyżeć? – pół szeptał, pół chichotał, jak gdyby bawił się z dzieckiem. – A zresztą nic ci to nie pomoże. Wszyscy są urzędnicy, a gdyby nawet ktoś przyszedł, powiem, że ty mnie zaprosiłaś, a później widać zmieniłaś zdanie. Uwierzą, bo mam taką opinię, że dziewczuchy na mnie lecą, no i ty jesteś przecie cudzoziemka...

– Idź sobie! Proszę! – szepnęła Margaret. – Idź sobie. Nie powiem nikomu.

Friedrich znowu zachichotał. Był podchmielony, ale nie tak pijany jak udawał.

– Śliczna z ciebie dziewczuszka, pierwsza klasa! Ładniejszej nie widziałem jeszcze w tym sezonie.

– Po coś tu przyszedł? – Dziewczyna starała się zeszywnieć, zlodowacieć; chciała, aby natrętna łapa spotkała tylko kamienną, wrogą powierzchnię ciała. – Tyle innych przyjmie cię chętnie.

– Chcę ciebie. – Chłopak pocałował ją w szyję, jak mu się zapewne zdawało, z czułością nie do odparcia. – Strasznie mi się spodobałaś.

– Ale ja ciebie nie chcę! – zawołała półprzytomna, przerażona zarówno roslym ciałem przytłaczającym ją w głuchą noc w tonącym w ciemnościach łóżku, jak i okropną myślą, że w podnieceniu może nie dopisać jej znajomość niemieckiego, że z braku słów gotowa ulec niemądrze, jak pensjonarka. – Nie chcę ciebie!

– Tym lepiej – powiedział Friedrich. – Wolę, jak dziewczyna udaje z początku, że się boi, i struga wielką damę. Tak jest wytworniej. – Widocznie był pewny siebie, bo drwił z ofiary bezlitośnie. – Nie ty pierwsza się stawiasz, nie ostatnia.

– Przysięgam – syknęła Margaret – że o wszystkim powiem twojej matce.

Stłumiony uśmiech chłopaka zabrzmiał w cichym pokoju wesoło i spokojnie.

– Powiesz matce! Dobrze sobie! Matka zawsze lokuje ładne dziewczynki w tym pokoju. Pod oknem jest dach szopy. Rozumiesz? Łatwo się tu dostać.

To niemożliwe! Mała, pulchna, rumiana babina, co wiesza krucyfiksy w gościnnych pokojach, jest czysta, gospodarna, na pewno regularnie chodzi do kościoła...

Margaret nagle przypomniała sobie wyraz twarzy pani Langerman, kiedy upojenie śpiewem i pierwotną muzyką sięgało kulminacyjnego punktu. Dzikie, zajadłe spojrzenie... Namiętna twarz skurczona, zroszona potem... Tak, to możliwe! Głupi osiemnastolatek nie wymyśliłby takiej historii!

– Ile razy wdrapywałaś się na dach tej szopy? – mówiła prędko; za wszelką cenę chciała jak najdalej odsunąć decydujący moment.

Chłopak uśmiechnął się. W mroku błysnęły białe zęby. Na chwilę przestał manipulować ręką i odpowiedział zadowolony z siebie:

– O, dawniej bardzo często. Ale teraz jestem wybredny. Trudno wdrapać się na stromy dach po śniegu. Nie warto dla byle czego. Dziewczyna musi być naprawdę ładna, jak ty.

Dłoń zaczęła się znów posuwać wprawnie, celowo. Dziewczyna leżała na wznak. Ręce miała przytłoczone własnym ciałem, skrepowane silnym ramieniem napastnika. Czowała, że płonie i słabnie, że ulega gwałtowi i jak gdyby rozpływa się w nicość. Odwróciła głowę i ramiona. Bez skutku próbowała poruszyć nogami. Friedrich trzymał je mocno i uśmiechnął się rozbawiony słabym, nieudolnym oporem.

– Ładna jesteś – szeptał. – Zbudowana jak lalka.

– Słuchaj! Będę krzyczeć!

– To się dopiero wkopiesz! Mówię ci, paskudnie! Matka zeklnie cię wobec wszystkich gości i zażąda, żebyś się zaraz wynosiła, bo zwabiłaś do pokoju jej małego, osiemnastoletniego synka, a potem urządziłaś głupią scenę. Jutro rano przyjedzie ten pan, twój znajomy, a całe miasto będzie tylko o tym gadać... – Głos napastnika dźwięczał wesoło, poufnie. – Słowo daję, nie radziłbym podnosić wrzasku.

Margaret zamknęła oczy. Leżała jak martwa. Na chwilę zobaczyła twarze wszystkich dzisiejszych gości z dołu. Krzywo uśmiechali się do siebie, wymieniali kose spojrzenia. Dla niepoznaki przebrani w czyste góralskie stroje spiskowali przeciwko niej, szykowali jej zgubę w tajemniczej śnieżnej fortecy.

Nagle Friedrich przekręcił się i znalazł na swojej ofierze. Miał rozpiętą kurtkę i Margaret czuła gładką, gorącą skórę jego piersi. Był olbrzymi, ciężki, dławił ją, miażdżył. Łzy napływały jej do oczu i powstrzymywała je z nie lada trudem. Powoli, systematycznie

napastnik rozsuwał jej kolana. Ale ręce miała teraz wolne, toteż zaczęła bronić się paznokciami – prosto w oczy. Końcami palców czuła, że targa skórę. Słyszała głuchy, szarpiący nerwy chrobot. Orała mu twarz raz po raz, szybko, nim prześladowca zdąży odzyskać oddech.

– Kurwa!

Friedrich chwycił jej ręce i zamknął boleśnie w jednej wielkiej łapie. Drugą zamachnął się i uderzył ofiarę w usta. Pocięła krew.

– Marna amerykańska kurwa!

Siedział na niej okrakiem, a ona leżała sztywna, zapatrzona w triumfujące, okrwawione, groźne zwierzę. Księżyc zaglądał przez okno i czystym srebrem barwił okrutną scenę.

Friedrich uderzył jeszcze raz, wierzchem dłoni. Na zębach poczuła kostki jego knykci, a jednocześnie owionął ją wstrętny smród, bo przecież chłopak pomagał matce w kuchni.

– Jeżeli nie pójdziesz zaraz – powiedziała wyraźnie, chociaż w głowie jej wirowało i szumiało – zabiję cię jutro. Mój narzeczony i ja zabijemy cię jutro. Rozumiesz?

Siedział na niej okrakiem i nadal trzymał obie jej ręce w jednej wielkiej łapie. Krwawił obficie. Długie płowe włosy spadały mu bezładnie na oczy. Dyszał ciężko i pochylony nad ofiarą nie odrywał od niej wzroku. Na chwilę zapadła głucha cisza. Później Friedrich niepewnie spojrzął w bok.

– Trudno – powiedział. – Nie ciekawym dziewczyn, które mnie nie chcą. Szkoda zachodu.

Uwolnił ręce Margaret, mocno i boleśnie odepchnął jej twarz pięścią i wyskakując z łóżka celowo uderzył ją kolanem. Przez chwilę stał w oknie i doprowadzając garderobę do porządku, głośno ssał pokaleczone wargi. Kiedy zapinał guziki, w mdłym świetle księżyca wyglądał jak nad miarę wyrośnięty chłopiec, niezdarny i przykro rozczarowany.

Głośno przeszedł przez pokój i obejrzał się na progu.

– Wychodzę drzwiami – powiedział. – Jestem gospodarz. Mam prawo.

Dziewczyna leżała bez ruchu. Uparcie spoglądała w sufit.

Friedrich ociągał się. Nie chciał widać odchodzić bez chociażby pozorów zwycięstwa. Margaret zdawała sobie sprawę, że napastnik szuka w swoim umyśle parobka słów, którymi mógłby ją zgnębić na pożegnanie.

– Aha – powiedział. – Wracaj do Wiednia, do swoich Żydów! Pchnął drzwi i wyszedł nie zamykając ich za sobą. Dziewczyna wyskoczyła z łóżka i szybko przekręciła klucz w zamku. Stojąc bez ruchu słuchała ciężkich kroków, które zmierzały schodami w stronę kuchni i budziły stokrotne echa pośród starych drewnianych ścian uśpionego, spowitego w zimę domu.

Wiatr ustał. W pokoju było cicho i zimno. Dziewczyna zadrżała w cienkiej, zmiętej piżamie. Zbliżyła się do okna i zamknęła je starannie. Księżyc już zaszedł. Ciemność nocy szarzała. W bladym świetle góry martwe i tajemnicze rysowały się na tle bezbarwnego nieba.

Margaret spojrzała na łóżko. Prześcieradło było rozdarte. Poduszkę i skopaną, rozrzuconą pościel znaczyły plamy krwi – ciemne i zagadkowe. Dziewczyna była zdruzgotana, zmiażdżona. Bolały ją ręce, i całe ciało trzęsło się ze wzburzenia i chłodu. Szybko ubrała się w najcieplejszy kostium narciarski, dwie pary wełnianych skarpet i płaszcz zimowy. Później, przemarznięta i drżąca, usiadła przed oknem w małym foteliku na biegunach i tępo patrzyła na wzgórze, które brzask wydobywał z mroków, a na wierzchołkach kładł pierwsze zielonawe plamy.

Zieleń poróżowiała wkrótce. Blask schodził coraz niżej i zaśnieżone zbocza rozbrły na powitanie nowego dnia. Margaret wstała. Nie patrząc na łóżko wymknęła się z pokoju. Cicho zeszła na parter. Resztki nocnego mroku trwały jeszcze w ustronnych kątach. Salka cuchnęła mdłym zapachem noworocznej libacji. Dziewczyna otworzyła drzwi od ulicy i śmiało wkroczyła w różowobiały, drzemiący jeszcze Nowy Rok.

Uliczki były puste. Margaret szła przed siebie bez celu. Mijała wały odgarniętego z chodników śniegu. Z lubością wciągała w płuca rześkie, zimne powietrze wczesnego ranka. Otworzyły się jakieś drzwi i stanęła w nich niska, pulchna kobieta w fartuchu. Włosy miała owiązane chustką, twarz pogodną, rumianą.

– *Gut Morgen, Fräulein* – powiedziała. – Dzień zapowiada się pięknie.

Margaret spojrzała na nią spod oka i przyspieszyła kroku. Kobieta zrobiła minę zdziwioną, później urażoną, gniewną. Cofnęła się i głośno zatrzasnęła drzwi.

Dziewczyna skręciła z ulicy na ścieżkę wiodącą w kierunku wzgórz. Szła równym, miarowym krokiem, spoglądając na czubki butów. Była coraz wyżej, coraz bliżej rozległych, połyskujących w młodym słońcu zboczy, bezludnych o tak wczesnej porze. Wnet opuściła utarty szlak i na przełaj ruszyła ku szałasowi dla narciarzy. Był uroczy, jak gdyby wyjęty z dziecięcego snu o Europie – zbudowany z grubych bali i pokryty spiczastym dachem, na którym spoczywała ciężka czapa śniegu.

Przed szałasem stała drewniana ławka i Margaret usiadła na niej ciężko. Była wyczerpana, niezdolna do dalszego wysiłku. Spojrzała w górę na gładkie, faliste stoki wspinające się bielą ku groźnym skalistym szczytom, których szkarłatne zręby rysowały się ostro na tle lazurowego nieba.

„Nie chcę myśleć o tym – powiedziała sobie. – Nie chcę!” Kamiennym wzrokiem spoglądała na wyniosłe góry i kreśliła na zboczu urojoną mapę chrystianii i telemarków idealnego zjazdu. „Nie będę o tym myśleć!”. Przesunęła językiem po krwi zakrzepłej na skaleczonej wardze. „Może pomyślę później, kiedy uspokoję się trochę, otrząsnę z pierwszego wrażenia... Najniebezpieczniejsze miejsce jest tam, na prawo, w głębokim śniegu nad urwistą ścianą wąwozu. Człowiek natknie się na kopiec i będzie musiał skrócić gwałtownie, tak żeby nie wpaść na te cudaczne skałki. Wtedy nagły przestrasz...”.

– Dzień dobry, panno Freemantle! – zabrzmiał męski głos za jej plecami.

Szybko odwróciła głowę. Był to instruktor narciarski – szczupły, opalony młodzieniec, do którego uśmiechała się i prosiła, żeby śpiewał, kiedy harmonista rozegrał się na dobre. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Margaret wstała z ławki i zaczęła uciekać.

Diestl postąpił za nią kilka kroków.

– Co się stało? – zapytał.

Głos, który doścignął wystraszoną dziewczynę, był głęboki, uprzejmy, łagodny. Margaret stanęła, bo przypomniała sobie, że ostatniego wieczoru, kiedy Friedrich otaczał ją ramieniem i ryczał na całe gardło, a wszyscy wokół hałasowali i krzyczeli, tylko ten człowiek był spokojny i milczał. Przypomniała sobie, jak patrzył na nią, gdy nie mogła powstrzymać płaczu, jak dyskretnie, nieśmiało próbował jej dać do zrozumienia, iż mimo wszystko nie jest osamotniona. Po chwili zawróciła i zbliżyła się do Christiana.

– Bardzo przepraszam – uśmiechnęła się blado. – Byłam zamyślona i... i chyba mnie pan wystraszył.

– Czy na pewno nic się nie stało? – zapytał.

Stał przed nią z gołą głową. Wyglądał teraz bardziej chłopięco, bardziej nieśmiało niż wczoraj wieczorem w hotelowej salce.

– Nie – odpowiedziała Margaret i usiadła na ławce. – Po prostu zachwycałam się waszymi górami.

– A może woli pani być sama? – uprzejmie cofnął się o krok.

– Ach, nie! Nie!

Nagle uprzytomniła sobie, że musi porozmawiać z kimś o nocnym zejściu, bo inaczej nie pojmie tego, nie zrozumie. Joseph nie wchodził oczywiście w rachubę, a instruktor narciarski budził zaufanie. Był nawet trochę podobny do Josepha; taki sam ciemnowłosy, poważny – typ intelektualisty.

– Nie. Proszę zostać – powiedziała dziewczyna.

Stał przed nią na lekko rozstawionych nogach. Miał rozpięty kołnierzyk koszuli i dłonie bez rękawiczek, jak gdyby nie było mrozu ani wiatru. W dobrze skrojonym stroju narciarskim wyglądał zgrabnie i wdzięcznie. Zdawać się mogło, że jego skóra jest oliwkowa pod opalenizną, a gorąca, koralowa krew barwi różowo czerstwe, gładkie policzki.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował Margaret. Następnie podał jej ognia osłaniając zapalną od wiatru. Robił to z widoczną wprawą, a jego silne, męskie, opalone ręce znalazły się tuż około jej twarzy.

– Dziękuję panu.

Odpowiedział skinieniem głowy, zapalił papierosa i zajął miejsce tuż koło dziewczyny. Siedzieli rozparci wygodnie na ławce. Przymkniętymi oczami podziwiali piękno górskiego krajobrazu. Ukośne smugi dymu unosiły się nad ich głowami. Smak papierosa drażnił przyjemnie wyschnięte z rana podniebienie Margaret.

– Istny cud, prawda? – powiedziała.

– Co?

– Góry.

– To wróg. – Diestl wzruszył ramionami.

– Przepraszam, nie zrozumiałam...

– To wróg.

Spojrzała na niego. Oczy miał przymrużone, usta zacięte surowo. Znów przeniosła wzrok na panoramę szczytów.

– Wróg? Dlaczego?

– Więzienie – wyciągnął przed siebie nogi w eleganckich, dobrze oczyszczonych butach narciarskich. – Moje więzienie.

– Co też pan opowiada? – zdziwiła się Margaret.

Odpowiedział cierpkim uśmiechem.

– Nie sądzi pani, że pędzę życie godne idioty, a nie prawdziwego mężczyzny? Świat się wali, rasa ludzka walczy o prawo do dalszego życia, a ja uczę małe, spalone dziewczynki, jak zjeżdżać ze wzgórza i po drodze nie zaryć nosem w śnieg. Ładne zajęcia! Prawda?

„Dziwny kraj – pomyślała Margaret ubawiona mimo wszystko. – Nawet sportowcy cierpią tu na *Weltschmerz*”.

– Jeżeli tak to pana dręczy – powiedziała – czemu nie szuka pan wyjścia?

Roześmiał się bezdźwięcznie, ponuro.

– Próbowałem. Próbowałem w Wiedniu przez siedem miesięcy. Nie mogłem dłużej wytrzymać. Uciekłem z Wiednia. Powiedziałem sobie: „Niech zdechnę, ale muszę znaleźć jakąś rozsądną, pożyteczną pracę”. Aha! Małeńka rada: niech pani nie szuka dzisiaj w Wiedniu pożytecznej pracy. Ja ją wreszcie znalazłem. Zostałem młodszym kelnerem. Musiałem podawać turystom do stołu. Wróciłem do domu. Przynajmniej tutaj mogę dobrze zarobić. Taka już jest Austria. Za głupstwa hojnie człowiekowi płacą. – Smutnie potrząsnął głową. – Bardzo panią przepraszam.

– Za co?

– Za gadanie o swoich sprawach. – Odrzucił niedopałek papierosa, wsunął rękę do kieszeni i zgarbił się, skurczył, jak gdyby zawstydzony.

– Nie wiem, co się stało. Może zawinił wczesny ranek i samotność we dwoje... Przecież tylko my nie śpimy po tej strome góry. Nie wiem... Zresztą... zresztą pani wydaje się taka... sympatyczna. A tutejsi ludzie... – wzruszył ramionami. – Woły! Jeść, pić, robić pieniądze. Wczoraj wieczorem miałem ochotę porozmawiać z panią...

– Szkoda, że pan tego nie zrobił.

Czuła się coraz lepiej. Była spokojniejsza, mniej obolała i rozbita. Siedząc tuż koło Diestla słuchała jego głębokiego głosu o miękkim tyrolskim akcencie. Mówił wyraźnie, powoli, niewątpliwie przez wzgląd na jej niedoświadczone ucho. Chciał, by rozumiała jego niemczyznę.

– Wyszła pani tak nagle – odrzekł. – Zapłakana...

– Zachowałam się głupio. To tylko dowód, że jeszcze nie jestem dorosła.

– Można być dorosłym, a jednak płakać: gorzko i często. – Zapewne chciał dać do zrozumienia, że i on niekiedy płacze. – Ile pani ma lat? – zapytał obcesowo.

– Dwadzieścia jeden.

Poważnie skinął głową, jak gdyby przyjmował do wiadomości znamieny fakt, który wywrze wpływ na dalsze ich stosunki.

– A co pani robi w Austrii? – rzucił.

– Właśnie nie wiem. W kraju studiowałam scenografię i ktoś, kto wrócił z Wiednia, powiedział mi o znajdującej się tam szkole, podobno znakomitej. Cóż, Wiedeń to miejsce pobytu nie gorsze ani lepsze od innych. W każdym razie zupełnie niepodobne do Ameryki. To zadecydowało.

– Chodzi pani do tej szkoły w Wiedniu?

– Tak.

– Naprawdę dobra?

– Nie – roześmiała się. – Ze wszystkimi szkołami jest to samo. Innym podobno dużo dają, nam nie.

Zwrócił głowę w jej stronę, spojrział bystro, z zastanowieniem.

– Mimo to dobrze tam pani – powiedział.

– Oczywiście. Uwielbiam szkołę, Wiedeń, Austrię.

– Ale ostatniej nocy nie bardzo podobała się pani Austria.

– Tak – przyznała, lecz zaraz dodała uczciwie: – Raczej nie Austria, tylko ci ludzie. Ludzie nie bardzo mi się podobali.

– I ich śpiew – dorzucił. – *Horst Wessel Lied*.

– Tak – odparła z wahaniem. Nie spodziewałam się tej pieśni. Myślałam, że w waszym pięknym miasteczku, tak bardzo na uboczu od wszystkiego, co...

– Myli się pani – przerwał. – Wcale nie jesteśmy na uboczu. Czy pani jest Żydówką?

– Nie – odpowiedziała i dodała w myśli: „Oto pytanie, które dzieli Europę na dwa obozy”.

– Naturalnie. Wiedziałem, że nie.

Zamyślił się, przygryzł wargi i z ukosa spojrzął na stoki wzgórz. Usta skrzywił mu charakterystyczny grymas – nieśmiały, lecz stanowczy.

– To pani kochanek? – zapytał nagle.

– Kto?

– Ten, co przyjeżdża dzisiaj rano.

– Skąd pan wie, że ktoś do mnie przyjeżdża?

– Pytałem o panią.

Zapadła cisza.

„Co za szczególna mieszanina – pomyślała Margaret. – Chwilami natręt, chwilami nieśmiały. Ciężki i odarty z poczucia humoru, a zarazem dziwnie delikatny i spostrzegawczy”.

– To pewnie Żyd? – spytał Christian uprzejmie, z powagą, bez cienia niechęci lub dezaprobaty w tonie głosu.

– Cóż... – Margaret szukała słów, by zrozumiale wyjaśnić zawiłą sprawę. – Według waszej miarki chyba tak. Sam jest katolikiem, ale ma matkę Żydówkę, a zatem, jak mi się zdaje...

– Co to za człowiek?

– Lekarz – mówiła wolno Margaret. – Naturalnie starszy ode mnie. Przystojny. Nawet trochę podobny do pana. Bardzo wesoły.

Zawsze potrafi rozbawić, rozśmieszyć towarzystwo. Ale umie też być poważny. Bronił przed wojskiem Domu im. Karola Marksa. Wycofał się jeden z ostatnich i... – urwała nagle. – Odwołuję to, co powiedziałam. Także pomysł! Rozgłaszać bez zastanowienia podobne historie! Mogą z tego wyniknąć przykrości.

– Niewątpliwie – przyznał z powagą. – Lepiej nie opowiadać więcej. Hm... To musi być przyjemny człowiek. Wyjdzie pani za niego?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Cóż, rozmawialiśmy o małżeństwie. Ale to jeszcze nic pewnego. Zobaczymy.

– Powie mu pani o... o tej nocy?

– Tak.

– I jak rozcięła sobie pani wargę?

Bezwiednie podniosła rękę do świeżej blizny. Kącikiem oka spojrzała na instruktora narciarskiego. Odwrócił znowu głowę. Błądził wzrokiem po wyniosłych szczytach.

– Friedrich złożył pani wizytę, prawda? – zapytał spokojnie.

– Tak – przyznała szeptem. – Wie pan o Friedrichu?

– Całe miasto wie wszystko o Friedrichu – odparł. – Nie pani pierwsza wyszła posiniaczona z tamtego pokoju.

– Czy nigdy nikt nie próbował zaradzić jego wybrykom?

– O szlachetna, wzniosła młodości! – Christian roześmiał się ochryple. – Na ogół młode damy są zachwycone. Podobno nawet takie, które z początku się wzbraniają. Rozumie pani? To swego rodzaju osobliwość, charakterystyczna cecha gospody Langermanów, barwne wspomnienie z naszego miasteczka. Wszystko dla narciarzy! Cha, cha, cha! Kolejka linowa, pięć wyciągów ręcznych, osiemnaście stóp śniegu, a na dokładkę nieszkodliwy gwałt... Wszystko na miejscu! Jestem przekonany, że Friedrich nie przekracza pewnych granic. Daje za wygraną, jeśli dziewczyna jest naprawdę niechętna. Z pani zrezygnował, prawda? .

– Tak.

– W sumie miała pani okropną noc. A przyjechała pani po to, żeby zabawą i śpiewem powitać Nowy Rok w wesołej, staroświeckiej Austrii.

– Obawiam się, że wszystko stanowi jedną całość – powiedziała Margaret.

– Co mianowicie? Nie rozumiem.

– *Horst Wessel Lied*, narodowy socjalizm, wdzieranie się do kobiecej sypialni, bicie kobiety...

– Nonsens! – głos Diestla zabrzmiał donośnie i gniewnie. – Proszę nie mówić takich rzeczy!

– Co złego powiedziałam? – Dziewczyna odczuła powracający dreszcz niepewności i trwogi.

– Friedrich włął przez okno do pani pokoju nie dlatego, że jest narodowym socjalistą. Zrobił to, bo jest świnią. – Instruktor mówił teraz zwykłym, opanowanym tonem, wolno i dobitnie, na sposób wykładowcy; podobnie mógł przemawiać do dzieci, uczestników kursu dla początkujących. – To człowiek zasadniczo zły, a narodowym socjalistą został tylko dzięki przypadkowi. Na pewno zresztą okaże się w rezultacie złym towarzyszem partyjnym.

– A pan? – Margaret rzuciła to pytanie chłodnym, rzeczowym tonem, przyglądając się uważnie swoim butom.

– Ja jestem narodowym socjalistą. Oczywiście! Niech pani nie robi takiej zgorzonej miny. Naczytała się pani idiotyzmów z amerykańskich gazet. Jadamy dzieci, palimy kościoły, oprowadzamy po ulicach gołe zakonnice z pornograficznymi obrazkami wymalowanymi na plecach pomadką do ust i krwią ludzką... Naturalnie... Zakładamy również farmy hodowlane dla wzorowych przedstawicieli germańskiej rasy i tak dalej, i tak dalej. Byłoby to bardzo śmieszne, gdyby nie było zarazem tak bardzo smutne.

Umilkł nagle. Margaret chciała odejść, ale poczuła się słabo. Ogarnął ją lęk, że jeżeli wstanie, upadnie natychmiast. Piekły ją obolałe powieki, a kolana drżały tak, jak gdyby nie spała kilka nocy. Zamrugnęła i spojrzała na ośnieżone szczyty, niższe jakieś w pełnym świetle i mniej imponujące. „Kłamstwo – pomyślała. – Nawet wspaniałe, spokojne góry o wschodzie słońca są kłamstwem”.

– Chcę, żeby pani dobrze mnie zrozumiała – ciągnął mężczyzna cichym, łagodnym głosem, trochę wstydliwie. – Łatwo wam w Ameryce potępiać wszystko. Jesteście bogaci. Stać was na niejeden luksus, taki jak tolerancja, tak zwana demokracja, wysoki poziom moralny. Tutaj nie możemy sobie pozwolić na wysoki poziom moralny. – Urwał, jak gdyby czekał na atak, ponieważ jednak dziewczyna milczała, podjął jeszcze ciszej, bezbarwnym, głuchym tonem: – Pani ma oczywiście inny pogląd na nasze sprawy. Trudno za to ganić. Pani kawaler jest Żydem. Boi się pani o niego i nie dostrzega szerszych horyzontów. Tak! Szerszych horyzontów – powtórzył dobitnie, jakby te dwa słowa mile zadźwięczały w jego uchu. – Szersze horyzonty to Austria. Naród niemiecki. Po co udawać, że nie jesteście Niemcami? To komiczna blaga. Mogą sobie na nią pozwolić Amerykanie o pięć tysięcy mil stąd. My nie! Obecnie Austriacy to naród żebraków: siedem milionów ludzi bez przyszłości, zdanych na łaskę byle kogo, oberżystów, co żyją z napiwków cudzoziemców. Amerykanom trudno to zrozumieć, ale człowiek nie może żyć w wiecznym upodleniu. Zrobi wszystko, żeby się wygrzebać, odzyskać szacunek dla samego siebie. Austria może dokonać tego tylko przez narodowy socjalizm, przez połączenie się z Trzecią Rzeszą. – Christian mówił teraz żywym, znacznie dźwięczniejszym głosem. Margaret mimo woli podjęła dyskusję. Wiedziała, że lepiej milczeć, ale instruktor narciarski wydawał się bardzo sympatyczny, umiarkowany, nieobojętny na cudze rozumowanie.

– To chyba nie jedyna droga – powiedziała. – Można odzyskać szacunek dla samego siebie bez kłamstwa, morderstwa i oszukiwania.

– Droga pani. – Christian pokiwał głową smutno i z politowaniem. – Proszę najpierw pomieszkać dziesięć lat w Europie, a później przyjść i powtórzyć mi to samo. Jeżeli oczywiście nie zmieni pani zdania... Nie będę taił: jeszcze rok temu byłem komunistą. Rozumie pani? Solidarność robotników całego świata, pokój dla wszystkich ludów, każdemu według potrzeb, triumf rozumu, braterstwo, braterstwo i jeszcze raz braterstwo – roześmiał się z goryczą. – Brednie! Nie znam Ameryki, ale wiem coś niecoś o Europie. W Europie nic nie dokona się nigdy dzięki rozumowi. Braterstwo! Wyświechtany uliczny slogan, dobry między wojnami dla polityków pośledniego gatunku. Mam wrażenie, że nawet w Ameryce nie inaczej się dzieje pod tym względem. Mówiła pani o kłamstwie, morderstwach, oszukiwaniu. Może to i racja, ale tak wyglądać

musi proces nieodzowny w Europie. Tylko tą drogą można osiągnąć cel. Myśli pani, że mówię to z radością? Nie. Ale to prawda i tylko szalenciec może myśleć inaczej. W przyszłości, kiedy już zaprowadzimy nowy ład, będziemy mogli powstrzymać to, co nazwała pani „kłamstwem i morderstwami”. Tak, w przyszłości, kiedy ludzie dostaną dosyć żarcia i łatwo będą znajdowali pożyteczną pracę; kiedy będą wiedzieli, że ich pieniądze nie utracą z dnia na dzień dziewięciu dziesiątych wartości; kiedy będą wiedzieli, że mają własny rząd, a nie fikcję, której byle kto rozkazuje, jak mu się spodoba; kiedy nareszcie skończą się porażki i klęski... Ze słabości nie może wyniknąć nic dobrego. Tylko hańba i głód. Siła stanowi o wszystkim. A kwestia żydowska... – Wzruszył ramionami. – Cóż, to czysty przypadek. Nieszczęśliwy przypadek. Ktoś kiedyś odkrył, że to jedyna droga do władzy. Nie twierdzę, że mi ta droga odpowiada. Osobiście uważam, że atakowanie takiej lub innej rasy to niepoważna historia. Wiem doskonale, że są Żydzi podobni do Friedricha i inni Żydzi, podobni, dajmy na to, do mnie. Jeżeli jednak ład i porządek w Europie da się zaprowadzić dzięki wytępieniu Żydów, musimy Żydów wytępić. Mała niesprawiedliwość w imię wielkiej sprawiedliwości. Jednego przynajmniej „nazi” nauczyli Europę: cel uświęca środki. Oczywiście trudno się tego nauczyć, ale sądzę, że w rezultacie nawet Amerykanie skorzystają z lekcji.

– Potworne – wtrąciła Margaret.

Instruktor narciarski odwrócił się i ujął obie jej ręce. Mówił teraz żywo, gorąco, a twarz gorzała mu wewnętrznym ogniem.

– Kochana, dobra panienko! Snuję rozważania abstrakcyjne i dlatego właśnie moje gadanie brzmi potwornie. Proszę o wybaczenie, a w zamian mogę pani coś obiecać. Nigdy nie dojdzie do ostateczności. Niech pani uspokoi swojego przyjaciela. Przez parę lat będzie na pewno miał kłopoty. Może będzie musiał zaniechać praktyki, uciekać z domu. Ale odzyska dawną pozycję, wróci na swoje miejsce, kiedy nareszcie spełnią się nasze plany. Ucisk Żydów to, proszę pani, środek, nie cel. Jak załatwimy inne, ważniejsze sprawy, pani przyjacielowi nic nie będzie grozić. I jeszcze jedno: niech pani nie wierzy amerykańskiej prasie. Rok temu byłem w Niemczech. Zapewniam, że w dziennikarskiej fantazji wszystko wygląda znacznie gorzej niż na ulicach Berlina.

– Brzydę się – powiedziała dziewczyna. – Brzydę się tym, co pan mówi.

Christian spojrział jej w oczy, potem wzruszył ramionami i rozczarowany, pokonany odwrócił głowę. Znowu zapatrzył się na góry.

– Szkoda – westchnął. – Robiła pani wrażenie osoby inteligentnej, wyrozumiałej. Miałem nadzieję, że chociaż jedna Amerykanka przemówi za nami dobre słowo, kiedy wróci do kraju; że chociaż jedna Amerykanka coś niecoś dostrzeże... Cóż, spodziewałem się za wiele. – Wstał z ławki i z miłym, pogodnym uśmiechem na przystojnej szczupłej twarzy spojrział na Margaret. – Niech mi będzie wolno udzielić jednej rady. Proszę wracać do kraju, do Ameryki. Obawiam się, że dłuższy pobyt w Europie unieszczęśliwi panią. – Zmacał butem śnieg i podjął żywo zawodowym tonem; – Będzie dzisiaj skorupa lodowa. Jeżeli ma pani zamiar wybrać się z przyjacielem na narty, sam poprowadzę was zachodnim stokiem. Tam będzie najlepiej, ale bez przewodnika chodzić niebezpiecznie. Zechce pani skorzystać z moich usług.

– Bardzo dziękuje – dziewczyna wstała z ławki – ale chyba tu nie zostaniemy.

– Czy ten pan przyjedzie rannym pociągiem?

– Tak.

– Będzie więc musiał zostać przynajmniej do trzeciej po południu. Nie ma wcześniejszego pociągu – spojrział na Margaret spod krzaczastych, ciemnych brwi, spłówiających nieco od słońca. – Nie ma pani ochoty spędzić tutaj wakacji?

– Nie.

– Ze względu na ostatnią noc?

– Tak.

– Rozumiem. – Wyjął z kieszeni ołówek i kartkę, na której skreślił kilka słów. – Oto adres. Proszę z niego skorzystać w razie potrzeby. To tylko dwadzieścia mil stąd i pociąg o trzeciej po południu tam przystaje. Urocza, mała gospoda. Wyborne tereny narciarskie. Gospodarze bardzo mili, zupełnie apolityczni. – Uśmiechnął się smutno. – Nie takie obrzydliwe potwory jak my tutaj. Nie ma tam również Friedricha. Miło panią powitają i... i jej kochanka również.

Margaret wzięła kartkę i schowała do kieszeni. Pomyślała, że mimo wszystko Christian Diestl to bardzo dobry, przyzwoity człowiek.

– Dziękuję – powiedziała. – Zapewne tam pojedziemy.

– To dobrze. Życzę miłego pobytu. A później... – uśmiechnął się i wyciągnął rękę – później proszę wracać do kraju, do Ameryki.

Uścisnęła mu dłoń i odwróciwszy się na pięcie, ruszyła stokiem w kierunku miasteczka. U stóp wzgórza przystanąła i obejrzała się w górę. Christian Diestl rozpoczął już pierwszy kurs poranny. Przykucnął na nartach i ze śmiechem podnosił ze śniegu siedmioletnią dziewczynkę w czerwonej wełnianej czapeczce.

Joseph przyjechał roześmiany i szczęśliwy. Wycałował Margaret i wręczył jej pudełko ciastek troskliwie piastowane od samego Wiednia oraz jasnoblękitną czapkę narciarską, której czarowi nie zdołał się oprzeć.

– Kochana, najmiłsza, pomyślnego Nowego Roku! – zawołał i znów ją pocałował.
– Wielki Boże! Przejrzyj się w lusterku, dziewczyno! Spójrz na te piegi!

Był radosny, rozpromieniony. Mówił: „Kocham cię, kocham!” i „jesteś najpiękniejsza na świecie”, i „umieram z głodu! Dokąd idziemy na śniadanie?”. Oddychał głęboko, dumnym wzrokiem właściciela obejmował panoramę gór i znowu dużo mówił otaczając ramieniem kibić Margaret.

– Popatrz! Popatrz tylko! Nie opowiadaj, że w Ameryce macie coś podobnego!

Kiedy dziewczyna zaczęła płakać rozpaczliwie, cicho, Joseph spowaźniał, wziął ją w objęcia i scałowując łzy z oczu wypytywał łagodnie, troskliwie:

– Co ci? Co się stało, najdroższa?

W kącie małej stacyjki stanęli przytuleni do siebie, niewidoczni z pełnego ludzi peronu. Margaret zaczęła mówić cicho, powoli. Nie powiedziała o Friedrichu, lecz o śpiewach w czasie noworocznej zabawy i o hitlerowskich toastach, i o tym, że niech się co chce dzieje, nie mogą zostać tutaj ani jednego dnia dłużej.

Joseph z roztargnieniem pocałował ją w czoło i pogładził po twarzy. Stracił wesołą minę, z którą wysiadł z pociągu. Zgrubiały mu rysy twarzy, kości policzkowe zarysowały się ostro, oczy pociemniały i wpadły głęboko.

– Ach – westchnął – wszędzie, wszędzie! Nawet tutaj! W domu, na dworze, w wielkim mieście, na prowincji... wszędzie! – Smutno pokiwał głową i zaczął znowu mówić czułym, drgającym głosem:

– Margaret, dziecino,.. Radzę ci, uciekaj z Europy. Wracaj do kraju, do Ameryki.

– Nie! – zawołała, nim zdążyła pomyśleć. – Chcę zostać w Austrii. Chcę wyjść za ciebie i zostać w Austrii!

Potrząsnął głową. Na jego krótko przystrzyżonych siwiejących włosach połyskiwało kilka płatków na wpół stopionego śniegu.

– To ja muszę się wybrać do Ameryki – szepnął ze wzruszeniem. – Muszę zobaczyć kraj, który wydaje takie dziewczyny.

– Powiedziałam, że chcę wyjść za ciebie. – Margaret mocniej przywarła do niego.

– Później, najdroższa. Później będziemy o tym mówić – odparł tonem niezmierniej tkliwości.

Ale o małżeństwie nigdy już nie było między nimi mowy.

Ze stacji poszli do gospody Langermanów, gdzie czekało obfite śniadanie. Spokojnie siedzieli pod roziskrzonym, słonecznym oknem, a majestatyczna panorama Alp stanowiła wyborne tło dla szynki, jaj, przysmażonych kartofli, naleśników i wiedeńskiej kawy z kulami bitej śmietanki. Friedrich usługiwał do stołu uprzejmie i dyskretnie. Margaret podsuwał krzesło, gdy siadała, a na filiżankę Josepha zwracał baczną uwagę i napełniał ją zaraz, ilekroć była próżna.

Po śniadaniu Margaret spakowała się i oznajmiła pani Langerman, że wyjeżdża zaraz z towarzyszem. Gospodyni głośno mlasnęła językiem, westchnęła: „Jaka szkoda!”, i przedstawiła rachunek. Figurowała w nim zagadkowa pozycja w kwocie dziewięciu szylingów.

– Tego nie mogę przeczytać – powiedziała Margaret.

Stojąc w kantorze przed biurkiem z polerowanego dębu wskazała palcem pozycję wypisaną atramentem drobnymi, kształtnymi literkami. Pani Langerman – okrągła, nakrochmalona i wyszorowana starannie – schyliła głowę i podniosła kartkę do krótkowzrocznych oczu.

– Aha – bez wyrazu spojrzała w twarz dziewczyny. – To za rozdarte prześcieradło, *mein Liebchen*.

Margaret zapłaciła. Friedrich wyniósł walizy i dostał odpowiedni napiwek. Pomógł dziewczynie wsiąść do sanek, ukłonił się i powiedział:

– Spodziewam się, że dobrze pani było u nas.

Margaret i Joseph zostawili bagaż na stacji i czekając na odjazd spacerowali po głównej ulicy miasteczka. Oglądali wystawy sklepowe.

Kiedy pociąg ruszył, dziewczyna spostrzegła na końcu peronu sylwetkę ogorzałego, smukłego mężczyzny. Zdawało się jej, że to instruktor narciarski. Zamachała ręką, ale mężczyzna nie odpowiedział. Pomyślała, że byłoby to nawet w stylu Christiana przyjść na peron nie po to, by się z nią pożegnać, lecz by stojąc na uboczu przypatrzeć się, jak odjeżdża z Josephem.

Hotelik polecony przez Diestla był mały i przytulny. Gospodarze bardzo mili. Nocami padał śnieg i świeżym puchem pokrywał wczorajsze ślady na stokach. Margaret nie wiedziała dotychczas, że Joseph potrafi być tak wesoły i czarujący. Otoczona jego ramionami sypiała ciepło i spokojnie pod olbrzymią pierzyną, jak gdyby robioną z myślą o miodowych miesiącach w górach. Nie rozmawiali o poważnych sprawach i przez cały czas nie wrócili do kwestii małżeństwa. Dzień po dniu od świtu do zmierzchu słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie. Powietrze było rześkie, upajające jak wino i rozkosznie wypełniało płuca. Joseph miał piękny, aksamitny głos. Wiezorami śpiewał przed kominkiem pieśni Schuberta dla Margaret i innych gości hotelowych. Gospoda pachniała zawsze cynamonem. Obydwoje opalili się na brąz, a Margaret nigdy nie miała tyłu piegów. Czwartego dnia popłakując jechała z Josephem wiedeńskim pociągiem. Musieli wracać. Wakacje minęły.

Rozdział II

W Nowym Jorku witano również rok tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy, który wróżył wiele pięknych nadziei. Taksówki sunęły zderzak w zderzak wilgotnymi ulicami. Klaksony wyły i porykiwały groźnie, jak gdyby samochody były nowym rodzajem zwierząt ze szkła i blachy, zapędzonych w ciasne wąwozy z betonu i pociemniałego od szarug kamienia. W śródmieściu milion ludzi poruszał się bez celu tam i z powrotem. Zaplątani w sieć reklam świetlnych sprawiali wrażenie więźniów pochwyconych w chwili ucieczki w snop światła reflektorów, którymi wprawnie posługują się czujni dozorczy. Litery gazety świetlnej obiegały nerwowo gmach „Timesa”, a rozbawionym tłumom w dole donosiły, że na Zachodzie burza pochłonęła siedem istnień ludzkich, a Madryt bombardowano dwanaście razy na przełomie roku, który – bardzo dogodnie dla czytelników „Timesa” – rozpoczyna się w Hiszpanii o kilka godzin wcześniej niż w Ameryce.

Na rogach ulic policjanci silili się na sztuczną wesołość. Dawali noworoczne przedstawienie, ale cynicznym, znudzonym wzrokiem mierzyli trzody świętujących zwierząt, które pilotowali z północnej strony Times Square na południową, ze wschodniej na zachodnią lub odwrotnie. Dla policji Nowy Rok oznaczał jedynie więcej włamań, więcej zbrodni i awantur, więcej śmiertelnych wypadków w zamęcie ulicznego ruchu.

Świętujące zwierzęta jak potoki lawy sunęły chodnikami miażdżąc zwały papierowego śmiecia. Wraz z konfetti obrzucały się milionami bakterii zakażających wielkemiejskie ulice. Dęły w papierowe trąbki, aby obwieścić światu, że są szczęśliwe i nie boją się niczego. Ochryplymi głosami wymieniały życzenia z serdecznością tak wątłą, że nie miała doczekać rana. Ci ludzie przybyli niegdyś spod angielskich chmur i z zielonych mgieł Irlandii, z piaszczystych wzgórków Syrii lub Iraku, z nawiedzanego pogromami getta w Polsce czy Rosji, z winnic Italii, z norweskich fiordów, ze wszystkich wysp, miast i kontynentów na powierzchni globu. Następnie ściągali do śródmieścia Nowego Jorku z Bronksu i Brooklynu, z Saint Louis i Texarkany, z miasteczek zwanych Bimiji lub Jeffrey, lub Spirit. Wszyscy wyglądali tak, jak gdyby nie zaznali nigdy dosyć snu i słońca, jak gdyby mieli na sobie ubrania kupowane na kogoś innego, jak gdyby

rzucono ich w zimną betonową klatkę z powodu święta nie ich, lecz cudzego; jak gdyby rozumieli, że zima musi trwać wiecznie; jak gdyby wiedzieli, że mimo trąbek, konfetti i śmiechów, mimo hulanki i religijnego święta rok tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy będzie gorszy od minionego.

Złodzieje kieszonkowi, prostytutki, stręczycielki, sutenerzy, kierowcy taksówek, knajpiarze, hotelarze robili złote interesy, nie gorsze niż przedsiębiorcy teatralni, dostawcy szampana, żebracy i odźwierni nocnych klubów. Od czasu do czasu słychać było brzęk tłuczonego szkła. To butelka po whisky wyrzucona z hotelowego okna padała w ciasną studnię między murami, która zaopatrywała w światło, powietrze i widok na świat dwudolarowe pokoje (ta noc pięć dolarów), w których również dawano huczną odprawę staremu rokowi.

Przy Pięćdziesiątej Ulicy ktoś poderznął gardło dziewczynie i syrena sanitarki urozmaiciła na chwilę radosny koncert noworoczny. W spokojniejszych dzielnicach z uchylonych, żółto oświetlonych okien dobywał się niekiedy sopran kobiecego śmiechu – przejmujący, nerwowy chichot, melodia wielkomiejskich sobotnich lub świątecznych nocy, którą usłyszeć można tylko pod koniec zabawy, u progu chłodnych godzin tuż przed świtem.

Później, już w odległym styczniu, tłumy zejść pod ziemię, znikną w zatęchłym tłoku podmiejskiego metra. Podzielone na mniejsze stada, chwiejące się na nogach, półślepe, spokojne, zaspane, woniące kwiatami z koszyków na rogach ulic, czosnkiem, cebulą, pastą do obuwia, tanimi perfumami i potem ciężkiej pracy, będą umykać do swych obskurnych domostw. Teraz jednak falują po jasno oświetlonych ulicach, hałasują, bo mają trąbki, grzechotki i blaszane gwizdki, wytrwale, uparcie świętują, witają radośnie północ, gdyż nie mając lepszego powodu cieszą się, że przetrwały jakoś stary rok i żyją u progu nowego.

Michael Whitacre torował sobie drogę w ścisku. Mechanicznie, obłudnie uśmiechał się do potracających go ludzi. Był spóźniony, nie mógł złapać taksówki, a poprzednio nie zdołał się wykręcić i w jednej z garderób musiał wypić kilka kieliszków. Od pospiesznego picia kręciło mu się w głowie i nieznośnie piekło w żołądku.

W teatrze było okropnie. Hałaśliwa, rozbawiona widownia i adeptka w roli babki, bo Patricia Ferry tak się upiła, że nie można jej było pokazać. Michael wychodził z siebie,

żeby wszystko utrzymać jakoś w garści. Był reżyserem, a *Spóźniona wiosna* miała obsadę z trzydziestu siedmiu osób (w tym troje dzieci, co wciąż się przeziębiały) i aż pięć dekoracji, które należało zmieniać w ciągu dwudziestu sekund. Po takim wieczorze miał tylko ochotę wrócić do domu i wyspać się porządnie. Ale czekała go ta piekielna zabawa przy Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy, gdzie miała być Laura. No i w wigilię Nowego Roku nikt przecież nie idzie po prostu spać.

Szczęśliwie wydostał się z najgęstszego tłumu, wyszedł na Piątą Aleję i szybko ruszył ku północy. Panował tutaj mniejszy tłok, a z parku napływało czyste, ożywcze powietrze. Niebo nad drapaczami chmur było wystarczająco ciemne, by na wąskim jego pasku zobaczyć gwiazdy dziwnie małe i blade. Michael szedł szybko. Obcasy jego butów wystukiwały cichy werbel na chodniku.

„Muszę – myślał – koniecznie muszę postarać się o wiejski domek. Coś niedrogiego, blisko miasta. Sześć, powiedzmy, siedem tysięcy. Mógłbym chyba zaciągnąć pożyczkę? Mój Boże! Od czasu do czasu uciekać tam na kilka dni. Oglądać w nocy wszystkie gwiazdy. Kłaść się o ósmej, jeżeli przyjdzie mi ochota... Trzeba zdobyć się na to. Samo myślenie na pewno nie wystarczy”.

W słabo oświetlonym oknie wystawowym zobaczył swoją sylwetkę, zamgloną i niewyraźną. Jak zwykle zirytował się na widok własnego odbicia. Odruchowo wyprostował barki.

„Trzeba pamiętać, żeby się nie garbić – pomyślał. – No i za wszelką cenę muszę stracić piętnaście funtów. Wyglądam jak tłusty sklepikarz”.

Nie wsiadł do wolnej taksówki, która zatrzymała się przed nim na rogu jakiejś ulicy.

„Trzeba używać ruchu na świeżym powietrzu – myślał dalej. – No i nie pić, przynajmniej przez miesiąc nie pić. Tak, tak... wszystkiemu winien alkohol. Piwo, wino, coś mocniejszego. A z rana szum i pustka w głowie. Do południa człowiek jest jak szmata. A później obiad i zanim się obejrzyysz, znowu siedzisz przy stole ze szklanką w garści. Dziś początek nowego roku, najstosowniejsza chwila, by wziąć się w garść. Tak, tak... Należy zrobić próbę silnej woli. Właśnie dzisiaj, na tej piekielnej zabawie. Spokojnie, bez ostentacji. Po prostu nie pić. A w domu na wsi w ogóle nie będzie barku”.

Zrobiło mu się znacznie różniej. Był silny i zdecydowany, chociaż czuł, że frakowe spodnie opinają się za mocno, gdy pewnym krokiem mija wspaniałe wystawy sklepów i maszeruje w stronę Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy.

Kiedy wszedł do pełnego ludzi salonu, wybiła właśnie dwunasta. Goście śpiewali i wymieniali uściski, a dziewczyna, która upijała się na wszystkich przyjęciach, leżała w kącie nieprzytomna. W tłumie zobaczył swoją żonę zajęta całowaniem niskiego jegomościa, z daleka pachnącego Hollywoodem. Michael nie bardzo wiedział, co się dzieje. Ktoś wsunął mu w rękę szklanę, jakaś wysoka dziewczyna obsypała go sałatką jarzynową i powiedziała: „Wyśmienita sałatka!”. Później zaczęła otrząpywać klapę jego fraka wysmukłą, kształtną dłonią z karminowymi paznokciami długimi na półtora cala. Zbliżyła się Katherine niosąc przed sobą półobnażony biust, tak wydatny, że przy umiarkowanym wietrze mógłby poruszyć z miejsca fregatę. Pocałowała nowego gościa za uchem i zapytała:

– Co robisz dziś w nocy?

– Żona przyjechała wczoraj z wybrzeża – odpowiedział Whitacre.

– Oo, szkoda! Pomyślnego Nowego Roku! – zawołała Katherine i odeszła, by czarować biustem trzech studentów w białych krawatach, którzy interesowali się nią żywo, a do Nowego Jorku przyjechali na ferie z Harvardu.

Michael podniósł do ust szklanę. Wypił duszkiem połowę zawartości. Miał wrażenie, że to whisky zakropiona po trosze lemoniadą. Pomyślał, że wystarczy od jutra „wziąć się w garść”. Dzisiejsza noc i tak przepadła, bo w teatrze wypił przecież trzy kieliszki. Czekał cierpliwie, aż jego żona skończy całować niskiego jegomościa, łysego jak kolano, lecz ozdobionego sumiastym wąsem godnym rosyjskiego huzara.

Zręcznie przecisnął się w tłoku i stanął za plecami Laury. Trzymała właśnie rękę niskiego towarzysza i mówiła:

– Nie rozgadaj tego dalej, ale powiem ci, Harry, że ten scenariusz śmierdzi.

– Ależ, Lauro – odrzekł łysy wąsacz. – Znasz mnie chyba! Czy kiedy coś rozgadałem?

– Pomyślnego Nowego Roku, kochanie! – Michael cmoknął żonę w policzek.

Odwróciła się nie wypuszczając ręki łysego wąsacza. Twarz jej rozjaśnił uśmiech pełen tkliwości i radosnego, pełnego wdzięku powitania. Uśmiech ten wzruszał i dziwił Michaela, ilekroć się objawiał, nawet dzisiaj, podczas gwarnej pijackiej zabawy w zatłoczonym, dusznym salonie. Laura wyciągnęła wolną rękę i przygarnęła męża, żeby go pocałować. Ale zawahała się na moment i kiedy twarze ich były blisko siebie, Michael zauważył, że jego żona węższy podejrzliwie. Pośepnie zeszywniał i nie odczuł miłego ciepła nawet w czasie pocałunku.

„Zawsze to robi – pomyślał. – Nowy rok, stary rok, wszystko jedno!”.

Odsunął się i stanął wyprostowany.

– Przed wyjściem z teatru uperfumowałem się dwoma flakonami Chanel numer pięć.

Laura zmrużyła oczy urażona.

– Nie dokuczaj mi chociaż w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku – odrzekła. – Dlaczego się spóźniłeś?

– Wstąpiłem na jednego.

– Z kim? – Surowy, podejrzliwy wyraz zesześcił twarz pogodną zwykle i łagodną.

– Z kolegami. Nie znasz ich.

– Nie masz nic więcej na sumieniu? – zapytała beztroskim, swobodnym tonem, jakim zwykle żony przesłuchują mężów przy ludziach, i to w gronie przyjaciół.

– Mam. Zapomniałem ci powiedzieć. Było też z nami sześć polinezyjskich tancerek. Śliczne dziewczyny. Każda z nich miała orzech włoski wprawiony w pępek. Zostawiliśmy je u Storka.

– Jaki on dowcipny, prawda? – zwróciła się Laura do łysego wąsacza. – Strasznie dowcipny i zabawny.

– Zaczyna się wytwarzać familijny nastrój – odpowiedział zagadnięty. – W takich warunkach z zasady zwiewam. – Gestem ręki pożegnał Whitacre'ow. – Uroczą jesteś, droga Lauro.

Odwrócił się na pięcie i dał nura w tłum gości.

– Mam świetny pomysł! – zawołała Laura. – Tej nocy żaden mąż nie powinien dokuczać żonie.

Michael wypił do dna i odstawił szklanę.

– Co to za wąsacz? – zapytał.

– Kto? Harry?

– Ten, co go całowałaś.

– Harry. Znam go od lat. Bywa na wszystkich przyjęciach. Tutaj na wybrzeżu. – Starannie poprawiła ręką fryzurę. – Nie mam pojęcia, co robi. Może to agent policji? Zaczepił mnie dziś i powiedział, że w ostatnim filmie jestem zabójcą.

– Naprawdę powiedział „zabójca”?

– Aha.

– Czy tak się teraz mówi w Hollywood?

– Mniej więcej.

Uśmiechała się do męża, ale nerwowo strzelała oczami na wszystkie strony, co robiła zawsze i wszędzie z wyjątkiem ich własnego domu.

– A tobie jak się podobałam w ostatnim filmie? – podjęła.

– Byłaś zabójcą! No, napijmy się czegoś!

Laura przysunęła się, wzięła go pod rękę i ocierając policzek o jego ramię szeptała:

– Zadowolony jesteś, że przyjechałam?

– Zabójczo! – uśmiechnął się Michael.

Obydwoje zachichotali i krok w krok ruszyli w stronę baru torując sobie drogę w tłoku pośrodku salonu.

Bar mieścił się w sąsiednim pokoju, pod alegorycznym malowidłem przedstawiającym prawdopodobnie kobietę o trzech szkarłatnych piersiach, siedzącą okrakiem na równoległoboku.

Szpakowaty i dychawiczny Wallace Arney trzymał w ręku filiżankę. Obok niego stał barczysty, tęgi mężczyzna w granatowym garniturze; wyglądał tak, jak gdyby od dawna spędzał pod gołym niebem dni i noc. Dalej dwie młode dziewczyny piły czystą whisky. Miały płaskie ładne twarze bez wyrazu i godne modelek smukłe biodra, nie skrepowane pasem elastycznym.

Zbliżając się do bufetu Michael usłyszał głos jednej z nich:

– No i co? Wziął się do ciebie?

– Nie – odpowiedziała druga potrząsając długimi jasnymi lokami.

– Dlaczego?

– Na jakiś czas został jogą.

Obydwie spojrzały poważnie na swoje szklanki. Potem wypily do dna i wyszły z pokoju giętkie i majestatyczne jak pantery w dżungli.

– Słyszałaś? – spytał Michael.

– Tak – roześmiała się Laura.

Poprosił barmana o dwie duże whisky i uśmiechnął się do Arneya, autora *Spóźnionej wiosny*. Ten patrzył nadal prosto przed siebie i nie odzywał się słowem. Od czasu do czasu podnosił do ust filiżankę eleganckim ruchem rozdygotanej ręki.

– I rozumie pan, wstał – kończył jakieś opowiadanie mężczyzna w granatowym garniturze. – Dźwignął się jakoś na nogi. Słowo daję, sędzia powinien przerwać to bezmyślne bicie.

Arney rozejrzał się dokoła, uśmiechnął się niepewnie i popchnął w stronę barmana filiżankę na spodku.

– Proszę o herbatę – mruknął.

Barman nalał irlandzkiej whisky, a dramaturg jeszcze raz zerknął w prawo i w lewo, zanim odważył się sięgnąć po filiżankę.

– Oo, Whitacre – powiedział. – I pani Whitacre... Nie powiesz Felice, prawda?

– Nie, Wallace – odrzekł Michael. – Na pewno nie powiem.

– Chwała Bogu, Felice dostała sraczki – podjął dramaturg. – Od godziny siedzi w ubikacji. Widzisz, ona nie daje mi nawet piwa – mówił ochrypłym, pijackim głosem, tonem głębokiego współczucia dla samego siebie. – Nawet piwa! Wyobrażasz sobie podobną sytuację? Dlatego właśnie noszę wszędzie filiżankę. Z odległości trzech stóp nikt nie pozna. – Nagle nabrał animuszu, pociągnął duży łyk i zawołał gwałtownie: – Jestem dorosły! A ona chce koniecznie, żebym napisał drugą sztukę. Uważa, że jako żona impresaria, który mnie lansuje, ma prawo odbierać mi kieliszek i rzucać na podłogę. To poniżające! Człowieka w moim wieku nie wolno tak traktować.

– Spojrzał na mężczyznę w granatowym garniturze. – Tu obecny pan Parrish pije jak smok i nikt go nie poniża. Ładna historia! Wszyscy dokoła podziwiają, że Felice tak dba o pijanicę Wallace'a Arneya. Mówią: „Jakie to wzruszające!”. Ja tam nie wzruszam się wcale. Pan Parrish i ja wiemy, dlaczego o mnie dba. Prawda, panie Parrish?

– Ma się rozumieć, stary – przyznał mężczyzna w granatowym garniturze.

– Względy ekonomiczne. Jak zawsze i wszędzie. – Arney machnął filiżanką i wylał whisky na rękaw Whitacre'a. – Pan Parrish jest komunistą. Zna się na rzeczy. Ekonomia. Podstawa wszelkich ludzkich poczynań. Chciwość. Brudna chciwość bez osłonek. Gdyby nie spodziewali się, że wycisną ze mnie drugą sztukę, nie obchodziłbym ich wcale. Bardzo proszę! Mógłbym zamieszkać w gorzelni. Mógłbym kąpać się w koniaku i absyncie, a oni mówiliby: „Całuj nas w dupę, Wallace Arney...”. Oo... Stokrotnie przepraszam, pani Whitacre.

– Nie szkodzi – uśmiechnęła się Laura.

– Twoja pani to piękność – ciągnął Arney. – Prawdziwa piękność. Na własne uszy słyszałem, jak różni ludzie wyrażali się dziś o niej z uznaniem. – Przymrużył oko i spojrzał na Michaela z domyślną miną. – Z najwyższym uznaniem. Wśród zgromadzonych tu gości twoja żona ma kilku starych przyjaciół. Nieprawdaż, pani Whitacre?

– Tak – przyznała Laura.

– Wśród zgromadzonych tu gości każdy ma kilku starych przyjaciół. Tak już organizuje się teraz zabawy i przyjęcia. Nowoczesne towarzystwo. Zimujące gniazdo węzów. Wszyscy okręcają się dokoła wszystkich. Ha! Może to będzie temat mojej następnej sztuki? Tylko że nigdy jej nie napiszę. – Pociągnął długi łyk. – Cudowna herbatka! Nie mówcie nic Felice!

Michael ujął żonę pod rękę. Postąpił krok w stronę drzwi.

– Nie odchodź, Whitacre! – zawołał dramaturg. – Wiem, że cię nudzę, ale nie odchodź. Muszę z tobą pogadać. O czym chcesz gadać? O sztuce?

– Może innym razem – powiedział Michael.

– Rozumiem. Wiem, że z ciebie młody człowiek strasznie serio – ciągnął Arney z pijackim uporem. – Ale pogadajmy o sztuce. Jak tam dzisiejsze przedstawienie?

– W porządku – odburknął Whitacre.

– Nie, nie! Nie chcę gadać o mojej sztuce. Powiedziałem sztuka przez duże „S”. Dobrze wiem, jakiego jesteś zdania o mojej sztuce. Cały Nowy Jork wie, co o niej myślisz. Lubisz mleć ozorem, strzelać na chybił trafił. Do stu diabłów! Gdyby to ode mnie zależało, wyrzuciłbym cię na zbity pysk. Teraz jestem twoim przyjacielem, ale i tak wyrzuciłbym cię na zbity pysk.

– Upiłeś się, Wallace – powiedział Michael.

– Jak na twój gust, jestem za mało głęboki. Bodaj to lichy! Dożyj moich lat, Whitacre, i wtedy spróbuj być głęboki.

Arney bełkotał. Z bladoniebieskich oczu ciekły mu łzy. Wydatna, zaśliniona dolna warga drżała żałością.

– Jestem pewna – wtrąciła Laura spokojnym, pojednawczym tonem – że pańska sztuka bardzo odpowiada Michaelowi.

– Śliczna z pani kobietka, pani Whitacre – obruszył się dramaturg – i ma pani mnóstwo przyjaciół. Ale na razie proszę zamknąć buzię na kłódkę.

– Może poszedłbyś gdzieś i zdrzemnął się trochę – zaproponował Whitacre.

Arney zmierzył go mglistym, lecz wojowniczym wzrokiem.

– Lepiej trzymajmy się jednego tematu! – krzyknął. – Dobrze wiem, co opowiadasz w rozmaitych towarzystwach: „Arney to stary osioł. Człowiek skończony. Píše w stylu tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego roku o ludziach, którzy zniknęli z powierzchni ziemi w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym”. To nawet nie jest zabawne. Mam dosyć krytyków. Co? Chcesz, żebym za krytykę płacił z własnej kieszeni? Słuchaj, Whitacre! Nie lubię pewnych siebie smarkaczy jak ty. Chociaż me jesteś taki młody, żeby nazywać cię smarkaczem... I to racja.

– Poczekaj, stary – spróbował się wtrącić mężczyzna w granatowym garniturze.

– Co? – przerwał mu Arney. – Ty z nim lepiej pogadaj. Rozumiesz, Parrish? To także komunista. Dlatego właśnie ja jestem dla niego za płytki. Ha! Nietrudno dziś być głębokim! Trzeba tylko bulić piętnaście centów tygodniowo za „New Masses”. – Czule objął ramieniem mężczyznę w granatowym garniturze. – Słyszysz, Whitacre? Takich komunistów jak on to ja lubię. Pan Parrish. Pan Parrish z czarną gębą. Opalił się tak w

słonecznej Hiszpanii. Pojechał do Hiszpanii i dostał kulkę w Madrycie. A teraz wróci do Hiszpanii i pozwoli zastrzelić się na dobre. Nieprawda, panie Parrish?

– Ma się rozumieć, stary.

– Takich komunistów jak on to lubię – powtórzył głośno Arney. – Pan Parrish przyjechał do nas, żeby zdobyć trochę gotówki i ochotników, którzy będą mu towarzyszyć i także pozwolą się zastrzelić w słonecznej Hiszpanii. Słyszysz, Whitacre? Potrafisz być cholernie głęboki na rozmaitych zebrankach w Nowym Jorku. A może byś tak spróbował pojechać do Hiszpanii i tam pokazać panu Parrishowi, jaki jesteś głęboki?

– Jeżeli się nie odczepisz... – zaczął Michael.

W tej chwili stanęła obok niego wysoka siwowłosa dama o dostojnej, surowej minie. Spokojnie, bez słowa wytrąciła z ręki Arneya filiżankę, która z brzękiem upadła na podłogę i rozsypała się setką porcelanowych okruchów. Dramaturg zmierzył nowo przybyłą złym spojrzeniem. Później uśmiechnął się głupkowato, spuścił głowę i zaczął oglądać własne trzewiki.

– Jak się masz, Felice – mruknął. – Dobry wieczór.

– Wynoś się z baru! – syknęła Felice.

– Piłem herbatkę... Nawet lekką...

Odwrócił się pokornie i podreptał w stronę drzwi. Był stary, otyły. Rzadkie siwiejące włosy oblepiały mu mokrą od potu dużą głowę.

– Pan Arney nic nie pije – rzuciła Felice barmanowi.

– Słucham, proszę pani – brzmiała odpowiedź.

– Mój Boże! – zwróciła się dama do Michaela. – Chętnie bym go zabiła. Czuję, że przez niego oszaleję. A w gruncie rzeczy to taki zacny człowiek.

– I czarujący – uzupełnił Whitacre.

– Bardzo był nieznośny? – zapytała tonem obawy.

– Nie. Czarujący.

– Nikt go już nigdzie nie prosi – podjęła Felice. – Ludzie zaczynają go unikać i...

– Nie rozumiem, doprawdy, czemu – przerwał Michael.

– Ach! W ogóle prowadzi okropne życie – skarżyła się dalej Felice. – Całe dni przesiaduje w swoim pokoju, rozmyśla i każdemu, kto chce słuchać, powtarza, że jest człowiekiem skończonym. Zdawało mi się, że dobrze mu zrobi to przyjęcie. Myślałam, że bez przerwy będę go mieć na oku. – Wzruszyła ramionami i spojrzała na niknące w drzwiach zgarbione plecy Arneya. – Niektórym ludziom powinno się obcinać ręce, kiedy sięgają po pierwszy kieliszek.

Staroświeckim, dworskim gestem zebrała spódnicę i szeleszcząc taftą podążyła za swym protegowanym.

– Jestem zdania, że wytrzymam jeszcze jednego – odezwał się Michael.

– Ja także – dodała Laura.

– Ma się rozumieć – powiedział człowiek w granatowym garniturze.

W milczeniu stanęli przed ladą. Przyglądali się, jak barman napełnia ich szklanki.

– Nadużywanie alkoholu – przemówił Parrish namaszczonego, kaznodziejskim tonem – to jedna z cech wynoszących człowieka ponad zwierzęta.

Roześmiali się wszyscy. Whitacre podniósł szklankę i trącił się z nowym znajomym.

– Za Madryt – rzucił Parrish mimochodem, jak gdyby mówił coś najzwyczajszego w świecie.

– Za Madryt – powtórzyła Laura zdyszczanym, gorącym szeptem.

Michael zawahał się. Jakże często czuł to dziwne skrępowanie! Ale i on dodał swoje:

– Za Madryt!

Wypili duszkiem. Parrish podsunął szklankę barmanowi.

– Od jak dawna jest pan w Nowym Jorku? – zapytał Whitacre, chociaż nie w smak mu była rozmowa o tak dziwacznych sprawach.

– Od czterech dni – odparł Parrish podnosząc szklankę do ust. – Dobre macie trunki w Ameryce – dodał z uśmiechem.

Pił systematycznie, odświeżając zapas co pięć minut. Po każdym kieliszku czerwieniał trochę mocniej. Poza tym alkohol nań nie działał.

– A kiedy wyjechał pan z Hiszpanii? – podjął Michael.

– Dwa tygodnie temu.

Dwa tygodnie! Whitacre wyobraził sobie gołoledź na drogach, zimne lufy karabinów, tandetne mundury, samoloty nad głowami i świeżo zasypane groby. Dziś ten jegomość stoi o dwa kroki od niego, wystrojony w granatowy garnitur niczym kierowca ciężarówki na własne wesele. Stoi przed bufetem i grzechocze kostkami lodu w szklance. Goście rozmawiają dokoła o filmach ostatnio przez nich wyprodukowanych, o sprzecznych zdaniach krytyki, o opinii znanego pediatry na temat brzydkiego zwyczaju niemowlęcia, co sypia zawsze z piąstkami przy oczach. Młodzieniec z gitarą śpiewa w kąciku ballady niby to z romantycznego Południa, a wszystko dzieje się na jedenastym piętrze przyzwoitego, me zwracającego uwagi domu, w luksusowym, grubo wysłanym dywanami apartamencie z pięknym widokiem na park i z wymalowaną nad bufetem purpurową dziewczyną o trzech piersiach. Niedługo ten facet zejdzie do doków nad rzeką, dobrze nawet widoczną z wysokich okien, załaduje się na okręt i odpłynie z powrotem. Zwyczajny, dobroduszny, grubo ciosany człowiek... Wcale po nim nie widać, jak wiele ma za sobą i co go jeszcze może czekać.

„Rasa ludzka jest do szaleństwa giętka i odporna” – pomyślał Whitacre. Parrish był dużo starszy od niego i niewątpliwie miał za sobą dużo cięższe życie. A przecież pojechał do Hiszpanii. Wytrzymał jakoś długie marsze i grozę krwawych bitew. Zabijał i narażał się na śmierć. Obecnie wraca, by jeszcze raz powtórzyć to samo. Michael potrząsnął głową. Na chwilę odczuł pogardę dla samego siebie, bo przykro mu się zrobiło, że na przyjęcie trafił człowiek o czerwonej twarzy i szorstkich rękach, uprzejmy, nienatrętny policjant jego sumienia.

– Najważniejsze sprawy – mówił Parrish do Laury – to forsa i nacisk polityczny. Nie brak chłopaków skorych do wojaczki. Moglibyśmy mieć, ile dusza zapragnie, ochotników. Ale rząd angielski zamroził w Londynie całe republikańskie złoto, no i Waszyngton faktycznie pomaga Franco. Musimy przemycać naszych ludzi, co naturalnie podnosi koszty transportu. Rozumie pani – łapówki i takie różne rzeczy. A więc jednego dnia, kiedy staliśmy na pozycjach niedaleko uniwersytetu, a było tak zimno, że, jak Boga kocham, wieloryb na śmierć by zamarzał, przychodzi do mnie jeden ważny towarzysz i tak powiada: „Parrish, mój stary, marnujesz tu amunicję, a jeszcze nikt nie widział, żebyś

trafił jakiego drania. Mamy dla ciebie inną robotę. Jesteś wygadany cwaniak i łąć potrafisz. Wal do Stanów i opowiadaj wzruszające, pikantne bujdy o bohaterach nieśmiertelnej Brygady Międzynarodowej, co to w pierwszej linii stawiają się faszyzmowi. Jedź, bracie, i wracaj z pełnymi kieszeniami". No i widzi pani, występuję na różnych zgromadzeniach, puszczam wodze fantazji. Gadam co ślina na język przyniesie, i zanim się obejrzę, ludzie mdleją z wrażenia i rozwiązują kabzy. Forsa pcha się sama! No, a dziewczyny! Zdaje się, że nareszcie znalazłem swoją rolę w walce o wolność. – Uśmiechnął się, aż zabłysły olśniewająco równe sztuczne zęby i popchnął szklanę w stronę barmana. – Chcecie państwo posłuchać krwawych opowieści o strasznej wojnie w skatowanej Hiszpanii?

– Dziękuję – powiedział Michael. – Po pańskim wstępie...

– Prawda nie dla takich – rzucił człowiek w granatowym garniturze. Wytrzeźwiał nagle, spowaźniał. Odwrócił się i zmierzył wzrokiem zatłoczony salon. Po raz pierwszy Michael dostrzegł w surowych, złych oczach daleki odblask niedawnych przeżyć tego jegomościa.

– Widzisz pan – ciągnął Parrish – trudno o wszystkim gadać. Stare wygi zmykają jak zające. Jakiś chłopaczek, co przejechał pięć tysięcy mil, czuje nagle, że umiera – on sam, zaraz, tu, na miejscu, z kulą we własnym brzuszku. Francuzi zamykają granicę i za łapówki pozwalają ludziskom leżeć przez Pireneje na okrwawionych nogach w środku zimy. Wszędzie kombinatory, wydrwigrosze, szachraje. W dokach, w biurach paszportowych, w batalionie, w kompanii, ba! w pierwszej linii, ramię w ramię z tobą. Dobrze wychowany paniczek widzi, że dostało się jego kumplowi i mówi nagle: „Przepraszam. Omyłka. Z Dortmund zabawa wygląda całkiem inaczej”.

Mała, pulchna czterdziestoletnia kobieta w różowej sukni stosownej dla podlotka podeszła do bufetu i dotknęła ramienia pani Whitacre.

– Lauro najdroższa – zaszczębiotała. – Szukam cię wszędzie. Twoja kolejka.

– Ach! – Laura zwróciła się do pulchnej kobietki. – Strasznie przepraszam, że kazałam ci czekać, ale pan Parrish był taki interesujący.

Michael skrzywił się lekko, kiedy Laura powiedziała: „Interesujący”. Parrish uśmiechnął się do dam i nie wyróżniając żadnej objął obydwie pożądlwym wzrokiem.

– Wrócę za parę minut – oznajmiła Laura mężowi. – Cynthia wróży przyjaciółkom. Może i mnie powie coś ciekawego.

– Proszę uważać – zawołał głośno Parrish – czy w pani przyszłe losy nie zapłacze się czterdziestoletni Irlandczyk ze sztucznymi zębami!

– Nie omieszkam zapytać – roześmiała się Laura i odeszła pod rękę z wróżką.

Wyprostowana, zręczna, wędrowała przez salon lekkim, posuwistym krokiem. Mąż odprowadził ją spojrzeniem i zauważył, że jeszcze dwóch mężczyzn nie odrywało od Laury wzroku: Donald Wade, przystojny wysoki światowiec, i niejaki Talbot. Jednego i drugiego pani Whitacre nazywała żartobliwie: „Mój były adorator”. Nie wiedzieć czemu, obydwóch zapraszano zawsze do domów, gdzie bywali Whitacre'owie. „Mój były adorator”. Ten epitet często i niemile drażnił Michaela. W istocie oznaczał niewątpliwie, że Laura miała romans z „byłym adoratorem” i życzy sobie, aby mąż wierzył, że ów romans należy do przeszłości. Michael zirytował się nagle swą skomplikowaną sytuacją małżeńską, lecz po namyśle doszedł do rozumnego wniosku, że i tak na razie nic na to nie poradzi. W tej chwili usłyszał głos nowego znajomego:

– Ach, te Amerykanki! Chłop wytrzeszcza tylko gały i siedzi jak na szydle.

Parrish pokiwał z uznaniem siwiejącą głową, a zrobił to tak pociesznie, że Whitacre nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Wypijemy? – zapytał.

– Ma się rozumieć.

Podsunęli szklanki barmanowi.

– Kiedy pan wraca? – zagadnął Michael.

Człowiek w granatowym garniturze rozejrzał się niespokojnie. Na jego pospolitą, szczerą twarz wypełził tajemniczy wyraz.

– Trudno powiedzieć, mój stary – szepnął. – Sam nie wiem. Departament Stanu... Rozumiesz? Wszędzie kręcą się faszystowscy szpicle. Formalnie straciłem amerykańskie obywatelstwo, bo zaciągnąłem się pod obce sztandary. Zachowaj to dla siebie... Myślę, że za miesiąc, może sześć tygodni...

– Sam odpłyniesz do Hiszpanii?

– Skąd znowu! Zabiorę niezgorszą paczkę – uśmiechnął się pogodnie. – Brygada Międzynarodowa to młode przedsiębiorstwo, otwarte dla wielu wspólników.

Zmierzył sąsiada taksującym wzrokiem, a Michael odczuł, że Irlandczyk zadaje sobie w duchu pytanie, co robi tutaj, w luksusowym apartamencie, ten facet wystrojony we frak? Dlaczego spędza noc noworoczną przy bufecie, zamiast przy karabinie maszynowym?

– Mnie masz na oku? – spytał Michael.

– Nie. – Parrish pogłodził się po brodzie.

– Ale pieniądze ode mnie weźmiesz?

– Pieniądze wezmę nawet ze świętej ręki papieża Piusa.

Whitacre wyciągnął portfel. Odebrał właśnie tygodniówkę i coś niecoś zostało mu ze świątecznej premii. Wręczył zwitek banknotów Parrishowi. Było tego siedemdziesiąt pięć dolarów.

– Zostaw na taksówkę, mój stary. – Irlandczyk niedbale wsunął pieniądze do kieszeni marynarki i poklepał sąsiada po ramieniu. – Na twój rachunek zatłuczemy ze dwóch drani.

– Dziękuję. – Michael schował portfel. – Zostajesz w barze? – Nie miał ochoty na dalszą rozmowę.

– A jest na miejscu przyzwoity burdel?

– Nie ma.

– No, to zostanę tutaj.

– Zobaczymy się później. Teraz idę trochę w kurs.

– Dobry pomysł. – Parrish uklonił się sztywno. – Dziękuję za forszę.

– Nie ma za co.

– Bywaj, stary!

Irlandczyk odwrócił się twarzą do bufetu. Jego szerokie granatowe plecy wyglądały jak potężna rafa wśród piany nagich ramion i jedwabnych klap fraków.

Michael zbliżał się powoli do grupki kilku osób w kącie salonu. Już z daleka spostrzegł, że Louise patrzy na niego i uśmiecha się kusząco. Laura nazwałaby ją

zapewne „byłą flamą” swojego męża, lecz w tym przypadku nie miałyby racji, gdyż romans nie należał do przeszłości. Louise zdążyła wyjść za mąż, podobnie jak Michael ożenić się, ale od czasu do czasu na krótszy lub dłuższy okres bywali czułymi kochankami. Whitacre zdawał sobie sprawę z moralnej odpowiedzialności, która może go kiedyś obciążyć, ale Louise, jedna z najładniejszych kobiet w Nowym Jorku – drobna, czarniawa, inteligentna, żywa i mało wymagająca – była mu pod pewnymi względami bliższa i droższa niż żona. Czasami w zimowe popołudnia, kiedy leżeli obok siebie w wynajętym pokoju, Louise spoglądała w sufit i mówiła z westchnieniem: „Dobrze nam razem, cudownie. Szkoda, że kiedyś trzeba będzie dać za wygraną”. Ale żadne z nich nie traktowało poważnie takiej ewentualności.

Donald Wade stał koło Louise. Na sekundę zmroziła Michaela myśli o zdumiewającej płataninie życia. Pozbył się jednak przykrego uczucia, kiedy pocałował kochankę, i rzucił:

– Pomyślnego Nowego Roku! :

Donaldowi serdecznie uściśnął rękę, lecz zdziwił się, jak zwykle w podobnych sytuacjach, czemu każdy mąż uważa za obowiązek okazywanie szczególnych względów byłym kochankom żony.

– Jak się masz? – powiedziała Louise. – Dawno cię nie widziałam. Śliczny frak. Bardzo ci w nim do twarzy. A gdzie twoja pani?

– U wróżki – uśmiechnął się Whitacre. – Przeszłość ma stosunkowo pomyślną, więc martwi się o przyszłość. Gdzie twój mąż?

– Nie wiem. – Bezradnie rozłożyła ręce i spojrzała na Michaela z dyskretnym, poważnym uśmiechem, który rezerwowała dla niego. – Gdzieś w pobliżu.

Wade uklonił się sztywno i odszedł. Louise spojrzała za nim.

– Czy Donald nie asystował Laurze w swoim czasie?

– Nie bądź kumoszką!

– Po prostu chciałam się dowiedzieć.

– Salon roi się od facetów, którzy w swoim czasie asystowali Laurze.

Z posępną miną zrobił przegląd gości. Wade, Talbot... O, właśnie wchodzi jeszcze jeden: chudy aktor Moran, partner Laury w jednym z filmów. Ich nazwiska wypełniały

całe kolumny plotkarskich gazet z Hollywood; a pewnego dnia Laura przyjechała o świcie do Nowego Jorku chcąc uspokoić męża, że to było tylko oficjalne przyjęcie w studio itd., itp.

– Salon – powiedziała Louise zerkając spod oka na kochanka – roi się od facetek, którym asystowałeś w swoim czasie. Chociaż „w swoim czasie” może jest tutaj nie na miejscu.

– Przyjęcia robią się coraz niemożliwsze – westchnął Whitacre. – Okropny tłok. Od dziś nigdzie nie będę chodził. Nie znajdzie się tu zaciszne miejsce, gdzie moglibyśmy pogawędzić spokojnie?

– Cóż, poszukamy.

Louise ujęła kochanka pod rękę i przez pełen gości hol poprowadziła w głąb mieszkania. W korytarzu uchyliła drzwi i zajrzała do ciemnego pokoju. Przywołała towarzysza ruchem ręki. Weszli na palcach, ostrożnie zamknęli za sobą drzwi i usiedli na małej sofce. Po wyjściu z jasno oświetlonych salonów Whitacre w pierwszej chwili nic nie widział. Z rozkoszą przymknął oczy. Czuł, że Louise przytula się, pochyla i całuje go w policzek.

– Teraz lepiej? – zapytała.

Nagle coś zaskrzypiało pod przeciwległą ścianą, a że Michael przywykł do półmroku, zobaczył postać ludzką, która ciężko dźwiga się z jednego z bliźniaczych łóżek i szuka czegoś na nocnej szafce. Filiżanka szczęknęła o spodek i znalazła się w ręku tajemniczej postaci, ta zaś podniosła ją do ust i zaczęła pić.

– Poniżenie...

Ten jeden wyraz rozdzielił dwa długie łyki. Michael poznał pijanego dramaturga. Arney siedział z nogami zwieszonymi między łóżka. Chwiał się, tracił równowagę, raz po raz spoglądał na sąsiednie posłanie.

– Tommy! – odezwał się wreszcie. – Tommy, nie śpisz?

– Nie, panie Arney – odpowiedział zaspany głos dziesięcioletniego synka Johnsonów, w którym domu odbywała się zabawa.

– Tommy! Pomyślnego Nowego Roku!

– Pomyślnego Nowego Roku, panie Arney.

– Nie przejmuj się mną, Tommy. Po prostu obmierzło mi towarzystwo dorosłych i zajrzałem tutaj, żeby złożyć życzenia młodej generacji.

– Dziękuję, panie Arney. Bardzo dziękuję.

– Tommy... .

– Słucham, panie Arney.

Chłopiec rozbudził się na dobre i reagował żywiej. Michael czuł, że Louise z trudem tłumi śmiech. Sam bawił się nieźle, a zarazem był zły, że wpadli w pułapkę i w ciemnościach muszą siedzieć bez słowa.

– Tommy – powiedział Arney – może ci coś opowiedzieć?

– Bardzo proszę, panie Arney.

– Zaraz... zaraz... Niech no pomyślę. – Pociągnął znów łyk i głośno postawił filiżankę na spodku. – Zaraz... zaraz... Nie znam żadnej powiastki odpowiedniej dla dzieci...

– Ja lubię różne powiastki! – zawołał Tommy. – W zeszłym tygodniu czytałem nawet *Człowieka-widmo*.

– Niech i tak będzie – zgodził się łaskawie pijak. – Opowiem ci, Tommy, coś nieodpowiedniego dla dzieci. Historię mojego życia.

– Dostał pan kiedy po głowie kolbę pistoletu kaliber 0,45? – zapytał ciekawie chłopiec.

– Nie sufleruj, Tommy – zirytował się dramaturg. – Jeżeli nawet dostałem po głowie kolbę pistoletu kaliber 0,45, wyjdzie to na jaw we właściwym czasie.

– Bardzo przepraszam, panie Arney – powiedział chłopiec układnie, lecz tonem urazy.

– Do dwudziestego ósmego roku życia – rozpoczął Arney – byłem obiecującym młodzieńcem...

Whitacre poruszył się nerwowo. Wstydział się podsłuchiwać w tak idiotyczny sposób. Ale Louise ostrzegawczo ścisnęła go za rękę, uspokoił się więc i siedział bez słowa.

– Jak to mówią w starych powieściach, kształciłem się w renomowanych szkołach. Pracowałem ciężko i łatwo wkuwałem cytaty ze wszystkich poetów angielskich. Napijesz się, Tommy?

– Nie, dziękuję.

Chłopiec oprzytomniał zupełnie. Siedział na łóżku sztywno, jak urzeczony.

– Chyba jesteś za młody, Tommy, żeby pamiętać recenzje z mojej pierwszej sztuki: Długi i krótki. Ile masz lat, Tommy?

– Dziesięć.

– Za młody.

Znów filiżanka szcęknęła o spodek.

– Umieję niektóre na pamięć, ale pewnie by cię to znudziło. Cóż, mogę powiedzieć bez samochwalstwa, że porównywano mnie w recenzjach do Strindberga i O'Neilla. Słyszałeś kiedy, Tommy, o Strindbergu i O'Neillu?

– Nie, panie Arney.

– Do diabła! Czego dziś uczą dzieci w szkołach? – oburzył się Arney.

Jeszcze raz pociągnął z filiżanki i ułagodzony nieco mówił dalej mniej gniewnym i surowym tonem:

– Historia mojego życia, Tommy. Otrzymywałem zaproszenia do wszystkich najlepszych domów. Płaciłem czekami w czterech potajemnych knajpach, najdroższych w całym Nowym Jorku. Wiele razy oglądałem własną podobiznę w gazetach. Wygłaszałem mowy do rozmaitych komitetów i artystycznych organizacji. Przestałem gadać ze wszystkimi starymi znajomkami, co było znaczną ulgą. Pojechałem do Hollywood i przez długi czas zarabiałem po trzy i pół tysiąca tygodniowo. Rozumiesz, Tommy? Przed wprowadzeniem podatku dochodowego! Zakochałem się w butelce i poślubiłem wielką damę, która miała willę w Antibes, we Francji, a na dokładkę browar w Milwaukee. W tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku zdradziłem żonę z jej najlepszą przyjaciółką i popełniłem poważny błąd, bo babsko było kościste niczym dorożkarska szkapa...

Znowu rozległo się donośne chleptanie z filiżanki. Michael zdawał sobie sprawę, iż teraz może tylko siedzieć cicho w ciemności i mieć nadzieję, że go Arney nie odkryje. Niebawem pijak podjął opowieść cichym, melodyjnym, pełnym żalu głosem:

– Ludzie powiadają, Tommy, że zaprzepąściłem talent w Hollywood. Dużo w tym racji, Tommy, bo jeżeli człowiek ma talent do zaprzepaszczenia, to najłatwiej go zaprzepąścić w tym diabelskim mieście. Ale ja nie wierzę ludziom. Zupełnie im nie wierzę, Tommy. Jestem człowiek skończony i wszyscy stronią ode mnie. Nie chodzę do lekarzy, bo wiem, co powiedzą: że na pewno umrę za pół roku. Moja najnowsza sztuka nie wejdzie na scenę w żadnym stanie o jako tako przyzwoitym rządzie. Ale to wszystko nie z winy Hollywood. Jestem słaby, inteligentny facet, a żyjemy, Tommy, w epoce niestosownej dla słabych, inteligentnych facetów. Posłuchaj dobrej rady, Tommy. Wyrośnij na głupca. Na silnego głupca!

Ciężko dźwignął się z łóżka. Jego chwiejna sylwetka zamajaczyła mglisto na szarym tle okna.

– Tylko nie myśl przypadkiem, że skarżę się czy biadam – podjął głośno zaczepnym tonem. – Jestem stary moczymorda i byle kto drwi ze mnie. Zawiodłem wszystkich, z którymi los mnie zetknął. Ale nie skarżę się, nie biadam. Gdybym miał zacząć życie od początku, urządziłbym je, Tommy, tak jak za pierwszym razem.

Machnął rękami. Filiżanka ze spodkiem zleciała na dywan i rozbiła się z trzaskiem. Arney nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

– Tylko jedno, Tommy – podjął z namaszczeniem – tylko jedno urządziłbym inaczej. Uważaj teraz, Tommy! Gdybym... Nie, Tommy! Jesteś za młody.

Odwrócił się i majestatycznie ruszył w stronę drzwi. Spodek zachręścił mu pod nogami. Tommy leżał bez ruchu. Dramaturg minął Louise i Michaela, otworzył drzwi i w smudze światła zobaczył siedzącą na sofie parę. Uśmiechnął się anielsko.

– Whitacre – powiedział. – Whitacre, kochany chłopie, czy nie zechciałbyś wyświadczyć łaski zgrzybiałemu starcowi? Proszę cię, pójdź do kuchni, znajdź filiżankę ze spodkiem i przynieś tutaj. Jakiś skurwysyn wytłukł mi całą porcelanę.

– Bardzo chętnie – zgodził się Michael.

Wstał z sofy jednocześnie z Louise, a kiedy wychodził z sypialni, rzucił przez ramię:

– Tommy, czas spać.

– Tak, proszę pana – odpowiedział chłopiec sennie, lecz z żalem.

Whitacre westchnął, cicho zamknął drzwi i ruszył na poszukiwanie filizanki ze spodkiem.

Reszta nocy rysowała się mgliście we wspomnieniach Michaela. Nazajutrz nie pamiętał, czy umówił się z Louise na wtorkowe popołudnie i czy Laura powiedziała mu naprawdę, że zgodnie z przepowiednią wróżki muszą się rozwieść w tym roku. Pamiętał za to, że Arney pojawił się niespodziewanie w głębi salonu. Uśmiechał się krzywo. Z rozchylnych ust ciekła na brodę whisky. Śmiesznie pochylił na bok głowę, jak gdyby miał drętwą szyję, i stosunkowo pewnym krokiem przemierzył cały pokój nie zwracając uwagi na tłum gości. Zatrzymał się dopiero pod przeciwległą ścianą, tuż koło Michaela. Przez chwilę chwiał się na nogach. Później szarpnął sięgające podłogi wysokie okno, otworzył je szeroko i spróbował przeleźć na drugą stronę. Połą fraka zawadził o lampę, lecz kiedy się wyzwolił, zaczął spokojnie robić dalej swoje.

Michael przyglądał się pijakowi i zdawał sobie sprawę, że powinien skoczyć mu na ratunek. Ale poruszał się niemrawo, a ręce i nogi miał dziwnie miękkie, bezwładne niby w męczącym śnie. Nic na to nie mógł poradzić, chociaż rozumiał, że jeśli nie zacznie szybko działać, dramaturg wypadnie z okna i runie z wysokości jedenastu pięter, zanim on zdąży go dosięgnąć.

Nagle usłyszał za sobą tupot szybkich kroków. Ktoś wyminął go jednym susem i porwał pijaka w ramiona. Przez chwilę dwaj mężczyźni mocowali się nad przepaścią. Tło stanowiło nowojorskie niebo z purpurowym odbłaskiem neonów na chmurach. Później trzasnęło okno zamknięte przez kogoś trzeciego i zapaśnicy byli ocaleni. Wówczas Whitacre zorientował się, że to Parrish zdążył nadbiec z baru i uprzedziwszy go wyratować dramaturga.

Laura znalazła się w objęciach męża. Ręką zasłaniała oczy. Szlochała głośno. Michael był wściekły, że w tak decydującej chwili jego żona jest do niczego i jeszcze sobą zaprzęta uwagę. Irytacja ta sprawiła mu znaczną ulgę, bo chociaż dobrze wiedział, że

później nie odpędzi przykrych wspomnień, mógł na razie nie myśleć o tym, jak sam się spisał.

Niebawem towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Wszyscy byli ogromnie weseli, beztroscy i udawali, że Arney chciał spłatać figła przyjaciołom. Pijany dramaturg spał na podłodze. Za nic nie pozwolił położyć się do łóżka, a ilekroć wywindowano go na sofę, zsuwał się w jednym mgnieniu oka. Parrish zadowolony i uśmiechnięty wrócił do baru, gdzie wypytywał zaangażowanego na jedną noc barmana, do jakiego związku należy.

Michael chciał jechać prosto do domu, ale Laura oznajmiła, że jest głodna, wobec czego Whitacre'owie znaleźli się znów w tłumie ludzi. Ktoś zaproponował swój samochód i wszyscy usiedli wszystkim na kolanach. Było ciasno i duszno, toteż Michael ucieszył się, kiedy towarzystwo wyspało się z samochodu i weszło do wielkiej, bogato urządzonej restauracji przy Madison Avenue.

Sala, w której znaleźli stolik, miała pomarańczowe ściany, ozdobione (nie wiadomo czemu) niezliczonymi podobiznami Indian. Niedoświadczeni kelnerzy, donajęci bez wyboru na noc noworoczną, snuli się jak błędni pośród wrzaskliwych, rozbawionych gości. Michael czuł, że jest pijany. Raz po raz uparcie opadały mu powieki. Milczał, bo ilekroć próbował coś powiedzieć, zaczynał jąkać się niemiłosiernie. Tępo patrzył przed siebie, a na ustach miał grymas oznaczający – jego zdaniem – wyniosłą pogardę dla zewnętrznego świata. Nagle zauważył przy tym samym stole Louise z mężem i Katherine z trzema studentami z Harvardu. Donald Wade siedział koło Louise i jawnie ścisnął jej rękę. Michael otrzeźwiał trochę i jednocześnie poczuł nieznośny ból głowy. Zamówił kotlet siekany i butelkę piwa.

„To haniebne – myślał z wysiłkiem – haniebne... Były flamy, byli adoratorzy, byli Bóg wie co... Umówiłem się z Louise na któreś popołudnie... ale we wtorek czy w środę? A na jaki dzień tygodnia Wade umówił się z Laurą? Gniazdo zimujących węzów... Kto to powiedział? Chyba Arney. Stary osioł... Skończony człowiek... Ale tym razem miał rację... Nie ma honoru na świecie... Nie ma nawet form przyzwoitości... Whisky, wino, piwo, koniak, to, tamto, owo... Wszystko niknie w oparach alkoholu... Uczciwość, wierność, odwaga, szybka decyzja... Parrish jednak mógł dać susa przez cały salon... Odruchowo... Poczul niebezpieczeństwo, więc skoczył. A ja tkwiłem tuż obok... Koło samego okna... I co? Ledwie się poruszyłem, zaszurałem nogami. Stałem jak kołek, bo zanadto się

spasłem, przesiąknęłam alkoholem. Za dużo spraw łączy mnie z życiem... Cóż... Żona? Właściwie obca osoba. Od czasu do czasu wpada na tydzień z Hollywood. Mówi tylko o swoich sprawach... A między wizytami diabli wiedzą co robi z diabli wiedzą ilu mężczyznami... Te pachnące pomarańczowym kwiatem, gorące wieczory w Kalifornii... A ja? Marnuję ostatnie lata młodości. Jak głupi trzymam się bezwładnie teatru. Zarabiam niewiele. Poprzestaję na małym. Nigdy nie zrobię śmiałego kroku... Mam trzydzieści lat... Dziś zaczął się Nowy Rok... tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy... Muszę wziąć się w garść, jeżeli nie chcę trafić do tego samego okna co Arney...".

Wstał, wymamrotał: „Przepraszam”, i przez zatłoczoną knajpę ruszył w stronę męskiej toalety.

„Tak, weź się w garść, Michael – myślał po drodze. – Mocno weź się w garść. Pierwsza rzecz: rozwód z Laurą. A później musisz prowadzić surowe, ascetyczne życie, jak niegdyś, kiedy miałeś dwadzieścia lat. Akurat dziesięć lat temu. Wtedy wszystko było uczciwe, jasne, proste. Nowy Rok witałeś wesoło i nie brzydziłeś się sobą za to, co robiłeś w roku starym”.

Po schodach schodził do męskiej toalety. Rozpocznie poprawę od tej chwili. Przez dziesięć minut będzie lał sobie na głowę lodowato zimną wodę. Zmyje pijacki pot i niezdrową czerwoność z twarzy. Włosy będzie miał chłodne, porządnie uczesane. Wróci jak odrodzony. Jaśniejszym wzrokiem spojrzy na świat w tym nowym roku...

Pchnął drzwi i wszedł prosto do umywalni. Ze wstrętem spojrzał na swoje obicie w lustrze: zmięta twarz, załamane oczy, słaby, niezdecydowany wyraz ust. Dobrze pamiętał, jak wyglądał w dwudziestym roku życia. Smukły, silny, dziarski, stanowczy dla siebie i innych. Nagle pomyślał, że tamta twarz istnieje pod nieprzyjemną maską spoglądającą z lustra. Musi odnaleźć dawną twarz, zderzyć z niej paskudny osad lat, które głupio zmarnował.

Pochylił głowę. Lodowato zimną wodą przemywał oczy, obficie skrapiał policzki. Kiedy wycierał się ręcznikiem, czuł, że skórę ma świeższą, przyjemną w dotyku. Jak odrodzony wszedł pewnym krokiem na schody i wrócił do towarzystwa siedzącego przy dużym stole pośrodku gwarnej restauracyjnej sali.

Rozdział III

Na zachodnim krańcu Ameryki, w nadmorskim miasteczku Santa Monica, wśród monotonnych prostych ulic i pierzastych palm, stary rok dogorywał w gęstych szarych tumanach. Mgła ciągnęła znad oleistych wód oceanu, znad długich fal, co spokojnie łamały się na wilgotnym piasku, znad zamkniętych na zimę plażowych bufetów i letnich rezydencji gwiazd filmowych, i nadbrzeżnej szosy wijącej się w stronę Oregonu i Meksyku.

Ulice miasteczka były wyludnione, oddane we władanie mgły, jak gdyby Nowy Rok stanowił żywiołową klęskę, której ludność unika przezornie, czekając w domach, aż niebezpieczeństwo minie. Tu i ówdzie blado połyskiwały oświetlone okna, a na kilku ulicach mgłę zabarwiała jaskrawa czerwień neonów - kolor charakterystyczny dla miejskich nocy w Ameryce. Mrugające purpurowe rurki zachwalały restauracje, lodziarnie, kina, teatry, hotele, strzeżone parkingi. Ale wśród głuchej, posępnej nocy ogólny efekt reklam był tragiczny i złowróżbny, jak gdyby przez siwą, powiewną zasłonę ukazywano rasie ludzkiej obraz jej ostatniej siedziby, tonącej w wilgotnych oparach i ubarwionej krwawo.

Neonowy szyld Hotelu Nadmorskiego, z którego okien nigdy, nawet przy najpiękniejszej pogodzie, nie było widać ani skrawka morza, rozjaśniał nieco gęste popielate tumany za oknem Noego. Światło przenikało nieśmiało do ciemnego pokoju ukazując wilgotne tapety oraz wiszącą nad łóżkiem litografię z widokiem wodospadu Yosemite. Różowy blask padał na poduszkę i dobywał z mroku głowę pogrążonego we śnie ojca Noego. Wydatny, kształtny nos o wyraźnie zarysowanych rozdętych chrapach, oczy głęboko osadzone pod krzaczastymi brwiami, wysokie czoło myśliciela, bujna biała czupryna, wąsy, bródka w stylu portretów Van Dycka, godna filmowego pułkownika z czasów wojny o niepodległość - wszystko to nie pasowało do starego Żyda umierającego w nędznym hotelowym pokoju.

Noe miał ochotę poczytać, bał się jednak, że światło obudzi ojca. Próbował spać na jedynym w pokoju, bardzo twardym krześle, ale przeszkadzał mu nierówny, chrapliwy

oddech chorego. Lekarz powiedział Noemu, że Jakub musi umrzeć. To samo mówiła wdowa, którą ojciec odprawił w wigilię Bożego Narodzenia... Jak się ona nazywa? Aha, Morton... Ale Noe nie wierzył w śmierć starca. Ojciec kazał pani Morton, by telegraficznie wezwała syna z Chicago. Prosił o natychmiastowy przyjazd. Noe spieniężył palto, maszynę do pisania i stary kufer-szafę. W ten sposób zdobył pieniądze na bilety autobusowe. Spieszył się. Jechał dniem i nocą, cały czas na siedzącym miejscu. Do Santa Monica przybył oszołomiony i wyczerpany długą podróżą, lecz w porę, by wziąć udział w wielkiej scenie.

Jakub zawczasu uczesał starannie włosy i brodę i usiadł na łóżku wyprostowany, dostojny niby Hiob wiodący spór z Bogiem. Obdarzył pocałunkiem panią Morton - niepozorną pięćdziesięcioletnią kobiecinę - i pożegnał ją mówiąc melodyjnym, aktorskim głosem:

- Pragnę skonać w ramionach syna. Pragnę skonać pośród izraelitów. Czas teraz, byśmy rozstali się na wieki.

Noe dowiedział się wówczas, że pani Morton nie jest Żydówką. Płakała gorzko, a wszystko razem sprawiało wrażenie sceny z drugiego aktu jednej ze sztuk granych w żydowskim teatrze przy Drugiej Alei w Nowym Jorku. Jakub był nieugięty i pani Morton odeszła. Zameżna córka zabrała ją do rodzinnego domu w San Francisco. Noe został sam z ojcem w małym, jednoosobowym pokoju przy bocznej uliczce, o pół mili od oceanu.

Każdego ranka doktor zaglądał na kilka minut. Oprócz niego Noe nie widywał nikogo. Nie znał też żywej duszy w całym mieście. Ojciec życzył sobie, by syn czuwał przy nim dniem i nocą, toteż biedak sypiał pod oknem na twardym materacyku, niechętnie pożyczonym przez gospodarza.

Noe słuchał ciężkiego, tragicznego oddechu, który przesywał nasycone zapachem lekarstw powietrze. Chwilami był przekonany, że Jakub nie śpi i wcale nie musi tak dyszeć, wie jednak, iż człowiek konający powinien rzeźić i każdym oddechem zapowiadać zbliżający się koniec. Z bliska przyjrzał się pięknej, patriarchalnej głowie spoczywającej na brudnej poduszce, niedaleko szeregu połyskujących w półmroku aptekarskich flaszek. Nie pierwszy raz odczuwał niesmak patrząc na krzaczaste, zmierzwione brwi, na teatralną grzywę śnieżnych włosów (nie wątpił, że Jakub bieli je potajemnie), na efektowną siwą brodę okalającą twarz ascetyczną i suchą.

„Dlaczego - myślał gniewnie Noe - ten człowiek uznał się, by wyglądać jak biblijny król, który przybył w poselstwie do Kalifornii? Gdyby chociaż żył w odpowiedni sposób... Aa... to inna sprawa... Ale te niezliczone kobiety w jego długim, awanturniczym życiu i bankructwa, i pieniądze pożyczane na wieczne nieoddanie, i wierzyciele od Odessy do Honolulu... To złośliwy żart! Jak ojciec śmie pozować na Mojżesza, który schodzi z góry Synaj dźwigając kamienne tablice!”.

Jakub otworzył oczy i przemówił:

- Zechciej mnie rychło wyzwolić, o Boże! Panie, racz mi pospieszyć z pomocą!

Oto drugi nawyk, który zawsze doprowadzał Noego do wściekłości. Jakub był absolutnie niereligijny, ale na pamięć znał Biblię po hebrajsku i angielsku i przy każdej sposobności sypał długimi, kwiecistymi cytatami.

- Zechciej wyzwolić mnie, o Boże, z ręki grzesznego, z ręki niesprawiedliwego, z ręki okrutnego męża!

Odwrócił się twarzą do ściany. Znów zamknął oczy. Noe wstał z krzesła i zbliżywszy się do łóżka okrył chorego kołdrą, ów jednak nie zwrócił na to uwagi. Noe przyglądał mu się przez chwilę. Słuchał charczącego oddechu. Potem odszedł pod okno, otworzył je szeroko i wciągnął w płuca wilgotną, gęstą mgłę, zaprawioną wonią niedalekiego morza. Ulicą przemknął samochód. Jechał z niebezpieczną szybkością i prawie otarł się o rząd palm. Klakson porykiwał świętecznie, niebawem jednak umilkł w ciężkich oparach.

„Milo spotykać Nowy Rok w takiej dziurze” - pomyślał Noe z ironią, bez szacunku dla powagi chwili. Wzdrygnął się w strudze zimnego powietrza, ale okno zostawił otwarte. Pracował ostatnio w Chicago jako archiwista w firmie rozsyłającej różne towary pocztą. Prawdę mówiąc, nie zmartwił się, że musi jechać do Kalifornii nawet w tak smutnej misji jak asystowanie przy śmierci własnego ojca. Malownicze wybrzeża, ciepłe plaże, pomarańczowe gaje skąpane w słońcu, piękne dziewczęta... Wyjrzał przez okno i uśmiechnął się krzywo. Od tygodnia lał deszcz. Ojciec w nieskończoność przeciągał finałową scenę. Noe miał już tylko siedem dolarów, a ponadto dowiedział się, że wierzyciele obłożyli sekwestrem atelier fotograficzne ojca. Nawet w szczególnie sprzyjających warunkach, gdyby wszystko sprzedano po najlepszych cenach, mogli liczyć na trzydzieści procent swoich należności.

Pewnego dnia Noe wybrał się nad morze do małego obskurnego atelier i przez zamknięte na klucz oszklone drzwi zajrzał do środka. Jakub wyspecjalizował się od dawna w wysoce artystycznych, mocno retuszowanych portretach młodych kobiet, toteż za brudną, zakurzoną szybą widać było sto spowitych w czarny aksamit lokalnych piękności o dziwnie kolorowej cerze i wielkich oczach omdlewających pod ciężkimi powiekami. Takie właśnie przedsiębiorstwa ojciec otwierał i likwidował na całym kontynencie. One to przedwcześnie wpędziły matkę do grobu. Jawiły się w rozmaitych obskurnych budach i znikwały po jednym złudnie pomyślnym sezonie. W atelier pozostawał tylko stos źle prowadzonych ksiąg, monitów wierzycieli, starych fotografii i nieaktualnych ulotek reklamowych, a następny dzierżawca palił te śmiecie na najbliższym nie zabudowanym placu.

Ale przedsiębiorczy Jakub był nie tylko fotografem. W rozmaitych okresach życia sprzedawał działki na cmentarzu, środki antykoncepcyjne, tereny pod zabudowę, wino mszalne, dogodne dla ogłoszeń miejsca na murach, używane meble, ślubne suknie, a nawet raz (choć to wydaje się nieprawdopodobne) zorganizował w Baltimore agenturę zaopatrującą w prowiant statki. Dochody z tych licznych profesji nigdy nie wystarczały na utrzymanie. Ale Jakub był wymowny, przystojny, ruchliwy i dzięki swej archaicznej retoryce naszpikowanej cytatami z Biblii, dzięki portretowej twarzy i niewyczerpanej energii znajdował zawsze kobietę, która pomagała mu pływać na powierzchni i zdobywać to, czego sam nie mógł zdobyć na polach ekonomicznych bitew. Jedyne jego potomki - Noe - wiódł życie włóczęgowskie i nieuporządkowane. Często bywał opuszczony i spędzał długie miesiące u jakichś dalekich, wątpliwych krewnych albo w samotności musiał znosić żelazny rygor podrzędnych szkół wojskowych.

- Mój brat Izrael płonie w ognistym piecu, rzucony tam przez pogan.

Noe westchnął i zamknął okno. Ojciec leżał teraz sztywno i patrzył w sufit szeroko otwartymi oczami. Noe zapalił stojącą lampę i osłonił żarówkę różowym papierem przypalonym w wielu miejscach i wydzielającym zapach, który uzupełniał ciężką atmosferę sypialni chorego człowieka.

- Nie potrzeba ci czego, ojczy?

- Widzę płomienie - mówił starzec. - Czuję swąd pieczonego ciała. Widzę, jak kości mego brata kruszą się i goreją w ogniu. Jam go opuścił, a dzisiejszej nocy brat umiera pośród nieprzyjaciół.

Noe nie mógł odeprzeć nowej fali niechęci do ojca. Jakub nie widział brata od trzydziestu pięciu lat, a prawdę mówiąc, zostawił go w Rosji, z rodzicami na utrzymaniu, kiedy sam wybierał się do Ameryki. O tym obcym człowieku wspominał rzadko, zawsze z pogardą i niewątpliwie rozstał się z nim jak z wrogiem. Ale przed dwoma laty przyszedł jakimś cudem list z Hamburga, gdzie Izrael osiedlił się w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku. List był rozpaczliwy i błagalny. Należy przyznać, że Jakub zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy. Pisał niezliczone podania do Biura Imigracyjnego, jeździł do Waszyngtonu i straszył na korytarzach Departamentu Stanu. Dziwaczny, nieprawdopodobny upiór minionych wieków, brodaty i kudłaty starzec, na poły rabin, na poły szachraj i szuler, śmiało stawiał czoło układnym młodzieńcom z Princeton i Harvardu, którzy mówili cicho, z poprawnym akcentem i z obojętną miną przesuwali papiery na polerowanych blatach biur. Ale starania na nic się nie przydały. Po jedynym rozpaczliwym wołaniu o pomoc stłumiło wszystko groźne milczenie władz niemieckich. Jakub przestał mówić o sprawie brata i wrócił na słoneczne wybrzeże, gdzie odnalazł w Santa Monica atelier fotograficzne i korpulentną panią Morton. Tej nocy jednak zabarwiona purpurą mgła kłębiła się za oknem, na progu stał Nowy Rok, a wraz z nim śmierć, która zdaniem lekarza miała być kwestią godzin. Cóż dziwnego, że porzucony niegdyś brat, zabłąkany w labiryncie Europy, krzychał straszliwie w martwiejącej wyobraźni? Jakub przemawiał głębokim, melodyjnym głosem, po aktorsku nawet na łożu śmierci:

- Tyś krew mojej krwi i kość mojej kości, ponosisz tedy karę za grzechy mojego ciała i grzechy mojej duszy.

„Wielki Boże! - pomyślał Noe spoglądając z góry na chorego. - Czemu ten musi zawsze gadać białym wierszem, jak pasterz-prorok dyktujący coś sekretarce na wzgórzach Judei?”

- Nie uśmiechaj się!

W mizernej, poczerniałej twarzy oczy starca błysnęły żywo, przytomnie.

- Nie uśmiechaj się, synu. Mój brat goreje w ogniu. Cierpi dla ciebie.

- Wcale się nie uśmiecham, ojczu.

Delikatnie pogładził chorego po czole. Skóra była gorąca, sucha. Noe odniósł wrażenie, że poczuł lekkie ukłucia w końcach palców.

Ojciec wykrzywił twarz w pogardliwym grymasie doświadczonego mówcy.

- Stoisz nade mną w tanim amerykańskim ubraniu i myślisz: „Cóż mnie obchodzi brat ojca? To człowiek obcy. Nie widziałem go nigdy w życiu. Jeżeli nawet skona w ognistym piecu Europy, cóż z tego? Wszak co minuta ludzie umierają na całym świecie”. Otóż mój brat nie jest ci obcy. To Żyd i świat go prześladowuje. Ty także jesteś Żydem i świat prześladowuje ciebie.

Wyczerpany przymknął oczy, a Noe pomyślał, że ojciec wzruszyłby go zapewne i porwał, gdyby chciał mówić zwyczajnym ludzkim językiem. W gruncie rzeczy sytuacja jest przejmująca, dramatyczna. Ojciec umiera dręczony wizją brata mordowanego o pięć tysięcy mil od Kalifornii. Jest sam w najsamotniejszej godzinie życia, nawiedzany przez mgliste upiory przeszłości i przyszłości. Opłakuje los swego ludu rozproszonego po ziemi. Rozumowo Noe zdawał sobie sprawę z wagi ponurych wydarzeń w Europie, choć, prawdę mówiąc, nie widział w nich osobistej, uczuciowej tragedii. Ale po wielu latach czezej retoryki i scenicznych gestów Jakub utracił wszelką zdolność budzenia wzruszeń w synu. Noe stał sztywno nad umierającym i myślał: „Mój Boże, stary utrzyma się w roli do końca”. Nie potrafił .dobyć się na nic więcej.

- Kiedym się z nim rozstawał - podjął Jakub nie odmykając powiek - kiedy w tysiąc dziewięćset trzecim roku wyjeżdżałem z Odessy, Izrael dał mi osiemnaście rubli i powiedział: „Zły z ciebie człowiek, ale życzę ci wszystkiego dobrego. Przyjmij ode mnie jedną radę. Trzymaj się kobiet. Ameryka nie różni się chyba od reszty świata. I tam znajdziesz idiotki, które cię będą utrzymywać”. Nie podaliśmy sobie rąk i odjechałem. Noe! Jak myślisz? Mimo wszystko brat powinien mi podać rękę?

Głos chorego załamał się nagle. Zmalał, stracił ton i teatralny patos.

- Noe.

- Słucham, ojczu?

- Jak myślisz? Brat powinien mi podać rękę?

- Tak, ojczu.

- Noe.

- Słucham, ojcze.

- Uściśnij mi dłoń, Noe.

Po chwili syn pochylił się i ujął suchą, szeroką rękę chorego. Skóra była spierzchnięta, a długie paznokcie, starannie niegdyś pielęgnowane, miały obrzydliwe zadry i czarne półksiężycy brudu. Uścisnęli sobie dłonie. Noe odczuł niepewne, nerwowe drżenie cienkich palców.

- Dobrze już, dobrze! - zawołał nagle Jakub, jak gdyby zirytował się bez powodu albo przestraszył czegoś urojonego. - Dobrze. Wystarczy... - westchnął i zapatrzył się w sufit.

- Noe...

- Słucham.

- Masz papier i ołówek?

- Tak...

- Zapisz, co podyktuję...

Noe usiadł przy stole. Wziął ołówek i rozłożył arkusik cienkiego białego papieru ozdobiony widoczkiem Hotelu Nadmorskiego. Hotel był tu znacznie większy niż naprawdę, otoczony pięknymi trawnikami i grupami wysokich drzew. Nie znajdowało to odbicia w rzeczywistości, lecz na papierze listowym wyglądało zachęcająco i świątecznie. Ojciec zaczął dyktować miarowym, rzeczowym tonem:

- Pan Izrael Ackerman, Klosterstrasse dwadzieścia dziewięć, Hamburg, Niemcy.

- Ależ ojcze... - zdziwił się Noe.

- Pisz dalej po hebrajsku, jeżeli nie umiesz pisać po niemiecku. Mój brat mało ma wykształcenia, ale zrozumie jakoś...

- Rozumiem, ojcze.

Nie umiał pisać ani po niemiecku, ani po hebrajsku, lecz nie widział potrzeby mówienia o tym choremu.

- Kochany bracie... Napisałeś?

- Tak, ojcze.

- Bardzo się wstydzę, że przez tyle lat do ciebie nie pisałem, ale pojmujesz chyba, jak bardzo byłem zajęty. Wkrótce po przyjeździe do Ameryki... Napisałeś to, Noe?

- Tak - odpowiedział gryzmołąc bezmyślnie. - Napisałem.

- Wkrótce po przyjeździe do Ameryki dostałem zajęcie w bardzo poważnej firmie. Myślę, że trudno będzie ci w to uwierzyć, ale naprawdę pracowałem ciężko i zajmowałem coraz bardziej odpowiedzialne stanowiska. Po dwóch latach byłem już nieodzowny. Zostałem współnikiem firmy i poślubiłem córkę jej dotychczasowego właściciela, pana von Kramera, pochodzącego z szacownej i starej amerykańskiej rodziny. Na pewno dowiesz się z radością, że mam liczną rodzinę: pięciu synów i dwie córki. Dzieci są naszą dumą i pociechą na stare lata, bo żona i ja jesteśmy już starzy. Wycofaliśmy się z interesów i mieszkamy teraz w arystokratycznej dzielnicy Los Angeles, wielkiego miasta nad Oceanem Spokojnym, gdzie przez cały okrągły rok świeci słońce. Mamy czternastopokojowy dom i ja co dzień sypiam do pół do dziesiątej, a po południu chodzę do klubu i grywam w golfa. Wiem, że zaciekawia cię i ucieszą takie wiadomości i...

Noe dławił się wzruszeniem i dziwną obawą, że gdy otworzy usta, zacznie chichotać i starzec umrze przy akompaniamencie synowskiego śmiechu.

- Noe - rzucił Jakub zaczepnym tonem. - Napisałeś wszystko?

- Tak, ojciec - wykrztusił z trudem.

- To prawda - dyktował dalej ojciec - że jesteś pierwotnym synem i niegdyś często udzielałeś mi wskazówek. Obecnie jednak sprawa starszeństwa ma inne niż w naszych czasach znaczenie. Ja podróżowałem wiele, spodziewam się więc, że zechcesz skorzystać z niektórych moich rad. Przede wszystkim zawsze należy pamiętać, jak Żyd powinien postępować. Świat jest pełen rozmaitych ludzi, i coraz więcej pośród nich zazdrośników. Ci patrzą na Żyda i mówią: „Spójrzcie, jak się zachowuje przy stole” albo: „Jego żona nosi fałszywe brylanty”, albo: „Ale ten hałasuje w teatrze!”, albo: „On ma fałszywą wagę. W tym sklepie nie kupisz uczciwie za swoje uczciwe pieniądze”. Czasy są teraz ciężkie i każdy Żyd musi postępować tak, jak gdyby życie wszystkich innych Żydów na całym świecie zależało od każdego jego postępków. Musi więc jeść cicho i prawidłowo posługiwać się nożem i widelcem. Nie może obwieszać swojej żony brylantami, szczególnie fałszywymi. Wagę musi mieć najdokładniejszą w całym mieście, a nadto powinien zawsze pamiętać o godności własnej i należywym szacunku dla samego siebie.

Nie! - zawołał nagle stary Ackerman. - Przekreśl to wszystko! Brat tylko by się rozzłościł...

Westchnął głęboko. Później przez długi czas milczał. Nie poruszał się na łóżku. Noe spojrział nań z ukosa, aby sprawdzić, czy jeszcze żyje. Wreszcie starzec zaczął znowu dyktować. Mówił zdławionym, ochrypłym, jak gdyby cudzym głosem:

- Kochany bracie! Wszystko, co ci doniosłem, to kłamstwo! Wiodłem nędzne życie, oszukiwałem ludzi, a własną żonę na śmierć zdręczyłem. Mam tylko jednego syna i nie widzę dla niego miejsca w świecie, jestem bankrutem i naprawdę spotkało mnie wszystko złe, które wedle słów twoich spotkać mnie miało...

Urwał, zająknął się, jak gdyby chciał powiedzieć coś więcej - i umarł. Noe dotknął piersi ojca, żeby przekonać się, czy serce bije. Skóra była pomarszczona. Sterczały tylko ostre żebra, a pod nimi panowała głucha, ostateczna cisza.

Syn zajął się umarłym. Złożył mu ręce na piersi i zamknął wytrzeszczone oczy. Nieraz widział na filmach, że tak się robi. Jakub miał otwarte usta, co nadawało twarzy realistyczny wyraz życia. Zdawać się mogło, że lada chwila przemówi. Noe nie wiedział jednak, jak sobie z tym poradzić, i przestał się interesować opadniętą szczęką trupa. Spojrzął na jego sztywniejącą twarz i odczuł nagle ulgę. Nareszcie koniec! Natrętny, władczy głos umilkł. Nie będzie już teatralnych gestów.

Młody Ackerman zaczął myszkować po pokoju. Robił w myśli inwentarz wartościowych przedmiotów. Niewiele znalazł: dwa niemodne, dobrze podniszczone garnitury dwurzędowe, oprawna w skórę Biblia króla Jakuba, srebrna ramka z jego własną fotografią (jako siedmioletni berbecz siedzi na szetlandzkim kucyku), drewniana szkatułka z parą spinek i szpilką do krawata (nikiel i szkło) oraz starannie owiązana sznurkiem różowa koperta. Noe otworzył kopertę i wyjął z niej papiery: dwadzieścia udziałów warsztatu radiowego, który ogłosił upadłość w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku.

Na dnie schowka leżało tekturowe pudełko, a w nim starannie owinięty w miękką flanelę staroświecki portretowy aparat fotograficzny z obiektywem o dużej soczewce. Spadkobierca znalazł nareszcie coś, co było traktowane z pietyzmem i szacunkiem. Z westchnieniem ulgi mruknął:

- Jak to dobrze, że stary miał dosyć rozumu, by aparat ukryć przed wierzycielami. Może nawet pokryje koszty pogrzebu?

Dotykając wytartej skóry i gładkich szkieł pomyślał, że chciałby mieć ten jedyny, dobrze zachowany ślad po życiu ojca. Ale rozumiał dobrze, iż nie może sobie na to pozwolić. Starannie owinął aparat, wcisnął go do pudła i ukrył pod stosem szmat w kącie schowka.

Kolo drzwi zatrzymał się i spojrzał za siebie. W świetle jedynej żarówki zmarły wyglądał tak, jak gdyby żył i cierpiał jeszcze.

Noe przekreślił wyłącznik i otworzył drzwi.

Powoli szedł ulicą. Po tygodniu spędzonym w dusznym pokoju dobrze robił mu umiarkowany ruch na świeżym powietrzu. Oddychał głęboko, czuł się młody, zdrowy. Z przyjemnością słuchał stukania własnych obcasów o wilgotny, błyszczący chodnik. Pachniało morzem - obco jakoś, lecz przyjemnie. Szedł ku wybrzeżu i w miarę jak zbliżał się do wiszących nad oceanem urwisk skalnych, coraz wyraźniej czuł smak soli we mgle, która osiadała mu na wargach.

Z ciemności dochodziły dźwięki muzyki - to ciche, jak milknące echo, to głośniejsze wraz z nagłymi podmuchami wiatru. Noe ruszył w ich kierunku i gdy znalazł się na rogu, zorientował się, że muzyka gra w barze po przeciwnej stronie ulicy. Co chwila ktoś otwierał drzwi pod oświetlonym napisem:

NI CENTA DROŻEJ W NOWY ROK PRZESTĄP NASZ PRÓG

- ZRÓB PIERWSZY KROK

Szafa grająca zgrzytnęła przy zmianie wałka. W nocnej ciszy rozległ się kobiecy głos. Śpiewał z należyтым uczuciem:

Jeden jesteś pod słońcem

I pod księżycem jeden,

Dla ciebie noc ma każda

I dni w tygodniu siedem.

Noe przeciął jezdnię, pchnął drzwi i wszedł do baru. Przy bufecie siedzieli dwaj marynarze i blondynka. Podejrzliwie przyglądali się pijakowi śpiącemu z głową na mahoniowej ładzie. Barman podniósł wzrok słysząc, że wchodzi nowy gość. .

- Jest tu telefon? - zapytał Noe.

- Tam.

Barman wskazał w głąb salki. Noe ruszył w stronę kabiny automatu i po drodze usłyszał głos blondynki:

- Pomóżcie mu jakoś, chłopcy. Najlepiej potrzeć kark lodem - mówiła do marynarzy.

Przymilnie uśmiechnęła się do młodego Ackermana. Siedziała blisko szafy grającej, oświetlonej zielono, i twarz miała seledynową. Noe skinął jej głową i wszedł do kabiny. Wyjął z kieszeni kartkę, którą dał mu doktor. Był tam zapisany telefon zakładu pogrzebowego czynnego dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Noe nakręcił numer. Później słuchał wielokrotnego brzęczenia sygnału i myślał, że gdzieś daleko na czarnym biurku dzwonek telefonu ogłasza Nowy Rok w kantorze zakładu pogrzebowego. Chciał już powiesić słuchawkę, kiedy usłyszał głos niepewny i bełkotliwy:

- Halo? Firma Grady, zakład pogrzebowy.

- Chciałbym porozumieć się w sprawie pogrzebu - powiedział Noe. - Mój ojciec umarł kwadrans temu.

- Nazwisko klienta?

- Przede wszystkim chodzi mi o koszty. Mam niewiele pieniędzy i...

- A ja muszę znać nazwisko klienta - przerwał głos bardzo oficjalnym tonem.

- Ackerman.

- Waterfield, w porządku... A imię? - zapytał ochrypły głos i dodał szeptem: - Gladys, uspokój się, rozumiesz? Dostyc tego!

Noe usłyszał stłumiony chichot i bezpośrednio po nim dalsze oficjalne pytanie:

- Nazwisko klienta?

- Ackerman! - zawołał zirytowany. - Ackerman!

- Czy to imię?

- Nie, nazwisko. Na imię ojcu Jakub.

- Może zechce pan łaskawie mówić odrobinę wyraźniej - powiedział głos z pijacką godnością.

Noemu wydawało się, że poczuł zapach whisky.

- Czy dowiem się nareszcie - powiedział - ile wasza firma liczy za spalenie zwłok?

- Spalenie zwłok! Aa... Na żądanie klienteli chętnie to załatwimy...

- Ile wynosi koszt?

- A ile ma być karet?

- Czego?

- Ile karet potrzeba na uroczystość. Ilu będzie krewnych? Ilu gości?

- Jeden. Krewny i gość zarazem.

Skończyła się piosenka o słońcu i księżycu, szafa grająca zaczęła zgrzytać i Noe nie dosłyszał zdania z drugiego końca drutu.

- Chciałbym załatwić wszystko jak najtaniej! - zawołał zrozpaczony. - Mam mało pieniędzy.

- Aha... Zdarza się... Wolno zapytać, czy nieboszczyk był ubezpieczony?

- Nie.

- W takim razie rachunek płatny gotówką, z góry. Rozumie pan?

- Ile?

- Czy popioły mają być złożone w tekturowym pudle, czy w platerowanej urnie?

- W tekturowym pudle.

- Najniższa cena, jaką firma będzie mogła łaskawemu panu policzyć - głos zmienił ton i mówił teraz z zawodową uprzejmością - wyniesie siedemdziesiąt sześć dolarów i pięćdziesiąt centów.

- Dodatkowo pięć centów za pięć minut - wtrąciła telefonistka.

Noe wsunął monetę w otwór automatu.

- Dziękuję - usłyszał znów głos kobiety.

- Dobrze. Siedemdziesiąt sześć dolarów i pięćdziesiąt centów. Pojutrze. Po południu - odparł Noe i pomyślał, że zgromadzi jakoś taką sumę. Będzie miał czas; drugiego stycznia rano pojedzie do śródmieścia, sprzeda aparat fotograficzny i inne rzeczy. - Proszę zanotować adres. Hotel Nadmorski. Wie pan, gdzie to jest?

- Tak - odpowiedział głos przerywany pijacką czkawką. - Naturalnie. Hotel Nadmorski... Naturalnie... Jutro przyślę tam kogoś i będzie pan mógł podpisać zamówienie...

- W porządku... - spocony Noe chciał już skończyć rozmowę.

- Aha, jeszcze jedno, łaskawy panie... Modły żałobne?

- Jakie znów modły żałobne?

- Chodzi o wyznanie klienta.

Jakub nie miał właściwie żadnego wyznania, lecz Noe nie uważał za stosowne mówić o tym obcemu człowiekowi.

- Mój ojciec był Żydem.

- Aha...

Na chwilę zapadła głucha cisza. Potem Noe usłyszał rozbawiony, zapijaczony głos kobiety:

- No, prędzej George! Kiedy się nareszcie napijemy?

- Bardzo mi przykro - podjął mężczyzna - ale nasza firma nie jest nastawiona na udzielanie ostatniej posługi izraelitom.

- Co to za różnica? - obruszył się młody Ackerman. - Mój ojciec nie był religijny. Nie trzeba żadnych modłów żałobnych.

- Niepodobieństwo - odparł głos bełkotliwie, lecz z godnością. - Nie obsługujemy izraelitów. Z całą pewnością znajdziesz, mój przyjacielu, wiele innych zakładów nastawionych na palenie Żydów.

- Jak to? Doktor Fishbourne dał mi ten telefon. Czy to omyłka? Czy mówię z zakładem pogrzebowym? Mój ojciec umarł przed kwadransem...

Noe krzychał jak szalencie. Był zrozpaczony, załamany. Czuł, że nie zdoła przeprowadzić drugiej takiej rozmowy z innym przedsiębiorcą pogrzebowym.

- Wyrazy współczucia, mój przyjacielu - przerwał mu mężczyzna - w ciężkiej godzinie smutku, ale, jak Boga kocham, nie widzę, w jaki sposób...

Noe usłyszał szamotanie na drugim końcu drutu i głos kobiety, który mówił:

- Poczekaj, George! Ja z nim pogadam.

Kobieta opanowała widać słuchawkę, gdyż po chwili zawołała zachrypłym od whisky głosem:

- Słuchaj, frajerze! Może byś się tak odczepił? Nie mamy czasu. Zrozumiałeś, co ci George gadał? On nie pali parchów. Pomyślnego Nowego Roku!

Na drugim końcu drutu stuknęła słuchawka. Noemu ręce dygotały. Pot zraszał mu czoło. Z trudem powiesił głuchą słuchawkę. Wyszedł z kabiny i kierując się w stronę drzwi minął szafę grającą oraz malowniczą grupę złożoną z dwóch marynarzy, pijaka i blondynki. Szafa bębniła jazzową przeróbkę szkockiej pieśni Loch Lomond. Blondynka uśmiechnęła się i tym razem.

- Co się stało, biedaczku? Nie zastałeś jej w domu? - rzuciła.

Noe nie zrozumiał. Odszedł w drugi koniec bufetu. Usiadł na stołku niedaleko drzwi.

- Whisky - zadysponował.

Wypił bez wody, zamówił drugą porcję i znów wypił duszkiem. Skutek był natychmiastowy, zbawienny. Nędzny bar, obecni w nim ludzie, potworna muzyka - wszystko wydało się Noemu bliższe, przyjemniejsze. Uśmiechnął się nawet, kiedy blondynka przywędrowała do niego z drugiego końca bufetu. Miała na sobie jaskrawożółtą suknię w kwiaty, czerwone pantofle i kokietyjny kapelusik z czerwoną woalką. Idąc, przesadnie kręciła biodrami.

- Lepiej ci teraz? - zagadnęła młodego Ackermana dotykając lekko jego ramienia. - Co? Lepiej ci?

- Pomyślnego Nowego Roku - odpowiedział.

- Kotku...

Blondynka usadowiła się na sąsiednim stołku obitym purpurową imitacją skóry. Kolanem zaczęła ocierać o kolano Noego.

- Kotku, mam straszne zmartwienie. Rozglądam się i rozglądam po barze i widzę, że tobie jednemu można tu ufać. Kwiat Pomarańczy - zadysponowała, bo barman przydreptał jej śladem za ladę. - Posłuchaj, kotku...

Ujęła Noego za łokieć i bystro spojrzała mu w twarz spod czerwonej woalki. Miała małe, podpuchnięte od pijaństwa niebieskie oczka, poważne i natrętnie.

- Posłuchaj, kotku - ciągnęła wylewnie - mam straszne zmartwienie, a w zmartwieniu najbardziej lubię Włochów. To ludzie z charakterem. Namiętni, ale bardzo, bardzo wyrozumiali. Zawsze chętnie pomogą. A zresztą, kotku, lubię namiętnych mężczyzn. Pokaż mi ciemnię niezdolnego do namiętności, a ja ci powiem, że to facet, co nie uszczęśliwi kobiety nawet na dziesięć minut w roku. Moim zdaniem, mężczyzna musi mieć dwie rzeczy: wyrozumiały charakter i mięsiste wargi.

- Co takiego? - zdziwił się Noe.

- Mięsiste wargi - powtórzyła rzeczowo. - Na imię mi Georgia. A tobie, kotku?

- Ronald Beaverbrook... Aha... Muszę cię rozczarować. Nie jestem Włochem.

- Nie...

Z zawiedzioną miną spojrzała na sąsiada. Jednym łykiem wypila pół kieliszka Kwiatu Pomarańczy.

- Gotowa byłam przysiąc... Nie Włoch?... Więc kto, Ronaldzie?

- Indianin - odpowiedział. - Siuks.

- Siuks! Mniejsza o to! Na pewno potrafisz uszczęśliwić kobietę.

- Napijesz się?

- Kotku? - zawołała pod adresem barmana. - Dwa Kwiaty Pomarańczy. Mogą być podwójne.

Znowu zwróciła się do Noego:

- Indian też bardzo lubię... zwłaszcza Siuksów. Ale nie myśl, że nie ma mężczyzn, których nie lubię. Są tacy: zwyczajni Amerykanie. Żaden z nich nie ma pojęcia, jak brać się do kobiety. Raz, dwa, trzy i już idzie do domu, do żony. Kotku - ciągnęła kończąc pierwszy kieliszek - może tak poszlibyśmy do tych granatowych chłopaków i powiedzieli im, że mnie zabierasz do domu? Na wszelki wypadek każ dać butelkę piwa, żeby się nie stawiali.

- A z nimi przyszłaś?

Młody Ackerman był teraz wesoły, beztroski. Delikatnie głaskał blondynkę po rękach, uśmiechał się, zaglądał jej w oczy. Dłonie miała szorstkie, spracowane; widać było, że się ich wstydzi.

- To od pracy w pralni - bąknęła. - Nigdy nie pracowałeś w pralni, kotku?

- W pralni? Może... - uśmiechnął się Noe.

- To nieważne, kotku. Przyszłam z tym.

Ruchem głowy wskazała śpiącego przy bufecie pijaka. Woalka zamigotała szkarłatnym i zielonym oświetleniem grającej szafy.

- Facet odpadł w pierwszej rundzie. Wszystko ci wytłumaczę, kotku. - Przysunęła się i zaczęła szeptać rozsiewając silny zapach dżinu, cebuli i fiołkowych perfum. - Marynarze zmówili się przeciwko niemu. Rozumiesz? W mundurach swojej wolnej ojczyzny! Chcą najpierw sprać gościa i wyrzucić za drzwi, a później pójść ze mną i w ciemnej ulicy odbiorą mi torebkę. Idź do nich, Ronaldzie. Pogadaj. Ale na wszelki wypadek zabierz butelkę piwa.

Barman przyniósł dwa podwójne Kwiaty Pomarańczy. Blondynka rzuciła na ladę banknot dziesięciodolarowy.

- Ja stawiam - powiedziała. - W wigilię Nowego Roku wolno mi chyba postawić biednemu, samotnemu chłopcu?

- Za mnie możesz nie płacić - obruszył się młody Ackerman.

- Najlepszego! - Podniosła kieliszek, wzniosła prawie pod nos sąsiada i zalotnie, czule spojrzała mu w oczy przez woalkę. - Pieniądze, kotku... nieważne! Tyle że możesz za nie zrobić frajdę przyjaciółom.

Wypili. Blondynka pogłaskała Noego po kolanie.

- Straszny z ciebie sztywniak, kotku. Bieda. Ale jakoś się chyba rozruszamy? No, chodźmy już! Mam dosyć tej knajpy. Chodźmy do mojego mieszkania. Aha... Wiesz, mam butelkę Czterech Róż. Akurat dla ciebie i dla mnie. Urządzimy małe, rodzinne święto... No, pocałuj mnie nareszcie, kotku!

Odchyliła w tył głowę, zachęcająco przymknęła oczy. Noe pocałował ją w usta. Niezależnie od dżinu i cebuli miękkie wargi smakowały porzeczkami, zapewne dzięki szmince.

- Nie mogę dłużej czekać. - Dosyć pewnie zsunęła się ze stołka i ujęła „Ronalda” pod ramię.

Z kieliszkami w rękach skierowali się na drugi koniec bufetu. Dwaj marynarze, bardzo młodzi chłopcy, spojrzeli na nich nieżyczliwie. Mieli niemądre, zawiedzione miny.

- Nie róbcie draki - ostrzegła ich blondynka. - To Indianin, Siuks - cmoknęła Noego za uchem. - Zaraz wracam, kotku, tylko się trochę odświeżę. Chcę, żebyś mnie mocno kochał.

Zachichotała, wilgotnymi palcami ucisnęła rękę Noego i nie zapominając kieliszka ruszyła w stronę damskiej toalety. Szła z przesadnym wdziękiem. Kwiaty na żółtym tle podrygiwały komicznie nad jej opiętym w elastyczny pas wydatnym zadem.

- Co panu nabajdurzyła? - spytał młodszy z marynarzy. Siedział z gołą głową, a jego krótko obcięte włosy wyglądały jak pierwszy puch na czaszce niemowlęcia.

- Gadała - odrzekł Noe - że chcecie ją ograbić.

- My ją! - obruszył się marynarz w czapce. - Dobry pomysł! Było akurat na odwrót.

- Dwadzieścia pięć dolarów - podjął młodszy kolega. - Rozumie pan? Zażądała po dwadzieścia pięć dolarów od łebka. Plotła, że jest zamężna i że pierwszy raz chce się puścić, i że należy jej się gruba forsa za ryzyko.

- Myśli, że z niej wielka dama - powiedział marynarz w czapce. - Ile od pana żąda?

- Nic. - Noe odczuł przyływ niedorzecznej dumy. - Chce jeszcze dorzucić butelkę Czterech Róż.

Starszy marynarz zwrócił się do kolegi:

- No i co? Jak ci się to podoba?

- Pójdzie pan z nią? - zapytał zazdrośnie młodszy.

- Nie.

- Dlaczego?

Noe rozłożył ręce.

- Nie wiem - odburknął.

- Musisz pan mieć bab po dziurki w nosie - wzruszył ramionami marynarz z gołą głową.

- Mam dosyć! - wybuchnął drugi. - Zabierajmy się stąd! Santa Monica! Fajne miasto! - Z wyrzutem spojrzął na kolegę. - Równie dobrze mogliśmy się bawić w bazie.

- A gdzie jest baza? - zapytał Noe.

- W San Diego. Ale on... - Z pogardliwą, złą miną starszy marynarz wskazał palcem młodszego. - On zorganizował wszystko w Santa Monica. Dwie wdówki, gadał! Z własnym domem! Słuchaj! Ostatni raz wybrałem się gdzieś z tobą.

- To nie moja wina - bronił się chłopiec z niemowlęcym puchem na głowie. - Skąd mogłem wiedzieć, że te dziwki zrobiły ze mnie durnia? Skąd mogłem wiedzieć, że dostałem dęty adres?!

- Godzinami włóczyliśmy się w tej cholernej mgle - podjął drugi. - Szukaliśmy domu pod fałszywym adresem. Nowy Rok, psiamać! Lepiej witałem Nowy Rok, jak miałem siedem lat i mieszkalem na farmie w Oklahoma... No, chodźmy! Mam już zupełnie dosyć.

- A co z nim? - Noe wskazał wzrokiem pijaka, który spokojnie spał z głową na mahoniowej ladzie.

- Niech się ta dziwka martwi.

Młodszy marynarz starannie włożył na głowę małą białą czapkę i obydwaj chłopcy wyszli z baru. Nim drzwi trzasnęły za nimi, Noe usłyszał gniewny głos:

- Dwadzieścia pięć dolarów! Cholera!

Odczekał moment, przyjaźnie poklepał po ramieniu śpiącego pijaka i ruszył śladem marynarzy. Za drzwiami przystanął. Z lubością oddychał świeżym, wilgotnym powietrzem, które przyjemnie chłodziło rozognioną twarz. Przy końcu ulicy, w mdłym blasku latarni, zobaczył dwie granatowe sylwetki nieodwołalnie niknące z jego życia w tumanie gęstej mgły. Odwrócił się i poszedł w przeciwną stronę. Wypita whisky szumiała mu w głowie miło i melodyjnie.

Noe ostrożnie otworzył drzwi i po cichu przestąpił próg ciemnego pokoju. Poczłł smród, o którym zapomnił na pewien czas: alkohol, lekarstwa, jakaś nieokreślona mdląca słodycz... Ręce drżały mu nerwowo. Po omacku zaczął szukać lampki, ale z hałasem potknął się o krzesło, zanim ją zdążył znaleźć.

Ojciec leżał na łóżku wychudły i sztywny, z ustami otwartymi, jak gdyby za chwilę miał przemówić w półmroku. Noe spojrział nań z góry i niepewnie zachwiał się na nogach. Stary, głupi komediant z teatralną brodą, bielonymi włosami i Biblią oprawną w skórę!

„Zechciej mnie rychło wyzwolić, o Boże!...” Jaką religię wyznawał zmarły? Noe był trochę oszołomiony. Nie mógł skupić się na jednej kwestii. Oderwane, niedorzeczne myśli wędrowały swobodnie tu i ówdzie. „Mięsiste wargi. Dwadzieścia pięć dolarów dla marynarzy, a dla mnie za darmo. Dziwne. Nigdy przecież nie miałem szczęścia do kobiet. Widać nieszczęście dodaje mężczyźnie uroku, a kobieta odczuwa to jakoś. Oczywiście, była potwornie zalana... Ronald Beaverbrook... Toczyła się do damskiej toalety, a kwiaty śmiesznie podrygiwały na żółtej spódnicy. Gdybym został, na pewno leżałbym teraz w cieplej pościeli... Miękkie, gorące, tłuste ciało... Dżin, cebula, porzeczki...”.

Na chwilę odczuł piekący żal, że stoi sam w ohydny, pustym pokoju, nad trupem starca.

„Gdyby odwróciła się sytuacja - myślał dalej - gdybym ja leżał i utaj, a stary był na chodzie... Gdyby dostał równie kuszącą ofertę, na pewno byłby w tej chwili w łóżku z blondynką i butelką Czterech Róż... O Boże! Co za myśli! Przecież to był ojciec, mój rodziciel... - Wzdrygnął się nagle. - Czy na starość i ja będę gadał tak samo?”.

Przemógł się. Przez całą minutę stał bez ruchu wpatrzony w twarz zmarłego ojca. Usiłował płakać. Człowiek - każdy człowiek - zmarły samotnie w posępną, zimową noc na przełomie roku ma chyba prawo żądać łzy od jedyne go syna?

Noe nigdy nie myślał wiele o ojcu, od chwili gdy dorósł na tyle, że stać go było na myślenie o nim. Odczuwał nieokreślony żal, urazę, i na tym koniec. Teraz spoglądał na martwą białą głowę, zarysowaną na tle poduszki niby kamienna płaskorzeźba, piękna i szlachetna. Na pewno Jakub wyglądał tak, jak chciał wyglądać po śmierci, jak wiedział, że będzie wyglądał. Z daleka wędrował, by znaleźć wreszcie ostatnią nędzną izdebkę nad Oceanem Spokojnym. Z brudnych zaułków Odessy przez Rosję, przez Morze Bałtyckie i

Atlantyk do wrzaskliwego labiryntu Nowego Jorku. Noe przymknął powieki i oczyma wyobraźni zobaczył życie ojca. Oto ruchliwy, sprytny młody mężczyzna, z dumnym, wysokim czołem i wydatnym nosem, łatwo wrasta w obce warunki. Angielski przyswaja sobie szybko, bo ma wrodzony niezawodny instynkt retora. Szasta się po zatłoczonych ulicach. Byстрыm, przenikliwym okiem ocenia wszystko. Zawsze ma w pogotowiu uśmiech dla dziewcząt, dla współników, klientów, przygodnych znajomych... Odważny i nieuczciwy przemierza Południe. Jest w Atlancie, w Tuscaloosie. Zręczny, przebiegły, nie dba naprawdę o pieniądze, szachruje jednak, żeby je zdobywać i w rezultacie tracić. Wędruje przez amerykański kontynent aż do Minnesoty i Montany... Śmieje się, pali mocne cygara, jest szeroko znany w szynkach i potajemnych szulerniach, jednym tchem opowiada sprośne dykteryjki i cytuje Izajasza... W Chicago żeni się z matką Noego. Na pewien czas poważnieje, dobrze gra nową rolę: jest delikatny, tkliwy, może nawet ma zamiar usatkwować się na dobre i być godnym szacunku obywatelem... Jest już w średnim wieku, zaczyna siwieć... Po obiedzie zasiada nieraz w pluszowym saloniku i nieuczonym, melodyjnym barytonem śpiewa małemu synkowi:

W maju, przepięknym maju,

W gaju, zielonym gaju...

Noe smutno pokiwał głową. Dźwięczny, młody jeszcze głos i proste słowa: „W maju, w przepięknym maju” - wracały raz po raz i nie chciały umilknąć.

Mijają lata. Nieubłagany czas wyciąga rękę po Jakuba. Nędzne przedsiębiorstwa są coraz nędzniejsze, nieprzyjaciół przybywa, wrogi świat otacza szachraja ciasniej i ciasniej. Upadłość w Chicago, upadłość w Seattle, upadłość w Baltimore i wreszcie ostateczna, druzgocąca klęska w Santa Monica... „Wiodłem nędzne życie, oszukiwałem ludzi, a własną żonę na śmierć zadreczyłem. Mam tylko jednego syna i nie widzę dla niego miejsca w świecie. Jestem bankrutem...”. Wizja oszukanego brata w żarze ognistego pieca, wizja, co po wielu, wielu latach przybyła z drugiej strony oceanu, by towarzyszyć ostatnim tchnieniom konającego...

Noe spojrział na trupa suchymi oczami. Otwarte usta stwarzały przejmujący grozą pozór życia. Wzdrygnął się, podszedł do łóżka, pchnął ku górze szczękę. Poczul w palcach ostrą, drapiącą brodę. Zęby szczęknęły sucho, metalicznie. Szczęka wróciła na miejsce,

lecz opadła znowu, kiedy Noe cofnął rękę. Zdawać się mogło, że stary Ackerman przemówi lada chwila. Raz po raz przerażony Noe zamykał uparte usta coraz silniej, coraz gwałtowniej. Ilekroć jednak usuwał rękę, wargi rozchylały się i zęby połyskiwały w żółtym świetle. Noe szalał. Wparł się kolanami w brzeg łóżka, opadł z sił, ale jego ojciec nie ustępował po śmierci, jak za życia nie ustępował nigdy rodzicom, nauczycielom, bratu, żonie, przeciwnościom losu, wspólnikom, kochankom, synowi...

Noe cofnął się. Otwarte usta ohydnie, blado rysowały się pod bujnym włosiem na tle aktorskiej twarzy i siwej głowy spoczywającej na brudnej poduszce.

Osierocony syn wybuchnął płaczem po raz pierwszy i ostatni tej nocy.

Rozdział IV

Christian siedział w małym, odkrytym wozie patrolowym i beztrosko sunął wysadzaną drzewami francuską szosą. Czuł się po trosze oszustem. Na głowie miał hełm, pistolet maszynowy trzymał oparty o kolano. Jadł wiśnie zerwane po drodze w jakimś sadzie niedaleko Meaux. Za pofałdowanym pasmem zielonych wzgórz leżał Paryż - prosto przed nim. Christian mijał kamienne domy i wiedział, że Francuzi przyglądający mu się zza opuszczonych żaluzji mają go za walecznego żołnierza, zdobywcę, niszczyciela. Tymczasem nie słyszał jeszcze ani jednego strzału, chociaż wojna dawała się dobiegać końca.

Obejrzał się na Brandta siedzącego w tyle samochodu. Brandt - fotograf z kompanii propagandy wojskowej - przyczepił się już w Metz do oddziału zwiadowczego Christiana. Był to szczupły jegomość o minie naukowca, przed wojną ledwie średni malarz. Z Christianem zaprzyjaźnił się w Tyrolu, gdzie przyjechał wiosną na narty. Teraz był opalony na czerwono, oczy miał zażawione od kurzu, a w hełmie wyglądał jak uczeń bawiący się w wojsko na rodzinnym podwórku. Gniótł się na ciasnym tylnym siedzeniu obok kaprała, olbrzymiego Ślązaka, który rozparł się wygodnie i spychał w kąt Brandta i jego ekwipunek fotograficzny. Christian uśmiechnął się do dawnego znajomego.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał Brandt.

- Z koloru twojego nosa.

Fotograf ostrożnie dotknął przypieczonej, złuszczonej skóry.

- Aha, złazi siódma podszewka. Mój nos nadaje się raczej do przechowywania w domu. No, prędzej, sierżancie! Zawieź mnie wreszcie do Paryża. Koniecznie muszę wypić coś mocnego, i to niedługo.

- Cierpliwości, mistrzu - uśmiechnął się Christian. - Odrobinę cierpliwości. Wiesz chyba, że to mimo wszystko wojna?

Olbrzymi kaprał ze Śląska ryknął śmiechem. Był to wesoły chłopak, prostoduszny i głupi. Chciał przypodobać się przełożonemu, a ponadto dać wyraz szczerzej ucieście z

powodu milej wycieczki do Francji. Poprzedniej nocy, kiedy owinięty kocem leżał przy szosie obok Christiana, powiedział z miną bardzo serio, że obawia się zbyt prędkiego końca wojny. Za wszelką cenę chce zabić bodaj jednego Francuza. Jego ojciec stracił nogę pod Verdun w tysiąc dziewięćset szesnastym roku i kapral - nazywał się Kraus - dobrze pamiętał, że jako siedmioletni berbecę stanął na baczność przed jednonogim rodzicem i w wigilię Bożego Narodzenia - po Pastercie - zameldował: „Umrę szczęśliwy, jeżeli przedtem zabiję Francuza”. Działo się to przed piętnastoma laty, ale Kraus był wierny danemu słowu i na każdym zakręcie szosy wypatrywał Francuzów, którzy mogliby mu się przysłużyć. W Chanly spotkał go przykry zawód, bo francuski podporucznik wyszedł z kawiarni i machając białą flagą poddał bez wystrzału szesnastu możliwych kandydatów na ofiary.

Christian odwrócił się i nad komiczną, czerwono opaloną twarzą Brandta spojrzął w stronę dwóch samochodów, które sunęły za nim równą, prostą szosą w siedemdziesięciopięciometrowych odległościach. Porucznik z resztą plutonu posuwał się drugą, równoległą drogą, a te trzy wozy oddał pod dowództwo sierżanta. Rozkaz był prosty: jechać do Paryża, który na pewno nie będzie broniony. Christian uśmiechnął się dyskretnie. Był dumny, kontent z siebie i z tej pierwszej zupełnie samodzielnej funkcji. Miał pod komendą trzy samochody i jedenastu ludzi uzbrojonych w dziesięć karabinów lub pistoletów maszynowych oraz jeden cekaem.

Znowu odwrócił się w kierunku jazdy i spojrzął wzdłuż gładkiej szosy.

„Śliczny kraj - pomyślał - i troskliwie zagospodarowany. Wymuskane pola, obsadzone topolami na miedzach. Orka jak pod sznur. Równe zagony pokryte świeżą, czerwcową zielenią”. Jakie to wszystko wspaniałe, zaskakujące. Po długiej zimie oczekiwania nagły skok przez Europę - cudowna, nieodparta powódź siły, przemyślana i zorganizowana do ostatniej tabletki sody, do ostatniej tuby salwarsanu. Christian uśmiechnął się sennie na myśl, że w Akwizgranie każdy żołnierz otrzymał nie tylko żelazną rację żywnościową, lecz również trzy tuby tego zbawiennego leku. Oto jak służba zdrowia oceniała rodzaj francuskiego oporu! I wszystko gra znakomicie. Mapy bez zarzutu. Magazyny i woda w miejscach z góry przewidzianych. Stan dróg, zakres obrony nieprzyjaciela, jego siły nie inne, niż zapowiadały rozkazy... Christian przypomniał sobie

dławiając Francję sieć maszyn i ludzi, i pomyślał, że tylko Niemcy mogą zdobyć się na coś podobnego.

Nad pomrukiem samochodowego silnika zapanował łoskot śmigła samolotu. Christian uśmiechnął się, odwrócił głowę. Powoli doganiał go stukas, który leciał wzdłuż szosy na wysokości pięćdziesięciu stóp. Wyglądał pięknie, zdobywczco. Dwa koła wysunięte zaczepnie do przodu, niby szpony pod brzuchem sokoła. Christian przyglądał się skrzydłom zarysowanym na tle pogodnego nieba i przez chwilę żałował, że nie wstąpił do lotnictwa. Nie ulega wątpliwości, że lotnicy to pupile armii i cywilów w kraju. Poza tym prowadzą życie niedorzecznie luksusowe, niby w pierwszorzędnym hotelu na urlopie. I co to za ludzie! Najlepsi z całego narodu: młodzi, waleczni, pewni siebie. Widywał ich często w barach. Słuchał rozmów prowadzonych w zamkniętych nielicznych grupkach specyficznym żargonem i na specyficzne tematy. Lotnicy beztrąsko szastali pieniędzmi i mówili, jak to było nad Madrytem albo w czasie bombardowań Warszawy. Mówili o dziewczętach z Barcelony i o zaletach lub wadach nowego messerschmitta. W ogóle nie myśleli o śmierci i klęsce, jak gdyby takie sprawy nie istniały w ich arystokratycznym, izolowanym świecie, pełnym niebezpieczeństw i radości.

Tymczasem stukas zrównał się z samochodem. W oszklonej kabinie widać było uśmiechniętą twarz pilota. Christian odpowiedział uśmiechem i zamachał ręką. Lotnik przechylił maszynę na skrzydło i odpowiedziawszy tak na pozdrowienie odleciał wzdłuż wysadzaną drzewami szosy w stronę Paryża - młodzieńczy, beztrąski, nieustraszony, zdany na własne tylko siły.

W uszach kojąco szumiał miarowy pomruk silnika samochodowego, z włosami igrał pachnący zielenią wietrzyk. Christian siedział rozparty wygodnie, a w głowie dźwięczała mu fraza muzyczna koncertu, którego wysłuchał w Berlinie podczas urlopu. Była to partia klarnetowa kwintetu Mozarta - żałobna i przejmująca jak beznamiętna skarga dziewczicy, w letnie popołudnie oplakującej lubego nad szeroko rozlaną, leniwą rzeką. Ukołysany wewnętrzną muzyką Christian przymknął powieki. Złote odbłaski światła migotały mu w oczach tylko od czasu do czasu. Dobrze pamiętał klarnecistę. Był to drobny jegomość o zatroskanej minie, zupełnie łysy i z bezbarwnymi, obwisłymi wusami. Przypominał męża-pantoflarza z karykatury.

Christian pomyślał zartobliwie, że w tak podniosłej chwili powinien raczej nucić coś z Wagnera. Nie śpiewać dziś Zygryda to w pewnym sensie zdrada wobec wielkiej Trzeciej Rzeszy. Nie bardzo lubił Wagnera, lecz postanowił przypomnieć sobie jakąś jego melodię, gdy upora się z Mozartowskim kwintetem. Będzie z tego jedna niewątpliwa korzyść: Wagner rozbudzi go zupełnie. Tymczasem usnął na dobre. Głowa opadła mu na piersi. Oddychał równo i uśmiechał się przez sen. Kierowca przyjrzał mu się z ukosa, a później odwrócił głowę, zrobił po przyjacielsku drwiącą minę i pokazał go palcem fotografowi i kapralowi, którzy siedzieli w tyle wozu. Ślżak znów ryknął śmiechem, jak gdyby sierżant uraczył go wybournym, szczególnie dowcipnym żartem.

Trzy samochody sunęły spokojnie gładką, prostą szosą. Skąpana w słońcu piękna okolica była zupełnie pusta, nie licząc mijanego od czasu do czasu zablżkanego bydła, nielicznych kur i kaczek. Zdawać się mogło, że cała ludność urządziła sobie święto i poszła na jarmark do sąsiedniego miasta.

Pierwszy wystrzał był jak gdyby częścią składową melodii. Dopiero pięć dalszych obudziło Christiana. Zgrzytnęły hamulce. Wóz zatoczył się na skraj drogi i wylądował w rowie. Prawie we śnie Christian zeskoczył i padł za osłoną samochodu. Inni dysząc z wrażenia leżeli obok niego w przydrożnym pyle. Przez chwilę czekał, że coś się zdarzy, że ktoś powie mu, co trzeba robić. Niebawem zorientował się jednak, że inni niespokojnie spoglądają na niego. „Dowodzący podoficer - przypomniał sobie słowa regulaminu - niezwłocznie oceni sytuację i swoją decyzję przekaże podwładnym w formie zwięzłych, jasnych rozkazów. Nie wolno mu okazać niepewności, a przez cały czas ma zachowywać się śmiało i z pewnością siebie”.

- Nikt nie ranny? - szepnął.

- Nikt - odpowiedział Kraus; trzymał palec na cynglu karabinu i łakomym wzrokiem wyglądał zza opony przedniego koła.

Brandt powtarzał nerwowo: „Chryste Panie! Chryste Panie!”, i nieprzytomnie mocował się z bezpiecznikiem pistoletu, jak gdyby nigdy dotąd nie miał broni w ręku.

- Daj spokój! - ofuknął go sierżant. - Daj spokój pistoletowi. Jeszcze kogo zabijesz.

- Uciekajmy - szepnął fotograf. - Wszystkich nas wystrzelają.

Hełm spadł mu z głowy. Włosy miał spocone i zakurzone.

- Stul pysk! - wybuchnął Christian.

Zagrzechotał ogień karabinowy. Pociski zabębniły na blachach samochodu. Jedna opona wystrzeliła.

- Chryste Panie, Chryste Panie - mamrotał Brandt.

Christian postanowił zająć stanowisko za tyłem wozu i po drodze musiał przeczołgać się nad kierowcą.

„Do diabła - przemknęła mu przez głowę myśl nie na czasie - ten chłop nie kąpał się chyba od kampanii w Polsce”.

- Może byś się kiedy wykąpał! - warknął gniewnie.

- Rozkaz, panie sierżancie - służbiście odpowiedział żołnierz.

Korzystając z osłony tylnego koła sierżant uniósł nieco głowę. Tuż przed sobą miał kępkę stokrotek, powiększoną dzięki bliskości do rozmiarów przedpotopowego lasu. Dalej ciągnęła się szosa, nad którą powietrze drgało lekko od upału.

W odległości dwudziestu stóp wylądował na drodze mały ptaszek i zajęty własnymi sprawami zaczął podskakiwać po asfalcie. Dziobkiem muskał piórka i od czasu do czasu ćwierkał niemelodyjnie. Zdawać się mogło, że to niecierpliwy klient daje o sobie znać w opustoszałym sklepie.

Sto jardów dalej był wykop o dosyć stromych zboczach, a w nim barykada zagradzająca szosę, jak tama umieszczona w łożysku strumienia. Christian obejrzał ją dokładnie, ale nie zauważył oznak życia. Leżała w głębokim cieniu, gdyż po obydwu stronach drogi rosły szumiące drzewa i zielonymi gałęziami stykały się nad barykadą. Christian zerknął za siebie. W pobliżu był zakręt. Pozostałych dwóch samochodów nigdzie nie było widać. Musiały zatrzymać się po pierwszych strzałach. Sierżant zaniepokoił się o nie i zaczął kłąć w duchu, że zasnął i jak głupiec wpadł w taką kabałę.

Niewątpliwie barykadę zaimprovizowano w pośpiechu: dwa drzewa ze świeżymi jeszcze liśćmi, materace, kanapa, przewrócony na bok wóz konny, kamienie z pobliskiego płotu. Umieszczona była korzystnie, bo gęste drzewa chroniły ją przed obserwacją z powietrza, a niebezpieczeństwo można było odkryć jedynie natknąwszy się na nie, co właśnie stało się przed chwilą. Całe szczęście, że Francuzi wcześniej otworzyli ogień!

Christian czuł na ustach smak popiołu. Strasznie chciało mu się pić. Na języku obolałym trochę od papierosowego dymu poczuł nagle szczypanie soku zjedzonych wiśni.

„Gdyby mieli odrobinę oleju w głowie - myślał zapatrzony posepnie w barykadę tonącą w zagadkowym cieniu - gdyby mieli odrobinę oleju w głowie, byłiby teraz na naszych skrzydłach gotowi do morderstwa. Jak mogłem tak pokpić sprawę? Jak mogłem usnąć? Moździerz czy karabin maszynowy ustawiony gdzieś w lesie wykończyłyby nas w pięć sekund". Ale dokoła nic się nie działo. Tylko ptaszek podskakiwał za stokrotkami na asfalcie i od czasu do czasu ćwierkał niecierpliwie.

Christian usłyszał szmer i odwrócił się gwałtownie. Ale był to tylko Maeschen, szeregowiec z obsługi jednego z pozostałych w tyle samochodów. Pod osłoną zarośli czołgał się przepisowo, tak jak go uczono podczas szkolenia. Karabin ułożył w kabłąkach zgiętych rąk niczym w kołysce.

- Jak tam u was? - zapytał Christian. - Nikt nie ranny?

- Nie - odsapnął Maeschen. - Wozy stoją za zakrętem. Wszystko w porządku. Sierżant Himmler przysłał mnie, żeby zobaczyć, czy żyjecie jeszcze.

- A żyjemy, żyjemy - odpowiedział ponuro Christian.

- Sierżant Himmler polecił mi zameldować panu sierżantowi, że wróci do dowództwa kompanii, zamelduje, że pan sierżant nawiązał styczność z nieprzyjacielem, i poprosi o wsparcie dwóch czołgów.

- Maeschen wyrażał się przepisowo, tak jak wyuczyli go instruktorzy podczas długich, nudnych godzin.

Christian zerknął z ukosa na barykadę, niską i tajemniczą w zielonym cieniu leśnej nawy. „Akurat mnie musiało się to przytrafić - pomyślał z żalem. - Jeżeli wyjdzie na jaw, że spałem, czeka mnie sąd polowy". Usłyszał nagle suchy szelest urzędowych papierów. Zobaczył srogie miny oficerów za stołem i siebie stojącego sztywno, czekającego na nieuchronny cios.

„Bardzo usłużny ten Himmler - pomyślał ironicznie. - Gotów pędzić do tyłu po posiłki. A ja mogę zostać sam. Niech mnie Francuzi zakatrupią".

Himmler był okrągły, hałaśliwy i jowialny. Zawsze śmiał się i robił zagadkową minę, kiedy pytano go o związki krwi z Heinrichem Himmlerem. Jedną z niemiłych

legend szwadronu głosiła, że to krewni, może stryj i bratanek, toteż sierżantowi Himmlerowi wszyscy okazywali należyte względy. Zapewne pod koniec wojny okaże się, że to nieprawda, że pokrewieństwo wcale nie istnieje. Do tego czasu jednak Himmler zostanie pułkownikiem - oczywiście tylko dzięki mglistej legendzie, bo to kiepski żołnierz i o własnych siłach nie potrafiłby zajść daleko.

Christian pokręcił głową. Przede wszystkim należało skoncentrować się na bezpośrednim działaniu, a zadanie to było diabelnie nudne. Kiedy życie zależy od każdego poruszenia, myśl lubi wędrować samopas, zbaczać z właściwego kierunku.

Himmler, niedomyty kierowca cuchnący brudnymi mydlinami, ptaszek na asfalcie szosy, bladeść pod opalenizną na twarzy Brandta... Ach, ten Brandt! Przywarował, zarył twarzą w ziemię, jak gdyby zębami mógł sobie wygrzebać wnęk strzelecki!

Nic nie ruszało się za niską barykadą. Chwilami tylko drżały na wietrze zielone liście niedaleko ściętych drzew.

- Kryj się! - rzucił Christian podkomendnym.

- Mam zostać? - spytał niespokojnie Maeschen.

- Jeżeli pan łaskaw - odburknął Christian. - Herbatę podamy o czwartej.

Maeschen zrobił niemądrą minę i zaczął wydmuchiwać piasek celownika swego karabinu. Christian wysunął pistolet maszynowy nad kępkę stokrotek. Wziął na cel barykadę. Zrobił głęboki wdech. „Pierwszy strzał - pomyślał. - Pierwszy od początku wojny”. Puścił dwie krótkie serie. Strzały pośród drzew narobiły wiele hałasu. Widział, jak pęd powietrza zatargał stokrotkami. Za sobą usłyszał ciche skomlenie i pociąganie nosem. „To Brandt - pomyślał - fotoreporter wojenny”.

Przez moment nic się nie działo. Ptaszek zniknął. Stokrotki uspokoiły się wkrótce. Echa wystrzałów zamarły w lesie.

„Nie - pomyślał Christian - przecież to nie idioci. Nie siedzą za barykadą. Sprawa nie może być aż tak prosta”.

Nie odrywał jednak wzroku od barykady i niebawem dostrzegł w górnej jej części kilka luf karabinowych. Huknęły strzały. Pociski złowieszczo świsnęły nad głowami.

- Nie! Mój Boże! Nie! Nie chcę!

Był to głos Brandta. Do licha! Czegóż można było oczekiwać od pejzazysty w średnim wieku?

Christian zmusił się do niezamykania oczu. Liczył strzelające karabiny. Było ich sześć, najwyżej siedem. Ogień ustał równie nagle, jak się rozpoczął.

„Za dobre, by mogło być prawdziwe - pomyślał Christian. - Na pewno Francuzi są bez oficera. Kilku chłopaków opuszczonych przez porucznika. Boją się i robią wszystko, co w ich mocy, ale nietrudno będzie ich capnąć”.

- Maeschen!

- Rozkaz, panie sierżancie.

- Wracaj do sierżanta Himmlera. Powiedz mu, żeby wyprowadził wozy na szosę. Stąd ich nie będzie widać. Będą zupełnie bezpieczne.

- Tak jest, panie sierżancie.

- Brandt! Uspokój się! - Christian nie spojrział za siebie, lecz tonem głosu wyraził złość i pogardę.

- Tak, tak - wyjąkał Brandt. - Oczywiście... Nie zwracaj na mnie uwagi... Oczywiście zrobię wszystko, co rozkażesz. Licz na mnie. Możesz mi zaufać.

- Maeschen!

- Rozkaz, panie sierżancie.

- Powiedz sierżantowi Himmlerowi, że przez ten lasek obejdę barykadę z prawej strony i spróbuję zaatakować od tyłu. Sierżant Himmler ma wziąć co najmniej pięciu ludzi, zejść z szosy w miejscu, na którym teraz stoi, i w taki sam sposób okrążyć nieprzyjaciela z lewej strony. Za barykadą jest sześciu lub siedmiu Francuzów uzbrojonych tylko w karabiny. Myślę, że nie ma z nimi oficera. Zapamiętasz to wszystko?

- Tak jest, panie sierżancie.

- Za piętnaście minut - ciągnął Christian - wystrzelę raz i zażądam, żeby się poddali. Wtedy zorientują się, że są pod ogniem od tyłu, i na pewno nie będą stawiać oporu. Jeżeli przyjdzie im chęć na obronę, wy uderzycie z drugiej strony. Tutaj zostawię jednego człowieka, na wypadek gdyby chcieli wyjść przed barykadę. Zrozumiano?

- Tak jest, panie sierżancie.

- Dobrze. Odmaszerować.

- Rozkaz, panie sierżancie.

Maeschen odpełznął z dzielną, stanowczą miną.

- Diestl - odezwał się Brandt.

- Aha - rzucił sucho Christian nie odwracając głowy. - Jeżeli chcesz, możesz wycofać się z Maeschenem. Nie jesteś pod moją komendą.

- Wolę iść z tobą - podjął fotograf opanowanym głosem. - Już mi lepiej. Zły moment minął - roześmiał się głucho. - Musiałem przywyknąć do prostego faktu, że ktoś do mnie strzela. Mówiłeś, że masz zamiar zażądać, by się poddali. Lepiej weź mnie ze sobą, żaden Francuz nie zrozumie twojej francuszczyzny.

Christian spojrzał na Brandta. Uśmiechnęli się do siebie.

„W porządku! Chłop jest teraz w zupełnym porządku” - pomyślał sierżant i zaraz dodał głośno:

- Dziękuję, Brandt. Możesz pójść z nami.

Przez gęstwę paproci zaczął pełznąć w stronę lasu. Za nim włókł się Brandt z *leicą* w jednej, a przezornie zabezpieczonym pistoletem w drugiej ręce. Rozpromieniony Kraus stanowił straż tylną. Paprocie były miękkie i pachniały stęchlizną. Od torfiastej ziemi zostawały na mundurach zielonawe plamy. O trzydzieści jardów od szosy ciągnął się niski wał. Po drugiej jego stronie żołnierze mogli wstać i chyłkiem posuwać się dalej. Krzewy podszycia czepiały się ich spodni i butów, gdy ostrożnie postępowali naprzód, równoległe do drogi. Nagle zaszeleściło coś w cichym lesie. Dwie wiewiórki rozpoczęły zabawę i goniąc się przeskakiwały błyskawicznie z drzewa na drzewo.

„Nic z tego nie będzie - rozmyślał Christian. - Cała historia musi skończyć się fatalnie. To wzorowa pułapka, a ja wzorowo pozwoliłem się w nią wciągnąć. Armia wkroczy triumfalnie do Paryża. To rzecz oczywista. Ale ja nigdy nie zobaczę tej stolicy. Trup może leżeć tutaj przez dziesięć lat i nie znajdzie go nikt z wyjątkiem sów lub leśnego zwierza”.

Na szosie i później, kiedy pełzał wśród paproci, pocił się obficie. Teraz jednak posępny chłód przeniknął mundur i zmroził pot na skórze. Christian zacisnął usta, żeby nie szczełkać zębami. Las roi się pewnie od Francuzów. Zrozpaczeni, ziejący nienawiścią,

przemykają się za drzewami znanymi niczym meble we własnych sypialniach. Gorąco pragnęli uśmiercić chociaż jednego Niemca, zanim pochłonie ich ogólna klęska, Brandt przez całe życie szlifował wielkowiejskie bruki, toteż hałasował teraz jak stado bydła zabłąkanego w gąszczu.

„Czemu, u Boga Ojca, musiało to tak wypaść? - myślał Christian. - Pierwsze zadanie bojowe i cała odpowiedzialność na moim karku. Właśnie tym razem porucznik wybrał się własną drogą. Od początku wojny siedział mi na karku godzina po godzinie. Patrzył na mnie kosym okiem, krzywił ten swój długi nos i mówił: «Sierzancie, czy tak uczono was wydawać komendy?» albo: «Sierzancie, czy waszym zdaniem tak należy wypełniać kwit rekwizycyjny?» albo: «Sierzancie, kiedy mówię, że chcę mieć dziesięciu ludzi o godzinie czwartej, to znaczy o czwartej, nie o czwartej dwie ani czwartej dziesięć, ani czwartej piętnaście. Punktualnie o czwartej, sierzancie! Zrozumiano?» Teraz porucznik zadowolony z siebie jedzie samochodem pancernym po idealnie zabezpieczonej szosie. Jest nafaszerowany taktyką, Clausewitzem, teorią szyków bojowych i ruchów oskrzydających, i pól ogniowych, i regułami marszu według busoli w nieznanym terenie. A czego mu potrzeba? Zwyczajnej mapy drogowej i kilku galonów benzyny. Tymczasem ja, Christian Diestl, w gruncie rzeczy przebrany cywil, odbywam szaleńczy, zaimprovizowany patrol w pełnym zasadzek lesie. Chcę zaatakować umocnione stanowisko, a mam dwóch ludzi, którzy nigdy w życiu nie strzelali do nikogo... Ta wariacka impreza nie może się udać! Nie może!"

Z niejasnym podziwem wspomniął optymizm, który mu towarzyszył na szosie.

- Samobójstwo - mruknął - proste samobójstwo...

- Co takiego? - Szept Brandta zadźwięczał w cichym lesie jak gong zwołujący na obiad pensjonatowych gości. - Mówiłeś coś?

- Nie, nie. Cicho! - odburknął sierżant.

Oczy bolały go od natężenia, z jakim obserwował każdy liść i każde źdźbło trawy.

- Uwaga! - wrzasnął nagle Kraus. - Uwaga!

Christian dał nurka za drzewo, a Kraus runął na niego całym ciężarem. Pocisk trafił w pień tuż nad ich głowami. Sierżant odwrócił się w jednej chwili. Brandt mrugał nieprzytomnie za szklami okularów i znowu mocował się z bezpiecznikiem pistoletu.

Kapral leżąc na boku szarpał karabin, aby wyplątać pas z gałęzi podszyścia. Huknął drugi strzał. Christian poczuł, że zapiekło go coś za uchem. Upadł, zerwał się i wystrzelił do klęczącego Francuza, którego dojrzał nagle pośród zielonej gęstwy liści, za dużym głazem. Widział, jak okruchy sypnęły się z kamienia. Spostrzegł, że pistolet ma nie nabity, toteż usiadł na ziemi i zaczął szarpać nowy magazynek, ciasno tkwiący w gnieździe. Nagle usłyszał z lewej strony strzał i głos Krausa, który wrzeszczał jak niedorostek podczas pierwszego polowania na bażanty: „Dostał! Dostał!”. Francuz powoli osunął się twarzą na trawę, a kapral skoczył w jego stronę, jak gdyby obawiał się, że inny myśliwy może przywłaszczyć sobie zwierzynę. Znowu gruchnęły dwa strzały. Kraus upadł do przodu na gęsty krzaczek i leżał rozciągnięty, a gałęzie uginały się pod nim i wprawiały pośladki w rytmiczne drganie. Brandt uporał się wreszcie z bezpiecznikiem i na chybił trafił strzelał w kierunku kępy zarośli. Siedział na ziemi, okulary miał komicznie przekrzywione, przygryzł wargi, aż pobielaly, i chcąc opanować drzenie niepewnej ręki, lewą dłonią ścisnął prawy łokieć. Tymczasem Christian zmienił magazynek i również otworzył ogień. Nagle z kępy zarośli wyleciał karabin, a za nim wyskoczył człowiek z rękami podniesionymi w górę. Strzały umilkły. W lesie zapanowała cisza. Christian poczuł duszący, ostry swąd spalonego prochu.

- *Venez!* - zawołał. - *Venez ici!*

Szumiało mu w głowie, w uszach dzwoniło od strzelaniny, ale nagle ukazanie się pokonanego przeciwnika przejęło zwycięzcę wewnętrznym dreszczem dumy.

Francuz zbliżał się powoli. Ręce trzymał nad głową. Mundur miał brudny, kołnierz rozpięty, a twarz pod gęstym, ciemnym zarostem trupio bladą ze strachu. Raz po raz nerwowo oblizywał rozchylone wargi.

- *Weź go na muszkę!* - rozkazał sierżant Brandtowi, który z podziwu godną zimną krwią fotografował nadchodzącego jeńca.

Brandt zrobił groźną minę i podniósł pistolet. Francuz stanął. Zdawać się mogło, że za chwilę zemdleje. Błagalnym, przerażonym wzrokiem odprowadzał Christiana, kiedy ten mijał go i szedł w stronę krzaka, na którym zawisnął Kraus. Gałęzie nie drgały już i widać było, że kapral naprawdę nie żyje. Sierżant ułożył go na trawie. Biedak miał pogodny, trochę zdziwiony wyraz twarzy.

Chwiejnym krokiem, bo głowa bolała go od kontuzji i krew ciekła z zadraśnięcia nad uchem, Christian podszedł do Francuza upolowanego przez Krausa. Dostał między oczy i twarz miał okropnie zmasakrowaną. Był młody, mniej więcej w wieku swojego zabójcy.

„Ile złego wynika z amatorskiej roboty - pomyślał. - Cztery strzały od początku wojny, a o bitwie świadczy aż dwóch poległych”.

Zmacał draśnięcie na skroni. Krew przestała się sączyć. Wrócił do Brandta i za jego pośrednictwem rozkazał, by jeniec poszedł do barykady i oznajmił kolegom, że są otoczeni i zginą co do jednego, leżeli nie poddadzą się niezwłocznie.

„Mój pierwszy dzień wojny - pomyślał, kiedy Brandt zajęty był tłumaczeniem - a już wysyłam ultimatum, niby jaki generał”. Czuł się beztrąsko i niepewnie stał na nogach, a prawdę mówiąc nie wiedział, czy rozplacze się za chwilę, czy wybuchnie śmiechem.

Francuz z zapalem kiwał głową i mówił coś do Brandta, za prędko, żeby Christian mógł zrozumieć.

- Gada, że załatwi wszystko - rzekł fotograf.

- W porządku. Powiedz mu, że pójdziemy za nim. Dostanie kulkę w plecy, gdyby przysłała mu chęć na jakieś głupstwa.

Brandt przetłumaczył, a Francuz z przekonaniem potwierdził ruchem głowy, jak gdyby usłyszał najgrzeczniejsze zdanie. Ruszyli przez las w stronę barykady i minęli ciało Krausa. Śluzak leżał spokojnie. Zdawać się mogło, że odpoczywa. Blask słońca sączył się przez liście i malował mu hełm ciemnym złotem.

Francuza wypuścili o dziesięć kroków naprzód. Zatrzymał się na skraju lasu koło niskiego kamiennego murku, biegnącego wzdłuż szosy o trzy jardy wyżej.

- Emil! - zawołał. - Emil! Posłuchaj! To ja, Morel.

Przesadził murek i zniknął z pola widzenia. Christian i Brandt przesunęli się ostrożnie i uklękli za kamienną osłoną. Na szosie ich jeniec stał i mówił coś szybko do siedmiu żołnierzy klęczących lub leżących za barykadą. Od czasu do czasu któryś z Francuzów spoglądał w stronę lasu. Słysząc było szybki, drżący szept kilku głosów. Nawet w mundurach i z karabinami w rękach ludzie ci wyglądali na wieśniaków rozstrzygających z zapalem ważną lokalną kwestię. Christian zastanawiał się, jaki nagły przyływ

patriotyzmu lub osobistego męstwa mógł skłonić ich do efektownego, pozbawionego sensu, odosobnionego oporu, do krwawej, niedorzecznej walki bez planu i dowództwa oficera. Liczył, że się poddadzą. Nie miał ochoty zabijać tych szepczących, zmęczonych ludzi w zaszarganych, lichych mundurach. Jeniec odwrócił się i podniósł rękę.

- *C'est fait!* - krzyknął. - *Nous sommes finis!*

- Gada, że zrobione - przetłumaczył Brandt - że koniec z nimi.

Sierżant wyprostował się i ruchem ręki nakazał Francuzom złożyć broń. Ale w tej chwili po przeciwnej stronie barykady zagrzechotały trzy krótkie serie. Żołnierz, który prowadził pertraktacje, upadł. Inni pierzchnęli szosą. Strzelali bezładnie i jeden po drugim przepadali w lesie.

„To Himmler - pomyślał ze złością Christian. - Akurat w najmniej odpowiedniej chwili! Gdyby był potrzebny, na pewno...”.

Przesadził murek i po stoku zsunął się za barykadę. Ci z drugiej strony strzelali jeszcze, lecz bez widomego skutku. Francuzi zniknęli, a Himmler i jego ludzie nie mieli widać ochoty na pościg.

Ranny drgnął, kiedy Christian stanął nad nim. Usiadł i wytrzeszczonymi oczyma spojrzał na Niemca. Później oparł się sztywno o barykadę i sięgnął do ukrytej za pniem skrzynki granatów. Ujął jeden i nieporadnie zaczął ciągnąć zapalnik. Sierżant odwrócił się. Zobaczył nienawistnie wykrzywioną twarz i zęby na zapalniku. Wtedy wystrzelił, a Francuz upadł na wznak. Granat potoczył się po asfalcie. Christian podskoczył, chwycił go i rzucił w las. Na chwilę przycupnął za barykadą. Czekał na wybuch, ale nic nie usłyszał. Ranny nie poradził sobie z zapalnikiem.

Christian wstał.

- W porządku! - krzyknął. - Himmler, wyłaź!

Po lewej stronie szosy zaszeleściły krzaki. Christian spoglądał w dół, na człowieka, którego przed chwilą zabił. Brandt fotografował trupa, bo zdjęcia poległych Francuzów były jeszcze rzadkością w Berlinie.

„Zabiłem człowieka” - pomyślał Christian, nie doświadczył jednak żadnego osobliwego uczucia.

- No i co? - mówił rozradowany Himmler. - Jak ci się podoba? Czysta robota. W sam raz na Żelazny Krzyż!

- Bodaj cię licho! - warknął Christian. - Stul gębę!

Odciągnął zabitego Francuza na skraj drogi i rozkazał uprzątnąć barykadę, a sam z Brandtem wrócił do lasu na miejsce, gdzie leżał Kraus.

Zanim wynieśli go na szosę, Himmler ze swymi ludźmi prawie uporał się z barykadą. Zabity Francuz został w lesie, tam gdzie upadł. Sierżantowi pilno było w dalszą drogę. Ktoś inny mógł przecież oddać ostatnią posługę wrogowi, co padł na polu chwały.

Christian ułożył Krausa ostrożnie i troskliwie. Ślązak wyglądał bardzo młodo i zdrowo. Koło ust miał czerwone plamy od wiśni, jak mały chłopiec, co z wystraszoną miną wychodzi ze spiżarni, gdzie dobrał się do słoików z marmoladą.

Sierżant zamyślił się. Spojrzał z góry na prostodusznego, dobrze wyrosniętego chłopca, który zawsze śmiał się serdecznie z jego żartów. No cóż, biedaku? Zabiłeś Francuza! Z Paryża trzeba będzie napisać do ojca Krausa, donieść mu, jak jego syn zginął. Nieustraszony, pogodny, zaciekły w walce, najwspanialszy typ niemieckiego żołnierza. Ojciec będzie dumny mimo żałoby. Christian pokręcił głową. „Nie. Można napisać znacznie lepiej. Tamte slogany przypominają idiotyczne listy z czasów poprzedniej wojny. Trudno zaprzeczyć, że obecnie brzmią komicznie. Lepiej zdobyć się na coś oryginalniejszego, bardziej osobistego... Kiedyśmy go chowali, miał plamy od wiśni na ustach, zawsze śmiał się z moich żartów, a dał się zabić tylko dlatego, że był zbyt wielkim entuzjastą. Można to zresztą wyrazić zupełnie inaczej... Cóż, w każdym razie muszę coś napisać”. Odwrócił się od nieżywego chłopca i zobaczył dwa samochody wolno nadjeżdżające szosą. Przez chwilę obserwował je z uśmiechem ironicznej wyższości.

- Śmiało! Śmiało, panienczki! Nie ma się czego bać. Myszy uciekły z pokoju. Można tu stanąć.

Nie gasząc silników samochody zatrzymały się na wysokości szczątków barykady. Kierowca Christiana siedział w pierwszym. Jego wóz nie nadawał się do użytku. Chłodnicę miał przestrzeloną, opony poszarpane kulami. Kierowca był bardzo czerwony, jakkolwiek całą strzelaninę przeleżał w rowie. Brakowało mu tchu, by powiedzieć bez zająknięcia dwa słowa. Christian zdał sobie sprawę, że kierowca był spokojny podczas

walki, kiedy jednak niebezpieczeństwo minęło, wystraszył się i przestał panować nad nerwami.

Christian wydawał rozkazy i bacznie słuchał swego głosu:

- Maeschen, zostaniesz tutaj z Taubem. Zaczekasz, aż następny oddział nadjedzie szosą.

„Głos brzmi pewnie - pomyślał ze znaczną ulgą - Słowa dźwięczą sucho, energicznie. Dobrze wytrzymałem próbę. Mogę wojować dalej”.

- Maeschen! Pójdziecie do lasu, w tym kierunku. Mniej więcej sześćdziesiąt jardów stąd leży zabity Francuz. Przyniesiecie go i położycie obok tych dwóch. - Ręką wskazał Krausa i zastrzelonego przez siebie Francuza. - Później ktoś pochowa ich jak należy. To wszystko - zwrócił się do reszty oddziału. - Ruszamy!

Wszyscy wsiedli do dwóch samochodów. Kierowcy włączyli bieg i ostrożnie mijali miejsce po rozebranej barykadzie. Na asfalcie widać było plamy krwi pośród zdeptanych liści i kłaków włosia z materaców. Ale w zielonym lesie panował spokój i cisza. Nawet trupy ułożone w trawie na poboczu wyglądały jak dwaj ogrodnicy odbywający popołudniową drzemkę.

Wozy nabrały rozpędu i szybko wyjechały z cienia. Dalej ciągnęły się otwarte, żyzne pola, nie groziło więc niebezpieczeństwo zasadzki. Słońce dogrzewało i żołnierze, przemarznięci w lesie, pocili się teraz przyjemnie.

„Zrobiłem swoje! Pokazałem, co potrafię. Samodzielnie spełniłem zadanie bojowe. Wiem teraz, za co mi dają żreć” - pomyślał Christian i trochę się zawstydział, że jest zadowolony z siebie, a dyskretny uśmiech rozchyła mu wargi.

Mniej więcej dwie mile przed nim, w głębi płytkiej, szerokiej dolinki, leżało małe miasteczko. Zbudowane było z kamienia, a nad zmurszałymi ścianami domów dwie spiczaste wieże kościelne rysowały się średniowieczną koronką. Miasteczko wyglądało zasobnie i bezpiecznie, jak gdyby jego ludność od dawna pędziła spokojny żywot. W pobliżu pierwszych zabudowań kierowca zwolnił i spod oka zerknął na dowódcę.

- Jazda! - zirytował się Christian. - Nikogo tam nie ma.

Żołnierz posłusznie dodał gazu.

Z perspektywy szosy domki wyglądały ładnie i przytulnie. Z bliska przedstawiały się znacznie gorzej. Były zaniedbane, tynk opadał z nich płatami. Na ulicy śmierdziało paskudnie. „Ci cudzoziemcy! - pomyślał sierżant. - Same brudasy!”.

Ulica skręcała gwałtownie i wychodziła na rynek. Kilka osób stało na stopniach kościoła, kilka przed kawiarnią, otwartą ku zdziwieniu Christiana. *Chasseur et Pêcheur* - przeczytał szyld nad kawiarnią. Pięciu czy sześciu mężczyzn siedziało przy stolikach. Kelner niósł dwa kieliszki na charakterystycznych małych spodkach. Christian uśmiechnął się. „To mi dopiero wojna!”.

Na stopniach kościoła zobaczył trzy dziewczęta we wzorzystych jasnych spódniczkach i głęboko wyciętych bluzkach.

- Oo! - odezwał się kierowca. - O, la, la!

- Tam się zatrzymaj - rzucił sierżant.

- *Avec plaisir, mon colonel* - odpowiedział żołnierz, a Christian spojrzał na niego ubawiony i mile zdziwiony tym niespodziewanym objawem kultury.

Kierowca zajechał przed kościół i bezwstydnie zaczął gapić się na dziewczęta. Tęga brunetka z bukietem ogrodowych kwiatów w ręku zachichotała. Jej towarzyszki roześmiały się również i z nietajoną ciekawością zaczęły oglądać dwa samochody pełne niemieckich żołnierzy.

Christian wyskoczył z wozu.

- Tłumacz, do mnie! - zawołał.

Brandt z gotową leicą stanął u jego boku. Zbliżyli się do dziewcząt czekających na stopniach kościoła. Sierżant zdjął hełm i z wdziękiem uklonił się po cywilnemu.

- *Bonjour, mesdemoiselles.*

Dziewczęta znów zachichotały, a tęga brunetka powiedziała tak wyraźnie, że zdobywca zrozumiał:

- Ależ on doskonale mówi!

Christian uległ niedorzecznej dumie i dalej prowadził rozmowę, nie odwołując się do lepszej francuszczyzny Brandta.

- Może mi panie powiedzą - ciągnął, dość łatwo dobierając słowa - czy ostatnio przechodzili tędy francuscy żołnierze?

- *Non, monsieur* - powiedziała z uśmiechem brunetka. - Zostawili nas na pastwę losu. A panowie nie zrobią nam nic złego?

- Nie mamy zamiaru krzywdzić nikogo, a zwłaszcza trzech młodych dam tak niezwyklej urody.

- Fiu, fiu! - wtrącił Brandt po niemiecku. - Warto tego posłuchać!

Christian uśmiechnął się pogodnie. Miło było stać w starym kamiennym mieście, na zalanym słońcem placu przed kościołem, patrząc na rysujący się pod cienką bluzką pełny biust brunetki i flirtować z nią w mało znanym języku. Wyruszając na wojnę nie bierze się pod uwagę takich właśnie możliwości.

- *Mon Dieu* - powiedziała brunetka uśmiechając się zalotnie - czy w waszym kraju uczą takich grzecznych słów w szkołach wojskowych?

- Wojna skończona - oznajmił z godnością Christian. - Przekonacie się wkrótce, że jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi Francji.

- Ach! - roześmiała się dziewczyna. - Wyborny z pana agitator! - Spojrzała kusząco i Christianowi przemknęła przez głowę szalona myśl, by nakazać godzinny postój w miasteczku. - Czy wielu jest podobnych do pana?

- Dziesięć milionów!

Brunetka załamała ręce z udaną rozpaczą.

- Wielki Boże! Co my z nimi wszystkimi zrobimy? W każdym razie pan jest pierwszy. Proszę! - podała mu bukiet.

Christian spojrzał zdziwiony na kwiaty, delikatnie wziął je z rąk dziewczyny.

„Jak to ładnie i po ludzku... Z młodymi zawsze można się dogadać. Dobra wróżba na przyszłość!”.

- *Mademoiselle...* - W tej chwili zawiodła go znajomość języka. - Nie wiem, jak to wyrazić... ale... Brandt!

- Pan sierżant - podchwycił fotoreporter gładką poprawną francuszczyzną - pragnie dać wyraz szczerzej wdzięczności i uważa tę wiązanekę za symbol mocnych więzów przyjaźni łączącej nasze dwa wielkie narody.

- Tak - powiedział Christian zazdrosny o przewagę Brandta. - O to mi właśnie chodziło.

- A! - zawołała dziewczyna. - To pan sierżant. Oficer. Jeszcze życzliwiej uśmiechnęła się do zdobywcy, ten zaś pomyślał, że Francuzki nie bardzo różnią się od dziewcząt, co pozostały daleko, w kraju.

Nagle usłyszał za sobą tupot kroków po bruku - energiczny, żwawy. Odwrócił się trzymając bukiet i w tej chwili poczuł na palcach lekkie, szybkie uderzenie. Kwiaty wypadły mu z ręki i rozsypały się po zakurzonych płytach chodnika.

Przed Christianem stał stary Francuz w czarnym garniturze i zielonkawym filcowym kapeluszu. W ręku trzymał laskę. Miał ostrą, surową twarz i wstążeczkę wojskowego orderu w kłapie marynarki. Mierzył najeżdżcę nienawistnym wzrokiem.

- Pan to zrobił? - zapytał Christian.

- Nie rozmawiam z Niemcami - odburknął starzec.

Mina i postawa wskazywały, że to dymisjonowany oficer zawodowy, przywykły do rozkazywania. Ogorzała, zryta zmarszczkami twarz potęgowała jeszcze to wrażenie.

- Ścierki! - zawołał starzec pod adresem dziewcząt. - Czemu nie kładziecie się od razu? No, jazda! W górę kiecki! Przynajmniej zrobicie swoje!

- Proszę się uspokoić, kapitanie. To nie tamta wojna - powiedziała posępnie tęga brunetka.

Christian czuł się bardzo głupio, nie miał jednak pojęcia, co zrobić lub powiedzieć. Znalazł się w sytuacji raczej niewojskowej, a trudno przecież było używać siły przeciwko siedemdziesięcioletniemu starowinie.

- Ładne Francuzki! Tfu! - splunął starzec. - Kwiaty dla Niemców. Oni mordują waszych braci, a wy do nich z bukietami!

- To tylko żołnierze - powiedziała nieśmiało brunetka. - Są daleko od domów i rodzin... tacy młodzi i przystojni, w ładnych mundurach...

Bezwstydnie zerknęła znów na Brandta i Christiana, który nie mógł pohamować śmiechu, słuchając tak prostego, kobiecego rozumowania.

- W porządku, mój staruszk - powiedział. - Widzisz, nie mamy już kwiatów. Idź, wypij na pociechę.

Przyjaźnie położył mu dłoń na ramieniu, ale starzec otrząsnął się ze wstrętem.

Głośno stukając obcasami odszedł środkiem rynku.

- O, la, la! - mruknął kierowca Christiana i niezycliwie spojrział na czupurnego Francuza, kiedy ten mijał samochód.

Starzec nie zwrócił na niego uwagi i krocząc w stronę kawiarni wykrzykiwał na całe miasto:

- Francuzi! Francuzi! Co dziwnego, że Boches przyszli do nas tym razem? Brak wam serca! Brak odwagi! Jeden strzał i żołnierze umykają jak króliki! Jeden uśmiech i baby gotowe iść do łóżek z całą niemiecką armią! Francuzi nie pracują, nie modlą się, nie walczą! Wiedzą tylko, jak kapitulować. Kapitulować na froncie! Kapitulować w sypialniach! Francja szykowała się do tego przez dwadzieścia lat! Teraz pokazuje, na co ją stać!

- O, la, la! - powtórzył kierowca, który dobrze rozumiał po francusku.

Schylił się, podniósł kamień i od niechcienia rzucił w stronę Francuza. Chybił wprawdzie, lecz kamień uderzył w duże okno kawiarni. Szyba rozsypała się z brzękiem. Później na rynku zapanowała cisza. Starzec nie odwrócił się nawet, nie spojrział na wyrządzoną szkodę. Ciężko usiadł przy stoliku, oparł się na rączce laski i nienawistnym, pełnym rozpaczy wzrokiem mierzył z oddali niemieckich żołnierzy.

Christian podszedł do kierowcy.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał spokojnie.

- Facet zanadto hałasował. Chciałem nauczyć brudasów szacunku dla niemieckiej armii - odpowiedział kierowca, barczysty, brzydki mężczyzna w średnim wieku, typowy taksjarsz berliński. Christian nie znoślił go instynktownie.

- Pamiętaj, żeby mi się to nigdy nie powtórzyło. Zrozumiano?

Kierowca stanął prawie na baczność, ale nie odezwał się słowem. Tępo, wyzywająco spojrział w oczy sierżanta. Christian odwrócił głowę.

- Gotowe! - zawołał. - Ruszamy dalej!

Dziewczęta były ujarzmione. Nie pomachały rękami, kiedy samochody przeciąwszy rynek niknęły w ulicy, która wiodła w stronę Paryża.

Christian rozczarował się bardzo, kiedy zajechał przed brunatny, rzeźbiony masyw Porte Saint Denis i zobaczył rozległy plac pełen pojazdów pancernych i szarych

mundurów. Żołnierze wylegiwali się na betonie albo jedli wokół kuchni polowych. Całość sprawiała wrażenie, jakby bawarskie miasto garnizonowe gotowało się do defilady w dniu święta narodowego. Christian nie był nigdy w Paryżu, wymarzył sobie jednak, że kulminacyjnym punktem wojny będzie godzina, gdy on pierwszy przejedzie historycznymi ulicami i wprowadzi zwycięską armię do prastarej stolicy wroga.

Między odpoczywającym wojskiem a karabinami w kozłach zajechał wolno przed cokół pomnika. Himmlerowi dał znak, żeby zatrzymał drugi samochód. Byli na miejscu. Tutaj, zgodnie z rozkazem, miała się odbyć zbiórka szwadronu. Christian zdjął hełm, rozsiadł się wygodnie i odetchnął głęboko. Zakończył swą misję.

Brandt wyskoczył z wozu i pracowicie zaczął fotografować żołnierzy posilających się lub stojących grupkami u stóp pomnika. Mimo munduru i pistoletu w czarnej kaburze sprawiał wrażenie urzędnika bankowego, który korzystając z urlopu na gwałt robi zdjęcia do rodzinnego albumu. Troskliwie wybierał modele. Szczególnie odpowiadali mu najmłodszy i najprzystojniejszy chłopcy, w miarę możliwości blondyni, szeregowcy i podoficerowie różnych stopni.

- Zadanie moje polega na tym - objaśnił raz Christiana - by cywilom w kraju wojnę pokazać atrakcyjnie.

Teoria ta była, zdaje się, słuszna, gdyż Brandt był już przedstawiony do nominacji oficerskiej, a na swe prace otrzymywał wiele zamówień, nawet z centrali propagandy w Berlinie.

Cywilną ludność francuską na ulicach Paryża reprezentowało tego dnia dwoje małych dzieci, które wędrowały nieśmiało między biwakującymi oddziałami. Brandt wypatrzył je i sprowadził na miejsce, gdzie Christian czyścił pistolet siedząc na masce lekkiego wozu rozpoznawczego.

- Błagam cię o przysługę! - zawołał fotograf. - Pozuj mi z tą parką!
- Szukaj kogoś innego. Nie jestem aktorem.
- Chcę cię uczynić sławnym! Nachyl się i daj im coś słodkiego.
- Nie mam nic słodkiego.

Dwoje pięciolatek - chłopiec i dziewczynka - stało przy kole samochodu i smutno spoglądało na Christiana czarnymi oczami.

- Masz - powiedział Brandt wyjmując z kieszeni czekoladę. - Wzorowy żołnierz jest przygotowany na wszystko.

Christian westchnął i odłożył wymontowaną lufę pistoletu maszynowego. Pochylił się nad parką ślicznych, umorusanych dzieciaków. Fotograf przykucnął i podniósł aparat na wysokość oczu.

- Znakomite typy - paplał. - Młoda Francja: urodziwa, niedożywiona, smutna, ufająca. Poczciwy niemiecki sierżant, hojny, życzliwy, atletycznie zbudowany, przystojny, fotogeniczny...

- Wyoś się do stu diabłów! - przerwał mu Christian.

Brandt robił szybko zdjęcia pod różnymi kątami.

- Proszę o miły uśmiech, o tak! No i nie dawaj czekolady, póki ci nie powiem. Na razie trzymaj tylko. Niech wyciągają po nią ręce.

- Może by tak szeregowiec nie zapominał, że mówi do swojego przełożonego - zażartował sierżant spoglądając z góry na smutne twarzyczki bez uśmiechu.

- Sztuka to nasz najwyższy przełożony - odpalił Brandt. - Szkoda, że nie jesteś blondynem. Jasne włosy, a byłby z ciebie idealny model niemieckiego wojaka. Masz taką minę, jak gdybyś nie mógł znaleźć we łbie ani jednej ludzkiej myśli.

- Słowo daję, będę musiał zameldować, że wygłaszasz zdania uwłaczające armii niemieckiej.

- Mój drogi, artysta stoi ponad takimi małostkowymi sprawami.

Podczas tej gawędy Brandt skończył serię, a gdy zawołał: „W porządku!", Christian dał dzieciom czekoladę. Nie powiedziały nic. Spojrzały tylko w górę, schowały tabliczki do kieszeni i odeszły spokojnie między stalowe maszyny, podkute buty i kolby karabinów.

Samochód pancerny i trzy wozy rozpoznawcze wjechały na plac i powoli zmierzały w stronę miejsca, na którym biwakował oddział Diestla. Sierżant posmutniał trochę na widok swojego porucznika. Koniec niezależnego dowództwa! Zasalutował, a oficer odpowiedział wojskowym ukłonem. Potrafił to robić ruchem najelegantszym chyba od zarania wojskowości. Kiedy podnosił rękę do daszka czapki lub hełmu, widzowie słyszeli szczełk mieczów i pobrzękiwanie ostróg przez wieki historii, począwszy od wypraw Achillesa i Ajaksa. Nawet teraz, po długim rajdzie z Niemiec, porucznik był wymuskany,

nieskazitelny. Christian nie lubił go i czuł się nieswojo w obliczu tej sztywnej doskonałości. Porucznik był bardzo młody- miał dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery lata - kiedy jednak toczył dokoła chłodnym, stalowym, rozkazującym spojrzeniem, zdawać się mogło, że bezlitośnie demaskuje przebraną w mundury leniwą „cywilbandę”. Pod jego okiem sierżant czuł się zawsze niedołągą, chociaż rzadko zdarzało mu się to w obecności innych mężczyzn. Stał teraz na baczność i szybko powtarzając w pamięci przygotowane wcześniej słowa meldunku patrzył, jak porucznik zwinnie zeskakuje z wozu. Doświadczał rozmaitych nieprzyjemnych uczuć. Myślał o swojej ciężkiej winie, o zaniedbaniu elementarnych obowiązków dowódcy, o tym, że jak dureń wpakował się w leśną zasadzkę.

- Raport, sierżancie.

Porucznik sucho cedził słowa głosem, który mógłby należeć do Bismarcka w okresie jego studiów w szkole oficerskiej. Nie rozglądał się dokoła. Nie zdradzał zainteresowania dla starej architektury. Równie dobrze mógł znajdować się na olbrzymim, nagim poligonie pod Królewcem, jak w centrum Paryża w dniu, gdy nieprzyjacielskie wojska wkroczyły do stolicy Francji po raz pierwszy od tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego roku. „Wspaniały, obmierzły typ - pomyślał Christian - konieczny i niezastąpiony w każdym wojsku”.

- O godzinie dziesiątej zero zero - meldował sierżant - na szosie Meaux - Paryż nawiązałem kontakt z nieprzyjacielem. Nieprzyjaciel zajmował stanowiska za dobrze maskowaną barykadą. Otworzył ogień na czołowy wóz. Przeprowadziłem natarcie z ośmioma ludźmi. Zabiliśmy dwóch Francuzów, a resztę zmusiliśmy do ucieczki. Następnie zburzyliśmy barykadę.

Christian zawahał się na ułamek sekundy.

- Dalej, sierżancie - wtrącił sucho oficer.

„Teraz się dopiero zacznie!” - pomyślał Diestl i meldował głośno:

- Nie obeszło się bez strat, panie poruczniku. Poległ kapral Kraus.

- Kapral Kraus... - powtórzył porucznik. - Czy spełnił żołnierski obowiązek?

- Tak jest, panie poruczniku - odpowiedział Christian i przypomniał sobie niezdarnego chłopaka, który pędził przez szumiący las i darł się jak szalony: „Dostał! Dostał!”. - Pierwszym strzałem zabił nieprzyjacielskiego szeregowca.

- Doskonale - powiedział porucznik i lodowaty uśmiech zmarszczył na moment koniec jego ostro zarysowanego nosa. - Doskonale.

„Jest uszczęśliwiony” - pomyślał sierżant ze zdziwieniem.

- Jestem pewien - podjął oficer - że kapral Kraus zostanie pośmiertnie odznaczony.

- Myślałem, panie poruczniku, o napisaniu listu do jego ojca.

- Nie, to nie wasze zadanie, sierżancie, lecz obowiązek dowódcy szwadronu. Ja zamelduję o faktach panu kapitanowi Müllerowi i pan kapitan sam napisze. Sprawa jest delikatna. Chodzi o dobór właściwych zdań. Pan kapitan Müller niewątpliwie będzie wiedział najlepiej, jak redaguje się tego rodzaju listy.

„Ciekawa rzecz - pomyślał Christian - czy w rozkładzie zajęć szkoły oficerskiej figuruje pozycja: «Korespondencja z rodzinami poległych - jedna godzina tygodniowo»”.

- Sierżancie - rzucił młody oficer - jestem zadowolony z was i z ludzi pod waszym dowództwem.

- Dziękuję, panie poruczniku! - zawołał Christian z zupełnie niedorzeczną radością.

Brandt zbliżył się i zaszalutował. Porucznik odpowiedział mu chłodno. Nie lubił Brandta, który nie mógł się zdobyć na wojskowy wygląd. W ogóle nie miał antypatii dla żołnierzy noszących na wojnie aparaty fotograficzne zamiast karabinów. Ale rozkazy naczelnego dowództwa były jasne i nie można ich było lekceważyć. Fotografom należała się opieka i wszelka możliwa pomoc na każdym szczeblu.

- Panie poruczniku - odezwał się Brandt ślamazarnym głosem niepoprawnego cywila. - Mam rozkaz jak najprędzej zameldować się z filmami na placu Opery. Rolki są tam odbierane i mają lecieć do Berlina. Czy mógłbym prosić o środek lokomocji? Wrócę niedługo.

- Zaraz wam odpowiem, Brandt.

Porucznik odwrócił się i ruszył w stronę amfibii, która dopiero co wjechała na plac. Siedział w niej kapitan Müller - dowódca szwadronu.

- Facet przepada za mną - mruknął Brandt.

- Na pewno dostaniesz wóz - powiedział Diestl. - Jest cholernie zadowolony.

- Ja też przepadam za nim - podjął fotograf - i w ogóle za wszystkimi porucznikami.

Rozejrzał się dokoła. Objął wzrokiem bezbarwne, kamienne fasady domów czynszowych, hełmy, szare mundury i rosłych, zbrojnych mężczyzn, którzy wyglądali dziwnie obco na tle francuskich sztylów i zamkniętych na głucho kawiarni.

- Ostatni raz - myślał głośno - byłem tutaj niespełna przed rokiem. Miałem jasnogranatową marynarkę i flanelowe spodnie. Wszyscy brali mnie za Anglika, traktowali więc życzliwie. Spójrz! Za tym rogiem jest urocza mała knajpka. Był ciepły letni wieczór. Zajechałem tam taksówką w towarzystwie pięknej czarnowłosej dziewczyny; pierwszy raz spałem z nią tego popołudnia. - Rozmarzony przymknął oczy i oparł głowę o bok lekkiego samochodu pancernego. - Uważała, że celem istnienia płci pięknej jest podobać się mężczyznom, i miała najpiękniejsze piersi po tej stronie Dunaju. Przed kolacją piliśmy szampana... Była ubrana w prostą, ciemno-szafirową suknię. Rozumiesz: taka młoda, dobrze wychowana dziewczyna. Patrząc na nią nie mogłem uwierzyć, że przed godziną leżałem z nią w łóżku. Siedzieliśmy naprzeciwko i nad stołem ściskaliśmy sobie ręce. Zdaje mi się nawet, że ona miała łzy w oczach. Zamówiłem butelkę chablis i wyśmienity omlet. Nigdy w życiu nie słyszałem wtedy o poruczniku Hardenburgu, wiedziałem, że za półtorej godziny wrócę z nią do łóżka, i taki byłem szczęśliwy, że z radości mógłbym sobie w łeb palnąć!

- Przestań! - wybuchnął Christian. - Moje morale żołnierskie trzęsie się w posadach!

- To było dawno - ciągnął Brandt nie otwierając oczu. - Kartka ze wspomnień ohydneho cywila. Tak, to było dawno, zanim zostałem figurą wojskową.

- Otwórz oczy - powiedział Christian - i wyleż wreszcie z tego łóżka. Porucznik nadchodzi.

Obydwoj stanęli na baczność. Hardenburg zatrzymał się przed nimi.

- Załatwione, Brandt - powiedział. - Dostaniecie wóz.

- Dziękuję, panie poruczniku.

- Sam z wami pojedę - ciągnął oficer. - Zabiorę Diestla i Himmlera. Kapitan słyszał, że mamy kwaterować w tamtej dzielnicy. Chce mieć meldunek sytuacyjny. - Na twarz wydobył uśmiech, jak mu się zapewne zdawało, życzliwy i koleżeński. - No i należy nam się chyba mała wycieczka krajoznawcza? Chodźcie, chłopcy!

Poprowadził swoich ludzi do samochodu, w którym Himmler czekał już przy kierownicy. Diestl i Brandt usadowili się na tylnym siedzeniu, a porucznik zajął miejsce obok kierowcy i siedział sztywno wyprężony - wzorowy przedstawiciel armii niemieckiej i Trzeciej Rzeszy na bulwarach okupowanego Paryża.

Brandt zrobił oko do sąsiada i wzruszył ramionami, kiedy pomknęli w stronę Placu Opery. Himmler prowadził wóz po kawalersku, bez wahania. Kilkakrotnie spędzał urlop w Paryżu i mówił po francusku niemal zrozumiale: płynnie, chociaż niegrammatycznie. Jak zawodowy przewodnik wskazywał towarzyszom obiekty godne uwagi: swoją ulubioną kawiarnię, kabaret, gdzie oglądał tańczącą nago amerykańską Murzynkę, uliczkę, przy której znajdował się dom publiczny (jego zdaniem wyposażony najlepiej pod słońcem). Himmler - oddziałowy wesolek i polityk - reprezentował typ rozpowszechniony we wszystkich armiach. Był z reguły ulubieńcem oficerów zezwalających mu na poufałość, za którą innych żołnierzy czekałaby surowa kara. Porucznik siedział teraz sztywno obok kierowcy, łakomym wzrokiem pochłaniał wyludnione ulice i nawet parę razy roześmiał się z błazeństw Himmlera.

Plac Opery był pełen wojska. Na efektownym tle wyniosłych kolumn, na szerokich schodach kręciły się takie tłumy żołnierzy, że w pierwszej chwili nie dziwił brak kobiet i cywilów w centrum miasta.

Brandt - bardzo ważny i zaaferowany - wszedł ze swym aparatem i filmami do gmachu słynnego teatru. Hardenburg i Diestl wysiedli z samochodu. Zadarli głowy i gapili się na okazały fronton i kopułę.

- Szkoda, że nigdy tu nie byłem - powiedział cicho porucznik. - Paryż w czasie pokoju jest na pewno cudowny.

- To samo właśnie przyszło mi do głowy - roześmiał się Christian.

Oficer odpowiedział naturalnym, przyjaznym uśmiechem. Christian zdziwił się, czemu był zawsze onieśmielony w towarzystwie tego w gruncie rzeczy prostego człowieka.

- Sprawy służbowe załatwione - oznajmił Brandt wybiegając żywo z gmachu opery.
- Mam zameldować się dopiero jutro po południu. Powiedziałem, jaki dostarczam materiał. Byli zachwyceni. Mało brakowało, a z miejsca mianowaliby mnie pułkownikiem.

- Posłuchajcie, Brandt - Hardenburg mówił tonem wahania, chyba pierwszy raz od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. - Czy nie moglibyście sfotografować mnie przed operą? Chciałbym posłać zdjęcie żonie.

- Z prawdziwą przyjemnością, panie poruczniku - odpowiedział poważnie Brandt.

- Himmler! - zawołał oficer. - Diestl! Do mnie! Będzie grupa.

- Panie poruczniku - zaprotestował Diestl - lepiej niech pan będzie sam na zdjęciu. Po co nasze facjaty pani porucznikowej?

Znał Hardenburga od roku, lecz pierwszy raz odważył się na podjęcie z nim dyskusji w najbardziej bodaj błahej sprawie. Ale porucznik nie ustępował. Otoczył ręką ramiona Christiana, ten zaś miał przez chwilę wrażenie, że oficer musiał coś wypić.

- Nie, nie! Dużo pisałem o was żonie. Na pewno się ucieszy.

Brandt długo się ustawiał, bo chciał, żeby zdjęcia były dobre i za tło miały jak największą część frontu opery. Himmler uśmiechał się po błazeńsku, ale porucznik i Christian poważnie spoglądali w obiektyw, jak gdyby należycie doceniali wagę historycznej chwili.

Kiedy wreszcie fotograf skończył, wszyscy wdrapali się do samochodu i odjechali w kierunku Porte Saint Denis. Zbliżał się wieczór. W ukośnych promieniach słońca miasto leżało jasne, wyludnione. Na wielu ulicach nie było nawet żołnierzy ani ruchu wojskowych pojazdów. Christian poczuł się nieswojo - pierwszy raz od chwili gdy przybył do Paryża.

- Historyczny dzień - odezwał się Hardenburg - którego wielkość nie przeminie. Po latach będziemy wracać myślami do tego dnia i mówić: „Byliśmy tam u progu nowej ery”.

Diestlowi zdawało się, że siedzący obok niego Brandt zrobił ironiczną, złośliwą minę. Brandt długie lata spędził we Francji i zapewne dlatego odnosił się cynicznie do wszelkich pompatycznych uczuć i wypowiedzi.

- W tysiąc dziewięćset czternastym roku mój ojciec dotarł nad Marnę - odezwał się Hardenburg. - Marna! Tak blisko! I nigdy nie widział Paryża. Dzisiaj przekroczyliśmy Marnę w pięć minut. Historyczny dzień...

Urwał i spojrział bystro w boczną ulicę, którą właśnie mijali. Christian wzdrygnął się. Bezwiednie zwrócił wzrok w tę samą stronę.

- Himmler, czy to ta ulica? - zapytał oficer.

- Jaka, panie poruczniku?

- Chodzi mi o ten dom... sławny. Mówiliście przecież o nim. „Co za pamięć! - pomyślał Christian. - Wszystko utrwała raz na zawsze: stanowiska dział, regulamin sądów polowych, zasady odkażania metali wystawionych na działanie gazów trujących, adres francuskiego burdelu zasłyszany przypadkowo dwie godziny temu, i to w zupełnie obcym mieście...". Himmler przyhamował, a Hardenburg mówił z godnością:

- Wydaje mi się, że w taki dzień, w dzień walki i triumfu... Jednym słowem, należy się nam rozrywka. Żołnierz, który nie ma kobiet, jest do niczego. Brandt, mieszkaliście przecież w Paryżu. Słyszeliście o tym lokalu?

- Tak jest, panie poruczniku. Cieszy się doskonałą opinią.

- Zawróćcie no, sierżancie.

- Rozkaz, panie poruczniku!

Himmler uśmiechnął się, sprawnie zakreślił małe koło na pustej jezdni i pomknął we wskazanym kierunku.

- Wiem - rzekł poważnie oficer - że mogę liczyć na waszą dyskrecję.

- Tak jest, panie poruczniku - oświadczyli chórem.

- Dyscyplina w swoim czasie, koleżeństwo w swoim. To tutaj, Himmler?

- Tak jest, panie poruczniku. Ale lokal chyba zamknięty.

- Chodźcie ze mną.

Zeskoczył na jezdnię i przez chodnik pomaszerował w stronę ciężkich dębowych drzwi. Głośno tupał obcasami, a echa odpowiadały w wąskiej uliczce, jak gdyby defilowała kompania piechoty. Kiedy zaczął stukać, Brandt i Diestl wymienili złośliwe uśmiechy.

- Niedługo zacznie nam sprzedawać pornograficzne pocztówki - szepnął fotoreporter.

- Cicho! - syknął sierżant.

Po chwili drzwi uchyliły się. Porucznik i Himmler wtargnęli do lokalu po trosze dzięki perswazji, po trosze siłą. Drzwi trzasnęły za nimi. Brandt i Christian zostali sami na pustej, spowitej już w mroku ulicy. Nic nie było słyhać. Rolety zasłaniały okna wszystkich domów.

- Miałem wrażenie - powiedział Brandt - że porucznik zaprosił nas na tę zabawę.

- Cierpliwości. Toruje drogę.

- Drogę wolę zawsze torować sam. Zwłaszcza do kobiety.

- Dobry oficer - podjął z powagą Diestl - dba przede wszystkim o zakwaterowanie podkomendnych. Później myśli o sobie.

- Słusznie! Idź do porucznika i udziel mu takiej nauki.

Dębowe drzwi uchyliły się i Himmler zachęcająco kiwnął ręką.

Zeskoczyli z samochodu. Weszli do przedsionka. Mauretańska lampa rzuciła purpurowe blaski na szerokie schody i ściany obwieszane kotarami.

- Madame zaraz mnie poznała - gadał Himmler idąc po schodach przed kolegami.

- Pocałunek od serca, *mon cher garçon* i takie rzeczy... Rozumiecie? Fajna historia, co?

- Sierżant Himmler - powiedział Brandt - szeroko znany w burdelach pięciu krajów. Cenny wkład Niemiec do wielkiej sprawy przyszłej Federacji Europejskiej.

- Tak czy inaczej - uśmiechnął się Himmler - nie marnowałem czasu w Paryżu. Tutaj... do baru. Dziewczynki jeszcze nie gotowe. Najprzód musimy trochę popić. Cóż, wojna! Nie wszystko może być na zawołanie.

Pchnął drzwi. Porucznik bez hełmu i rękawiczek siedział sztywno na wysokim stołku. Założył nogę na nogę i ostrożnie skubał palcami złotą cynfolię pokrywającą szyjkę butelki szampana. Mały pokój, w którym mieścił się bar, zdobiły zielone stiuki, okna w

kształcie półksiężycy i ciężkie stopy z sutymi chwastami. Za bufetem stała tęga kobieta wybornie pasująca do dekoracji baru. Miała fryzowane włosy, szal z długimi frędzlami i silnie przyciemnione powieki. Szybko paplała po francusku do Hardenburga, który z godnością kiwał głową, chociaż nie rozumiał ani słowa. Himmler objął czule Diestla i Brandta.

- Amis - przedstawił ich. - Braves Soldaten.

Dama wyszła zza bufetu, uścisnęła dłonie nowych gości i zaczęła mówić:

- Panowie muszą wybaczyć niewielką zwłokę, ale ostatni dzień był bardzo denerwujący. To chyba zrozumiałe? Panienci będą zaraz gotowe. Tylko ich patrzeć. Tymczasem zechcą panowie zająć miejsca, wypić po kieliszku wina. Prawdziwa demokracja! Szeregowi bawią się w towarzystwie oficera! Rzecz nie do pomyślenia w wojsku francuskim. Może dlatego właśnie panowie wygrali wojnę?

Pod koniec trzeciej butelki nie było jeszcze widać dziewcząt. Gościom nie sprawiało to dużej różnicy. Hardenburg - sztywny i poprawny - błyskał zimnymi oczyma, zielonkawymi teraz jak szkło wytrawione w morskiej wodzie.

- Francuzi! - cedził przez zęby. - Gardzę Francuzami. Nie lubią umierać. Szanują życie i dlatego my pijemy ich wino i bierzemy ich kobiety. Komiczne! - Podniósł smukły kieliszek pijackim, pełnym rozczarowania gestem. - Ta cała kampania... Pocieszna, idiotyczna historia. Od osiemnastego roku życia studiuję wojnę. Wszystko mam w małym palcu. Zaopatrzenie. Łączność. Morale. Wybór zamaskowanych miejsc na dowództwa. Teorię uderzenia na stanowiska broni maszynowej. Pięć lat życia! A później nadchodzi wielka chwila - roześmiał się gorzko. - Wielka chwila! Armia wyrusza w pole. A ja? Co się ze mną dzieje? - Nie odrywał wzroku od madame, która nie rozumiała słowa po niemiecku, lecz żywo i z zapalem przytakiwała kiwając głową. - Nie słyszę ani jednego strzału. Spokojnie siedzę w samochodzie i odbywam czterystumilową przejażdżkę do burdelu! Francuska armia jest do niczego i dlatego ze mnie zrobił się turysta. Turysta, psiakrew! Koniec wojny. Pięć straconych lat! Koniec kariery! Do pięćdziesiątego roku życia będę porucznikiem. Nie znam nikogo w Berlinie. Nie mam wpływów, przyjaciół. Mogę nie liczyć na awans. Wszystko zmarnowane. Zmarnowane! Mój ojciec urządził się lepiej. Dotarł tylko nad Marnę, ale przez cztery lata był w ogniu. Kiedy został majorem,

miał dwadzieścia sześć lat. Nad Sommą dowodził batalionem, bo wszyscy starsi oficerowie polegli w ciągu dwóch dni. Himmler!

- Rozkaz, panie poruczniku! - Nie był pijany; gadaniny Hardenburga słuchał z chytrym, ironicznym uśmiechem.

- Himmler! Sierżant Himmler! Gdzie moja dziewczka? Chcę mieć francuską dziewczkę!

- Madame powiada, że pan porucznik będzie miał dziewczkę za dziesięć minut.

- Gardzę nimi! Gardzę wszystkimi Francuzami - bełkotał oficer i nieporadnie chleptał z kieliszka, aż wino ciekło mu po brodzie.

Do pokoju weszły dwie dziewczyny. Postawna, tęga blondynka miała łagodny uśmiech na rozchyłonych, pełnych wargach. Druga - drobna, smukła brunetka, o ostrych, prawie arabskich rysach, była umalowana przesadnie, a krwawoczerwona szminka podkreślała charakter jej drapieżnej urody.

- Są nareszcie! - powiedziała madame pieścizotliwym tonem.

- Są moje małe pociechy. - Z uznaniem poklepała blondynkę po ramieniu, niby zachwalający swój towar handlarz koni. - To Jeanette. Niezła, prawda? Teraz, jak Niemcy weszli do Paryża, będzie miała powodzenie! Mój Boże!

- Tę biorę.

Porucznik stanął niemal na baczność i wskazał palcem brunetkę o arabskim typie. Odpowiedziała poprawnym, zawodowym uśmiechem i ujęła nabywcę pod rękę. Himmler zerknął na nią ciekawie, lecz bez wahania ustąpił wyższej szarży. Otoczył ramieniem tęga blondynkę.

- *Chérie* - zagał rozmowę - jak ci odpowiada grzeczny, zdrowy żołnierz niemiecki?

- Gdzie jest najlepszy pokój? - krzyknął Hardenburg po niemiecku. - Brandt, tłumacz!

Brandt przetłumaczył. Brunetka uśmiechem pożegnała towarzystwo i ceremonialnie wyprowadziła za drzwi honorowego gościa. Himmler mocno trzymał blondynkę.

- Teraz chyba moja kolej - powiedział - jeżeli, oczywiście... jeżeli, chłopcy, nie macie nic przeciwko...

- Absolutnie nic - przerwał mu Christian. - Przynajmniej mnie nie pilno.

Himmler uśmiechnął się i wychodząc z blondynką powiedział we drzwiach swą ohydą francuszczyzną:

- *Chérie*, masz cudowny szlafroczek...

Madame uprzejmie przeprosiła gości i opuściła pokój nie zapominając o czwartej butelce. Christian i Brandt zostali sami w pomarańczowo oświetlonym mauretańskim barze. W milczeniu patrzyli na mrozący się w kubelku z lodem szampan. Pili bez słowa. Christian dosyć nieporadnie otwierał nową butelkę. Wzdrygnął się nerwowo, kiedy korek wystrzelił i zapienił się lodowatą, musującą płyn. Otarł zwilżoną rękę.

- Byłeś kiedy w takim zakładzie? - spytał wreszcie Brandt.

- Nie.

- Wojna rozmaicie zmienia tryb życia różnych ludzi.

- Tak.

- Masz ochotę na dziwkę?

- Niekoniecznie.

- A gdybyś miał ochotę i porucznik Hardenburg miałby ochotę na tę samą dziwkę, co zrobiłbyś wtedy?

Diestl poważnie pociągnął z kieliszka.

- Pozwól, że nie odpowiem na to pytanie - mruknął.

- Ja też nie odpowiem. - Przez chwilę obracał w palcach nóżkę wysmukłego kieliszka. - Jak się czujesz?

- Czy ja wiem? Jakoś dziwnie... trochę dziwnie..

- A mnie smutno. Bardzo smutno. Co gadał porucznik?

- Że dzień dzisiejszy to próg nowej ery - odpowiedział Christian.

- Więc smutno mi na progu nowej ery. - Brandt dolał sobie wina. - Czy wiesz, że niewiele miesięcy temu omal nie zostałem obywatelem francuskim?

- Nie wiem.

- Przez dziesięć lat mieszkałem we Francji. Więcej niż w Niemczech. Kiedyś zabiorę cię do jednego miasteczka na wybrzeżu normandzkim. Rok po roku spędzałem tam lato. Malowałem całymi dniami. Wakacje przynosiły trzydzieści, czasami czterdzieści

plócien. Miałem już we Francji jaką taką reputację. Musimy pójść do galerii, która przed wojną wystawiała moje prace. Może się coś jeszcze uchoowało. Będziesz mógł obejrzeć...

- Dziękuję, skorzystam z przyjemnością - powiedział uprzejmie Christian.

- W Niemczech nie mogłem wystawiać obrazów. Były zbyt abstrakcyjne. Hitlerowcy mówili, że to sztuka bezprzedmiotowa, dekadenccka. - Brandt wzruszył ramionami. - Naturalnie, jestem trochę dekadentem, nie takim jak nasz porucznik, ale jestem. A ty?

- Jestem dekadencckim narciarzem.

- Cóż, każda strefa życia ma swoją dekadencję.

W otwartych nagle drzwiach stanęła szczupła brunetka. Miała na sobie różowy peniuar lamowany puchem. Uśmiechała się dyskretnie.

- Gdzie madame? - zapytała.

- Nie wiem - odpowiedział Brandt. - Wyszła.

- Chodzi o waszego porucznika - podjęła dziewczyna. - Koniecznie potrzebny nam tłumacz. On żąda czegoś, ale nie wiem dokładnie czego. Zdaje się, chce, żeby go bić. Boję się. Nie zacznę, jeżeli nie zrozumiem na pewno.

- Zaczynaj śmiało - powiedział Brandt. - Nie chodzi mu o nic innego. Znam go. To mój stary przyjaciel.

- Jest pan pewien? - nieufnie spojrzała na dwóch żołnierzy.

- Absolutnie! - zawołał Brandt.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Odwróciła się w drzwiach.

- Dobrze, spróbuję - powiedziała obojętnie i po chwili dodała ironicznym tonem: - Dziwna historia... Zwycięski żołnierz... w dniu zwycięstwa... Osobliwy gust.

- Niedługo przekonasz się, że osobliwi z nas ludzie. No, zmykaj do roboty - powiedział Brandt.

Dziewczyna zmierzyła go złym wzrokiem. Później uśmiechnęła się i wyszła.

- Zrozumiałeś? - zapytał Brandt Christiana.

- Mniej więcej, ale to mi starczy.

- Napijemy się. - Brandt napełnił kieliszki. - Odpowiedziałem na wezwanie ojczyzny.

- Co takiego? - zdziwił się Diestl.

- Wojna wisiała w powietrzu, a ja malowałem dekadentkie abstrakcyjne pejzaże i na francuskim wybrzeżu czekałem na francuskie obywatelstwo. - Przymknął oczy, jak gdyby przez opary wina oglądał smutne sierpniowe dni tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. - Francuzi to ludzie najcudowniejsi pod słońcem. Jedzą dobrze. Są niezależni. Każdemu pozwalają malować, co i jak zechce, i nic mu za to nie robią. Mają za sobą chwalebny historię wojskową i wiedzą, że nigdy już nie powtórzą dawnych głupstw. Są rozsądni i skąpi, co wytwarza atmosferę korzystną dla sztuki. A mimo wszystko w ostatniej chwili zostałem kapralem Brandtem, dla którego obrazów nie ma miejsca w niemieckich galeriach. Krew jest gęstsza niż... niż co? I cóż się dzieje? W Paryżu witają nas radośnie wszystkie kurwy! Powiem ci jedno, Christian: koniec końców przegramy. Nasze zwycięstwo byłoby zbyt niemoralne. Barbarzyńca znad Elby nie powinien żreć kielbasy na Polach Elizejskich.

- Brandt! - zmytygował go Christian. - Brandt!

- Próg nowej ery! Wehrmacht dostaje w skórę w renomowanym burdelu. Jutro pójdę z kielbasą pod Łuk Triumfalny!

Drzwi otworzyły się. Do baru wszedł Himmler bez bluzy i w rozchełstanej koszuli. Uśmiechał się, a przez rękę miał przewieszony zielony szlafrok, w który poprzednio ubrana była postawna blondynka.

- Następny - powiedział. - Dama czeka.

- Czy masz chęć wstąpić do łożnicy opróżnionej przez sierżanta Himmlera? - zapytał Brandt.

- Nie - rzucił sucho Christian.

- Nie miej do nas żalu, sierżancie - podjął fotograf - ale tym razem wolimy popić.

Himmler zmierzył ich nieżyczliwym wzrokiem, bez zwykłego mu wyrazu chytrej dobroduszości.

- Spieszyłem się - westchnął - żeby kumple nie czekali długo.

- Bardzo to ładnie - pochwalił go Brandt. - Bardzo po koleżeńsku. Zwłaszcza w dniu tak uroczystym...

- Zupełnie dobra dziewczka - podjął Himmler. - Tłusta, miękka. Na pewno nie macie chęci?

- Na pewno - odburknął Christian.

- Ha, trudno! Wracam na drugi numer.

- Co zrobiłeś? - zapytał Brandt. - Zdarłeś jej szlafrok z grzbietu?

- Nie - uśmiechnął się Himmler. - Kupilem. Dziewięćset franków. Chciała półtora tysiąca. Jutro wyślę do domu, bo moja żona ma mniej więcej taką samą figurę. Pomacaj, Diestl. Czysty jedwab.

Christian z poważną miną zmiął w palcach mięką tkaninę.

- Czysty jedwab - przyznał.

- No, ostatnia okazja - zaproponował Himmler przystając we drzwiach.

- Dziękujemy. Nie skorzystamy - odparł Brandt.

- Niech i tak będzie. Wasza sprawa.

- Himmler - powiedział Diestl. - Mamy dosyć. Zostań z porucznikiem i odwieź go, dokąd trzeba. Wolimy się przejść.

- Nie powinniście czekać na rozkazy?

- Obejdzie się. Sytuacja nie jest bojowa w ścisłym tego słowa znaczeniu. Wrócimy pieszo.

Himmler wzruszył ramionami.

- Samotny spacer po ulicach może kosztować kulkę w plecy.

- Nie dzisiaj - powiedział Brandt. - Później tak, ale nie dzisiaj.

Wstali jednocześnie z Christianem i wyszli bez słowa.

W mieście obowiązywało zaciemnienie i nigdzie nie było widać świateł. Tylko wiszący nad dachami księżyc malował ulice w geometryczny wzór blasków i cieni. Cisza przenikała ciepłe, nieruchome powietrze, a w jej pustce i milczeniu rozlegał się od czasu do czasu daleki szczełk wozów bojowych. Nadpływał i zamierał pośród masy ciemnych budowli.

Brandt był przewodnikiem. Zataczał się trochę, ale wiedział, gdzie się znajduje, i zmierzał pewnie w stronę Porte Saint Denis. Nie rozmawiali po drodze. Szli obok siebie potracając się od czasu do czasu, a ich podkute buty dudniły po płytach chodnika. Gdzieś w oddali trzasnęło zamykane okno i Christianowi wydało się, że słyszy ciche kwilenie niemowlęcia. Skręcili na szeroki, pusty bulwar. Maszerowali wzdłuż zasłoniętych okien i ustawionych w stopy kawiarnianych stolików i krzeseł. Daleko, przy wylocie bulwaru, migotały ogniska - dowód, że tej nocy armia zdobywców jest bezpieczna w nieprzyjacielskiej stolicy, że nie obawia się napaści. Przez ciepłe opary szampana światła uśmiechały się do Christiana życzliwie, po koleżeńsku. Odpowiadał im uśmiechem i jak we śnie szedł równym, miarowym krokiem, ramię w ramię z Brandtem.

Paryż lśniący pod młodym księżycem był we mgle alkoholu uroczy, nierealny. Christian kochał to miasto. Kochał jego wydeptane chodniki i wąskie, kręte uliczki znaczące wzdłuż bulwarów przejścia do minionego stulecia. Kochał kościoły wtłoczone między bary, burdele i sklepiki spożywcze. Kochał filigranowe krzesła ułożone pajęczymi nogami do góry na stolikach stłoczonych pod markizami zamkniętych kawiarni. Kochał ludzi, co tego wieczoru kryli się w domach za opuszczonymi roletami. Kochał rzekę, której nie widział dotychczas, restauracje, w których nigdy nie jadał, dziewczęta, których jeszcze nie spotkał, a które nazajutrz, kiedy przepadnie strach wojny, wyjdą z ukrycia w słoneczny ranek i na wysokich obcasach, ubrane w bezwstydne, eleganckie suknie, będą spacerować wzdłuż pustych teraz chodników. Kochał legendę Paryża i owo szczególne zjawisko, że tylko to jedno miasto na ziemi żyje zgodnie z legendą, którą wyrzyło w ludzkich sercach. Kochał myśl, że wywalczył sobie drogę do starej stolicy i zabił człowieka, aby się tutaj dostać. Kochał małego, brudnego Francuza, który padł od jego kuli i kaprala Krausa, który daleko od swojej zagrody na Śląsku leżał przy drodze, a wokół ust miał czerwone plamy od wiśni. Był szczęśliwy, że zdał egzamin na szosie i w lesie, że śmierć zaszumiała nad nim skrzydłami. Był szczęśliwy, że jest wojna, bo tylko na wojnie mężczyzna może naprawdę zdać egzamin, i że wojna skończy się szybko, bo nie chciał przecież umierać. Był szczęśliwy, gdyż wiedział, iż w przyszłych dniach spokoju i pomyślności wszelkie idee, w imię których chętnie narażał życie, staną się prawem i zapanują niepodzielnie w nowym, sprawiedliwym i uporządkowanym świecie. Kochał Brandta, który teraz szedł obok niego niezbyt chwiejnym krokiem, ponieważ Brandt

trząsał się i skamlał w godzinie próby, potrafił jednak przemóc strach i podtrzymując łokieć dłonią lewej ręki strzelał do nieprzyjaciela, który - gdyby to było w jego mocy - na pewno zamordowałby Christiana. Kochał mroczną, cichą, księżycową godzinę, bo w tej godzinie on i Brandt władali niepodzielnie zdobytym miastem i Christian wiedział nareszcie, że nie zmarnował życia, że nie urodził się po to, by objaśniać tajemnice zabawy dzieciom i turystom na wakacjach. Był potrzebny i umiał nie załamać się w potrzebie, a niczego więcej człowiek nie może wymagać od życia. Brandt zatrzymał się nagle i wskazał coś palcem.

- Patrz! - powiedział.

Christian przystanął i spojrział w kierunku wyciągniętej ręki towarzysza. Na kamiennej ścianie kościoła w jasnym blasku księżyca widniało „1918” napisane kredą dużymi, wyraźnymi cyframi. Christian mrugnął oczami i pokręcił głową. Wiedział, że jakiś sens kryje się za tą liczbą, lecz w pierwszej chwili nie mógł się zorientować jaki.

- Tysiąc dziewięćset osiemnaście - odezwał się Brandt. - Oni wiedzą. Francuzi wiedzą.

Diestl spojrział znów na ścianę. Zrobiło mu się smutno i po raz pierwszy tego dnia odczuł zmęczenie. Był na nogach od czwartej rano i niemało przeżył. Ciężkim krokiem podszedł do kamiennego muru i podniósł ramię. Powoli, metodycznie zaczął zmazywać rękawem wypisane kredą duże, wyraźne cyfry.

Rozdział V

Był pogodny czerwcowy dzień i słońce świeciło jasno nad świeżą zielonością pensylwańskich wzgórków. Ale radio zagłuszało wszystko i chociaż mały aparat powtarzał do uprzykrzenia wciąż to samo, Michael siedział przez cały dzień w wytapetowanej bawialni urządzonej po staroświecku filigranowymi mebelkami. Wokół jego fotela poniewierały się gazety. Od czasu do czasu Laura wchodziła do pokoju, głośnym westchnieniem dawała wyraz swemu męczeństwu, pochylała się i zebrawszy rozrzucone dzienniki układała z nich schludny stosik. Michael nie zwracał jednak uwagi na żonę. Pochylony nad odbiornikiem kręcił gałkami i słuchał głosów - niskich, modulowanych, teatralnych:

- „Tylko mydło toaletowe Lifebuoy chroni od nie milego zapachu potu... na czczo dwie łyżeczki od herbaty w szklance wody zapewniają regularne funkcjonowanie żołądka”.

- „Dowiadujemy się ze źródeł nieoficjalnych, że Paryż nie będzie broniony. Naczelne dowództwo armii niemieckiej osłania tajemnicą ruchy zagonów pancernych wdzierających się w nadwątlony system obrony Francuzów”.

Laura stanęła na progu i przemówiła tonem sztucznej cierpliwości:

- Obiecaliśmy Tony'emu, że dziś po południu będziemy grać w badmintona.

Michael milczał. Z łokciami na kolanach siedział pochylony nad radiem.

- Michael! - zawołała żona.

- Aha? - mruknął nie odwracając głowy.

- Badminton! Tony!

- Wiem. I co?

Zmarszczył czoło. Z trudem próbował słuchać żony i spikera naraz.

- Siatka nie założona - podjęła Laura.

- Założę później.

- Kiedy?

- Na miłość boską, Lauro! Mówię wyraźnie: później! - krzyknął zirytowany.

- Zaczyna mnie to nudzić! - Łzy napłynęły jej do oczu. - Wszystko i zawsze chcesz robić później.

- Przestań mnie dręczyć!

- To ty przestań na mnie wrzeszczeć!

Łzy pociekły jej po twarzy. Michaelowi żal się zrobiło żony.

Whitacre'owie zamierzali dobrze wykorzystać odpoczynek na wsi i chociaż nie mówili o tym ze sobą, obydwójce mieli nadzieję, że wróci dawna miłość i przyjaźń zagubiona w burzliwych latach ich małżeństwa.

Niedawno upłynął termin hollywoodzkiego kontraktu Laury, a gdy jej pracodawcy nie skorzystali z prawa opcji, artystka nie wiedząc czemu nie mogła dostać innej pracy. Robiła wprawdzie dobrą minę do złej gry i udawała pogodną i beztruską, lecz mąż zdawał sobie sprawę z jej poczucia klęski, chciał więc być czuły, przynajmniej w ciągu miesiąca, który mieli spędzić na wsi, w domku wydzierżawionym od znajomego. Przyjechali tam przed tygodniem, niestety jednak przeżyli okropne dni. Michael przesiadywał całe dni nad radiem, nocami zaś cierpiał na bezsenność. Nerwowo spacerował tam i z powrotem po bawialni, siadał, próbował czytać. Później, zmęczony, z zaczerwienionymi oczami wałęsał się posępnie z kąta w kąt. Zapominał o goleniu i o tym, że powinien pomagać żonie przy utrzymywaniu porządku w małym, uroczym domku.

- Bardzo przepraszam, kochanie - szepnął Michael.

Objął i pocałował żonę. Uśmiechnęła się, chociaż nie przestała jeszcze płakać.

- Nie cierpię nudzenia - powiedziała - ale to i owo koniecznie trzeba zrobić.

- Oczywiście.

- Jesteś szlachetny - roześmiała się Laura. - Uwielbiam cię w takich chwilach.

Michael uśmiechnął się również, lecz nie mógł przemóc uczucia nudy i przymusu.

- Widzę, że masz zamiar być dla mnie dobry - powiedziała tuląc się do męża. - Za tak chwalebne postanowienie trzeba płacić.

- O co znów chodzi?

- Ach, ten ton rezygnacji! Nie znoszę cię w takich chwilach!

Whitacre opanował się i ze zdumieniem usłyszał własny głos spokojny i układny:

- Jakie wydasz rozkazy?

- Przede wszystkim zamknij to wstrętne radio.

Na ustach miał już słowa protestu, lecz zawahał się na moment. Spiker mówił właśnie:

„Sytuacja jest dalej niejasna, wydaje się jednak, że Anglicy ukończyli pomyślnie ewakuację przeważającej części wojsk. Liczyć się należy z szybkim rozwojem kontrofensywy Weyganda, która...”.

- Michael! - rzuciła Laura tonem przestrogi.

Whitacre wyłączył radio.

- Niech i tak będzie - powiedział. - Dla ciebie wszystko!

- Dziękuję i proszę jeszcze o jedno. - Oczy miała już suche, błyszczące, figlarne.

- Słucham?

- Ogól się.

Z westchnieniem pogładził ręką szczeciniasty podbródek.

- Naprawdę muszę? - zapytał.

- Wyglądasz, jak gdyby cię przed chwilą wyrzucono z jakiegoś szynku przy Trzeciej Alei.

- Przekonałaś mnie.

- Zobaczysz, zaraz się lepiej poczujesz - dodała Laura zbierając gazety rozrzucone dokoła fotela.

- Naturalnie - przyznał i zbliżywszy się do odbiornika bezwiednie wyciągnął rękę w stronę gałek.

- Daj spokój na godzinę! Na krótką godzinkę. Jestem bliska obłądu. Ciągłe w kółko jedno i to samo.

- Moja droga - obruszył się Whitacre - to przecież najważniejszy tydzień naszego życia.

- Nie widzę potrzeby - odparła z zimną logiką - aby z tego powodu doprowadzać się do bzika. Na pewno to nie pomoże Francuzom. A jak wrócisz na dół, załóż siatkę do badmintona.

- Dobrze, dobrze!

Wzruszył ramionami i pospieszył w stronę schodów. Laura przelotnie pocałowała go w policzek i pogładziła po głowie.

Podczas golenia Michael usłyszał, że przybyli pierwsi goście. Z ogrodu dolatywał dźwięk głosów i ginał chwilami w szumie ciekącej z kranu wody. Były to głosy kobiece i z oddali brzmiały dziwnie melodyjnie i miękko. Laura zaprosiła dwie nauczycielki z pobliskiej szkoły dla dziewcząt, gdzie kształciła się od czternastego roku życia. Francuzki te uczyły ją i traktowały życzliwie. Słuchając od niechcienia raz cichszych, raz wyraźniejszych głosów Michael nie mógł odpędzić myśli, że Francuzki mówią znacznie przyjemniej niż większość znanych mu Amerykanek. Ton ich był łagodny, umiarkowany, a staranne wymawianie słów i należyte przerwy między nimi znacznie milej wpadały w ucho niż dufny bełkot amerykańskiej kobiecej mowy.

„Tej obserwacji - pomyślał Whitacre z uśmiechem - nie śmiałym wypowiedzieć na głos”.

Zaciął się i ze złością patrzył, jak szkarłatna kropelka uparcie barwi mu podbródek.

Gawrony krakały na wielkim drzewie w głębi ogrodu, gdzie cała ich kolonia pobudowała gniazda. Od czasu do czasu wybuchały tam sąsiedzkie swary i głużyły inne, mniej uchwytnie wiejskie odgłosy.

Michael zszedł na parter, ukradkiem wśliznął się do bawialni i nastawił radio najciszej, jak było można. Aparat rozgrzał się szybko, lecz dawano tylko muzykę. Na jednej fali kobiecy głos śpiewał: „Nic nie miałam i nie mam nic, ale nic to dla mnie bardzo wiele”; na drugiej orkiestra wojskowa huczała uwerturę z Tannhäusera. Słaby, mały odbiornik łapał tylko te dwie stacje. Michael wyłączył radio i odważnie udał się na spotkanie gości do ogrodu.

Był tam Johnson ubrany w tenisową koszulkę, żółtą w brązowe pasy. Przyprowadził ze sobą wysoką, bardzo przystojną dziewczynę. Podając jej rękę Michael zadał sobie bezwiednie pytanie, gdzie pani Johnson spędza to piękne letnie popołudnie.

- Panna Margaret Freemantle - zaprezentowała Laura.

Młoda osoba uśmiechnęła się zdawkowo, a Whitacre pomyślał z zazdrością: „Skąd, u licha, Johnson wytrzasnął taką ślicznochę?”.

Serdecznie uściśnął dłonie dwóch sióstr Francuzek. Były to niewiasty po pięćdziesiątce, bardzo szczupłe, ubrane w czerń i zapewne eleganckie z punktu

widzenia mody obowiązującej dosyć dawno - trudno określić ile lat temu. Miały zaczesane do góry farbowane włosy, delikatną bladawą cerę i cudowne nogi - strzeliste, doskonale kształtne. Zachowywały się dyskretnie, nad wyraz poprawnie, a długim latom nauczania podlotków zawdzięczały malujący się na ich twarzach wyraz nieskończonej pobłażliwości dla świata i ludzi. Na Whitacre'u robiły zawsze wrażenie zjaw z dziewiętnastego stulecia, wychowanych bez zarzutu, uprzejmych, wyrozumiałych, lecz w duchu potępiających kraj i epokę, w których żyć im przyszło. Widać było, że owego popołudnia starannie przygotowały się przed wizytą, że nie szczędziły różu i tuszu. Mimo to miały posępne, wymizerowane twarze i nie mogły skupić uwagi nawet podczas ożywionej konwersacji.

Michael zerknął na nie spod oka i nagle uprzytomnił sobie, jak ciężko być w tym dniu Francuzem. Niemcy są pod Paryżem. Stolica tłumiąc oddech nasłuchuje coraz bliższego i bliższego grzmotu dział. W przerwach między muzyką taneczną lub popularnymi słuchowiskami spikerzy recytują komunikaty z Europy i z amerykańskim akcentem wymawiają troskliwie dobrze znajome nazwy: Reims, Soissons, Marna, Compiègne...

„Człowiek delikatniejszy, z jakim takim ładem w głowie, nie taki głupi wół jak ja - myślał Michael - odprowadziłby je na stronę, pogadał z nimi, znalazł jakieś pocziwe, rozumne słowa pociechy. Ale cóż, gdybym nawet spróbował, z pewnością zachowałbym się niezdarnie, powiedział coś najmniej właściwego i jeszcze bardziej pokpił sprawę. Takich rzeczy nikt nikogo nie nauczy. Uczyliśmy się wszystkiego prócz taktu, prostych ludzkich uczuć i serdecznej delikatności”.

- ... przykro mi o tym mówić - perorował Johnson modulowanym głosem inteligenta - ale moim zdaniem, cała ta impreza jest gigantycznym oszustwem.

- Co takiego? - głupekowato zapytał Michael.

Johnson z wdziękiem siedział na trawie. Młodzieńczym ruchem podciągnął kolana pod brodę. Uśmiechnął się do panny Freemantle, próbując wywrzeć na niej korzystne wrażenie. Michael myślał ze złością, że - przynajmniej na pozór - Johnsonowi się to udaje.

- Co? Zmowa - ciągnął Johnson. - Nie próbuj mi wmawiać, że dwie największe armie świata załamały się nagle, ot tak sobie. To widowisko z góry przygotowane.

- Twierdzisz - zdziwił się Whitacre - że Francuzi rozmyślnie oddadzą Paryż?

- Oczywiście!

- Słyszał pan coś ostatnio? - wtrąciła szeptem młodsza z panien Boullard. - Coś o Paryżu?

- Nie - odparł Michael tonem najłagodniejszym, na jaki potrafił się zdobyć. - Nie ma jeszcze nowych wiadomości.

Francuzki skinęły głowami i uśmiechnęły się do niego, jak gdyby gospodarz wręczył im piękne bukiety,

- Paryż padnie - zabrał znów głos Johnson. - Ręczę za to.

„Po diabła nam ten jegomość?” - myślał zirytowany Whitacre.

- Idzie wielka gra - podjął Johnson. - Mydlenie oczu ludom Anglii i Francji. Za dwa tygodnie Niemcy wkroczą do Londynu. Nim minie dalszy miesiąc, wszyscy razem zaatakują Związek Radziecki - dokończył triumfalnie i z pasją.

- Chyba się mylisz - zaoponował Michael. - Moim zdaniem, wróżysz rzeczy niemożliwe. Jakoś inaczej się to rozwinię.

- Jak? - natarł Johnson.

- Nie wiem. Jakoś inaczej.

Whitacre pomyślał, że panna Freemantle musi go uważać za idiotę. Zirytował się, ale nie miał zamiaru ustępować.

- Jakoś inaczej - powtórzył.

- Mistyczna wiara - zaczął szydzić Johnson. - Dobry Bóg weźmie wszystko w swoje ręce. Kominiarz nie wejdzie do dziecinnego pokoju.

- Dajcie spokój! - wybuchnęła Laura. - Po co rozmawiać o poważnych sprawach? Zebraliśmy się przecież na badmintona. Panno Freemantle, gra pani w badmintona?

- Tak.

„Ma niski, matowy głos” - pomyślał Whitacre.

- Kiedy nareszcie ockną się ludy? - nie dawał za wygraną Johnson. - Kiedy spojrzą w twarz bezlitosnym faktom? Przecież to spiszek. Rzucanie molochowi jednego kraju po drugim. Abisynia, Chiny, Hiszpania, Czechosłowacja, Austria, Polska...

„Te nazwy, suche nazwy! - pomyślał Michael. - Powtarza się je tak często, że do cna straciły ładunek uczuciowy”.

- Klasa rządząca konsoliduje siły - ciągnął Johnson tonem przypominającym Whitacre'owi broszury polityczne. - Postanowiła więc obrać taką właśnie drogę. Kilka

strzałów armatnich dla ogłupienia narodu, kilka patriotycznych przemówień wygłoszonych przez sędziwych generałów, a potem układ: podpisany, opieczętowany, doręczony komu należy.

„Zapewne on ma słuszość - dumiał posepnie Michael. - Mówi mniej więcej prawdę. Ale w takie prawdy może uwierzyć tylko ktoś, kto ma zamiar rzucić się do rzeki. Jeżeli człowiek chce żyć, musi zachować pewne minimum niemądrych złudzeń. A Johnson wygłasza swoje opinie kameralnym, przekonującym, inteligenckim głosem. Takim, jaki słyszy się zawsze podczas premierowych przedstawień i na zebraniach towarzyskich w wielkim świecie. Jest w tym coś dziwnie odrażającego”.

Whitacre zadał sobie pytanie, gdzie może być teraz Irlandczyk z sylwestrowego przyjęcia w Nowym Jorku - ten pijanica Parrish. Niewątpliwie mówiłby wiele rzeczy, które obecnie mówi Johnson. To poglądy odpowiadające z grubsza „linii partyjnej”. Ale jakoś łatwiej byłoby je przyjmować od tamtego człowieka. Pewno nie żyje. Z ironicznie uśmiechniętą gębą leży gdzieś w ziemi nad Ebro...

Michael zerknął na Johnsona ubranego w jasnoczekoladowe spodnie i jaskrawożółtą koszulę. „Cokolwiek się zdarzy - myślał melancholijnie - ciebie nie pochowają nigdzie na łapu-capu. W tym cały dowcip”.

- Mam szaloną ochotę zagrać w badmintona! Mój drogi... - Laura dotknęła lekko ramienia męża. - Słupki, siatka i inne przybory są na kuchennym ganku.

Whitacre westchnął i ciężko dźwignął się z trawy. Pomyślał, że Laura ma jednak rację. Lepiej nie rozmawiać za dużo w dniu takim jak dzisiejszy.

- Pomogę panu. - Panna Freemantle podniosła się i ruszyła za gospodarzem.

- Posłuchaj, Johnson! - Michael nie mógł odmówić sobie pożegnalnego docinka. - Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że nawet ty możesz się mylić?

- Oczywiście, ale tym razem nie myślę się na pewno - odparł z godnością zaatakowany.

- Mimo wszystko - podjął Michael - musi być choć odrobina nadziei.

- Ciekawe, gdzie w naszych czasach zaopatrujesz się w nadzieję? - wybuchnął śmiechem Johnson. - Może masz jej trochę na zbyciu?

- Mam.

- A na co właściwie liczysz?

- Spodziewam się, że Ameryka przystąpi do wojny...

Whitacre zauważył, że Francuzki utkwily w nim skupione, przenikliwe spojrzenia.

- Mój kochany - przerwała nerwowo Laura - rakiety są w zielonej drewnianej skrzyni...

- Życzysz sobie, by i Amerykanie ginęli w tej oszukańczej wojnie? - wybuchnął Johnson. - O to ci chodzi?

- Jeżeli nie da się uniknąć...

Johnson nie pozwolił mu dokończyć zdania.

- To coś nowego u ciebie! - zawołał. - Stajesz się podżegaczem wojennym.

- W tej chwili po raz pierwszy sformułowałem tę myśl - odrzekł chłodno Michael pochylając się nad przeciwnikiem.

- Teraz rozumiem - obruszył się Johnson. - Jesteś czytelnikiem „New York Timesa”. Piekielnie ci zależy na ocaleniu znanej nam cywilizacji i rozmaitych takich rzeczy.

- Słusznie - powiedział Whitacre. - Piekielnie mi zależy na ocaleniu znanej nam cywilizacji i rozmaitych takich rzeczy.

- Wstrętni jesteście! - poskarżyła się Laura. - Dajcie nareszcie spokój!

- Jeśli taki z ciebie zapaleniec - nie dawał za wygraną Johnson - dlaczego nie zaciągniesz się do angielskiego wojska? Na co tu czekać?

- Bardzo możliwe, że to zrobię - odparował cios Michael.

- Bardzo możliwe.

- Ach, nie!

Whitacre odwrócił się zdziwiony. Panna Freemantle zawołała: „Ach, nie!”, a teraz stała zakłopotana, z ręką na ustach, jak gdyby te słowa były niespodzianką dla niej samej.

- Chciała pani coś powiedzieć? - zapytał Michael.

- Wiem, że... że nie powinnam... nie powinnam się wtrącać... - wyjąkała i zmieniając ton dodała zaraz żywo: - Ale nie wolno twierdzić, że i my musimy walczyć!

„Aha - pomyślał Whitacre. - Członkini partii! Wiadomo już, skąd wytrzasnął ją Johnson. Kto by się spodziewał... Taka ładna!”

- Jeżeli Rosja weźmie udział w wojnie, zmieni pani zdanie? - zapytał.

- Ach, nie - odpowiedziała dziewczyna. - To nie ma nic do rzeczy. „Znowu pudło! - pomyślał Michael. - Muszę dać spokój błyskawicznym, pełnym finezji sądom”.

- Z wojny nie może wyniknąć nic dobrego - ciągnęła z wahaniem panna Freemantle. - Nigdy. Młodzi mężczyźni będą wyjeżdżać z kraju... ginąć... Moi znajomi, przyjaciele, krewni... Może to samolubstwo, ale... ale nie cierpię, jak ludzie mówią tak, jak pan teraz mówi. Byłam w Europie i tam właśnie wszyscy mówili podobnie. Znałam wtedy dużo młodych mężczyzn. Tańczyłam z nimi, jeździłam na nartach. A teraz może wielu z nich nie żyje... I w imię czego? Gadali i gadali, aż wreszcie doprowadzili się do stanu, w którym mogli jedynie zacząć mordować się wzajemnie. Bardzo przepraszam - dodała tonem powagi. - Wcale nie chciałam zabierać głosu. Sama jestem zdania, że to niemądry, czysto kobiecy punkt widzenia i...

- Ciekaw jestem czysto kobiecego punktu widzenia łaskawych pań - przerwał jej Whitacre zwracając się do panien Boullard.

- Daj spokój, Michael! - wybuchnęła Laura.

- Nasz punkt widzenia? - odezwała się młodsza z siostr cichym, opanowanym i uprzejmym głosem. - Obawiam się, że nie stać nas dzisiaj na swobodny wybór punktu widzenia.

- Na miłość boską, Michael - wtrąciła znów Laura - pójdiesz wreszcie po przybory do badmintona?

- Pójdę, pójdę!

- I ty, Roy, mógłbyś być cicho - podjęła gospodyni zwracając się do Johnsona.

- Rozkaz, królowo! - uśmiechnął się Johnson. - A wolno zakomunikować ci ostatnią plotkę?

- Oczywiście! Plotek nie odkłada się na później.

Laura mówiła już swobodnym, lekkim tonem, zupełnie odpowiednim w czasie zabawy ogrodowej. Michael i panna Freemantle ruszyli w stronę kuchennego ganku.

- Josephine ma nowego amanta - powiedział Johnson. - To taki wysoki, młody blondyn z pełną wyrazu gębą. Aktor filmowy, Moran.

Na dźwięk tego nazwiska Michael stanął jak wryty. Panna Freemantle prawie się z nim zderzyła.

- Podobno znalazła go na wystawie obrazów - ciągnął Johnson. - Tak przynajmniej sama twierdzi. Zdaje mi się, Lauro, że rok temu kręciłaś z nim jakiś film?

Whitacre bacznie obserwował żonę. Chciał przekonać się, czy rozmowa o Moranie zmieni wyraz jej twarzy. Ale Laura niczym się nie zdradziła.

- Tak - powiedziała obojętnie. - Obiecujący młody aktor. Trochę powierzchowny, nie pozbawiony jednak inteligencji.

„Z babą nigdy nic nie wiadomo - pomyślał Michael. - Nie mrugnie nawet okiem, a łgarstwami utoruje sobie drogę do królestwa niebieskiego”.

- Moran przyjdzie lada chwila - ciągnął Johnson. - Zjechał tutaj, bo ma rolę w sztuce wystawianej na otwarcie letniego sezonu. Pozwoliłem sobie zaprosić go do was. Sądzę, że się nie gniewasz?

- Oczywiście, że się nie gniewam.

Michael uważnie przyglądał się żonie, spostrzegł więc, że na moment twarz jej skurczył nerwowy grymas. Później Laura odwróciła głowę i uniemożliwiła dalszą obserwację.

„Psiakrew, małżeństwo” - pomyślał Whitacre.

- Pan John Moran - odezwała się młodsza z panien Boullard. - Doprawdy, jestem wzruszona! Moim zdaniem, jest cudowny. Taki męski! Męskość to najważniejsza zaleta aktora.

- Słyszałem - burknął opryskliwie Michael - że przepadają za nim starsi panowie pewnej kategorii.

„Ach, kobiety, kobiety! - pomyślał. - Ronią łzy z powodu klęski najhaniebniejszej w dziejach ich ojczyzny, a jednocześnie potrafią entuzjasmować się przystojnym, głupkowskim aktorem filmowym. «Taki męski»”.

- Wykluczone - odezwał się Johnson. - Ile razy go spotkam, jest z dziewczyną. Za każdym razem z inną.

- Może obydwie strony medalu interesują faceta - powiedział Whitacre. - Zapytaj moją żonę. Pracowała z nim przecież.

Czuł, że jest śmieszny, lecz nie potrafił oderwać przenikliwego wzroku od Laury.

- Nie wiem - odrzekła pani Whitacre tonem swobodnej konwersacji. - Wiem tylko, że skończył Uniwersytet Harvarda.

- Zapytam go więc, jak przyjdzie - podjął Michael. - No, panno Freemantle, chodźmy, nim moja żona znowu mnie popędzi. Mamy ważną robotę.

Ramię w ramię odeszli na drugą stronę domu. Dziewczyna pachniała świeżością i poruszała się lekko, swobodnie. Michael uprzytomnił sobie nagle, że jest bardzo młoda.

- Kiedy wróciła pani z Europy? - spytał, chociaż nie zależało mu na odpowiedzi; miał po prostu ochotę słuchać jej głosu.

- Trochę więcej niż rok temu.

- A jak tam było?

- Cudownie - odparła. - Cudownie i strasznie. Nigdy nie zdołamy pomóc tym ludziom, żebyśmy nie wiedzieć co zrobili.

- Zgadza się pani z Johnsonem, prawda?

- Nie. Johnson powtarza tylko to, co inni każą mu mówić. Nie ma w głowie ani jednej samodzielnej myśli.

Michael nie mógł ukryć złośliwego uśmiechu.

- To bardzo sympatyczny człowiek - ciągnęła panna Freemantle ciszej, jak gdyby tonem usprawiedliwienia. - Uczciwy, bezinteresowny, pełen najlepszych chęci. Ale wszystko wydaje mu się niesłychanie proste... Cóż, wystarczy zobaczyć Europę, a jasne kwestie zaczynają się komplikować. Europa przypomina pacjenta cierpiącego na dwie choroby. Zbawienny lek przeciwko jednej jest trucizną przy drugiej - mówiła skromnie, z niejakim wahaniem. - Johnson sądzi, że wystarczy recepta na świeże powietrze, państwowe domy dziecka i potężne związki zawodowe, a chory automatycznie odzyska siły... Mnie uważa za mętniaczkę.

„Europa doskonale jej zrobiła - pomyślał Whitacre. - Głos ma bez porównania miłszy, mięk szy niż większość Amerykanek”.

- Mętniakiem jest każdy, kto nie zgadza się z komunistami - powiedział. - To właśnie stanowi o ich sile. Są niesłychanie pewni siebie. Zawsze wiedzą, co w danej chwili należy robić. Mogą się mylić, ale przynajmniej działają.

- Nie jestem wielką zwolenniczką działania - odrzekła dziewczyna. - Trochę obserwowałam je w Austrii.

- Łaskawa pani żyje w nieodpowiedniej epoce... tak samo jak ja.

Znaleźli się tymczasem na kuchennym ganku. Panna Freemantle wzięła siatkę i rakiety. Gospodarz dźwignął na ramiona dwa paliki. Byli sami po cienistej stronie domu, ukryci przed ludzkim wzrokiem za wysokimi morwami. Michael odczuł przyjemny, intymny nastrój.

- Mam pomysł - odezwał się. - Pomysł partii politycznej, która uleczy wszystkie niedomagania świata.

- Umieram z ciekawości! Słucham.

- Stronnictwo Bezwarunkowej Prawdy - podjął Michael. - Ilekroć wyniknie jakaś kwestia... obojętne jaka... Monachium, leczenie dzieci mańkutów, niepodległość Madagaskaru, ceny biletów teatralnych w Nowym Jorku - przywódcy partii będą mówić szczerze, co myślą na ten temat. Dotychczas dzieje się inaczej, bo wszyscy wiedzą, że nikt nie mówi nigdy na żaden temat tego, co naprawdę myśli.

- Ilu członków liczy stronnictwo?

- Na razie jednego - powiedział Whitacre. - Mnie.

- Niech będzie do pary.

- Przystępuje pani?

- Jeżeli pan pozwoli - uśmiechnęła się zalotnie.

- Z rozkoszą. Sądzi pani, że partia będzie działać?

- Ani minuty.

- Jestem tego samego zdania. Może trzeba poczekać parę lat!

Byli już blisko narożnika domu. Michael pomyślał nagle ze wstrętem, że musi wrócić do tamtych ludzi, wydać dziewczynę odległemu światu gości, gospodarzy i układnych towarzyskich rozmów.

- Margaret - szepnął.

- Słucham. - Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

„Wie, co jej chcę powiedzieć - pomyślał Whitacre. - To dobrze”.

- Margaret, zobaczymy się w Nowym Jorku?

Przez chwilę patrzyli na siebie. Michael zauważył, że dziewczyna ma piegi na nosie.

- Tak - odrzekła.

- Wolałbym nie mówić nic więcej. Na razie.

- Znajdzie pan moje nazwisko w książce telefonicznej. Odwróciła się i lekkim, elastycznym krokiem minęła narożnik domu. Z wdziękiem niosła siatkę i rakiety, a jej smukłe opalone łydki migąły pod szeroką spódnicą. Przez chwilę Whitacre stał bez ruchu. Chciał się upewnić, że na jego twarz wróci wyraz obojętnego spokoju. Następnie wszedł do ogrodu za Margaret.

Tymczasem zebrało się więcej gości: Tony, Moran i jakaś młoda osoba w purpurowych spodniach i słomkowym kapeluszu o rondzie szerokim mniej więcej na dwie stopy.

Moran, wysoki i szczupły, miał na sobie ciemnoniebieską koszulę rozpiętą pod szyją. Był opalony na ciepły brąz, a kiedy witał się z gospodarzem, niesforny kosmyk włosów zakrył mu oczy - zupełnie jak uczniakowi.

„Czemu, u diabła, ja nie mogę tak wyglądać? - pomyślał Whitacre, gdy poczuł silny, męski uścisk dłoni. - Ach, ci aktorzy!”.

- Miałem przyjemność poznać pana - usłyszał swój głos. - Pamiętam nawet kiedy. Wigilia Nowego Roku. Arney wystąpił wtedy w scenie z oknem.

Tony wyglądał dziwnie. Ledwie się uśmiechnął, kiedy gospodarz przedstawił go pannie Freemantle. Później siedział skurczony, jak gdyby miał bóleści. Błady, zatroskany, pochylił głowę, a rzadkie ciemne włosy w nieładzie opadały mu na czoło. Tony uczył literatury francuskiej w Rutgers. Był Włochem, chociaż nie wskazywała na to twarz, zbyt jasna i surowa jak na Włocha. Michael kolegował się z nim w szkole i z biegiem lat lubił go coraz bardziej. Tony mówił nieśmiałym, przytłumionym głosem mola książkowego, jak gdyby znajdował się w bibliotecznej sali. Z pannami Boullard żył w przyjaźni i dwa lub trzy razy w tygodniu bywał u nich na ceremonialnych, dwujęzycznych podwieczorkach. Tego dnia wszakże Francuzki i Włoch nawet nie patrzyli na siebie.

Michael zaczął ustawiać pierwszy palik. Od niechcienia wbijał go w murawę i słuchał, jak młoda osoba w purpurowych spodniach mówi tonem damy z wielkiego świata:

- Koszmarny hotel! Jedna łazienka na piętro, materace odpowiednie na płyty pokładowe i wszędzie pełno jakichś idiotycznych kretynów. Do tego hordy, dosłownie hordy pluskiew! A ceny!

Whitacre spojrział na Margaret i z ironiczną miną pokręcił lekko głową. Dziewczyna odpowiedziała dyskretnym uśmiechem i spuściła oczy. Wtedy Michael zerknął z ukosa na żonę. Przyglądała mu się wrogim, kamiennym wzrokiem.

„Jak, u diabła, ona to robi? - pomyślał. - Nigdy nic nie przegapi. Ach, gdyby taki talent wykorzystać w użytecznym celu!”.

- Gdzie stawiasz palik? - syknęła Laura. - Drzewo będzie przeszkadzać.

- Wybacz, Lauro, ja zajmuję się tą sprawą.

- Ale źle! - wybuchnęła z uporem.

Michael puścił naganę mimo uszu i dalej majstrował przy paliku. Nagle panny Boullard wstały. Jednakowym, zdecydowanym ruchem zaczęły naciągać rękawiczki.

- Bardzo nam było miło u państwa - powiedziała młodsza. - Serdecznie dziękujemy i proszę nam wierzyć, odchodzimy ze szczerym żalem.

- Jak to? - zdziwił się gospodarz. - Dopiero co panie przyszły.

- Niestety - odpowiedziała stanowczo Francuzka - moja siostra dostała potwornej migreny.

Obydwie panie zaczęły obchodzić towarzystwo i kolejno ścisnąć ręce. Tony'ego pominęły. Przeszły koło niego, jak gdyby w ogóle nie istniał. Tony przyglądał się im spod oka. Minę miał zakłopotaną, niepewną jakąś i wstydliwą.

- Po co to wszystko? - odezwał się biorąc do ręki staroświecki słomkowy kapelusz. - Po co to wszystko? Niepotrzebnie wychodzicie. Ja się zaraz wyniosę.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. Nikt nie patrzył na Włocha ani na Francuzki.

- Spotkanie z panem było dla nas prawdziwą przyjemnością - powiedziała chłodno młodsza panna Boullard zwracając się do Morana. - Tyle razy podziwialiśmy pańskie filmy.

- Dziękuję - uśmiechnął się aktor z czarującym, chłopięcym wdziękiem. - Doprawdy, niezmiernie pani uprzejma...

„Ach, ci komedianci!” - pomyślał Whitacre.

Tony pobladł.

- Dostyc tego! - zawołał. - Na miłość boską, Helen, nie zachowuj się w taki sposób.

- Nie ma potrzeby odprowadzać nas do furtki - podjęła młodsza panna Boullard. - Same trafimy.

- Konieczne są wyjaśnienia - ciągnął Tony rozdygotanym głosem. - Nie wolno tak traktować przyjaciół! To niedopuszczalne!

- Spojrzał na gospodarza, który biedził się wciąż nad ustawianiem palika. - Znam te kobiety od dziesięciu lat. Na pozór są rozumne, inteligentne...

Francuzki spojrzały lodowato na Tony'ego. Twarze ich zastygły w maski nienawistnej pogardy.

- To wojna. Ta przekłeta wojna! - ciągnął Tony. - Helen! Rachel! Błagam, bądźcie rozsądne. Nie wyrządzajcie mi krzywdy. Nie ja przecież wkraczam do Paryża. Nie ja zabijam Francuzów. Jestem Amerykaninem. Kocham Francję. Brzydzę się Mussolinim. Jestem waszym przyjacielem i...

- Nie życzymy sobie rozmawiać z panem ani z żadnym Włochem - przerwała mu młodsza panna Boullard ujmując siostrę pod rękę.

Obie skłoniły się sztywno i ruszyły w stronę furtki, wymuskane, eleganckie, ubrane w proste czarne suknie, rękawiczki i kapelusze ogrodowe.

Gawrony podniosły wrzask na wielkim drzewie odległym o pięćdziesiąt jardów. Ochryple, natarczywe krakanie niemile drażniło ucho.

- Chodźmy, Tony - odezwał się wreszcie Michael. - Mam ochotę wypić z tobą jednego.

Tony posępnie zasznurował usta. Bez słowa wszedł za gospodarzem do wnętrza domu. W palcach ścisnął słomkowy kapelusz ze wstążką w jaskrawe paski.

Whitacre wyjął z kredensu dwie szklaneczki i hojną ręką nalał whisky. W milczeniu podał trunek przyjacielowi. W ogrodzie odżyła rozmowa. Przy akompaniamencie krakania gawronów Moran mówił z przekonaniem:

- Cudowne typy, prawda? Żywcem wycięte z francuskiego filmu z tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku.

Tony pił powoli. Piastował w ręku swój sztywny słomkowy kapelusz. Oczy miał puste, żalodne. Michael chciał podejść do przyjaciela, wziąć go w ramiona, bo wiedział przecież, że jego rodacy ścisną się w smutnych momentach. Ale nie potrafił zdobyć się na krok równie śmiały. Włączył radio i pociągnął długi łyk whisky. Aparat nagrzewał się i od czasu do czasu skrzeczał irytująco.

„I ty możesz mieć piękne, śnieżnobiałe ręce...” - melodyjny głos urwał nagle. W odbiorniku coś trzasnęło. Po chwili dał się słyszeć inny głos, ochryply i trochę drżący:

„Otrzymaliśmy komunikat specjalny. Podano do wiadomości, że wojska niemieckie wkroczyły do Paryża. Wobec zupełnego braku oporu miasto nie ucierpiało. Następane komunikaty usłyszycie na tej samej fali”.

Niezwłocznie odezwały się organy. Głośno, nieharmonijnie grały coś z tak zwanej „lekkiej muzyki klasycznej”.

Tony usiadł, postawił szklankę na stole. Michael przywarł do radioodbiornika tępym spojrzeniem. Nigdy nie był w Paryżu. Chroniczny brak czasu i pieniędzy nie pozwalał mu na zamorskie podróże. Teraz jednak, gapiąc się na lakierowane pudło, które drżało od hałaśliwej muzyki i ech schrypniętego głosu spikera, wyobrażał sobie, jak tego popołudnia wygląda stolica Francji. Szerokie, zalane słońcem ulice, dobrze znane całemu światu. Kawiarnie, zapewne dzisiaj wyludnione. Strzeliste, wymowne pomniki dawnych zwycięstw, połyskujące w ciepłych blaskach lata. Niemcy maszerują sztywno, w zwartym szyku, a tupot butów dudni odbijając się od opuszczonych żaluzji. Obraz ten mógł być oczywiście mylny.

„To dziwne - dumal Whitacre - ale trudno wyobrazić sobie niemieckich żołnierzy w grupkach po dwóch czy trzech. Myśląc o nich widzi się zawsze sztywne falangi w marszu, jak gdyby wędrowały dziwaczne, czworoboczne potwory. Może dziś chyłkiem przemykają ulicami. Broń trzymają w pogotowiu i trwożnie spoglądają na zamknięte okna, a za każdym podejrzanym szelestem padają na chodniki. Mój Boże, czyż nie mogłem się tam wybrać latem tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku albo chociażby ostatniej wiosny? Czemu nie skorzystałem z okazji? Człowiek wszystko odkłada na później i tak się to kończy”.

Zaczął wspominać przeczytane niegdyś książki o Paryżu. Teatralne lata dwudzieste i upajający, heroiczny finał poprzedniej wojny. Weseli, skazani na zagładę, dowcipni emigranci, przesiadujący w znanych barach; piękne dziewczyny, sprytni, cyniczni młodzieńcy z kieliszkiem pernoda w jednej i amerykańskim czekiem turystycznym w drugiej ręce... Dzisiaj wszystko przepadło pod gąsienicami czołgów, a on nie widział tego i najprawdopodobniej nigdy nie zobaczy.

Spojrzał na przyjaciela. Tony siedział z przechyloną w tył głową. Płakał. Przeżył dwa lata w Paryżu i wielokrotnie opowiadał Michaelowi, co będą robić, kiedy razem wybiorą się tam na urlop. Mówił o małych restauracyjkach, plaży nad Marną, o

skromnym lokalu, gdzie na odrapanych drewnianych stołach podają znakomite białe wino w karafkach.

Whitacre poczuł wilgoć pod powiekami. Rozpaczliwie zaczął się bronić. „Sentymentalizm! - pomyślał. - Idiotyczny, tani sentymentalizm! Nigdy nie byłem w Paryżu. Dla mnie to tylko miasto jedno z wielu”.

- Michael! - głos Laury zabrzmiał natrętnie, gniewnie. - Michael! Michael!

Whitacre wypił resztę whisky i zerknął na przyjaciela. Chciał coś powiedzieć, ale po krótkim namyśle postanowił zostawić go w spokoju. Bez pośpiechu wyszedł do ogrodu. Johnson, Moran ze swoją damą i panna Freemantle sztywno siedzieli na trawie. Widać było, że rozmowa się nie klei. Gospodarz zapragnął gorąco, by goście poszli nareszcie.

Laura zbliżyła się i lekko ścisnęła męża za ramię.

- Mój drogi, zagramy tego lata w badmintona czy mamy czekać do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku? - spytała i zaraz syknęła szeptem: - Rusz no się! Bądź cywilizowanym człowiekiem. Masz gości. Nie zwalaj na mnie wszystkiego.

Zanim zdążył coś powiedzieć, odwróciła się i mile uśmiechnęła do Johnsona.

Michael podszedł z wolna do leżącego na ziemi palika.

- Nie wiem, czy to interesuje kogoś z państwa - powiedział - ale Paryż dziś upadł.

- Niepodobna! - zawołał Moran.

Panna Freemantle milczała. Whitacre zauważył, że spuściła wzrok i przyglądała się swym kurczowo splecionym dłoniom.

- Nieuniknione wydarzenie - oznajmił z powagą Johnson. - Każdy mógł je z góry przewidzieć.

Gospodarz podniósł palik i ostry jego koniec zaczął wbijać w murawę.

- Nie tutaj! - krzyknęła Laura wysokim, zirytowanym głosem. Ile razy trzeba ci powtarzać, że to robota do niczego? Skoczyła jak furia i wyrwała palik mężowi. Rakietą, którą trzymała ręką, mocno uderzyła go w ramię. Michael z niemądrą miną przyglądał się żonie. Ręce miał wyciągnięte, jak gdyby trzymał jeszcze palik. „Płacze - pomyślał zdziwiony. - Czemu, u licha, ona płacze?”.

- Tutaj! Rozumiesz, tutaj! - wrzeszczała Laura i zaostrzonym końcem palika gwałtownie tłukła o ziemię.

Whitacre zbliżył się do niej i on z kolei odebrał palik. Nie zdawał sobie sprawy, dlaczego to zrobił. Wiedział tylko, że nie zniesie widoku Laury, która krzyczy histerycznie i raz po raz dziurawi trawnik.

- Uspokój się, to moja sprawa - powiedział bez sensu.

Nienawiść wykrzywiła ładną, łagodną zwykle twarz aktorki. Laura podniosła rękę i rzuciła raketę mierząc w głowę męża. Michael patrzył tępo, jak rakietą kreśli łuk na tle drzew i żywopłotu widocznego w głębi ogrodu. Zdawało mu się, że ten lot trwa bardzo długo. Później usłyszał głucho stuknięcie i rakietą upadła mu u nóg, zanim uprzytomnił sobie, że uderzyła go boleśnie nad prawym okiem. Krew zwilżyła czoło, na chwilę zatrzymała się na brwi i poczęła zalewać oko. Była ciepła i lepka. Laura stała bez ruchu. Płakała i mierzyła męża pełnym obrzydzenia wzrokiem.

Whitacre troskliwie ułożył palik na trawniku, odwrócił się i odszedł. Po drodze minął Tony'ego, który wychodził właśnie z domu. Nie odezwali się do siebie.

W bawialni radio huczało jeszcze muzyką organową. Michael stanął przed kominkiem i spojrzał w stojące na półce niewielkie wypukłe lustro w bogato rzeźbionej, złożonej ramie. Odbicie zniekształciło mu twarz. Nos był śmiesznie długi, a czoło i broda spiczaste i cofnięte. Czerwona plama nad okiem wydawała się mała i bardzo daleka. Nagle skrzypnęły drzwi. Michael usłyszał za sobą zbliżające się kroki Laury, która weszła do pokoju i wyłączyła radio.

- Wiesz chyba, że nie znoszę muzyki organowej - rzuciła drżącym, nieprzyjemnym tonem.

Odwrócił się i spojrzał na żonę. Stała przed nim w sukni ogrodowej z kretonu pomarańczowego w biały deseń. Opalona skóra widoczna między spódnicą a stanikiem była gładka i jedwabista. Laura wyglądała wdzięcznie. Smukła, zgrabna i elegancka, sprawiała wrażenie wyciętej z „Vogue'u” reklamy sukien dla młodych panienek. Zła, zalana łzami twarz rażąco nie pasowała do całości.

- No, koniec z nami - odezwał się Michael. - Rozumiesz chyba dlaczego?

- Doskonale! Niczego więcej nie mogłam sobie życzyć. Doskonale!

- Jak już do tego doszło - podjął - chciałbym powiedzieć, że nie mam wątpliwości co do ciebie i Morana. Dobrze was obserwowałem.

- Jestem zadowolona, że wiesz o wszystkim - syknęła Laura.

- Ale pozwól, że cię ostatecznie upewnię. Masz całkowitą rację. Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?

- Tylko tyle, że wyjadę pociągiem o piątej.

- Nie udawaj świętoszka! - wybuchnęła kobieta. - I ja wiem coś niecoś o tobie. W wielu listach opisywali mi dobrzy ludzie, jak samotnie spędzasz beze mnie czas w Nowym Jorku. Mam dosyć! Dosyć! Ile razy przyjechałam do ciebie, wszystkie baby patrzyły na mnie ze współczuciem. Mam dosyć! A na kiedy umówiłeś się z panną Freemantle? Obiad we wtorek, co? Może wyjść do ogrodu? Powiedzieć jej, że zmieniłeś plany? Właściwie możecie się spotkać już jutro.

Mówiła ostrym, syczącym głosem, a gniew i żal wykrzywiały jej szczupłą, dziewczęcą twarz.

- Uspokój się. Nie mam ochoty słuchać podobnych bredni - powiedział Michael, chociaż był przygnębiony i czuł się winny.

- Może chcesz jeszcze o coś zapytać?! - krzyczała Laura. - Interesują cię inni mężczyźni? Masz więcej podejrzeń? Życzysz sobie, abym spisała pełną listę?

Nagle załamała się. Upadła na kanapę.

„Chyba trochę za wdzięcznie - pomyślał złośliwie Michael. - Zupełnie jak dobra pierwsza naiwna”.

Laura ukryła twarz w poduszce i szlochała głośno. Piękne puszyste włosy rozsypały się i aureolą otoczyły jej głowę. Skulona na kanapie, zapłakana, sprawiała wrażenie bezradnego dziecka wystrojonego w barwną, efektowną suknię. Michael miał szczerą ochotę pochylić się nad żoną, wziąć ją w ramiona i łagodnie, pocieszająco szepnąć:

„Dziecinko. Maleńka...”

Odwrócił się jednak i wyszedł do ogrodu. Goście usunęli się dyskretnie i z dala od domu utworzyli barwną grupę na ciemnym tle żywopłotu. Stali nieporadnie, zakłopotani i sztywni. Gospodarz zbliżył się do nich. Wierzchem dłoni otarł szramę nad okiem.

- Nie gramy dziś w badmintona - powiedział. - Chyba niech państwo lepiej pójdą. Dzisiejsze przyjęcie nie będzie gwoździem letniego sezonu w Pensylwanii.

- Właśnie szykowaliśmy się do odejścia - odrzekł chłodno Johnson.

Michael nie podał nikomu ręki. Stał na trawniku. Obojętnie patrzył na figury niknące jedna za drugą. Panna Freemantle spojrzała raz na niego, zaraz jednak spuściła wzrok i oddaliła się bez słowa. Furtka stuknęła za odchodzącymi.

Michael stał bez ruchu. Rana wysychała na słońcu i piekła. Gawrony darły się niemiłosiernie w górze między gałęziami. Nie cierpiał gawronów. Podszedł do muru i troskliwie wybrał kilka ciężkich, gładkich kamieni. Później wyprostował się i baczym wzrokiem zaczął szukać ptaków między liśćmi. Zamachnął się i rzucił kamieniem w trzy wrzaskliwe gawrony siedzące rzędem. Ramię działało sprawnie. Kamień zawarczał w powietrzu. Za pierwszym poleciał drugi i trzeci. Ptaki zatrzepotały skrzydłami i odleciały z trwożnym krakaniem. Michael posłał ich śladem jeszcze jeden kamień, który zakreślił szeroki łuk w powietrzu. Gawrony zniknęły w lesie.

Na chwilę cisza spowiła ogród drzemący w słonecznych blaskach letniego popołudnia.

Rozdział VI

Noe był zdenerwowany. Pierwszy raz w życiu wydawał przyjęcie, próbował więc przypomnieć sobie, jak wyglądają przyjęcia w filmach, książkach i magazynach literackich. Dwukrotnie zaglądał do kuchenki, aby zbadać stan trzech tuzinów kostek lodu, które przy pomocy Rogera zakupił w drogerii. Raz po raz patrzył na zegarek, pocieszając się nadzieją, że Roger zdąży przywieźć swoją dziewczynę z Brooklynu, nim goście zaczną się schodzić. Noe nie wątpił, że zdany na własne siły popełni jakąś potworną gafę właśnie w momencie, kiedy należy być godnym i pewnym siebie.

Noe i Roger Cannon mieszkali razem w Nowym Jorku, niedaleko nadbrzeżnego bulwaru River Drive i Uniwersytetu Columbia. Pokój mieli duży, ozdobiony kominem, w którym nie można było rozpaścić ognia. Z okna łazienki, wychyliwszy się tylko nieznacznie, mogli oglądać rzekę Hudson.

Po śmierci ojca Noe przemierzył z powrotem całe Stany, zawsze bowiem pragnął zobaczyć Nowy Jork. Nic nie wiązało go z żadnym innym punktem świata, a w wielkim mieście znalazł pracę po upływie dwóch dni, później w bibliotece publicznej przy Piątej Alei spotkał Rogera.

Dziś trudno mu było uwierzyć, że kiedyś nie znał Rogera i po całych dniach mógł włóczyć się ulicami nie odzywając się słowem do nikogo. Nie miał wtedy przyjaciela w żadnym mężczyźnie, nie spoglądała na niego żadna kobieta, na żadnej ulicy nie czuł się u siebie, a wszystkie godziny były dlań równie mało atrakcyjne.

Pewnego razu Noe stał przed bibliotecznymi regałami i wodził wzrokiem po szeregach tomów w ciemnych oprawach. Sięgnął ręką po książkę (dobrze pamiętał, że było to dzieło Yeatsa), potrącił stojącego obok mężczyznę i bąknął: „Przepraszam!”. Spojrzeli na siebie, nawiązali rozmowę i wyszedłszy na ociekające deszczem ulice gawędzili dalej. Roger zaprosił nowego znajomego do baru przy Szóstej Alei. Wypili tam po dwa piwa i przed rozstaniem umówili się, że nazajutrz zjedzą razem kolację.

Noe nie miał nigdy prawdziwego przyjaciela. Włóczęgowskie dzieciństwo spędzał tu i ówdzie. Kilkumiesięczne pobyty wśród obcych, obojętnych ludzi dawały jedynie okazję do przelotnych znajomości, a uparta nieśmiałość i przekonanie, że jest niesympatycznym, pozbawionym wdzięku dzieckiem, wykluczały wszelkie awanse z jego strony. Roger - o cztery lub pięć lat starszy od Noego - był wysoki i szczupły. Miał

suchą twarz i krótko ostrzyżone ciemne włosy, a poruszał się z tym niedbałym wdziękiem, jakiego Noe zazdrościł zawsze młodzieńcom wychowywanym w dobrych szkołach. Roger nie wychowywał się w dobrej szkole, ale należał do ludzi, którzy przynoszą na świat pewną i niezachwianą wiarę w samych siebie. Na wszystko spoglądał z chłodną ironiczną goryczą, którą jego nowy znajomy usiłował teraz naśladować.

Młody Ackerman nie miał pojęcia, dlaczego Roger go polubił. Podejrzewał zrazu, że w Rogerze budzi współczucie chłopiec w wytartym ubraniu, niezdarny, obdarzony dumną nieśmiałością, samotny w ogromnym mieście. Tak czy inaczej, spotykali się kilkakrotnie. Pili piwo w ohydnych barach, które odpowiadały widać Rogerowi, albo jedli kolacje w tanich włoskich restauracjach. Wreszcie Roger zapytał właściwym mu spokojnym i niedbałym tonem:

- Zadowolony jesteś ze swego mieszkania?
- Nie bardzo - odpowiedział uczciwie Noe.

Była to ponura izdebka w czynszowym domu przy Dwudziestej Ósmej Ulicy. Nie brakowało tam wilgoci i pluskiew, a nad głową huczało wciąż w rurach kanalizacyjnych.

- Ja mam duży pokój o dwóch łózkach - podjął Roger. - Jeśli nie przeszkadzałoby ci, że czasami brzdąkam po nocach na pianinie...

Wdzięczny i zdumiony, że w ludnym, ruchliwym mieście znalazł kogoś, kto przywiązuje wagę do jego przyjaźni, Noe przeprowadził się do obszernego, staroświeckiego pokoju w pobliżu rzeki. Roger stał się dlań teraz jak gdyby urojonym przyjacielem, którego samotne dzieci wymyślają w długie, bezsenne noce. Był łatwy w obejściu, delikatny, wykształcony. Nie dręczył pytaniami, lecz z szorstką swobodą bawił się pobieżną edukacją młodszego przyjaciela. Badając teren mówił na chybił trafił o książkach, muzyce, malarstwie, polityce, kobietach. Znał Francję i Włochy, a nazwy słynnych starożytnych stolic i malowniczych miasteczek brzmiały swojsko, wymawiane wolno twardym akcentem Nowej Anglii. Roger miał własne zjadliwe teorie na temat Imperium Brytyjskiego, działania systemu demokratycznego w Stanach Zjednoczonych, nowoczesnej poezji, baletu, filmów i wojny. Nie miał za to ambicji osobistych. Pracował dorywczo jako akwizytor ogłoszeniowy. Mało dbał o pieniądze i wędrował od dziewczyny do dziewczyny, lekko znudzony i żartobliwie rozwiązywał. Ubrany niedbale, lecz nie bez szyku, dufnie uśmiechnięty, stanowił

doskonały produkt współczesnej Ameryki: człowieka, który zawdzięcza wszystko sobie. Przyjaciele odbywali długie spacery nad rzeką albo po uniwersyteckim parku. Dzięki swym znajomościom Roger wynalazł Noemu dobrą posadę administratora terenów gier sportowych w podmiejskim klubie w East Side. Noe zarabiał trzydzieści sześć dolarów tygodniowo, to jest więcej niż kiedykolwiek w życiu. Dwaj młodzi ludzie lubili wałęsać się nocami po wyludnionych ulicach. Na drugiej stronie rzeki fale z łoskotem rozbijały się o skały wyspy Jersey, na których tle migotały światła okrętów. Szli wtedy ramię w ramię. Roger mówił, a Noe łowił słowa łakomie i z zachwytem, jak gdyby podpatrywał olśniewający, nie przeczuwany nawet świat.

- Opowiadałem ci już o tym zasuspendowanym księdzu z okolicy Antibes. Co wieczór musiał wypić kwartę szkockiej whisky. Przesiadywał wtedy w kawiarence na wzgórzu i tłumaczył Baudelaire'a...

- Cały kłopot z Amerykankami, że każda chce być kapitanem drużyny albo w ogóle odmawia gry. Wynika to z przesadnej wartości, jaką przypisuje się cnocie. Jeżeli Amerykanka twierdzi, że jest ci wierna, uzurpuje sobie prawo przykucia cię łańcuchami do kuchennej płyty. W Europie jest lepiej. Powszechnie wiadomo, że nikt nikomu nie dochowuje wiary. W ten sposób powstaje rozsądniejszy system wartościowania. Wiarołomstwo to jak gdyby parytet złota w stosunkach między płciami. Istnieją ustalone kursy wymiany i idąc do sklepu wiesz, ile kosztuje towar. Osobiście lubię uległe dziewczyny. Wszystkie moje znajome mówią, że mam feudalny stosunek do kobiety. Może to i racja. Ale cóż? Wolę podporządkować sobie kobietę niż pozwolić, żeby ona mnie sobie podporządkowała. Jedno albo drugie musi się zdarzyć, a mnie przecież niepilno. Może kiedyś, jak trafię wreszcie na odpowiedni typ...

Idąc obok przyjaciela Noe był zdania, że nic lepszego nie może go spotkać w życiu. Jest młody, na nowojorskich ulicach czuje się jak w domu, ma przyjemną pracę za trzydzieści sześć dolarów tygodniowo, pełen książek pokój, prawie z widokiem na rzekę, i przyjaciela - wyrobionego, rozumnego światowca, sypiącego jak z rękawa najosobliwszymi wiadomościami. Jednego mu tylko brak: dziewczyny. Ale Roger postanowił uporać się i z tą kwestią. Dlatego właśnie wydawali przyjęcie.

Roger doskonale bawił się przez cały wieczór, bo grzebał w starych notesach robiąc przegląd ewentualnych kandydatek dla przyjaciela. I otóż dziś miało ich przyjść sześć, nie licząc dziewczyny, którą Roger sprowadzi dla siebie. Naturalnie spodziewano się też kilku mężczyzn, ale Roger postąpił przezornie i chcąc umknąć zbyt groźnej

konkurencji, spośród znajomych dobrał chłopców o pociesznym wyglądzie lub ciężkim dowcipie.

Noe rozglądał się teraz po ciepłym, jasno oświetlonym pokoju, podziwiał cięte kwiaty w wazonach, reprodukcję Braque'a na ścianie i biurko zastawione butelkami i kieliszkami, które lśniły niby zjawy z lepszego świata. Patrząc na to wszystko odczuwał trwoźną pewność, iż tego wieczora nareszcie znajdzie dziewczynę.

Klucz zgrzytnął w zamku. Noe uśmiechnął się pogodnie, bo zrozumiał, że ominęła go ciężka próba samodzielnego witania pierwszych gości. Roger przyprowadził swoją dziewczynę. Noe bez przygód pomógł jej się rozebrać i szczęśliwie umieścił płaszcz na wieszaku. Nie potknął się o nic ani nie wykręcił damie ręk. Uśmiechnął się do siebie i usłyszał głos nowo przybyłej:

- Uroczy pokój. Wygląda, jak gdyby nie było tu kobiety od tysiąc siedemset pięćdziesiątego roku.

Ackerman wszedł do pokoju. Roger manipulował coś z lodem w kuchence, a dziewczyna stała przed obrazkiem, odwrócona plecami do Noego. Za przepierzeniem Roger nucił cicho przy akompaniamencie grzechoczących kostek. Nosowym głosem powtarzał raz po raz słowa piosenki, którą wyśpiewywał bardzo często:

Wiem, robisz oczko jak ta lala.

I kulinarny talent los także ci dał.

Ale czy forsa nie nawala,

To tylko wiedzieć bym chciał.

Dziewczyna (ubrana w suknię koloru wiśniowego, o kloszowej spódnicy pięknie odbijającej blask lamp) stała spokojnie na tle kominka, tyłem do pokoju. Miała zgrabne, dosyć grube nogi i wdzięczną, smukłą talię. Włosy upięte nad karkiem w bezpretensjonalny kok przywodziły na pamięć urodziwe nauczycielki z filmów. Widok dziewczyny, grzechotanie kostek lodu, dochodzące zza przepierzenia słowa wesołej, niemądrej piosenki sprawiały, że wieczór, pokój, cały świat wydawał się Noemu cudownie przytulny, kochany, melancholijny. Dziewczyna odwróciła się nagle. Noe witając ją przy drzwiach był zbyt zajęty i wzruszony, aby przyjrzeć się gościowi. Nie pamiętał nawet jej imienia. Teraz zdawało mu się, że zobaczył skoncentrowany nagle obraz.

Dziewczyna miała śniadą, ostrą twarz i poważne oczy. Noe patrzył na nią z dziwnym uczuciem, że oszołomił go potężny cios. Nigdy dotychczas nie doznał czegoś podobnego. Był podniecony, ogłupiały, czuł się winowajcą.

Dziewczyna - o czym Noe dowiedział się później - nazywała się Hope Plowman i przed dwoma laty przyjechała z małego miasteczka w stanie Vermont. Obecnie mieszkała u ciotki w Brooklynie. Mówiła poważnie, po prostu i nie używała perfum. Pracowała jako sekretarka przedsiębiorcy, który wyrabiał części maszyn drukarskich w małej fabryczce przy Canal Street. Gromadząc w ciągu wieczora te wiadomości Noe był zirytowany i po trosze uważał się za głupca. To przecież prostactwo niegodne doświadczonego mężczyzny! Ulec tak potężnie czarowi dość pospolitej Amerykanki z małego miasteczka, która ma prozaiczną posadę stenotypistki w nudnym kantorze i na domiar złego mieszka w Brooklynie! Noe, podobnie jak każdy nieśmiały mól książkowy, serce kształtował w bibliotekach, a romantyczność chłonał jedynie z tomików poezji, którymi wypychał kieszenie płaszcza. Nie mógł wyobrazić sobie Izoldy wsiadającej do tramwaju albo Beatrycze w barze-automacie.

„Nie! - rozmyślał witając nowych gości i napełniając szklanki. - Stanowczo nie wolno do tego dopuścić. Przede wszystkim to dziewczyna Rogera, a gdyby nawet jakaś idiotka chciała porzucić przystojnego, nieprzeciętnego mężczyznę dla takiego jak ja niedojdy i pokraki, nie wolno płacić za szczerą przyjaźń chociażby utajoną dwulicowością: pragnieniem nie wyrażonym w słowach”.

Ale innych gości - mężczyzn i kobiety - oglądał jak przez mgłę i udręczony krzątał się sennie między nimi. Pochłaniał wzrokiem Hope. Każdy jej opanowany ruch wypalał mu piętno na mózgu; muzyka każdego jej słowa brzmiała mu w uszach radośnie, a zarazem upokarzająco, wstydliwie. Czuł się jak żołnierz podczas pierwszej bitwy, jak spadkobierca, co odziedziczył nagle milion dolarów, jak obłożony klątwą człowiek głębokiej wiary, jak tenor, który po raz pierwszy śpiewa Tristana w nowojorskiej Operze Metropolitan. Czuł się jak człowiek przyłapany w pokoju hotelowym z żoną najlepszego przyjaciela, jak generał wprowadzający wojsko do nieprzyjacielskiego miasta, jak zdobywca Nagrody Nobla lub osądzony zbrodniarz w drodze na szubienicę, jak bokser ciężkiej wagi, który znokautował właśnie ostatniego rywala, lub pływak tonący nocą w lodowatym morzu o trzydzieści mil od wybrzeża, jak uczonec, co odkrył eliksir zapewniający nieśmiertelność rodzajowi ludzkiemu...

- Panno Plowman - zapytał - napije się pani?

- Nie, dziękuję. Nie piję nigdy.

Noe wycofał się w kąt i zaczął rozmyślać nad tym nowym odkryciem. Czy to dobrze, czy źle? I co wróży na przyszłość?

- Panno Plowman - odezwał się znów po pewnym czasie - dawno zna pani Rogera?

- O, tak. Prawie rok.

Prawie rok! Nie ma cienia nadziei.

- Dużo opowiadał mi o panu - dodała dziewczyna.

Ach, to śmiałe spojrzenie ciemnych oczu i miękkie, rzeczowy ton głosu!

- Co o mnie mówił? - zapytał Noe podstępnie, beznadziejnie głupio.

- Bardzo pana lubi...

Zdrada! Niecna zdrada! Dobry przyjaciel złowił rozbitka między bibliotecznymi regałami, nakarmił go, wprowadził pod swój dach, pokochał... Teraz ten przyjaciel, ufny i beztroski, śmieje się w wesołym gronie gości, niedbale przebiega palcami klawisze i śpiewa miłym, inteligentnym głosem:

Jozue zaczął bitwę o Jerycho, Jerycho, Jerycho...

- Mówił, że kiedy się pan nareszcie ocknie, będzie z pana cudowny człowiek... - Słowa Hope zabrzmiały znów niebezpiecznie, wzbudziły nową trwogę.

Coraz gorzej, coraz gorzej! Noe czuł się jak złodziej ubezpieczony gwarancją nie podejrzewającego nic przyjaciela, jak rozpustnik, któremu ufny mąż wręcza klucz od sypialni żony. Tępo, półprzytomnie gapił się na dziewczynę. Targała nim bezsensowna nienawiść. O ósmej wieczorem był szczęśliwy, bezpieczny, pełen nadziei; miał przyjaciela, dom, pracę, nienaganną przeszłość i jasno zapowiadającą się przyszłość. O dziewiątej został zbiegiem ociekającym krwią, zbłąkanym wśród bezkresnych bagien; sfera psów ujada na jego tropie, a w aktach sądowych figuruje rejestr jego zbrodni. Ona winna temu wszystkiemu! Siedzi teraz spokojna, fałszywie opanowana i udaje, że nic nie zrobiła, nic nie wie, niczego nawet nie przeczuwa! Zwyczajna, bezpretensjonalna dziewczyna z zapadłej prowincji, co zapewne siada na kolanach szefa, kiedy ten dyktuje jej listy w kantorze fabryczki przy Canal Street...

...i mury runęły, runęły, runęły...

Silny głos Rogera i akordy stojącego pod ścianą pianina zagłuszyły ogólny gwar.

Noe gwałtownie odsunął się od Hope. Oprócz niej znajdowało się w pokoju sześć dziewcząt. Były młode, miały świeżą cerę, pięknie połyskujące loki, kształtne ciała i słodkie, kuszące głosy. Dla niego zostały tutaj sprowadzone. Mógł wybierać! Uśmiechały się życzliwie, zalotnie. Ale dla Noego mogły być równie dobrze sześcioma manekinami krawieckimi, sześcioma cyframi na stronie książki, sześcioma klamkami u drzwi. „Coś podobnego mogło tylko mnie spotkać - myślał biedak. - Klasyczny wzór mojego życia: groteskowy, bezsensownie pocieszny, w gruncie rzeczy tragiczny... Nie, nie! Muszę to przemóc! Choćbym się miał załamać, zmarnieć, nie tknąć kobiety póki życia”.

Nie mógł wytrzymać dłużej w tym samym co Hope pokoju. Otworzył drzwi schowka, w którym wisiało jego i Rogera ubranie. Sięgnął po kapelusz. Będzie włożył się po mieście aż do końca przyjęcia. Goście pójdą wreszcie, pianino umilknie, a ta dziewczyna wyląduje bezpiecznie za Mostem Brooklyńskim, u swojej ciotki. Na górnej półce leżały obok siebie dwa kapelusze. Noe tkliwie i z miną winowajcy spojrzał na pognieciony, stary kapelusz z brązowego filcu należący do przyjaciela.

Na szczęście prawie wszyscy goście zgromadzili się w pobliżu pianina. Na drzwi nikt nie zwracał uwagi. Później trzeba będzie usprawiedliwić się jakoś wobec Rogera...

Ale Hope spostrzegła Noego. Siedziała zwrócona twarzą w stronę drzwi i rozmawiała z jakąś dziewczyną. Zrobiła zdziwioną, pytającą minę, kiedy Noe odwrócił się, żeby ostatni raz objąć ją pełnym rozpaczony wzrokiem. Wstała i ruszyła w jego stronę. Szelest spódnicy zabrzmiał w uszach biedaka niby artyleryjska salwa.

- Dokąd pan idzie? - zapytała Hope.

- Widzi... widzi... pani... - jąkał i nienawidził się za to, że język mu kołowacieje.

- Zabrakło nam wody sodowej... Muszę kupić... i... i...

- Pójdę z panem.

Chciał wrzasnąć: „Nie! Zostań! Nie ruszaj się z miejsca!”, lecz stał bez słowa i patrzył, jak dziewczyna ubiera się w płaszcz i wkłada kapelusz. Widok tego taniego, nietwarzowego nakrycia głowy zbudził w sercu Noego bolesne, tklive fale współczucia dla młodości i ubóstwa Hope. Dziewczyna podeszła do siedzącego przy pianinie Rogera, pochyliła się, dotknęła jego ramienia i szepnęła mu coś do ucha.

„Teraz wszystko się wyda - pomyślał z rozpaczą Noe i pociemniało mu w oczach. - Teraz wszystko się wyda. Koniec. Koniec”.

Ale Roger odwrócił się i uśmiechnął do Noego. Nie odrywając lewej ręki od klawiszy pożegnał go życzliwym gestem prawej. Dziewczyna przemierzyła znów pokój pewnym, miarowym krokiem.

- Powiedziała Rogerowi - oznajmiła.

Powiedziała Rogerowi? Co mu powiedziała? Żeby wystrzegał się obcych ludzi? Żeby nie współczuł nikomu, nigdy nie był szlachetny, a miłość wyplenił z serca niby zielsko z ogrodowych grządek?

- Niech pan lepiej weźmie płaszcz - podjęła Hope. - Padało, kiedyśmy tu szli.

Sztywno, w milczeniu Noe wrócił i wyjął płaszcz z szafy w ścianie. Hope czekała. Niebawem drzwi zamknęły się za nimi. W ciemnym przedsionku głosy i śmiechy dochodzące z pokoju zdawały się dalekie, nie dla nich przeznaczone. Powoli, ramię w ramię schodzili po stopniach na ociekającą wilgocią ulicę.

- W którą to stronę? - zapytała dziewczyna, kiedy niezdecydowanie przystanęli na skraju chodnika.

- Co w którą stronę? - rzucił półprzytomnie Noe.

- Sklep, gdzie ma pan zamiar kupić wodę sodową.

- Aa... - Błędnym wzrokiem spojrział na lśniący asfalt. - Nie wiem... Wszystko jedno... A zresztą, wcale nam nie potrzeba wody sodowej.

- Mówił pan przecież...

- To był pozór. Zmęczyło mnie przyjęcie. Nie mogłem wytrzymać. W ogóle nudzę się w towarzystwie.

Noe słuchał własnego głosu i upajał się tonem zblazowania i pogardy dla błahostek tego świata. Tak właśnie trzeba! Niczym prawdziwy światowiec. Mówić chłodno, grzecznie, z pewnym lekceważeniem dla tej pospolitej dziewczyny...

- Mnie się zdawało, że było bardzo przyjemnie. - powiedziała Hope.

- Czyżby? - rzucił niedbale. - Nie zauważyłem.

„Doskonałe! - pomyślał młody człowiek z posępnym ukontentowaniem. - Tak należy atakować. Od niechcienia, obojętnie, z lodowatą uprzejmością, jak angielski baron po przepitym wieczorze. W ten sposób osiągnę dwojaki cel. Nawet mową nie

zdradzę przyjaciela i... - wstrząsnął nim dreszcz zakazanej rozkoszy - ... pokażę tej małej z Brooklynu, z jakim wspomniał typem ma do czynienia".

- Przykro mi, że pod fałszywym pretekstem wyprowadziłem panią na deszcz - podjął Noe.

Dziewczyna rozejrzała się dokoła.

- Wcale nie pada - zauważyła rzeczowo.

Młody „światowiec" dopiero wówczas uświadomił sobie, jaka jest pogoda.

- Aha. W samej rzeczy.

Poczuł, że użył niezbyt stosownego wyrażenia, ale z tonu był nadal zadowolony.

- Co pan chce teraz robić?

Noe wzruszył ramionami. Wzruszył ramionami pierwszy raz w życiu!

- Nie wiem - powiedział. - Zapewne odbędę przechadzkę - ciągnął zapożyczając słownictwo od bohaterów Galsworthy'ego. - Przywykłem spacerować nocami. Często to robię. Na wyludnionych ulicach panuje miły spokój.

- Dopiero jedenasta - wtrąciła dziewczyna.

- W samej rzeczy?...

Pomyślał, że na przyszłość trzeba unikać tego fatalnego zwrotu.

- Jeżeli ma pani ochotę wrócić do towarzystwa...

Hope zawahała się na chwilę. Na spowitej w mgłę rzecę zahuczała syrena okrętowa. Jej niski drżący dźwięk przeszył Noego do szpiku kości.

- Nie. Przejdę się z panem.

Obok siebie, lecz unikając zetknięcia, szli aleją wysadzaną drzewami i położoną wysoko nad rzeką Hudson, która sunęła posępnie wzdłuż otulonych mgłą brzegów, pachnąc wiosną i solą. Jej wody nadciągały z oceanu wraz z południowym przyptywem. Daleko na północy jaśniał sznur jaskrawych świateł - most na wyspę Jersey, a zabudowania na przeciwległym brzegu rysowały się jak średniowieczny zamek. Nie było widać innych spacerowiczów. Od czasu do czasu samochód przemykał z piskiem opon po asfalcie. Wówczas zdawać się mogło, że noc i rzeka, i samotna para przesuwają się z wolna, tajemniczo pod oświetlonymi nagle drzewami w pąkach.

Noe i Hope szli w milczeniu z biegiem rzeki. Ich kroki dźwięczały pewnie, dobitnie.

„Trzy minuty - myślał Noe spoglądając na własne trzewiki - cztery minuty, pięć minut bez słowa”.

Ogarniała go rozpacz. W tej ciszy była jakaś występna poufałość, a tęsknota i tkliwość czyhały w miarowym echu kroków, w szeleście oddechów, w staraniach, by nie zetknąć się z ramieniem, dłonią, łokciem. Schodzili teraz ze wzgórza po nierównym bruku. Milczenie stawało się wrogiem, zdrajcą. Jeszcze chwila, a spokojna dziewczyna idąca podstępnie u jego boku dowie się wszystkiego równie pewnie, jak gdyby Noe wskoczył na balustradę nadrzeczną i wygłosił godzinną tyradę o swej miłości.

- Nowy Jork - odezwał się wreszcie ochrypłym głosem - musi przerażać dziewczynę z głębokiej prowincji...

- Mnie tam nie przeraża - odpowiedziała Hope.

- Cała rzecz w tym - ciągnął bohatersko Noe - że bardzo przeceniamy to miasto. Przypisujemy mu kosmopolityczne zepsucie, a w istocie to zawsze i nieodmiennie prowincja. - Uśmiechnął się zadowolony ze swego „zawsze i nieodmiennie”.

- Nie zdaje mi się.

- Co się pani nie zdaje?

- Że Nowy Jork jest prowincją. W każdym razie nie wygląda na to po stanie Vermont.

- Ach, Vermont... - roześmiał się pobłaźliwie.

- A pan gdzie bywał?

- W Chicago, Los Angeles, San Francisco... wszędzie. - Niedbale machnął ręką, jak gdyby dawał do zrozumienia, że wymienił jedynie pierwsze nazwy, które mu się przypomniały, gdyby jednak zechciał wyrecytować całą listę, na pewno byłby tam i Paryż, i Budapeszt, i Wiedeń.

- Muszę jednak przyznać - ciągnął - że w Nowym Jorku nie brak pięknych kobiet. Może są trochę za tęgie, ale bardzo, bardzo przystojne.

„Aha, trąciłem właściwą strunę” - pomyślał z zadowoleniem i spod oka zerknął na towarzyszkę.

- Amerykanki - mówił dalej - są właściwie najlepsze za młodu, a później... - Jeszcze raz udało mu się wzruszyć ramionami. - Ja osobiście wolę kobiety z Europy.

Starzeją się trudniej i rozkwitają dopiero w wieku, kiedy Amerykanka staje się czarownicą o wydatnym zadzie i myśli już tylko o brydżu.

Niepewnie spojrział na Hope, która jednak nie zmieniła wyrazu twarzy. Ułamała gałązkę z jakiegoś krzewu i w roztargnieniu trącała nią o kamienną balustradę, jak gdyby rozmyślała głęboko o tym, co usłyszała przed chwilą.

- I jeszcze jedno - podjął Noe. - Europejki nauczyły się postępować z mężczyznami.

Próbował przypomnieć sobie Europejki, z którymi zetknął się w życiu. Aha! Ta pijaczka spotkana w barze w dzień śmierci ojca. Zapewne była Polką. Cóż, Polska to kraj niezbyt romantyczny, ale bądź co bądź leży w Europie.

- Jak to Europejki nauczyły się postępować z mężczyznami? - zapytała dziewczyna.

- Potrafią być uległe - odparł. - Moje znajome twierdzą, że mam feudalny stosunek do kobiet.

„Przyjacielu! O przyjacielu przy pianinie, wybac mi dzisiejszą kradzież. W przyszłości ci za to odpłacę!”. Następne słowa popłynęły gładko.

- Sztuka? - rozprawiał Noe. - Ba, sztuka! Nie uznaję nowoczesnych poglądów, że sztuka to coś tajemniczego, a artysta to nieodpowiedzialne dziecko.

- Małżeństwo? Chce pani wiedzieć, czym jest małżeństwo? Tragicznym wyznaniem ludzkości, że mężczyźni i kobiety nie mają pojęcia, jak żyć obok siebie na jednym i tym samym świecie.

- Teatr? Amerykański teatr? Pewnie, że jest w nim trochę dziecinnej beztroski, ale żeby go brać poważnie jako wyraz sztuki dwudziestego wieku... - Roześmiał się wyniośle. - Nie! Wolę już Disneya!

Po pewnym czasie zorientował się, że odeszli daleko z biegiem czarnej rzeki, że deszcz zaczyna znowu padać i robi się późno. Noe przysunął się do dziewczyny, żeby osłonić zapalkę i zobaczyć na swym zegarku, która jest godzina. Zapach włosów Hope zmieszał się nagle z ostrą wonią rzeki. Noe postanowił w tej chwili, że lepiej zamilknąć. Zbyt bolesny był ów potok niedorzecznej gadaniny, dyletancki popis żółtodzioba udającego znawcę życia.

- Późno - odrzekł szorstkim tonem. - Lepiej wracajmy do towarzystwa.

Nie mógł oprzeć się pokusie i ruchem ręki zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Pierwszy raz korzystał w Nowym Jorku z tego środka lokomocji i wsiadając potknął się o podnoszoną przednią ławeczkę. Mimo to czuł się panem siebie i życia, kiedy usadowił się na głównym siedzeniu jak najdalej od towarzyszki. Hope siedziała potulnie w kąci. Noe zdawał sobie sprawę, że wywiera potężne wrażenie, toteż dał szoferowi na piwo pół dolara, chociaż cały kurs wyniósł tylko sześćdziesiąt centów.

Znowu stanęli niepewnie pod drzwiami domu, w którym mieszkał Noe. Spojrzeli w górę. Wszystkie światła pogasły. Przez zamknięte okna nie dobywał się gwar rozmów, śmiechu, muzyki.

- Po zabawie. Nikogo nie ma w domu - powiedział Noe i serce w nim zamarło, bo uprzytomnił sobie, że Roger oskarży go na pewno o kradzież dziewczyny.

- Na to wygląda - przyznała spokojnie Hope.

- I co teraz zrobimy?

Biedak czuł się jak złapany w sidła.

- Chyba będzie pan musiał odwieźć mnie do domu - odrzekła dziewczyna.

„Brooklyn! - pomyślał z rozpaczą. - Brooklyn. Parę godzin tam i parę godzin z powrotem. A Roger-oskarżyciel będzie czekał w nie sprzątniętym, oświetlonym brzaskiem pokoju, gdzie do niedawna bawiono się wesoło. Będzie czekał zdradzony, z suchymi słowami ostatecznego pożegnania na ustach”.

Wieczór rozpoczął się tak pięknie, pod tak pomyślną gwiazdą. Noe przypomniał sobie chwilę, kiedy był sam w mieszkaniu, jeszcze przed przyjściem Rogera. Pamiętał miłe uczucie oczekiwania, z jakim robił przegląd skromnego, obstawionego regałami pokoju, który wydawał mu się wówczas przyjazny i pełen nadziei.

- Nie mogłaby pani sama wrócić do domu? - zapytał nieśmiało.

- Dobre sobie! - wybuchnęła ostrym, rozkazującym tonem. - Nie myślę wracać sama. Proszę ze mną pojechać.

Noe westchnął. Jak gdyby mało było złego, dziewczyna zaczyna się złościć.

- Proszę tak nie wzdychać! - zawołała. - Zupełnie jak mąż pod pantoflem.

„Co się dzieje? - pomyślał oszołomiony chłopiec. - Jak do tego doszło? Skąd ona ma prawo przemawiać do mnie takim tonem?”.

- Ja w każdym razie idę - oznajmiła Hope i odwróciwszy się na pięcie ruszyła w stronę stacji kolei podziemnej.

Noe patrzył za nią przez chwilę. Później jak niepyszny podążył jej śladem.

W wagonach było duszno i pachniało deszczem przyniesionym przez pasażerów z ulic rozciągających się na górze. Zatęchłe powietrze pachniało żelazie, a w nikłym świetle brudnych żarówek idiotycznie i dziwnie nie na miejscu wyglądały jaskrawe plakaty, z których damy o pełnych piersiach reklamowały pastę do zębów, środki przeczyszczające albo biustonosze. Inni pasażerowie, powracający z jakichś nieznanymi robot i od spraw, które trudno było sobie wyobrazić, kiwali się sennie na poplamionych, żółtych ławkach.

Hope zasznurowała usta i milczała uparcie. Kiedy trzeba było przesiąść się na jakiejś stacji, wstawiała z niezadowoloną miną i wychodziła na peron. Zgnębiony towarzysz włókł się niezdarnie za nią.

Wiele razy zmieniali pociągi i nieskończenie długo czekali na wyludnionych stacjach, gdzie woda z dziurawych rynien ściekała po zszarzałej glazurze i zardzewiałym żelastwie tuneli.

„Ta dziewczyna - rozmyślał Noe z ponurą niechęcią - musi mieszkać na samym końcu miasta, o pięćset jardów od ostatnich torów, gdzieś między cmentarzami i wysypiskami śmieci. Ach, ten Brooklyn! W ciemnościach nocy ciągnie się chyba bez końca: od East River do Gravesend Bay, od oleistych wód Greenpoint do śmieciarskich galarów w Canarsie. Brooklyn, jak Wenecja, leży w objęciach morza. Tylko jego Wielkim Kanałem jest Czwarta Aleja. Co za wymagania! Co za pewność siebie! - myślał dalej spoglądając spod oka na towarzyszkę. - Człowieka, którego tylko co poznała, wlecze tak długo i tak daleko przez ponury labirynt miejskich podziemi. Takie już moje szczęście! - dodał olśniony smętną wizją przyszłości. - Noc po nocy na tych ohydnych stacyjkach. Noc po nocy wśród sprzętaczek, złodziei i pijanych marynarzy ze statków handlowych, którzy nad ranem stanowią znakomitą większość pasażerów kolei podziemnej. Takie już moje szczęście! Chociaż w promieniu pięćdziesięciu przecznic od domu mieszka co najmniej milion kobiet, musiałem wpaść na tę wymagającą jędzę, co osiedliła się na drugim końcu miasta najrozleglejszego w świecie. Leander przepłynął Hellespont dla kobiety, ale nie musiał przecież odwozić jej po nocy do domu i czekać dwadzieścia pięć minut na stacji przy Alei De Kalb pośród koszów na śmieci i napisów zabraniających pluć i palić”.

Na koniec wysiedli na jakiejś stacji i Hope poprowadziła Noego schodami na ulicę.

- Nareszcie! - westchnął. - Myślałem, że do końca lata nie wygrzebiemy się z podziemi.

Były to pierwsze słowa, jakie wymówił od godziny. Dziewczyna przystanąła na rogu.

- Teraz pojedziemy tramwajem - oznajmiła chłodno.

- Wielki Boże! - jęknął i zaczął się śmiać histerycznie.

Na tle nędznych wystaw sklepowych, ścian odrapanych domów i torów tramwajowych jego śmiech brzmiał niedorzecznie i głucho.

- Jeżeli ma pan być taki miły, możemy się tutaj rozstać - obruszyła się dziewczyna.

- Zawędrowałem tak daleko - odparł Noe z książkową powagą - że wytrzymam do końca drogi.

Przestał się śmiać i posępnie stanął pod latarnią u boku towarzyszki. Wiatr smagał ich zimnymi strumieniami deszczu, wiatr, co przepłynął nad atlantyckimi plażami i zaśmieconymi basenami portu, nad milionem akrów bliźniaczych domków, nad drewnianymi i murowanymi rudarami Flatbush i Bensonhurst, nad setkami tysięcy pograżonych we śnie ludzi, którzy w trudnej wędrówce przez życie nie potrafili znaleźć przyjemniejszego miejsca, gdzie mogliby złożyć na noc głowy.

Po upływie kwadransa zobaczyli w oddali świetlne oko, które zaczęło zbliżać się z hałasem. Nadjeżdżał tramwaj. W wozie było tylko trzech pasażerów. Kiwali się skuleni niewygodnie na drewnianych ławkach. Noe usiadł sztywno obok towarzyszki. W oświetlonym tramwaju turkoczącym wzdłuż mrocznych ulic odniósł wrażenie, że jest rozbitkiem, że znalazł się z obcymi ludźmi na tratwie sporządzonej ze szczątków nieszczęsnego statku, który rozbił się w czasie rejsu pośród lodowatych wysp Północy. Dziewczyna siedziała sztywno, z rękami splecionymi na kolanach. Bez wyrazu spoglądała prosto przed siebie. Noemu zdawało się, że jej wcale nie zna, a gdy odważy się przemówić do niej, ona podniesie krzyk i wezwie na pomoc policjanta.

- Koniec - powiedziała wreszcie i wstała z ławki.

Jeszcze raz Noe poszedł za nią w stronę wyjścia. Wóz zatrzymał się na przystanku. Zgrzytnęły odsuwane drzwi. Zapóźniona para zstąpiła na wilgotny

chodnik i odeszła od torów tramwajowych. Tu i ówdzie przy obskurnych ulicach stały zieleniejące drzewka, świadczące, że mimo wszystko wiosna zawitała w tym roku do Brooklynu.

Hope skręciła w krótki wybetonowany zaułek i zatrzymała się przed wysokim kamiennym tarasem. Przekręciła klucz w zamku, pchnęła furtkę z żelaznych prętów.

- No, jesteśmy w domu - rzuciła sucho i spojrzała w twarz towarzysza.

Noe odkrył głowę. Twarz dziewczyny blado rysowała się w mroku. I Hope zdjęła kapelusz. Rozwiane ciemne włosy otaczały czoło i policzki połyskujące niby kość słoniowa. Stojąc tuż obok niej w cieniu ubogiego domku, w którym mieszkała, Noe poczuł, że na płacz mu się zbiera, jak gdyby tracił w tej chwili wszystko, co kiedykolwiek było mu drogie.

- Chciałbym... - zaczął jąkać - chciałbym powiedzieć, że nie mam za złe... to jest... że... że z przyjemnością odwiozłem panią do domu...

- Dziękuję - szepnęła bezbarwnym tonem.

- Jakie to wszystko zawile - podjął i bezradnie rozłożył ręce. - Ach, gdyby pani mogła zrozumieć, jakie to wszystko zawile... Naprawdę... Było mi bardzo miło...

Stała tuż przed nim taka biedna, młoda, wiotka, zdana na własne siły, odważna, samotna... Nieśmiało, na oślep Noe wyciągnął ręce, ostrożnie ujął jej głowę i pocałował ją.

Usta miała miękkie, chłodne, lekko wilgotne od mgły.

Uderzyła go w twarz. Echo odbiło się posępnie o kamienne schodki. Noe poczuł, że piecze go policzek.

„Silna - pomyślał półprzytomnie. - A wygląda tak krucho”.

- Skąd panu przyszło do głowy, że mnie wolno całować? - zapytała lodowato.

- Nie... nie wiem...

Pogładził palcami obolałe miejsce i zaraz cofnął rękę. Wstyd mu się zrobiło, że w takiej chwili zdradził swoją słabość.

- Po prostu... po prostu pocałowałem panią.

- Może pan całować inne dziewczęta - rzuciła sucho. - Mnie nie!

- Ja nie całuję innych dziewcząt - przyznał bezradnie.

- Co? Tylko mnie? Przykro mi, że wyglądam na taką łatwą.

- Ależ nie, nie! - zawołał rozpaczliwie. - Wcale nie o to chodzi!... „Wielki Boże - pomyślał - gdybym potrafił wytłumaczyć jej, co czuję. Teraz wyobraża sobie, że ze mnie dureń, babiarz, co wyszedł z narożnego baru i gotów dobrać się do pierwszej lepszej dziwki, która na to pozwoli”.

Przełknął ślinę. Słowa więzły mu w suchym gardle.

- Przepraszam. Bardzo przepraszam - bąknął słabo.

- Pewno panu się zdaje - podjęła zaczepnie Hope - że takie z pana cudo, taki spryciarz, mądrała, że każda dziewczyna oszaleje z radości, jak ją pan zechce pomacać!

- Mój Boże!

Cofnął się przerażony i omal nie spadł z dwóch stopni na betonowy chodnik.

- Jak żyję - irytowała się Hope - nigdy nie spotkałam równie zarozumiałego, pewnego siebie aroganta!

- Dosyć! - wybuchnął Noe. - Nie wytrzymam dłużej!

- Wobec tego, panie Ackerman, życzę panu dobrej nocy - syknęła jadowicie.

- Nie! Nie w tej chwili. Zostań!

Stanowczym ruchem pchnęła furtkę z żelaznych prętów. Zawiasy zgrzytnęły.

- Błagam - podjął chłopiec. - Niech mnie pani wysłucha...

- Dobranoc.

Jednym szybkim krokiem znalazła się za furtką. Rozległo się trzaśnięcie. Klucz zachrobotał w zamku. Nie oglądając się dziewczyna odemknęła drewniane drzwi domu i zniknęła za nimi. Noe patrzył przez chwilę na dwoje ciemnych drzwi - żelazne i drewniane. Później odwrócił się powoli i zupełnie złamany powłókł się ulicą.

Odszedł trzydzieści jardów trzymając kapelusz w ręku. Nie spostrzegł nawet, że deszcz znów pada, że z włosów ciekną mu strumyczki wody. Stał. Nieśmiało rozejrzał się dokoła i zawrócił w stronę domu Hope. W zakratowanym oknie na poziomie chodnika paliło się teraz światło. Przez opuszczoną roletę widać było sylwetkę poruszającą się po pokoju.

Przysunął się do okna, odetchnął głęboko i zastukał. Po chwili roleta uchyliła się i odsłoniła głowę Hope. Noe przybliżył twarz do szyby i na migi próbował dać dziewczynie do zrozumienia, że musi z nią pomówić. Gniewnie potrząsnęła głową i odprawiła natręta ruchem ręki, ale on zawołał przyciskając usta do okna:

- Proszę otworzyć drzwi! Muszę z panią pomówić. Jestem zgubiony, zgubiony!

Niezdecydowanie spojrzała na niego przez szkło zmatowiałe od deszczu. Później uśmiechnęła się i zniknęła za roletą. Niebawem skrzypnęły drewniane drzwi domu i stanęła za furtką wiodącą na taras. Noe westchnął bezwiednie.

- Ach, jak to dobrze, że pani wyszła!

- Nie może pan odnaleźć powrotnej drogi? - zapytała.

- Jestem zgubiony - jęknął. - Nikt mnie nigdy nie odnajdzie.

- Straszny z pana głuptas, prawda? - roześmiała się dziewczyna.

- Tak - przyznał skromnie. - Straszny.

Z poważną miną stała po drugiej stronie furtki z żelaznych prętów.

- Proszę posłuchać - podjęła rzeczowo. - Pójdzie pan w lewo i na rogu trzeciej ulicy poczeka na tramwaj. Nadjedzie z lewej strony i zawiezie pana do Eastern Parkway. Później...

Jej głos wskazujący drogę ucieczki w szeroki świat brzmiał jak muzyka. Noe zauważył, że Hope zdjęła pantofle na wysokich obcasach i że jest znacznie mniejsza, niż sądził - delikatniejsza, bardziej kochana.

- Słucha mnie pan? - zapytała.

- Chciałbym pani coś powiedzieć - rzucił głośno. - Wcale nie jestem zarozumiały, pewny siebie arogant.

- Szez! - syknęła. - Ciotka śpi.

- Jestem nieśmiały - podjął szeptem - nie mam pojęcia o świecie i nie wiem, dlaczego panią pocałowałem. Po prostu... po prostu nie mogłem inaczej.

- Ciszej! Moja ciotka!

- Próbowałem zaimponować pani - ciągnął przerywanym szeptem. - Nie znam żadnych kobiet z Europy. Chciałem pani wmówić, że wielki ze mnie cwaniak, światowiec. Obawiałem się, że nie spojrzy pani nawet na mnie takiego, jaki naprawdę jestem. To był okropny wieczór. Nigdy dotychczas nie czułem się tak zmieszany, niepewny swego. Słusznie dostałem po gębie. Zupełnie słusznie. Otrzymałem nauczkę - ciągnął opierając twarz o chłodne żelazne pręty. - Bardzo zasłużoną nauczkę. Nie mogę dzisiaj mówić o moich uczuciach dla pani... Może kiedyś... później... Ale... - urwał nagle i rzucił pytanie: - Czy pani jest dziewczyną Rogera?

- Nie! - odparła. - Nie jestem niczyją dziewczyną.

Noe wybuchnął szaleńczym, ochryplym śmiechem.

- Moja ciotka! - skarciła go Hope.

- Aha - szepnął. - Tramwajem do Eastern Parkway. Dobranoc. Dziękuję pani. Dobranoc.

Ale nie odchodził. Przyglądali się sobie w bladym, zamglonym świetle latarni ulicznej.

- Mój Boże - powiedział cicho, zatroskanym tonem. - Pani nie wie. Pani nic nie wie.

Klucz zgrzytnął w zamku. Uchyliła się furtka. Noe postąpił krok na kamienny taras. Pocałowali się zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Chłopiec czuł, że zrywa się w nim gwałtowna burza, a jednocześnie miał wrażenie, iż Hope cofnie się lada chwila i znowu go uderzy.

Odsunęła się miękko i spojrzała na niego ze smutnym uśmiechem.

- Nie zabłądź w powrotnej drodze - powiedziała.

- Tramwajem do Eastern Parkway, a później... Kocham cię! Kocham!

- Dobranoc - szepnęła, - I dziękuję za odprowadzenie do domu.

Noe cofnął się. Rozdzieliła ich zamknięta furtka. Dziewczyna odeszła cicho w pończochach. Znowu skrzypnęły drewniane drzwi domu. Ulica opustoszała. Noe ruszył w stronę przystanku tramwajowego. Po blisko dwóch godzinach na progu własnego mieszkania uprzytomnił sobie dopiero, że w ciągu dwudziestu jeden lat swojego życia nigdy nie powiedział nikomu: „Kocham”.

W ciemnym pokoju słychać było miarowy, senny oddech Rogera. Noe zrzucił ubranie szybko, jak najciszej i wsunął się do łóżka stojącego pod przeciwległą ścianą. Leżał zapatrzony w sufit, targany zmiennymi falami rozkoszy, to znowu męki. Raz myślał o Hope i pocałunkach przy furtce, raz o Rogerze i o tym, co mu przyjaciel rano powie.

Zaczynał właśnie drzemać, kiedy usłyszał swoje imię.

- Noe!

- Dzień dobry, Roger - powiedział otwierając oczy.

- Wszystko w porządku?

- W porządku.

Chwila ciszy.

- Odprowadziłeś ją do domu?

- Aha.

W ciemnym pokoju znów zaległo milczenie.

- Wyszliśmy, żeby kupić trochę kanapek - podjął Roger. - Musieliście się z nami minąć.

- Rozumiem.

Jeszcze raz urwała się rozmowa.

- Roger!

- Słucham.

- Widzisz... Winienem ci wyjaśnienia... Nie miałem zamiaru... Słowo daję, samo się jakoś zaczęło... Nie pamiętam nawet... Roger! Nie śpisz?

- Nie.

- Posłuchaj. Ona mi coś powiedziała...

- Co takiego?

- Ze... że nie jest twoją dziewczyną.

- Naprawdę?

- Tak! I że jest niczyja. Ale jeżeli to twoja dziewczyna albo chcesz, żeby była twoją dziewczyną, to ja... ja nie zobaczę jej nigdy w życiu. Przysięgam, Roger! Nie śpisz?

- Nie śpię. Hope nie jest moją dziewczyną. Przyznaję otwarcie, że nieraz miałem na nią chrapkę, ale kto, u licha, odważyłby się na podróż do Brooklynu trzy razy w tygodniu?

Noe otarł kroplisty pot z czoła.

- Roger! - powiedział.

- Słucham?

- Kocham cię.

- Idź do diabła! Śpij lepiej.

W ciemnym pokoju rozległ się krótki śmiech Rogera i znowu zapadła cisza.

W ciągu najbliższych dwóch miesięcy Noe i Hope napisali po czterdzieści dwa listy. Pracowali niedaleko siebie i co dzień razem jadali obiad. Najczęściej też

spotykali się na kolacji, a w pogodne dni wcześniej uciekali z pracy i wędrowali nabrzeżami przyglądając się ruchowi statków w porcie. W ciągu tych dwóch miesięcy Noe odbył trzydzieści siedem długich, męczących podróży do Brooklynu i z powrotem. Mimo to jednak prawdziwe swoje życie powierzali poczcie Stanów Zjednoczonych.

Siedząc obok Hope, w najciemniejszym nawet i najbardziej odosobnionym miejscu, Noe nie mógł zdobyć się na nic więcej niż: „Jakaś ty ładna!” albo „Kocham twój uśmiech”, albo „Pójdiesz ze mną do kina w sobotę wieczorem?”. Korzystał jednak z nieograniczonej swobody, jaką zapewnia czysta karta papieru i bezosobowe pośrednictwo listonosza. Wówczas potrafił pisać: „Zakłete w tobie piękno towarzyszy mi za dnia i w nocy. Kiedy rano wychylam się z okna, niebo jest jaśniejsze, dlatego że i ciebie okrywa jego kopuła. Kiedy patrzę na rzekę i most, nie wątpię, że to most bardzo mocny, bo nieraz chodziłaś tamtędy u mojego boku. Kiedy przeglądałam się w lustrze, widzę, że twarz mi wyładniała, bo ty ją całowałaś wczorajszego wieczoru”.

Hope, przesiąknięta surową moralnością Nowej Anglii, pozwalała sobie jedynie na bardzo powściągliwe i zwięzłe wyznania miłosne. Chociaż jednak mówiła skąpo, w liście mogła napisać: „Przed chwilą wyszedłeś ode mnie. Myślę teraz o tobie. Widzę, jak idziesz pustą ulicą, jak w wiosennym mroku czekasz na tramwaj, a później jedziesz pociągiem w stronę domu. Będę ci dzisiaj towarzyszyć w wędrówce przez ogromne miasto. Najdroższy! Kiedy oddalasz się, ja siedzę w pogrążonym we śnie domu i przy jednej zapalanej lampce myślę, jak bardzo w ciebie wierzę. Wierzę, że jesteś dobry i mocny, i sprawiedliwy. I wierzę, że cię kocham. Wierzę, że masz piękne oczy i smutne usta, i delikatne, kształtne dłonie...”.

Następnego dnia spotykali się, patrzyli sobie w oczy, a czar pisanego słowa unosił się między nimi. Ale mówili tylko:

- Dostałem na dziś dwa bilety do teatru. Chyba pójdiesz ze mną, jeżeli nie masz nic lepszego na widoku?

Wracali późną nocą, upojeni widowiskiem i wzajemną miłością, zawsze niewyspani. Spleceni uściskiem stali długo w zimnym przedsionku domu Hope. Nie mogli wejść dalej, bo wuj miał okropny zwyczaj: do Bóg wie której godziny przesiadywał w bawialni i studiował Pismo Święte. Obejmowali się namiętnie i całowali, aż usta im drętwiały. W takich chwilach życie prawdziwe i to zawarte w listach tworzyło jeden oszłamiający wir rozkoszy.

W ciągu tych miesięcy nie położyli się razem do łóżka. Przede wszystkim w olbrzymim mieście, liczącym dziesięć milionów izb, nie było miejsca, które mogliby nazwać własnym, gdzie mogliby wejść godnie i z podniesionym czołem. Ponadto Hope ulegała religijnym zakazom. Ilekroć igrali niebezpiecznie na granicy spełnienia, cofała się wystraszona. - Później... - szeptała. - Nie dziś... Innym razem...

- Wybuchniesz niczym bomba i ulecisz z dymem - uśmiechnął się Roger. - To przeciwne naturze. Co, u licha, myśli sobie ta mała? Widocznie zapomniała, że należy do powojennej generacji.

- Daj spokój, Roger - bąknął potulnie Noe.

Siedział przy biurku zajęty pisaniem listu do Hope. Roger leżał na wznak na podłodze, bo w kanapie popękały sprężyny pięć miesięcy temu, a w ogóle kanapa była niewygodna dla dorosłego mężczyzny.

- Brooklyn... Ponura, tajemnicza kraina - podjął starszy z przyjaciół, a że i tak leżał na podłodze, zaczął gimnastykować mięśnie brzucha; trzykrotnie podnosił nogi w górę i opuszczał je z wolna.

- Na razie starczy. Czuję się już zdrowszy. Widzisz, życie seksualne jest jak pływanie. Trzeba iść na całego albo dać sobie spokój. Jeżeli będziesz chlapał się przy brzegu, zmarzniesz tylko i niepotrzebnie rozstroisz sobie nerwy, jeszcze miesiąc z tą dziewczyną, a pójdziesz do psychiatry. Napisz jej to i powołaj się na moje zdanie.

- Pewnie, pewnie... Już zacznę z tej beczki.

- Bądź ostrożny, Noe - podjął Roger. - Ani się obejrzysz, a będziesz człowiekiem żonatym.

Noe przestał stukać w klawisze. Niedawno zorientował się, że prowadzi obszerną korespondencję, kupił więc na raty maszynę do pisania.

- Nie ma obawy. Nie zostanę człowiekiem żonatym - obruszył się. Ale prawdę rzekłszy, raz po raz wracał myślami do małżeństwa i nawet w listach do Hope poruszał nieśmiało ten temat.

- A może byłoby to nie najgorsze - ciągnął starszy przyjaciel.

- Cóż, masz dobrą dziewczynę, no i małżeństwo uchroniłoby cię od poboru.

Obydwaj młodzi ludzie starali się nie myśleć o poborze. Na szczęście Noe miał bardzo wysoki numer. Służba wojskowa wisiała gdzieś, w nieokreślonej przyszłości, niby odległa czarna chmura na niebie.

- Widzisz - perorował Roger z podłogi - mam przeciwko tej małej tylko dwa zastrzeżenia. Po pierwsze, nie wysypiasz się przez nią. Po drugie... wiesz już co. Poza tym znajomość z nią pierwszorzędnie ci służy.

Noe posiał przyjacielowi dziękczynne spojrzenie.

- Ale tak czy inaczej, powinna pójść z tobą do łóżka - orzekł Roger.

- Cicho bądź!

- Mam myśl! Wyjadę na sobotę i niedzielę. Rozumiesz? Pokój do dyspozycji! - Aż usiadł z przejęciem. - Trudno o lepsze i uczciwsze rozwiązanie.

- Dziękuję - bąknął Noe. - Skorzystam z propozycji, jak nadarzy się sposobność.

- A może lepiej ja z nią pogadam. Wystąpię w roli najlepszego przyjaciela, zatroskanego o twoje zdrowie: „Szlachetna dziewczico, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że nasz Noe może w każdej chwili wyskoczyć z okna?”. Dawaj dziesiątkę! Zaraz do niej zatelefonuję.

- Sam dam sobie radę - odrzekł bez przekonania Noe.

- Co sądzisz o przyszłej niedzieli? - nacierał Roger. - Piękny miesiąc czerwiec i tak dalej. Pełny rozkwit lata i tak dalej. He?

- Przyszła niedziela nie wchodzi w rachubę - odpowiedział Noe. - Idziemy na wesele.

- Czyje? Wasze?

Noe roześmiał się z przymusem.

- Skąd znowu! Jednej jej koleżanki z Brooklynu.

- Aha. Powinieneś w pełni wykorzystać dobry przykład. - Roger położył się na grzbiecie. - Powiedziałem swoje. Teraz gęba na kłódkę.

Przez chwilę milczał słuchając klekotu maszyny do pisania.

- Jeden miesiąc - odezwał się znowu - a później wizyta u psychiatry. Wspomnisz moje słowa.

Noe wybuchnął śmiechem. Wstał zza biurka.

- Poddaję się! - zawołał. - Chodźmy na miasto. Funduję piwo!

Roger zerwał się na równe nogi.

- Mój kochany przyjacielu! Niewinny Noe!

Rozbawieni wyszli w cichy, pogodny wieczór letni i Aleją Kolumba ruszyli do obskurnego baru, który często odwiedzali.

Zapowiedziane na niedzielę wesele odbywało się we Flatbush, w obszernym domu z ogródkiem i niewielkim trawnikiem ciągnącym się do ocienionej drzewami uliczki. Panna młoda wyglądała ślicznie, pastor nie marudził i podano prawdziwego szampana.

Było gorąco, słonecznie. Wszyscy uśmiechali się rzewnie i bezwstydnie, jak to zwykle weselni goście. Po ceremonii ślubnej młodzi umykali parami w zaciszne kąty i wiedli długie, poufne rozmowy. Hope miała nową żółtą suknię. Noe obserwował swoją dziewczynę z dumą i lekkim niepokojem. Wodził za nią wzrokiem i chociaż kręciła się w tłumie, widział wciąż włosy upięte dziś inaczej, połyskujące nad ciepłym złotem sukni. Sam trzymał się na uboczu, pociągał szampana i od czasu do czasu zagadywał nieśmiało do przyjaźnie usposobionych ludzi. Patrzył na Hope, a coś w nim powtarzało: „Jej oczy, jej usta, jej nogi”. Była to jak gdyby stenografia miłosna.

Pocałunek panny młodej: niejasna mgławica białego atłasu, koronek, pomarańczowego kwiatu oraz smaku i zapachu szminki. Noe nie patrzył na jasne, wilgotne oczy i rozchylone wargi młodej oblubienicy. Widział tylko Hope, która obserwowała go z drugiego końca pokoju. Miłosna stenografia notowała: „Jej ramiona, jej kibić...”. Kiedy zbliżyła się do niego, szepnęła:

- Tak bardzo chciałbym coś zrobić...

Otoczył ramieniem talię, wiotką w obcisłym staniku nowej sukni. Wyczuł delikatne, dziewczęce ciało i nieznaczący, podniecający ruch bioder. Hope zrozumiała zapewne. Przytuliła się lekko i pocałowała Noego. Nie zawstydził się, choć widziało to wiele osób. Na weselach wolno przecież całować wszystkich, a ponadto chłopiec nigdy jeszcze nie pił szampana w upalne letnie popołudnie.

Noe i Hope gapili się na odjazd nowożeńców. Wstęgi powiewały za samochodem. Ryż trzeszczał pod nogami. Matka popłakiwała na ganku, a z tylnego okna wozu wyglądała uśmiechnięta twarz pana młodego, zaczerwieniona i dumna.

Noe spojrział na Hope, a gdy odpowiedziała mu wzrokiem, wiedział, że obydwójce myślą o tym samym.

- Przecież i my moglibyśmy... - zaczął szeptem.

- Cicho bądź! - przerwała. - Wypiłeś za dużo szampana.

Ręką zakryła mu usta.

Pożegnali się i ruszyli cienistą uliczką. Na trawnikach wirowały zraszacze obrotowe; krople wody połyskiwały tęczą w skośnych promieniach słońca. Wieczór pachniał wilgotną świeżą trawą. Zakochani szli wolno, trzymając się za ręce.

- Dokąd wyjeżdżają? - zapytał Noe.

- Do Kalifornii, na miesiąc. Jego kuzyn mieszka w Monterey. Ma własny dom.

Idąc obok siebie mijali studnie Flatbush i myśleli o plaży w Monterey nad Oceanem Spokojnym, o pastelowych meksykańskich domach skąpanych w blasku południowego słońca. Myśleli o nowożeńcach, którzy wsiadają do wagonu na Dworcu Centralnym i zamykają drzwi swego przedziału.

- Mój Boże - westchnął Noe. - Serdecznie im współczuję.

- Dlaczego?

- W taki okropny upał! Pierwszy raz! Będzie dziś najgorętsza noc w roku.

Hope wyrwała mu rękę.

- Jesteś nieznośny - syknęła gniewnie. - Ordynarne brednie!

- Hope - bronił się niepewnie. - Przecież żartowałem...

- Nie cierpię takich żartów - podjęła. - Dla ciebie wszystko i zawsze jest śmieszne.

Ze zdziwieniem spostrzegł, że dziewczyna płacze.

- Proszę cię... Kochana... - Objął ją, chociaż z pobliskiego trawnika przyglądało im się bacznie dwóch chłopców i ogromny owczarek collie.

Wyrwała mu się i gwałtownie przyspieszając kroku zawołała:

- Tylko mnie nie dotykaj!

- Proszę cię... Kochana... - Zaniepokojoyony deptał jej po piętach. - Wysłuchaj mnie... Proszę...

- Wolę czekać na list - odpowiedziała przez łyżę. - Całą romantyczność zachowujesz dla maszyny do pisania.

Zrównał się z nią i szli dalej obok siebie w kłopotliwym milczeniu. Noe był oszołomiony, bezradny jak rozbitek na bezkresnym morzu niezrozumiałych kobiecych

fantazji. Nie próbował ratować się, walczyć. Po prostu płynął z wiatrem i przyplływem mając nadzieję, że nie zostanie zdruzgotany.

Przez całą długą drogę do domu Hope nie skapitulowała. W tramwaju siedziała sztywno. Jej zaciśnięte wargi miały wyraz goryczy.

„Mój Boże! - myślał Noe trwożnie spoglądając na towarzyszkę. - Mój Boże! Pewno mnie dzisiaj przepędzi”.

Ale Hope otworzyła z klucza najpierw żelazną furtkę, później drewniane drzwi. Pozwoliła Noemu iść za sobą. Dom był pusty, bo wujostwo zabrali dwójkę swoich małych dzieci i na trzy dni wyjechali na wieś. W ciemnych pokojach panował nieznan tam spokój.

- Głodny jesteś? - zapytała sucho Hope.

Stała pośrodku bawialni. Noe miał szczerą chęć przekupić dziewczynę pocałunkami, dopóki nie zobaczył wyrazu jej twarzy.

- Chyba lepiej pójdę do domu - bąknął.

- Możesz coś przedtem zjeść. Kolację zostawiłam w lodówce. Pokornie ruszył za nią do kuchni i pomagał najdyskretniej jak umiał. Dziewczyna wyjęła kurę na zimno i dzbanek pełen mleka. Przyrządziła sałatkę i ustawiła wiktuały na tacy.

- Na dwór! - rzuciła krótko, niby sierżant komenderujący plutonem.

Noe poniosł tacę do ogródka za domem. Był to podłużny placyk pograżony już w mroku, bo z dwóch stron osłaniały go wysokie płoty z desek, a z trzeciej murowana ściana garażu, cała pokryta dzikim winem. Przyjemny cień rzucała śliczna akacja, pod którą stał drewniany stół ze świecami w umbrellkach i bujana sofka pod baldachimem. W głębi widać było ogródek skalny (oczko w głowie wuja) i kilka grządek pospolitych kwiatów. W mglistym, błękitnym świetle wieczoru rozpląnął się Brooklyn ze swoim zgiełkiem i kurzem. Noe i Hope znaleźli się w otoczonym murami ogrodzie, gdzieś w Anglii, Francji, a może nawet w górach Indii.

Dziewczyna zapaliła świece. Poważnie usadowili się obok siebie i jedli z apetytem. Prawie nie mówili w trakcie kolacji, ograniczając się do uprzejmych próśb o przysunięcie mleka lub soli. Wreszcie złożyli serwetki i stanęli po dwóch końcach stołu.

- Nie będzie nam potrzebne światło - odezwała się Hope. - Zechciej zdmuchnąć świecę po swojej stronie.

Pochylił się nad szklaną osłoną kominka zabezpieczającym płomień przed wiatrem. Dziewczyna pochyliła się również. Dmuchiły jednocześnie i zetknęły się głowami. W nagłej ciemności Noe usłyszał głos:

- Wybacz mi... Jestem najnieznośniejsza baba pod słońcem.

Później było dobrze. Usiedli obok siebie na bujanej sofce i spoglądali w coraz to ciemniejsze niebo. Letnie gwiazdy rozkwiły jedna po drugiej nad koroną akacji. Siedząc tak wieczorem w osłoniętym parkanem ogrodzie, znaleźli się daleko od wozów i torów tramwajowych, od wuja, ciotki i dwojga ich pociech, od gazeciarzy wykrzykujących coś za ścianą garażu, od całego obcego świata...

Hope mówiła:

- Nie... nie... nie trzeba... Boję się... boję... Kochany! Najdroższy!

Noe był nieśmiały i zaborczy, pokorny i upojony... Później leżeli porażeni bezmiarem szalonych uczuć, na których manowce zabłądzili. Noe drżał, że teraz, kiedy już było po wszystkim, Hope znienawidzi go właśnie za to. Każda sekunda jej milczenia zdawała mu się nową groźbą.

- Widzisz - odezwała się wreszcie Hope i parsknęła krótkim śmiechem. - Nie było nam za gorąco. Wcale a wcale!

Znacznie później, kiedy Noe musiał już odejść, weszli do domu. Mrugali oczyma w blasku światła i nie patrzyli na siebie. Chłopiec włączył radio, żeby zająć się czymś obojętnym.

Z głośnika popłynął koncert fortepianowy Czajkowskiego: wspaniała posepna muzyka, jak gdyby skomponowana i odtwarzana specjalnie dla tych dwojga prawie dzieci, które kochały się po raz pierwszy w życiu. Hope przysunęła się i pocałowała Noego w pochyloną nad odbiornikiem głowę. Odwrócił się i oddał pocałunek. W tej chwili muzyka umilkła i zaczął mówić rzeczowy głos:

„Biuletyn specjalny Agencji Associated Press. Natarcie niemieckie rozwija się wzdłuż całej rosyjskiej granicy. Nowe dywizje pancerne wchodzi do akcji w rozmaitych punktach linii ciągnącej się od Finlandii do Morza Czarnego”.

- Co takiego? - zainteresowała się Hope.

- Niemcy... - zaczął Noe i pomyślał, że ostatnio coraz częściej powtarza się ten wyraz, że Niemcy potrafili zrobić sobie znakomitą reklamę. - Przekroczyli rosyjską granicę. O tym na pewno wrzeszczą gazeciarze na ulicy.

- Zamknij radio - powiedziała dziewczyna, lecz sama wyciągnęła rękę i przekręciła gałkę. - Nie dzisiaj.

Wziął Hope w ramiona i poczuł nagle gwałtowne bicie jej serca.

„Dziś po południu - myślał - kiedy bawiliśmy się na weselu, a później długo wędrowaliśmy ulicami, dziś wieczorem, kiedy byliśmy sami w ogródku, nieustannie grzmiały armaty i ludzie umierali. Od Finlandii do Morza Czarnego”.

Nie robił komentarzy. Zarejestrował tę myśl jak treść przydrożnego plakatu, który ogląda się z samochodu.

Siedzieli w cichej bawialni na podniszczonym tapczanie. Za oknami było zupełnie czarno. Z ulic dochodziły głosy gazeciarzy, dziwnie dalekie i pozbawione sensu.

- Jaki to dzień? - spytała dziewczyna.

- Niedziela - uśmiechnął się Noe. - Dzień odpoczynku.

- Wiem. Nie o to chodzi. Pytam o dzień miesiąca.

- Dwudziesty drugi czerwca.

- Dwudziesty drugi czerwca - powtórzyła szeptem. - Zapamiętam tę datę. Pierwszy raz mnie kochałeś.

Roger nie spał jeszcze. Noe stał przed drzwiami w ciasnym przedsionku. Próbował nadać twarzy obojętny wyraz, aby nie zdradzić, co spełniło się tej nocy. Czekał słuchał stłumionych dźwięków pianina. Był to jakiś bezpretensjonalny utwór jazzowy, smutny i pełen tęsknoty. Ale Roger pozwalał sobie na takie wariacje, że niepodobna było rozpoznać melodii. Noe stał parę minut w ciemności, potem otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. Roger nie obejrzał się nawet. Na powitanie przyjaźnie machnął ręką i grał dalej. Noe usiadł na wytartym skórzanym fotelu pod oknem. Paliła się tylko jedna lampa w rogu i pokój wydawał się bardzo duży i tajemniczy. W dole spało miasto. Lekki wietrzyk poruszał firankami. Noe przymknął oczy i słuchał żalonych akordów. Miał dziwne wrażenie, że pod ubraniem czuje każdą

kość, mięsień, nerw, por skóry, że wszystko to - choć obolałe i zmęczone - reaguje na muzykę.

Roger urwał w połowie pasażu. Przez chwilę siedział bez ruchu. Szczupłe ręce trzymał na klawiaturze. Nie odrywał wzroku od porysowanej starej politory. Nagle odwrócił się.

- No, masz własne mieszkanie - powiedział.

- Co? - Noe szeroko otworzył oczy.

- Idę jutro - odrzekł Roger, jak gdyby prowadził dalej nieprzerwaną od wielu godzin rozmowę z samym sobą.

- Dokąd idziesz? - spojrzał uważnie na przyjaciela; chciał upewnić się, czy Roger nie wypił za dużo.

- Do wojska. Armia skończyła z rezerwistami. Teraz bierze cywilów.

Noemu kręciło się w głowie. Nie mógł pojąć słów przyjaciela. Innym razem zrozumiałby wszystko, tej nocy wszakże zdarzyło się zbyt wiele.

- Ostatnia wiadomość trafiła chyba nawet do Brooklynu? - podjął Roger.

- Chodzi ci o Rosjan?

- Tak, o Rosjan.

- Aha, tak... wiadomość trafiła do Brooklynu.

- Widzisz więc. Spieszę im na pomoc.

- Jak to? - zdumiał się Noe. - Chcesz wstąpić do Armii Czerwonej?

Roger roześmiał się, lekkim krokiem podszedł do okna. Odsunął firankę i wyjrzał.

- Niezupełnie - powiedział. - Chcę wstąpić do Armii Stanów Zjednoczonych.

- Idę z tobą!

- Dziękuję, ale nie bądź głupi. Zaczekaj, aż cię wezwie Komisja Rekrutacyjna.

- Ciebie przecież nie wezwała.

- Dotąd nie. Ale mi pilno. - Zamyślił się, zawiązał i rozwiązał supeł na firance. - Jestem starszy. Ty zaczekaj, aż sami się po ciebie zgłoszą. Nie potrwa to długo.

- Gadasz, jak gdybyś był osiemdziesięcioletkiem - obruszył się Noe.

Roger parsknął śmiechem i spojrzał na przyjaciela, zaraz jednak zmienił ton na poważniejszy.

- Przepraszam cię, bracie - podjął. - Widzisz, odsuwałem to od siebie tak długo, jak było można. Dzisiaj przy radiu zrozumiałem, że dłużej nie da rady. Widzę dla siebie tylko jedną drogę: z karabinem w garści. Od Finlandii do Morza Czarnego (Noe przypomniał sobie słowa płynące z głośnika). Od Finlandii do Morza Czarnego, do rzeki Hudson, do Rogera Cannona... Tak czy inaczej, weźmiemy udział w tej wojnie. Wolę zrobić pierwszy krok. Przez całe życie oczekiwałem różnych rzeczy. Tym razem chcę wybiec, ba! - wyskoczyć na spotkanie. Co u licha! - uśmiechnął się pogodnie. - Przecież pochodzę z rodziny wojaków. Mój dziad zdezerterował pod Antietam, a stary zostawił troje nieślubnych dzieci pod Soissons.

- Myślisz, że ci to wyjdzie na korzyść? - rzucił Noe.

- Nie pytaj mnie o takie rzeczy, nie pytaj, bracie - uśmiechnął się Roger i znowu zaczął mówić bardziej serio. - Widzisz, może to będzie dla mnie jakiś początek. To choroba. Z początku jest jak pryszcz, na który prawie nie zwracasz uwagi. Ani się obejrzyysz i po trzech latach dostajesz paraliżu... Ha, może wojsko da mi cel - uśmiechnął się kwaśno. - Będę chciał utrzymać się przy życiu albo zostać sierżantem, albo nawet wygrać wojnę. Pogram jeszcze trochę. Pozwolisz?

- Oczywiście - mruknął posępnie Noe, a jakiś głos wewnętrzny zaczął w nim powtarzać: „Idzie na śmierć! Roger idzie na śmierć. Zabiją go. Zabiją!”.

Roger usiadł tymczasem do pianina. Zadumał się. Położył ręce na klawiszach. Później zagrał coś, czego Noe nigdy jeszcze nie słyszał.

- Tak czy inaczej - rzucił przez ramię nie przerywając muzyki - miło mi, żeście się dogadali z tą małą. Nareszcie zrobiliście swoje.

- Co takiego? - zawołał Noe przypominając sobie rozpaczliwie, czy przypadkiem z czymś się nie wyrwał. - Nie rozumiem, o co ci chodzi?

- Nie rozumiesz? A masz to wypisane na gębie. Jakbyś wywiesił szyld świetlny. Zakończył długim pasażem w rejestrach basowych.

Nazajutrz armia pochłonęła Rogera. Nie pozwolił Noemu odprowadzić się na punkt zborny i zostawił mu cały swój majątek: meble, książki, nawet o wiele za duże ubrania.

- Nie będę teraz potrzebował takich rzeczy - powiedział mierząc krytycznym wzrokiem bagaż, który zgromadził w ciągu dwudziestu sześciu lat życia. - A zresztą to same rupiecie.

Wsunął do kieszeni numer „New Republic”, żeby mieć co czytać w kolei podziemnej, po drodze do Whitehall Street.

- Na razie mam kruchą broń: papierową - uśmiechnął się, pożegnał przyjaciela ruchem ręki, z fantazją włożył kapelusz na długą, krótko ostrzyżoną głowę i na zawsze opuścił pokój, w którym przeżył pięć lat. Noe patrzył za nim ze ściśniętym gardłem. Miał posępne przeczucie, że nigdy już nie znajdzie prawdziwego przyjaciela, że minęły najpiękniejsze dni jego życia.

Noe otrzymywał od czasu do czasu krótkie ironiczne kartki z jakiegoś ośrodka szkoleniowego na Południu. Dostał też kopię rozkazu kompanijnego, z którego wynikało, że szeregowiec Roger Cannon został awansowany do stopnia starszego szeregowca. Wreszcie, po długiej przerwie, nadszedł dwustronicowy list z Filipin. Roger opisywał jedną dzielnicę Manili - tę pod czerwonymi latarniami - i pewną dziewczynę, pół-Birmankę, pół-Holenderkę, która miała wytatuowany na brzuchu napis „S.S. Texas”. W postscriptum starszy szeregowiec Cannon dodał zamasztyłym charakterem pisma: „Trzymaj się z daleka od wojska. To instytucja nie dla ludzi”.

Z odmienionych warunków wynikała jedna niezaprzeczalna korzyść i Noe radował się nią szczerze, chociaż z poczuciem winy. Miał teraz własny pokój - dla siebie i Hope. Zginęli nocni włóczędzy spragnieni siebie wzajemnie, oczekujący w zimnej sieni, aż wuj skończy czytać Pismo Święte i pójdzie spać. Zginęli kochankowie bez łóżka, w którym mogłaby się schronić ich miłość. Zginęła parka smutnych dzieci, zabłąkanych na wielkowiejskim asfalcie.

W miesiąc po odejściu Rogera Noe zdał sobie sprawę, że odkrył nareszcie własne ciało, od lat przecież znajome. Było mocniejsze, zdolne do odczuć potężniejszych, niż kiedykolwiek oczekiwał. Często przeglądał się w długim lustrze umieszczonym koło drzwi. Podziwiał swoje ciało, które dzięki Hope wydawało mu się obecnie bez porównania piękniejsze, bardziej przydatne.

„Jak to dobrze - myślał podziwiając swój nagi tors. - Jak to dobrze, że nie mam kłaków na piersiach”.

We własnej, bezpiecznej przystani Hope stała się nadspodziewanie gorąca. W ciepłych, przyjaznych mrokach miejskiego lata jej purytanizm z chłodnych wzgórz Vermontu rozwiął się niby kłęby dymu. Kochankowie byli wiecznie zgłodniali, wzajemnie spragnieni swoich ciał. W nędznym pokoju, co stał się najdroższą tajemnicą ich życia, nad spokojnym przypływem morza i szeroko rozlanej rzeki zapominali o zgiełku miejskim i krzyku na rogach ulic, o interpelacjach w Senacie i ogniu dział na dalekich kontynentach. Wszystko to zmieniło się w odległy pomruk bez wyrazu, niby odgłosy bębnow i trąb w obozie jakiejś innej armii, gdzieś daleko, podczas jakiejś innej wojny.

Rozdział VII

Christian z trudem śledził tok akcji na ekranie. Film był zresztą zupełnie niezły. W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku jakiś oddział ma jednodniowy postój w Berlinie w drodze z rosyjskiego frontu na zachodni. Filmowy porucznik otrzymał wyraźny rozkaz, by nie puszczać swoich ludzi ze stacji, rozumie jednak, że po zaciekłych walkach na wschodzie i przed przyszłymi rzeziami we Francji żołnierze gorąco pragną odwiedzić żony czy narzeczone. Pod groźbą sądu wojennego i śmierci pozwala się rozejść. Jeżeli chociaż jeden nie wróci w porę na dworzec, porucznik zapłaci życiem. Film pokazuje przygody rozmaitych żołnierzy. Ci upijają się, owi spotykają Żydów i defetystów, którzy kuszą, by zostać w Berlinie, tamci niemal ulegają prośbom żon i kochanek. Raz po raz budzą się wątpliwości, czy porucznik wyniesie z hazardu całą głowę. Ale wszystko kończy się dobrze. Ostatni żołnierz skacze do wagonu, w chwili gdy pociąg rusza. Do Francji odjeżdża grono dobrych kolegów, którzy nie zawiedli wiary, jaką pokładał w nich dowódca. Film był bardzo dobrze zrobiony. Obfitował w momenty komiczne i wzniosłe, a ponadto dowodził sprytnie, że wojnę przegrali zdrajcy i strachajły w kraju, nie armia.

Aktorzy w rolach żołnierzy z tamtej wojny wzruszali nawet prawdziwych żołnierzy siedzących dokoła Christiana w wojskowym kinie. Oczywiście porucznik był trochę za dobry, za mało realny. Christian nie spotkał nigdy podobnego mu oficera. Porucznik Hardenburg powinien kilkakrotnie obejrzeć ten obraz. Na pewno by skorzystał! Po jednodniowym odprężeniu w paryskim burdelu Hardenburg z każdym dniem wojny był coraz bardziej surowy. Po zajęciu Paryża pułkowi odebrano wozy pancerne i przesunięto go do Rennes, gdzie pełnił funkcje raczej policyjne niż wojskowe. Tymczasem wybuchła wojna z Rosją. Wszyscy rówieśnicy porucznika okrywali się sławą na Wschodzie.

Pewnego dnia Hardenburg omal nie pękł z wściekłości, kiedy wyczytał, że jego kolega ze szkoły oficerskiej (taki był tępy, że zyskał przydomek „Wół”) awansował na podpułkownika za czyny bojowe na Ukrainie. A on był nadal porucznikiem! Żył wprawdzie dostatnio w dwupokojowym apartamencie jednego z najlepszych hoteli w mieście. Utrzymywał stosunki z dwiema Francuzkami mieszkającymi na tym samym

piętrze. Robił grube pieniądze na szantażowaniu pokątnych handlarzy mięsem i nabiałem. Mimo to jednak był niepokieszony.

„A niepokieszony porucznik - pomyślał z goryczą Christian - to źródło tysięcy trosk sierżanta. Dobrze chociaż, że jutro rozpoczynam urlop. Jeszcze dzień dokuczliwych złościwości tego drania, a mógłbym się posunąć do karygodnej, groźnej niesubordynacji. Choćby dzisiaj! - irytował się wewnętrznie. - Wie przecież, że o siódmej rano odchodzi mój pociąg do kraju. Mimo to wrzepił mi służbę!”

O północy miał wyjść patrol po jakichś młodych Francuzów, ukrywających się przed wyjazdem na roboty do Niemiec. Ale Hardenburg nie wybrał oczywiście Himmlera, Steina ani żadnego innego podoficera. Ach, ten paskudny, zimny uśmiech i: „Wiem, Diestl, że nie weźmiecie mi tego za złe. Przynajmniej nie będziecie się nudzić ostatniej nocy w Rennes. Zameldujecie się w kancelarii o dwunastej”.

Film kończył się zbliżeniem młodego przystojnego porucznika, który tkliwie i rozumnie uśmiecha się do podkomendnych, zebranych szczęśliwie w pędzącym na zachód pociągu. Tłum żołnierzy na sali klaskał z przekonaniem.

Potem wyświetlano kronikę filmową. Hitler przemawiał. Luftwaffe rzucała bomby na Londyn. Goering przypinał order lotnikowi, który stracił setkę nieprzyjacielskich samolotów. Piechota szturmowała płonąca wieś gdzieś na drodze do Leningradu. Mimo woli Diestl zwrócił uwagę na zapal i precyzję, z jaką żołnierze wykonywali zadania bojowe.

„Za trzy miesiące wkroczą do Moskwy - myślał smutno. - Tymczasem ja będę gnął w Rennes. Będę wysłuchiwał obelg Hardenburga i aresztował po kawiarniach ciężarne kobiety, które nauręgały niemieckim oficerom. Niedługo spadną w Rosji śniegi, a ja, jeden z najlepszych narciarzy w Europie, będę odstawiał żandarma w łagodnym klimacie zachodniej Francji. Armia to cudownie działający aparat, niewątpliwie jednak ma jakieś ukryte wady”.

Żołnierz na ekranie upadł. Trudno było odgadnąć, czy kryje się, czy został trafiony. W każdym razie nim wstał, oko obiektywu powędrowało dalej. Christian poczuł, że oczy mu wilgotnieją. Wstydił się po trosze, ale ilekroć oglądał zdjęcia niemieckich walk, sam zaś siedział bezpiecznie, wygodnie i daleko, musiał poskramiać chęć do płaczu. Było mu nieswojo. Czuł się winowajcą. Łatwo wpadał później w gniew i dawał to odczuć podwładnym przez kilka dni. Przecież nie z własnej winy żyje, kiedy inni umierają. Armia spełnia swe funkcje w specyficzny, tajemniczy sposób. Niełatwo

wszakże otrząsnąć się z poczucia winy, co zaprawia goryczą myśl nawet o dwóch tygodniach w domu. Młody Friedrich Langerman stracił nogę na Łotwie. Polegli obydwaj synowie Kochów. Bohater jedynej, prawie humorystycznej utarczki po drodze do Paryża zjedzie do domu cały, doskonale odżywiony. Na pewno nie uniknie wzgardliwych, świdrujących spojrzeń sąsiadów.

Wojna powinna się rychło skończyć. Nagle cywilne życie wydało się Christianowi niezmiernie miłe, upragnione. Bez troskie, idiotyczne dni na ośnieżonych stokach! Dni bez Hardenburga! Cóż, Rosjanie się kończą, a i Anglicy muszą pójść wreszcie po rozum do głowy. Nietrudno będzie zapomnieć bezpłodny, nudny okres we Francji. W dwa miesiące po zakończeniu wojny nikt nie będzie mówił o jej sprawach. Pisarz, co przez trzy lata smarował kolumny cyfr w berlińskim kwatremistrzostwie, zyska nie mniej chwały niż żołnierz, który szturmował bunkry w Polsce, Belgii i Rosji... Wtedy Hardenburg będzie mógł kiwać palcem w bucie... Hardenburg: w dalszym ciągu porucznik... Albo jeszcze lepiej: zwolniony z wojska jako niepotrzebny.

„Wrócę do domu, będę włóczył się samotnie po górach i...”.

Christian uśmiechnął się kwaśno do swych głupawych, dziecinnych marzeń.

„Jak długo - myślał - zatrzymają mnie po zawieszeniu broni? Brr! Okropne miesiące... Wojna skończona, a ty, durniu, czekaj i czekaj, aż zwolni cię opieszala kolosalna machina wojskowej biurokracji”.

Kronika filmowa dobiegła końca. Na ekranie wykwitła fotografia Hitlera. Wszyscy podnieśli się i stojąc na baczność śpiewali: *Deutschland, Deutschland über alles*.

Na sali zrobiło się widno. Diestl wychodził powoli w zwartym tłumie żołnierzy.

„Wszystko to ludzie w średnim wieku - rozmyślał gorzko. - Słabi, niedołążni, schorowani... Żołnierz garnizonowy, pozostawiony pogardliwie w spokojnym kraju, kiedy lepsze okazy niemieckich mężczyzn biorą udział w zapasach narodów o tysiące mil stąd. I ja jestem jednym z tych ciemiągów! - Smutno pokiwał głową. - Lepiej nie myśleć o tym, bo zrobi się ze mnie pies gorszy od samego Hardenburga”.

Na ulicy Diestl spotykał Francuzów - mężczyzn i kobiety. Ustępowali mu z drogi. Skwapliwie schodzili do rynsztoków. Taka pokora działała mu na nerwy. Tchórzostwo jest jedną z najpaskudniejszych ludzkich cech, a tym bardziej tchórzostwo mniej lub więcej bezsensowne, zbyt czyste. Nie miał przecież zamiaru

krzywdzić nikogo. Cała armia otrzymała surowe rozkazy, żeby z ludnością cywilną postępować oględnie, jak najuprzejmiej.

Starszy mężczyzna potknął się uskakując z chodnika.

„Niemcy - pomyślał Christian - nigdy by tak nie postępowali, gdyby w Niemczech znalazły się obce wojska, wszystko jedno jakie”.

- Hej, stary! - krzyknął i przystanął.

Francuz zatrzymał się również. Mimo ciemności widać było, że umiera ze strachu. Przygarbił się. Ręce latały mu niespokojnie.

- Słucham - przemówił drżącym głosem. - Słucham, panie pułkowniku.

- Nie jestem pułkownikiem.

„Co za dziecinne, irytujące pochlebstwo!” - pomyślał Christian.

- Bardzo przepraszam łaskawego pana - podjął Francuz. - Ale po ciemku...

- Niepotrzebnie schodzi mi pan z drogi aż na jezdnię.

- Oczywiście, proszę łaskawego pana - przyznał skwapliwie, ale nie ruszył się z miejsca.

- Chodź pan tutaj. Na chodnik! - zakomenderował Diestl.

- Jak łaskawy pan rozkaże - bąknął Francuz i nieśmiało postąpił krok. - Mogę łaskawemu panu okazać paszport. Mam papiery w idealnym porządku.

- Nie chcę oglądać pańskich zasranych papierów! - wybuchnął Christian.

- Jak łaskawy pan sobie życzy - brzmiała unizona odpowiedź.

- No, jazda! Do domu!

- Słucham łaskawego pana.

Francuz rozpląnął się w ciemnościach.

„Nowa Europa - ironizował Christian idąc dalej swoją drogą. - Potężna federacja państw pełnych dynamiki... Nie! Nie z takim materiałem ludzkim. Dobry Boże, niech nareszcie skończy się ta wojna albo niech wyślą mnie gdzieś, gdzie słychać armaty. Służba garnizonowa, życie ni to wojskowe, ni cywilne ma złe strony jednego i drugiego. Przeżera duszę, pozbawia człowieka ambicji, wiary. Może załatwi w końcu moje podanie do szkoły oficerskiej, a jak zostanę porucznikiem, wyślą mnie do Afryki albo do Rosji. Spojrzę wtedy z właściwej perspektywy na te ponure dni”.

Przed trzema miesiącami złożył podanie o przyjęcie do szkoły oficerskiej, nie otrzymał jednak odpowiedzi. Pewnie leżało pod stosem papierów na biurku jakiegoś opasłego kaprała przy Wilhelmstrasse.

„Mój Boże, jak inaczej wyobrażałem sobie wszystko w chwili odjazdu z domu, kiedy wkraczaliśmy do Paryża!“. Odświeżył w pamięci opowiadania z tamtej wojny. Związki niezłomnej, serdecznej przyjaźni zawierane pod gradem pocisków, twarde poczucie spełnionego obowiązku, olśniewające rakiety uniesień. Przypomniał sobie finał *Zaczarowanej góry*. Rok tysiąc dziewięćset czternasty. Usianym kwiatami polem Hans Castorp biegnie na francuski ogień. Śpiewa Beethovena. Stanowczo książka kończy się przedwcześnie. Powinna mieć jeszcze jeden rozdział ukazujący Hansa Castorpa w trzy miesiące później. Biedak siedzi w magazynie materiałowym w Liège. Dobiera parami buty i nic już nie śpiewa.

Wojenne koleżeństwo to mit, legenda. W czasie marszu na Paryż krótko łączyło Christiana z Brandtem, ba! może nawet zabłysło na moment pomiędzy nim a Hardenburgiem, kiedy Wielkimi Bulwarami jechali w stronę Placu Opery. Ale Brandt został oficerem. Zajmuje w Paryżu poważne stanowisko i ma własne mieszkanie. Pracuje w ilustrowanym piśmie wojskowym. A Hardenburg przeszedł wszystko najgorsze, czego się można było spodziewać w obozie ćwiczebnym. Inni koledzy - podoficerowie, szeregowcy - grzęzną jak świnie w błocie, z którego niepodobna się wydostać. Rano, w południe i wieczorem dziękują Bogu, że są w Rennes, nie pod Trypolisem lub Kijowem. Wszyscy tkwią po uszy w czarnym rynku, handlują czym popadnie z Francuzami, gromadzą pieniądze na ciężkie lata powojennego kryzysu. Jak przyjaźnić się z podobnymi ludźmi? To paskarze, spekulanci w mundurach. Jeżeli któremu grozi wysłanie na front, porusza wszelkie możliwe sprężyny, przekupuje pisarzy w dowództwie pułku, byle tylko zostać bezpiecznie na miejscu. Christian należał do dziesięciomilionowej armii, lecz nigdy w życiu nie czuł się tak osamotniony. Podczas urlopu pójdzie w Berlinie do Ministerstwa Wojny. Ma tam znajomego pułkownika. Pracowali razem w Austrii przed Anshlussem. Poprosi go o przeniesienie do innej, bardziej aktywnej formacji, chociażby nawet musiał zrezygnować ze stopnia...

Spojrzał na zegarek. Dopiero za dwadzieścia minut miał zameldować się u Hardenburga. Po drugiej stronie ulicy zobaczył otwartą kawiarnię. Nagle zachciało mu się pić.

Pchnął drzwi i wszedł do środka. Przy stoliku czterech żołnierzy piło szampana. Czerwone twarze wskazywały, że libacja musi trwać od dawna. Wszyscy mieli rozpięte bluzy, a dwaj byli nie ogoleni. Szampan! Dobrze sobie! Na pewno nie za żołd szeregowca. Na pewno sprzedają Francuzom kradzioną broń, własność armii niemieckiej. Francuzi oczywiście nie robią użytku z tej broni, ale licho wie, do czego dojdzie w przyszłości. Nawet Francuzi mogą kiedyś odzyskać męstwo.

„Armia spekulantów z czarnego rynku - pomyślał z goryczą Christian. - Handlarze skóry, amunicji, serów normandzkich, wina, cielęciny... Niech zostaną tu dwa lata, a od Francuzów będzie ich można odróżnić tylko dzięki mundurom. Oto nędzne, zdradliwe zwycięstwo galijskiego ducha!”.

- Wermut! - rzucił gospodarzowi, który z niepewną miną stał za bufetem. - Nie, koniak!

Oparł się łokciem o ladę. Utkwił wzrok w czterech żołnierzach. Szampan był na pewno ohydny. Brandt twierdzi, że Francuzi przyklejają rozmaite etykiety na butelkach z najgorszym paskudztwem. Niemcy nie znają się na winach, więc Francuzi mszczą się na swój sposób. To patriotyzm połączony z zyskiem.

Szeregowcy przy stoliku spostrzegli, że są pod obserwacją. Opanowali się trochę, znížyli głosy, ale pić nie przestali. Któryś zrobił zakłopotaną minę i pogładził dłonią zarośnięty policzek. Gospodarz postawił na ladzie kieliszek koniaku. Diestl zaczął pić bez pośpiechu, spoglądając wciąż na żołnierzy. Jeden z nich chciał zapłacić za nową butelkę szampana, wyjął więc portfel grubo wypchany frankami. Christian spostrzegł to i pomyślał ze złością: „Mój Boże, dla takich nędznych, przebiegłych gangsterów Niemcy szturmują rosyjskie stanowiska! Dla takich sklepikarzy Luftwaffe płonie nad Londynem!”.

- Hej, wy! - zawołał pod adresem człowieka z portfelem. - Do mnie!

Żołnierz niepewnie spojrział na kompanów. Siedzieli cicho, zapatrzeni w kieliszki. Niechętnie zaczął podnosić się chowając pieniądze do kieszeni.

- Ruszaj no się! - krzyknął ostro Christian. - Do mnie!

Żołnierz zbliżył się do lady. Twarz zbladła mu pod szczecina zarostu.

- Co to? - rzucił sierżant. - Nie umiecie stać porządnie? Bacność!

Szeregowiec zesztwytniał, zrobił jeszcze bardziej wystraszoną minę.

- Wasze nazwisko?

- Szeregowiec Hans Reuter, panie sierżancie - odpowiedział niski, trochę drżący głos.

Christian wyjął ołówek i ćwiartkę papieru. Zanotował nazwisko.

- Oddział? - rzucił sucho.

Żołnierz z zakłopotaniem przełknął ślinę.

- Sto czterdziesty siódmy batalion saperów.

Sierżant i to zanotował.

- Słuchajcie teraz, Reuter - powiedział. - Jak na drugi raz pójdziecie pić, ogólcie się i zapnijcie bluzę. Pamiętajcie też, że mówiąc do starszego stopniem stoi się na baczność. Poślę meldunek do waszego oddziału. Zostaniecie ukarani dyscyplinarnie.

- Tak jest, panie sierżancie.

- Odmaszerować!

Reuter westchnął i ruszył w stronę kolegów przy stoliku.

- A wy, reszta - krzyknął gniewnie Christian - nie wiecie, jak żołnierz ma być ubrany?

Szeregowcy szybko pozapinali bluzy. Siedzieli teraz sztywno, bez słowa. Diestl odwrócił się do nich tyłem, spojrzął na gospodarza.

- Drugi kieliszek, panie sierżancie? - zapytał Francuz.

- Nie - warknął Diestl.

Położył na ladzie pieniądze, dopił koniak i wyszedł nie spoglądając na żołnierzy pijących szampana.

Hardenburg był w kancelarii. W czapce i rękawiczkach siedział na krześle sztywny i wyprostowany jak na koniu. Przyglądał się wydanej przez Ministerstwo Propagandy mapie Rosji, na której triumfalne czarne i czerwone kreski wytyczały linię frontu z ubiegłego wtorku. Dowództwo oddziału mieściło się w starym budynku policyjnym. Pokutował tam smród dawnych drobnych przestępstw i nie domytych francuskich policjantów - zaduch, którego nie potrafiła usunąć nawet skrupulatna czystość obowiązująca w armii niemieckiej. Pod sufitem świeciła jedna mała żarówka. Ze względu na zaciemnienie okna były zamknięte i zasłonięte. W zatęchłym, ciepłym powietrzu zdawały się wirować upiory sprowadzanych tu dawnymi czasy złodziejasków nędznego autoramentu.

Kiedy Christian wszedł do kancelarii, pod oknem stał niski, niechlujny człeczyna w mundurze francuskiego policjanta. Od czasu do czasu zerkał niepewnie w stronę Hardenburga. Sierżant stanął na baczność i zasalutował.

„To nie może trwać wiecznie - pomyślał. - Musi się kiedyś skończyć”.

Porucznik nie zareagował na wejście podwładnego, ale Christian znał go bardzo dobrze, nie miał więc wątpliwości, że jego obecność w pokoju i wyczekiwanie zostały zauważone. Stał przy drzwiach wyprostowany, zapatrzony w dowódcę.

Przyglądał się Hardenburgowi i zdawał sobie sprawę, że to twarz bardziej mu nienawistna niż twarze wszystkich wrogów - bardziej niż twarz Churchilla, Stalina, bardziej niż twarz jakiegokolwiek oficera broni pancernej lub celowniczego mózdzierza w angielskiej czy rosyjskiej armii.

Hardenburg spojrział na zegarek i powiedział nie odwracając głowy:

- O, sierżant dziś punktualny.

- Tak jest, panie poruczniku.

Oficer przemierzył pokój sztywnym krokiem. Usiadł przy zaśmieconym papierami biurku i odnalazłszy kilka arkuszy zwrócił się do Christiana:

- Macie tutaj nazwiska i fotografie trzech Francuzów, których poszukujemy. Przed miesiącem zostali powołani na roboty przymusowe i dotychczas się ukrywają. Ten pan... - chłodnym, nieznacznym gestem wskazał człeczynę w mundurze francuskiej policji - twierdzi, że wie, gdzie ich można znaleźć.

- Tak, tak, panie poruczniku - potwierdził skwapliwie Francuz. - Wiem na pewno, panie poruczniku.

- Weźmiecie, Diestl, pięciu ludzi - ciągnął Hardenburg, jak gdyby policjanta wcale nie było w kancelarii - i przyłapiecie tę trójkę. Samochód z kierowcą i przydzielonym wam patrolem czeka na podwórzu.

- Rozkaz, panie poruczniku.

- A ty wynoś się! - powiedział oficer pod adresem Francuza.

- Słucham, panie poruczniku. Słucham. - Sapiąc nerwowo ruszył co tchu w stronę drzwi i wyszedł.

Oficer wciąż obserwował mapę zawieszoną na ścianie. W dusznym, gorącym pokoju Christian zaczynał się pocić. „Tyłu jest poruczników w armii niemieckiej - myślał - i akurat musiałem wpaść na tego drania!”.

- Spocznijcie, sierżancie.

Christian szurnął nogami. Oficer nie odrywał wzroku od mapy.

- Jak tam, Diestl? - zapytał nagle gawędziarskim tonem. - Wszystko w porządku? Macie papiery urlopowe?

- Tak jest, panie poruczniku - rzucił Christian i pomyślał: „Stało się. Teraz cofnie mi urlop. To mi dopiero pech!”.

- Po drodze do domu zahaczycie o Berlin, prawda?

- Tak jest, panie poruczniku.

Hardenberg skinął głową, wciąż zapatrzony w mapę.

- Szczęściarz z was! Dwa tygodnie pośród Niemców, bez tych świntuchów. - Ruchem głowy wskazał miejsce opuszczone niedawno przez Francuza. - Od czterech miesięcy kołaczę o urlop. Nic z tego. Jestem tutaj niezastąpiony - parsknął ironicznie, prawie się roześmiał. - Czy moglibyście wyświadczyć mi drobną przysługę?

- Oczywiście, panie poruczniku - powiedział Christian i zirytował się na siebie, że przystał tak szybko, bez wahania.

Porucznik dobył z kieszeni pęczek kluczy. Otworzył jedną z szuflad biurka, wyjął małą, troskliwie zawiniętą paczkę i bez pośpiechu zamknął znów szufladę.

- Moja żona mieszka w Berlinie. Oto jej adres - powiedział podając Christianowi ćwiartkę papieru. - Udało mi się... ehm... zdobyć tutaj śliczne koronki. - Z poważną miną stuknął palcem w paczuszkę. - Naprawdę bardzo piękne... czarne, brukselskie... Moja żona przepada za koronkami. Chciałem osobiście wręczyć jej upominek, ale widoki na urlop... No, a nasze poczty! - Z politowaniem kiwnął głową. - Wszystkich złodziei w Niemczech skierowano widać do urzędów pocztowych. Po wojnie należałoby przeprowadzić szczegółowe śledztwo w tej sprawie. Cóż, przyszło mi na myśl, że nie zrobię wam kłopotu... Moja żona mieszka w pobliżu dworca...

- Chętnie to załatwię, panie poruczniku - powiedział chłodno Christian.

- Dziękuję. - Podał sierżantowi paczkę. - Proszę pozdrowić ją ode mnie serdecznie, jak najserdeczniej. Możecie nawet powiedzieć, że nieustannie o niej myślę - uśmiechnął się lodowato.

- Tak jest, panie poruczniku.

- Dziękuję. A teraz ci trzech Francuzi. - Uderzył dłonią w rozłożone na biurku papiery. - Wiem, że mogę na was polegać.

- Tak jest, panie poruczniku.

- W tych sprawach zaleca się obecnie większą surowość. Chodzi o przykład dla innych. Rozumiecie, Diestl, nic poważnego, trochę krzyku, raz i drugi w mordę... Można także postraszyć karabinem...

- Tak jest, panie poruczniku - powtórzył Christian ściskając w ręku paczuszkę. Przez papier wyczuwał delikatną miękkość koronek.

- To wszystko, sierżancie. - Hardenburg wrócił spojrzeniem do mapy. - Przyjemnej zabawy w Berlinie.

- Dziękuję, panie poruczniku - zsalutował. - Heil Hitler!

Ale porucznik utonął już myślami pośród pułków pancernych rozrzuconych na szerokich równinach po drodze do Smoleńska. Ledwie ruszył ręką, kiedy Christian wychodził z kancelarii chowając koronki do wewnętrznej kieszeni i zapinając ją starannie, żeby paczuszka na pewno nie wypadła.

Dwaj poszukiwani ukrywali się w pustym garażu. Na uzbrojonych żołnierzy patrzyli spode łba, ale nie stawiali oporu.

Następny podany przez francuskiego policjanta adres zawiódł Christiana do ubogiej dzielnicy. W domu śmierdziało czosnkiem i zepsutą kanalizacją. Wywleczony z betów chłopiec kurczowo czepiał się matki. Obydwoje wrzeszczeli histerycznie. Kobieta ugryzła jednego z żołnierzy, a ten kopnął ją w brzuch i przewrócił. Jakiś starzec siedział przy stole. Rękami ujął głowę i płakał. Ogólnie biorąc, trudno było sobie wyobrazić mniej przyjemną scenę. W tym samym mieszkaniu ukrywał się w alkowie jeszcze jeden mężczyzna. Christianowi wydawał się podobny do Żyda. Dokumenty miał przestarzałe i tak był przerażony, że nie mógł odpowiedzieć na żadne pytanie. W pierwszej chwili Diestl miał ochotę zostawić go w spokoju. Otrzymał przecież wyraźny rozkaz: miał aresztować tylko trzech wymienionych imiennie chłopców, nie szukać na chybił trafił osób podejrzanych. Gdyby ten człowiek naprawdę okazał się Żydem, groziłby mu obóz koncentracyjny i w rezultacie śmierć. Ale francuski policjant nie odstępował na krok Christiana i syczał: *Juif!... Juif!...* Na pewno powiedziałby o wszystkim Hardenburgowi, a dla Hardenburga to gratka odwołać urlop i przy raporcie kazać tłumaczyć się podwładnemu, dlaczego nie spełnił obowiązku służbowego.

- No, nie ma rady. Proszę z nami! - zwrócił się Christian do Żyda najłagodniej, jak umiał.

Biedak był kompletnie ubrany, gotowy do ucieczki w każdej chwili. Widocznie nie zdejmował na noc nawet butów. Błędnym wzrokiem rozglądał się po pokoju. Patrzył na kobietę w średnim wieku, która leżąc na ziemi trzymała się za brzuch i jęczała żałośnie; na opartego o stół płaczącego starca; na krucyfiks nad komodą. Miał taką minę, jak gdyby żegnał ostatni swój przytułek i wiedział, że niechybna śmierć czeka tuż za progiem. Chciał coś powiedzieć, chociaż jednak otwierał usta i poruszał szczękami, ani jeden wyraz nie dobywał się spomiędzy sinych warg.

Diestl był szczęśliwy, kiedy wrócił nareszcie do koszar policyjnych i przekazał aresztantów oficerowi służbowemu. Usiadł za biurkiem Hardenburga i zaczął pisać meldunek. Co tu gadać! Spisał się gracko. Cała historia zajęła zaledwie trzy godziny. Nagle usłyszał rozpaczliwe krzyki w głębi koszarowego budynku.

„Barbarzyńcy! - pomyślał z niesmakiem. - Zrób normalnego człowieka policjantem, a od razu zmienisz go w sadystę”.

Zrazu chciał wyjść z kancelarii, uspokoić żołnierzy. Wstał nawet od biurka. Ale przyszło mu do głowy, że oficer służbowy może brać udział w zabawie. Niewczesna interwencja skończyłaby się wówczas smutno.

Skończył meldunek, położył papier w widocznym miejscu na biurku Hardenburga i wyszedł na ulicę. Była pogodna jesienna noc. Nad dachami jasno połyskiwały gwiazdy. W mroku miasto wyglądało ładniej niż za dnia, a oświetlony księżycem plac przed ratuszem był nawet piękny - przestronny, kształtny, zupełnie pusty. „Mógłbym wpaść jeszcze gorzej - pomyślał Christian idąc wolno chodnikiem - trafić do bardziej zakazanej dziury”.

Skreślił nad rzekę i zadzwonił do bramy domu, w którym mieszkała Corinne. Stróżka burczała gniewnie, umilkła wszakże, kiedy poznała spóźnionego gościa.

Diestl wszedł na piętro po starych skrzypiących schodach i zastukał do drzwi mieszkania. Corinne otworzyła natychmiast, jak gdyby nie kładła się dotychczas i czekała. Powitała Christiana gorącym pocałunkiem. Miała na sobie prawie przezroczystą nocną koszulę, a jej ciężkie, jędrne piersi były ciepłe od snu. Poczul to, kiedy przygarnął ją do siebie.

Corinne, żona francuskiego kaprała, który w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku dostał się do niewoli pod Metzem, obecnie zaś przebywał w obozie pracy

niedaleko Królewca, była tęgą kobietą o grubych farbowanych warkoczach. Przed siedmioma miesiącami, kiedy Christian poznał ją w kawiarni, wydała mu się ponętym uosobieniem rozkoszy. Naprawdę jednak była sentymentalna, pogodna, powściągliwa w miłości. Niekiedy, leżąc obok niej w małżeńskim podwójnym łóżku nieobecnego kaprała, Christian przemyślał, że po taki towar mógł nie jeździć daleko. W Bawarii i Tyrolu znalazłby pięć milionów wieśniaczek równie tłustych i jędrnych, równie podobnych do krów. Widocznie umykały mu jakoś te legendarne Francuzki - dowcipne, bystre, ruchliwe jak żywe srebro - dziewczyny, na których wspomnienie męskie serca były żywiej, a w pamięci rysowały się słoneczne ulice Paryża i miast na południu Francji. Cóż, widać to klasa przeznaczona tylko dla oficerów. Znowu przypomniało mu się podanie zaprzepaszczone gdzieś na manowcach drogi służbowej. Siedział w pokoju sypialnym Corinne na ciężkim, rzeźbionym krześle z orzechowego drzewa i zdejmował buty. Francuzka wchodziła właśnie do łóżka bez pośpiechu, po domowemu. Jej duże pośladki połyskiwały w blasku lampy. Christian z trudem przepędził z twarzy wyraz niesmaku. Zgasił światło - tak było lepiej. Otworzył okno, chociaż Corinne, jak większość jej rodaków, panicznie bała się nocnego powietrza. Położył się obok niej i kobieta przycisnęła mu łydki grubą, mięsistą nogą. Westchnęła przy tym jak tłusciucha, która z ulgą wyzwala się z gorsetu. W tej chwili wysoko na niebie miarowo zawarczały silniki.

- *Chéri* - zaczęła Corinne.

- Szszaa! - syknął. - Słuchaj.

W skupieniu słuchał dalekiego odgłosu, którym dawali znać o sobie ludzie wracający z pokreślonego reflektorami londyńskiego nieba, z czarnych i mroźnych górnych warstw powietrza nad Wyspami Brytyjskimi, spośród balonów zaporowych, nocnych myśliwców, eksplodujących pocisków. Kiedy Corinne dotknęła go gestem wprawnej dójki, poczuł znów łyzy pod powiekami, jak w kinie, kiedy piechur padał na rosyjską ziemię. Wciągnął kobietę na siebie. Chciał oddzielić się od jęku motorów, zgłuszyć go ciężkim, brzydkim ciałem.

Corinne wstała wcześniej, żeby przygotować śniadanie. Podawała biały chleb przyniesiony przez Christiana z piekarni zaopatrującej kasyna oficerskie. Kawa była oczywiście zbożowa - czarna i rzadka. Christianowi zrobiło się cierpko w ustach, kiedy skosztował tego napoju. Corinne, zaspana, spocona, miała bujne włosy w nieładzie;

krzątała się żywo po ciemnej jeszcze kuchni. Później usiadła naprzeciwko gościa. Rozchyłony jeszcze szlafrok odsłaniał białą, niezbyt delikatną skórę na wydatnym biuście.

- *Chéri* - powiedziała siorbiąc głośno kawę. - Nie zapomnisz o mnie w Niemczech?

- Nie.

- Wrócisz za trzy tygodnie?

- Tak.

- Na pewno?

- Na pewno.

- A przywieziesz mi coś z Berlina? - zapytała z wulgarną zalotnością.

- Tak. Coś ci przywiozę.

Uśmiechnęła się szeroko. Prawdę mówiąc, nieustannie przymawiała się o nową suknię, mięso z czarnego rynku, pończoszki, perfumy, trochę gotówki, bo kanapa wymaga remontu...

„Pan kapral wróci kiedyś z Niemiec - myślał złośliwie Christian - i zastanie małżonkę dobrze obsprawną. Jak zajrzy do rozmaitych schowków, nasunie mu się kilka kłopotliwych pytań”.

Kobieta miarowo i głośno żuła chleb maczany w kawie.

- *Chéri* - zaczęła znowu - rozmawiałam ze szwagrem. Chce pogadać z tobą, jak wrócisz.

- Co takiego? - Diestl spojrział na nią zdziwiony.

- Przecież mówiłam ci o nim. Brat mojego męża, ten handlowiec. Pamiętasz? Mleko, jaja, sery. Ma bardzo korzystną ofertę od jednego kupca z Rennes. Jeżeli wojna potrwa dostatecznie długo, może zbić majątek.

- Bardzo ładnie - powiedział Christian. - Miło mi, że twojej rodzinie dobrze się wiedzie.

- *Chéri*. - Zmierzyła go pełnym wyrzutu wzrokiem. - *Chéri*, nie udawaj głupiego. To nie taka prosta sprawa.

- Czego ten facet chce ode mnie?

- Widzisz, dostawa towaru do miasta to trudny problem. Patrole na szosach... posterunki przy wjeździe... Rewidują, sprawdzają, czy towar nie podlega rekwizycji... Sam wiesz najlepiej.

- Wiem. I co z tego?

- Mój szwagier pytał, czy jakiś niemiecki oficer...

- Nie jestem oficerem.

- O, szwagier mówi, że sierżant zupełnie wystarczy. Chodzi o kogoś, kto zastąpiłby przepustkę władz wojskowych. Trzy razy na tydzień mógłbyś spotkać się z moim szwagrem na szosie. On ma własną ciężarówkę. Trzeba ją tylko wprowadzić do miasta w nocy...

Corinne wstała, okrążyła stół i zaczęła głaskać Christiana po włosach. Skrzywił się, bo był pewien, że nie otarła powalanych masłem palców.

- *Chéri* - podjęła przymilnym tonem - szwagier jest gotów dzielić zysk pół na pół. Pomyśl, jeżeli postarasz się o benzynę, szwagier uruchomi jeszcze dwie ciężarówki. Wtedy zostaniesz bogaczem. Wszyscy przecież robią takie rzeczy. Sam wiesz najlepiej. Twój porucznik...

- Tak - przerwał. - Wiem wszystko o moim poruczniku.

„Mój Boże! - pomyślał. - Brat jej męża! Mąż gnije w niewoli, a ten facet pali się do ciemnych interesów z Niemcem, kochankiem bratowej. Oto pikantne szczególiki z życia rodzinnego we Francji”.

Kobieta objęła go mocno za szyję.

- W sprawach pieniężnych, *chéri*, należy być praktycznym...

- Powiedz temu złodziejowi, twojemu szwagrowi - zawołał głośno Christian - że jestem żołnierzem, nie spekulantem z czarnego rynku!

Corinne rozplotła ramiona.

- *Chéri* - powiedziała chłodno. - Niepotrzebnie się złościś. Wszyscy inni są także żołnierzami, a przecież robią fortuny.

- Nie jestem jak wszyscy inni - obruszył się Christian.

- Teraz widzę, że musiałam ci się znudzić. - Kobieta zaczęła pochlipywać.

- Bodaj to wszyscy diabli! - wybuchnął Diestl.

Naciągnął bluzę, sięgnął po czapkę i głośno otworzywszy drzwi wyszedł.

Na ulicy świt pachniał chłodnym, kryształowym powietrzem. Christian poczuł, że jego gniew mija.

„Mimo wszystko - myślał - urządziłem się całkiem przyjemnie. Mógłbym trafić znacznie gorzej. Cóż, cała historia poczeka do mojego powrotu z Niemiec”.

Szedł ulicą niewyspany, lecz z każdą chwilą bardziej podniecony myślą, że o siódmej znajdzie się w pociągu, w drodze do kraju.

W promieniach jesiennego słońca Berlin wyglądał wspaniale. Christian nigdy nie przepadał za stolicą, lecz tego dnia, kiedy dźwigając worek wyszedł przed dworzec, odczuł atmosferę świadomej swych celów solidności. Olśnił go szyk mundurów i nawet ubrań cywilów, a powszechny nastrój sprężystości i dobrobytu mile kontrastował z szarzyzną i nudą francuskich miast, w których sierżant Diestl spędził ostatni rok.

Wyjął z kieszeni kartkę z adresem pani Hardenburg i w tej chwili przypomniał sobie, że nie złożył meldunku o nie ogolonym saperze. Trzeba będzie pamiętać o tym po powrocie.

Z kolei zaczął przemyśliwać, czy najpierw znaleźć miejsce w hotelu, czy też zacząć od doręczenia paczki żonie dowódcy. Wybrał drugie rozwiązanie. Pozbędzie się tego i na całe dwa tygodnie pozostanie absolutnym panem swojego czasu, wolnym od wszelkich obowiązków z upiornego świata, który pozostał w Rennes. Idąc słonecznymi ulicami, pomału kreślił program urlopowy. Przede wszystkim koncerty i przedstawienia teatralne. Są w Berlinie ośrodki, gdzie żołnierze darmo dostają bilety. A z pieniędzmi trzeba ostrożnie. Szkoda, że za wcześnie na narty. To byłoby najlepsze. Ale Christian bał się marudzić z urlopem. W wojsku nauczył się, że zwłoka to czysta strata, bo urlop odłożony na później najczęściej przepada.

Pani Hardenburg mieszkała w nowej, okazałej kamienicy. Wejścia pilnował portier w liberii. Przedśionek był wysłany grubym, puszystym dywanem. Czekając na windę Christian zastanawiał się, jakim cudem żona porucznika Hardenburga może żyć na tak wysokiej stopie.

Na czwartym piętrze nacisnął dzwonek i czekał. Drzwi otwarły się niebawem. Stała w nich blondynka o długich potarganych włosach. Wyglądała, jakby dopiero co wstała z łóżka.

- Słucham - rzuciła szorstko, tonem niezadowolenia. - O co chodzi?

„Nieźle się urządziła - pomyślał Christian. - Sypia do jedenastej”.

- Jestem sierżant Diestl. Służę w kompanii pana porucznika Hardenburga.

- Czego pan sobie życzy?

Mówiła drewnianym głosem i nie odmykała szerzej ledwie uchylonych drzwi. Miała na sobie pikowany szlafrok z ciemnopurpurowego jedwabiu. Raz po raz odgarniała z czoła włosy nerwowym, lecz pełnym wdzięku ruchem.

Christian nie mógł odpędzić myśli: „Niezły gust ma porucznik. Wcale niezły!”.

- Dopiero co przyjechałem do Berlina na urlop - mówił powoli, rozwlekle, bo chciał dobrze obejrzeć żonę Hardenburga, wysoką, młodą osobę o smukłej talii i pełnych piersiach, niezupełnie zakrytych szlafrokiem. - Pan porucznik postarał się o prezent dla pani i prosił mnie, żeby go doręczyć.

Kobieta bacznie spojrzała na gościa. Miała duże, chłodne, szare oczy w ładnej oprawie, ale trochę zbyt świdrujące i przebiegłe. Tak przynajmniej osądził Christian. Po chwili zdecydowała się na uśmiech.

- Aha - powiedziała zupełnie innym, ciepłym tonem. - Wiem, kto pan jest. Ten poważny ze schodów opery...

- Nie... nie rozumiem - bąknął stropiony Christian.

- Jak to? A zdjęcie robione w dzień upadku Paryża?

- Ach, tak! - przypomniał sobie i uśmiechem odpowiedział na uśmiech.

- Proszę, proszę dalej. - Chwyliła go za rękę i wciągnęła do przedpokoju. - Niech pan zabierze tornister. Jak to ładnie, że pan mnie odwiedził. Proszę... Bardzo proszę.

Duży pokój mieszkalny miał szerokie weneckie okno z widokiem na okoliczne dachy. W chwili gdy wszedł tam Christian, panował dokoła straszliwy nieład. Na podłodze poniewierały się butelki, szklanki, niedopałki cygar i papierosów. Na krzesłach widać było rozmaite części damskiej garderoby i bielizny. Stłuczony kieliszek od wina ozdabiał stół. Pani Hardenburg rozejrzała się i pokręciła głową.

- Mój Boże! - powiedziała. - Okropnie tu wygląda! Ale w tych czasach niepodobna utrzymać służącej.

Przestawiła butelkę z jednego stolika na drugi, wysypała do kominka zawartość kilku popielniczek, następnie rozejrzała się dokoła i zrobiła beznadziejną minę.

- To ponad moje siły - westchnęła.

Zapadła w głęboki fotel. Wyciągnęła przed siebie długie nogi bez pończoch, w lamowanych futrem czerwonych pantofelkach na wysokim obcasie.

- Proszę siadać, sierzancie - zagała rozmowę. - I przepraszam za ten okropny bałagan. Cóż, sama tłumaczę się przed sobą, że wszystkiemu winna wojna - parsknęła śmiechem. - Po wojnie kompletnie odmienię tryb życia. Stanę się wzorową panią domu. Każda szpileczka znajdzie swoje miejsce. Ale tymczasem... - Machnęła ręką. - Grunt to jakoś przeżyć. No, niech mi pan opowiada o poruczniku.

Christian próbował przypomnieć sobie jakiś szlachetny albo zabawny fakt z życia Hardenburga. Starał się też pamiętać, by nie powiedzieć damie, że jej mąż ma w Rennes dwie dziwki i uchodzi za jednego z głównych rekinów bretońskiego czarnego rynku.

- Cóż, jak pani zapewne wiadomo, pan porucznik trapi się ciągle, ponieważ...

Pani Hardenburg wyprostowała się w fotelu i pochyliła ku swojemu gościowi. Twarz miała teraz ożywioną, ruchliwą.

- Ach, prawda! - zawołała. - Prezent! Gdzie pan ma ten prezent?

Christian roześmiał się głośno i odszedł w stronę drzwi, żeby wydobyć paczuszkę z tornistra. Stał nachylony, odwrócony bokiem, lecz zdawał sobie sprawę z badawczych spojrzeń gospodyni. Kiedy wyprostował się i skierował wzrok w jej stronę, nie spuściła oczu. Obserwowała go nadal w sposób natrętnie żenujący. Zbliżył się i podał paczkę. Pani Hardenburg nie spojrzała nawet na nią. Chłodno, rzeczowo patrzyła wciąż w twarz gościa. Na jej ustach igrał zagadkowy uśmiezek.

„Wygląda jak Indianka - pomyślał Diestl. - Jak dzika Indianka z Ameryki”.

- Dziękuję - przemówiła wreszcie.

Odwróciła wzrok i zaczęła rozwijać paczuszkę. Ruchy miała gwałtowne, nerwowe. Kiedy darła zgnieciony szary papier, połyskiwały jej karminowo lakierowane paznokcie.

- Aa... koronki - powiedziała bez entuzjazmu. - Ciekawe, jakiej wdowie je ukradł?

- Słucham panią?

Roześmiała się. Delikatnie klepnęła Christiana po ramieniu.

- Nie, nie - powiedziała. - Wolę nie rozwiewać złudzeń podkomendnych mojego męża.

Przykryła szalem włosy. Czerń spłynęła miękko po prostych, jasnych kosmykach.

- Dobrze wyglądam?

Zalotnie pochyliła głowę, zbliżyła się do Christiana. Był za starym wygą, by nie odczytać wyrazu jej twarzy. Postąpił krok. Pani Hardenburg podniosła ramiona i przyjęła pocałunek.

Po chwili cofnęła się i odwróciła. Nie spoglądając na gościa ruszyła w stronę sypialni. Czarne koronki spływały fałdziście na giętką, smukłą kibić. „Nie ulega wątpliwości - myślał Christian idąc powoli jej śladem - że to coś lepszego niż Corinne”.

Pościel na łóżku była skopana. Obok, na podłodze stały dwie szklanki i leżał pocieszny obrazek: nagi pasterz w scenie miłosnej na stoku wzgórze z muskularną pasterką. Ale Christian miał rację. Było to istotnie coś lepszego niż Corinne, niż jakakolwiek inna kobieta, z którą miał do czynienia. Pani Hardenburg nie mogły dorównać amerykańskie pensjonarki, które zjeżdżały do Austrii na narty, ani angielskie arystokratki wymykające się nocami z hoteli, ani zażywe dziewoje, znajome z wczesnej młodości, ani damy, co wałęsają się wieczorami po paryskich kawiarniach. Było to coś lepszego niż wszystko, czego Christian mógł oczekiwać od kobiety.

„Chciałbym - myślał ze złośliwym humorem - żeby porucznik widział mnie w tej chwili”.

Leżeli obok siebie wyczerpani, zapatrzeni w swoje nagie ciała skąpane w blasku pogodnego południa.

- Czekałam na ciebie od chwili, kiedy zobaczyłam tamtą fotografię - powiedziała pani Hardenburg.

Odwróciła się, sięgnęła ręką pod łóżko i wydobyła opróżnioną do połowy flaszkę.

- Czyste szklanki znajdziesz w łazience - poinformowała Christiana.

Dźwignął się z łóżka. W łazience pachniało mocno perfumowanym mydłem. Na podłodze koło wanny piętrzył się stos różowej bielizny. Christian znalazł szklanki i wszedł do sypialni.

- Nie spiesz się - powiedziała kobieta. - Wróć do drzwi i jeszcze raz przejdź powoli w moją stronę.

Diestl uśmiechnął się zdobywczo i wrócił do łazienki. Później ze szklaneczkami w ręku kroczył po grubym dywanie. Pod krytycznym spojrzeniem czuł się trochę zakłopotany swoją nagością.

- Berlin roi się od starych, brzuchatych pułkowników - wyjaśniła pani Hardenburg. - Człowiek zapomina, że mężczyzna może tak wyglądać. - Podniosła butelkę. - Wódka. Jeden znajomy przywiózł mi z Polski trzy butelki.

Christian przysiadł na krawędzi łóżka. Kolejno podał szklanki, które kobieta napełniła hojną ręką. Następnie odstawiła na dywan nie zakorkowaną flaszkę. Wódka spływała w gardło ciepło, drażniąco. Pani Hardenburg jednym krótkim łykiem pochłonęła swoją porcję.

- Ach, teraz żyjemy - parsknęła i sięgnawszy pod łóżko, bez słowa naląa drugą kolejkę; stuknęła szklanką w szklankę Diestla.

- Zjechałeś wreszcie do Berlina. Ale marudziłeś okropnie.

- Głupi byłem - uśmiechnął się Christian. - Nie wiedziałem, co mnie czeka.

Wypili. Kobieta rzuciła szklankę na podłogę. Wzięła Christiana w ramiona, pociągnęła na siebie.

- Mam wolną godzinę - szepnęła. - Później muszę wyjść.

W łóżku skończyli flaszkę. Christian musiał wstać i poszukać drugiej w kredensie pękającym od wszelkiego rodzaju trunków. Były tam wódki z Polski i Rosji, szkocka whisky zdobyta na Anglikach w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, szampan, koniaki, stary burgund w butelkach okrytych słomianymi koszyczkami, węgierska śliwowica, spirytus, chartreuse, kseres, benedyktyn i białe wina z Bordeaux. Odkorkował flaszkę i postawił na podłodze, tak żeby pani Hardenburg miała ją pod ręką. Następnie stanął koło łóżka i chwiejąc się trochę na nogach mierzył wzrokiem nagie ciało, wyprężone i namiętne, szczupłe, lecz o pełnych piersiach. Kobieta też patrzyła na niego. Oczy jej gorzały poddaniem i nienawiścią.

„Wiem już, co w niej najbardziej bierze - rozstrzygnął nagle Christian. - Właśnie ten wyraz oczu, te spojrzenia. Nareszcie wojna przyniosła mi coś dobrego" - zakończył kładąc się obok żony Hardenburga.

- Jak długo masz zamiar zostać? - spytała głębokim głosem.

- W łóżku?

- Nie, sierżancie - roześmiała się. - W Berlinie.

- Chcę... - zaczął i urwał; omal nie powiedział, że po tygodniu w Berlinie wybiera się na drugi tydzień do Tyrolu, gdzie ma rodzinę.

- Chcę spędzić w Berlinie cały urlop: dwa tygodnie.

- To dobrze - podjęła sennym głosem - ale dla mnie nie wystarczy.

- Delikatnie przesunęła dłonią po brzuchu Christiana. – Spróbuję pogadać z przyjaciółmi. Mam przyjaciół w Ministerstwie Wojny. Może to niezła myśl, żeby ci wykombinować przydział w Berlinie. Jak sądzisz?

- Moim zdaniem, to myśl znakomita.

- A teraz - ciągnęła kobieta - wypijemy jeszcze po jednym. Gdyby nie wojna - jej cichemu głosowi akompaniowało bulgotanie płynu wylewającego się z butelki - gdyby nie wojna, nigdy nie odkryłabym wódki. Dziś w nocy. Po dwunastej. Dobrze?

Roześmiała się i napełniła szklanekę Diestla.

- Dobrze.

- Nie masz innej dziewczyny w Berlinie?

- Nie. Nie mam innej dziewczyny na całym świecie.

- Biedny sierżant! Biedny, załgany sierżant! Ja mam porucznika w Lipsku, pułkownika w Libii, kapitana w Abbeville, drugiego kapitana w Pradze, majora w Atenach, generała brygady na Ukrainie. Nie wspominam nawet o małżonku, poruczniku stacjonowanym w Rennes. Mój mąż ma trochę opaczne gusty.

- Czyżby?

- Ja też jestem zboczona. Ale o tym potem. Ty... Ty jesteś naprawdę pierwsza klasa. Co za wigor! Prostoduszny chłopiec, ale pełen wigoru. Wrażliwy, niekłopotliwy na przyszłość... No, dziś po północy.

- Tak.

- Wojna, wojna - ciągnęła. - Życzliwi przyjaciele rozproszeni po świecie. Wiesz, od początku wojny nie miałam ani jednego sierżanta. Ty jesteś pierwszy. Powinieneś być dumny, prawda?

- Niebywale.

Pani Hardenburg zachichotała nerwowo.

- Wieczór spędzam dziś z pewnym pułkownikiem, pełnym pułkownikiem. Mam dostać futro, prawdziwe sobole. Przywiózł je z Rosji. Wyobrażasz sobie, jaką by zrobił minę, gdybym powiedziała, że wracam do domu, do skromnego sierżanta?

- Nie mów mu.

- Napomknę tylko. Delikatnie napomknę. Oczywiście jak futro będę już miała na grzbiecie. Tak od niechcienia, niby to płotac świniństwa. - Znowu zachichotała. - Chyba zrobię cię porucznikiem. Człowiek o takich zdolnościach! Śmiejesz się? Naprawdę mogę zrobić cię porucznikiem. Nic prostszego. No, za zdrowie porucznika Diestla!

Wypili za zdrowie porucznika Diestla.

- Jakie masz plany na popołudnie? - zapytała kobieta.

- Nieciekawo. Pospaceruję trochę. Będę czekał dwunastaj.

- Strata czasu. Lepiej kup mi jakiś drobiazg.

Wstała z łóżka i podeszła do stolika, na który rzuciła koronki. Udrapowała szal na głowie, palcami przytrzymała pod brodą.

- O tutaj, widzisz? Doskonale by pasowała nieduża, skromna broszka. Jak sądzisz?

- Tak mi się zdaje.

- Znam pierwszorzędny sklep na rogu Tauentzienstrasse i Kurfürstendamm. Mają tam odpowiednią agrafkę z granatami. Bardzo by mi się przydała. Pójdiesz tam, prawda?

- Pójdę.

- Doskonale.

Podziękowała Christianowi uśmiechem. Nagle zbliżyła się do łóżka posuwistym krokiem. Przyklękła na jedno kolano i gorąco pocałowała kochankę w szyję.

- Jak to ładnie ze strony porucznika - szepnęła pieszczotliwym tonem - że przysłał mi te koronki. Muszę napisać do niego. Podziękować. Zawiadomić, że paczkę otrzymałam w porządku.

Diestl poszedł do sklepu przy Tauentzienstrasse i kupił skromną broszkę z granatami. Wążąc ją w ręku wyobrażał sobie, jak będzie wyglądała pod brodą pani

Hardenburg. „Zabawne - pomyślał - nie znam nawet jej imienia. Wydałem dwieście czterdzieści marek. Trzeba to będzie zaoszczędzić na czymś innym”.

Niedaleko dworca znalazł mały, tani pensjonat, gdzie zostawił tornister. Było tam brudno i tłoczyli się żołnierze, ale w chwilowym lokalu nie zamierzał przecież spędzać wiele czasu.

Wysłał do matki telegram z wiadomością, że na urlop nie zdoła przyjechać do domu, i z prośbą o pożyczanie dwustu marek. Od szesnastego roku życia pierwszy raz zwracał się do niej o pieniądze, wiedział jednak, że matce powodzi się teraz dobrze, łatwo więc zaspokoi jego żądanie.

Christian wrócił do pensjonatu. Próbował się zdrzemnąć, wciąż jednak płoszył sen myślami o porannych wydarzeniach. Ogolił się, przebrał i wyszedł na miasto. Było pół do szóstej, jeszcze widno. Szedł wolno Friedrichstrasse. Pogodnie się uśmiechał słuchając dźwięczących dokoła strzępków niemieckiej mowy. Z zadowoloną miną kręcił głową, kiedy na rogach ulic zaczęły go dziewczęta. Zwrócił uwagę, że wszystkie są wystrojone w prawdziwe futra albo dobrze skrojone płaszcze. Podbój Francji okazał się dobrodziejstwem przynajmniej dla jednej profesji.

Przemykając w ruchliwym tłumie Christian wierzył w zwycięski koniec wojny, wierzył głębiej niż kiedykolwiek. Berlin, który wydawał mu się zawsze szary i nudny, kipiał tego dnia wesołością, energią, niepohamowaną siłą. „Jakże inaczej muszą wyglądać w tej chwili ulice Londynu, ulice Moskwy - myślał. - Wszystkich żołnierzy powinno się wysyłać na urlop do Berlina. Miałoby to zbawienny wpływ na morale armii. Oczywiście - uśmiechnął się figlarnie - dobrze by było każdego faceta, co przyjeżdża na urlop do Berlina, obdarzyć z miejsca taką panią Hardenburg i butelką wódki. Hm... Kwatermistrzostwo miałoby nowy problem, trudny problem”.

Kupił gazetę, wszedł do kawiarni i zamówiwszy piwo zabrał się do czytania. Miał wrażenie, że słucha grzmiącej orkiestry dętej. W gazecie pełno było triumfalnych opowieści: Rosjanie tysiącami dostają się do niewoli; na froncie północnym kompanie rozgramiają bataliony; zagony pancerne przenikają głęboko w nieprzyjacielski teren i oderwane od sił głównych miażdżą podczas wypadów trwających tydzień i dłużej i tak już zdeorganizowane rosyjskie tyły. Jakiś emerytowany generał troskliwie analizował sytuację i przestrzegał czytelników przed nadmiernym optymizmem. Był zdania, że Rosja skapitułuje nie wcześniej niż za trzy miesiące, a szalona gadanina o natychmiastowej klęsce może tylko źle wpłynąć na morale wojska i ludności cywilnej.

Artykuł wstępny groził Turcji i Stanom Zjednoczonym, a zarazem wyrażał głębokie przekonanie, iż mimo energicznej kreciej roboty Żydów, naród amerykański nie pozwoli się wciągnąć do wojny, która - rzecz prosta - w niczym nie zagraża jego interesom i nie powinna go obchodzić. Dalej była wiadomość, że żołnierze radzieccy torturują i palą żywcem nielicznych niemieckich jeńców. Christian czytał spieszenie, ograniczając się do pierwszych zdań artykułów. Był przecież na urlopie i przez dwa tygodnie nie chciał myśleć o podobnych sprawach.

Pociągając piwo dziwił się trochę, że jest takie wodniste, był jednak zadowolony, zmęczony, nasycony fizycznie i odrywając raz po raz wzrok od gazety, spoglądał przyjaźnie na wesole młode pary, które flirtowały w kawiarnianej salce. Siedzący w pobliżu lotnik miał na piersiach dwie baretki wysokich odznaczeń, a obok siebie prześliczną dziewczynę. Na jego widok Christian odczuł przelotny skurcz żalu. Ten chłopak wrócił z podniebnego pola walki. Berlin i urlop musi cenić nieporównanie wyżej niż sierżant Diestl, oderwany na dwa tygodnie od koszar policyjnych, podwójnego małżeńskiego łoża nieobecnego kaprała i od jadowitego języka porucznika Hardenburga.

„Muszę wybrać się do Ministerstwa Wojny - pomyślał bez zapału. - Pomówić z pułkownikiem Meisterem o przeniesieniu do jakiegoś innego oddziału... może do Rosji. Trzeba to będzie załatwić później, pod koniec tygodnia... jak ureguluję jakoś inne sprawy...”.

Odwrócił stronę gazety szukając działu poświęconego muzyce. Zapowiadano na ów wieczór cztery koncerty, między innymi kwintet klarnetowy Mozarta. Christian ucieszył się i odczuł bolesny skurcz tęsknoty.

„Pójdę - zdecydował. - To idealny sposób wyczekiwania północy”.

W domu pani Hardenburg dozorca spotkał Christiana w przedsiionku na parterze. Miał dla niego wiadomość:

- Pani poleciła mi wpuścić pana do mieszkania. Sama jeszcze nie wróciła.

Pojechali windą na czwarte piętro. Obydwaj byli sztywni, twarze mieli bez wyrazu. Dozorca otworzył drzwi zapasowym kluczem i powiedział sucho:

- Dobranoc, panie sierżancie.

W bawialni paliły się światła i okno było zasłonięte. Christian wszedł powoli i spostrzegł, że od jego ostatniej tam bytności ktoś zrobił porządki. Pokój wyglądał teraz schludnie, był nawet ładny według nowoczesnej, kanciastej mody.

„Komu przyszyłoby do głowy, że Hardenburg tak mieszka - pomyślał. - Odpowiednie dla niego tło to wysokie, ciemne, staroświeckie meble, sztywne krzesła, plusz i polerowany orzech. Tak to sobie przynajmniej wyobrażałem”.

Zmęczony położył się na sofie. Koncert znudził go potężnie. W sali było gorąco, tłoczno. Muzyka cieszyła go ledwie przez kilka minut. Później nieustannie walczył z sennością. Mozart wydawał się zbyt łagodny, ckliwy. Christian przymykał oczy i widział panią Hardenburg wysoką, smukłą, naga... Ta wizja stawała między nim a melodią. Rozkosznie przeciągnął się na sofie. Usnął.

Ocknął się na szmer głosów. Rozchylił powieki i mrugając od blasku spojrzął w górę. Kolo kanapy stała pani Hardenburg z jakąś drugą kobietą. Obydwie przyglądały mu się uśmiechnięte.

- O, zmęczony sierżant! Biedaczek! - zawołała pani Hardenburg. Schyliła się i pocałowała Christiana. Ubrana była w piękne futro, a z ust jej buchał silny odór alkoholu. Źrenice miała rozszerzone, bardzo ciemne, co świadczyło, że jest pijana, chociaż panuje nad sobą. Przyłożyła policzek do poduszki tuż koło głowy Christiana.

- Kochanie, sprowadziłam przyjaciółkę. Poznajcie się. Sierżant Diestl, Eloiza.

Eloiza uśmiechnęła się przymilnie. Jej rozbiegane oczy lśniły równie podejrzanie. Nagle zachwiała się i nie zdejmując płaszcza usiadła w głębokim fotelu.

- Eloiza mieszka za daleko, żeby po nocy wracać do domu - podjęła pani Hardenburg. - Zostanie z nami. Będziesz kochał Eloizę i Eloiza będzie kochać ciebie. Ona wie o tobie wszystko.

Wyprostowała się, rozkrzyżowała ręce w miękkich, swobodnie opadających rękawach.

- No, jak ci się podoba moje futro, sierżancie? - zapytała.

- Śliczne, prawda?

- Śliczne - przyznał Christian siadając.

Zbity z tropu gapił się tępo na rozpartą w fotelu nieznajomą. I ona była blondynką, należała jednak do tych okrągłych, pulchnych blondynek.

- O, sierżant - zachichotała Eloiza. - Jaki przystojny sierżant!

Diestl przetarł oczy ręką. „Trzeba się stąd wynosić - pomyślał. - To nie dla mnie miejsce”.

- Nie masz pojęcia, ile się nagłowiłam, żeby spławić pułkownika - roześmiała się pani Hardenburg.

- Jak drugi raz przyjedzie z Rosji, ja też dostanę futro - wtrąciła Eloiza.

- Która godzina? - spytał Diestl.

- Druga, trzecia, nie wiem - odpowiedziała gospodyni.

- Czwarta - oznajmiła Eloiza spoglądając na zegarek. - Czas do łóżka! Czas!

- Chyba ja się pożegnam... - zaczął niepewnie Diestl.

- Sierżancie! - zawołała pani Hardenburg i mierząc Christiana pełnym wyrzutem wzrokiem zarzuciła mu na szyję miękkie, puszyste rękawy. - Tego nie możesz nam zrobić! Ładna wdzięczność! Nie masz pojęcia, ile przeżyliśmy z pułkownikiem. Przecież to on właśnie wykieruje cię na porucznika.

- Na majora - odezwała się znów Eloiza. - Zdaje mi się, że ma go wykierować na majora.

- Na porucznika - poprawiła z godnością pani domu. - I wyrobi ci przydział do sztabu generalnego. Sprawa załatwiona.

- Szaleje za Gretchen - objaśniła przyjaciółka. - Dla niej wszystko zrobi!

„Gretchen - pomyślał Christian. - Nareszcie dowiedziałem się jej imienia”.

- Jednego nam teraz potrzeba: czegoś mocnego - zmieniła temat Gretchen. - Mamy ochotę na koniak. Kochanie, wiesz, gdzie jest kredens, prawda?

Zdawać się mogło, że wytrzeźwiała w jednej chwili. Mówiła chłodnym, rzeczowym tonem. Odgarnęła włosy z czoła i wyprostowana stanęła pośrodku bawialni. We wspaniałym futrzanym płaszczu i białej wieczorowej sukni była wyniosła, imponująca. Christian nie mógł oderwać od niej łakomego spojrzenia.

- Aha, widzisz - uśmiechnęła się przelotnie i końcami palców musnęła wargi Christiana. - Tak właśnie trzeba patrzeć na kobietę. Kochanie, pamiętaj o kredensie.

„Cóż, jeden koniak i zwiewam” - pomyślał Christian. Wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie bez trudności znalazł w kredensie butelkę.

Diestl poczuł silny blask przez opuszczone powieki. Zbudził się, otworzył oczy i zobaczył, że słońce błyszczy za szerokim oknem i zalewa światłem sypialnię. Powoli

odwrócił głowę. Był sam w zrujnowanym łóżku. Od zapachu perfum zasychało mu w gardle. Dręczyło go pragnienie i głowa zaczynała boleć. Nagle odzyskał pamięć. Fragmenty nocy wracały jeden po drugim. Płaszcz futrzany, dwie kobiety, pułkownik, co miał go wy kierować na porucznika, kłębowisko splecionych, uperfumowanych ciał... Nieswojo mu się zrobiło. Przymknął oczy. Naturalnie słyszał o takich kobietach, znał historie o zepsuciu, jakie szerzyło się w Berlinie po tamtej wojnie. Ale samemu przeżywać takie rzeczy... To już zupełnie inna sprawa.

Otworzyły się drzwi łazienki i do sypialni weszła Gretchen, kompletnie ubrana. Miała na sobie czarny kostium, a gładko uczesane włosy związała czarną wstążką, jak podłotek. Jej czyste oczy błyszczały jasno. W porannych blaskach słońca stała wypoczęta, świeża, odrodzona. Uśmiechnęła się, podeszła do Christiana i usiadła na łóżku.

- Dzień dobry - odezwała się pogodnym, opanowanym tonem.

- Aa... dzień dobry - wymusił uśmiech. Przy wymuskaniej Gretchen czuł się brudny, zmęczony, prawie chory. - Gdzie druga dama?

- Eloiza? Poszła do pracy. Bardzo się jej spodobałeś.

„Spodobałem się jej! - gniewnie pomyślał Diestl. - Takiej spodoba się każdy mężczyzna, każda kobieta, ba! każdy zwierzak, który nawinie się pod rękę”.

- Dlaczego jesteś całkiem ubrana? - zapytał.

- Muszę też iść do pracy - odpowiedziała z uśmiechem. - Nie myślisz chyba, że próżnuję i nie przykładam ręki do wysiłku wojennego?

- Gdzie pracujesz?

- W Ministerstwie Propagandy. - Zrobiła minę bardzo serio, nie znaną dotychczas Christianowi. - W departamencie zagadnień kobiecych.

- A co tam robisz?

- Co robię? Piszę przemówienia, pogadanki radiowe. Właśnie teraz prowadzimy wielką kampanię. Mnóstwo dziewcząt (zdziwiłbyś się, jak wiele) puszcza się z cudzoziemcami.

- Z jakimi cudzoziemcami?

- Z tymi, których sprowadzamy na roboty. Są w fabrykach. Na farmach. Nie powinnam mówić o tych sprawach, zwłaszcza żołnierzom...

- Bądź spokojna - uśmiechnął się cierpko. - Ja nie mam złudzeń.

- Ale widzisz, ludzie gadają na ten temat i plotki podkopują morale wojsk frontowych - ciągnęła tonem dobrej uczennicy recytującej wyuczoną lekcję. - Od Rosenberga otrzymujemy sążniste tajne sprawozdania. To zagadnienie pierwszorzędnej wagi.

- Ciekawe, co mówicie dziewczętom - zainteresował się szczerze jeszcze jednym nieoczekiwanym rysem sylwetki pani Hardenburg.

- To, co zwykle - wzruszyła ramionami. - Trudno dzisiaj wymyślić coś nowego. Czystość niemieckiej krwi. Teoria wpływu rasy na charakter. Stanowisko Polaków, Węgrów czy Rosjan w historii Europy. Najtrudniej rozprawić się z Francuzami. Dziewczęta mają do nich nieprzepartą słabość.

- I co mówicie o Francuzach?

- Mamy w zapasie choroby weneryczne. Przytaczamy statystykę zachorowań na syfilis w Paryżu i takie rozmaite rzeczy.

- To pomaga?

- Nie bardzo - uśmiechnęła się Gretchen.

- A dzisiaj co będziesz robić?

- Dzisiaj? Mam wywiad radiowy z kobietą, co urodziła dziesiąte dziecko. Zdobyliśmy nawet generała, który na falach eteru zawiadomi ją o nagrodzie pieniężnej. Czas na mnie. - Podniosła się z brzegu łóżka.

- Zobaczymy się wieczorem? - zapytał.

- Strasznie mi przykro, kochanie. Wieczór mam zajęty. - Stojąc przed lustrem robiła ostatnie poprawki fryzury.

- Nie mogłabyś się zwolnić?

Christian poczuł wstręt do siebie, bo w jego tonie zadźwięczała błagalna nuta.

- Wybacz, kochanie. To stary przyjaciel, pułkownik. Dopiero co przyjechał z Afryki. Byłby niepokieszony.

- Może później? Jak spławisz pułkownika...

- Wykluczone. Ma być wielkie przyjęcie. Przeciągnie się Bóg wie jak długo.

- Więc jutro?

Przez moment pani Hardenburg patrzyła nań badawczo. Później się uśmiechnęła.

- Strasznie jesteś zajadły, prawda?

- Tak.

- A dziś w nocy dobrze się bawiłeś?

Nie odwracając wzroku od lustra starannie poprawiała włosy.

- Tak.

- Przyjemny z ciebie chłopiec. I ta agrafka, którą mi kupiłeś, jest naprawdę śliczna. - Zbliżyła się do łóżka, schyliła się i pocałowała Diestla. - Zupełnie niebrzydki drobiazg. W tym samym sklepie mają niezłe skromne kolczyki. Pasowałyby do tej broszki doskonale.

- Przyniosę ci kolczyki jutro wieczorem - powiedział Christian przeklinając się w duchu za to przekupstwo.

Charakterystycznym dla siebie gestem musnęła jego wargi końcami palców.

- Naprawdę jesteś bardzo, bardzo miły!

Christian miał ochotę wyciągnąć ręce, obalić ją na łóżko, potrafił jednak opanować się w porę.

- Sprowadzić Eloizę? - uśmiechnęła się Gretchen.

Na moment opuścił powieki. Przypomniawszy sobie wydarzenia szalonej, pijackiej nocy. Była odrażająca, perwersyjna... W zwyczajnych warunkach gardziłby sobą na myśl o niej, ale teraz...

- Czemu nie - powiedział wolno. - Oczywiście.

Gretchen parsknęła śmiechem.

- Muszę pędzić - skoczyła w stronę drzwi, lecz zatrzymała się w progu. - Jesteś zarośnięty, kochanie. W apteczce znajdziesz brzytwę i amerykańskie mydło do golenia. Wiem, że bez skrupułów posłuszysz się własnością porucznika.

Na pożegnanie machnęła ręką i poszła do swojego generała z radia i matki, która szczęśliwie odbyła dziesiąty połów.

Następny tydzień upłynął Christianowi w szaleńczej mgłę. Ogromne miasto, miliony ludzi spieszących na wszystkie strony, rój tramwajów i autobusów, wielkie plakaty nad redakcjami dzienników, wspaniałe mundury generałów i polityków, którzy przemykali w długich, opancerzonych samochodach, hordy żołnierzy na urlopie i na służbie, komunikaty radiowe z frontu wschodniego o zdobywanych

milach i zabijanych ludziach - wszystko to było odległe, pogrążone w cieniu. Realny wydawał się jedynie apartament przy Tiergartenstrasse i gorące, białe ciało żony Hardenburga. Kupił jej kolczyki i drugi raz zadepeszował do domu po pieniądze. Poszły na bransoletkę ze złotego łańcucha i sweter, który jakiś żołnierz przywiózł z Amsterdamu.

Miała zwyczaj telefonować o wszelkich porach dnia i nocy, wywoływać Christiana z pensjonatu, w którym mieszkał. Wobec tego zaniechał spacerów szerokimi alejami, zrezygnował z teatru. Po prostu leżał na łóżku i słuchał, czy nie dzwoni telefon w brudnym, ciemnym holu na parterze. Czekał chwili, kiedy wolno mu będzie wybiec na ulicę i pospieszyć do Gretchen. W mglistym wirze świata jej mieszkanie stało się jedynym określonym punktem. Kiedy zostawiała go tam i kazała czekać swego powrotu, myszkował po pokojach, zaglądał do szaf, otwierał szuflady biurka, czytał listy, oglądał fotografie ukryte pomiędzy książkami. Zawsze był dyskretny i potrafił szanować cudze tajemnice. Ale z Gretchen sprawa przedstawiała się inaczej. Chciał pochłonąć tę kobietę i wszystkie jej myśli, namiętności, występki, pragnienia.

Apartament przy Tiergartenstrasse pęczniał od łupów. Zdolny ekonomista potrafiłby wykreślić historię niemieckich podbojów w Europie i Afryce studiując jedynie zdobycze nagromadzone w siedzibie żony Hardenburga. Dary te znosili sunący procesją sztywni oficerowie w lśniących butach, ozdobieni baretkami orderów. Christian widywał ich czasami, kiedy zazdrośnie wychylony z okna patrzył, jak odwożą Gretchen okazałymi samochodami służbowymi. Nie licząc bogatej kolekcji butelek, znajomych od pierwszego dnia, w mieszkaniu były sery z Holandii, mnogie tuziny par jedwabnych francuskich pończoch, flakony najróżniejszych perfum, wysadzone drogimi kamieniami klamry pasków i kindzały ze wszystkich bałkańskich krajów, brokatowe pantofle z Maroka, kosze algierskich pomarańczy i mandarynek, trzy futrzane płaszcze z Rosji, mały szkic z Rzymu (oryginał Tycjana), dwa poście duńskiego wędzonego bekonu zawieszony w spizarce za kuchnią, cała półka paryskich kapeluszy (choć Christian nie widział nigdy Gretchen w kapeluszu), srebrny antyczny dzbanek do kawy, pochodzący z Belgradu, ciężki obity tłoczoną skórą pulpit do pisania, który jakiś przedsiębiorczy porucznik potrafił dostarczyć ze zdobytej willi w Norwegii.

Listy, rzucone niedbale na podłogę lub wsunięte między czasopisma leżące na stole, pochodziły z najodleglejszych krańców imperium niemieckiego. Oczywiście

pisane były w różnorodnych stylach: od lirycznych wierszy młodego naukowca, pełniącego chwilowo służbę w Helsinkach, do suchych, pornograficznych wspomnień podtatusiałych oficerów zawodowych, którzy pod wodzą Rommla wojowali na Pustyni Libijskiej. We wszystkich wszakże dźwięczał ton wdzięczności i tęsknoty. Wszystkie też coś obiecywały: sztukę zielonego jedwabiu z Orleanu, pierścionek znaleziony w jakimś budapeszteńskim sklepie, pochodzący z Trypolisu medalion z szafirem...

W tych i owych listach wspominali Eloizę i inne dziewczęta - czasami z humorem, czasami jak echo dawno przeżytych tkliwych wzruszeń. Christian przywykł do Eloizy i innych dziewcząt. Obecność ich zaczął uważać za objaw normalny... przynajmniej normalny dla Gretchen. Bo Gretchen wybiegała poza granice przeciętności dzięki wybitnej urodzie, nienasyconym apetytom i prawie nadludzkiej energii. Co prawda, często zażywała z rana benzedrynę albo inne podniecające środki, żeby odzyskać siły trwonione tak niebacznie. Niekiedy też robiła sobie duże zastrzyki witaminy B, która, jak mówiła, w jednej chwili ulecza z kaca.

Jedno zdumiewało najbardziej. Niespełna trzy lata temu pani Hardenburg była skromną nauczycielką. Mieszkała wtedy w Baden i uczyła dziesięcioletnie dzieci historii i geografii. Mówiła nawet Christianowi, że była wyjątkowo nieśmiała. Hardenburg był pierwszym mężczyzną, z którym poszła do łóżka, a i to uległa mu dopiero po ślubie. Ale przed samą wojną przeniosła się z mężem do Berlina i tu w nocnym klubie wpadła w oko pewnej fotoreporterce. Nowa znajoma poprosiła Gretchen o pozowanie do zdjęć, które wykorzysta w plakatach Ministerstwa Propagandy. Kobieta ta uwiodła panią Hardenburg, a ponadto rozślawiła jej twarz i sylwetkę jako doskonały model młodej Niemki, która ochoczo przepracowuje godziny nadliczbowe w fabryce amunicji, regularnie uczęszcza na zebrania partyjne, składa datek na pomoc zimową, przyrządza smakowite potrawy z rozmaitych namiastek. Tak rozpoczęła się olśniewająca kariera w wielkim świecie wojennego Berlina. Hardenburg szybko został wysłany do pułku. Zaznajomiwszy się z sytuacją domową Gretchen Christian zrozumiał, dlaczego jego dowódca jest niezastąpiony w Rennes i nie może wyrwać się na urlop do kraju. Pani Hardenburg bywała na wielu oficjalnych przyjęciach. Dwa razy rozmawiała z Hitlerem, a z Rosenbergiem łączyły ją zażyłe stosunki, które wszakże, jak zapewniała, nie przekraczały ostatecznych (czy według miary Gretchen półostatecznych) granic.

Christian nie chciał wydawać sądu o moralności tej kobiety. Czasami, kiedy leżąc w ciemnym pensjonatowym pokoju nasłuchiwał dzwonka telefonu, zastanawiał

się nad tym, co jego matka nazwałaby grzechem śmiertelnym pani Hardenburg. Chociaż kontakt z kościołem zerwał wcześniej, resztki surowych religijnych zasad matki odzywały się w nim niekiedy i bezlitośnie potępiały obyczaje pani Hardenburg. Ale Christian odpędzał mgliste, ledwie rodzące się myśli. Jego Gretchen była ponad zwyczajną moralnością, poza nią. Kobiety o tak zdumiewających siłach żywotnych i apetytach, o tak zaborczej energii, niepodobna szacować na podstawie norm kodeksu przestarzałego przecież i dogorywającego. Stosować do niej słowa Chrystusa to mniej więcej to samo, co przyrównywać ptaka do węża, dowódcy czołgów narzucać normalne przepisy drogowe, sędzić generała według cywilnych praw dla morderców.

Datowane z Rennes listy Hardenburga przypominały korespondencję wojskową. Były suche, bez treści, lodowate jak zimowy wiatr. Czytając je Diestl nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl, że porucznik, jeśli doczeka końca wojny, stanie się zapomnianym, nieważnym fragmentem bujnej przeszłości żony. Dla siebie Christian miał plany, których nie ważył się snuć do końca. Pewnej nocy Gretchen powiedziała mu od niechcienia, między jednym a drugim łykiem wódki, że wojna skończy się za dwa miesiące i że ktoś wysoko postawiony w hierarchii rządowej (nazwiska nie mogła wymienić) ofiarował jej dobra w Polsce. Trzy tysiące akrów. Był tam siedemnastowieczny kamienny pałac całkiem nie uszkodzony, a siedemset akrów uprawiano nawet obecnie.

Pani Hardenburg leżała na wznak na sofie i mówiła pół żartem, pół serio:

- I co? Jak się zapatrujesz na stanowisko administratora wielkiej damy?
- Cudowna myśl!
- Oczywiście, nie musiałbyś się przemęczać obowiązkami fachowego agronoma.
- Zgadzam się z góry.

Usiadł koło kochanki, wsunął dłoń pod jej głowę i gładził jedwabistą skórę na karku.

- No, zobaczymy... Zobaczymy - powiedziała. - Mogłoby nam być gorzej...

„To coś dla mnie - myślał Diestl. - Wielkie dobra na dzikich terenach, w bród pieniędzy i Gretchen jako pani starego zamku. Nie pobierzemy się, oczywiście. Małżeństwo z Gretchen to czyn godny superszaleńca! Zostanę czymś w rodzaju morganatycznego księcia małżonka. Długie buty od najlepszego szewca, dwadzieścia koni w stajni. Wielcy i bogaci nowego imperium będą zjeżdżać ze stolic na polowania... Tak, tak... Najszczęśliwsza godzina mojego życia wybiła w koszarach

policyjnych w Rennes, kiedy Hardenburg otworzył szufladę biurka i wydobył paczkę z czarnymi koronkami".

O Rennes prawie zapomniał. Gretchen powiedziała mu, że rozmawiała z pewnym generałem o jego nominacji i przeniesieniu do Berlina. Sprawa poszła już w ruch. Hardenburg był nędznym widmem przeszłości. Może pojawi się kiedyś na krótką, przyjemną chwilę i zniknie odprawiony bezlitosnym, obelżywym zdaniem.

„Najpiękniejsze dni mojego życia” - myślał Christian spoglądając z uśmiechem na drzwi, które się właśnie otwały.

Zobaczył Gretchen w sukni ze złotej lamy i nurkowej pelerynce zarzuconej niedbale na ramiona. Uśmiechnęła się i wyciągnęła ręce.

- Jak to miło - zawołała - że ktoś czeka na biedną dziewczynę, kiedy wraca do domu po dniu pracy!

Christian skoczył na jej spotkanie. Kopnięciem zatrzasnął drzwi i wziął kochankę w ramiona.

Do końca urlopu brakowało tylko trzy dni, ale Christian nie martwił się, bo pani Hardenburg oznajmiła, że wszystko załatwione. W pensjonacie odezwał się dzwonek telefonu. Christian zbiegł ze schodów; chciał jak najprędzej chwycić słuchawkę. Poznał głos Gretchen, uśmiechnął się więc i powiedział:

- Jestem, kochana!

- Cicho bądź! Słuchaj! - przerwała ostrym, syczącym szeptem. - I nie wymieniaj przez telefon mojego imienia.

- Co? Co się stało? - zapytał zdumiony.

- Mówię z kawiarni. Nie dzwoń do domu. I nie próbuj mnie odwiedzić.

- Jak to? Sama powiedziałaś: dziś wieczorem o ósmej.

- Wiem, co sama powiedziałam. Ani o ósmej, ani dziś wieczorem, ani nigdy. Skończone. Nie czepiaj się mnie. Żegnam.

Metaliczne stuknięcie przerwało połączenie. Christian gapił się na aparat ścienny. Wreszcie powoli odłożył słuchawkę. Wrócił na górę, wyciągnął się na łóżku. Nie leżał długo. Wstał, włożył bluzę i wyszedł. „Wszędzie, byle nie w tym pokoju” - myślał.

Na oślepie błędził ulicami. Roztrząsał w myślach ostatnie wypowiedziane szeptem słowa Gretchen i wszystko, co mogło stać się ich przyczyną. Ubiegła noc nie różniła się od poprzednich. Gretchen przyszła koło pierwszej, pijana, lecz jak zwykle opanowana, pewna siebie. Wypili trochę razem i o drugiej położyli się do łóżka. Było im równie dobrze jak każdej innej nocy. Gretchen usnęła przytulona do niego, a o jedenastej przed południem, kiedy wychodziła do pracy, pocałowała go czule, namiętnie i szepnęła:

- Dziś startujemy wcześniej. Przyjdź o ósmej.

Nic nie wróżyło burzy. Christian patrzył na ślepe twarze domów i ruchliwe, zaaferowane twarze ludzi mijających go tłumnie. „Jedno mi pozostaje - myślał. - Zaczekam przed jej domem i zapytam bez ogródek, o co chodzi”.

O siódmej stanął na posterunku. Skrył się za drzewem po przeciwnej stronie ulicy, na wprost bramy domu Gretchen. Wieczór był wilgotny. Mżył deszcz. W pół godziny Christian przemókł do nitki, ale nie zwracał na to uwagi. O pół do jedenastej policjant minął go po raz trzeci i zmierzył pytającym spojrzeniem.

- Czekam na dziewczynę - odezwał się Diestl wymusiwszy głupekowaty uśmiech.
- Widać nie może spławić jednego majora od spadochroniarzy.

Policjant odpowiedział uśmiechem.

- Wojna - mruknął. - Wszystkim teraz ciężko.

Ze współczuciem pokiwał głową i odszedł.

O drugiej nad ranem stanął przed domem samochód wojskowy. Pani Hardenburg wysiadła w towarzystwie oficera. Chwilę rozmawiali na chodniku, później zniknęli w bramie, a samochód odjechał.

Przez deszcz i mroki zaciemnienia Christian przyglądał się fasadzie domu. Próbował zgadnąć, które okno należy do mieszkania Gretchen, ale po ciemku było to niepodobieństwem.

O ósmej rano znowu pojawił się długi i okazały wóz. Oficer wyszedł z bramy, wsiadł i odjechał. „Podpułkownik” - automatycznie skonstatował Diestl. Deszcz padał nieustannie. Mało brakowało, a Christian wszedłby do kamienicy naprzeciwko. „Nie - pohamował się w ostatniej chwili. - Zepsuję wszystko. Ona rozgniewa się, wyrzuci mnie za drzwi... I koniec, nieodwołalnie koniec!”.

Ukryty wciąż za drzewem zadarł głowę i patrzył w okno widoczne teraz w szarym świetle. Sen kleił mu powieki. Mundur ociekał wodą.

O jedenastej Gretchen wyszła z bramy ubrana w niskie gumowe buty i lekki płaszcz nieprzemakalny z paskiem i kapturem. W tym przypominającym żołnierski ekwipunek ochronny stroju wyglądała młodo, prawie po pensjonarsku. Jak zwykle z rana, była świeża, wypoczęta. Żywo zaczęła się oddalać chodnikiem.

Diestl dogonił ją, kiedy skręcała w pierwszą przecznicę.

- Gretchen - odezwał się dotykając jej łokcia.

Drgnęła nerwowo.

- Odczep się! - syknęła i dodała szeptem coś, czego nie dosłyszał.

- Co się stało? - zapytał żałośnie. - Co złego zrobiłem?

Szybko ruszyła z miejsca. Szedł za nią zostając nieco w tyle.

- Gretchen, najdroższa...

- Słuchaj - rzuciła. - Odczep się. Raz na zawsze. Rozumiesz?

- Właśnie chcę zrozumieć. Co się stało?

- Nikt nie powinien zobaczyć, że rozmawiam z tobą - powiedziała i patrząc prosto przed siebie szła dalej równie żwawym krokiem. - Teraz jasne? Daj mi spokój. Miło spędziłeś czas w Berlinie. Urlop kończysz za dwa dni. Wróc do Francji. Zapomnij.

- Nie mogę. Nie mogę! Muszę z tobą pomówić. Gdzie zechcesz. Kiedy zechcesz.

Po drugiej stronie ulicy dwaj mężczyźni wyszli ze sklepu i szybko ruszyli równoległym chodnikiem w tym samym co i oni kierunku.

- Dobrze - ustąpiła pani Hardenburg. - U mnie. Dziś o jedenastej. Nie frontem. Na kuchenne schody wchodzi się z bocznej uliczki przez suterенę. Drzwi zastaniesz otwarte. Będę w domu.

- Cudownie - wyjąkał Christian. - Dziękuję, Gretchen, i na pewno przyjdę.

- Odejdź wreszcie.

Zatrzymał się i patrzył na żonę Hardenburga. Oddalała się nie odwracając głowy, a płaszcz z paskiem i gumowe buty podkreślały młodą sprężystość jej nerwowego kroku. Kiedy zniknęła, Diestl powłókł się do pensjonatu. Nie zdejmując munduru upadł na łóżko i usiłował zasnąć.

*

O jedenastej wdrapał się na ciemne kuchenne schody. Gretchen pisała coś przy stole. Jej plecy okryte wełnianą zieloną suknią były zdumiewająco sztywne. Nie obejrzała się nawet, kiedy Christian wszedł do pokoju.

„Mój Boże! - pomyślał. - Jak gdybym widział porucznika!”.

Cicho stanął za krzesłem i wdychając zapach perfumowanych włosów pocałował Gretchen w tył głowy.

Przestała pisać, odwróciła się na krzesło. Twarz miała chłodną, skupioną.

- Trzeba mnie było uprzedzić - powiedziała.

- O czym? - zapytał.

- Mogłeś wciągnąć mnie w straszne nieszczęście.

Christian usiadł ciężko.

- Co złego zrobiłem?

- To nieuczciwe - ciągnęła - narażać mnie na to wszystko.

- Na co? - zapytał podniesionym głosem. - O czym mówisz, kobieto!

- Nie krzycz! - syknęła. - Bóg wie, kto podsłuchuje.

- Chciałbym się dowiedzieć - podjął ciszej Christian - co się właściwie dzieje?

- Wczoraj po południu - odparła Gretchen stając naprzeciwko niego - był u mnie w biurze ktoś z gestapo.

- I co?

- A trochę wcześniej generał Ulrich miał podobną wizytę - dodała znaczącym tonem.

Diestl bezradnie rozłożył ręce.

- Któż to, u Boga Ojca, ten generał Ulrich?

- Mój przyjaciel, bardzo bliski przyjaciel. Dzięki tobie wpadł zapewne w ładną kabałę!

- Jak żyję nie widziałem generała Ulricha! - wybuchnął znowu Christian.

- Panuj nad głosem!

Gretchen podeszła do kredensu, nalała sobie pół szklanki koniaku. Nie pomyślała jakoś o poczęstowaniu gościa.

- Jestem idiotką, że w ogóle pozwoliłam ci przyjść.

- Ale co generał Ulrich ma ze mną wspólnego? - zapytał Diestl.

Pani Hardenburg pociągnęła długi łyk i podjęła tonem wyjaśnienia:

- Generał Ulrich to właśnie mój przyjaciel, który starał się o twoją nominację oficerską i przydział w sztabie generalnym.

- I co z tego?

- Ludzie z gestapo powiedzieli mu wczoraj, że jesteś podejrzany o komunizm. Pytali także, co go z tobą łączy i z jakich przyczyn interesuje się twoją osobą.

- Przecież ja wcale nie jestem komunistą. Już w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku w Austrii wstąpiłem do partii narodowo-socjalistycznej.

- O tym gestapo wie. Wie też, że od tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego do tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku należałeś do Komunistycznej Partii Austrii. Wie, że zaraz po Anschlussie miał z tobą kram naczelnik okręgu, niejaki Schwartz. Wie o twoim romansie z Amerykanką, która w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku żyła w Wiedniu z jakimś Żydem socjalistą.

„Gestapo! - pomyślał Christian i ciężko opadł na fotel. - Ci ludzie potrafią być przerażająco drobiazgowi, ale i przerażająco nieściśli!”.

- W kompanii jesteś pod obserwacją - ciągnęła Gretchen. - Co miesiąc gestapo dostaje meldunki o tobie - uśmiechnęła się cierpko. - Chyba miło ci będzie usłyszeć, że mój mąż uważa cię za wzorowego, inteligentnego żołnierza i gorąco poleca jako kandydata do szkoły oficerskiej?

- Nie omieszkałam podziękować panu porucznikowi przy pierwszej sposobności - odparł sucho.

- Oczywiście, nigdy nie będziesz oficerem. Nie wyślą cię nawet na front rosyjski. Jeśli twój oddział zostanie tam odkomenderowany, ciebie przeniosą gdzieś indziej.

„Labirynt, beznadziejny labirynt - pomyślał. - Katastrofa nieprawdopodobna, rozpaczliwa”.

- To wszystko - podjęła pani Hardenburg. - Naturalnie, kiedy gestapo się dowiedziało, że kobieta zatrudniona w Ministerstwie Propagandy, pozostająca w bliskich stosunkach zarówno służbowych, jak i prywatnych z osobistościami wysoko postawionymi w hierarchi wojskowej i urzędowej...

Christian zerwał się z fotela.

- Na miłość boską - powiedział. - Przestań gadać jak funkcjonariusz policji.

- Rozumiesz moją sytuację. - Po raz pierwszy jej głos zadźwięczał obronnie. - Za mniejsze winy ludzie szli do koncentraka... Kochanie! Musisz zrozumieć moją sytuację.

- Rozumiem twoją sytuację, sytuację gestapo, sytuację generała Ulricha. Wszystko to nudzi mnie na śmierć. - Postąpił ku Gretchen i stanął przed nią kipiąc niepohamowanym gniewem. - Czy masz mnie za komunistę?

- To nieważne, kochanie. Grunt, że gestapo cię podejrzewa, rozumiesz? A przynajmniej sądzi, że... że nie zasługujesz na pełne zaufanie. Proszę cię, nie miej do mnie żalu - ciągnęła łagodnym, pokornym tonem. - Inna sprawa, gdybym była zwyczajną dziewczyną na jakiejś skromnej posiadce bez znaczenia... Wtedy mogłabym cię widywać, ile razy zechcę, chodzić z tobą wszędzie, gdzie mi się spodoba... Ale w istniejących warunkach to naprawdę niebezpieczne. Nie znasz sytuacji. Bardzo dawno nie byłeś w Niemczech. Nie wyobrażasz sobie, jak tajemniczo i niespodziewanie znikają ludzie za nic, za znacznie mniej niż to, co chcieliby mnie przyklepić... Słowo daję. Błagam cię, nie rób takiej srogiej miny...

Diestl westchnął ciężko i usiadł. Trzeba czasu, by się do tego przyzwyczaić! Poczul nagle, że nie jest między swoimi, lecz jak cudzoziemiec błąka się w ponurym, dziwnym, niebezpiecznym kraju, gdzie każde słowo ma podwójne znaczenie, każdy krok może sprowadzić niewiadome następstwa. Pomyślał o trzech tysiącach akrów w Polsce, o stajni i polowaniach w soboty i niedziele.

Uśmiechnął się z goryczą. Żeby chociaż pozwolili mu wrócić do Tyrolu i spokojnie uczyć ludzi jazdy na nartach!

- Nie bądź taki... taki zgnębiony - powiedziała Gretchen.

- Przepraszam. Już zaczynam śpiewać wesołą piosenkę.

- Nie dręcz mnie! Przecież nic nie mogę zrobić.

- Możesz! Idź do gestapo, powiedz im wszystko. Znasz mnie. Możesz dowieść...

- Dowieść nie mogę niczego. - Smutno pokręciła głową.

- Sam pójdę do nich. Pójdę do generała Ulricha.

- Nigdy! - syknęła jadowicie. - Zgubiłbyś mnie bez ratunku. Mam nakazane słowem nie pisać ci o tych sprawach. Po prostu zabroniono mi widywać ciebie.

Pogorszyłbyś tylko własną sytuację, a mnie naraził na Bóg wie co! Przymknij, że nie powiesz! Nigdy. Nikomu.

Była wystraszona i prawdę mówiąc, nie zawiniła w niczym.

- Przymknij - powiedział Christian i obejmując wzrokiem pokój, który stał się ośrodkiem jego życia, dodał z bladym uśmiechem: - No, trzeba przyznać, że urlop miałem miły.

- Tak mi strasznie przykro - szepnęła pani Hardenburg i delikatnie wzięła go w ramiona. - Nie musisz przecież odejść... zaraz...

Uśmiechnęli się do siebie.

Ale w godzinę później Gretchen wydało się, że słyszy jakiś ruch na schodach. Kazała kochankowi wstać, ubrać się i wypuściła go kuchennymi drzwiami, którymi do niej przyszedł. Nie potrafiła przewidzieć, czy i kiedy będą się mogli jeszcze spotkać.

Christian siedział w kącie zatłoczonego przedziału. Twarz miał kamienną, obojętną, oczy przymknięte. Pociąg zmierzał do Rennes. Powietrze w wagonie było ciężkie, smrodliwe, bo na noc zamknięto i zasłonięto wszystkie okna. Żołnierze rzadko zmieniają bieliznę, rzadko mają sposobność umyć się porządnie. Tygodniami chodzą, jedzą, śpią w jednym ubraniu. Zaduch drażnił nieznośnie, targał nerwy.

„Człowiek cywilizowany - myślał Christian - nie powinien żyć w takim brudzie. Dwudziesty wiek mógłby dać chociaż tyle, żeby na każdym kroku smród nie pchał się do nosa”.

Podniósł powieki. Spojrzał na stłoczonych wokół mężczyzn. Tępe, pijackie, zaspane gęby! Takich rysów sen nie zdobi, nie przywraca im świeżości i dzieciennego wdzięku, jak to się zdarza niekiedy. Brzydkie, obrzękłe twarze sąsiadów były chytne, wystraszane, złośliwe...

„Boże - myślał Christian krzywiąc się ze wstrętem - trzeba się jakoś z tego wyrwać... - Jeszcze raz przymknął oczy. - Parę godzin i znowu Rennes, znowu porucznik Hardenburg i głupi, nieciekawy pysk Corinne, patrole, zapłakani Francuzi, wałęsający się po knajpach żołnierze... Znowu straszliwa nuda garnizonu...”.

Miał ochotę stanąć na ławce, wrzeszczeć na całe gardło. Nie ma na to rady. Nie można nawet przyczynić się do wygrania czy przegrania wojny. Nie można skrócić jej ani przedłużyć bodaj o minutę. A ilekroć położy się do łóżka, zamknie oczy, próbuje

zasnąć, zobaczy obraz Gretchen, beznadziejny, dręczący... Po tamtej ostatniej nocy nie chciała go widzieć. Przez telefon mówiła uprzejmie, chociaż niewątpliwie była wystraszona. Powiedziała, że marzy o spotkaniu, ale pewien stary przyjaciel przyjechał właśnie z Norwegii... Ach, ci starzy przyjaciele! Wracają raz po raz z Tunisu, z Reims, ze Smoleńska... zawsze obładowani kosztownymi prezentami... Trudne współzawodnictwo!

„Chociaż jest sposób! Następnym razem muszę przyjechać do Berlina obładowany forszą. Musi mnie być stać na futro, skórzaną kurtkę, patefon, na wszystko, o co się przymawiała. Oczywiście - myślał i nie podnosząc powiek słuchał turkotu wagonu, który śmierdzał nie domytymi żołnierzami i sunął przez mroki francuskiej nocy. - Pieniądze mogą okazać się skutecznym środkiem. Pogadam z Corinne. Każę jej sprowadzić szwagra. Nie będę durniem. Na drugi raz przyjadę do Berlina z pełnymi kieszeniami. Trochę benzyny, mówiła przecież Corinne, a ten facet puści w ruch trzy ciężarówki. Tak! Dostanie benzynę. Nie będzie długo czekał”.

Uśmiechnął się do siebie i nim minęło dziesięć minut, zdołał usnąć w pociągu toczącym się z wolna ku Bretanii.

Następnego dnia rano sierżant Diestl zameldował się w kancelarii. Porucznik Hardenburg był szczuplejszy, ruchliwszy niż dawniej, jak gdyby przeszedł ostatnio ostry trening. Tam i z powrotem przechadzał się sprężystym krokiem, a odpowiadając na wojskowy ukłon Christiana uśmiechnął się, jak na swoje możliwości, bardzo miło.

- Dobrze spędziliście urlop? - zapytał przyjaznym, uprzejmym tonem.

- Doskonale, panie poruczniku.

- Żona pisała mi, że doręczyliście koronki.

- Tak jest, panie poruczniku.

- Dziękuję.

- Nie ma za co, panie poruczniku.

Hardenburg spojrział na Christiana z miną, jak mu się zdawało, trochę zakłopotaną.

- Aa... Czy dobrze wygląda? - zapytał.

- Pani Hardenburg wygląda na osobę w doskonałej formie - brzmiała poważna odpowiedź.

- To dobrze. Bardzo dobrze...

Nerwowym ruchem, niemal piruetem, porucznik odwrócił się w stronę mapy Afryki, która zastąpiła na ścianie mapę frontu wschodniego.

- Cieszę się naprawdę, bo moja żona zbyt serio traktuje obowiązki, lubi się przepracowywać. Cieszę się naprawdę - powtórzył niepewnie jakoś, chociaż z życiem.

- No, szczęście wam dopisało, w porę wykorzystaliście urlop.

Christian milczał. Nie miał ochoty na długą towarzyską rozmowę z porucznikiem Hardenburgiem. Nie widział jeszcze Corinne, a pilno mu było pogadać z nią, kazać, żeby zaraz skomunikowała się ze szwagrem.

- Tak, tak - ciągnął oficer z zagadkowym uśmiechem. - Mielicie szczęście. Chodźcie no tu, sierżancie.

Zbliżył się do ponurego, zakratowanego okna i wyjrzał na ulicę. Sierżant Diestl stanął obok dowódcy.

- Dobrze zapamiętajcie - podjął Hardenburg szeptem - że to ściśle poufne, tajne. Właściwie nic wam nie powinienem mówić, ale długo jesteśmy razem i wiem, że mogę mieć do was zaufanie nieograniczone...

- Tak jest, panie poruczniku - wtrącił służbiście Christian.

Hardenburg przezornie rozejrzał się wokół, przybliżył jeszcze do sierżanta, spod oka zerknął na siedzącego w odległości trzydziestu stóp pisarza, jedyne osobnika znajdującego się w kancelarii.

- Stało się - powiedział triumfującym tonem. - Nareszcie! Zmieniamy miejsce postoju - zniżył głos do ledwie słyszalnego szeptu.

- Odchodzimy do Afryki, do Korpusu Afrykańskiego - uśmiechnął się promiennie. - Za dwa tygodnie. To cudowne, prawda?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Przez te dwa tygodnie będziemy mieli pełne ręce roboty. Czeka was harówka, sierżancie. Kapitan chciał was nawet odwołać z urlopu, ale ja byłem zdania, że odpoczynek wam posłuży, a stracony czas łatwo nadrobicie.

- Dziękuję, panie poruczniku.

- Nareszcie - westchnął Hardenburg, radośnie zacierając ręce.

- Nareszcie!

Niewidzącymi oczyma zapatrzył się w okno. Oglądał tumany kurzu podnoszone przez gąsienice czołgów na libijskich drogach. Słuchał grzmotu dział nad brzegami Morza Śródziemnego.

- A już się obawiałem, że nigdy nie zobaczę prawdziwej bitwy - powiedział dziwnie miękko, lecz w tej chwili otrząsnął się z marzeń i przemówił zwyczajnym, szorstkim tonem: - To wszystko, sierżancie. Będę was potrzebował za godzinę.

- Rozkaz, panie poruczniku!

Christian ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się i wrócił.

- Panie poruczniku.

- Co jeszcze, sierżancie?

- Melduję, że zapisałem szeregowca ze sto czterdziestego siódmego batalionu saperów. Powinien być ukarany dyscyplinarnie.

- Podajcie jego nazwisko pisarzowi. Załatwię to drogą służbową.

- Rozkaz, panie poruczniku.

Christian zatrzymał się przy stole pisarza i patrzył, jak ten notuje, że szeregowiec Hans Reuter był nieodpowiednio ubrany i zachowywał się w sposób niegodny żołnierza, o czym melduje sierżant Christian Diestl.

- Będzie miał kram - orzekł pisarz z miną fachowca. - Złapie z miesiąc koszarniaka.

- Na to wygląda.

Christian wyszedł z koszar policyjnych i na chwilę przystanął na chodniku. Potem zwrócił kroki w stronę domu Corinne, ale zatrzymał się w pół drogi. „Śmieszna historia - pomyślał. - Nie ma sensu gadać teraz z Corinne”.

Bez pośpiechu wracając ulicą stanął przed wąską, wysoką witryną sklepu jubilerskiego. Na wystawie pośród pierścionków z małymi brylancikami leżał ładny wisiorek: duży topaz oprawny w złoto. Christian przyjrzał mu się uważnie i pomyślał: „Podobałby się Gretchen. Ciekawe, ile kosztuje?”.

Rozdział VIII

W poczekalniach i długich ciemnych korytarzach, cuchnących potem i tym nieokreślonym odorem charakterystycznym dla lokali urzędowych, pełno było ledwie dorosłych chłopców i młodych mężczyzn. Wałęsali się z kąta w kąt, palili, pluli, gadali głośno z chropowatym akcentem nowojorskich ulic.

- No, Wuju Samie! Prezentuje ci się Vincent Kelly - odezwał się czyjś głos, a inny rozprawiał:

- Słucham ja sprawozdania z meczu piłki nożnej, a tu jakiś bubek przerywa i powiada, że Japończycy zbombardowali Hickam Field. Takem się zdenerwowałem, że nie słucham dalej i pytam żonę: „Gdzie, u diabła, jest to Hickam Field?”. Wtedy przyszło mi do łba, że to pierwsze słowa, jakie wypowiedziałem w czasie wojny.

- Choroba! - mówi ktoś trzeci - tak czy inaczej, kiedyś cię dostaną. Mam swoje motto: „Kto pierwszy, ten lepszy”. Poprzednim razem mój stary służył w piechocie morskiej. Powiada, że naszywki czepiały się chłopaków, co pierwsi przyszli do wojska. Tak było w tamtej wojnie. Mój stary mówi: „Wcale nie musisz być cwaniakiem. Wystarczy zgłosić się wcześniej”.

- Chętnie zobaczą te wyspy - doleciało z innej strony. - Nie znoszę Nowego Jorku w zimie. Żeby to było lato, ba! musieliby przyjść po mnie, ciągnąć na siłę. Ale co chcesz? Pracuję na świeżym powietrzu, przy instalacjach gazowych. W wojsku nie mogę trafić gorzej.

- Fajna rzecz ta wojna. Warto za nią wypić. Jedna kobietka, co u niej wczoraj byłem, mówi: „Ciarki mi chodzą po krzyżu: będą ginąć amerykańscy chłopcy”. A ja na to: „Rano idę zaciągnąć się do wojska. Chcę walczyć o demokrację, Klaro”. Ona w bek, a ja ją położyłem w jej własnej sypialni, chociaż ze ściany patrzył mąż nabity w mundur marynarski. Ostrzyłem sobie zęby przez trzy tygodnie, ale wyrzucała mnie za drzwi, jak tylko zaczynałem brać się do niej na serio. A wczoraj w nocy była jak klatka pełna wściekłych tygrysów. Z tego patriotyzmu sprężyny w materacu potrzaskały!

- Do diabła z marynarką - powiedział ktoś. - Wolę być gdzieś, gdzie można wygrzebać dołek w ziemi.

Noe stał pośród patriotów oczekujących na rozmowę z oficerem werbunkowym. Poprzedniego wieczoru późno odprowadził Hope do domu i przeżył ciężkie chwile, kiedy wyznał jej, co zamierza zrobić. Spał źle. Śniło mu się jak nieraz, że jacyś ludzie ustawiają go pod murem i rozstrzeliwują z karabinu maszynowego. Wstał po ciemku, żeby wcześniej zdążyć na Whitehall Street, wyprzedzić tłumy, które (jak wcześniej przewidywał) na pewno tam ściągną. Teraz, spoglądając dokoła, dziwił się, że tylu ludzi uniknęło dotychczas komisji rekrutacyjnych. Był zbyt zmęczony, żeby snuć głębsze rozważania. Przed napaścią japońską starał się nie myśleć o wojsku, lecz wrażliwe sumienie zadecydowało niemal wbrew jego woli. Jeżeli wojna wybuchnie, Noe nie będzie dłużej zwlekał. Jako uczciwy obywatel, wierzący w szlachetne cele wojny, jako wróg faszyzmu, jako Żyd... Żałośnie kiwnął głową. Wciąż wraca do kwestii, która z tym wszystkim nie powinna mieć nic wspólnego. Przecież otaczający go chłopcy przeważnie nie są Żydami. Mimo to przyszli tu w zimowy ranek o pół do siódmej, gotowi na śmierć już drugiego dnia wojny. Na pewno są więcej warci niż ich słowa. Szorstkie, cyniczne żarty to maska okrywająca wstydliwie głębię prawdziwych uczuć, które przywiodły tu tych ludzi. A więc, jako Amerykanin!... Noe nie chciał w tej chwili znaleźć się w żadnej specjalnej kategorii. Spróbuje się postarać o wysłanie na Ocean Spokojny, nie przeciwko Niemcom. Dowiedzie w ten sposób, że nie dlatego, iż jest Żydem... „Brednie! - pomyślał. - Pójdę tam, gdzie mnie pošlą”.

Otworzyły się drzwi. Tłusty sierżant z obrzękłą od piwa twarzą wyszedł na korytarz i zawołał opryskliwie:

- Spokój, chłopcy! Spokój! Nie plujcie na podłogę, bo to własność rządowa. I nie pchajcie się, bo wszyscy zdążą. W wojsku jest miejsce dla każdego. Pełno miejsca. Wchodzić pojedynczo, tymi drzwiami. Wszystkich wezwę kolejno. A butelki wyrzucić na dwór. Ten budynek należy do armii Stanów Zjednoczonych.

Noe stracił cały dzień. Na Wyspę Gubernatorską wysłano go wojskowym promem noszącym nazwisko jakiegoś generała. Z sinym nosem stał na zatłoczonym pokładzie i obserwował sennie ruch na brudnych wodach portu. Zastanawiał się od niechcenia, za co generał dostał tego mikroskopijnego szczytu? Jakiego tajemniczego bohaterstwa dokonał w swoim czasie lub komu pochlebił w porę? Wyspa rola się od żołnierzy. Mieli posępne miny i uzbrojeni byli tak, jak gdyby lada chwila oczekiwali desantu japońskiej piechoty morskiej.

Noe obiecał Hope, że w ciągu dnia postara się zatelefonować do jej biura, nie chciał jednak utracić miejsca w kolejce sunącej wolno przed znudzonymi, rozdrażnionymi lekarzami.

- Jezu Chryste! - westchnął najbliższy sąsiad Noego, mierząc wzrokiem szereg kandydatów do laurów wojennych, szereg nagich ciał, koślawych albo zapasionych. - Takie coś ma bronić ojczyzny? Jezu Chryste, przegraliśmy wojnę!

Noe uśmiechnął się marsowo i wyprostował łopatki. Dyskretnie zaczął robić porównania między sobą a innymi nagusami. Spostrzegł kilku silnych mężczyzn - zapewne graczy w piłkę nożną - i jakiegoś olbrzyma z wytatuowanym na piersiach okrętem pod pełnymi żaglami. Na ogół wszakże był zadowolony, bo porównania wypadły na jego korzyść. Ostatnimi czasy zaczął interesować się własnym ciałem. „Mam nadzieję, że w wojsku nabiorę jeszcze lepszej kondycji fizycznej. Hope będzie kontenta - pomyślał czekając na prześwietlenie płuc. - Trzeba przyznać - dodał z uśmiechem - że wojna z imperium japońskim to dosyć oryginalna, pośrednia recepta na poprawę formy”.

Lekarze mało się nim interesowali. Wzrok miał normalny. Nie cierpiał na hemoroidy, płaską stopę, przepuklinę, gonoreę, lues ani epilepsję. Półtoraminutowa rozmowa z psychiatrą wystarczyła, aby stwierdzić, że pod względem umysłowym odpowiada wymaganiom nowoczesnej wojny. Stawy funkcjonowały ku zadowoleniu chirurga, zgryz zapewniał prawidłowe żucie wojskowego jadła, a na skórze nie było nigdzie widocznych blizn i obrażeń.

Noe, zadowolony, iż wreszcie okrywa nagość, wciągnął spieszenie ubranie. Przyszło mu do głowy, że jutro może to już być mundur. Później zajął miejsce w kolejce defilującej wolno przed chudym, zafrasowanym lekarzem wojskowym, który siedział za jasnym biurkiem i na formularzach z wynikami badań stawiał stemple: „I A”, „Służba pozafrontowa” i „Niezdolny”.

„Ciekawe - pomyślał Noe, kiedy doktor pochylił się nad jego formularzem - czy wyślą mnie do jakiegoś obozu pod Nowym Jorkiem? Mógłbym widywać Hope w wolne dni i...”

Lekarz wybrał jedną z pieczętek. Kilkakrotnie uderzył nią w poduszkę tuszową, później raz w arkusz i podsunął formularz Noemu. Noe zerknął w dół. Na formularzu widniały zamazane czerwone literki: „Niezdolny”. Przymknął i otworzył oczy, powtórnie zerknął i znowu przeczytał: „Niezdolny”.

- Dlaczego?... - zaczął.

Lekarz spojrział na niego nie bez sympatii.

- Płuca, synu - powiedział. - Prześwietlenie wykazuje zaciemnienia na obydwóch płatach. Kiedy chorowaliście na gruźlicę?

- Nigdy nie chorowałem.

Doktor wzruszył ramionami.

- Współczuję wam. Następny.

Noe wyszedł powoli z budynku. Był wieczór. Przejmujący, prawdziwie grudniowy wicher dął z portu i omiatał stare fortyfikacje, koszary, place alarmowe, zapewniające miastu obronę od strony morza. Za ciemną, szeroko rozlaną wodą Nowy Jork połyskiwał milionami świateł. Coraz nowi rezerwiści i ochotnicy schodzili oddziałkami z promów i sunęli ku czekającym lekarzom i czerwonemu stemplowi, co decydował o przyszłości.

Noe wzdrygnął się, postawił kołnierz płaszcza. W rękę trzymał szarpany wiatrem formularz z wynikami badań. Był zgnębiony, niepotrzebny, jak uczeń z internatu pozostawiony sam w pustych sypialniach w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy wszyscy koledzy obchodzą święta w domach rodzinnych. Wsunął dłoń pod koszulę, dotknął gołej skóry, wymacał żebra. Jego klatka piersiowa wydawała się mocna, godna zaufania nawet teraz, kiedy chłodził ją wiatr wdzierając się pod rozpiętą odzież. Spróbował kaszlnąć. Nie! Stanowczo był silny i zdrowy.

Bez pośpiechu ruszył w stronę promu i na kładce minął uzbrojonego w karabin żandarma w zimowej czapce i nausznikach. Prom nazwany na cześć dawno zmarłego generała odbił od brzegu i prawie pusty sunął przez czarną wodę.

„Wszyscy płyną w przeciwną stronę” - pomyślał z goryczą Noe.

Hope nie było w domu. Wuj siedział w kuchni i, jak zawsze, czytał Pismo Święte. Spod oka spojrział nieźyczliwie na Noego, bo od początku go nie lubił.

- Pan tutaj? - rzucił. - Myślałem, że do tej pory został pan już pułkownikiem.

- Mogę poczekać na Hope?

- Bardzo proszę - odparł wuj znad książki otwartej na Ewangelii św. Łukasza i podrapał się pod pachą. - Chociaż nie mam pojęcia, kiedy ona wróci. Ostatnio, jak pisałem zresztą do jej rodziny w Vermont, hołduje coraz gorszym obyczajom. Nie robią na niej wrażenia Bóg wie jak późne godziny. Widzi pan - uśmiechnął się

złośliwie do Noego - teraz jej kawaler idzie do wojska albo przynajmniej Hope wyobraża sobie, że idzie. Pewno dziewczyna rozpoznaje jakiś nowy teren. Mam rację? Jak się panu zdaje?

Na płycie kuchennej grzał się garnek z kawą, a przed wujem stała do połowy wypita filiżanka. Silny zapach dręczył Noego, który od południa nie miał nic w ustach. Ale gospodarz nie robił żadnych propozycji, a gość wstydził się prosić, wyszedł więc do bawialni, gdzie zajął fotel kryty pluszem i ozdobiony tanim bieżnikiem.

Noe miał za sobą ciężki, długi dzień, a twarz paliła go od wiatru i chłodu, toteż zasnął w pozycji siedzącej. Nie słyszał, jak wuj szura nogami w kuchni, przesuwając brzękiem filiżanki lub od czasu do czasu czyta Biblię nosowym, skrzeczącym głosem. Obudził go dopiero zgrzyt furtki od ulicy, jeden z dobrze znanych dźwięków świata, w którym żył ostatnio. Noe otworzył oczy, przymknął, otworzył znowu i podniósł się z fotela w chwili, kiedy Hope przestąpiła próg. Weszła ciężkim, zmęczonym krokiem i stanęła jak wryta, gdy zobaczyła, że on stoi na środku bawialni. Później podbiegła szybko, przytuliła się do niego.

- Co tutaj robisz? - zapytała.

Wuj trzasnął mocno drzwiami z bawialni do kuchni. Nie zwrócili uwagi na ten hałas. Noe przygładził włosy, potarł ręką policzek.

- Przez cały czas byłam u ciebie - podjęła dziewczyna. - Przeglądałam rozmaite rzeczy. Porządkowałam. Nie przyszedłeś od rana. Dlaczego? Co się stało?

- Nie wezmą mnie - odpowiedział. - Mam blizny na płucach. Gruźlica.

- Boże Wszechmogący! - jęknęła Hope.

Rozdział IX

Terkotanie ręcznej kosiarki obudziło Michaela. Przez chwilę leżał w obcym łóżku, wdychał zapach kalifornijskiej trawy i przypominał sobie, gdzie jest i co się wydarzyło dnia poprzedniego. Wczoraj po południu autor scenariuszy filmowych powiedział stojąc nad brzegiem własnego basenu pływackiego w Palm Springs: „Myślę, że dziesięciu bubków siedzi w tej chwili w domu i próbuje to opisać”. Kamerdyner wniósł tacę do ogrodu i nalewając herbatę pytał: „Cytryna czy śmietanka?”. Potem przyszła dziewięcioletnia dziewczynka z lalką na rękach. „Tatusiu, nastaw radio - poprosiła. - Nie mogę złapać nic śmiesznego. Ten pan mówi ciągle o Pearl Harbor. Tatusiu, czy Pearl Harbor jest niedaleko domku babuni?”. Przechyliła lalkę, a lalka powiedziała: „Ma-ma”.

„Głupie to, ale prawdziwe - pomyślał Michael. - Wielkie wydarzenia dają o sobie znać w sposób pośredni, z drugiej ręki. Klęski na światową skalę wkraczają w tok codziennego życia banalnie i po kabotyńsku. Często zdarza się to w niedzielę, kiedy ludzie wypoczywają po sutym świątecznym obiedzie, kiedy wychodzą z kościołów, gdzie pokornym mamrotaniem naprzykrzali się Bogu o pokój. Wróg chce widocznie dowieść, że można bezlitośnie drwić z chrześcijańskiego świata. Dlatego z przewrotną uciechą na swoje najokrutniejsze, najdziksze popisy wybiera dzień boży - po sobotniej pijatyce i rozpuście, po uświęconych modlitwach porannych i sodzie na niestrawność...”.

Poprzedniego dnia Michael grał w tenisa pod promieniami palącego słońca. Partnerami jego byli dwaj żołnierze stacjonujący w March Field. Nagle jakaś kobieta wyszła z klubowego budynku i zawołała: „Chodźcie lepiej do radia! Strasznie dziś trzaska, ale usłyszałam piąte przez dziesiąte, że nas Japończycy zaatakowali!”. Żołnierze spojrzeli po sobie, odłożyli rakiety i poszli pakować rzeczy. Chcieli niezwłocznie wracać do March Field. Bal przed bitwą pod Waterloo! Dziarscy młodzi oficerowie tańczą walca, na pożegnanie całują wydekoltowane damy i wśród tętentu koni, szczęku szabel, w wirze targanych wiatrem peleryn galopują na spienionych koniach w mroki flandryjskiej nocy, pod ogień dział, które zagrały przed wiekiem. Zapewne i tamto było szmirą, ale urosło dzięki Byronowi. Jak poradziłby sobie Byron z porankiem w Honolulu i z tym drugim, następnego dnia w Beverly Hills?

Michael miał zamiar zostać jeszcze trzy dni w Palm Springs, ale po przerwanej partii tenisa uregulował rachunki i co tchu wrócił do Hollywood. Nie było oczywiście wiru targanych wiatrem peleryn ani spienionych koni, tylko ford z daszkiem opuszczonym za naciśnięciem guzika. Michael nie jechał w bój, ale do wynajętego na tydzień parterowego domku z widokiem na basen pływacki.

Kosiarka hałasowała za oszklonymi drzwiami wiodącymi na niewielki trawnik. Michael obrócił się na drugi bok, spojrzął na maszynę i ogrodnika. Był to pięćdziesięcioletni Japończyk, chudy i przygarbiony od ciągłego schylania się nad cudzymi trawnikami czy grzędami kwiatów. Miarowo dreptał za kosiarką. Jego cienkie żylaste ręce opierały się na uchwytach.

Whitacre nie mógł powstrzymać uśmiechu. Straszna rzecz! Wczoraj japońskie lotnictwo morskie obrzuciło bombami flotę Stanów Zjednoczonych, a dziś on budzi się i widzi, że naciera na niego pięćdziesięcioletni Japończyk uzbrojony w ręczną kosiarkę. Spojrzął uważnie i przestał się uśmiechać. Ogródnik miał skupiony, posępny wyraz twarzy, jak gdyby cierpiał na przewlekłą chorobę. Michael pamiętał, że przed tygodniem ten sam człowiek kręcił się po ogrodzie z pogodną, przyjacielską miną, a nawet raz nucił coś melancholijnie, kiedy oczyszczał ze zwiędłych kwiatów oleandry rosnące pod oknami.

Michael wstał z łóżka. Zapinając guziki piżamy podszedł do oszklonych drzwi. Jasny, złocisty ranek pachniał rzeźwym chłodem, który w południowej Kalifornii stanowi namiastkę zimy. Trawniki były bardzo zielone, a rosnące na jego skrajach niskie dalia, żółte i purpurowe, wyglądały jak rzędy błyszczących guzików. Same wyraźne proste linie. Widocznie ogrodnik hołduje obowiązującym na wschodzie surowym zasadom rysunku.

- Dzień dobry - odezwał się Michael.

Nie wiedział, jak się ten człowiek nazywa. W ogóle nie miał pamięci do japońskich nazwisk. A, prawda! Sessue Hayakawa, dawny gwiazdor filmowy. Ciekawe, co dziś porabia stary, poczciwy Sessue Hayakawa?

Ogródnik zatrzymał kosiarkę i budząc się z ponurych marzeń patrzył na Michaela.

- Słucham, proszę pana? - bąknął wreszcie suchym, skrzeczącym głosem, bez tonu życzliwości.

Małe, czarne oczki oprawione w sieć brunatnych zmarszczek spoglądały błagalnie i smutno. Przynajmniej takie wrażenie odniósł Michael. Chciał zachować się kulturalnie, powiedzieć coś miłego podstarzałem, zapracowanemu emigrantowi, który z dnia na dzień znalazł się w nieprzyjacielskim kraju, obarczony winą za zdradziecką napaść o trzy tysiące mil stąd.

- Źle się stało - podjął Michael. - Bardzo źle, prawda?

Ogrodnik patrzył tępo, jak gdyby nie rozumiał.

- Mówię o tej wojnie - wyjaśnił Michael.

Japończyk wzruszył ramionami.

- Wcale nie źle - powiedział. - Każdy mówi: „Przeklęta Japonia. Podła Japonia”. Ale wcale nie źle. Dawniej Anglia chce, Anglia bierze. Ameryka chce, Ameryka bierze. Teraz Japonia chce... - Zimno, wyzywająco spojrział Michaelowi w oczy. - Japonia bierze.

Odwrócił się, skierował kosiarkę w przeciwną stronę i wolno ruszył trawnikiem. Krótkie źdźbła trawy opryskiwały mu łydki jak pachnąca zielona piana. Michael przyglądał się przez chwilę Japończykowi: pokornie zgięty grzbiet, nadszpiewanie krzepkie nogi w podartych szortach, gołe powyżej kolan, pomarszczona, spieczona słońcem szyja nad bezbarwną od potu koszulą. Czy lojalny obywatel nie powinien meldować władzom o tego rodzaju wypowiedziach, zwłaszcza w czasie wojny? Może ten stary ogrodnik w łachmanach jest naprawdę komandorem japońskiej marynarki? Może czeka podstępnie, aż cesarskie okręty staną na redzie San Pedro Harbor i dopiero wtedy odkryje karty? Michael uśmiechnął się cierpko. Ach, te filmy! Nowoczesny umysł nie potrafi wyzwolić się z ich kleszczy!

Whitacre zamknął oszklone drzwi i poszedł się ogolić, a w czasie tego zabiegu myślał, co teraz będzie robił. Przyjechał do Kalifornii z Thomasem Cahoonem i miał z nim pracować nad wystawieniem nowej sztuki. W planie były również rozmowy o zmianach tekstu z autorem Miltonem Sleeperem, który swojej sztuce mógł poświęcać tylko wieczory, bo za dnia pisywał scenariusze dla wytwórni filmowej Warner Brothers.

- Artystom wyśmienie się dzieje w dwudziestym wieku - drwił jadowicie Cahoon. - Goethe mógł pracować w dzień nad utworem scenicznym. Tak samo Czechow lub Ibsen. Ale Milton Sleeper ma do dyspozycji jedynie noc.

„Człowiek powinien czuć się jak zgalwanizowany, kiedy jego ojczyzna zaczyna wojować - myślał Michael skrobiąc się po twarzy. - Powinien zdobyć się na wielki, szaleńczy czyn: chwycić karabin, pobiec na pokład okrętu wojennego, zająć miejsce w bombowcu ruszającym w lot długości pięciu tysięcy mil, na spadochronie zeskoczyć do stolicy wroga...”.

Ale Cahoon potrzebował Michaela, żeby wystawić sztukę, a Michael (co tu ukrywać) bardzo potrzebował pieniędzy. Gdyby z miejsca zaciągnął się do wojska, jego rodzice zapewne umarliby z głodu. No, i były przecież alimenty Laury... Tym razem Cahoon miał płacić reżyserowi nie tylko pensję, ale i tantiemy - oczywiście niskie tantiemy. Znaczyło to jednak, że pieniądze będą wpływać przez rok lub dwa lata, jeżeli sztuka zyska powodzenie. Wojna nie potrwa pewnie długo, a więc tantiemy mogą ją przeżyć. Jeżeli zaś sztuka okaże się wielkim szlagierem, jak *Irlandzka róża* lub *Droga tytoniowa* - wojna może trwać nieskończenie długo! Chociaż to straszne pomyśleć, że wojna nie zejdzie z afisza przez tyle lat co *Droga tytoniowa* !

Whitacre bardzo żałował, że w tej chwili nie ma pieniędzy. Jakby to było ładnie: usłyszeć przez radio groźną wiadomość i zaraz zgłosić się ochotniczo w najbliższym oddziale wojskowym! Taki szlachetny, spontaniczny gest można z dumą wspominać do końca życia. Ale Michael miał w banku ledwie sześćset dolarów, a władze skarbowe nękały go o podatek dochodowy za rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty. No i Laura... Podczas sprawy rozwodowej dowiodła niesłychanej chciwości. Ma dostawać po osiemdziesiąt dolarów tygodniowo aż do śmierci, jeżeli naturalnie nie wyjdzie drugi raz za mąż. Ciekawe, co się dzieje z alimentami, kiedy człowiek wstępuje do wojska? Zapewne leży skurczony w okopach gdzieś na azjatyckim froncie, a tu żandarm dotyka jego ramienia i mówi: „Pójdziecie ze mną. Szukamy was od dawna”. Whitacre przypomniał sobie zdarzenie z poprzedniej wojny, o którym słyszał od znajomego Anglika. Ów Anglik był nad Sommą i trzeciego dnia bitwy, kiedy z kompanii zostało kilku ludzi i znikąd nie można się było spodziewać pomocy czy ulgi, dostał list z kraju. Bliski łez drżącymi rękami rozdarł kopertę i przeczytał monit urzędu skarbowego: „Kilkakrotnie zwracaliśmy się do pana w sprawie uregulowania zaległego podatku dochodowego za tysiąc dziewięćset czternasty rok w kwocie trzynastu funtów i siedmiu szylingów. Nadmieniamy, że jest to ostatnie upomnienie i w razie nieotrzymania odpowiedzi będziemy zmuszeni wszcząć kroki egzekucyjne”. Człowiek unurzany w błocie, wychudły, obdarty, ogłuchły od huku dział, jeden z

niewielu ocalałych, napisał w poprzek oficjalnego listu: „Przyjdźcie i weźcie. Ministerstwo Wojny chętnie poda mój adres”.

Ubierając się Michael próbował myśleć o czym innym. Przecież to dzień historyczny, decydujący, a on, trochę mętny po wczorajszej nerwowej pijatyce, siedzi w przeładowanej różowościami i aksamitem wynajętej sypialni, urządzonej w stylu hollywoodzkiego domu publicznego. Trapi się kłopotami finansowymi niby kasjer, co wziął z szuflady pięćdziesiąt dolarów i myśli, skąd je zwróci, zanim przyjdzie kontrola. To poniżające, haniebne! W Honolulu żołnierze przy działach mają na pewno większe trudności finansowe, dziś jednak nie zaprzatają sobie nimi głowy. Tak czy inaczej, niepodobna zaraz wstąpić do wojska. Zabawna historia: patriotyzm, podobnie jak inne szlachetne uczucia i postęпки, znacznie łatwiej przychodzi ludziom majątnym.

Kończąc toaletę Michael usłyszał, że Murzyn, który zajmował się sprzątnięciem domu, otwiera kredens i pobrzękuje butelkami w sąsiednim pokoju. „Tego przynajmniej wojna nie zmieniła - pomyślał. - Tak samo kradnie dżin”.

Zawiązał krawat i wszedł do bawialni. Służący czyścił dywan. Stał na środku pokoju, gapił się w sufit i bez sensu przesuwiał szczotkę elektrycznego odkurzacza to w tę, to w tamtą stronę. Ruchy miał nieskoordynowane, wahadłowe. W powietrzu unosił się silny zapach alkoholu.

- Dzień dobry, Bruce - zagadnął przyjaźnie Michael. - Jak się czujesz?

- Dzień dobry, panie Whitacre - odpowiedział Murzyn. - Jak zawsze. Zupełnie tak samo jak zawsze.

- Nie wybierasz się do wojska?

- Kto? Ja? - Przestał czyścić dywan i zaprzeczył żywym ruchem głowy. - To nie dla stary Bruce. Ludzie teraz mówią: „Zaciągnij się, bracie”. Ale Bruce się nie zaciągnie. Za stary. Ma za dużo reumatyzm, tryper. Nie zaciągnie się, panie Whitacre. Mógłby być młody jak żrebak i silny jak lew ryczący, a i tak by się nie zaciągnął. Nie w ta wojna, panie Whitacre. Może w druga, nie w ta.

Michael odstąpił krok i z niepewną miną spojrzął na Bruce'a, który zatoczył się w jego stronę i zionął zapachem dżinu. W towarzystwie Murzynów był zawsze onieśmielony, czuł się jak gdyby winowajcą. Swobodny, naturalny ton w rozmowach z czarnymi przekraczał jego możliwości.

- Nie, panie Whitacre - ciągnął Bruce, stojący na niepewnych nogach. - Ta wojna nie dla mnie, wcale nie dla mnie. Chociażby stary Bruce dostał strzelbę ze

srebra i szczerozłote ostrogi, nie przyłoży ręką do zabijania bliźnich w ta wojna. Ta wojna jest wojna nieprawych, jak pisze w Księga Proroków.

Michael pomyślał, że w tak wyjątkowych okolicznościach człowiek winien dyskutować z sąsiadami. Przez chwilę szukał prostego zdania, aby łatwo przebić opary dżinu.

- Pomyśl, Bruce - odezwał się wreszcie. - Wrogowie zabijają Amerykanów.

- Może i zabijają. Stary Bruce nie widział na własne oczy. Nie wie na pewno. Tylko czytał w gazety. Może wrogowie zabijają Amerykanów. Ale może zostali sprowokowane. Może chcieli wejść do hotel, a biali ludzie powiedzieli, że to hotel nie dla żółte ludzie. Wtedy żółte ludzie pogadali ze sobą i powiedzieli: „Biali ludzie nie wpuszczą nas do hotel, trzeba zabrać hotel”. Nie, panie Whitacre... - Dwukrotnie przesunął szybko szczotkę odkurzacza, później zatrzymał się i stanął oparty na niej. - Ta wojna nie dla stary Bruce. Stary Bruce czeka na druga wojna. Druga wojna będzie niedługo.

- Kiedy, Bruce? - zapytał Michael.

- W tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt szósty rok - odpowiedział bez wahania. - Wojna narodów. Wojna ras. Kolorowy przeciwko biały. - Nabożnie spojrział w sufit zapijaczonymi oczami. - W pierwszy dzień tamta wojna stary Bruce pójdzie do biuro rekrutacyjne i powie do czarny generał: „Generale, niech ci służy moje silne ramię”.

„Kalifornia - pomyślał niedorzecznie Michael. - Spotyka się tu tylko takich ludzi”. Wyszedł z bawialni i z domu, a Bruce pogrążył się w milczącej zadumie i oparty na szczotce stał na środku pokoju.

Po przeciwnej stronie ulicy był nie zabudowany plac wznoszący się stromo nad jezdnią i sąsiednimi działkami. Stały tam dwa samochody wojskowe i działo przeciwlotnicze. Żołnierze w hełmach żywo okopywali stanowisko. Działo spoglądało w niebo długą lufą o zakapturzonym wylocie, a wojacy zachowywali się tak, jak gdyby byli już pod ogniem. Michaelowi wydało się to komiczne, nie na czasie.

„Oglądam jeszcze jedno lokalne, kalifornijskie zjawisko - pomyślał. - Trudno sobie wyobrazić, by gdziekolwiek indziej armia posuwała się do przedstawień aż tak melodramatycznych”.

Armaty i żołnierze wydawali mu się - podobnie jak wielu Amerykanom - nudnymi, nie związanymi z realnym życiem zabawkami dla dorosłych. Działo przeciwlotnicze znalazło się między sznurem z poniedziałkowym praniem jakiejś

kobiety (wisały tam biustonosze, jedwabne pończochy i różowe majteczki) a kuchennymi drzwiami willi w hiszpańskim stylu, na której schodkach stały jeszcze butelki z porannym mlekiem.

Whitacre szedł w stronę bulwaru Wilshire, do drogerii, gdzie zwykle jadał śniadanie. W narożnym domu był bank, a przed jego drzwiami długa kolejka czekała na otwarcie. Młody policjant utrzymujący porządek powtarzał raz po raz:

- Proszę się nie pchać, panie i panowie. Każdy pilnuje swego miejsca. Nie ma się czym przejmować. Wszyscy odbiorą pieniądze.

- Co się tu dzieje? - zagadnął Michael przedstawiciela władzy.

Młody człowiek spojrzał na niego niezyczliwie.

- Na koniec kolejki, proszę pana - rzucił wskazując ręką właściwy kierunek.

- Nie chcę dostać się do środka - powiedział Whitacre. - Nie mam pieniędzy w tym banku ani w żadnym innym - dodał beztrąsko.

Policjant odpowiedział uśmiechem, jak gdyby to przyznanie się do ubóstwa zadzierzgnęło między nimi nagły węzeł przyjaźni.

- Pilno im - powiedział wskazując głową ludzi czekających przed drzwiami. - Chcą się dorwać do forsy, nim bomby spadną na skarbiec.

Michael zerknął na długą kolejkę. Odpowiedziały mu nieprzyjazne spojrzenia, jak gdyby klienci banku sądzili, że nieznajomy spiskuje z policjantem i knuje coś przeciwko ich kontom. Wszyscy byli dobrze ubrani. Znajdowało się między nimi wiele kobiet.

- Wieją na wschód - mówił policjant szyderczym, scenicznym szeptem. - Podejmą forszę i zaraz jazda na wschód. Słyszałem – ciągnął podniesionym głosem, bo chciał, żeby wszyscy go usłyszeli - że w Santa Barbara wylądowali Japończycy. Dziesięć dywizji! Podobno naczelne dowództwo japońskie zacznie od jutra urzędować w Banku Amerykańskim.

- O tej gadaninie doniosę władzom. Zobacz pan! - syknęła poważna dama w średnim wieku, ubrana w różową suknię i błękitny słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

- Bardzo proszę, łaskawa pani - odrzekł policjant. - Nazywam się Mac Carty.

Whitacre uśmiechnął się i ruszył w stronę drogerii. Ale nie spieszył się na śniadanie. Wolno szedł ulicą i patrzył na wystawy sklepów. Na wielu szybach ponaklejano już na krzyż paski papieru, co miało zabezpieczać przeciwko wstrząsom.

„Bogacze - dumal - bardziej boją się katastrofy niż zwykli śmiertelnicy. Mają więcej do stracenia, więc umykają szybciej. Człowiek ubogi nie pomyślałby nigdy o wyjeździe z Kalifornii, tylko dlatego że gdzieś na Oceanie Spokojnym jest wojna. To nie patriotyzm ani siła ducha. Po prostu golca nie stać na ucieczkę. I jeszcze jedno: bogacze przywykli płacić za ciężką pracę, najmować innych do brudnej roboty. A przecież wojna jest najcięższą pracą i najbrudniejszą z brudnych robót". Przypomniał sobie ogrodnika zamieszkałego w Stanach od lat czterdziestu, starego Bruce'a pijanego dżinem i prorocztwami; nienawistne, świdrujące spojrzenia dam z kolejki przed bankiem... A następnie zobaczył siebie w chwili, kiedy siedząc na skraju różowego łóżka martwił się o podatek i alimenty. „Czy takich ludzi - myślał - powołało do wielkości dzieło Jeffersona i Franklina? Czy to farmerzy, myśliwi, rzemieślnicy, którzy zbiegli się z pustkowi pijani szalem sprawiedliwości i swobody? Tak wygląda świat olbrzymów opiewany przez Whitmana!"

Wszedł do drogerii. Zamówił sok pomarańczowy, grzanki i kawę.

Z Cahoonem spotkał się o pierwszej w południe w głośnej restauracji w Beverly Hills. Obszerna, ciemna sala była ozdobiona rzeźbami, na których stylu wycisnęły piętno filmowe dekoracje wnętrza.

„Wygląda to jak łazienka przystrojona przez ekspedientkę od Woolwortha dla bałkańskiej królowej" - pomyślał Michael.

Stał przy barze i rozglądał się po tłumie cywilów, w którym rzucał się w oczy jedyny mundur na wysokim sierżancie piechoty. Podobał mu się ten obraz. Życzliwym wzrokiem spojrzał na opalonych, tłustych jegomościów w tweedowych marynarkach i na wypielegnowane, urodziwe panie w zabójczych kapeluszach, na tę publiczność, co siedząc przy stolikach taksowała wzrokiem każdą nowo przybyłą osobę. W restauracji panowała świąteczna, podniosła atmosfera. Ludzie klepali się po ramionach, mówili głośniejszym niż zwykle, wzajemnie stawiali sobie kolejki. Michaelowi przypominało to popołudniowy koktajl w wytwornych nowojorskich barach w wigilię Nowego Roku, kiedy to wszyscy wyczekują z utęsknieniem nocy poświęconej pięknym nadziejom i zabawie.

Krażyły już plotki i anegdoty o wojnie. Słynny dyrektor wałęsał się po sali i z grobową miną szeptał, że wolałby nie rozgłaszać hiobowych wieści, ale „na Oceanie Spokojnym nie mieliśmy ani jednego okrętu, a Japończycy przyłapali naszą flotę o trzysta mil od wybrzeży Oregonu”. Pewien literat słyszał we fryzjerni Metro Goldwyn Mayer, jak znany reżyser parskał przez mydlaną pianę: „Ach, ci mali, żółci dranie! Taki jestem na nich wściekły, że mam ochotę rzucić wszystko w diabły i zaraz... zaraz... zaraz - długo szukał odpowiedniego wyrazu dla swych zranionych uczuć, aż wreszcie znalazł i zawołał - ...i zaraz wyjechać do Waszyngtonu!”. Ten kawał okrył sławą literata, który obnosił go od stolika do stolika i nim umilkły wybuchy śmiechu, odchodził przezornie szukać nowych słuchaczy.

Cahoon był spokojny, zamyślony i chociaż uparł się, że przed obiadem wypije koktajl przy barze, Michael wiedział, że dokucza mu wrzód żołądka. Nigdy dotychczas nie widział Cahoona z kieliszkiem w ręku.

Usiedli w łoży i czekali, by nadszedł Milton Sleeper, autor reżyserowanej sztuki, i Kirby Hoyt, gwiazdor filmowy, którego Cahoon miał nadzieję skłonić do przyjęcia roli.

- Najbardziej irytuje mnie w tym przeklętym mieście zwyczaj załatwiania interesów przy obiedzie - zaczął zrzędzić Cahoon. - Nie można trzymać za ogon dwóch srok naraz.

Pharney, impresario stu pięćdziesięciu najlepiej płatnych aktorów, pisarzy i reżyserów, wkroczył do sali i rozdając uśmiechy, ściskając dłonie defilował przed szeregiem łóż. Ta restauracja była jego królestwem, a pora obiadowa godziną audiencji. Whitacre'a znał dobrze i namawiał go często, by zmienił zawód i nauczył się reżyserii filmowej, wróżąc mu wielką sławę i wielkie pieniądze.

- Dzień dobry - rzucił Pharney z obrażająco poufałym uśmiechem, który, jak się nieraz mógł przekonać, skłaniał ludzi do płacenia jego klientom więcej niż zrazu zamierzali. - No i co wy na to? - dodał takim tonem, jak gdyby wojna była imprezą troskliwie przez niego przygotowaną i stanowiącą słuszny powód dumy.

- Udała się nam wojenka - powiedział Whitacre. - Ładniejszej nie widziałem, jak żyję.

- Ile masz lat? - rzucił szorstko Pharney.

- Trzydzieści trzy.

- Mogę ci się postarać o dwa galony w marynarce wojennej. Propaganda. Rozumiesz? Radio. Odpowiada?

- Boże - westchnął Cahoon. - Nawet marynarka korzysta z usług impresariów! Pharney wcale się nie obraził.

- Mam przyjaciela. Pełny komandor. Rozumiesz? - zwrócił się znów do Michaela. - No, jak tam? Zgoda?

- Na razie nie. Mogę wstąpić do wojska dopiero za dwa, trzy miesiące.

Pharney uśmiechnął się do dwóch olśniewających piękności z sąsiedniej łoży.

- Za trzy miesiące będziesz mógł tylko podlewać ogródki w Jokohamie!

- Prawdę mówiąc... - zaczął Michael z wahaniem, starając się o ton niebohaterski - mam zamiar iść do piechoty jako szeregowiec.

- Ach, ośle nad osłami! - zawołał impresario. - Dlaczego niby?

Michael czuł się nieswojo, głupio.

- To długa historia. Opowiem ci innym razem.

- Jak chcesz. Szeregowiec w wojsku to mięso na siekane kotlety. Miele się go starannie i nie patrzy, czy ma w sobie trochę tłuszczu, czy nie ma. Życzę laurów wojennych! - Machnął ręką i odszedł.

Dwaj aktorzy wędrowali wzdłuż baru. Głośno się śmiali i ściskali serdecznie ręce wszystkich pijaków. Cahoon przyglądał się im posepnie.

- Ach, to miasto! - westchnął. - Chętnie dam japońskim władzom pięćset dolarów i dwa fotele na wszystkie moje premiery, jeżeli jutro zbombardują Hollywood. Mike - dodał po chwili nie patrząc na towarzysza - powiem teraz coś... coś bardzo samolubnego...

- Wal śmiało!

- Nie idź do wojska, póki nie uporamy się z tą sztuką. Jestem zmęczony, sam nie dam rady, a ty pomagasz mi od początku... Sleeper to straszny facet. Ale sztuka mu wyszła. Trzeba ją koniecznie wystawić.

- Bądź spokojny. Wytrzymam do końca.

Michaelowi wstyd się zrobiło, że skwapliwie korzysta ze szlachetnego pretekstu i obowiązkami przyjaźni chce odgrodzić się na czas pewien od wojny.

- Przez dwa miesiące na pewno armia obejdzie się bez ciebie - podjął Cahoon. - A zresztą, musimy wygrać tę wojnę.

Reżyser umilkł, bo Sleeper torował sobie właśnie drogę do ich łoży. Lubił ubierać się jak młody literat z farsy. Nosił ciemnoniebieskie koszule robocze i wiecznie przekrzywione na bok krawaty. Był przystojny, atletycznie zbudowany, arogancki. Przed kilkoma laty napisał dwie bojowe sztuki o klasie robotniczej.

- Do diabła - zagał rozmowę siadając bez podania ręki - koniecznie musimy się spotykać w tej piekielnej norze?

- Spotkanie wyznaczyła twoja sekretarka - odpowiedział Cahoon.

- Moja sekretarka ma dwie ambicje: chce wkręcić jakiegoś Węgra na reżysera do Universalu i zrobić ze mnie dżentelmena. To taka dziewczyna, co wciąż powtarza, że nie podobają jej się moje koszule. Znasz ten typ, prawda?

- Mnie też nie podobają się twoje koszule - odburknął Cahoon.

- Zarabiasz dwa tysiące tygodniowo. Nie powinieneś nosić takich łachów.

- Duża whisky - rzucił Sleeper kelnerowi i zaczął mówić bardzo głośno: - No, Wuj Sam kiwnął palcem w bucie. Chce nareszcie służyć zagrożonej ludzkości.

- Przerobiłeś drugą odsłonę? - zapytał reżyser.

- Na miłość boską, Cahoon! - wybuchnął autor. - Myślisz, że człowiek może pracować w takich chwilach?

- Przecież cię prosiłem - westchnął Cahoon.

- Krew zboczyła palmy! - podjął Sleeper w stylu niektórych swoich postaci scenicznych. - Krew tryska z radia! Krwią ociekają pokłady okrętów! A ten martwi się o drugą odsłonę! Ocknij się, Cahoon! To katastrofa kosmiczna! Głuchy grzmot zbiera we wnętrzu ziemi. Ludzkość wije się i krwawi w dręczącym śnie.

- Zachowaj ten ton na wielką scenę finałową.

- Cicho bądź! - Sleeper patrzył posepnie spod pięknych krzaczastych brwi. - Daj spokój głupim żartom z Broadwayu. Czas śmiechu minął. Minął na zawsze, Cahoon. Wczoraj od pierwszej bomby zginął ostatni dowcipniś. - Niespokojnie rozejrzył się dokoła. - Gdzie ten bubek?

- Hoyt uprzedził, że się trochę spóźni, ale przyjdzie na pewno - odezwał się Michael.

- Muszę zaraz wracać do budy - oznajmił Sleeper. - Fred prosił, żeby koniecznie przyjść dziś po południu. Ma zamiar kręcić film o Honolulu. Chce obudzić naród amerykański.

- Co masz zamiar robić? - zapytał Cahoon. - Zdasz dokończyć sztukę?

- Naturalnie. Przecież ci już mówiłem.

- Pamiętam, ale to było przed wojną. Myślałem, że zechcesz się zaciągnąć...

- Po co? Żeby pilnować jakiegoś mostu w Kansas City? - Pociągnął długi łyk whisky przyniesionej tymczasem przez kelnera. - Mundur nie dla artysty. Twórca powinien podsycać płomień kultury, wyjaśniać cele wojny, umacniać ducha ludzi zmagających się ze śmiercią. Wszystko inne to sentymentalizm. W Rosji nie przyjmują artystów do wojska. Pisz, powiadają, występuj na scenie, maluj, komponuj. Ludzie przy zdrowych zmysłach nie wysyłają na front swoich skarbów narodowych. Co byś powiedział, gdyby Francuzi ozdobili Linię Maginota Mona Lizą i *Autoportretem* Cézanne'a? Powiedziałbyś, że oszaleli, prawda?

- Aha - przyznał Michael, bo mówca bystro spojrzał na niego.

- A widzisz! - krzyczał dalej Sleeper. - Dlaczego więc zdobić okopy nowym Cézanne'em czy Leonardem da Vinci? Jezu Chryste! Nawet Niemcy trzymają artystów w kraju! Bodaj was licho! Zmęczyłem się kłótnią i nie chcę dłużej czekać na tego spóźnionego bubka. - Dokończył whisky i potoczył dokoła złym wzrokiem. - Zamawiam obiad!

- Pharney może ci się postarać o dwa galony w marynarce wojennej - powiedział Cahoon z ledwie widocznym uśmiechem.

- Ten kutwa?! - wrzasnął Sleeper. - Kramarz handlujący żywym towarem? Jaja na szynce - zwrócił się do kelnera - i szparagi. I duża whisky!

Hoyt wszedł na salę, kiedy Sleeper dysponował obiad. Prędko szedł w stronę łoży i po drodze uściśnął ledwie pięć dłoni.

- Bardzo przepraszam - powiedział siadając przy stoliku na obitej zieloną skórą ławce. - Przykro mi, że się spóźniłem.

- Do diabła! - natarł wojowniczo Sleeper. - Nigdy i nigdzie nie możesz zdążyć w porę! A co na to publiczność?

- Trudno. Nie mogłem wyrwać się ze studia. Dzień był bardzo pracowity.

Mimo siedmioletniego pobytu w Stanach Zjednoczonych Kirby Hoyt mówił z wyraźnym brytyjskim akcentem. Naturalizował się w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku zaraz po wybuchu wojny, lecz obywatelstwo amerykańskie nie zmieniło go wcale. Pozostał nadal tym samym przystojnym, utalentowanym komediantem, który w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku przybył na drugą półkulę via Pall Mall z bristolskich slumsów. Tego dnia był roztargniony, zdenerwowany. Zamówił bardzo lekkie dania i nie chciał nic pić, bo czekało go męczące popołudnie. Grał rolę kapitana angielskiego lotnictwa i po obiedzie miał kręcić trudną scenę: ciekawe skróty i efektowne zbliżenia w samolocie płonącym nad Kanałem.

Obiad mijał w napięciu. Przed tygodniem Hoyt obiecał Cahoonowi, że ponownie przeczyta sztukę i ostatecznie odpowie, czy zechce w niej wystąpić. Był dobrym aktorem i doskonale się nadawał do roli. Gdyby odmówił, wynalezienie innego kandydata stanowiłoby duży problem. Sleeper posępnie chleptał jedną dużą whisky po drugiej. Cahoon bez zapału grzebał widelcem w talerzu.

Nagle Michael zobaczył Laurę i uklonił się sztywno. Siedziała z jakąś kobietą przy stoliku w drugim końcu sali. Michael nie widział jej od dnia rozvodu. „Jeżeli sama płaci tutaj za obiady - pomyślał - niedaleko zajedzie z osiemdziesięcioma dolarami tygodniowo”. Zirytował się - naprzód na byłą żonę, że szasta pieniędzmi, później na siebie, że wtrąca się w nieswoje sprawy. Laura wyglądała bardzo ładnie i obco. Michael nie mógł sobie uzmysłwić, że teraz jest jej niechętny, a niegdyś naprawdę kochał tę kobietę. „Jeszcze jedna twarz - myślał - na widok której człowiekowi robi się na chwilę tkliwie i smutno, kiedy spotka ją przypadkiem na tym czy tamtym końcu kraju”.

- Uważnie przeczytałem sztukę - powiedział Hoyt mówiąc szybciej niż zwykle - i muszę przyznać, że jest piękna.

- Wspaniale... - zaczął Cahoon z wylewnym uśmiechem.

- Ale - przerwał mu aktor - obawiam się, że nie będę mógł przyjąć tej roli.

Reżyser przestał się uśmiechać.

- Jezu Chryste! - zawołał autor.

- Co się stało? - zapytał Cahoon.

- W obecnej sytuacji - Hoyt uśmiechnął się wstydliwie - rozumiesz... wojna i... i takie rzeczy... Zmieniłem plany, mój stary. Gdybym przeszedł na scenę, jakaś

piekielna komisja rekrutacyjna mogłaby położyć na mnie łapę. A w filmie... - Napchał usta sałatą.

- Film to całkiem inna para kaloszy... Dyrekcja twierdzi, że potrafi mnie wyreklamować... w interesie ogólnonarodowym. Podobno mówi się w Waszyngtonie, że przemysł filmowy zostanie uznany za kluczowy. Widzisz... ludzie niezastąpieni... Nie wiem, jak będzie z teatrem. Nie mogę ryzykować. Rozumiesz moją sytuację? Prawda?

- Tak - odpowiedział głucho reżyser. - Oczywiście.

- Jezu Chryste! - zawołał Sleeper. - Trzeba wracać do Burbank. W interesie ogólnonarodowym.

Wyszedł z łoży ciężkim, cokolwiek chwiejnym krokiem. Hoyt zerknął za nim nerwowo.

- Nigdy nie lubiłem tego typka - powiedział. - To nie dżentelmen.

Pracowicie zaczął żuć sałatę.

Koło stolika stanął Rollie Vaughn, czerwony, rozpromieniony, z kieliszkiem koniaku w ręku. Był to również Anglik, człowiek znacznie starszy od Hoyta. W tym samym filmie grał pułkownika, miał jednak wolne popołudnie i mógł pić śmiało.

- Najwspanialszy dzień w historii Anglii - zaczął radośnie, mierząc rodaka ognistym wzrokiem. - Minęły dni klęski. Przed nami zwycięstwo. Niech żyje Franklin Delano Roosevelt!

Podniósł kieliszek. Inni poszli uprzejmie jego śladem, a Michael przestraszył się, że Rollie wypije i grzmotnie szkłem o podłogę, jak przystało angielskiemu lotnikowi z Paramountu.

- Niech żyje Ameryka! - Vaughn znowu podniósł rękę.

„W rzeczywistości pije zdrowie japońskiego lotnictwa morskiego - pomyślał cierpko Whitacre. - Wdzięczny jest Japończykom, że wciągnęli nas w grę. Ha, trudno mieć o to żal do Anglika...”.

- Będziemy walczyć na plażach - perorował Rollie. - Będziemy walczyć w górach. - Usiadł w łoży. - Będziemy walczyć na ulicach. Koniec! Nie powtórzy się Kreta. Nie powtórzy się Norwegia. Znikąd nie pozwolimy się przepędzić.

- Mój stary - powiedział Hoyt - niezupełnie się z tobą zgadzam. Miałem niedawno prywatną rozmowę z jednym facetem z admiralicji. Zdębiałbyś, gdybym ci mógł wymienić nazwisko. Ten wytłumaczył mi całą historię z Kretą.

- I co ci gadał o Krecie? - zapytał Vaughn mierzając kolegę wyzywającym wzrokiem.

- Mój stary, to był plan przygotowany z góry. Zadać straty i zmykać. Taktyka najrozumniejsza pod słońcem. Niech Niemcy mają Kretę. Na diabła komu Kreta?

Rollie powstał majestatycznie.

- Nie myślę siedzieć tutaj - przemówił srogo - i słuchać, jak angielski renegat spotwarza brytyjskie siły zbrojne. Dezerter!

- Uspokój się, Vaughn - wtrącił pojednawczo Cahoon. - Siadaj.

- Coś powiedział, Rollie? - spytał nerwowo Hoyt.

- Brytyjska krew leje się strumieniami! - Rollie walił pięścią w stół. - Bohaterski opór do ostatka, żeby nie oddać ziemi sojusznika. Anglicy giną tysiącami. A ten bredzi, że to plan przygotowany z góry! „Niech Niemcy mają Kretę”. Od dawna mam cię na oku, Hoyt! Staralem się patrzeć bezstronnie. Ale w końcu uwierzę w to, co ludzie o tobie gadają.

- Ależ, mój stary... To jakieś idiotyczne nieporozumienie... Wydaje mi się...

Hoyt był czerwony jak burak. Mówił wysokim, przerywanym głosem.

- Gdybyś był w Anglii - przerwał jadowicie Rollie - śpiewałbyś całkiem inaczej. Raz, dwa, trzy i stanąłbyś przed sądem. Nie zdążyłbyś wykrztusić dziesięciu słów! Rozsiewanie defetystycznych, kłamliwych wiadomości. W czasie wojny, psiakrew! To kryminał!

- Słowo daję, Rollie - bąknął młody aktor. - Zrozum, mój stary...

- Ciekawym, kto ci za to płaci? - Vaughn zadarł głowę i spiczastym podbródkiem wycelował zaczepnie w twarz przeciwnika. - Bardzo chciałbym wiedzieć. Bardzo! Nie wyobrażaj sobie, że nasza rozmowa nie wyjdzie poza tę restaurację. Bądź spokojny! Usłyszą o niej wszyscy Anglicy w Hollywood. „Niech Niemcy mają Kretę”. Co?

Głośno postawił kieliszek na stoliku i zamasztył krokiem odszedł w stronę baru. Hoyt otarł spoconą twarz i niepewnym wzrokiem rozejrzał się dokoła. Chciał zbadać, ile osób wysłuchało tyrady Vaughna.

- Dobry Boże! - westchnął. - Nie macie pojęcia, jak trudno teraz być Anglikiem. Banda neurasteników, wariatów... Nie można ust otworzyć. - Dźwignął się z obitej zieloną skórą ławki. - Czas na mnie. Muszę wracać do studia. Mam nadzieję, że mi panowie wybaczą?

- Oczywiście - powiedział Cahoon.

- Przykro mi, doprawdy, że tak wyszło z tą sztuką. Ale rozumiesz moją sytuację? Prawda, stary?

- Rozumiem.

- Do widzenia - zakończył rozmowę Hoyt.

- Do widzenia - odpowiedział Cahoon lodowatym tonem.

Reżyser i jego asystent obserwowali plecy eleganta zarabiającego siedem i pół tysiąca dolarów tygodniowo. Hoyt minął bar, minął obrońcę Krety i dalej wycofywał się planowo. Szedł do studia Paramountu, gdzie jego fałszywy samolot miał płonąć sztucznym ogniem o dziesięć mil od hollywoodzkich wybrzeży Dover, na tle malowanych chmur.

- Gdybym przyjechał tutaj bez wrzodu żołądka, zdążyłbym nabawić się go do tej pory - westchnął Cahoon i zażądał rachunku.

W tej chwili Michael spostrzegł, że Laura zmierza w jego stronę. Z wielkim zainteresowaniem zaczął oglądać talerz, lecz Laura zatrzymała się przy wejściu do łoży.

- Nie poprosicie, żebym usiadła? - zapytała.

Michael podniósł wzrok bez słowa, ale Cahoon uśmiechnął się grzecznie.

- Jak się masz, Lauro? Przyłączysz się do kompanii?

Usiadła naprzeciw byłego męża.

- No, pora na mnie. Do jutra wieczór, Mike - powiedział Cahoon i zanim Whitacre zdążył zaprotestować, podpisał czek, wstał i wolno odszedł w stronę drzwi. Michael spoglądał tępo jego śladem.

- Mógłbyś być trochę miłszy - odezwała się Laura. - Rozwód nie wyklucza przyjaźni.

Whitacre patrzył na sierżanta, który pił teraz piwo przy barze i natrętnie, łakomie przyglądał się Laurze, poprzednio zaś obserwował jej przemarsz przez salę.

- Nie uznaję przyjacielskich rozwodów - powiedział Michael. - Jak rozwód, to rozwód: nieprzyjemny, wrogi.

Powieki Laury zatrzepotały.

„Mój Boże - pomyślał Michael. - Nie oduczyła się płakać”.

- Przyszłam, żeby cię ostrzec - podjęła drżącym głosem.

- Mnie? Przed czym? - spytał zaskoczony.

- Przed zbytecznym pośpiechem. Mam na myśli wojnę. Rozumiesz?

- Nie zgrzeszę zbytecznym pośpiechem.

- Chyba moglibyśmy się napić? - powiedziała nieśmiało.

- Kelner! - zawołał Michael. - Dwie whisky z wodą sodową.

- Zaraz się dowiedziałam, że przyjechałeś do Hollywood.

- Naprawdę?

Whitacre patrzył na sierżanta, który świdrował wzrokiem Laureę, od chwili gdy usiadła przy stoliku.

- Spodziewałam się, że mnie odwiedzisz - ciągnęła aktorka. „Ach kobiety, kobiety! - pomyślał. - Ich uczucia przypominają akrobatę cyrkowego spadającego w siatkę bezpieczeństwa. Nie trafi taki na właściwy trapez, zatoczy łuk w powietrzu i zaraz podskakuje równie wysoko, równie rześko jak zawsze”.

- Byłem bardzo zajęty - powiedział. - Jak ci się wiedzie?

- Nie najgorzej. Próbuję jedną rolę u Foxa.

- Powodzenia.

- Dziękuję.

Sierżant siedział teraz tyłem do baru i gapił się nie wykręcając szyi. Michael nie miał mu tego za złe, bo Laura w skromnej czarnej sukni i małym kapelusiku, osadzonym na tyle głowy, wyglądała naprawdę ładnie. Mundur podkreślał tępy wyraz twarzy sierżanta, posępny wyraz osamotnienia i beznadziejnych pragnień.

„Trafił tu zabłąkany na rozdrożach wojny - myślał Whitacre. - Może lada dzień wyślą go na jakąś wysepkę, o której nikt nigdy nie słyszał. Marnie zginie tam w dżungli albo miesiąc po miesiącu, rok po roku będzie gnił w kleszczach armii, w brutalnym, pozbawionym kobiet świecie. Zapewne nie zna ani jednej dziewczyny między Hollwood a Dubuque, a teraz ogląda cywila niewiele od siebie starszego, z

piękną kobietą w luksusowej knajpie... Maska żalnego gapia może kryć wizje, których ja jestem bohaterem... Oto zostaję w rodzinnym kraju. Beztrąsko wałaszam się po wytwornych barach. Pijam z jedną ładną dziewczyną po drugiej. Kocham się z nimi. W łózku, jak człowiek cywilizowany. Między białymi nakrochmalonymi prześcieradłami. A on? On poci się, płacze i umiera daleko, na obczyźnie...".

Na chwilę uległ szaleńczej pokusie. Miał ochotę podejść do sierżanta i powiedzieć szczerze: „Słuchaj. Wiem, o czym myślisz. Mylisz się całkowicie. Nie spędzę z tą dziewczyną ani najbliższej nocy, ani żadnej innej. Gdyby to ode mnie zależało, wysłałbym ją dziś z tobą. Przysięgam, bracie!". Oczywiście nie mógł tego zrobić. Mógł tylko patrzeć i czuć się winowajcą, jak gdyby otrzymał nagrodę nie przez siebie zdobytą. Siedząc ze swoją urodziwą eks-żoną zrozumiał, że od tej chwili jeszcze jedna gorzycz zaprawi jego gorzkie myśli. Ilekroć wejdzie do restauracji w kobiecym towarzystwie i zobaczy samotnego żołnierza, dręczyć go będzie sumienie. Ilekroć czule lub z tęsknotą wyciągnie ręce do dziewczyny, pomyśli, że kupuje ją za cudzą krew.

Laura uśmiechnęła się dyskretnie znad szklanki.

- Michael - zapytała - co robisz dzisiaj późnym wieczorem?

Whitacre z trudem oderwał wzrok od sierżanta.

- Pracuję. Skończ tę whisky. Bardzo mi już pilno.

Rozdział X

Bez wiatru mogłoby być całkiem znośnie. Christian kręcił się pod kocem. Na spękanych wargach czuł smak piasku. Wiatr porywał piasek z wyschniętych falistych wzgórz i miotał w oczy, usta, gardło, płuca.

Christian dźwignął się ciężko i usiadł otulony kocem. Światło. Bezlitosny chłód nocy trzymał jeszcze pustynię w szponach. Christian szczękał zębami. Nie wstając zaczął wykonywać sztywne ruchy, żeby się trochę rozgrzać. Z odrazą i podziwem patrzył na kilku żołnierzy śpiących spokojnie.

Hardenburg z pięcioma ludźmi leżał tuż pod grzbietem wzgórza. Nad skalistą, poszarpaną linię wysuwał tylko czubek głowy i przez lornetkę obserwował biwak po tamtej stronie. Był gotowy do skoku, czujny; wszystkie mięśnie miał napięte. Widać to było nawet przez obszerny, gruby płaszcz.

„Mój Boże! - pomyślał Christian. - Ten chyba nigdy nie śpi. Jak by to było pięknie, żeby Hardenburg poległ za dziesięć minut!

- Przez chwilę delectował się tym marzeniem, później westchnął.

- Szkoda gadać! Wszyscy możemy dziś zginąć, ale nie on. Wystarczy raz na niego spojrzeć i wiadomo, że dożyje zakończenia wojny".

Himmler, który dotychczas leżał obok porucznika, zsunął się z grzbietu wzgórza. Pełzał uważnie, żeby nie podnosić kurzu. Budził śpiących żołnierzy, szarpał ich, coś szeptał. Podnosili się z wolna i ruszali tak ostrożnie, jak gdyby byli w ciemnym pokoju, zastawionym delikatnymi naczyniami ze szkła.

Himmler na czworakach przywędrował do Christiana. Wyrzucił kolana do przodu i usiadł. Minę miał bardzo serio.

- On cię woła - szepnął, chociaż Anglicy byli o trzysta metrów.

- Dobrze - powiedział Diestl nie ruszając się z miejsca.

- Będzie kombinował, aż nas wszystkich wytluką - dodał Himmler.

Himmler stracił sporo na wadze. Twarz miał ogorzałą pod szczeciną zarostu, oczy zapadnięte głęboko, tragiczne. Od trzech miesięcy, kiedy pod Bardią przeleciały mu nad głową pierwsze pociski, dał spokój żartom, przestał błaznować dla rozrywki oficerów. Zdawać się mogło, że jakiś szczuplejszy, ponury kuzyn zawładnął jego

ciałem w chwili lądowania w Afryce, a pulchny, jowialny duch dawnego Himmlera został w bezpiecznym, cichym zakątku Europy, gdzie czeka, aby upomnieć się o swoją powłokę, jeżeli sierżant wróci kiedyś z wojny.

- Leży na brzuchu - szeptał Himmler - gapi się na Anglików i podśpiewuje.

- Podśpiewuje? - zdziwił się Christian.

- Nuci pod nosem. Uśmiecha się. Przez całą noc nie zmrużył oka. Od wieczora, jak zjechały na postój te samochody, patrzy przez lornetkę i ciągle się uśmiecha. - Przez ramię zerknął na porucznika. - W nocy nie można było uderzyć. Skąd znowu! To za proste. Bał się, że przegapimy chociaż jednego. Wolał leżeć przez dziesięć godzin, czekać dnia. Przynajmniej na pewniaka dostaniemy całą paczkę. Lepiej będzie wyglądał meldunek. - Z obrzydzeniem splunął na piach. - Będzie kombinował, aż wszystkich nas wytłuką. Zobacysz. Sam się przekonasz.

- Ilu jest Anglików? - zapytał Christian.

Odrzucił koc i sięgnął po starannie zawinięty pistolet maszynowy. Drżał jeszcze z zimna.

- Osiemdziesięciu - szepnął Himmler. - A nas trzynastu. Trzynastu! Tylko ten skurwysyn mógł wziąć na patrol trzynastu ludzi. Nie dwunastu, nie czternastu, nie...

- Nie śpią już? - przerwał mu Diestl.

- Nie śpią. Wystawili dokoła posterunki. Cud, że nas dotychczas nie wypatrzyli.

- Na co on czeka? - Christian spojrzał na porucznika, który leżał pod grzbietem wzgórze, skurczony niby zwierzę gotów do skoku.

- Spytaj go o to - syknął Himmler. - Może myśli, że nadejdzie Rommel, zobaczy wszystko na własne oczy i po śniadaniu zawiesi mu medal.

Porucznik zsunął się z grzbietu i wezwał Diestla niecierpliwym ruchem ręki. Christian zaczął czołgać się w stronę dowódcy. Himmler poszedł jego śladem.

- Sam musiał ustawić moździerz - zrzędził Himmler. - Mnie nie zaufał. Za słabo jestem wyszkolony. Pełzał, węszył, szukał najlepszego stanowiska na całym przeciwstoku. Jak Boga kocham! Niech go tylko zbada psychiatra! W dwie minuty drań będzie siedział w kaftanie bezpieczeństwa!

- Prędzej, prędzej! - syknął szeptem Hardenburg.

Christian zbliżył się i spostrzegł ze zdziwieniem, że porucznik ma minę człowieka szczęśliwego. Oczy połyskiwały mu radośnie. Był zarośnięty i czapkę miał zakurzoną, ale wyglądał tak, jak gdyby przespał smacznie co najmniej dziesięć godzin.

- Za minutę chcę widzieć wszystkich na stanowiskach - powiedział Hardenburg. - Nikt nie śmie drgnąć bez rozkazu. Pierwszy otworzy ogień moździerza. Dam znak ręką stamtąd, z góry.

Diestl stał na czworakach. Bez słowa skinął głową.

- Na ten sam znak karabiny maszynowe zajmą stanowiska na grzbiecie wzniesienia i rozpoczną ogień ciągły. Reszta ma też strzelać, póki nie dam rozkazu: „Przerwij ogień!”. Wszystko jasne, sierżancie?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Jak będę chciał skorygować moździerza, sam dam poprawki. Niech obsługa ma oczy otwarte i obserwuje mnie stale. Zrozumiano?

- Tak jest, panie poruczniku. Kiedy rozpoczniemy akcję?

- Jak zechcę i będę gotów. Obejdźcie teraz stanowiska, sprawdźcie, czy wszystko w porządku i wracajcie do mnie.

- Rozkaz, panie poruczniku.

Christian i Himmler zawrócili i popęzli w stronę moździerza między stosem pocisków a skurczoną z zimna załogą.

- Umrę dzisiaj szczęśliwy - westchnął Himmler - jeżeli ten skurwysyn przedtem nakryje się kopytami.

- Cicho bądź - burknął Diestl, bo drażniło go zdenerwowanie Himmlera. - Rób swoje, a porucznik niech sam martwi się o siebie.

- A ty nie martw się o mnie! - obruszył się Himmler. - I nie gadaj, że nic nie robię.

- Przecież tego nie powiedziałem.

- Ale chciałeś powiedzieć - atakował Himmler zadowolony, że znalazł domowego wroga i może na chwilę zapomnieć o osiemdziesięciu Anglikach biwakujących w odległości trzystu metrów.

- Stul pysk! - warknął Diestl i spojrzał na załogę moździerza.

Szeregowiec z ostatnich uzupełnień, Schroeder, raz po raz obrzydliwie rozdziawiał i zamykał usta. Ziewał nerwowo. Inni trzęśli się z zimna, ale widać było, że

są gotowi. Christian powtórzył rozkazy porucznika i ruszył dalej. Ostrożnie, by nie podnosić kurzu, podczołgał się do cekaemu na prawym skraju wzniesienia. I tutaj zastał wszystko w porządku. Trzej żołnierze obsługi czekali cierpliwie.

Ale noc spędzona w bliskim sąsiedztwie osiemdziesięciu Anglików ciężko zaważyła na wszystkich. Niska piaszczysta wydma niedostatecznie maskowała pojazdy - dwa samochody rozpoznawcze i półgąsienicowy wóz transportowy. Gdyby angielski samolot patrolujący z rana niebo pokazał się na widnokręgu i przypikował, zguba byłaby nieuchronna. Podobnie jak przez cały poprzedni dzień, żołnierze raz po raz zerkali niespokojnie na czysty bezmiar nieba gorejący teraz łuną wschodu. Na szczęście łuna ta była za nimi. Niskie, oślepiające słońce musiało utrudniać Anglikom obserwację z ziemi w ciągu najbliższej godziny.

Hardenburg prowadził patrol za linie angielskie po raz trzeci w ciągu pięciu tygodni, toteż Christian nie wątpił, że w dowództwie batalionu porucznik natrętnie zgłasza się na ochotnika. Wysunięte prawe skrzydło ruchomego frontu wśród pozbawionych wody piaszczystych bezdroży stanowiło spokojny odcinek, obsadzony przez drobne, odosobnione posterunki i sieć głęboko przenikających patroli. Było tam zupełnie inaczej niż w terenie nadmorskim, przeciętym ważną szosą i obfitującym w punkty wodne, gdzie panował tłok i po całych dniach i nocach grzmiąły działa i kosily samoloty.

„Pod pewnym względem - myślał Christian - lepiej przedstawiała się tamta wojna. W okopach rzezie następowały po rzeziach, ale wszystko było zorganizowane. Żołnierz regularnie dostawał żreć, wiedział, że działa określony plan, że niebezpieczeństwo może przyjść tylko w wiadomy sposób. W okopach nie byłbym zdany tak zupełnie na łaskę szalonego łowcy zaszczytów wojennych, takiego jak ten. - Spojrzał na Hardenburga, który leżał znów na dawnym miejscu i trzymał lornetkę przy oczach. - Ostatecznie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku ten maniak zostanie szefem sztabu generalnego. Biada wtedy niemieckim żołnierzom!\".

Ostrożnie pełznął w stronę dowódcy. Wreszcie przywarował obok niego nie wychylając głowy nad linię horyzontu. Czuć było słaby, cierpki zapach pogniecionych liści jakiegoś pustynnego krzewu, który kępkami uczepił się tu jałowej gleby.

- Wszystko gotowe, panie poruczniku - zameldował Diestl.
- Dobrze. - Hardenburg nawet nie drgnął.

Sierżant zdjął czapkę. Wolno, wolniutko podnosił głowę, póki nie wyjrzał na linię grzbietową wzgórza.

Anglicy przyrządzali herbatę. W kilkunastu niewielkich blaszankach napełnionych do połowy piaskiem zalany benzyną paliły się blade ogieńki. Żołnierze stali dokoła. Czekali trzymając w rękach kubki. Promienie słońca załamywały się na białej emalii, co stwarzało złudzenie ustawicznego ruchu. Z odległości trzystu metrów ludzie sprawiali wrażenie bardzo małych, a samochody malowane na ochronny kolor pustynny wyglądały jak dziecinne zabawki.

Na każdej ciężarówce żołnierz czuwał przy karabinie maszynowym osadzonym nad dachem szoferki na kolistej podstawie przeciwlotniczej. Poza tym scena przypominała piknik. Jak gdyby kilkudziesięciu mieszczuchów postanowiło zostawić w domu kobiety i na wycieczce spędzić niedzielny ranek. Koce leżały jeszcze koło samochodów, tam gdzie ich właściciele przesпали noc. Tu i ówdzie widać było żołnierzy zajętych goleniem.

„Marnotrawstwo - pomyślał mimochodem Christian. - Muszą mieć wody pod dostatkiem”.

Ciężarówek było sześć. Na pięciu, odkrytych, leżały skrzynki z racjami żywnościowymi. Szósta, osłonięta brezentem, przewoziła zapewne amunicję. Wartownicy z karabinami w rękach ciągnęli wolno w stronę ognia.

„Muszą się czuć bezpiecznie - myślał Diestl. - Są trzydzieści mil za własnymi wysuniętymi liniami. Wiozą zaopatrzenie dla posterunków na południu. To zwykła służba porządkowa. Nie okopali się, nie mają osłony z wyjątkiem samochodów. Trudno uwierzyć, że osiemdziesięciu ludzi może krzątać się tak długo i beztrosko przed wylotami luf nieprzyjaciela, który czyha tylko na znak, żeby ich wymordować. Groteskowa historia! Golą się, parzą herbatę. No, jeżeli w ogóle mamy zacząć, to teraz pora”.

Christian spojrział na Hardenburga. Porucznik uśmiechał się, i jak powiedział Himmler, nucił z cicha. Przylepiony do twarzy uśmiech był niemal tkliwy, jak gdyby człowiek dorosły przyglądał się niezdarnym ruchom niemowlęcia w kojcu. Ale Hardenburg nie dawał znaku. Sierżant ułożył się na piasku i zezując od czasu do czasu w stronę dowódcy obserwował nieprzyjaciela. Czekał.

Woda zaczynała się gotować. Wiatr porywał małe obłoczki pary. Anglicy skrupulatnie odmierzali małe porcje herbaty, cukru, skondensowanego mleka. Na

pewno przyrządziliby mocniejszy, słodszy napój, gdyby wiedzieli, że na obiad i kolację nic im nie będzie potrzebne. Tak pomyślał Christian i patrzył dalej. Od każdej grupki odłączał się żołnierz. Pieczołowicie odnosił do samochodu woreczki i puszki. Wszyscy, jeden po drugim, sięgali do kociołka z gorącym płynem. Napełniali kubki. Od czasu do czasu wiatr przynosił słabe echa rozmów i śmiechu. Anglicy siadali na ziemi i zabierali się do śniadania. Diestl oblizwał wargi. Przyglądał się nieprzyjaciołom, zaczynał im zazdrościć. Od dwunastu godzin nie miał nic w ustach, a gorącą kawę pił ostatni raz przed wyruszeniem na patrol. Teraz prawie czuł zapach i smak gęstej, krzepiącej herbaty.

Hardenburg leżał bez ruchu. Uśmiechał się, nucił. Na co czeka, u Boga Ojca? Żeby go nieprzyjaciół wypatrzył? Żeby nadleciał samolot? Chce walczyć zamiast zabijać wygodnie, bez ryzyka? Christian rozejrzał się dokoła. Żołnierze przycupnęli w sztywnych, nienaturalnych pozach. Zatroskanym wzrokiem spoglądali na dowódcę. Sąsiad z lewej strony przelykał ślinę, dziwnie jakoś głośno, sucho, metalicznie.

„Delektuje się - pomyślał Christian zerkając znów na Hardenburga. - Armia nie ma prawa oddawać żołnierzy pod komendę takich drani. I tak w wojsku jest wystarczająco źle”.

Anglicy rozproszeni dokoła samochodów jeden po drugim nabijali fajki, zapalali papierosy. Wzmogło to jeszcze atmosferę bezpieczeństwa i zadowolenia spowijającą sielankowy obrazek, a Christian tak zatęsknił do papierosa, że zabolalo go podniebienie.

Z daleka nie było dobrze widać poszczególnych ludzi, na ogół jednak sprawiali wrażenie typowych brytyjskich żołnierzy spod sztancy. Szczupli, niedużego wzrostu, ciężko i flegmatycznie poruszali się w obszernych płaszczach. Kończyli właśnie śniadanie, porządnie czyścili piaskiem menażki, by z kolei zabrać się do rolowania koców. Ci, którzy dotychczas czuwali przy karabinach maszynowych, złazili z ciężarówek, żeby się posilić. Na kilka minut wszystkie karabiny zostały bez obsługi.

„Aha - pomyślał Christian - na to czekaliśmy”. Szybko rozejrzał się dokoła, żeby skontrolować gotowość bojową. Nic się nie zmieniło. Żołnierze leżeli w tych samych co dawniej, niewygodnych pozach. Hardenburg spostrzegł zapewne, że Anglicy opuścili posterunki, lecz nie dał tego poznać po sobie. Podśpiewywał nadal, uśmiechał się szeroko.

„Ma ohydne zęby - pomyślał Christian. - Wielkie, koślawe, rzadko osadzone. Na pewno siorbie głośno przy picciu. I taki teraz z siebie kontent! To się rzuca w oczy. Leży, gapi się przez lornetkę, wykrzywia gębę uśmiechem. Wie, że wszyscy wpatrujemy się w niego, czekamy znaku, który skończy mękę oczekiwania. Wie, że nienawidzimy go, boimy się, nie możemy nic zrozumieć”.

Skrzywił się i zwrócił zmęczone oczy w stronę Anglików, żeby zatrzeć w pamięci obraz suchej, złośliwej twarzy porucznika. Posterunki przy karabinach maszynowych zajęli tymczasem nowi wartownicy. Jeden z nich, jasny blondyn bez czapki, palił papierosa i grzał się widać w coraz cieplejszych promieniach słońca, bo rozpiął kołnierz bluzy. Sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego z życia. Siedział niedbale na żelaznej burcie wozu, przyklepił papierosa do dolnej wargi, a ręką obejmował uchwyt karabinu maszynowego zwróconego wylotem lufy w kierunku Christiana.

„Stało się - dumiał załóżnie Diestl. - Facet zmarnował najlepszą okazję. I na co teraz czekać? Przy sposobności muszę dowiedzieć się o niego. Zapytam Gretchen. Co nim powoduje? O co mu chodzi? Dlaczego tak skwaśniał? Prędzej! Prędzej! - błagał bez słów dowódcę. - Daj znak! Pospiesz się! Daj znak!”. Ale Hardenburg ani drgnął.

Dwaj angielscy oficerowie oddalili się od biwaku. W rękach mieli łopatki i papier toaletowy.

Christian z trudem przetykał ślinę. Było mu zimno, zimniej niż po przebudzeniu. Raz po raz wzdrygał się nerwowo i nie mógł nad tym zapanować. Na wargach czuł smak piasku. Opuchnięty język zawadzał w ustach. Spojrzał na swoją rękę spoczywającą na kolbie pistoletu maszynowego i spróbował poruszyć palcami. Były jak gdyby cudze - odporne, nieporadne.

„Nic nie będę mógł zrobić - pomyślał z rozpaczą. - On da znak, a ja nie udźwignę pistoletu”.

Zaczął mrugać raz po raz, aż łzy napłynęły do obolałych oczu i cały obraz w dole - osiemdziesięciu Anglików, samochody i ognie - zmienił się w bezkształtną, mglistą masę.

To ponad siły. To nie do zniesienia! Leżeć nieskończenie długo, patrzeć, jak ludzie, których ma się wymordować, przyrządzają śniadanie, palą papierosy, opróżniają jelita... Tymczasem piętnastu lub dwudziestu żołnierzy rozproszyło się z dala od biwaku i przykucnęło z opuszczonymi spodniami. To porządek obowiązujący we wszystkich armiach. Jeżeli żołnierz nie załatwi się w ciągu dziesięciu minut po

śniadaniu, może nie znaleźć na to czasu przez resztę dnia. Maszerujesz, człowieku, na wojnę czysto zamiecionymi ulicami, w takt trąb i bębnow, pod rozwianymi sztandarami i nie przychodzi ci do głowy, co to znaczy wojna. A teraz leżysz od dziesięciu godzin w zimnym, ostrym piachu, nie tkniętym dotąd nawet stopą Araba, czekasz i patrzysz na kilkunastu Anglików, którzy z gołymi zadkami siedzą w kucki nad jamkami wygrzebanymi ze względów higienicznych w Pustyni Libijskiej. Brandt powinien by zrobić takie zdjęcie i posłać do „Frankfurter Zeitung”.

Tuż koło siebie Christian usłyszał osobliwy dźwięk. Powoli podniósł głowę. To Hardenburg chichotał.

Christian odwrócił się. Zamknął oczy. „Niech się to wreszcie skończy! - pomyślał. - Wszystko musi się kiedyś skończyć: chichotanie i Anglicy przy porannym sraniu, i porucznik Hardenburg, i Afryka, słońce, wiatr, wojna... Wszystko musi się skończyć!”.

Christian usłyszał hałas za sobą. Otworzył oczy i zobaczył wybuch pocisku z moździerza. Niewątpliwie Hardenburg dał znak. Pocisk trafił jasnowłosego chłopca, który po śniadaniu palił papierosa, i jasnowłosy chłopiec zniknął. Ciężarówka zaczęła dymić. Raz po raz pociski wybuchały między samochodami. Karabiny maszynowe zajęły stanowiska na grzbiecie wzgórza i ciągłym ogniem siekły biwak, a na przedpolu małe figurki nieprzytomnie uganiały na wszystkie strony. Anglicy, którzy siedzieli w kucki nad jamkami, w popłochu podciągali spodnie, biegli na tle skąpanego w słońcu piachu pustyni. Jeden z nich pędził prosto w kierunku wzniesienia.

Widocznie nie zorientował się, skąd padają strzały. Nagle zobaczył karabiny maszynowe, kiedy był od nich nie dalej niż sto metrów. Znieruchomiał na chwilę, a następnie zawrócił i podtrzymując spodnie jedną ręką, rzucił się do ucieczki. Ktoś zwałił go z nóg mimochodem, jak gdyby załatwiał drugorzędną sprawę.

Hardenburg chichotał raz po raz, a w przerwach wykrzykiwał poprawki dla moździerza. Angielski wóz amunicyjny trafiony dwoma pociskami stanął w kłębach dymu. Zaczęły się eksplozje. Odłamki żelaza przez minutę świstały nad grzbietem wzgórza. Anglicy leżeli rozproszeni przed swoimi ciężarówkami. Jakiemuś sierżantowi udało się poderwać kilkunastu ludzi. Potykając się biegli w stronę wzniesienia. Strzelali na oślep z biodra i spod pachy. Sierżant upadł zraniony, lecz strzelał dalej siedząc. Dopiero trafiony ponownie, zwinął się i zarył głową w piasek. Ludzie,

którymi dowodził, zawrócili i poczęli zmykać w stronę samochodów, lecz nim do nich dobiegli, karabiny maszynowe wykosiły wszystkich.

W dwie minuty później bezładny ogień Anglików ustał ostatecznie. Silny wiatr porywał dym z płonących samochodów i gnał na wschód od wzniesienia. Tu i ówdzie ranni poruszali się niezdarnie jak zgniecione pluskwy.

Hardenburg wstał i podniósł rękę. Strzały umilkły.

- Diestl! - odezwał się porucznik nie odrywając wzroku od palących się ciężarówek i zabitych Anglików. - Karabiny maszynowe mają strzelać dalej.

Christian stanął obok dowódcy.

- Nie zrozumiałem, panie poruczniku - powiedział bezdźwięcznym głosem.

- Karabiny maszynowe mają strzelać dalej.

Christian spojrzał na spustoszony biwak. Płomienie buchały z ciężarówek. Poza tym nie było widać żadnego ruchu.

- Rozkaz, panie poruczniku.

- Ostrzelać całe przedpole. Zejdziemy za dwie minuty. Nie chcę tam widzieć żywej duszy. Zrozumiano?

- Tak jest, panie poruczniku.

Diestl podszedł do karabinu maszynowego na prawym skrzydle, następnie do drugiego.

- Ogień ciągły. Nie przerywać bez rozkazu - powiedział obydwu obsłudgom.

Żołnierze spojrzeli spode łba na sierżanta i otworzyli ogień. Nerwowy grzechot karabinów maszynowych brzmiał dziwnie, jak gdyby nie na miejscu wśród ciszy, której nie przerywało ani jedno słowo, ani jeden strzał z innej broni. Żołnierze nie zajęci przy cekaemach wstawali jeden po drugim i przyglądali się niezwyklej scenie. Pociski siekały pustynię dokoła ciężarówek, szarpały trupy, rannych. Od czasu do czasu człowiek rzucał się kurczowo, podskakiwał na piasku. W pobliżu jednego z ogni, przy których gotowano herbatę, leżący dotychczas Anglik usiadł nagle. Tragicznie wyciągnął przed siebie ręce, przechylił w tył głowę i wrzasnął. Krzyk dosięgnął wzniesienia. Bolesną, osobistą nutą zakłócił miarowy rytm cekaemów. Obie obsługi przerwały ogień.

- Strzelać dalej! - rzucił sucho Hardenburg.

Karabiny maszynowe znów przemówiły. Seria pocisków przerwała w połowie ostatni śmiertelny ryk. Anglik runął na wznak.

Żołnierze patrzyli w posepnym milczeniu. Wszystkie twarze zdawały się urzeczony grozą.

Tylko Hardenburg wyglądał inaczej. Usta miał rozchylone, oczy przymknięte. Zęby połykiwały drapieżnie. Krótki, urywany oddech dobywał się z gardła. Christian próbował odnaleźć w pamięci podobny wyraz twarzy nieprzytomnej, upojonej rozkoszą. Gdzie i kiedy ją widział? Nagle przypomniał sobie: Gretchen! Gretchen w miłosnym uścisku!

„To muszą być kuzyni - pomyślał. - Właściwie są do siebie przerażająco podobni”.

Karabiny maszynowe czekały dalej miarowo, rytmicznie. Ludzie zaczęli przyzwyczajać się do tego hałasu, niemal jak do odgłosów warsztatu pracującego przez ścianę. Dwaj żołnierze znudzeni widać monotonna sceną sięgnęli po papierosy i zapalili spokojnie.

„Oto życie żołnierza - myślał Christian spoglądając na darte kulami ciała. - Na pewno nie przytrafiłoby się im nic podobnego, gdyby zostali w Anglii. Jutro może ja będę leżał na piasku, a jakiś cockney z londyńskiego East Endu naszpikuje mnie funtem ołowiu”.

W tej chwili uległ nagłemu przypływowi poczucia wyższości. Oczywiście, że Niemiec uważa się za lepszego od Polaków, Czechów, Rosjan, ale to nic wobec przewagi, jaką człowiek żywy odczuwa wobec martwego. Dobrze pamiętał przystojnych, butnych młodych Anglików, którzy zjeżdżali do Austrii na narty. W kawiarniach rozmawiali donośnie, z niezachwianą pewnością siebie. Ich głosy tłumiły gwar innych rozmów. Miał nadzieję, że przedstawiciel tych wielkich panów, jakiś oficer, leży dzisiaj na zakrwawionym piasku z rozprutym brzuchem i gołym zadkiem sterczącym w górę.

Hardenburg podniósł rękę.

- Przerwij ogień - rozkazał.

Karabiny umilkły. Celowniczy jednego z nich ociekał potem. Westchnął w nagłej ciszy głęboko, osuszył twarz i oparł rękę na lufie.

- Diestl!

- Rozkaz, panie poruczniku.

- Za mną! Wy i pięciu ludzi.

Ruszył w dół ślizgając się trochę po sypkim piachu. Szedł zboczem w stronę spokojnego już zagłębienia. Sierżant skinął na pięciu najbliższych stojących żołnierzy i pospieszył za porucznikiem.

Hardenburg sztywno maszerował ku angielskim ciężarówkom. Zdawać się mogło, że za chwilę przemówi do oddziału na zbiórze. Pistolet miał w kaburze. Rękami poruszał miarowo, w takt kroków. Diestl i piątka żołnierzy szli tuż za nim. Najpierw zbliżyli się do Anglika, który tak niedawno biegł jak opętany w ich kierunku, trzymając spodnie w garści. Dostał parę pocisków w klatkę piersiową. Białe i czerwone odłamki żeber sterczały między przesiąkniętymi krwią strzępami bluzy. Ale Anglik żył jeszcze. Tępo spoglądał w górę. Hardenburg wyjął z kabury pistolet, zarepetował i nie mierząc dokładnie, strzelił dwukrotnie w głowę. Ranny jęknął krótko. Twarz zniknęła. Porucznik schował pistolet i ruszył dalej. Sześciu żołnierzy leżało blisko siebie. Robili wrażenie trupów, ale dowódca rzucił: „Sprawdzić!”. Christian wystrzelił do nich kilka razy. Nic nie odczuwał przy tej mechanicznej robocie.

Powoli zbliżyli się do miejsca, gdzie tak niedawno Anglicy przyrządzali śniadanie. Diestl zauważył, że blaszanki są starannie podziurkowane, żeby wywołać przeciąg i jak najlepiej wykorzystać te prowizoryczne kuchnie. Bóg wie, ile galonów wody zagotowano na nich do dzisiaj! Pobojowisko pachniało mocną herbatą, spaloną wełną i przypieczonym kauczukiem. Czuć było także swąd zwęglonego mięsa, bo kilku żołnierzy pożar przyłapał w ciężarówkach. Jeden wyskoczył z szoferki cały w płomieniach. Leżał podparty na łokciu, a poczerwiałą, okopconą głowę trzymał wysoko, jak gdyby rozglądał się podejrzliwie. Gęsto padały tutaj pociski z mózdzierza. Obok jednego z samochodów, pośród herbaty, cukru i wołowej konserwy, leżała para nagich nóg urwanych niżej bioder i siłą eksplozji wyluskanych ze spodni.

Nieco dalej, oparty o koło samochodu, siedział człowiek z prawie odciętą, zwisającą na bok głową. Christian spojrzał mu w twarz. Była to twarz człowieka z ludu, o mocno zarysowanych mięśniach i często spotykanym u angielskich robotników wyrazie utajonego oporu i powierzchownej służalczości. Sztuczna górna szczęką wysunęła mu się z ust do połowy i jak gdyby szyderczym uśmiechem wykrzywiła wargi. Anglik był świeżo ogolony. Gładkie różowe policzki wyraźnie odbijały od włosów siwiejących na skroniach.

„Jeden z tych, co marnowali wodę - pomyślał Diestl. - Schludny żołnierz. Znajdzie się taki w każdej drużynie. No, dziś mógł się nie fatygować”.

Gdzieniedzie ranny poruszał ręką albo wydawał głuchy jęk. Żołnierze rozproszyli się i na pobojowisku gruchnęły strzały. Hardenburg zbliżył się do pierwszej ciężarówki, która niewątpliwie służyła dowódcy oddziału. Przez chwilę myszkował w szoferce poszukując papierów. Znalazł kilka map i pisanych na maszynie rozkazów oraz fotografię blondynki z dwojgiem dzieci. Załatwiwszy tę czynność podpalił samochód i stojąc obok Christiana przyglądał się płomieniom.

- Szczęście nam dopisało - odezwał się wreszcie. - Wybrali na postój akurat stosowne miejsce.

Uśmiechnął się. Christian odpowiedział uśmiechem. To nie operetkowa ofensywa na Paryż, nie Rennes ze służbą policyjną i czarnym rynkiem! Po to człowiek idzie na wojnę, po to jest tutaj. Trupy dokoła są realne, wymierne, cenne. Amerykanie niewiele już pomogą tym Anglikom.

- Dość! - zawołał Hardenburg do rozproszonych żołnierzy. - Jeżeli przegapiliście którego, niech ucieka do domu. Wracamy!

Ruszył pod górę. Sierżant szedł o krok za nim. Na tle nieba rysowały się sylwetki pozostawionych na wzgórzu żołnierzy. Stali i przyglądali się robocie kolegów.

„Są słabi, zagubieni - myślał serdecznie Christian - narażeni na tyle niebezpieczeństw, osamotnieni i tak bardzo mi potrzebni...”.

Po drodze minęli angielskiego oficera. Leżał na brzuchu i świecił gołymi pośladkami. Białe ciało było gładkie, delikatne, przywodziło na myśl pogwałconą brutalnie arystokratyczną wstydlivość.

- Pamiętacie? - uśmiechnął się Hardenburg. - Siedział w kucki i martwił się o dobry stolec. A jak wyglądał, kiedy usłyszał pierwszy strzał! Próbował biec. Jednocześnie podciągał portki i dawał znaki ręką. Kapitan jego królewskiej mości! Na pewno w Sandhurst nie uczyli go, jak oficer powinien postępować w takiej sytuacji.

Zaczął się śmiać i widocznie coraz żywiej odświeżał w pamięci zabawne wspomnienie, bo po chwili stanął zgięty wpół, z rękoma na kolanach. Nie mógł iść dalej. Z wysiłkiem chwytał oddech, a jego szaleńczy rechot ulatywał z wiatrem.

Diestl zawtórował dowódcy. Z początku próbował się opierać, ale porwany zaraźliwą falą uległ i bezradnie taczał się jak pijany. Inni widząc wesołość porucznika i sierżanta nie pozostali w tyle. Zachichotali nieśmiało, lecz bakcył śmiechu oddziaływał

na nich coraz silniej. Niebawem pięć żołnierzy, którzy towarzyszyli dowódcy, a także ludzie stojący koło karabinów maszynowych rycieli jednym opętańczym chórem. Donośny śmiech ogarniał zryte pobojuwisko i nieruchome zwłoki, ogarniał wygasłe ognie, rozrzuconą broń, krótkie łopaty, samochody w płomieniach i opartego o koło ciężarówki trupa, który siedział z przekrzywioną na bok, prawie urwaną głową i ze sztuczną szczęką tkwiącą między wykrzywionymi ironicznie wargami.

Rozdział XI

Pociąg toczył się leniwie pośród zasp śnieżnych i białych wzgórz Vermontu. W wagonie popsuło się ogrzewanie, toteż Noe siedział w płaszczu i dygotał przy oblodzonym oknie. Tępo spoglądał na zmieniający się powoli nudny krajobraz, szary na tle mglistego brzasku w dzień Bożego Narodzenia. W przepelnionym pociągu Noe nie dostał miejsca sypialnego, był więc zmęczony, brudny, obolały. Nie mógł się też ogolić, bo w toalecie zamarzła woda. Potarł rękawem szczeniaste policzki i pomyślał, że są czarne, odrażające, że na pewno ma przekrwione oczy, zaczerwienione powieki i brudny kołnierzyk. „Bodaj to lichy! - pomyślał. - W takim stanie zaprezentować się jej rodzinie!”.

Mila po mili tracił resztki pewności siebie. Na jakąś stację, gdzie był piętnastominutowy postój, wjechał pociąg idący w przeciwnym kierunku i Noe omal nie uległ szalonej pokusie, by wysiąść, wskoczyć do tamtego wagonu i uciec z powrotem do Nowego Jorku. Niewygody podróży, zimno, widok chrapiących pasażerów i ponurych wzgórz, które wylaniały się z chmurnej nocy - wszystko to oniesmielało go coraz bardziej. „Nic z tego nie będzie - powtarzał w myślach. - Nic z tego być nie może”.

Hope pojechała wcześniej, żeby utorować drogę. Od dwóch dni była w domu. Musiała już powiedzieć ojcu, że chce wyjść za mąż, a jej przyszły jest Żydem. Siedząc w brudnym wagonie Noe zmuszał się do optymizmu.

„Rozmowa zakończyła się chyba pomyślnie. W przeciwnym razie dostałbym telegram. Hope pozwala mi przyjechać. Na pewno załatwiła sprawę. Na pewno...”.

Po odrzuceniu go przez komisję wojskową Noe postanowił urządzić sobie życie inaczej, obrać drogę możliwie najrozumniejszą i przydatną dla społeczeństwa. Zaczął znów przesiadywać w bibliotekach, gdzie trzy lub cztery wieczory tygodniowo poświęcał studiowaniu podręczników technicznych i planów budownictwa morskiego. Radio i gazety trąbiły, że Ameryce potrzebne są okręty, okręty i jeszcze raz okręty. Cóż, jeżeli Noe nie nadaje się do walki, może przynajmniej budować. Nigdy w życiu nie widział światłodruku, a o spawaniu i nitowaniu miał ledwie mgliste pojęcie. Wszelkie autorytety dowodziły, że wyszkolenie stoczniowca pochłania miesiące uciążliwej pracy. Ale Noe uczył się z zimną furją, wkuwał na pamięć, dziesiątki razy

powtarzał na głos jedno i to samo, próbował w wyobraźni rysować plany. Był za pan brat z książkami i łatwo przyswajał sobie wiadomości, toteż po upływie miesiąca doszedł do wniosku, że może zgłosić się do stoczni, nałgać, że ma praktykę, zdobyć miejsce na rusztowaniu i w ten sposób zarobić na utrzymanie.

Oprócz pracy miał Hope. Z początku wstydził się trochę budować własne szczęście w czasie, kiedy wszyscy znajomi zmierzają ku okropnościom wojny. Jednakże abstynencja Noego Ackermana nie mogła się w niczym przyczynić do klęski Hitlera. Cesarz Japonii nie skapituluje ani o jeden dzień wcześniej, jeżeli on pozostanie kawalerem. A Hope piliła do małżeństwa.

Kochała jednak ojca i nie chciała wyjść za mąż bez jego zgody. Ojciec Hope! Człowiek pobożny, zagorzały wyznawca Kościoła prezbiteriańskiego, głęboko zakorzeniony w małym, surowym świątku, w którym żyć mu przyszło. Noe spojrzał wzdłuż przejścia i zagapił się na kaprała piechoty morskiej śpiącego z otwartymi ustami i nogami na oparciu poprzedniego fotela. „Ach, Boże! - westchnął. - Dlaczego świat jest taki skomplikowany?”.

Koło torów była cegielnia. Później mignęła długa, nieciekawa, gęsto zabudowana, biała od śniegu ulica, zakończona z obydwu stron spiczastymi wieżami kościołów. Potem Hope stała na peronie i w przesuwających się z wolna zamarzniętych oknach szukała wzrokiem jego twarzy.

Wyskoczył w biegu, pośliznął się na placku ubitego śniegu i balansując dla odzyskania równowagi omal nie upuścił starej torby podróżnej z imitacji skóry. Jakiś staruszek mocujący się z kufrem zburczał go gniewnie:

- To lód, młody człowieku! Lód! Nie można tańczyć na lodzie!

W tej chwili nadbiegła Hope. Miała zatroskaną minę. Nie pocałowała Noego, lecz przystanęła o dwa kroki i powiedziała:

- Ach, Noe! Jakiś ty zarośnięty!

- Woda zamarzała w toalecie - wyjaśnił z urazą.

Mierzyli się niepewnym wzrokiem. Noe popatrzył spieszenie dokoła, żeby sprawdzić, czy ktoś towarzyszy Hope. Na stacji wysiadło kilku pasażerów, ale godzina była wczesna, nikt więc nie wyszedł im na spotkanie. Odchodzili już zwawo. Peron należał tylko do Hope i Noego, nie licząc staruszka z kufrem.

„Kiepsko - pomyślał Noe. - Wysłali ją samą, żeby mi oznajmiła złą nowinę”.

- Jak udała się podróż? - zapytała dziewczyna nienaturalnym tonem.

- Doskonale.

Hope ubrana w starą jesionkę i chustkę zawiązaną ciasno na włosach wydała mu się zimna, obca. Z pokrytych śniegiem wzgórz wiał północny wiatr. Przenikał płaszcz Noego, jak gdyby to była najcieńsza bawełna.

- No i co? - zapytał Noe. - Spędzamy tutaj święta?

- Noe... - głos Hope drżał, chociaż starała się mówić spokojnie. - Noe, ja im nie powiedziałam.

- Czego? - zapytał niedorzecznie.

- Nic nie powiedziałam. Ani że masz przyjechać. Ani że chcemy się pobrać. Ani że jesteś Żydem. Nie wiedzą o twoim istnieniu.

Noe przełknął ślinę. Spojrzał na monotonne wzgórza. „Idiotycznie spędzam Boże Narodzenie” - pomyślał, zaraz jednak powiedział głośno:

- Nic nie szkodzi, Hope.

Nie miał pojęcia, dlaczego tak postąpiła, ale w jej zaróżowionej od porannego chłodu twarzy wyczytał tyle smutku, że uważał za stosowne pocieszyć ukochaną.

- Naprawdę nic nie szkodzi - powiedział tonem gospodarza, który mówi niezręcznemu gościowi, że zbity kieliszek to drobiazg bez znaczenia. - Nie ma się czym przejmować.

- Chciałam - mówiła tak cicho, że na wietrze ledwie ją było słyhać. - Próbowałam. Wczoraj wieczorem miałam już wszystko na końcu języka. - Żałośnie pokiwała głową owiniętą w chustkę. - Wróciliśmy z kościoła. Myślałam, że posiedzę sama z ojcem w kuchni. Tymczasem nadszedł mój brat. Wiesz, przyjechał z Rutland z żoną i dziećmi na święta. Zaczęła się rozmowa o wojnie i brat... To oczywiście skończony idiota... Brat zaczął dowodzić, że Żydzi wcale nie walczą, tylko korzystają z okazji i robią pieniądze. Ojciec nic nie mówił, ale kiwał głową. Nie wiedziałam, czy przyznaje rację, czy po prostu jest śpiący, jak co wieczór o dziesiątej. Nie mogłam się przemóc i...

- Nic nie szkodzi - znowu powtórzył Noe. - Naprawdę nic nie szkodzi.

Zaczął ruszać palcami kostniejącymi z zimna mimo rękawiczek. „Trzeba jak najprędzej zjeść śniadanie - pomyślał. - Marzę o filiżance kawy”.

- Nie mogę z tobą zostać - ciągnęła Hope. - Pilno mi do domu. Jak wychodziłam, wszyscy spali, ale na pewno zdążyli już wstać i niepokoją się, gdzie jestem. Pójdę z nimi do kościoła, a później spróbuję porozmawiać w cztery oczy z ojcem.

- Naturalnie - przyznał Noe z logiką chorego umysłowo. - Nikt nie potrafiłby nic lepszego wymyślić.

- Hotel jest po tamtej stronie ulicy - podjęła wskazując odległy o pięćdziesiąt jardów trzypiętrowy budynek. - Idź tam. Odpoczniesz, zjesz śniadanie. Przyjdę do ciebie o jedenastej, dobrze? - zapytała trwożliwie.

- Doskonale. Na pewno będę ogolony - uśmiechnął się promiennie, jak gdyby wymyślił coś dowcipnego i mądrego.

- Noe... Kochany - przysunęła się bliżej i położyła mu rękę na ramionach. - Przepraszam... Zawiodłam cię, zawiodłam!

- Nonsens - odpowiedział łagodnie. - Oczywisty nonsens.

Ale w głębi serca przyznawał jej słusność. Hope go istotnie zawiodła. To dziwne, bardziej dziwne niż przykre. Zawsze była tak godna zaufania, tyle miała odwagi. Prostota i szczerłość cechowała cały jej stosunek do niego. Jednakże nad rozczarowaniem i bólem, jaki sprawiał Noemu smutny, zimny ranek Bożego Narodzenia, górowała tajona radość, że nareszcie i Hope zawiodła. On zawiódł ją już nieraz i od czasu do czasu będzie zawodził w przyszłości. Od dzisiaj jednak zapanuje między nimi sprawiedliwa równowaga. On również będzie miał co wybaczać - do końca życia.

- Nie martw się, kochanie - powiedział z uśmiechem na zarośniętej, umorusanej twarzy. - Na pewno wszystko się dobrze skończy. Zaczekam tam na ciebie. - Ręką wskazał hotel. - Idź do kościoła i... i pomódl się też za mnie - dodał smutno.

Uśmiechnęła się przez łzy, odwróciła i odeszła. Nawet śnieg na chodniku i ciężkie boty nie krępowały jej różnych, pewnych kroków. Noe patrzył, jak idzie w stronę budzącego się domu, gdzie czeka ojciec o wątpliwych poglądach i gadatliwy, pewny siebie brat. Kiedy zniknęła za rogiem ulicy, wziął w rękę torbę i przez oblodzoną jezdnię ruszył w stronę hotelu. Otwierając drzwi przystanął na progu.

„Mój Boże! - pomyślał. - Zapomniałem życzyć jej wesołych świąt”.

Dopiero o pół do dwunastej rozległo się stukanie do drzwi pokoju. Był to mały, szary pokój z odrapanym, malowanym olejno żelaznym łóżkiem i kulawą umywalką.

Noe zapłacił za dobę dwa i pół dolara, wobec czego zostało mu na święta tylko trzy dolary siedemdziesiąt pięć centów. Wyjeżdżając z Nowego Jorku nie liczył się z kosztem noclegów. Ale sytuacja nie była beznadziejna, bo Noe miał bilet powrotny i przekonał się, że w Vermont jedzenie mało kosztuje. Za śniadanie z dwoma jajami zapłacił trzydzieści pięć centów. Mimo to jęknął, kiedy pomyślał o stanie swoich funduszów. Jak gdyby mało było kłopotów z wojną, miłością, z okrutną granicą, która oddzieliła Żydów od gojów blisko dwa tysiące lat przed tym kamiennoszarym dniem Bożego Narodzenia, ze zrozumiałą niechęcią ojca oddania córki obcemu... Na domiar złego jest jeszcze proste zadanie arytmetyczne: jak przeżyć święta mając w kieszeni mniej niż pięć dolarów?

Otwierając drzwi Noe wykrzywił twarz, bo chciał powitać Hope uśmiechem, jak mu się zdawało, pogodnym. Ale to nie była Hope, tylko portier hotelowy, starszy mężczyzna o pomarszczonej czerwonej twarzy.

- W holu czeka pan z panią - oznajmił zwięźle i szybko odszedł korytarzem.

Noe przejrzał się w lustrze, trzema nerwowymi ruchami przyglądał włosy, poprawił krawat i wyszedł z pokoju. Skrzypiące schody pachniały pastą do podłóg i smażonym boczkiem. „Z jakiej racji - myślał po drodze - ojciec przy zdrowych zmysłach miałby mi powiedzieć: «Tak»? Mój majątek to trzy dolary, obca religia i ciało uznane przez rząd za nie nadające się do niczego. Brak mi określonego zawodu i celu w życiu. Chcę tylko żyć z jego córką, kochać tę córkę. Nie mam rodziny, wykształcenia, przyjaciół. Mam za to gębę, która nie może mu się spodobać, i słaby, zająkliwy głos o fatalnym akcencie, którego uczyłem się po całych Stanach w najgorszych szkołach i ordynarnych towarzystwach”.

Dawniej już bywał w podobnych miastach i wiedział, jacy tam wyrastają ludzie: dumni, twardzi, zamknięci w sobie i swoim klanie. Z pogardą i obawą patrzą na zalewające kraj hordy cudzoziemskich koczowników, a historie rodzinną mają równie starą jak kamienie i belki miast, w których osiedli. Nigdy, jak kontynent amerykański długi i szeroki, Noe nie czuł się bardziej obcym niż w chwili, kiedy zszedł schodami do hotelowego holu i zobaczył swoich gości. Siedzieli na drewnianych bujających fotelach i przez okno obserwowali zaśnieżoną ulicę. Na dźwięk kroków obydwójce wstali.

„Jest blada - pomyślał Noe przeczuwając katastrofę. - Bardzo blada”.

Wolno zbliżył się do ojca i córki. Pan Płowman był wysoki, przygarbiony. Wyglądał tak, jak gdyby przez całe życie pracował nad obróbką kamienia i żelaza, a w

ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat nie wstawał później niż o piątej rano. Miał czworokątną nieprzeniknioną twarz i zmęczone oczy spoglądające chłodno zza okularów w srebrnej oprawie.

- Ojczy, to jest Noe - powiedziała Hope.

Pan Płowman nie objawił życzliwości ani niechęci, wyciągnął jednak rękę, a Noe uściśnął ją gorąco. Była twarda, sękata.

„Niech się co chce dzieje - pomyślał Noe - nie będę zebrał. Nie będę kłamał. Nie chcę udawać lepszego niż jestem. Powie tak, bardzo dobrze. Powie nie...”. Zabrakło mu odwagi i nie dokończył myśli.

- Miło mi pana poznać - odezwał się ojciec Hope.

Stali we troje sztywno, nieporadnie. Portier gapił się z nie ukrywanym zaciekawieniem.

- Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jak porozmawiam trochę z panem Ackermanem - podjął Płowman.

- Tak - szepnęła Hope.

Noe słysząc jej zdławiony, drżący głos pomyślał, że wszystko przypadło.

Ojciec rozejrzał się dokoła i spoglądając na wpatzonego w nich portiera powiedział:

- To nie najlepsze miejsce. Może zrobimy mały spacer? Sądzę, że pan Ackerman i tak chciałby zobaczyć nasze miasto.

- Tak, proszę pana - bąknął Noe.

- Zaczekam tutaj - dodała Hope.

Usiadła na bujanym fotelu, który zatrzeszczał niepokojąco. Portier skrzywił się z dezaprobatą. Noe pomyślał, że przez długie lata suchy zgrzyt drewna będzie go prześladował w trudnych momentach.

- Wrócimy za pół godziny, córko - oznajmił Płowman.

„Córko!” Zupełnie jak w kiepskiej komedii z życia farmerów w tysiąc dziewięćsetnym roku. Noe uśmiechnął się blado, otworzył drzwi i za panem Płowmanem wyszedł na ośnieżoną ulicę. Miał wrażenie, że gra trudną rolę w fantastycznym melodramacie. Na chwilę mignęła mu twarz Hope, która siedziała w hotelowym hallu i z zatroskaną miną spoglądała w okno.

Na dworze było zimno, dął przejmujący wiatr. Pan Płowman i Noe szli uprzątniętym chodnikiem. Wolno, poważnie mijali wystawy zamkniętych sklepów. Przez kilka minut nie odzywali się słowem. Od czasu do czasu pod butami skrzypiał śnieg, który uniknął jakoś szufli. Wreszcie ojciec Hope przemówił.

- Ile pan płaci za hotel? - zapytał.

- Dwa pięćdziesiąt.

- Za dobę? ' .

- Tak.

- Rozbój na prostej drodze! Ale tacy są wszyscy hotelarze.

Znowu zapadło milczenie. Noe szedł sztywno i po drodze czytał szyld: „Marshall - Pasza i nasiona”, „Drogeria - F. Kinne”, „J. Gifford - Garderoba i konfekcja męska”, „Wirgiliusz Swift - Biuro porad prawnych”, „John Harding - Rzeźnik”, „Piekarnia - W. Walton”, „Oliver Robinson - Stolarska i Zakład Pogrzebowy”, „N. West - Artykuły spożywcze i kolonialne”.

Spoglądał na surową twarz towarzysza, chłodną i nieruchomą pod staroświeckim świątecznym kapeluszem. Później przenosił wzrok na szyldy. Nazwiska kupców i rzemieślników raniły go niby gwoździe wbijane systematycznie przez pracowitego cieślę. Każde było napaścią, murem, odmową, zatrutą strzałą, wymówką.

„Stary obrał subtelny drogę milczenia - myślał Noe. - Chytrze poznaje mnie z zamkniętym w sobie światem pospolitych angielskich nazwisk. Ze światem Hope. Pyta bez słów, jak pasować tu będzie Ackerman - nazwisko przywiezione z zamętu Europy, osamotnione, bezpańskie, wydziedziczone; nazwisko przypadkowe, bez ojca i domu rodzinnego, bez korzeni i tradycji. Wolałbym już rozmawiać z wymownym bratem Hope. Ten przynajmniej gadałby, złościł się, sypał dobrze znanymi argumentami. Wolałbym to niż cichy, podstępny atak starego Jankesa”.

W milczeniu minęli dzielnicę handlową. Dalej był trawnik, a za nim odrapany dom z czerwonej cegły, porośnięty uschniętym bluszczem.

- Hope chodziła do tej szkoły - oznajmił Płowman wskazując kierunek sztywnym gestem głowy.

Noe spojrział na brzydką budowlę ocienioną starymi dębami. Jeszcze jeden wróg! Nowy przeciwnik, co od dwudziestu pięciu lat czyhał w zasadzce. Nad głównym wejściem widniała dewiza wyryta na zapleśniałej kamiennej płycie. Noe przeczytał

zezem: „Musicie poznać prawdę”. Pociemniałe litery powtarzały to pokoleniom Płowmanów, którzy przychodzili tutaj po naukę czytania i pisania i dowiadywali się, że ich przodkowie stali dumnie na skałach Plymouth w pewien burzliwy dzień w siedemnastym wieku. „Musicie poznać prawdę, a prawda was wyzwoli”. Noemu wydało się, że ojciec odczytuje te słowa. Prawie usłyszał głos zza grobu, głos retora upojonego własną wymową.

- Kosztowała dwadzieścia trzy tysiące dolarów w tysiąc dziewięćset czwartym roku - ciągnął ojciec Hope. - W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym Urząd Oświaty chciał ją zburzyć. Wybudować nowy gmach. Nie pozwoliliśmy. Po co wyrzucać w błoto pieniądze podatników? To całkiem dobra szkoła.

Dalej szli bez słowa. O mniej więcej sto jardów Noe zobaczył kościół. Smukła dzwonnica rysowała się ostro na tle porannego nieba.

„Tam otrzymam decydujący cios - pomyślał zrozpaczony młodzieniec. - Stary zachował na koniec swój najgroźniejszy oręż. Na cmentarzu leży co najmniej pięćdziesięciu Płowmanów. W ich obecności usłyszę ostatnie słowo”.

Kościół zbudowany z białego drewna stał skromnie na pokrytych śniegiem spadzistych trawnikach. Był dyskretny, chłodny. Nie wołał do Boga wielkim głosem jak strzelające w niebo katedry Francuzów lub Włochów. Zwracał się do Stwórcy poufnie, rozsądnie, w beznamietnym, szczerym tonie.

Pan Płowman zatrzymał się o pięćdziesiąt kroków przed kościołem.

- No, chyba dosyć spaceru - powiedział. - Chce pan wracać?

- Tak - zgodził się Noe.

Był zaskoczony, zdziwiony. Mechanicznie szedł w stronę hotelu nie rozglądając się po drodze. Cios nie padł jeszcze i nic nie wskazywało, kiedy padnie. Noe zerknął z ukosa na towarzysza. Granitowe rysy wyrażały skupienie i jak gdyby niepokój. Stary biedzi się, z trudem szuka w myślach stosownych, chłodnych, mądrych słów, którymi da odprawę konkurentowi córki. Będą to słowa uczciwe, lecz stanowcze, rozsądne, lecz nieodwołalne.

- Młody człowieku, dopuszczasz się okropnego czynu - powiedział ojciec Hope, a Noe poczuł, że zaciska zęby, jak gdyby gotował się do walki. - Wystawiasz na próbę zasady starego człowieka. Nie będę ukrywał. Dziękowałbym Bogu, gdybyś odszedł, wszedł do pociągu, wrócił do Nowego Jorku i nigdy więcej nie zobaczył Hope. Nie zrobisz tego, prawda? - przenikliwie spojrzął na towarzysza.

- Nie zrobię, proszę pana.

- Domyślam się. Nie przyjechałbyś tutaj, gdybyś miał to zrobić. - Odetchnął głęboko i patrząc pod nogi na oczyszczony ze śniegu chodnik szedł powoli obok Noego. - Przepraszam za nasz nudny spacer po mieście. Ale widzisz, człowiek żyje na ogół mniej lub więcej automatycznie. Tylko czasami musi powziąć decyzję. Zadaje sobie wtedy pytanie: „W co ja naprawdę wierzę? Mam rację, czy nie mam?”. Do tego właśnie byłem zmuszony przez ciebie. Męczyłem się trzy kwadranse i wcale ci za to nie jestem wdzięczny. Nigdy nie znałem Żydów, nie miałem z nimi do czynienia. Więc przyglądałem się tobie i próbowałem rozstrzygnąć, co naprawdę myślę. Czy uważam Żydów za wyjątkich dziko pogan, czy za chytrych szachrajów, czy... Hope jest zdania, że przyzwoity z ciebie człowiek, lecz młode dziewczęta często się mylą. Przez całe życie byłem przekonany, że jeden człowiek jest równie dobry jak drugi, ale, chwała Bogu, do dziś dnia nigdy nie musiałem wprowadzać w czyn tej zasady. Gdyby ktoś inny przyjechał tutaj i powiedział, że chce się żenić z Hope, odrzekłbym: „Proszę do domu. Virginia upiekła na obiad indyka”.

Doszli tymczasem do hotelu. Noe nie zorientował się, bo uważnie słuchał głosu i słów starego człowieka. Ale drzwi otworzyły się i wybiegła z nich Hope. Twarz miała zatroskaną, niespokojną. Stała przed ojcem i spojrzała mu w oczy. On zatrzymał się również, wierzchem dłoni powoli ocierał usta.

Noe czuł się tak, jak gdyby wstał po długich tygodniach choroby. Widział nazwiska ze sklepowych szyldów, tych Giffordów, Swiftów, Robinsonów. Widział sztywny, nieładny kościół i te same nazwiska na płytach cmentarnych. Słyszał monotony głos pana Płowmana. Wszystko to wraz z sylwetką przerażonej, bladej Hope stało się nagle nie do wytrzymania. Wyobraził sobie ciepły, nieporządnie sprzątnięty pokój w pobliżu rzeki, książki, stare pianino... ogarnęła go bolesna tęsknota.

- I co? - zapytała Hope. .

- Nic - zaczął powoli ojciec. - Właśnie powiedziałem panu Ackermanowi, że jest dziś indyk na obiad.

Uśmiech rozjaśnił twarz dziewczyny. Przysunęła się i pocałowała ojca.

- Co, u Boga Ojca, robiliście tak długo?

Noe zrozumiał mgliście, że wszystko odwraca się na dobre, lecz w pierwszej chwili nic nie odczuł. Zbyt był oszołomiony i zmęczony.

- Młody człowieku - powiedział pan Płowman. - Zabieraj swoje rzeczy. Nie ma sensu napychać kieszeni tym rabusiom.

- Tak - wyjąkał Noe. - Tak... Oczywiście.

Jak we śnie wszedł na schodki wiodące do hotelu. Otworzył drzwi i odwrócił głowę. Hope trzymała za rękę uśmiechniętego ojca. Był to uśmiech trochę wymuszony i żaloszny, lecz bądź co bądź uśmiech.

- Ach, zapomniałem! Wesołych świąt! - rzucił Noe i ruszył po swoją torbę podróżną.

Rozdział XII

Komisja rekrutacyjna mieściła się na przestronnym pustym poddaszu nad grecką restauracją. Śmierdziało tam przysmażoną oliwą i niekoniecznie świeżą rybą. Podłoga była brudna. Gołe żarówki oświetlały składane krzesła i poplamione biurka, przy których dwie znudzone, brzydkie sekretarki wystukiwały na maszynie formularze. Przepierzenie z desek oddzielało tę poczekalnię od miejsca obrad komisji, skąd dobywał się pomruk głosów. Na drewnianych krzesłach siedziało kilkanaście osób; niemłody mężczyzna w ciemnym garniturze, ubrany w skórzaną wiatrówkę włoski wyrostek z matką, jakieś młode parki trwożnie trzymające się za ręce.

„Wszyscy wyglądają jak złowieni w pułapkę - myślał Whitacre. - Są obrażeni i smutni. Ze wstrętem patrzą na papierową amerykańską flagę i te powielane i drukowane obwieszczenia na ścianach. Każdy chciałby mieć wrodzoną wadę organiczną albo liczną rodzinę na utrzymaniu. Kobiety asystujące tym ludziom - żony i matki - mierzą oskarżycielskim wzrokiem innych mężczyzn. Zdają się mówić: «Przejrzałam cię na wskroś. Jesteś zdrow jak koń i masz pełno pieniędzy w bankowym schowku. Mimo to chcesz, żeby mój mąż albo syn poszedł za ciebie. Ale nie wywiniesz się, bratku, nie wywiniesz!»".

Otworzyły się drzwi, za którymi urzędowała komisja. Do poczekalni wszedł drobny, ciemnooki chłopiec z matką. Matka płakała. Zaczerwieniona twarz chłopca wyrażała gniew i przestach. Wszyscy spojrzeli na niego chłodno, taksująco. Oczyma wyobraźni zobaczyli trupa na polu walki, świeży drewniany krzyż, dzwoniącego do drzwi listonosza z telegramem w rękę. W spojrzeniach tych nie było litości, tylko posępne zadowolenie: „No, przynajmniej jeden cwaniak nie nabrał komisji!”

Na biurku jednej z sekretarek maszyna zagrzechotała i umilkła. Brzydka dziewczyna z dużym nosem i mocno uszmkowanymi wargami wstała i tępo spojrziała przed siebie.

- Michael Whitacre! - zawołała matowym, ostrym głosem. Wstając z krzesła Michael zauważył, że sekretarka ma kabłąkowate nogi i obwarzanki na lichych pończochach.

- Whitacre! - powtórzyła głośniejszym, zirytowanym tonem.

Michael uśmiechnął się przyjemnie i posłał jej od ust całusa.

- Nie gniewaj się, piękna panienko, już jestem w drodze - powiedział.

Spojrzała na niego chłodno, z poczuciem wyższości. Michael nie wziął jej tego za złe.

„Przedstawicielka państwa - myślał idąc do drzwi - musi gardzić zwykłym obywatelem. To objaw powszechny. A zresztą ta brzydula ma teraz władzę; wysyła na śmierć mężczyzn, chociaż jak długo żyje, żaden mężczyzna nie spojrzał na nią łaskawie. Wszystkie uciśnione mniejszości, Murzyni, mormoni, nudyści, niekochane kobiety, znajdują takie lub inne dziwaczne zadośćuczynienie. Trudno ją winić. Tylko święta mogłyby zachować się przyzwoicie na posadzie sekretarki komisji rekrutacyjnej”.

Otworzył drzwi i zirytował się na siebie, bo ze zdziwieniem poczuł, że nogi się pod nim uginają. Z niepewną miną stanął naprzeciw siedmiu mężczyznom siedzących za długim stołem. Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Zobaczył twarze zupełnie inne niż w poczekalni. Tam był strach, niechęć i tępy opór. Tutaj bezwarunkowa podejrzliwość i nieubłagane, narastające wciąż okrucieństwo. Michael patrzył obojętnie na obce, niezyczliwe twarze.

„Z żadnym z nich nie gadałbym w żadnych innych okolicznościach - myślał. - Moi sąsiedzi! Kto ich wynalazł? Skąd się wzięli? Dlaczego tak im zależy, by wysłać na wojnę współobywateli?”.

- Proszę siadać, panie Whitacre, bardzo proszę - odezwał się przewodniczący i sztywnym ruchem ręki wskazał wolne krzesło przy końcu stołu.

Był stary, otyły. Miał gąbczastą, nalaną twarz, obwisły podbródek i złe, świdrujące oczki. Nawet „bardzo proszę” powiedział zaczepnym, obrażającym tonem.

„Ciekawe, w jakiej wojnie ty walczyłeś?” - pomyślał Michael siadając na wskazanym krześle.

Inne twarze zwróciły się ku niemu jak wyloty dział na krążowniku sposobiącym się do bombardowania.

„Zdumiewające - myślał Whitacre. - Od dziesięciu lat mieszkam w jednej dzielnicy i jak żyję, nie widziałem żadnego z tych sąsiadów. Może czyhali, kryli się w piwnicach, czekali na właściwy moment?”.

Na ciemnej długiej ścianie za plecami komisji wisiała flaga amerykańska - tym razem z prawdziwej tkaniny. Stanowiła barwną plamę, a na jej tle pośpnie odbijały szare lub granatowe marynarki i twarze o żółtawej cerze. Michael wyobraził sobie nagle tysiące podobnych lokali, jak kraj długi i szeroki. Wyobraził sobie tysiące podobnych komisji. Szpakowaci, podejrzliwi panowie o lodowatych twarzach siedzą za stołem. Nad ich łysinami flaga znaczy kolorowy prostokąt, a naprzeciwko nich stają pochwyceni w pułapkę wystraszeni chłopcy i młodzi ludzie, tysiące chłopców i młodych ludzi! To chyba najpospolitsza scena, najbardziej oklepany symbol tysięcy dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Chytraść, brak zaufania, niechęć, uraza, strach, okrucieństwo spotykają się w obskurnych izbach, a nudnym formalnościami uroku i blasku dodaje jedynie zapowiedź ran i śmierci.

- Otóż, panie Whitacre - rozpoczął przewodniczący, a że był krótkowidzem, pochylił się nad teczką z aktami. - Ubiegał się pan o kategorię 3A pod pretekstem, że jest pan żywicielem rodziny. - Bystro spojrział na Michaela, jak gdyby go pytał: „Gdzie pistolet, z którego zastrzeliłeś denata?”.

- Tak - powiedział Michael.

- Doszło do naszej wiadomości - podjął przewodniczący donośnym głosem - że pan nie żyje z żoną. - Triumfalnie rozejrzał się dokoła. Kilku jego kolegów przytaknęło kiwając żywo głowami.

- Jesteśmy rozwiedzeni.

- Rozwiedzeni! Dlaczego ukrywał pan ten fakt przed nami?

- Posłuchajcie, panowie - odparł Michael. - Oszczędzę wam wiele czasu. Mam zamiar zaciągnąć się do wojska.

- Kiedy?

- Zaraz po premierze sztuki, nad którą obecnie pracuję.

- To znaczy kiedy? - rzucił cierpko mały, okrągły człowieczek siedzący po przeciwnym końcu stołu.

- Za dwa miesiące. Nie wiem, co jest w moich papierach, ale mam na utrzymaniu matkę i ojca, a ponadto muszę płacić alimenty i...

- Pańska żona - przerwał szorstko przewodniczący zaglądając do teczki z aktami - zarabia pięćset pięćdziesiąt dolarów tygodniowo.

- Jeżeli pracuje - uzupełnił Whitacre.

- W ubiegłym roku przepracowała trzydzieści tygodni.

- Zgadza się. Ale w bieżącym ani jednego.

- Cóż, musimy brać pod uwagę prawdopodobne dochody - powiedział przewodniczący. - Pańska żona pracowała przez pięć ostatnich lat, trudno więc oczekiwać, by teraz miała próżnować. - Znowu zajrzał w papiery. - Utrzymuje pan także, że jest żywicielem rodziców, prawda?

- Tak - westchnął Michael.

- Doszło do naszej wiadomości, że pański ojciec pobiera rentę: sześćdziesiąt osiem dolarów na miesiąc.

- I to się zgadza. A próbował pan kiedy *wyżyć* w dwie osoby za sześćdziesiąt osiem dolarów na miesiąc?

- Wszyscy powinni ponosić ofiary w czasach tak trudnych jak obecnie - odrzekł z godnością przewodniczący.

- Nie będę się z panem spierał. Powiedziałem przecież, że zgłoszę się za dwa miesiące.

- Dlaczego postanowił pan jednak wstąpić do wojska? - zapytał przez stół jeden z członków komisji i zza binokli spojrział surowo na Michaela, jak gdyby szykował się do odparowania ostatniego wykrętu.

Michael objął wzrokiem siedem niechętnych twarzy.

- Dlaczego? - westchnął. - Nie wiem. Może panowie mi powiedzą?

- To wystarczy, panie Whitacre - zakończył przesłuchanie przewodniczący.

Michael wstał i ruszył ku drzwiom. Czuł na sobie siedem par podejrzliwych, nieprzychylnych oczu. „Ci ludzie są pod wrażeniem, że ich okpiłem - pomyślał. - Woleliby złapać mnie od razu. Byli nawet na to przygotowani”.

Wszyscy siedzący w poczekalni spojrzeli bystro na Michaela. Byli zdziwieni, że wychodzi po tak krótkiej rozmowie. Uśmiechnął się, chciał nawet zażartować, ale powstrzymał się w porę. Wesołość byłaby okrucieństwem wobec wystraszonych, zdenerwowanych chłopców.

- Dobrej nocy, piękna panienko - rzucił pod adresem brzyduli za biurkiem; tej satysfakcji nie mógł sobie odmówić.

Odpowiedziała spojrzeniem miażdżącej wyższości. Jako kobieta nie będzie powołana, by zginąć za ojczyznę, słusznie więc uważała się za lepszą od mężczyzny, któremu może się to przytrafić.

Whitacre uśmiechnął się schodząc z poddasza, ale był przygnębiony. „Należało zaciągnąć się pierwszego dnia - myślał. - Nie powinienem narażać się na takie sceny”.

Był łagodny wieczór późnej zimy. Michael czuł się brudny, podejrzany, kiedy wymijał na chodniku spacerujące pary, nieświadome nędznej, podstępnej wojny, która toczy się dla ich dobra o kilka domów dalej, na brudnym strychu nad grecką garkuchnią.

Trzeciego dnia znalazł w skrytce na listy urzędowe pismo komisji rekrutacyjnej.

„Na własne żądanie zostanie pan przeszeregowany i z dniem 15 maja 1942 roku otrzyma pan kategorię I A”.

Przeczytał i wybuchnął śmiechem. A jednak ci ludzie wyszli zwycięsko z fiaska przygotowanej kampanii. Jadąc windą do domu Michael odczuł dziwną ulgę. Teraz przynajmniej nie będzie musiał sam decydować o sobie.

Rozdział XIII

W łagodnym świetle brzasku Noe otworzył oczy i spojrzał na żonę.

„Śpi - pomyślał - jak gdyby strzegła wielkiej tajemnicy. Hope, Hope, Hope... Była zawsze małą dziewczynką bardzo serio. Chodziła po tamtym białym, zbudowanym z drewna miasteczku i zawsze miała taką minę, jak gdyby spieszyła dokądś we własnych celach. Może ukrywała w zakamarkach domu rozmaite skarby: pióra, zasuszone kwiaty, staroświeckie ilustracje z «Harper's Bazaar», wizerunki dam z turniurami... Człowiek nie wie o małych dziewczynkach. Inaczej byłoby, gdybym miał siostry. Ale żona wychodzi ze skarbnicy własnych przeżyć i doświadczeń. Równie dobrze mogłaby przybyć z tybetańskich gór albo z klasztoru we Francji. Co robiła Hope, kiedy ja paliłem papierosy na strychu «Wojskowej Szkoły dla Chłopców» pułkownika Drury („Przyjmujemy chłopców - zwracamy mężczyzn")? Zapewne poważnie mijała cmentarz, na którym liczni Płowmanowie spoczywają pod darnią... I co więcej? Jeżeli światem rządzi jakiś plan, przygotowywała się dla mnie, przygotowywała się, by dzisiaj o świcie spać u boku Noego Ackermana. A ja przygotowywałem się dla niej. Jeżeli światem rządzi jakiś plan... Trudno w to uwierzyć! Gdyby Roger nie poznał Hope (gdzie i jak się spotkali?), gdyby pół żartem, pół serio nie postanowił urządzać przyjęcia, żeby koledze znaleźć dziewczynę, gdyby sprowadził wtedy inną z dziesiątka znajomych kobiet, nie leżałbym teraz koło Hope. Przypadek to jedyne prawo życia. Roger śpiewał:

Wiem, robisz oczko jak ta lala

I kulinarny talent los także ci dał.

Ale czy forsa nie nawala,

To tylko wiedzieć bym chciał.

Teraz marnieje na półwyspie Bataan na Filipinach, jeżeli w ogóle żyje. A my jesteśmy w pokoju Rogera, nawet w łóżku Rogera, wygodniejszym niż moje. Moje łóżko przechylało się zawsze na prawy bok. Wszystko zaczęło się w chwili, kiedy w bibliotece sięgnąłem po tom Yeatsa *Czaple jajo i inne sztuki*. Gdybym wyciągnął rękę po inną

książkę, nie potrafiłbym Rogera, nie zamieszkałbym tutaj, nie poznał Hope, a ona może leżałaby teraz obok innego mężczyzny, który patrzyłby na nią i tak jak ja powtarzał: «Kocham ją, kocham!». Boże! Na myśl o tym wszystkim można dostać obłędu. Nie ma żadnego planu dla miłości, walki, śmierci, dla niczego. Istnieje tylko wzór matematyczny; człowiek plus jego zamiary równa się przypadek. Ale i w to niełatwo uwierzyć. Musi być jakiś plan chytrze zamaskowany, jak splot intrygi w dobrze napisanej sztuce. Może w momencie zgonu człowiek rozwiązuje zagadkę i mówi: «A, teraz wiem, dlaczego autor wprowadził tę postać w pierwszym akcie.»

Bataan, Bataan...trudno wyobrazić sobie, że Roger odpowiada komukolwiek: «Tak jest, panie kapitanie!». Trudno wyobrazić go sobie w hełmie. Zawsze widzę na głowie Rogera stary, pogięty filcowy kapelusz, włożony z fantazją na bakier. Nie potrafię myśleć o Rogerze w błotnistym wnętrzu strzeleckim, o pociskach ryjących dżunglę obok człowieka, który potrafił na fortepianie grać Beethovena. Nie potrafię myśleć o kłesce Rogera nawet na wojnie. Był urodzonym zwycięzcą, dlatego zapewne, że zwycięstwa w jakiegokolwiek dziedzinie nie uważał za sprawę pierwszorzędnej wagi. Po prostu bawił się powodzeniem. Trudno sobie wyobrazić, że Roger krzyczy w przedśmiertnej męce, że pada rozdarty pociskiem mózdzierza albo trafiony w pierś serią z karabinu maszynowego. Trudno sobie wyobrazić, że się poddaje. Mój Boże! Zdaje mi się, że słyszę, jak odpowiada Japończykowi, który wezwał go do złożenia broni: «Co takiego? Kpisz, frajerze?». Trudno wyobrazić sobie mogiłę Rogera pod palmami lub jego ogniłą z biegiem czasu, nagą czaszkę, grzęznącą w tropikalnym bagnie. Czy Roger całował kiedy Hope? Bardzo prawdopodobne. Roger i... i ilu innych? Tajemnicza twarz na poduszce. Zamknięta księga. Ilu mężczyzn pożądała dotychczas? Jakie marzenia snuła leżąc samotnie na wąskim łóżku w Vermont czy Brooklynie? Ilu mężczyzn i chłopców leży teraz samotnie na wyspach Oceanu Spokojnego - nieżywych? Ilu chodzi po ziemi, ale polegnie gdzieś na szerokim świecie w tym albo przyszłym roku? Ilu spośród nich Hope lubiła, pragnęła? Ilu widywała w romantycznych snach? Za iloma tęskniła?

Która to godzina? Kwadrans po szóstej. Jeszcze pięć minut w łóżku. Dziś prawie święto. Nie będzie nerwowego stukotu młotów pneumatycznych do nitowania. Nie będzie wiatru na rusztowaniach ani syku i blasku aparatów acetylenowych w stoczni w Passaic. Wiedział, że ma stanąć przed komisją rekrutacyjną i jeszcze raz przejść badania

lekarskie na Wyspie Gubernatorskiej. Machina urzędowa powtarzała się niby obdarzony słabą pamięcią urzędnik bankowy, który wielekroć sumuje jedną kolumnę liczb. Znowu Wassermann, znowu palce chirurga niedbale obmacują pachwiny: «Zakasać. W porządku. Nie ma przepukliny». Znowu znudzony psychiatra rzuci półgębkiem: «Nie mieliście nigdy stosunków z mężczyznami?». Upokarzające, niedorzeczne pytanie. Czy władze wojskowe są zdania, że stosunki pomiędzy mężczyznami mogą być tylko przeciwne naturze?

Co mam powiedzieć o moich stosunkach z Rogerem albo z Vincentem Monanty, majstrem z mojej zmiany w stoczni, który stawia mi piwo i nad kuflem chwali się, że w Wielkim Tygodniu w tysiąc dziewięćset szesnastym roku zerwał flagę brytyjską z urzędu pocztowego w Dublinie? Co mam powiedzieć o moich stosunkach z ojcem żony? Przecież w prezencie ślubnym przysłał mi komplet dzieł Emersona wybrany ze swojej biblioteki. Co mam powiedzieć o moich stosunkach z własnym ojcem- rozpustnikiem, kłamcą i prorokiem, co z Odessy przewędrował pół świata, a obecnie jest garstką popiołu w tekturowym pudle, zapomnianym na półce krematorium gdzieś w Kalifornii? Co mam powiedzieć o moich stosunkach z Hitlerem, Rooseveltem, Jeffersonem, pułkownikiem Drury, który w szarym, odrapanym budynku szkolnym pod Detroit wypijał co wieczór kwartę whisky, a raz powiedział kończącej nauki klasie: «Istnieje tylko jedna cnota - odwaga. Mężczyzna powinien z miejsca reagować na zniewagę. Innych mężczyzn nie uznaję». Co mam powiedzieć o moich stosunkach z synem, nie poczętym dotychczas, lecz utajonym w tym miękkim łóżku gdzieś między Hope a mną? Czy ów syn będzie z miejsca reagował na zniewagę? I kto go znieważy, kiedy, z jakiego powodu? Czy i na niego czeka samotny grób na odległej wyspie? Czy nie odlana jeszcze kula powali kiedyś mojego jeszcze nie narodzonego syna? Czy na innym kontynencie istnieje nie obleczona jeszcze w ciało dusza, która w jakimś późniejszym dziesięcioleciu wieku spojrzy na mojego syna przez celownik karabinu? I do jakiego boga kapłan zwróci się podczas ceremonii pogrzebowej? Do Chrystusa, Jehowy? Do kogo? A może będzie to modlitwa podstępna, dwulicowa, jak stawka asekurującego się ostrożnie szulera: «Wielki Boże, bez względu na to, kim jesteś, przyjmij duszę zmarłego młodzieńca do takiego raju, jakim władasz». Zabawna historia. Leżę obok niedawno poślubionej dziewczyny i kłopotuję się o pogrzeb dziecka, które nie zapowiedziało jeszcze swojego przybycia. Przedtem czekają nas jeszcze

inne problemy. Czy nasz syn będzie ochrzczony? A może obrzezany? «Ty psie obrzezany!» - czytałem w pierwszej klasie na stronicach *Ivanhoe*. W Budapeszcie podczas pogromów, kiedy rząd rewolucyjny upadł w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, motłoch zdierał spodnie podejrzanym o żydostwo i mordował każdego, kto był obrzezany. Biedni chrześcijanie, co poddali się temu zabiegowi ze względów higienicznych! Pewno nienawidzili Żydów równie mocno jak ich kaci. Ale nie było rady: ginęli z racji wspólnej, zgodnej nienawiści. Trzeba dać spokój Żydom. Ile razy człowiek zacznie myśleć, wszystko jedno o czym, zawsze kończy na jednym i tym samym. Czy był okres dziejów, kiedy Żyd mógł uniknąć takich myśli? Kiedy? Może w piątym wieku przed Chrystusem?

Szósta dwadzieścia. Pora wstawać. Prom o generalskim nazwisku czeka u nadbrzeża, a na zielonej wyspie lekarze i specjaliści od prześwietlenia i kauczukowa pieczęć z napisem: «Niezdolny». Jak było w dawniejszych wojnach, przed odkryciem promieni Roentgena? Ilu żołnierzy spod Shiloh miało blizny na płucach i nikt o tym nie wiedział? Ilu chorych na wrzód żołądka walczyło pod Borodino? Ilu bohaterów z Termopil odrzuciłyby dziś komisje lekarskie ze względu na skrzywienie kręgosłupa? Ilu wojaków z kategorią 4 F padło pod murami Troi? No, pora wstawać!".

Hope zaczynała się poruszać. Odwróciła się w stronę męża i położyła mu rękę na ramieniu. Powoli, wracając z niebytu, upominała się w półśnie o swoje prawo własności. Wodziła ręką po piersiach i brzuchu Noego.

- Łóżko - mruknęła widocznie w związku z czymś, o czym śniła przed przebudzeniem.

Noe uśmiechnął się i mocno przygarnął ją do siebie.

- Która godzina? - zapytała dotykając wargami jego ucha. - Już rano? Musisz iść?

- Już rano - odpowiedział - i muszę iść. Ale - uśmiechnął się i mocniej przytulił dobrze znajome smukłe ciało - ale myślę, że armia poczeka na mnie piętnaście minut.

Kiedy klucz zgrzytnął w zamku, Hope myślała włosy. Przyszła z pracy i zobaczyła, że mąż nie wrócił jeszcze z Wyspy Gubernatorskiej, czekała więc na niego i nie zapalając

światła krzątała się po domu w półmroku letniego zmierzchu. Miała głowę pochyloną nad wanną i oczy zalepione mydlaną pianą, gdy usłyszała kroki Noego w pokoju.

- Noe! - zawołała. - Jestem tutaj!

Szybko okręciła włosy ręcznikiem i naga stanęła w progu. Noe miał twarz skupioną, opanowaną. Delikatnie położył dłonie na jej ramionach, wilgotnych jeszcze po spłukaniu włosów.

- Stało się? - zapytała.

- Tak.

- A prześwietlenie?

- Widać nie wykazało niczego - odpowiedział spokojnym, rzeczowym tonem.

- Nie powiedziałaś, co było poprzednim razem?

- Nie.

Chciała zapytać dlaczego, lecz powstrzymała się, bo niejasno, intuicyjnie odgadywała powód.

- Powiedziałaś chociaż, że pracujesz w kluczowym przemyśle wojennym?

- Nie.

- Sama im wszystko powiem! - zawołała. - Pójdę tam! Pójdę! Żeby człowieka z bliznami w płucach...

- Cicho, kochanie, cicho - przerwał jej łagodnie.

- To nonsens - podjęła starając się mówić logicznie, jak w akademickiej dyskusji. - Niedługo zaczniesz kwękać. Będziesz tylko ciężarem, zawadą. Tak czy inaczej, nie zrobią z ciebie żołnierza...

- Mogę spróbować. A nuż się uda. Nie chciałem odmawiać wojsku tej szansy. A zresztą - pocałował żonę za uchem - już zrobili ze mnie żołnierza. Zaprzysięgli mnie dzisiaj o ósmej wieczorem.

- Więc co tu robisz? - cofnęła się zdziwiona.

- Każdy dostaje dwa tygodnie na uregulowanie swoich spraw prywatnych - wyjaśnił rzeczowo.

- Czy w żaden sposób nie zdołam cię przekonać? Nie odwołasz się od decyzji komisji poborowej?

- Nie - odpowiedział cicho, prawie szeptem.

- Niech ich piekło pochłonie! - zawołała. - Dlaczego nie załatwili sprawy od ręki, za pierwszym razem? Dlaczego ci dranie nie mogą postępować jak ludzie z olejem w głowie? - krzyczała pod adresem komisji poborowych, lekarzy wojskowych, pułków w polu i polityków we wszystkich stolicach świata, pod adresem wojny i czasu, i własnej przyszłej męki.

- Cicho, kochana, cicho - powiedział znów Noe. - Tylko dwa tygodnie przed nami. Nie wolno ich marnować. Jadłaś już kolację?

- Nie. Przecież myję włosy.

- Kończ więc prędko. - Noe przysiadł na krawędzi wanny i smutno uśmiechnął się do żony. - Pójdziemy dzisiaj na kolację. Słyszałem o knajpie przy Drugiej Alei, gdzie dają steki najlepsze pod słońcem. Trzy dolary porcja, ale...

Hope padła mężowi do kolan. Mocno oplotła go rękami.

- Kochany! Najdroższy! Jedyny!

Pogładził ją po nagim ramieniu, jak gdyby chciał utrwalić ten kształt w pamięci.

- Wiem już, jak ureguluję swoje sprawy prywatne - powiedział głosem, w którym prawie wcale nie było słycać drżenia. - Na dwa tygodnie zrobimy sobie urlop. Pojedziemy do Cape Cod. Dobrze? Wynajmiemy rowery, będziemy robić wycieczki. Będziemy pływać w morzu i codziennie jadać tylko trzydolarowe steki. Nie płacz, kochana. Proszę cię, nie płacz.

Hope wstała z klęczek. Mrugnęła kilka razy.

- Dobrze - odpowiedziała. - Widzisz, już nie płaczę. Nie będę płakać. Za kwadrans jestem gotowa. Poczekasz na mnie?

- Oczywiście. Ale pospiesz się. Umieram z głodu.

Hope odwinęła ręcznik i kończyła suszyć włosy. Noe przyglądał się siedząc na krawędzi wanny. Od czasu do czasu zerkała w lustro na odbicie mizernej, skupionej twarzy. Dobrze wiedziała, że na długie, długie lata pozostanie jej w pamięci ten właśnie

beznadziejny i tkliwy wyraz męzowskich rysów - obraz utrwalony w chwili, kiedy Noe siedział na krawędzi porcelanowej wanny w nie posprzątaney, jasno oświetlonej łazience.

Dwa tygodnie spędzili w Cape Cod w czystym aż do przesady schronisku turystycznym, gdzie maszt z amerykańską flagą zdobił mały trawniczek. Na kolację jadał homara z wody albo miejscowy przysmak: raki morskie duszone z jarzynami. Wylegiwali się na białym piasku, pływali w zimnej, roztańczonej wodzie, wieczorami zaś uczęszczali pilnie do kina. Nigdy nie rozmawiali o kronikach, nie wymieniali zdań na temat śmierci, klęski i zwycięstw pokazywanych na drżącym ekranie i opiewanych buńczuczny, modulowanym głosem komentatora. Na wynajętych rowerach odbywali długie wycieczki nadbrzeżnymi szosami i śmiali się, ilekroć mijała ich pełna żołnierzy trzytonówka. Wojacy gwizdali w dowód uznania dla zgrabnych nóg Hope, a pod adresem jej męża krzyczeli: „Czołem, panie cywil! Jaką masz kategorię? Niedługo się spotkamy!”.

Nosy im się złuszczyły, włosy zeszywniały i pojaśniały od soli. Kiedy wieczorami kładli się do śnieżnobiałej pościeli w krytym gontami domku, ich nagie ciała pachniały morzem i słońcem. Prawie do siebie nie mówili, a dwa tygodnie zdawały się ogarniać całe lato, cały rok, wszystkie przeżyte lata. Czas zataczał łagodną spiralę wśród piaszczystych ścieżek i karłowatych jodeł, pośród gry słonecznych i gwiazdnych blasków na figlarnych falach, które pieścił delikatny powiew. Wiatr płynął od Vineyard i Nantucket, i od rozświetlonego oceanu, gdzie spokój zakłócały tylko mewy i żagle małych jachtów, i latające rybki swawolące w wodzie.

Następnie dwa tygodnie skończyły się nagle i trzeba było wracać. W Nowym Jorku ludzie byli bladzi, wyczerpani, zgnębieni upałem, toteż w porównaniu z nimi Noe i Hope czuli się zdrowi i silni.

Ostatniego rana Hope o szóstej przyrządziła kawę. Siedzieli naprzeciw siebie i popijali gorący, cierpki płyn z ogromnych kubków, które były ich pierwszą wspólną inwestycją domową. Później Hope szła obok męża przez puste słoneczne ulice, chłodne jeszcze wspomnieniem nocy, do obskurnego baraku, gdzie komisja rekrutacyjna miała swoją siedzibę.

Zamyśleni, dalecy już sobie, pocałowali się na pożegnanie. Noe wszedł do baraku i przyłączył się do niewielkiej grupki otaczającej biurko starszawego jegomościa. Człowiek ów służył zagrożonej ojczyźnie w ten sposób, że dwa razy na miesiąc wstawał o świcie, by

udzielać ostatnich cywilnych instrukcji i wręczać bezpłatne bilety kolei podziemnej partiom rekrutów, którzy z lokalu komisji odjeżdżali na wojnę.

Noe wyszedł na ulicę i z kolumną pięćdziesięciu zatroskanych towarzyszy włókł się niechętnie w stronę odległej o kilka domów stacji metra. Przechodnie spieszący do codziennych zajęć, do sklepów i warsztatów, po gospodarskie zakupy, do sprzątnia, gotowania, robienia pieniędzy - patrzyli na rekrutów ciekawie i z niejaką grozą. Podobnie mogliby się gapić osiadli mieszczaństwo na ciągnącą ich ulicami gromadę pielgrzymów, którzy spieszą z jakiejś nieznannej krainy na tajemnicze i porywające uroczystości religijne.

Z wejścia do stacji kolei podziemnej Noe zobaczył Hope. Stała przed oknem kwiaciarni, w którym stary mężczyzna ustawiał gliniane dzbany geranii i duże błękitne wazon z mieczykami. Poranny wietrzyk igrał z suknią Hope, niebieską w barwne kwiaty. Szyba wystawowa połyskiwała w słońcu, więc Noe nie mógł dojrzeć wyrazu twarzy żony. Spróbował przeciąć jezdnię, lecz przewodnik wyznaczony dla grupy przez starszego jegomościa z komisji rekrutacyjnej zawołał:

- Nie rozłazić się, chłopcy. Nie rozłazić!

„Co mógłbym jej powiedzieć albo ona mnie?” - pomyślał Noe.

Zamachał ręką, a w odpowiedzi Hope podniosła nagie, opalone ramię. Noe dostrzegł wtedy, że jego żona nie płacze.

„No, popatrzcie, ludzie, nie płacze” - rzekł do siebie i zeszedł pod ziemię. Przed sobą miał młodego chłopca nazwiskiem Tempasta, za sobą trzydziestopięcioletniego Hiszpana, który nazywał się Nuncio Aguilar.

Rozdział XIV

Ruda kobieta, której nie pocałował przed czterema laty, pochyliła się nad Michaeliem i obdarzyła go całusem. Obudził się wspominając mile marzenie senne i rudowłosą zjawę.

Ukośne promienie słońca przenikały do pokoju szparami po bokach opuszczonej rolety i oprawiały okno w ramę złotych drobin pyłu. Michael przeciągnął się i złowił uchem pomruk siedmiu milionów ludzi wędrujących ulicami i korytarzami miasta. Wstał, podreptał po dywanie w stronę okna i podniósł zasłonę.

W soczystych, ciepłych blaskach wczesnego lata kąpały się ogródki i podwórka na tyłach domów, spłowiałe cegły starych murów, bluszcz pokryty kurzem i wyblakłe pasiaste markizy nad małymi tarasami, gdzie lokatorzy magazynowali połamane meble i rośliny w doniczkach. Naprzeciw okna Michaela stała na takim tarasie mała, pulchna kobietka w średnim wieku, ubrana w pomarańczowy kapelusz ogrodowy i stare białe spodnie, pociesznie opinające wydatny zadek. Wolno pochyliła się nad doniczką pelargonii, zerwała kwiat, ułożyła na dłoni i jak gdyby oplakując jego zgon, smutno pokiwała głową. Później zdrowa i zadowolona z życia spojrzała na swój miejski ogródek, odwróciła się i trzęsąc okrągłościami weszła do domu przez oszklone drzwi zasłonięte storą.

Whitacre uśmiechnął się kontent, że jest pogoda, że rudowłosa piękność pocałowała go wreszcie, że w ogródku naprzeciwko tłusta kobiecina z powabnym, ruchliwym tyłeczkiem litowała się nad zwiędłą pelargonią.

Umył się nie żalując zimnej wody i boso, w piżamie podreptał przez gabinet do drzwi, aby otworzyć je i na podeście schodów znaleźć numer „Timesa”.

Kształtne, eleganckie czcionki „Timesa” zawsze przypominały Michaelowi mowy starszych wziętych adwokatów. Tego dnia na pierwszej stronie gazety podano, że Rosjanie trzymają się mocno mimo dotkliwych strat; na francuskim wybrzeżu zaobserwowano liczne pożary wywołane bombami lotnictwa brytyjskiego; w Egipcie sytuacja jest chwiejna; ktoś odkrył nową metodę produkowania kauczuku syntetycznego

w ciągu siedmiu minut; tylko trzy okręty zatoneły na Atlantyku; burmistrz Nowego Jorku poparł racjonowanie mięsa; ludzie żonaci winni liczyć się z możliwością powołania do szeregów; tempo działań japońskich chwilowo osłabło.

Whitacre zamknął drzwi, wygodnie usiadł na kanapie i odwróciwszy stronę gazety stracił z oczu krew nad Wołgą, atlantyckich topielców, żołnierzy ślepnących pośród piasków Egiptu, kauczuk syntetyczny, pożary we Francji, ograniczenia rosbefu. Zainteresował się wiadomościami sportowymi. Drużyna piłki nożnej Dodger - jak zawsze ambitna mimo przemęczenia - zwycięsko wyszła z jeszcze jednego dnia zacieklej wojny. Mimo nerwowej atmosfery meczu i awantur z sędzią wygrała spotkanie w Pittsburgu.

Zadzwoił telefon. Michael skoczył do gabinetu i podniósł słuchawkę.

- W lodówce jest szklanka soku pomarańczowego - przyplynał po drucie głos Peggy. - Pomyślałam, że miło ci będzie to usłyszeć.

- Dziękuję - odpowiedział. - Ale, ale, panno Freemantle! Na prawej półce z książkami zauważyłem kurz.

- Tere-fere-kuku!

- Słowo daję, wyczerpująca odpowiedź! - Michael delektował się wesołym, dobrze znanym głosem Peggy. - Ciężką masz dziś harówkę?

- Urabiam ręce po łokcie. Ładnie się popisałeś, kiedy odchodziłam. Leżałeś na grzbiecie w rozchełstanej piżamie. Pocałowałam cię na do widzenia.

- Uroczą jesteś! A co ja zrobiłem?

Po krótkiej pauzie głos Peggy zabrzmiał matowym, trochę smutnym tonem:

- Zasłoniłeś twarz rękami i wymamrotałeś: „Nie chcę... Nie chcę”. Michael przestał się uśmiechać. Zakłopotany potarł ucho.

- Ojciec sen robi nam różne psikusy - powiedział.

- Byłeś zalękniony. Nawet mnie wystraszyłeś - podjęła Peggy.

- „Nie chcę... Nie chcę...” - powtórzył z namysłem Whitacre. - Czego, u licha, nie chciałem? W każdym razie teraz nie jestem zalękniony. Pogoda dopisuje, Dodger wygrywa w Pittsburgu, luba przygotowała mi sok pomarańczowy...

- Co masz zamiar dziś zrobić? - przerwała.

- Niewiele. Będę wałęsał się po mieście, gapił w niebo, przyglądał kobietom.
Trochę popiję. Spiszę testament...

- Ach, dałbyś spokój! - przerwała poważnym tonem.

- Bardzo przepraszam.

- Cieszysz się, że zadzwoniłam? - spytała ze świadomą kokieterią.

- Cóż, ten telefon był nieunikniony - odpowiedział przekornie.

- Wypchaj się trocinami, dobrze?

- Peggy!

Roześmiała się wdzięcznie.

- Zaprosisz mnie na kolację? - zapytała.

- Jak ci się zdaje?

- Myślę, że mnie zaprosisz. Przyjdź w szarym garniturze.

- W szarym? Jest przetarty na łokciach.

- Przyjdź w szarym garniturze. Lubię go.

- Zrobione!

- A co ja mam włożyć?

Po raz pierwszy w czasie rozmowy głos Peggy był niepewny, zatroskany, dziewczęcy. Michael zachichotał cicho.

- Z czego się śmiejesz? - zapytała ostro.

- Powtórz to. Jeszcze raz specjalnie dla mnie powiedz: „Co ja mam włożyć?”.

- Dlaczego?

- Bo twoje „co ja mam włożyć” bawi mnie, cieszy i budzi tkliwe współczucie dla ciebie i wszystkich kobiet na ziemi.

- Widzę - roześmiała się Peggy - że wstałeś dzisiaj z łóżka prawą nogą.

- Masz zupełną słuszność.

- A więc: co ja mam włożyć? Niebieską sukienkę w kwiaty, beżowy kostium z kremową bluzką czy...

- Niebieską sukienkę w kwiaty.

- Taka stara!
- Niebieską sukienkę w kwiaty.
- Dobrze. Włosy upięte czy rozpuszczone?
- Rozpuszczone.
- Ale...
- Rozpuszczone!
- Mój Boże! - westchnęła. - Będę wyglądała, jakbyś mnie wyłowił z rzeki Harlem.

Nie strach ci, że zobaczą nas twoi znajomi?

- Trudno, zaryzykuję.
- Tylko proszę cię, nie pij za dużo i...
- Daj spokój, Peggy.
- Przez cały dzień będziesz się wałęsał, żegnał z drogimi przyjaciółmi...
- Peggy! Słowo daję...
- Pilnuj się, bo do wojska powędrujesz zalany w pestkę.
- Będę się pilnował.
- Cieszysz się, że zadzwoniłam? - Głos Peggy dźwięczał znowu tonem pensjonarskiej kokieterii.
- Tak, bardzo się cieszę, że zadzwoniłaś.
- Tylko tego chciałam się dowiedzieć. Wypij sok pomarańczowy - powiedziała i przerwała połączenie.

Michael wolno odkładał słuchawkę. Uśmiechał się i wspominał Peggy. Przez chwilę siedział myśląc o niej. Potem wstał i przez gabinet pospieszył do kuchni. Nastawił wodę i odmierzając trzy czubate łyżki kawy wdychał z lubością uwięziony w puszcze aromat. Następnie szykował boczek, jaja, krajał bułkę na grzanki. W przerwach pociągał długie łyki zimnego soku z pomarańcz i nucił wesołą melodię bez słów. Lubił przygotowywać śniadanie. Krzątał się wtedy sam po swoim kawalerskim mieszkaniu. W rozpiętej piżamie, bosy, dreptał po chłodnej podłodze kuchni. Pięć plastrów boczku rzucił na dużą patelnię i umieścił nad małym płomykiem gazowym.

W gabinecie zadzwonił telefon.

- Bodaj to diabli!

Michael odstawił z ognia boczek i wszedł do gabinetu. Niemal bezwiednie, jak mu się to często zdarzało, zwrócił uwagę, że pokój jest bardzo przyjemny: wysoki sufit, dwa weneckie okna umieszczone naprzeciwko siebie, a pod ścianami wszędzie regały, na których kolorowe okładki książek tworzą subtelny, delikatny wzór...

- Halo - odezwał się podnosząc słuchawkę.

- Hollywood, Kalifornia, wzywa pana Whitacre'a.

- Whitacre przy telefonie.

- Michael, mój kochany... - głos Laury, głęboki i nienaturalny, przepłynął z drugiego końca kontynentu.

- Dzień dobry, Lauro - westchnął cicho Michael.

- W Kalifornii jest siódma - powiedziała Laura tonem mimowolnej urazy. - Wstałam o siódmej rano, żeby z tobą pomówić.

- Serdeczne dzięki.

- Wiem wszystko. Robią z ciebie szeregowca. To okropne.

- Nie takie znów okropne - uśmiechnął się Michael. - Całe tłumy znajdują się w analogicznej sytuacji.

- Ale prawie wszyscy stąd są co najmniej majorami.

- Wiem - obruszył się Michael. - Może to właśnie powód, żeby zostać szeregowcem.

- Przestań pozować na potwornego oryginała! - wybuchnęła. - Na pewno nie wytrzymasz. Znam twój żołądek.

- Trudno - odpowiedział poważnie. - Żołądek musi wstąpić do wojska ze wszystkimi częściami mego ciała.

- Pojutrze będziesz tego gorzko żałował.

- Bardzo być może.

- Za dwa dni trafisz do aresztu. - Laura podniosła głos. - Sierżant powie coś, co ci się nie spodoba, a ty mu dasz po pysku. Dobrze cię znam.

- Posłuchaj - odrzekł tonem perswazji. - W wojsku nikt nie bije po pysku sierżantów. Ja też tego nie zrobię.

- Nigdy nie chciałeś słuchać niczyich rozkazów i nie słuchałeś. To jeden z powodów, dla których niepodobna było z tobą wytrzymać. Przecież żyłam z tobą trzy lata i wiem o tobie więcej niż...

- Niewątpliwie, kochana Lauro - przytaknął nie tracąc cierpliwości.

- Rozwiedliśmy się - ciągnęła bardzo szybko - ale nie ma pod słońcem człowieka, którego lubię bardziej niż ciebie. Wiesz chyba o tym?

- Wiem - przyznał wierząc naprawdę jej słowom.

- Nie chcę, żebyś pozwolił się zabić. - Zaczęła płakać.

- Bądź spokojna. Nie pozwolę się zabić - odpowiedział łagodnie.

- Nie zniosę myśli, że będzie ci ktoś rozkazywał. To nonsens i...

Michael pokręcił głową. Jeszcze raz uprzytomnił sobie przepaść dzielącą realny świat od jego niewieściej koncepcji.

- Nie troszcz się o mnie, kochana Lauro - przerwał jej. - Doprawdy, bardzo ładnie z twojej strony, że zatelefonowałaś.

- Posłuchaj, Michael, coś postanowiłam - oznajmiła stanowczo.

- Nie będę już brała od ciebie pieniędzy.

- Dostałaś pracę? - westchnął Michael.

- Nie. Ale dziś po południu mam być u Mac Donalda z Metro Goldwyn Mayer i...

- Zgoda - przerwał, bo jak najszybciej chciał wyczerpać drażliwy temat. - W czasie kiedy zarabiasz, nie będziesz brała pieniędzy. Bardzo dziękuję. Czytałem w gazetach, że wybierasz się za mąż. Czy to prawda?

- Nie. Może po wojnie. On wstępuje do marynarki. Dostanie przydział w Waszyngtonie.

- Życzę szczęścia - bąknął Michael.

- Posłuchaj! Jeden asystent reżysera z „Republic” poszedł do lotnictwa. Z miejsca został porucznikiem. Do końca wojny nie ruszy się z Santa Anita. Rozumiesz? Oddział Propagandy. A ty masz być szeregowcem i...

- Daj spokój, moja miła. Zapłacisz za rozmowę pięćset dolarów.
- Dziwak z ciebie! Niemądry dziwak! Zawsze taki byłeś.
- Niewątpliwie, kochana Lauro.
- Napiszesz, dokąd cię wyślą?
- Tak.
- Przyjadę w odwiedziny.
- Cudownie!

Michael oczyma wyobraźni zobaczył swoją piękną eks-żonę. Niemal sławna twarz i figura... Futro z tchórzy... Laura czeka u bramy Fort Still w Oklahomie, a przechodzący żołnierze gwiżdżą z uznaniem na jej widok.

- Doprawdy, nie wiem, co o tobie myśleć. - Laura płakała cicho, niewątpliwie szczerze. - I nigdy nie wiedziałam, i nie będę wiedzieć.

- Rozumiem, o co ci chodzi - powiedział Michael.

Przypomniał sobie, jak była żona spoglądała na niego poprawiając włosy przed lustrem, jak przypatrywała mu się nieraz, kiedy tańczyli, kiedy razem spędzali urlop... Na chwilę wzruszyły go odległe łzy. Pożałował zmarnowanych minionych lat - lat bez wojny i przymusowych rozstań.

- Do licha - podjął cichym głosem. - Przecież w końcu wsadzą mnie do jakiegoś biura.

- Nie pozwolisz na to - zaszlochała. - Dobrze cię znam. Nie pozwolisz!

- Armii nie można na nic pozwolić albo nie pozwolić. Robi, co chce i ty robisz, co ona chce. Armia, moja miła, to nie Warner Brothers.

- Przyrzeknij mi, przyrzeknij... - Głos jej się załamał.

W tej chwili przerwano połączenie. Michael spojrział na telefon i odłożył słuchawkę. Później wstał i wrócił do kuchni, gdzie szybko uporał się z przyrządzeniem śniadania. Jaja na boczku, grzanki i gęstą czarną kawę zaniósł do gabinetu i ustawił na stole pod szerokim słonecznym oknem. Otworzył radio. Z odbiornika popłynął koncert fortepianowy Brahmsa - muzyka subtelna, natrętna, melancholijna.

Michael jadł bez pośpiechu. Grubo smarował grzanki marmoladą. Delektował się smakiem w miarę wysmażonych jaj i aromatem mocnej kawy. Dumny był ze swej sztuki kucharskiej i z przyjemnością słuchał łagodnych, smutnych tonów radiowej muzyki.

Otworzył „Timesa” na stronie poświęconej wiadomościom teatralnym. Czytywał tę stronę każdego rana z uczuciem głębszej codziennie depresji. Nieskończona, wciąż ta sama opowieść o zawiedzionych nadziejach i wyrzuconych w błoto pieniądzech; nieskończone, wciąż te same ostre uwagi krytyczne o jego zawodzie zakłócały spokój Michaela i sprawiały, że uważał się za głupca.

Rzucił na stół gazetę, zapalił papierosa i pociągnął ostatni łyk kawy. Potem wyłączył radio grające Respighiego, który nasycił poranne powietrze atmosferą jesiennego zmierzchu i rozsloneczniony pokój wypełnił upajającą ciszą. Michael siedział przy stole śniadaniowym, palił papierosa i półsennie spoglądał w dół, na ogródki i prosty pas ulicy, i ludzi pochłoniętych własnymi sprawami.

Niebawem wstał, wykąpał się i ogolił. Później włożył flanelowe spodnie i starą niebieską koszulę, miękką i ładnie wyblakłą od wielokrotnego prania. Prawie cała jego garderoba była spakowana, lecz w szafie wisiały jeszcze dwie marynarki. Whitacre zastanawiał się przez chwilę, jak gdyby dokonywał ważnego wyboru, na koniec jednak ubrał się w popielaty, mocno znoszony blezer, lekki, wygodny, nie kępujący ruchów ramion.

Na ulicy czekał samochód. Lakier i chromonikiel połyskiwały pięknie po niedawnym czyszczeniu w garażu. Michael zapuścił motor, a gdy nacisnął drugi guzik, ubawił się (jak zwykle) leniwym, majestatycznym ruchem, jakim opadał dach.

Wolno jechał Piątą Aleją. Ilekroć w dzień roboczy prowadził wóz przez miasto, odczuwał taką samą po trosze złośliwą radość, jakiej doświadczył, gdy pierwszy raz usiadł przy kierownicy swojego pierwszego nowiuteńkiego samochodu i opuściwszy dach sunął w południe wzdłuż Piątej Alei. Czuł się wtedy bogaty, wolny, godny szacunku. Z góry patrzył na ludzi pracy - kobiety i mężczyzn - spieszących, aby zjeść coś w przerwie obiadowej.

Jechał powoli szerokim szpalerem efektownych wystaw - okazałych, zalotnych i szczególnie kuszących w jasnych promieniach słońca. Przed wielopiętrowym domem, w którym mieszkał Cahoon, zaparkował samochód i klucze oddał portierowi. Cahoon miał

używać wozu i opiekować się nim aż do powrotu właściciela. Oczywiście rozsądniej byłoby samochód sprzedać, ale Michael był do niego przywiązany. Mała lśniaca maszyna przypominała mu najweselsze dni cywilnego życia: długie wiosenne wypadki na wieś i beztrudne urlopy. Żywił więc przesąd, że powinien ją zachować, w przeciwnym bowiem razie może nie powrócić.

Stanąwszy na własnych nogach poczuł się osamotniony i wolno ruszył ulicami wielkiego miasta. Nagle dzień rozciągnął się przed nim smutną pustką. Wstąpił do drogerii i zatelefonował do Peggy.

- Jestem przekonany - powiedział, kiedy usłyszał jej głos - że żaden z obowiązujących przepisów prawa nie zabrania mi spotkać się z tobą dwa razy w ciągu jednego dnia.

Peggy roześmiała się wesoło.

- Zaczynam być głodna o pierwszej po południu.

- Zafunduję ci obiad, jeżeli do tego zmierzasz.

- Właśnie do tego zmierzam - odpowiedziała i dodała ciszej i wolniej: - Cieszę się, że zadzwoniłeś. Mam ci do powiedzenia coś bardzo poważnego.

- Doskonale. Jestem dziś nastrojony bardzo poważnie. A więc o pierwszej.

Z uśmiechem powiesił słuchawkę. Wyszedł na słoneczną ulicę i zmierzając w stronę kancelarii swojego adwokata myślał o Peggy. Dobrze wiedział, jaką to poważną sprawę chciała poruszyć podczas obiadu. Znali się od dwóch lat i te dwa lata przeżyli bogato, ciepło, może trochę smutno, ponieważ wojna zbliżała się dzień po dniu. W takich ponurych czasach małżeństwo jest niewyraźną, żalosną sprawą. Ślub i pogrzeb, samotna mogiła, wdowa... Mąż-zołnierz dźwiga w tornistrze fotografię ciężką niby sto funtów ołowiu... Samotny wśród pełnej tajemniczych głosów nocy w dżungli, z ponurą złością wspomina przekłętą godzinę uroczystych zaślubin. Ociemniały inwalida słucha szelestu drobnych kroków żony...

- Hej, Michael!

Whitacre odwrócił się, bo ktoś klepnął go zamazyście po ramieniu. Był to Johnson ubrany we włochaty filcowy kapelusz z jaskrawą wstążką, w krawat ręcznie robiony na drutach i elegancką kremową koszulę pod ciemnoszafirowym blezerem.

- Od wieków pragnę się z tobą zobaczyć. Bywasz kiedy w domu?

- Ostatnio rzadko. Zrobiłem sobie wakacje.

Niegdyś Michael lubił spotykać się z Johnsonem i od czasu do czasu słuchać przy kolacji jego wywodów prowadzonych głębokim aktorskim głosem. Ale po zaciętej kłótni na temat paktu radziecko-niemieckiego nie uważał za możliwe rozmawiać uprzejmie przez cały wieczór z nim lub kimkolwiek z jego bliższych przyjaciół.

- ... zatem przyślę ci tę petycję - kończył zdanie Johnson i ująwszy Michaela pod rękę szybko ciągnął go chodnikiem, jako że nigdy i niczego nie robił powoli. - Twój podpis musi się pod nią znaleźć. To bardzo ważna sprawa.

- Jaka sprawa? Co za petycja?

- Do prezydenta. Chodzi o drugi front. Wszyscy chętnie podpisują. - Głos Johnsona zabrzmiał tonem prawdziwego oburzenia.

- To zbrodnia! Pozwalamy Rosjanom dźwigać całe brzemie.

Whitacre milczał.

- Nie wierzysz w drugi front?

- Naturalnie, wierzę. - Michael pokiwał głową. - Jak tylko będziemy mogli zacząć...

- Już możemy! - wybuchnął Johnson.

- Zapewne naczelne dowództwo obawia się zbyt wielkich strat - podjął Whitacre i nagle uprzytomnił sobie, że od jutra będzie nosił mundur i będzie nadawał się do łądowania na francuskich plażach.

- Taka impreza może kosztować milion, półtora miliona ofiar...

- To niech kosztuje! - zawołał Johnson i jeszcze przyspieszył kroku. - Gra warta świeczki! Rozumiesz? Dywersja na wielką skalę. Opłaci się nawet za cenę dwóch milionów trupów!

Whitacre zerknął spod oka na przyjaciela, na tego przyjaciela z kategorią 4 F zdobiącą jego wojskową kartę rejestracyjną. Johnson przemawiał głębokim głosem salonowca. Idąc okazałą, wielkowiejską arterią chciwie dopominał się o krew innych ludzi. Czuł się sprawiedliwy, pobożny, dlatego że na innym kontynencie Rosjanie walczyli jak lwy. Michael wyobraził sobie rosyjskiego żołnierza, który przycupnął za kupą gruzów w Stalingradzie i z granatem w ręku czeka na zbliżający się czołg. Co pomyślałby ów

żołnierz o wymownym, ubranym w kokieteryjny kapelusz patriotcie nazywającym go bratem na nie zburzonej ulicy nie zburzonego miasta w Ameryce?

- Wybacz - powiedział Michael. - Chętnie zrobiłbym wszystko, aby pomóc Rosjanom, lecz moim zdaniem, decyzję powinni podjąć specjaliści.

Johnson zatrzymał się wreszcie i uwolnił z uścisku ramię towarzysza. Wyraz gniewu i pogardy skurczył mu twarz.

- Posłuchaj, Michael, będę teraz szczery - przemówił. - Wstyd mi za ciebie.

Whitacre poważnie skinął głową. Był zakłopotany, bo gdyby wyznał, co się dzieje w jego sercu, zraziłby sobie Johnsona raz na zawsze.

- Od dawna cię obserwuję - ciągnął Johnson. - Od dawna widzę, że z dnia na dzień stajesz się coraz miękniejszy i...

- Wybacz - przerwał Michael. - Złożyłem przysięgę jako żołnierz Republiki nie wysyłając petycji w sprawach strategicznych do najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych.

- To wykręt.

- Bardzo możliwe. Na razie bywaj zdrów.

Michael odwrócił się, a kiedy odszedł dziesięć kroków, usłyszał suchy, chłodny głos:

- Życzę powodzenia!

Nie oglądając się pożegnał Johnsona ruchem ręki.

Idąc dalej, myślał z odrazą o Johnsonie i innych swoich znajomych. Jedni, jak Johnson, uzbrojeni w tarczę wolnych od służby wojskowej zawodów, występowali niedorzecznie bojowo - drudzy pod cienkim lakierem patriotyzmu kryli cynizm i rezygnację.

„A to nie pora na rezygnację - myślał Whitacre. - Nie pora, by mówić «nie» i «być może». Nadszedł czas wielkiego TAK. Jestem zadowolony, że idę do wojska. Odczepię się przynajmniej od zrezygnowanych przeczuleńców, poetycznych biadaczy, łagodnych samobójców. Pochodzę z epoki krytyków i z ojczyzny krytyków. Każdy, kto ma ręce i nogi, krytykował powieści, wiersze, sztuki, rząd, politykę Anglii, Francji, Rosji. Od dwudziestu lat Ameryka jest klubem krytyków teatralnych, którzy powtarzają raz po raz:

«Naturalnie, wiem, że w Barcelonie poległo tysiące ludzi, ale jakże nieudolnie w drugim akcie...» Epoka krytyków. Ojczyzna krytyków".

Whitacre zaczął pojmować, że właśnie z tej przyczyny był to żaloszny wiek i jałowy kraj. Rozumiał, że nadeszła pora płomiennej retoryki, bezlitosnej zemsty, melodramatycznych gróźb i przechwałek miotanych w nocne mroki. Rozumiał, że nadeszła pora oszalałego, zaciekłego żołdactwa, upojonego wiarą, niebacznego na śmierć. Ale dokoła siebie nie widział szaleńczej wiary. Cywile zbyt lekceważyli wojnę, aby w nią wierzyć. Były za to knowania i podstępny ludźmi rozmiłowanych w sześcioprocentowych obligacjach i bloku agrarnym, i bloku wielkich interesów, i bloku pracy. Whitacre był w dobrych restauracjach i widywał biesiady obżartuchów, widywał galwaniczne ożywienie kobiet i mężczyzn, którzy robią pieniądze i wydają je, zanim rząd zdąży położyć na nich rękę. Człowiek trzymający się z dala od wojska musi zostać krytykiem. A on chciał krytykować tylko wroga.

Michael siedział w pokoju z boazerią, oddzielony szerokością biurka od swego adwokata, i czuł się głupio czytając własny testament. Za oknami spoglądającymi z wysokiego piętra miasto pławiło się w słonecznym blasku. Ceglane wieże sięgały powiewnych błękitnych mgieł, nad statkami na rzece unosiły się pióropusze dymu. Nowy Jork wyglądał zupełnie tak samo jak co dzień, a on siedział z okularami na nosie i czytał: „Jedną trzecią wyszczególnionego wyżej majątku pozostawiam mojej byłej żonie, pani Laurze Roberts. W przypadku gdyby wyżej wymieniona wstąpiła w ponowny związek małżeński, zapis niniejszy traci moc prawną, a część przypadająca pani Roberts zostanie włączona do ogólnej masy spadkowej i podzielona w sposób następujący...”.

Zabawne! Michael był zdrowy, silny. Napuszony język prawniczy wydawał mu się ohydny. Przez biurko spojrzął na swojego adwokata. Piper zaczął łysieć i miał bladą, nalaną twarz. Wydymając pełne wargi podpisywał pliki papierów. Z przekonaniem robił pieniądze i żywił błogą nadzieję, że dzięki trójce dzieci i reumatyzmowi na pewno nie zobaczy wojny. Michael wolałby spisać ostatnią wolę własnoręcznie, własnymi słowami. Wstydział się, że w przyszłości zaprezentują go suche, przebiegłe zdania łysego prawnika, co nigdy nie usłyszy armatniego strzału. Testament powinien być zwięzły, wymowny,

osobisty. Powinien odzwierciedlać życie człowieka, który go podpisuje i przekazuje nim swoje ostatnie zasoby i ostatnie życzenia.

„Matce, w dowód miłości, jaką do niej żywię, i uznania dla cierpień, które znosiła i dalej znosić będzie przez wzgląd na mnie i moich braci...”.

„Byłej żonie pokornie wybaczam wszystko, mam nadzieję, że i ona mi wszystko wybaczy, i przez pamięć spędzonych wspólnie dobrych dni zapisuję...”.

„Ojca, który miał ciężkie i tragiczne życie i tak walecznie prowadził swoją powszednią wojnę, spodziewam się zobaczyć bodaj raz przed jego zgonem...”.

Tymczasem Piper naszpikował jedenaście stron maszynopisu różnymi „w przypadku gdyby...” i „pod warunkiem, że...”, jeżeli więc Michael umrze, przyszłość pozna go jako długą listę wielosylabowych wyrazów, klauzul prawniczych i przemyślanych zastrzeżeń finansowych.

„Zapewne później - pomyślał - jak naprawdę uwierzę, że mogę polec, zdobędę się na drugi, lepszy testament”. Na razie podpisał cztery egzemplarze.

Piper nacisnął dzwonek umieszczony na biurku i do gabinetu weszły dwie sekretarki. Jedna z nich piastowała godność notariusza, niosła więc w rękę pieczęć. Metodycznie ostemplowała wszystkie egzemplarze, a potem obie złożyły podpisy jako świadkowie.

„I znowu nie tak - pomyślał Michael. - Człowiek chciałby mieć za świadków ostatniej woli bliskich przyjaciół, którzy znają go od dawna i będą boleć po jego śmierci”.

W tej chwili spojrzął na kalendarz i zobaczył datę. Trzynasty! Nie był przesądny, ale tego już trochę za wiele!

Sekretarki wyszły z gabinetu. Adwokat wstał. Podali sobie ręce.

- Będę trzymał rękę na pulsie pańskich interesów - powiedział Piper. - Co miesiąc otrzyma pan sprawozdanie, jakie kwoty wpłynęły i ile wydatkowałem.

Cahoon przyznał Michaelowi pięć procent od sztuki Słepera, a że sztuka szła dobrze i miała być filmowana, pieniądze powinny wpływać przez co najmniej dwa lata.

„Będę najbogatszym szeregowcem w armii Stanów Zjednoczonych” - pomyślał Whitacre.

- Nadal jednak utrzymuję - ciągnął prawnik - że powinien pan upoważnić mnie do lokowania swoich dochodów.

- Bardzo panu dziękuję, ale nie skorzystam.

Wiele razy omawiali już tę kwestię. Piper w żaden sposób nie mógł zrozumieć stanowiska klienta. Sam skupował jakieś bardzo pewne akcje stalowe i uparcie proponował, że postara się o nie również dla Michaela. Ale Whitacre czuł silną, chociaż mgliście zarysowaną odrazę do robienia pieniędzy na pieniądzach. Wstydział się ciągnąć zyski z cudzej pracy. Raz próbował wytłumaczyć to Piperowi, lecz prawnik był zbyt trzeźwy, by słuchać podobnej gadaniny. Teraz więc Michael pokręcił tylko głową i podziękował z uśmiechem. Piper jeszcze raz uścisnął mu rękę.

- No, życzę szczęścia - powiedział. - Jestem pewien, że wojna skończy się niedługo.

- Oczywiście. Dziękuję, panie mecenasie - odrzekł Whitacre i wyszedł szybko, zadowolony, że wy dostał się z kancelarii adwokackiej.

Zawsze był niespokojny, jak gdyby osaczony, kiedy rozmawiał z prawnikami albo załatwiał z nimi jakieś sprawy. Dzisiaj wrażenie to prześladowało go jeszcze bardziej natarczywie.

Zadzwoił na windę. Była pełna sekretarek spieszących na obiad. Pachniało w niej pudrem i rozbrzmiewał gwar licznych wyzwolonych nareszcie głosów. Zjeżdżając z czterdziestego piętra Michael zastanawiał się, jak te wesołe, ruchliwe, młode osóbkki potrafią wytrzymać całe dni pośród maszyn do pisania, urzędowych ksiąg, Piperów, pieczęci notarialnych i żargonu prawniczego.

Skręcił na północ i idąc Piątą Aleją w stronę restauracji, gdzie miał spotkanie z Peggy, czuł się coraz lżejszy, coraz bardziej bez troski. Ostatecznie zakończył oficjalne sprawy. Przez całe popołudnie i noc, aż do siódmej, kiedy musi się zameldować w komisji rekrutacyjnej, nie ciążył na nim żadne obowiązki. Władze cywilne zdążyły go zwolnić, a wojskowe nie objęły jeszcze w posiadanie. Była dopiero pierwsza. Na siedemnaście godzin i trzydzieści minut zawisnął między jednym życiem a drugim, jakby zerwał się z kotwicy!

Był wolny, niezależny, poruszał się więc rażno i przychylnym wzrokiem obejmował szeroką, słoneczną ulicę i zaaferowanych przechodniów. Podobnie mógłby przyglądać się

swoim żyznym ziemiom plantator, który po solidnym śniadaniu wyszedł przed dom i kroczy po rozległym trawniku. Dla Michaela Piąta Aleja stanowiła trawnik, Nowy Jork - dobra, sklepowe witryny - spichlerze, Park - oranżerię, teatry - warsztaty, a wszystko to było w należyтым porządku, dobrze prosperujące, zagospodarowane.

Whitacre pomyślał, że bomba mogłaby spaść na jasno oświetloną jezdnię między katedrą a gmachem Fundacji Rockefellera. Podejrzliwie spojrzał na tłumy ciągnące szeroką arterią, aby przekonać się, czy z ich twarzy nie wyczyta obawy lub przeczucia takiej katastrofy. Ale twarze były równie obojętne jak zawsze. Ludzie spieszyli żywo w swoich sprawach, jak gdyby wierzyli niezachwianie, że bomby mogą padać na Saville Row, Place Vendôme i Unter den Linden, na Piazza Vittorio Emanuele i Krasnaju Płoszczad, nigdy jednak świat nie odbiegnie od rozumnej, utartej rutyny tak dalece, by rozbić bodaj jedną szybę w Stanach.

Michael wędrował teraz Aleją Madisona, wzdłuż szarej ściany katedralnej. I tutaj można było wyczytać ze wszystkich twarzy, że nikomu nie postało w głowie, iż bomba może spaść i w tym miejscu. Przed frontem gmachu Towarzystwa Radiowego „Columbia” dwaj ubrani w letnie mundury porucznicy lotnictwa maszerowali sztywno, jak przystało świeżo upieczonym wojakom. W wyrazie ich twarzy Michael dostrzegł myśl, że celem może być cały świat, nawet kamienne, ukwiecone dziedzińce Fundacji Rockefellera, nawet podniebny zamek dyktatorów radia. Porucznicy oddalili się szybko i Whitacre doszedł do wniosku, że zapewne się mylił. Może ich miny wyrażały jedynie troskę, by zaproszone na obiad dziewczęta nie wybrały najdroższych dań z karty?

Michael zatrzymał się przed witryną sklepu z kapeluszami. Był to elegancki sklep i kapelusze - miękkie brązowe i szare filce ze spokojnymi wstążkami - kosztowały po piętnaście lub dwadzieścia pięć dolarów. Ale za żadną cenę nie można tam było dostać hełmu ani brzydkiej furażerki, ani beretu, ani pilotki, ani odznak lotnictwa, piechoty czy służby zdrowia. Kapelusze przypomniały Michaelowi nową kwestię. W wojsku trzeba będzie nosić jakieś nakrycie głowy, a on zawsze chodził bez kapelusza, nawet w deszcz czy śnieżyce. Od kapelusza dostawał bólu głowy. Oto pytanie: czy można będzie wytrzymać pięcioletni ból głowy, jeżeli wojna potrwa aż tak długo? Szybkim krokiem ruszył w stronę restauracji, gdzie Margaret zapewne już czekała.

„Wojna rodzi rozmaite problemy - myślał po drodze. - Chociażby ta historia z nakryciem głowy. I jeszcze jedno: sen mam bardzo lekki. Budzę się na najśłabszy szelest. Trudno mi nocować z kimś w jednym pokoju. A w obozie wojskowym co najmniej pięćdziesiąt chłopów kwateruje w baraku. Czy zdołam obejść się bez snu do końca wojny? Albo idiotyczny problem toalety! Dla dobrze wychowanego Amerykanina dwudziestego wieku rytuał zamkniętych drzwi łazienki stanowi jedną z podwalin istnienia. Czy ważne funkcje fizjologiczne będę musiał powstrzymać aż do kapitulacji Hitlera?”

Ze wstrętem i zgrozą wyobraził sobie zwarty szereg żołnierzy przycupniętych groteskowo nad otwartymi klozetami. Westchnął i smutno rozejrzał się po rozświetlonej alei.

„Łatwiej byłoby mi wytrwać i umrzeć w przesiąkniętych krwią okopach wiedząc, że pomoc znikąd nie nadejdzie, niż wkroczyć do latryny dla szeregowych. Świat nowoczesny licho przygotowuje człowieka do ciężkich prób, na jakie go wystawia”.

Był jeszcze problem życia płciowego. Może to tylko przyzwyczajenie - jak utrzymują liczne autorytety naukowe - lecz w każdym razie przyzwyczajenie silne i zakorzenione głęboko. Za czasów kawalerskich i po ślubie, w swobodnej, miłej atmosferze lat trzydziestych i czterdziestych, Michael od siedemnastego roku życia utrzymywał stale stosunki z kobietami. Kilkakrotnie z tych lub owych względów musiał obywać się bez kobiety przez tydzień albo dłużej. Przykro wspominał te okresy, kiedy buntowały się w nim soki młodości, zakłócały spokój, utrudniały pracę i w rezultacie nie pozwalały myśleć o czymkolwiek innym.

„Znajdę się w hordach mężczyzn, w surowej dyscyplinie koszar, na polach ćwiczeń i na trasach długich marszów, na biwakach gdzieś w obcych krajach. Trudno sobie wyobrazić, by w takich warunkach łatwo było o kobiety gotowe na skinienie szeregowca kryjącego anonimową twarz pod anonimowym hełmem. Gene Tunney, były mistrz świata w wadze ciężkiej opowiedział się za celibatem żołnierzy Republiki i uroczyście oznajmił, że powagi lekarskie jednogłośnie uznają cnotę za nieszkodliwą dla zdrowia. Ciekawe, co Freud odpowiedziałby pogromcy Dempsey?”.

Michael uśmiechnął się, bo teraz mógł się jeszcze uśmiechać, wiedział jednak, że wkrótce, kiedy będzie leżał bezsennie na wąskim łóżku pośród wezbranej męskim

chrapaniem koszarowej nocy, znacznie słabiej przemówi do niego komizm sporu boksera z Freudem.

„Słodka, wygodna Demokracjo! - pomyślał. - Gotów jestem oddać życie w twojej obronie, ale inne ofiary wydają mi się nieporównanie trudniejsze”.

Po dwóch stopniach zszedł do drzwi małej francuskiej restauracji.

Spieszył się, bo zobaczył przez okno, że Peggy czeka już w barze.

W restauracji był tłok. Margaret siedziała przy bufecie koło podchmielonego marynarza z jasnorudą czupryną. Michael często spotykał kochankę w podobnych okolicznościach i zawsze przez pierwsze dwie lub trzy minuty patrzył na nią w milczeniu. Delektował się spokojem jej wyrazistej twarzy o szerokim czole i bystrych oczach, podziwiał naturalną prostotę uczesania i wdzięk, z jakim nosi suknie. Wszystko najlepsze w Nowym Jorku znajdowało jakiś refleks w tej wysokiej, prostej, uczciwej dziewczynie. Z drugiej strony, myśląc o mieście, Michael wspominał przede wszystkim ulice, którymi spacerowali, domy, do których wchodzili razem, wspólnie oglądane sztuki i wystawy obrazów, bary, gdzie do późna przesiadywali w zimowe wieczory. I tym razem patrzył na zaróżowioną po przechadzce twarz Peggy, na jej oczy rozjaśnione radością z racji spotkania, na długą, mocną dłoń wyciągniętą w kierunku jego ręki. Patrzył i nie był w stanie uwierzyć, że ten urok i radość mogą kiedyś zniknąć, że on może wrócić i nie zastać Peggy nie zmienionej, takiej jak dzisiaj, jak zawsze...

Przy Margaret zapomniał nagle o smutnych i groteskowych sprawach, które prześladowały go w drodze z kancelarii adwokackiej. Uśmiechnął się poważnie, dotknął ręki dziewczyny i usiadł obok niej na wysokim stołku.

- Co robisz po południu? - zapytał.

- Czekam.

- Na co?

- Na propozycje.

- Rozumiem. Już jedną otrzymałaś. Whisky z wodą - rzucił pod adresem bufetowego i zwrócił się do Peggy: - Pewien mój znajomy nie ma co robić aż do szóstej trzydzieści rano.

- Co powiem w biurze?

- Że ruchy wojsk przeszkodziły ci wrócić.
- Nie wiem, czy to wskazane. Mój szef jest przeciwny wojnie.
- Wyjaśnij, że wojska są też przeciwne wojnie.
- Najlepiej chyba nic nie powiem.

- Ja mogę do niego zatelefonować - podchwycił Michael. - Zawiadomię, że widziałem na własne oczy, jak płynęłaś w stronę placu Waszyngtona w strudze whisky z wodą.

- Kiedy mój szef nie pije.
- Słowo daję, to niebezpieczny cudzoziemiec!

Delikatnie stuknęli się szklankami. Michael spostrzegł w tej chwili, że rudy marynarz pochylił się w ich stronę i nie odrywa wzroku od Peggy.

- Słusznie - odezwał się marynarz.

- Za pozwoleniem - rzucił Michael świadomy, że już ma prawo przemówić ostro do mężczyzn w mundurach. - Z tą panią chcemy być tylko we dwoje!

- Słusznie!

Marynarz klepnął po ramieniu Michaela, któremu przypomniał się ów sierżant z Hollywood, co w dniu wybuchu wojny pochłaniał Laurę wygłodniałym wzrokiem.

- Słusznie - powtórzył jeszcze raz marynarz. - Podziwiam pana. Ma pan zupełnie zdrowe poglądy. Nie należy całować dziewczyny na ulicy i odjeżdżać na wojnę. Lepiej zostać w kraju i iść z dziewczyną do łóżka. Słusznie!

- Odczep się pan wreszcie! - wybuchnął Michael.

- Bardzo przepraszam. - Rzucił pieniądze na ladę i czystą białą czapkę nakrył czubek rudej głowy. - Tak mi się samo wyrwało. Słusznie! Wyjeżdżam dzisiaj do Erie w Pensylwanii.

Przesadnie pewnym krokiem odszedł od bufetu. Michael odprowadził go spojrzeniem, a następnie z uśmiechem zwrócił się do towarzyszki:

- Przedstawiciele naszych sił zbrojnych pozwalają sobie... Nagle spostrzegł, że Peggy płacze. W ładnej brązowej sukni siedziała sztywno na wysokim stołku, a łzy płynęły jej po twarzy. Nie próbowała zasłaniać się rękami ani wycierać oczu.

- Peggy... - zaczął Michael i zobaczył z uczuciem wdzięczności, że bufetowy zajął się czymś gorliwie i odwrócił głowę.

„Zapewne - pomyślał - barmani widują ostatnimi czasy niemało łez, rozwinęli więc technikę postępowania w takich przypadkach”.

- Peggy... - Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął palcami jej ramienia.

- Strasznie przepraszam - powiedziała. - Zaczęłam się śmiać i nie wiem, czemu tak się to skończyło.

W tej chwili zbliżył się starszy kelner i oznajmił z typowo włoską, nieszkodliwą werwą:

- Mamy już stół, panie Whitacre!

Michael zabrał nie dopite szklanki i za Peggy oraz kelnerem poszedł w stronę stolika pod ścianą. Zanim usiedli, dziewczyna przestała płakać, ale twarz jej straciła wyraz pogodnego ożywienia i wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle. Michael nigdy nie widział takiej Peggy.

Obiad jedli w milczeniu. Michael liczył, że jego towarzyszka uspokoi się wkrótce. Zachowała się dziwnie, nie po swojemu. Dotychczas nie płakała jeszcze w jego obecności. Myśląc o niej wyobrażał sobie dziewczynę, która z przykładnym stoicyzmem znosi wszystko, co los zsyła. Nie skarżyła się nigdy, nie miewała napadów nieuzasadnionego rozdrażnienia, jakich należałoby się spodziewać u przedstawicielki płci pięknej, a więc Michael nie nauczył się pocieszać przyjaciółki i przeciwdziałać jej depresjom. Podczas obiadu zerkał na nią od czasu do czasu, ale Peggy uparcie spoglądała w talerz.

- Przykro mi - odezwała się wreszcie przy kawie dziwnie opryskliwym tonem - że się tak fatalnie zachowałam. Powinnam być wesola, zdawkowym pocałunkiem odprawić dzielnego młodego wojaka: „Idź, kochanie! Pozwól sobie palnąć w łeb. Będę na ciebie czekać z koktajlem w ręku”.

- Peggy! Nie opowiadaj głupstw!

- Przypnij moją rękawiczkę do ramienia. Noś ją, kiedy cię odkomenderują do kuchni.

- Co ci się stało? - zapytał bezsensownie, bo dobrze wiedział, co się stało Peggy.

- Wszystko dlatego, że tak lubię wojny. Po prostu przepadam za wojnami. -
Roześmiała się głucho. - Mój Boże! Dobrzy ludzie bawią się w wojenkę, a ktoś z moich
przyjaciół mógłby nie zostać zastrzelony! To okropne!

Michael westchnął. Był przygnębiony, smutny, ale dobrze zdawał sobie sprawę, że
nie chciałby odnaleźć w Peggy jednej z owych kobiet-patriotek, co wojnę witają tak
radośnie jak przygotowania do zaślubin i wesela.

Pomyślał o wojsku czekającym go nieodwołalnie dnia następnego o pół do siódmej
rano. Pomyślał o kilku armiach nieprzyjacielskich czekających na dwóch krańcach
świata, żeby go uśmiercić.

- Czego chcesz, Peggy? - zapytał. - Czego żądasz ode mnie?

- Niczego. Ofiarowałeś mi dwa bezcenne lata swojego życia. Czegóż więcej kobieta
może wymagać? Idź teraz. Pozwól się zamordować. Twoją Złotą Gwiazdę powieszę na
drzwiach damskiej toalety w Klubie Młodych Ojców.

Kelner podbiegł do stolika.

- Czym więcej można państwu służyć? - uśmiechnął się z włoską sympatią dla
zamożnych kochanków, którzy jadają drogie obiady.

- Dla mnie koniak - odpowiedział Michael. - Co każesz podać, Peggy?

- Dziękuję, nic. Jestem absolutnie szczęśliwa.

Kelner odszedł poważnie.

„Gdyby w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku nie zaokrętował się w Neapolu -
pomyślał Whitacre - byłby teraz w Libii, nie w knajpie przy Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy”.

- Ciekaw jesteś, co chcę zrobić po obiedzie? - zapytała ostro Margaret.

- Tak.

- Chcę zostać kobietą zamężną.

Wyzywająco, gniewnie spojrzała na Michaela nad poplamionym winem obrusem.
Dziewczyna przy sąsiednim stoliku, pełna blondynka w czerwonym kostiumie, powie-
działa w tej chwili do rumianego, siwego pana, w którego towarzystwie jadła obiad:

- Koniecznie musi mnie pan przedstawić swojej żonie. Jestem pewna, że pani
Cawpowder to czarująca osoba.

- Słyszałaś, co mówiłam? - rzuciła szorstko Margaret.

- Tak. Słyszałem.

Kelner wrócił i postawił na stole mały kieliszek.

- Zostały nam już tylko trzy butelki - powiedział. - Takie czasy! Nigdzie nie można dostać koniaku.

Whitacre podniósł wzrok na kelnera. Poczul bezsensowną odrazę do śniadej, głupiej, przymilnie uśmiechniętej twarzy.

- Założę się - powiedział - że w Rzymie nie mają takich kłopotów.

Włoch skrzywił się boleśnie, a Michaelowi wydało się, że słyszy, jak mówi do siebie: „Jeszcze jeden gość potępia mnie za winy Mussoliniego. Ach, ta wojna, przekłeta wojna!”.

- Tak, proszę pana - odpowiedział kelner z uśmiechem. - Bardzo możliwe, że pan ma słuszność.

Cofnął się. Ledwie dostrzegalnym drzeniem rąk i żalonym grymasem na ustach wypierał się wszelkiej odpowiedzialności za włoską armię lądową, włoskie lotnictwo, włoską marynarkę.

- No i co? - zapytała głośno Peggy.

Michael milczał. Powoli ciągnął koniak.

- W porządku. Zrozumiałam.

- Widzisz - bąknął Whitacre. - Małżeństwo w obecnych warunkach nie miałoby sensu.

- Naturalnie. Masz zupełną słuszność. Po prostu znudziło mi się, że giną tylko kawalerowie.

- Peggy... - delikatnie nakrył jej rękę dłonią. - Jesteś dziś niepodobna do siebie.

- Możliwe. A może dawniej byłam niepodobna do siebie? Niech ci się tylko nie zdaje - ciągnęła chłodno - że za pięć lat wrócisz obwieszony medalami i przekonasz się, że czekam na ciebie i witam cię radosnym uśmiechem.

- Trudno - westchnął Michael. - Lepiej nie mówmy o tym.

- Ale ja chcę mówić.

- Więc dobrze, mówmy.

Margaret złagodniała, zmiękała jakoś. Widać było, że z trudem powstrzymuje łzy.

- Miałam zamiar być pogodna, wesoła - podjęła drżącym głosem. - Idziesz na wojnę? Świetnie! Trzeba to oblać... Pewnie udałoby mi się, gdyby nie ten przekłety marynarz... Widzisz, martwię się, że mogę o tobie zapomnieć. W Austrii znałam jednego mężczyznę. Wierzyłam wtedy, że zachowam go w pamięci do końca życia. Był lepszy od ciebie... dzielniejszy, bardziej subtelny... W zeszłym roku jego kuzyn napisał do mnie ze Szwajcarii, że tego człowieka zamordowali w Wiedniu. List przyszedł wieczorem. Miałam wtedy iść z tobą do teatru. W pierwszej chwili pomyślałam: „Nigdzie dzisiaj nie pójde. Nie zdołam!”. Ale później stanęłam w drzwiach. Spojrzałam na ciebie i zrozumiałam, że o tamtym zupełnie nie myślę. Zdawałam sobie sprawę, że nie żyje, ale nie pamiętałam o nim, chociaż niegdyś i jemu proponowałam swoją rękę. Widzę, że w tej dziedzinie mam diabelnego pecha.

- Daj spokój - szepnął Whitacre. - Błagam cię, Peggy, daj spokój. Ale Peggy mówiła dalej, z trudem hamując łzy w zamglonych, rozumnych oczach:

- Jestem głupia. Pewnie zapomniałabym tamtego, gdybyśmy się nawet pobrali. Pewnie zapomnę o tobie, jeżeli odjedziesz na długo. Chyba to niemądry przesąd, ale zdaje mi się, że wrócisz do domu, jeżeli urzędowo, formalnie będziesz miał prawo wrócić jako człowiek żonaty. Jeżeli w ogóle będziesz miał dom. Zabawne, prawda?... Tamten mężczyzna... Joseph... nie miał domu, nie miał nic na świecie. Może zamordowali go właśnie dlatego? - Urwała nagle. - Zaczekaj na ulicy. Niedługo wyjdę.

Uciekła do małej bocznej salki, gdzie pod oknem był niski bufet, a na zadymionych ścianach wisiały mapy rozmieszczenia winnic we Francji. Whitacre położył na stole należność i suty napiwek, którym chciał wynagrodzić włoskiego kelnera za własne grubiaństwo. Potem wstał i powoli wyszedł na ulicę.

Zatrzymał się przed drzwiami restauracji i zadumany palił papierosa.

„Nie - pomyślał wreszcie. - Stanowczo ona nie ma racji. Nie chcę dźwigać dodatkowego brzemienia. Nie pozwolę, by Peggy je dźwigała. Jeżeli naprawdę mnie zapomni, będzie to cena wojny, jeszcze jedna forma strat wojennych. Takie pozycje nie trafią do bilansu poległych i rannych żołnierzy ani skarbów puszczonego z dymem, lecz

niewątpliwie nazwać je można również stratami wojennymi. Trudno z tym walczyć. Niepodobna".

Peggy ukazała się w drzwiach restauracji. Włosy jej połyskiwały w słońcu, jak gdyby rozczesała je starannie w damskiej toalecie na piętrze. Twarz miała opanowaną, uśmiechniętą.

- Przebacz mi - powiedziała dotykając ramienia Michaela. - Bardziej niż ty dziwię się własnym wybrykom.

- Nic nie szkodzi, Peggy. Sam jestem dzisiaj w wisielczym nastroju.

- Jednego słowa me mówiłam poważnie. Wierzysz mi, prawda?

- Oczywiście.

- Przy sposobności opowiem ci o tym znajomym z Wiednia. To interesująca historia... zwłaszcza dla żołnierza.

- Nie wątpię - odpowiedział uprzejmie. - Wysłucham jej z przyjemnością.

- A teraz... - Margaret rozejrzała się po ulicy i kiwnęła na taksówkę nadjeżdżającą wolno od Alei Lexington. - Myślę, że popołudnie spędzę przy pracy. Tak będzie lepiej, prawda?

- Nie ma potrzeby...

- Moim zdaniem, to rozumny pomysł - przerwała z uśmiechem. - Wieczorem spotkamy się tak, jak byśmy wcale nie jedli dziś razem obiadu. Mnie to bardziej odpowiada, a ty znajdziesz rozmaite zajęcia.

- Naturalnie - zgodził się Whitacre.

- No, baw się dobrze, mój miły. - Pocałowała go lekko. - A wieczorem przyjdź w szarym garniturze.

Nie oglądając się wsiadła do taksówki, która zaraz ruszyła. Michael patrzył, póki samochód nie zniknął za rogiem. Później wolno odszedł w przeciwnym kierunku cienistą stroną ulicy.

Pół świadomie, pół nieświadomie próbował nie myśleć o Peggy. Tyle innych spraw miał na głowie. Wojna czyni z człowieka skąpca, każe mu gromadzić wszystkie wzruszenia na jej wyłączny użytek. Starania te niewiele pomagały i chociaż Michael był uparty, wracał myślami do Margaret. Znał siebie zbyt dobrze, by wierzyć, że przez dwa,

trzy, cztery lata potrafi dochować wiary fotografii, wspomnieniom, jednemu listowi na miesiąc... Nie chciał też krępować przyjaciółki. Są przecież rozumną, uczciwą, czułą dla siebie parą, stoją jednak wobec problemu, który miliony ludzi dokoła nich muszą rozstrzygać w taki lub inny sposób. I z problemem tym nie umieją poradzić sobie lepiej niż jakiś młody, naiwny, kompletnie ciemny drwal, co schodzi z rodzinnych wzgórz, żeby dostać karabin, a w domu zostawia swoją Core Sue... Michael wiedział, że nie pomówi z Peggy na ten temat ani dziś w nocy, ani w żadną inną noc do końca wojny. Ale wiedział równie dobrze, iż w nocie wspomnień i tęsknoty na kontynentach, po których nigdy nie podróżował, będzie cierpiał myśląc o tym dniu późnego lata, a jakiś głos wewnętrzny będzie w nim wołał: „Czemu tego nie zrobiłeś? Czemu? Czemu?”.

Potrząsnął głową, aby odegnać przykre myśli, i przesadnie żwawym krokiem szedł między szeregami brunatnych kamienic, miłych dla oka i ładnych w blaskach słońca. Niebawem minął staruszkę, który ciężko włókł się o lasce. Chociaż było ciepło, staruszek miał na sobie wełniany szalik i długi ciemny płaszcz. Twarz jego znaczyły wątrobiane plamy, a dłonie rysowały się żółto na rączce laski. Starzec zmierzył Michaela niezwykłym wzrokiem, jak gdyby każdy młody mężczyzna poruszający się żywo stanowił osobistą zniewagę dla tego, który okutany szalikiem kuśtyka z trudem nad krawędzią grobu.

Spojrzenie załamanych, wodnistych oczu było tak dziwne, że Whitacre zatrzymał się i obejrzał, aby sprawdzić, czy nie zna tego człowieka, czy nie zasłużył czymś na jego niechęć. Ale starzec był mu zupełnie obcy.

„Głupcze - pomyślał. - Masz za sobą całą ucztę. Poznałeś smak wszystkich dań. Była zupa, ryba, białe i czerwone wino, burgund, bordeaux, zwierzyna, pieczone, sałata, sery. Teraz, kiedy przyszło do deseru i koniaku, przekonałeś się, że słodczyce są gorzkie, a trunek drapie w gardle. Dlatego nienawidzisz biesiadnika, co później siadł do stołu. Chętnie zamieniłbym się z tobą, staruchu. Przeżyłeś dobre lata, najpiękniejsze lata Ameryki. Znałeś pełne optymizmu dni krótkich, mało krwawych wojen. Znałeś ożywczą, upajającą atmosferę początków wieku. Ożeniłeś się i przez dwadzieścia lat w tym samym domu zasiadałeś do stołu otoczony liczną gromadką dzieci, bo w twoich czasach wojowali tylko cudzoziemcy. Nie zazdrość mi, staruchu, nie zazdrość! Co to za szczęście, jaki dar losu mieć siedemdziesiąt lat w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku i być już

prawie trupem! Współczuję ci z powodu ciężkiego płaszcza i starych kości, z powodu ciepłej wełny dokoła zeszywniałej szyi i drżących rąk na nieodzownej lasce. Ale bardziej chyba powinienem współczuć sobie, chociaż mi ciepło, mam krzepkie dłonie i stąпам pewnym krokiem. Nigdy nie zmarznę w pogodny letni dzień. Nigdy ręce nie zadrżą mi ze starości. Wychodzę z teatru po pierwszym akcie i nie wrócę na drugi".

Michael usłyszał za sobą stukot wysokich obcasów i spojrzał na kobietę, która go wyprzedzała. Miała na głowie duży słomkowy kapelusz z ciemnozieloną wstążką. Światło słoneczne precedzone przez szerokie rondo zabarwiało jej twarz różowym pastelowym tonem. Prosta seledynowa suknia wdzięcznymi fałdami marszczyła się na biodrach. Nogi bez pończoch były opalone. Szybko wyprzedzając Michaela udawała uparcie, że nie widzi jego dyskretnych, lecz pełnych uznania spojrzeń. Michael podążył wzrokiem za kształtną, smukłą sylwetką i uśmiechnął się, kiedy nieznajoma bezwiednie podniosła rękę i poprawiła włosy, jak gdyby potwierdzała tym gestem fakt, że młody mężczyzna zwrócił na nią uwagę i wyraził spojrzeniem, iż jest urodziwa.

„Nie, nie, staruchu! - pomyślał Michael i uśmiechnął się wesoło. - Zmieniłem zdanie. Odejdź i zemrzyj spokojnie. Masz na drogę moje błogosławieństwo. Ja z przyjemnością zasiądem do stołu".

W godzinę później pogwizdywał zbliżając się do baru, gdzie miał spotkać Cahooną i pożegnać się z nim przed odjazdem na wojnę.

Rozdział XV

W pewien wieczór podczas bogatego w wydarzenia, upalnego lata tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku w kantynie dla szeregowców w Fort Dix (stan New Jersey) przy długim szynkwasio, gdzie sprzedawano lekkie piwo, rekruci rozmawiali o rozmaitych sprawach.

Mówili:

- Jak Boga kocham, mam tylko jedno oko. Mówię o tym skurwysynom, a oni: „A, jedno? W porządku. Dostaniecie Jeden A”. No i jestem tutaj.

- Mam dziesięcioletnią córkę. Ale to nic! Dranie dowiedzieli się, że jestem rozwiedziony, i rąbnęli mi Jeden A. Akurat do mnie musieli się przyczepić, chociaż stan roi się od bezdzietnych kawalerów.

- W starym kraju, jak chcieli cię brać do wojska, szedłeś do specjalisty i dostawałeś przepuklinę. Cwaniak raz pomacał palcem i ruptura gotowa. Byłeś bezpieczny na pięćdziesiąt wojen. A w Ameryce powiadają: „Synku, uregulujemy cię. Za dwa dni będziesz miał jąderka jak nowe. Jeden A”.

- To się nazywa piwo? Wszystko, do czego rząd przyłożył łapy, zaczyna śmierdzieć, nawet piwo!

- Grunt to plecy. Jeżeli masz chody w komisji rekrutacyjnej, zwolnią cię z powodu delikatnego zdrowia, chociażbyś pobił w dwu rundach Joego Louisa.

- Bebechy mam tak owrzodzone, że krwawią, jak zadzwoni telefon. A te świnię mówią: „Prześwietlenie nic nie wykazuje. Jeden A”. Będą zadowoleni dopiero, jak wyciągnę kopyta. Cholera! Pogrzeb z honorami wojskowymi na cmentarzu Arlington i medal za nadkwasotę. Mam gdzieś to wszystko! Nie tknąłem jeszcze wojskowego żarcia, ale długo nie wytrzymam. Niech raz wrąbie te ich parówki, ser i roślinne masło, a będą mieli trupa. Ostrzegalem, jak kogo dobrego, ale nic nie pomogło. „Jeden A”.

- Chętnie służę ojczyźnie, ale nie podoba mi się, że co miesiąc będą mi ściągać z żołdu dwadzieścia dwa dolary i posyłać żonie. Od jedenastu lat z nią nie żyję. Od jedenastu lat dziwka sypia z kim popadnie. Poznała wszystkich mężczyzn, starych i

młodych, stąd do Słonego Jeziora. Czy ja powinienem za to płacić dwadzieścia dwa dolary miesięcznie?

- Jak mnie zdemobilizują, zabiję przewodniczącego mojej komisji. Tłumaczę mu, że chcę wstąpić do straży przybrzeżnej, że złożyłem już podanie, bo kocham morze. A on na to: „Jeden A. Lepiej nauczyć się pan kochać ląd”.

- Posłuchaj, bracie. Jak będzie zbiórka, staraj się zawsze stanąć w środku. Nie z tyłu, nie z przodu, nie z boku, tylko w środku. Kapujesz? Wtedy nie wyznaczą cię do roboty. Kapujesz? No i od rana do wieczora wiesz z namiotu, jak możesz. Dranie chodzą po całym obozie, węszą i niech zobaczą, że ktoś leży brzuchem do góry, zaraz go za kark i do pracy. Każą rozładowywać samochody przy magazynach.

- Mógłbym jak nic zostać oficerem. Ale nie było na to czasu. Komisja rekrutacyjna miała na mnie apetyt. Piekielny apetyt, i to zaraz!

- Widziałeś tych dwóch frajerów, co w pełnym rynsztunku maszerują tam i z powrotem przed kancelarią? Łażą już pięć dni tam i z powrotem, tam i z powrotem... Zrobili chyba po dwieście mil. Raz wyskoczyli do Trenton i ledwie zdążyli łyknąć dwa piwa, sierżant ich przyuważył. Będą tak spacerować aż do odjazdu z Fort Dix. Za dwie szklanki piwa! Rozumiesz? I mówi się, że żyjemy w wolnym kraju!

- Jak wezwą cię do kancelarii i będą pytać, co umiesz, gadaj, że piszesz na maszynie. Umiesz, nie umiesz, wszystko jedno! Gadaj, że piszesz na maszynie. Nasza armia przepada za maszynistami. I jedno murowane: maszyn do pisania nie stawia się tam, gdzie lecą kule. Gadaj, że piszesz na maszynie, a jak przydzielą cię do piechoty, możesz posłać mamuni ładny list, że nic ci nie grozi i żeby zaczęła składać forsy na obławianie Złotej Gwiazdy.

- Nasza armia myśli o męskim członku więcej niż młoda Hiszpanka w noc poślubną na równiku. Jestem w wojsku od dwunastu godzin i już mi go oglądali trzy razy. Do pioruna! Z kim mamy wojować? Z Japończykami czy z damską drużyną hokeja na trawie?

- W lotnictwie mają wszystkiego po dziurki w nosie.

- Najtrudniej zginąć w artylerii.

- Pierwszy raz od tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku będę spał z dala od żony. Nie wiem, czy wytrzymam.

- Wiesz, stary, że w kantine darmo będziemy fasować kondony?

- A Pismo Święte w papierowej oprawie można kupić za dwadzieścia pięć centów.

- Niech to lichy! Już zamykają!

Michael Whitacre ociążały od piwa zszedł po kilku zaplutyh stopniach kantyny dla szeregowców i stanął na wydeptanej ziemi stanu New Jersey pod usianą gwiazdami kopułą letniego nieba. Był ubrany w sztywne zielone drelichy ćwiczebne, cuchnące składem gotowej tandety. Niezdarnie poruszał obolałymi nogami, bo nowe, twarde buty zdążyły już odparzyć mu pięty. Szedł między namiotami drogą przecinającą rejon kompanii i patrzył na otaczające go nowe życie. Dwie objuczone postacie maszerowały tam i z powrotem, płacąc za nie dopite w Trenton piwo. Na wydeptanym trawniku żywo toczyła się rozpoczęta dnia poprzedniego gra w kości, która mogłaby trwać do śmierci hazardzistów lub do japońskiej kapitulacji. Samotne, zadumane figury stały między linkami namiotowymi i smutno gapily się w nocne niebo. Kilku żołnierzy zwijało w tobołki swoje cywilne ubrania, żeby oddać je na Czerwony Krzyż. Starsi szeregowcy, obdarzeni niezwykłymi przywilejami, wyniosli dygnitarze, których staraniem kompania funkcjonowała jako tako, wołali ochryplymi głosami: „Za dziesięć minut gaszenie światel! Uwaga! Za dziesięć minut gaszenie światel!”.

Michael wszedł do namiotu oświetlonego gołą czterdziestowatową żarówką i szybko zrzucił drelichy i buty. Pod szorstkie koce wsunął się w bieliźnie, bo wstyd mu było z pizamą ruszać na wojnę.

Najbliżej wejścia do namiotu leżał rekrut z Elmiry. Ten zgasił światło. W obozie przejściowym spędził już trzy tygodnie, bo był weterynarzem i władze wojskowe chciały mu znaleźć przydział, na którym mógłby się przydać mułom, o muły jednak nie tak łatwo w nowoczesnej armii. Rekrut z Elmiry zgasił światło, gdyż najdłużej kwaterował w namiocie i jako weteran czuł się oczywiście odpowiedzialny za drobne sprawy porządkowe.

Sąsiad Michaela z prawej strony już chrapał. Był to Sycylijczyk i udawał, że umie czytać i pisać. W obozie miał czekać trzy miesiące, ponieważ przed uzyskaniem przez niego obywatelstwa armia nie mogła zdecydować, co z nim zrobi.

O reszcie lokatorów namiotu Michael nic nie wiedział. Leżąc teraz w ciemnościach słuchał chrapania Sycylijszyka i rozkazu gaszenia świateł powtarzanego przez megafony. Capstrzyk brzmiał groźnie, ponuro nad rozległym obozem zgonionych w stado mężczyzn - już nie cywilów, a jeszcze nie żołnierzy - których chwilowo przygotowywano do śmierci za ojczyznę w sposób najbardziej pobieżny i ogólnikowy.

„No i jestem tutaj - rozmyślał Michael wdychając odór wojskowego koca. - Załatwione. Powinienem był zgłosić się dobrowolnie pierwszego dnia. Nie zrobiłem tego. Mogłem się wymigać, ale i tego nie zrobiłem. Leżę w namiocie pod sztywnym kocem. Wiedziałem, że tak się musi skończyć. Ten namiot, koc, chrapiący dokoła ludzie czekali na mnie od trzydziestu trzech lat. Teraz zrównali się ze mną i ja się z nimi zrównałem. Oto początek pokuty. Zaczynam płacić za swoje śmiałe poglądy, wygodne życie, dobre obiady i miękkie łóżka. Zaczynam płacić za łatwe dziewczynki i łatwo przychodzące pieniądze, za trzydzieści trzy lata wakacji, które skończyły się dziś rano, kiedy sierżant zawołał: «Hej, wy! Podnieście no ten niedopałek!»". Mimo jęków, płaczu, gwizdania, krzyków, którymi huczał namiot, rekrut Whitacre łatwo zapadł w drzemkę i bez marzeń przespał do rana.

Rozdział XVI

Generał zjechał na inspekcję pierwszych linii, a że tryskał optymizmem, wszyscy odgadli, że coś się święci. Odgadli nawet, że święci się coś wielkiego, bo optymizmem tryskała cała świta: dziesięciu tęgich, wymuskanych, błyszczących sztabowców, uzbrojonych w lornety i mapniki. Był tam nawet jakiś włoski generał. Dowódca korpusu zachowywał się nader rubasznie. Wybuchał śmiechem gawędząc z żołnierzami, zamasyście klepał ich po plecach, ba! nawet uszczypnął w policzek osiemnastolatka, który z ostatnim uzupełnieniem przybył do drużyny Himmlera. Stanowiło to nieomylny znak, że bardzo wielu żołnierzy polegnie tak lub inaczej, i to niedługo.

Ale nie brakło i innych zapowiedzi. Przed dwoma dniami Himmler był w dowództwie dywizji i dowiedział się z radia, że Anglicy palą papiery w swoim sztabie w Kairze. Anglicy mają widać niewyczerpane zapasy papierów do palenia. Palili w lipcu, palili w sierpniu. Teraz jest październik i znowu palą!

Himmler słyszał również, jak spiker radiowy opowiadał, że ogólny plan strategiczny przewiduje zajęcie Aleksandrii i Jerozolimy, a w ostatecznej fazie połączenie z Japończykami w Indiach. Oczywiście brzmiało to trochę zbyt ambitnie i efektownie dla ludzi, którzy od miesięcy tkwili w jednym miejscu pod zabójczym afrykańskim słońcem. Ale wiadomość była na ogół pocieszająca i przynajmniej dowodziła, że generał ma jednak jakiś plan.

Noc mijała spokojnie, tylko od czasu do czasu zagrzechotała krótka seria albo błysnęła rakietą. Księżyc świecił na bladym, inkrustowanym gwiazdnym pyłem niebie, łączącym się łagodnie z szarym bezmiarem pustyni.

Christian stał sam. Pod pachą trzymał pistolet maszynowy i wzrokiem wodził po cienistych plamach, za którymi czyha nieprzyjaciel. Ale Anglicy nie dawali znaku życia, a sennej nocy nie zakłócali również Niemcy, choć tysiące ich znajdowały się w pobliżu.

Noc ma dobre strony. Człowiek może poruszać się swobodnie, bez obawy, że jakiś Anglik obserwuje go przez lornetkę i zastanawia się, czy warto zaryzykować jeden czy dwa pociski. I nocą nie dręczy smród - ów nieodłączny towarzysz wojny na pustyni.

Wody brakuje oczywiście do wszystkich celów, nawet do picia, nikt się więc nie myje. Tydzień po tygodniu żołnierz poci się w tych samych łańkach. Bielizna gnije z nim razem, skóra piecze i swędzi niemilosiernie. Ale bardziej dokucza smród. Rodzaj ludzki jest znośny jedynie wówczas, gdy raz po raz zmywa obmierzłe soki życia. Dobrze chociaż, że można przywyknąć do własnego zaduchu, bo inaczej nie obeszłoby się bez samobójstw. Siebie człowiek nie czuje, ilekroć jednak zbliży się do kogoś, smród uderza niby obuchem.

Noc zatem przynosiła pewną ulgę, cenną dla sierżanta Diestla, który od przybycia do Afryki niewiele zaznał dobrego. Prawda, że Niemcy zwyciężali i odbyli w tym czasie pochód z Bardu do obecnych stanowisk, odległych o siedemdziesiąt mil od Aleksandrii. Ale zwycięstwo, chociaż abstrakcyjnie cieszy, nie przynosi osobistych korzyści oddziałom frontowym. Niewątpliwie ma wielkie znaczenie dla czystych, wystrojonych oficerów w rozmaitych sztabach. Zdobywanie miast czi się tam zapewne dobrym obiadem z winem i piwem. Żołnierzowi z pierwszej linii wygrane bitwy mówią tylko, że tak samo jak dotąd może zginąć następnego rana albo żyć w płytkim piaszczystym dole; że towarzysze broni będą tak samo cuchnąć w gorącym wichrze triumfu jak pod chmurami klęski. Przez cały ten czas Christian czuł się znośnie tylko na tyłach, w Cyrene, dokąd go odesłano na dwa tygodnie, kiedy zachorował na malarię. Było tam zielono i chłodniej, a pływanie w Morzu Śródziemnym stanowiło miłą rozrywkę.

Kiedy Himmler oznajmił (powołując się na autorytet radia), że plan niemieckiego sztabu generalnego przewiduje marsz na Aleksandrię i Kair, a następnie spotkanie z Japończykami w Indiach, Knuhlen, który przybył z ostatnim uzupełnieniem i po trosze zajął opróżnione przez Himmlera miejsce kompanijnego wesółka, roześmiał się i powiedział:

- Kto chce, niech idzie dalej spotykać Japończyków. Ja tam, za przeproszeniem, wolę pozostać w Aleksandrii.

Christian przypomniał sobie niewyszukany dowcip Knuhlena i uśmiechnął się w ciemności. „Po tamtej stronie pól minowych nie opowiadają chyba dzisiaj kawałów” - pomyślał.

Nagle po tamtej stronie pól minowych błysnęło na całej linii i po ułamku sekundy rozległ się huk. Christian upadł na piasek, w chwili gdy dookoła poczęły wybuchać granaty.

Sierżant Diestl otworzył oczy w zupełnej ciemności, zorientował się jednak, że jest w ruchu. Zdał sobie także sprawę, iż ma towarzystwo, bo poczuł zaduch - ohydny mieszaninę smrodu nigdy nie zmywanych paryskich pisuarów, ropiejących ran i zimowych łąchów nędzarzy. Przypomniawszy sobie chichot pocisków nad głową i znów opuścił powieki.

Jechał ciężarówką. Co do tego nie miał wątpliwości. I wojna nie skończyła się jeszcze, bo gdzieś, niezbyt daleko, odzywał się ogień artyleryjski. I musiało zdarzyć się coś strasznego, bo w ciemnościach słychać było płacz i zdanie wymawiane raz po raz między chlipnięciami:

- Nazywam się Ryszard Knuhlen, nazywam się Ryszard Knuhlen...

Powtarzał to w kółko, jak gdyby chciał dowieść sobie, że nie oszalał i wie dokładnie, kim jest i co robi.

Christian zapatrzył się w ciemności na cuchnącą plandekę, która trzepotała nad nim głośno. Ręce i nogi bolały go, jak gdyby miał połamane kości. W piekących uszach szumiało. Przez pewien czas leżał bez ruchu i w czarnym wnętrzu samochodu rozważał smutny fakt, że umiera.

- Nazywam się Ryszard Knuhlen, adres Karl Ludwigstrasse 3. Nazywam się Ryszard Knuhlen, adres...

- Stul pysk! - warknął Christian i zaraz poczuł się lepiej. Próbował nawet usiąść, lecz stwierdził, że to zamiar zbyt ambitny, położył się więc na wznak i zaczął obserwować grę różnobarwnych świateł pod przymkniętymi powiekami.

Płacz i monotony głos umilkł, zaraz jednak odezwał się ktoś inny:

- Mamy się spotkać z Japończykami. Cha, cha, cha! Już wiem gdzie. Wiem! Wiem! Wiem! - powtarzał ochryply głos przy akompaniamencie szalonego śmiechu. - W Rzymie! Na balkonie Benita w Rzymie. Powiem temu facetowi z radia, żeby...

W tej chwili Christian zorientował się, że to mówi Himmler, i przypomniał sobie część wydarzeń ostatnich dziesięciu dni.

Pierwszej nocy nawala artyleryjska była ciężka, ale na dobrze okopanych stanowiskach dostali tylko Mayer i Heiss. Teren oświetlały rakiety, smugi reflektorów i czołg płonący za niemieckimi liniami. Na przedpolu widać było nikłe benzynowe ogniki, którymi angielscy saperzy wytyczali oczyszczone z min drogi dla broni pancernej i piechoty. Przy nagłych silniejszych błyskach pokazywały się małe figurki poruszające się żywo pod osłoną nawaly. W tyle zahuczały niemieckie działa. Tylko jeden nieprzyjacielski czołg dotarł blisko i został ostrzelany z wszelkiej broni rozmieszczonej w promieniu tysiąca metrów. Kiedy po chwili otworzyła się kłapa wjazdu, Christian zdziwił się, że wychodzący z czołgu człowiek płonie jasnym płomieniem.

Po nawale artyleryjskiej uderzenie na tym odcinku trwało tylko dwie godziny i odbyło się w trzech falach. Na przedpolu zostawiło po sobie siedem unieruchomionych czołgów i rozrzucone dokoła nich liczne trupy. Czołgi miały poszarpane gaśnice i sterczały w piasku, nachylone pod dziwaczными kątami. Wszyscy byli zadowoleni. Kompania straciła zaledwie pięciu ludzi, toteż z rana, kiedy strzelanina przycichła, Hardenburg z wesołym uśmiechem poszedł do dowództwa batalionu, aby złożyć meldunek o przebiegu akcji.

W południe armaty przemówiły znowu i na polach minowych pojawił się cały szwadron pancerny. Czołgi majaczyły niewyraźnie w gęstych tumanach pyłu. Tym razem linia została przerwana, lecz piechotę brytyjską zatrzymano przed stanowiskami kompanii Hardenburga, a nieliczne pozostałe czołgi zaczęły się wycofywać. Od czasu do czasu odwracały się groźnie i strzelały z dział, jak gdyby chciały pożegnać nieprzyjaciela, zanim wyjdą z zasięgu skutecznego ognia. Ledwie Niemcy zdążyli odetchnąć, artyleria brytyjska rozpoczęła znowu ogień i ostrzeliwała uparcie odkryty teren, na którym służba zdrowia opatrywała rannych. Ludzie umierali wśród jęków i wrzasków, lecz nikt nie mógł wyjść z okopu, by im pospieszyć z pomocą. Zapewne wtedy Knuhlen począł szlochać, a Christian oszołomiony i nieco zdziwiony pomyślał: „No, biorą się na całego do roboty!”. Wszystko to pamiętał wyraźnie. Później zaczął się trząść. Sztywniejącymi rękami obmacał krawędź dołu, w którym siedział, a kiedy wreszcie wychylił głowę, wydawało mu się, że tysiące Anglików biegnie w jego stronę i wylatuje na minach. Niskie jak pluskwy

kariery zabawnie podrygiwały między piechurami i bez przerwy waliły z karabinów maszynowych. Sierżant Diestl miał ochotę wstać i zawołać: „Panowie! Grubo się mylicie! Ja cierpię na malarię. Jestem pewien, że nie zechcecie obarczać sumień zabójstwem człowieka chorego!”.

Tak działo się przez wiele dni i wiele nocy. Fale gorączki przychodziły i opadały. W południe Christianem trzęsły lodowate dreszcze. „Nikt mi nigdy nie mówił - myślał od czasu do czasu z tępą niechęcią - że to może trwać tak długo. Nikt mi nigdy nie mówił, że w podobnych warunkach będę przechodził malarię”.

Nagle wszystko przycichło i Christian pomyślał: „Aha, wciąż tkwimy na miejscu. Anglicy poszaleli chyba, że próbowali nas ruszyć”. Na klęczkach usnął w swoim dole. W sekundę później zorientował się, że Hardenburg szarpie go, spogląda mu w twarz z góry i mówi: „Co z wami, sierżancie? Żyjecie czy nie, do cholery?”. Próbował odpowiedzieć, lecz szcząkał tylko zębami i z wysiłkiem podnosił ołowiane powieki. Uśmiechnął się więc czule do porucznika, który chwycił go za kołnierz i powlókł dokądś niby worek kartofli. Christian rozglądał się i poważnie kiwał głową na widok trupów leżących dokoła. Zdziwił się trochę, że jest ciemna noc, a w pobliżu stoi ciężarówka z silnikiem na chodzie.

- Stul pysk! - zawołał głośno, bo ktoś płakał i mówił: - Nazywam się Ryszard Knuhlen...

Później, w ciemnościach, pod śmierdzącą plandeką, na drewnianej podłodze skaczącej tak, że aż kości trzeszczały, ten sam człowiek płakał i powtarzał raz po raz:

- Nazywam się Ryszard Knuhlen, adres Karl Ludwigstrasse 3. Kiedy Christian ocknął się naprawdę i zrozumiał, że chyba nie umrze w tej chwili, pomyślał beznamiętnie: „To odwrót, a ja mam malarię. Chciałbym zobaczyć generała. Ciekawe, czy i dzisiaj jest taki wesolutki?”. Nagle samochód stanął i Hardenburg odsunął tylną plandekę.

- Wysiadać! - krzyczał. - Wszyscy wysiadać!

Ciężko, powoli, jak gdyby stąpali w grząskim błocku, ludzie wlekli się do tyłu ciężarówki. Kilku przelazło przez podniesioną klapę i upadło na ziemię. Leżeli spokojnie i nie skarżyli się, kiedy koledzy skakali z góry i potykali się o ich ciała. Christian wysiadł ostatni.

„Stoję! - pomyślał triumfalnie. - Naprawdę stoję”.

Hardenburg obserwował go spod oka przy świetle księżyca. Z obydwóch stron widać było błyski armatnich strzałów. Powietrze drżało od ustawicznego grzmotu. Ale Christian był tak zadowolony ze szczęśliwego lądowania, że chwilowo pamiętał tylko o tym drobnym osobistym sukcesie. Wszystko inne wydawało mu się normalne. Bacznie spojrzął na ludzi, którzy z trudem dźwigali się na nogi lub stali w takich pozach, jak gdyby usnęli w marszu. Poznał ledwie kilku, miał jednak nadzieję, że w dzień przypomni sobie resztę twarzy.

- Gdzie kompania? - zapytał.

- To cała kompania - odpowiedział porucznik zupełnie nieswoim głosem.

Diestl odniósł wrażenie, że ktoś trochę podobny podszywa się pod Hardenburga, lecz szybko zdecydował, że kwestię tę rozstrzygnie później, kiedy wyjaśnią się inne sprawy.

Hardenburg wyciągnął rękę i otwartą dłonią silnie uderzył w twarz Christiana. Ręka cuchnęła smarami, oliwą do czyszczenia broni i zastarzałym potem. Sierżant cofnął się i zaczął mrugać jak człowiek zbudzony nagle z głębokiego snu.

- Jak się czujecie, Diestl? - zapytał oficer.

- Dobrze, panie poruczniku. Zupełnie dobrze - odpowiedział i pomyślał: „Warto by zapytać, gdzie jest reszta kompanii. A i to można zostawić na później”.

Ciężarówka drgnęła i z wolna ruszyła piaszczystym szlakiem. Dwaj żołnierze pokłusowali ciężko jej śladem.

- Stać! - zawołał Hardenburg. - Stać w miejscu!

Żołnierze zatrzymali się i tępo patrzyli na samochód, który nabierał szybkości i z hałasem jechał po piaskach błyszczących w blasku księżyca. Christian zobaczył, że stoi u stóp łagodnej pochyłości wznoszącej się ku zachodowi. Wszyscy milczeli. Wszystkie głowy zwrócone były w stronę ciężarówki. Oddalała się przy akompaniamencie zgrzytów w skrzyni biegów. Minęła motocykl Hardenburga, jeszcze wyżej wspięła się stokiem, przez moment zarysowała się na grzbiecie wzgórza - ciemna, duża, dziwnie swojska i domowa - i zniknęła po drugiej stronie wyniosłości.

- Tutaj się okopimy - powiedział Hardenburg i sztywnym ruchem ręki wskazał zbocze. - No, do roboty, ale to już! - rzucił pod adresem żołnierzy, którzy bezmyślnie spoglądali na białą połyskujące piaski. - Diestl! Do mnie!

- Rozkaz, panie poruczniku! - Christian sprężyście zbliżył się do oficera, kontent, że może chodzić.

Hardenburg ruszył pod górę krokiem, którego żywość zdumiała Christiana. „Nadludzkie siły - pomyślał nieźyczliwie. - Taki cherlak, chuchro! Po ostatnich dziesięciu dniach!”.

Żołnierze wlekli się leniwie za porucznikiem. Hardenburg dokładnie wskazywał miejsca, gdzie się mają okopać. W sumie było ich trzydziestu siedmiu i Christian przypomniał sobie, że później powinien spytać, co się stało z resztą kompanii. Hardenburg rozstawiał ludzi długą, rzadką, łamaną linią na zboczu, mniej więcej w jednej trzeciej jego wysokości. Kiedy skończył, odwrócił się i wraz z sierżantem patrzył na pochylone, grzebiące w ziemi postacie. Christian zrozumiał nagle, że w razie natarcia ci ludzie będą musieli wytrwać do ostatka na linii obrony wytyczonej przez Hardenburga. Nie można przecież wycofać się pod górę nie osłoniętym stokiem. Stopniowo zaczynał pojmować, na co się zanosi.

- W porządku, Diestl! - odezwał się oficer. - Za mną!

Christian poszedł za Hardenburgiem. Bez słowa pomagał mu pchać motocykl utartym pustynnym szlakiem aż na grzbiet wyniosłości. Od czasu do czasu któryś z żołnierzy przestawał kopać i przyglądał się dwóm figurom pracowicie windującym motor pod górę. Christian dyszał ciężko, kiedy wreszcie skończyli robotę. Stał obok Hardenburga i spojrzał w dół na długi szereg pracujących ludzi. Księżyc, rozległe piaszczyste pustkowia, leniwe ruchy kopaczy... Był to obraz owiany spokojem, nierealny, jak gdyby sen zapożyczony z kart Biblii.

- Jak nieprzyjaciół nawiąże z nimi styczność, nie będzie mowy o odwrocie - odezwał się Christian prawie nieświadomie.

- Oczywiście - przyznał sucho oficer.

- Wszyscy zginą na tych stanowiskach.

- Oczywiście.

Christian przypomniał sobie nagle coś, co słyszał od Hardenburga dawno, jeszcze pod El Agheila: „Bywają trudne sytuacje, w których trzeba bronić się jak najdłużej. Inteligentny oficer powinien wtedy umieścić ludzi tak, żeby odwrót był niemożliwy. Jeżeli żołnierz musi walczyć albo zginąć, oficer spełni swoje zadanie”.

„Trzeba przyznać - pomyślał Christian - że Hardenburg spełnia dziś swoje zadanie bez zarzutu”.

- Co się właściwie stało? - zapytał.

Hardenburg wzruszył ramionami.

- Anglicy przerwali front na obu naszych skrzydłach.

- A gdzie są teraz?

Porucznik spojrzał żałośnie w prawo i w lewo. Wszędzie widać było błyski artyleryjskiego ognia - blisko na południu, na północy nieco dalej.

- Wiem tyle co wy - powiedział i uważnie sprawdził stan benzyny w baku motocykla. - Na sto kilometrów starczy. Macie dość sił, żeby utrzymać się z tyłu?

Christian zmarszczył brwi. Próbował rozwikłać nową zagadkę i uporał się z nią wreszcie.

- Tak jest, panie poruczniku.

Odwrócił głowę i objął wzrokiem łamaną linię pracujących leniwie żołnierzy - ludzi, których miał porzucić na pastwę śmierci. Zrazu chciał powiedzieć: „Nie, panie poruczniku. Ja zostanę z nimi”. Lecz, prawdę mówiąc, nie przyniosłoby to nikomu żadnej korzyści.

Wojna ma własne prawa równowagi. Hardenburg nie przez tchórzostwo chciał ocalić siebie dla przyszłych zadań. Christian zamierzał zmykać z nim nie po, aby ratować własną skórę. Tamci ludzie stoczą nędzną potyczkę bez znaczenia. Być może, nim polegą na gołym zboczu, opóźnią jakąś kompanię o godzinę. Gdyby porucznik i sierżant pozostali z nimi, nie zyskaliby nawet dziesięciu minut ponad tę godzinę nawet za cenę największych starań i wysiłków. Tak się już dzieje. Może następnym razem oni znajdą się na straconej pozycji, a ktoś inny odjedzie na tyły szukać względnego bezpieczeństwa?

- Zostańcie tutaj - powiedział Hardenburg. - Możecie położyć się i odpocząć. Zejdę na dół. Powiem ludziom, że jedziemy po pluton mózdzierzy, bo trzeba nam wsparcia.

- Tak jest, panie poruczniku.

Christian usiadł. Przez chwilę patrzył na oficera, który schodził szybko w stronę zajętego kopaniem Himmlera. Potem przewrócił się na bok i zasnął, nim ramieniem dotknął ziemi.

Obudziło go gwałtowne szarpanie. Otworzył oczy, spojrzął w górę i zobaczył Hardenburga. Wiedział, że nie zdoła usiąść, dźwignąć się na nogi, zrobić kroku. Chciał poprosić, żeby porucznik zostawił go w spokoju, poprosić i zaraz usnąć. Ale Hardenburg chwycił go za kołnierz i pociągnął mocno. Christian zorientował się nagle, że stoi. Potem szedł jak automat, a jego buty szurały podobnie do ciężkiego żelazka, kiedy matka prasowała w domu sztywną, zmarzniętą bieliznę.

Hardenburg zwinnie przerzucił nogę nad siodełkiem motocykla i raz po raz kopał pedał startowy. Maszyna prychała głośno, ale zapłon nie chwycił. Christian stał opodal i przyglądał się rosnącej furii porucznika. Odwrócił głowę i zorientował się, że mają świadka, dopiero wówczas, gdy z bliska zobaczył postać ludzką w świetle zachodzącego księżyca. Był to Knuhlen, żołnierz, który płakał w ciężarówce. Widocznie porzucił kopanie i wspiął się za dowódcą na grzbiet wyniosłości. Knuhlen nic nie mówił. Tępo gapił się na porucznika, który kopał pedał coraz mocniej.

Hardenburg zobaczył go wkrótce. Sapnął groźnie, zeskoczył z siodełka i stanął obok maszyny.

- Knuhlen! Wracajcie na miejsce! - zawołał.

- Rozkaz, panie poruczniku - odpowiedział żołnierz, ale nie drgnął.

Hardenburg zbliżył się do Knuhlena i z całej siły uderzył go pięścią w twarz. Krew pociekła z nosa. Żołnierz zaczął siorbać i chlupać, lecz nie ruszał się nadal. Ręce bezwładnie zwisały mu po bokach, jak gdyby wiedział, że już nigdy nie będzie ich potrzebował. Karabin i łopatkę zostawił na stoku, gdzie zaczął kopać. Porucznik cofnął się i ciekawie, bez złości spojrzął na żalną figurę, jak gdyby Knuhlen przedstawiał drobny problem, który we właściwym czasie trzeba będzie rozstrzygnąć. Później postąpił krok naprzód i dwukrotnie wymierzył potężne ciosy. Żołnierz wolno osunął się na kolana i z klęcezek patrzył bezmyślnie na Hardenburga.

- Powstań! - zakomenderował oficer.

Knuhlen dźwignął się z trudem. Milczał. Ręce zwisały mu martwo. Christian spojrzał na niego ze wstrętem. Brzydki, niezdarny żołnierz stojący na oświetlonym księżycem grzbiecie wzgórza wyrażał uparty, niemy wyrzut. „Dlaczego nie zostałeś na dole? - pomyślał Diestl. - Dlaczego nie chcesz zdychać?”.

- Wracaj do roboty - powiedział Hardenburg. - Zrozumiano?

Ale Knuhlen stał, jak gdyby słowa nie przenikały już do jego mózgu. Od czasu do czasu ssał krew ściekającą do ust, a Christian dziwił się mimo woli, że ta przygarbiona, niema figura wydaje jednak jakieś dźwięki. Przypomniały mu się modernistyczne obrazy, które widywał w Paryżu. Trzy wynędzniałe, nieruchome, ciemne postacie na nagim wzgórzu skąpanym w poświęcie księżycy. Niebo i pustynia połyskują jednakowo, łączą się ze sobą, jak gdyby były z tej samej nieziemskiej materii.

- Dobrze - odezwał się znów Hardenburg. - Możesz pójść ze mną.

Ujął motocykl za rączki i popchnął w dół przeciwstokiem wyniosłości. Christian spojrzał ostatni raz na trzydziestu sześciu kopaczy poruszających się sennie na pustym zboczu. Potem ruszył stromym szlakiem za Hardenburgiem i Knuhlenem.

Mniej więcej pięćdziesiąt metrów przeszli w milczeniu. Knuhlen stąpał niemrawo śladem toczącego się dość szybko motocykla. Później Hardenburg stanął i zwrócił się do Christiana.

- Potrzymajcie no trochę.

Diestl ujął rączki kierownicy, podparł maszynę udem. Knuhlen przystanął również i bez wyrazu patrzył na dowódcę. Hardenburg odchrząknął, jak gdyby przygotowywał się do dłuższej przemowy. Następnie zbliżył się do Knuhlena, zmierzył go obojętnym wzrokiem i dwukrotnie potężnie zdzielił po twarzy. Żołnierz padł, tym razem w tył. Usiadł na piasku i dalej gapił się bez słowa. Hardenburg wyjął i zarepetował pistolet. Knuhlen nie drgnął, nie zmienił wyrazu czarnej, zalanej krwią twarzy.

Padł jeden strzał. Żołnierz próbował wstać, podparł się rękami.

- Kochany pan porucznik - powiedział spokojnym, gawędziarskim tonem i zarył twarzą w piasek.

- Załatwione - rzucił sucho Hardenburg chowając pistolet do kabury.

Okrakiem stanął nad maszyną i z powodzeniem kopnął pedał startowy.

- W porządku. Siadajcie, sierżancie.

Christian usadowił się ostrożnie na tylnym siodełku. Maszyna drżała pod nim nerwowo.

- No, trzymajcie się mocno - powiedział porucznik. - Weźcie mnie wpół.

„Zabawna historia - pomyślał Diestl otaczając Hardenburga ramionami. - W takiej sytuacji tulić się do oficera! Zupełnie jak panienka, co w niedzielne popołudnie wybiera się w krzaki z motocyklistą!”:

Z bliska porucznik śmierdział okropnie i sierżant bał się, że lada chwila może zwymiotować.

Motor włączony na bieg zaczął prychać i warczeć. Christian o mało nie zawołał: „Proszę o spokój!”. Przyszło mu do głowy, że taką sprawę należałoby załatwić po cichu. To gruby nietakt zapowiadać otwarcie trzydziestu siedmiu ludziom, że pozostaną sami, aby umrzeć; że inni będą zdrowi i cali, kiedy oni zmienią się od dawna w pobielale kości rozrzucone na stoku, z którego odwrót był niepodobieństwem.

„Prawda, teraz jest ich tylko trzydziestu sześciu - pomyślał Christian. - Siedzą w pracowicie wygrzebanych dołkach. Mają powstrzymać brytyjskie natarcie... czołgi... samochody pancerne... Jest ich tylko trzydziestu sześciu. Trzy tuziny żołnierzy. Po ile tuzin?”.

Mocno ścisnął porucznika i podskakując na tylnym kole motocykla, starannie wbijał sobie w głowę, że nie może dostać gorączki ani napadu dreszczy.

Na równinie Hardenburg dodał gazu. Jechali prędko po pustkowiu oświetlonym ostatnimi promieniami księżyca i błyskami ognia armatniego wzdłuż całego widnokregu. Przy zwiększonej szybkości silny powiew zdmuchnął sierżantowi czapkę. Ale Diestl był zadowolony, bo ten sam wiatr neutralizował obrzydliwy fetor porucznika.

Przez pół godziny jechali ku północnemu zachodowi. Motor podskakiwał na szlaku wijącym się między wydmami i rzadko rozsianymi kępami zeschłej trawy. Tu i ówdzie stał przy drodze rozbity czołg lub spalony samochód z kierownicą wycelowaną w niebo niby lufa działa przeciwlotniczego. Były też świeże groby, kopane w pośpiechu - niska mogiłka i karabin zatknięty bagnetem w ziemię, z czapką lub hełmem na kolbie - a

także dawno strącone samoloty, pocerniałe i na pół zasypane piaskiem, których pogięte śmigła i zdruzgotane skrzydła połyskiwały metalicznie w księżycowej poświacie. Ale dopiero na innej drodze, biegnącej w kierunku zachodnim, Hardenburg i Diestl spotkali niemieckie wojsko. Nagle znaleźli się w długiej kolumnie ciężarówek, samochodów pancernych, wozów rozpoznawczych i transportowych oraz motocykli, które powoli sunęły wąskim szlakiem w nieprzejrzanym tumanach pyłu i spalin.

Porucznik zjechał na bok, ale nie za daleko, bo w terenie, przez który kilkakrotnie przetoczyła się wojna, wszędzie można było napotkać minę. Zatrzymał motor, a Christian omal nie zleciał, gdyż pęd przestał go utrzymywać na siodełku. Hardenburg odwrócił się i przytrzymał chwiejącego się pasażera.

- Dziękuję - powiedział Christian oficjalnym, zdawkowym tonem.

Miał już silne dreszcze, a opuchnięty język ledwie się mieścił za ściśniętymi kurczowo zębami.

- Mógłbyś się załadować do jakiegoś samochodu! - krzyknął porucznik i z nadmiarem energii zaczął wymachiwać rękami wskazując procesję wozów, które posuwały się wolno przy akompaniamencie warkotu silników. - Ale nie radziłbym tego robić.

- Jak pan porucznik rozkaże. - Sierżant uśmiechnął się z lodowatą uprzejmością, jak pijany gość na wytwornym nudnym przyjęciu.

- Nie wiem, jakie rozkazy mają te oddziały - ciągnął oficer. - W każdej chwili mogą zawrócić i wejść do akcji, a wtedy...

- Oczywiście, panie poruczniku.

- Najlepiej trzymać się własnego środka lokomocji - dokończył Hardenburg, a Diestl odczuł coś w rodzaju wdzięczności, że porucznik wyjaśnia mu swoje zamiary.

- Tak. Niewątpliwie.

- Coś powiedział? - ryknął Hardenburg, bo w tej chwili na drodze hałasował ciężki samochód pancerny.

- Powiedziałem, że... - Christian zawahał się, bo nie pamiętał już co powiedział - ... że zgadzam się w zupełności.

- To dobrze - porucznik rozwiązał chustkę, którą Diestl miał okreconą dokoła szyi.
- Lepiej zasłoń tym twarz od kurzu. - Niezręcznie zaczął wiązać supeł na potylicy Christiana.

- Przepraszam na momencik. - Sierżant odepchnął ręce Hardenburga, przechylił się na bok i zwymiotował.

Żołnierze z przejeżdżających drogą samochodów nie zwracali uwagi na porucznika i Diestla. Obojętnie, martwo patrzyli prosto przed siebie. Kawalkadę takich postaci sunącą dokądś bez celu i nadziei mógłby oglądać konający w ostatnim upiornym śnie.

Christian usiadł sztywno na siodełku. Poczuł się znacznie lepiej, chociaż w ustach miał nadal przykry niesmak. Chustkę umieścił trochę niżej oczu i osłonił dolną część twarzy. Z trudem przebierał palcami, ale poradził sobie jakoś z węzłem.

- Jestem gotów - oznajmił i mocno uczeplił się oficera. Hardenburg zdążył tymczasem zakryć twarz chustką. Motocykl warknął i przez moment buksował tylnym kołem w piasku. Potem włączył się do kolumny za sanitarką, z której wyrwanych drzwi sterczały trzy pary nóg.

Porucznik sztywno tkwił na siodełku i zamaskowany chustką wyglądał jak bandyta w amerykańskim filmie z Dzikiego Zachodu. Christiana ogarnęła fala ciepłych uczuć dla wybawcy. Chciał zrobić coś, by okazać mu swoje uznanie. Przez pięć minut biedził się nad właściwym dowodem wdzięczności i powoli zaczęło mu świtać w głowie. „Powie mu - myślał - o sobie i jego żonie. Nic więcej nie mam do ofiarowania. - Smutno pokiwał głową. - Jestem bałwan, bałwan, bałwan!”.

Ale myśl raz poczęta nie dawała spokoju. Diestl zamknął oczy. Starał się myśleć o trzydziestu sześciu żołnierzach zajętych kopaniem schronów daleko na południowym wschodzie. Próbował przypomnieć sobie, ile piwa, chłodnego wina i zimnej wody wypił w ciągu ostatnich pięciu lat. Mimo to czuł, że lada chwila zawoła głośno, aby przekrzyć zgiełk na drodze: „Posłuchaj, frajerze! Miałem twoją żonę, jak wyjechałem na urlop z Rennes!”.

Korowód stanął. Hardenburg, który dla bezpieczeństwa trzymał się środka kolumny, opuścił nogi i wyłączył silnik. Christian pomyślał półprzytomnie, że teraz powie mu o Gretchen. Ale w tej chwili z sanitarki wyskoczyli dwaj ludzie i za nogi wywlekli trzeciego. Poruszali się ciężko, wlekli na stronę trupa, żeby nie zawadzał samochodom.

Wreszcie ułożyli go na poboczu. Christian gapił się na nich znad rąbka chustki. Obydwaj odpowiedzieli wstydliwymi spojrzeniami, a jeden bąknął wracając obok motocykla: - Nie ma sensu wieźć go dalej. Już sztywny. Kolumna ruszyła. Sanitarka zgrzytnęła na pierwszym biegu. Dwaj żołnierze pobiegli za nią i czepiając się podskakiwali niezdarnie. Manierki tańczyły im na biodrach. Wreszcie zniknęli w wyrwanych drzwiach, z których po chwili sterczały już tylko dwie pary nóg. Później było zbyt hałaśliwie, żeby poinformować Hardenburga o jego żonie.

Nie wiadomo kiedy rozpoczęła się strzelanina. Na czole kolumny zagrzechotało i wszystkie wozy stanęły. Wówczas Christian uprzytomnił sobie, że słyszy inny hałas, ale przez pewien czas (jak mu się zdawało - długi) nie mógł zrozumieć, co się dzieje.

Ludzie ciężko wyskakiwali z nieopancerzonych wozów i uciekali w pustynię. Ranny wypadł z sanitarki. Włokąc nieprzydatną nogę pełznął w stronę kępki suchej trawy widocznej w prawo, o dziesięć metrów od drogi. Kiedy tam dotarł, zaczął grzebać przed sobą rękami. Karabiny maszynowe zaterkotały dokoła. Samochody pancerne bezładnie rozproszyły się po obydwu stronach szlaku i na oślep otworzyły ogień. Jakiś człowiek bez czapki biegał tam i z powrotem koło opustoszałych ciężarówek z silnikami na chodzie. Raz po raz ryczał:

- Odpowiadać na ogień! Mówię wam, skurwysyny, odpowiadać na ogień! - Jego łysina połyskiwała białą. Nieprzytomnie wywijął w powietrzu trzcina. Musiał to być co najmniej pułkownik.

Pociski moździerzy padały teraz o sześćdziesiąt metrów. Płomienie buchnęły z jednego wozu transportowego. Przy ich blasku Christian zobaczył, że jacyś żołnierze odciągają z drogi rannych czy trupy. Hardenburg zahamował obok sanitarki i zgasił motor. Bacznie spoglądał na pustynię. Chustka zawiązana na jego twarzy w kształcie litery „V” wyglądała jak broda, co wyrosła na niewłaściwym miejscu.

Anglicy strzelali pociskami smugowymi z karabinów maszynowych i lekkich działek. Leniwe parabole świetlne sunęły w powietrzu, nabierały szybkości zbliżając się do kolumny. Niepodobna było rozpoznać, skąd pochodzi ogień.

„Ale bałagan! - pomyślał z wyrzutem Christian. - Nie można walczyć w tak idiotycznych warunkach”. Zaczął złazić z motocykla. Chciał po prostu odejść, położyć się i czekać na coś, co go musi spotkać.

- Siedź spokojnie! - wrzasnął Hardenburg, chociaż dzieliła ich odległość ledwie dwunastu cali.

Diestl pomyślał z odrazą, że nawet Hardenburg robi bałagan. Poprawił się w siodle i sięgnął po swój pistolet maszynowy, lecz nie mógł sobie przypomnieć, co z nim zrobił. Z sanitarki dobywał się przykry, kwaśny zapach środków dezynfekcyjnych pomieszany z trupim smrodem. Christian zakasłał. Nagle pocisk gwizdnął i wybuchnął w pobliżu. Sierżant przywarł kurczowo do metalowego boku sanitarki. Potem coś klepnęło go po plecach. Wyciągnął rękę i strzepnął gorący jeszcze odłamek szrapnela. Przy sposobności odnalazł broń przewieszoną przez ramię. Zaczął ją szarpać, lecz w tej chwili porucznik kopnął pedał startowy i Christian omal nie zsunął się z siodła. Lufa stuknęła go pod brodę. Przygryzł język i w ustach poczuł smak gorącej, słonej krwi. Z całych sił objął Hardenburga. Pośród huków i błysku wybuchających pocisków motocykl mknął między skulonymi na ziemi ludźmi. Skądś z daleka wypłynęła w ich stronę świetlna smuga pocisków. Hardenburg wyprostował przechyloną maszynę i pędził pod ognistym łukiem, byle dalej od luny płonących samochodów...

„Straszny bałagan - myślał Diestl i nagle rozzłościł się na porucznika. - Chce jechać prosto w łapy Anglikom, niech sobie jedzie! Ale po co mnie ciągnie ze sobą? Chyba lepiej spadnę z maszyny". Ostrożnie spróbował zdjąć stopę z podnóżka, musiał jednak zahaczyć o coś nogawką spodni, bo nie mógł unieść kolana. Nagle w przodzie i nieco z boku zobaczył niewyraźne sylwetki czołgów. Wolno odwróciły się długie lufy armat. W jednej wieży karabin maszynowy otworzył ogień do nadjeżdżającego motocykla. Nad głowami przeraźliwie zachichotały pociski. Christian wygiął się w kabłąk. Przywarł twarzą do ramienia Hardenburga, aż sprzączki skórzanych szelek zadrapały mu policzek. Drgnęła znów wieża czołgu. Pociski zatrzepotały przed motorem, podniosły małe fontanny piasku.

Christian rozplakał się. Jeszcze mocniej przyłgnął do Hardenburga. Wiedział, że się boi, że znikąd nie ma ratunku. Za chwilę dostaną serię i on, i porucznik, i motor zamienią się w jedną dymiącą masę spalonego ubrania, krwi i benzyny, w ciemną kałużę na pustynnym piachu.

Nagle tuż obok ktoś krzyknął po angielsku i jak opętany zamachał rękami. Hardenburg warknął głucho i niżej pochylił się nad kierownicą. Strzały zagrzechotały z

tyłu. W chwilę później Christian zorientował się, że jest sam z porucznikiem na białej pustynnej drodze, a hałas oddala się szybko.

Wówczas przestał płakać. Wyprostował się wraz z Hardenburgiem, a nawet spojrzął z zainteresowaniem na pustą drogę, która bielą przed skaczącym na wybojach motorem. W ustach miał wstrętny smak rzygowin i krwi. Policzek piekł go nieznośnie, bo piasek dostawał się pod chustkę i drażnił świeże zadrapania. Ale Christian oddychał głęboko i czuł się znacznie lepiej. Na moment zapomniał nawet o zmęczeniu.

Daleko w tyle bladły łuny i cichła kanonada. Zdawać się mogło, że do Hardenburga i Diestla należy teraz cała pustynia - niezmierna połać jałowej ziemi od Sudanu do Morza Śródziemnego, od Alamein do Trypolis.

Mimo woli Christian uściskał czule porucznika. Pamiętał, że miał mu coś powiedzieć, kiedy rozpoczął się ten bałagan. Ale nie mógł sobie przypomnieć co. Odsłonił twarz i rozejrzał się dokoła. Poczul, że pęd powietrza osusza pianę w kącikach jego ust. Był szczęśliwy, spokojny, życzliwie usposobiony dla całego świata. Hardenburga nadal uważał za bardzo dziwnego człowieka, ale był pewien, że porucznik dostarczy go bezpiecznie - nie wiedział oczywiście dokąd i kiedy, ale tym wolał nie zaprzętać sobie głowy. Dobrze się złożyło, że kapitan Müller, dowódca kompanii, poległ we właściwym czasie. Gdyby żył, on i Hardenburg jechaliby motocyklem, a Christian zostałby na tamtym zboczu z trzema tuzinami trupów.

Z lubością wciągnął w płuca suche, chłodne powietrze. Nie wątpił teraz, że będzie żył, może nawet stosunkowo długo.

Hardenburg był wytrawnym kierowcą i szybko pokonywał przestrzeń. Motocykl ślizgał się, podskakiwał na wertepach, lecz uparcie zmierzał ku północnemu zachodowi. Kiedy Christian obejrzał się za siebie, zobaczył na niebie różowe smugi brzasku. Na drodze i pustyni nic się nie działo. Tylko gdzieś leżały szczątki dawno zniszczonego sprzętu, ułożone porządnie przez oddziały odkomenderowane do zbiórki złomu. Strzelanina odbywała się jeszcze, lecz dalekie jej echa huczały nierównym rytmem i chwilami zamierały zupełnie.

Słońce weszło, Hardenburg widział teraz dobrze i znacznie zwiększył szybkość. Christian musiał uważać, żeby utrzymać się na siodełku.

- Śpiący jesteś? - Porucznik odwrócił głowę i pytanie rzucił głośno, żeby przekrzyczeć hałas motoru.

- Trochę. Nie bardzo.

- Mów coś do mnie. Przed chwilą mało co nie zasnąłem.

- Dobrze, panie poruczniku.

Otworzył usta, jak gdyby zaczynał przemowę, ale nic nie powiedział. Pracowicie szukał w głowie tematu, lecz znajdował jedynie pustkę.

- No, jazda! - krzyknął gniewnie Hardenburg. - Mów coś!

- Tak... Dobrze - odrzekł Christian i zaraz dodał bezradnie:

- Ale o czym?

- Wszystko jedno. O pogodzie.

Sierżant rozejrzał się dokoła. Pogoda była taka sama jak w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

- Chyba będzie dziś upał - powiedział.

- Głośniej! - wrzasnął porucznik patrząc prosto przed siebie.

- Nic nie słyszę!

- Chyba będzie dziś upał! - krzyknął mu Diestl do ucha.

- Teraz lepiej. Masz rację. Dziś będzie upał.

Christian daremnie próbował znaleźć nowy temat. Wysiłek umysłowy przekraczał jego siły.

- No, gadaj! - przynaglił oficer.

- A o czym chciałby pan pogadać?

- Dobry Boże! Wszystko jedno. Byłeś w Cyrene, w tym nowym greckim burdelu?

- Nie wiem. Czekałem w kolejce, ale jak zamknęli drzwi, stało przede mną jeszcze trzech gości.

- Nikt z twoich znajomych tam nie był?

- Był, był! - Christian przypomniał sobie z trudem. - Jeden kapral ranny w głowę.

- Podobało mu się?

- Nie pamiętam... Zdaje się, mówił, że te Greczynki niekoniecznie... Aha! Już wiem. Mówił, że jest tam zanadto formalnie. Ledwie zdążył w przepisowym czasie. A dziewczyna nic. Leżała jak kłoda. Ten kapral uważa, że władze wojskowe powinny werbować ochotniczki, a nie łapać dziwki jak popadnie.

- Twój kapral to skończony idiota - orzekł Hardenburg.

- Tak jest - zgodził się Diestl i znowu zamilkł.

- No, jazda! Gadaj coś! - Hardenburg silnie potrząsnął głową, jak gdyby spędzał sen z powiek. - Co robiłeś w Berlinie na urlopie?

- Chodziłem do opery, na koncerty.

- Z ciebie też skończony idiota.

- Tak jest, panie poruczniku. - Christian pomyślał, że zaczyna ryzykowną grę.

- Poznałeś jakie baby w Berlinie?

- Tak. - Z trudem budował kłamstwo. - Poznałem jedną. Pracuje w fabryce samolotów.

- Miałeś z nią co?

- Tak.

- No i jak było?

- Pierwsza klasa! - Niespokojnie spoglądał nad pochyloną głową porucznika na rozległą pustynię płonącą jaskrawym blaskiem słońca.

- To dobrze - podjął Hardenburg. - Jak jej na imię?

- Greta - odpowiedział po krótkim wahaniu.

- Mężatka?

- Chyba nie. Nic mi nie mówiła.

- Same kurwy - rzucił porucznik pod adresem berlinianek. - Byłeś kiedy w Aleksandrii?

- Nie, nigdy.

- Spodziewałem się że niedługo tam trafimy.

- Teraz się już pan chyba nie spodziewa?

- Stul pysk! - Hardenburg gwałtownym ruchem wyprostował przechyloną niebezpiecznie maszynę. - Będziemy w Aleksandrii! Słyszałeś? Mówię, że będziemy, i to niedługo! Słyszałeś?

- Tak jest, panie poruczniku! - odkrzyknął Christian pod wiatr wiejący nad pochyloną głową Hardenburga.

Oficer odwrócił się na siodełku. Twarz miał ściągniętą gniewem, oczy błyszczące pod obrzmiałymi powiekami. W otwartych ustach połyskiwały zęby; były upiornie białe na tle czarnych, spieczonych warg.

- Stul pysk! Rozkazuję ci! Rozumiesz?! - wrzasnął, jak gdyby musztrował kompanię na otwartym polu w czasie wichury. - Stul pysk albo...

W tej chwili przednie koło skręciło w bok, kierownica szarpnęła gwałtownie i porucznik wypuścił rączki. Christian poczuł, że coś pcha go do przodu, na Hardenburga, który zawisł nad przednim kołem. Silnik zawarczał głośniejsze. Motocykl zjechał z drogi, przechylił się i wywrócił. Christian zdał sobie sprawę, że leci w powietrzu. Usłyszał swój krzyk. A jednocześnie jakiś cudzy głos mówił w nim spokojnie: „Tego już za wiele. Tego stanowczo za wiele”. Potem uderzył o coś twardego i poczuł, że ramię mu drętwieje, lecz zdołał dźwignąć się na jedno kolano.

Przednie koło motocykla obracało się jeszcze, tylne było bezkształtną masą pociętego żelastwa. Porucznik leżał spokojnie. Z rany na jego czole płynęła krew. Dziwacznie skrzyżowane nogi sterczały spod rozbitej maszyny. Christian wstał, zbliżył się wolno i kilka razy szarpnął z całych sił dowódcę. Ale to nie pomogło. Dźwignął więc motocykl i z trudem przewrócił na drugą stronę. Wyswobodziwszy Hardenburga usiadł. Postanowił odpocząć parę minut. Potem wyciągnął z kieszeni opatrunek osobisty i niezręcznie owinął zakrwawione czoło rannego. Zrazu bandaż był czysty jak w szpitalu, niebawem jednak upodobił się do wszystkich prowizorycznych opatrunków, jakie Diestl widział, ponieważ krew przeciekała.

Nagle Hardenburg usiadł i z ukosa zerknął na motocykl.

- Trudno, dalej pójdziemy piechotą - rzucił szorstkim tonem i spróbował wstać, ale siły go zawiodły. - To nic poważnego. - Niezyczliwie spojrział na swoje nogi. - Zapewniam cię, Diestl, że to nic poważnego. Co z tobą?

- Wszystko w porządku.

- Chyba odpocznę dziesięć minut - podjął Hardenburg. - Później zobaczymy.

Położył się na plecach. Ścisnął rękami przemiękły bandaż na czole. Christian usiadł opodal. Patrzył na przednie koło motocykla, które kręciło się coraz wolniej i wolniej. Za każdym obrotem przycichał metaliczny chrobot. Wreszcie koło znieruchomiało i zapadła martwa cisza. Porucznik nie dawał znaku życia. Żaden odgłos nie dochodził z pustyni ani od dwóch armii splecionych ze sobą gdzieś dalej, na afrykańskim kontynencie.

Piaszczysta równina oświetlona porannym słońcem była świeża i chłodna. Nawet szkielety czołgów i samochodów wyglądały w tym blasku niegroźnie, pokojowo. Diestl odkorkował manierkę i ostrożnie pociągnął jeden łyk. Długo trzymał wodę w ustach i nim ją połknął, zwilżył język i zęby. Przy przełykaniu zabulgotało mu w gardle głośno, sucho. Hardenburg otworzył jedno oko, żeby zobaczyć, co jego sierżant robi.

- Oszczędzać wodę! - rzucił automatycznie.

- Tak jest, panie poruczniku - równie automatycznie odpowiedział Christian i pomyślał z uznaniem: „Ten facet wyda rozkaz diabłu, który będzie go pchał widłami do piekielnego pieca. Hardenburg! Triumf wyszkolenia w niemieckiej armii. Komendy tryskają z niego jak krew z rozdartej arterii. Wydając ostatnie tchnienie, będzie układał plany trzech najbliższych akcji”.

Porucznik westchnął i usiadł sztywno. Palcami przesunął po wilgotnym bandażu na czole.

- Ty mi to nałożyłeś?

- Tak, ja.

- Zleci przy pierwszym ruchu - orzekł oficer bez gniewu, tonem rzeczowej krytyki.

- Gdzie się uczyłeś opatrywać rany?

- Bardzo przepraszam, panie poruczniku. Sam byłem trochę wytrącony z równowagi.

- Nic dziwnego. Ale to idiotyzm zmarnować bandaż. Hardenburg rozpiął bluzę i z wewnętrznej kieszeni dobył ceratową torbę, a z torby starannie złożoną mapę sztabową.

- Zaraz się przekonamy, gdzie jesteśmy - powiedział rozprostowując mapę na gładkim stole pustyni.

„Zdumiewające! - pomyślał Christian. - Jest przygotowany na wszelkie możliwe sytuacje”.

Porucznik boleśnie krzywił się nad mapą. Od czasu do czasu dotykał opatrunku na czole. Ale liczył szybko, mamrocząc coś do siebie. Wreszcie złożył mapę, prędko schował do ceratowej torby, a torbę wsunął na dawne miejsce pod bluzę.

- W porządku - oznajmił. - Ten szlak łączy się z drogą wiodącą na zachód. To będzie jakieś osiem kilometrów stąd na północ. Dasz radę przejść tyle?

- Tak - odpowiedział Diestl. - A pan porucznik?

Hardenburg zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

- O mnie się nie martw! - warknął i zakomenderował, jak gdyby dowodził urojoną kompanią: - Powstań!

Christan dźwignął się na nogi. Łopatka i ramię dolegały mu mocno, a ręką poruszał z trudem. Mimo to wiedział, że zdoła przejść kilka kilometrów, może nawet całe osiem. Stał teraz i przyglądał się rozpaczliwym wysiłkom Hardenburga, który próbował powstać z piasku. Pot zrosił mu twarz, na bandażu wystąpiły nowe czerwone plamy. Kiedy jednak Diestl nachylił się, żeby mu pomóc, oficer spojrział na niego srogo i warknął:

- Ręce przy sobie, sierżancie! Zrozumiano?

Christan cofnął się i patrzył dalej na zaciekłą walkę rannego. Porucznik zarył obcasy w piasku, jak gdyby gotował się na przyjęcie ciosu rozwścieczonego olbrzyma. Potem podparł się sztywno prawym łokciem i zaczął windować ciało. Wolno, cal po calu dźwigał się nad ziemią i chociaż jego spopieliała twarz wydawała nieme okrzyki bólu, stanął wreszcie zgięty we dwoje, ale na pewnych nogach. Jeszcze jeden nadludzki wysiłek i ranny zdołał się wyprostować. Pot i krew utworzyły ciemny szlam na jego pokrytej pyłem twarzy, a w tej ohydnej masce lży żłobiły bruzdy. Bo, ku zdziwieniu Christiana, Hardenburg płakał. Oddychał z trudem, charczał, prawie szlochał, lecz z szatańskim uporem zaciskał zęby. W końcu stanął twarzą na północ i ruszył z miejsca powłócząc niezdarnie nogami.

- Za mną! Marsz! - rzucił znowu komendę urojonej kompanii. Szedł przed Christianem po kopnym pustynnym szlaku. Utykał, głowa przechylała mu się na bok za każdym krokiem, ale maszerował wytrwale nie spoglądając do tyłu. Christian brnął za nim. Był straszliwie spragniony, ugiął się pod ciężarem pistoletu maszynowego. Postanowił nie pić i nie prosić o odpoczynek, dopóki porucznik nie zarządzi postoju. Od czasu do czasu mijali rdzewiejące szczątki pojazdów i broni, i wolno, nieporadnie wlekli się ku północy.

Na odległej o kilka kilometrów drodze mogli napotkać Niemców w odwrocie z pola walki lub czekających tam na nich Anglików.

Diestl myślał o Anglikach spokojnie i abstrakcyjnie. Nie wydawali mu się groźni ani realni. Na razie prawdziwe były tylko trzy zagadnienia: smak w wyschniętych ustach, ohydny jak kwaśne wytłoczyny z browaru; kaleki, zwierzęcy chód Hardenburga oraz słońce, które wznosiło się coraz wyżej i zabójczym, natrętym żarem przypiekało plecy. Jeżeli Anglicy rzeczywiście czekają na drodze, powstanie problem, który trzeba będzie rozwiązywać w swoim czasie. Chwilowo Christian był zbyt zajęty, aby się nad tym głowić.

Na drugi odpoczynek siedli półprzytomni, porażeni słońcem. Obolałe oczy piekły ich z bezsenności i zmęczenia. Wtem zobaczyli samochód na widnokręgu. Zbliżał się szybko, wlokąc za sobą pióropusz pyłu. Wkrótce zorientowali się, że to elegancki, odkryty wóz sztabowy - niewątpliwie własność armii włoskiej.

Hardenburg zdobył się znowu na straszliwy wysiłek. Wstał, pokuśtykał kilka kroków i zatrzymał się pośrodku drogi. Dyszał ciężko, lecz patrzył spokojnie na szybko nadjeżdżający samochód. Z okrwawionym bandażem na czole i zapadłymi czerwonymi oczyma wyglądał jak groźny szaleniec. Brudne ręce opuścił wzdłuż boków. Czekał w pogotowiu.

Christian dźwignął się również, ale nie stanął obok porucznika. Wóz sztabowy mknął w ich stronę. Natrętne dźwięki klaksonu rozpraszały się na pustynnej równinie i brzmiały jak odległe echa alarmu. W samochodzie siedziało pięciu ludzi. Hardenburg stał sztywno, bez ruchu. Nie odrywał od nich wzroku. Diestl pomyślał, że samochód zmiażdży porucznika, i już otwierał usta, by na niego zawołać, lecz hamulce zgrzytnęły i długa elegancka maszyna zatrzymała się przed żywą przeszkodą w odległości wyciągniętej ręki.

Na przedniej ławce siedzieli dwaj włoscy szeregowcy: jeden przy kierownicy, drugi skulony sennie obok niego. Trzej pozostali byli oficerami. Wszyscy stanęli w tyle wozu i z furią zaczęli krzyczeć po włosku.

Hardenburg nie drgnął.

- Chcę mówić z oficerem najstarszym stopniem między panami! - zawołał chłodno po niemiecku.

Odpowiedziało mu kilka gniewnych włoskich zdań. Wreszcie otyły, śniady major przemówił lichą niemczyzną:

- Ja jestem tu najstarszy stopniem. Jeżeli pan ma mi coś do zameldowania, proszę do mnie.

- Zechce pan łaskawie wysiąść z wozu - odparł Hardenburg nie schodząc z posterunku przed maską chłodnicy.

Włosi poszwargotali między sobą. Następnie major otworzył tylne drzwiczki i wyskoczył na piasek. Twarz miał brudną, znękaną, a ubrany był w szykowny niegdyś mundur. Z wojowniczą miną zbliżył się do porucznika, a ten zaszutował. Gracki, wojskowy ukłon stracha na wróble tkwiącego pośrodku spalonej słońcem pustyni wyglądał bardzo teatralnie. Major stuknął obcasami i podniósł rękę do daszka.

- Poruczniku - powiedział nerwowo spoglądając na naramiennik Hardenburga. - Bardzo nam pilno. Czego pan sobie życzy?

- Na osobisty rozkaz generała Aignera mam zarekwirować dla niego środek lokomocji - odpowiedział Niemiec lodowatym tonem.

Major otworzył i zamknął usta. Potem spiesznie rozejrzał się dokoła, jak gdyby podejrzewał, że generał Aigner może wyskoczyć nagle z pustynnego piasku.

- Nonsens - odrzekł wreszcie. - Nowozelandzki patrol posuwa się tą drogą. Nie mamy chwili do stracenia.

- Za to ja mam wyraźny rozkaz, panie majorze, a o patrolu nowozelandzkim nic mi nie wiadomo.

- Gdzie jest generał Aigner? - Włoch rozejrzał się znów nerwowo.

- O pięć kilometrów stąd. W jego wozie pancernym pękła gąsienica. Na osobisty rozkaz...

- To już słyszałem! - krzyknął major. - Słyszałem o osobistym rozkazie generała Aignera!

- Pan major będzie łaskaw - podjął spokojnie Hardenburg - rozkazać panom oficerom, by zechcieli opuścić wóz. Kierowca może zostać.

- Odczep się pan! - wybuchnął Włoch zawracając w stronę samochodu. - Mam dosyć pańskich bredni!

- Panie majorze! - rzucił porucznik chłodnym, ostrzegawczym tonem.

Włoch stanął i odwrócił się znowu. Twarz miał zroszoną kroplami potu. Pozostali oficerowie z zatroskanymi minami obserwowali dziwną scenę. Widocznie nie rozumieli po niemiecku.

- To wykluczone - odezwał się major drżącym głosem. - Nasz wóz jest w dyspozycji włoskiego dowództwa. Jedziemy w specjalnej misji do...

- Za pozwoleniem, panie majorze - przerwał mu Hardenburg. - Jest pan na niemieckim obszarze operacyjnym, a generał Aigner przewyższa pana stopniem. Uprzejmie proszę o wydanie wozu.

- Nonsens! - powiedział Włoch słabo, bez przekonania.

- Tak czy inaczej - ciągnął porucznik - natknie się pan wkrótce na punkt kontrolny. Silna placówka blokuje tę drogę. Ma ona rozkaz sekwestrować wszelkie włoskie pojazdy: w razie potrzeby siłą. Tam będzie pan musiał wyjaśnić, co trzej oficerowie liniowi robią tak daleko od swoich oddziałów. Odpowie pan też na pytanie, dlaczego nie podporządkował się pan osobistemu rozkazowi generała Aignera, dowódcy wszystkich wojsk na tym odcinku.

Chłodno spojrzął na majora, ten zaś podniósł prawą rękę do pasa. Hardenburg nie zmienił wyrazu twarzy. Nadal miał minę zmęczoną, pogardliwą, trochę znudzoną. Odwrócił się plecami do przeciwnika i z boku obszedł samochód. Zdołał nawet zrobić te pięć kroków bez utykania.

- *Fuori* - powiedział otwierając przednie drzwiczki i dodał również po włosku: - Wsiadaj! Kierowca niech zostanie.

Szeregowiec skulony na przedniej ławce odwrócił głowę i błagalnie spojrzął na oficerów. Ale oficerowie unikali jego wzroku. Gapili się na majora, który nadszedł za Hardenburgiem.

- *Fuori* - powtórzył spokojnie Niemiec i klepnął szeregowca po ramieniu.

Żołnierz otarł spotniałe czoło. Później patrząc na własne buty wygramolił się z samochodu i żałośnie stanął obok majora. Byli bardzo do siebie podobni: dwie delikatne śniade włoskie twarze, zatroskane, przystojne i całkiem niewojskowe.

- A teraz... - Porucznik zwrócił się do dwóch oficerów z nie budzącym wątpliwości gestem. - Panowie zechcą łaskawie...

Pytająco spojrzeli na majora, a jeden zagadał szybko po włosku. Major westchnął, odpowiedział trzema słowami. Wtedy wysiedli z samochodu i stanęli na drodze.

- Sierzancie! - zawołał Hardenburg nie odwracając głowy.

Christian zbliżył się i sprężyście stanął na baczność.

- Sierzancie, zbadajcie zawartość wozu. Osobisty bagaż należy zwrócić panom oficerom. Zrozumiano?

Diestl wszedł do samochodu tylnymi drzwiami. Znalazł kanistry z wodą, trzy flaszki chianti i dwa pudła żelaznych porcji. Bez pośpiechu brał jedną po drugiej butelki i skrzynki i kładł na drodze u stóp majora. Włosi przyglądali się pośepnie swoim zapasom wyładowywanym na pustynny piasek.

- Wodę też, panie poruczniku? - zapytał Christian gładząc wilgotną blachę.

- Wodę też, sierzancie - odparł Hardenburg bez wahania.

Christian ustawił kanistry obok wina i żywności.

Następnie porucznik przeszedł na tył wozu, gdzie przytroczona była zwinięta pościel. Wydobył nóż i trzema szybkimi ruchami przeciął rzemienie. Otwarte brezentowe pokrowce potoczyły się w pył pustynnego szlaku. Jeden z oficerów krzyknął coś gniewnie, lecz major uciszył go szybkim ruchem ręki. Później stanął przed Hardenburgiem i powiedział po niemiecku:

- Stanowczo domagam się kwitu rekwizycyjnego na samochód.

- Zrozumiałe - odparł poważnie porucznik.

Wydobył mapę, oderwał mały prostokątny świstek z narożnika i przez chwilę pisał powoli na czystej stronie. Później przeczytał na głos spokojnym, pewnym tonem:

„Od majora... takiego a takiego... otrzymałem jeden samochód sztabowy marki Fiat z kierowcą. Rekwizycji dokonałem na rozkaz generała Aignera. Podpisano: porucznik Zygfryd Hardenburg”.

- Czy to wystarczy? Na nazwisko pana majora zostawiłem wolne miejsce.

Włoch chwycił kartkę, przeczytał uważnie i podniósł w drżącej ręce.

- Przedstawię ten dokument w odpowiednim miejscu i we właściwym czasie! - zawołał głośno.

- Nie mam nic przeciwko temu - odpowiedział Hardenburg stojąc już w samochodzie. - Sierzancie! Siadajcie tutaj, koło mnie.

Christian wygodnie usadowił się w tyle wozu, obok dowódcy. Brązowa, starannie naciągnięta skóra była świeża. Pachniała winem i wodą kwiatową. Diestl z obojętną miną patrzył prosto przed siebie, na opaloną, śniadą szyję kierowcy. Hardenburg wyciągnął rękę nad kolanami sąsiada i głośno zatrzasnął drzwiczki.

- *Avanti* - rozkazał chłodno żołnierzowi przy kierownicy. Kark Włocha zeszywniał na chwilę. Szyja nad kołnierzykiem poczerwieniała. Później kierowca włączył bieg. Hardenburg zaszalutował - włoscy oficerowie jeden po drugim podnosili ręce do daszka. Tylko szeregowiec nie poruszył się wcale. Był zbyt oszołomiony i przybity.

Wóz ruszył gładko. Piasek spod kół opryskał żalostną grupę stojącą z brzegu drogi. Potężny, nieświadomy odruch mięśni nakazywał Christianowi odwrócić głowę. Ale Hardenburg położył mu ciężką dłoń na ramieniu.

- Nie oglądaj się! - warknął.

Diestl próbował siedzieć w niedbalej pozie. Czekał, aż w tyle hukną strzały, nic jednak nie usłyszał. Z ukosa zmierzył spojrzeniem porucznika. Na jego ustach igrał swawolny, zimny uśmiezek.

„Bawi go to - pomyślał ze zdumieniem sierżant. - Jest ranny, rozbity, ledwie żywy. Stracił całą kompanię i Bóg wie, co go jeszcze czeka. Mimo to chwila triumfu cieszy go, upaja. Taki jest Hardenburg!”.

Miał ochotę uśmiechnąć się również, lecz zapadł tylko głębiej w miękką skórę i poczuł rozkoszną ulgę w strudzonym ciele i potłuczonych kościach.

- Co by się stało, gdyby ci Włosi uparli się i nie dali wozu? - zapytał po chwili.

Porucznik uśmiechnął się i z zadowoloną miną przymknął opuchnięte powieki.

- Zastrzeliliby mnie, i tyle.

- Rozumiem - Christian poważnie skinął głową. - A woda? Dlaczego zostawiliśmy im wodę?

- Widzisz... Nigdy nie należy przesadzać - zachichotał i wtulił plecy w oparcie z pięknej skóry.

- A co się z nimi stanie? - indagował dalej sierżant.

- Z nimi? - Hardenburg wzruszył ramionami. - Poddadzą się i pójdą do brytyjskiego obozu jeńców. Włosi przepadają za niewolą... No, dosyć! Chcę się zdrzemnąć.

Momentalnie zaczął oddychać równo, a jego twarz umazana krwią i brudem przybrała we śnie błogi, dziecięcy wyraz. Diestl czuwał. Był zdania, że ktoś powinien jednak obserwować pustynię i kierowcę, który siedząc sztywno przed nimi utrzymywał na drodze potężną, szybko mknącą maszynę.

Mersa Matruh wyglądało jak bombonierka, w której zagnieździła się śmierć. Hardenburg szukał kogoś, komu mógłby się zameldować. Lecz w mieście panował chaos samochodów, zabłąkanych żołnierzy, uszkodzonych wozów pancernych, ruin. Podczas ich bytności nadleciał tam dywizjon samolotów brytyjskich i przez dwadzieścia minut rzucał bomby. Przybyło trochę ruin. Pociąg sanitarny został doszczętnie rozbity. Pod płonącymi szczątkami wagonów ludzie wyli jak dzikie bestie. Wszyscy mieli tylko jeden cel: chcieli jak najprędzej umykać na zachód. Wobec tego porucznik kazał kierowcy wprowadzić wóz w nieskończony, wolno sunący strumień pojazdów i niebawem znaleźli się na krańcach miasta. Był tam punkt kontrolny. Kapitan o zapadniętych oczach miał przed sobą długi arkusz papieru przypięty do deski. Mijających go żołnierzy - zdrożonych, półprzytomnych, chorych - wypytywał o rodzaje i nazwy oddziałów. Zdobyte wiadomości notował skrzętnie. Wyglądał jak szalony buchalter, co podczas trzęsienia

ziemi robi niemożliwy bilans w walącym się banku. Nie miał pojęcia, gdzie jest obecnie dowództwo dywizji i czy w ogóle istnieje. Oblepionymi błotem wargami powtarzał raz po raz martwym, bezdźwięcznym głosem:

- Nie zatrzymywać się! Ładna historia! Nie zatrzymywać się. Nie zatrzymywać się...

Kiedy zobaczył Włocha przy kierownicy, powiedział:

- Zostawcie mi tego żołnierza. Przyda się do obrony miasta. Dam wam niemieckiego szofera.

Hardenburg zwrócił się do kierowcy łagodnym tonem. Włoch płakał głośno, ale bez oporu wygramolił się z wozu i stanął koło kapitana z długim arkuszem papieru. Zabrał karabin, lecz trzymał go niezdarnie za koniec lufy, a kolbę włókł po piasku. Z rozpaczą gapił się na korowód samochodów, dział i uciekających żołnierzy. Broń w jego rękach wyglądała zupełnie niegroźnie.

- Takim wojskiem niedługo utrzymamy Matruh - mruknął pośepnie Hardenburg.

- Oczywiście. Ma pan słuszność. Ładna historia! Oczywiście, że niedługo - przyznał półprzytomnie kapitan i krztusząc się dał nurka w tuman pyłu, żeby zapisać numery dwóch przejeżdżających dział przeciwlotniczych i jednego samochodu pancernego.

Później kapitan oprzytomniał nieco. Dał im kierowcę, który zgubił po drodze czołg, i jako pasażera - zestrzelonego nad miastem pilota messerschmitta. Ponadto udzielił rady, by jak najprędzej jechali do Sollum, bo na głębokich tyłach sytuacja musi przedstawiać się lepiej.

Czołgista, rosły, jasnowłosy wieśniak, pewnie chwycił za kierownicę. Christianowi przypominał kaprala Krausa, który niegdyś, dawno, padł na drodze do Paryża i leżał z wiśniowymi plamami na wargach. Pilot był młody, ale łysy. Twarz miał szarą, wynędzniałą. Obrzydliwy tik nerwowy wykrzywił mu usta dwadzieścia razy na minutę.

- Dziś rano jeszcze tego nie miałem - powtarzał wiele razy. - Słowo daję! Dziś rano jeszcze tego nie miałem. Bodaj to licha! Pogarsza się z każdą chwilą. Chyba wygląda okropnie?

- Skąd znowu - mówił Diestl. - Prawie nic nie widać.

- Zestrzelił mnie Amerykanin - opowiadał lotnik. - Pierwszy Amerykanin, jakiego spotkałem w życiu. Nie wiedziałem nawet, że oni są na tym froncie. - Smutno pokiwał głową, jak gdyby jego fatalny przypadek był najdotkliwszą klęską, jaką w Afryce poniosły siły zbrojne Trzeciej Rzeszy.

Jasnowłosey wieśniak był dobrym kierowcą, sprawnie więc przemykali w bezładnym ruchu na zatłoczonej, zrytej bombami szosie, nad błękitnymi wodami Morza Śródziemnego, którego chłodna, spokojna tafla sięga daleko, aż do Italii, Grecji, Europy...

Katastrofa zdarzyła się następnego dnia na zniszczonej szosie wijącej się pod górę między ruinami miasteczka Sollum a Wyżyną Cyrenejską.

Mieli jeszcze włoski wóz sztabowy, a benzynę ściągnęli szczęśliwie z baków uszkodzonej ciężarówki. Jechali w środku nieskończonej kolumny, która zatrzymywała się wciąż i znów ruszała, lecz stale sunęła ku zachodowi. W dole szczątki murów białą wdzięcznie nad basenem portowym w kształcie dziurki od klucza. Zatoka otoczona spieczonym piaskiem lśniła jasną zielenią i czystym błękitem. Wraki zatopionych statków, dobrze widoczne przez czystą, lekko pofałdowaną wodę, wyglądały jak pamiątki po bardzo dawnych wojnach.

Pilot messerschmitta wykrzywił usta jeszcze okropniej niż dnia poprzedniego. Uparcie gapił się w lusterko kierowcy, jak gdyby chciał podpatrzeć tik w chwili narodzin, zamrozić go na twarzy i przestudiować dokładnie. Jak dotąd, nie udało mu się ten zabieg. W nocy popłakiwał, ilekroć zapadał w sen. Hardenburga drażnił w najwyższym stopniu.

W dole widać było oznaki przywracanego ładu. Pierścień dział przeciwlotniczych otaczał gruzy miasteczka, a na wschodnim jego krańcu okopywały się dwa bataliony piechoty. Jakiś generał chodził tam i z powrotem w pobliżu portu, wymachiwał rękami i niewątpliwie miotał liczne rozkazy. Niektóre czołgi i samochody pancerne opuszczały kolumnę ciągnącą się wzdłuż szosy, jak okiem sięgnąć. Wozy te gromadzono w strefie odwodów, za piechotę. Z wysoka widać było drobne figurki, które przesuwały się żywo i zapewne podawały zapasy paliwa i amunicji stojącym w otwartych wieżach żołnierzom.

Hardenburg stanął w samochodzie i obserwował bacznie te bojowe przygotowania. Mimo wysokiej temperatury zdołał ogolić się z rana. Usta miał spierzchnięte i zaropiałe, ale umyty i w czystym bandażu na czole odzyskał wojskowy wygląd.

- Tutaj ich zatrzymamy - oznajmił. - Dalej nie pójda ani kroku!

Wówczas właśnie nisko nad morzem pojawiły się samoloty. Łoskot ich silników zagłuszył powolny szcęk pnących się pod górę pojazdów gąsienicowych. Sunęły formacją przypominającą karnawałowy latawiec w kształcie strzały. Były coraz bliżej. Zdawały się powolne, łatwe do trafienia, ale nikt jakoś nie kwapił się do otwarcia ognia. Christian wyraźnie widział odrywające się bomby. Później stromy stok Wyżyny Cyrenejskiej zaczął wybuchać. U czoła kolumny ciężarówka podskoczyła gwałtownie i runęła ze stumetrowego urwiska. Wyleciał z niej jeden but, jak gdyby ktoś ratował z katastrofy pierwszy przedmiot, który wpadł mu w rękę. Bomby padały bliżej i bliżej. Diestl poczuł nagle, że wylatuje w górę.

„To świństwo - pomyślał. - Po takiej długiej i ciężkiej drodze... To świństwo!”.

Wiedział, że jest ranny, chociaż go nic nie boli. Wiedział, że mdleje, i z lubością pogrązał się w różnokolorowe wiry bezprzykładnego chaosu. Wreszcie stracił przytomność.

Kiedy otworzył oczy, leżało na nim coś ciężkiego. Próbował to zepchnąć, lecz bez pomyślnego skutku. Zwietrzył zapach bomb termicznych i stopionej skały, i dobrze znajomy swąd konającego samochodu: smród płonącej gumy, skóry, lakieru. Potem zobaczył mundur i bandaż, uprzytomnił więc sobie, że leży pod Hardenburgiem, który raz po raz powtarza spokojnym tonem:

- Postarajcie się o doktora.

Ale swojego dowódcę poznał tylko po głosie, naramiennikach i bandażu, bo porucznik Hardenburg nie miał twarzy. Słowa dobywały się purpurowymi bańkami z bezkształtnej, szkarłatnej i białej miazgi, która znalazła się nagle na miejscu twarzy. Jak we śnie Christian próbował sobie przypomnieć, gdzie i kiedy widział coś podobnego. Nie przyszło mu to łatwo, bo znowu był bliski omdlenia. Na koniec jednak odnalazł w mrokach pamięci. To był owoc granatu. Niezręcznie otwarty owoc granatu - żyłkowy, szkarłatny, ociekający sokiem. Okaleczony owoc granatu na talerzu kremowym jak kość słoniowa.

Potem sierżant Diestl poczuł straszliwy ból i przestał myśleć o czymkolwiek.

Rozdział XVII

- Lekarze ręką - mówił głos zza bandażu - że za dwa lata oddadzą mi twarz. Nie łudzę się. Nie będę podobny do gwiazdora filmowego, ale mam nadzieję, że dostanę twarz całkowicie znośną.

Christian doskonale pamiętał kilka całkiem znośnych twarzy, które chirurdzy przykleili do zmasakrowanych czaszek, miał więc nadzieję nieporównanie mniejszą niż Hardenburg, odpowiedział jednak:

- Oczywiście, panie poruczniku.

- Są prawie pewni - ciągnął głos - że za miesiąc przejrzę na prawe oko. Już to jedno będzie wielkim sukcesem, gdyby nawet wszystko inne zawiodło.

- Naturalnie, panie poruczniku.

Rozmowa ta miała miejsce w zaciemnionym pokoju w willi na pięknej wysepce Capri, pływającej się w błękitnych wodach Zatoki Neapolitańskiej i w blaskach zimowego słońca. Christian siedział między dwoma łózkami. Kule ustawił pod ścianą, a nogę w gipsie trzymał sztywno przed sobą, ledwie dotykając piętą marmurowej posadzki.

Jedno łóżko zajmował Hardenburg, drugie bardzo ciężki przypadek - czołgista, którego Christian nazywał po prostu „Spalony”. „Spalony” leżał bez ruchu pod dziesiątkami metrów bandażu i chłodny, wysoki pokój napełniał ohydny zaduchem, gorszym niż odór trupi. Ale Hardenburg nie mógł czuć tego smrodu, gdyż nie miał powonienia. Zaradna pielęgniarka wykorzystała ten fakt i dwóch ciężko rannych umieściła w jednym pokoju willi, która przed wojną należała do fabrykanta jedwabi z Lyonu, obecnie zaś była szpitalem zapełniającym się z dnia na dzień produktami walk w Afryce, interesującymi z punktu widzenia chirurgii.

Christian leczył się w większym szpitalu dla szeregowych, położonym na zboczu malowniczego wzgórza. Przed tygodniem dostał kule i od tej chwili uważał się za człowieka wolnego.

- Ładnie, Diestl, że przyszliście do mnie w odwiedziny - powiedział Hardenburg. - Kiedy człowiek zostanie ranny, otoczenie zaczyna go traktować jak ośmioletniego brzdąca; jak gdyby mózg jegogniłrazem ze wszystkim innym.

- Od początku chciałem zobaczyć pana porucznika - odrzekł Christian - podziękować osobiście za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Naprawdę jestem bardzo wdzięczny. Skoro więc dowiedziałem się, że pana również ewakuowano na Capri...

- Nonsens! Nie może być mowy o wdzięczności. Uratowałem was nie przez sympatię.

Zdumiewające! Głos był ten sam - ostry, władczy, drewniany, dawny głos Hardenburga, chociaż zniknęła przesłaniająca go fasada.

- Rozumiem, panie poruczniku - bąknął sierżant.

- Na motocyklu miałem dwa miejsca. Postanowiłem ocalić żołnierza, który może przydać się później. Gdyby ktoś inny był moim zdaniem bardziej wartościowy, wy zostalibyście na pustyni.

- Rozumiem, panie poruczniku.

Christian patrzył na białe, czyste bandaże, porządnie spowijające głowę, którą ostatni raz widział ociekającą krwią na stoku wzgórza pod Sollum, kiedy łoskot samolotów brytyjskich cichnął w oddali.

Weszła siostra, czterdziestoletnia kobieta o macierzyńskiej, tłustej, pogodnej twarzy.

- Starczy na dzisiaj - powiedziała głosem wcale nie macierzyńskim, lecz znudzonym i urzędowym. - Koniec odwiedzin.

Zatrzymała się we drzwiach, aby sprawdzić, czy gość wyjdzie. Christian wstał powoli, sięgnął po kule. Drewno zastukało ponuro na marmurowych płytach posadzki.

- W każdym razie - powiedział Hardenburg - będę chodził swobodnie na własnych dwóch nogach.

- Na pewno - przyznał Christian. - Jeżeli pan porucznik pozwoli, przyjdę niedługo.

- Jak sobie życzy.

- Tędy, sierżancie - odezwała się znów pielęgniarka.

Diestl kuśtykał niezdarnie, bo od niedawna nauczył się posługiwać kulami. Na korytarzu odetchnął z ulgą. Nie było tam czuć „Spalonego”.

Przez śnieżnobiały tłumik opatrunku ranny mówił o żonie:

- Napisałem otwarcie, gdzie i jak dostałem, a ona odpowiedziała, że jest dumna ze mnie i że to nie wpłynie na nasz wzajemny stosunek. Nie bardzo się przejęła zmianą mojej powierzchowności.

„Zmiana powierzchowności... Hm... Brak twarzy to jednak poważny feler” - pomyślał Christian, lecz się nie odezwał.

Siedział sztywno między dwoma łózkami. Nogę miał wyciągniętą. Jego kule stały na zwykłym miejscu pod ścianą.

Prawie co dzień odwiedzał teraz dowódcę, ten zaś godzinami potrafił mówić z białych mroków bandaży. Diestl odpowiadał najczęściej: „Tak jest, panie poruczniku” albo: „Nie, panie poruczniku”, i słuchał. „Spalony” cuchnął nieodmiennie, ale za każdym razem smród dławiał gościa tylko przez kilka minut. Potem można było przywyknąć, a nawet zapomnieć o chorym z drugiego łózka. Hardenburg, więzień ślepoty, snuł długie, spokojne rozważania, powoli rozwijał film swojego życia na użytek Christiana i własny. Korzystając z przymusowych wakacji sporządzał inwentarz, ważył i mierzył dawne triumfy i porażki, kreślił szczegółowe plany możliwości na przyszłość. Coraz bardziej urzekąco to Christiana, który spędzał po pół dnia w dusznym pokoju i niemal bez słowa śledził rozwijanie spirali życia tak dziwnie splecionego z kolejami jego losów. Szpitalna izba zamieniała się wówczas w coś pośredniego między salą wykładową a konfesjonalem, gdzie Diestl zaczynał rozumieć własne błędy, gdzie wyjaśniały się, krystalizowały, nabierały wymowy jego mgliste nadzieje i pragnienia. Wojna stawała się koszmarem z odległych kontynentów, zmaganiem cieniów mroku, odległym echem trąb zagłuszanych przez nawałnicę. Prawdziwy, ważny, istotny był tylko pokój z widokiem na błękitny, rozświetlony port i dwie spowite w biel, cuchnące postacie.

- Po wojnie Gretchen będzie mi bardzo pomocna - mówił Hardenburg. - Moja żona ma na imię Gretchen.

- Wiem, panie poruczniku.

- Skąd wiecie? Ach, prawda! Posyłałem was do niej z paczką.

- Tak.

- Gretchen jest bardzo przystojna, prawda, Diestl?

- Prawda, panie poruczniku. Bardzo przystojna.

- To kwestia pierwszorzędnej wagi - ciągnął Hardenburg. - Nie macie pojęcia, ile karier wojskowych zniweczyły niepozorne żony. Ona jest również wybitnie zdolna. Ma talent do posługiwania się ludźmi.

- Tak jest, panie poruczniku.

- Mielicie możliwość porozmawiać z nią trochę?

- Mniej więcej dziesięć minut. Dopytywała o pana.

- Bardzo jest do mnie przywiązana - oznajmił ranny.

- Niewątpliwie, panie poruczniku.

- Chcę pokazać się jej za półtora roku. Będę miał wtedy twarz całkiem znośną. Po co narażać Gretchen na przedwczesny wstrząs? Tak, tak! Będzie mi bardzo pomocna. Wszędzie czuje się jak u siebie w domu, jest naturalna, swobodna. Mówi właściwe rzeczy we właściwym momencie. Ma talent życia.

- Tak jest, panie poruczniku.

- Mówiąc otwarcie, ożeniłem się z nią bez miłości. Byłem wtedy związany, bardzo mocno związany ze starszą ode mnie kobietą, rozwódką z dwojgiem dzieci. Mało brakowało, a zostałbym jej mężem i zrujnował się bez ratunku. Jej ojciec pracował w fabryce metalurgicznej, a ona już wtedy miała tendencje do tycia. Musiałem przypominać sobie ustawicznie, że za dziesięć lat będzie potworem, a ja będę przyjmował ministrów i generałów. Moja żona powinna być godną panią domu i gospodynią. Tak, ta kobieta była trochę wulgarna, a jej bachory nieznośne. Ale nawet teraz, kiedy o niej pomyślę, mokro mi się robi i biorą mnie ciągoty. Diestl, wspominaliście tak kiedy kochankę?

- Tak jest, panie poruczniku - odrzekł Christian.

- To byłaby ruina! - ciągnął głos zza bandaży. - Kobieta jest najpospolitszą i najniebezpieczniejszą pułapką. Mężczyzna powinien wystrzegać się jej bacznie. Gardzę mężczyzną, który poświęca siebie dla kobiety. To najobrzydliwsza forma słabości charakteru. Gdyby to ode mnie zależało, kazałbym spalić wszystkie powieści z *Kapitałem* Marksa i wierszami Heinego włącznie.

*

Innego dnia była niepogoda. Za oknami leżała szara zatoka, osłonięta niby firanką potokami zimowego deszczu.

Hardenburg mówił:

- Jak się skończy ta wojna, pomyślimy o drugiej: z Japończykami. Koniecznie trzeba ujarzmić sojuszników. Brak tego zdania w *Mein Kampf*. Zapewne Hitler opuścił je przez chytrą. A później pozwolimy jakiemuś państwu - nie wiem jeszcze jakiemu i gdzie - tak porosnąć w piórka, żeby zostało przeciwnikiem trudnym do pokonania. Naród skazany na wielkość musi nieustannie żyć w najwyższym napięciu, musi oscylować na granicy upadku i wciąż gotować się do uderzenia. Kiedy traci tę gotowość, historia powoli ryje jego imię na kamieniu grobowym. Imperium rzymskie stanowi po wiek wieków wyborny przykład dla ludzi inteligentnych. Naród zaczyna rozpadać się w proch, w chwili kiedy pytanie: „Komu teraz zadamy cios?“, zastępuje pytaniem: „Kto nas uderzy?“. Obrona to ulubiony przez tchórzów synonim klęski. Niczego nie można bronić skutecznie. Prawdziwym nieszczęściem jest nasza tak zwana cywilizacja, wstrętna mieszanka lenistwa z niechęcią umierania. Anglia to deser po rzymskim obiedzie. Owocami wojny niepodobna delectować się w pokoju. Wykorzystać je można tylko dzięki nowym wojnom. Anglicy dumnie rozglądają się dokoła i mówią: „Spójrzcie, jak wieleśmy zdobyli. Teraz trzeba to wszystko zachować“. Mówią tak i nie rozumieją, że imperium przesypuje się im między palcami. Tak! Zwycięzcy nie powinni odrzucać barbarzyństwa, bo to przecież barbarzyńcy zawsze zwyciężają!

My, Niemcy, trzymamy w ręku najlepsze karty. Mamy śmiałą, inteligentną elitę i liczną, energiczną ludność. Oczywiście inne narody, na przykład Amerykanie, mają równie dużo śmiałych, inteligentnych przywódców i ludność zapewne jeszcze bardziej energiczną. Ale los uśmiechnął się do nas pod jednym względem i dzięki temu ostatecznie wygramy. Jesteśmy posłuszni, a oni nie, i prawdopodobnie nigdy nie nauczą się uległości. Ślepo wykonujemy rozkazy, jesteśmy więc doskonałym narzędziem, które góra wykorzystuje w decydujących momentach. Amerykanów można zmienić w narzędzie na rok, dwa, może pięć lat. Później muszą się załamać. Rosja jest niebezpieczna tylko z powodu obszaru, ale ja nie wierzę, aby sam obszar mógł być czynnikiem decydującym.

Głos płynął spokojnie, miarowo, jak gdyby naukowiec czytał w uniwersyteckiej bibliotece ulubioną, prawie na pamięć znaną księgę. Deszcz tłukł o szyby i spowijał port wilgotną zasłoną. W sąsiednim łóżku „Spalony” leżał bez ruchu, pogrążony we własnym straszliwym smrodzie, niezdolny cokolwiek usłyszeć, zrozumieć, zapamiętać...

W senne, ciche popołudnie słońce stało nisko na jasnym niebie. Za oknami leżał błękitny krajobraz: niebo, morze i góry, jednakowo nierzeczywiste, pastelowe.

Hardenburg mówił:

- Moja rana jest na swój sposób wydarzeniem korzystnym. W wojsku nie sprzyjało mi szczęście. Nie mogłem jakoś trafić na właściwe miejsce. A z taką raną nie będę przecież uwiązany do wojska. Jak wiecie, Diestl, dostałem tylko jeden awans, chociaż niektórzy moi koledzy ze szkoły awansowali po pięć razy. Nie myślę biadać. Nie chodzi tutaj o protekcję czy pomijanie zasług. Cała rzecz w tym, gdzie się człowiek znalazł w takim lub innym momencie: w sztabie wielkiej jednostki, której dowódcy los poszedł na rękę, czy na linii frontu, w miejscu, gdzie nieprzyjaciół zaczął ofensywę. Ważne są słowa, w jakich zredagowano meldunek, i kto przy śniadaniu czytał te meldunki, i w jakim był humorze... Tak. Jasno widać, że nie wiodło mi się w dziedzinie, jaką obrałem. Teraz władze nie odeślą mnie do wojska. Dowódca ze zniekształconą twarzą źle działa na morale podkomendnych. To jasne i logiczne. Przed zamierzonym natarciem nikt, kto ma trochę oleju w głowie, nie prowadzi kompanii przez cmentarz wojskowy, jeśli oczywiście ma inną drogę do wyboru. Wymaga tego prosta delikatność. Ale tak czy inaczej, twarz zorana bliznami bardzo mi się przyda na przyszłość. Chcę zająć się polityką. Od dawna miałem taki zamiar, lecz za odskocznię uważałem armię. Dzięki ranie mogę oszczędzić dwadzieścia lat. Po wojnie stanowiska czołowe staną otworem tylko dla tych, którzy dobrze się zasłużyli ojczyźnie na polach bitew. Ja nie będę musiał nosić orderów na klapie marynarki. Moja twarz zastąpi ordery. Współczucie, szacunek, wdzięczność, trwoga! Oto co będzie wzbudzać moja twarz! Jak się to wszystko skończy, weźmiemy w garść cały świat, a partia może uznać zniekształconą twarz za symbol, który równie dobrze jak inne będzie ją reprezentował w podbitych krajach.

Całkiem spokojnie myślę o swojej twarzy. Kiedy mi zdejmą bandażę, stanę przed lustrem i spojrzę uważnie. Nie mam złudzeń. Wiem, że zobaczę coś potwornego. Ale

potworność nie powinna przerażać żołnierza, tak jak widok młotka nie może być przykry dla cieśli. To głupi sentymentalizm udawać, że potworność nie jest czymś tak nierozłącznym dla zawodu żołnierza jak młotek dla zawodu cieśli. Żyjemy dzięki śmierci i grozie śmierci, a zatem musimy przywyknąć do niej i posługiwać się nią sprawnie. Dla celów naszej ojczyzny potrzebna jest pusta Europa. To wzór matematyczny, w którym mord zastępuje znak równości. Jeżeli wierzymy w prawdę ostatecznego rezultatu, nie wolno nam wzdragać się przed wypisaniem całego równania.

Dokądkolwiek pójdziemy, ludzie muszą odczuć, że zabijamy szybko i łatwo. Nie widzę pewniejszego klucza władzy. Ja osobiście polubiłem zabijanie, podobnie jak pianista lubi Czernego, bo dzięki niemu zachowuje sprawność palców dla Beethovena. Uważam to za najcenniejszą zaletę wojskowego. Oficer, który zdaje sobie sprawę, że ją traci, powinien prosić o emeryturę, przejść do cywila i zostać księgowym.

W swoim czasie cenzurowałem wasze listy do rodziny i przyjaciół i muszę przyznać, Diestl - byłem oburzony. Oczywiście, jesteście znacznie starsi ode mnie i dłużej zatruwały was brednie dawnej Europy. Dlatego wasze listy roją się od pustych słów o wielkich dniach pokoju i powszechnego dobrobytu, które muszą nastąpić po zakończeniu wojny. To gadanina godna bab i polityków. Żołnierz powinien mieć więcej oleju w głowie. Powinien wiedzieć, że pokój stwarza pomyślne warunki dla nabywców żołnierskiego mięsa. Powinien wiedzieć, że dobrobyt może być tylko jednostronny. Będziemy opływać we wszystko, lecz tylko kosztem reszty Europy. Macie pewnik, i to pewnik miły żołnierskiemu sercu. Ja miałbym pragnąć, by dobrze się wiodło polskiemu analfabecie, który pijany kartoflanym spirytusem tarza się w zimowym błocie swojej wioski? Albo życzyć bogactw cuchnącemu pastuchowi kóz z Dolomitów? A może chcecie, by opasły Grek- pederasta wykładał prawo w Heidelbergu? Z jakiej racji? Potrzeba mi sług, nie współzawodników! Rozumiecie? Sług albo trupów! My, Niemcy, gadamy językiem waszych listów, bo po trosze jesteśmy jeszcze politykami i próbujemy sprzedawać się światu za przestarzałe i zbędne wotum zaufania. Poczekajcie dziesięć lat! Wtedy będziemy mogli ujawnić, że jesteśmy żołnierzami, i niczym więcej. Będziemy mogli odrzucić wszelkie nonsensy. Świat żołnierza jest jedynym realnym światem. Wszystko inne to śmiecie z bibliotecznych półek - retoryka i stare okładki. To pobożne życzenia i mowy bankietowe przy stole, wokół którego usnęli wszyscy goście. Dziesięć tysięcy

regałów pełnych książek nie powstrzyma jednego lekkiego czołgu. Biblię przedrukowano miliony razy, ale na Ukrainie pięciu żołnierzy w samochodzie pancernym w ciągu pół godziny potrafi pięćdziesiąt razy sponiewierać Dziesięcioro Przykazań, a wieczorem obleje ten fakt zdobyczym winem.

Wojna najbardziej urzeka rodzaj ludzki, bo najdokładniej odpowiada dominującym cechom człowieka: samolubstwu i zamiłowaniu do grabieży. Mogę to mówić śmiało, bo oddałem twarz wojnie, nikt więc nie posądzi mnie, że chwałę ją z bezpiecznego oddalenia i na widoku mam tylko przyszłe zyski.

Nie sądzę, byśmy mieli przegrać wojnę. Nie stać nas na to. Jeżeli jednak przegramy, zawini nasz brak stanowczości. Gdybyśmy oznajmili światu, że każdego dnia zabijemy sto tysięcy Europejczyków i obietnicy dotrzymali - jak myślicie, ile dni świat by wytrzymał? Sto tysięcy Europejczyków! Nie Żydów, bo ludzie przywykli do widoku mordowanych Żydów i wszyscy mniej lub bardziej potajemnie cieszą się, że wykazujemy dużą sprawność w tej dziedzinie. A zresztą zapas Żydów jest ograniczony, choćbyśmy jeszcze sumiennie sprawdzali pochodzenie babek. Nie! Sto tysięcy Europejczyków: Francuzów, Polaków, Rosjan, Holendrów, angielskich jeńców wojennych... Powinniśmy drukować na dobrym papierze listy imienne z fotografiami i zrzucić to na Londyn zamiast bomb. Cierpimy, bo nasze postępowanie nie jest jeszcze tak dojrzałe jak nasza filozofia. Mordujemy Mojżesza, ale udajemy tolerancję wobec Chrystusa i dla idiotycznych pozorów ryzykujemy całą przyszłość.

Pokonajmy ostatnie skrupuły, a zostaniemy największym narodem w dziejach świata! Prawdopodobnie uda się nam to tak czy inaczej, chwilowo jednak wlecemy za sobą utajoną kotwicę.

Mówię wam to, bo wy wróćcie do wojska, a ja nie wrócę. W ciągu ostatnich miesięcy miałem sposobność przemyśleć te sprawy i teraz wolno mi posługiwać się uczniami. Po tamtej wojnie ranny kapral musiał ratować Niemcy z odmętu klęski. Może po tej ranny porucznik uratuje Niemcy z odmętu zwycięstwa. Możecie pisać do mnie z frontu, a ja leżąc tutaj i czekając, aż mi się twarz wygoi, będę się czuł potrzebny. Jestem młodszy od was, Diestl, ale nieporównanie bardziej dojrzały, gdyż od piętnastego roku życia robię wyłącznie to, co prowadzi do moich ogólnych celów. Wy zmienialiście się, dręczyli i zbaczali z drogi, ulegali sentymentom, zachowaliście więc nierozumną

młodzieńczość. Człowiek współczesny to ktoś, kto umie ze wszystkiego wyciągnąć natychmiast ostateczne wnioski posługując się jedynie logiką. Ja to robiłem, a wy nie robiliście i dopóki się nie nauczycie, będziecie małym dzieckiem w pokoju zatłoczonym dorosłymi.

Zabijanie jest funkcją nieuczuciową, a śmierć stoi poza granicami dobra i zła. Ja znam się na tych sprawach i posługując się zasadami identycznej kalkulacji mogę zastrzelić dziewiętnastoletniego porucznika, który przed dwoma miesiącami opuścił Oksford, lub zostawić na stoku wzgórze trzy tuziny Niemców na stracenie. Każdy z tych trzydziestu siedmiu ludzi umarł w czasie i okolicznościach, które uznałem za potrzebne lub dogodne. Nie zapłacę po żadnym z nich, chyba że łzami mógłbym zachęcić nową kompanię do pójścia w ogień.

Jesteście w błędzie, Diestl, jeżeli wam się zdaje, że podziwiam żołnierza niemieckiego. To niewątpliwie żołnierz lepszy od innych, bo można go tłuc mocniej i nie złamać, a dzięki brakowi wyobraźni pozwala szkolić się dokładniej, bardziej forsownie. Ale odwaga żołnierza niemieckiego to płataną mu szalbierczą sztuczka, podobnie jak odwaga każdego innego żołnierza, który nie wie, że zwycięstwo nie doda mu piwa i nie ujmie pracy. Armia jest w gruncie rzeczy funkcją matematyczną ilości żołnierzy pomnożonej przez przymioty dowódców. Sformułował to Clausewitz i bez wątpienia miał słuszność. Żołnierz niemiecki nie ma wpływu na to, że jest jedną z dziesięciu milionów podobnych do siebie jednostek, ani na fakt, że przywiodzą mu ludzie najbardziej utalentowani w Europie. Pierwszy czynnik to rezultat przyrostu naturalnego w środkowej Europie, a drugi - przypadku i wygórowanych ambicji tysiąca zdolnych osób. Ponadto żołnierz niemiecki ma niezwykle szczęście, bo w przełomowym momencie historii prowadzą go ludzie lekko obłąkani. W Berchtesgaden Hitler dostaje ataków szału przed mapami frontów. Goeringa wyciągnięto z sanatorium dla narkomanów w Szwecji. Stary doktor Freud zatarłby ręce z uciechy, gdyby zajrzał do swojej wiedeńskiej poczekalni i zobaczył tam takich pacjentów jak Roehm, Rosenberg i wielu innych. Jedynie z nedorzecznych wizji wariata może wyniknąć wniosek, że w ciągu dziesięciu lat da się zbudować imperium dzięki zalegalizowaniu pogromów. Ostatecznie Żydów mordowano przez dwadzieścia wieków i nie działa się z tej racji nic ważnego. Mamy przeciwko sobie armie ludzi normalnych, którzy - żeby nie wiedzieć co - nie zboczą ze zwyczajnych dróg

rozumowania. A nas prowadzą maniacy spowici oparami opium i pyskaci kaprale, co wiedzy wojskowej uczyli się dwadzieścia pięć lat temu, podając w okopach herbatę jakiemuś zakazanemu kapitanowi. Jakże możemy przegrać?

Gdybym był epileptykiem, gdybym nigdy nie cierpiał na zanik pamięci i paranoję, miałbym większe szanse odegrania ważnej roli w Europie w ciągu najbliższych trzydziestu lat. Lepiej mógłbym zasłużyć się ojczyźnie...

Doktor był siwy. Wyglądał na co najmniej siedemdziesiąt lat. Miał torby pod oczami i pomarszczoną zgnióróżową skórę. Ręce mu drżały, kiedy bezceremonialnie obmacywał kolano Christiana. Nosił pułkownikowskie odznaki, lecz wydawał się za stary nawet na pułkownika. Z ust zionął zapachem koniaku, a spojrzenie małych załzawionych oczu przenosił raz po raz ze zranionej nogi na twarz pacjenta, jak gdyby szukał tam dowodów złośliwej blagi. Bo doktor nauczył się podejrzliwości badając przez czterdzieści lat chorych żołnierzy kajzera, socjaldemokratycznej republiki, Trzeciej Rzeszy. Christian pomyślał, że tylko oddech doktora nie uległ zmianie. Odeszli generałowie, powymierali sierżanci, systemy filozoficzne wykonały obrót z północy na południe, ale oddech pułkownika zalatuje dziś ciemną butelką z Bordeaux tak samo jak wówczas, kiedy cesarz Franciszek Józef stał u boku bratniego monarchy i przyjmował w Wiedniu defiladę pierwszych oddziałów Gwardii Saskiej, wyruszających do Serbii.

- Nadajecie się - powiedział stary lekarz, a sanitariusz starannie wykaligrafował dwie cyfry na karcie choroby Christiana. - Doskonale! Na oko wasze kolano wygląda nietęgo, ale na pewno przemaszerujecie pięćdziesiąt kilometrów na dzień i nic nie poczujecie. Co powiadacie? He?

- Nic nie mówiłem, panie pułkowniku - odpowiedział Christian.

- Całkowicie zdolny do służby w polu - orzekł doktor i wyzywająco spojrzał na pacjenta, choć ten nie protestował. - He?

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Opuśćcie nogawkę, sierżancie. - Pułkownik gniewnie stuknął w łydkę Christiana i patrzył, jak ranny wstaje i doprowadza swój wygląd do porządku. - Jaki wasz zawód w cywilu?

- Byłem instruktorem narciarskim, panie pułkowniku.

- Co?! - Zdawać się mogło, że pułkownik usłyszał obelgę. - Co to znaczy?

- Uczyłem jeździć na nartach, panie pułkowniku.

- Aha... No, z tym kolanem trzeba będzie zmienić fach. Ale jazda na nartach to zabawa dobra dla dzieci, he?

Odwrócił się i zaczął pracowicie myć ręce, jak gdyby biała skóra Christiana była niesłychanie brudna. - No i od czasu do czasu będziecie utykać - rzucił przez ramię.

- Co powiadacie? Aha, będziecie utykać. Dlaczego taki zuch ma nie być kulawy, he? - Roześmiał się i pokazał żółte sztuczne zęby. - Inaczej ludzie by nie wiedzieli, że byliście na wojnie, he?

Kiedy Christian wychodził z pokoju, doktor szorował jeszcze ręce nad dużym emaliowanym zlewem, cuchnącym środkami odkażającymi.

- Bądźcie tak dobrzy i postarajcie się dla mnie o bagnet - powiedział Hardenburg.

Christian siedział obok byłego dowódcy i podejrzliwie przyglądał się swojej wyciągniętej nodze - sztywnej jeszcze i niepewnej. Na sąsiednim łóżku „Spalony” gnił, jak zawsze pograżony w milczącej Arktyce bandaży i straszliwym tropikalnym smrodzie. Christian oznajmił właśnie porucznikowi, że następnego dnia odjeżdża na front. Hardenburg nie zareagował na tę wiadomość. Leżał na wznak bez słowa i ruchu, a jego gładka, biała głowa wyglądała na poduszce jak potworne jajo. Christian odczekał chwilę i doszedł do wniosku, że Hardenburg nie usłyszał.

- Mówiłem, panie poruczniku, że jutro wyjeżdżam.

- Słyszałem - rzucił Hardenburg. - Bądźcie tak dobrzy i postarajcie się dla mnie o bagnet.

- O co, panie poruczniku? - zapytał Diestl przekonany, że jakieś inne słowo zabrzmiało przez bandaże podobnie do bagnetu.

- Powiedziałem, że chcę mieć bagnet. Przynieście mi jutro.

- Wyjeżdżam o czternastej, panie poruczniku.

- Możecie przyjść z rana.

Christian spojrział na miejsce, gdzie krzyżujące się bandaże tworzyły gładką białą powierzchnię. Oczywiście nie mógł wyczytać tam myśli Hardenburga, a bezdźwięczny, nieodmienny wciąż głos też nie dawał żadnego wyjaśnienia.

- Nie mam bagnetu, panie poruczniku - powiedział sierżant.

- Możecie ukraść dziś wieczorem. To chyba łatwe, prawda?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Pochwa mi niepotrzebna. Wystarczy nóż.

- Panie poruczniku - podjął Christian - jestem niewymownie wdzięczny za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Chętnie przysłużę się panu na wszelki możliwy sposób. Jeśli jednak myśli pan o... - zająknął się. - Jeśli pan porucznik chce się zabić, nie mogę brać odpowiedzialności...

- Nie chcę się zabić - odpowiedział równy, stłumiony głos. - Straszny z was dureń. Słuchacie mnie od przeszło dwóch miesięcy. Czy tak mówi przyszły samobójca?

- Nie, panie poruczniku, ale...

- To dla niego - przerwał Hardenburg.

Christian zeszytniał na małym drewnianym krześle.

- Dla kogo, panie poruczniku?

- Dla niego - powiedział żywiej Hardenburg. - Dla tego z sąsiedniego łóżka.

Diestl odwrócił się powoli i spojrział na „Spalonego”. Leżał spokojnie, nieruchomo. Na nic nie reagował, tak samo jak przez minione dwa miesiące. Diestl przeniósł znowu wzrok na podobny kłęb bandażu, za którym znajdował się jego dowódca.

- Nie rozumiem, panie poruczniku.

- Prosił mnie, żeby go zabić - rzucił Hardenburg. - To chyba proste? Nie ma rąk. W ogóle nic nie ma. Chce umrzeć. Trzy tygodnie temu błagał doktora. Ale ten kretyń powiedział, żeby nie plótl głupstw.

- Nie wiedziałem, że on może mówić - bąknął Diestl i znowu spojrział na „Spalonego”, jak gdyby się spodziewał, iż nieoczekiwana informacja znajdzie w jakiś widoczny sposób potwierdzenie.

- Może mówić - odparł porucznik. - Po nocach prowadzimy długie rozmowy. On mówi tylko w nocy.

Christian zadał sobie pytanie, jakie dyskusje prowadzą w tym pokoju dwaj ranni - jeden bez rąk i nóg, drugi pozbawiony twarzy. Jakie zdania mrożą łagodną atmosferę włoskich nocy? Wzdrygnął się. „Spalony” leżał spokojnie. Jego nikły kadłub rysował się pod całunem koców.

„Teraz słucha - myślał Christian nie odrywając wzroku od białych bandaży. - Rozumie każde słowo naszej rozmowy”.

- Był zegarmistrzem w Norymberdze - ciągnął Hardenburg - specjalistą od stoperów. Ma troje dzieci. Postanowił, że chce umrzeć. No, Diestl, przyniesiecie bagnet?

- Jeżeli nawet przyniosę - odpowiedział Christian broniąc się od udzielenia pomocy w potwornym samobójstwie człowieka bez oczu, głosu, palców, twarzy - bagnet na nic się nie przyda. On nie będzie mógł go użyć.

- Ja posłużę się bagnetem. Chyba to jasne?

- W jaki sposób?

- Wstanę z łóżka, podejść do niego i zrobię, co trzeba. No, przyniesiecie bagnet?

- To pan porucznik może chodzić? - zdziwił się Christian, bo siostra powiedziała mu niedawno, że Hardenburg zacznie stawiać pierwsze kroki w najlepszym razie za trzy miesiące.

Powolnym, mechanicznym ruchem ranny odsunął na bok koce. Christian patrzył jak urzeczony. Tak samo mógłby przyglądać się zwłokom, które nagle powstały i wychodzą z grobu. Hardenburg spuścił z łóżka sztywne, wychudzone nogi i stanął na marmurowej posadzce fabrykanta jedwabi z Lyonu. Ubrany był we flanelową piżamę, powypychaną i brudną. Bose stopy miał żółtawe, złuszczone.

- Gdzie tamto łóżko? - zapytał. - Pokażcie mi tamto łóżko. Christian wziął go pod rękę i ostrożnie przeprowadził przez wąskie przejście. Porucznik dotknął kolanem materaca na sąsiednim łóżku.

- Aha, tutaj - mruknął obojętnym tonem.

- Dlaczego nie powiedział pan nikomu, że włada pan nogami?

Christian miał wrażenie, że dręczy go jakiś koszmar, że zadaje to pytanie upirowi przelatującemu za oknem.

Hardenburg stał bez ruchu w żółtej flanelowej piżamie. Chwiał się trochę na nogach. Nagle zachichotał za białą bandaży.

- Widzicie, człowiek powinien zawsze tać to i owo przed władzami, które w danej chwili nim dysponują - zachichotał znowu.

Pochylił się i delikatnie wodził palcami po kocu okrywającym piersi „Spalonego”.

- Tutaj - zaskrzypiało za lodowcem opatrunku. - Tutaj.

Był to głos ochrypły, pozbawiony ludzkiego brzmienia. Tak mógłby odezwać się w ostatnim przedśmiertnym wysiłku konający ptak, pantera tonąca wolno we własnej krwi, małpa ukrzyżowana na ostrym sęku podczas orkanu w dżungli.

Jasnożółta, koścista dłoń Hardenburga zastygła nieruchomo na białym tle bandaży. Wyglądał jak wyblakłe zdjęcie rentgenowskie.

- Gdzie trzymam rękę? - zapytał porucznik. - Gdzie trzymam rękę?

- Na jego piersiach - szepnął Diestl patrząc jak zahipnotyzowany na rozpostarte palce koloru kości słoniowej.

- Na sercu - powiedział Hardenburg. - Dokładnie nad jego sercem. Od dwóch tygodni ćwiczymy to co noc.

Z pewnością ślepcą zawrócił, postąpił parę kroków i wdarł się na swoje łóżko. Podciągnął koce do ramion, nad którymi spowita głowa sterczała jak średniowieczny hełm z przyłbicą.

- Diestl - powiedział. - Możecie śmiało przynieść bagnet. Nie bójcie się o siebie. Ukryję go na dwa dni po waszym wyjeździe. Nikomu nie przyjdzie do głowy winić was o zabójstwo. Zrobię to w nocy, kiedy przez osiem godzin nie zagłąda tu żywa dusza. A on będzie milczał! - Znowu zachichotał upiornie. - Słyszałem, że zegarmistrze są bardzo dyskretni.

- Dobrze, panie poruczniku - powiedział Christian wstając. - Jutro będzie pan miał bagnet.

Nazajutrz rano przyniósł ciężki nóż. Ukradł go wieczorem w kantynie, kiedy jego właściciel z dwoma szeregowcami z intendentury głośno śpiewał przy piwie „Liii

Marien". Do marmurowej willi fabrykanta jedwabi przemycił bagnet pod bluzą i wsunął pod materace według wskazówek Hardenburga. Pożegnał się z byłym dowódcą i stojąc we drzwiach po raz ostatni spojrzął na dwie ślepe, białe kukły. Leżały na równoległych łóżkach w wysokim, jasnym pokoju. Za oknami Zatoka Neapolitańska lśniła w słonecznych blaskach.

Odchodząc korytarzem utykał i wulgarnie hałasował butami na marmurowych płytach. Czuł się jak student z dyplomem w kieszeni opuszczający uniwersytet, w którego bibliotekach przewertował i ogarnął pamięcią wszystkie księgi.

Rozdział XVIII

- Baczość! - zaalarmował od drzwi donośny głos i Noe stanął sztywno przed swoją pryczą.

Kapitan Colclough w asyście szefa kompanii i sierżanta Ricketta wkroczył do baraku, aby rozpocząć sobotnią inspekcję. Powoli szedł zamiecionym środkowym przejściem pomiędzy szeregami wyprostowanych żołnierzy, ogolonych i wyszorowanych do czysta. Bystro patrzył na włosy i wyglansowane buty. Miał minę nieprzyjaźnie rzeczową, jak gdyby lustrował nie ludzi, lecz stanowiska wroga. Płomienne słońce Florydy świeciło luną za nie przesłoniętymi oknami.

Kapitan zatrzymał się przed nowo przybyłym szeregowcem Whitacre'em.

- Ósmy punkt regulaminu służby wewnętrznej? - rzucił spoglądając zimno na krawat Whitacre'a.

- Podnieść alarm w przypadku pożaru lub zakłócenia porządku.

- Rozrzucić, sierzancie, to łóżko.

Sierżant Rickett wszedł między prycze i szarpnął pościel Whitacre'a. Wykrochmalone prześcieradła zachrzęściły sucho w grobowej ciszy baraku.

- To nie Broadway, Whitacre - powiedział Colclough. - Nie mieszkanie w hotelu „Astor”. Pokojówka nie przychodzi tutaj każdego rana. Musicie sami porządnie słać łóżko.

- Tak jest, panie kapitanie!

- Stulcie no pysk - powiedział spokojnie oficer. - Jak będę chciał coś od was usłyszeć, zapytam wprost, a wy odpowiecie: „Tak jest, panie kapitanie” albo: „Nie, panie kapitanie”. Zrozumiano?

Colclough ruszył dalej, stukając obcasami w deski podłogi. Sierzanci szli za nim bezszelestnie, jak gdyby hałas był przywilejem oficerskiego stopnia.

Colclough przystanął przed Noem. Począł oglądać go badawczo. Miał bardzo nieprzyjemny oddech. Zdawać się mogło, że coś powoli, lecz stale rozkłada się w

kapitańskim żołądkiem. Był oficerem Gwardii Narodowej stanu Missouri, a przed wojną prowadził zakład pogrzebowy.

„Jego dawniejszych klientów nie drażnił pewno śmierdzący oddech” - pomyślał Noe. Z trudem dławiał szalony śmiech, który wzbierał mu w krtani, kiedy kapitan pilnie studiował jego podbródek, żywiąc widzieć nadzieję, iż dostrzeże ślady zarostu.

Colclough spojrział na dół, na otwarty kuferek Noego. Objął wzrokiem twardo zwinięte skarpety i ułożone w geometryczny wzór przybory toaletowe.

- Sierzancie, wyjmijcie szufladę.

Rickett nachylił się i wyjął szufladę kufereka, w dolnym pudle leżały prostokąty ręczników, wzorowo złożone koszule, wełniane kalesony, a pod tym wszystkim książki.

- Ile tam tego macie, Ackerman? - zapytał Colclough.

- Trzy.

- Co trzy?

- Trzy książki, panie kapitanie.

- Czy to wydawnictwa rządowe?

Pod wełnianymi kalesonami leżały *Wiersze wybrane* Elliota, *Ulisses* Joyce'a i *Eseje* Bernarda Shawa.

- Nie, panie kapitanie - odpowiedział Noe. - To nie są wydawnictwa rządowe.

- Tylko książki dostarczane przez rząd mogą znajdować się w kuferkach żołnierskich. Wiedzieliście o tym, Ackerman? - Cuchnący oddech zionął prosto w twarz Noego.

- Tak jest, panie kapitanie.

Colclough nachylił się, odrzucił na bok wełniane kalesony. Wziął w rękę podniszczony tomik w szarej oprawie: *Ulisses*. Mimowolnie Noe odwrócił głowę, żeby przyjrzeć się, co kapitan robi.

- Bacność! - wrzasnął oficer.

Noe spojrział na wprost i przez okno w przeciwległej ścianie zobaczył bramkę na boisku sportowym. Kapitan otworzył książkę i zaczął przewracać pierwsze strony.

- Znam to - oznajmił. - Same świństwa, plugastwa! - Rzucił *Ulissesa* na podłogę. - Pozbądźcie się tej książki. Pozbądźcie się wszystkich trzech. To nie biblioteka, Ackerman. Nie przyszlście do wojska, żeby czytać.

Książka leżała na środku pustej podłogi baraku. Odwróciła się grzbietem do góry. Kartki były podwinięte, zgniecione. Kapitan otarł się o Noego, wszedł między piętrowe prycze i zbliżył się do okna. Noe czuł, że za jego plecami porusza się ciężko. Czuł również mrówki chodzące po grzbiecie.

- To okno nie było myte - zawołał Colclough. - Cholerny barak! Brudy jak w chlewie!

Zamaszystym krokiem wrócił na środkowe przejście i nie zatrzymując się, nie oglądając innych żołnierzy, którzy czekali wyprężeni przed pryczami, przeszedł cały barak. Za nim sunęli bezszelestnie dwaj sierżanci. Zatrzymał się i odwrócił dopiero we drzwiach.

- Już ja was nauczę utrzymywać porządek w domu! - wrzasnął. - Samiście winni, jeśli macie między sobą brudas. Powinniście wytłumaczyć mu jak trzeba, co to znaczy czystość. Nikt nie wyjdzie z tego baraku do jutrzejszej pobudki. Nikt nie dostanie przepustki na niedzielę. Jutro o dziewiątej rano inspekcja. Radzę, żeby był porządek.

Odwrócił się i wyszedł.

- Spocznij! - zakomenderował Rickett i wybiegł z baraku za kapitanem i sierżantem szefem.

Noe zdawał sobie sprawę, że śledzi go setka oskarżycielskich, nieżyczliwych oczu. Wolno zbliżył się do książki leżącej na podłodze. Schylił się, podniósł ją i odruchowo zaczął prostować kartki. Potem wrócił pod okno - przyczynę wszystkiego złego.

- Sobotni wieczór! - usłyszał wezbrany zalem głos w drugim końcu baraku. - Koszarniak na sobotni wieczór. Mam randkę z jedną kelnerką, co to już dochodzi. A jej mąż wraca jutro rano. Cholera! Łeb bym komuś ukrecił.

Noe patrzył na okno. Połyskiwało martwo. Za nim leżała pusta, spalona słońcem płaszczyzna. W rogu szyby była mała ćma, która rozbiła się widać o szkło i zdechła w żółtawej mazi własnych wnętrzności. Z zamyśloną miną Noe wziął w palce ćmę.

Za plecami usłyszał kroki wyłaniające się z gwaru coraz liczniejszych głosów. Ale stał bez ruchu, trzymał śmę- samobójczynię, której połamane skrzydła niemile drażniły skórę ostrym pyłkiem. Wyglądał przez okno na szary, zakurzony plac alarmowy i zielony gaj pinii daleko za obozem.

- No i co, Żydku? - zabrzmiał głos Ricketta. - Pokazałeś, co umiesz?

Noe nie odwracał głowy. Patrzył na trzech biegnących żołnierzy. Spieszyli w stronę obozowej bramy. Mieli przepustki w kieszeni. Czekwały na nich autobusy, a później bary, łatwe dziewczyny, miasto i - aż do poniedziałkowej pobudki - trzydzieści godzin swobody.

- Szeregowiec! W tył zwrot! - zakomenderował Rickett.

Barak milczał. Noe wiedział, że wszyscy go obserwują. Odwrócił się powoli, stanął frontem do sierżanta. Był to wysoki, silnie zbudowany mężczyzna o jasnozielonych oczach i cienkich, bezbarwnych wargach. Brak przednich zębów świadczył o jakiejś dawno zapomnianej burdzie, a zarazem płatał dziwne figle wymowie. Sierżant miał twardy akcent z Teksasu, lecz chwilami sepleniał i komicznie wykrzywił szparę prawie nieruchomych ust. Teraz stał naprzeciwko Noego między pryzkami. Groźnie rozkrzyżował ręce, oparł dłonie na dwóch górnych posłaniach i rozprawiał:

- Słuchajcie no, szeregowiec. Od dziś biorę was pod specjalną opiekę. Zrozumiano? Chłopcy! - Podniósł głos, żeby go wszyscy słyszeli, lecz nie odrywał wzroku od twarzy Noego i uśmiechał się krzywo, nieprzyjemnie. - Chłopcy, gwarantuję, że ten Icek ostatni raz popsuł wam sobotni wieczór. Gwarantuję! Zrozumiano? Jak Boga kocham, Icek, to nie synagoga, tylko koszary armii Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Zrozumiano? Musi tu być czysto. Cholernie czysto, jak w domach białych ludzi. Zrozumiano? Jak w domach białych ludzi!

Noe z niedowierzaniem gapił się na stojącego przed nim draba, rozkraczonego między dwiema pryzkami. Nie mógł pojąć, co się stało. Rickett został przydzielony do kompanii przed tygodniem i dotychczas nie zwracał uwagi na szeregowca Ackermana. A szeregowiec Ackerman przez kilka miesięcy w wojsku ani razu nie usłyszał nic na temat swojego żydowskiego pochodzenia. Niespokojnie rozejrzał się po baraku. Koledzy milczeli, mierzyli go oskarżycielskim wzrokiem.

- No, Icek, bierzcie się zaraz do roboty - zaseplenił sierżant i wykrzywił usta w sposób, który w normalnych warunkach musiałby pobudzić do śmiechu. - Przebierzcie się w kombinezon i postarajcie się o wiadro wody. Wszystkie okna w tym cholernym baraku mają być na glanc wymyte. Zrozumiano? Na glanc! Jakby je wyszorował uczciwy chrześcijanin. Wskakujcie no w kombinezon, Icek, i do roboty! Tylko mi się ruszać! Zrozumiano? Przyjdę na inspekcję i, jak Boga Jedyne go kocham, pożałujecie, jeżeli szyby nie będą się świecić jak burdel w Boże Narodzenie.

Rickett odwrócił się i wolno wyszedł z baraku. Noe stał koło swojej pryczy i rozwiązywał krawat. Miał wrażenie, że obserwuje go cały barak, że przebiera się w kombinezon w ogniu wrogich, obelżywych spojrzeń. Nie patrzył na niego tylko „nowy” - Whitacre. Pracowicie prześcielał łóżko rozrzucone na polecenie dowódcy kompanii.

O zmroku Rickett obszedł barak i od zewnątrz obejrzał wymyte okna.

- W porządku, Icek - powiedział na zakończenie. - Tym razem będę wyrozumiały. Nie musicie poprawiać. Ale pamiętajcie, że mam was na oku. Zrozumiano? Nie lubię rozmaitych Murzynów, Żydów, Meksykanów, Chińczyków. Od dzisiaj ciężko wam będzie w kompanii. Zrozumiano? Musicie się starać. A teraz dupę w troki, jazda do baraku i nie wychodzić mi na dwór. Zrozumiano? Aha! Powiem wam jeszcze, że panu kapitanowi też nie przypadłście do gustu. Radziłbym spalić te książki, jak pan kapitan mówił, bo inaczej może być kram. Zrozumiano? Odmaszerować, Icek! Sprzykrzyło mi się patrzeć na waszą wredną gębę!

Noe wszedł ciężko na schodki, zamknął drzwi i zostawił za sobą pogodny zmierzch. W baraku żołnierze spali, a na samym środku kwitł poker na dwóch zestawionych kuferkach. Zaleciało alkoholem. Noe spostrzegł, że Riker, który spał najbliżej wejścia, ma na twarzy błogi pijacki uśmiech.

Donnelly drzemał w podkoszulku na swoim pościeliu. Otworzył jedno oko i powiedział głośno:

- Ackerman, nie mam żalu, żeś ukrzyżował Chrystusa, ale tego zasranego okna nigdy ci nie daruję. - Ziewnął i zamknął oko.

Noe uśmiechnął się blado. „Dowcip - pomyślał. - Głupi, ordynarny, ale dowcip”.

Gdyby inni potraktowali sytuację na wesoło, nie byłoby najgorzej. Ale sąsiad Donnelly'ego, wysoki, chudy farmer z Południowej Karoliny, który siedział na pryczy podpierając głowę rękami, odezwał się spokojnym, rzeczowym tonem:

- Wy wciągnęliście nas w wojnę. Dlaczego nie możecie teraz zachowywać się jak ludzie?

Noe zrozumiał, że to wcale nie był dowcip. Wolno szedł w stronę swojej pryczy. Opuścił głowę, unikał wzroku kolegów, lecz zdawał sobie sprawę, że wszyscy mu się przyglądają.

Nawet pokerzyści przerwali na chwilę grę. Nawet „nowy” Whitacre - siedząc na prześcielonej pryczy, niezycliwie gapił się na Noego, chociaż i on ucierpiał tego dnia z ręki władz wojskowych, a w ogóle wyglądał na przyzwoitego człowieka.

„Nie do wiary - pomyślał Ackerman. - Nie do wiary. Ale to przejdzie, minie...”.

Wyjął z kufereka zielone tekturowe pudło z papierem listowym. Usiadł na swoim posłaniu i zaczął pisać do Hope:

„Najdroższa! Przed chwilą skończyłem porządki domowe. Pucowałem setki szyb tak pieczołowicie jak jubiler, co czyści pięćdziesięciokaratowy diament przeznaczony dla gangsterskiej dziwki. Nie mam pojęcia, jak zachowam się twarzą w twarz z niemieckim piechurem lub japońskim marynarzem, ale wiem już, że na każde zawołanie dam radę całej armii okien...”.

- Trudno czepiać się Żydów - zabrzmiał donośny głos jednego z pokerzystów. - Nie ich wina, że są od nas sprytniejsi. Dlatego mało ich w wojsku, a dużo tam, gdzie się robi pieniądze. Nie mam do nich pretensji. Gdybym ja miał taki łeb, też nie byłbym tutaj. Siedziałbym w Waszyngtonie, w hotelowym apartamencie i patrzył, jak forsa pcha się drzwiami i oknami.

Zapadła cisza. Noe czuł, że wszyscy go obserwują, lecz nie odrywał wzroku od ćwiartki papieru.

„Dużo maszerujemy. Maszerujemy z góry i pod górę, w dzień i w nocy. Doszedłem do wniosku, że armia dzieli się na dwa człony: oddziały walczące i oddziały maszerujące i myjące okna. Nam przypadła w udziale druga rola. Mam już takie mięśnie jak nikt dotychczas w rodzie Ackermanów”.

- Nasi Żydkowie - podchwycił inny pokerzysta - ulokowali grube hopy w Niemczech i we Francji. Do nich należą wszystkie paryskie czy berlińskie banki i burdele. Roosevelt chciał bronić żydowskich kapitałów i dlatego wypowiedział wojnę.

Żołnierz mówił głośno, nienaturalnie. Jak pociskiem mierzył w głowę Noego. Ten jednak nie podnosił wzroku.

„Wyczytałem w gazecie - pisał - że bierzemy udział w wojnie maszyn. Ale jedyna maszyna, z jaką dotąd miałem do czynienia, to maszynka do strzyżenia włosów”.

- Żydzi mają swój komitet międzynarodowy - ciągnął ten sam głos. - Zbiera się on w Polsce, w mieście, co się nazywa Warszawa. Stamtąd idą rozkazy na cały świat: „Kupić to. Sprzedać tamto. Zacząć wojnę z tym krajem. Zacząć wojnę z tamtym krajem”. Dwudziestu starych rabinów, o, z takimi brodami...

- Słyszysz, Ackerman? - przerwał ktoś inny.

Noe musiał wreszcie spojrzeć na pokerzystów. Ich złośliwie uśmiechnięte twarze były zwrócone ku niemu.

- Nie - odpowiedział. - Nic nie słyszałem.

- A może przysiadłbyś się do nas? - zaproponował Silichner sztucznie przyjacielskim tonem. - Gramy taniutko, dla rozrywki. Przy okazji prowadzimy interesującą dyskusję. Przysiądziesz się, co?

- Nie, dziękuję - odparł spokojnie Noe. - Jestem zajęty.

- Jednego chcielibyśmy się dowiedzieć. Jak to się stało, że trafiłeś do wojska? Nie było ani jednego masona w komisji rekrutacyjnej, czy jak? - Silichner miał ledwie dostrzegalny niemiecki akcent, jak gdyby we wczesnym dzieciństwie mówił po niemiecku i niezupełnie o tym zapomniał.

Noe wziął w rękę rozpoczęty list do żony i zdziwił się, że papier nie drży ani trochę,

- To jeszcze nic - wtrącił jakiś głos. - Słyszałem o jednym Żydzie, co zgłosił się na ochotnika.

- Nie opowiadaj!

- Jak Boga kocham, słyszałem. Wypchali go. Jest teraz w muzeum. Pokerzyści wybuchnęli nienaturalnym śmiechem. Jak gdyby odbywali próbę przedstawienia.

- Współczuję Ackermanowi - podjął Silichner. - Słowo daję! Ile forsy mógłby zarobić na czarnym rynku, gdyby nie wpadł do piechoty. Pomyślcie tylko: lewe opony, lewa benzyna. Biedny Ackerman!

„Chyba nie opowiadałem ci jeszcze o naszym sierżancie - pisał Noe do Hope, która na dalekiej północy czekała na list. - Przyszedł do nas w zeszłym tygodniu. Nie ma przednich zębów. Sepleni i pociesznie wykrzywia usta, zwłaszcza jak się złości. Ten gość...”

- Ackerman!

Noe obejrzał się szybko. Kolo jego pryczy stał kapral z sąsiedniego baraku.

- Ackerman, do kancelarii. Ale to już!

Bez pośpiechu Noe włożył rozpoczęty list do zielonego pudełka, a pudełko schował troskliwie w kufierku. Zdawał sobie sprawę, że jest pod baczną obserwacją, że cały barak śledzi każdy jego ruch. Kiedy pewnym krokiem mijał pokerzystów, Silichner mówił:

- Dostanie order. Specjalny order za to, że może jeść jednego śledzia na pół roku i ma całkiem dosyć.

Po raz drugi gruchnęła salwa nienaturalnego śmiechu.

„Koniecznie muszę sobie z tym poradzić - myślał Noe wychodząc w błękitny mrok spowijający obóz. - Jakoś... kiedyś...”

Po zaduchu w baraku nocne powietrze było upajające, słodkie. Ucho pieściła cisza, w której nie rechotały wrogie głosy. Noe szedł wolno ulicą pośród niskich budynków. Spodziewał się nowych przykrości w kancelarii, na razie jednak rozkoszował się chwilowym zawieszeniem broni pomiędzy sobą a wojskiem i całym światem. Dobrze mu było w samotności.

Nagle mijając róg baraku usłyszał za sobą tupot szybkich kroków. Zanim zdążył odwrócić głowę, ktoś wykręcił mu rękę do tyłu.

- Te, Żydek, nie bój się - syknął mu w ucho prawie znajomy głos. - To tylko pierwsza porcja.

Noe uchylił na bok głowę, lecz mimo to dostał potężnie. Zdrętwiało mu ucho i cała lewa strona twarzy.

„Biją pałką - pomyślał wijąc się jak piskorz. - Do licha! Za co? Nie zrobiłem im nic złego”.

Drugi cios. Noe poczuł, że nogi się pod nim uginają. Trzeci... czwarty... Upadł.

Kiedy otworzył oczy, było zupełnie ciemno. Leżał na zakurzonej trawie w przejściu między barakami. Twarz miał spuchniętą, wilgotną. Stracił pięć minut, by dowlec się pod ścianę i dźwignąć do pozycji siedzącej.

Michael myślał o piwie. W skwarze i tumanach kurzu maszerując za Ackermanem wspominał piwo w szklankach, kuflach, bombach, piwo w butelkach, puszkach, antałkach, beczkach, piwo w kryształowych pucharach i „literatkach”. Odświeżał w pamięci liczne miejsca, gdzie pijał w ciągu minionych lat. Był taki okrągły bar przy Szóstej Alei, dokąd przebrani po cywilnemu pułkownicy regularnej armii wstępowali po drodze z Wyspy Gubernatorskiej; bufetowy chłodził tam lodem wysokie, zwężające się do dołu kielichy i napełniał je pianistym płynem ciekącym z błyszczących kurków. W snobistycznej restauracji w Hollywood, gdzie nad bufetem wisiały reprodukcje francuskich impresjonistów, piwo podawali w kubelkach z lodem, jak szampana, i za butelkę liczyli siedemdziesiąt pięć centów. Później Whitacre zobaczył własną bawialnię: rozparty w wygodnym, krytym sztruksem fotelu, ubrany w szlafrok i miękkie pantofle, siedzi późną nocą w ciepłym kręgu światła stojącej lampy i czyta prasę z datą następnego rana. A w klubie „Polo” podczas meczów baseballowych piwo nalewano do papierowych kubków, aby publiczność nie miała czym bombardować sędziów.

Michael wytrwale szedł naprzód. Był zmęczony i pić chciało mu się potwornie. Ręce miał drętwe i lekko obrzmiałe, jak zwykle po piątej mili marszu, na ogół jednak czuł się znośnie. Słyszał ciężki, świszczący oddech poprzednika. Widział, że Ackerman chwieje się na nogach i z wysiłkiem pokonuje łagodne wzniesienie drogi. Żał mu się zrobiło biedaka. Na pewno zawsze był wątlý, a godziny musztry, marsze i przeróżne niedole życia wojskowego odarły z ciała jego kości. Wygląda teraz jak ubrany w żołnierski mundur trzcinowy manekin, który lada chwila ma się złamać. Patrząc na jego wąskie, zgarbione plecy Michael odczuł coś na kształt wyrzutów sumienia. I on schudł po miesiącach szkolenia, ale był smukły po sportowemu. Zachował elastyczność mięśni, siłę, żelazne nogi. Wydało mu się niesprawiedliwością, że on jest zdrow i krzepki, a w tej samej

kolumnie, tuż przed nim maszeruje żołnierz, dla którego każdy krok stanowi mękę. Ale nie na tym koniec. Te nie ustające od dwóch tygodni napaści. Ordynarne, złośliwe dowcipy. Improwizowane dyskusje polityczne, w których padają takie zdania, jak na przykład: „Hitler to frajer. Robi błąd po błędzie. Ale jedno trzeba mu przyznać: wie, jak uporać się z Żydami”. Whitacre próbował interweniować. Parę razy występował w obronie prześladowanego. Ale niewiele mógł wskórać, bo był „nowy” i pochodził z Nowego Jorku, a kompania składała się przeważnie z południowców.

Był w tym oddziale drugi Żyd - mężczyzna olbrzymiego wzrostu, nazwiskiem Fein. I on nie cieszył się sympatią, ale nikt mu nie dokuczał. Być może, zawdzięczał to atletycznej budowie, gdyż mimo wesołego, pogodnego usposobienia wyglądał groźnie. Miał wielkie, sękaty łapy i niczym się nie przejmował. Trudno byłoby go obrazić, bo zapewne nie rozumiał przycinków. Gdyby jednak wpadł w furję, mógłby narobić straszliwego spustoszenia. Dlatego ludzie, którzy pastwili się nad Ackermanem, zostawili Feina w spokoju.

„Wojsko, psiakrew!” - pomyślał Michael.

W Fort Dix zachował się głupio, kiedy oficerowi z komisji kwalifikacyjnej powiedział, że chce iść do piechoty. Zaczynał zdawać sobie z tego sprawę. Romantyzm! W wojsku od środka nie ma nic romantycznego. Obolałe nogi, ciemny tłum, pijaństwo... „Już ja was nauczę, skurwysyny, jak brać w garść karabin i walczyć za ojczyznę!”.

Oficer z komisji kwalifikacyjnej powiedział:

- Macie wykształcenie, Whitacre. Mogę was skierować do propagandy.

Oznaczałoby to pracę w Nowym Jorku, w jakimś urzędzie, zapewne do końca wojny. Ale Michael postanowił być wzniosły, odrzekł więc bez wahania:

- Nie dla mnie propaganda. Przyszedłem do wojska nie po to, by siedzieć za biurkiem.

A po co? By wędrować pieszo wzdłuż i wszerz Florydy? By prześcielać łóżko, które nie przypadło do gustu przedsiębiorcy pogrzebowemu? By przyglądać się torturowaniu Żyda?

Michael zdawał sobie sprawę, że z większym pożytkiem dla ojczyzny mógłby angażować chórzystki do teatrów wojskowych. W biurach propagandy przy Alei Schuberta

byłby przydatniejszy niż tutaj, na tej idiotycznej, gorącej szosie. Ale musiał zrobić efektowny gest. Musiał! Cóż, efektowne gesty szybko tracą sens w wojsku.

Wojsko. Jak określić je jednym słowem, zdaniem, okresem? To niepodobieństwo. Wojsko jest milionem okruchów, ruchomych drobin, które nigdy się nie łączą, nigdy nie zmierzają w tym samym kierunku. Wojsko to kazanie po popularnym filmie, ilustrującym higienę życia płciowego. Najprzód ohydne zbliżenie owrzodzonego penisa, a później sługa boży w kapitańskim mundurze przed pustym ekranem, na którym dopiero co pojawiały się brudne ulicznice i gnijące mięso ludzkie. „Żołnierze! - perorował śpiewny głos pastora. - Armia ma swoje praktyczne racje. Armia wie, co robi. Czyhają na was mnogie niebezpieczeństwa. Dlatego oglądaliście ten film. Dlatego dowiadujecie się, jak działają stacje zapobiegawcze. Ale ja przyszedłem tutaj, aby powiedzieć wam, żołnierze, iż Bóg jest lepszy od profilaktyki, a religia daje człowiekowi więcej niż rozpusta...". Oto jeden okrucuch. A inny: Były nauczyciel gimnazjalny z Hartfordu. Ma wynędzniałą twarz i nieprzytomne oczy, jak gdyby nieustannie drżał, że będzie musiał popełnić morderstwo. Pewnego wieczoru zwierzał się szeptem Michaelowi: „Kolego, powiem ci prawdę o sobie. Należę do Badaczy Pisma. Sumienie jest moim sędzią. Nie wierzę w wojny. Wzbraniam się zabijać bliźnich. Dlatego przydzielili mnie do kuchni. Tyram tam od trzydziestu sześciu dni, dzień po dniu. Straciłem dwadzieścia osiem funtów i dalej chudnę. Ale to nic. I tak nikt nie zmusi mnie do pozbawienia życia bliźniego”.

Wojsko. Zawodowy kapral w Fort Dix, który od trzynastu lat nosił mundur i przez cały czas grywał w reprezentacyjnych drużynach piłki nożnej i baseballa; „wojak z boiska" przezywano takich żołnierzy. Tęgi, barczysty chłop, o brzuchu zaokrąglonym od piwa wypitego w Cavité i w Panamie, i w Fort Riley w stanie Kansas. Pewnego dnia naraził się komuś z komendy obozu i popadł w niełaskę. Przydzielono go do uzupełnień i do pułku liniowego. Ciężarówka zajechała przed barak. Kapral załadował swój bagaż, dwa dobrze wypchane worki, i nagle zaczął płakać. Upadł na ziemię. Szlochał. Jęczał. Ślina ciekła mu z ust. Bał się, bo odjeżdżał nie na mecz, lecz na wojnę. Sierżant szef - stukilowy Irlandczyk, który służył nieprzerwanie od tamtej wojny - wyszedł z komendy obozu i pogardliwym wzrokiem zmierzył kaprała. Dla uspokojenia kopnął go w głowę, a gdy to nie pomogło, kazał dwóm ludziom wrzucić mazgaja na ciężarówkę. Później zwrócił

się do rekrutów, niemych świadków dziwnej sceny: „Ten bydlak to zakała zawodowego korpusu podoficerskiego. Wcale nie jest typowy. Jak Boga kocham, wstyd mi za niego. A wy czego się gapiecie? Co? Jazda stąd! Ale to już!”.

Pogadanki na tematy ogólne: „Poprawne zachowanie żołnierza”, „Przyczyny wojny, w której walczysz”. Znałca zagadnień japońskich - cienki, blady profesor z Leigh - dowodzi, że o wszystkim decyduje ekonomika. Japonia rośnie, chce zawładnąć rynkami Azji i wysp na Oceanie Spokojnym. My zaś musimy położyć tamę japońskiej ekspansji i za wszelką cenę utrzymać te właśnie rynki.

Od piętnastu lat Michael podobnie oceniał przyczyny wojen. Obecnie jednak nienawidził profesora. Słuchał beznamietnego, suchego głosu. Patrzył na wielką mapę z wyraźnie oznaczonymi strefami wpływów, polami naftowymi, plantacjami kauczuku. Słuchał, patrzył i brzydził się wykładem. Wolałby się dowiedzieć, że walczy o wolność, o cnotę, o swobody uciśnionych narodów. Chciał w to uwierzyć. Chciał zdań tak podniosłych i grzmiących, żeby z otuchą wrócić do baraku, a nazajutrz rano z otuchą pomaszerować na strzelnicę. Spojrzał po kolegach. Tępo słuchali profesorskich wywodów. Znużone, senne twarze dowodziły, że ci ludzie nic nie rozumieją, nie chcą niczego, nie pragną pól naftowych ani rynków zbytu. Widać było, że czekają jedynie hasła, żeby pójść do baraków, wyciągnąć się na pryczach i zasnąć... Michael postanowił, że po wykładzie wstanie i zabierze głos, bo rozkład zajęć przewidywał pięć minut napytania oraz dyskusję. Profesor gadał: „Reasumując dochodzimy do logicznego wniosku, iż... eee... w naszej epoce potężne grupy kapitału i interesów narodowych...eee... w danym punkcie globu popadają... eee... w nieunikniony konflikt z innymi, równie potężnymi grupami kapitału i interesów narodowych w innych punktach globu... Eee... Nakazem chwili jest dla nas obrona amerykańskiego standardu życia... eee... a zatem bezwarunkowo musimy zyskać naszym nie skrupowany dostęp do bogactw i siły nabywczej Chin oraz Indonezji...”.

Michael zmienił zamiar. Teraz mógłby tylko powiedzieć: „To straszne. Nie mam wiary. Nie mam za co oddać życia”. Ale był zmęczony i podobnie jak inni żołnierze pragnął tylko wyciągnąć się na pryczy i usnąć.

Wojsko ma jednak pewne cechy piękna.

Capstrzyk. Flaga osuwa się w dół masztu. Głośniki ryczą hymn narodowy. Człowiek musi wtedy myśleć o innych żołnierzach amerykańskich, co od z górą stu lat słuchali o tej samej porze podobnych surm.

Koniec dnia. Gaszenie świateł. Papierosy żarzą się w ciemnym baraku. Miękkie głosy południowców wyliczają skarby cywilnego życia: imiona dzieci, kolor włosów żony, wygląd domu rodzinnego... Trudno czuć się odosobnionym o tej ciemnej, smutnej godzinie. Trudno być sędzią i krytykiem, ważyć słowa i ich motywy... Człowiek jest tylko strudzony, serdeczny i jak inni płynie biernie z nurtem niespokojnych, ciężkich czasów...

Ackerman potknął się w marszu. Whitacre przyspieszył kroku, chwycił go za ramię.

- Odczep się! - Noe spojrział nań lodowato. - Nie chcę pomocy od nikogo.

Michael cofnął rękę, wrócił na miejsce i bez współczucia patrzył na kolegę, który chwiał się na nogach, z trudem idąc pod górę.

„Żyd, psiakrew - pomyślał gniewnie na grzbiecie wzgórze. - Jeden z tych dumnych!\".

Noe wszedł do kancelarii kompanijnej i stanął przed biurkiem, za którym szef czytał powieść kryminalną *Nadczłowiek*.

- Panie sierżancie, proszę posłusznie o pozwolenie zwrócenia się do dowódcy kompanii.

Szef nie drgnął. Noe stał sztywno w kombinezonie brudnym i przepoconym po ciężkim dniu. Spoglądał na siedzącego w odległości trzech stóp dowódcę kompanii. I on nie odrywał wzroku od lektury. Studiował dziennik z Jacksonville - stronę poświęconą sportowi.

Wreszcie szef zerknął na Noego.

- Czego szeregowiec chce? - zapytał.

- Panie sierżancie, proszę posłusznie o pozwolenie zwrócenia się do dowódcy kompanii. - Starał się mówić donośnym, czystym głosem, chociaż po marszu był bardzo zmęczony.

Podoficer zmierzył intruza obojętnym wzrokiem.

- Wynoś się - powiedział krótko.

Noe przełknął ślinę.

- Panie sierżancie - rozpoczął z uporem - proszę posłusznie o pozwo...

- Wynoś się - powtórzył spokojnie sierżant. - A jak wrócisz, nie zapomnij przebrać się w mundur wyjściowy.

- Rozkaz, panie sierżancie.

Kapitan Colclough nie przerwał czytania wiadomości sportowych. Noe wyszedł z małego, dusznego pokoju. Zapadał zmierzch. Przebieranie się w taki czy inny mundur to bardzo zawiła sprawa. Raz dowódca kompanii rozmawia z żołnierzem w kombinezonie, raz nie rozmawia. Przepisy zmieniają się co pół godziny. Powoli włókł się w stronę swojego baraku. Mijał grupki odpoczywających żołnierzy. Liczne prywatne radioodbiorniki dźwięczały muzyką jazzową albo kolejnym odcinkiem powieści kryminalnej.

Kiedy przebrany w mundur wyjściowy zameldował się znów u szefa, kapitana nie zastał. Usiadł więc na trawie naprzeciwko wejścia do kancelarii i czekał cierpliwie. W baraku za plecami Noego ktoś śpiewał: „Nie na żołnierza hodowałam syna - mówiła matka przed skonaniem...”. Do wtóru dwaj żołnierze spierali się głośno o termin zakończenia wojny. Jeden z nich wołał:

- Powiadam ci, w pięćdziesiątym roku na jesieni. Wszystkie dawniejsze wojny kończyły się, jak przychodziła zima.

- W pięćdziesiątym? - sprzeciwił się drugi. - Może z Niemcami. Ale zostaną Japończycy. Trzeba się będzie z nimi dogadać.

- Ja tam jestem gotów dogadać się z każdym - wtrącił trzeci głos. - Z Bułgarami, Egipcjanami, Meksykanami. Z każdym.

- Jesień pięćdziesiątego roku - odezwał się znowu pierwszy prorok. - Wspomnicie moje słowa. Albo i nie wspomnicie, bo do tej pory każdy będzie miał kulkę w sobie.

Noe nie słuchał więcej. Oparty plecami o drewniane schodki baraku siedział w ciemnościach na wydeptanej trawie. Prawie drzemał. Czekając powrotu kapitana myślał o Hope. W przyszły wtorek będą jej urodziny. Noe zaoszczędził na prezent dziesięć dolarów i schował banknot na dnie worka. Ale czy za dziesięć dolarów kupi coś, czego nie

byłoby wstyd ofiarować żonie? Może szal? Może bluzkę? Wyobraził sobie Hope w szalu na ramionach, a później w nowej bluzce. Najlepsza będzie biała bluzka. Zobaczył szczupłą szyję wyrastającą nad śnieżnym jedwabiem i drogą twarz w cieniu gęstych, ciemnych włosów. Chyba za dziesięć dolarów można dostać przyzwoitą bluzkę, nawet na Florydzie?

Colclough wrócił wreszcie. Głośno tupał na schodkach kancelaryjnego baraku. Z odległości pięćdziesięciu jardów można było poznać, że to oficer. Chociażby po tym, jak kręcił zadkiem.

Noe wstał i za dowódcą wszedł do kancelarii. Kapitan w czapce na głowie siedział za swoim biurkiem. Zmarszczony gniewnie przyglądał się jakimś papierom, które trzymał w ręku.

- Panie sierżancie - zaczął cierpliwie Noe. - Proszę posłusznie o pozwolenie zwrócenia się do pana kapitana.

Szef spojrzał tępo na petenta. Wstał i przemaszerował trzy kroki dzielące go od kapitańskiego biurka.

- Panie kapitanie - zameldował - szeregowiec Ackerman prosi o pozwolenie zwrócenia się do pana kapitana.

- Niech czeka! - Dowódca nie spojrzał nawet na podoficera, ten zaś rzucił pod adresem Noego:

- Pan kapitan kazał, żebyście zaczekali.

Noe usiadł i zapatrzył się w dowódcę. Po półgodzinie Colclough spojrzał wymownie na szefa, a szef powiedział:

- Możecie zwrócić się do pana kapitana. Tylko nie nudźcie długo.

Noe stanął na baczność, zasalutował i przemówił:

- Panie kapitanie, szeregowiec Ackerman melduje posłusznie, że pan szef pozwolił mu zwrócić się do pana kapitana.

- Czego? - zapytał Colclough nie odrywając wzroku od papierów.

- Panie kapitanie, żona przyjeżdża do mnie w piątki wieczorem. Pisała, że będzie czekać w hotelu. Proszę posłusznie o zezwolenie opuszczenia obozu w piątek po zajęciach.

Colclough nieprędko odzyskał mowę.

- Szeregowiec Ackerman - powiedział wreszcie - powinien znać regulamin wewnętrzny kompanii. W piątki wieczorem obowiązuje zakaz opuszczania koszar. To czas na przygotowanie do inspekcji. Zrozumiano?

- Tak jest, panie kapitanie. Ale moja żona nie mogła dostać miejsca w innym pociągu. Zupełnie nie zna tego miasta. Liczy, że będę na nią czekał. Myślałem więc, że ten jeden raz...

- Ackerman - przerwał kapitan, po raz pierwszy spoglądając na Noego - zapamiętajcie, że w wojsku służba stoi na pierwszym miejscu. Nie wiem, czy wbiję to chociażby w jeden zakuty łeb, ale musicie przyznać, że się staram. Waszych przełożonych nie obchodzi, czy spotkacie się z żoną, czy nie spotkacie. Po służbie możecie robić, co się wam podoba. Ale służba wyklucza wszystko inne. Zrozumiano? Odmaszerować.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Tak jest, panie kapitanie. I co dalej?

- Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie - wyrecytował Noe, bo przypomniał sobie pogadankę o „poprawnym zachowaniu żołnierza”.

Zasalutował i wyszedł.

Natychmiast wysłał do żony depezę, chociaż kosztowała osiemdziesiąt pięć centów. Ale przez następne dwa dni nie otrzymał odpowiedzi, nie wiedział więc, czy Hope dostała telegram w porę. Piątkowej nocy nie zmrużył oka do rana. Leżał bezsennie w wysprzątanym baraku i myślał, że po tylu, tylu miesiącach Hope jest teraz ledwie o dziesięć mil. Czeka na niego w hotelu. Nie ma oczywiście pojęcia, co się stało, bo nic nie wie o ludziach takich jak Colclough ani o bezdusznej machinie władz wojskowych, dla której tkliwa miłość nie ma znaczenia ani wymowy.

„W każdym razie - myślał zapadając w drzemkę przed pobudką - zobaczę ją dziś po południu. Może i lepiej się stało. Do tego czasu znikną ostatnie ślady siniaków pod oczami, nie będę więc musiał tłumaczyć, gdzie i jak je zrobiłem...”.

Kapitan miał rozpocząć inspekcję za pięć minut. Noe kontrolował nerwowo swoje posłanie, położenie ręczników w kufierku, połysk okna za pryczą. Spostrzegł, że jego sąsiad, Silichner, zapina górny guzik płaszcza przeciwdeszczowego wiszącego porządnie

między innymi sortami mundurowymi. Przed śniadaniem Noe upewnił się, że wszystkie jego guziki są starannie pozapinane w sposób regulaminowy, lecz wolał sprawdzić to jeszcze raz przed inspekcją. Odsunął na bok płaszcz i skamieniał. Bluza wyjściowa była rozpięta od góry do dołu. Drżącymi palcami sunął błyskawicznie od guzika do guzika. Jeżeli nie zdąży przed początkiem inspekcji, na pewno dostanie koszarniaka na sobotę i niedzielę. Nieraz Colclough karał surowiej za mniejsze winy, a jasno przecież dawał do zrozumienia, że za szeregowcem Ackermanem nie przepada. Dwa guziki płaszcza przeciwdeszczowego były również rozpięte.

„Dobry Boże - myślał rozpaczliwie Noe - ulituj się! Nie pozwól przyjść kapitanowi. Jeszcze chwilę, chwileczkę. Niech skończą!”.

Nagle odwrócił głowę i spostrzegł, że Riker i Donnelly obserwują go z uśmiechem. Obydwaj jak na komendę schylili się i zaczęli usuwać niewidoczne pyłki z lśniącej powierzchni trzewików.

„Zagadka wyjaśniona - pomyślał z goryczą Noe. - To ich robota. A cały barak widział, udzielał milczącego poparcia. Wszyscy rozumieli, co mnie czeka, jeżeli dziś podpadnę... Ci dwaj wrócili wcześniej ze śniadania i porozpinali te przeklęte guziki”.

Troskliwie obejrzał całą swoją garderobę i zdążył stanąć sztywno w nogach pryczy w momencie, kiedy sierżant wrzasnął od drzwi: - Baczość!

Colclough oglądał go od stóp do głów chłodno i uważnie. Długo oceniał wzrokiem idealny porządek w kuferku. Potem macał wiszące na szaragach sorty mundurowe. Noe słyszał za sobą szelest poruszanych bluz i płaszców. Kiedy wreszcie kapitan odszedł tupiąc głośno, Noe westchnął z ulgą. Wszystko skończyło się dobrze!

W pięć minut później było po inspekcji. Żołnierze wysypali się z baraku i tłumnie ruszyli w stronę przystanku autobusowego. Noe rozwiązał swój worek i sięgnął na dno po ceratowy portfel, w którym chował oszczędności. Wyjął go i otworzył, ale pieniędzy nie znalazł. Dziesięciodolarowy banknot zniknął. Na jego miejscu był zmięty świstek z jednym słowem „Figa” wypisanym dużymi drukowanymi literami kopiającym ołówkiem. Ackerman wsunął do kieszeni nieszczęsną kartkę. „Zabiję go - pomyślał. - Zabiję drania, który to zrobił. Nie będzie szala. Nie będzie bluzki. Nic nie będzie. Zabiję drania!”.

Sennie dowlókl się do obozowej bramy. Chciał, by jego koledzy z baraku odjechali wcześniejszym autobusem. Nie mógł patrzeć na nich tego rana. Wiedział, że wyniknie

awantura, jeżeli obok niego stanie Donnelly, Silichner albo Rickett. A na awanturę nie miał ochoty ani czasu.

Dwadzieścia minut czekał w długiej kolejce mężczyzn spragnionych swobody. Wreszcie wsiadł do pachnącego benzyną autobusu, w którym nie było nikogo z jego kompanii. Ogolone, wyszorowane, pogodne twarze nieznanomych wydały się Noemu sympatyczne, przyjazne. Poczł się między swoimi. NajbliŹszy sąsiad, wesoło uśmiechnięty olbrzym, podał mu nawet flaszkę whisky, którą dobył z kieszeni.

- Łyknij, bracie.

Noe spojrzł na niego z uśmiechem.

- Nie, dziękuję. Moja żona dopiero co przyjechała. Jeszcze jej nie widziałem. Nie chcę zalatywać alkoholem przy powitaniu.

Żołnierz uśmiechnął się tak szeroko, jak gdyby usłyszał doskonały dowcip lub zgrabny komplement.

- Żona! No i co? Jesteś zadowolony? Dawno jej nie widziałeś, bracie?

- Siedem miesięcy.

- Siedem miesięcy!

Olbrzym spowaźniał trochę. Był bardzo młody. Twarz miał męską, energiczną, lecz cerę delikatną jak panienska.

- Pierwszy raz po siedmiu miesiącach! A to dopiero! Szeregowiec! - zwrócił się znowu żartobliwie do żołnierza zajmującego fotel, obok którego stał Noe. - Wstańcie. Ustąpić miejsca człowiekowi żonatemu. Od siedmiu miesięcy nie widział żony. Jedzie teraz, żeby się z nią spotkać. Trzeba mu sił. Dużo sił! Zrozumiano?

Zagadnięty tak żołnierz wstał z uśmiechem i rzucił pod adresem człowieka żonatego:

- Siadaj, kolego. Czemuś od razu nie powiedział?

- Nie, nie! Dziękuję! - bronił się Noe zakłopotany i ubawiony zarazem. - Dam sobie radę. Nie muszę przecież siedzieć i...

Olbrzym z butelką whisky popchnął go stanowczo na fotel.

- Odkąd jesteś w wojsku, bracie? - zapytał groźnie. - Nie wiesz, co to rozkaz? Siadaj i oszczędzaj siły. Zrozumiano?

Noe usiadł. Cały autobus uśmiechnął się życzliwie.

- Nie masz przypadkiem fotografii swojej pani? - zapytał po chwili młody opiekun.

- Mam. Chcesz zobaczyć?

- Pewnie.

Ackerman wyjął z kieszeni portfel i pokazał fotografię Hope rosnemu żołnierzowi, który przyjrzał się jej uważnie.

- Ogród. Ogród w majowy ranek - orzekł. - Jak Boga kocham, muszę się ożenić, nim mnie zdążą ustrzelić.

Noe odpowiedział uśmiechem. Rozmowę z tym poczciwcem uznał za dobrą wróżbę. Zdawało mu się, że upadł już na dno, że od tej chwili zacznie się wspinać na przeciwległy stok przepaści.

Kiedy autobus zatrzymał się przed urzędem pocztowym, olbrzym pieczołowicie pomógł Noemu wysiąść na nędzną uliczkę.

- No, bywaj, bracie - powiedział klepiąc go życzliwie po ramieniu. - Powodzenia i przyjemnej niedzieli. Do poniedziałkowej pobudki możesz zapomnieć, że istnieje na świecie coś takiego jak armia Stanów Zjednoczonych.

Noe pożegnał się z nim serdecznie i z dobrą miną ruszył do hotelu, gdzie miała czekać Hope.

Znalazł ją w holu pełnym mundurów khaki i innych żon. Nie spostrzegła go w pierwszej chwili. Niespokojnymi, trochę krótkowzrocznymi oczami robiła przegląd żołnierzy, kobiet i anemicznych palm w doniczkach. Była blada, zdenerwowana. Uśmiechnęła się przez łzy, kiedy Noe podszedł od tyłu i powiedział, delikatnie dotykając jej łokcia:

- O ile się nie mylę, pani Ackerman?

Pocałowali się, jak gdyby byli sami.

- Już dobrze - szepnął Noe. - Dobrze, dobrze...

- Nie bój się, nie będę płakać. - Cofnęła się o krok; położyła mu dłonie na ramionach i patrzyła uważnie. - Mój Boże! Pierwszy raz widzę cię w mundurze.

- Jak wyglądam?

- Potwornie. - Usta zadrżały jej lekko.

Potem obydwójce wybuchnęli śmiechem.

- Prędko, na górę! - szepnął Noe.

- Nic z tego!

- Jak to? - zapytał tonem nagłego przestachu.

- Nie mogłam dostać pokoju. Mają komplet. Ale wszystko w porządku - roześmiała się widząc tragiczną minę męża. - Nie jesteśmy bezdomni. Znalazłam pensjonat przy końcu ulicy. Nie krzyw się jak półtora nieszczęścia, dobrze?

Pod ręce wyszli z hotelu. Po drodze nie odzywali się, tylko od czasu do czasu zerkali na siebie spod oka. Noe widział i oceniał uprzejme, choć zazdrosne spojrzenia żołnierzy, którzy nie mieli żon ani kochanek i liczyli wyłącznie na pijatykę.

Pensjonat gwałtownie wymagał remontu. Ganek był zarośnięty dzikim winem, najniższy stopień schodów uszkodzony.

- Uważaj - powiedziała Hope. - Nie wpadnij w dziurę. Trudno złamać nogę w mniej stosownej chwili.

Drzwi otworzyła gospodyni, chuda starowinka w brudnym szarym fartuchu. Czuć ją było podeszłym wiekiem, potem i pomyjami. Surowo spojrzała na Noego.

- To pani mąż? - zapytała nie wypuszczając klamki z kościstych palców.

- Tak - odparła Hope. - Mój mąż.

- Aha - burknęła gospodyni i nie odpowiedziała uśmiechem na życzliwe powitanie Noego.

Posepnie spoglądała śladem nowych gości, gdy ci wchodzili na schody.

- Brr! To gorsze niż inspekcja - szepnął Noe spiesząc za żoną do drzwi ich pokoju.

- A co to jest inspekcja? - zapytała Hope.

- Powiem ci innym razem. Przy sposobności.

Drzwi zamknęły się za nimi. Pokój był mały, z jednym oknem o pękniętej szybie. Tapety zbladły tak, że deseń zdawał się wyrastać z nagiej ściany. Na białym żelaznym łóżku widać było góry i doły pod bezbarwną kapą. Ale Hope nadała tej nędzy pozory cywilizacji i życia rodzinnego. W szklance na komodzie postawiła żonkile. Obok położyła swoją szczotkę do włosów, a w cieniu kwiatów umieściła fotografię męża: amatorskie zdjęcie zrobione podczas letniego urlopu. Ubrany w sweter Noe śmiał się szeroko.

Obydwoje byli zażenowani. Unikali swoich spojrzeń.

- Musiałam pokazać gospodyni świadectwo ślubu - odezwała się Hope.

- Co takiego? - zdziwił się Noe.

- Świadectwo ślubu. Gospodyni mówi, że w mieście nawiedzanym przez sto tysięcy pijanych żołnierzy trzeba walczyć zębami i pazurami o utrzymanie dobrej opinii pensjonatu.

Noe uśmiechnął się i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Kto ci poradził, żeby przywieźć świadectwo ślubu?

Hope dotknęła kwiatów.

- Ostatnio zawsze je mam przy sobie. W torebce. Przypomina mi...

Noe powoli zbliżył się do drzwi. W zamku tkwił duży żelazny klucz. Przekręcił go z głośnym zgrzytem.

- Nareszcie! - westchnął! - O tym marzyłem przez siedem miesięcy. Marzyłem, żeby zamknąć drzwi na klucz.

Hope schyliła się nagle i wyprostowała szybko. Noe zobaczył, że trzyma w rękach pudełko.

- Masz, coś ci przywiozłam - szepnęła.

Wziął pudełko. Pomyślał o dziesięciu dolarach na prezent i znalezionym w worku świstku z ironicznym napisem: „Figa”. Starał się jednak zapomnieć o stracie. Ta sprawa może zaczekać do poniedziałku.

W pudełku były czekoladowe biszkopty.

- Skosztuj - powiedziała Hope. - Na szczęście nie ja je piekłam. Dostałam w paczce od matki.

Noe zgniółł biszkopt w zębach. Smakował domem rodzinnym. Z przyjemnością zjadł drugi.

- Miałaś wyborny pomysł - pochwalił żonę.
- Prędzej! - zawołała Hope. - Zrzuć te przeklęte łachy! Prędzej.

Następnego rana późno wyszli z pokoju. Po śniadaniu spacerowali kilkoma ulicami małego miasteczka. Ludzie wracali z kościoła. Dzieci wystrojone na niedzielę, sztywne i znudzone, maszerowały między klombami przywędłych kwiatów. W obozie nigdy nie spotyka się dzieci, więc ich widok krasił atmosferę poranka miłym domowym wdziękiem.

Pijany żołnierz szedł chodnikiem, przesadnie uważając na własne nogi. Wyzywająco spoglądał na pobożnych mieszczan, jak gdyby kwestionowali jego zasady moralne i głośno dowodzili, że przyzwoity człowiek nie powinien zataczać się w niedzielę przed obiadem. Mijając Hope i Noego zasalutował i syknął:

- Szszaa! Ani mru-mru żandarmom!
- Wczoraj w autobusie jeden człowiek oglądał twoją fotografię - powiedział Noe.
- Jaką wyraził opinię? - Hope ścisnęła końcami palców łokieć męża. - Pochlebną?

Krytyczną?

- Powiedział: „Ogród. Ogród w majowy ranek”.

Hope roześmiała się:

- Armia takich żołnierzy nie może wygrać wojny.
- Powiedział także: „Jak Boga kocham! Muszę się ożenić, nim mnie zdążą ustrzelić”.

Zachichotała znowu, wnet jednak spoważniała, bo uprzytomniła sobie sens końcowej części zdania. Nie odezwała się jednak, gdyż przyjechała tylko na tydzień, uważała więc, że nie wolno zmarnować czasu na rozmowy o takich sprawach.

- Będziesz przychodził co wieczór? - zapytała.

Noe skinął głową.

- Gdybym nawet musiał przekupić wszystkich żandarmów w całym okręgu wojskowym! W piątek może mi się nie uda, ale we wszystkie inne dni...

Z niesmakiem rozejrzał się po nędznym, zakurczonym miasteczku. Wzdłuż skąpanej w słońcu uliczki ciągnęło się dziesięć szynków ozdobionych fantazyjnymi neonowymi sztyldami.

- Szkoda, że nie spędzisz tego tygodnia w sympatyczniejszej miejscowości - powiedział.

- Nonsens - roześmiała się Hope. - Jestem zachwycona tą dziurą. Przypomina mi Riwierę.

- Byłaś kiedyś na Riwierze?

- Nigdy.

Spojrzał na drugą stronę torów, gdzie mieściła się dzielnica murzyńska: wyboiste ulice, wychodki i rudery z nie malowanych desek.

- Masz rację - powiedział. I mnie przypomina Riwierę.

- Byłeś kiedyś na Riwierze?

- Nigdy.

Uśmiechnęli się i dalej szli w milczeniu. Przez chwilę Hope trzymała głowę na ramieniu męża.

- Jak długo? - westchnęła. - Jak długo to potrwa?

Wiedział, o czym Hope mówi, lecz odpowiedział pytaniem:

- Co, Hope?

- Wojna... Jak długo potrwa wojna?

Kilkuletni Murzynek siedział w ulicznym pyle i z poważną miną głąaskał koguta. Noe zerknął z ukosa na tę scenę. Ptak zasypiał upojony delikatnymi ruchami małych czarnych rączek.

- Krótko... Chyba krótko... Wszyscy to samo mówią.

- Proszę cię, nie okłamuj żony.

- Wcale nie okłamuję. Znam jednego sierżanta z dowództwa pułku. Powiada, że nasza dywizja nie powącha prochu. Nie zdąży. Podobno pułkownik jest wściekły, bo ma apetyt na gwiazdkę.

- Na gwiazdkę? - zdziwiła się Hope.

- Tak. Generał brygady nosi jedną gwiazdkę.

- Idiotka ze mnie! Nie wiedziałam dotychczas, co nosi generał brygady!

- Nic nie szkodzi - roześmiał się Noe. - Przepadam za idiotkami.

- Jakże mi miło - wpadła w ton Hope. - Doprawdy, jesteś czarujący.

Nie porozumiewając się zawrócili w stronę pensjonatu, jak gdyby powodował nimi jeden wspólny impuls. Przez chwilę szli bez słowa. Później Noe mruknął rozmarzonym szeptem:

- Mam nadzieję, że facet nigdy nie dostanie...

- Jaki facet? Czego?

- Pułkownik. Tej generalskiej gwiazdki.

Znowu zapadła cisza.

- Mam świetny pomysł - odezwała się Hope po minucie.

- Jaki?

- Wrócimy do pokoju. Zamkniemy drzwi na klucz.

Uśmiechnęła się do męża, przyspieszyła kroku. Noe nie zostawał w tyle.

Rozległo się stukanie do drzwi i głos gospodyni za cienkimi deskami:

- Pani Ackerman, pani Ackerman! Mam do pani słówko. Poproszę na chwilę.

Hope spojrzała niechętnie na drzwi i wzruszyła ramionami.

- Już idę! - zawołała i dodała pod adresem męża: - Możesz się nie ruszać z łóżka.

Za minutę wracam.

Pocałowała go w ucho, ubrała się szybko, przekręciła klucz w zamku i wyszła na korytarz. Noe leżał na wznak. Półprzymkniętymi oczyma spoglądał w poplamiony sufit. Zaczynał drzemać wraz ze słonecznym niedzielnym dniem, który zbliżał się ku wieczorowi. Gdzieś daleko gwizdała lokomotywa, a na ulicy pod oknem męski głos śpiewał:

*Wiem, robisz oczko jak ta lala
I kulinarny talent los także ci dal.
Ale czy forsa nie nawala,
To tylko wiedzieć bym chciał.*

Noe myślał sennie, że gdzieś kiedyś słyszał już tę piosenkę. Później przypomniał sobie Rogera i to, że Roger nie żyje. Chciał snuć dalej wspomnienia, nie zdążył jednak, bo zapadł w mocny sen.

Obudziło go lekkie stuknięcie drzwi. Leniwie rozchylił powieki i uśmiechnął się na widok Hope pochylonej nad łóżkiem.

- Noe - szepnęła. - Wstawaj.
- Mam czas. Mam dużo czasu... Lepiej chodź do mnie.
- Nie. Musisz wstać. Rozumiesz?

Usiadł na łóżku.

- Co się stało?
 - Gospodyni powiedziała, że mamy się zaraz wynosić.
- Potrząsnął głową, jak gdyby chciał odpędzić opary snu.
- Chyba nie dosłyszałem. Powtórz!

- Gospodyni powiedziała, że mamy się zaraz wynosić.

- Kochanie... coś ci się roi...

- Nic mi się nie roi! Mamy się zaraz wynosić. - Twarz miała boleśnie ściągniętą, surową.

- Dlaczego? Przecież pokój wynajęłaś na tydzień.

- Tak. Na tydzień. Ale gospodyni twierdzi, że została wprowadzona w błąd. Nie zdawała sobie sprawy, że jesteśmy Żydami.

Noe wstał i wolno poczłapał w stronę komody. Spojrzał na swoją roześmianą fotografię, na żonkile, które przywiędły już i pomarszczyły się na brzegach płatków.

- Gospodyni mówi - ciągnęła Hope - że nazwisko wydawało się jej podejrzane, ale ja nie wyglądam na Żydówkę. Dopiero jak ciebie zobaczyła, rozjaśniło się jej w głowie. Zapytała mnie wprost, a ja naturalnie powiedziałam, że jesteśmy Żydami.

- Biedna Hope - westchnął Noe. - Strasznie cię przepraszam.

- Nonsens. Żebym nigdy nie słyszała podobnej gadaniny. Za nic nie musisz mnie przepraszać.

- Dziękuję.

Drżącymi palcami dotknął kwiatów. Kielichy były wiotkie, umarłe.

- Cóż, trzeba się pakować - mruknął.

- Tak!

Hope chwyciła walizkę i otwartą postawiła na łóżku.

- Gospodyni twierdzi, że nie ma mowy o niechęci osobistej. Po prostu to zasada jej pensjonatu.

- Miło mi usłyszeć, że nie ma mowy o niechęci osobistej.

- Nic strasznego - mówiła Hope pakując do walizki delikatną różową bieliznę; ruchy miała energiczne, pewne jak zawsze. - Nic strasznego. Przejdziemy się trochę i na tej samej ulicy znajdziemy inny pokój.

Noe wziął w rękę leżącą na komodzie szczotkę do włosów. Miała wytartą srebrną oprawę, ozdobioną wieńcem staroświeckich wiktoriańskich liści. Połyskiwała blado w świetle sączącym się przez zazdrostki.

- Nie - odrzekł. - Nie znajdziemy innego pokoju.

- Ale... ale tutaj nie możemy zostać - zdziwiła się Hope.

- Nie zostaniemy tutaj i nie znajdziemy innego pokoju - starał się mówić pewnym, rzeczowym tonem.

- Nie rozumiem... Czego chcesz właściwie? - przestała składać suknię i przeniosła wzrok na męża.

- Chcę, żebyśmy poszli na stację i dowiedzieli się, kiedy odchodzi pierwszy autobus do Nowego Jorku. Chcę, żebyś tym autobusem wyjechała.

W pokoju zapanowała cisza. Hope stała sztywno, bez ruchu. Patrzyła teraz na różową bieliznę porządnie ułożoną w walizce.

- Widzisz - szepnęła nareszcie. - To mój jedyny tydzień... Nie mam pojęcia, kiedy zdołam się znowu wyrwać... I... i nie wiadomo, co się z tobą stanie... Lada dzień mogą cię wysłać do Afryki, na Guadalcanal, Bóg wie dokąd...

- Zdaje mi się, że autobus odchodzi o piątej - powiedział Noe.

- Kochany... - Hope stała nadal bez ruchu, z bezwładnie opuszczonymi rękoma. - Na pewno znaleźlibyśmy pokój...

- Tak. Na pewno znaleźlibyśmy pokój. Ale nie będziemy go szukać. Nie chcę ciebie w tym mieście. Wolę zostać sam. Rozumiesz? Nie potrafię kochać cię tutaj. Wyjedź, Hope, i nie wracaj. Rozumiesz? Zostaw mnie. Im prędzej, tym lepiej. Mógłbym spalić to miasto, mógłbym rzucać na nie bomby. Ale nie potrafię kochać tutaj.

Hope podbiegła do męża, chwyciła go za ramiona.

- Kochany! Najdroższy! - Potrząsnęła nim silnie. - Co się stało? Jakie krzywdy robią ci w wojsku?

- Nic mi nie robią! - krzyknął. - Rozumiesz, nic! Powiem ci później. Po wojnie. A teraz pakuj rzeczy i chodźmy stąd. Chodźmy!

Hope opuściła ręce.

- Tak... Dobrze... - wyjąkała i sięgnęła po starannie poskładane ubranie, którym zaczęła dopełniać walizkę.

Po dziesięciu minutach byli gotowi. Noe wyszedł pierwszy. Niósł bagaż żony i małą płócienną torbę, w której miał koszulę na zmianę i przybory toaletowe. Nie obejrzał się z korytarza, lecz Hope przystanąła, odwróciła głowę. Nisko stojące słońce zaglądało przez szpary w zazdrostkach, kreśliło w zakurzonym powietrzu smugi świetlistych pyłków. Żonkile stały w szklance na komodzie wygięte trochę, jak gdyby bliska śmierć przydała wagi ich złotym koronom. Hope cicho zamknęła drzwi. Męża dogoniła na schodach.

Gospodyni czekała na ganku ubrana w ten sam szary fartuch. Nie odezwała się słowem, kiedy Noe płacił rachunek. Stała bez ruchu. Później, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, patrzyła zimno na żołnierza i młodą kobietę, którzy spokojną ulicą szli wolno w stronę dworca autobusowego.

Kiedy Noe wrócił do baraku, nikt na niego nie spojrział. Kilku kolegów spało. Pod drzwiami rozległo się pijackie chrapanie Donnelly'ego. Noe zdjął z szaragów worek i z maniacką dokładnością przetrząsnął jego zawartość: zapasowe trzewiki, wełniane koszule, czysty kombinezon, zielone włóczkowe rękawiczki, blaszanka pasty do obuwia. Nigdzie nie znalazł pieniędzy. Z kolei wziął się do drugiego worka, lecz i tam nic nie było. Od czasu do czasu rozglądał się dokoła gniewnym wzrokiem. Chciał się przekonać, czy ktoś go nie obserwuje. Ale wszyscy obecni w baraku spali głęboko. Ich chrapiący, bezwstydnym sen w niemal publicznym miejscu był odrażający, plugawy.

„Wszystko mi jedno - pomyślał Noe. - Zatłukę drania, który się będzie na mnie gapił”.

Porządnie spakował swoje worki, wydobyl z kufierka papier listowy i napisał krótką notatkę. Zielone pudełko rzucił na pryczę i poszedł w stronę baraku, gdzie mieściła się kancelaria kompanii. Na zewnętrznej ścianie koło drzwi wisiała tablica, a na niej (obok spisu burdeli niedozwolonych dla wojska, instrukcji pouczającej, jakie mundury należy nosić w takich lub innych okolicznościach, oraz ogłoszonej przed tygodniem listy awansów) było miejsce przeznaczone na wiadomości o przedmiotach zagubionych i znalezionych. Starszy strzelec O'Reilly prosił uprzejmie o zwrot scyzoryka z sześcioma ostrzami, zabranego z jego kufierka. Pod tym apelem Noe przyczepił swoją notatkę i jeszcze raz odczytał ją przy świetle żarówki palącej się nad drzwiami kancelarii.

„Do żołnierzy kompanii C. Banknot dziesięciodolarowy został skradziony z worka szeregowca Noego Ackermana z drugiego plutonu. Nie proszę o zwrot pieniędzy i nie myślę dochodzić strat na drodze służbowej. Chcę wymierzyć sprawiedliwość sam, własnymi rękami. Osoba lub osoby, których to dotyczy, zechcą skomunikować się ze mną. Podpisano: Szeregowiec Noe Ackerman”.

Z zadowoleniem przestudiował swoje dzieło, a kiedy wracał do baraku, miał wrażenie, że nareszcie uczynił krok, który uchroni go od szaleństwa.

Następnego wieczora wracając z kuchni po kolacji zatrzymał się przed tablicą z ogłoszeniami. Pod swoją notatką zobaczył wypisany na maszynie wąski skrawek papieru, a na nim dwa krótkie zdania:

„Przyjmujemy wyzwanie, Żydku. Czekamy na ciebie”.

Dalej następowały podpisy: P. Donnelly, J. Wright, L. Jackson, M. Silichner, P. Sanders, B. Cowley, W. Demuth, E. Riker, R. Henkel, T. Brailsford.

Michael czyścił karabin, kiedy Ackerman zwrócił się do niego:

- Chciałbym z tobą pogadać.

Whitacre niechętnie podniósł wzrok. Był zmęczony, zły i jak zwykle biedził się nad zawiłym mechanizmem starego springfielda.

- Czego chcesz? - zapytał.

Od krótkiej rozmowy w marszu nie zamienili ani słowa.

- Tutaj nie mogę powiedzieć.

Noe rozejrzał się dokoła. Po kolacji w baraku było pełno. Trzydziestu lub czterdziestu ludzi czytało, pisało listy, porządkowało ekwipunek, słuchało radia.

- To takie pilne? - rzucił chłodno Whitacre. - Widzisz, że jestem zajęty.

- Proszę cię, Whitacre...

Twarz Ackermana była boleśnie ściągnięta, oczy jak gdyby większe, ciemniejsze.

- Proszę cię, Whitacre - powtórzył Noe. - Muszę z tobą pomówić. Czekam przed barakiem.

- Dobrze - westchnął Michael.

Z trudem składał karabin. Jak za każdym razem wstyd mu się trochę zrobiło, bo nie mógł sobie poradzić z zamkiem. Oporne palce ślizgały się po gładkim, naoliwionym metalu.

„Bodaj to lichu! - pomyślał. - Umiem wyreżyserować sztukę, umiem rozprawiać o znaczeniu Tomasza Manna, a byle parobek z farmy robi to z zamkniętymi oczyma sto razy lepiej niż ja!”.

Powiesił na miejscu karabin i obcierając zatłuszczone ręce wyszedł przed barak. Ackerman stał w ciemnościach po drugiej stronie obozowej ulicy. Jego niska, szczupła sylwetka rysowała się w świetle odległej latarni. Wezwał Michaela konspiratorskim gestem. Michael zbliżył się do niego klnąc w duchu.

- Przeczytaj to - zaczął Noe i podał koledze dwie kartki.

Było ciemno, więc Michael z trudem odcyfrował najpierw notatkę Noego, której nie zauważył na tablicy z ogłoszeniami, a następnie odpowiedź opatrzoną dziesięcioma podpisami. Z niedowierzaniem potrząsnął głową i jeszcze raz odczytał świstki.

- Cóż to, u diabła, znaczy? - rzucił gniewnie...

- Chciałbym cię prosić na sekundanta.

Noe powiedział to głuchym, posępnym tonem, lecz Michael omal nie przyjął śmiechem tak melodramatycznej propozycji.

- Na sekundanta? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak. Będę się bił z tymi ludźmi. Trudno mi porozumieć się z nimi osobiście. Nie mam do siebie zaufania. Stracę cierpliwość i wybuchnie awantura. A wszystko chcę załatwić całkiem formalnie.

Whitacre szeroko otworzył oczy. Wstępując do wojska spodziewał się niejednego, nigdy jednak równie głupiej historii.

- Czyś oszalał?! - zawołał. - Przecież to kawał!

- Możliwe. Ale ja mam dosyć kawałów.

- Dlaczego mnie zaszczyciłeś wyborem?

Noe oddychał głęboko. Słysząc było, jak powietrze świszczę w jego nozdrzach. W migotliwym świetle lampy płonącej po drugiej stronie ulicy wyglądał pięknie i tragicznie. Twarz miał skupioną, surową, jak bohater staroświeckiego dramatu.

- Do nikogo innego w kompanii nie mogę mieć zaufania, więc... - zaczął, lecz zreflektował się nagle i zmiął w rękę dwie kartki papieru.

- Mniejsza o to. Nie chcesz mi pomóc, to idź do wszystkich diabłów!

- Zaraz, zaraz - Michael zrozumiał, że musi coś zrobić, nie dopuścić do finału tej tragifarsy. - Nie powiedziałem przecież, że ci odmawiam pomocy.

- Dziękuję - rzucił sucho Ackerman. - W takim razie idź i ułóż plan spotkań.

- Jaki znów plan spotkań? - zdziwił się Michael.

- Jest ich dziesięciu. Trudno, żebym uporał się z nimi w jeden wieczór. Trzeba ułożyć jakiś plan. Musisz się dowiedzieć, kto będzie pierwszy, kto drugi i tak dalej. Mnie kolejność jest obojętna.

Michael znów wziął papiery z rąk Noego i jeszcze raz przebiegł wzrokiem podpisy. Stopniowo zaczął łączyć nazwiska z osobami.

- Wiesz chyba - powiedział wreszcie - że to dziesięciu najcięższych chłopów w kompanii?

- Wiem.

- Każdy z nich waży przynajmniej sto osiemdziesiąt funtów.

- Wiem.

- A ty ile ważysz?

- Sto trzydzieści pięć funtów.

- Załuką cię na śmierć.

- Nie proszę o radę. Proszę, żebyś się z nimi porozumiał, i koniec. Resztę pozostaw mnie.

- Moim zdaniem, kapitan nie pozwoli - słabo zaproponował Whitacre.

- Pozwoli, pozwoli. Znam tego skurwysyna. Nie martw się o pozwolenie.

Michael wzruszył ramionami.

- Dobrze - burknął. - Wszystko załatwię formalnie. Rękawice. Dwuminutowe rundy. Na sędziego poproszę...

- Nie chcę dwuminutowych rund ani sędziego - przerwał mu Noe. - Walka skończy się, jak jeden lub drugi nie będzie mógł wstać.

- A rękawice?

- Bez rękawic. Wystarczą gołe pięści. Chcesz jeszcze o coś zapytać?

Michael znów wzruszył ramionami.

- Nie. Wiem wszystko.

- Dziękuję. Daj mi znać, co i jak załatwisz.

Bez pożegnania oddalił się przecinając obóz ulicą. Michael patrzył przez chwilę na szczupłe, wyprostowane plecy niknące w cieniu nocy. Później jeszcze raz wzruszył ramionami i poszedł szukać pierwszego z podpisanej dziesiątki. Peter Donnelly mierzył sześć stóp i cal, ważył sto dziewięćdziesiąt pięć funtów i w tysiąc dziewięćset

czterdziestym pierwszym roku brał udział w mistrzostwach ciężkiej wagi w Miami na Florydzie. Był wtedy bliski „Złotych Rękawic”, bo odpadł dopiero w półfinale.

Donnelly znokautował przeciwnika. Noe był zawzięty. Ruszał się żywo. Podskakiwał, by dosięgnąć twarzy olbrzyma. Po chwili krew pociekła z nosa Donnelly'ego, który zaczął siorbać i chlipać, a wyraz gniewnego zdziwienia zastąpił chłodną zawodową maskę, z jaką bokser przystępuje do walki. Lewą ręką odepchnął Ackermana i nie zwracając uwagi na grad uderzeń w piersi, zamachnął się potężnie. Cios był krótki, morderczy. Zdławione „A!” przebiegło krąg widzów. Donnelly zamachnął się ponownie, nie zdążył jednak uderzyć, bo Noe padł i bez ruchu leżał u jego nóg na trawie.

Michael wystąpił naprzód.

- Myślę - powiedział - że na razie wystarczy i...

- Wynos się do licha! - warknął Noe i pomagając sobie obydwoma rękami ciężko dźwignął się z ziemi.

Na chwiejnych nogach stanął twarz w twarz z przeciwnikiem. Krew zalewała mu obficie prawe oko. Donnelly zaatakował. Przegiął się, jak gdyby rzucał piłkę baseballową. Pięść uderzała głucho o usta Noego. „Aa!” - westchnęli znowu gapię, kiedy Ackerman runął plecami na ich zwarty, bezlitosny pierścień, a później osunął się na trawę i legł bez ruchu.

Michael podbiegł do niego. Przyklęknął na jedno kolano. Pokonany miał zamknięte oczy, dyszał ciężko.

- Koniec - powiedział Michael. - Wygrałeś, Donnelly.

Przewrócił Noego na wznak, a Noe otworzył oczy i nieprzytomnie spojrział w nocne niebo.

Ciasny pierścień widzów złamał się i zaczął nikać w mroku nocy. Michael chwycił zemdłego pod pachy i próbował dźwignąć go z ziemi.

- A to ci draka - usłyszał głos Donnelly'ego. - Taki parszywy szczeniak puścił mi juchę z nosa! Kto by się spodziewał?

Whitacre z papierosem w ustach stał pod oknem umywalni i przyglądał się Noemu, który pochylony nad zlewem zwilżał twarz zimną wodą. Był rozebrany do pasa.

Na skórze tu i ówdzie ciemniały wielkie sińce. Wreszcie uniósł głowę. Prawe oko miał zamknięte. Z ust ciekła jeszcze krew. Splunął i dwa zęby padły w różowej pianie na dno zlewu. Nawet nie spojrział na nie. Metodycznie zaczął osuszać twarz czerwieniejącym szybko ręcznikiem.

- No i co? - odezwał się Michael. - Chyba wystarczy? Myślę, że trzeba odwołać resztę spotkań i...

- Kto następny na liście?

- Posłuchaj, człowieku! Śmierci szukasz, czy jak?

- Następny jest Wright - podjął spokojnie Noe. - Powiedz mu, że będę gotów za trzy dni.

Nie czekając odpowiedzi okrył ręcznikiem ramiona i opuścił umywalnię.

Whitacre spojrział na drzwi, zaciągnął się papierosem, rzucił niedopałek i wyszedł w ciepłą noc. Nie wracał do baraku. Chciał uniknąć ponownego spotkania z Ackermanem. Wolał go nie oglądać.

Wright był najwyższy w kompanii. Mimo to Noe nie stosował taktyki obronnej. Nie próbował się migać. W poprawnej bokserskiej pozycji skakał między długimi, wolno poruszającymi się rękami. Bombardował twarz przeciwnika, tłukł go w żołądek, zmuszał do gniewnych pomruków.

„Zdumiewające - pomyślał Michael obserwując Noego z zazdrośnym uznaniem. - Chłopak wie, co to boks. Gdzie się wyuczył?”

- Nie w brzuch, ty skurwysynu! - zawołał Rickett z kręgu widzów. - Ślepyś czy co?

W tej chwili skończyło się spotkanie. Wright wziął rozmach i w potężny sierp przelał całą wagę swojego ciała. Wielka sękata pięść ugodziła jak młot w bok przeciwnika. Noe zatoczył łuk w powietrzu, upadł na łokcie i kolana. Język miał wywieszony. Rozpaczliwie próbował chwycić oddech.

Widzowie przyglądali się w milczeniu. Wright rozkraczył się nad pokonanym.

- No i co? - zapytał wojowniczo. - No i co?

- Zrobiony - odpowiedział Whitacre. - Możesz spokojnie iść do domu. Spisałeś się pierwsza klasa.

Noe zaczął wreszcie oddychać. Charczał i rzeził boleśnie. Powietrze świstało mu w krtani. Wright trącił go szpicem buta i odwrócił się pogardliwie.

- No, który stawia piwo? - rzucił pod adresem gapiów.

Lekarz zerknął na zdjęcie rentgenowskie i orzekł, że dwa żebra są złamane. Klatkę piersiową owinął bandażami, okleił plastrem i kazał pacjentowi leżeć spokojnie.

- Jak tam? - zapytał Michael stojąc nad łóżkiem Ackermana w izbie chorych. - Ustatkujesz się wreszcie?

- Doktor powiada, że będę zdrow za trzy tygodnie. Zamów następnego na ten termin. - Słowa dobywały się z trudem z pobladych warg.

- Oszalałeś? Nikogo ci nie zamówię. Czy nie rozumiesz...

- Głupie nauki możesz wygłaszać gdzie indziej - syknął Noe. - Nie chcesz być sekundantem, to idź do diabła. Sam sobie poradzę.

- Co ty wyprawiasz, Ackerman? - zaczął Michael. - Czego chcesz dowieść?

Noe milczał. Błędnym wzrokiem patrzył w przeciwny kąt salki, na żołnierza, który przed dwoma dniami wypadł z ciężarówki i złamał nogę.

- Czego chcesz dowieść? - krzyknął Whitacre.

- Niczego. Po prostu lubię się bić. Masz coś więcej do mnie?

- Nic. Absolutnie nic - odpowiedział Michael i wyszedł z izby chorych.

- Panie kapitanie - mówił Michael - melduję się w sprawie szeregowca Ackermana.

Colclough siedział na krześle wyprostowany do przesady. Miał minę, jak gdyby dusił się powoli, bo różowy wałek tłuszczu nie mógł się zmieścić między podbródkiem i ciasnym kołnierzem.

- Aha. Co to za sprawa szeregowca Ackermana?

- Zapewne pan kapitan słyszał o... o sporze szeregowca Ackermana z dziesięcioma kolegami z kompanii.

Oficer wykrzywił wargi w złośliwy uśmiech. Widać było, że jest zadowolony.

- Coś obilo mi się o uszy.

- Panie kapitanie, moim zdaniem szeregowiec Ackerman jest obecnie nieodpowiedzialny za swoje czyny. Grozi mu poważne uszkodzenie ciała. Może trwałe kalectwo. Czy pan kapitan nie zechciałby interweniować, zakazać dalszych spotkań?

Colclough wsunął palec do nosa. Ze skupioną miną starał się usunąć jakąś zawadę. Wreszcie wyciągnął palec i bacznie obejrzał dobyty skarb.

- Posłuchajcie, Whitacre - rozpoczął z namaszczeniem, którego musiał nauczyć się od duchownych celebrujących obrzędy pogrzebowe w Joplin. - W każdym wojsku nieuniknione są drobne spory między żołnierzami. Głęboko wierzę, że najstosowniejszą metodą rozstrzygnięcia tych zadrażeń jest uczciwa męska walka. Moi ludzie, Whitacre, będą wkrótce narażeni na coś nieporównanie groźniejszego niż gołe pięści. Na kule i armatnie pociski. Kule i armatnie pociski - powtórzył smakując słowa. - Rozumiecie, Whitacre? Kule i armatnie pociski! Zakaz regulowania nieporozumień w taki właśnie sposób byłby stanowiskiem niewojskowym. Kompletnie niewojskowym, Whitacre. A zresztą, mam swoją politykę. Żołnierzom z mojej kompanii zostawiam jak najwięcej swobody w załatwianiu spraw osobistych. Najwięcej jak to możliwe, Whitacre. Dlatego nie interweniowałem dotąd i na przyszłość nie zamierzam interweniować w sprawie, jak powiedzieliście, szeregowca Ackermana. Zrozumiano?

- Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie.

Michael zasalutował i wyszedł.

Idąc powoli obozową ulicą podjął nagłą decyzję. Nie zostanie tu długo. Musi złożyć podanie do szkoły oficerskiej. Kiedy wstępował do wojska, wolał być szeregowcem. Jasno zdawał sobie sprawę, że jest trochę za stary, by konkurować z dwudziestoletnimi sportowcami, których pełno pośród elewów. Rozumiał również, że ma umysł nastawiony w pewnym kierunku, a więc trudno mu będzie uczyć się nowych rzeczy. Przede wszystkim jednak pragnął umknąć sytuacji, w której życie wielu ludzi zależeć będzie od jego decyzji. Nie czuł się powołany na dowódcę. Nawet dziś, po długich miesiącach szkolenia, wojna zdawała mu się zawilym, śmiertelnym labiryntem, łamigłówką nie do rozwiązania. Dobrze głowić się nad nią samotnie, pod cudzymi rozkazami. Dobrze być szarym, bezimiennym pionkiem. Ale przejmować inicjatywę? Wysyłać czterdziestu ludzi tam, gdzie na skutek drobnego błędu może wyrosnąć czterdzieści mogił? Nigdy! Tak rozumował Michael przed kilkoma miesiącami. Obecnie jednak uważał, że nie ma

wyboru. Armia uważa za stosowne powierzać życie dwustu pięćdziesięciu żołnierzom ludziom takim jak Colclough. Wobec tego przesadna skromność, brak zaufania do siebie, strach, lenistwo - nic nie może stanowić przeszkody.

„Jutro wypełnię formularz i zaniosę do kancelarii - rozmyślał posepnie Michael. - No i w mojej kompanii nie będzie Ackermanów, co z połamanymi żebrami leżą na izbie chorych”.

W pięć tygodni później Noe wrócił pod opiekę lekarską. Znowu stracił dwa zęby i nos miał zgruchotany. Dentysta robił mu mostek, żeby mógł gryźć prawidłowo. Doktor przy każdej wizycie wydobywał z nosa odłamki kości.

Michael nie bardzo wiedział, o czym mówić z Noem. Przychodził do izby chorych, siadał w nogach łóżka i milczał. Wzajemnie unikali swojego wzroku. Byli kontenci, kiedy sanitariusz otwierał drzwi i wrzeszczał:

- Koniec odwiedzin! Wychodzić!

Noe zdążył się już uporać z pięcioma pozycjami swojej listy. Twarz miał pokiereszowaną, obrzękłą. Jedno ucho zniekształcone na stałe było podobne do kalafiora. Biała blizna przecinająca prawą brew nadawała jej wyraz ironicznego zdziwienia. Błędne oczy spoglądały tępo, uparcie z mroków wykrzywionej twarzy. Całość sprawiała wrażenie bolesne i przygnębiające.

Po ósmej walce Noe wylądował znów w izbie chorych. Tym razem cierpiał na chwilowy paraliż mięśni szyi i struny głosowe miał poważnie uszkodzone. Przez dwa dni lekarz był zdania, że pacjent nigdy nie odzyska mowy. Pochylał się nad łóżkiem. Jego dobroduszna twarz świeżo dyplomowanego studenta wyrażała szczerą troskę.

- Posłuchajcie - mówił. - Nie wiem, o co walczyacie, ale tak czy inaczej, gra niewarta świeczki. Ostrzegam was, że w pojedynkę nie dacie rady całej armii Stanów Zjednoczonych. Możecie coś powiedzieć? Spróbujcie.

Przez chwilę Noe z trudem poruszał wargami. Wreszcie z obrzmiałych ust dobył się ochryply, skrzypiący dźwięk.

- Co? Co takiego? - zapytał lekarz i nachylił się jeszcze niżej.

- Handluj pan pigułkami, doktorze - wyjął Noe. - A mnie zostaw pan w spokoju.

Lekarz oblał się pąsem. Z natury był poczciwym chłopcem. Niedawno jednak został kapitanem, nie mógł więc słuchać spokojnie takich impertynencji.

Zesztywniał i rzucił sucho:

- Miło mi, że odzyskaliście dar mowy.

Odwrócił się i wyszedł z izby chorych.

Fein, drugi Żyd w kompanii, odwiedził Ackermana. Nieporadnie stał koło łóżka. Miał czapkę w wielkich łapskach.

- Posłuchaj, stary - mówił. - Nie chcę wtrącać się w twoje sprawy, ale co dosyć, to dosyć. Całkiem źle kombinujesz. Nie powinienes bić w mordę każdego, kto powie, że Żydy to skurwysyny.

- Dlaczego? - Noe skrzywił się z niesmakiem.

- Bo to kiepski interes. Niepraktyczny. Rozumiesz? Przede wszystkim jesteś za mały, za słaby. Ale gdybyś nawet był wielki jak dom, a rękę miał mocniejszą niż Joe Louis, i tak nie zrobiłbyś nic dobrego. Na świecie nie brak ludzi, co całkiem bezmyślnie mówią: „Parchy” i: „Te skurwysyny Żydy”, i różne takie rzeczy. Nie przekona ich nic, co robi Ackerman albo Fein, albo ktokolwiek inny z naszych. Ty, Ackerman, rzucasz się, szukasz guzów i cała kompania myśli, że wszyscy Żydzi to wariaci. Rozumiesz? Nasi koledzy są wcale nieźli, znacznie lepsi, niż się zdaje po tym, co gadają. Już ci nawet współczuli. Ale po tych wszystkich głupich walkach zaczynają uważać Żydów za drapieżne zwierzaki. Nawet na mnie patrzą teraz spode łba i...

- Doskonale - szepnął ochryple Noe. - Jestem bardzo zadowolony.

- Posłuchaj, stary - ciągnął cierpliwie Fein. - Spokojny ze mnie facet i znacznie starszy od ciebie. Mogę zabijać Niemców. Proszę bardzo! Ale z kolegami w wojsku chcę żyć w zgodzie. Widzisz, najlepsza broń Żyda to jedno głuche ucho. Jakiś drań zaczyna pyskować, ty odwracasz się do niego właściwym uchem. Rozumiesz? Daj im żyć, a oni może dadzą żyć tobie. Uważaj. Wojna nie potrwa sto lat. Skończy się i wtedy będziesz mógł dobierać sobie towarzystwo. Ale teraz rząd powiada: „Nic nie pomoże, musisz mieszkać pod jednym dachem z tymi łajdakami z Ku-Klux-Klanu”. Co na to poradzisz?

Gdyby wszyscy Żydzi byli tacy jak ty, zginęlibyśmy z powierzchni Ziemi dwa tysiące lat temu.

- Aha - mruknął Noe.

- Co znaczy „aha”? - obruszył się Fein. - Może oni mają rację? Może naprawdę brak ci piątej klepki? Posłuchaj, stary. Ja ważę dwieście funtów. Jedną ręką mógłbym powalić każdego z tych zuchów. Jestem najsilniejszy w kompanii. No i co? Widziałeś, żebym bił się kiedy? Nie. Nie biłem się z nikim od dnia, kiedy włożyłem mundur. A dlaczego? Bo jestem człowiek praktyczny.

Noe westchnął.

- Pacjent czuje się źle - powiedział. - Jest zmęczony, Fein. Nie ma siły słuchać rad człowieka praktycznego.

Olbrzym szeroko otworzył oczy. Widać było, że problem przerasta jego możliwości.

- O jedno się pytam, Ackerman - podjął po chwili. - Czego ty chcesz? Czego chcesz, do jasnej cholery?

- Chcę - odparł Noe z bolesnym uśmiechem - by każdego Żyda traktowano tak, jak gdyby ważył dwieście funtów.

- To niepraktyczna kombinacja - burknął Fein i zirytował się wreszcie. - Niech cię diabli wezmą! Chcesz wojować, wojuj sobie dalej. Powiem ci prawdę, Ackerman. Lepiej niż ciebie rozumiem tych dziadów z bagien Georgii, co to pierwszy raz w życiu kładą buty w magazynie mundurowym. - Energicznie wcisnął czapkę na głowę. - Bieda ich gniołła. Tacy już są. Ale przynajmniej wiadomo, czego się z nimi trzymać.

Odwrócił się i zamaszystym krokiem ruszył w stronę drzwi. Każdym ruchem szerokich ramion, byczego karku i głowy jak dynia potępiał leżącego w łóżku pokiereszowanego chłopca, z którym złączył go dziwny kaprys losu, urzędu stanu cywilnego i komisji rekrutacyjnej.

Była to ostatnia walka. Jeżeli Noe wstanie, wszystko skończy się pomyślnie. Przekrwionymi oczyma spoglądał z ziemi na Brailsforda, który stał nad nim w spodniach i podkoszulku. Przeciwnik chwiało się na tle kręgu bladych twarzy i odległego, zamglonego

nieba. Już drugi raz zwałił z nóg Ackermana, ale Ackerman zdążył podbić mu oko i parę razy grzmotnął w dołek tak, że Brailsford ryczał z bólu. Teraz trzeba się dźwignąć, klęknąć na jedno kolano, a za pięć sekund będzie po wszystkim. Wyczerpana zostanie lista dziesięciu przeciwników. Koniec! Koniec! Nie będzie połamanych kości, długich dni w szpitalu, nerwowych torsji przed spotkaniem. Nie będzie ogłupiającego, nieznośnego szumu w uszach, kiedy trzeba wytrwać naprzeciw bladej, nienawistnej twarzy i pięści zadających straszne ciosy.

Jeszcze pięć sekund i Noe postawi na swoim. Dowiedzie czegoś nieokreślonego, mglistego, czego chciał od początku dowieść. Ci ludzie będą musieli zrozumieć, że zadał im klęskę. Dziewięć porażek i jedna nierozegrana nie wystarczą. Duch odnosi zwycięstwo dopiero wówczas, gdy do cna spełni ofiarę cierpienia. Tak! Nawet ci ciemni, nieokrzesani ludzie pojmą, że mały Żydek, co maszeruje z nimi przez skwarne drogi Florydy i maszerować będzie przez jakieś inne drogi, ryte artyleryjskimi pociskami, pokazał siłę woli i odwagę, na jaką nie stać najlepszego spośród nich...

Trzeba tylko dźwignąć się na jedno kolano.

Noe wstał. Zasłonił się rękami. Czekał na atak przeciwnika. Z mroku wyłoniła się nagle twarz - blada, posiniaczona, wykrzywiona nerwowo. Noe postąpił krok, uderzył z całej siły i Brailsford runął. Ackerman patrzył tępo na przeciwnika leżącego u swoich stóp. Brailsford dyszał ciężko, zakrzywionymi palcami szarpał trawę.

- Wstań, skurwysynu! - zawołał jakiś głos z kręgu gapiów, a Noe pomyślał, że pierwszy raz nie jego znieważają na tym ringu.

Brailsford wywindował się na nogi. Był tłusty i w złej formie, bo jako pisarz z kompanijnej kancelarii potrafił zawsze dekować się od cięższej pracy. Oddychał przeraźliwie, jak gdyby szlochał, a kiedy Noe postąpił znów krok w jego stronę, zrobił wystraszoną minę i nieporadnie zasłonił się rękami.

- Nie! Nie - zaskomlał.

Ackerman przystanął. Zmierzył grubasa pełnym nienawiści wzrokiem. Potem obydwaj wzięli zamach jednocześnie Noe zwałił się na trawę; Brailsford był ciężki i trafił go prosto w skroń.

Noe siedział na podwiniętych nogach. Oddychał równo. Patrzył na Brailsforda, ten zaś stał nad nim z opuszczonymi rękami, sapał jak miech kowalski i szeptał głucho: „Proszę... Proszę...”. Noe uśmiechnął się radośnie, bo dobrze wiedział, że pisarz z kancelarii zaklina go, aby został na ziemi.

- Ty spasała świni! - powiedział Ackerman mocnym głosem. - Zaraz znów będziesz leżał. Rozumiesz, skurwysynu?

Wstał i uśmiechnął się znowu, bo w oczach Brailsforda zobaczył błysk strachu.

Tym razem pisarz zaatakował pierwszy. Ruszał się żywo. Wciąż doprowadzał do zwarecia. Ale jego ciosy były nerwowe, niepewne, a Ackerman ich nie czuł. Wił się w śliskich objęciach tłuszciocha, czuł ostry zapach potu. Nie wątpił jednak w ostateczne zwycięstwo, bo zdołał powstać, bo złamał przeciwnika nerwowo. Chodziło już tylko o czas.

Noe wyrwał się, zrobił unik i z rozmachem zadał cios w dołek. Poczł, jak pięść zagłębia się w zwałach sadła. Brailsford jęknął, zachwiał się, opuścił ręce. Noe wyczytał w jego oczach nieme błaganie.

- Przyszła koza do woza, panie kapralu! - zachichotał nerwowo i z całej mocy grzmotnął bladą, okrwawioną twarz.

Pisarz z kancelarii sterczał przed nim bez ruchu. Nie przewracał się i nie mógł walczyć. Ackerman zarył się piętami w trawę i raz po raz walił w obrzękłą gębę.

- Masz! Masz! Masz! - charczał zadając sierp po sierpie.

Nabierał siły. Robił szerokie zamachy. Każdemu uderzeniu przekazywał cały ciężar ciała. Widział przed sobą wszystkich, którzy ukradli mu pieniądze, szydzili z niego w baraku i w marszu, przepędzili jego żonę. Oto stoją o krok - bladzi, wystraszeni, bezradni. Krew tryskała mu z knykcii za każdym razem, gdy trafiał w zmasakrowaną twarz przeciwnika.

- Trzymaj się na nogach! Trzymaj się na nogach! Nie padaj jeszcze! Nie padaj! - wołał nieprzytomnie, a jego pięści dudniły jak kijanki tłukące mokrą bieliznę.

Kiedy Brailsford zaczął chwiać się na nogach, zwycięzca próbował podeprzeć go jedną ręką, żeby uderzyć jeszcze raz, dwa, dziesięć... Wreszcie wybuchnął płaczem, bo nie mógł utrzymać dłużej gąbczastej krwawej miazgi. Grubas osunął się na trawę.

Noe opuścił ręce. Spojrzał wyzywająco na kibiców.

- W porządku! - rzucił głośno. - Po zabawie!

Nikt nie wytrzymał jego wzroku. Nikt nie powiedział słowa. Widzowie jak na komendę odwrócili się plecami. Ciemne sylwetki zaczęły znikać w mroku pomiędzy ścianami baraków. Noe patrzył ich śladem. Brailsford leżał na ziemi tam, gdzie upadł. Żaden z kolegów nie został przy nim, nie kwapił się z pomocą.

Michael dotknął ramienia Noego.

- Cóż - zażartował - teraz spokojnie możesz czekać na Niemców.

Ackerman strząsnął przyjazną dłoń.

- Wszyscy odeszli - powiedział głucho. - Nic, tylko odeszli. Skurwysyny!

Spojrzał na Brailsforda, który odzyskał przytomność, ale wstać nie próbował. Leżał twarzą w trawie. Oczy zakrył rękami. Płakał. Noe przyklęknął nad nim.

- Nie trzyj oczu! - warknął. - Łapy masz upaprane. Nabawisz się jakiegoś świństwa.

Dźwignął grubasa przy pomocy Michaela. Później musieli go odprowadzić do baraku, umyć mu twarz, oczyścić i opatrzyć rany. Pisarz z kancelarii biernie poddawał się tym zabiegom. Z bezładnie opuszczonymi rękami stał przed lustrem i gorzko płakał.

Następnego dnia Noe zdezerterował. Michael został wezwany do kancelarii.

- Gdzie on jest?! - wrzasnął na powitanie Colclough.

- Kto, panie kapitanie? - zapytał Whitacre stojąc sztywno na baczność.

- Do cholery! Dobrze wiecie, o kogo pytam. Gdzie wasz kumpel?

- Nie wiem, panie kapitanie.

- Tylko mnie nie bujajcie! - krzyknął Colclough. - Żyliście z nim w przyjaźni, co?

Wszyscy sierżanci byli obecni w kancelarii. Z poważnymi minami gapili się na swojego wodza. Michael zawahał się. Trudno było nazwać przyjaźnią stosunki łączące go z Ackermanem.

- No, śmiało, Whitacre - podjął zachęcająco oficer. - Żyliście z nim w przyjaźni, co?

- Chyba tak, panie kapitanie.

- Macie odpowiadać tylko: „Tak jest, panie kapitanie. Nie, panie kapitanie”.
Zrozumiano? No, żyliście z nim w przyjaźni, co?

- Tak jest, panie kapitanie.

- Dokąd zwał?

- Nie wiem, panie kapitanie.

- Nie łyżycie mi tylko! - Colclough zbladł, koniec nosa drgał mu nerwowo. - Pomogliście w ucieczce temu łajdakowi. Może nie pamiętacie przepisów wojskowego kodeksu karnego? Zaraz wam przypomnę, Whitacre. Za pomoc dezenterowi lub niezameldowanie przełożonym o dezercji grozi dokładnie taka sama kara jak za dezercję. Wiecie, Whitacre, jaka to kara w czasie wojny?

- Tak jest, panie kapitanie.

- No, śmiało! Jaka to kara, Whitacre?

Głos kapitana złagodniał, ścichł nagle. Colclough pochylił się w tył na krześle i zmierzył Michaela życzliwym wzrokiem.

- Kara śmierci, panie kapitanie.

- Kara śmierci - powtórzył ze smakiem Colclough. - Słusznie, Whitacre. Kara śmierci. Uważajcie teraz. Waszego kumpla prawie mamy w rękach. Jak go capniemy, wyśpiewa, kto mu pomagał. Wystarczy nawet, jak powie, że wam, Whitacre, mówił, a wy nie zameldowaliście przełożonym i macie na rachunku udzielenie pomocy dezenterowi. Zdajecie sobie z tego sprawę, Whitacre?

- Tak jest, panie kapitanie - powiedział Michael i pomyślał: „Mam wrażenie, że przy koktajlu słucham anegdotki z serii «Pocieszne typki w naszym wojsku». Niepodobna uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, że biorę w tym udział”.

- Posłuchajcie, Whitacre - rezonował dalej Colclough. - Moim zdaniem, sąd wojenny nie powinien skazać was na śmierć za to, że nie donieśliście o planach Ackermana. Ale możecie dostać dwadzieścia lat, trzydzieści, dożywocie... Więzienie federalne, Whitacre, to nie Hollywood, nie Broadway. Siedząc w Leavenworth nieczęsto będziecie czytać o sobie w gazetach. Wasz kumpel będzie miał okazję przyznać się do wszystkiego. Będzie miał prima okazję. Jeżeli więc wspominał wam mimochodem, że chce zdezerterować, a wy przez gapiostwo nie meldowaliście o tym... No, krewa z wami...!

Uważajcie teraz - oparł dłonie na biurku, jak mówca na trybunie. - Nie mam zamiaru robić z tego wielkich rzeczy. Zadaniem moim jest doprowadzenie kompanii do stanu gotowości bojowej, wolę więc nie podważać morale żołnierzy takimi historiami. Żądam tylko jednego: powiedzcie, dokąd zwiął Ackerman. Powiedzcie chociaż, gdzie, waszym zdaniem, może się ukrywać. Powiedzcie, a wszystko inne puścimy w niepamięć. Chyba nie wymagam wiele, prawda?

- Tak jest, panie kapitanie.

- A widzicie! - podchwycił żywo Colclough. - Dokąd zwiął ten łobuz?

- Nie wiem, panie kapitanie.

Kapitan ziewnął nerwowo. Znowu zaczął mu drgać koniec nosa.

- Słuchajcie, Whitacre - podjął. - Nie bądźcie głupio lojalni. Takich ludzi jak Ackerman wcale nam nie trzeba. To ciemny typ, istna zakąła kompanii. Był do niczego jako żołnierz, nie potrafił zdobyć zaufania ani sympatii kolegów. Od początku do końca wszyscy mieli z nim kłopoty. Na co się narażacie, Whitacre? Na dożywotnie więzienie. W imię czego? Żeby kryć takiego drania? Przecież to szaleństwo. Nie chciałbym oglądać was w kryminale, Whitacre. Inteligentny z was chłop, powiodło się wam w cywilu. Z czasem możecie zostać wzorowym żołnierzem. Chętnie wam w tym pomogę. No, Whitacre - kuszaco uśmiechnął się do Michaela. - Gdzie jest szeregowiec Ackerman?

- Bardzo mi przykro, panie kapitanie. Nie wiem.

Colclough stanął za biurkiem.

- Jak sobie życzyście - powiedział spokojnym tonem. - Wynoś się, ty... ty filosemito!
Zrozumiano?

- Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie.

Michael zasalutował i wyszedł.

Brailsford czekał na Michaela przed jadalnią dla szeregowców. Stał oparty o ścianę, dłuwał w zębach, splotwał. Utył ostatnio, ale od dnia kiedy go Noe pokonał, miał minę niewyraźną, obrażoną i mówił głosem zająkliwym, jak gdyby stale biadał. Whitacre wyszedł z jadalni ciężki po obiedzie, na który złożył się kotlet wieprzowy, ziemniaki, makaron i placek z morelami. Już w drzwiach spostrzegł, że pisarz kompanijny kiwa nań

porozumiewawczo, wołał go jednak uniknąć, przyspieszył więc kroku. Ale grubas pobiegł za nim wołając:

- Hej, Whitacre! Dokąd ci tak pilno? Zaczekaj!

Michael odwrócił się niechętnie.

- Jak się masz, Whitacre. Właśnie cię szukałem - powiedział Brailsford.

- O co chodzi?

Brailsford niespokojnie rozejrzał się dokoła. Żołnierze tłumnie wychodzili z jadalni. Mijali ich, zatrzymywali się w pobliżu.

- Tu nieporęcznie gadać. Chodźmy na mały spacer - zaproponował pisarz.

- Przed zbiórką mam to i owo do załatwienia - bąknął Whitacre.

- Nie zmarnujesz czasu. Jeszcze mi podziękujesz. - Brailsford mrugnął wymownie.

- Zajmę ci dwie minuty.

- Niech będzie.

Michael wzruszył ramionami i obok pisarza poszedł w stronę placu alarmowego.

- Wyżej uszu mam naszej kompanii - zaczął grubas. - Staram się o przeniesienie. Znam sierżanta w dowództwie pułku. Szczęściarz. Mają go zwolnić z powodu stanu zdrowia. Artretyzm jak cholera. Rozumiesz? Gadałem z nim i z kilkoma innymi gośćmi z pułku. Tutaj rzygać mi się chce i...

Michael westchnął. Marzył, że wyciągnie się na pryczy i prześpi cenne dwadzieścia minut po obiedzie.

- Streszczaj się - powiedział. - O co ci chodzi?

- Od przekłętego meczu z Ackermanem czepiają się mnie skurwysyny. Słuchaj. Nie chciałem podpisać listy. Mówili, że to kawał, że zbierają dziesięciu największych chłopów, a ja ważę dwieście funtów. Nie miałem nic do Żyda. Zapewniali, że się nie będzie bił. Ja też się bić nie chciałem. Żaden ze mnie bohater. Za młodu tłukł mnie każdy szczeniak w mieście, chociaż zawsze byłem duży. Do licha, czy to zbrodnia nie być dobrym bokserem?

- Nie zbrodnia - przyznał Michael.

- I jeszcze jedno - ciągnął grubas. - Nie jestem wytrzymały. Jak miałem czternaście lat, chorowałem na zapalenie płuc. Od tej pory prędko się męczę. Nawet doktor zwolnił mnie od forsownych ćwiczeń. Ale wytłumacz to temu bydlakowi Rickettowi - uśmiechnął się cierpko - czy innym skurwysynom. Od czasu kiedy Ackerman mnie znokautował, czuję się tak, jakbym sprzedał niemieckim szpiegom ważne tajemnice wojskowe. Czego ode mnie chcą? Przecież stałem na ringu i brałem w pysk tak długo, jak mogłem wytrzymać. Sam widziałeś, prawda?

- Prawda - przyznał znów Michael.

- Ackerman to dzika bestia. Mały, jucha, ale zajadły. Nie lubię mieć do czynienia z takimi ludźmi. Nawet Donnelly'emu puścił krew z nosa. A Donnelly mało nie zdobył „Złoty Rękawic”. Prawda? Czego, u diabła, spodziewali się po mnie?

- Nie wiem! - wybuchnął Whitacre. - To wszystko stare sprawy. O co ci dzisiaj chodzi?

- Widzisz - Brailsford rzucił wykałaczkę i smutnym wzrokiem potoczył po zakurzonej placu alarmowym - nie mam przyszłości w tej kompanii. Absolutnie żadnej przyszłości. A tobie chciałem powiedzieć, że ty, bracie, również.

Michael zatrzymał się.

- Co to znaczy? - rzucił szorstko.

- Tylko wy dwaj potraktowaliście mnie po ludzku tamtej cholernej nocy - ciągnął grubas - ty i ten Żydek. Dzisiaj mam zamiar pomóc tobie. I jemu pomógłbym chętnie, gdybym mógł. Przysięgam Bogu, że chętnie pomógłbym Ackermanowi.

- Dowiedziałeś się czego? - zapytał skwapliwie Whitacre.

- Aha. Złapali go wczoraj wieczór w Nowym Jorku. Jest na Wyspie Gubernatorskiej. Pamiętaj, nikt nie powinien o tym wiedzieć. Tajemnica wojskowa! Ale ja wiem, bo jak dzień długi, objam się w kancelarii.

Michael wyobraził sobie Noego w rękach żandarmerii. Pod eskortą uzbrojonej straży idzie ubrany w granatowy kombinezon z wielkim białym „P”¹ wymalowanym na plecach.

¹ „P” - skrót ang. *Prisoner* - więzień, jeniec.

- Nikomu nie powiem. - Smutno pokiwał głową. - Co z nim? Zdrów?

- Nie wiem - odpowiedział pisarz. - W kancelarii mówili niewiele. Colclough z wielkiej uciechy poczęstował nas wszystkich dobrą whisky, marki Trzy Pióra. Ale nie o tym miałem z tobą gadać. Chodzi o twoją sprawę. - Umilkł delektując się efektem, jaki za chwilę wywoła. - O podanie do szkoły oficerskiej, które tak dawno złożyłeś...

- Aha. I co?

- Wczoraj wróciło. Odrzucone.

- Odrzucone - powtórzył głucho Whitacre. - Przecież komisja lekarska...

- Wróciło z Waszyngtonu. Odrzucone - przerwał mu Brailsford. - Dwaj inni goście przeszli w porządku. Ale twoja sprawa kaput! FBI powiedziało: „Nie”. Kapujesz?

- FBI? - Michael spojrzał bystro na Brailsforda, gdyż podejrzewał, że to z góry ukartowany kawał. - Co FBI ma wspólnego z moją sprawą?

- Co ma wspólnego? Te dranie wentylują wszystkich. Ciebie także rozgryźli. Powiadają, że nie nadajesz się na oficera. Jesteś nielojalny, kapujesz?

- Kpisz ze mnie? - rzucił Michael.

- Ani mi to w głowie. Ostatnio straciłem humor. FBI powiedziało swoje. Koniec. Kropka. Jesteś nielojalny.

- Nielojalny! - Michael pokręcił głową. - A czego chcą ode mnie?

- Mówią, żeś czerwony - odparł Brailsford. - Wyczytali to w twoich papierkach, w twoim *dossier*, jak się to u nich nazywa. Podobno nie wolno ci powierzać wiadomości, które mogłyby mieć znaczenie dla nieprzyjaciela.

Michael objął wzrokiem rozległy plac alarmowy. Żołnierze leżeli tu i ówdzie na skrawkach zakurzonej murawy. Jacyś dwaj sportowcy rzucali miarowo piłką baseballową. W głębi flaga amerykańska trzepotała na szczycie masztu. Gdzieś w Waszyngtonie siedzi za biurkiem człowiek. Może w tej chwili spogląda na podobną flagę zdobiącą ścianę jego gabinetu. Kilka dni temu ów człowiek za biurkiem napisał z zimną krwią na podaniu szeregowca Whitacre'a: „Nielojalny. Kontakty z komunistami. Opinia negatywna”.

- Coś tam było o Hiszpanii - podjął Brailsford. - Udało mi się zerknąć na twoje podanie. Czy Hiszpania to kraj komunistyczny?

- Niezupełnie.

- A byłeś tam kiedy?

- Nie. Należałem do Komitetu Pomocy Hiszpańskim Demokratom. Wysyłaliśmy sanitarki, lekarstwa, krew do transfuzji.

- No i wpadłeś - podchwycił grubas. - Wpadłeś jak śliwka w kompot. Naturalnie nic nie powiedzą. Wymyślą coś innego. Możesz przecież nie nadawać się na dowódcę. Pamiętaj, że ja ci powiedziałem. Ale nikomu nic nie gadaj.

- Dziękuję, Brailsford. Serdecznie dziękuję.

- Idź do diabła! - obruszył się pisarz. - Pamiętam, że potraktowałeś mnie jak człowieka. Skorzystaj z tego, co wiesz. Staraj się o przeniesienie. Ja nie mam przyszłości w tej zasranej kompanii, ale ty, bracie, wyglądasz znacznie gorzej. Colclough pieni się na czerwonych. Będziesz harował w kuchni do odjazdu za morze, a później nie ominie cię żaden niebezpieczny patrol. Co dzień będziesz szperaczem. Kapujesz? Nie dam centa za twoje życie.

- Dziękuję, Brailsford. Na pewno skorzystam z dobrej rady.

- A pewnie. W wojsku trzeba pilnować własnej skóry, bo nikt inny jej nie upilnuje. Wydobył z kieszeni wykałaczkę, podłubał w zębach i splunął siarczyście.

- Pamiętaj, ja nie pisałem ci słówka.

Michael skinął głową i przez chwilę spoglądał za Brailsfordem, który przez plac alarmowy wracał do kancelarii, gdzie nie miał żadnej przyszłości.

Z oddali, przez tysiąc mil szepczących na wietrze drutów przypląnął głos cienki, metaliczny:

- Tak, Thomas Cahoon. Tak, pokryję rachunek za rozmowę z szeregowcem Whitacre'em.

Michael zamknął drzwi kabiny telefonicznej w hotelu „Rawlings”. Odbył długą podróż do sąsiedniego miasta, bo wolał nie telefonować z obozu obawiając się, że go ktoś podsłucha.

- Proszę ograniczyć rozmowę do pięciu minut - powiedziała telefonistka. - Linia przeciążona.

- Jak się masz, Tom - rozpoczął Whitacre. - Rujnuję cię nie z biedy. Po prostu nie mam dwudziestopięcio- i dziesięciocentówek.

- Dzień dobry, Mike. - Głos przyjaciela zabrzmiał życzliwie, wesoło. - Nic nie szkodzi. Rozmowę zapiszę na koszty handlowe. Zmniejszy to podatek dochodowy.

- Tom - podjął Michael. - Słuchaj uważnie. Czy znasz kogo w oddziale Propagandy Wojskowej w Nowym Jorku? Rozumiesz? To tacy faceci, co organizują w obozach przedstawienia, koncerty i inne szopki.

- Tak - powiedział Cahoon. - Znam kilka osób. Stale z nimi współpracuję.

- Mam wyżej uszu piechoty - ciągnął Whitacre. - Spróbuj obrobić przeniesienie. Wolę wyjechać ze Stanów. Rozumiesz? Oddział Propagandy Wojskowej wysyła na jeden i drugi front. Chciałbym trafić do takiej jednostki. Możesz mi to załatwić?

- Cóż, jeżeli ci bardzo zależy - powiedział Cahoon po pauzie i głosem nieporównanie chłodniejszym. - Oczywiście... Mogę spróbować.

- Dziś wyślę ekspres. Podam oddział, numer ewidencyjny, przydział. Wszystko to będzie ci potrzebne.

- Dobrze. Zajmę się tym od ręki. - Głos Cahoona brzmiał nadal sucho.

- Przepraszam, Tom, że ci zawracam głowę. Nie mogę wyjaśnić przez telefon, dlaczego to robię. Zaczekaj na mój przyjazd. Wtedy opowiem wszystko.

- Niczego nie musisz mi tłumaczyć. Nie wątpię, że masz swoje racje.

- Tak. I to ważne. Z serca ci dziękuję i do widzenia. Jakiś sierżant strasznie się denerwuje, bo czeka na połączenie z oddziałem położniczym szpitala w Dallas City.

- Życzę szczęścia, Mike.

Whitacre złowił uchem wysiłek, z jakim przyjaciel zdobywa się na ton nieco cieplejszy.

- Bywaj! Mam nadzieję, że zobaczymy się niedługo.

- Naturalnie. Zrobię, co w mojej mocy. Bywaj!

Michael powiesił słuchawkę i otworzył drzwi kabiny, w której zastąpił go niezwłocznie tęgi, zdenerwowany sierżant saperów z garścią pełną ćwierćdolarowych monet. Michael uśmiechnął się do niego i wyszedł na ulicę, gdzie różnokolorowe neony nad barami tworzyły migotliwą mgłę. W sąsiednim domu mieściła się wojskowa kantyna i świetlica. Whitacre znalazł tam wolny stół i usiadł w przepelnionej sali. Żołnierze drzemali w fotelach, czytali pisma, pracowicie pisali listy przy biurkach na pajęczych nóżkach.

„Robię coś, czego postanowiłem nie robić - myślał Whitacre rozkładając ćwiartkę papieru i odkręcając wieczne pióro. - Coś, czego żaden z tych zmęczonych, Bogu ducha winnych chłopców nigdy nie mógłby zrobić. Wykorzystuję przyjaciół i ich stosunki, i swoje stanowisko w cywilu. Właściwie trudno się dziwić, że Cahoon był trochę cierpki. Siedzi teraz przy telefonie, z którego przed chwilą rozmawiał ze mną. Łatwo sobie wyobrazić, co myśli. Wygląda to mniej więcej tak: «Ach, ci intelektualisci. Zawsze jednakowi, bez względu na to, co gadają. Potrafią w porę zwinąć chorągiewkę. Im bliżej armatniego ognia, tym łatwiej przypominają sobie, że gdzieś indziej mają znacznie ważniejsze sprawy»”.

O wielu ludziach i sprawach mógłby opowiedzieć Cahoonowi. Był Colclough i człowiek za biurkiem z FBI, który pochwalał generała Franco, nie pochwalał Roosevelta i jednym pociągnięciem pióra decydował nieodwołalnie o dalszych losach szeregowca Whitacre'a. Był Ackerman i dziesięć krwawych walk stoczonych na bezlitosnych, zimnych oczach całej kompanii. Była służba pod dowództwem kapitana, który marzył, by jak najwięcej jego podkomendnych padło na polu chwały. Żaden cywil nie potrafiłby zrozumieć naprawdę tych spraw, ale można przecież próbować. Tak, istnieją wielkie różnice między życiem w cywilu a życiem w obozie wojskowym. Obywatel amerykański wie, że każdą sprawę można przedstawić jakimś władzom kierującym się poczuciem sprawiedliwości. A żołnierz? Żołnierz traci wszelką nadzieję, gdy wciągnie pierwsze fasowane buty.

Niewątpliwie Cahoon starałby się zrozumieć to wszystko, wczuć się w położenie przyjaciela. Ciekawe jednak, czy z głosu Cahoona zniknie kiedyś chłodny ton rozczarowania. Zapewne nie i nie będzie w tym nic dziwnego, gdyż Michael zdawał sobie sprawę, że chłodny ton rozczarowania nie zniknie nigdy z jego własnego sumienia.

Rozpoczął list do Cahoon. W nagłówku napisał drukowanymi literami kryptonim pocztowy oddziału i swój numer ewidencyjny. Wówczas zdał sobie sprawę, że nawiązuje korespondencję z człowiekiem obcym, gdyż cyfry, które zna na pamięć, będą zupełnie nieznanymi Cahoonowi.

Rozdział XIX

„Obawiam się - czytał kapitan Lewis - że zostanę poczytany za wariata, a wariatem nie jestem i nie chcę, aby mnie ktokolwiek o to podejrzewał. Piszę ten list z centralnej Czytelni Miejskiej Biblioteki Publicznej w Nowym Jorku, przy zbiegu Piątej Alei z Czterdziestą Drugą Ulicą. Mam przed sobą wojskowy kodeks karny i *Biografię księcia Malborough* pióra Winstona Churchilla. Mój sąsiad przy tym samym stole robi notatki z *Etyki Spinozy*. Podaję te szczegóły, by dowieść, że dokładnie wiem, co robię, a moje władze umysłowe działają prawidłowo”.

- Długo służę w wojsku, ale czegoś podobnego nigdy nie czytałem - zwrócił się kapitan do sekretarki z Pomocniczej Służby Kobiet siedzącej przy pobliskim biurku. - Jak to tutaj trafiło?

- Z Głównej Komendy Żandarmerii - odpowiedziała dziewczyna. - Proszę, żeby pan zbadał tego więźnia i orzekł, czy symuluje, czy naprawdę jest chory umysłowo.

„Skończę pisać ten list - czytał dalej Lewis - a następnie pojadę metrem do Battery, gdzie wsiądę na prom i na Wyspie Gubernatorskiej oddam się w ręce władz wojskowych”.

Lekarz westchnął i pożałował na moment, że specjalizował się w psychiatrii. Każde inne zajęcie byłoby w wojsku prostsze i dawałoby więcej zadowolenia.

List był długi, pisany nieregularnym, nerwowym charakterem pisma na lichym papierze.

„Przede wszystkim pragnę podkreślić z całym naciskiem, że nikt nie pomógł mi w ucieczce z obozu i nikt nie wiedział o moim zamiarze. Mojej żony nie należy również indagować, bo od chwili przyjazdu do Nowego Jorku nie byłem u niej i w żaden sposób nie próbowałem nawiązać z nią kontaktu. Plan działania obmyślałem na zimno i za nic nie chciałem poddać się wpływowi uczuć. Przez ostatnie dwa tygodnie nikt nie udzielił mi schronienia ani ze mną nie rozmawiał i nawet przypadkowo nie spotkałem nikogo z dawniejszych znajomych. W dzień wałęsałem się po mieście, a nocowałem w rozmaitych

hotelach. Mam siedem dolarów, mógłbym więc wytrwać jeszcze czas pewien, stopniowo jednak zrozumiałem, jaki kurs należy obrać, i nie myślę zwlekać dłużej".

Kapitan spojrzął na zegarek. Umówił się na obiad w mieście i nie chciał się spóźnić. Wstał, naciągnął bluzę i wsunął do kieszeni dziwny list. Mógł go przecież dokończyć na promie.

- Jeżeli ktoś zapyta, gdzie jestem, proszę powiedzieć, że na wizycie w szpitalu - rzucił sekretarce.

- Tak jest, panie kapitanie - wyrecytowała dziewczyna.

Lekarz włożył czapkę i wyszedł. Przy pięknej pogodzie dał silny wiatr. Za zielonkawymi wodami portu wysokie śródmieście Nowego Jorku dumnie i bezpiecznie połyskiwało w słońcu. Lewis, jak często mu się to zdarzało, zawstydził się trochę na ów widok. Żołnierz nie powinien spędzać wojny w takim pięknym, spokojnym mieście! Dziarsko zasalutował szeregowym, którzy oddawali mu honory po drodze do promu, a na górnym pokładzie, zarezerwowanym dla oficerów i ich rodzin, poczuł się całkiem po wojskowemu. Nie był złym człowiekiem. Miewał nawet niekiedy skrupuły i wyrzuty sumienia. Na odpowiedzialnym, niebezpiecznym posterunku na pewno spisałby się dzielnie. Mimo to dobrze i przyjemnie żył w Nowym Jorku. Żona z dziećmi została w domu, w Kansas City, a on mieszkał wygodnie w pierwszorzędnym hotelu, gdzie płacił za apartament zniżoną wojskową cenę. Noce spędzał na przemian z dwiema młodymi osobami, które pracowały jako modelki, a po godzinach zajęć miały jakieś funkcję w Czerwonym Krzyżu. Obie były ładniejsze i bardziej doświadczone niż wszystkie kobiety, jakie miał w życiu. Niekiedy budził się rano zgnębiony. Postanawiał, że trzeba skończyć z marnotrawstwem czasu, poprosić o przydział w rejonie działań wojennych lub co najmniej ożywić wydatnie swoją bezduszną pracę na Wyspie Gubernatorskiej. Przez dwa dni burczał, robił porządek w biurku, w rozmowach z pułkownikiem Bruce utyskiwał na nudy. Szybko jednak dawał za wygraną i wracał do miłej, leniwej rutyny.

Prom szarpał się na cumach, a kapitan Lewis czytał na oficerskim pokładzie:

„Skrupulatnie roztrząsałem powody, dla których postąpiłem tak, jak postąpiłem, i jestem przekonany, że mogę wyłożyć je uczciwie i zrozumiale. Za bezpośrednią przyczynę tego, co się stało, uważam fakt, że jestem Żydem. Kompania składa się przeważnie z południowców, i to ludzi bez wykształcenia. Z początku koledzy byli usposobieni do mnie

nieżyczliwie, lecz później zaczęli łagodnieć. Nagle sierżant, nowy dowódca mego plutonu, podsycił i uaktywnił bierną wrogość. Nie wiem, czy postąpiłbym inaczej, gdybym nawet nie był Żydem. Ale - powtarzam jeszcze raz - moje pochodzenie wywołało kryzys i ostatecznie uniemożliwiło mi życie w obozie".

Kapitan Lewis westchnął i podniósł wzrok. Prom opływał właśnie płaski cypel Manhattanu. Nowy Jork wyglądał tak jak zawsze z tego punktu: czysty, wyświeżony, godny zaufania. Trudno było sobie wyobrazić zgnębnego chłopca, który obnosi ulicami swoje troski i spieszy do Biblioteki Publicznej, by przelać je na papier i list zaadresować do komendanta żandarmerii. Bogu tylko wiadomo, co „kanarki" zrozumiały z tej epistoły!

„Głęboko wierzę - czytał dalej Lewis - że powinienem walczyć za ojczyznę. Uciekając z obozu myślałem inaczej, obecnie jednak pojmuję, że to był błąd w rozumowaniu wywołany zmartwieniami i żalem do otoczenia. Żal ten wzrósł i stał się nie do wytrzymania na skutek czegoś, co przytrafiło mi się ostatniej nocy w obozie. Wrogość całej kompanii w stosunku do mnie znalazła wyraz w szeregu walk na pięści. Dziesięciu najsilniejszych kolegów rzuciło mi wyzwanie, ja zaś byłem zdania, że muszę je przyjąć. Honorowo i nie prosząc o litość wytrzymałem dziewięć spotkań i we wszystkich zostałem pokonany. Natomiast w ostatnim udało mi się zwyciężyć. Przeciwnik zwałił mnie z nóg kilka razy, lecz w rezultacie ja go znokautowałem, co stanowiło zakończenie wielotygodniowych zapasów. Poprzednio widzowie - czyli cała kompania - obojętnie zostawiali mnie na ziemi, ale zwycięzcę obsypywali gratulacjami. Ostatnim razem spojrzałem na nich, jak gdybym dopominał się o wyraz uznania czy chociażby nieżyczliwego szacunku za to, czego dokonałem. Być może postąpiłem głupio, ale nie mogłem się spodziewać, że wszyscy (co do jednego) jak na komendę odwrócą się bez słowa i odejdą. Wtedy zrozumiałem, że mój trud, męka i wysiłek woli poszły na marne. Nie zdobyłem sobie prawa obywatelstwa w kompanii. Patrząc na plecy oddalających się kolegów postanowiłem, że muszę zdezerterować. Obecnie rozumiem jasno, że to była omyłka. Wierzę w naszą ojczyznę. Wierzę w tę wojnę. Zdaję sobie sprawę, że tego rodzaju indywidualne wybryki są niedopuszczalne. Muszę walczyć. Sądzę jednak, że wolno mi prosić o przeniesienie do innej dywizji, gdzie mniej będzie zależało na stopniowym zadreczaniu mnie, a więcej na zabijaniu wroga.

Łączę wyrazy szacunku.

Noe Ackerman,
szeregowiec armii Stanów Zjednoczonych"

Prom przybił do brzegu i kapitan Lewis spiesznie dźwignął się z ławki. Starannie złożył list i już na kładce wsunął go do kieszeni.

„Biedny chłopiec - pomyślał i pod wrażeniem chwili miał ochotę odwołać umówiony obiad, wrócić na Wyspę Gubernatorską i zaraz wybrać się do Noego; ale opamiętał się w porę. - Cóż, skoro już jestem w mieście, mogę zjeść obiad, a później pogadać z tym dziwakiem. Pospieszę się. Niedługo będę gotów”.

Ale dziewczyna, z którą się umówił, miała wolne popołudnie, a że czekając na stolik wypili po trzy koktajle, chciała po obiedzie pójść do jego hotelu. Kapitan Lewis nie mógł jej odmówić, bo wydawało mu się, że poprzednim razem była dziwnie oziębła. Wolał nie ryzykować. Poza tym trochę szumiało mu w głowie, a idąc do Noego powinien mieć umysł najzupełniej jasny, trzeźwy. Należało się to biednemu chłopcu, a tyle przynajmniej mógł dla niego zrobić. Zaprowadził więc partnerkę do siebie, połączył się z biurem i poprosił porucznika Klausera, by za niego podpisał listę wyjścia.

Z dziewczyną bawił się wybornie i około piątej po południu doszedł do wniosku, że nigdy nie traktowała go oziębłe. Był osłem, skończonym osłem, że wymyślił coś podobnego!

Interesantka była ładna i sympatyczna, chociaż z trudem tłumiona rozpacz wyglądała z jej dużych, ciemnych oczu. Niewątpliwie spodziewała się dziecka, a jej ubiór wskazywał na niedostatek. Kapitan Lewis westchnął. Rozmowa zapowiadała się jeszcze gorzej niż przewidywał.

- Bardzo dziękuję, kapitanie - rozpoczęła Hope - za łaskawe zwrócenie się do mnie. Noemu nie wolno widywać się ze mną ani pisywać. Nie doręczają mu też moich listów.

Mówiła chłodnym, opanowanym głosem, bez tonów skargi.

- Wojsko, pani Ackerman, załatwia wszelkie sprawy na własny, specyficzny sposób - powiedział Lewis i odczuł w duchu, że wstydzi się za wszystkich ludzi na tej wyspie, za wszystkie mundury, działa i budowle. - Jestem pewien, że pani zrozumie mnie właściwie.

- Tak sędzę. Czy Noe jest zdrów?

- Mniej więcej - odpowiedział dyplomatycznie kapitan Lewis.

- Będę go mogła zobaczyć?

- Zapewne. O tym właśnie pragnę z panią porozmawiać. - Spod oka zerknął na umundurowaną sekretarkę, która siedząc za biurkiem gapiała się ciekawie. - Proszę zostawić nas samych - rzucił sucho.

- Tak jest, panie kapitanie.

Dziewczyna wstała niechętnie i bez pośpiechu wyszła z pokoju. Miała tłuste łydki i jak zawsze przekrzywione szwy pończoch.

„Dlaczego tylko takie szantrapy garną się pod sztandary?” - pomyślał Lewis i zmieszał się straszliwie, jak gdyby poważna ciemnooka kobieta, która siedziała sztywno na twardym krześle obok biurka, mogła czytać głupie myśli, jak gdyby wyraziła chłodnym spojrzeniem wstręt i pogardę.

- Spodziewam się, że pani orientuje się poniekąd w sytuacji, choć nie widuje męża i nie otrzymuje od niego wiadomości - podjął oficer.

- Tak. Jego przyjaciel, szeregowiec Whitacre, który był z nim razem na Florydzie, kilka dni temu przejeżdżał przez Nowy Jork. Odwiedził mnie przy sposobności.

- Hm... Przykra sprawa... Niewymownie przykra...

Lewis zarumienił się, bo na zaciętych wargach Hope dostrzegł nikły cień ironicznego uśmiechu, uśmiechu ze swojego współczucia.

- A zatem - podjął żywo - sytuacja przedstawia się następująco: pani mąż prosił o przeniesienie do innej jednostki... Praktycznie rzecz biorąc, może zostać oddany pod sąd za dezercję.

. - Przecież nie zdezerterował - zaprotestowała Hope. - Zgłosił się dobrowolnie.

- Z pewnego punktu widzenia zdezerterował, bo w momencie ucieczki z obozu nie miał zamiaru wracać.

- O! Paragrafy przewidują wszystko - westchnęła Hope.

- Obawiam się, że prawie wszystko.

Lewis czuł się nieswojo wobec tej opanowanej, chłodnej kobiety, która spoglądała nań przenikliwie. Wolałby już łzy i rozpacz.

- Jednak - ciągnął tonem urzędowym - władze wojskowe biorą pod uwagę pewne okoliczności łagodzące i...

- Dobry Boże! - wybuchnęła Hope. - Okoliczności łagodzące!

- ... i przez wzgląd na nie - kapitan nie dał zbić się z tropu - nie zamierzają postawić pani męża przed sądem. Chcą po prostu przywrócić mu prawa i obowiązki służbowe.

Hope uśmiechnęła się pogodnie, miło.

„Śliczna kobietka - pomyślał Lewis. - Znacznie ładniejsza niż moje modelki".

- W takim razie nie istnieje żaden problem - powiedziała. - Mój mąż chce wrócić, a władze wojskowe chcą go przyjąć. Wszystko w porządku, prawda?

- Niezupełnie. Generał dowodzący Bazą Uzupelnień, z której szeregowiec Ackerman zdezerterował, nalega, by pani mąż wrócił do swojej kompanii, a tutejsze władze nie zamierzają wtrącać się w tę sprawę.

- Aha - powiedziała głucho Hope.

- Pani mąż nie chce wracać - ciągnął oficer. - Twierdzi, że woli proces.

- W dawnej kompanii zatłuką go, jeżeli wróci - szorstko rzuciła Hope. - Czy o to chodzi panu generałowi i tutejszym władzom?

Lewis uważał za swój obowiązek umiarkowaną obronę porządków wojskowych. Nie na darmo przecież nosił mundur z dwoma srebrnymi prostokątami kapitana.

- Spokojnie, pani Ackerman, spokojnie - odparł. - Sprawa nie wygląda aż tak źle.

- Nie wygląda aż tak źle, kapitanie? - obruszyła się kobieta. - A jak źle, pańskim zdaniem?

- Doprawdy, bardzo mi przykro - powiedział Lewis pojednawczym tonem. - Rozumiem pani nieprzyjemną sytuację i proszę mi wierzyć, chcę pomóc...

- Oczywiście. Chce pan pomóc. - Impulsywnie dotknęła palcami jego ręki. - Bardzo przepraszam, kapitanie.

- Jeżeli dojdzie do rozprawy, pani mąż niewątpliwie dostanie się do więzienia - ciągnął Lewis. - Na długo... bardzo długo. Może to być dwadzieścia lat... dwadzieścia pięć. Czy ja wiem? W czasie wojny sądy wojskowe są skłonne do surowych kar.

Kapitan nie powiedział, iż w sprawie szeregowca Ackermana rozpoczął zdecydowane kroki. Zredagował uszczypliwy list do Generalnego Inspektora Armii i brulion schował do szuflady biurka, aby dnia następnego wyszlifować go do stanu absolutnej doskonałości. Pomyślał jednak, że bez potrzeby „wychyla się” i naraża na przykre konsekwencje, gdyż armia nie ma zwyczaju dyskutować z oficerami krytykującymi swoich przełożonych, lecz wysyła ich po cichu do miejsc bardzo nieprzyjemnych - takich na przykład jak Assam, Islandia czy Nowa Gwinea. Wolał też nie mówić Hope, że przez cały następny dzień nosił swoje dzieło w kieszeni i przeczytał je co najmniej czterokrotnie, a o piątej po południu podarł kłopotliwą kartkę i spał się wieczorem ze zmartwienia.

- Wiem już, dlaczego mnie pan wezwał - powiedziała smutno Hope. - Mam przekonać Noego, by zgodził się wrócić do swojej dawnej kompanii.

Lewis z trudem przełknął ślinę.

- Coś koło tego, pani Ackerman - bąknął niepewnie.

Hope spojrzała w okno. Na dziedzińcu trzech więźniów w granatowych drelichach ładowało na ciężarówkę cebry z kuchennymi odpadkami. Stali nad nimi dwaj wartownicy z karabinami pod pachą.

- Kapitanie, czy w cywilu był pan również psychiatrą? - spytała obcesowo.

- Kto?... Ja... Naturalnie.

Nieoczekiwane pytanie zbiło go z tropu.

- A dzisiaj nie wstyd panu samego siebie? - roześmiała się szyderczo.

- Pani Ackerman - powiedział sucho. - Mam konkretne zadanie i spełniam je najlepiej, jak potrafię.

Kobieta podniosła się z krzesła. Stała ciężko, jak gdyby płód dźwigany w łonie zawadzał jej nieznośnie. Zbyt ciasna spódnica była komicznie poddarta z przodu. Lewis wyobraził sobie Hope, która uparcie przerabia stare szmaty, bo nie może kupić sukni na okres ciąży.

- Zgoda - powiedziała chłodno. - Zastosuję się do pańskiego życzenia.

- Dobrze. Dziękuję pani.

„Właściwie to jedyne wyjście dla wszystkich stron zainteresowanych. Nawet ten chłopiec najmniej ucierpi w takim wypadku” - pomyślał Lewis i niemal w to wierzył sięgając po słuchawkę, by połączyć się z kapitanem Masonem z dowództwa żandarmerii i zawiadomić go, że szeregowiec Ackerman będzie miał wkrótce gościa.

Poprosił o numer wewnętrzny. Czekał, aż się Mason odezwie, i słuchał brzęczenia sygnału.

- Aha - zwrócił się do Hope nie patrząc na nią przez delikatność i dyskrecję. - Czy pani mąż wie o... ehm... dziecku?

- Nic nie wie.

- Cóż... mogłaby pani posłużyć się tym argumentem - ciągnął kapitan trzymając brzęczącą słuchawkę przy uchu. - To może wpłynąć na ostateczną decyzję... Rozumie pani? Wzgląd na dziecko... Ojciec w więzieniu... Zniesławiony...

- Rozumiem! - wybuchnęła Hope. - Jak to dobrze być psychiatrą! Człowiek robi się taki praktyczny.

Lewis był coraz bardziej zakłopotany.

- Pani Ackerman - zaczął niepewnie - ja nie wysuwam sugestii, ale...

- Zechce pan nie pleść głupstw i trzymać język za zębami! - przerwała.

„Wielki Boże! - pomyślał z żalem. - Wojsko z każdego robi durnia. Nigdy nie zachowałbym się tak podle w szarym garniturze”.

- Kapitan Mason - odezwał się suchy głos w słuchawce.

- Jak się masz, Mason - odpowiedział z ulgą Lewis. - Jest u mnie pani Ackerman. Każ zaraz doprowadzić Ackermana do rozmównicy.

- Macie pięć minut - oznajmił żandarm.

Zagradzał drzwi pustej izby, w której okno było zakratowane, a na środku nagiej podłogi stały dwa krzesła.

Jak powstrzymać łzy? To najważniejszy problem. Noe wydawał się bardzo mały. Złamany, krzywy nos, groteskowy kształt ucha, blizna przecinająca brew... To było przykre, ale mniej przykre niż wrażenie tej małości. Miał na sobie sztywny granatowy kombinezon, o wiele za obszerny. Był w nim jakiś filigranowy, zagubiony. I jeszcze jedno: w wojsku i areszcie nauczono go przeszywającej serce pokory. Mówiło o niej wszystko oprócz oczu: niepewny krok, jakim wszedł do rozmównicy, błady, trwożliwy uśmiech na powitanie żony, ukradkowy, spieszny pocałunek w obecności żandarma, stłumiony, matowy głos, kiedy bąknął: „Dzień dobry”. Strasznie było pomyśleć o przewlekłym, okrutnym procesie, który zrodził w Noem tę haniebną pokorę. Tylko oczy połyskiwały dumnie, uparcie.

Stykając się kolanami siedzieli na twardych krzesłach sztywno niby dwie starsze panie na oficjalnej popołudniowej herbatce.

- No widzisz... widzisz - zaczął Noe cicho i znów uśmiechnął się blade.

Obrzydliwie wyglądały różowe luki w miejscach, gdzie wygoiły się już rany po wybitych zębach. Skrzywione usta nadawały twarzy głupi, bezmyślny wyraz. Ale Hope patrzyła spokojnie, bo Whitacre uprzedził ją o cielesnych obrażeniach męża.

- Hope - ciągnął Noe - nigdy nie zgadniesz, o czym tu ciągle myślę.

- Nie zgadnę - odparła spokojnie. - Ciekawa jestem.

- O czymś, co ty mi powiedziałaś... dawno.

- Ja?

- Powiedziałaś: „Widzisz, nie było za gorąco. Wcale nie było za gorąco” - uśmiechnął się do żony, a żona z trudem pohamowała płacz. - Doskonale pamiętam ton, jakim to powiedziałaś.

- Masz też co wspominać! - Próbowała się uśmiechnąć.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, jak gdyby wyczerpali cały temat rozmowy.

- Twój wuj z rodziną nie wyprowadził się z Brooklynu, co? - podjął Noe. - Ogród jest taki sam?

- Tak.

Żandarm, który stał oparty plecami o drzwi, przestąpił z nogi na nogę.

- Słuchaj - zmieniła temat Hope. - Widziałam się z kapitanem Lewisem. Wiesz, co mi radził, prawda?

- Wiem.

- Nie chcę cię namawiać do niczego. Postąpisz, jak uznasz za stosowne.

W tej chwili spostrzegła, że Noe przygląda się jej badawczo. Z twarzy przeniósł wzrok na brzuch wydymający przyciasną, starą spódnicę.

- Lewisowi nie obiecałam nic - ciągnęła - nic absolutnie, masz więc...

- Hope - przerwał. - Hope, powiedz mi całą prawdę!

- Znasz całą prawdę - westchnęła Hope. - Już tylko pięć miesięcy. Nie mam pojęcia, dlaczego nie napisałam ci o tym w porę. Widzisz, dużo muszę leżeć w łóżku. Rzuciłam pracę. Lekarz powiada, że grozi mi poronienie, jeżeli się będę męczyć. Chyba to główny powód mojego milczenia. Czy ja wiem? Wolałam, żebyś się mną nie przejmował.

Noe spojrział na żonę poważnym wzrokiem.

- Jesteś zadowolona?

- Nie wiem... - Hope zapragnęła nagle, by żandarm padł trupem. - Nic nie wiem. Głupia jestem! Głupia! W każdym razie niech to nie wpływa na ciebie... tak czy inaczej...

Noe westchnął. Później pochylił się ku żonie i pocałował ją w czoło.

- To cud - szepnął. - Prawdziwy cud!

Hope zmierzyła wzrokiem żandarma, pustą rozmównicę, zakratowane okno.

- Straszne - szepnęła. - Dowiedzieć się takiej rzeczy w takim miejscu... Straszne!

Żandarm potarł głośno plecami o futrynę drzwi.

- Jeszcze minuta - rzucił obojętnie.

- Nie martw się o mnie - podjęła Hope. - Wszystko ułoży się dobrze. Wyjadę do rodziców. Będę miała opiekę. Nie martw się o mnie.

Noe wstał.

- Wcale się nie martwię... Dziecko... Widzisz, nic nigdy nie wiadomo... - Rozłożył ręce bezradnym, chłopięcym ruchem, a Hope omal nie wybuchnęła śmiechem na widok tego dobrze znanego, kochanego gestu. - Nic nigdy nie wiadomo.

Podszedł do okna i przez kraty wyjrzał na otoczony murem dziedziniec. Kiedy odwrócił się, twarz miał kamienną, nieruchomą.

- Proszę cię - powiedział. - Idź zaraz do kapitana Lewisa. Zawiadam go, że pójde wszędzie, gdzie mnie wyślą.

Hope zerwała się z krzesła i zawołała tonem protestu, a zarazem niewypowiedzianej ulgi:

- Noe! Noe!

- Koniec! Widzenie skończone - oznajmił żandarm otwierając drzwi.

Więzień wrócił na środek rozmównicy. Pocałował żonę. Odpowiedziała pocałunkiem. Na sekundę przycisnęła do policzka jego rękę.

- Pani pozwoli - przynaglił żandarm.

Wyszła, lecz korzystając z ostatniej chwili odwróciła się i spojrzała na męża. Stał pośrodku izby. Nie odwracał od niej przenikliwego wzroku. Żandarm zatrzasnął drzwi. Widzenie było skończone.

Rozdział XX

- Nie chcę owijać prawdy w bawełnę - rozprawiał Colclough. - Z przykrością widzę was tutaj, Ackerman. Jesteście zakałą kompanii i, moim zdaniem, za sto lat nie będzie z was porządny żołnierz. Ale, jak Boga Jedynego kocham, nie pożałuję starań, żeby z was zrobić porządnego żołnierza, choćbyście mieli zdechnąć!

Noe gapił się na jasną plamkę drgającą na czubku kapitańskiego nosa. Nic się tu nie zmieniło. W kancelarii świeciła goła żarówka. Colclough mówił to samo, identycznym tonem i z nieodmienną miną. Cuchnęły stare szpargały, piwo, przepocone mundury, oliwa do czyszczenia broni i źle wyschnięte drewno. Szeregowiec Ackerman nie mógł uwierzyć, że przez kilka tygodni nie był w obozie, że coś innego działo się w tym czasie.

- Rzecz zrozumiała, że nie będziemy się z wami cackali - ciągnął kapitan powoli, z pełną namaszczenia uciechą. - Żadnych przepustek. Żadnych urlopów. Z miejsca pójdziecie do kuchni na dwa tygodnie dzień po dniu. A później, aż do odwołania, praca w kuchni w każdą sobotę i niedzielę. Zrozumiano?

- Tak jest, panie kapitanie.

- Dostaniecie tę samą pryczę co dawniej. I uprzedzam was, Ackerman, musicie być żołnierzem pięć razy lepszym niż ktokolwiek inny w tym oddziale. Inaczej krewa z wami, zrozumiano?

- Tak jest, panie kapitanie.

- A teraz jazda stąd! Od dziś nie chcę was więcej widzieć w kancelarii. Zrozumiano?

- Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie.

Noe zasalutował i wyszedł. Leniwie włókł się dobrze znajomą drogą w stronę nie mniej znajomego baraku. Dławiło go w gardle, kiedy patrzył na oświetlone, nie osłonięte okna i poruszające się za szybami sylwetki.

Nagle odwrócił się i stanął. Trzej mężczyźni krok w krok sunęli za nim w mroku. Poznał ich. Donnelly, Wright, Henkel. Widział, że uśmiechają się krzywo. Wolno, prawie niewidocznie następowali nieregularną, groźną tyralierką.

- Jesteśmy deputacją od całej kompanii - odezwał się Donnelly. - Koledzy uchwalili, że jak wrócisz, Ackerman, trzeba ci wyprawić uroczyste, staromodne powitanie. Nam przypadł w udziale ten zaszczyt.

Noe sięgnął do kieszeni. Wydobył nóż sprężynowy, który kupił w mieście po drodze do obozu. Nacisnął guzik. Sześciocalowe ostrze wysunęło się z okładzin. Zimno, morderczo błysnęło w świetle okien odległych o pięćdziesiąt jardów. Trzej żołnierze cofnęli się na widok noża.

- Śmiało. Który chce się przekonać, jak to smakuje? - spytał Noe rzeczowym tonem. - Zabiję każdego, kto od dziś tknie mnie palcem. Zapamiętajcie to dobrze i powtórzcie całej kompanii.

Stał wyprostowany. Nóż trzymał przed sobą na wysokości bioder. Donnelly zerknął najprzód na błyszczącą stal, później na dwóch kompanów.

- No i co? - warknął. - Lepiej dać mu żyć. Na razie. Cholerny z niego pistolet!

Odchodzili bez pośpiechu. Noe nie ruszał się z miejsca. Nóż trzymał w groźnej pozycji.

- Powiedziałem: „Na razie” - zawołał z oddali Donnelly. - Na razie! Rozumiesz, Ackerman?

Noe uśmiechnął się krzywo. Patrzył na godną trójkę, póki nie zniknęła za węglem. Później spuścił wzrok na długie, zabójcze ostrze. Pieszczotliwym gestem złożył nóż i wsunął do kieszeni. Uprzytomnił sobie, że odkrył metodę postępowania, dzięki której zdoła utrzymać się przy życiu. Był zadowolony, ale nim wszedł do baraku, długo zbierał siły. We wnętrzu ktoś śpiewał:

Kiedym uścisnął

Wnet zrozumiałaś wszystko...

Noe pchnął drzwi i stanął w progu. Riker, który był najbliżej wejścia, spostrzegł go pierwszy.

- Jak Boga kocham! - zawołał. - Popatrzcie, kto to taki!

Noe wsunął dłoń do kieszeni. Zmacał chłodny, kościany uchwyt noża.

- Czy mnie wzrok myli? - krzyknął Collins z drugiego końca baraku. - Ackerman we własnym ciele!

W tej chwili obskoczyli go żołnierze. Noe odruchowo cofnął się pod ścianę, aby nikt nie zaatakował go od tyłu. Położył palec na guzik, za którego pociśnięciem klinga wysuwała się z oprawy.

- Jak tam leciało, Ackerman? - spytał Maynard. - Fajna była zabawa? Pewno tłukłeś się po nocnych klubach, he?

Wszyscy ryknęli śmiechem, a Noe poczerwieniał ze złości. Kiedy jednak wsłuchał się uważnie, zrozumiał, że ów śmiech nie dźwięczy wrogim, groźnym tonem.

- Bodaj cię licho, Ackerman! - podjął Collins. - Szkoda, żeś nie widział, jaką gębę miał Colclough w dzień, kiedy dałeś nogę. Dla tego jednego warto było dać się wziąć do wojska.

Znów cały barak zarechotał gromko na miłe wspomnienie dnia triumfu.

- Jak dawno zwałeś, Ackerman? - zapytał Maynard. - Chyba dwa miesiące temu?

- Cztery tygodnie - poprawił Noe.

- Cztery tygodnie! - powtórzył z uznaniem Collins. - Blisko miesiąc wakacji! Przysięgam Bogu, sam bym chętnie drapnął! Ale brak mi odwagi, psia mać!

- Byczo wyglądasz, chłopie! - Riker poklepał Ackermana po ramieniu. - Posłużył ci urlop, he? - Noe spojrzał na niego z niedowierzaniem. To jakiś nowy kawał? Mocniej ścisnął rękojeść noża.

- Bryknąłeś pierwszy - podjął Maynard - i dałeś dobry przykład. Za tobą poszli szukać wiatru w polu jeszcze trzej frajerzy. Ustanowiłeś, bracie, modę. Prawdziwą modę. Powiadam ci, przyleciał sam pułkownik i Colclough dostał przy wszystkich taką szkołę, że ledwie się pozbierał. Pułkownik pytał, cóż to, do jasnej cholery, za kompania, co ma najgorszą opinię w obozie? Mówił, że w końcu Colclough zostanie sam jak palec. Niczego mu nie przepuścił. Myślałem, że Colclough poderżnie sobie gardło. Jak Boga Jedynego kocham!

- Spójrz - odezwał się Burnecker. - Znalazłem to pod barakiem i schowałem na wszelki przypadek. Myślałem, że może kiedyś wrócisz.

Mówiąc to podał Noemu paczkę owiniętą w stare gazety. Ackerman rozwijał ją powoli nie odrywając wzroku od uśmiechniętej szeroko dziecinnej twarzy Burneckera. W środku znalazł trzy tomy, zmurszałe trochę, ale jeszcze całkiem czytelne.

- Dziękuję - powiedział głucho i położył książki na pryczy. - Dziękuję, chłopcy.

Nie śmiał spojrzeć w oczy kolegom, by nie pokazać, co dzieje się w jego sercu. W tej chwili uświadomił sobie mglisto, iż zawarł rozejm z wojskiem. Był to rozejm na opętańczych warunkach, ugruntowany groźbą noża i niedorzecznym autorytetem zyskanym dzięki buntowi przeciwko władzom, ale rozejm prawdziwy, trwały, który z biegiem czasu mógł przerodzić się w sojusz. Noe zrozumiał to jasno, gdy stojąc pochylony nad swoją pryczą patrzył na odzyskane książki i słuchał gwaru licznych głosów za plecami.

Rozdział XXI

Porucznik został zabity poprzedniego dnia i w chwili gdy przyszedł rozkaz odwrotu, plutonem dowodził Christian.

Amerykanie nie napierali mocno. Batalion zajmował dogodne stanowisko na wzgórzu nad osadą, gdzie trzy włoskie rodziny snuły się uparcie między dwoma dziesiątkami zrujnowanych domów.

Pluton włókł się leniwie w pyle wyboistej drogi. Christiana dobiegł głos:

- Wreszcie zaczynam rozumieć, na jakich zasadach funkcjonuje armia. Pułkownik robi przegląd pierwszych linii i wali prosto do dowództwa dywizji. „Panie generale - mówi - z przyjemnością melduję, że ludzie mają ciepłe, suche kwatery w budynkach, którym zagraża tylko bezpośredni ogień artyleryjski. Jedzą regularnie i pocztę otrzymują trzy razy tygodniowo. Amerykanie zdają sobie sprawę, że nasze stanowiska są nie do zdobycia, wstrzymują się więc od wszelkich działań”. A generał na to: „Ślicznie! Wycofujemy się, panie pułkowniku”.

Christian poznał głos.

„Szeregowiec Dehn” - zarejestrował w pamięci na wszelki wypadek.

Ciężko stawiał krok za krokiem. Pas schmeissera zaczynał mu ciążyć na ramieniu. Ostatnio był stale zmęczony. Cierpiał na malaryczne bóle głowy, przykre i uporczywe, chociaż zbyt słabe, by mogły zaprowadzić do szpitala. „Znowu do tyłu, znowu do tyłu...” - zdawały się szurać buty w przydrożnym pyle.

„Ciemno, chwała Bogu - pomyślał leniwie. - Nie trzeba się bać samolotów. To przyjemność na później, po wschodzie słońca. Gdzieś na głębokich tyłach nieprzyjacielskich, w pobliżu Foggi, młody porucznik amerykański siedzi teraz w ciepłym pokoju przy śniadaniu. Sok z grejpfrutów, płatki owsiane, jaja na szynce, prawdziwa kawa ze śmietanką. Niedługo wdrapie się do samolotu i polecą nad szarzące wzgórza. Może ostrzela z broni pokładowej niewyraźne, ciemniejące plamki chroniące się w płytkich rowach koło szosy? To będę ja i mój pluton”.

Wlókł się ciężko; nienawidził Amerykanów, bardziej za jaja na szynce i prawdziwą kawę niż za pociski i ustawiczne naloty. I papierosy! Nie licząc wszystkiego innego, papierosów mają, ile dusza zamarzy! Nikt nie pobije tak zaopatrzonego wojska!

Na języku poczuł kojący smak dymu. Ale w zgniecionej paczce miał tylko dwa papierosy, więc postanowił wypalić jednego dziś, drugiego jutro.

Nagle oczami wyobraźni ujrzał amerykańskich lotników, których niedawno widział. Strąceni za niemieckimi liniami czekali, aż przyjdzie ktoś i weźmie ich do niewoli. Z aroganckim uśmiechem na tępych, płaskich twarzach palili beczelnie papierosa za papierosem.

„Na drugi raz - pomyślał gniewnie - jak zobaczę takiego, zastrzelę drania. Gdzieś mam rozkazy, i tyle!”.

W tej chwili potknął się o wybój i syknął boleśnie, bo uraził się w zranioną nogę.

- Co panu, sierżancie? - zapytał idący za nim żołnierz.

- Nie martw się o mnie - warknął. - Nie wylaż na szosę.

Szedł dalej i nie myślał o niczym. Uważał tylko na ciągnącą się przed nim drogę.

Koło mostka czekał łącznik z batalionu zapowiedziany w rozkazie odwrotu. Pluton maszerował już dobre dwie godziny. Było zupełnie widno. Po drugiej stronie pasma wzgórz warczały silniki samolotów, lecz dotychczas nie nastąpił atak z powietrza.

Łącznik z batalionu, kapral, przycupnął trwożnie w rowie. Było tam sześć cali wody, lecz kapral przedkładał bezpieczeństwo nad wygodę. Na powitanie Christiana wstał mokry i ubłocony. Drużyna pionierów czekała po drugiej stronie wąwozu, aby podpalić miny, kiedy przejdzie pluton Christiana. Wyszłe koryto potoku było gładkie jak stół, a mostek lichy. Zniszczenie go nie mogło opóźnić nieprzyjaciela nawet o minutę. Ale pionierzy z zasady wysadzali wszystko, co możliwe do wysadzenia, jak gdyby czynili zadość rytuałowi uświęconemu tradycją.

- Spóźnił się pan - powiedział nerwowo kapral. - Już byłem w strachu, że się wam coś stało.

- Nic się nam nie stało - odburknął Christian.

- To dobrze; o trzy kilometry stąd czeka kapitan. Powie panu sam, gdzie i jak się okopać. - Kapral niespokojnie rozejrzał się dokoła.

Miał zawsze minę, jak gdyby groziło mu coś strasznego: kula z karabinu strzelca wyborowego, pikujący samolot na otwartym polu, pocisk działowy, co już chichocze w powietrzu... Diestl spojrział na niego i pomyślał, że taki żołnierz musi polec, i to rychło.

Był zadowolony, że o trzy kilometry stąd kapitan zacznie decydować za niego. Znakiem ręki ruszył pluton z miejsca i za kapralem wszedł na most. Z rowu pionierzy gapili się na nich bez niechęci czy sympatii.

Po drugiej stronie wąwozu Christian stanął. Podwładni automatycznie zatrzymali się za nim. Sierżant z przyzwyczajenia, prawie nieświadomie, zaczął oceniać odległość, drogi podejścia, pola ogniowe i martwe.

Łącznik z batalionu zerknął nad głowami żołnierzy na drogę, którą lada chwila mogli nadciągnąć Amerykanie.

- Kapitan czeka na nas - bąknął. - Czemu pan marudzi?

- Stul pysk - odpowiedział spokojnie Diestl.

Wrócił za mostek, stanął i spojrział na drogę, którą dopiero co przyszedł. Biegła prosto mniej więcej sto metrów. Później skręcała za pagórek i niknęła z oczu. Christian odwrócił się i znów przez poranną mgielkę zaczął obserwować nie znany jeszcze teren po drugiej stronie wąwozu. Droga biegła serpentynami pod górę między kamienistymi, skąpo porośniętymi zboczami. Dalej, w odległości ośmiuset do tysiąca metrów, sterczało urwisko podobne do nadmorskiej rafy, a ukoronowane grupą sękatych głazów.

„Idealne stanowisko dla karabinu maszynowego - zarejestrował mechanicznie umysł Christiana. - Spomiędzy tych skałek można pokryć ogniem most i wszystkie przejścia”.

Nagle kapral trącił go w łokieć.

- Panie sierżancie - zaczął znowu drżącym głosem - nie chcę się naprzykrzać, ale kapitan dał wyraźny rozkaz. Powiedział: „Tylko nie marudzić. Rozumiecie? Nie będę później słuchał żadnych wykrętów”.

- Stul pysk - powtórzył Christian równie beznamiętnym tonem.

Kapral otworzył usta, lecz opamiętał się w porę. Przełknął ślinę i wierzchem dłoni otarł wargi. Później oparty o kamienną balustradę mostu patrzył z grobową miną ku południowi.

Diestl bez pośpiechu zszedł z boku wąwozu nad koryto strumienia. Mniej więcej o dziesięć metrów od mostu stok był łagodny, pozbawiony szczelin i luźno leżących kamieni. Pod mostem ciągnęło się suche, piaszczyste łożysko, a nad nim rzadkie krzaki i kilka pojedynczych głazów. Christian niemal bezwiednie oceniał sytuację.

„Zrobi się - myślał. - To nawet żadna sztuka”.

Pluton przezornie zszedł z mostu i po północnej stronie wąwozu stał na drodze, gotowy na pierwszy pomruk samolotowego śmigła schronić się w rowie obok pionierów.

„Istne króliki - pomyślał z goryczą Diestl. - Zapomnieliśmy już żyć po ludzku”.

Kapral kręcił się niespokojnie przy wejściu na most. Wreszcie nie wytrzymał:

- No i co, panie sierżancie? Możemy ruszać?

Christian puścił pytanie mimo uszu. Spokojnie przeszedł sto metrów prostej drogi i zatrzymał się na zakręcie. Przymknął oczy, wyobraził sobie pierwszego Amerykanina na tym miejscu: Leży płasko na brzuchu i wychyla głowę zza pagórka, by upewnić się, że nic nie grozi. Później głowa nika i za chwilę pojawia się inna - zapewne głowa młodego porucznika. Christian pomyślał, że armia amerykańska dysponuje niewyczerpanym zasobem młodych poruczników, których chce się pozbyć korzystając z wojny. Następnie drużyna, pluton lub może nawet kompania wyjdzie ostrożnie na prostą drogę. Trzymając się jej skrajów, spoglądając nerwowo pod nogi, aby przypadkiem nie przegapić miny, żołnierze zbliżą się do mostu.

Christian odwrócił się i znów zmierzył wzrokiem grupę głazów położonych wysoko nad drogą, odległych niemal o kilometr. Był przekonany, że stamtąd można panować nad mostem i podejściami do mostu. Ale nie na tym koniec. Ze znacznej wyniosłości widać na pewno drogę za poprzednim, niższym pasmem wzgórz, które pluton ostatnio przebył. Amerykanie zdradzą się znacznie wcześniej, nim miną zakręt i wyjdą na krótki prosty odcinek drogi prowadzącej do mostu.

Diestl poważnie kiwnął głową. Miał gotowy plan, jak gdyby opracowany przez kogoś innego, podsunęty w skończonej formie. Szybko zawrócił, przeszedł most i zbliżył się do skupionej w rowie drużyny pionierów. Dowodzący nią sierżant zmierzył Christiana natarczywym wzrokiem.

- Chcesz pan tutaj zimować? - rzucił cierpko.

- Miny pod mostem założone? - zapytał Diestl.

- Wszystko gotowe. Odprowadź pan pluton, a za minutę podpalimy lont. Nie mam pojęcia, co pan właściwie robi, ale powiem otwarcie, że to łażenie tam i nazad działa mi na nerwy. W każdej chwili mogą nadejść Amerykanie, no i...

- Ma pan długi lont? - przerwało mu pytanie. - Taki, co będzie się tlił z piętnaście minut?

- Mam - zdziwił się pionier. - Ale nie będzie potrzebny. Przy tych ładunkach jest lont jednonumutowy. Ten, co go podpali, akurat zdąży bryknąć i...

- Proszę zdjąć ten lont i zaraz założyć długi.

- Posłuchaj pan, sierżancie - obruszył się pionier. - Dostałeś pan swoje zadanie: przeprowadzić te swoje ofermę przez most. Ja też dostałem jasne zadanie: Wysadzić most. Nie uczę pana, co ma pan robić ze swoim plutonem. Nie ucz mnie pan, co mam robić ze swoim mostem.

Diestl spojrział śmiało na sierżanta pionierów, krępego mężczyznę, który jakimś cudem zdołał zachować pokaźną tuszę. Robił wrażenie tłuściocha cierpiącego często na zaburzenia żołądkowe. Miał w tej chwili urażoną, pewną siebie, protekcyjną minę.

- Będę też potrzebował dziesięć tych pudełek - podjął Christian wskazując ręką stos min ułożonych przy drodze.

- Ja też ich będę potrzebował - odburknął pionier. - Chcę zaminować drogę po tamtej stronie mostu.

- Amerykanie mają wykrywacze. Wybiorą pańskie miny jedną po drugiej.

- To nie mój interes. Dostałem taki rozkaz i muszę go wykonać.

- Zostanę tutaj z moim plutonem - oznajmił Christian. - Dopilnuję, żebyście nie kładli min bez sensu.

- Posłuchaj no pan, sierżancie - głos grubasa dygotał z tłumionej pasji. - Teraz nie pora na dyskusje. Lada moment Amerykanie...

- Brać miny! - zwrócił się Diestl do drużyny pionierów. - I za mną!

- Za pozwoleniem! - wybuchnął sierżant wysokim, piskliwym głosem. - Ja dowodzę tymi ludźmi, nie pan!

- No to powiedz im pan, żeby wzięli miny i szli za mną. Czekam! Zrozumiano? - rzucił oschłym tonem.

Starął się jak najwierniej naśladować styl porucznika Hardenburga.

Grubas sapał głośno ze złości i strachu. Co kilka sekund zerkał w stronę zakrętu drogi, jak gdyby zaraził się od łącznika z batalionu i wypatrywał nadchodzących Amerykanów.

- Dobrze, dobrze. Niech będzie! - skapitulował wreszcie. - Mnie tam wszystko jedno. Ile min trzeba?

- Dziesięć.

- Największe zmartwienie - zaczął burczeć dowódca pionierów - że w naszej armii jest kupa gości, którym się zdaje, że wiedzą, jak wygrać wojnę bez niczyjej pomocy... Niech to choroba!

Klął, ale podniósł swoich ludzi, a Christian poprowadził ich na dno wąwozu i wybrał miejsce na miny. Później kazał pionierom starannie zatrzeć ślady, a wykopany piasek odnieść w hełmach w pobliskie zarośla. Dozorując tych zajęć z uśmiechem przyglądał się, jak grubas własnoręcznie zmienia lonty przy małych, niewinnie wyglądających ładunkach dynamitu, umieszczonych pod łukiem mostu.

- No, zrobione - burknął ponuro pionier, kiedy Christian wrócił na drogę. - Długi lont założony. Masz pan, czegoś pan chciał, chociaż nie wiem po jaką cholere. Zaraz podpalić?

- Nie. Pionierzy nie są mi już potrzebni. Odmaszerować.

- O, co to, to nie! - warknął posępnie sierżant. - Dostałem rozkaz, by wysadzić most. Muszę dopilnować, żeby naprawdę wyleciał w powietrze. Dopilnować osobiście - dodał z namaszczeniem.

Christian był nadal opanowany, zimny.

- Lont zapalimy - powiedział - kiedy Amerykanie będą o kilkadziesiąt kroków. Jeżeli chcesz pan do tej pory tkwić pod mostem, ja osobiście życzę panu wszelkiej pomyślności.

- Nie mam czasu na kpiny - odparł z godnością grubas.

- No, wynosić się! Zrozumiano?! - wrzasnął Christian, bo pamiętał dobrze, jakie rezultaty osiągał Hardenburg posługując się pełnym głosem. - Nie chcę was widzieć ani minuty dłużej. Wynosić się, bo będzie krucho!

Z zaciśniętymi pięściami postąpił krok naprzód. Miał groźną minę, jak gdyby z trudem panował nad sobą i lada chwila mógł jednym uderzeniem zwalić z nóg grubasa.

Sierżant cofnął się. Puciołowata twarz zbladła mu pod hełmem.

- Nerwy - burknął ochryple. - Front działa na ludzi. Widać panu pomieszał klepki!

- Odmaszerować! Ale to już! - krzyknął Diestl.

Pionier odwrócił się i poszedł na drugą stronę mostu, gdzie tymczasem zgromadziła się jego drużyna. Krótco cichym głosem pogadał z żołnierzami, a ci wyleźli z rowu i nie oglądając się za siebie, ruszyli luźnym szykiem ku północy. Christian patrzył za nimi poważnie, bez uśmiechu, bo uśmiech mógłby zniweczyć zbawienny wpływ, jaki na jego ludzi wywarł ten epizod.

- Panie sierżancie, kapitan czeka i... - zaczął łącznik z batalionu drżącym, piskliwym głosem.

Diestl wskazał urwisko i zębate głazy odległe o blisko tysiąc metrów.

- Tam. Między skałami nad zakrętem drogi. Widzisz?

- Widzę - wyjąkał Dehn po chwili.

- Machnę płaszczem - ciągnął Diestl. - Tylko uważaj dobrze. Dopiero wtedy podpalisz lont i sprawdzisz, czy tli się, jak trzeba. Będziesz miał kupę czasu. Później leć koło drogi do następnego zakrętu i poczekaj, aż usłyszysz wybuch. Dalej możesz iść spokojnie i dołączyć do nas. Zrozumiano?

- Tak jest, panie sierżancie. A... a tutaj, na dole, zostanę sam?

- Nie. Postaram się o dwie baletnice i gitarzystę. Będzie ci wesoło.

Dehn nie uśmiechnął się z tego żartu.

- Wszystko jasne? - rzucił Christian.

- Tak jest, panie sierżancie.

- W porządku. A jeśli podpalisz lont, nim zobaczysz mój płaszcz, lepiej nie wracaj do oddziału.

Dehn milczał. Był to tęgi młody człowiek, doker w cywilu, podejrzany o to, że niegdyś należał do partii komunistycznej.

Christian ostatni raz rzucił okiem na swoje przygotowania i na Dehna, który stał ponuro oparty o wilgotny, omszały łuk mostu. „W przyszłości - pomyślał wspinając się z powrotem na drogę - ten żołnierz będzie chyba skory do krytykowania przełożonych”.

Do grupy głazów nad drogą trzeba było iść szybkim krokiem piętnaście minut, toteż Christian dyszał ciężko, kiedy się tam wreszcie znalazł. Żołnierze szli za nim wytrwale jak ludzie nieodwołalnie skazani do końca swoich dni na marsze i dźwiganie żelastwa. Nikt się nie ociągał, gdyż nawet największy głupiec musiał zrozumieć, że pluton będzie doskonałym celem dla pościgu, jeżeli nie schroni się za zębate skały przed nadejściem Amerykanów.

Diestl zatrzymał się i wsłuchany w swój świszczący oddech spojrział w dół. Most wydawał się mały, daleki od wojny, niegroźny. Na krętej drodze i w ciągnącej się przez wiele mil dolinie panował absolutny spokój, jak gdyby cała była okolica opustoszała, zapomniana, niepotrzebna nikomu.

Christian uśmiechnął się, gdy stwierdził, że słusznie uważał zębate skałki za dobry punkt obserwacyjny. Nad wzgórzami widać było kręty pas drogi. Amerykanie muszą pojawić się tam, zanim znikną na chwilę za zakrętem, aby wyjść zza pagórka o sto metrów przed mostkiem. Odległość tę przejdą niewątpliwie w ciągu dwudziestu czy piętnastu minut, nawet gdyby szli bardzo wolno i ostrożnie.

- Heims, Richter - powiedział Diestl - zostajecie ze mną, reszta wycofa się dalej. Kapral poprowadzi - zwrócił się do łącznika z batalionu. - Zameldujecie panu kapitanowi, że dołączymy, jak tylko będzie można.

Kapral miał minę człowieka skazanego na śmierć, który ma nikłą nadzieję, że egzekucję uda się odłożyć do dnia następnego.

- Rozkaz, panie sierżancie! - powiedział rażno i szybkim krokiem, niemal truchtem, ruszył ku zbawczemu zakrętowi.

Droga biegła w tym miejscu grzbietem wzgórza, toteż sylwetki odchodzących żołnierzy rysowały się bohatercko i tragicznie na tle poszarpanego całunu chmur

sunących po bladym zimowym niebie. Potem jedna po drugiej niknęły za odległym zakretem, jak gdyby tonęły w błękitnych bezmiarach przestrzeni.

Heims i Richter, obsługa karabinu maszynowego, stali zmęczeni, oparci o przydrożne głązy. Pierwszy dźwigał lufę i skrzynkę amunicyjną, drugi podstawę i dodatkowy zapas taśm. Twarze mieli czujne, nieufne. Pocili się mimo chłodu. Christian spojrzał na nich - i pomyślał, że są dobrymi, godnymi zaufania żołnierzami, wolałby jednak mieć teraz przy sobie starych towarzyszy broni, co przed wieloma miesiącami padli na afrykańskiej pustyni. Nieczęsto wspominał swój dawny pluton, lecz patrząc na dwóch żołnierzy zostawionych na tym wzgórzu przypomniał sobie noc minioną z górą rok temu. Trzydziestu sześciu ludzi posłuszenie i pracowicie kopało wnęki strzeleckie, które niebawem miały się zmienić w ich groby...

Diestl niejasno zdawał sobie sprawę, że Heims i Richter nie spełniliby zadania równie dokładnie jak tamci. To był inny, pośledniejszy gatunek ludzi. Należeli do armii odartej z pierwszej młodości, mniej młodej, mniej gotowej na śmieć, zapewne z racji dłuższego doświadczenia. Byli bliżsi życia cywilnego. „Gdybym zostawił ich na tym posterunku - myślał Christian - nie wytrwaliby długo. - Smutno pokiwał głową. - Idiocieję na starość! Na pewno to dzielni żołnierze. Bóg wie, co oni teraz o mnie myślą?”.

Heims i Richter schylili się, usiedli na kamieniach. Zmęczonym, zatroskanym wzrokiem obmacali dowódcę, jak gdyby pytali, czy każe im umrzeć tego ranka.

- Tam ustawić karabin - powiedział Diestl wskazując miejsce, gdzie dwa głązy tworzyły szczelinę w kształcie litery „V”.

Obsługa wykonała rozkaz bez pośpiechu, lecz sprawnie. Kiedy karabin maszynowy znalazł się na stanowisku, Christian przycupnął nad nim i troskliwie przygotował ogień. Podstawę przesunął nieco w lewo. Nastawił przyrządy celownicze uwzględniając odległość i fakt, że broń będzie strzelać z góry na dół. Daleki mostek ładnie wyglądał w stalowym rowku celownika. Jasno połyskiwał lub oblekał się cieniem, kiedy strzępy chmur przesłaniały słońce. Christian uśmiechnął się.

- Nie spieszcie się, chłopcy - pouczał spokojnie podkomendnych.

- Dajcie im czas. Niech zbiją się w kupę przed mostem. Szybko nie przejdą na naszą stronę. Strach im będzie min. Otwarcie ognia na mój rozkaz. Celować do ostatnich ludzi, nie tych najbliżej mostu. Zrozumiano?

- Celować do ostatnich ludzi, nie tych najbliżej mostu - powtórzył Heims.

Kilka razy przesunął karabin w dół i w górę po szynie ślizgowej. Zastanowił się. Cmoknął.

- Pan sierżant chce, żeby wiali naprzód, nie tam, skąd przyszli - powiedział.

Christian przytaknął skinieniem głowy.

- Aha - podjął Heims. - Nie uciekną przez most, bo tam nie ma osłony. Skoczą do wąwozu, pod most. Będą chcieli zejść z pola ostrzału.

„Widzę, że myliłem się co do Heimsa - pomyślał z uśmiechem Christian. - Słowo daję, chłop wie, po co tu jest i co ma do roboty”.

- No i nadzieją się na miny - zakończył zwięźle żołnierz.

- Rozumiem.

Spojrzał na Richtera. Obydwaj kiwnęli głowami. Twarze ich nie wyrażały uznania ani dezaprobaty.

Christian zdjął płaszcz, aby dać nim znak czekającemu pod mostem Dehnowi, gdy z dala zobaczy nieprzyjaciela. Potem usiadł na kamieniu koło Heimsa, który ułożył się na brzuchu za karabinem maszynowym. Richter przykłęknął z drugiej strony. W rękę trzymał zapasową taśmę. Sierżant podniósł do oczu lornetkę zdjętą dnia poprzedniego z trupa porucznika. Nastawił ją troskliwie, patrząc na odcinek drogi za pasmem wzgórz. Z uznaniem kiwnął głową. Szkła były bez zarzutu. Dokładnie widział dwie wysmukłe topole koło drogi. Czarne, żałobne, tworzyły jak gdyby bramę cmentarną. Miarowo chwiały się na wietrze.

Na odsłoniętym stoku wzgórza było zimno. Christian pożałował, że Dehl wypatruje teraz jego płaszcza. Chustka do nosa na pewno by wystarczyła. Bez płaszcza było mu zimno. Czuł, że dostaje gęziej skórki, że lodowaty wiatr przenika go do szpiku kości. Skulił się w sztywnym, przewiewnym mundurze.

- Wolno palić, panie sierżancie? - odezwał się Richter.

- Nie.

Zapanowało głucho milczenie. Christian nie odrywał lornetki od oczu.

„Papierosy, psiakrew! - myślał posepnie. - Na pewno ten złób ma przy sobie całą paczkę. Może nawet dwie? Jeżeli dziś wyciągnie kopyta albo zostanie ciężko ranny, trzeba mu obszukać kieszenie. Żeby tylko nie zapomnieć!”.

Czekali. Silny wiatr wiał z doliny. Śpiewał w uszach, w nozdrzach, mroził mięśnie. Christian poczuł ból głowy w okolicy oczu. Był bardzo senny. Miał wrażenie, że od trzech lat nie wyspał się porządnie.

Heims, który leżał płasko na skalnym bloku, drgnął niespokojnie. Christian opuścił lornetkę i natknął się spojrzeniem na spodnie Heimsa - poczerniałe od błota, byle jak załatane, wypchnięte, bezkształtne.

„Oto widok kompletnie odarty z piękna i wdzięku - pomyślał niedorzecznie i z trudem przemógł chęć do śmiechu. - A podobno człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boże”.

Czoło mu płonęło. Malaria. Nie wystarczą Francuzi, Anglicy, Rosjanie, Polacy, Amerykanie. Na domiar złego są jeszcze komary.

„A może, może - myślał gorączkowo i chytrze - jak skończy się ta heca, przyjdzie prawdziwy atak? Doktorzy nie będą mogli powiedzieć, że markieruję. Odeślą mnie na tyły”.

Znowu podniósł szkła do oczu. Tęsknie czekał dreszczy. Zaklinał bakterie, by szybko mnożyły się we krwi.

Nagle zobaczył małe szare figurki mijające powoli dwie smukłe topole.

- Ciska! - syknął ostrzegawczo, jak gdyby głos Heimsa czy Richtera mógł spłoszyć Amerykanów.

Małe szare figurki przesuwają się w polu widzenia lornetki. Wyglądały nie inaczej niż pluton każdej armii. Nawet ze znacznej odległości widać było ich zmęczone ruchy, kiedy żołnierze wlekli się w luźnym szyku po obydwu stronach drogi.

- Trzydzieści siedem, trzydzieści osiem, czterdzieści dwa, czterdzieści trzy... - liczył Christian.

Wszyscy minęli topole i zniknęli za pagórkami. Daleki odcinek drogi wyglądał zupełnie tak samo jak przed nadejściem wroga. Diestl opuścił lornetkę. Był czujny, baczny. Zapomniał o senności. Wstał i zatoczył płaszczem kilka szerokich kręgów w

powietrzu. Oczywiście wyobraźni zobaczył Amerykanów posuwających się ostrożnie za pasmem wzgórze. Idą wolno. Wszyscy mają wzrok spuszczone. Wypatrują min.

Niebawem Dehn wygramolił się spod mostu i pobiegł drogą pod górę. Widać było, że jest bardzo zmęczony. Poruszał się ciężko. Jego buty podnosiły małe obłoczki kurzu. Wziął pierwszy zakręt drogi i zniknął z pola widzenia.

Lont zapalony. Wszystko będzie w porządku, jeśli nieprzyjaciel będzie rozumował zwyczajnie, po żołniersku. Christian naciągnął płaszcz. Zrobiło mu się ciepło, przyjemnie. Głęboko wsunął ręce w kieszenie. Był spokojny. Dwaj ludzie przy karabinie maszynowym leżeli bez ruchu jak martwi.

Z oddali nadpłynął pomruk silników samolotowych. Diestl przebiegł wzrokiem niebo i na południowym zachodzie dostrzegł klucz bombowców. Nikłe, ledwie widoczne plamki sunęły ku północy, aby spełnić jakieś zadanie bojowe. Parka wróble wylądowała nagle na skałkach. Ptaki podskakiwały strosząc brunatne piórka. Jeden otarł się prawie o naoliwiony celownik karabinu maszynowego.

Heims czknął głośno dwa razy.

- O, przepraszam - powiedział jak człowiek dobrze wychowany.

Czekali w napięciu.

„Za długo marudzą - myślał nerwowo Christian. - Co, u diabła, robią za pagórkami? Jeżeli się nie pospieszą, most wyleci, nim wyjdą na drogę. Wtedy wszystko przepadło!”.

Heims znowu beknął.

- Ten mój żołądek - westchnął i spojrzał na Richtera, który przyglądał się taśmice amunicyjnej z taką miną, jak gdyby od lat wiedział wszystko o żołądku kolegi.

„Hardenburg - myślał sierżant - załatwiłby to lepiej. Ryzykowałby mniej. Wszystko obliczyłby bez pudła, tak czy inaczej. Nie wiem jak, ale dobrze. Jeżeli dynamit nie wybuchnie i most nie wyleci, jeżeli dowiedzą się o tym w dywizji i wezmą na spytke tego zasranego sierżanta pionierów, a on powie o mnie... No! Ładnie będę wyglądał... Prędeż, u diabła! Pospieszcie się! Prędeż!” - błagał bez słów niewidocznych Amerykanów.

Nastawił lornetkę na prosty odcinek drogi przed mostem. Ręce mu drżały. Zdawał sobie sprawę, że nadchodzą dreszcze, chociaż nie czuł ich wcale. Nagle coś zachrobotło w pobliżu. Christian bezwiednie odjął szkła od oczu. Wiewiórka skoczyła na szczyt spiczastego głazu. Przysiadła i oczkami jak paciorki obserwowała ludzi z odległości dziesięciu stóp. Dawno temu, daleko, szary ptaszek dreptał i ćwierkał na drodze do Paryża, opodal lasu, w którym Francuzi, zbudowali barykadę. Wywrócony wóz, stare materace... Świat zwierzęcy na krótko interesuje się wojną. Potem wraca do własnych, nieporównanie ważniejszych spraw.

Christian zmrużył oczy. Znowu podniósł lornetkę. Amerykanie byli na drodze. Skurczeni, z bronią w pogotowiu, posuwali się krok za krokiem. Każdy ich ostrożny ruch zdawał się wołać rozpaczliwie, że ciała drżą pod mundurami, bo zdają sobie sprawę, iż są możliwym celem dla pocisków. Marudzili straszliwie. Przystawali co pięć metrów. Czy tak wygląda śmiała, gotowa na wszystko młodzież Nowego Świata? Diestl oglądał w swoim czasie zdobyte na Amerykanach kroniki filmowe. Podobni żołnierze skakali z barek desantowych we wzburzone fale. Przez plażę mknęli niczym sprinterzy.

„Ci nie odstawiają stumetrówki. Mój Boże! W jakie łgarstwa o swoich obrońcach musi wierzyć naród amerykański!” - pomyślał Christian i ze zdziwieniem usłyszał własny szept:

- Prędzej! Prędzej! Prędzej!

Heims czknał głośno, obrzydliwie. Cóż, na wojnie każdy reaguje po swojemu. W Heimsie buntuje się żołądek. Niemcy muszą przyjmować za dobrą monetę niezliczone kłamstwa o Heimsie i jemu podobnych. „Co robiłeś, synu, kiedy zdobyłeś Żelazny Krzyż?”. „Czkałem, matko”. Prawdę o tym poranku znać będzie Heims, Richter, Christian, no i tych czterdziestu trzech nieprzyjaciół, co ostrożnie zbliżają się do białego mostu zbudowanego pod słońcem tysiąc osiemset czterdziestego roku przez leniwych włoskich kamieniarzy. Prawda silniej niż cokolwiek innego zbliży, zwiąże obsługę karabinu maszynowego i oglądanych przez szczelinę celownika ludzi, którzy człapią w pyłe drogi odległej o osiemset metrów. Tylko oni będą wiedzieli, że żołądki buntują się ze strachu, że do każdego mostu żołnierz podchodzi pełen trwogi i najgorszych przeczuć...

Christian oblizwał wargi. Wszyscy Amerykanie minęli już zakręt. Dowódca plutonu - jak zwykle młodociany poruczniczek - przywołał gestem żołnierza z wykrywaczem min,

ten zaś niechętnie wyszedł na czoło oddziału. Inni głupio stłoczyli się na drodze. Widać w gromadzie czuli się bezpieczniej. Może mieli wrażenie, iż nic im już nie grozi, skoro do tej pory nie zostali ostrzelani.

Żołnierz z wykrywaczem min zaczął omiatać drogę dwadzieścia metrów przed mostem. Pracował wolno, metodycznie. Młody porucznik ustawił się za nim. Podniósł do oczu lornetkę. Uważnie badał przedpole. Obracał się to w jedną, to w drugą stronę.

„Na pewno znakomite szkła Zeissa: «Made in Germany»" - pomyślał cierpko Diestl.

W tej chwili spostrzegł, że lornetka celuje dokładnie w zębate skałki nad drogą, jak gdyby instynkt wojskowy drzemiący w tym gołowąsie podszeptał mu, że stamtąd przede wszystkim może zagrażać niebezpieczeństwo. Christian przycupnął niżej, choć zdawał sobie sprawę, że jest dobrze ukryty. Lornetka wyminęła zasadzkę i powędrowała dalej.

- Ognia! - szepnął sierżant. - Celować do ostatnich! Do ostatnich!

Karabin maszynowy zaterkotał. Hałas brutalnie zakłócił górską ciszę. Christian zmrużył oczy. Nie potrafił zapanować nad tym odruchem. Na drodze padło dwóch ludzi. Inni stali przez moment. Ze zdziwieniem gapili się na leżących. Upadło jeszcze trzech. Wówczas Amerykanie rzucili się do ucieczki. Zboczem wąwozu biegli pod osłonę mostu.

„Teraz wyrywają jak sprinterzy - pomyślał Diestl. - Szkoda, że nie ma pod ręką sprawozdawcy filmowego".

Kilku żołnierzy porwało i uniosło rannych. Potykali się na stromym zboczu, przewracali. Gubili karabiny. Groteskowo machali rękami i nogami. Był to obraz daleki, nierealny. Christian przyglądał mu się niemal bez zainteresowania. Podobnie mógłby obserwować szamotaninę żuka zawleczonego przez mrówki do mrowiska.

Nagle eksplodowała pierwsza mina. Hełm wyleciał w powietrze. Na wysokości dwudziestu metrów pośpiesznie błysnął w słońcu. Rzemienne podpinkiny powiewały z obydwu jego stron.

Heims przerwał ogień. Miny wybuchały teraz raz po raz. Stokrotne echa tłukły się między stokami wzgórz i skalnymi urwiskami. Z wąwozu podniosła się brudna chmura dymu i pyłu. Później nastąpiła groźna, jak gdyby nadprzyrodzona cisza. Dwa wróble zaniepokojone i rozgniewane przeleciały ze świrem nad lufą karabinu maszynowego.

Daleko w dole samotny człowiek wyłonił się spod mostu. Kroczył wolno, dostojnie, jak lekarz odchodzący od łoża śmierci. Odszedł pięć lub sześć metrów i z tą samą powagą usiadł na odłamku skalnym. Christian zwrócił lornetkę w jego stronę. Zobaczył, że Amerykanin jest nagi do pasa. Podmuchał mu nawet koszulę. Skóra zdawała się czysta, biała jak mleko. Przez chwilę siedział bez ruchu. Później zachowując marmurową godność szaleńca, podniósł karabin do ramienia.

„Do diabła! Mierzy do nas” - pomyślał Diestl.

Strzał głucho huknął w wąwozie. Kula syknęła zdumiewająco blisko. Christian uśmiechnął się.

- Skończyć go! - rzucił sucho.

Heims nacisnął spust. Przez szkła widać było obłoczki pyłu powstające wokół samotnego człowieka. Amerykanin nie zwrócił uwagi na ogień. Nie drgnął wcale. Spokojnie, jak cieśla przy warsztacie, zakładał nowy magazynek do karabinu. Heims podniósł lufę. Łuk kurzu zbliżył się do Amerykanina, który nie reagował nadal. Zdążył zmienić magazynek i ponownie uniósł karabin do nagiego ramienia. W tym obrazie było upiorne szaleństwo. Człowiek o mlecznej skórze, odarty z koszuli, plamka barwy kości słoniowej na tle szarzyzny i zieleni wąwozu, siedzi wygodnie na kamieniu o kilka metrów od trupów wszystkich towarzyszy. Bez pośpiechu mierzy do karabinu maszynowego, niewidocznego nawet gołym okiem i nie dba zupełnie o wiązki pocisków, które lada chwila muszą go uśmiercić.

- Nie możesz trafić, do cholery? - warknął gniewnie Diestl. - Kiedy go skończysz?

Heims przestał na chwilę strzelać. Znowu z chrzęstem przesunął lufę. Uważnie spojrzął na cel. Dalekie wystrzały karabinowe brzmiały tępo, niegroźnie. Od czasu do czasu pocisk świstał nad głową Christiana lub uderzał głucho o powierzchnię skalną.

Wreszcie Heims puścił krótką serię. Musiał wstrzelać się dobrze, bo Amerykanin rzucił karabin i wstał zataczając się jak pijany. Postąpił kilka kroków w stronę mostku. Później położył się na trawie, jak gdyby był zmęczony.

W tej chwili wyleciał most. Odłamki kamieni obsypały przydrożne drzewa łamiąc gałęzie, zostawiając na pniach jasne rysy. Obłok dymu i pyłu długo unosił się w

powietrzu. Kiedy opadł na koniec, Christian zobaczył bezbarwne mundury rozrzucone tu i ówdzie między głazami. Nagiego do pasa trupa przysypała lawina kamieni i ziemi.

Diestl westchnął i opuścił lornetkę. „Amatorzy - pomyślał. - Po co biorą się do wojowania?”.

Heims usiadł i odwrócił głowę.

- Teraz wolno zapalić? - spytał.

- Wolno - powiedział sierżant.

Heims wyjął z kieszeni paczkę i poczęstował Richtera, który bez słowa przyjął papierosa. Christian przyglądał im się uważnie. „Mnie nie poczęstowali. Skurwysyny!” - zaklął w duchu i wyrzekał ostatniego papierosa ze swych zapasów.

Obracał go w ustach, smakował, zanim zdecydował się zapalić. Był zdania, że uczciwie zapracował na tę przyjemność. Zaciągnął się głęboko i przetrzymał dym w płucach jak najdłużej. Trochę zakręciło mu się w głowie, ale doznał znacznej ulgi. „Muszę napisać o tym do Hardenburga - pomyślał wchłaniając drugi kłęb dymu. - Będzie zadowolony. Sam nie spisałby się lepiej. Mój Boże! Jaki śliczny ranek!”.

Wygodnie oparł się o skałę i patrzył na czysty błękit nieba i na wyścigi lekkich, białych obłoczków, gnanych górskim wiatrem. Wiedział, że na Dehna musi jeszcze czekać co najmniej dziesięć minut. Odetchnął głęboko.

Nagle poczuł długi, przejmujący dreszcz pełznący po skórze. „Chwała Bogu - westchnął. - Malaria. Prawdziwy atak! Będą musieli odesłać mnie na tyły. Udany dzień. Udany!”.

Wzdrygnął się i jeszcze raz zaciągnął papierosowym dymem. Potem zamknął oczy i jeszcze wygodniej oparł się plecami o skałę. Czekał na Dehna. Miał nadzieję, że żołnierz powoli będzie wspinał się pod górę.

Rozdział XXII

- Szeregowiec Whitacre! Za mną! - powiedział sierżant.

Michael wstał i pomaszerował jego śladem. Przez wysokie, ciemno fornirowane drzwi weszli do przestronnej sali oświetlonej świecami. Płomyki odbijały się w lustrzanych ścianach jak niezliczone pęki żółtych kwiatów. Pośrodku stał długi, pięknie polerowany stół, a za nim jeden fotel. Whitacre wiedział z góry, że ta sala nie może wyglądać inaczej. Usiadł w fotelu, za którego oparciem stanął sierżant. Michael miał przed sobą kałamarz i zwyczajną drewnianą obsadkę.

Nagle otwarły się inne drzwi i wpuściły dwóch Niemców. Byli to generałowie we wspaniałych galowych mundurach. Ich orderzy, buty, ostrogi i monokle połyskiwały w mdłym blasku świec. Jak zwarty oddział przemaszerowali do stołu, zatrzymali się i donośnie stukając obcasami, zasalutowali.

Whitacre odpowiedział wojskowym ukłonem nie podnosząc się z fotela. Jeden z generałów rozpiął bluzę i powoli wyciągnął z zanadru zwój pergaminu. Podał go sierżantowi, a ten rozwinął dokument z suchym szelestem i położył na stole.

- Akt kapitulacji - oznajmił tubalnie. - Whitacre! Zostaliście wyznaczeni, by przyjąć kapitulację z ramienia Sojuszników.

Michael z godnością skinął głową. Niedbale przebiegł wzrokiem dokument i stwierdził, że jest w porządku. Pewną ręką ujął pióro zanurzył w kałamarzu. „Michael Whitacre, nr ew. 32 403 008, szeregowiec armii Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej” - nakreślił zamasyście u dołu arkusza, pod dwoma niemieckimi podpisami. Stalówka zgrzytnęła nieprzyjemnie w ciszy zalegającej salę. Michael odłożył obsadkę. Powstał.

- Dziękuję panom - rzucił sucho.

Generałowie zasalutowali. Ręce im drżały. Michael nie odpowiedział na ukłon. Obojętnym wzrokiem patrzył nad ich głowami w zwierciadlaną taflę, zieloną jak woda morska. Niemcy wykonali przepisowo „w tył zwrot” i odmaszerowali. Ich obcasy dudniły na gołej, wyfroterowanej posadzce werblem pruskiej kłeski. Ostrogi pobrzękiwały

metalicznie. Ciężkie drzwi otwarły się znowu i zamknęły za generałami. Sierżant zniknął. W wielkiej, jarzącej się świecami sali szeregowiec Whitacre został sam, na jedynym fotelu za długim, gładko politurowanym stołem. Miał przed sobą kałamarz, drewnianą obsadkę i żółtawy arkusz pergaminu z podpisami.

- Hej, dupy w troki! Z betów, wywołki! - wrzasnął grubiański głos. - Pobudka! Pobudka! Wstać!

W starym domostwie i w innych budynkach wzdłuż ulicy piskliwie zaterkotały gwizdki. Towarzyszyło im ziewanie i postękiwanie budzonych przed świtem żołnierzy.

Michael podniósł powieki. Spojrzał na pręty i siennik posłania nad sobą. Zajmował dolne piętro pryczy. Kolega z góry sypiał niespokojnie i siał drobnym deszczem pyłu i okruchów słomy.

Whitacre spuścił nogi i usiadł na brzegu pryczy. W ustach miał kwaśny niesmak. Wciągnął w płuca zatęchły, ohydny smród potu dwudziestu nie domytych ludzi, którzy przesпали noc w jednej izbie. Było pół do szóstej. Czarne zasłony okrywały szczelnie nigdy nie otwierane okna.

Michael ubierał się dygocąc z zimna, obojętny na postękiwania, klątwy i inne wstrętne odgłosy żołnierzy gotujących się do spotkania dnia. Jak we śnie naciągnął płaszcz. Potknął się na schodkach starej rudery zajętej na kwaterę i wyszedł w londyński brzask przejmujący chłodem do szpiku kości. Na ulicy oddziały ustawiały się na poranną zbiórkę. Michael zajął miejsce przed domem ozdobionym spiżową tablicą, na której wypisano, że William Blake mieszkał tu i tworzył w dziewiętnastym stuleciu. Ciekawe, jak William Blake reagowałby na pobudkę? Co by pomyślał, gdyby ze swojego okna zobaczył ciżbę przepitych piwem ludzi z drugiej strony oceanu, co klną i drżą z zimna pod zaporą balonów niewidocznych jeszcze za brunatnymi tumanami mgły? Jak William Blake odpowiedziałby sierżantowi, który nowy dzień triumfalnego pochodu ludzkości ku stanowi łaski wita słowami: „Hej, dupy w troki! Z betów, wywołki!”?

- Galiani!

- Jest!

- Abernathy!

- Jest!

- Tantali!
- Jest!
- Kammergaard!
- Jest!
- Whitacre!
- Jest!

Tak, szeregowiec Whitacre jest tutaj. Niech wiedzą o tym wszyscy: William Blake, John Keats, Samuel Taylor Coleridge, król Jerzy, general Wellington, lady Hamilton... Miło wam być w Anglii, gdy bawi tam szeregowiec Whitacre? Cieszy się Laurence Sterne i Oscar Wilde. Szeregowiec Whitacre jest tutaj - uzbrojony w hełm, maskę przeciwgazową i kartę żywnościową żołnierza armii sojuszniczej, zaszczepiony przeciwko tężcowi, ospie, durowi plamistemu i brzuszemu; pouczony, jak zachowywać się w angielskich domach („ze względu na brak żywności nie należy dobierać drugi raz żadnej potrawy”); poinformowany o syfilisie grasującym wśród nocnych nimf z Piccadilly. Ma guziki wypolerowane, świecące, aby skutecznie konkurować z armią brytyjską. Jest w Anglii. Niech się o tym dowiedzą: Montgomery, Eisenhower, Rommel i Paddy Finucane, co wraz ze zdruzgotanym spitfire'em zginął w falach Kanału. Jest w Anglii, gotów do walki przy maszynie do pisania, zaopatrzonej w papier i kalkę. Przybył drogą przez Waszyngton i Obóz Przejściowy nr 17, przez Miami, Portoryko, Trinidad, Gujanę, Brazylię i Wyspę Wniebowstąpienia; przez ocean, gdzie łodzie podwodne, jak rekiny z baśni, wynurzają się w nocy, aby ostrzeliwać samoloty niewidoczne na czarnym niebie o dziesięć stóp nad powierzchnią morza. Jest w zaciemnionym mieście, gdzie o północy głosy nawołują wśród ruin: „Taxi! Taxi!”. On, Amerykanin, jest blisko, sąsiedzie Blake! Oby dobry Bóg wspomógł nas wszystkich!

- Rozejść się!

Michael wrócił na kwaterę i zasłał łóżko. Ogolił się, złożył wizytę w ustępie, a później wziął przybory do jedzenia. Dźwięcząc aluminiowymi menażkami szedł bez pośpiechu przez londyńskie ulice, szare w pierwszych promieniach dnia. Szedł na śniadanie do domu z czerwonej cegły, gdzie dawnymi czasy rezydowała rodzina

angielskiego para. W górze słycać było jednostajny pomruk tysięcy silników. To lancastery przekraczały Tamizę wracając do baz znad Berlina.

Śniadanie składało się z grejfrutowego soku, owsianki, jajecznicy i przysmażonego bekonu pławiącego się obrzydliwie we własnym tłuszczu.

„Do diabła! - myślał Whitacre pod koniec posiłku. - Czy tych parzygnatów nikt nie nauczy gotować kawy? Niepodobna przecież tolerować takiej lury!”.

- Pułk lotnictwa myśliwskiego z NN prosi o komika i zespół taneczny. Ale nie chcą pijaków. W zeszłym miesiącu Johny Sutter zalał się tam w pestkę. Naurągał oficerowi służbowemu i tak dostał po pysku, że dwa razy poszedł na deski.

Michael mówił tak do swojego bezpośredniego zwierzchnika, kapitana Minceya. Siedzieli w pokoju biurowym, wytapetowanym fotografiami wszystkich znacześniejszych gwiazd, które przewinęły się przez londyński oddział Propagandy Wojskowej.

- Może tam posłać Flannera - bąknął niepewnie Mincey, który cierpiał na astmę i pił trochę za dużo, źle się więc czuł z rana na skutek niefortunnego połączenia szkockiej whisky z przykrym londyńskim klimatem.

- Planner ma dyzenterię i krokiem nie chce się ruszyć z hotelu „Dorchester” - wyjaśnił Michael.

- No to pošlijcie im tę akordeonistkę. - Mincey westchnął. - Jakże się nazywa? Tę z niebieskimi włosami.

- Ale oni chcą komika.

- Trudno. Trzeba odpisać, że dysponujemy tylko akordeonistkami - powiedział oficer i podniósł do nosa fiolkę pełną jakiegoś leku.

- Tak jest, panie kapitanie. Aha. Panna Roberta Finch nie może wyjechać na *tournee* do Szkocji. W Salisbury dostała ataku nerwowego. Rozebrała się w jadalni dla szeregowych. Groziła, że popełni samobójstwo.

- Do Szkocji trzeba wyprawić tę drugą pieśniarkę. Jakże się ona nazywa? A o Finch pošlijcie obszerny meldunek do Komendy Głównej w Nowym Jorku. Przynajmniej będziemy kryci.

- Zespół Mac Leana jest w Liverpoolu - meldował dalej Whitacre - ale siedzi w porcie. Jakiś marynarz przyplął z zapaleniem opon mózgowych. Okręt przechodzi kwarantannę. Pasażerowie będą mogli zejść na ląd dopiero za dziesięć dni.

- Damy sobie radę - orzekł Mincey.

- Przyszło poufne pismo od dowódcy pułku ciężkich bombowców z NN. W ubiegłą sobotę grał tam Larry Crossett ze swoją orkiestrą. Po występie łajdacy zorganizowali pokera. Wypompowali z lotników jedenaście tysięcy dolarów. Pułkownik Coker twierdzi, że używali znaczonych kart. Podobno ma dowody. Stawia warunki: zwrot pieniędzy albo dochodzenie dyscyplinarne na drodze służbowej.

Mincey westchnął żałośnie, podniósł fiolkę z lekarstwem do drugiej dziurki w nosie. Przed wojną prowadził nocny klub w Cincinnati i często marzył, by znaleźć się znów w stanie Ohio, pośród kłownów i tancerek charakterystycznych.

- Odpiszcie pułkownikowi Cokerowi, że gruntownie zbadam całą sprawę - powiedział.

- Kapelan z Naczelnej Komendy Transportu Powietrznego protestuje przeciwko nieobyczajności naszego widowiska *Szaleństwa młodości*. Pisze, że amant siedem razy klnie paskudnie, a w drugim akcie pierwsza naiwna nazywa skurwysynem jedną z postaci drugoplanowych.

Kapitan smutno pokiwał głową.

- Wyraźnie mówiłem temu durniowi reżyserowi - obruszył się - żeby przed wyjazdem skreślił z tekstu wszystkie świństwa. Obiecał, że to zrobi. Ach, ci aktorzy! - jęknął. - Odpowiedzcie, Whitacre, kapelanowi, że w zupełności podzielam jego punkt widzenia, a winni poniosą konsekwencje.

- To na razie wszystko, panie kapitanie - zakończył Michael.

Oficer westchnął i schował fiolkę do kieszeni. Miał smutne oczy astmatyka i kapkę wiszącą u nosa. Szeregowiec ruszył w kierunku drzwi.

- Zaczekajcie no, Whitacre.

Michael odwrócił się i stanął. Mincey przyglądał mu się krytycznie.

- Na miłosierdzie boże - przemówił wreszcie. - Whitacre, wyglądacie okropnie.

Szeregowiec spojrział bez zdziwienia na swoją zmiętą, zbyt luźną bluzę i workowate spodnie.

- Tak jest, panie kapitanie - przyznał.

- Osobiście nie dbam o takie bzdury - ciągnął Mincey. - Mnie wszystko jedno, możecie chodzić z gębą uczernioną sadzami i w zielonej spódnicy. Ale odwiedzają nas oficerowie z innych oddziałów. Taka łąza robi fatalne wrażenie.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Oddział Propagandy powinien mieć postawę bardziej wojskową niż nawet batalion spadochronowy. Musimy lśnić. Musimy błyszczeć. A wy prezentujecie się jak kucharz z armii bułgarskiej.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Nie możecie postarać się o lepszą bluzę?

- Staram się. Od dwóch miesięcy. Podoficer mundurowy wciąż mnie przepędza.

- No to chociaż wypucujcie guziki - skapitulował Mincey. - Chyba nie wymagam wiele?

- Niewiele, panie kapitanie.

- Nigdy nic nie wiadomo - podjął oficer. - Któregoś dnia może nam spaść na kark sam generał Lee.

- Może, panie kapitanie.

- Aha. Na biurku macie zawsze pełno szpargałów. To także robi fatalne wrażenie. Schowajcie wszystko do szuflad. Przed dobrym żołnierzem nie śmie leżeć więcej niż jeden papierek naraz.

- Rozkaz, panie kapitanie.

- I jeszcze jedno, Whitacre. Macie przy sobie trochę forsy? Wczoraj w nocy zrujnował mnie rachunek w „Les Ambassadeurs”, a gażę fasuję dopiero w poniedziałek.

- Funt starczy?

- Nie macie więcej?

- Nie, panie kapitanie.

- Trudno. Dziękuję. Zadowolony z was jestem, Whitacre. Dobrze się nam pracuje. Nim przyszlście, okropny był u nas bałagan. Tylko, mój drogi, postarajcie się o bardziej żołnierski wygląd!

- Postaram się, panie kapitanie.

- A teraz przyślijcie mi sierżanta Moscowitza. Ten drań ma zawsze wypchany portfel.

- Rozkaz, panie kapitanie.

Michael wyszedł do sąsiedniego pokoju i wezwał sierżanta Moscowitza przed oblicze dowódcy.

Tak biegły w Londynie dni zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.

Poloniusz wyszedł i Król rozpoczął swoją kwestię:

O, kał mej zbrodni cuchnie aż w niebiosach!

Najstarsza klątwa na niej ciąży, stygmat

Bratniego mordu!²

Napisy świetlne „Alarm lotniczy” zabłysły w dyskretnie ocienionych gablotach, które specjalnie w tym celu zainstalowano z obu stron sceny. Po chwili zawyły syreny. W oddali, gdzieś nad brzegiem morza, gruchnęły salwy artyleryjskie.

Nie mogę się modlić,

Chociaż potrzeba dorównywa chęci;

Moc winy mojej kruszy moc mej woli...

Ogień dział przeciwlotniczych zbliżał się szybko. Bombowce musiały być nad londyńskimi przedmieściami. Michael spojrzał dokoła. Ze względu na szeroko rozreklamowaną premierę z nowym aktorem w roli Hamleta widownia wystąpiła w podniszczonej cokolwiek gali czasu wojny. Wiele foteli zajmowały starsze panie wyglądające tak, jak gdyby widziały wszystkie premiery *Hamleta* od dni sir Henry'ego

² Fragmenty z *Hamleta* w przekładzie J. Paszkowskiego.

Irvinga. W płynącej ze sceny łunie światła rampowych połyskiwały mlecznobiałe włosy i czarne suknie zapięte pod szyję. Matrony, podobnie jak reszta sali, siedziały spokojnie. Król szarpany wyrzutami sumienia miotał się po mrocznej komnacie elzynorskiego zamku i wołał donośnie:

*Przebacz mi moje ohydne morderstwo!
To być nie może; boć jeszcze posiadam
To wszystko, co mnie wiodło do morderstwa.
Koronę, władzę, żonę, brata.*

Był to wielki popis i nad przygotowaniem go aktor musiał ciężko pracować. Miał teraz do dyspozycji całą scenę oraz długi monolog, w którym łatwo pokazać lwi pazur. Grał zresztą bez zarzutu. Naprawdę był zrozpaczony, naprawdę inteligentny. Ugiął się pod brzemieniem klątwy, a Hamlet za kulisami nie mógł się zdecydować, czy już w tym akcie przeszyć ojczyzna mieczem.

Huk dział wędrował poprzez Londyn w stronę teatru, nad którego złożoną kopułą rozległ się wkrótce urywany szum niemieckich silników. Król grzmiał coraz głośniej i głośniej. Trzy wieki angielskiej retoryki rzuciły wyzwanie bombom, samolotom, artylerii. Na widowni nikt nie drgnął. Publiczność słuchała z tak napiętą uwagą, jak gdyby oglądała w teatrze „Globe” pierwsze przedstawienie nowej tragedii imię Szekspira.

*W praktykach tego zepsutego świata
Zdarza się zbrodni połączoną ręką
Usuwać na bok sprawiedliwość. Nieraz
Widziano nawet prawo przekupione
Owoce gwałtu. Ale tam tak nie jest:
Tam nie popłaca szalbierstwo...*

Na tyłach teatru jakaś bateria otworzyła ogień. Dwie bomby wybuchły w pobliżu, jedna po drugiej. Stary budynek zadygotał lekko.

... tam czynny

*Nago się jawią i człowiek stawiony
Naprzeciw swoich przestępstw, oko w oko
Musi je wyznać.*

Król mówił głośno. Nie zapominał o sprawach zawodowych, gestykulował z tragicznym wdziękiem. Starał się wtrącać słowa w luki miarowego werbla dział, wykorzystywać przerwy.

Nagle raketnice podniosły za ścianą przerażający jazgot, podobny do świstu spadających bomb. Król umilkł. Zaczął przechadzać się godnie tam i z powrotem. Czekał następnej pauzy. Wreszcie grzmot i świst przycichły, zmieniły się w głuchy, złowrogi pomruk. Król zabrał głos i wyrecytował spiesznie:

*Cóż więc zostaje?
Spróbować, czego żal dokáže. Czegóż
On nie dokáže? Lecz czegoż dokáže,
Gdy winowajca nie może żałować?*

Znowu został zagłuszony. Teatrem wstrząsnął huragan artyleryjskiego ognia.

„Biedak - pomyślał Michael wspominając liczne premiery, które obchodziły go osobiście. - Nieszczęsny człowiek! Po długich latach doczekał się wielkiej chwili. Jakże musi nienawidzić szwabów!”.

Dalszy ciąg kwestii z trudem utorował sobie drogę w zgiełku:

O straszna dolo! Duszo jak śmierć czarna!

Samoloty przepłynęły nad teatrem. Pobliska bateria plunęła ostatnią salwą w nieprzyjazne czarne niebo. Inicjatywę przejęły inne stanowiska w północnych dzielnicach Londynu. Zdawać by się mogło, że na sąsiedniej ulicy ponuro warczą bębny podczas generalskiego pogrzebu. Przy tym głuchym akompaniamencie Król dalej mówił swoje. Był uroczysty, godny i tak monarszy, jak monarszym potrafi być jedynie aktor.

*Splątana myśli, która usiłując
Być wolna coraz okropniej się wikłasz!
Przyjdźcie mi w pomoc, o wy, aniołowie!
Zegnijcie się, kolana! I ty, stalą
Okute serce, zmięknij jako nerwy
Nowo narodzonego niemowlęcia!
Jeszcze się wszystko da naprawić.*

Klęknął przed ołtarzykiem, a na scenie pojawił się Hamlet, smukły i ciemny w czarnych trykotach. Michael spojrzał dokoła. Wszystkie twarze zwrócone w stronę aktorów były opanowane, skupione. Wiekowe damy i młodzi mężczyźni w mundurach siedzieli sztywno, bez ruchu.

Whitacre miał szczerą chęć zawołać do tych Anglików:

„Kocham was! Kocham was wszystkich! Jesteście najlepszym, najsilniejszym, najbardziej niedorzecznym narodem na Ziemi! Z radością oddam za was życie!”.

Kiedy zwrócił znów wzrok na Hamleta, czuł na policzkach łyzy dziwaczного, wielce złożonego wzruszenia. Królewicz duński bronił się i ulegał namiętnościom, na koniec jednak wolał schować miecz niż uśmiercić stryja przy modlitwie.

Gdzieś daleko pojedynczy strzał huknął w niegroźne już niebo. Michael pomyślał, że to zapewne jedna z kobiecych baterii postąpiła istic po kobiecemu: spóźniła się wprawdzie, lecz dowiodła najlepszych intencji.

Gdy Michael wyszedł z teatru i zwrócił kroki w stronę Hyde Parku, Londyn płonął kręgiem pożarów. Niebo iskrzyło się krwawo; tu i ówdzie pomarańczowa luna barwiła niskie chmury. Hamlet już nie żył, a Horacy wypowiedział podniosłe słowa pożegnania:

*Pękło cne serce. Dobranoc, mój księżę;
Niechaj ci do snu nucą chóry niebian!*

Tyrada Horacego padła w obliczu krwawych, niedorzecznych, występnych czynów, bezmyślnych zrządeń losu i przypadkowych morderstw. Kiedy bowiem kurtyna opadła,

a bileterzy biegle przejściami niosąc kwiaty dla Ofelii i reszty zespołu, ostatni Niemcy ginęli nad Dovrem, ostatni Anglicy dopalali się w swych zburzonych domach.

Po Piccadilly włączyły się bataliony dziwek. Elektrycznymi latarkami świeciły w oczu przechodniom. Rechotały ochryple. Mówiły:

- Jankes? Tylko dwa funty. Hej, Jankes!

Michael torował sobie drogę w tłumie prostytutek, żandarmów i żołnierzy. Myślał o zdaniach, jakimi Hamlet określał Fortynbrasa i jego ludzi:

Przykłady wielkie jak świat stoją przeciw

Przedemną; choćby to wojsko tak liczne

I tak zasobne, pod wodzą takiego

Młodego księcia, który zapalony

Szlachetną żądzą sławy, lekceważy

Ukrytą szalę wypadków i chętnie,

Co jest doczesne i przemijające,

Na sztych wystawia hazardom, zagładzie

Za co? Za marną łupinę orzecha.

„I my lekceważymy ukrytą szalę wypadków - myślał Michael patrząc z uśmiechem na żołnierzy, co w ciemnościach dobijali targu z kobietami. - Lekceważymy głupio, bezmyślnie. I my wystawiamy na sztych zagładzie to, co jest doczesne i przemijające. Za więcej wprawdzie niż łupina orzecha, ale jakże odmiennie niż Fortynbras i jego dwadzieścia tysięcy zbrojnych za sceną. Cóż, zapewne Szekspir wymyślił to wszystko. Zapewne żadna armia, nawet powracająca z polskiej wojny drużyna poczciwego, starego Fortynbrasa, nie była nigdy tak szlachetna i waleczna jak ów twór dramatyczny. Armia ta dała sposobność do efektownej sceny i pasowała do drażliwej sytuacji Hamleta, toteż Szekspir stworzył ją, chociaż musiał zdawać sobie sprawę, że kłamie. Nie mamy wyobrażenia, co szeregowiec z Fortynbrasowskiej piechoty myślał o swoim księciu i szlachetnej żądzy sławy, którą ów gorzał. Z tego można zrobić całkiem interesującą scenę... Dwadzieścia tysięcy ludzi dla cudzego kaprysu i cudzej żądzy sławy idzie do grobów spokojnie niczym do łóżek. Dziś groby mogą czekać na więcej niż dwadzieścia

tysięcy ludzi i na mnie w ich liczbie. Ale przez trzy wieki cudzy kaprys i cudza żądza sławy straciły nieco siły i wymowy. A mimo to idziemy, idziemy, idziemy. Nie w podniosłym rytmie białego wiersza, co porywał kukły odziane w czarne trykoty, ale idziemy, idziemy... W takt kulawej, chropowatej prozy lub języka prawniczego, zbyt zawilego dla użytku i zrozumienia zwyczajnych śmiertelników. Sprawę naszą rozstrzygnął sąd cywilny, ani wrogi nam, ani życzliwy, a sentencję wyroku ułożył prawie uczciwy sędzia poparty przez werdykt niezupełnie nam obcej ławy przysięgłych, rozpatrującej przypadek nie podlegający właściwie ich jurysdykcji. «Idźcie - mówią nam. - Idźcie. Pomierajcie trochę. Mamy po temu swoje powody». Słuchamy tych słów i nie wiemy, czy wierzyć im, czy nie wierzyć - idziemy. «Idźcie - mówią nam. - Idźcie, pomierajcie trochę. Kiedy doprowadzicie rzecz do końca, życie nie będzie lepsze, ale prawdopodobnie nie będzie też dużo gorsze». Gdzie Fortynbras, który wstrząśnie pióropuszem i w dostojnej prozie wyłoży naszą sprawę potoczystą, ozdobną mową? *N'existe pas*, jak powiadają Francuzi. Zabrakło go na składzie w Ameryce i w Anglii. Z Francji się wyprowadził. W Rosji jest zbyt przebiegły. Fortynbras zniknął z tej ziemi. Churchill starał się, jak potrafił, ale wysondowawszy dokładnie sytuację zabrzmiał głuchym dźwiękiem, jak surmy wołające do broni trzy wieki temu. Tak! Lekceważymy dzisiaj ukrytą szalę wypadków, usta wykrzywiamy cierpkim uśmiechem. To wojna ironicznych min, ale padnie w niej nas tak wielu, że nie rozczarowałby się nawet najbardziej krwiożerczy widz, co płacił za wstęp do teatru «Globe» w zaraniu siedemnastego wieku...".

Michael wędrował wolno przez Hyde Park. Myślał o łabędziach żeglujących za dnia po Serpentyńce, o mówcach, co w niedzielę zjawiają się znów na trybunach, o artylerzystach, którzy przyrządzają teraz herbatę i odpoczywają po odlocie bombowców z angielskiego nieba. Przypomniawszy sobie nagle, co słyszał o londyńskiej obronie czynnej od spędzającego urlop w stolicy Irlandczyka, dowódcy dywizjonu artylerii przeciwlotniczej, który miał na koncie czterdzieści strąconych maszyn.

- Te dziady nigdy nie mogą nic trafić - cedził pogardliwie weteran z Dovru. - Dziw, że Londyn jeszcze stoi jako tako. Po całych dniach sadzą rododendrony koło stanowisk i pucują lufy, żeby ładnie błyszczały, gdyby przypadkiem przechodziła w pobliżu panna Churchill... Artyleria regularnie do dupy!

Wychodzący księżyc oświetlał stare drzewa i rzadko rozproszone budynki. Niekiedy brzęknęło szkło, kiedy żołnierz z dziewczyną włąził do opuszczonego domu przez okno wywalone podmuchem w czasie niedawnego nalotu.

- Artyleria regularnie do dupy - mruknął do siebie Michael w przedsiönku hotelu „Dorchester”.

Minął portiera w operetkowym mundurze ozdobionym medalami z tamtej wojny.

- Artyleria regularnie do dupy - powtórzył zachwycony lapidarnym zwrotem.

W rozległym holu słychać było muzykę taneczną. Sędziwe damy dostojnie piły herbatę w towarzystwie siostrzeńców. Urodziwe kobietki przemykały powiewnie w stronę baru amerykańskiego, oparte na ramionach amerykańskich oficerów.

Whitacre patrzył i miał wrażenie, że zna już to wszystko z literatury na temat poprzedniej wielkiej wojny. Takie same postacie, dekoracje, reżyseria. Nawet kostiumy zmieniły się mało, prawie niedostrzegalnie dla oka.

„Czas spletał nam figła - myślał. - Zostaliśmy bohaterami własnego młodzieńczego romansu, tylko trochę za późno, by grać romantyczne role”.

Poszedł na piętro do wielkiej sali, gdzie odbywało się jeszcze przyjęcie. Louise obiecała, że będzie tam na niego czekać.

We drzwiach wysoka ciemnowłosa dziewczyna zwróciła się do towarzyszącego jej pułkownika:

- Spójrz! Autentyczny szeregowiec! A nie mówiłam, że bodaj jeden znajdzie się w Londynie? - Spojrzała na Michaela. - Przyjdzie pan tu na kolację we wtorek wieczorem? Będzie pan atrakcją. Słowo daję! Zdrowy kościec armii!

Michael uśmiechnął się do ciemnowłosej dziewczyny. Pułkownik spojrzał nań bez entuzjazmu.

- Chodźmy już, moja droga! - Zdecydowanym ruchem ujął partnerkę pod ramię.

- Proszę koniecznie przyjść - rzuciła przez ramię, odpływając wdzięcznie u boku pułkownika. - Dostanie pan ode mnie cytrynę. Prawdziwą, całą cytrynę.

Michael rozejrzał się po sali. Spostrzegł sześciu generałów i poczuł się nieswojo. Nigdy dotychczas nie zawarł znajomości z generałem. Spojrzał krytycznie na swoją źle wyprasowaną bluzę i nie doczyszczone guziki. Wcale by się nie zdziwił, gdyby któryś z

generałów zapisał jego stopień, nazwisko i numer ewidencyjny z powodu tych nieszczęsnych guzików.

Nigdzie nie mógł wypatrzeć Louise, a krępował się przejść w drugi koniec sali i zażądać czegoś do wypicia przy barze obłożonym przez godnie wyglądających, obcych ludzi. Kiedy ukończył szesnaście lat, był zdania, że raz na zawsze skończył z nieśmiałością. Od tego czasu czuł się wszędzie jak u siebie w domu, wypowiadał się swobodnie i wierzył, że w każdym towarzystwie jest co najmniej na poziomie. Ale w wojsku powróciła nieśmiałość znacznie przykrzejsza niż za chłopięcych czasów. Whitacre czuł się głupio wobec oficerów, wobec żołnierzy, mających za sobą przeszłość bojową, wobec kobiet, które w innych warunkach traktowałyby poufale.

Stał koło drzwi i nie wiedząc, co ze sobą robić, patrzył na generałów. Nie bardzo mu się podobali. Mieli miny przeciętnych ludzi interesu, prowincjonalnych kupców czy przemysłowców pochłoniętych przygotowaniami do nowego sezonu. Byli trochę za tłuści, za bardzo zadowoleni z siebie i z życia. Twarze niemieckich dygnitarzy wojskowych były na ogół lepsze: nie w pojęciu abstrakcyjnym, lecz jako maski generałów. Surowsze, bardziej zacięte, stanowcze.

„Tylko dwa rodzaje twarzy pasują do generała - myślał Michael. - Generał może wyglądać jak bokser ciężkiej wagi, co z zimną, zwierzęcą odwagą spogląda na świat szparkami podpuchniętych, tępych oczu. Może też przypominać postać z powieści Dostojewskiego: człowieka opętanego, złego, bliskiego szaleńcu, o czole napiętnowanym przewrotną żądzą i wymyślnymi wizjami śmierci. Cóż, nasi generałowie mają nieodpowiednie miny. Patrząc na nich możesz liczyć, dobry człowieku, że sprzedadzą ci działkę budowlaną lub odkurzacz. Nie spodziewaj się jednak, że zaprowadzą cię pod mury twierdzy. O Fortynbrasie, Fortynbrasie! Czy nigdy nie wyemigrowałeś z Europy?”.

- O czym tak dumasz? - zapytała Louise stając obok Michaela.
- O generalskich gębach. Nie podobają mi się.
- Żal mi cię - podjęła. - Nie możesz pozbyć się psychiki rekruta.
- Oceniałś moją psychikę najzupełniej trafnie.

Spojrzał na Louise. Miała na sobie szary samodziślowy kostium i czarną bluzkę. Jej czerwonorude bujne włosy połyskiwały wyzywająco na tle mundurów. Whitacre nigdy

nie mógł rozstrzygnąć kwestii, czy kocha tę kobietę, czy też jest do niej zniechęcony. Miała męża gdzieś na wyspach Oceanu Spokojnego, lecz mówiła o nim niewiele. Obecnie pełniła jakieś poufne funkcje w Wojskowej Propagandzie Zagranicznej i zdawać się mogło, że zna wszystkie grube ryby na Wyspach Brytyjskich. Wobec mężczyzn stosowała szorstką bezpośredniość i raz po raz otrzymywała zaproszenia do głośnych rezydencji wiejskich, gdzie gadatliwi wojskowi najwyższych stopni zdradzali jej mnóstwo groźnych tajemnic wojskowych. Michael był przekonany, że Louise zna na przykład dzień i godzinę inwazji, cele w Niemczech wyznaczone na najbliższy miesiąc lotnictwu bombowemu, dokładny termin i miejsce następnego spotkania Roosevelta z Churchillem i Stalinem. Miała dobrze po trzydziestce, chociaż wyglądała młodziej, a przed wojną żyła spokojnie w St. Louis u boku męża, nauczyciela szkoły średniej. Whitacre nie wątpił, że po wojnie Louise zasiądzie w Senacie albo zostanie wysłana dokądś na stanowisko ambasadora Stanów Zjednoczonych. Myśląc tak współczuł biednemu profesorowi, który pośród bagien Bougainville czy Nowej Kaledonii marzy o skromnej żonie i przytulnym domku w St. Louis.

Michael uśmiechnął się cierpko, bo dostrzegł, że rozmowa z Louise ściągnęła na niego uporczywe spojrzenia kilku oficerów sztabowych.

- Ciekaw jestem, dlaczego zawracasz sobie mną głowę? - rzucił.

- Dbam o kontakt z nastrojami w wojsku - odpowiedziała. - „Szary żołnierz i jego rozwój”. Niezły tytuł artykułu, prawda? Chyba pošlę coś na ten temat do „Ladies' Home Journal”.

- Kto buli za to przyjęcie? - zapytał.

- Wojskowa Propaganda Zagraniczna. - Protekcyjnie ujęła go pod rękę. - Rozumiesz? Ożywienie życia towarzyskiego w naszych siłach zbrojnych i serdecznych stosunków z walecznym brytyjskim sojusznikiem.

- Aha - roześmiał się Whitacre. - Wiem teraz, na co płacę podatki: na whisky dla generałów.

- Biedni staruszkowie. Nie zazdrość generałom. Ich jasne dni dobiegają końca.

- Chodźmy! - wybuchnął Michael. - Duszą mi w tej atmosferze.

- Nie wypijesz jednego?

- Dziękuję. Nie chcę wyzyskiwać Wojskowej Propagandy Zagranicznej.
- Najbardziej drażni mnie w szeregowych ich poczucie urażonej godności.
- Chodźmy stąd.

Whitacre spostrzegł, że siwowłosy pułkownik angielski zmierza w ich stronę, próbował więc uprowadzić towarzyszkę, ale nie zdążył.

- Louise - zagał rozmowę pułkownik - jedziemy na kolację do klubu. Jeżeli nie masz nic lepszego na widoku...

- Mam. Umówioną od dawna randkę. Panowie pozwolą: pułkownik Treanor. Szeregowiec Whitacre.

Ściskając suchą rękę Michael odruchowo stanął na baczność. Pułkownik nie uśmiechnął się do niego. Był przystojny, szczupły.

Miał zimne jasnoniebieskie oczy i kołnierz ozdobiony czerwonymi patkami sztabu generalnego.

- Szkoda - rzucił pod adresem Louise. - Naprawdę jesteś dziś zajęta?

Stał blisko i nie odrywał od niej bystrego spojrzenia. Twarz mu dziwnie pobladła. Miarowo kołysał się na obcasach w tył i w przód. Nagle Whitacre przypomniał sobie nazwisko. Oczywiście! Treanor! Krążyły plotki o nim i Louise. Pewnego razu Mincey zalecał nawet ostrożność, gdy poprzedniego dnia spotkał Michaela z przyjaciółką w jakimś barze. Pułkownik nie dowodził teraz oddziałem liniowym, lecz zajmował wpływowe stanowisko w Planowaniu Operacyjnym Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych i podobno miał wiele do powiedzenia w polityce międzynarodowej.

- Powiedziałam przecież, Charles, że nie mam czasu - odparła kobieta.

- Nie masz czasu. Naturalnie - burknął pułkownik po trosze pijackim głosem, odwrócił się i godnie podążył w kierunku bufetu.

- Widzę już szeregowca Whitacre'a na pierwszej barce desantowej - szepnął Michael.

- Nie pleć głupstw! - syknęła Louise.

- To tylko żart.

- Całkiem niemądry.

- Słusznie. Całkiem niemądry. - Uśmiechnął się na dowód, że nie traktuje sprawy serio. - No, już zrujnowałaś moją karierę w armii Stanów Zjednoczonych. Chyba możemy pójść?

- Nie chcesz zapoznać się z kilkoma generałami?

- Może innym razem. Tak około tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Idź po płaszcz, dobrze?

- Dobrze. A ty czekaj. Strasznie mnie zmartwisz, jeżeli zwiejesz.

Spojrzał na nią pytająco. Stała tuż przed nim. Miała poważną minę. Nie zwracała uwagi na tłum mężczyzn wypełniających salę. Głowę przechyliła trochę na bok. Bacznie przyglądała się Michaelowi.

„Mówi serio - pomyślał. - Jak Boga kocham, mówi serio. - Odczuł wzruszenie, a zarazem niechęć do towarzyszki. - Do czego zmierza? - Spojrzał w głębokie, bystre oczy i na staranną fryzurę. - Mniejsza o to! Zmierza do czegoś, ale ja na pewno stanę okoniem. Bodaj ją licho!\".

- Właściwie mógłbyś się ze mną ożenić - powiedziała Louise.

Whitacre szeroko otworzył oczy. Powiódł wzrokiem dokoła po jarzących się jasnych światłach i efektownych mundurach oficerów.

„A to dopiero heca! - pomyślał. - Propozycja małżeńska w takim lokalu!\".

- Właściwie mógłbyś się ze mną ożenić - powtórzyła kobieta spokojnym, cichym głosem.

- Bardzo cię proszę, idź po płaszcz.

Uległ naglej niechęci do Louise i żal mu się zrobiło biednego profesora, który w mundurze piechoty morskiej tkwi gdzieś pośród odległej dżungli. Niewątpliwie to sympatyczny, prostolinijny, sentymentalny jegomość, a końca wojny nie dożyje z powodu czystego pecha.

- Niech ci się tylko nie zdaje, że jestem pod gazem - podjęła kobieta. - Widziałam, że muszę ci to dziś powiedzieć. Wiedziałam od pierwszej chwili, kiedy wszedłeś tutaj. Obserwowałam cię przez pięć minut, zanim mnie spostrzegłeś. Wtedy zrozumiałam, że tego właśnie pragnę.

- Drogą służbową - zaczął Michael najswobodniej, jak to było możliwe - zwrócić się do swojego dowódcy o pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego...

- Do licha! - przerwała mu. - Czy musisz kpić zawsze i ze wszystkiego?

Urażona odwróciła się i szybko poszła po płaszcz.

Whitacre obserwował jej drogę przez gwarną salę. Pułkownik Treanor zatrzymał Louise. Wziął ją za rękę i natrętnie perswadował jej coś szeptem. Wyrwała mu się i odeszła w stronę garderoby damskiej. Posuwała się wolno z chłodnym, wyzywającym wdziękiem. Jej szczupłe, zgrabne nogi były bardzo kobiece. Michael zirytował się. Miał ochotę podejść do baru i wypić coś mocnego, zabrakło mu jednak odwagi. Cały ich stosunek był dotąd swobodny, koleżeński. Cechowała go tymczasowość i zupełny brak odpowiedzialności. Trudno o coś lepszego w niepewnym okresie oczekiwania na prawdziwą wojnę, kiedy niby to praca w operetkowym biurze Minceya budzi tylko wstydlivy niesmak. Tak. Ich stosunek kształtował się w proporcjach idealnie odpowiadających rzeczywistości, a Louise potrafiła stworzyć uczucie słabsze i lepsze niż miłość. Potrafiła przesłonić subtelną firanką nieustanne komiczne poniżenia, na które szeregowiec Whitacre był narażony w wojsku. A dziś wszystko się zapewne skończy.

„Ach, te baby! - obruszył się niechętnie Michael. - Nigdy nie nauczą się sztuki przychodzenia i odchodzenia w porę. Każda osiedla się w sercu na dobre, wije gniazdko rodzinne. Niech wzmaga się wojenna powódź! Niech padają mocarstwa! Niech grozi inwazja! Kobiecie wszystko jedno. Jest pewna swego, uparta. No, już ja nie pozwolę się złapać! Samotność w takich czasach to samoobrona. Do diabła! - zmienił temat rozważań. - Co mnie obchodzą generałowie? Mam gdzieś generałów!\".

Szybkim, pewnym krokiem przemierzył salę i zbliżył się do bufetu.

- Whisky z wodą sodową! - rzucił pod adresem barmana. Z lubością pociągnął pierwszy długi łyk.

W najbliższym sąsiedztwie rozmawiali dwaj oficerowie brytyjscy, pułkownik Służby Zaopatrzenia i major Lotnictwa Królewskiego. Na Michaela wcale nie zwrócili uwagi. Pułkownik był lekko podchmielony.

- Ty nic nie wiesz, Herbert, a ja wiem - mówił. - Nie darmo tłukłem się po Afryce. W jednym Amerykanie są bezkonkurencyjni. Powiadam ci, mój stary, pierwsza klasa. Nie

chęć im nic ujmować. Kwatermistrzostwo u nich gra. Kolumny transportowe, magazyny paliwa, regulacja ruchu... O! Na tym się rozumieją! Ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, mój drogi. Amerykanie nie umieją walczyć. Gdyby Montgomery był realistą, powinien im powiedzieć. „Słuchajcie no, koledzy! Oddamy wam wszystkie ciężarówki, a wy oddajcie nam wszystkie czołgi i działa. Wy zajmiecie się zaopatrzeniem i transportem, bo to wasza specjalność, a my weźmiemy na siebie wojowanie. Wtedy cała historia skończy się gładko i na Boże Narodzenie wszyscy wrócimy do domu”.

Major przytaknął pułkownikowi wymownym skinieniem głowy i obydwaj oficerowie Jego Królewskiej Mości zamówili po dużej whisky. Michael zerknął na różową łysinę pułkownika połyskującą przez rzadkie siwe włosy.

„Ha - pomyślał złośliwie - na tych aliantów Wojskowa Propaganda Zagraniczna marnotrawi pieniądze zacnych podatników”.

W tej chwili odstawił nie dopitą szklankę i ruszył w stronę wyjścia, gdyż Louise ubrana w luźny popielaty płaszcz wyszła z garderoby. Nie miała już poważnej miny. Na jej ustach igrał jak zwykle pytająco-zdziwiony uśmiech, jak gdyby nie wierzyła nawet w połowę tego, co ludzie szepczą jej w drodze przez życie. Michael ujął kochankę pod rękę i pomyślał nieżyczliwie: „Ach, te baby! W garderobie zerknęła w lustro i powiedziała sobie: «Basta! Dzisiaj nie puszcze więcej farby». Wtedy naciągnęła na twarz zwyczajną, codzienną minę tak gładko i niedbale, jak teraz naciąga rękawiczki”.

- Psiakrew! - uśmiechnął się Whitacre sprowadzając swoją damę ze schodów. - Ładnie się wkopałem. Wisi nade mną zguba.

- Nie powiem, że się mylisz.

- Nie uwierzę, chociażbyś powiedziała.

Roześmiali się i weszli do przestronnego holu hotelu „Dorchester”, gdzie sędziwe damy piły z siostrzeńcami herbatę, a młodzi kapitanowie amerykańskiego lotnictwa asystowali urodziwym paniąkom. Angielski zespół jazzowy rzępolił potwornie. Lepiej grać nie mógł, bo w Anglii brak Murzynów, co tchnęliby iskrę życia w muzykę tego rodzaju i dobrotliwie szepnęli saksofoniście czy perkusiście: „Posłuchaj no pan. To się tak robi. O, tak! Więcej ikry, gazu! Nie trzeba tłamsić instrumentu w garści...”.

Michael i Louise szli butnie ramię w ramię. Opamiętali się w czas i zapewne po raz ostatni sunęli po beztroskich krańcach miłości. W oddali, za Hyde Parkiem, dogasały wzniecone przez Niemców pożary. Luna malowała niebo świątecznymi barwami.

Wędrowali z wolna w kierunku Piccadilly.

- Coś dzisiaj wymyśliłam - zagaiła rozmowę Louise.

- Ciekawym co? - spytał Michael.

- Postanowiłam zdobyć dla ciebie nominację, przynajmniej na porucznika. To nonsens, żebyś do końca życia był szeregowcem. Muszę pogadać z przyjaciółmi i...

- ... zmarnować trochę czasu i energii - dokończył Whitacre i roześmiał się gorzko.

- Jak to? Nie chcesz zostać oficerem?

- Czy ja wiem? Nie zastanawiałem się nad tą kwestią. W każdym razie nie trudź się zbytecznie.

- Ale dlaczego?

- Twoi przyjaciele nic nie mogą zrobić...

- Co?! - wybuchnęła. - Mogą zrobić wszystko. Jeżeli ja poproszę...

- Nic nie załatwisz. Wniosek powędruje do Waszyngtonu i wróci odrzucony.

- Dlaczego?

- Bo jakiś facet w Waszyngtonie uważa mnie za komunistę.

- Także pomysł!

- Bezsprzecznie głupi. Ale zrodził się w czyjejs głowie.

- Czy naprawdę jesteś komunistą?

- Mniej więcej tak jak Roosevelt - roześmiał się Michael. - On również nie dostałby stopnia oficerskiego.

- Próbowales już?

- Tak.

- Dobry Boże! - westchnęła. - Idiotyczny świat.

- To nieważna sprawa. Wojnę i tak wygramy.

- Musiałeś być wściekły, jak się dowiedziałeś o tej bzdurze?

- Nie bardzo... Raczej smutny niż zły.

- Miałeś chyba ochotę wyświecić całą sprawę, oczyścić się z niedorzecznych zarzutów?

- Czy ja wiem? - bąknął Whitacre. - Może w pierwszej chwili. Później zrozumiałem, że to dziecinne mrzonki.

- Jesteś diabelnie rozsądny.

- Zapewne. Ale nie w moim diabelnym rozsądku tkwi sedno sprawy. - Uśmiechnął się posepnie. - Nie urodziłem się na żołnierza. Armia mało straciła odmawiając mi nominacji. Kiedy się zaciągnąłem, miałem zamiar nie wpływać w żaden sposób na decyzję władz. Wierzę w tę wojnę, co nie znaczy wcale, że wierzę w wojsko. Nie mam zaufania do żadnego wojska. Rozumny dorosły człowiek nie może wymagać od armii sprawiedliwości. Żąda od niej zwycięstwa. Chociaż i sprawiedliwość... Czy ja wiem?... Jak świat światem nie było chyba armii bardziej sprawiedliwej niż nasza. Jestem przekonany, że amerykańskie władze wojskowe będą dbać o mnie jak najtroskliwiej, że w granicach możliwości nie dopuszczą do mojej żołnierskiej śmierci, a w rezultacie wygrają wojnę tak tanio, jak pozwoli na to ludzka umiejętność przewidywania i wiedza wojskowa. To chyba wystarczy aż do dnia ostatecznego zwycięstwa?

- Taki cynizm na pewno nie spodobałby się Wojskowej Propagandzie Zagranicznej - powiedziała Louise.

- Możliwe. Spodziewałem się, że nasza armia jest równie niedołężna, amoralna, okrutna, skłonna do marnotrawstwa krwi i mienia jak wszystkie armie pod słońcem. Niewątpliwie ma te cechy, ale w stopniu nieporównanie niższym niż sądziłem przed wstąpieniem do wojska. Na przykład jest znacznie mniej amoralna od niemieckiego Wehrmachtu. To dobrze dla nas, bo odniesiemy zwycięstwo, być może nie najlepsze, lecz w danych warunkach i w danym czasie najkorzystniejsze. Za to wdzięczny jestem naszej armii, choć oczywiście daleko jej do ideału.

- No, a ze sobą co masz zamiar zrobić? - zmieniła temat Louise. - Do końca wojny będziesz tkwił w tym samym śmiesznym biurze i klepał chórzystki po zadkach?

- Cóż, rozmaici ludzie przeżywali rozmaite wojny w jeszcze podlejszy sposób - uśmiechnął się Whitacre. - Myślę jednak, że coś się zmieni. W swoim czasie władze wojskowe przesuną mnie dokądś, gdzie będę ucziwie zarabiał na chleb, będę musiał zabijać i sam może zostanę zabity.

- Ciekawe. A co czujesz, kiedy tak myślisz?

- Co czuję? Przede wszystkim strach.

- Dlaczego jesteś zdania, że coś takiego musi cię spotkać?

- Czy ja wiem? - Michael zawahał się na moment. - Mistyczny głos wewnętrzny mówi mi, że sprawiedliwości musi stać się zadość, że będę jej szafarzem i ofiarą. Od tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, od Hiszpanii, czuję, że los zażąda ode mnie zapłaty. Rok po roku unikam jej, ale pewność rośnie z dnia na dzień. Wiem, że zapłata jest nieunikniona.

- A może już zapłaciłeś coś niecoś?

- Coś niecoś - powtórzył z uśmiechem. - Tylko odsetki. Kapitał pozostał nienaruszony. Kiedyś będę musiał uiścić dług, i to nie w biurach Propagandy Wojskowej.

Skreśli w ulicę Świętego Jakuba. W głębi St. James Palace rysował się ciemną, średniowieczną sylwetką. Tarcza zegara połyskiwała szarą plamą pomiędzy basztami.

- Chyba naprawdę nie jesteś typem oficera. - Louise uśmiechnęła się w gęstym mroku.

- I mnie się tak zdaje - przyznał Whitacre.

- W każdym razie mógłbyś zostać sierżantem.

Michael wybuchnął śmiechem.

- Czasy się zmieniły. Co za upadek! Niegdyś w Paryżu Madame Pompadour zdobywała buławy marszałkowskie dla faworytów. Dzisiaj Louise M'Kimber idzie do królewskiego łoża po trzy belki dla swego szeregowca.

- Nie bądź taki cwany - obruszyła się kobieta. - Tu nie Hollywood.

Młode, z lekka przepite głosy zaśpiewały:

Siup - na sianie.

Zrób posłanie,

Kołysz, kołysz mnie - i siup.

Trzej marynarze brytyjscy ujęli się pod ręce i chwiejnym krokiem przecinali na skos szeroką jezdnię.

- Dziś wieczorem przed naszym spotkaniem myślałem o Dostojewskim - zaczął Whitacre.

- Nie cierpię intelektualistów - przerwała mu Louise kategorycznym tonem.

- Mniejsza o to. U Dostojewskiego ksiądz Myszkina chciał ożenić się z prostytutką, aby w ten sposób okupić swoje grzechy i winy.

- Czytuję tylko „Daily Express”.

- Dziś żyjemy w mniej dramatycznej epoce - podjął uparcie Michael. - Ja nie chcę żenić się z nikim. Po prostu zostaję szeregowcem, by okupić swoje grzechy i winy. Nietrudna pokuta! Osiem milionów ludzi jest w podobnej sytuacji...

Marynarze lawirowali zygzakami w stronę St. James Palace.

Siup - ledwie człowiek złazł,

A ona - jeszcze raz!

I kołysz, kołysz mnie - i siup.

Michael i Louise weszli w boczną uliczkę, przy której tylko jeden dom był zbombardowany. Oddalające się głosy marynarzy brzmiały tęsknie i żałośnie mimo głupich słów wesołej śpiewki.

„Ognisko Międzysojusznice” mimo szumnej nazwy zajmowało tylko trzy małe pokoje w półsuterenie. Na ścianach wisiały zakurzone flagi, a bufet zastępowała długa deska przybita gwoździami do dwóch baryłek. Od czasu do czasu można tu było dostać befsztyk z polędwicy, szkockiego łososa i zimne piwo, które właścicielka, hołdując amerykańskim gustom, trzymała w blaszanej waniencie napełnionej lodem. Francuz odwiedzający ów lokal mógł się zwykle zaopatrzyć w butelkę algierskiego wina, i to po oficjalnej cenie. W atmosferze umiarkowanego pijaństwa żołnierze wszelkich stopni

przestawali ze sobą na poufalej stopie, pewni, że chłodne światło dnia zatrze niestosowności minionej nocy. W razie nagłej potrzeby prawie każdy mógł tam uzyskać kredyt, nikogo zaś nie naciskano później o zapłatę.

Kiedy Michael i Louise weszli do „Ogniska”, ktoś brzdąkał na pianinie w ostatnim pokoju. Przy bufecie dwaj sierżanci Lotnictwa Królewskiego śpiewali półgłosem. Młoda Amerykanka - kapral Pomocniczej Służby Kobiet spała z głową na ramieniu francuskiego marynarza. Amerykański podpułkownik, niejaki Pavone, wygłaszał mówkę do czterech korespondentów wojennych siedzących wraz z nim przy dużym stole. Pavone miał twarz podstarzałego aktora farsowego. Na świat przyszedł w Brooklynie, w latach trzydziestych prowadził cyrk we Francji, a na początku wojny służył we francuskiej kawalerii. Odznaczał się tym, że ustawicznie palił bardzo grube i bardzo drogie cygara. W kącie, nie wadząc nikomu, siedział Francuz - śniady, czarnowłosy olbrzym - który, jak mówiono, pracował dla wywiadu angielskiego i dwa lub trzy razy na miesiąc skakał ze spadochronem we Francji. Teraz gryzł kieliszki, co robił zawsze, kiedy upił się późną nocą i był w podłym nastroju. W kuchni, za środkowym pokojem, uwijał się tłusty starszy sierżant w mundurze amerykańskiej żandarmerii. Był zakochany w jednej z pań prowadzących „Ognisko”, więc własnoręcznie smażył sobie pełną patelnię ryby. Przy małym stoliku koło drzwi kuchenki kwitł dwuosobowy poker. Korespondent prasowy grał z dwudziestotrzyletnim majorem amerykańskiego lotnictwa, który przed kilkoma godzinami wrócił szczęśliwie z Kilonii.

- ... i sto pięćdziesiąt funtów - usłyszał Michael głos majora, zaczął więc obserwować graczy.

Lotnik poważnie wypisał rewers na sto pięćdziesiąt funtów i rzucił na środek stołu.

- Dobrze. Sto pięćdziesiąt - powiedział korespondent. - Sprawdzam.

Miał na sobie amerykański mundur, wyglądał jednak na Węgra i mówił z węgierskim akcentem. On również wypełnił rewers i położył na kupce pieniędzy i świstków papieru.

- Proszę dwie whisky. - Whitacre zwrócił się do starszego szeregowca, który obsługiwał za bufetem podczas urlopów w Londynie.

- Niestety, panie pułkowniku. Whisky się skończyła - odpowiedział starszy szeregowiec.

Był zupełnie bezzębny i - jak pomyślał Whitacre - dźwięka musiał mieć w fatalnym stanie z winy brytyjskich racji żywnościowych.

- Niech będzie dżin.

Starszy szeregowiec ubrany w mundur polowy i luźny, wyplamiony szary fartuch nalał dwa dżiny sprawnie i z zamiłowaniem. Przy pianinie w ostatnim pokoju odezwał się drżący męski głos:

*W szulerniach mój papa się rządzi jak król,
Dżin mama sprzedaje na lewo –
Siostrzyczka zaś woła: chcesz kochać- to buł,
I forsa wciąż sika ulewą!*

- Oby nam się! - powiedział Michael do Louise podnosząc rękę ze szklanką.

Wypili.

- Sześć szylingów, pułkownik - wtrącił starszy szeregowiec.

- Zapisz na kredę. Jestem dziś goły. Czekam na grubą forszę z Australii. Mam tam młodszego brata. Służy w lotnictwie. Jest majorem, rozumiesz? Pełna gaża i dodatek za loty.

Bufetowy nagryzmolił nazwisko Michaela w poplamionej tłuszczem księdze i otworzył dwie butelki piwa dla sierżantów Królewskiego Lotnictwa, którzy zwabieni śpiewem wyszli ze szklankami w rękę do ostatniego pokoju.

Rosły Francuz przestał gryźć kieliszki.

- Ludzie! - krzyknął. - Pragnę przemówić do was w imieniu generała Charlesa de Gaulle'a. Proszę wstać na cześć generała Charlesa de Gaulle'a, wodza Francji i francuskich sił zbrojnych!

Wszyscy wstali obojętnie, aby uczcić francuskiego generała.

- Zacni przyjaciele - podjął Francuz donośnie, z wybitnie rosyjskim akcentem. - Nie wierzę w nic, o czym piszą gazety. Nienawidzę gazet i nienawidzę wszystkich gazeciarzy. - Srogim wzrokiem zmierzył czterech korespondentów wojennych otaczających

podpułkownika Pavone. - Generał Charles de Gaulle jest szczerym demokratą i człowiekiem honoru.

Usiadł i spojrzał posepnie na nadgryziony kieliszek do koniaku. Publiczność zajęła dawne miejsca. Z ostatniego pokoju nadpłynęły głosy sierżantów Lotnictwa Królewskiego:

Lancastrem z Ruhry ciężki lot –

Już Londyn widać, brachu,

A na pokładzie każdy chłop

Ma pełne portki ze strachu.

- Panowie! - zawołała starszawa blondynka.

Dotychczas drzemała na krześle pod ścianą, a okulary zwisały jej z lewego ucha. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się zalotnie do całej kompanii i wskazała palcem umundurowaną dziewczynę wracającą z toalety.

- Panowie! Ta kobieta ukradła mi szalik - oznajmiła i sen znów ją zmorzył. Po chwili chrapała donośnie.

- Przepadam za tym lokalem - powiedział Michael. - Panuje tu senna atmosfera pocziwej starej Anglii. To coś jak krykiet, popołudniowa herbatka w ogródku proboszcza, muzyka Deliusa...

Lotnicy w ostatnim pokoju zaśpiewali na inną nutę:

Do diabła poszły stery

I tłoki też do cholery!

A dajże, Boże, tym łobuzom zdrowie.

Tęgi generał amerykańskiej Służby Zaopatrzenia wkroczył do baru. Tegoż dnia po południu przyleciał do Anglii z Waszyngtonu. Na generalskim ramieniu wspierała się postawna młoda niewiasta z długimi zębami i powiewnym wdowim welonem. Pochód zamykał pijany kapitan ozdobiony bujnym wąsem.

- Aa! - zawołał generał i z promiennym uśmiechem na pełnej twarzy ruszył w stronę Louise. - Kochana pani M'Kimber!

Pocałował Louise. Kobieta z długimi zębami uśmiechnęła się uwodzicielsko do wszystkich obecnych w pokoju mężczyzn. Niewątpliwie miała jakąś wadę wzroku, bo raz po raz mrugała szybko. Michael dowiedział się wkrótce, że ta młoda osoba nazywa się Kearney, a jej mąż, oficer Lotnictwa Królewskiego, został strącony nad Londynem w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku.

- Generale Rockland - powiedziała Louise - to szeregowiec Whitacre, zagorzały wielbiciel generałów.

Generał serdecznie uściśnął dłoń nowego znajomego. Omal jej nie zdruzgotał. Michael pomyślał, że ten dygnitarz grywał w piłkę nożną w West Point.

- Miło mi poznać - powiedział generał. - Jak się masz, chłopcze? Widziałem cię już w „Dorchester”. Wyniosłeś się cichaczem z najprzystojniejszą damą. Cwaniak, co?

- Ale w wojsku nie potrafi się urządzić - wtrąciła z uśmiechem Louise. - Chce być tylko szeregowcem. No i co z takim zrobić?

- Nie cierpię zawodowych szeregowców - oznajmił generał, a asystujący mu kapitan przytaknął poważnym skinieniem głowy.

- Ja również - podchwycił Michael. - Chętnie zostałbym porucznikiem.

- Nie cierpię też zawodowych poruczników.

- Słusznie, panie generale - uśmiechnął się Whitacre. - Jeżeli to panu bardziej odpowiada, może mnie pan wypromować na podpułkownika.

- Kto wie? Niewykluczone - powiedział dygnitarz. - Jimmy! Zanotuj no nazwisko tego żołnierza.

Kapitan zaczął grzebać we wszystkich kieszeniach i znalazł wreszcie reklamę prywatnych taksówek.

- Nazwisko, stopień, numer ewidencyjny - wyrzucił z siebie jak automat.

Michael podał swoje dane personalne, a kapitan starannie schował ulotkę do wewnętrznej kieszeni. Rozpiął przy tym bluzę i pokazał krwistoczerwone szelki.

Tymczasem generał zdążył zapędzić Louise w kąt i przyprzeć do ściany. Mówił coś. Twarz przysuwał blisko jej twarzy. Whitacre postąpił w ich stronę, ale drogę przecięła mu młoda niewiasta o długich zębach. Uśmiechnęła się mętnie. Trzepotała powiekami.

- Mój bilet wizytowy - powiedziała wręczając sztywny biały kartonik, na którym Michael przeczytał:

OTTILIE MUNSELL KEARNEY

Regent 7

- Proszę do mnie zadzwonić. Rano zawsze jestem w domu. Do jedenastej.

Znowu uśmiechnęła się blado i powiewając welonem odeszła, aby wędrować od stolika do stolika i rozdawać mężczyznom białe kartoniki.

Michael zamówił drugi dzin i ze szklanką w ręku zbliżył się do stołu zajętego przez podpułkownika Pavone. Znał go, a także dwóch z czwórki asystujących mu korespondentów.

- ... po tej wojnie - perorował Pavone - Francja musi pójść na lewo. Musi! Rozumiecie? My nic nie poradzimy, Anglia nic nie poradzi, Rosja nic nie poradzi! Siadaj, Whitacre. Mamy whisky - przerwał sobie wykład.

Michael szybko wypił dzin i z przyjemnością patrzył, jak jeden z dziennikarzy nalewa mu „na cztery palce” szkockiej whisky.

- Jestem w Administracji Wojskowej - ciągnął Pavone - i naturalnie nie mam pojęcia, dokąd mnie władze wyślą. Ale powiadam wam otwarcie, że mój przydział do Francji zakrawałby na kpiny. Od stu pięćdziesięciu lat Francuzi rządzą się sami, roześmieją się więc w nos Amerykaninowi, który zechce nimi dyrygować chociażby w takiej sprawie, jak pokrycie ratusza nową blachą.

- Dorzucę pięćset funtów - odezwał się Węgier przy sąsiednim stoliku.

- Sprawdzę - zabrzmiał głos młodocianego majora i obydwaj pokerzyści wypisali rewery.

- Co się stało, Whitacre? - spytał Pavone. - Generał zabrał ci dziewczynę?

- To krótkoterminowa pożyczka - odparł Michael zerkając w stronę bufetu, gdzie generał śmiał się ochryple i coraz mocniej napierał na Louise.

- Przywilej stopnia, co? - roześmiał się Pavone.

- Rockland to kat na dziwki - odezwał się jeden z korespondentów. - W Kairze był dwa tygodnie i obrobił cztery aniołki z Czerwonego Krzyża. Po powrocie do Waszyngtonu dostał Legion of Merit.

- Masz takie coś? - pułkownik machnął biletym wizytowym pani Kearney.

- Mam - Whitacre pokazał biały kartonik. - To najcenniejsza z moich pamiątek wojskowych.

- Babsko zrujnuje się na drukarnię - roześmiał się Pavone.

- Nie - zaprotestował korespondent. - Jej papa ma browar i kupę hopów.

Ja nie chcę być lotnikiem,

Bo w nosie wojnę mam –

I wolę metro na Piccadilly

I forszę od eleganckich dam!

Zaśpiewali lotnicy w ostatnim pokoju. Do wtóru jęknęły syreny alarmowe.

- Szkopy upadły na głowę - powiedział któryś z dziennikarzy. - Dwa naloty jednej nocy!

- Uważam to za osobistą prowokację - podchwycił drugi. - Właśnie we wczorajszym artykule dowiodłem jasno jak słońce, że Luftwaffe ma dosyć. Zsumowałem procentowe zniszczenia niemieckiego przemysłu lotniczego meldowane przez naszą Ósmą Armię Powietrzną i Dziewiątą Armię Powietrzną, a także przez Lotnictwo Królewskie. Dorzuciłem do tego maszyny strącone podczas nalotów i obliczyłem, że straty Luftwaffe wynoszą sto sześćdziesiąt osiem procent możliwych maksymalnych stanów. Trzy tysiące słów kablem. To nie fraszka!

Ahearn, niski, pękaty korespondent, zwrócił się do Michaela. Miał smętną, okrągłą twarz, sinoczerwoną od pijaństwa.

- Boi się pan nalotów? - zapytał. - Przepraszam, to nie przypadkowe wścibstwo. Gromadzę dane statystyczne. Chcę napisać długi kawałek o strachu. Dla magazynu „Collier”. Strach jest dominującym czynnikiem pierwszorzędnej wagi. Podczas tej wojny

wywiera wpływ na całą ludzkość. Warto go przestudiować w stanie, że się tak wyrażę, czystym.

- Chętnie panu odpowiem - zaczął Whitacre. - Ale muszę się zastanowić, jak osobiście...

- Ja osobiście - Ahearn pochylił się w stronę Michaela i zionął zapachem browaru - stwierdziłem, że mocno się pocę i widzę wszystko znacznie wyraźniej, szczegółowiej niż wtedy, kiedy się nie boję. W swoim czasie byłem na okręcie wojennym, którego nazwy nie wolno mi zdradzić. Nawet dzisiaj! Niedaleko od Guadalcanal zaatakował nas japoński myśliwiec. Leciał z dziesięć stóp nad wodą, prosto na wieżę baterii, przy której ja stałem... Odwróciłem w bok głowę i zobaczyłem prawe przedramię jednego z marynarzy. Znałem tego chłopaka od trzech tygodni, wiele razy widywałem go w grubym neglizju. I wyobraź pan sobie, w tej chwili spostrzegłem coś, czego nigdy dawniej nie zauważyłem. Marynarz miał tatuaż na prawym przedramieniu. Czerwoną kłódkę otaczał wieniec z zielonych winnych liści, a nad tym wszystkim wiła się różowa szarfa z napisem po łacinie: *Amor omnia vincit*. Litery były duże, kanciaste, niczym na rzymskich pomnikach. Całą tę historię pamiętam tak dokładnie, że na żądanie mógłbym ją odrysować na tym obrusie - kreska po kresce i kolor po kolorze. Ale mówmy o tobie, bracie. Widzisz wyraźniej czy mniej wyraźnie, kiedy niebezpieczeństwo zagraża twojemu życiu?

- Mówiąc otwarcie - zaczął znów Michael - nigdy dotychczas...

- I jeszcze jedno - pijany korespondent spojrzał tępo w twarz Michaela. - Trudno mi oddychać. Czuję się tak, jak gdybym leciał bardzo wysoko w rozrzedzonym powietrzu i nie miał aparatu tlenowego.

Nagle odwrócił się od Whitacre'a.

- Nalejcie no whisky! - zakomenderował.

W tej chwili Michael usłyszał głos podpułkownika i odległy huk dział rozpoczynających uverturę do nalotu.

- Wojna mało mnie interesuje - gadał Pavone. - Cywil ze mnie bez względu na to, co mówi mundur. Prawdziwie ciekaw jestem przyszłego pokoju.

Baterie przeciwlotnicze grzmiały już w pobliżu. Niemieckie bombowce były w zenicie. Whitacre miał wrażenie, że nadlatują małymi formacjami, po dwa lub trzy. Pani

Kearney wręczyła bilet wizytowy starszemu sierżantowi żandarmerii, który wyszedł z kuchni z patelnią pełną dobrze wysmażonej ryby.

- Ostateczny wynik rozgrywki jest przesądzony - rozprawiał Pavone. - Dlatego właśnie wojna mało mnie interesuje. Od chwili, kiedy usłyszałem o ataku japońskim na Pearl Harbor, wiem, że musimy zwyciężyć... - Jeszcze raz zaśpiewał ktoś przy pianinie:

Cóż za cudowny poranek

I dzień tak pełen nadziei,

Człowiek cudownie się czuje

I wszystko cudownie się klei...

- Ameryka nie może przegrać wojny - ciągnął podpułkownik. - Ja to wiem, wy wszyscy wiecie... Ba! Dziś wiedzą nawet Japończycy i Niemcy. Powtarzam, chłopcy - wykrzywił się jak błazen cyrkowy i głęboko zaciągnął się cygarem - wojna mało mnie interesuje. Prawdziwie ciekaw jestem przyszłego pokoju, bo rozumiecie, to całkiem niepewna sprawa.

Dwaj polscy kapitanowie w dziwacznych rogatych czapkach, które zawsze przypominały Michaelowi ostrogi i druty kolczaste, weszli i stanęli przed bufetem. Mieli nadęte, niezadowolone miny.

- Cały świat - ciągnął Pavone - przegnie się na lewo. Cały świat z wyjątkiem Ameryki. Nie dlatego że ludzie czytają Karola Marksa lub ulegają nasyłanym z Rosji agitatorom. Nie dlatego! Po prostu świat powojenny nie będzie miał wyboru. Wszystko inne zostało wypróbowane. Wszystko inne zawiodło. Obawiam się, że Ameryka będzie odosobniona, znieawidzona, zacofana. Obawiam się, że nas wszystkich czeka los bogatych starszych panien, co mieszkają w lasach, w samotnych domach. Wyobrażacie to sobie? Starannie ryglują drzwi, zaglądają pod łóżka, gdyż w siennikach mają fortunę. Cierpią na bezsenność, bo za każdym razem, gdy wiatr zaszeleści lub trzaśnie deska w podłodze, myślą, że to morderca skrada się po ich życie i skarby...

Węgier w mundurze amerykańskiego korespondenta podszedł do stołu, by nalać sobie pełną szklanekę whisky.

- Ja tam mam własną teorię - powiedział. - Może kiedyś opublikuję ją w „Lifie”. „Jak ocalić kapitalizm w Ameryce”. Napisał Laszlo Czigly.

Bateria w pobliskim Green Parku zaszczeaka donośnie. Węgier pociągnął tęgi łyk i z wyrzutem spojrział na sufit.

- Nazwałem ją: „System Turystyczny Demokracji Kierowanej” - podjął, gdy uciszyło się trochę. - Rozejrzyjmy się wokół! - Wolną ręką zatoczył szeroki krąg. - Cóż widzimy? Dobrobyt bez precedensu. Każdy chętny do roboty ma korzystne zajęcie. Każda babina, która w normalnych czasach mogłaby być co najwyżej pomywaczką, pracuje przy precyzyjnych maszynach i zarabia osiemdziesiąt siedem dolarów na tydzień. Faceci, co służyli w policji rzecznej na Missisipi i ledwie wyciągali tysiąc dolarów rocznie, są dziś pełnymi pułkownikami z miesięczną gażą od sześciuset dwudziestu w górę. Studenci, którzy dawniej pompowali rodzicielskie fortuny, służą w lotnictwie i jako majorowie mają po pięćset siedemdziesiąt dolarów na miesiąc. Fabryki pracują dzień i noc. Bezrobocie nie istnieje. Wszyscy żrą więcej mięsa, oglądają więcej filmów, kochają się częściej. Wszyscy są weseli, zadowoleni, zdrowi i w doskonałej formie. Jakie jest źródło tych nadzwyczajnych dobrodziejstw? Wojna i tylko wojna! Odpowiedcie mi oczywiście: wojna nie może trwać wiecznie. Niestety, będziecie mieli rację. Niemcy zawiodą nas w końcu. Upadną. A my wrócimy do zamkniętych fabryk, bezrobocia, obniżki płac i innych klęsk społecznych, Z tym zagadnieniem można uporać się w dwojaki sposób. Albo zmusić Niemców, żeby walczyli bardzo długo... na tyle jednak nie można im ufać... albo - znowu pociągnął whisky i uśmiechnął się szeroko - albo udawać, że wojna trwa nadal. Rozumiecie, panowie? Fabryki nie staną. Będziemy produkować pięćdziesiąt tysięcy samolotów na rok przy stawce dwa i pół dolara za godzinę najniżej kwalifikowanej pracy. Będziemy produkować czołgi po sto tysięcy sztuka i lotniskowce po siedem milionów. Naturalnie powiecie, że musi powstać problem nadprodukcji. Nie bójcie się! System Czigly'ego przewiduje wszystko. Na razie Japończycy i Niemcy wchłaniają naszą produkcję. Przeciwdziałają zakorkowaniu rynków. Strącają nasze samoloty, zatapiają lotniskowce, kulami wiercą dziury w sortach mundurowych. Zagadnienie jest proste: musimy zostać swoimi własnymi Niemcami i swoimi własnymi Japończykami. Każdego miesiąca zgromadzimy odpowiednią ilość fortec latających, lotniskowców, czołgów... i co zrobimy z tym kramem? - Z pijacką dumą potoczył wzrokiem po słuchaczach. - Zatopimy

w morzu! I niezwłocznie zamówimy świeży asortyment. Ale nie na tym koniec - ciągnął z wielką powagą. - Powstaje kwestia najbardziej drażliwa: element ludzki. Powiecie, panowie, zupełnie zresztą słusznie: „Nadprodukcja towarowa to problem łatwy do rozwiązania. Ale nadprodukcja żywych ludzi... Ha! Tu dopiero wkraczamy na niebezpieczny teren”. Święta racja! Sto tysięcy ludzi na miesiąc, dwieście tysięcy?... Nie wiem dokładnie, ilu się teraz pozbywamy. Trudno zabijać ich w czasie pokoju, choćby dla utrzymania gospodarki na najwyższym poziomie. Zaprotestowałyby liczne organizacje. Kościół sprzeciwiłby się stanowczo. Nawet zdaję sobie sprawę z trudności, które musiałyby wyniknąć. Nie, panowie, bądźmy humanitarni! Pamiętajmy, że jesteśmy cywilizowanymi przedstawicielami rodzaju ludzkiego. Nie mordujmy biedaków. Po prostu zatrzymajmy ich w wojsku. Bulmy żołąd i gażę, nie żałujmy awansów, dekorujmy generałów, dawajmy żonom zasiłki rodzinne. Opłaci się to wszystko, byle żołnierze nie wracali do Ameryki. Wysyłajmy ich tłumnie pod stosownym kierownictwem z jednego kraju do drugiego. Poniosą na obczyznę dobrą wolę i zamożność. Będą wyrzucać znaczne sumy. Zapłodnią wiele samotnych cudzoziemek dobrym demokratycznym nasieniem Nowego Świata. Mężczyznom dadzą przykład temperamentu i bezpośredniości, cech tak nieodłącznie męskich. Ale to furda! Przede wszystkim nie będą współzawodnikami na amerykańskim rynku pracy. Od czasu do czasu demobilizujemy znaczne partie i odsyłajmy do kraju. Niech wracają do dawnego życia, do żon, teściowych i cywilnych pracodawców. Rychło się zorientują, w jak głupią wpadli kabałę. Będą błagali, by ponownie przyjąć ich do szeregów. Ale my wybierzemy jedynie najlepszych i w rezultacie ledwie dziesięć lub dwanaście milionów doskonałych okazów amerykańskiego społeczeństwa będzie uprawiać turystykę po szerokim świecie. A w Stanach, rozumiecie, panowie, zostawimy ciemięgow, głuptasów, którzy niezbyt zaciekle będą konkurować między sobą. W taki sposób złagodnieje stopniowo i wreszcie zniknie owo napięcie nerwowe amerykańskiego stylu życia, nad którym zacni ludziska biadają tak często...

W górze rozległ się przeraźliwy, szarpiący nerwy świst. Rósł, wzrastał się, przemieniał w łoskot i zgiełk bez nazwy. Był coraz bliżej, bliżej. Zdawać się mogło, że to zderzenie pociągów w czasie burzy. Goście „Ogniska Międzysojuszniczego” padli na podłogę. W tej chwili wybuch targnął bębenkami uszu. Dom zadygotał. Na ulicy tysiąc szyb poleciało z okien. Światła mignęły i w szalonym momencie, nim zgasły, Michael

spostrzegł, że starszawa blondynka zsuwa się na bok z krzesła, a okulary wiszą wciąż na jej lewym uchu. Wybuchy zaczęły się oddalać. Były coraz słabsze. Akompaniował im łoskot walących się budynków i murów: grzechot cegieł zasypujących pokoje mieszkalne i podwórka. Pianino w ostatnim pokoju jęknęło, jak gdyby dwadzieścia rąk uderzyło naraz w klawisze.

- Dorzucę pięćset funtów - odezwał się z podłogi głos Węgra.

Michael wybuchnął śmiechem, bo uprzytomnił sobie, że żyje, że bomby ominęły „Ognisko Międzysojusznice”.

Światła zabłyśły. Goście poczęli wstawać. Ktoś dźwignął starszawą blondynkę i usadowił ją na krześle. Spała smacznie. Na moment podniosła powieki. Tępo spojrzała przed siebie.

- To świństwo - wymamrotała. - Okraść starą kobietę podczas snu. Zabrać jej szalik! - Znowu zamknęła oczy.

- Gdzieś mi się trunek zawieruszył. Cholera! - zaklął Czigly i nalał sobie pełną szklanekę whisky.

- Proszę spojrzeć - zwrócił się Ahearn do Michaela. - Jestem zlany potem.

Dwaj polscy kapitanowie włożyli rogatywki. Potoczyli dookoła wzgardliwym wzrokiem i ruszyli w stronę wyjścia. Zatrzymali się niedaleko drzwi, gdzie na ścianie wisiał plakat z Rooseveltem, Churchillem, Czang-Kai-szekiem i Stalinem. Jeden z nich wyciągnął rękę, szarpnął i oderwał podobiznę Stalina. Potem szybko podarł papier i białe konfetti rzucił w stronę gości.

- Bolszewickie świnię! - wrzasnął.

Francuz, który niedawno gryzł kieliszek od koniaku, zerwał się z podłogi i rzucił krzesłem. Uderzyło o ścianę, tuż nad rogatymi czapkami. Polacy odwrócili się i uciekli.

- *Saluds!* - krzyknął Francuz i podparł się o stół, bo niepewnie stał na nogach. - Chodźcie no! Już ja wam...

- Ci panowie nie mają więcej wstępu do naszego lokalu - odezwała się gospodyni z głębi kuchni.

Michael spojrzał w stronę bufetu. Generał Służby Zaopatrzenia obejmował Louise. Pieszczotliwie klepał ją po pośladkach.

- Uuuch... moja mała - powtarzał. - Uuch... moja mała.

- Spokój, generale - Louise uśmiechnęła się lodowato. - Już po bitwie. Może pan złożyć broń.

- Ach, ci Polacy - powiedział Węgier. - Dzieci natury. Ale trzeba przyznać, że są waleczni jak lwy.

Uklonił się i stosunkowo pewnym krokiem wrócił do czekającego nań majora lotnictwa. Usiadł przy stoliku, wypisał rewers na tysiąc funtów i trzykrotnie przetasował karty.

Syreny znów jęknęły. Alarm był odwołany. Wtedy Michael zaczął się trząść. Obydwoma rękami chwycił siedzenie krzesła. Zacisnął usta. Niewiele to pomogło. Czuł, że dzwoni zębami. Bezmyślnie uśmiechał się do podpułkownika Pavone, który zapalał wygasłe cygaro.

- Whitacre - zagadnął go Pavone. - Co, u licha, robisz w wojsku? Ile razy cię spotykam, podpierasz jakiś bufet.

- Istotnie, pułkowniku, nie przemęczam się i... - Michael urwał, bo czuł, że przy następnym słowie straci władzę nad szczękami.

- Po francusku gadasz?

- Trochę.

- A umiesz prowadzić wóz?

- Umiem.

- Chciałbyś ze mną pracować?

- Chętnie, panie pułkowniku - zgodził się Michael, bo nie mógł przecież odmówić oficerowi tak wysokiego stopnia.

- Hmm... zobaczmy, zobaczmy - zastanowił się Pavone. - Mój pomagier poszedł pod sąd wojenny. Chyba go skazają.

- Rozumiem, panie pułkowniku.

- Whitacre, zgłoś się do mnie za dwa tygodnie. Myślę, że będziesz kontent.

- Dziękuję, panie pułkowniku.

- Cygara palisz?

- Tak.

- Masz.

Pavone podał mu trzy cygara, a Michael przyjął je pokornie.

- Bardzo dziękuję.

- Nie wiem, dlaczego tak mi się zdaje, ale wydaje mi się, Whitacre, że masz inteligentną minę.

- Dziękuję, panie pułkowniku.

Pavone obejrzał się na generała Rocklanda.

- Idź tam lepiej, nim stary sprzętnie ci damę sprzed nosa - powiedział.

Michael próbował schować cygara do kieszeni. Miał poważne kłopoty z guzikami, bo palce drżały mu tak, jak gdyby przechodził przez nie prąd elektryczny.

- Jeszcze się pocę - oznajmił Ahearn w chwili, gdy Michael oddalał się od stołu. - No i widzę wszystko przeraźliwie dokładnie.

Michael stanął koło generała Rocklanda. Przybrał pełną szacunku, lecz stanowczą pozę. Zakasłał dyskretnie.

- Bardzo przepraszam, panie generale, ale muszę odprowadzić panią M'Kimber do domu. Obiecałem jej matce, że wróci przed północą.

- Pani matka w Londynie? - zdziwił się generał.

- Nie - uśmiechnęła się Louise. - Ale szeregowiec Whitacre zna moją matkę jeszcze z Saint Louis.

Generał roześmiał się ochryple, bez złości.

- Już ja wiem, co w trawie piszczy - powiedział. - Matka! Dobre sobie! Widocznie jakaś nowa. - Zamaszyście klepnął Michaela po plecach. - Powodzenia, chłopcze! Miło mi, że cię poznałem. - Rozejrzał się po pokoju. - Gdzie Ottilie? - zapytał. - Pewno znów rozdaje te swoje piekielne kartki? Co?

Z tymi słowy ruszył na poszukiwanie pani Kearney, która przed chwilą opuściła „Ognisko” w towarzystwie sierżanta Lotnictwa Królewskiego. Wąsaty kapitan dreptał przełożonemu po piętach.

Louise uśmiechnęła się do Michaela.

- Dobrze się bawiłaś? - zapytał.

- Wyśmienicie. Jak bomba gruchnęła, Rockland uwalnił się na mnie. Myślałam, że będzie tak leżał do końca lata. Możemy iść?

- Możemy - odpowiedział Whitacre i wziął Louise pod rękę.

We drzwiach dobiegł ich głos Węgra w mundurze amerykańskiego korespondenta:

- ... i pięćset funtów!

Na dworze cuchnęło dymem zatęchłe jakoś i groźnie. W pierwszej chwili Michael przystanął. Poczł, że jego nerwy i szczęki ulegają nowej panice. Niewiele brakowało, a zawróciłby i umknął do „Ogniska”. Przemógł się jednak i poprowadził Louise w zasnutą dymem ciemność.

U wylotu ulicy Świętego Jakuba pomarańczowa łuna barwiła kłęby dymu. Dochodził stamtąd brzęk szkła i chrapliwe, ponure dźwięki, jakich Michael nigdy nie słyszał.

Wyszli zza rogu i spojrzeli w stronę Pałacu. Jezdnia połyskiwała milionem światł, gdyż promienie załamywały się w okruchach potłuczonych szyb. Przed frontonem Pałacu lśniło spore jeziorko. Chrapliwe dźwięki dobywały się z sanitarek i wozów strażackich, które na pierwszym biegu brnęły przez wodę. Michael i Louise szli szybko, bez słowa w stronę miejsca, gdzie upadła bomba. Buty ich skrzypiały po szkłe niby na oszronionej łące.

Tuż przed Pałacem bomba trafiła mały samochód. Stał pod ścianą zniekształcony, płaski, jak gdyby przepuszczono go przez olbrzymią wyżymaczkę. Nigdzie nie było śladu kierowcy ani pasażerów. A może zostało z nich tylko coś, co stary mężczyzna zmiatał starannie do niewielkiego wiaderka? Obok samochodu leżał jasnoblękitny damski beret, który cało wyszedł z katastrofy.

Domy naprzeciw Pałacu stały, chociaż frontowe ściany osunęły się zwałami gruzów. Wybuch jak cięcie noża otworzył pokoje oczom nocy. Dobrze znajomy, żalorny widok przedstawiały obrusy na stołach, beciki rozłożone na noc, zegary mierzące jeszcze czas tykaniem.

„Do tego ustawicznie dążą ludzie teatru - pomyślał Michael. - Usunąć czwartą ścianę i podpatrzeć życie od środka”.

Z uszkodzonych budynków nie dobywały się żadne odgłosy. Niewątpliwie bombardowanie zaskoczyło tylko niewielu mieszkańców.

„W najbliższym sąsiedztwie są głębokie schrony. Miejmy nadzieję, że ludzie byli ostrożni” - pocieszał się Michael.

Nikt nie próbował ratować ofiar, które mogły żyć jeszcze pod rumowiskiem. Strażacy brodzili wolno w wodzie tryskającej z przerwanej rury wodociągowej. Ochotnicy z Obrony Przeciwlotniczej usuwali gruzy z jezdni. Nie działało się nic więcej.

Przed fasadą Pałacu, gdzie normalnie stały budki wartownicze, a wartownicy maszerowali i sztywno jak drewniane zabawki prezentowali broń na widok nadchodzącego oficera, było teraz pusto. Michael wiedział, że wartownikom nie wolno opuszczać posterunku. Toteż żołnierze w staroświeckim stylu - godni, niedorzeczni, napuszeni - spokojnie przyjęli świst bomby, spokojnie przyjęli wybuch i umarli sztywno w chwili, gdy okna wypadały za ich plecami, a nad nimi, między basztami, szara tarcza starego zegara zwisała na sprężynach.

„Ja siedziałem o sto jardów stąd - rozmyślał Whitacre. - W palcach obracałem szklanekę whisky. Uśmiechałem się. Słuchałem, jak Węgier baje o Turystycznym Systemie Demokracji Kierowanej. Tymczasem zrozpaczony chłopiec, ślepy od blasku reflektorów, kulił się w przechylonym na bok samolocie. Pod nim, w migotliwym błysku wybuchów, Londyn zataczał się jak pijany. Tamiza, gmach Parlamentu, Hyde Park Corner, Marble Arch wirowały w oszalałych oczach. Chłopiec kulił się, spoglądał w dół wystraszonym wzrokiem. Wreszcie nacisnął guzik, który niemieccy lotnicy naciskają, by zabijać Anglików. I bomba poleciała na mały samochodek i dziewczynę w jasnoblękitnym berecie, na domy, co od stu lat stały spokojnie, na wartowników, których oddział został zwolniony z innych zajęć i objął zaszczytną funkcję wartowniczą przy Pałacu. Gdyby ów chłopiec w samolocie dotknął guzika o pół sekundy później lub o pół sekundy wcześniej, gdyby w danym momencie prąd powietrzny pochylił samolot inaczej, gdyby blask reflektorów nie oślepił lotnika albo oślepił go rychlej, gdyby, gdyby, gdyby... Wówczas szeregowiec Michael Whitacre leżałby we własnej krwi pod szczątkami «Ogniska

Międzysojuszniczego», a wartownicy by żyli, żyłaby dziewczyna w jasnoblękitnym berecie, domy stałyby nie naruszone, szedłby stary zegar pałacowy...".

„Mój Boże - myślał Michael. - «Gdyby» symbolizujące ślepe zrządzenie losu to przecież najbanalniejsze określenie wojny. Ale niepodobna o nim zapomnieć. Niepodobna zapomnieć o przypadkowym marszu wydarzeń, które pozwalają nam stanąć oko w oko z kolejnym «gdymy», które musi pojawić się jutro".

- Prędeż, mój drogi - odezwała się Louise.

Michael poczuł, że jego towarzyszka drży, i zdziwił się, bo zawsze była chłodna i opanowana.

- Prędeż, mój drogi. Nic tu nie mamy do roboty. Chodźmy do domu.

Bez słowa odwrócili się i odeszli, w chwili gdy strażnicy znaleźli widać jakiś hydrant, gdyż gejzer tryskający z przerwanej rury wodociągowej zmalął i po chwili opadł. Kałuża przed Pałacem uspokoiła się, poczerniała.

W stołecznym mieście Londynie wiele innych wydarzeń zaszło tego samego dnia.

Pewien generał przestudiował plany inwazji wybrzeży francuskich i zażądał, by dodatkowa dywizja piechoty lądowała w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od rozpoczęcia działań.

Pilot spitfire'a, który odbył dwukrotnie przewidzianą liczbę lotów bojowych i zestrzelił sześć nieprzyjacielskich maszyn, został ukarany za pijaństwo i przeniesiony do obsługi ziemnej, wobec czego zastrzelił się w pokoju sypialnym swojej matki.

Rozpoczęły się próby eksperymentalnego baletu, w którym solista czołga się na brzuchu przez całą scenę, symbolizując w ten sposób podświadomą żądzę.

W nowej komedii muzycznej aktoreczka w cylindrze i w czarnych jedwabnych pończochach zaśpiewała: „Kiedy zapłoną kinkiety, światło podnieci kobiety", a widownia (złożona w trzech czwartych z Amerykanów) była tak zachwycona, że refren podchwyciła chórem.

W biurach amerykańskiego kwatermistrzostwa (przy Grosvenor Square) wrzód przegryzł ostatecznie ściankę żołądka pewnego majora Służby Zaopatrzenia, który od dwóch lat pracował po szesnaście godzin na dobę przez siedem dni w tygodniu. Biedak

znalazł na biurku kopertę ze stemplem „ściśle tajne”, a w niej meldunek, że sto dwadzieścia ton pocisków stuściomilimetrowych nie dopłynęło do Southampton, ponieważ okręt typu „Liberty” rozleciał się na oceanie podczas umiarkowanego szkwału.

Pochodzący z Utah pilot fortecy latającej, zaginiony nad Lorient przed trzema miesiącami, zjawiał się nagle w hotelu „Claridge” i zażądał najbardziej reprezentacyjnego apartamentu. Pogodnie uśmiechał się do wszystkich i znał co najmniej czterdzieści francuskich wyrazów. W ciągu kwadransa odbył szesnaście rozmów telefonicznych posługując się notatnikiem adresowym, który zawsze nosił przy sobie.

Dwudziestoletni farmer z Kansas spędził osiem godzin w zimnym basenie, gdzie trenował pływanie pod wodą, aby w dniu inwazji bez trudu wysadzić podwodne przeszkody blokujące wybrzeża Europy.

W Izbie Gmin zainterpelowano ministra spraw zagranicznych, czemu żołnierze amerykańscy oskarżeni o gwałt zostali skazani na śmierć przez amerykański sąd wojenny i powieszenie, jakkolwiek prawodawstwo brytyjskie nie przewiduje kary głównej za gwałt, a przestępstwo, które niewątpliwie musi być uznane za pospolite, było popełnione na szkodę przedstawicieli brytyjskiej ludności cywilnej i na terytorium pozostającym pod suwerenną władzą Jego Królewskiej Mości.

Doktor filozofii z uniwersytetu w Heidelbergu, (obecnie szeregowiec w Królewskim Korpusie Saperów) przez cały dzień malował plandeki wodoodpornym szelakiem. W przerwie obiadowej rozmawiał po niemiecku ze świeżo przydzielonym kolegą. Cytował Kanta i Spenglera w oryginale, następnie zaś porównywał dane o barakach w Dachau.

Koło południa w skromnym pensjonacie w Chelsea pokojówka poczuła zapach gazu świetlnego, a otworzywszy drzwi jednego z pokoiów zobaczyła na łóżku splecione uściskiem nagie ciała amerykańskiego sierżanta i młodej Angielki. Obydwoje nie żyli. Kładąc się wieczorem nie zgasili piecyka gazowego. Mąż Angielki był w Indiach, a żona Amerykanina w Montanie. Władze wojskowe zawiadomiły ją, że sierżant zmarł na udar serca. Liczył sobie dwadzieścia jeden lat.

Pewien porucznik Królewskiego Lotnictwa Morskiego zjadł obiad w klubie, samochodem pojechał na lotnisko i w liberatorze wyleciał na codzienny patrol w poszukiwaniu okrętów podwodnych. Maszyna wystartowała pomyślnie, zatoczyła krąg w

powietrzu i odleciała na południe, w kierunku Zatoki Biskajskiej. Od tej chwili zaginął słuch o liberatorze i jego załodze.

Ochotnik z obrony przeciwlotniczej odgrzebał w piwnicy siedmioletnią dziewczynkę o czarnych włosach, którą przysypały tam gruzy podczas nalotu przed ośmioma dniami.

Kapral armii Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zsalutował sto jedenaście razy przecinając w poprzek Grosvenor Square po drodze z kwatery na obiad.

Szkot zatrudniony w Drużynach Rozbrajania Bomb wsunął ostrożnie rękę między uszkodzone lotki tysiackilowej bomby, która nie wybuchła w czasie nocnego nalotu, i wyciągnął zapalnik. Na trzy kwadransy przed tą operacją bomba zaczęła tykać podobnie do zegara.

Dwudziestopięcioletni poeta amerykański (obecnie sierżant saperów) spędzał w Londynie trzydniowy urlop. Przechadzając się z wolna po Opactwie Westminsterskim stwierdził, że nagrobki nie znanych nikomu arystokratów zajmują znacznie więcej miejsca niż nagrobki panów Keatsa, Byrona, Shelleya i Ski. Wyciągnął z tego wniosek, że gdyby Opactwo Westminsterskie było w Waszyngtonie, łatwiej trafiłby tam po śmierci Gould niż Whitman, a Harriman niż Thoreau.

Nowy kawał powtórzono w Londynie tysiąc dwieście razy. Brzmiał on: „Co właściwie mamy do zarzucenia Amerykanom? - Nic. Po prostu oni mają za dużo pieniędzy, żywności, odzieży i temperamentu, a my mamy ich za dużo”.

Matka trojga drobnych dzieci, których ojciec ranny pociskiem z niemieckiego moździerza dogorywał w tej chwili we wnętrzu strzeleckim pod Anzio, stała w kolejce przez sto pięć minut, aby wrócić do domu z funtem ościstego dorsza. Spojrzała na dzieci i postanowiła je zabić, lecz po namyśle udusiła rybę z jednym kartoflem i odrobiną mąki sojowej.

Komisja złożona z brytyjskich i amerykańskich oficerów sztabowych obradowała nad filmem ilustrującym przyszłą inwazję na Europę. Myślą przewodnią scenariusza miała być zgodna współpraca zespołowa wszystkich broni i służb. Podczas wymiany poglądów przedstawiciel Lotnictwa Królewskiego poróżnił się z przedstawicielem Brytyjskich Wojsk Lądowych, przedstawiciel Ósmej Armii Powietrznej nie mógł dojść do porozumienia z przedstawicielem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, a

przedstawiciel amerykańskiej Służby Zaopatrzenia naurągał przedstawicielowi Królewskiego Lotnictwa Morskiego. W rezultacie sprawę przekazano do decyzji na wyższym szczeblu.

W samo południe grupa brytyjskich szeregowych (kancelistów i gońców z biur wojskowych przy Berkeley Square) ćwiczyła walkę na bagnety między schronami lotniczymi i pniakami ściętych drzew. W tym czasie inni kanceliści przyglądali się kolegom jedząc obiad na zimnych kamiennych ławkach i wygrzewając się w promieniach zamglonego słońca.

Pewien brytyjski komitet doradczy ukończył sprawozdanie dla Naczelnego Dowództwa i wykazał jasno, że amerykańskie bombardowania dzienne są niepraktyczne i nad miarę kosztowne.

U ulicznych kwiaciarek pojawiły się pierwsze żonkile. Mizerni ludzie w połatanych ubraniach zatrzymywali się przed straganami, tęsknym wzrokiem patrzyli na chude bukieciki, a następnie kupowali je i zazdrośnie unosili do swoich biur i mieszkań.

W czasie poranku w National Gallery trio kameralne grało utwory Schuberta, Waltona i Bacha.

Niedaleko Whitechapel rozebrano na opał parkan, na którym w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku ktoś wymalował dużymi białymi literami: „Żądamy Drugiego Frontu - natychmiast”.

W ujściu Tamizy, opodal India Docks, na statku towarowym marynarz z Seattle modlił się o nalot w ciągu najbliższej nocy. Jego małżonka spodziewała się znowu dziecka, on zaś otrzymywał dodatek za każdy nalot podczas wachty w porcie.

Ponadto londyńczycy - mniej więcej cztery miliony dusz - poszli do biur, fabryk i magazynów, gdzie pracowali wytrwale, wolno i metodycznie. Nie licząc przerw na herbatę o dziesiątej rano i czwartej po południu, przez cały dzień dodawali, odejmowali, łatali, polerowali, montowali, szyli, dźwigali i sortowali towary, pisali na maszynach, odkładali papiery do segregatorów, zarabiali i tracili. A wszystko to robili bez pośpiechu, rozsądnymi, utartymi metodami, które zawsze drażnią Amerykanów mających coś do czynienia z Anglikami. Wieczorem londyńczycy wrócili do swoich domów, a część z nich nie doczekała następnego rana z przyczyny nocnego nalotu Luftwaffe. Ci ostatni umierali tak, jak żyli - powoli, godnie, banalnie.

*

W cztery dni po premierze *Hamleta* Michael został wezwany do kancelarii kompanii administracyjnej, gdzie był przydzielony pod względem zakwaterowania i wyżywienia. Otrzymał tam rozkaz, że ma się zameldować w Ośrodku Uzuppełnień Piechoty w Lichfield. Na spakowanie manatków przewidziano dwie godziny.

Rozdział XXIII

Barka desantowa zataczała jednostajne, nudne kręgi. Piana pryskała przez burty, zwilżała śliski pokład. Żołnierze, jak mogli, osłaniali broń, by nie zmokła. Barki pływały o milę od plaży. Zaczęło się to o trzeciej nad ranem. Obecnie było pół do ósmej i wszelkie rozmowy umilkły od dawna. Nawała ogniowa z okrętów wojennych dobiegała końca, a wraz z nią synchroniczne bombardowanie z powietrza. Zasłona dymna wypuszczona przez nisko lecący samolot kładła się równo na falach zatoki. Ludzie byli przemoczeni, zziębnięci i - z wyjątkiem tych, którym się zbierało na wymioty - bardzo głodni. Noemu podobało się to wszystko.

Przycupnięty na dziobie barki troskliwie osłaniał ładunki dynamitowe powierzone szczególnej pieczy szeregowca Ackermana. Czuł, że słone bryzgi Morza Północnego bębnią o jego hełm. Z lubością wdychał rzeźwe, ostre powietrze poranka. Był z siebie zadowolony. Pułk brał udział w manewrach zamykających okres szkolenia przed inwazją na wybrzeża europejskie. Była to próba generalna w dekoracjach i kostiumach, ze wsparciem floty i lotnictwa, z ostrą amunicją. Od trzech tygodni trzydziestoosobowe grupy ćwiczyły forsownie. Każda z nich szturmowała jeden bunkier, a składała się ze strzelców wyborowych, z ludzi dźwigających bazooki, miotacze płomieni i ładunki dynamitowe. Na ten dzień wyznaczono próbę generalną przed prawdziwym przedstawieniem. A w kancelarii kompanijnej czekał na Noego istny dar niebios: trzydniowa przepustka.

Burnecker, skłonny do choroby morskiej, bladł i zieleniał. W wielkich farmerskich łapach kurczowo ścisnął karabin, jak gdyby był to jedyny stały przedmiot w rozfalowanym świetle.

- Rzuca jak cholera! Bebechy się we mnie przewracają. - Blado uśmiechnął się do sąsiada.

Noe odpowiedział uśmiechem, bo w ostatnich tygodniach bardzo polubił tego chłopca.

- Już niedługo - mruknął.

- A jak ty się czujesz? - zapytał Burnecker.

- Pierwsza klasa.

- Chętnie przehandlowałbym spadek po starym za twój żołądek. A to zawsze osiemdziesiąt akrów.

Nad falami zabrzmiały rzucone silnym głosem rozkazy. Barka gwałtownie zmieniła kurs i pełną szybkością ruszyła w stronę plaży. Noe oparł się o stalową burtę gotów do skoku, gdy rampa opadnie. Cięte kilem fale wyżej miały pianę.

„Może w obozie dostanę telegram od Hope - myślał. - Dowiem się, że już po wszystkim. A kiedyś będę siedział spokojnie w domu i opowiadał synowi: «W dzień twoich urodzin lądowałem na próbę na angielskiej plaży. Miałem przy sobie dwadzieścia funtów dynamitu». - Uśmiechnął się i westchnął. - Cóż, w decydujących chwilach wolałbym być przy Hope. Ale i taka sytuacja ma dobre strony. Zanadto jestem zajęty, by się bardzo przejmować. Obejdzie się bez nerwowego spaceru po szpitalnych korytarzach, palenia papierosów, nasłuchiwania krzyków. Naturalnie to samolubny pogląd, lecz nie pozbawiony sensu".

Barka zgrzytnęła o dno przed równą, płaską plażą. Rampa opadła. Noe dał susa. Czuł, że ryszunek obija mu boki, a zimna woda chlupie w butach. Co tchu pobiegł za niską diunę i przywarował. Koledzy szybko wyskakiwali z barki. Rozpraszali się. Niknęli w zagłębieniach gruntu lub pod osłoną kęp wątlej trawy. Strzelcy otworzyli ogień do bunkra odległego o osiemdziesiąt kroków, widocznego dokładnie na niewysokiej nadmorskiej wydmie. Inni podpełzli do zasieków i umieściwszy rurę dynamitową pod drutami kolczastymi, zapalili lonty. Potem cofnęli się biegiem. Ładunki zaczęły wybuchać. Nowy zapach przyłączył się do ostrej, drażniącej woni gęstej zasłony dymnej rzuconej przez lotnika.

Noe poderwał się i skoczył do upatrzonego dołka tuż przed poszarpanymi zasiekami. Burnecker miał osłaniać dynamitowe ładunki i Ackermana, toteż deptał mu po piętach, a w dołku upadł na niego. Sapał jak miech kowalski.

- Mój Boże! - westchnął. - Stały ład to cudowny wynalazek.

Roześmiali się obydwaj i ostrożnie wychylili głowy. Żołnierze pracowali składnie, niczym drużyna piłki nożnej pod okiem doświadczonego trenera. Pewnie, na określone znaki, atakowali szare ściany bunkra.

Raz po raz grzmiąły krótkie, suche detonacje pocisków bazooki. Wielkie kawały betonu wylatywały w powietrze.

- W takich sytuacjach zadaję sobie tylko jedno pytanie - powiedział Burnecker. - Jak zachowają się Niemcy, kiedy my będziemy wyczyniać to wszystko naprawdę?

Noe wyskoczył z kryjówki i nachylony, z ładunkami dynamitowymi w rękach, pocwałował przez wyrwę w drutach kolczastych. Bazooka znów przemówiła. Noe padł płasko na piasek, by nie oberwać kawałkiem betonu. Burnecker ułożył się obok niego.

- Zawsze mi się zdawało, że orka to ciężka robota - sapnął.

- Nie biadaj, farmerski synku! - zawołał Noe. - Naprzód! Skok.

Był już na nogach. Burnecker stęknął, ale dźwignął się z ziemi. Padli znowu za wysoką na sześć stóp diunę, na której grzbiecie wilgotny wiatr tarosił trawy.

Żołnierz z miotaczem płomieni chyłkiem zbliżał się do bunkra. Kule karabinowe świstały nad głowami, odbijały się rykoszetem od betonu. „Ach, gdyby Hope mogła mnie teraz widzieć!” - pomyślał Noe.

Żołnierz z miotaczem płomieni zajął tymczasem wygodne stanowisko. Był to Donnelly, najsilniejszy w plutonie. Stosunkowo łatwo dźwigał na plecach wielkie, ciężkie zbiorniki. Osłaniający go kolega odkręcił kurki tych zbiorników. Z rury wylotowej prysnęły płomienie, migotliwe i chwiejne na silnym wietrze. Noe zwęszył dławiący, oleisty zaduch.

- Szafa gra! - ryknął Burnecker. - Do roboty, stary!

Ackerman poderwał się. Zwinnie, lekko skoczył w stronę bunkra. Donnelly'ego okrążył pod wiatr. Urojeni Niemcy musieli do tej pory zginąć lub przynajmniej byli ranni, poparzeni, oglupiali. Noe biegł szybko nawet po głębokim, sypkim piachu. Wszystko widział wyraźnie: pogruchotany, osmalony beton, niebezpieczną, ciasną szczelinę, stromą, zielonawą skalę rysującą się nad plażą na tle szarego, pochmurnego nieba. Czuł nadmiar sił. Zdawało mu się, że milami mógłby nieść ciężki ładunek. W biegu oddychał miarowo. Dokładnie zdawał sobie sprawę, dokąd dąży i co i jak ma zrobić. Przy samym

bunkrze uśmiechnął się nawet. Szybko, sprawnie rzucił w wyłom torbę z dynamitem. Drugi ładunek, umocowany na długiej żerdce, wsunął w otwór wentylacyjny. Wiedział, że cały pluton pochłania wzrokiem ten ostatni akt dramatu. Po mistrzowsku odegrał swoją „wielką scenę”. Sprawdził, że dobrze podpalone lonty plują iskrami. Odwrócił się i pogalopował do odległego o trzydzieści stóp zagłębienia. Zręcznie dał w nie nura, rozpląszczył się, głowę osłonił rękami. Przez chwilę cicho było na plaży. Tylko wiatr syczał pomiędzy źdźbłami nadmorskiej trawy. Potem gruchnęły dwa wybuchy - szybko, jeden po drugim. Odłamy betonu wyleciały w powietrze i zaryły się w piachu. Czarny, rozdarty bunkier dymił obficie. Noe wstał. Uśmiechał się dumnie, bo był rad z siebie.

Porucznik, który w obozie prowadził szkolenie, a na manewry przybył w roli obserwatora, zbliżył się do Noego.

- Dobra robota, chłopcze - zawyrokował.

Ackerman machnął ręką w stronę Burneckera, ten zaś wsparł się na karabinie i odpowiedział podobnym gestem.

Na zbiórce wieczornej Noe dostał list od Hope. Ręce mu drżały, kiedy otwierał kopertę.

„Ukochany - pisała. - Nic, jak dotychczas. Jestem potwornie gruba. Podejrzewam, że noworodek będzie ważył sto pięćdziesiąt funtów. Jem prawie bez przerwy. Kocham Cię”.

Noe czuł, że dojrzewa do ojcostwa. Trzykrotnie przeczytał list. Następnie złożył go starannie i wsunąwszy do kieszeni ruszył w stronę swojego namiotu, by przygotować się do trzech dni urlopu.

Szukając w worku czystej koszuli, pieszczotliwie dotknął pudełka, które tam przechowywał. Było na miejscu, owinięte starannie w arkusz woskowanego papieru. A w pudełku spoczywało dwadzieścia pięć cygar. Kupił je w Stanach i przewiózł przez ocean z myślą o dniu odległym wtedy, a dzisiaj bliskim. Dotychczas obywatel się w życiu bez sentymentalnych ceremonii, toteż prosty, niemądry zwyczaj rozdawania cygar na znak, że zostało się ojcem, nabierał w wyobraźni Noego cech dostojności. Za cygara w Newport News w stanie Wirginia zapłacił słono - osiem dolarów i siedemdziesiąt pięć

centów. No i pudło zajmowało w worku sporo cennego miejsca. Ale Ackerman nie żałował nigdy pieniędzy ani zachodu. Wyobrażał sobie lub raczej odczuwał nieświadomie, iż symboliczny akt zbliży odległą o trzy tysiące mil pociechę i złączy go z nią więzami, jakie powinny istnieć między prawdziwym ojcem a prawdziwym synem lub córką. Gdyby nie cygara, ów dzień mógłby minąć niepostrzeżenie dla niego i kolegów, a Noe byłby nadal żołnierzem takim jak wszyscy inni. Ale w kłębach ofiarnych dymów będzie nie tylko jednym z dziesięciu milionów, nie tylko tułaczem na obczyźnie, mundurem, karabinem, ukłonem wojskowym, hełmem... Zostanie ojcem - twórczym ogniwem miłości spawającym dwa ludzkie pokolenia.

- Spójrzcie no, chłopcy, na Ackermana - odezwał się Burnecker, który bez butów, ale w bluzie leżał na pryczy. - Gorący niby sobotnia noc na dansingu w Meksyku. Prawdziwy fircyk. W Londynie wszystkie dziwki będą się kłaść i zadzierać kiecki.

Noe podziękował uśmiechem za nieszkodliwy docinek. Jak tu inaczej niż na Florydzie! Im bliżej bitwy, tym lepiej każdy zdaje sobie sprawę, że jego życie będzie wkrótce zależeć od postawy całej kompanii, tym dokładniej zacierają się wszelkie różnice, tym bliżsi, przyjaźniejsi są sobie koledzy.

- Wcale nie jadę do Londynu - rzucił wiążąc starannie krawat.

- Ma jedną księżnę w Sussex - powiedział Burnecker do kaprała Ungera zajętego obcinaniem paznokci u nóg. - Bardzo dyskretna afera.

- Znów spudłowałeś. Nie mam księżnej w Sussex.

Noe naciągnął i pozapinał wyjściową bluzę.

- To dokąd jedziesz?

- Do Dovru.

- Do Dovru! - Burnecker aż usiadł ze zdziwienia. - Na trzy dni urlopu?

- Aha.

- Szwaby ostrzeliwują z dział Dover. Regularnie - powiedział Burnecker. - Naprawdę tam się wybierasz?

- Aha.

Noe machnął ręką na pożegnanie i zawołał przy wyjściu z namiotu:

- Zobaczymy się w poniedziałek.

Burnecker wzruszył ramionami.

- Facet dostał tęgie cięgi i pomieszały mu się klepki. Położył się i za minutę począł chrapać.

Ostatnie blaski zachodu gasły nad Francją.

Noe wyszedł ze staroświeckiej, czystej oberży zbudowanej z pruskiego muru. Cichą kamienną ulicą ruszył w stronę Kanału. Wieczór był pogodny, lekko zamglony. W restauracji w centrum miasta grała trzyosobowa orkiestra, a brytyjscy żołnierze tańczyli z dziewczętami na parkiecie. Noe nie kwapił się do tańca. Sam siedział przy stoliku, popijał nie słodzoną herbatę i skromnie spuszczał wzrok, ilekroć uchwycił zwrócone pod swoim adresem zalotne spojrzenie którejs z dziewcząt. Lubił tańczyć, ale stanowczo był zdania, że nie wypada uwijać się po posadzce z obcą kobietą, w chwili gdy Hope może wic się w bólach porodowych lub kiedy świat słyszy po raz pierwszy płacz jego dziecka. Wcześniej wstał od stołu i wyszedł zerkając na umieszczony nad orkiestrą napis: „Uprasza się nie tańczyć podczas bombardowania artyleryjskiego”.

Przekręcił klucz w drzwiach chłodnego, skąpo umeblowanego pokoju i schronił się do łóżka z uczuciem zadowolenia i spokoju. Do poniedziałkowego wieczoru nie musiał słuchać niczyich rozkazów. Usiadł w pościeli i rozpoczynając list do żony wspominał setki listów, które tworzył w początkowym okresie ich znajomości. Tym razem pisał:

„Siedzę teraz w łóżku - w prawdziwym łóżku i w prawdziwym hotelu! Na trzy dni jestem panem swojej woli. Zaczynam ten list i myślę o Tobie. Nie mogę się przyznać, z jakiego miasta list ten piszę, bo nie spodobałoby się to cenzorowi. Ale, jak sądzę, wolno Ci donieść, że dziś wieczorem gęste mgły spowiły ład, ja zaś dopiero co przyszedłem z restauracji, gdzie orkiestra grała *Wśród dawnych wspomnień*, a na ścianie widniał napis: «Uprasza się nie tańczyć podczas bombardowania artyleryjskiego». Mogę też chyba dodać, że zawsze Cię kocham.

Czuję się doskonale i przybyło mi całe cztery funty, chociaż przez ostatnie trzy tygodnie dostawaliśmy straszną szkołę. Do kraju wrócę zapewne tak spasiony, że nie poznasz mnie - ani Ty, ani dziecko.

Błagam, nie martw się, że to może być dziewczynka. Córka będę zachwycony. Słowo daję. Często teraz myślę o wychowaniu dziecka i doszedłem do konkretnych wniosków".

Noe pisał z przejęciem, nisko schylony nad blokiem, bo światło słabej żarówki migotało.

„Nie podobają mi się nowoczesne metody stosowane obecnie przez rodziców i opiekunów. Znam liczne przykłady spaczenia charakterów z winy tych metod, pragnę więc uchronić przed nimi nasze dziecko. Za kapitalny nonsens uważam pogląd, że dziecku należy pozwolić na wszystko, bo inaczej nie zdoła rozwinąć się normalnie. Takim właśnie ideom, opartym na absolutnie błędnych przesłankach, zawdzięczamy dzieci zepsute, kapryśne i krnąbrne".

Noe pisał poważnie, z głębi doświadczeń swoich dwudziestu trzech lat.

„Nie ulega wątpliwości, że świat nie pozwoli żadnemu dziecku - nawet naszemu - kierować się wyłącznie własnymi pragnieniami, a zatem przyzwyczajenie młodej istoty do samowoli jest oszustwem i źródłem rozczarowań w przyszłości. Jestem również przeciwnikiem żłobków i przedszkoli, bo wierzę głęboko, że przez pierwsze osiem lat życia sami potrafimy najlepiej wychowywać i kształcić własne dziecko. Protestuję też przeciwko zmuszaniu do zbyt wczesnej nauki czytania. Mam nadzieję, że moje opinie nie brzmią zbyt dogmatycznie. Zrozum mnie, proszę. Nigdy nie mieliśmy czasu na rozmowę o tych sprawach, dyskusję nad poszczególnymi zagadnieniami i osiągnięcie takiego lub innego kompromisu.

Kochana! Nie kpij ze mnie, że z takim namaszczeniem piszę o kruchym życiu, które w tej chwili pewno nie rozpoczęło się jeszcze. Prawdopodobnie jednak długi czas upłynie do mojego następnego urlopu, a tylko w samotności mogę roztrząsać poważne sprawy spokojnie i rozsądnie.

Jestem przekonany, najdroższa, że nasze dziecko będzie udane - silne fizycznie i umysłowo - i że bardzo je będziemy kochali. Przyrzekam wrócić do Ciebie i do niego z nienaruszonym ciałem i niewyschniętym sercem. Wiem, że tak będzie, bez względu na wszystko, co stać się może. Muszę wrócić, aby Tobie pomagać, a jemu opowiadać bajki do poduszki, karmić go szpinakiem i uczyć, jak się pije mleko ze szklanki, aby w niedzielę prowadzić go do parku i w zoo wbijać mu w głowę nazwy zwierząt, aby tłumaczyć mu,

dlatego chłopiec nie powinien bić dziewczynki i dlatego mamusię trzeba kochać tak samo, jak ją kocha tatuś.

W ostatnim liście pisałaś, że jeżeli to będzie chłopiec, nazwiesz go imieniem mojego ojca. Proszę Cię, nie rób tego. Do ojca nie byłem przywiązany i od małego berbecia starałem się przed nim uciekać, chociaż zawsze widziałem jego dodatnie strony. Jeżeli ci to odpowiada, daj mu imię Jonatan - na cześć Twojego ojca. Boję się go trochę, ale szanuję z głębi serca od Bożego Narodzenia w Vermont.

Nie martwię się o Ciebie, najdroższa. Wiem, że będziesz cudowna. A ty nie martw się o mnie. Teraz nic złego nie może mnie spotkać. Kocham cię.

Noe

PS. Dziś przed kolacją napisałem wiersz. Pierwszy wiersz w życiu! To spóźniona reakcja po szturmowaniu umocnionych stanowisk nieprzyjaciela. A oto on. Nie pokazuj nikomu. Trochę mi wstyd.

*O, strzeż się buntu serca,
Co z wojny sobie drwi.
I drzyj, gdy ktoś zapuka ,
W mosiężne drzwi.*

Masz pierwszą strofę. Jeszcze dwie napiszę dzisiaj w nocy i wyślę Ci w następnym liście. Pisz, najdroższa! Pisz! Pisz! Pisz!".

Starannie złożył ćwiartkę papieru i wyszedł z łóżka, żeby ją schować do kieszeni bluzy. Potem zgasił lampę i szybko wsunął się między rozgrzane prześcieradła.

W ciągu nocy artyleria nie ostrzeliwała miasta. Około pierwszej zawyły syreny, lecz sygnalizowały tylko samoloty wracające znad Londynu, które minęły wybrzeże Anglii o dziesięć mil na zachód. Nie odezwało się ani jedno działo przeciwlotnicze.

Idąc nadbrzeżną ulicą Noe wsunął rękę pod płaszcz i dotknął koperty. Zastanawiał się, czy znajdzie w Dover jakiś amerykański oddział, gdzie mógłby oddać list do

ocenzurowania. Z niesmakiem myślał zawsze o nie lubianych oficerach swej kompanii, którzy czytują listy do Hope.

Słońce było już wysoko i miedzianym blaskiem przebijało lekkie mgły. Sylwetki budynków rysowały się miękko. Noe minął odgruzowane starannie fundamenty, z których pociski działowe zmiotły cztery domy.

„No, trafiłem do miasta naprawdę dotkniętego wojną” - pomyślał Noe.

W dole leżał Kanał - szary i zimny. Francji nie można było dostrzec przez mgły rzadniejące nad falami. Trzy brytyjskie ścigacze, małe i zwinne, wślizgiwały się do betonowych hangarów w porcie. Nocą były u nieprzyjacielskich wybrzeży. Miotając białe bryzgi piany uwijały się pośród ruchliwych reflektorowych błysków, wartkich strumieni pocisków smugowych i podwodnych wybuchów, co strzelały w górę fontannami wysokimi na trzysta stóp. Teraz wracały wolno, spokojnie. W świetle niedzielnego poranka wyglądały nieszkodliwie i świątecznie, niby motorówki szykujące się do regat w modnym nadmorskim uzdrowisku.

„Miasto naprawdę dotknięte wojną” - powtórzył bezdźwięcznie Noe.

Przy końcu ulicy stał spiżowy pomnik pociemniały od wilgotnych wiatrów znad Kanału. Noe odczytał uważnie napis ku czci żołnierzy brytyjskich, którzy w latach 1914-1918 wyruszali z tego miejsca do Francji, aby nigdy nie wrócić.

„Wyruszyli stąd również w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku - myślał Noe oddalając się od pomnika - a w czterdziestym wracali przez Dunkierkę. Za dwadzieścia lat żołnierz zastanie w Dovorze nowy pomnik. Ciekawe, co na nim przeczyta i jakie bitwy odświeży w pamięci”.

Noe wędrował dalej ścieżką pnącą się na wielekroć opisywane nadmorskie skały. Dokoła były łąki, które podobnie jak wiele fragmentów angielskiego krajobrazu przypominały Noemu park troskliwie pielęgnowany przez sumiennego i zamięłwanego ogrodnika o niezbyt bujnej wyobraźni. Szedł szybko, wymachując rękami w takt kroków. Marsz bez karabinu, tornistra, hełmu, menażki, bagnetu i reszty rynsztunku był przyjemnym ćwiczeniem i nie wymagał wysiłku. Umiarkowany ruch w rześki zimowy ranek stanowił po prostu radosny wyraz nadmiaru sił i zdrowia.

Nim Noe stanął na szczycie skał, mgły rozproszyły się, a błękitny, roziskrzony Kanał połyskiwał wesoło aż do wybrzeży Francji. Po drugiej stronie białe rafy Calais. Noe zatrzymał się i spojrzał w dal nad wodą. Francja leżała zdumiewająco bliska, dotykalna. Ackermanowi zdawało się przez moment, że jakiś samochód jedzie wolno pod górę i mija spiczastą dzwonnice zarysowaną wyraźnie w kryształowym powietrzu. Mogła to być wojskowa ciężarówka i mogła wieźć niemieckich żołnierzy do kościoła.

„Dziwnie jest patrzeć na nieprzyjacielski teren, nawet z tak znacznego dystansu - dumiał Noe. - Oni też mogą mnie oglądać przez lornetki, ale odległość narzuca dziwny, niesamowity rozejm. Człowiek przywykł do myśli, że na wojnie kontakt wzrokowy z nieprzyjacielem wiedzie do natychmiastowych morderstw. W takiej spokojnej wzajemnej obserwacji jest coś sztucznego, przeciwnego naturze, co niepokoi i denerwuje. Po takim przeżyciu trudniej mi będzie zabijać Niemców”.

Stojąc na wierzchołku skały szeregowiec Ackerman przyglądał się jasnym, tajemniczym brzegom Francji. Na tle wojennego nieba rysowały się dzwonnice, doki, szczyty dachów i nagie szkielety drzew. Miasto Calais spowite w ciszę niedzielnego poranka leżało spokojnie, całkiem podobne do rozpostartego w dole miasta Dover. Noe zapragnął, aby Roger był z nim tego ranka. Na pewno miałby wiele do powiedzenia. Jak z rękawa sypałby pozbieranymi nie wiadomo skąd, pełnymi treści wiadomościami o dwóch portach-bliźniakach w historii, które na przestrzeni wieków posyłały sobie wzajemnie barki rybackie, turystów, ambasadorów, żołnierzy, piratów, broń, materiały wybuchowe... Roger zginął na Filipinach, pośród palm i szuwarów bagnistej dżungli. To smutne, niedorzeczne. Powinien raczej paść trafiony kulą podczas szturmowania brzegów tak przez siebie umiłowanej Francji. Powinien zginąć w prowincjonalnym miasteczku niedaleko Paryża, w momencie kiedy rozgląda się za właścicielem knajpki, z którym po przyjacielsku pił przez całe lato... A we Włoszech mógłby polec na ulicy rybackiej wioski, gdzie nocował jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku w drodze z Neapolu do Rzymu... Konając widziałby znajomy kościół, ratusz, dobrze zapamiętaną twarz dziewczyny...

Noe uprzytomnił sobie, że śmierć można ustawić na rozmaitych szczeblach sprawiedliwości, i że śmierć Rogera znalazła się w tej skali szczególnie nisko.

*Wiem, robisz oczko jak ta lala
I kulinarny talent los także a dał.'
Ale czy forsa nie nawala,
To tylko wiedzieć bym chciał*

W tej chwili postanowił po wojnie wrócić do Dovru i wziąć ze sobą Hope.

„Stałem tutaj, dokładnie na tym miejscu. Dokoła panował absolutny spokój, a w oddali Francja wyglądała zupełnie tak samo, jak wygląda teraz. Do dziś dnia nie wiem, czemu zachciało mi się spędzić w Dovrze urlop, który mógł być ostatnim. Nie wiem. Może kierowała mną prosta ciekawość, a może chęć zobaczenia miasta naprawdę dotkniętego wojną, miasta, skąd widać wroga. Tyle słyszałem o Niemcach. Mówiono mi, jak walczą, jakiej używają broni, jakie okropności popełniają. Zapragnąłem rzucić okiem na teren, który zajmują. I jeszcze jedno: Dover bywało czasem ostrzeliwane przez artylerię, a ja nigdy nie słyszałem ognia dział wycelowanych w moją stronę...

Nie! - zreflektował się Noe. - Ani słowa o wojnie! Będziemy spacerować tutaj w słoneczny letni dzień. Później siądziemy ramię w ramię na strzyżonej trawie i zapatrzymy się na drugi brzeg Kanału. Będziemy mówić, że przy pięknej pogodzie całkiem wyraźnie widać wieże kościelne we Francji".

Grzmot wybuchu rozdarł martwą ciszę. Noe spojrzał w dół, w kierunku portu. Nikły obłoczek dymu unosił się leniwie nad magazynami, między którymi eksplodował pocisk. Wybuchy następowały teraz jeden po drugim. Białe kłęby jak zabawki z waty rysowały przypadkowy deseń wśród dachów. Gdzieś daleko komin pochylił się wolno i upadł bez łoskotu, jak cukrowa piramidka na torcie. Na Dover padło siedem pocisków. Później nastąpiła cisza, jak gdyby miasto bez protestu układało się znowu do świątecznej drzemki.

Po drugiej stronie wody Niemcy dali upust wojennej pasji. Teraz czyszczą zapewne działa i czekają dalszych rozkazów.

Artyleria brytyjska nie odpowiedziała. Z wolna rozproszyły się dymy i opadł kurz wzniesiony wybuchami. Po pięciu minutach niepodobna było uwierzyć, że coś się w ogóle stało.

Noe ruszył powoli w stronę miasta. Schodząc ze stromego wzgórza próbował uzmysłwić sobie, jak właściwie wyglądało bombardowanie i jakie wywarło na nim wrażenie. Wydawało mu się dziwnie odległe, po dziecinnemu bez troskie, pozbawione wszelkiego planu. Czy tak naprawdę przedstawia się wojna? Czy to możliwe?

Miasto zbudziło się tymczasem. Dwie sędziwe damy zmierzały godnie do kościoła. Na głowach miały czarne kapelusze z piórami, w urękawiczonych dłoniach piastowały książki do nabożeństwa. Wysoki porucznik komandosów, z ręką na białym temblaku, przemknął szybko na rowerze, pewny siebie, wystrojony w mundur jak z igły. Bardzo mała dziewczynka, holowana w stronę Domu Bożego przez starszą ciotkę, spojrzała poważnie na Noego i rzuciła słowa rytualnego pozdrowienia angielskiej diatwy dla żołnierzy amerykańskich:

- Pan da trochę gumy!

- Harriet! - zgromiła ją chłodno ciotka.

Noe odpowiedział uśmiechem jasnowłosej kruszynie, wleczonej bezlitośnie na nabożeństwo.

Z wysokich czarnych drzwi wysypała się na chodnik familijna grupa: on, ona i dzieci od dziesięciu do czterech lat w schodkach. Ojciec prowadził za rączkę najmniejszą pociechę. Miał wydatny brzuch i zaspaną twarz bez wyrazu. Ubrany był w podniszczone palto z dobrego materiału i kapelusz stary, lecz po mistrzowsku wyszczotkowany. Matka jak pies owczarski okrążała swoją trzódkę, by w całości przeprowadzić ją przez ulicę i zmusić do pacierzy.

Bardzo piękna dziewczyna bez pończoch i w luźnym płaszczu minęła liczną rodzinę. Nie spostrzegła jej, bo idąc czytała pilnie niedzielną gazetę.

Po przeciwnej stronie ulicy sierżant angielski maszerował sztywno wiodąc żonę pod rękę. Miał klasyczną twarz brytyjskiego podoficera - chłodną, opanowaną, pełną wiary we własną mądrość i poczucie władzy. Żona była młoda i - w co Noe nie wątpił - starała się utrzymać na wysokim poziomie męzowskiego stylu, wytyczonego przez regulaminy wojskowe. Ale od czasu do czasu, zwłaszcza w chwilach gdy spod oka zerkała na krocącego obok małżonka, na ustach jej wykwitał żywy uśmiech. Sprawiało to niecodzienny, rozbijający efekt, jak gdyby podłotek z kolorowymi wstążkami we włosach wjechał na kudłatym szkockim kucyku między defilujące czołgi.

Obywatele Dovru rozmawiali wędrując zbombardowanymi ulicami swojego miasta.

- Dzień dobry! Dzień dobry! Dzień dobry!

- Piękna pogoda, co?

- Podobno pocisk trafił jeszcze raz w sklep rybny biednej pani Finchley.

- Tak się cieszę, że Albert znów przyjechał do państwa na niedzielę.

- Chwała Bogu, mgły się rozeszły.

- Francję widać jak na dłoni.

- Po obiedzie wybieramy się na skały popatrzeć trochę.

- Mam świetne wiadomości od Sidneya. Z serca dziękuję za pamięć! Już prawie zdrow. Trzy tygodnie temu zdjęli ostatnie szwy z rany. Urlop zdrowotny spędzi w Kalkucie.

- W sobotę wieczór przyjechał znów amerykański sierżant mojej Roberty. Cóż to za uroczy chłopak! Przywiózł ogromną puszkę tej doskonałej amerykańskiej sałatki owocowej i cały karton chesterfieldów. Powiadam drogiej pani, uroczy chłopak! Mówi, że zezwolenie na małżeństwo powinno nadejść mniej więcej za miesiąc. Rozumie droga pani, w wojsku wszystko musi odleżeć swoje. Nikomu nie pilno. Byle tylko zdążyli przed inwazją. Chciałabym urządzić wesele tutaj. Nawet już rozmawiałam z proboszczem.

- Dzień dobry! Dzień dobry! Dzień dobry!

Noe stanął przed frontonem kościoła, przysadzistej kamiennej budowli ozdobionej ciężką czworokątną wieżą. Wydało mu się, że Bóg czczony w tej świątyni to surowy Bóg Starego Testamentu, który długim pokoleniom wiernych znad Kanału narzuca prawa bez serdeczniejszych uczuć i niepotrzebnych subtelności. Musiał być Bogiem raf nadbrzeżnych, zimnych wód i sztormów, nieubłagane sprawiedliwym i skąpym w miłosierdzie. Część trawnika zajmował schron. W głębi, niedaleko plebanii, widać było zasieki z drutów kolczastych, a opodal groźne betonowe piramidy zapór przeciwczołgowych mających powstrzymywać Niemców, którzy nigdy nie wspięli się na skały Dovru, choć solennie przyrzekali to w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku.

Nabożeństwo już się rozpoczęło. Parafianie śpiewali jakąś pieśń. Kwadratowa budowla z szarego kamienia rozbrzmiewała chórem głosów. Na tle niskiego pomruku

organów i męskich basów lekko, swawolnie jakoś brzmiały kobiece i dziecięce soprany. Noe wszedł do kościoła powodowany impulsem, którego nie potrafiłby wyjaśnić. Wiernych było mało, rozejrzał się więc i usiadł w dębowej ławce niedaleko kruchty. Od razu spostrzegł wiele wybitych okien. Jedne załatano tekturą, inne połyskiwały odłamkami szkła w grubych ramach z ołowiu. Słony wiatr morski wdzierał się przez otwory, targał welony kobiet, przewracał kartki modlitewników, igrał z długim, siwym włosem pastora, który stał sennie zadumany kołysząc się do tyłu i do przodu w takt pieśni. Z suchą, pergaminową twarzą i rozwianą śnieżnobiałą grzywą sprawiał wrażenie sędziwego pianisty lub astronoma zbyt pogrążonego w fugach czy gwiazdach, aby pamiętać o wizycie u fryzjera.

Noe nigdy nie bywał w synagodze. Ojcowskie cytaty z ksiąg religijnych - natrętne, czysto retoryczne - wcześniej zaćmiły w jego myślach ideę bóstwa. Ani razu nie rozmawiał z żadnym duchownym - chrześcijańskim lub żydowskim. Był zdania, że są to ludzie zbyt zakłamanii, pewni siebie, wyrachowani, że po żołniersku narzucają swoją wolę, jak wszyscy inni dowódcy. Trudno szukać u nich pociechy duchowej. Gdyby zwrócić się do któregoś z nich i zawołać: „Ojcze zgrzeszyłem!” lub: „Ojcze, boję się piekła!”, duszpasterz poklepałby owieczkę po ramieniu i cytując regulamin wojskowy, kazałby porządnie wyczyścić karabin. Tak wyobrażał sobie Noe.

Teraz prawie nie słyszał modłów. Wstawał i siadał wraz z innymi. W uszach dźwięczały mu minorowe, łagodne melodie psalmów. Nie odrywał wzroku od strudzonej, subtelnej twarzy pastora, oświetlonej bladymi promieniami zimowego morskiego słońca, co przenikały przez stłuczone okna.

Wreszcie parafianie się poruszyli. Zaszleściły odkładane modlitewniki, zaszurały podeszwy butów. Dzieci poczęły uciszać się wzajemnie. Pastor wsparł się z godnością o pulpit, położył duże białe dłonie na polerowanym drewnie i przystąpił do kazania.

Z początku Noe nie chwycił treści zdań. Był w stanie ducha, w jakim często słuchał muzyki. Nie śledząc dokładnie melodii, nie podążając za koncepcją twórcy, puszczał wodze wyobraźni i przy oderwanych dźwiękach upajał się obrazami własnego pomysłu. Wiatr wdzierał się przez wybite szyby, chwilami tłumił niski, starczy głos pastora, dziwnie łagodny i ciepły. Był to głos pozbawiony zawodowej kapłańskiej pasji, głos głęboko religijny i zupełnie nieksiężowski, wolny od brzmienia dawniejszych modłów i

wypowiadanych niegdyś kazań, głos przemawiający do Boga i Jego trzódki pod wpływem świeżo poczętych myśli.

- Miłość - mówił starzec - to słowo Chrystusowe, co nie dopuszcza różnic ani chytrych wykrętów, ani wielorakiej interpretacji. Przykazano wam kochać bliźniego jak siebie samego, a nieprzyjaciół miłować niby braci. Słowa te i ich znaczenie są nie mniej jasne i proste niż żelazne gwichty na szalach, które ważyć będą nasze uczynki.

Bracia! Życie upływa nam nad Kanałem, ale zdawać się może, iż nie mieszkamy na jego wybrzeżach, lecz w czarnej głębi, pośród morskich wodorostów i ciernistych alg, pośród oślizłych wraków i żalonych kości topielców. A nad nami, bracia, przelewają się tragiczne fale ludzkiej nienawiści do Boga i człowieka. Przyptyw nadciąga dziś od północy i karmi nas sokami podbiegunowej beznadziejności. Pędzimy dni pośród armat, których spiżowy głos zagłusza ciche wołanie Stwórcy, nad których grzmotem słyhać jedynie wrzaski dzikiej pomsty. Patrzymy, jak nasze miasta obracają się w gruzy pod bombami. Patrzymy, jak nasze dzieci padają w kwiecie wieku od kul. Patrzymy na to i z głębi morza własnej nienawiści zadajemy ślepe ciosy miastom i działwie wroga. Wróg to sroższy od tygrysa, bardziej zgłodniały niż rekin, bardziej niż wilk okrutny. My pragniemy tylko bronić swojego skromnego, uświęconego tradycją trybu życia, zrywamy się więc do walki. Ale w walce przerastamy tygrysa srogością, rekina żarłocznością, wilka okrucieństwem. Bracia! Czy będziemy mogli kiedyś udawać, że zwycięstwo jest nasze? Czy spraw, które nigdy nie zginęłyby w naszej klęsce, nie zaprzepaścimy w triumfie? Czy wolno nam siedzieć w tym przybytku Boga i wierzyć, że z otchłani naszej nienawiści niedzielne słowa płyną do Jego stóp, skoro przez cały tydzień mordowaliśmy niewinnych, rzucali bomby na kościoły i muzea, palili biblioteki, grzebali matki z dziećmi pod zwałami stali i betonu, które stały się przekleństwem i ohydą dwudziestego wieku?

Nie chwalcie się w gazetach, że na chybił trafił obrzuciliście tysiącami ton bomb nieszczęsną niemiecką ziemię, bo powiadam wam, owe bomby padły na mnie, na wasz kościół, na was samych i na waszego Boga. Mówcie raczej o tym, jak płakaliście gorzkimi łzami, gdy musieliście zabić niemieckiego żołnierza, który stał przed wami uzbrojony i groźny. Wówczas przyznam radośnie, żeście moimi obrońcami, obrońcami mojego kościoła i mojej Anglii.

Widzę żołnierzy pośród wiernych i wiem, że każdy z nich ma prawo zapytać: „Cóż miłość znaczy dla mnie? Czy żołnierz może być posłuszny słowom Chrystusa? Jak ma miłować nieprzyjaciół swoje?”. Odpowiem na to: zabijaj z umiarem, z poczuciem tragedii i grzechu, będącego zarówno twoim grzechem, jak i grzechem człowieka, który pada z twojej ręki. Bo to przecież twoja dawniejsza obojętność i brak rozsądku, i chciwość, i głuchota uzbroiły go i wyгнаły w pole z myślą o zamordowaniu ciebie. Twój nieprzyjaciel miotał się niegdyś, płakał, wołał do ciebie, a ty odpowiadałeś: „Nic nie słyszę. Jego głos nie przepływa nad wodą”. Wreszcie on przywiedziony do rozpaczycy chwycił karabin, ty zaś rzekłeś: „Teraz mówi wyraźnie. Musimy go uśmiercić”.

Nie czuj się w swoim sercu sprawiedliwym, dlatego że oddajesz wrogowi krwawą ostatnią posługę - łagodny głos starca cichł, słabnął coraz bardziej. - Zabijaj, bo musisz, bo ludzka słabość i głupota nie potrafią znaleźć lepszej drogi do pokoju. Ale czyn to z poczuciem winy i żalu, szczerdź w granicach rozsądku nieśmiertelne dusze, których ziemskie powłoki znajdują śmierć na polu walki. Noś miłosierdzie w ładownicy i przebaczenie w plecaku. Nie morduj dla zemsty, bo zemsta nie do ciebie należy, lecz do Pana nad Pany. Zabijaj z myślą, że każde życie, które gasisz, znacznie zuboża twoje własne życie.

Powstańcie, dzieci, z mrocznego dna Kanału. Wyzwólcie się spod wraków i ciernistej podwodnej dżungli. Odżywcie dusze pokarmem cieplejszych prądów. Walczymy wprawdzie przeciwko katom, lecz na darmo nie zwilżajmy rąk posoką. Nie czynmy potworów z naszych wrogów, odmieniajmy ich raczej w braci. Chełpimy się, że podnosimy miecz boży, pamiętajmy zatem, że to szlachetna stal. Nie pozwalajmy, by w naszych angielskich dłoniach odmieniła się w nóż rzeźnicki.

Pastor westchnął i wzdrygnął się lekko. Jego długie, siwe włosy zatrzepotały na wietrze wpadającym przez potłuczone okna. Mętym wzrokiem spojrzął na głowy parafian, jak gdyby świadomość ich obecności uleciała mu ze starczej pamięci. Potem uśmiechnął się łagodnie do ław pustych w połowie.

Cicho zaintonował końcowe modły i jeszcze jedną pieśń kościelną. Ale Noe niewiele słyszał. Wstrząsnęły nim słowa kaznodziei, zbudziły nieśmiałą tkliwość dla podniosłego starca i zgromadzonych w kościele ludzi, dla żołnierzy przy działach po obu stronach Kanału i wszystkiego, co żyje, lecz niebawem umrze. Przepelniły Noego

mistyczną nadzieją. Logicznie nie mógł zgodzić się z poglądami pastora. Skazany na zabijanie i na to, że stanie się celem dla nieprzyjaciela, dobrze zdawał sobie sprawę z zawilości takiej wojny, w jakiej mu przyszło walczyć. Rozumiał, że ściśle zastosowanie się do rygorystycznych wymagań pastora zbyt wielkim brzemieniem obarczyłoby żołnierskie ramiona, a wrogowi dałoby znaczną przewagę w chwili, gdy taka przewaga może kosztować życie. Mimo to jednak kazanie zrodziło w Noem nadzieję. Świat nie zginął jeszcze! Na pewno nie zginął, skoro podczas wojny w mieście, gdzie ledwie opadły dymy ostatnich siedmiu wybuchów, mógł ktoś mówić z tak świętym ogniem o braterskim miłosierdziu, i to mówić bez obawy prześladowań i zemsty. Po tamtej stronie Kanału nikt nie ośmieliłby się na podobne słowa, a więc po tamtej stronie Kanału znajdują się ludzie, którym pisana jest klęska. Władza nad światem przypadnie w udziale nie tamtym z za wody, lecz tym, co kiwając się sennie, słuchają w skupieniu kazania swego sędziwego duszpasterza.

„Póki na świecie podnoszą się takie głosy, surowe, nielogiczne, kochające - myślał Noe - póty moje dziecko może żyć w nim ufnie i...”.

- Amen - zakończył nabożeństwo pastor.

- Amen - odpowiedziano chórem.

Noe wstał z wolna i wyszedł. Na cmentarzu postanowił zaczekać. Mały chłopiec wystrzelił z łuku do zapory przeciwczołgowej, a kiedy chybił, odszukał strzałę i ponownie zaczął celować uważnie.

Po chwili pastor stanął na stopniach kościoła. Poważnie ścisnął dłonie parafian, którzy sunęli sznurem do domów, gdzie czekały racjonowane niedzielne obiady. Włosy starca powiewały na wietrze, ręce drżały silnie. Był zgrzybiały, bardzo kruchy.

Noe czekał, aż odejdą ostatni parafianie, i wtedy dopiero zbliżył się do pastora, który odwracał się właśnie, żeby wejść w kościelne drzwi. Nie bardzo zdawał sobie sprawę, co chce powiedzieć. Nie umiał ubrać w słowa przepelniających go mglistych wzruszeń i nadziei.

- Proszę pana - zaczął cicho - czekałem tutaj, bo... Przepraszam... Nie potrafię wyrazić tego lepiej... Chciałem panu podziękować...

Starzec poważnie spojrzał na Noego. Miał ciemne, tragiczne oczy oprawione w sieć woskowych zmarszczek. Z godnością skinął głową i wyciągnął rękę suchą, delikatną i prawie przezroczystą. Noe uścisnął ją ostrożnie.

- Miło mi - powiedział pastor. - Dziękuję ci, synu. Przede wszystkim mówiłem do młodych chłopców, bo to wy musicie powziąć decyzję... Dziękuję ci, synu... Tak... tak. - Spojrzał na mundur Noego i zainteresował się nim uprzejmie: - Kanadyjczyk, co?

Ackerman nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nie proszę pana. Amerykanin.

- Amerykanin? - Starzec zmieszał się nieco. - Aha... Rozumiem. Noe miał wrażenie, że pastor nie pogodził się jeszcze z obecnością Amerykanów na Wyspach Brytyjskich, że słyszał o tym dziesiątki razy, ale wciąż zapominał, że wszystkie mundury na świecie były dlań całkiem do siebie podobne.

- Witam, serdecznie witam... Tak... Tak... - Niespokojnie spojrzał w stronę okien. - Trzeba postarać się jakoś o szyby. W kościele muszą być straszne przeciągi, co?

- Nie, proszę pana. - I tym razem Noe nie potrafił pohamować uśmiechu. - Wcale nie czułem przeciągów.

- Uprzejmy jesteś. Dziękuję ci, synu. Amerykanin, co? - starczy głos zabrzmiał nutą niepewności. - Niech ci Bóg błogosławi i po dniach grozy, które czekają nas wszystkich, wróci szczęśliwie do ojczyzny i twoich ukochanych.

Odstąpił krok, lecz odwrócił się szybko i zmierzył Ackermana niemal surowym wzrokiem. Tym razem jego głos brzmiał żywo, dźwięcznie, niby głos mężczyzny w sile wieku.

- Powiedz otwarcie, synu, czy uważasz mnie za głupiego, dzieciniałego ramola? - zapytał i ścisnął ramię Noego z siłą, o jaką trudno go było podejrzewać.

- Nie proszę pana. Uważam pana za wielkiego człowieka.

Starzec spojrzał przenikliwie w twarz młodzieńca, jak gdyby chciał z niej wyczytać drwinę lub współczucie dla swego podeszłego wieku i przestarzałych, wyszłych z obiegu poglądów. Widocznie jednak był zadowolony, gdyż wypuścił z uścisku ramię Noego. Spróbował się uśmiechnąć, ale twarz mu zadrgała i oczy zaszyły łzawą mgłą. Smutno pokiwał głową.

- Taki stary grzyb - powiedział - nie bardzo wie, na jakim świecie żyje. Tak... Tak... Nie wie też, czy mówi do kołysek, czy do mogił... Patrzyłem dziś na moich parafian i widziałem twarze ludzi, co pomarli pół wieku temu... Z początku mówiłem do nich. Później dopiero opamiętałem się... Ile masz lat, synu?

- Dwadzieścia trzy, proszę pana.

- Dwadzieścia trzy... - Starzec zadumał się chwilę i pogładził Noego po policzku. - Dwadzieścia trzy... Żywa twarz... Młoda... Będę się modlił, żeby Bóg raczył cię ocalić.

- Bardzo panu dziękuję.

Pastor przymknął powieki. Później niepewnie rozejrzał się dokoła. Zdawać się mogło, że zapomniał, gdzie jest i z kim rozmawia.

- Przyjdź do nas, synu, w którą niedzielę - powiedział cicho. - Może będziemy już mieć całe szyby.

Odwrócił się i szybko zniknął w czarnej czeluści kruchty.

W obozie Ackerman zastał depezę nadaną przed siedmioma dniami. Kiedy ją otwierał, czuł krew pulsującą w dłoniach i końcach palców.

„Chłopak - przeczytał. - Sześć i pół funta. Czuję się świetnie. Kocham cię - Hope”.

Jak pijany wychodził z kompanijnej kancelarii.

Po kolacji przystąpił do rozdawania cygar. Miał się na baczności, by nie pominąć nikogo, z kim stoczył walkę w obozie na Florydzie. Brakowało tylko Brailsforda, przeniesionego służbowo do Stanów. Pozostała dziewiątka przyjmowała cygara z nieśmiałym zażenowaniem. Wszyscy zresztą gorąco ściskali dłoń Ackermana, jak gdyby silniej przemawiał do nich cud ojcostwa oglądany z przeciwnej strony oceanu.

Donnelly - bokser ciężkiej wagi, niedoszły zdobywca „Złotych Rękawic”, a obecnie opiekun miotacza płomieni - omal nie zdruzgotał palców Noego w żelaznym uścisku groźnej łapy.

- Syn - mruknął. - Jak Boga kocham, syn! Cholera wie, co go czeka. Syn... No, może pętał nigdy nie będzie nosił munduru jak jego stary. Dziękuję, Ackerman. - Z poważną miną obwąchał podarunek. - Bardzo ci dziękuję. Jak Boga kocham, wspaniałe cygarko.

W ostatnim momencie Noe nie zdołał się przemóc. Sierżant Rickett i kapitan Colclough nie otrzymali tradycyjnego podarunku. Za to trzy sztuki dostały się Burneckerowi.

Tego wieczora szeregowiec Ackerman wypalił pierwsze w życiu cygaro i poszedł spać trochę oszołomiony dymem, z głową pełną dziwacznych wizji.

Rozdział XXIV

Drzwi uchyliły się i stanęła za nimi Gretchen Hardenburg w popielatym szlafroku.

- Słucham - rzuciła przez szparę. - O co chodzi?

- Serwus - uśmiechnął się Christian. - Przed chwilą zjechałem do Berlina.

Kobieta otworzyła drzwi szerzej i z bliska przyjrzała się gościowi. Przesunęła wzrokiem po naramiennikach i wtedy dopiero blask rozpoznania ożywił jej twarz.

- Aha - powiedziała. - Mój sierżant. Witam. Witam. Zupełnie otworzyła drzwi, lecz nim Christian zdążył objąć ją lub pocałować, podała mu rękę. Dłoń jej była koścista i drżała niepewnie, jak gdyby Gretchen była trochę podpita.

- Rozumiesz... W pierwszej chwili... - zaczęła się usprawiedliwiać. - To zakazane światło na schodach... I ty bardzo się zmieniłeś... Okropnie schudłeś... A twoja cera...

- Miałem żółtaczkę - uciał krótko, bo brzydził się swoją cerą i nie cierpiał, żeby mu o niej przypominać.

Inaczej wyobrażał sobie pierwsze minuty z Gretchen. Dlaczego trzyma go na schodach i z miejsca zaczyna nieprzyjemną rozmowę o zmienionej cerze?

- Miałem malarię i żółtaczkę. Dzięki temu jestem w Berlinie. Urlop zdrowotny. Dopiero co wygramoliłem się z wagonu. Przyjechałem tutaj prosto z dworca...

- Prawdziwy zaszczyt dla mnie - przerwała Gretchen i machinalnie odgarnęła z czoła zmierzwione włosy. - Jak to ładnie, że do mnie zjechałeś.

- Nie poprosisz mnie dalej? - zapytał Christian i pomyślał z niesmakiem: „Ledwie na nią spojrzalem, zaczynam zebrać”.

- Ach, strasznie przepraszam! - zawołała. - Tak mocno spałam... Jestem jeszcze półprzytomna. Oczywiście! Wejź!... Bardzo proszę. Wejź.

Zatrzasnęła drzwi za Christianem i poufałym gestem ścisnęła go mocno za ramię.

„Jeszcze wszystko może być dobrze - pomyślał wchodząc do niezapomnianej bawialni. - Widocznie spieszyła się w pierwszej chwili, a teraz wraca do siebie”.

W pokoju postąpił żywo krok w jej stronę, lecz Gretchen wywinęła się zręcznie i zapaliła papierosa.

- Siadaj - powiedziała sadowiąc się w fotelu. - Siadaj, bardzo proszę. Mój śliczny sierżant! Często przemyślałam, co się z tobą dzieje.

- Pisałem przecież. List po liście. Ani razu nie dostałem odpowiedzi.

Sztywno siedział na krześle.

- Ach, listy! - Gretchen skrzywiła się i zatoczyła łuk ręką z papierosem. - Po prostu człowiekowi brak czasu. Ciągle się zbierałam na odpowiedź, a potem... potem spaliłam twoje listy. Cóż miałam robić? Ale były cudowne... naprawdę cudowne... Straszne rzeczy! Tyłeś wycierpiał na tej Ukrainie, prawda?

- Wcale nie byłem na Ukrainie - odparł sucho Diestl - tylko w Afryce i we Włoszech.

- We Włoszech. Prawda! - podchwyciła bez zakłopotania. - Przynajmniej tam dobrze nam się wiedzie. To jedyna jasna strona.

Christian zadał sobie pytanie, z jakiego punktu widzenia Włochy mogą uchodzić za jasną stronę, ale nie odezwał się. Pozwolił mówić pani Hardenburg i bacznie ją obserwował. W szarym podniszczonym szlafroku wyglądała nieporównanie starzej. Oczy miała mętne i podpuchnięte, włosy matowe, a jej ruchy - niegdyś tak żywe i młodzieńcze - były dziś nerwowe, nieporadne, chwiejne.

- Zazdroszczę ci pobytu we Włoszech - ciągnęła. - Berlin jest niemożliwy! Niepodobna tu nie marznąć, niepodobna spać - co noc naloty. Coraz trudniej poruszać się po mieście. Staralam się o przydział do Włoch, przede wszystkim dlatego, żeby rozkoszować się ciepłem - wybuchnęła śmiechem sztucznym jakimś, zgrzytliwym. - Doprawdy należy mi się urlop - podjęła spieszenie. - Nie wyobrażasz sobie, w jakich warunkach żyjemy i pracujemy. Nieraz śmieję się w nos facetowi, co dyryguje moim biurem, i powiadam, że gdyby żołnierze musieli walczyć w takich jak my warunkach, na pewno proklamowałiby strajk.

„Dobre sobie - pomyślał Christian. - Przecież Gretchen serdecznie mnie nudzi”.

- Aha! - zawołała żywo. - Teraz naprawdę sobie przypominam. Nareszcie! Kompania mojego męża. Czarne koronki. Zginęły mi zeszłego lata. Nie masz pojęcia, jak berlińczycy rozkradli się ostatecznie. Nad każdą posługaczką trzeba krążyć niczym sęp.

„Na domiar złego robi się pyskata” - Diestl dorzucił nowy minus do swoich nieprzychylnych obserwacji.

- Nie powinnam opowiadać takich rzeczy żołnierzowi przybyłemu z frontu - mówiła dalej Gretchen. - Gazety rozpisują się ciągle, że w Berlinie wszyscy są przeraźliwie dzielni, że cierpią bez słowa skargi. Ale po licha taić coś przed tobą? Jak wyjdiesz na ulicę, i tak zaraz usłyszysz, że całe miasto biada. Przywiozłeś coś z Włoch?

- Z Włoch? - zdziwił się Christian.

- Tak. Coś do jedzenia. Wielu znajomych wracało stamtąd z serami i z tą znakomitą włoską szynką... Sądziłam, że i ty może...

Uśmiechnęła się zalotnie i kusząco pochyliła do przodu. W rozchyleniu szlafroka zarysowała się linia piersi.

- Nie - powiedział chłodno Christian. - Z Włoch przywiozłem tylko złotaczkę.

Był zmęczony i mocno zawiedziony. Jego plany na tygodniowy urlop w Berlinie obracały się dokoła Gretchen. A teraz...

- Nie znaczy to, by nam brakowało jedzenia... - podjęła pani Hardenburg bardziej oficjalnym tonem. - Po prostu chodzi o różnorodność.

„Wielki Boże! - westchnął bezgłośnie Diestl. - Po kilku minutach rozmowy zaczynamy dyskusję kulinarną!”.

- Bardzo przepraszam - rzucił szorstko. - Czy masz wiadomości od męża?

- Od męża? - Gretchen zrobiła taką minę, jak gdyby woląa dalej rozprawić o jedzeniu. - Mój mąż popełnił samobójstwo.

- Co takiego?!

- Zabił się - wyjaśniła pogodnie. - Składanym nożem kieszonkowym.

- Nie wierzę! - wybuchnął Christian, bo nie wyobrażał sobie, by tyle chłodnej, wyrachowanej energii, tyle sił działających celowo i rozumnie mogło unicestwić się z własnej woli. - Miał tak rozległe plany i...

- Znam jego plany - przerwała sucho. - Chciał zjechać tutaj. Nawet przysłał zdjęcie. Nie mam pojęcia, kogo i w jaki sposób namówił do sfotografowania swej twarzy. Odzyskał wzrok w jednym oku i nagle postanowił, że wróci i będzie żył ze mną. Nie wyobrażasz sobie, jak wyglądał. - Wzdrygnęła się wyraźnie. - Tylko szalenciec mógł uraczyć żonę takim portretem. Przy sposobności pisał, że ja na pewno dobrze go zrozumieć i będę wystarczająco silna. Zaczynanie od nowa to pomysł osobliwy sam w sobie. Ale bez twarzy... Mimo wszystko istnieją pewne granice, nawet podczas wojny. Pisał, że groza ma swoje miejsce w życiu, wszyscy więc powinniśmy się z nią godzić...

- Tak - wtrącił Christian. - Pamiętam. Mówił mi coś w tym sensie.

- Aha. Domyślam się, że mówił ci niejedno.

- Tak.

- Otóż - podjęła Gretchen tonem usprawiedliwienia - odpowiedziałam mu bardzo taktownym listem. Mozoliłam się nad nim przez cały wieczór. Napisałam, że tutaj będzie mu niewygodnie, a w szpitalu wojskowym znajdzie bez porównania lepszą opiekę, przynajmniej do czasu, gdy lekarze zrobią coś więcej z jego twarzą... Powtarzam, mój list był niesłychanie taktowny, chociaż, mówiąc otwarcie, trudno byłoby coś zrobić z twarzą, której właściwie prawie me ma... Okropność! Takie rzeczy powinny być surowo zakazane! Ale cóż?... Musiałam z tego wybrnąć delikatnie...

- Masz tę fotografię? - zapytał Diestl.

Gretchen spojrzała nań spod oka. Poprawiła rozchylony szlafrok.

- Tak. Mam tę fotografię - odparła szorstko i dodała wstając i idąc w stronę biurka:

- Nie rozumiem, po co ją oglądać?

Nerwowo przrzuciła zawartość dwóch szuflad i znalazła wreszcie małe legitymacyjne zdjęcie. Zerknęła na nie szybko i podała gościowi.

- Masz. Jak gdyby mało innych rzeczy straszyciło dziś ludzi... - Wzruszyła ramionami.

Christian spojrzał na podobiznę Hardenburga. Jasne, krzywe oko patrzyło zimno i władczo z bezkształtnej miazgi mięsa nad obcisłym kołnierzem munduru.

- Można to zatrzymać? - odezwał się po chwili.

- Ludzie dziwaczejają z dnia na dzień. - Gretchen znów wzruszyła ramionami. - Czasami mam wrażenie, że wszystkich należałoby zamknąć w szpitalach dla wariatów.

- Można to zatrzymać? - powtórzył Christian nie odrywając wzroku od zdjęcia.

- Chyba... tak... Mnie się na nic nie przyda.

- Byłem bardzo przywiązany do porucznika Hardenburga - wyjaśnił Diestl. - Wiele mu zawdzięczam. Nikt nie nauczył mnie równie dużo. To był olbrzym... Prawdziwy olbrzym!

- Niech ci się tylko nie zdaje, że ja nie byłam do niego przywiązana - podjęła żywo Gretchen. - Byłam, i to głęboko! Ale wolę wspominać go innym.

Wzięła ze stołu fotografię w srebrnej ramce i pogładziła ją sentymentalnym gestem. Przez szkło spoglądał Hardenburg przystojny i dziarski, ubrany w czapkę i paradny mundur.

- Robione w miesiąc po naszym ślubie. Mąż chciałby na pewno, żebym go takim pamiętała.

Klucz zachrobotał w zamku drzwi wejściowych. Gretchen drgnęła nerwowo i zawiązała sznur opasujący szlafrok.

- Niestety, sierżancie, będziemy się musieli pożegnać - szepnęła prędko. - Chwilowo jestem zajęta i...

Do pokoju weszła wysoka, masywnie zbudowana kobieta w czarnym płaszczu. Miała stalowosiwe włosy gładko szesane z czoła i małe, zimne oczki za okularami w drucianej oprawie.

- Dobry wieczór, Gretchen - odezwała się i nieprzychylnie spojrzała na Diestla. - Jeszcze nie ubrana? Zapomniałaś, że jemy dziś kolację w mieście?

- Miałam gościa - odpowiedziała pani Hardenburg. - To sierżant z dawnej kompanii mojego męża.

- Czyżby? - Głos nowo przybyłej zabrzmiał tonem chłodnej podejrzliwości; utkwiała badawcze spojrzenie w twarzy Christiana.

- Sierżant... sierżant - zaczęła Gretchen i stropiła się bardzo.

- Niewymownie mi przykro, ale... ale zapomniałam nazwiska...

- Diestl. Christian Diestl - rzucił ozieble i wstając spojrzal na kobietę w średnim wieku piastującą jeszcze dawne zdjęcie Hardenburga.

„Chętnie bym ją zamordował” - pomyślał.

- Aha! Sierżant Diestl... Mademoiselle Giguet - zaprezentowała gospodyni.

Christian sztywno skinął głową. Kobieta odpowiedziała ledwie dostrzegalnym spuszczeniem wzroku.

- Mademoiselle Giguet jest z Paryża - podjęła nerwowo Gretchen.

- Pracuje w naszym ministerstwie i... i mieszka u mnie, póki nie znajdzie odpowiedniego apartamentu. To bardzo ważna osobistość... Bardzo ważna! Prawda, kochanie? - zwróciła się do mademoiselle Giguet i zachichotała nienaturalnie.

Kobieta nie podjęła tematu. Bez pośpiechu zaczęła ściągać rękawiczki z szerokich, krzepkich dłoni.

- Bardzo przepraszam - powiedziała - ale muszę wziąć kąpiel. Czy jest gorąca woda?

- Ledwie letnia - odparła pani domu.

- Wystarczy. - Tęga, barczysta postać zniknęła w drzwiach sypialni.

- Niezwykle inteligentna osoba. Nie masz pojęcia, jak w ministerstwie wszyscy cisną się do niej po rady.

Gretchen nie patrzyła na Christiana.

- No, na mnie czas - powiedział biorąc czapkę. - Dziękuję za fotografię i żegnam.

Pani Hardenburg drżącą ręką poprawiła kołnierzyk szlafroka.

- Żegnam, sierżancie. Trzaśnij po prostu drzwiami. Zamek działa automatycznie.

Rozdział XXV

Christian i Behr szli powoli plażą w kierunku miejsca, gdzie zostawili buty. Bose stopy zapadały w chłodny piasek. Dokoła zalegała cisza. Słysząc było tylko wiosenny pomruk fal, które toczyły się od amerykańskich wybrzeży odległych o trzy tysiące mil. Behr przystanął, by zapalić papierosa. Jego silna robotnicza dłoń zdawała się olbrzymia w porównaniu z cienkim zwitkiem tytoniu.

- Mam wizję Niemiec za rok od dnia dzisiejszego - mówił.

- Ruiny. Same ruiny. Dwunastoletnie dzieciaki używają granatów ręcznych, żeby zdobyć kilo mąki. Na ulicach nie widać młodych mężczyzn, chyba że chodzą o kulach. Zdrowi gniją w obozach jenieckich w Rosji, Francji, Anglii. Stare baby w kieckach z workowego płótna ledwie powłóczą nogami, Czasami jedna czy druga pada nagle martwa - z głodu. Fabryki nie pracują, bo zostały zbombardowane do fundamentów. Nie ma rządu, tylko prawa wojenne narzucone przez Rosjan i Amerykanów. Nie ma szkół, domów rodzinnych, nie ma przyszłości.

Behr umilkł, zapatrzył się w morze. Było późne popołudnie, dziwnie łagodne i ciepłe jak na normandzkie przedwiośnie. Słońce - wielka pomarańczowa kula - wolno zapadało w wodę. Ostre trawy na wydmach stały spokojnie w wieczornej ciszy. Kręta nadbrzeżna szosa była pusta, a widoczne w oddali kamienne zabudowania farm wyglądały tak, jak gdyby ludzie opuścili je od dawna. Behr dumiał. Przez zasieki z drutów kolczastych spoglądał na morze.

- Nie ma przyszłości - powtórzył głucho. - Nie ma przyszłości.

Behr, sierżant w nowej kompanii Christiana, był zrównoważonym mężczyzną atletycznej budowy. Miał około trzydziestki. Żonę i dwoje dzieci stracił w styczniu podczas bombardowania Berlina przez Lotnictwo Królewskie. Jesienią został ranny na froncie wschodnim, o tym jednak mówił niechętnie. Do Francji przybył na kilka tygodni przed powrotem Diestla z berlińskiego urlopu.

W ciągu miesiąca Christian dobrze poznał i bardzo polubił Behra, a że Behr odwzajemniał jego sympatię, dwaj sierżanci często spędzali razem wolny czas. Odbywali

długie spacery po budzącej się do wiosennego życia okolicy i popijali domowy calvados lub cierpki jabłecznik w gospodach wiejskich w rejonie zakwaterowania batalionu. Zawsze nosili w kaburach pistolety, bo oficerowie wciąż straszili podwładnych żywą działalnością francuskich band partyzanckich *maquis*. Ponieważ jednak nie było słyhać o niepokojących wydarzeniach w sąsiedztwie, Behr i Diestl doszli do zgodnego wniosku, że częste ostrzeżenia dowodzą jedynie nadmiernej nerwowości przełożonych. Włączyli się więc śmiało pośród farm i nad brzegami morza. Spotkanych Francuzów traktowali uprzejmie, ci zaś zachowywali się po przyjacielsku, chociaż na ciężką i skrytą chłopską modłę.

Christian najbardziej cenił w nowym przyjacielu jego normalność. Wszyscy, z którymi od straszliwej nocy na przedpolach Aleksandrii miał coś do czynienia, sprawiali wrażenie rozstrojonych psychicznie histeryków, zbyt pobudliwych, przemęczonych, drażliwych. Tymczasem Behr był jak wiejskie powietrze - chłodny, niezawodny, krzepiący, zdrowy. Cóż dziwnego, że kojąco wpływał na Christiana i uspokajał jego nerwy napięte do ostatnich granic malarią i artyleryjskim ogniem.

W swoim czasie Diestl niechętnie jechał do nowego batalionu w Normandii.

„Dosyć - myślał z żalem i rozgoryczeniem. - Zrobiłem swoje. Nie stać mnie na więcej. Afryka, Włochy, okaleczona raz na zawsze noga, chroniczna malaria... To chyba starczy? Czego jeszcze można się po mnie spodziewać? Żeby spotkał Amerykanów, jak wylądują na francuskich plażach? To stanowczo za wiele. Takich rzeczy nie wymaga się od weteranów. Są miliony nie zadraśniętych nawet żołnierzy. Czemu nie posłużyć się nimi?“. Był zły i serdecznie litował się nad sobą. Podczas urlopu w Berlinie czuł się schorowanym starcem. Po szesnaście lub osiemnaście godzin spędzał w łóżku. Drzemał. Nie wstawał nawet, kiedy nocą nadlatywały nieprzyjacielskie bombowce.

Później zawarł znajomość z Behrem i zaczął leczyć się stopniowo dzięki żywiołowej, krzepiącej sile nowego przyjaciela. W ciągu spokojnego, zdrowo przeżytego miesiąca przybrał na wadze, odzyskał świeżą cerę. Ani razu nie cierpiał na ból głowy i nawet chora noga przystosowała się jakoś do pracy krzywo zrosniętych ścięgien.

A tego wieczoru Behr siedł obok Christiana po chłodnym piasku plaży i mówił posepnie:

- Nie ma przyszłości. Nie ma przyszłości. Kładą nam w łeb, że Amerykanie nigdy nie wylądują w Europie. Brednie! Nasi wodzowie gwizdzą w czasie spaceru między mogiłami, żeby dodać sobie ducha. Tylko że to będą nasze mogiły, nie ich. Amerykanie wylądują, bo postanowili wylądować. Nie migam się od śmierci, ale wstrętem przejmuję mnie śmierć bezużyteczna. Oni wylądują bez względu na to, co zrobimy ty albo ja. Wylądują, pójdą do Niemiec jak po maśle i spotkają Rosjan. Wtedy koniec z nami, raz na zawsze.

Przez chwilę szli w milczeniu. Christian czuł sypki piasek między palcami nóg. Przypomniało mu to dawne czasy w domu, kiedy jako mały chłopiec biegał latem na bosaka. Te słodkie wspomnienia i widok plaży o cichym zmierzchu łagodziły po trosze efekt złowróżbnych słów. Trudno było zdobyć się na tak rzeczową trzeźwość, jakiej wymagał przyjaciel.

- Wciąż słucham - ciągnął Behr - co gada berlińskie radio. Chełpią się tam, zapraszają Amerykanów, by spróbowali lądować, napomykają o nowych broniach, wróżą, że lada dzień Rosjanie zaczną wojnę z Ameryką i Anglią. Słucham tego wszystkiego i mam ochotę tłuc głową o mur i płakać. A wiesz dlaczego? Nie dlatego że nas okłamują, tylko że te łgarstwa są głupie, bezczelne, byle jakie. Właśnie! Byle jakie. To najwłaściwsze określenie. Jacyś faceci siedzą tam spokojnie i plotą, co im ślina na język przyniesie, ponieważ gardzą nami i całym niemieckim narodem. Faceci z Berlina mają nas za durniów, co chętnie dają wiarę wszelkim bredniom wymyślonym przez byle kogo. Ci faceci wiedzą, że zawsze będziemy gotowi umierać w imię każdego idiotycznego sloganu, który upichcą w ciągu wolnego kwadransu, między obiadem a pierwszym popołudniowym kuflem piwa.

- Słuchaj - rozprawiał dalej Behr. - Poprzednim razem mój ojciec bił się cztery lata. Rozumiesz: Polska, Rosja, Włochy, Francja. Był trzykrotnie ranny, a umarł w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku na skutek zatrucia gazem, którego nabrał do płuc w Lesie Aragońskim w ostatnich miesiącach wojny. Dobry Boże! Tacy z nas kretyni, że raz po raz zgadzamy się staczać te same bitwy, niby w filmie powtarzanym nieustannie... Nic się nie różni: pieśni, mundury, wrogowie, klęski. Tylko groby są wciąż nowe. No i obecnie finał będzie odmienny. Niemcy zapewne nie nauczą się niczego, ale inni nabiorą rozumu. Tak. Będzie inaczej. Koszt przegranej wzrośnie, znacznie wzrośnie. Poprzednim

razem mieliśmy przyjemną, prostą wojenkę w europejskim wydaniu. Wszyscy ją dobrze rozumieli i rozgrzeszali, bo podobne batalie świat zna od tysiąca lat. Wojna odbywała się w kręgu jednolitej kultury. Grupa cywilizowanych po chrześcijańsku dżentelmenów biła się z drugą grupą cywilizowanych po chrześcijańsku dżentelmenów według zasad ustalonego kodeksu praw moralnych. Kiedy się wszystko skończyło, ojciec odmaszerował ze swoim pułkiem do Berlina. Po drodze dziewczęta rzucały kwiaty żołnierzom. Ojciec zdjął mundur, wrócił na swój urząd i jak gdyby nigdy nic zaczął znów sądzić sprawy cywilne. Tym razem nikt nie będzie rzucał nam kwiatów, jeżeli nawet zostanie garstka takich, co odmaszerują do Berlina. Tym razem to nie prosta, zrozumiała wojenka w kręgu jednolitej kultury. Tym razem to szturm dzikiego zwierza na dom istot ludzkich. Nie wiem, co widywałeś w Afryce i we Włoszech, ale wiem dobrze, z czym zetknąłem się w Rosji i w Polsce. Zbudowaliśmy cmentarz tysiąc mil długi i tysiąc szeroki. Mężczyźni, kobiety, dzieci, Polacy, Rosjanie, Żydzi. Nam było wszystko jedno. Niepodobna tego porównać do żadnych poczynań człowieka. Tak zachowywać się może tylko kuna w kurniku. Jak gdybyśmy zrozumieli, że wszystko, co zostanie przy życiu na Wschodzie, będzie pewnego dnia świadczyć przeciwko nam i przyczyni się do wyroku skazującego. A dzisiaj - ciągnął Behr stłumionym, jednostajnym głosem - po tym, co niestety zaszło, popełniamy ostateczny błąd: przegrywamy wojnę. Dziki zwierz zapędzony w matnię bez wyjścia. Istota ludzka gotuje się do decydującego ciosu. I co nas czeka? Jak sądzisz, Diestl? Słowo daję, czasami modlę się po nocach i dziękuję Bogu za śmierć żony i dzieci. Przynajmniej nie będą musiały żyć w powojennych Niemczech. Czasami - spojrzał znów w stronę morza - gapię się na tę wodę i powiadam sobie: „Skacz! Umykaj do Anglii, do Ameryki. Próbuj przepłynąć pięć tysięcy mil, byle się stąd wydostać!”.

Diestl i Behr stanęli tymczasem nad swoimi butami. Posepnie spoglądali z góry na martwą czerń skóry, jak gdyby ciężkie czworokątne buty o podeszwach gęsto podkutych gwoździemi stanowiły symbol ich męki i niedoli.

- Ale nie mogę popłynąć do Ameryki - westchnął Behr. - Nie mogę popłynąć do Anglii. Muszę zostać tutaj. Jestem Niemcem. Spotka mnie wszystko to, co ma spotkać Niemcy. Dlatego właśnie rozmawiam dziś z tobą, Diestl. Rozumiesz oczywiście - dodał - że gdybyś komuś pisał słówko, zostanę z miejsca aresztowany i dostanę kulę w łeb.

- Nikomu nie pisnę słowa - obruszył się Christian.

- Obserwuję cię od miesiąca - podjął Behr - mierzę, ważę. Jeżeli nie jesteś taki, za jakiego cię uważam, omyłka może mnie kosztować życie. Chętnie poświęciłbym więcej uwagi tym obserwacjom, ale, widzisz, czasu mamy mało i...

- Nie bój się - przerwał mu Diestl. - O mnie możesz być spokojny.

- Zostaje nam ostatnia nadzieja - ciągnął Behr przyglądając się butom. - Jedyna nadzieja dla Niemiec. Musimy dowieść światu, że w Trzeciej Rzeszy przetrwały dotychczas istoty ludzkie, nie same dzikie zwierzęta. Musimy dowieść, że te istoty ludzkie są zdolne do samodzielnego działania.

Oderwał wzrok od butów i pogodnie, rozumnie spojrzał w oczy przyjaciela. Christian zdawał sobie sprawę, że proces ważenia i mierzenia trwa nadal. Milczał. Czuł się nieswojo. Irytowały go dziwne zwierzenia, zarazem jednak wiedział, że wysłuchać ich musi i do końca będzie słuchał jak urzeczony.

- Anglia, Rosja, Ameryka - mówił dalej Behr - nikt na świecie nie zawrze z nami pokoju, póki w Niemczech rządzi Hitler ze swoją kliką. Istoty ludzkie nie podpisują rozejmów z tygrysami. A my musimy podpisać rozejm, i to natychmiast, jeżeli chcemy cokolwiek uratować w Niemczech. Do czego zmierzam? - rzucił retoryczne pytanie, jak prelegent. - Zmierzam do tego, że Niemcy sami muszą pozbyć się tygrysów. Muszą podjąć ryzyko dla tego celu. Muszą przelewać krew w walce z tygrysami. Nie wolno czekać, aż wróg zada nam klęskę i ofiaruje rząd niby podarek, bo wtedy nie będzie już czym rządzić i zabraknie ludzi silnych i chętnych, by podjąć się rządzenia. Zmierzam do tego, że ty, Diestl, i ja musimy być gotowi do zabijania Niemców, aby dowieść reszcie świata, że wbrew pozorom nie zgasła nadzieja dla Niemiec. - Jeszcze raz spojrzał bacznie na przyjaciela.

„Jak ćwiekami przygważdża mnie jednym dowodem zaufania po drugim” - pomyślał z urazą Christian, lecz nie mógł się zdobyć na właściwą odprawę dla Behra.

- Nie myśl, że sam to wszystko wykombinowałem. Nie jestem odosobniony. Plan dojrzewa stopniowo w całej naszej armii, w całych Niemczech. Trwa powolny zaciąg ochotników. Nie twierdzą, że odniesiemy sukces. Twierdzą zaledwie, że po jednej stronie stoi pewna śmierć, pewna ruina, a po drugiej... Cóż? Po drugiej - odrobina nadziei. Naturalnie ocalić nas może tylko jeden rodzaj rządu, który potrafimy zapewne powołać, gdy sami zdobędziemy się na czyn. Jeżeli zaczekamy, aż wyręcą nas wrogowie, będziemy

mieli pół tuzina małych rządów bez władzy, bez znaczenia. Nikomu niepotrzebnych rządów tylko z nazwy. Wtedy lata dwudzieste wydadzą się utopią w porównaniu z pięćdziesiątymi. Posłuchaj, Diestl! Sami zaprowadzimy porządek, ustanowimy rząd komunistyczny i z dnia na dzień staniemy się ośrodkiem komunistycznej Europy. Rozumiesz? Cały kontynent będzie musiał karmić nas, utrzymywać w stanie siły. Cały kontynent! Wszystkie narody! Nie istnieje dla Niemiec inna forma rządów, bez względu na to, co mogą gadać Anglicy czy Amerykanie. Bo nie dopuścić, by Niemcy zaczęli się wzajemnie mordować w systemie... no, na przykład w systemie zwanym przez Amerykanów demokracją, będzie trudniej niż zapewnić owczarni bezpieczeństwo dzięki zobowiązaniom honorowych wilków. Nadwątlonego domu nie uchroni przed ruiną malowanie ścian. Trzeba sięgnąć głęboko, do fundamentów, trzeba je wzmocnić żelaznymi podporami. Amerykanie są naiwni i mają zwały sadła na mięśniach. Mogą sobie pozwolić na luksus i marnotrawstwo demokracji. Ale żadnemu Amerykaninowi nigdy nie przyszło do głowy, że ich system zależy od ciepłych pokładów tłuszczu pod skórą, nie od pięknych słów, którymi szpikują księgi praw...

„Dziwne echo - pomyślał zaskoczony Christian. - Gdzie i kiedy było to już powiedziane?”.

Nagle przypomniał sobie Margaret Freemantle i dawno miniony ranek na zaśnieżonym stoku górskim. Usłyszał własny głos mówiący podobne zdania z całkiem innej racji. Przez moment nie słyszał Behra.

„Idiotyczna, denerwująca historia - myślał. - Raz po raz tasujemy te same przesłanki, aby wyciągnąć z nich zupełnie inne wnioski: takie, jakich nam w danej chwili trzeba”.

- ... trzeba zaczynać z miejsca - dokończył zdanie Behr. - Mamy liczne kontakty we Francji. Dzisiaj Francuzi chcą tylko mordować Niemców, ale jutro mogą się stać naszym najwierniejszym sojusznikiem. To samo dotyczy Polaków, Rosjan, Norwegów, Holendrów, wszystkich! Z dnia na dzień podarujemy Amerykanom zgodną, zjednoczoną dokoła Niemiec Europę, a oni będą musieli przyjąć prezent, czy spodoba się im, czy nie. Inaczej... Cóż? Inaczej módl się, Diestl, o śmierć na początku rozgrywki. Posłuchaj teraz. Są pewne specjalne zadania, które ktoś musi wykonać. Czy mam powiedzieć towarzyszom, że się tych zadań podejmiesz?

Behr usiadł na plaży i zaczął wciągać skarpetki. Nie spieszył się. Troskliwie strząsał z nich piasek, wyglądał najdrobniejsze fałdki.

Christian patrzył w morze. Był zniechęcony, smutny. Do przyjaciela czuł żal i głęboką urazę.

„Ładny wybór ma dzisiaj człowiek - myślał ponuro. - Między jednym a drugim rodzajem śmierci. Strzykacz czy kula? Nóż czy trucizna? Mój Boże, gdybym był świeży, wypoczęty po długim, przyjemnym urlopie... Gdybym nie był ranny, ciężko chory... Wtedy mógłbym pewno spojrzeć na to wszystko spokojnie i rozumnie, dać właściwą odpowiedź, wyciągnąć rękę po odpowiednią broń...”.

- Wciągaj no buty - odezwał się Behr. - Czas wracać. Nie musisz dziś nic decydować. Namyśl się.

„Namyśl się! - powtórzył bez słów Diestl. - Równie dobrze chory może rozmyślać o raku w swoich bebechach, skazaniec o wyroku śmierci, cel o pocisku, który przewierci go za moment”.

- Posłuchaj! - Behr, trzymając but w rękę, poważnie patrzył w górę. - Jeżeli o naszej rozmowie powiesz komukolwiek, znajdą cię pewnego pięknego dnia z nożem w plecach. Obojętne, co przedtem stanie się ze mną. Bardzo cię lubię, Diestl, ale muszę dbać o własną skórę. Upowiedziałem towarzyszy, że będę dziś gadał z tobą.

Christian spojrział na czerstwą twarz przyjaciela, który siedział ze spokojną, pogodną miną. Tak mógłby wyglądać mechanik, który przed wojną przychodził naprawić radio, albo policjant prowadzący przez jezdnię parkę małych dzieci w drodze do szkoły.

- Mówiłem ci już, Behr, o mnie możesz się nie martwić. Nie będę namyślał się nad niczym. Jestem zdecydowany i... - Diestl nie dokończył zdania, bo złowił uchem podejrzany łoskot.

Odruchowo padł na plażę. Pociski grzęznąc w piasku zatrzepotały głucho koło jego głowy. W ramieniu poczuł bezbolesne pchnięcie stali przesywającej mięśnie. Podniósł wzrok i o pięćdziesiąt stóp nad sobą zobaczył spitfire'a, który po długim locie ślizgowym zaryczał nagle pełnymi obrotami silnika. Samolot płynął w czystym powietrzu. Na skrzydłach połyskiwały barwne kręgi. W ukośnych promieniach słońca zespół sterów ogonowych lśnił jak srebro. Wspiął się teraz, oddalał szybko i wkrótce zarysował się

wdzięcznie nad morzem opalizującym od pogodnego wiosennego zachodu. Był nie większy od mewy, gdy w oddali spotkał się na tle słońca z drugim myśliwcem opisującym szeroki krąg nad falami oceanu.

Wówczas Christian spojrział na kolegę. Behr siedział wyprostowany, poważnie patrzył na swoje dłonie splecione na brzuchu. Między palcami przeciekała krew. Na moment podniósł ręce, a kiedy krew zbulgotała nierównym tętniącym strumykiem, znowu przycisnął brzuch, jak gdyby sądził, że doświadczenie się udało. Przeniósł wzrok na Christiana i uśmiechnął się łagodnie. Tak przynajmniej wydawało się Diestlowi, kiedy później przypominał sobie tę chwilę.

- Bardzo boli - odezwał się Behr właściwym mu rzeczowym, spokojnym tonem. - Chciałbym, żebyś mnie zaprowadził do lekarza.

- Dranie przypikowali - odpowiedział nedorzecznie Christian gapiąc się na dwa niknące w oddali punkciki. - Zostało im trochę amunicji. Nie mieli ochoty wracać do domu z pełnymi taśmami.

Behr usiłował wstać. Klęknął na jedno kolano, syknął i znów siadł na piasku. Miał ten sam zamyślony, pogodny wyraz twarzy.

- Nie mogę się ruszyć - powiedział. - Chyba mnie zaniesiesz, co?

Christian pochylił się nad przyjacielem, spróbował go dźwignąć.

Wtedy przekonał się, że nie ma władzy w prawej ręce. Spojrział na nią zdziwiony i uprzytomnił sobie, że również został ranny. Mundur miał nasiąknięty krwią. Ramię było jeszcze drętwe, lecz zaczynało pulsować i obrzmiewając wypełniało ciasny rękaw. W żaden sposób nie mógł poradzić sobie jedną zdrową ręką. Podniósł trochę Behra i spocony, zdyszany, podtrzymywał go pod pachami.

- Nie mogę! - sapnął.

- Daj spokój! - zajęczał Behr. - Na miłość boską, daj spokój! Zostaw mnie.

Najostrożniej, jak potrafił, Diestl złożył przyjaciela na piasku. Ranny usiadł, sztywno rozkraczył nogi. Dłońmi przycisnął znowu czerwoną plamę na środku brzucha. Bełkotał i syczał dziwnie jak nierówno działający tłok maszyny parowej.

- Skoczę po pomoc - podjął Christian. - Trzeba cię będzie zanieść. Znajdę kogoś.

Behr chciał odpowiedzieć, ale z jego ust nie dobywały się słowa. Skinął tylko głową. Miał nadal zdrową, zadowoloną, różną minę. Bujna, jasna czupryna ocieniała opalone na brąz czoło. Christian usiadł ostrożnie i starał się wciągnąć buty, nic jednak nie mógł zrobić lewą ręką. Zrezygnował więc wkrótce, z nieszczerym optymizmem klepnął przyjaciela po ramieniu i na bosaka pokłusował ciężko w stronę szosy. Był od niej o mniej więcej pięćdziesiąt metrów, kiedy zobaczył dwóch Francuzów na rowerach. Pedalowali ostro, rytmicznie. Rzucali długie, fantastyczne cienie na pola.

Christian zatrzymał się i zaczął krzyczeć, wymachując zdrową ręką:

- *Mes amis! Camarades! Arretez!*

Cykliści zwolnili i podejrzliwie spojrzeli na Niemca spod daszków czapek.

- *Blesse! Blesse!* - zawołał Diestl i wskazał bezwładny już kształt rozciągnięty na piasku nad połyskliwą wodą. - *Aidez- moi! Aidez - moi!*

Rowery prawie się zatrzymały. Dwaj mężczyźni wymienili między sobą pytające spojrzenia. Następnie pochylili się nad kierownicami i gwałtownie przyspieszyli tempo. Diestl, którego minęli obojętnie w odległości dwudziestu pięciu lub trzydziestu kroków, mógł przyjrzeć się dokładnie ich chudym, opalonym twarzom pod granatowymi czapkami - kamiennym i pozbawionym wyrazu. Odjechali prędko i zniknęli za dużą wydumą, co przesłaniała szosę na przestrzeni dwóch kilometrów. Christian rozejrzał się dokoła. Droga i cała okolica były wyludnione i spowijały się w poważny błękit zmierzchu. Tylko na zachodzie ocean mienił się purpurą.

Christian podniósł rękę, jak gdyby chciał zatrzymać cyklistów. Nie mógł uwierzyć, że ich już nie ma, że odjechali bez słowa. Przez chwilę podejrzewał złudzenie wywołane gorączką z powodu świeżej rany. Później smutno pokręcił głową i ruszył truchtem ku majaczącej w oddali grupce domów.

Po chwili musiał przystanąć. Dyszał ciężko. Z rany krew ciekła obficie. Nagle usłyszał wrzask. Odwrócił się i przez gęstniejący mrok pobiegł w stronę miejsca, gdzie zostawił przyjaciela. Jakiś człowiek pochylał się nad nim, a Behr próbował odpełznąć na bok. Miał powolne, nieskoordynowane ruchy konającego. Znowu rozległ się krzyk. Nieznajomy postąpił krok, chwycił Behra za kołnierz i odwrócił twarzą do góry. Christian zobaczył błysk noża - jasny i wyraźny na tle matowiejącego srebra wody. Przerazający skowyt umilkł gwałtownie.

Diestl sięgnął lewą ręką do kabury, ale trudno mu było wydobyć broń. Widział, jak Francuz chowa nóż i spokojnie sięga po pistolet Behra. Wyciągnął go i wsunął do kieszeni. Później chwycił leżące opodal buty. Christian mozolił się tymczasem nad bezpiecznikiem. Nie mógł sobie poradzić. Wreszcie otworzył ogień, bardzo zresztą niepewny, gdyż nigdy dotąd nie strzelał z lewej ręki. Francuz rzucił się do ucieczki ku wysokiej diunie. Christian spieszył się, jak umiał, w stronę nieruchomego kolegi. Od czasu do czasu przystawał i strzelał do umykającego napastnika.

Nim Christian stanął nad Behrem, Francuz był już daleko, koło swojego roweru i oczekującego kamrata. Obydwaj ruszyli szybko czarną, wyboistą drogą, zmierzając pod osłonę wydmy. Diestl dał ostatni strzał, dobrze widać wycelowany, gdyż drugi cyklista wypuścił parę butów, jak gdyby przestraszył go świst kuli. Francuzi skuleni na rowerach pedałowali coraz szybciej i rychło rozplynęli się w lawendowej mgłę, która zaczęła spowijać drogę, płowe piaski plaży, zasieki z drutu kolczastego i żółte tabliczki z trupią czaszką i ostrzeżeniem: „Uwaga! Miny!”.

Wówczas Diestl nachylił się i zmierzył wzrokiem przyjaciela. Behr leżał na wznak z szeroko rozkrzyżowanymi rękami. Spoglądał w niebo. Twarz wykrzywił mu wyraz przedśmiertnej grozy. Krew krzepła i mazała się pod brodą, gdzie nóż nakreślił długą, niepotrzebną szramę.

„Nie! To niepodobna! - myślał Christian gapiąc się tępo na trupa. - Pięć minut temu siedział tutaj, naciągał buty... Niczym profesor wiedzy politycznej rozprawiał o przyszłości Niemiec... Cóż, angielski lotnik w myśliwcu i francuski farmer z nożem za pazuchą, jadący na rowerze, mieli swoje własne zdanie o polityce”.

Rozejrzał się dokoła. Plaża była biała i pusta. Drobne falki bulgotały pieniście wzdłuż brzegu. Na piasku wyraźnie rysowały się ślady stóp. Na moment Christian uległ szalonej myśli, że coś należało zrobić. Gdyby w odpowiednim czasie zachował się jak należy, zniknęłyby fatalne minuty, spitfire może nie przypikowałby nad plażą, nie nadjechałoby dwaj francuscy cykliści, a Behr wstawałby teraz z piasku zdrów, cały, skupiony i żądałby od kolegi stanowczej decyzji...

„Dziwne, zabawne... - myślał kiwając żałośnie głową. - Pięć minut przeszło, minęło... Towarzyszyły im drobne wydarzenia, przypadkowe, mało ważne. Jakiś błękitnooki chłopak odbył lot patrolowy nad Francją i wracał do kraju, gdzie w

devonskim miasteczku siądzie wieczorem nad kuflem piwa w barze. Po drodze wypatrzył na plaży dwie drobne figurki ludzkie... Ogorzały od słońca francuski farmer błysnął nożem... Wobec tego przyszłość Niemiec skryształizuje się bez udziału Antona Behra, wdowca, który z Berlina powędrował aż pod Rostów, aby ostatni miesiąc życia poświęcić filozofowaniu i długim przechadzkom nad Atlantykiem".

Christian przyklęknął. Z wysiłkiem, sapiąc głośno, ściągnął najprzód jeden, a później drugi but z nóg trupa.

„Kundle! - myślał gniewnie przy tej robocie. - Przynajmniej tego nie dostaną!”.

Później powłókł się ciężko w stronę szosy i na zakręcie znalazł swoje buty upuszczone przez Francuza. Obydwie pary ułożył starannie w zgięciu prawego ramienia i poczłapał do odległego o pięć kilometrów dowództwa batalionu. Bose nogi ślizgały się po gładkim, chłodnym asfalcie.

Ręka na temblaku prawie nie bolała Christiana, gdy następnego dnia przyglądał się pogrzebowi Behra. Cała kompania wystąpiła z wielką paradą: wyglansowane buty, karabiny lśniące od oliwy. Kapitan skorzystał ze sposobności, by wygłosić mowę. Stał sztywno, wciągał brzuch i nie zważając na gęsty, lodowaty deszcz, grzmiał z patosem:

- Przyrzekam wam, żołnierze, że śmierć waszego kolegi zostanie srogo pomszczona!

Miał wysoki, skrzeczący głos. Kompanią mało się interesował, a czas spędzał głównie na farmie, gdzie kwaterował z tęgą, przysadziłą Francuzką. Przywiózł ją z Dijon - poprzedniego miejsca postoju. Francuzka była w ciąży i pod tym pretekstem obżerała się pięć razy na dzień.

- Zostanie pomszczona - powtórzył kapitan nie zwracając uwagi na krople wody ciekące z daszka czapki. - Srogo pomszczona! Okoliczna ludność przekona się, że silni z nas przyjaciele i straszliwi wrogowie, że wasze życie, żołnierze, stanowi cenny skarb dla Führera i dla mnie! Bliską jest chwila, gdy odprawimy sąd nad mordercami.

Christian uśmiechnął się posepnie na myśl o angielskim lotniku. Chłopiec ma dziś zapewne wolny dzień, bo warunki atmosferyczne są fatalne. Nie dba o żadne sądy. Może siedzi właśnie w przytulnej knajpcie, śmieje się na tę nieznośną angielską modłę i

opowiada swojej dziewczynie o pomyślnym locie nad Francją, który zakończył się wypatrzaniem dwóch bosych Hunów, co o zachodzie słońca odbywali spacer nad morzem dla zdrowia.

- Nauczmy tych łotrów - perorował kapitan - że niecne barbarzyństwo nie przynosi korzyści. Wyciągamy do nich przyjazną dłoń, potrafimy jednak odpłacić jak należy, skoro dłoń nasza napotyka nóż skrytobójczy. Zdradzieckie, okrutne czyny nie rodzą się same przez się. Sprawców podżegają ich władcy z tamtej strony Kanału. Raz po raz gromieni na polach bitew, dzicy ludzie, co zowią się Anglikami i Amerykanami, najmują zbirów i każą im walczyć bronią złodziei i włamywaczy. - Głos kapitana brzmiał coraz donośniej przy akompaniamencie gęstego deszczu. - Nigdy w dziejach wojen narody nie gwałciły praw ludzkich tak bezwzględnie, jak czynią to nasi dzisiejsi wrogowie. W naszej niemieckiej ojczyźnie bomby padają na kobiety i dzieci. Pod osłoną nocy noże najmitów grzęzną w gardłach naszych wojowników, jak Europa długa i szeroka. Ale to nie zda się na nic! - Głos mówcy wzmógł się do przejmującego wrzasku. - Na nic, powtarzam! Wiem, jaki wpływ wywierają te zbrodnie na mnie i na każdego Niemca. Rosną nasze siły, wzbiera gorycz, a niezłomna wola wzmaga furie!

Christian rozejrzał się dokoła. Żołnierze mokli pokornie na deszczu. Ich twarze nie ożywiała niezłomna wola ani furia. Mieli miny ślamazarne, po trosze wystraszone, znudzone. Batalion był sklecony naprędce. Składał się z inwalidów, rannych już na innych frontach, i uzupełnień z ostatniego poboru - podtatusiałych, cherlawych cywilów lub grubokościstych, głupich osiemnastolatków. Christian poczuł niespodziewaną litość dla kapitana. Biedak! Przemawia do nie istniejącej armii, zmiecionej z powierzchni ziemi w setce bitew. Zwraca się do upiorów ludzi, którzy powinni stać na tym miejscu, do milionów mężczyzn zdolnych do furii, którzy leżą spokojnie w milionie grobów rozsianych po Afryce i Rosji.

- Ale - wołał kapitan - nasi wrogowie będą musieli wychylić łby z nory. Będą musieli porzucić wygodne łóżka w Anglii i nie poprzestając na usługach płatnych morderców przyjść tutaj. Na polu walki staną z nami twarzą w twarz, jak żołnierze. Delektuję się tą myślą. Żyję, by doczekać tego dnia. Wielkim głosem wzywam naszych nieprzyjaciół. Przyjdźcie! Przekonajcie się, jak wygląda prawdziwa wojna z niemieckim wojskiem! Z niezachwianą ufnością patrzę w przyszłość i wiem, że wy wszyscy płoniecie

takim samym ogniem. Christian jeszcze raz przebiegł wzrokiem milczące szeregi. Żołnierze stali sztywno. Strumyki wody ciekły po kapturach z syntetycznego kauczuku. Buty grzęzły powoli we francuskim błocie.

- Wielkiego dnia ów sierżant - kapitan dramatycznym gestem wskazał otwarty grób - nie będzie nam towarzyszył w swej cielesnej powłoce. Ale jego duch nie odstąpi niemieckich żołnierzy. Będzie nas zagrzewał do męstwa, będzie podsycał naszą wolę, kiedy zaczniemy słabnąć.

Oficer otarł twarz i ustąpił miejsca kapelanowi, ten zaś szybko odbębnił żałobne modły. Przeziębł się ostatnio, toteż chciał umknąć z deszczu, nim dostanie zapalenia płuc.

Dwaj żołnierze z łopatami zbliżyli się do mogiły i zaczęli spychać w dół grudy mokrej gliny. Padały słowa komendy. Kapitan starał się kroczyć sztywno, nie kręcić szerokim zadem. Wyprowadził kompanię z cmentarzyska, na którym było tylko osiem grobów, i powiódł ją szarą brukowaną uliczką wioski. Cywilów nie było widać. Wszystkie okiennice pozamykano z obawy przed deszczem, Niemcami i wojną.

Porucznik SS był dobroduszny, wesoły. Przyjechał z wyższego dowództwa wielkim wozem sztabowym. Jedno po drugim palił krótkie hawańskie cygara i uśmiechał się zawodowo przymilnie jak wchodzący do piwiarni agent browaru. Mocno zalatywał koniakiem. Wygodnie rozpierał się obok Christiana na głównym siedzeniu samochodu mknącego nadbrzeżną szosą do pobliskiego miasteczka, gdzie jakiś podejrzany czekał na rozpoznanie przez naocznego świadka.

- Dobrze przyjrzelście się tej parce? Co, sierżancie? - zapytał porucznik i żując koniec cygara, bezwiednie uśmiechnął się do sąsiada. - Łatwo zidentyfikujecie tego drania, co?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Doskonale - rozpromienił się esesman. - Sprawa będzie prosta. A ja uwielbiam proste sprawy. Inni... to znaczy inni oficerowie śledczy... robią rzadkie miny, jeśli wszystko leci im jak z płatka. Chcą udawać wielkich detektywów. Lubią przypadki niejasne, zagmatwane, żeby pokazać, jacy to z nich cwaniacy. Ze mną rzecz ma się

odwrotnie. Całkiem odwrotnie. - Znów obdarzył Christiana serdecznym uśmiechem. - Tak czy nie? Ten facet czy nie ten? Koniec. Interes załatwiony! Wszelkie subtelności zostawmy lepiej intelektualistom. Ja tam przed wojną pracowałem przy maszynie w fabryce galanterii skórzanej w Ratzbonie. Wcale nie mam pretensji do psychologicznej głębi. Wobec Francuzów stosuję prostą filozofię. Jestem z nimi szczerzy i w zamian wymagam szczerości. Rozumiecie, sierżancie? - Zerknął na zegarek. - Piętnasta trzydzieści. O siedemnastej wróćcie do kompanii. Mogę wam to uroczyście przyrzec. Uwiniemy się prędko. Tak albo nie. W jedną stronę albo w drugą. I czołem, cześć! Może cygarko?

- Nie. Dziękuję, panie poruczniku.

- Inny oficer me zaprosiłby sierżanta na główne siedzenie swojego wozu. Nie częstowałby podoficera cygarami. Ze mną rzecz ma się odwrotnie. Całkiem odwrotnie. Dobrze pamiętam, że pracowałem w fabryce galanterii skórzanej. Wiecie, sierżancie, co jest najgrubszym błędem niemieckiej armii? To, że wszyscy zapominają, iż dawniej byli cywilami i że po wojnie wrócą do cywila. Mamy samych Cezarów i Bismarcków. Ze mną rzecz ma się odwrotnie. Całkiem odwrotnie. Wszystko gładko, po prostu. Kawa na ławę. Robisz ze mną interes, bracie? Fajno! I ja robię z tobą interes.

Nim wóz sztabowy stanął przed ratuszem, gdzie w piwnicy czekał zamknięty Francuz, Christian wyrobił sobie zdanie o poruczniku SS nazwiskiem Reichburger. Miał go za skończonego osła, któremu nie należałoby powierzyć śledztwa w sprawie kradzieży wiecznego pióra.

Porucznik wyskoczył z samochodu i uśmiechając się wciąż, wszedł dziarsko na schody brzydkiej budowli z szarego kamienia. Christian pospieszył za nim do skąpo umeblowanego pokoju o zdumiewająco brudnych ścianach. Jedyłą ozdobą (nie licząc pisarzy i trzech obitych pluszem kawiarnianych krzeseł) była tam karykatura nagiego Winstona Churchilla przyklepiona do grubej tektury i służąca esesmanom za tarczę do gry w strzałki.

- Siadajcie! Siadajcie! - Reichburger wskazał krzesło okrągłym gestem. - Trzeba dbać o wygodę. Koniecznie. Nie zapominajcie, sierżancie, że niedawno zostaliście ranni.

- Tak jest, panie poruczniku.

Christian usiadł sztywno. Był zły na siebie. Dlaczego powiedział porucznikowi, że łatwo pozna tamtych Francuzów? Brzydził się esesmanem. Wolałby nie mieć z nim nic do czynienia.

- To wasza pierwsza rana? - zapytał Reichburger ze słodziutkim uśmiechem.

- Nie, panie poruczniku. Druga lub raczej trzecia. W czterdziestym roku pod Paryżem kula drasnęła mnie w głowę. Później w Afryce lepiej mi się dostało.

- Trzy razy ranny! - Porucznik spoważniał na moment. - Szczęściarz! Na pewno nie zginiecie. Macie to wypisane na czole. Widzicie, ja jestem fatalistą, chociaż wcale na fatalistę nie wyglądam. Co? Jedni rodzą się, żeby zbierać rany, innym śmierć z góry przeznaczona. Mnie nic się dotychczas nie stało, ale wiem, że nie doczekam końca wojny. Taki już ze mnie typ. - Roześmiał się i wzruszył ramionami. - Toteż bawię się, póki można. Widzicie, mieszkam u kucharki najlepszej chyba we Francji. Aha. Nawiasem mówiąc, to fajna baba i ma dwie całkiem fajne siostry. - Zachichotał, zrobił do Christiana oko. - Pisana mi kula trafi człowieka zadowolonego z życia, sytego. Rozumiecie, sierżancie?

Drzwi otworzyły się i szeregowiec SS wprowadził mężczyznę w kajdankach. Francuz był wysoki, ogorzały. Z jakim takim powodzeniem udawał, że się nie boi. Ręce miał skute za plecami. Stanął sztywno koło drzwi. Z widocznym wysiłkiem ściągnął wargi w grymas lekceważenia.

Porucznik spojrzał nań czule.

- *Monsieur*, nie będziemy pana absorbować - przemówił chropowatą francuszczyzną i zwrócił się do Christiana. - To on, sierżancie?

Diestl zmierzył okiem więźnia, ten zaś odpowiedział wymownym spojrzeniem. Oddychał głęboko. Twarz miał nieruchomą. Widać było, że strach walczy w nim ze źle maskowaną nienawiścią. Christian poczuł uderzającą do głowy falę gniewu. Na tej gębie wypisana była nie tylko tępota i odwaga, ale również cała historia podstępnego, złośliwego uporu Francuzów: drwiąca cisza w przedziałach wagonów, pogardliwy, stłumiony śmiech odprowadzający Niemca, który wychodzi z kawiarni, bezczelne „1918” nagryzmolone kredą na murze kościelnym pierwszej nocy w Paryżu... Francuz gapi się na Diestla. Wargi wykrzywia cierpkim grymasem, lecz nawet w tej sytuacji oziębły śmiech czai się w kącikach jego ust. Christian miałby szczerą ochotę uderzyć w te usta kolbą

karabinu, wybić żółte, wyszczerzone zęby. Później wspomniał przyjaciela. Rozsądny, uczciwy Behr chciał współpracować z takimi jak ten ludźmi. Dzisiaj leży na cmentarzu, a Francuz żyje jeszcze, uśmiecha się triumfuje...

- Tak jest, panie poruczniku - powiedział Christian. - Poznaję go.

- Jak to? - zaprotestował głupio więzień. - Jak to? Chyba ten oficer oszalał!

Porucznik przyskoczył do Francuza i pięścią wymierzył mu błyskawiczny cios w szczękę. Trudno było podejrzewać, że to pulchne, nalane ciało kryje w sobie tyle zwinności i siły.

- Drogi przyjacielu - odezwał się słodziutko - bądź łaskaw odpowiadać jedynie na pytania.

Więzień miał jak gdyby zdziwioną minę. Przygryzł skaleczone wargi. Ssał kropelki krwi.

- A więc sprawa załatwiona - podjął esesman po francusku.

- Wczoraj przed wieczorem poderżnąłeś gardło niemieckiemu żołnierzowi. Stało się to na plaży, o sześć kilometrów na północ od tego miasteczka.

- Prze... przepraszam... Proszę... - wybełkotał nieprzytomnie Francuz.

- Obecnie pragniemy się dowiedzieć od ciebie tylko jednego.

- Reichburger zrobił efektowną pauzę. - Nazwiska twojego kamrata.

- Bardzo przepraszam - powiedział więzień. - Mogę dowieść, że całe wczorajsze popołudnie spędziłem w domu.

- Oczywiście. Oczywiście - uśmiechnął się porucznik. - Możesz dowieść wszystkiego. Możesz zbierać podpisy z szybkością stu na godzinę. Ale to nas nie interesuje.

- Bardzo przepraszam, ja...

- Interesuje nas wyłącznie jedno - przerwał esesman. - Nazwisko człowieka, który był z tobą, kiedy zlałeś z roweru, by zarznąć bezbronny niemiecki żołnierz.

- Bardzo przepraszam, ja nawet nie mam roweru. - Oficer skinął na szeregowca SS, a ten dosyć niedbale przywiązał Francuza do jednego z kawiarnianych krzeseł.

- Bądźmy ze sobą szczerzy - podjął porucznik. - Przynależę panu sierżantowi, że przed kolacją wróci do swojej kompanii. Obietnicy tej chcę dotrzymać. A tobie przysięgam, że gorzko pożałujesz, jeżeli zaraz nie powiesz mi wszystkiego!

- Ja nawet nie mam roweru - powtórzył więzień.

Porucznik odszedł na chwilę i z szuflady biurka wydobyl cęgi. Zamykając i otwierając je z metalicznym szczękiem, zbliżył się wolno do krzesła, na którym siedział przywiązany Francuz. Nareszcie stanął za nim, nachylił się i chwyciwszy lewą ręką prawą dłoń więźnia, szybkim, wprawnym ruchem zerwał paznokiec z kciuka.

Christian nie słyszał nigdy podobnego wrzasku.

- Jak już mówiłem - podjął Reichburger stojąc wciąż za więźniem - chcę, żebyśmy byli ze sobą szczerzy. Niemców czeka jeszcze długa wojna, a marnowanie czasu to najgorszy wróg zwycięstwa.

- Prze... przepraszam... Proszę... - jęczał Francuz.

Esesman nachylił się powtórnie. Znowu rozległ się przeraźliwy krzyk. Oprawca miał minę obojętną niemal znudzoną, jak gdyby stał przy maszynie w fabryce galanterii skórzanej w Ratzbome.

Więzień pochylił się naprzód. Zwisnął na krępujących go powrozach. Nie stracił jednak przytomności.

- Drogi przyjacielu - zaczął porucznik okrążając krzesło. - To drobne formalności wstępne. Dzięki nim zrozumiesz zapewne, że sprawę traktujemy serio. Może zechcesz łaskawie wymienić nazwisko kamrata? Słucham. - Stał teraz naprzeciw ofiary.

- Nie wiem... Nie wiem... - charczał Francuz. Pot zlewał mu twarz wyrażającą już tylko mękę.

Christian patrzył jak urzeczony. Robiło mu się nieswojo, słabo. Nie mógł słuchać rozdierających krzyków w dusznym, małym pokoju ozdobionym wiszącą na brudnej ścianie karykaturą Winstona Churchilla, nagiego i bardzo podobnego do wieprza.

- Zaraz zrobię coś, co może ci się wydać nie do wiary - ciągnął Reichburger trochę głośniejszym głosem, jak gdyby tortury więźnia zbudowały mur trudny do przebicia. - Powiedziałem już, że chcę być z tobą szczerzy i mam zamiar tego dowieść. Brak mi cierpliwości na przewlekłe badania. Szybko przeskakuję ze szczebla na szczebel. Uprzedziłem z góry, że

możesz mi nie uwierzyć na słowo, ale jeżeli nie wymienisz nazwiska kamrata, wyłupię ci prawe oko. Tak, drogi przyjacielu, za minutę, w tym pokoju, własnoręcznie... Słucham?

Odruchowo Francuz przymknął powieki. Z jego zeschniętych ust dobyło się głucho rżenie.

- Nie... Nie... To potworna omyłka... Nie wiem... Nic nie wiem... - szepnął i dodał z obłąkańczą logiką: - Ja nawet nie mam roweru.

- Sierżancie! Nie jesteście mi potrzebni - rzucił oficer przez ramię. - Możecie odejść.

- Dziękuję, panie poruczniku - powiedział Christian drżącym głosem.

Wyszedł i starannie zamknąwszy za sobą drzwi, oparł się plecami o ścianę korytarza. Opodal stał szeregowiec SS z karabinem. Twarz miał zupełnie pozbawioną wyrazu.

Minęło trzydzieści sekund. Potem rozległ się przerażający ryk. Diestl poczuł tysiące mrówek na grzbiecie. Zawirowało mu w głowie. Serce skoczyło do gardła. Zamknął oczy. Mocno przywarł do muru.

Wiedział oczywiście, że takie rzeczy zdarzają się niekiedy. Nie mógł jednak uwierzyć, by działy się tutaj, w pogodne słoneczne popołudnie w zwyczajnym, brudnym pokoju, ozdobionym karykaturą nagiego grubasa z czerwonym zadkiem, w zapadłej prowincjonalnej dziurze, okno w okno ze sklepem spożywczym o wystawie przystrojonej zwojami kiełbas...

Niebawem drzwi otworzyły się i wyszedł z nich uśmiechnięty porucznik.

- Jesteśmy w domu - oznajmił. - Grunt to szczerść. Nie znam lepszej metody. Poczekaćcie no tutaj. Zaraz wracam. - Zniknął w sąsiednim pokoju.

Christian i esesman z karabinem stali na korytarzu. Szeregowiec zapalił papierosa, nie poczęstował jednak sierżanta. Z lubością wciągnął dym, przymknął oczy, próbował drzemać oparty o splekany kamienny mur starego ratusza. Dwaj uzbrojeni żołnierze wyszli z pokoju, w którym był obecnie porucznik. Pomaszerowali ulicą w stronę krańców miasteczka. Za sąsiednimi drzwiami słychać było głucho mamrotanie, bolesny, szarpiący nerwy szept, jak gdyby ktoś modlił się bez słów. Po pięciu minutach dwaj uzbrojeni żołnierze przyprowadzili do ratusza cywila z gołą głową. Był niski, pękaty, łysy. Nerwowo

strzelał oczyma. Nie ulegało wątpliwości, że umiera z przerażenia. Konwojenci chwycili go za łokcie i wepchnęli do pokoju, gdzie czekał Reichburger. Wkrótce jeden z nich wrócił na korytarz. - Porucznik woła pana sierżanta - oznajmił. Diestl poszedł za nim wolno. W kancelarii mały, spasiony Francuz przycupnął na podłodze. Ścisnął głowę rękami. Płakał. Otaczająca go ciemna kałuża wskazywała, iż pęcherz zawiódł biedaka w godzinie próby. Porucznik siedział za biurkiem. Szybko wystukiwał list na maszynie. Pisarz sporządzał listę żołdu, a drugi konwojent stał koło okna i gapił się na młodą matkę z jasnowłosym niemowlęciem na ręku idącą do „Epicerie”.

Porucznik podniósł wzrok na Christiana. Ruchem głowy wskazał cywila siedzącego we własnej urynie na zakurzonych deskach podłogi. Diestl ledwie na niego spojrział.

- Tak jest, panie poruczniku.

- Wyprowadzić - rozkazał oficer.

Uzbrojony żołnierz porzucił posterunek koło okna i zbliżył się do Francuza nieprzytomnie wpatzonego w Christiana. Szarpnął go za kołnierz i próbował postawić na nogi.

- Jak żyję, nie widziałem tego człowieka - jęknął cywil. - Bóg mi świadkiem, że nigdy...

Żołnierz wywłókł go na korytarz.

- W porządku - uśmiechnął się promiennie porucznik. - Sprawa załatwiona. Za pół godziny ostatecznie spadnie mi z głowy, bo gotowe papierki powędrują do pułkownika. A co z wami, sierżancie? Chcecie z miejsca wracać do kompanii czy przenocujecie u nas i przyjrzyście się egzekucji? Mamy pierwszorzędne kasyno podoficerskie. No, jak tam? Egzekucja jutro, punktualnie o szóstej.

- Wolałbym zostać, panie poruczniku.

- Ślicznie. Sierżant Decher urzęduje w sąsiednim pokoju. Powiedzcie mu, że z mojego rozkazu ma was wziąć pod opiekę. Jutro o piątej czterdzieści pięć rano zameldujcie się tutaj. Jasne?

Maszyna do pisania zaklekotała głośno.

- Rozkaz, panie poruczniku - powiedział Christian i wyszedł z kancelarii.

*

Miejsce straceń znajdowało się w podziemiach ratusza w długim, wilgotnym korytarzu oświetlonym parą silnych żarówek. Piwnica miała polepę z ubitej gliny, a w głębi pod ścianą sterczały dwa wkopane paliki. Koło nich stały dwie płytkie trumny ze świeżych desek połyskujących w elektrycznym blasku. Pomieszczenie to spełniało również rolę więzienia, a więc na zapotniałych ścianach widać było słowa pożegnania ze światem gryzmołone przez skazańców kredą lub węglem.

Diestl stał za plecami szóstki żołnierzy z karabinami i machinalnie notował w pamięci napisy:

NIE MA ŻADNEGO BOGA

Merde! Merde! Merde!

Mam na imię Jacques. Mój ojciec miał

na imię Raoul. Moja matka miała

na imię Clarisse. Moja siostra miała

na imię Simone. Mój stryj miał

na imię Etienne. Mój syn...

Nieznany pisarz nie zdążył widać dokończyć litanii.

Skazańcy - każdy między dwoma esesmanami - weszli niezdarnie, jak gdyby od bardzo dawna nie posługiwali się nogami. Na widok palików i trumien niski grubas zaskomlił płaczliwie, ale jednooki Francuz wyprostował się i chociaż nie odzyskał swobody ruchów, spróbował wykrzywić twarz wzgardliwym grymasem.

„Prawie mu się udało” - pomyślał Christian przyglądając się żołnierzom, którzy sprawnie przywiązywali ofiary do słupów.

Sierżant prowadzący egzekucję rzucił pierwsze słowa komendy. W obskurnym lochu zabrzmiały one dziwnie, przesadnie, jak na paradzie wojskowej.

- Nigdy! - krzyknął jednooki Francuz zza przekrwionych bandaży. - Nigdy, skurwysyny!...

Salwa przerwała rozpoczęte zdanie. Niski grubas padł na twarz, bo kule przerwały krępujące go więzy. Sierżant wystąpił naprzód i szybko uporał się z *coup de grace*. Dwukrotnie wystrzelił z rewolweru mierząc najprzód w głowę małego Francuza, później jednookiego. Zapach prochu stłumił na chwilę inne piwniczne fetory.

Na znak porucznika Christian wdrapał się za nim na schody i wyszedł w szary zamglony brzask. W uszach dudniło mu echo karabinowej salwy.

- No, jak tam? - zapytał Reichburger uśmiechając się blado.
- W porządku - odparł Christian. - Nie takie rzeczy widywałem.
- Pewnie... Pewnie... Jedliście już co?
- Nie, panie poruczniku.
- Chodźcie ze mną. Kwateruję o pięć domów stąd. Śniadanie czeka.

Szli ramię w ramię bez słowa. Gęsta nadmorska mgła tłumiała dźwięk ich kroków.

- Ten pierwszy - odezwał się oficer - z jednym okiem, bardzo nie lubił Niemców i niemieckiej armii, co?

- Bardzo nie lubił, panie poruczniku.
- Fajno, żeśmy się go pozbyli.
- Tak jest, panie poruczniku.

Reichburger przystanął, spojrzał w twarz Christiana.

- To wcale me tamci ludzie, prawda? - zapytał z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. Christian zawahał się na moment.

- Otwarcie mówiąc, panie poruczniku, nie wiem.

- Inteligentny z was facet. - Esesman uśmiechnął się szerzej i podjął swobodnym tonem: - Skutek jest jednakowy. Przekonujemy drani, że sprawy traktujemy całkiem serio. - Klepnął sierżanta po ramieniu. - No, idźcie teraz do kuchni i powiedzcie Rene, że ma wam dać prima śniadanko, takie samo jak mnie. Znacnie na tyle francuski, żeby dać sobie radę, co?

- Znam, panie poruczniku.

- Doskonale! - Na pożegnanie jeszcze raz klepnął Christiana po ramieniu i otworzył ciężkie, dębowe drzwi domu, w których oknach stały gęsto doniczki pelargonii.

Sierżant zsalutował i powędrował w stronę kuchennego wejścia. Śniadanie było naprawdę dobre i obfite: jaja, kiełbasa, kawa z prawdziwą śmietanką.

Rozdział XXVI

Dymy z rozbitych, płonących szybowców snuły się po chmurnym niebie na wschodzie. Ze wszystkich stron słychać było bezładny ogień broni małokalibrowej. Co chwila nadciągały nowe samoloty, nowe szybowce i kto żyw ostrzeliwał je z czego i jak popadło. Grzmiały działa przeciwlotnicze, karabiny maszynowe i ręczne. Christian widział nawet, jak kapitan Penschwitz stał na płocie i raz po raz walił z pistoletu do szybowca, który wylądował w rejonie kompanii na starej topoli i płonął między konarami, a jego pasażerowie skakali przez brezentowe burty i lecieli na ziemię wlokąc za sobą smugi ognia.

Od wielu godzin trwał nieopisany zamęt. Wszyscy strzelali do wszystkich. Kapitan Penschwitz uległ panice i na czele kompanii pomaszerował szosą trzy kilometry w stronę morza. Tam został ostrzelany i stracił ośmiu ludzi, zawrócił więc i wycofał się tą samą drogą, a jego podkomendni przepadali w ciemnościach, kryli się w zabudowaniach przydrożnych farm. O siódmej rano nerwowy wartownik przy stanowiskach baterii przeciwlotniczej zastrzelił kapitana Penschwitza. Kompania zaczęła topnieć jeszcze szybciej. Wreszcie Christian skorzystał z chwilowej ciszy i zebrał niedobitków za omszałym kamiennym murem starej obory, pośród stada dużych czarno-białych krów, podejrzliwie przyglądających się intruzom. Doliczył się dwunastu szeregowych i ani jednego oficera.

„Ładna historia - myślał Diestl, ponuro gapiąc się na krowy. - Po pięciu godzinach walki kompania nie istnieje. Jeżeli reszta armii wygląda podobnie, wojna skończy się do obiadu”.

Ale dochodzące z dala odgłosy wskazywały, że reszta armii jest w nieco lepszej formie. Słychać było ciągle, mniej więcej zorganizowany ogień piechoty. Głęboki bas dział odzywał się w regularnych odstępach.

Christian spojrzał posepnie na niedobitków kompanii. Uprzytomnił sobie, że są do niczego. Jeden zaczął okopywać się z własnej inicjatywy. Inni poszli skwapliwie za jego przykładem. Gorączkowo drążyli doły pod murem. Pięciu lub sześciu tkwiło już w nich po biodra. Nad dołami piętrzyła się pulchna, przesiąknięta gnojówką ziemia, świeżo wydobyta z krowiej grodzi.

Christian widział zbyt wielu ludzi opanowanych strachem, by łudzić się co do możliwości tej bandy. W porównaniu z nią Heims, Richter, Dehn i inni podkomendni z Włoch wydawali się bohaterami pierwszej wody. Przez chwilę kusił go myśl, by zostawić to bydlę na pastwę losu, samemu zaś wymknąć się chyłkiem i poszukać innej kompanii jako tako zdanej do boju. Rychło jednak zmienił zdanie. „Będą dziś walczyć - pomyślał gniewnie - choćbym miał ich prowadzić z pistoletem w garści”.

Podszedł do najbliższego dołka, gdzie kopacz zgięty wpół mocował się z korzeniem odkrytym na dwie stopy pod ziemią. Christian kopnął go i żołnierz zarył twarzą w błoto.

- Jazda! Wyłazić z nor! - krzyknął Diestl. - Nie będziecie tu gnić i czekać, aż Amerykanie was zafasują. Prędzej! Ruszać się!

Potężnie kopnął w żebra drugiego szeregowca, który stał w najgłębszym dole i zajęty kopaniem nic nie słyszał. Żołnierz westchnął i nie patrząc na sierżanta wygramolił się na powierzchnię ziemi.

- Ty pójdziesz ze mną - zwrócił się do niego Christian. - A reszta niech siedzi tu spokojnie i coś przetrąci. Nieprędko zdarzy się wam druga sposobność do jedzenia. Zaraz wracam.

Pchnął przed sobą żołnierza i wymijając bladych, sztywno stojących ludzi i obojętne krowy, ruszył w stronę starego domu.

Drzwi kuchenne były zamknięte. Christian załomotał w nie ręką pistoletu. Towarzyszący mu żołnierz, Buschfelder, zląkł się i wzdrygnął nerwowo.

„Kiepsko - pomyślał sierżant patrząc nań spod oka. - Zupełnie z nami kiepsko”.

Drugi raz puścił w ruch rękę pistoletu. We wnętrzu domu zgrzytnął rygiel. Drzwi uchyliły się i na progu stała niska, okrągła staruszka odziana w wypłowiały zielony fartuch. Była bezzębna. Cienkie, spierzchnięte wargi ledwie rysowały się na pomarszczonej twarzy.

- Nie zrobiliśmy nic złego - zaczęła - i...Christian odsunął ją na bok. Buschfelder żywo pospieszył za nim. Był ogromny, barczysty. Wypełnił całą kuchnię, kiedy z karabinem gotowym do strzału ustawił się przy piecu. Diestl spojrzął dokoła. Izba była ciasna, pociemniała od dymu i sędziwego wieku. Dwa wielkie czarne karaluchy wspinały się mozolnie po wystygłych kaflach. Na parapecie okiennym leżała osełka masła owinięta w liść kapuściany, a na stole duży bochenek chleba.

- Bierz chleb i masło - rozkazał Christian Buschfelderowi i po francusku zwrócił się do kobiety: - Matko, potrzebny nam alkohol. Wszystko, co macie w domu: wino, calvados, marc... Jeżeli ukryjecie jedną kroplę, spalimy chałupę i pozarzynamy krowy.

Staruszka patrzyła, jak Buschfelder zgarnia masło. Usta jej drżały niemym protestem. Zwróciła się jednak do Christiana, bo on zagadnął ją pierwszy.

- To barbarzyńska grabież - powiedziała. - Doniosę o was panu majorowi. Pan major dobrze zna naszą rodzinę. Córka posługuje u niego i...

Diestl przerwał jej szorstko:

- Wszystkie trunki, matko! Zaraz! - Groźnie podniósł pistolet. Kobieta odeszła w róg kuchni i dźwignęła klapę w podłodze.

- Alois! - krzyknęła, a głos jej zadudnił w piwnicy głuchym echem. - Przyszli żołnierze. Dopominają się o trunki. Wynieś calvados. Wszystko, co tam jest. Inaczej pozarzynają nam krowy.

Christian spojrział przez okno, żeby ukryć uśmiech. Wszyscy jego podkomendni stali na krowiej grodzi dokoła dwóch nieznanomych żołnierzy, którzy nie mieli broni i opowiadali coś żywo gestykułując.

Piwniczne schodki zaskrzypiały pod krokami i Alois wywindował do kuchni dwulitrową kamionkę. Miał przeszło sześćdziesiątkę. Był sękaty i chudy od długoletniej pracy na normandzkiej roli. Ciężka kamionka drżała w jego szerokich, poczerniałych dłoniach.

- Ma pan - powiedział. - Calvados z najlepszych jabłek. Niczego wam nie żałujemy.

- Bardzo ładnie z waszej strony - odparł Christian. - Dziękuję.

- Dziękować dziękuję - burknęła gniewnie starucha - a o zapłacie ani słowa.

- Cóż - Diestl roześmiał się ubawiony groteskową sceną - poślijcie rachunek waszemu przyjacielowi, panu majorowi. No, idziemy! - Dotknął ramienia Buschfeldera, ten zaś ruszył rażno w stronę drzwi.

Strzały broni maszynowej i ręcznej terkotały teraz znacznie bliżej. Słysząc było pomruki nisko lecących samolotów.

- Co się dzieje? - Przestraszony Alois wysunął głowę ze szpary uchylonych drzwi. - Czy to inwazja?

- Nie - odrzekł Christian piastujący troskliwie calvados. - Manewry.

- A nasze krowy, panie oficerze? - zawołał za nim farmer. - Gdzie je najlepiej ukryć?

Christian nie odpowiedział staremu. Zatrzymał się dopiero pod omszałą ścianą obory i postawił kamionkę na ziemi.

- Do mnie! - powiedział. - Coś wam przyniosłem. Pijcie, chłopaki, ile wlezie, i niech każdy napełni manierkę. Za dziesięć minut będziecie gotowi bić się z całym pułkiem. Nie żałujcie sobie. Za pomyślność niemieckiej ojczyzny!

Uśmiechnął się, lecz nie odpowiedziały mu uśmiechy. Żołnierze podchodzili jeden po drugim. Pili. Napełniali manierki.

Dwaj nowo przybyli byli ostatni w kolejce. Chciwie ciągnęli mocny trunek. Oczy mieli przekrwione, rozlatane. Drżącymi rękami rozlewali calvados, aż ciekł im po brodach.

- A wam co się stało? - zapytał sierżant, gdy wreszcie ustawili kamionkę na miejscu.

Niepewnie patrzyli jeden na drugiego, ale nie odpowiadali.

Wyрęczył ich podwładny Christiana, Stauch, który stojąc obok sierżanta ogryzał łakomie sporą bryłkę masła i ssał manierkę pełną calvadosu, aby splukać tłuszcz z gardła.

- Byli stąd o niecałe dwa kilometry - powiedział. - Cały batalion. Zostało ich tylko dwóch. Zaskoczenie. Amerykańscy spadochroniarze, panie sierżancie. Nie biorą jeńców. Zabijają każdego, kto im podleci. Wszyscy są dokładnie pijani. Mają czołgi i ciężką artylerię... - Głos Staucha drżał i chrypiał, z trudem przenikał masło i jabłeczny samogon. - Jest ich tysiące. Tysiące! Mocno siedli wzdłuż całego wybrzeża. Zorganizowany opór ustał.

Dwaj szczęśliwie ocaleli z batalionu z zapalem przyświadczałi kiwając głowami. Niespokojny wzrok przenosili raz po raz z Diestla na Staucha i z powrotem.

- Oni powiadają - ciągnął Stauch - że i my jesteśmy tutaj odcięci. Z dowództwa dywizji przedostał się jeden łącznik. Mówi, że tam nikt nie żyje. Amerykanie zastrzelili generała, a dwóch pułkowników zadźgali nożami. Potem...

- Stul pysk! - rzucił Christian pod adresem Staucha i zwrócił się do zbiegów: - A wy, jazda stąd! Ale to już!

- Dokąd, panie sierżancie? - zaskamlał jeden. - Spadochroniarze są wszędzie i...

- Jazda stąd! Ale to już! - powtórzył Diestl głośniejszym głosem, klnąc w duchu zły los, który kazał jego drużynie spędzić pięć minut w towarzystwie tej dwójki. - Jeżeli za minutę nie znikniecie, każę otworzyć do was ogień. Zrozumiano? A jak was drugi raz spotkam, pójdziecie pod sąd wojenny za dezercję. To znaczy kula w łeb. Zrozumiano?

- Panie sierżancie...

- Macie jedną minutę! Jazda!

Półprzymkniętymi oczami spojrzeli dokoła i zaczęli oddalać się ciężkim truchtem. Strach dodawał im widać sił, bo biegli coraz szybciej, póki nie zginęli z oczu za żywopłotem otaczającym sąsiednie pole.

Christian pociągnął długi łyk calvadosu. Był mocny, źle oczyszczony i okropnie piekł w gardle. Ale po chwili sierżant poczuł dziwną ufność i wiarę we własne siły. Spod półprzymkniętych powiek obserwował bacznie swoją drużynę i myślał: „Będziecie się bić, skurwysyny, jak cała kompania doborowej gwardii”.

- No, chłopaki, łyknąć mi jeszcze raz, nim pójdziemy w taniec! - zawołał.

Wszyscy wypili jednocześnie i z Christianem na czele ruszyli kolumną. Posuwali się rowami wzdłuż żywopłotów oddzielających pola, w kierunku bezładnej strzelaniny, która wzmagala się na wschodzie.

Przez dziesięć minut maszerowali prędko, przystając tylko u granic pól lub na skrajach wąskich dróg wytyczonych żywopłotami. Wówczas Diestl albo któryś z żołnierzy wyglądał na drugą stronę, a upewniwszy się, że nic mu grozi, ruchem ręki przyzywał resztę. Wszyscy zachowywali się bez zarzutu. Byli czujni, żwawi. Otrząsnęli się ze strachu i przemęczenia. Szybko reagowali na rozkazy. Bez szemrania narażali życie i nie strzelali na oślep, nawet w chwili gdy seria z karabinu maszynowego posiekała drzewa nad ich głowami.

„Jak dotąd, calvados robi swoje - myślał Diestl z posępną satysfakcją. - Może dowództwo pułku jeszcze istnieje? Może uda mi się doprowadzić ich tam za godzinę? Kto wie? Jeżeli niedługo trafią do zorganizowanego oddziału, pod komendę oficerów, mogą dziś ucziwie zarobić na żołd, umundurowanie i wyżywienie”.

W tej chwili pech zaczął działać. Karabin maszynowy, dobrze zamaskowany w rogu pola za gęstym żywopłotem, otworzył ogień. Nim drużyna znalazła jaką taką osłonę, miała dwóch rannych. Jeden z nich, niski, posępny jegomość w średnim wieku, dostał w szczękę. Cały dół twarzy zmienił mu się w bezkształtną miazgę. Biedak gulgotał rozpaczliwie, broniąc się przed uduszeniem własną krwią. Christian

sam nałożył gruby opatrunek, ale ranny krwawił tak obficie, że niewiele można mu było pomóc.

- Siedźcie tutaj - rozkazał Diestl dwóm rannym. - Jesteście pierwszorzędnie ukryci. My odnajdziemy pułk i natychmiast przyślemy wam pomoc. - Był pewien, że żadnego z nich nie zobaczy póki życia, starał się jednak o ton buńczuczny, pełen wiary we własne słowa.

Żołnierz ranny w szczękę chlipał błagalnie przez nasiąknięte krwią bandażę, lecz sierżant przestał się nim interesować i ruchem ręki rozkazał drużynie, by maszerowała dalej. Mimo to nikt się nie poruszył.

- Naprzód! - rzucił surowo Christian. - Im prędzej wyruszymy, tym łatwiej będzie nam się przebić. Jeżeli wolicie zgnić w tym rowie...

- Posłuchaj pan, sierżancie - powiedział Stauch skulony w wysokiej trawie. - Nie bujajmy się nawzajem. Jesteśmy odcięci. Nie mamy żadnej szansy. Dokoła pęta się cała dywizja tych cholernych spadochroniarzy, a my siedzimy w samym środku. No i ci dwaj wykitują, jak nie dostaną zaraz pomocy. Chcesz pan, to zatknę białą szmatę na karabin, na ochotnika wyleżę za ten żywopłot, pogadam o warunkach poddania i... - Zająknął się; nie śmiał spojrzeć sierżantowi w oczy.

Diestl przebiegł wzrokiem drużynę. Blade twarze wychylające się nieśmiało nad skraj rowu świadczyły niezbitcie, że chwilowe męstwo, zaczerpnięte z kamionki calvadosu, ulotniło się bezpowrotnie.

- Pierwszy, co wylezie za ten żywopłot, ma zapewnione jedno - odparł spokojnie sierżant. - Własnoręcznie strzelę mu w łeb. Słucham dalszych dobrych rad.

Nikt się nie odezwał.

- Musimy odnaleźć dowództwo pułku - podjął Christian.

- Stauch! Na czoło! Ja pójdę ostatni. Będę miał całe towarzystwo na oku. Posuwać się rowami, po tej stronie żywopłotu. Iść chyłkiem i szybko. Zrozumiano? Naprzód!

Ze schmeisserem w pogotowiu przyglądał się dziesięciu podkomendnym, którzy jeden po drugim wychodzili z rowu. Kiedy sam ruszał, ranny w szczękę pochlipywał jeszcze, lecz znacznie ciszej i z nieregularnymi przerwami.

Pochód odbywał się bez przeszkód. Dwa razy niemieckie czołgi przemknęły z chrzęstem gąsienic. Pędziły w stronę morza, co było pocieszającym objawem. Raz dżip

z trzema Amerykanami ukazał się i zniknął pośród zabudowań farmy. Christian czuł, że jego ludzie drżą z pragnienia, by uciekać na oślep lub położyć się, płakać, umrzeć, wyzwolić się wreszcie. Pod żywoplotem w rogu pola dwie krowy wypatroszone przez pociski działowe zadzierały w górę sztywne nogi. Oszały ze strachu koń cwałował gospodarską drogą, stawał, rozglądał się błędnie i galopował z powrotem; jego kopyta dudniły głucho po twardej, ujeżdżonej glinie. Tu i ówdzie leżeli Niemcy i Amerykanie, tak jak ich śmierć zaskoczyła. Z układu zwłok i kierunku, w jakim była skierowana broń, niepodobna było wywnioskować, którądy przebiegała przerwana linia i jak toczyła się walka.

Od czasu do czasu pociski artyleryjskie chichotały nad głowami. Ogień broni małokalibrowej odzywał się ze wszystkich stron. Na jakimś polu pięciu Amerykanów, którym nie otwały się spadochrony, wytyczało linię niemal idealnie prostą. Od siły uderzenia zaryli w ziemię, aż popękały pasy, szelki i troki; ekwipunek leżał dokoła trupów, jak gdyby przygotowany do inspekcji.

Nagle Stauch zatrzymał się przy końcu rowu i z odległości trzydziestu metrów zaczął dawać znaki ostrzegawcze. Christian zgięty we dwoje wyprzedził biegiem drużynę, kiedy zaś ukląkł obok Staucha, ten wskazał ręką lukę w żywoplotcie. O dwadzieścia kroków dwaj spadochroniarze próbowali uwolnić trzeciego, który zahaczył o drzewo i dyndał nogami o sześć stóp nad ziemią. Diestl puścił dwie krótkie serie i skosił stojących na ziemi nieprzyjaciół. Jeden podparł się łokciem, lecz po następnej serii odwrócił się na wznak i legł nieruchomo. Przerażony wisielec z całych sił, lecz bez skutku, tarmosił linki spadochronu. Diestl słyszał dokładnie, że skulony za nim Stauch sapie i raz po raz głośno oblizuje usta. Rozkazał, by trzej żołnierze szli za nim, i na ich czele zbliżył się do drzewa, z którego spadochroniarz patrzył w dół na martwe ciała towarzyszy.

- No, Sammy, jak ci się spodobała Francja? - zapytał Christian z uśmiechem.

- Nie najgorzej, frajerze...

Miał twarz boksera: szeroką, energiczną, o złamanym nosie i chłodnych, czujnych oczach. Przestał szamotać się z linkami. Wisiał bezwładnie. Patrzył na Niemca.

- Coś ci proponuję, szkopie - odezwał się po chwili. - Odetnij mnie, a zaprowadzę do niewoli ciebie i twoje wojsko.

„Ach, gdybym dziś miał kilku takich zamiast mojego bydła!" - pomyślał Christian i zastrzelił Amerykanina.

Uśmiechnął się i pogładził nogę nieboszczyka gestem, którego znaczenia sam nie pojmował. Było w nim trochę podziwu, trochę współczucia i drwiącej ironii. Potem wrócił do czekającej w rowie drużyny. „Ha, jeżeli wszyscy są podobni do tego, trudno nam będzie dać sobie radę" - smutno dumął po drodze.

O piątej rano spotkał pułkownika wycofującego się na wschód z niedobitkami pułku. Przed południem żołnierze musieli dwukrotnie walczyć, ale trzymali się razem i szli naprzód, bo pułkownik znał żołnierskie rzemiosło. Podkomendni Diestla spisywali się nie lepiej i nie gorzej od innych. Do wieczora czterej z nich polegli, a Stauch zastrzelił się, bo nie chciał zostać przy drodze, kiedy pociski cekaemu zdruzgotały mu goleń. W każdym razie wszyscy zachowywali się poprawnie i chociaż w pierwszym dniu inwazji nie brakowało sposobności, nikt nie trafił do niewoli.

Rozdział XXVII

- Jeszcze w Tulsie, jakem chodził do szkoły, koledzy przezywali mnie „Ogier” - mówił Fahnstock między jednym a drugim stuknięciem młotka. - Od trzynastego roku życia mało co mnie obchodziło, tylko dziewczuchy. Gdybym przygruchał w mieście jaką Angielkę, nawet tutaj byłoby mi niezgorzej.

Bez pośpiechu wybił gwóźdź ze spróchniałej deski i rzucił do stojącej obok blaszanki. Potem strzyknął obficie czarnym sokiem tytoniowym z prymki, która zdawała się stanowić nierozłączną część jego jamy ustnej.

Michael wydobyl z tylnej kieszeni kombinezonu półlitrowkę dzinu i pociągnął długi łyk. Potem nie częstując kolegi schował flaszkę. Fahnstock urzynał się co sobota, lecz w ciągu tygodnia pijał dopiero po zajęciach. Trudno było proponować mu dzin o dziesiątej z rana. A zresztą Michael miał dosyć Fahnstocka. Od przeszło dwóch miesięcy byli razem w Zapasowej Kompanii Uzupelnień. Jednego dnia pracowali w kuchni, drugiego przy stosem starego drewna, gdzie wyjmowali i prostowali gwoździe. Komendant kuchni, antypatyczny sierżant, nie lubił ich, toteż dostawali zawsze najbrudniejszą robotę: szorowali wielkie, obrosłe tłuszczem kotły i czyścili paleniska po zakończeniu dnia pracy. Michael przewidywał, że zarówno on, jak i Fahnstock - zbyt głupi, by robić coś innego - doczekają końca wojny, może nawet końca życia, między kuchnią a stosem starego drewna. Uprzytomniwszy sobie tę groźbę, myślał zrazu o dezercji, wybrał jednak kompromis i poprzestał na dzinie. Było to niebezpieczne, gdyż w obozie obowiązywał rygor niemal więzienny i żołnierze otrzymywali długoletnie wyroki za przewinienia lżejsze niż pijaństwo podczas zajęć służbowych. Ale stały, ogłupiający przyływ alkoholicznego optymizmu umożliwił jakie takie życie, a więc Whitacre chętnie ryzykował.

Wkrótce po zawarciu znajomości ze stosem starego drewna napisał do pułkownika Pavone prosząc o przeniesienie, lecz nie dostał odpowiedzi, ostatnio zaś był zbyt przemęczony, by ponawiać prośby lub próbować innych dróg ucieczki.

- Najlepiej żyło mi się w wojsku - paplał Fahnstock - w koszarach Jeffersona pod Saint Louis. W takiej jednej knajpie przygadałem trzy siostry. Wszystkie pracowały w browarze na różnych zmianach. Jedna miała szesnaście lat, druga piętnaście, a trzecia czternaście. Rozumiesz, wiochny prosto z gór Ozark. Dopiero po

paru miesiącach pracy w Saint Louis każda kupiła sobie pierwsze w życiu pończochy. Jak Boga kocham, płakałem, kiedy mój pułk odpływał do Europy.

- Słuchaj - odezwał się Michael stukając uważnie w gwóźdź. - Nie mógłbyś zmienić tematu rozmowy?

- Tak sobie tylko plotę, dla zabicia czasu - odburknął urażony „Ogier”.

- No, to zabijaj czas w inny sposób.

Obydwoj umilkli. Michael czuł żrące ciepło dzinu w przełyku i żołądku. Młotki zakołatały szybciej.

Wkrótce dwaj więźniowie pod eskortą żandarma z karabinem przypchali taczki pełne starego drewna i zaczęli rzucać na stos połamane deski. Wszyscy ruszali się w zwolnionym tempie, jak gdyby nic ważnego nie miało ich czekać do końca dni.

- Żywiej... Żywiej - pomrukiwał od czasu do czasu żandarm. Stał wsparty niedbale na karabinie. Więźniowie nie zwracali nań uwagi.

- Whitacre - odezwał się po chwili. - Pokaż no butelkę.

Michael spochmurniał.

„Policjanci! - westchnął bez słów. - Zawsze i wszędzie jednakowi. Przymykają oczy i szantażują jak się tylko trafi okazja”.

Wydobył flaszkę z kieszeni i podał natrętowi nie zapomniawszy o wytarciu szyjki. Potem zazdrośnie obserwował bardzo długi łyk.

- Pijam tylko w święta - wyjaśnił żandarm zwracając z uśmiechem resztę dzinu.

- A jakie mamy dziś święto? - burknął Michael. - Boże Narodzenie?

- Nic nie słyszałeś?

- O czym?

- Wylądowaliśmy dziś. Rozumiesz? „Dzień D”! Chyba cieszysz się, że jesteś tutaj?

- Skąd wiesz? - zapytał podejrzliwie Michael.

- Eisenhower kropnął przez radio mowę. Sam słyszałem. Gadał, że niesiemy wolność żabojadom.

- Już wczoraj poczułem pismo nosem - zabrał głos jeden z więźniów, drobny, posępny człeczyna, który dostał trzydzieści lat za pobicie oficera w kancelarii

kompanijnej. - Przyszli do mnie, dranie, i zaproponowali, że mogę być ułaskawiony na honorowych warunkach, jeżeli wrócę do piechoty.

- I co ty na to? - rzucił zainteresowany Fahnstock.

- Że mam gdzieś ułaskawienie i nie chcę iść piechotą prosto na cmentarz wojskowy.

- Stul pysk - powiedział bez złości żandarm. - Brać no się za taczki. Whitacre, daj jeszcze! Warto oblać „Dzień D”!

- Nie mam nic do oblewania - burknął Michael chcąc ratować dżin.

- Jak to? Niewdzięcznik z ciebie! Siedzisz tutaj. Jest ci ciepło, miło, bezpiecznie. A mógłbyś leżeć na plaży z odłamkami szrapnela w tyłku. Mówię ci, bracie, masz co oblewać. - Wyciągnął rękę i wziął niechętnie podaną flaszkę.

- Ten dżin kosztuje dwa funty - poskarżył się Michael.

- Śmierć frajerom!

Żandarm uśmiechnął się, łyknął tego. Więźniowie pochłaniali go zazdrosnym, łakomym wzrokiem. Michael odzyskał dżin i wypił również na cześć „Dnia D”. Pod wpływem alkoholu ogarnęła go fala współczucia dla samego siebie. Chowając butelkę spoglądał zimno na więźniów.

- No, stary Roosevelt chyba ma dziś frajdę - odezwał się Fahnstock. - Nareszcie udało mu się wysłać na rzeź całą kupę Amerykanów.

- Pewnie - przyznał żandarm - zeskoczył ze swego fotela na kółkach i od rana tańczy po Białym Domu.

- Słyszałem - podjął Fahnstock - że tego dnia, kiedy wypowiedział wojnę Niemcom, urządził w Białym Domu pierwszorzędny bankiet. Były indyki i francuskie wina, a później generalna obłapka na stołach i biurkach.

Michael westchnął głęboko.

- Rzesza Niemiecka wypowiedziała wojnę Stanom Zjednoczonym - powiedział.
- Mnie to gównem obchodzi, ale tak wygląda prawda.

- Whitacre to komunista z Nowego Jorku - wyjaśnił Fahnstock żandarmowi. - Przepada za Rooseveltem.

- Za nikim nie przepadam. Tylko wiem, że Niemcy i Włosi nam wypowiedzieli wojnę: w dwa dni po Pearl Harbor.

- Niech oni rozstrzygną. - Fahnstock zwrócił się do więźniów i ich opiekuna: - Kto komu wypowiedział wojnę? Gadajcie, chłopcy!

- Jasne jak słońce - powiedział żandarm. - Myśmy zaczęli. Dobrze sobie przypominam.

- A co wy na to?

Obydwaj więźniowie kiwnęli głowami.

- My wypowiedzieliśmy wojnę - zawyrokował człeczyna, któremu proponowano ułaskawienie na honorowych warunkach, jeżeli wróci do piechoty.

- Leżysz, Whitacre! Cztery do jednego! U nas większość decyduje - roześmiał się Fahnstock.

Michael zmierzył go nienawistnym, pijackim wzrokiem. Czuł, że nie zniesie dłużej tej pryszczatej, obleśnej, zadowolonej gęby. „Nie dziś! Nie w taki dzień!” - pomyślał półprzytomnie i powiedział głośno, z naciskiem:

- Ty zakuty łbie! Skurwysynu! Przetnę cię, jak jeszcze raz odemkniesz pysk!

Fahnstock ledwie widocznie poruszył wargami i strzyknął w twarz Michaela długą, brunatną strugą śliny z tytoniowym sokiem. Michael skoczył i dwa razy uderzył go w szczękę. Fahnstock upadł, ale po chwili był na nogach uzbrojony w gruby bal, z którego końca sterczały gwoździe. Wziął zamach, a Whitacre rzucił się do ucieczki. Żandarm i więźniowie ustąpili z drogi, aby dać wolne miejsce zapaśnikom.

Fahnstock był zwinny mimo porastającego go tłuszczu. Kilkoma susami dopadł Michaela i potężnie zdzielił w ramię. Michael poczuł szarpiący ból, uskoczył na bok. Schylił się, chwycił kawałek deski, nim jednak zdążył stanąć prosto, przeciwnik uderzył ponownie. Gwoździe rozdarły skórę, mięśnie i oparły się tępo o kość policzkową. Wtedy Whitacre zadał cios. Deska trafiła w głowę. Fahnstock skurczył się, idąc bokiem zaczął okręzać Michaela małym półkolem. Jeszcze raz podniósł bal, ale tak słabo, że Michael uskoczył, chociaż zalane krwią oko niełatwo ocenia odległości. Wyczekał, aż przeciwnik zamierzył się znowu, i uderzył trzymając deskę na płask jak kijem do baseballa. Tym razem trafił w szyję i brodę. Fahnstock zwałił się na czworaki i został w tej pozie, jak gdyby szukał czegoś w miąższym piasku koło stosu drewna.

- Ładnie - pochwalił żandarm. - Wcale ciekawa walka. Hej, wy! - krzyknął do więźniów. - Posadźcie tego frajera.

Obydwaj zbliżyli się do Fahnstocka i oparli go plecami o skrzynię. Tępo patrzył przed siebie na pusty, zalany słońcem plac. Nogi miał wyprostowane, rozkraczone szeroko. Sapał jak miech kowalski, ale nie zdradzał innych oznak życia.

Whitacre rzucił deskę i wyjął chusteczkę z kieszeni. Otarł twarz, spojrzał na czerwone, lepkie plamy.

„Ranny - pomyślał i uśmiechnął się krzywo. - Ranny w «Dzień D»”.

Nagle żandarm spostrzegł oficera, który wyszedł z odległego o sto jardów baraku.

- Jazda! Ruszać się! - rzucił pod adresem więźniów i poradził zyczliwie niedawnym zapaśnikom: - A wy bierzcie się lepiej do roboty. Idzie „Uśmiechnięty Jack”.

Żandarm i więźniowie oddalili się żwawo, a Michael spojrzał na nadchodzącego oficera, który zyskał przydomek „Uśmiechnięty Jack” dlatego, że nie uśmiechał się nigdy. Spojrzał i zaniepokoił się nie na żarty. Chwycił Fahnstocka za kołnierz, postawił na nogi i wcisnął mu młotek w rękę. Fahnstock zaczął odruchowo bębnić w kawałek drewna. Michael zebrał z ziemi kilka desek, ostentacyjnie przeniósł na drugą stronę stosu i tam ułożył starannie. Potem wrócił do Fahnstocka i odnalazł swój młotek. Kiedy oficer stanął nad nim, obydwoj byli bardzo zajęci i robili wiele hałasu.

„Sąd wojenny - myślał posepnie Michael. - Pięć lat jak w banku. Pijaństwo w czasie służby. Bójka. Naruszenie dyscypliny...”.

- Co się tu wyprawia? - zapytał „Uśmiechnięty Jack”. Michael przestał walić młotkiem. Fahnstock poszedł za jego przykładem. Obydwaj odwrócili się i spojrzeli na oficera.

- Nic, panie poruczniku - odpowiedział Michael jak najmniej otwierając usta, żeby nie zaleciało dżinem.

- Pobiliście się?

- Nie, panie poruczniku - zaprzeczył Fahnstock solidarny w obliczu wspólnego nieprzyjaciela.

- A skąd ta rana? - indagował dalej „Uśmiechnięty Jack” wskazując palcem trzy równoległe krechy na policzku Whitacre'a.

- Pośliznąłem się, panie poruczniku - skłamał beczelnie Michael.

Oficer przygryzł wargi, a Michaelowi zdawało się, że czyta jego myśli: „Wszyscy są tacy sami. Wszyscy próbują robić ze mnie durnia. W całej cholernej armii nie ma ani jednego szeregowca, co nie ześle, jeżeli może”.

- Fahnstock! - zawołał „Uśmiechnięty Jack”.

- Rozkaz, panie poruczniku. . . .

- Czy ten szeregowiec mówi prawdę?

- Tak jest, panie poruczniku. Pośliznął się.

„Uśmiechnięty Jack” powiódł dokoła wzrokiem bezsilnej furii.

- No, niech się tylko dowiem, że to łgarstwo... - Niedopowiedziana groźba zawisała w powietrzu. - Zresztą mniejsza o to... Whitacre! Przerwijcie robotę. W kancelarii jest dla was przeniesienie i rozkaz wyjazdu. Możecie zaraz dostać papiery.

Złym okiem spojrzął na podwładnych, a kiedy ci zaszalutowali przepisowo, odwrócił się i odszedł. Michael patrzył na plecy wycofującego się, pokonanego wroga.

- Ty skurwysynu! - wybuchnął po chwili Fahnstock. - Jak nawiniesz mi się pod rękę, zarżnę cię brzytwą. Rozumiesz?

- Miło mi było zawrzeć z panem znajomość - rzucił Whitacre swobodnym tonem salonowej konwersacji. - A niech łaskawy pan czyści teraz kotły, jak się patrzy, do połysku.

Rzucił młotek, pomacał tylną kieszeń, by upewnić się, że butelki nie widać, i lekkim krokiem pospieszył do kancelarii.

Niebawem szeregowiec Whitacre miał papiery w kieszeni, a na twarzy starannie zawinięty czysty bandaż, przystąpił więc do pakowania rzeczy. Otrzymał rozkaz, by się niezwłocznie zameldował u pułkownika Pavone, który zapotrzebował go imiennie i drogą służbową. Porządkując sorty mundurowe i ekwipunek, pociągał od czasu do czasu z butelki i postanawiał solennie, że nigdy nie będzie ryzykował, nigdzie nie zgłosi się na ochotnika, niczego nie potraktuje serio. „Nie zdechnąć. Przeżyć jakoś - myślał posępnie. - Jak dotychczas niczego więcej nie nauczyłem się w wojsku”.

Następnego dnia rano odjechał do Londynu wojskową ciężarówką. W mijanych wioskach i miasteczkach cywile pokrzykiwali radośnie i układali palce w znak litery „V”, bo zdawało im się, że każdy amerykański samochód zmierza teraz prostą drogą do Francji. Michael i jego towarzysze podróży odpowiadali cynicznie na owacje: śmiali się, wymachiwali rękami, robili bohaterskie miny.

Niedaleko Londynu spotkali brytyjską kolumnę. Ciężarówki wiozły uzbrojonych piechurów. Na ostatniej widniało nagryzmolone kredą żalosne ostrzeżenie: „Uwaga, dziewczęta! Nie wiwatować! To tylko Anglicy!”.

Żołnierze Jego Królewskiej Mości nie patrzyli nawet na amerykański wóz mijający ich pełnym gazem.

Rozdział XXVIII

Bitwa rozgrywa się na wielu rozmaitych szczeblach. Przed wszystkim o jakieś osiemdziesiąt mil od głośu armat istnieje szczebel czysto abstrakcyjny, Naczelne Dowództwo, gdzie co rano odkurza się szafy z aktami, gdzie panuje atmosfera zorganizowanej, spokojnej pracy, a żołnierze, którzy nigdy nie strzelają i nigdy nie są celem - generałowie na kluczowych stanowiskach - siedzą w nieskazitelnie wyprasowanych mundurach i przygotowują sprawozdania, z których jasno wynika, iż zrobiono wszystko, co w ludzkiej mocy, resztę zaś zostawiono opatrności boskiej. Pan Bóg wstał wcześniej i wcześniej rozpoczął dzień roboczy. Beznamiętnym krytycznym wzrokiem ogląda okręty, ludzi tonących w wodzie, eksplozje dynamitu, precyzyjną robotę bombowców, liczne dowody męstwa i doświadczenia oficerów marynarki, żołnierzy wylatujących w powietrze na minach, fale spienione srogo przy zderzeniu z broniącymi wybrzeża stalowymi sztabami, ładowanie dział w wieżach pancerników. Pan Bóg ogląda również inny okazały pałac (daleko od burzliwego wiru na styku dwóch armii), gdzie tego ranka także odkurzano akta, gdzie nieprzyjacielscy generałowie w nieskazitelnie wyprasowanych mundurach patrzą na bardzo podobne mapy, studiują bardzo podobne meldunki i siłą ducha oraz bystrością umysłu współzawodniczą z odległymi o sto mil kolegami i przeciwnikami zarazem. W owych salonach i gabinetach wiszą ogromne mapy z oleatami, na których czarne i czerwone krechy obrazują płynną sytuację, a bitwę ujmuje się tam szybko w konkretne, formalne ramy. Na mapach zawsze działa jakiś plan. Jeśli Plan Numer I zawiedzie, można odwołać się do Planu Numer II, a gdy ten spełni przewidywania tylko częściowo, wprowadzi się z góry przygotowane poprawki do Planu Numer III. Wszyscy generałowie uczyli się z tych samych podręczników w West Point, Spandau i Sandhurst. Wielu jest autorami książek. Wszyscy czytali nawzajem swoje dzieła. Wszyscy wiedzą, co Cezar uczynił w podobnej sytuacji, jaki błąd popełnił Napoleon we Włoszech i czemu Ludendorff nie wykorzystał przerwania frontu w tysiąc dziewięćset piętnastym roku. Wszyscy - po obydwu stronach Kanału - mają nadzieję, że rozwój sytuacji nie sięgnie krytycznego punktu, kiedy trzeba powiedzieć ostateczne TAK lub NIE, które rozstrzygnie los bitwy albo nawet przyszłość narodu. Myśl o tym TAK lub NIE pozbawia generałów ostatniej drobiny męstwa, gdyż człowiekowi, co je wypowie,

grozić może klęska, hańba, utrata ciężko zapracowanej opinii i odarcie z zaszczytów do końca życia. A więc generałowie siedzą w swoich kwaterach głównych, bardzo podobnych do biur General Motors czy LG. Farben we Frankfurcie, gdzie również są stenografistki i maszynistki, a na korytarzach odbywają się flirty. Patrzą na mapy, studiują meldunki i modlą się, by Plan Numer I i Plan Numer II, i Plan Numer III działały tak, jak miały działać według zgodnej opinii wszystkich osobistości, które mają coś do powiedzenia przy Grosvenor Square lub Wilhelmstrasse. Jeżeli zaś mają nastąpić jakieś zmiany, niech będą drobne, nieważne, możliwe do wprowadzenia na miejscu przez aktorów ze sceny.

Aktorzy ze sceny oglądają całą historię na innym szczeblu. Nikt ich nie pytał, jak najdogodniej odizolować pole bitwy ani ile czasu ma trwać wstępne bombardowanie z powietrza. Meteorologowie nie informowali ich o zmianach odpływów i przyływów w czerwcu ani o możliwości sztormów w tym okresie. Aktorzy ze sceny nie uczestniczyli w konferencjach, na których debatowano, ile dywizji opłaci się stracić, by do godziny szesnastej posunąć się o milę w głąb lądu i uchwycić pierwszą linię przejściową. Na barkach desantowych nie ma szaf z aktami ani stenotypistek i flirtów, ani map, na których poczynania jednostki pomnożone przez dwa miliony przybierają postać jasnych, uzasadnionych, prostych symboli, odpowiednich dla komunikatów wojennych i przyszłych historyków.

Aktorzy ze sceny oglądają hełmy, rzygowiny, zielone fale, wybuchy pocisków, dym, krew, podwodne przeszkody, kraksy samolotów, działa, blade, otępiałe twarze, bezładny tłum uganiających się po plaży i padających żołnierzy, a wszystko to nie ma najmniejszego związku z niczym, czego uczono ich od dnia, gdy porzucili pracę i żony, aby wdziać mundur obrońców swojej ojczyzny. Generał, oddalony o osiemdziesiąt mil, zasluchany w echa głosów Cezara, Clausewitza i Napoleona, jest zdania, że bitwa przebiega zgodnie lub prawie zgodnie z planem. Ale dla aktora ze sceny sprawy idą zawsze na opak.

- O, Boże! - jęczy, gdy w „Godzinie H+2” o milę od wybrzeża pocisk trafia barcę desantową i ranni zaczynają wrzeszczeć na śliskich pokładach. - Wszystko przepadło! O, Boże!

Generałowie w Naczelnym Dowództwie sądzą, że meldunki o stratach brzmią zachęcająco. Aktorowi ze sceny straty nigdy nie przedstawiają się zachęcająco. Kiedy najbliższy sąsiad pada ciężko ranny, kiedy o pięćdziesiąt stóp wylatuje w powietrze

okręt, kiedy na mostku kapitańskim młody kadet marynarki wzywa matkę cienkim, dziewczęcym głosem, bo nie ma już nic niżej pasa - wówczas aktor ze sceny dostrzega jedynie sieć potwornych przypadków. Nie może uwierzyć, że gdzieś daleko, o osiemdziesiąt mil istnieje człowiek, który te wypadki przewidział, obmyślił, przygotował, a gdy się wydarzyły, melduje, iż działania rozwijają się zgodnie z planem, chociaż musi przecież wiedzieć o pocisku, o tonącej barce, o mokrych, śliskich pokładach i wzywającym matkę kadecie marynarki.

- O, Boże! - jęczy aktor ze sceny, gdy czołg-amfibia pogrąża się w falach, a z jego wnętrza wypływa z krzykiem tylko jeden człowiek albo nie wypływa nikt.

- O, Boże! - jęczy, gdy uprzytamnia sobie, że dopiero co stał na niczyjej, dziwnie wykręconej nodze leżącej teraz koło jego twarzy.

- O, Boże! - jęczy na rampie barki desantowej, gdy seria z karabinu maszynowego kosi dwunastu biegnących przed nim kolegów i ranni kłębią się rozpaczliwie w głębokiej na dwie stopy zimnej wodzie.

- O, Boże! - jęczy szukając wzrokiem lejów, którymi (jak mu obiecywano) lotnictwo miało upstrzyć plażę, a gdy ich nie znajduje, kryje twarz w piasku i czeka, aż pocisk moździerza cicho spłynie na niego.

- O, Boże! - jęczy, gdy przyjaciel, którego poznał i pokochał w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku w Fort Benning (stan Georgia), wylatuje na minie i zawisa pośród drutów kolczastych, a plecy ma rozprute od karku do lędźwi.

- O, Boże - jęczy aktor ze sceny - wszystko przepadło! O, Boże!

O czwartej po południu barka desantowa kołysała się jeszcze na falach. Koło południa szalupa sanitarna zabrała rannych opatrzonych starannie i po transfuzji krwi. Noe patrzył z zawiścią na nieruchome, owinięte kocami kształty, które na noszach niknęły za burtą. Ci wracali. Wracali na zawsze. Za dziesięć godzin mogą znaleźć się w Anglii, za dziesięć dni w Stanach. Szczęściarze! Nigdy nie będą musieli wojować.

Ale szalupa została trafiona, nim odpłynęła sto stóp. Coś chlupnęło w jej pobliżu i zrazu nic się nie stało. Potem szalupa zrobiła przechył na burtę, odwróciła się wolno i pokazała kil. Koce, bandaże, nosze zawirowały w mętnej zielonej wodzie. Po dwóch minutach wszystko zniknęło. Pośród rannych był Donnelly z odłamkami szrapnela w czaszce. Przez chwilę Noe wypatrywał go w spienionych falach, nie

dojrzał jednak niczego. „Szkolili go, szkolili - pomyślał smętnie - i co z tego? Nie użyje w boju miotacza płomieni”.

Colclough był niewidzialny. Od rana siedział w kabinie. Na pokładzie zjawili się tylko porucznik Green i porucznik Sorenson. Green, drobny, szczupły młodzieniec, robił wrażenie dzieciucha. Przez cały okres szkolenia kompania podrwiwała z jego drobnego kroczonego i głosu o dziewczęcym brzmieniu. Teraz jednak porucznik Green chodził między rannymi cierpiącymi na chorobę morską i zdrowymi, co spodziewali się śmierci w każdej chwili. Był pogodny, zaradny. Pomagał przy nakładaniu opatrunków i transfuzjach krwi. Wszystkim dowodził, iż barka nie zatonie, gdyż marynarze kończą naprawę silników, że za kwadrans będzie po lądowaniu. Biegał swoim drobnym kroczkiem i mówił ani grubszym, ani bardziej męskim głosem, lecz Noe miał wrażenie, że gdyby na pokładzie zabrakło porucznika Greena (który przed wojną miał sklep z pasmanterią gdzieś w Południowej Karolinie), do drugiej po południu za burtę wyskoczyłoby pięćdziesiąt procent kompanii.

Niepodobna było osądzić, jak rozwija się sytuacja na plaży. Burnecker puścił nawet w kurs dowcip na ten temat. Przez cały długi ranek, za każdym razem gdy pocisk eksplodował w pobliżu, ścisnął mocno ramię Noego i powtarzał matowym, chrypliwym głosem: „Kłapa z nami... Kłapa z nami!”. Ale koło południa wziął się jakoś w garść, przestał wymiotować, a kiedy zjadł żelazną porcję i poskarżył się, że ser jest wyschnięty, odzyskał dobrą minę. Widocznie pogodził się z okrutnym losem albo nabrał wiary w lepszą przyszłość. Noe wyjrzał przez burtę na plażę, gdzie padały pociski, wybuchały miny i ludzie biegali bezładnie we wszystkie strony. Po chwili rzucił retoryczne pytanie:

- No, jak tam sprawy wyglądają?

- Nie wiem - odpowiedział Burnecker. - Gazeciarz nie przyniósł mi jeszcze porannego wydania „New York Timesa”.

Nie był to dowcip szczególnie błyskotliwy, ale Noe wybuchnął niepojętym śmiechem, a Burnecker uśmiechnął się zadowolony z wywołanego efektu. Od tej pory powiedzonko przyjęło się w kompanii i przez długi czas - nawet w głębi Niemiec - na pytanie: „Jak sprawy wyglądają?”, padała zwykle odpowiedź: „Nie wiem. Gazeciarz nie przyniósł mi jeszcze «Timesa»”.

Długo potem Noe próbował nieraz wspominać, jak się czuł pod padającymi tu i ówdzie pociskami, gdy barka o pokładach śliskich od krwi i słonej wody kołysała się

zdana na łaskę fal. Ale długie godziny mijały w szarej, lepkiej mgie podświadomości i w pamięci pozostały po nich tylko oderwane, mało ważne wrażenia: dowcip Burneckera, sylwetka porucznika Greena, gdy schylony nad rannymi z upiornym komizmem podstawia własny hełm, aby biedak miał w co wymiotować, czerwony, rozindyczony oficer marynarki, dowódca barki, wychylony za burtę i oglądający świeże uszkodzenie z miną baseballisty, którego sfaulował krótkowzroczny partner, Donnelly, nieprzytomny, z białą, obandażowaną głową i twarzą pozbawioną wszelkiej zawziętości, łagodną teraz i skupioną niby twarz mniszki z filmu. Ackerman widział wyraźnie te zewnętrzne obrazy i pamiętał, że sam po dziesięć razy na godzinę sprawdzał, czy jego ładunki dynamitowe nie zamokły, albo patrzył co chwila na bezpiecznik karabinu, aby zaraz o tym zapomnieć i znów patrzeć. Od czasu do czasu nadciągała fala strachu. Wtedy drętwiał, tulił się do burty, zaciskał zęby i o niczym nie mógł myśleć. Potem przychodziło zobojętnienie. Niepodobna było uwierzyć, że bierze się w tym wszystkim udział, strach więc mijał, bo przecież nie można ponieść szwanku w bitwie, której się nie jest uczestnikiem. Raz Noe sięgnął do portfela i przez długi czas gapił się na fotografię uśmiechniętej Hope z tłustym niemowlęciem na ręku. Dziecko ziewało, miało otwartą buzię...

W okresach wolnych od strachu myśli wędrowały samopas, jak gdyby Noe nudził się; we wspomnieniach szukał ulgi i rozrywki, niby uczeń, co w klasie marzy o słonecznym czerwcowym dniu i sennym brzęczeniu owadów. Przed tygodniem w obozie przejściowym niedaleko Southampton kapitan Colclough wygłosił mowę... Przed tygodniem! Czy to możliwe?... Pachnące majem urocze sady, trzy obfite posiłki na dzień, baryłka piwa w namiocie kantyny, okryte kwiatem gałązki nad czołgami i działami i każdego dnia dwa filmy... *Madame Curie*... Greer Garson wystrojona, ucharakteryzowana na wielką damę, uparcie szuka radu... Albo Betsy Grabie wyczynia Bóg wie co gołymi nogami, aż miga ekran falujący za każdym razem, gdy wiatr wdziera się do namiotu. Wszystko dla morale piechoty. Wszystko!

- Żołnierze! - W ciągu swojego przemówienia kapitan Colclough powtórzył ten wyraz dwadzieścia razy. - Nadszedł dzień próby. Jesteście wyszkoleni nie gorzej niż jakakolwiek armia na świecie. Na francuskich plażach staniecie lepiej uzbrojeni, lepiej wyćwiczeni, lepiej przygotowani od hołoty, z którą przyjdzie się wam spotkać. Pełna przewaga będzie po waszej stronie. Grę rozstrzygnie odwaga wasza lub wroga. Żołnierze! Niedługo pójdziecie w bój i będziecie zabijać Szwabów. Pamiętajcie! W tej chwili wolno wam myśleć tylko o jednej sprawie - o zabijaniu Szwabów. Żołnierze!

Niektórzy z was zostaną ranni, niektórzy polegą. Nie zamierzam owijać prawdy w bawełnę. Nie zamierzam cukrzyć gorzkiej pigułki. Prawdopodobnie wielu was polegnie. - Colclough mówił wolno, ze smakoszostwem. - Żołnierze! Dlatego właśnie znaleźliście się w wojsku. Dlatego właśnie jesteście tutaj. Dlatego właśnie wylądujecie na wybrzeżach Francji. Jeżeli nie przywykliście jeszcze do tej myśli, czas, abyście się z nią oswoili. Nie chcę raczyć was patriotycznym przemówieniem. Niektórzy z was muszą zginąć, ale musicie też wytłuc kupę Niemców. Jeżeli ktokolwiek - odszukał wzrokiem Noego i przywarł do niego lodowatym spojrzeniem - jeżeli ktokolwiek myśli migać się i zaniedbywać żołnierskie obowiązki dla ratowania własnej skóry, niech pamięta, że ja będę z wami i osobiście dopilnuję, by każdy należycie spełnił swe zadanie. Nasza kompania, do stu tysięcy diabłów, musi być najlepszą kompanią w dywizji! Żołnierze! Przyrzekłem to sobie i przyrzeczenia dotrzymam. Po czekającej nas bitwie mam nadzieję zostać majorem, ale to wy, żołnierze, musicie zdobyć dla mnie awans. Ja pracowałem dla was, teraz wy popracujecie dla mnie. Jestem pewien, że spasionym dupkom z propagandy, opiekunom waszego morale, co wysiadują stołki w Waszyngtonie, nie poszłaby w smak moja mowa. Do dziś dnia oni robili swoje, a ja się nie wtrącałem. Szpikowali was stosami parszywych broszur, podniosłych uczuć i piłeczek do ping-ponga. A ja nic. Stałem z boku i patrzyłem. Pozwalałem im gadać do was jak do osesków, dawać słodkie „ciuciu” żołnierzynom, pudrować im pupcie talkiem i tłumaczyć, że będą żyć wiecznie pod troskliwą opieką mamy-armii. Żołnierze! Teraz koniec ze spasionymi dupkami z propagandy! Słuchać macie tylko mnie. Tylko mnie i nikogo więcej! Żołnierze! Zapamiętajcie obowiązującą was od dzisiaj ewangelię, która brzmi: Nasza kompania ma ukatrupić więcej Szwabów niż jakakolwiek inna kompania w dywizji, a czwartego lipca nasz dowódca ma dostać awans na majora. Żołnierze! Rozumiem, że to może oznaczać straty cięższe niż w innych oddziałach, ale nic nie poradzę i dodam tylko: chłopcy! Kapelan zaopiekuje się wami, a do Europy nie jedziecie przecież na wycieczkę turystyczną i oglądanie zabytków! Sierzancie! Dajcie: rozejść się! - Bacność! - ryknął szef. - Rozejść się!

Od rana nikt nie widział kapitana Colclougha. Może już poległ? Może pod pokładem komponował świeżą mowę z okazji przybycia do Francji? Tylko porucznik Green (który jak żyje nie wygłosił mowy) lał sulfanilamid w rany, okrywał kocami zmarłych, uśmiechał się do żywych i przypominał im co chwila, aby chronili broń przed wodą.

Wreszcie o pół do piątej załodze udało się puścić w ruch silniki i jak wróżył porucznik Green, w kwadrans później barka desantowa przybiła do brzegu. Plaża sprawiała wrażenie miejsca bezpiecznego, ożywionego zorganizowanym ruchem. Ludzie uwijali się po niej setkami. Wyładowywali amunicję, układali w stosy skrzynki z żywnością, przynosili rannych, okopywali się na noc pośród bezładnie rozrzuconych szczątków barek desantowych, spychaczy i dział polowych. Ogień broni małokalibrowej słychać było daleko za wydmą oddzielającą plażę od głębi lądu. Od czasu do czasu padał pocisk artyleryjski lub wybuchała mina, nie ulegało jednak wątpliwości, że pas nadbrzeżny został mocno uchwycony.

Kapitan Colclough ukazał się na pokładzie, kiedy barka zaryła dziobem w piasek. U pasa miał pistolet kaliber 0,45 ozdobiony masą perłową i umieszczony w futerale z wytłaczanej skóry. Był to prezent od żony. Dowódca nie taił tego przed kompanią i oręż ów nosił z fantazją, nisko na udzie, niczym szeryf z okładki powieści o Dzikim Zachodzie.

Brodzący w wodzie kapral saperów wymachiwał rękami i wskazywał zatłoczoną plażę obsadzie barki. Widać było, że jest zmęczony, ale czuje się dobrze i swobodnie, jak gdyby znaczną część życia spędził na francuskim wybrzeżu pod ogniem artylerii i broni maszynowej.

Rampa z boku statku opadła (działała tylko jedna, bo drugą uszkodziły pociski) i Colclough zaczął sprowadzać na ląd swoich ludzi. Dotarł do końca rampy, który zarył się w miękkim piasku i raz po raz nikał pod trzema stopami spienionej wody. Nagle kapitan stanął, zastygł z nogą wzniesioną w górę. Po chwili cofnął się żywo.

- Tędy, panie kapitanie - zawołał kapral saperów.

- Tam leży mina - odpowiedział Colclough. - Niech ci ludzie - wskazał ręką drużynę saperów, którzy spychaczem torowali drogę przez nadbrzeżne diuny - przyjdą tutaj i oczyszczą teren.

- Nie ma żadnejminy, panie kapitanie - odburknął kapral.

- Nie rozumiecie, kapralu?! - wrzasnął Colclough. - Mówię wyraźnie, że na własne oczy widziałem minę.

Porucznik marynarki, dowódca barki, utorował sobie drogę na koniec rampy.

- Kapitanie - mówił zirytowany - proszę wyładowywać wojsko. Za dziesięć minut odbijamy. Nie myślę nocować na plaży. A grozi mi to, jak pan będzie marudził.

- Przy końcu rampy leży mina - oznajmił kategorycznie kapitan.

- Panie kapitanie - podjął saper. - Trzy kompanie lądowały dokładnie w tym miejscu. Nikt jakoś nie wyleciał.

- Daję wam rozkaz! - wybuchnął Colclough. - Niech wasi ludzie przyjdą tu i oczyszczą teren. Zrozumiano?

- Tak jest, panie kapitanie. - Kapral odszedł w stronę spychacza mijając po drodze szesnaście trupów porządnie ułożonych w szereg i owiniętych kocami.

- Jeżeli nie wyładuje się pan zaraz - powiedział porucznik marynarki - Stany Zjednoczone stracą nieodwołalnie jedną barcę desantową wraz z załogą.

- Poruczniku - odparł chłodno Colclough. - Pilnuj pan własnych spraw. Ja sam przypilnuję swoich.

- Za dziesięć minut odpływam z panem i całą pańską zasraną kompanią - groził porucznik pnąc się rampą w górę. - Na ląd będziecie mogli dostać się tylko wpływ.

- O pańskim zachowaniu złożę właściwy meldunek drogą służbową - odpowiedział z godnością Colclough.

- Dziesięć minut! Powtarzam! - rzucił przez ramię marynarz zajmujący posterunek na mocno uszkodzonym mostku.

Na rampie tłoczyli się ustawieni rzędem żołnierze. Przesztywali z nogi na nogę, zerkali spod oka na mętną, zielonkawą wodę, w której wirowały porzucone pasy ratunkowe, drewniane skrzynki na amunicję do broni maszynowej i kartony po żelaznych porcjach. Porucznik Green zatrzymał się mniej więcej w połowie rampy.

- Panie kapitanie - powiedział dyszkantem - chętnie pójdę pierwszy. Skoro saper twierdzi, że min nie ma... Eee... Potem chłopcy mogą iść moim śladem i...

- Nie chcę stracić na plaży ani jednego człowieka - przerwał mu Colclough. - Proszę czekać i nie wtrącać się w moje sprawy.

Delikatnym, lecz stanowczym gestem dotknął masy perłowej na ręczce pistoletu. W tej chwili Noe spostrzegł skórkowe frędzelki zdobiące kaburę, która pasowałaby świetnie do kowbojskiego stroju, jaki mali chłopcy dostają na gwiazdkę.

Przez plażę wracał szybko kapral saperów. Towarzyszył mu porucznik, wysoki, barczysty mężczyzna z gołą głową i bez broni. Miał ogorzałą od wiatru, czerwoną, spoconą twarz. Ogromne, czarne od brudu łapy wychylały się z podwiniętych rękawów kombinezonu. Nie wyglądał na żołnierza. Raczej sprawiał wrażenie majstra dozorującego robotników drogowych.

- Śmiało, kapitanie! - zawołał. - Na brzeg! Na brzeg!

- Tam leży mina - powiedział Colclough. - Niech najpierw pańscy ludzie oczyszczą teren.

- Nie ma żadnej miny.

- Widziałem na własne oczy - powtórzył kapitan.

Żołnierze niechętnie słuchali tych targów. Stali o krok od lądu, chcieli więc jak najprędzej wydostać się z barki, która przez cały dzień była świadkiem ich męki, obecnie zaś chwiała się, trzeszczała za każdym uderzeniem fal i nadal stanowiła dogodny cel. Tak blisko rysowały się piaszczyste wydmy, leje po bombach, stopy wyładowanego zaopatrzenia i sprzętu. Plaża sprawiała wrażenie nieporównanie bardziej pewne, zorganizowane i przytulne niż cokolwiek, co kołysze się na morzu i podlega rozkazom Marynarki Wojennej. Żołnierze patrzyli tępo na plecy dowódcy. Nienawidzili go coraz serdeczniej.

Porucznik saperów chciał coś powiedzieć, rozchylił nawet wargi, lecz nagle zobaczył pistolet o ręczce z masy perłowej i kaburę ze skórzanymi frędzelkami. Zamknął więc usta i uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. Potem bez słowa, bez zmiany wyrazu twarzy wszedł w wodę, tak jak był: w butach i spinaczach. Nie zważał na fale sięgające mu chwilami bioder. Krok za krokiem chodził ciężko przy końcu rampy i po obydwu jej stronach, aż zdeptał każdy cal, po którym można było stąpać przy lądowaniu. Wreszcie nie spojrzawszy nawet na Colclougha odwrócił się i przygarbiony trochę z przemęczenia odszedł do swoich saperów, którzy spychaczem szturmowali wielki blok betonowy umocniony stalowymi szynami.

Kapitan odwrócił się raptownie, lecz nie przyłapał uśmiechu na niczyjej twarzy, odwrócił się więc znowu i z godnością, choć ostrożnie stąpnął na francuską ziemię. Żołnierze jeden za drugim poszli jego śladem przez zimną morską wodę i pływające wokół śmiecie, które zostawił pierwszy dzień wielkiej bitwy o kontynent europejski.

Tego wieczora kompania nie wzięła udziału w walkach. Żołnierze okopali się, zjedli żelazne porcje (cielęca konserwa, suchary i witaminowa czekolada, a wszystko to pachnące fabryką, twarde i bardziej oślizłe niż naturalny pokarm) i uporali się z czyszczeniem broni. Później z minami weteranów i uczuciem pobłażliwej wyższości obserwowali lądowanie nowych oddziałów do przesady wrażliwych na miny i pociski działowe. Colclough wyruszył na poszukiwanie dowództwa pułku, które znajdowało się gdzieś w głębi lądu, ale nikt nie wiedział dokładnie gdzie.

Noc była zimna i ciemna. Mżył deszcz przy silnym wietrze. O zmroku Niemcy rozpoczęli atak z powietrza. Działa stojących na redzie okrętów i rozmieszczone na plażach baterie przeciwlotnicze otwały ogień. Wielobarwne smugi stali kreśliły czarną kopułę niebios. Spadające odłamki głucho stukały o piasek. Noe kulił się i raz po raz zadawał sobie pytanie, czy bezpośrednio niebezpieczeństwo przestanie kiedyś grozić jego życiu.

O świcie kapitan wrócił z pułku i zarządził pobudkę. Wieczorem zabłądził w ciemnościach i szukając kompanii wałęsał się po plaży tam i z powrotem, póki nie został ostrzelany przez czujny posterunek przy biwaku łączności. Wówczas dalszą przechadzkę uznał za zbyt wielkie ryzyko, okopał się i doczekał brzasku, w którego świetle przestały mu zagrażać kule własnych podkomendnych. Był wynędzniały, zmęczony, lecz rozkazy wykrzykiwał z szybkością karabinu maszynowego i rozwiniętą w luźnym szyku kompanię prowadził śmiało na wydnię oddzielającą nadbrzeżne pola od plaży.

Noe zdążył się już przeziebić. Co chwila kichał i obficie smarkał. Miał na sobie zimową wełnianą bieliznę, dwie pary grubych skarpet, sukieny mundur polowy oraz impregnowany kombinezon. Mimo to jednak przemarznięty do szpiku kości brodził w miążskim piasku mijając rozprute, poczerńnię od dymu niemieckie bunkry, nie pogrzebane trupy w szarozielonych mundurach i uszkodzone nieprzyjacielskie działa, jeszcze zwrócone w stronę morza.

Wyprzedzające kompanię ciężarówki i dżipy z przyczepami pełnymi amunicji buksowały w piasku lub skakały na wybojach. Świeżo przybyły pluton czołgów piał się pod górę, groźny i niezwyciężony. Ludzie z posterunków Regulacji Ruchu wymachiwali rękami, saperzy budowali drogi, spychacze równały teren pod przyszłe lotnisko. Sanitarne dżipy z rannymi na ustawionych w poprzek noszach sunęły między białymi taśmami, co wytyczały przejścia przez pola minowe, w stronę wysuniętych punktów opatrunkowych rozmieszczonych na plaży pod osłoną wydmy. Na rozległym polu zrytym lejami po bombach i pociskach odbywał się błyskawiczny pogrzeb zabitych Amerykanów. Cała ta krzątanina i ten dobrze zorganizowany nieład przypominały Noemu dzień, gdy jako mały chłopiec gapił się w Chicago na cyrk wędrowny spieszący rozstawiający namioty, klatki ze zwierzętami i mieszkalne furgony.

Szeregowiec Ackerman stanął wreszcie na grzbiecie wydmy i odwrócił głowę, aby utrwalić w pamięci obraz plaży. Kiedy wróci do domu, Hope będzie ciekawa, jak to właściwie wyglądało - Hope, a także jej stary. Pobieżne szkicowanie przyszłych opowiadań w jakiś daleki, piękny, niewojenny dzień budziło nadzieję, że taki dzień nadejdzie. Były żołnierz - żywy, cały, ubrany w miękkie flanelowy garnitur i błękitną koszulę - zasiądzie wtedy nad szklaneczką piwa w przyjemnym cieniu morwy i w pogodne letnie popołudnie będzie zanudzać krewnych i przyjaciół przewlekłym weterańskim bajaniem o latach Wielkiej Wojny.

Plaża, zarzucona nadprodukcją amerykańskich fabryk metalurgicznych, wyglądała jak składnica złomu w kraju olbrzymów. Na bliskiej redzie, tuż za starymi trampami zatapianymi właśnie jako falochrony, stały niszczyciele i ostrzeliwały jakiś cel w głębi ładu.

Burnecker przystanął obok Noego.

- To się nazywa wojować z fasonem - powiedział. - Prawdziwe łożka. Prawdziwa kawa w mesie. Po śniadanku szanowni panowie zechcą łaskawie otworzyć ogień. Oj, Ackerman, Ackerman! Gdybyśmy mieli choć krztę oleju we łbach, wstąpilibyśmy do marynarki.

- Nie zatrzymywać się! Nie zatrzymywać! Naprzód! Naprzód! - warczał po sierżancku Rickett, którego głosu nie zmieniły i zmienić nie mogły podróże morskie ani widok ran i śmierci.

- Wybrałbym tego typu, gdybym miał zostać z kimś we dwóch na bezludnej wyspie - szepnął Burnecker.

- Słusznie - przyznał Noe.

Odwrócili się i tracąc z oczu wybrzeże ciężko ruszyli przeciwstokiem.

Po półgodzinnym marszu okazało się, że Colclough znów pobłądził. Zatrzymał kompanię na skrzyżowaniu dróg, gdzie dwaj żandarmi wykopali głęboką jamę i regulowali ruch wychylając nad poziom ziemi tylko hełmy i ramiona. Kapitan gestykulował gniewnie i ryczał na żandarmów, ci zaś kręcili tylko głowami dając do zrozumienia, że o niczym nie mają pojęcia. Następnie Colclough rozłożył mapę i zaczął wymyślać porucznikowi Greenowi, który nadbiegł na pomoc. Wszystko to Noe obserwował z przyzwoitej odległości.

- Takie już nasze szczęście - mruknął Burnecker. - Mamy wodza, który nie umiałby znaleźć konia w sali balowej.

- Na miejsce! - rozległ się wrzask kapitana. - Na miejsce, Green! Sam wiem, co robić!

Skręcił w bok, a kompania powoli weszła za nim między wysokie, bujnie zieleniejące żywopłoty. W gęstwinie było ciemniej i zaciszniej, chociaż armaty grały nieustannie, a ludzie spod oka zerkali ku plątaninie gałęzi i liści, jak gdyby stworzonej na zasadzkę. W milczeniu posuwali się rzędami po obydwu stronach błotnistej drogi i trwożnie słuchali, czy podejrzany szelest, chrzęst karabinowego zamka albo głos Niemca nie zakłóci miarowego szurania nóg towarzyszącego piechocie tak samo przed wiekami, jak tego dnia, kiedy buty grzęzły z mlaskaniem w ciężkiej glinie.

Wreszcie dróżka wyprowadziła oddział na otwartą przestrzeń, a że w tej samej chwili słońce przebiło chmury, żołnierze poczuli się raźniej. Na środku pola stał staroświecki wóz farmerski zaprzęgnięty w rosłego, kudłatego konia. Opodal stara kobieta siedziała na stołeczku i przy pomocy bosej dziewczyny w skupieniu doila krowę. Metodycznie, fachowo pociągała za wymię błyszczącej, jak gdyby dopiero co wyczyszczonej holenderki. W górze chichotały pociski, od czasu do czasu nerwowo zagrzechotał karabin maszynowy, lecz starowina ani razu nie podniosła wzroku. Jej towarzyska, ubrana w zielony znoszony sweter, wyglądała na szesnaście lat. Miała we włosach czerwoną wstążkę i żywo interesowała się żołnierzami.

- Chętnie zostałbym tutaj - odezwał się Burnecker - i pomógł trochę babkom w gospodarstwie. A ty, Ackerman, donosiłbyś mi, jak leci wojna, co?

- Naprzód, dzielny wojaku - odpowiedział Noe. - Dopiero podczas następnej wojny wszyscy trafimy do zaopatrzenia.

- Zakochałem się w tej dziewczusce - podjął Burnecker. - Przypomniała mi Iowę. Ackerman, gadasz trochę po francusku?

- *A votre santé!* Nic więcej nie potrafię.

- *A votre santé!* - krzyknął Burnecker uśmiechając się do dziewczyny i wymachując karabinem. - *A votre santé*, mała! - Uszanowanie twojej babci!

Francuzka uśmiechnęła się i również przesłała ręką pozdrowienie.

- Szaleje za mną - ucieszył się Burnecker. - Co jej powiedziałem?

- Twoje zdrowie.

- Do diabła! Zbyt oficjalna formułka. Wolałbym coś bardziej od serca.

- *Je t'adore* - wygrzebał Noe z ech pokutujących w pamięci.

- Co to znaczy?

- Uwielbiam cię.

- Lepiej. Znacznie lepiej.

Byli już przy krańcu pola. Burnecker zdjął hełm i złożył niski, szarmancki ukłon metalowym garnkiem, który w jego sękatej, farmerskiej łapie wydawał się lekki i kruchy.

- Ach, moja mała! - zawołał z rozkochaną i bardzo serio miną. - *Je t'adore! Je t'adore! Je t'adore!*

Dziewczyna roześmiała się i zamachała ręką.

- *Je t'adore, mon Américain!* - odkrzyknęła.

- Francja to najwspanialszy kraj pod słońcem - entuzjasmował się Burnecker.

- Naprzód! Naprzód, namiętny karaluchu - przynaglił go Rickett i pchnął między łopatki kościstym kciukiem.

- Czekaj na mnie! - ryczał Burnecker nad zielonym polem i gładkimi grzbietami krów tak bardzo podobnych do bydła w jego ojczystej Iowie. - Czekaj na mnie, mała! Nie wiem, jak to się mówi po francusku, ale na pewno wrócę!

Stara Francuzka nie podniosła wzroku, lecz wyciągnęła rękę i zamasyście zdzieliła dziewczynę przez pośladki. Dźwięk tęgiego klapsa słyhać było aż przy końcu pola. Dziewczyna spuściła oczy, wybuchnęła płaczem, a później ukryła się za wozem i zasłoniła twarz rękami.

Burnecker westchnął. Nakrył głowę hełmem i przez dziurę w żywopłocie skoczył na następne pole.

W trzy godziny później Colclough odnalazł dowództwo pułku i po trzydziestu minutach miał już styczność z nieprzyjacielem. Nim minęło dalsze sześć godzin, pokazał, co potrafi, gdyż udało mu się doprowadzić do tego, że został otoczony.

Stara farma, w której bronily się niedobitki kompanii kapitana Colclougha, była chyba budowana z myślą o oblężeniach. Miała grube kamienne ściany, wąskie okna, łupkowy dach odporny na płomienie, pułap wsparty na belkowaniu z potężnych bali, pompę w kuchni i obszerną, głęboką piwnicę, gdzie rannym absolutnie nic nie groziło. W podobnych warunkach można było opierać się długo nawet artylerii. Niemcy nie mieli jednak broni cięższej jak moździerz, toteż Amerykanie - trzydziestu pięciu wycofało się do tej twierdzy - ufali na razie własnym siłom. Strzelali z okien

krótkimi nerwowymi seriami, mierząc do sylwetek, co przemykały niekiedy pośród żywoplotów i zabudowań otaczających dom mieszkalny.

W piwnicy paliła się świeca, a pośród baryłek z jabłecznikiem leżeli czterej ranni i jeden zabity. Rodzina właściciela farmy schroniła się pod ziemię po pierwszych wystrzałach. Siedziała teraz na jakichś skrzynkach i z niemym podziwem gapiła się na cierpiących ludzi, co przyjechali z tak daleka, aby ginąć za ich ojczyznę. Był tam pięćdziesięcioletni chłop utykający od rany otrzymanej nad Marną podczas tamtej wojny, jego żona, wysoka, koścista niewiasta w tym samym wieku, i dwie córki: dwunasto- i szesnastoletnia, bardzo brzydkie i oniemiałe z trwogi. Francuzi kulili się i za beczkami szukali problematycznej osłony.

Sanitariusze zawieruszyli się podczas pierwszych starć, toteż porucznik Green korzystał z każdej wolnej chwili, aby zbiegać na dół i za pomocą opatrunków osobistych robić wszystko, co było możliwe.

Farmer musiał nie najlepiej żyć z żoną, bo dosyć często powtarzał z rozdrażnieniem:

- Oczywiście, oczywiście! *Madame* nie chciała opuścić swego buduaru. Co jej tam wojna! Oczywiście... „Zostaniemy - mówiła. - Nie wydam domu na pastwę żołdactwa”. Czy *madame* bardziej odpowiada taka sytuacja?

„*Madame*” milczała. Siedząc sztywno na skrzynce, pociągała z kubka jabłecznik i ciekawie przyglądała się paciorkom potu połyskującym w blasku świecy na twarzach rannych. Kiedy Niemcy wstrzelali się w okna bawialni i po serii karabinu maszynowego w górze posypało się szkło i drzazgi z gruchotanych mebli, kobieta zaczęła częściej popijać jabłecznik. W żaden inny sposób nie zdradziła wzruszenia.

- Ach, te baby! - burczał gospodarz zwracając się do leżącego u jego stóp nieżywego Amerykanina. - Nigdy nie słuchaj bab! Za nic nie dadzą sobie wyperswadować, że wojna to poważna sprawa.

Na parterze obrońcy zawalili okna przeróżnymi gratami i strzelali przez szpary i zza materaców. Porucznik Green rzucał od czasu do czasu rozkazy, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Kiedy zaczynał się jakiś ruch pośród żywoplotów albo w odległej o dwieście jardów kępie drzew, wszyscy strzelali jeden przez drugiego i dla bezpieczeństwa padali na podłogę.

W jadalni, u szczytu ciężkiego dębowego stołu, zasiadł kapitan Colclough. Okrytą hełmem głowę wspierał na rękach. U pasa miał kaburę z jasnej tłoczonyj

skóry, a w niej pistolet o rękojeści zdobnej masą perłową. Był blady. Zdawać się mogło, że drzemie. Nikt do niego nie mówił i on nie mówił do nikogo. Tylko raz, gdy porucznik Green pochylił się nad nim, by sprawdzić, czy jeszcze żyje, Colclough odzyskał głos:

- Będzie mi pan potrzebny, Green - powiedział. - Muszę złożyć meldunek. Mówiłem przecież porucznikowi Sorensonowi, żeby na naszym skrzydle utrzymywał stałą łączność z kompanią L. Był pan, jak wydawałem mu rozkaz? Był pan przy tym, prawda?

- Tak jest, panie kapitanie. Słyszałem, jak pan wydawał rozkaz Sorensonowi.

- Proszę to stwierdzić na piśmie... Zaraz... Natychmiast... - Colclough patrzył tępo na wytarty blat dębowego stołu.

- Panie kapitanie! Za godzinę będzie ciemno. Jeżeli mamy się stąd wydostać, trzeba próbować w warunkach...

Urwał, bo Colclough zatonął we własnym otępieniu, nie podniósł wzroku i nie drgnął nawet, kiedy Green splunął mu pod nogi i skoczył do okna, pod którym kapral Fein dostał właśnie postrzał w płuca.

Na piętrze, w sypialni państwa domu, czuwali Rickett, Burnecker i Noe. Kryli ogniem wąskie przejście, gdzie między szopą a stodołą przechowywano wóz i pługi. Na ścianie wisiał mały drewniany krucyfiks i fotografia ślubna farmera i jego żony w sztywnych, nienaturalnych pozach. Przeciwną ścianę zdobił oprawny plakat Francuskich Linii Oceanicznych, przedstawiający parowiec „Normandie” na spokojnym lazurowym morzu.

Biała haftowana kapa okrywała staroświeckie łożo pod baldachimem. Komodę zdobiły małe koronkowe serwetki, a półkę nad kominkiem - kot z porcelany.

„Śmieszne! - pomyślał Noe zmieniając magazynek w karabinie. - Tak wygląda moje pierwsze pole bitwy”.

W tej chwili wzmógł się ogień nieprzyjacielski. Zarechotały długie serie. Rickett odskoczył od okna i przywarł do tapetowanej ściany. W ręku trzymał automatyczny karabinek browninga. Szkło chroniące „Normandie” prysnęło setką odłamków. Okręt z dużym otworem tuż nad linią zanurzenia zachybotał się na ścianie, lecz nie spadł.

Noe spojrział na wielkie, schludnie zasłane łożo i poczuł nieposkromioną chęć, by pod nie wpełznąć. Zrobił nawet krok w stronę kuszącej kryjówki. Drżał cały, a

kiedy próbował poruszyć ręką, zatoczył szeroki, bezcelowy krąg i strącił błękitny wazonik z nakrytego tiulowym szalem stolika, który stał pośrodku pokoju.

Gdyby mógł wleźć pod łóżko, byłby bezpieczny. Śmierć by mu nie groziła. Skuliłby się w kurzu, na lichy heblowanych deskach podłogi. „Przecież to nonsens - myślał - stać w oknie i czekać, aż mnie zastrzelą. Dokoła pęta się pół niemieckiej armii. Nie moja wina, że jestem tutaj. Nie ja wybrałem drogę między żywopłotami. Nie ja straciłem łączność z kompanią L. Nie ja zapomniałem zatrzymać kompanię i okopać się, gdzie było trzeba. Trudno wymagać ode mnie, żebym tkwił w oknie koło Ricketta i wystawiał łeb na...”

- Tam! Tam! Prędszej! - wrzasnął sierżant wskazując drugie okno.

- Prędszej! Idą, dranie!

Nie krył się wcale. Strzelał z biodra krótkimi seriami. Ręka i ramię dygotały mu od odrzutów.

„Teraz nie patrzy - pomyślał Noe. - Wejść pod łóżko. Nikt nie będzie wiedział, gdzie się podziałem”.

Burnecker stał już przy oknie. Strzelał. Raz po raz wołał:

- Noe! Noe!

Ackerman spojrzał tęsknie na łóżko. Wyglądało czysto, świeżo, po domowemu. Nagle krucyfiks drgnął na ścianie i rozbity zasypał drzazgami kapę. Noe skoczył do okna, przyklęknął obok Burneckera. Na oślep dał dwukrotnie ognia w kierunku przejścia między szopą a stodołą. Dopiero później spojrzał. Szare, zgięte we dwoje sylwetki biegły niewielkimi grupkami. Zdziwiająco szybko zbliżały się do domu.

Noe przypomniał sobie godziny szkolenia strzeleckiego: muszka, szczerbina celownika, środek celu powinny tworzyć linię prostą, wtedy nawet zreumatyzowany ślepiec nie może chybić. „Aha - pomyślał - biegną gromadą. - Nie powinni tego robić. W gromadę łatwo mierzyć”.

Nie żałował amunicji. Burnecker przycupnął obok niego. Celował przepisowo, spokojnie, wstrzymując oddech. Rickett akompaniował im z drugiego okna. Nagle Noe usłyszał przeciągły, piskliwy głos i dopiero po chwili zorientował się, że to on krzyczy. Wtedy umilkł.

Z parteru dochodził również huk kanonady. Szare sylwetki padały, podnosiły się, padały znowu. Trzy dotarły tak blisko, że mogły rzucić granaty. Ale granaty nie

trafiły w okna i nieszkodliwie wybuchły przed domem, a Rickett jedną serią skosił śmiałków. Inne szare sylwetki uskakiwały na bok, wahały się, zatrzymywały. Przez moment trwały nieruchomo w błocie gliniastego podwórka. Później zaczęły podrywać się i biec z powrotem.

Hura! Hura! - darł się Rickett i gorączkowo ładował broń. - Hura! Bić skurwysynów! Bić skurwysynów!

Noe ocknął się. Starannie wziął na cel Niemca, który biegł dziwnie jakoś, niezdarnie, kulawo. Nie miał karabinu, a puszką z maską gazową śmiesznie podrygiwała mu na biodrze. Noe powoli, ostrożnie nacisnął spust i wystrzelił w chwili, gdy cel mknął za węglem szopy. Niemiec potknął się i długim szczupakiem upadł naprzód.

Rickett wychylił się z okna.

- Brawo! - wrzasnął triumfalnie. - Brawo, Ackerman! Czysta robota!

Przejście między szopą a stodołą opustoszało. Widać było jedynie rozciągnięte tu i ówdzie nieruchome szare mundury.

- Odeszli - mruknął niedorzecznie Noe. - Odeszli. Nie ma ich.

Poczuł wilgotne dotknięcie na policzku. Burnecker całował go jak szalony. Śmiał się i płakał jednocześnie.

- Precz od okna! Padnij! - ryknął nagle sierżant.

Ledwie zdążyli dać nurka pod okno, pociski przeleciały nad ich głowami i gruz posypał się ze ściany pod wizerunkiem „Normandie”.

„Bardzo ładnie ze strony Ricketta - pomyślał bez entuzjazmu Noe. - Kto by się był spodziewał?”.

Drzwi skrzypnęły i do sypialni wszedł porucznik Green. Oczy miał podpuchnięte, czerwone, twarz wyciągniętą z przemęczenia. Powoli usadowił się na łóżku, westchnął i dłonie ścisnął między kolanami. Miarowo kołysał się w tył i do przodu, jak gdyby miał paść na wznak i usnąć.

- No, pokazaliśmy im, panie poruczniku - powiedział szczęśliwy sierżant. - Dostali wcale ładne bańki, co?

- Tak - przyznał Green. - Spisaliśmy się nieźle. Są ranni, Rickett?

- U mnie nikt. Mam samych morowców - uśmiechnął się Rickett.

- W sąsiednim pokoju dostali Morrison i Seeley. A na dole Feinowi przewierciło płuca.

Noe przypomniał sobie Feina. Ogromny, z grubą ciosaną, przyszedł do izby chorych na Florydzie. Mówił: „Po wojnie będziesz mógł dobierać sobie towarzystwo...”.

Green ożywił się nagle i zaczął takim tonem, jak gdyby zamierzał wygłosić przemówienie:

- Bardzo to pięknie, ale... - Urwał, nerwowo rozejrzał się dokoła. - To chyba „Normandie”, prawda?

- Tak - potwierdził Noe. - To „Normandie”.

- Chętnie zamówiłbym kabinę - zażartował oficer i uśmiechnął się mętnie, a gdy odpowiedziało mu milczenie, wzdrygnął się i ręką przetarł oczy. - Bardzo to pięknie - podjął - ale jak się ściemni, musimy wiać z tej nory. Na dole prawie koniec z amunicją. Jak szkopy jeszcze raz spróbują, będziemy ugotowani... - zająknął się i dodał niepewnie: - Ugotowani z jajami... Po zmroku musicie kombinować na własną rękę. Dwójki i trójki. Dwójki i trójki - ciągnął piskliwym, zawodzącym głosem. - Podzielimy kompanię na dwójki i trójki...

- Panie poruczniku, czy to rozkaz kapitana Colclougha? - zapytał Rickett, który stał koło okna i ostrożnie, jednym okiem wyglądał zza futryny.

- To rozkaz porucznika Greena. - Oficer zachichotał cienko, lecz opanował się i dodał stanowczym tonem: - Ja przejąłem dowództwo.

- Pan kapitan nie żyje?

- Nie żyje? - Green położył się na białej kapie i przymknął powieki, ale nie przestał mówić. - Nie. Raczej wycofał się chwilowo... Będzie w formie na przyszlóroczną inwazję.

Znów zachichotał, ułożył się wygodniej na mocno ubitej pierzynie. Nagle otworzył oczy, zerwał się gwałtownie.

- Słyszycie? - zapytał z przestraszeniem.

- Nie - powiedział Rickett.

- Czołgi! Jeżeli przed zmrokiem zdążą sprowadzić czołgi, jesteśmy ugotowani z jajami.

- Mam pod ręką bazookę i dwie pigułki - pochwalił się sierżant.

- Uśmieć się można. - Green wzruszył ramionami i spojrział na plakat z podobizną „Normandie”. - Jeden mój znajomy płynął raz tą łajbą. Taki agent ubezpieczeniowy z Nowego Orleanu. Między Cherbourgiem a Ambrose Light uwiodły go trzy po kolei dziwki. Oczywiście, oczywiście - zmienił ton na poważny. - Trzeba użyć bazooki. Po to ją mamy.

Na rękach i kolanach podczołgał się do okna. Ostrożnie podniósł głowę i wyjrzał.

- Widzę czternastu zabitych szkopów. Oj, życie, życie ludzkie...

- Smutno pokiwał głową i na czworakach powędrował w głąb pokoju; musiał chwycić Noego za udo, żeby dźwignąć się na nogi.

- Cała kompania - podjął tonem zadumy - cała kompania skończona... *Fini...* Jeden dzień. Pierwszy dzień walki. To wydaje się niemożliwe, prawda? Coś trzeba zrobić. Ktoś musi ponieść odpowiedzialność. Prawda? Jak wam się zdaje?... No, pamiętajcie. Po zmroku każdy kombinuje na własną rękę. Starajcie się trafić do naszych linii. Powodzenia!

Trzasnął drzwiami i szybko zbiegł po schodach. Pozostali w sypialni gapili się na siebie bez słowa.

- Dobrze jest, jak jest - bąknął po chwili Rickett. - Na razie trzymamy fason. Do okien, chłopcy!

W jadalni na parterze Jamison stał przed kapitanem Colcloughem i urągał mu głośno. Niedawno stał obok Seeleya, kiedy ten został trafiony w oko. Jamison i Seeley pochodzili z tego samego miasta w Kentucky. Przyjaźnili się od dzieciństwa i razem wstąpili do wojska. Teraz Jamison usłyszał, że jego przyjaciel wraz z resztą rannych zostanie w piwnicy, kiedy zdrowi spróbują przedrzeć się po zmroku.

- Nie wymigasz się, cholerny karawaniarzu - ryczał pod adresem kapitana, który wciąż siedział za ciemnym dębowym stołem i skołataną głowę podpierał rękami.
- Nie wymigasz się! Ty nas tu wpakowałeś. Ty nas wyprowadzisz. Wszystkich!

Trzej stojący pod ścianą żołnierze przyglądali się kapitanowi i jego prześladowcy, lecz nie próbowali interweniować.

- No, rusz się, zasrany trumniarzu! - ciągnął Jamison kołysząc się groźnie nad stołem. - Dosyć tego siedzenia. Wstawaj! Powiedz coś, skurwysynu! W Anglii

miałeś gadane, co? Sypałeś mowami jak z rękawa, kiedy nikt nie strzelał do ciebie, ty hieno cmentarna! Zuch byłeś, co? Wielki człowiek! Na czwartego lipca chciałeś dostać majora! Tfu! Major z pukawką! Daj ten przeklęty rewolwerek. Obrzydzenie bierze patrzeć na niego. W sam raz dobry do zabawy w wojsko!

Nieprzytomny z furii nachylił się, wyrwał z kabury oprawną w masę perłową czterdziestkę piątkę i rzucił w kąt pokoju. Później sięgnął po pustą kaburę, ale nie mógł jej odczepić. Wydobył więc bagnet i gwałtownymi ruchami poprzecinał rzemyki. Futerał z jasnej tłoczonej skóry upadł na podłogę, a Jamison postawił na nim nogę. Colclough nie drgnął nawet. Stojący pod ścianą żołnierze głupkowato przyglądali się tej scenie.

- Mieliliśmy ukatrupić szkopów więcej niż reszta dywizji. Prawda, karawaniarzu spod ciemnej gwiazdy? Po to przecież wybieraliśmy się do Europy, co? A ty, skurwysynu, miałeś pilnować, żeby każdy zrobił swoje jak się patrzy? Ilu dziś zabiłeś Niemców, co? No, podnieś dupę, draniu! Wstań! Gadaj coś! - Chwycił za kołnierz i postawił kapitana.

Colclough w dalszym ciągu patrzył błędnie na blat stołu, a kiedy go Jamison puścił, usiadł bezwiednie na podłodze, przewrócił się na wznak i leżał bez ruchu.

- Palnij no mówkę, kapitanie! - wrzeszczał nad nim prześladowca i pogardliwie trącał go nosem buta. - Trudno o stosowniejszy moment. Wytlumacz jasno, jak to traci się w bitwie po jednej kompanii na dzień! Wytlumacz, jak rannych zostawia się Szwabom! Kropnij wykład o czytaniu map i o zasadach żołnierskiego zachowania. Umieram z ciekawości! Gadaj, dupku! Zleż do piwnicy! Wygłoś do Seeleya mowę o pierwszej pomocy w polu. Powiedz mu, żeby nie szukał kapelana, jak zaproszy sobie oko. No, jazda! Chcemy mowy! Gadaj, jak to pan major ubezpiecza skrzydła w marszu zbliżania. Gadaj, że jesteśmy wyszkoleni pierwsza klasa, a sprzęt mamy taki jak żadna armia pod słońcem!

Do jadalni wszedł porucznik Green.

- Wynoś się, Jamison - powiedział spokojnie. - A reszta, na miejsca!

- Prosiłem tylko, żeby pan kapitan palnął mówkę - odburknął szorstko Jamison. - Małą mówkę do mnie i tych facetów.

- Jamison! - Głos oficera był piskliwy, lecz stanowczy i rozkazujący. - Wracaj na miejsce. Rozumiesz? To rozkaz.

W pokoju zaległa cisza. Niemiecki karabin maszynowy wypuścił parę krótkich serii. Pociski zagrzechotały o zewnętrzną ścianę. Jamison dotknął palcem bezpiecznika karabinu.

- Spokój, chłopcy, spokój! - powiedział Green tonem nauczyciela w młodszej klasie. - Na miejsca. I proszę mi nie robić bałaganu.

Jamison odwrócił się i niechętnie ruszył w stronę drzwi. Trzej pozostali poszli za nim. Porucznik Green spojrział obojętnie na rozciągniętego na podłodze kapitana. Nie schylił się, aby go dźwignąć.

Było już prawie ciemno, kiedy Noe zobaczył czołg. Ciężko włókł się przejściem między stodołą a szopą. Długa lufa sterczała przed nim groźnie.

- Idzie - szepnął Noe nie odwracając głowy; wyglądał oknem, ledwie wychylał oczy nad poziom parapetu.

Osądził, że czołg ugrzązł. Jego gąsienice obracały się w tłustej glinie. Lufy karabinów maszynowych pochylały się w dół i do góry. Noe pierwszy raz w życiu widział niemiecki czołg, toteż jak urzeczony pochłaniał wzrokiem stalowego olbrzyma - groźnego, niemożliwego do pokonania. Czuł, że sprawa skończona, a myślał o tym z rozpaczą, lecz nie bez ulgi. Teraz nic już nie można zrobić. Czołg przejął inicjatywę. Do niego, nie do szeregowca Ackermana, należy decyzja i odpowiedzialność za wszystko, co nastąpi.

- Ackerman! Do mnie! - zawołał nagle Rickett.

Noe ocknął się i skoczył pod okno, koło którego stał sierżant z bazooką w ręku.

- Zaraz się przekonamy, co warta ta piekielna rura - powiedział spokojnie podoficer.

Noe skurczył się w oknie, poczuł na ramieniu ciężką lufę bazooki. Zdał sobie sprawę, że jest całkiem widoczny, lecz nie dbał o to, gdyż w bliskim sąsiedztwie czołgu wszyscy obrońcy farmy byli jednakowo zagrożeni. Oddychał równo i czekał cierpliwie, aż sierżant dokładnie przyłoży broń do ramienia.

- Za czołgiem kryją się „zające” - powiedział. - Jest ich z piętnastu.

- Będą mieli małą niespodziankę - odburknął Rickett. - Stój spokojnie!

- Przecież stoję - obruszył się Noe.

Rickett marudził. Bacznie oglądał broń. Nie chciał zmarnować pocisku, a z bazooki można było strzelać pewnie dopiero na osiemdziesiąt jardów.

- Nie strzelaj - ostrzegł stojącego w drugim oknie Burneckera. - Niech się szkopom zdaje, że na piętrze nie ma nikogo - parsknął śmiechem, czym nie bardzo nawet zdziwił Noego.

Czołg godnie ruszył z miejsca. Nie strzelał. Lekceważył nieprzyjacielski ogień, jak gdyby był myślącym stworem, co zdaje sobie sprawę, iż wywiera obezwładniający efekt moralny, nie musi więc rozpoczynać bezpośredniej walki. Po kilkunastu jardach zatrzymał się znowu. Piechurzy szukając osłony przycupnęli za nim, zbili się ciasno. Gdzieś dalej karabin maszynowy otworzył ogień i ostukiwał cały dom mieszkalny.

- Na miłosierdzie boskie! - syknął Rickett. - Stój spokojnie!

Noe zeszywniał. Kurczowo uczeplił się futryny. Był pewien, że zginie lada chwila. Stał w oknie odsłonięty do pasa. Patrzył w dół na drgające lufy stalowego potwora, coraz słabiej widoczne w cieniowym przejściu. Nagle Rickett wystrzelił. Pocisk z bazooki zakreślił dymny łuk w powietrzu i wybuchnął na pancerzu czołgu. Noe zapomniał się schować. Ciekawie wyglądał z okna. Zrazu nic się nie stało. Później lufa działa opadła ciężko i zastygła zwrócona wylotem w ziemię. Wewnątrz czołgu rozległ się głuchy, stłumiony wybuch. Wężyki dymu trysnęły z przezierników kierowcy i zza uchylonego włazu; nastąpiły dalsze eksplozje. Czołg kolebał się i przechylał, nadal wyglądał groźnie, potężnie, utracił jednak zdolność ruchu. Schowani za nim Niemcy rzucili się do ucieczki. Beładnie biegli przejściem i nie ostrzeliwani przez nikogo zniknęli za węglem stodoły.

- Zdaje się, upolowaliśmy czołg - powiedział Rickett. - Nie najgorsza fuzja.

Zdjął bazookę z ramienia pomocnika i ustawił pod ścianą.

Noe nie odrywał wzroku od przejścia. Wyglądało tak, jak gdyby ostatnio nie zaszło tam nic ważnego, jak gdyby czołg stanowił od lat nieodłączną cechę krajobrazu.

- Na rany Chrystusa, Noe! - krzyknął Burnecker. - Uciekaj z okna! Noe! Noe! Noe!

Ackerman uświadomił sobie nagle, że kolega raz po raz powtarza jego imię. Przeraził się, odskoczył od okna, gdzie Rickett z browningiem w ręku stanął znów na posterunku.

- Do cholery - burczał gniewnie. - Nie powinniśmy wiać z tej farmy. Można się tu utrzymać do Bożego Narodzenia. Z naszego Greena dobry może kramarz, ale

żołnierz jak z koziej... ten tego... - Wystrzelił z biodra w kierunku przejścia. - Nie pętać się tam! Nie macać mojego czołgu!

Do pokoju wszedł porucznik Green.

- Na dół, chłopcy - powiedział. - Robi się ciemno. Zaraz ruszamy... Po dwóch... Po trzech.

- Ja na razie zostanę - rzucił lekceważąco sierżant. - Przypilnuję, żeby szkopy trzymały przyzwoitą odległość. - Ruchem ręki odprawił Burneckera i Ackermana. - A wy, jazda! Wiejcie, byle dalej!

Burnecker i Ackerman spojrzeli po sobie. Chcieli odezwać się do Ricketta, który niebaczny na niebezpieczeństwo stał z karabinkiem koło okna, ale nie wiedzieli, co powiedzieć. Sierżant nie spojrział nawet za nimi, kiedy za porucznikiem opuścili pokój, aby zejść na dół.

W bawialni pachniało potem i dymem. Podłoga usiana była setkami spłaszczonych łusek, podeptanych butami obrońców. Wojnę czuło się tu silniej niż w pokoju sypialnym na górze. Spiętrzony meble barykadowały okna, drewniane krzesła były połamane, żołnierze z bronią w pogotowiu klęczeli pod ścianami. W półmroku Noe zobaczył kapitana Colclougha rozciągniętego na podłodze w sąsiedniej jadalni. Leżał na wznak z rękoma wzdłuż ciała; oczy postawił w słup i martwo patrzył w sufit. Milczał. Tylko od czasu do czasu hałaśliwie pociągał nosem. Słyszając to wilgotne siąkanie Ackerman przypomniał sobie, że jest zaziębiony, wygrzebał więc przepoconą chustkę z tylnej kieszeni kombinezonu i wysmarkał się głośno.

W bawialni było cicho. Natrętna mucha tłukła się dokoła z irytującym brzęczeniem. Riker dwa razy zamachnął się na nią hełmem, ale chybił.

Noe usiadł na podłodze i bez pośpiechu zdjął prawy spinacz i trzewik. Bardzo uważnie zaczął wygładzać skarpetkę. Miło było masować lekko stopę i rozprostowywać wełnianą dzianinę. Obecni w pokoju żołnierze obserwowali go bacznie, jak gdyby demonstrował ważne i trudne ćwiczenie. Po pewnym czasie wciągnął trzewik, zasnurował spinacz i starannie ułożył nad nim fałdy spodni. Potem kichnął dwa razy. Riker wzdrygnął się na niespodziewany hałas.

- Sto lat zdrowia! - zawołał Burnecker, a Noe odpowiedział uśmiechem na jego uśmiech. „Wspaniały chłop!” - pomyślał.

Porucznik Green siedział skurczony w rogu jadalni. Nagle poruszył się i odezwał takim tonem, jak gdyby w skupieniu przygotowywał mowę, a następnie przeraził się własnego głosu, który raptownie zakłócił ciszę.

- Nie mogę poradzić wam, ludzie, co macie robić... - zająknął się i podjął znacznie ciszej: - Nie mogę powiedzieć, w jaki sposób najłatwiej się wymknąć. Macie tyle rozumu co ja. W nocy widać błyski, a w dzień słychać huk artyleryjskiego ognia, będziecie więc z grubsza zorientowani, w której stronie są nasze wojska. Mapy na nic się nie zdadzą... No i unikajcie dróg, unikajcie za wszelką cenę. Im mniejsze będą grupki, tym łatwiej przesiąkniecie. Przykro mi, że tak się stało, ale jeżeli będziemy siedzieć tutaj i czekać, doczekamy się śmierci albo niewoli. A tak część z nas się przedrze - westchnął ciężko. - Być może znaczna część. A może - z trudem zdobył się na ton pogody - może wszyscy. Rannych zabezpieczyliśmy najlepiej, jak można. W piwnicy zaopiekują się nimi Francuzi. Jeżeli ktoś ma co do tego wątpliwości, niech sam zejdzie na dół i zobaczy.

Nikt się nie poruszył. Na piętrze gruchnęły strzały automatycznego karabinku browninga. „Rickett - pomyślał Noe - nie ruszył się od okna”.

- Cóż robić - podjął niepewnie porucznik. - Jest źle... bardzo źle. Ale żołnierz powinien być gotów na wszystko. Nawet takie rzeczy powinny zdarzać się od czasu do czasu. Ja spróbuję zabrać ze sobą kapitana... tak... kapitana ze sobą - urwał znowu. - Jeżeli macie coś do powiedzenia, mówcie zaraz.

Nikt nie miał nic do powiedzenia.

Noego ogarnął nagły smutek.

- Już ciemno - podjął porucznik Green; wstał i podszedł do okna. - Tak, już ciemno. A zatem nie ma na co czekać. Kto idzie pierwszy?

Odwrócił się i spojrzał na zebranych w bawialni żołnierzy. Prawie wszyscy siedzieli na podłodze oparci plecami o ściany. Głowy mieli zwieszane. Przypominali rozgromioną w pierwszej połowie meczu drużynę piłki nożnej odpoczywającą podczas przerwy.

- Kto idzie pierwszy?

Nikt nie drgnął, nie podniósł wzroku.

- Bądźcie bardzo ostrożni, kiedy traficie do naszych linii. Przede wszystkim upewnijcie się, że Amerykanie nie biorą was za Niemców i że wiedzą, kim jesteście.

Później dopiero możecie się pokazać. Nie chcielibyście chyba zginąć z ręki swoich?
Kto idzie pierwszy?

Nikt się nie poruszył.

- Moim zdaniem - mówił dalej Green - należy wychodzić kuchennymi drzwiami. W pobliżu jest szopa, która da jaką taką osłonę, a do żywopłotu nie dalej niż trzydzieści kroków. Chcę być dobrze zrozumiany: nie wydaję rozkazów. Macie zupełnie wolną rękę. Ale czas mija. Trzeba, żeby ktoś zaczął.

Wszyscy milczeli.

„Niepodobna tego wytrzymać” - pomyślał Noe i wstał.

- Słusznie - odezwał się nieswoim głosem, bo ktoś musiał wreszcie to powiedzieć. - Ja pójdę.

Kichnął głośno.

- Ja z tobą! - zawołał Burnecker dźwigając się z podłogi.

- A niech to wszyscy diabli! - Riker stanął obok Burneckera. Cowley i Demuth podnieśli się również. Podeszwy ich butów zgrzytnęły o kamienną posadzkę.

„Riker. Cowley. Demuth - pomyślał Noe. - Tyle mi przypominają te nazwiska...
Cóż... Mogę bić się jeszcze raz, runda po rundzie, od początku...”

- Gdzie te cholerne drzwi z kuchni? - zapytał Cowley.

- Dosyć! - zdecydował Green. - Na razie starczy.

Pierwsza piątka wyszła do kuchni. Nikt z pozostałych nie spojrzał na nich, nie odezwał się słowem. Kłapa w rogu podłogi była podniesiona. Z piwnicy dobywał się mętny odblask świecy i rżenie konającego Feina. Noe nie spojrzał nawet w tę stronę. Porucznik Green ostrożnie uchylił drzwi wiodące na podwórko. Stłumionym „szszaa!” nakazał milczenie. Wszyscy znieruchomieli na moment. Na piętrze znów przemówił browning. „Rickett - pomyślał Noe - wojuje na własną rękę”.

Nocne powietrze było wilgotne, lepkie. Przez szparę uchylonych drzwi przenikał mdły fetor krów i obory. Ackerman zdusił w garści kichnięcie i z zawstydzoną miną obejrzał się przez ramię.

- Szczęśliwej drogi - szepnął porucznik. - Kto pierwszy?

Żołnierze stłoczeni w kuchni pośród miedzianych rondli i wielkich baniek na mleko patrzyli w przyćmiony skrawek nocy między skrzydłem drzwi a futryną.

„Niepodobna tego wytrzymać - pomyślał znów Noe. - Trudno stać tu do rana. Byle nie kichnąć. Byle tylko nie kichnąć”. Ramieniem potrącił Rikera i stanął na progu. Odetchnął głęboko raz i drugi, skulił się i wyszedł w mrok.

Zmierzał w stronę szopy. Nogi stawiał ostrożnie. Karabin ścisnął oburącz, aby o nic nie stuknął. Palcem omijał spust, bo nie pamiętał, czy zabezpieczył broń. Miał nadzieję, że koledzy nie zapomnieli o tym, nie zastrzeli go więc ktoś, kto się potknie. Trzewiki grzęzły z mlaskaniem w podwórzowym błocie. Puszczona luzem podpinka hełmu tłukła Noego koło uszu, co sprawiało wrażenie głośnych uderzeń. Kiedy wśród mroków nocy stanął wreszcie w gęstym cieniu szopy, oparł się o pachnące krowieńcem deski i drżącymi rękami zapiął sprzączkę pod brodą. Niewyraźne sylwetki przemykały podwórzem jedna po drugiej - od drzwi kuchennych pod szopę, gdzie niebawem zbiła się cała piątka. Oddechy ludzkie były szybkie, donośne. Z wnętrza domu, zapewne z piwnicy, dobył się przeciągły, cienki wrzask. Targnął wilgotnym nieruchomym powietrzem, zamarł i nie powtórzył się więcej. Noe stał sztywno pod ścianą. Mięśnie i nerwy miał napięte. Nasłuchiwał. Wreszcie ułożył się na brzuchu i zaczął pełznąć w stronę żywopłotu zarysowanego niewyraźnie na tle nieba. Bardzo daleko, po prawej, migwały nikielne ogniki strzelających baterii. Noe wśliznął się do rowu biegnącego wzdłuż żywopłotu. Czekał. Starał się oddychać cicho, równomiernie. Pełznący za nim hałasowali niebezpiecznie, lecz w żaden sposób nie można było zasygnalizować, by poruszali się ostrożniej. Jeden po drugim lądowali w rowie, kładli się obok siebie na wilgotnej trawie. Sapanie pięciu ludzi zdawało się donośne jak gwizd, który oznajmia i zdradza ich obecność. Nikt się nie posuwał i Noe uprzytomnił sobie nagle, że wszyscy czekają na kogoś, kto obejmie dowództwo. „Chcę, żebym ja to zrobił - pomyślał z urazą. - Dlaczego właśnie ja?”.

Dźwignął się jednak i spojrzał przez żywopłot w kierunku błysków działowego ognia. Po drugiej stronie leżało otwarte pole. W ciemnościach poruszały się jakieś mgliste, zamazane kształty, nie wiadomo - bydło czy ludzie. W każdym razie nie można było bez hałasu przedrzeć się w tym miejscu przez gęste krzewy. Noe dotknął nogi najbliższego sąsiada, by dać mu do zrozumienia, że rusza naprzód. Przywarł do wilgotnego dna rowu i zaczął oddalać się od farmy. Towarzysze popełzli za nim jeden po drugim.

Noe czołgał się wolno. Mniej więcej co pięć jardów zatrzymywał się, nasłuchiwał. Czuł, że pot zalewa mu całe ciało. Żywopłot był gęsty, wysoki. Niepokojąco szumiał od lekkich podmuchów wiatru. Niekiedy jakieś małe zwierzątko

umykało z szybkim szelestem, a raz załopotał skrzydłami ptak spłoszony z drzewa. Niemców nie było nigdzie widać ani słyszać.

„A nuż się uda? - myślał Noe wdychając stęchły zapach zeszłorocznych liści. - A nuż przebrniemy szczęśliwie?”.

Nagle pod wyciągniętą ręką poczuł twardy przedmiot. Zesztywniał, znieruchomiał. Tylko prawą dłońią macał przed sobą ostrożnie, badawczo...

„Okragłe... - myślał. - Metalowe... To będzie...”

W tej chwili zatopił palce w wilgotnej, obrzydliwie lepkiej miazdze i uprzytomnił sobie, że w rowie leży trup, że najpierw dotykał jego hełmu, później zmasakrowanej twarzy.

Cofnął się trochę, odwrócił głowę.

- Burnecker - szepnął.

- Co? - Głos Burneckera zabrzmiał głucho, jak gdyby dobył się ze zdławionego gardła i przypłynął z bardzo daleka.

- Przede mną trup.

- Co? Nie słyszę.

- Trup. Rozumiesz? Trup! - syknął Ackerman.

- Czyj?

- Do cholery! Skąd mam wiedzieć? - Był wściekły na przyjaciela, ale omal się nie roześmiał z idiotycznej rozmówki prowadzonej w tak niesprzyjających warunkach.

- Podaj do tyłu.

- Co mam podać?

- Podaj do tyłu, że przede mną trup. Niech nikt nie zrobi głupstwa. Rozumiesz?

- powiedział głośniejszym tonem nienawiści, której nie mógł poskromić.

- Aha. Rozumiem.

Sucho zaszemrał szept podawany z ust do ust, coraz dalszy.

- W porządku - oznajmił wreszcie Burnecker. - Wszyscy wiedzą.

Noe pomału przełaził przez zwłoki, a kiedy dotknął długiego buta, uprzytomnił sobie, że to był Niemiec, bo Amerykanie noszą przecież trzewiki. Miał ochotę zatrzymać się i na głos poinformować kolegów o swoim odkryciu. Świadomość, że nie zetknął się z martwym towarzyszem broni, dodała mu wiele otuchy. Ale przypomniał

sobie, że amerykańscy spadochroniarze również noszą buty. Kto wie, czy to nie spadochroniarz? Pełznąć dalej medytował nad tą kwestią i dzięki wysiłkowi umysłowemu nie poddawał się strachowi ani zmęczeniu. „Dureń ze mnie! - rozstrzygnął w końcu wątpliwości.

- Buty spadochroniarzy są sznurowane, a tamte miały całe cholewy. Oczywiście to był szkop. Zabity szkop gnijący w rowie. Powinienem się zorientować po kształcie hełmu. Tylko że wszystkie hełmy są do siebie podobne, a ja nigdy nie miałem w ręku niemieckiego”.

Niebawem znalazł się przy końcu pola, gdzie rów i żywopłot skręcały pod prostym kątem. Noe zatrzymał się. Ostrożnie wyciągnął przed siebie rękę. W ścianie zarośli było przejście, a za nim wąska droga. „Tak czy inaczej, trzeba ją będzie przeciąć. Możemy to zrobić z miejsca” - pomyślał Ackerman i odwrócił się do Bumeckera.

- Słuchaj - szepnął. - Idę za żywopłot.

- Dobrze.

- Po tamtej stronie jest droga.

- Dobrze.

Nagle dobiegł z oddali stłumiony tupot kroków i metaliczne pobrzękiwanie broni lub rynsztunku. Noe położył rękę na ustach Bumeckera. Obydwaj zamienili się w słuch. Trzech lub czterech ludzi szło powoli drogą, a idąc rozmawiali półgłosem - po niemiecku. Noe ostrożnie podniósł głowę, nastawił uszu, jak gdyby mógł dowiedzieć się czegoś niezmiernie ważnego, chociaż po niemiecku nie rozumiał ani słowa.

Niemcy przeszli tuż obok spokojnym, wolnym krokiem, jak wartownicy, co mają wrócić bardzo szybko. Ich głosy rozplynęły się w nieuchwytnych szelestach nocy, ale kroki słyszać było dość długo.

Riker, Demuth i Cowley przypełzli bliżej i w jednej linii z Ackermanem przywarowali na krawędzi rowu.

- Teraz na tamtą stronę - szepnął Noe.

- Niech to pioruny! - powiedział Demuth ochryłym, drżącym głosem. - Chcecie iść, proszę bardzo. Ja zostaję. Tutaj. W tej dziurze.

- Nonsens - zaprotestował Noe, który wbrew logice czuł się odpowiedzialny za Demutha i resztę, ponieważ przyprowadził ich już tak daleko. - Znajdą cię z rana. Jak się tylko rozwidni... Nie! Nie możesz tutaj zostać.

- Nie mogę? Ty mi zabronisz? Komu życie nie miłe, niech idzie. Bardzo proszę. Ale beze mnie.

Wówczas Noe zrozumiał, że Demuth uległ, kiedy o parę metrów posłyszał głosy Niemców spokojne, pewne swego. Uległ i wycofał się z wojny. Desperacka odwaga prowadziła go przez dwieście kroków od farmy, została jednak do cna wyczerpana. Może jednak ma rację? Może to najrozsądniejsze wyjście?

- Noe... - Szept Bumeckera zadźwięczał tonem niespokojnego oczekiwania. - Co myślisz zrobić?

- Ja? Dlaczego... - Ackerman urwał, bo zrozumiał, że przyjaciel liczy na niego. - Ja? Idę przez żywopłot. Uważam, że Demuth nie powinien zostać.

Odczekał chwilę. Spodziewał się, że ktoś szepnie coś Demuthowi. Ale nikt nie miał mu nic do powiedzenia.

- Trudno - westchnął Noe i ruszył przez żywopłot.

Uporał się z tym łatwo, bez hałasu. Wilgotne gałęzie prysnęły mu w twarz kroplami wody. Nagle polna dróżka wydała się bardzo szeroka. Była błotnista, rozjeżdżona. Na samym środku pośliznął się i omal nie upadł. Brzęknął czymś głośno, odzyskując równowagę, ale nie miał wyboru: mógł tylko iść naprzód. O piętnaście jardów w lewo zobaczył lukę w żywopłocie, w miejscu, gdzie czołg położył cierniste krzewy. Zgięty we dwoje skoczył w tamtym kierunku skrajem drogi. Dręczyło go przykre uczucie, że jest odsłonięty, nagi, narażony na niebezpieczeństwo. Słyszając za sobą kroki towarzyszy pomyślał o Demucie. Leży teraz po przeciwnej stronie drogi sam, zdecydowany na wszystko, zrezygnowany. Ciekawe, jak się czuje? Czeką brzasku i pierwszego Niemca, który będzie miał taką minę, jakby wiedział coś niecoś o konwencji genewskiej.

W oddali zaszczekał automatyczny karabinek browninga. Rickett, który nie poddawał się nigdy i niczemu, klął i strzelał z okna sypialni na piętrze.

Nagle pistolet maszynowy odezwał się o kilkadziesiąt kroków przed zbiegami. Błysk wystrzałów groźnie zaświecił im w oczy. Potem rozległy się krzyki po niemiecku i kaemy otwały ogień. Noe słyszał złośliwy gwizd pocisków nad głową, kiedy hałaśliwie, szybko cwałował ku wyłomowi w żywopłocie i dawał nurka między zarośla.

Słyszał również biegnących za sobą ludzi. Tupotali po rozmięklej glinie, głośno rozgarniali ścianę gąszczu. Ogień wzmagał się. Pociski smugowe trysnęły z drogi o sto metrów w lewo, sunęły jednak wysoko, nad głowami. Noe pomyślał z zadowoleniem o marnotrawstwie amunicji niepotrzebnie siekającej gałęzie drzew.

Był na otwartym polu i co tchu przecinał je w poprzek. Inni następowali mu na pięty. Smugi pocisków świetlnych krzyżowały się przed nim. Z lewej ktoś wrzeszczał po niemiecku. Ale bezładny ogień nie był zwrócony bezpośrednio przeciw zbiegom. Noe oddychał z trudem. Powietrze paliło mu płuca. Podlegał złudzeniu, że wlecze się irytująco wolno. Miny! Przypomniawszy sobie mgliście, że cała Normandia jest zaminiowana. Zobaczył w mroku niewyraźne sylwetki umykające przed nim w tym samym kierunku i omal nie wystrzelił w biegu. Na czas jednak złowił uchem głuche zwierzęce sapanie i dojrzał na tle nieba zarysy rogów. Biegł teraz pośród czterech lub pięciu krów. Oddalał się od strzelających karabinów maszynowych, potęrał wilgotne włochate boki, czuł mdły odór gnoju i mleka. Nagle potknął się i przewrócił o krowę, która została trafiona. Wierzgała konwulsyjnie i próbowała wstać, ale nie mogła. Położyła się na boku, a Noe przywarował za nią. Ciężko chwytął oddech. Towarzysze wyprzedzili go tymczasem, dźwignął się więc i pokłusował za nimi. W płucach mu grało. Był do cna wyczerpany. Po każdym kroku miał wrażenie, że nie zdobędzie się na następny. Ale biegł dalej wyprostowany, jak gdyby lekcewżył pociski, gdyż świdrujący ból w dołku nie pozwalał mu się schylić.

Dogonił pierwszą z umykających postaci, drugą, trzecią... Opanowało go zdziwienie, że porusza się tak żwawo, wyprzedza kolegów. Byłe dostać się pod żywopłot z drugiej strony pola, przycupnąć w rowie, nim Niemcy oświecą ich reflektorami...

Ale tej nocy Niemcy nie mieli ochoty używać reflektorów, a ich ogień przycichł stopniowo. Noe przebiegł ostatnie dwadzieścia jardów kierując się w stronę żywopłotu, nad którego czarną gęstwiną drzewa rysowały się na niebie w regularnych odstępach. Runął na ziemię i leżał dysząc ciężko. Powietrze świstało mu w krtani. Jeden po drugim towarzysze padali obok niego. Przywierali twarzami do wilgotnej trawy, krztusili się, nie mogli wymówić słowa. Nad ich głowami przemknęła smuga pocisków świetlnych. Później zmieniła nagle kierunek i popłynęła w przeciwny róg pola. Przyjął ją bolesny ryk i szybki tętent kopyt.

Potem w oddali ktoś krzyknął gniewnie po niemiecku i obsługa cekaemu przerwała rzeź bydła. Ciszę zakłócało już tylko konwulsyjne sapanie czterech zbiegów.

Po długiej chwili Noe usiadł. Poczłł dziecinną dumę, oderwaną, pozbawioną związku ze skulonymi obok spoconymi ludźmi. „I znowu byłem pierwszy - przemknęło mu przez myśl. - Riker, Cowley... - mechanicznie wyliczał nazwiska. - Riker, Cowley, Demuth, Rickett... Wszyscy powinni mnie przeprosić za to, co wyprawiali na Florydzie”.

- W drogę - powiedział chłodno. - Kantyna polowa niedaleko.

Żołnierze siadali kolejno. Rozglądali się wokół. W pobliżu nie było nic widać. Ciszy nie zakłócał żaden dźwięk. Od czasu do czasu ujadał automatyczny karabinek Ricketta, ale to nie miało już związku z ich ucieczką. Bardzo daleko odbywało się bombardowanie z powietrza. Raz po raz błyskały wybuchy. Pociski przeciwlotnicze kreśliły czarne niebo. Wyglądało to jak ognie sztuczne na staroświeckim obrazku. „Niemiecki nalot na plażę - pomyślał Noe. - To na pewno Niemcy, bo my nie latamy tutaj po nocy. Teraz tylko iść w tamtym kierunku. Naprzód. Ciągle naprzód. Nic więcej nie mamy do roboty”. Był kontent, że rozumuje prawidłowo i z wrażeń zewnętrznych wysnuwa logiczne wnioski.

- Burnecker - szepnął wstając - chwyć mnie ręką za pas.

- Niech Cowley uczepli się ciebie, a Riker Cowleya, żebyśmy się nie pogubili.

Wszyscy dźwignęli się posłusznie i z Noem na czele ruszyli rzędem w stronę świetlnych kresk przecinających odległy widnokrąg. Każdy mocno trzymał w garści pas poprzednika.

Przed wschodem słońca zobaczyli jeńców. Było już szaro, mogli się więc rozłączyć. Leżeli szeregiem za żywoplotem, gotowi do skoku przez wąską, brukowaną kamieniami drogę. Wtem usłyszeli dobrze znajomy odgłos: kroki nadciągającego oddziału.

Po pewnym czasie zobaczyli na drodze kolumnę złożoną z mniej więcej sześćdziesięciu amerykańskich żołnierzy. Szli wolno, bez słowa, całkiem nie po wojskowemu. Szurali butami w błocie. Prowadziło ich sześciu Niemców ze schmeisserami w pogotowiu. Noe z odległości dziesięciu stóp przyjrzał się dobrze jenieckim twarzom i wyczytał w nich uczucie wstydlwego odprężenia obok tępej bierności, przypadkowej lub rozmyślnej. Nikt nie patrzył na towarzyszy ani na stróży, ani na mijaną obojętnie okolicę. Jeńcy poruszali się swobodniej niż eskorta, bo nie

mieli karabinów, ładownic, rynsztunku. Noe patrzył z bliska i dziwny mu się wydawał widok zwartego oddziału Amerykanów wlokących się leniwie z rękami w kieszeniach, bez broni i obciążenia.

Przeszli, zniknęli za zakrętem drogi. Odgłos ich kroków cichł stopniowo między wilgotnymi od rosy żywopłotami.

Noe zerknął z ukosa na kolegów. Wszyscy gapili się jeszcze. Wyciągali szyje. Nie odrywali wzroku od krzewów, które przesłoniły kolumnę. Cowley i Burnecker patrzyli jak urzeczeni, lecz ich miny zdradzały tylko przelotne zainteresowanie. Ale Riker wyglądał podejrzanie. Ackerman obserwował przez czas pewien jego czerwone, podkrążone oczy i szczeciniasty zarost na brodzie. Nagle uprzytomnił sobie, iż widzi ten sam wyraz wstydliwego odprężenia, który przed chwilą oglądał na twarzach jeńców.

- Coś wam powiem, chłopaki - odezwał się Riker głuchym, nieswoim głosem. - Całkiem głupio zabraliśmy się do rzeczy. - Nie odwracał głowy, uparcie wpatrywał się w zakręt drogi. - We czterech na pewno nie przeleziemy. Beznadziejna historia! Trzeba się rozdzielić. Pojedynczo, chłopaki, pojedynczo.

Urwał. Nie patrzył na kolegów. Wszyscy milczeli. W ciszy szurały dalekie, stłumione kroki jeńców. A może było to tylko wspomnienie o tych krokach?

- Chodzi o zdrowy rozsądek - podjął ochryple Riker. - Czterech facetów w kupie to cel pierwsza klasa. Jeden zawsze się jakoś schowa. Nie wiem, co wy postanowicie, ale ja idę dalej na własną rękę.

Znowu urwał. Czekał odpowiedzi. Nikt się jednak nie odzywał. Noe, Burnecker i Cowley leżeli bez ruchu w bujnej trawie pod żywopłotem. Twarze mieli bez wyrazu.

- Dobrze. Jak sobie chcecie - burknął Riker. - Teraz najlepszy moment.

Podniósł się, zawahał chwilę i wolno przeszedł za żywopłot. Stał na skraju .drogi wielki, niedźwiedziowaty, zgarbiony. Grube ramiona zwisały mu bezwładnie ku ziemi. Czarne od brudu, szerokie dłonie prawie sięgały kolan. Nie oglądając się ruszył powoli drogą w kierunku, w którym odmaszerowali jeńcy. Odprowadzały go spojrzenia towarzyszy. Szedł coraz szybciej, pewniej. Prostował się śmiało. Noe patrzył za nim i miał wrażenie, że ten żołnierz dziwnie jakoś wygląda. Czego mu brak? Po chwili uprzytomnił sobie, iż Riker nie ma broni. Rozejrzał się dokoła. Na trawie leżał porzucony pistolet maszynowy z wylotem lufy zatkanym ziemią.

Ackerman znów spojrział ku drodze. Z daleka Riker wydawał się bardzo duży. Nad szerokimi ramionami rysowała się głowa w czworokątnym hełmie. Oddalał się coraz szybciej. Biegł prawie. Przed zakrętem drogi przezornie podniósł ręce, opuścił je, znów podniósł i tak trzymał, jak gdyby zeszywniały mu nad głową. Z rękami w górze zniknął truchtem za gąszczem zarośli. Tak Noe widział po raz ostatni i zachował w pamięci Rikera.

- Krzyżyk na drogę - mruknął Burnecker. - Odpadł jeden strzelec wyborowy.

Sięgnął po pistolet maszynowy, sprawnie wyciągnął magazynek i poruszył zamkiem, żeby wyrzucić ładunek z lufy. Potem podniósł ładunek i razem z magazynkiem wsunął do kieszeni.

Noe wstał bez słowa. Burnecker poszedł za jego przykładem. Cowley zawahał się na moment, ale westchnął i podniósł się również. Szybko przedarli się przez żywopłot i skoczyli na drugą stronę drogi.

Z daleka, od wybrzeża, słychać było nieprzerwany pomruk armat.

„Przynajmniej nasi są jeszcze we Francji” - myślał Noe posuwając się ostrożnie wzdłuż drogi.

Obora i duży dom z szarego kamienia robiły wrażenie opuszczonych. Na podwórku dwie zabite krowy leżały z nogami zadartymi w górę i zaczynały już pęcznieć. Zdawać się mogło, że jest tam bezpiecznie, spokojnie. Tak też myślał Noe leżąc z dwoma towarzyszami w rowie i obserwując zabudowania farmy.

Wszyscy byli zupełnie wyczerpani. Ostatnio czołgali się, szli na czworakach, przemykali chyłkiem jak ludzie poruszający się w sennym odrętwieniu. Noe nie wątpił, że nic nie zdoła zmusić ich do biegu. Wielekroć widzieli lub słyszeli nieprzyjacielskich żołnierzy. Nawet raz dwaj jadący na motocyklu Niemcy musieli zauważyć, jak spłoszeni Amerykanie padają na ziemię. Nie zareagowali jednak. Zwolnili tylko trochę, rozejrzeli się i dalej ruszyli swoją drogą. Trudno było zgadnąć, co wstrzymało ich w pościgu - strach czy butne lekceważenie?

Cowley dyszał ciężko i rzeził przy każdym poruszeniu. Dwa razy spadł i potłukł się przy przełazieniu parkanów. Chciał nawet rzucić karabin i Noe z Burneckerem tłumaczyli mu przez dziesięć minut, aby tego nie robił. Potem Burnecker pół godziny dźwigał jego broń prócz własnej, nim Cowley zawstydział się i upomniał o nią.

Konieczny był odpoczynek. Zbiegowie nie spali od czterdziestu ośmiu godzin i od wczoraj nic nie mieli w ustach, a wyludniona farma przedstawiała się zachęcająco.

- Hełmy zostawcie w rowie - powiedział Noe - i naprzód! Tylko śmiało. Nie schylać się, iść wolno.

Od obory dzieliło ich mniej więcej pięćdziesiąt jardów otwartego pola. Jeżeli nawet ktoś zobaczy trzech poruszających się pewnie żołnierzy, może ich wziąć za Niemców. Noe prawie bezwiednie brał inicjatywę w ręce i wydawał rozkazy, a koledzy ulegali mu bez dyskusji.

Wszyscy wyprostowali się i z bronią na pasie ruszyli w stronę budynków tak swobodnie, jak to było możliwe. Ciszę dokoła farmy potęgowały jeszcze odległe echa strzelaniny. Zbiegowie minęli smugę smrodu z rozkładających się krów i weszli w otwarte wrota obory. Noe rozejrzał się i w zakurzonym półmroku dostrzegł drabinę wiodącą na poddasze.

- Na górę - powiedział.

Cowley ruszył pierwszy. Poruszał się powoli, leniwie. Za nim Burnecker wspinał się bez słowa. Ackerman ujął mocno drabinę. Spojrzał w górę. Dwanaście szczebli wydało się drogą nie do przebycia. Po chwili rozpoczął wędrówkę odpoczywając na każdym szczeblu, krztusząc się coraz cięższym powietrzem. Pod pułapem kichnął i omal nie spadł. Zatrzymał się i długą chwilę zbierał siły, by podciągnąć się na podłogę strychu. Wtedy Burnecker uklęknął nad otworem i chwyciwszy Noego pod pachy szarpnął mocno, a Noe wylądował na słomie, zdziwiony siłą przyjaciela i niezmiernie mu wdzięczny. Usiadł, na czworakach powłókł się do okienka w szczytowej stronie dachu i wyjrzał. Z wysoka zauważył jakiś ruch w odległości mniej więcej pięciuset jardów. Ciężarówka i drobne figurki ludzkie kręciły się po polu dalekie i zupełnie niegroźne.

O pół mili dopalały się wolno zabudowania farmy, lecz i pożar wydawał się normalny, mało ważny. Mrugając powiekami Noe odwrócił się w stronę obserwujących go bacznie towarzyszy.

- No, nareszcie znaleźliśmy dom w wojsku - uśmiechnął się, jak gdyby powiedział doskonały dowcip. - Nie znam waszych zamiarów, ale sam chcę się przede wszystkim zdrzemnąć.

Odstawił pistolet maszynowy i wyciągnął się na podłodze. Zamykając oczy słyszał, że Cowley i Burnecker układają się wygodnie. Zasnął niezwłocznie, lecz

obudził się za dziesięć sekund, bo ostre źdźbło podrapało go w kark. Gwałtownie rzucił głową, jak gdyby stracił władzę nad odruchami mięśni. Z trudem uniósł powieki, a gdy dwa pociski artyleryjskie wybuchnęły blisko, pomyślał, że jeden z trójki powinien czuwać podczas snu pozostałych. Miał zamiar usiąść i omówić tę kwestię z Cowleyem i Burneckerem, lecz znowu zasnął.

Kiedy się ocknął, było prawie ciemno. Coś działo się koło obory. Wiązania dachu i podłogi drżały od dziwnego łoskotu. Noe długo się nie poruszał. Z lubością leżał na kolczastej słomie. Wdychał zapach zeszłorocznych zniw i nawozu nie żyjącego już bydła. Nie myślał, nie zastanawiał się nad przyczyną hałasu, nie dbał, że jest głodny, spragniony, daleko od domu. Odwrócił głowę. Jego towarzysze spali jeszcze. Cowley chrapał donośnie. Burnecker leżał cicho. W półmroku poddasza miał twarz dziecinną, pogodną. Noe uśmiechnął się tkliwie na widok tego spokojnego, ufego snu. Potem przypomniał sobie, gdzie jest, i należycie ocenił głucho dudnienie. W pobliżu musiały przejeżdżać ciężarówki i skrzypiące furgony konne.

Usiadł, podpełznął do okienka i wyjrzał. Furgony i samochody zajeżdżały przez lukę w żywopłocie na sąsiednie pole, gdzie żołnierze poruszali się żywo i ładowali amunicję. Ackerman zrozumiał w jednej chwili, że ma przed sobą wielki magazyn polowy, że kolumny amunicyjne niemieckiej artylerii korzystając ze zmroku, gdy nie zagraża lotnictwo, pobierają przydział na dzień następny. Wyteżał wzrok, aby przebić mgłę i gęstniejące ciemności. Patrzył na ludzi, którzy podawali sobie z rąk do rąk długie koszyki zawierające pociski do 88- milimetrowych dział przeciwpancernych. Dziwny był widok tylu naraz koni, jak gdyby przybyszów z dawniejszych wojen. Cały obraz przedstawiał się po staroświecku, niegroźnie. Wielkie, ciężkie zwierzęta cierpliwie stały w uprzęży. Żołnierze trzymali je przy pysku.

Noe pomyślał bezwiednie, że artyleria dywizyjna chętnie dowiedziałyby się o tych magazynach. Zaczął szperać po kieszeniach i znalazł ogryzek ołówka. Ostatni raz używał go na barce desantowej. Ile to dni temu? Pisał list do Hope. Zdawało mu się, że zapomni dzięki temu, gdzie jest, i nie będzie pamiętał o pociskach, które szukają go na wodnej płaszczyźnie. Ale z listem zajechał niedaleko. „Najdroższa! Nieustannie myślę o tobie...” (Co za banał! W takich chwilach człowiek powinien się zdobyć na głęboką treść, brzemioną nigdy dotychczas nie ujawnionymi tajemnicami). „Niedługo wchodzimy do akcji. Właściwie mógłbym powiedzieć, że już jesteśmy w akcji, ale nie uwierzyłabyś pewnie, że w czasie bitwy można siedzieć spokojnie nad listem do żony...”. Dłużej pisać nie był w stanie, bo ręce zaczęły mu dygotać, schował

więc do kieszeni zaczęty list i ołówek. Teraz gorączkowo szukał listu, ale nie mógł go znaleźć. Zastanowił się chwilę. Wyjął z kieszeni portfel, a z portfela fotografię Hope z niemowlęciem na ręku. Na czystej stronie pocztówki Hope nakreśliła słowa: „Podobizna zatroskanej matki i beztroskiego dziecka”.

Noe wyjrzał przez okienko. W prostej linii za parkiem amunicyjnym, o mniej więcej ćwierć mili, zobaczył spiczastą wieżę kościoła. Starannie narysował szkic sytuacyjny zaznaczając wieżę i przypuszczalną odległość. O pięćset jardów na zachód była grupa czterech domów, więc je również naniósł. Potem krytycznym wzrokiem ocenił prowizoryczną mapę. „Nieźła - orzekł z zadowoleniem. - Przyda się, jeżeli kiedyś trafię do naszych linii”.

Przyglądał się żołnierzom ładującym wiklinowe kosze o osiemset jardów od kościoła i pięćset od grupy czterech domów. Asfaltowa szosa okrążała pole, na którym mieścił się magazyn. Noe narysował ją zwracając baczna uwagę na zakręty. Potem wsunął fotografię do portfela i z żywym zainteresowaniem rozejrzał się po okolicy. Część furgonów i ciężarówek skręciła w boczną drogę przecinającą szosę w odległości sześciuset jardów. W kępie drzew zniknęły z oczu i nie zjawyły się po drugiej stronie. Zapewne pod osłoną drzew znajdują się stanowiska baterii. Można to będzie sprawdzić później osobiście.

Noe poczuł świeże siły. Było mu teraz pilno. Nie wolno siedzieć beczynnie, kiedy o jakieś pięć mil dywizyjne działa marnują amunicję ostrzeliwując puste pola. Zdobyte informacje mogą się przydać. Odszedł od okna i nachylił się nad Burneckerem. Chciał zbudzić śpiących towarzyszy, ale opamiętał się w porę. Zupełnie ciemno będzie dopiero za kwadrans. Niepodobna wcześniej wyjść z obory. Niech biedacy odpoczywają, póki można.

Wrócił pod okno. Oborę mijał właśnie ciężki furgon. Niemiec lekko trzymał w ręku lejce. Konie szły stępą, poważnie kiwały łbami. Dwaj żołnierze wędrowali obok wozu i wyglądali jak farmerzy wracający do domu po dniu pracy w polu. Nie rozglądali się. Wzrok mieli utkwiony w drogę przed sobą. Jeden z nich opierał dłoń na bocznych deskach furgonu, który skrzypiąc przeraźliwie zmierzał w stronę parku amunicyjnego.

Ackerman westchnął, pokręcił głową i poszedł zbudzić kolegów.

W nocy zatrzymał zbiegów kanał niezbyt szeroki, lecz nie wiadomo jak głęboki. Oleista powierzchnia mieniła się tajemniczo w blasku księżyca. Leżeli w zaroślach o dziesięć jardów od brzegu. Podejrzliwie przyglądali się drobnym falkom. Był odpływ i nad wodą sterczała czarna, błotnista skarpa przeciwległego brzegu. Noe nie wiedział, która godzina, ale orientował się, że noc dobiega końca i bardzo niedługo zacznie świtać.

Po wyjściu z obory Cowley protestował, kiedy Noe prowadził towarzyszy pod ukrytą w kępie drzew baterię.

- Do cholery - syczał gniewnie. - W sam raz pora do polowania na medale!

Ale Burnecker poparł Noego i Cowley musiał ustąpić. Teraz jednak leżąc w mokrej trawie nad ciemną, niebezpieczną wodą zbuntował się ponownie.

- To nie dla mnie zabawa! - wybuchnął nagle. - Nie umiem pływać.

- I ja nie umiem - powiedział Burnecker.

Po drugiej stronie wody karabin maszynowy otworzył ogień. Smuga pocisków świetlnych nakreśliła łuk nad głowami zbiegów.

Noe westchnął i przymknął oczy. „Amerykanie - pomyślał. - Na pewno Amerykanie! Strzelają z tamtej strony wody i w naszą stronę. Są tak blisko... Kanał ma najwyżej dwadzieścia jardów szerokości... A ci nie umieją pływać!”.

Czuł w kieszeni fotografię. Nad słowami skreślonymi ręką Hope widział park amunicyjny i stanowiska dział, i warsztat naprawczy czołgów, który wypatrzył po drodze. Wszystko to narzucił na szkic starannie, dokładnie... Dwadzieścia jardów wody!... Tak długo siedł, tyle wycierpiał. Jeżeli nie przeprowi się zaraz, może podrzeć fotografię i poddać się pierwszemu napotkanemu Niemcowi.

- Nie powinno być głęboko - odezwał się zachęcającym tonem. - Przecież to odpływ.

- Nie umiem pływać - powtórzył Cowley z uporem.

- A ty, Burnecker?

- Zaryzykuję - powiedział flegmatycznie Burnecker.

- Posłuchaj, Cowley...

- Utonę - przerwał Noemu trwożny szept Cowleya. - Przed „Dniem D” miałem paskudny sen. Topiłem się.

- Będę cię trzymał. Dobrze pływam.

- Utonę. Pójdę pod wodę i utonę.

- Nasi są na tamtym brzegu - nacierał dalej Ackerman. - Amerykanie!
Rozumiesz?

- Amerykanie! Dobry jesteś! Amerykanie! Zastrzelą nas! Nawet o nic nie zapytają. Zobaczą ludzi w wodzie i pokropią z kaemu. A zresztą, nie umiem pływać.

Noe miał ochotę wyć. Chciał odejść od Cowleya i Burneckera, od kanału połyskującego w świetle księżycy i puszcanych na oślep wiązek pocisków smugowych. Chciał znaleźć się daleko i jak szaleniec wyć na całe gardło.

Karabin maszynowy zaterkotał znowu. Wszyscy zwrócili wzrok w górę, ku świetlnym krechom.

- Jakiś nerwowy skurwysyn - mruknął Cowley. - Na pewno o nic nie będzie pytał.

- No, rozbierać się! - Noe starał się o ton jak najbardziej chłodny.

- Zdejmijcie wszystko, bo jednak może być głęboko.

Zaczął rozsznurowywać trzewik. Szelest po prawej stronie wskazywał, że Burnecker rozbiera się również.

- Ja niczego nie zdejmuję - burknął Cowley. - Mam dosyć.

- Cowley... - zaczął Ackerman.

- Nie gadam więcej. Przede wszystkim ciebie mam dosyć. Nie chcę wiedzieć, co myślisz robić, i na pewno nie zrobię tego z tobą - mówił coraz głośniej, jak gdyby ulegał hysterii. - Na Florydzie uważałem cię za wariata, a teraz widzę, że większy z ciebie wariat, niż mi się zdawało. Nie umiem pływać! - prawie krzyczał. - Nie umiem pływać! Nie umiem pływać!

- Ciszej! - warknął Noe ochrypłym głosem.

Chętnie zastrzeliłby Cowleya, gdyby można to było zrobić bez hałasu.

Cowley umilkł. W ciemnościach sapał głośno, ale się nie odzywał.

Ackerman zdejmował kolejno spinacze, trzewiki, bluzę, spodnie i długie wełniane kalesony. Potem ściągnął koszulę, żeby pozbyć się ciepłego podkoszulka z rękawami, zaraz ją jednak włożył i zapiął starannie, bo w kieszeni przechowywał portfel i cenny szkic. Wstrząsnął się długim, nerwowym dreszczem, gdyż chłód nocnego powietrza natrętnie spowił jego gołe nogi.

- Cowley - szepnął.

- Odczep się!

- Jestem gotów - powiedział Burnecker równym, opanowanym głosem.

Noe podniósł się i pochyłością ruszył w stronę kanału. Słyszał za sobą człapanie Burneckera. Wilgotna trawa była śliska i zimna pod bosymi stopami. Schylił się i przyspieszył kroku. Nad kanałem nie marudził, skoczył od razu i przestraszył się cichego chlupnięcia. Pośliznął się, zanurzył z głową i połknął dobry łyk mętnej słonawej wody. Kiedy wyrztał nad powierzchnię, krztusił się, parskając nosem, czuł zawrót głowy. Ale odzyskał jakoś równowagę i trzymając się brzegu stanął na gliniastym dnie. Głowę miał nad wodą. Kanał był głęboki tylko na pięć stóp - przynajmniej z brzegu.

Spojrzał w górę i zobaczył jasną plamę twarzy Burneckera. Potem Burnecker zsunął się ostrożnie, stanął obok przyjaciela.

- Weź mnie za ramię - szepnął Noe i przez mokrą wełnę poczuł, że palce tamtego kurczowo wpijają się w jego ciało.

Ruszyli w stronę przeciwnego brzegu. Dno było oślizłe, grząskie. Kanał obfitował w ślimaki morskie, mule, i Noe powstrzymywał okrzyk bólu za każdym razem, kiedy pod stopą poczuł ostrą skorupę. Ponadto nedorzecznie bał się węzów wodnych. Szedł wolno. Szukał nogami dołu lub nagłej głębi. Woda sięgała ledwie ramion, jednak dobrze było czuć falki przyływu ciągnącego leniwie od morza.

Znowu odezwał się karabin maszynowy. Noe i Burnecker stanęli. Ale pociski zaświeciły wysoko i z prawej strony. Widocznie zdenerwowany celowniczy strzelał na oślep, w ogólnym kierunku nieprzyjaciela. Za każdym krokiem przeciwny brzeg był bliżej. Noe miał nadzieję, że Cowley obserwując przeprawę widzi, iż poradziłby sobie łatwo, chociaż nie umie pływać.

Nagle zrobiło się głębiej. Noe stracił grunt, ale wyższy o głowę Burnecker miał jeszcze nos i usta nad wodą i mocno trzymał towarzysza pod pachami. Brzeg przysuwał się szybko. Pachniał solą i gnijącymi ślimakami, jak małe przystanie rybackie w kraju. Był wysoki, stromy. Zbiegowie brodzili ostrożnie, tracili grunt, podtrzymywali się wzajemnie i wzrokiem szukali miejsca, gdzie dałoby się wylądować dogodnie i bez hałasu.

- Nie tutaj. Dalej - szepnął Noe.

Uczepił się śliskiej skarpy. Odpoczywał.

- Ach, ten skurwysyn Cowley - mruknął Burnecker.

Ackerman pokiwał głową, lecz wcale nie myślał o Cowleyu.

Rozglądał się w prawo i w lewo. Wreszcie pociągnął towarzysza i ruszył wzdłuż brzegu z coraz silniejszym prądem przyływu. Trząśnięty całym sobą. Kurczowo zaciskał usta, żeby nie szczekać zębami. Nigdy jeszcze nie był tak okropnie zmarznięty. „Czerwiec! - kołatało mu w głowie bez sensu i składu. - Francuski czerwiec. Nad francuskim morzem. Kąpię się pod czerwcowym księżycem... Pod księżycem czerwcowym... Najlepiej odpłynąć od Burneckera... na środek... Cicho pójść na dno... Utonąć... skończyć ze wszystkim raz na zawsze... Utonąć...”.

Brzeg był urwisty, omszały, wysoki. Nie rokował nadziei, że przed świtem uda się zbiegiem wygramolić z wody.

- Tutaj - szepnął Burnecker.

Noe zadarł głowę. Skarpa obsunęła się w tym miejscu. Z wilgotnej gliny sterczały pośród zielska kamienie, które mogły stanowić jaką taką podporę.

Burnecker schylił się, wsunął rękę pod stopę towarzysza i z głośnym chlupotem wywindował go z wody. Przez moment Ackerman leżał na skraju urwiska. Sapał głośno. Dygotał. Później odwrócił się i pomógł Burneckerowi. Bardzo blisko zaterkotał karabin maszynowy. Ślizgając się, potykając skoczyli w stronę zarośli widocznych niewyraźnie w odległości trzydziestu jardów. Ze wszystkich stron odezwały się strzały.

- Przerwij ogień! Przerwij ogień! - wrzeszczał Noe. - Jesteśmy Amerykanie! Przerwij ogień! - darł się. - Z kompanii C! C jak Cecylia! Przerwij ogień!

Kiedy padli wreszcie pod osłoną zbawczych krzaków, Niemcy strzelali również. Smugi pocisków świetlnych gęsto krzyżowały się nad kanałem. W ogólnym zamęciu poszli w niepamięć ludzie, co rozpętali tę przypadkową utarczkę.

Po pięciu minutach kanonada ustała raptownie.

- Będę krzyczał - szepnął Noe. - Nie wychylaj się, Johnny.

- Zrobione.

- Nie strzelać! - zawołał Noe niezbyt głośno, siląc się na ton jak najbardziej opanowany. - Nie strzelać! Tu Amerykanie. Dwaj żołnierze z kompanii C. Nie strzelać!

Umilkł. Obydwaj przywarli do ziemi. Nasłuchiwali. Drżeli z chłodu i podniecenia. Wreszcie odpowiedział głos o wyraźnym akcencie z Georgii:

- Wyłączyć, chłopaki! Ręce do góry! Chodźcie no tutaj, ale spokojnie, powoli. Bez figłów. A ręce cały czas nad łbem.

Noe pchnął towarzysza. Wstali i z rękami nad głową ruszyli w stronę głosu o wyraźnym akcencie z Georgii.

- Chryste Panie, Zbawicielu świata! - zdziwił się żołnierz. - Frajerzy goli jak oskubane kaczki!

Noe odetchnął z ulgą. Wszystko kończyło się dobrze. Ciemna sylwetka z bronią w pogotowiu wyrosła nad schronem ziemnym.

- Bliżej, koledzy.

Noe i Burnecker postąpili kilka kroków. Zatrzymali się o pięć stóp przed schronem. Drugi żołnierz nie wychylał się. Trzymał na muszce przybyszów.

- Skąd was diabli przynieśli? - zapytał podejrzliwie.

- Byliśmy odcięci - wyjaśnił Noe. - Kompania C. Przebijamy się od trzech dni. Można opuścić ręce?

- Weź znaki rozpoznawcze, Vernon - mruknął ten ze schronu. Drugi wsunął pod pachę pistolet maszynowy.

- Nie ruszać się, chłopaki - powiedział. - Rzućcie no znaki rozpoznawcze.

Błaszki brzęknęły dobrze znajomym tonem. Najpierw Noe, później jego towarzysz rzucili znaki rozpoznawcze.

- Dawaj, Vernon - rzucił żołnierz ze schronu. - Sam obejrzę.

- Nic nie zobaczysz - powiedział Vernon, - Ciemno jak u Murzyna.

- Dawaj!

Brzęknięcia znaków rozpoznawczych. Suchy trzask zapalniczki. Żołnierz przycupnął widać na dnie dołu i przysłonił płomyk, bo nie było błysku.

Wiatr dął silnie. Przemokła koszula oblepiała skostniałe ciało. Noe obejmował się silnie ramionami. Próbował rozgrzać się w ten sposób. Żołnierz w schronie marudził przerażająco. Wreszcie wychylił głowę.

- Nazwisko? - rzucił wskazując palcem Ackermana. Padła zadowolająca odpowiedź. Numer ewidencyjny zgadzał się także. Noe recytował cyfry szybko, pewnie, chociaż z trudem hamował szczękaniem zębami.

- Co znaczy „I” na znaku rozpoznawczym? - zapytał podejrzliwy indagator.

- Izraelita - wyjaśnił Noe.

- Izraelita? Cóż to, u diaska? - wtrącił człowiek z Georgii.

- Żyd.

- Aha. Czemu nie gadasz po ludzku?

- Posłuchaj - wybuchnął Noe. - Chcecie nas tak trzymać do końca wojny? Na śmierć zamarzniemy.

- Chodźcie tutaj - powiedział żołnierz ze schronu. - Prosimy. Jak u siebie w domu. Za kwadrans będzie widno. Odprowadzę was do dowództwa kompanii. Zaraz za mną jest dół. Możecie się rozgościć.

Kiedy go mijali, rzucił ze schronu znaki rozpoznawcze i ciekawie obejrzał golasów.

- Jak się wam wiodło po tamtej stronie? - zapytał.

- Pierwsza klasa - odburknął Noe.

- Zabawa była lepsza niż na majówce - dodał Burnecker.

- No chyba! - wtrącił Vernon.

Noe zwrócił się do towarzysza i podał mu swój portfel.

- Masz, Johnny. Jest tam fotografia mojej żony. Po drugiej stronie szkic. Jeżeli nie wrócę za piętnaście minut, postaraj się, żeby to trafiło do dywizyjnego oddziału operacyjnego. Do szefa.

- A ty dokąd idziesz? - zaniepokoił się Burnecker.

- Po Cowleya.

Trochę zdziwiła go własna odpowiedź. Nie przemyślał tej sprawy, nie przetrwał. W ciągu ostatnich trzech dni przywykł do nagłych decyzji i odpowiedzialności za kogoś. Teraz dręczył go obraz Cowleya, który skulony, drżący leży sam w zaroślach porzucony dlatego, że bał się głębokiej wody.

- A gdzie jest ten jakiś Cowley? - zainteresował się człowiek z Georgii.

- Za kanałem. - Burnecker wskazał ręką kierunek.

- Oo! - Vernon spojrział przez zielonawy brzask w stronę nieprzyjacielskiego brzegu, potem zwrócił wzrok na Noego. - Musisz przepadać za panem Cowleyem.

- Szaleję za nim. - Ackerman chciał, żeby towarzysze nie pozwolili mu odejść, nikt jednak nie oponował.

- Na jak długo idziesz? - zapytał żołnierz ze schronu.

- Chyba na kwadrans.

- Hm... Warto oblać taki kwadrans odwagi.

Podniósł w rękę butelkę obrosłą od dołu błotem, w którym czujka przestała całą noc. Noe wydobył korek i pociągnął tęgo. Łzy stanęły mu w oczach. W gardle i przelyku poczuł nieznośne pieczenie. Żołądek rozgrzał się tak, jak gdyby ktoś włączył nagle piecyk elektryczny.

- Co to za diabelstwo? - spytał Noe zwracając butelkę.

- Jakiś tutejszy trunek. Chyba z jabłek - wyjaśnił żołnierz ze schronu. - Posłuży przed kąpielą.

Z kolei podał calvados Burneckerowi, ten zaś napił się wolno, z rozwagą i odstawił flaszkę.

- Słuchaj - zwrócił się do przyjaciela. - Niepotrzebnie chcesz wracać po Cowleya. Miał taką samą sposobność jak my. Jesteś w porządku. Na twoim miejscu nie szukałbym skurwysyna. Gdybym wierzył, że go przekonam, poszedłbym z tobą. Ale nie wierzę i nie pójdę. I tak draniowi nic nie wytłumaczysz.

Noe ocenił z uznaniem chłodną, logiczną pracę farmerskiego mózgu.

- Dobrze, dobrze - powiedział. - Jeżeli nie będzie mnie za piętnaście minut, twoja głowa w tym, żeby szkic trafił do oficera operacyjnego dywizji.

- Na pewno trafi.

- A ja przejdę się po linii - powiedział Vernon. - Szeptnę frajerom, żeby ci w łeb nie kropnęli, jak się wychylisz.

- Dziękuję.

Ackerman ruszył w stronę kanału. Mokra koszula oblepiała mu uda. Alkohol piekł w żołądku. Zatrzymał się na brzegu. Przyływ był teraz szybszy. Lodowata woda szemrała groźnie... Gdyby zawrócić, gdyby się rozmyślić... Za pół godziny jakiś biwak albo nawet szpital... Kto wie? Może prycza, koce, gorąca herbata i nic, tylko sen, sen i spokój przez dnie, tygodnie, miesiące... „Zrobiłem wszystko, co w ludzkiej mocy. Może nawet więcej. Nikt nic mi nie zarzuci. Przekradłem się. Przeprowadziłem Burneckera. Narysowałem szkic. I nie poddałem się, chociaż tyle było okazji. Trudno wymagać więcej. A porucznik Green mówił, żebyśmy szli do amerykańskich linii. Na własną rękę. Jak się komu uda... Niczego więcej nie wymagał. Nie wiem, czy znajdę Cowleya, a jeżeli nawet znajdę, znowu nie wlezie w wodę... Będzie się bał. Przyływ wzbiera. Kanał coraz głębszy...”.

Kłęczął nad brzegiem. Patrzył na ciemne falki. Wreszcie odepchnął się i zsunął cicho. Zapomniał, że woda jest aż tak zimna. Na piersiach czuł bolesną obręcz chłodu. Oddychał z trudem i tracąc co chwila grunt szedł w stronę przeciwległego brzegu. Dotarł tam szybko i zaczął wędrować pod prąd. Przypomniawszy sobie, jak długo brodzili z Burneckerem, jak wyglądało miejsce, w którym rozpoczęli przeprawę. Posuwał się wolno. Przystawał raz po raz. Nasłuchiwał. Z oddali dobiegało warczenie jednego samolotu i bezładna kanonada dział przeciwlotniczych. Artyleria ściagała widać ostatnią niemiecką maszynę, która przed brzaskiem umykała za własne linie. Ale w najbliższym sąsiedztwie nic nie mąciło ciszy.

Po pewnym czasie Noemu wydało się, że trafił w znajome miejsce. Powoli, z trudem wywindował się na nieprzyjacielski brzeg i podszedł do kępy zarośli. Pięć stóp przed nimi stanął. Szeptem powtórzył kilka razy nazwisko kolegi. Nie dostał odpowiedzi, więc przysunął się bliżej, bo był przekonany, że tutaj właśnie zostawił Cowleya.

- Cowley! - zawołał głośnie. - Cowley! Cowley!

- Odczep się! - warknął głos z zarośli.

- Kanał niegłęboki - szepnął Noe tonem perswazji. - Jak Boga kocham, niegłęboki. Nie będziesz musiał pływać.

- Wariata strugasz czy co?

- Nie. Burnecker jest już na drugiej stronie. Chodź. Czekają na nas. Czujki uprzedzone. Nikt nie wystrzeli. Chodź! Chodź! Prędeż, póki się nie rozjaśni.

- Prawdę gadasz? - zapytał podejrzliwie Cowley.

- Pewnie, że prawdę.

- Niech to cholera! I tak nie pójdę!

Bez słowa Noe zawrócił ku brzegowi, ale usłyszał za sobą szmer, zrozumiał więc, że nie idzie sam. Nad skarpą Cowley omal się nie wycofał. Noe milczał. Spojrzał tylko na opornego towarzysza i zsunął się cichaczem. Tym razem woda nie była wcale zimna. „Widać zdrętwiałem” - pomyślał i w tej chwili usłyszał głośnie chrupnięcie.

Chwył Cowleya wpół i pomógł mu utrzymać równowagę. Nieprzytomne pluskanie ustało. Przez grubą odzież czuć było, że Cowley drży niczym w ataku febry.

- Trzymaj się mnie! I cicho. Na miłość boską, cicho! - szepnął Ackerman pociągając towarzysza na środek kanału.

Tym razem czuł się swobodnie, niemal beztrąsko. „Wprawa. Przyzwyczajenie” - myślał i szybko brodził do zbawczego brzegu.

- Matko! Oj, matko! - mamrotał Cowley nieswoim, piskliwym głosem. - Matko! Matko! Matko!

Ale deptał po piętach przewodnikowi i nie ociągał się nawet w najgłębszych miejscach. Kiedy przebrnęli kanał, Noe nie przystanął, lecz z nurtem przyływu ruszył wzdłuż skarpy. Macając rękami szukał osypiską, dzięki któremu wylądował pomyślnie z Burneckerem. Znalazł je znacznie wcześniej, niż przewidywał.

- Tutaj - szepnął odwracając głowę. - Trzymaj się. Pomogę ci wyleźć.

- Matko! Oj, matko! - jęknął Cowley.

Noe podpierał go, popychał, windował z całych sił na stromą pochyłość. Cowley był niezręczny i ciężki, po chwili jednak zaczął jednym kolaniem o szczyt skarpy. Kiedy wyciągnął drugą nogę, szczeknął krótko pistolet maszynowy.

Cowley stanął, wyprostował się i nieprzytomnie zatrzepotał rękami. Przez moment próbował utrzymać równowagę, lecz zachwiał się i padając w tył zdzielił Noego butem w głowę. Raz wrzasnął przeraźliwie, runął w wodę i nie wypłynął.

Ackerman stał oparty o gliniastą skarpe. Jak urzeczony wpatrywał się w miejsce, które pochłonęło Cowleya. Postąpił nawet krok w tamtą stronę, ale nic nie zobaczył i poczuł, że kolana odmawiają mu posłuszeństwa. Ledwie wrócił do osypiską i niemrawo, powoli wygramolił się na górę. „Wyśniło mu się - powtarzał bezwiednie. - Wyśniło mu się, że utonie. Wyśniło mu się, że utonie”.

Dygotał i dzwonił zębami, kiedy Burnecker i żołnierz z Georgii wlekli go biegiem w stronę schronu.

W pół godziny później szeregowiec Ackerman miał na sobie mundur ściągnięty z trupa, który leżał niedaleko dowództwa. W tym mundurze, o trzy numery za obszernym, stał przed szefem oddziału operacyjnego dywizji. Był to siwowłosy, niski, okrągły podpułkownik o twarzy umazanej czerwoną farbą, co dziwnie plamiła skórę i szczeciniasty, szpakowaty zarost. Oficer operacyjny chorował na złośliwy liszaj i próbował się go pozbyć nie rezygnując z pełnienia normalnych obowiązków.

Dowództwo dywizji mieściło się w stodole obłożonej dla bezpieczeństwa workami z piaskiem. Na zaśmieconej podłodze żołnierze spali pokotem. W stodole

było ciemno, bo samochody, prądnice i cały elektrotechniczny sprzęt dowództwa dywizji znajdowały się na barce zatopionej podczas lądowania. Siwy podpułkownik przy mdłym płomyku świecy oglądał szkic sporządzony przez Noego. Burnecker stał obok przyjaciela. Oczy miał przymknięte. Zaczynał drzemać.

- Dobrze! Bardzo dobrze! - mówił oficer operacyjny kiwając i kręcąc głową. - Bardzo dobrze! Doskonale!

Noe słuchał i nie rozumiał, o co w ogóle chodzi. Wiedział jedno: że jest mu bardzo smutno, ale nie mógł sobie przypomnieć dlaczego.

- Spisaliście się, chłopcy! - Człowiek z purpurową twarzą był pogodny, uśmiechał się nawet przyjaźnie. - Tutaj i tu... Aha! Rozumiem... Medale murowane. Zaraz to pchnę do artylerii korpusnej. Przyjdźcie tu po południu. Powiem, co z tego wynikło.

Noe dziwił się półprzytomnie, dlaczego ten jegomość ma szkarłatną twarz i o czym właściwie gada.

- Prosiłbym o zwrot fotografii... później... - powiedział głośno. - To moja żona z synem.

- Oczywiście. Naturalnie - podpułkownik uśmiechnął się jeszcze serdeczniej; żółte spróchniałe zęby błysnęły między siwoszkarłatnym zarostem. - Dziś po południu będziemy reorganizować kompanię C. Razem z wami wróciło blisko czterdziestu ludzi. Evans! - zawołał pod adresem szeregowca, który drzemiąc podpierał ścianę. - Zaprowadź tych zuchów do kompanii C. Nie martw się, chłopcze - uśmiechnął się do Noego. - Nie czeka was daleki spacer. Kompania C biwakuje na sąsiednim polu. - Jeszcze raz przysunął szkic do oczu. - Dobrze. Bardzo dobrze. Doskonale.

Evans ocknął się i wyprowadziwszy ze stodoły Burneckera i Ackermana powiódł ich przez szarą poranną mgłę na sąsiednie pole. Pierwszym napotkanym tam znajomym był porucznik Green. Zmierzył przybyszów szybkim spojrzeniem i powiedział:

- Tam leżą koce. - Ręką wskazał kierunek. - Owińcie się i wyśpijcie porządnie. Pogadamy później.

Idąc po koce Burnecker i Noe musieli minąć pisarza kompanijnego. Shields zdążył już zmajstrować stolik z dwóch skrzynek po konserwach i urzędował w rowie pod grupą drzew na granicy pola.

- Hej! - zawołał. - Jest dla was poczta. Pierwsza po lądowaniu! Chciałem już dać do zwrotu. Myślałem, że krewa z wami, chłopcy.

Sięgnął do worka i wyjął kilka listów. Noe chwycił żółtą pękatą kopertę adresowaną ręką Hope. Wsunął ją pod koszulę odziedziczoną po nieznanym nieboszczyku i bez pośpiechu wybrał trzy koce. Potem wraz z Burneckerem odszedł pod drzewo i rozpostarł koce na murawie. Usiedli. Zaczęli zdejmować wyfasowane w obcej kompanii trzewiki. Noe otworzył pękatą kopertę, z której wypadł kolorowy magazyn w małym formacie. Zdziwił się i zabrał do listu od żony.

„Najmilszy - pisała Hope. - Przede wszystkim muszę wyjaśnić, skąd ten magazyn. Pamiętasz? Jeszcze z Anglii przysłałeś wiersz własnego pióra. Wydał mi się za ładny, żeby chować go tylko dla siebie, zebrałam się więc na odwagę i posłałam...”

Chwycił magazyn. Na okładce zobaczył swoje nazwisko. Nerwowo zaczął przerzucać strony i niebawem przeczytał znowu: Noe Ackerman. Niżej następowały równe, niedługie linijki wiersza:

*O, strzeż się buntu serca,
Co z wojny sobie drwi...*

- Johnny! - wrzasnął. - Hej, Johnny!

- Czego?

Burnecker próbował uporać się z własną korespondencją, ale przed chwilą dał za wygraną. Leżał na wznak, opatulony kocami. Tępo patrzył w szare niebo.

- Co się stało?

- Posłuchaj, Johnny! Mój wiersz! Wydrukowany. W magazynie. Chcesz przeczytać?

Po długim namyśle farmer dźwignął się ciężko i usiadł.

- Naturalnie. Dawaj.

Noe wręczył mu zeszyt otwarty na stronie poświęconej swojemu wierszowi. Bacznie obserwował twarz przyjaciela podczas lektury. Burnecker czytał wolno, poruszając bezdźwięcznie wargami. Parę razy przymykał oczy, kiwał się podejrzanie. Ale dobrnął do końca trzeciej strofy.

- Klasa! - orzekł zwracając magazyn siedzącemu na kocach autorowi.

- Rozumiesz myśl przewodnią, co?

- Myśl przewodnia? Aha. Wiersz pierwsza klasa - powiedział Burnecker, przypiętował krytykę poważnym skinieniem głowy i ułożył się wygodnie.

Noe spojrział jeszcze raz na swoje imię i nazwisko w druku, wsunął zeszyt za bluzę i starannie owinął się kocami. Nim zdążył opuścić powieki, zobaczył nad sobą Ricketta. Stał świeży, ogolony, w mundurze jak z igły.

- Panie Jezu! - zabrzmiał gdzieś wysoko sierżancki głos. - Panie Jezu! Znów mamy swojego Żydka!

Ackerman przymknął oczy. Zdawał sobie sprawę, że słowa Ricketta mogą być bardzo ważne... Później... Na razie pragnął tylko snu i niczego więcej.

Rozdział XXIX

Przy szosie stała tablica z ostrzeżeniem: „Tysiąc jardów drogi pod obserwacją i ogniem nieprzyjaciela. Odstęp między wozami siedemdziesiąt pięć jardów”.

Whitacre zerknął spod oka na swojego szefa. Ale pułkownik Pavone był pochłonięty powieścią kryminalną, którą zdobył w obozie przejściowym w Anglii podczas oczekiwania na przeprawę przez Kanał. Michael nie znał nikogo więcej, kto potrafiłby czytać w jadącym dziupie. Dodał gazu i samochód pomknął szybciej pustą drogą. Po prawej stronie ciągnęło się zbombardowane lotnisko zarzucone szkieletami niemieckich maszyn. Przed nimi w czystym powietrzu letniego popołudnia dymy kreśliły smugi nad stratowanymi łanami pszenicy. Podskakując na wybojach minęli kępę drzew, a potem grzbiet płaskiego pagórka, gdzie kończyło się tysiąc jardów pod obserwacją.

Michael odetchnął z ulgą i zmniejszył szybkość. Jechali w kierunku zajętego poprzedniego dnia przez Anglików miasta Caen, skąd słychać było głuchy, miarowy bas artylerii ciężkiej. Whitacre nie wiedział oczywiście, w jakim celu szef wybiera się do Caen. Pavone - lotny kontroler Administracji Wojskowej - miał papiery pozwalające wędrować swobodnie z jednego końca frontu na drugi, toteż z Michaeliem przy kierownicy jeździł po Normandii niby bez troski, trochę zaspany turysta. W chwilach wolnych od lektury przyglądał się wszystkiemu, przyjaźnie pozdrowiał żołnierzy na stanowiskach ogniowych, płynną paryską francuszczyznę rozmawiał z cywilami, od czasu do czasu robił krótkie notatki na świstkach papieru. Wieczory i noce spędzał w głębokim schronie ziemnym na polu w pobliżu Carentan i własnoręcznie wystukiwał na maszynie długie raporty, które dokądś wysyłał. Ale Whitacre nie czytał ich ani razu i nie miał pojęcia, dla kogo są przeznaczone.

- Książka do luzu - odezwał się Pavone rzucając broszurowy tomik na tylne siedzenie jeepa. - Tylko półgłówki może czytywać powieści kryminalne. - Rozejrzył się dokoła z uśmiechem na okrągłej błazeńskiej twarzy. - Daleko jeszcze? - zapytał.

Bateria ukryta w zabudowaniach jakiejś wioski otworzyła ogień. Przednia szyba dziupa zadrżała od huku, a Michael poczuł niemiłe ściskanie w dołku, którego doświadczał zawsze, gdy działa odezwały się w pobliżu.

- Nie. Niedaleko - odrzekł posepnie.

- Najprzykrzejsza jest pierwsza setka ran - roześmiał się pułkownik. - Później można przywyknąć.

„Skurwysyn! - pomyślał Whitacre. - Zrobi swoje! Uśmierci mnie któregoś dnia”.

Szosa przemknęła angielska sanitarka. Jechała szybko w kierunku tyłów. Straszliwie podskakiwała na wybojach. Michael wyobraził sobie rannych wijących się na noszach, jęczących boleśnie.

Koło drogi stał spalony czołg, rozpruty i poczerniały. Zaleciało trupim smrodem. Ten cikliwy, ohydny, bynajmniej nie zwycięski odór zapowiadał zawsze bliskość świeżo zdobytego miasta, co na mapie i w komunikatach BBC wytyczało nowe zwycięstwo. Michael trzymał ręce na kierownicy, spoglądał w prawo i w lewo przez zakurzone okulary szoferskie. Czuł, że skóra na nosie zaczyna mu się łuszczyć od palącego słońca, i mgliście pragnął znaleźć się znowu w Anglii, przy stosie starego drewna.

Niebawem samochód wspiał się na grzbiet wzgórza i pasażerowie zobaczyli przed sobą Caen. Brytyjczycy szturmowali je przez cały miesiąc z zapalem trudnym do zrozumienia po pierwszym rzucie oka na miasto. Mury stały wprawdzie, ale domów ocalało niewiele. Ulica po ulicy, jak okiem sięgnąć, szare kamienne budynki były pogruchothane, zwalone. „Flaki à la Caen” - przypomniał sobie Michael z jadłospisów francuskich restauracji w Nowym Jorku, a z wykładów historii średniowiecznej pozostał mu w pamięci uniwersytet w Caen. Teraz ciężkie moździerze brytyjskie strzelały zza stosów książek pochodzących z biblioteki uniwersyteckiej. W kuchniach, gdzie tak umiejętnie przyrządzano flaki, zajmowały stanowiska kanadyjskie karabiny maszynowe.

Przy wjeździe do miasta trzeba było szukać drogi między zwałami kamienistego gruzu. Pavone dał znak, żeby zatrzymać wóz, i Michael cofnął dżipa nad przydrożny rów biegnący wzdłuż potężnych murów starego klasztoru. Kilku Kanadyjczyków ciekawie przyglądało się z rowu Amerykanom.

„Dlaczego nie nosimy angielskich hełmów? - pomyślał nerwowo Whitacre. - Nasze garnki są diabelnie podobne do niemieckich. Brytyjczycy gotowi najpierw strzelać, a później sprawdzać papiery”.

Pułkownik wysiadł z dżipa i zatrzymał się na skraju rowu.

- Jak leci? - zagaił rozmowę.

- Całkiem do chrzaniu - odpowiedział drobny, śniady Kanadyjczyk o wyraźnie włoskim typie. - Pan pułkownik do miasta? - zapytał z uśmiechem i stanął w rowie.

- Chyba tak.

- Roi się tam od strzelców wyborowych i... - zaczął żołnierz, lecz dał nurka w rów, bo usłyszał chichot nadlatującego pocisku.

Whitacre skulił się, ale nie zdążył wyskoczyć z samochodu i nieporadnie zakrył twarz dłońmi. Eksplozja nie nastąpiła. „Niewypał - zarejestrował mechanicznie umysł Michaela. - Dzielni robotnicy z Warszawy i Pragi czeskiej napełniają granaty piaskiem. Podobno bywają nawet w niegroźnych skorupkach kartki z bohaterskim napisem: «Pozdrowienia od robotników Skody, wrogów faszyzmu.» A może to wszystko lipa? Wymysły korespondentów wojennych i Propagandy Wojskowej? Może pocisk wybuchnie za sześć godzin, jak wszyscy o nim zapomną?".

- Tak co trzy minuty - warknął Kanadyjczyk wstając. - Jesteśmy tu niby na wypoczynku, a co trzy minuty robimy przepisowe padnij. Niech to cholera! - zaklął. - Dowództwo angielskie ma ładne pojęcie o wypoczynku!

- Są w mieście miny? - zapytał Pavone.

- Naturalnie, że są! - obruszył się żołnierz. - Dlaczego miałyby nie być min? Co pan sobie myśli? Że wjeżdża na stadion sportowy w Ameryce? - Mówił akcentem, który brzmiałby całkiem naturalnie w Brooklynie.

- Skąd pochodzicie? - zapytał pułkownik.

- Z Toronto. A niech ktoś spróbuje wyciągnąć mnie stamtąd drugi raz! Prędzej zobaczy własne ucho.

Drugi pocisk zachichotał w powietrzu. I tym razem Michael nie zdążył wygrzebać się z wozu. Kanadyjczyk zniknął jak zaklęty. Pavone stał oparty niedbale o maskę dżipa. Granat wybuchnął, ale nie bliżej niż o sto jardów, bo na szosę nie padały odłamki. Po drugiej stronie klasztornej muru dwa działa odpowiedziały szybkim ogniem.

Kanadyjczyk stanął w rowie.

- Wypoczynek! - burknął jadowicie. - Ładny wypoczynek! Szkoda, że nie wstąpiłem do armii amerykańskiej. Cholera! Nigdzie tu nie widać Anglików, co? - Nienawistnie spojrzął na zrytą szosę i ruiny. - Sami Kanadyjczycy! Niech Kanada radzi sobie tam, gdzie gorąco. Żaden Anglik nie dotarł dalej niż burdel w Bayeux!

Pavone przyjął uśmiechem tę niewiarygodną przesadę.

- Słowo daję... - zaczął.

- Niech pan nie sprzecza się ze mną - zawołał głośno brunet z Toronto. - Niech pan się ze mną nie sprzecza! Jestem zanadto zdenerwowany.

- Dobrze. Nie będę się z wami sprzeczał. - Pułkownik uśmiechnął się i zsunął na tył głowy hełm, który nad krzaczastymi brwiami i błazeńską twarzą wyglądał teraz jak całkiem niewojсковy nocnik.

- Niedługo się zobaczymy - dodał.

- Jeżeli pana przedtem nie zastrzelą albo ja nie zdezerteruję - warknął Kanadyjczyk.

Pavone pożegnał go gestem ręki.

- Mike - zwrócił się do Whitacre'a. - Teraz ja poprowadzę. Siadaj z tyłu i oczy miej otwarte.

Michael przesiadł się na zrolowaną budę dżipa, skąd mógł strzelać wygodnie na wszystkie strony. Pavone ujął kierownicę, bo w podobnych chwilach zajmował zawsze najniebezpieczniejsze, najbardziej odpowiedzialne posterunki. Jeszcze raz machnął ręką w stronę Kanadyjczyka, lecz nie otrzymał odpowiedzi, nacisnął więc starter i wyboistą drogą wjechał do miasta. Michael zdmuchnął kurz z celownika, odbezpieczył pistolet maszynowy i ułożywszy go na kolanach patrzył przed siebie nad głową kierowcy.

Raz po raz baterie brytyjskie odzywały się między ruinami. Pavone prowadził wóz ostrożnie, wymijał głębokie wyrwy w bruku i rumowiska gruzów.

Whitacre spoglądał podejrzliwie na okna ocalałych domów. Wydawało mu się, że miasto Caen składa się z samych okien przesłoniętych roletami, cudem zachowanych mimo bombardowania z powietrza, ulicznych walk oddziałów pancernych, ognia artylerii brytyjskiej i niemieckiej. Czuł, że jest łatwym, odsłoniętym celem, gdy siedząc wysoko sunął pustymi, znękanymi wojną ulicami. Przecież za każdym z niezliczonych okien może czyhać strzelec wyborowy. Oto podnosi precyzyjny karabin z lunetą, uśmiecha się szyderczo i czeka, by dwaj szaleńcy w odkrytym dżipie podjechali nieco bliżej.

„Ostatecznie nie mam nic przeciwko temu, by polec... - Odwrócił się gwałtownie, bo zdawało mu się, że usłyszał za sobą skrzypnięcie otwieranego okna. -

Nie mam nic przeciwko temu, by polec w bitwie, w której bym walczył. Ale tak, podczas wycieczki turystycznej z tym głupim ryzykantem, eks-cyrkowcem..."

Urwał, bo zorientował się, że okłamuje samego siebie. Na pewno nie chciałby polec w takich czy innych warunkach. Nie miałyby to najmniejszego sensu. Wojna sunie naprzód spokojnym, miarowym krokiem i śmierć jednego człowieka nie robi różnicy nikomu z wyjątkiem tego człowieka i może jego rodziny... Zginie czy nie zginie - sprawy wojny rozstrzygną się dokładnie w tym samym momencie dwudziestego stulecia. Ustanie pochód armii, wyniszczą się wzajemnie maszyny, które obecnie decydują o losach walki, rozejm będzie podpisany...

„Przeżyć jakoś! - przypomniał sobie Whitacre rozpaczliwe hasło spod stosu starego drewna. - Przeżyć! Przeżyć! Przeżyć!"

Na wszystkie strony grzmiały baterie. Trudno było ogarnąć wyobraźnią zdumiewającą organizację. Jacyś ludzie telefonują, kreślą siatki liczbowe na mapach, korygują odległości celów, mozolą się nad wielkimi, skomplikowanymi mechanizmami, dzięki którym działo strzela na pięć mil w jednej minucie, w następnej zaś na siedem. A wszystko odbywa się niewidocznie w piwnicach starego miasta Caen, za odwiecznymi murami ogrodów, w bawialniach Francuzów, którzy niedawno byli kupcami żelaznymi lub fabrykantami konserw, a teraz nie żyją. Jak duże mogło być Caen? Ilu liczyło mieszkańców? Tyłu co Buffalo, Jersey City, Pasadena?

Dżip sunął wolno. Pavone ciekawie rozglądał się dokoła. Michael siedząc wysoko czuł się coraz bardziej odsłonięty, nagi.

Skręcili w uliczkę wytyczoną dwoma rzędami rozdartych trzypiętrowych kamienic. Kaskady gruzów opierały się o tylne ściany domów, spływały na jezdnię. Wysoko na ruinach kobiety i mężczyźni pochyleni jak szmaciarze pracowicie grzebali w rumowiskach swoich siedzib. Spod grubej warstwy śmiecia wyciągali tu jakiś łachman, tam lampę, parę pończoch lub aluminiowy rondel. Nie dbali o huczące w pobliżu brytyjskie armaty, o strzelców wyborowych ani o artylerię niemiecką, co zza rzeki ostrzeliwuje miasto. Pamiętali jedynie, że to były ich domy, że pod zwałami drewna i kamieni leży ich własność gromadzona stopniowo przez całe życie.

Jezdnię barykadowały taczki i wózki dziecinne. Francuzi zbierali pośród ruin naręcza zakurzonych ruchomości i z trudem zachowując równowagę schodzili w dół, aby układać je starannie w tych prymitywnych wehikułach. Nie patrzyli na przejeżdżających obok Amerykanów ani na kanadyjskie dżipy lub sanitarki, które od

czasu do czasu przemykały ulicą. Odwracali się i wspinali mozolnie na zastygłe wodospady gruzu, by odkopywać jakieś zachowane w pamięci, nadwerężone skarby.

Mijając cierpliwych zbieraczy Whitacre zapomniał, że w każdej chwili może dostać kulę między łopatki albo w dołek. Zawsze wyobrażał sobie, że jeżeli pocisk trafi go z przodu, przeryje właśnie to delikatne miejsce niżej żeber. Ale teraz nie myślał o pociskach. Miał ochotę wstać i zawołać pod adresem Francuzów: „Odejdźcie, ludzie! Uciekajcie z miasta! Nie warto oddawać życia za graty, których szukacie. Hałas, jaki słyszycie, to wybuchy granatów. A kiedy granat wybucha, odłamki nie robią różnicy między mundurem a gołą skórą, między wojskowym a cywilem. Wróćcie dopiero, kiedy wojna potoczy się dalej. Wasze skarby są bezpieczne. Nikt ich nie chce. Nikt nawet nie potrafi z nich korzystać”.

Ale szeregowiec Whitacre milczał, gdy dżip jechał wolno ulicą, której mieszkańcy opanowani szaleńczą żądzą posiadania rozkopywali wysokie zwaliska, by dobyć srebrną ramkę z fotografią babki, durszlak, sztucze do pieczystego, haftowaną kapę, zapewne białą przed zburzeniem domu.

Dżip wjechał na obszerny plac, pusty i otwarty z jednej strony, gdzie wszystkie budynki zostały zrównane z ziemią. Dalej płynęła rzeka Orne, a za nią ciągnęły się niemieckie linie. Michael dobrze zdawał sobie sprawę, że gdzieś na przeciwległym brzegu nieprzyjacielskie oczy obserwują wlokący się leniwie samochód. Nie wątpił, oczywiście, że Pavone rozumie to równie dobrze. Ale Pavone nie zwiększał szybkości. „Komu, u licha, ten skurwysyn chce pokazać fason? - irytował się w duchu Whitacre. - I dlaczego nie robi tego całkiem sam?”.

Bez wystrzału minęli niebezpieczny plac i spokojnie pojechali dalej. Chociaż artyleria grzmiała dość regularnie, wydawało się, że w mieście zalega cisza. Silnika dżipa nie słyszeli, gdyż do jego pomruku przywykli podczas wielodniowej włości drogami zatłoczonymi przez kolumny wojskowych pojazdów, niekiedy ostrzeliwanymi nieprzyjacielskim ogniem. Michael nasłuchiwał bacznie podejrzanych szelestów lub szmerów: skrzypnięcia okna, zgrzytu klamki u drzwi, chrzęstu karabinowego zamka. Był pewien, że taki dźwięk złowiłby uchem wśród ruin wyludnionego średniowiecznego miasta, gdyby nawet cały pułk artylerii otworzył właśnie ogień w promieniu stu jardów.

Pavone włączył się wolno pośród plam jaskrawego letniego słońca i czerwonego cienia, który Whitacre znał z obrazów Cézanne'a, Renoira i Pissarra,

nim zdążył wstąpić na francuską ziemię. Pułkownik nie spieszył się. Uważnie spoglądał na wszystkie strony, zatrzymał nawet wóz, żeby na nie uszkodzonym narożniku domu odczytać nazwy dwóch nie istniejących ulic. Michael patrzył raz przed siebie, na opalony krzepki kark pod hełmem, raz na boki, gdzie za poszczerbionymi ścianami mogła czyhać śmierć.

Pavone nacisnął starter i ruszył pustkowiec, które było niegdyś główną arterią Caen.

- Spędziłem tu raz weekend w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku - odezwał się, spoglądając przez ramię na Michaela.

- Przyjechałem z przyjacielem, reżyserem filmowym, i z dwiema dziewczętami z jego zespołu. - Smutno pokiwał głową. - Bardzo było przyjemnie. Mój przyjaciel miał na imię Jules. Poległ w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. - Zerknął na wypatroszone sklepy. - Dziś nie poznaję ani jednej ulicy.

„Fantastyczna historia! - pomyślał Whitacre. - Gość naraża moje życie dla sentymentalnych wspomnień z weekendu spędzonego sześć lat temu z dwiema aktoreczkami i nieboszczykiem reżyserem!”.

Skręcili w ulicę, na której panował znaczny ruch. Samochody zajeżdżały przed kościół. Kilku młodych Francuzów z opaskami Ruchu Oporu uwijało się koło żelaznych sztachet. Jacyś Kanadyjczycy pomagali ładować do sanitarki rannych cywilów. Pavone zatrzymał wóz na małym placu przed kościołem. Na chodniku piętrzył się stos waliz, koszyków, toreb podróżnych, sprzętów domowych owiniętych porządnie w prześcieradła, kołdry, koce.

Młoda dziewczyna w jasnoblękitnej sukience, czystej i świeżo wyprasowanej, nadjechała na rowerze. Była bardzo ładna. Miała puszyste granatowoczarne włosy. Michael zerknął na nią ciekawie i w odpowiedzi otrzymał spojrzenie pełne wzdąry i nienawiści. „Wini mnie - pomyślał z goryczą - za bombardowania i swój dom w gruzach, może i za to, że jej ojciec nie żyje, a kochanek zawieruszył się Bóg wie gdzie”. Francuzka przemknęła koło pokaleczonych kamiennych murów i samochodów z rannymi. Jej elegancka szeroka spódnica wydymała się jak balon. Michael miał ochotę pogonić za piękną cyklistką, zacząć rozmowę, przekonać ją... Przekonać o czym? Że nie jest pozbawionym serca żołdakiem gotowym gapić się na kształtne łydki nawet w ruinach tragicznie zmarłego miasta? Że pojmuje jej niedolę, ona zaś nie może

w mgnieniu oka osądzać go lekkomyślnie? Że powinna mieć dla niego litość i zrozumienie i oczekiwać w zamian zrozumienia i litości?...

Dziewczyna odjechała. Zniknęła za rogiem ulicy.

- Wejźmy - powiedział Pavone.

Po płomiennych blaskach słońca wewnątrz kościoła zdawało się ciemne. Whitacre zwiertzył je, nim zobaczył. Poczł zadawnioną woń świec i kadzidła spalonego w ciągu wieków, a na tym tle cklwy fetor starości, leków i śmierci. Stojąc w kruchcie mrugał oczami i słuchał tupotu dziecięcych nóg po nie zasłanej słomą kamiennej posadzce. W sklepieniu był wielki, ziejący otwór po bombie czy działowym pocisku. Smuga światła sączyła się tamtędy i niby bursztynowy reflektor przecinała otchłań kościelnych mroków.

Kiedy wzrok przywył do posępnego cienia, Michael zobaczył, że w świątyni jest pełno. Cała ludność Caen (albo przynajmniej ci, co nie zdążyli jeszcze umknąć lub umrzeć) zgromadziła się tutaj, by pod boską opieką czekać pokornie na wywiezienie za linię frontu. Na pierwszy rzut oka kościół sprawiał wrażenie gigantycznego przytułku dla starców. Na kamiennej posadzce, na noszach, kocach, wiązkach słomy leżały dziesiątkami półtrupcy o żółtych, przeoranych zmarszczkami twarzach: bliscy śmierci, schorowani osiemdziesięcioletni mężczyźni i kobiety. Niemrawo zacierali pergaminowe dłonie. Ostatkiem sił podciągali pod brodę koldry. Skamleli i pojękiwali niby konające zwierzęta. Przekrwionymi, zaszłymi bielmem oczami wpatrywali się w stojących nad nimi ludzi. Moczyli kamienne płyty, bo byli za starzy, by się ruszać, i zanadto dziecienni, by dbać o takie drobiazgi. Macali brudne bandaże na ranach otrzymanych w wojnie młodych ludzi, która przed miesiącem rozszalała w ich mieście. Umierali na raka, gruźlicę, zwapnienie żył, bolesną dusznicę, ogólne wyczerpanie, zakażenie krwi, uwiad starczy. W smrodzie choroby, niedołęstwa i zgrzybiałego wieku Whitacre z trudem chwytał oddech spoglądając na zwiędłe, napiętnowane nienawiścią twarze, oświetlone tu i ówdzie błogosławionymi strzałami słońca, w których drobiny pyłu płały wesoło. Pośród sienników, brudnych noszy i wiązek słomy, pośród starców zżartych przez raka lub sparaliżowanych i przykutych do łóżka na pięć lat przed brytyjską ofensywą, pośród wiedźm, których prawnuki ginęły pod Sedanem, Oranem czy nad jeziorem Czad, biegały dzieci. Zajęte zabawą migaly wesoło w jasnej smudze płynącej z dziury po niemieckim pocisku, aby za

moment zginąć jak jętki w sadzawce szkarłatnego cienia. Piskliwe głosiki i śmiechy brzęczały srebrzyście nad głowami zaścielających posadzkę, bliskich grobu starców.

„Oto wojna - medytował Whitacre. - Wojna w ostatecznym swym wyrazie. Żaden wódz nie przekrzykuje kanonady miotając rozkazy ochrypłym głosem. Żołnierze nie rzucają się na bagnety w obronie słusznych spraw. Nie ma triumfalnych komunikatów i awansów. Są jedynie starcy: krzywokościści, bezzębni, wyblakli, głusi, schorowani, pozbawione płci sędziwe istoty zebrane w cuchnących zakamarkach ruin i niedbale rzucone na kamienną posadzkę. Siusiąją pod siebie i mrą przy akompaniamencie wesołego tupotu nówek rozbawionej dziatwy i grzmotu dział powtarzających na swój huraganowy sposób echa wytartych sloganów, które o trzy tysiące mil stąd wydadzą się wielkimi prawdami. Zgrzybiali starcy leżą spokojnie, niedostępni sloganom. Pośród chryzących dziecinnych stóp czekają na decyzję jakiegoś kwatermistrzostwa i na trzy dodatkowe ciężarówki z kolumny amunicyjnej, którymi odjadą wraz z brzemieniem swoich cierpień do innego na połę zburzonego miasta, gdzie zostaną zapomniani i wymrą nie przeszkadzając w operacjach wojskowych”.

- Jak tam, panie pułkowniku? - spytał Michael. - Co Administracja Wojskowa ma do powiedzenia na ten temat?

Pavone uśmiechnął się łagodnie i lekko dotknął ramienia podwładnego, jak gdyby dzięki wiekowi i doświadczeniu życiowemu rozumiał, że młody człowiek czuje się w pewnym stopniu odpowiedzialny za tę nędzę, jak gdyby wybaczał mu z tej racji ton szorstki i opryskliwy.

- Cóż, najlepiej chodźmy stąd. Brytyjczycy dostali trudny orzech do zgryzienia, niech sobie radzą - powiedział cicho.

Dwoje dzieci zbliżyło się i stanęło przed pułkownikiem. Szczupła, bardzo drobna czteroletnia dziewczynka o wielkich nieśmiałych oczach trzymała za rękę braciszka starszego o dwa lub trzy lata, lecz chyba jeszcze bardziej strwożonego.

- Proszę pana - odezwała się mała po francusku. - Bardzo prosimy o sardynki.

- Nie! Nie! - Chłopiec wyrwał rękę siostrze i ze złością uderzył ją po ramieniu. - Ci nie mają sardynek, tylko herbatniki. Głupia! Sardynki dawali tamci.

Dziewczynka zaczęła połykać łyzy. Pavone uśmiechnął się do Michaela, a później przykucnął i wziął w ramiona kruszynę, dla której cała różnica między faszyzmem i demokracją polegała na tym, że jedni żołnierze dawali dzieciom sardynki, drudzy słodkie suchary.

- Nie płacz - powiedział. - Nie ma czego płakać. Mike! - zwrócił się do Whitacre'a. - Przynieś no żelazną porcję.

Michael z przyjemnością wyszedł w słoneczny blask i na świeże powietrze. Wydobył z dzipa żelazną porcję i wróciwszy w mrok zaczął rozglądać się za swoim szefem. Kiedy tak stał z tekturowym pudłem w ręku, przysunął się do niego siedmioletni chłopak o zmierzwionej jasnej czuprynie i śmiałym uśmiechu.

- Papierosy! - odezwał się błagalnym, a zarazem bezczelnym tonem. - Papierosy dla tatusia.

Whitacre sięgnął do kieszeni, lecz w tej chwili krępa sześćdziesięcioletnia kobieta zaatakowała chłopca i mocno chwyciła go za rękę.

- Nie - powiedziała do Amerykanina. - Proszę mu nie dawać papierosów. - I odwracając się do chłopca dorzuciła z oburzeniem troskliwej babki: - Ładne rzeczy! Widzę, że nie chcesz wyrosnąć na dużego mężczyznę, co?

Pocisk armatni wybuchnął na ulicy i stłumił odpowiedź malca, który wyrwał się babci i tanecznym krokiem odbiegł korytarzem między rzędami niedołęжных starców.

Francuzka smutno pokiwała głową.

- Urwis - westchnęła. - Mój Boże! Dzieci są dziś niemożliwe! - Ukłoniła się z poważną miną i odeszła.

W tej chwili Michael zobaczył pułkownika. Postąpił kilka kroków i pochylił się nad nim z ironicznym uśmiechem. Pavone siedząc w kucki gawędził z małą i jej braciszkiem. Na zakończenie rozmowy wręczył żelazną porcję dziewczynce i ostrożnie pocałował ją w czoło. Dzieci odeszły bez słowa i ukryły się w niszy po drugiej stronie kościoła, aby rozpakować tam zyskany skarb i w spokoju zapoznać się z jego smakiem.

Dwaj Amerykanie wyszli z kościoła, lecz na progu Whitacre odwrócił się i raz jeszcze objął spojrzeniem sklepienie, smrodliwe wnętrza tonące w lawendowych cieniach. Jakiś starzec leżący blisko drzwi słabo poruszył ręką, jak gdyby wzywał pomocy; nikt jednak nie troszczył się o niego. W głębi pod ścianą parka małych dzieci - chłopiec i dziewczynka - przycupnęła nad tekturowym pudłem i na zmianę ssała blok czekoladowy, który wchodził w skład żelaznej porcji. Z oddali obrazek ten był dziwnie mglisty, nierealny.

Na placu przed kościołem Pavone i Michael bez słowa zajęli miejsca w dziupli. Pavone usiadł przy kierownicy. Koło wozu stał przysadzisty sześćdziesięcioletni Francuz ubrany w błękitną drelichową bluzę i postrzępione workowate spodnie, łańcuch co najmniej dwadzieścia razy. Miał szorstkie spłowiałe wąsy, a jego duża wyrazista twarz pod robotniczą czapką przypominała trochę portrety Clemenceau. Z poważną miną zaskłonił Amerykanom, a gdy Pavone odpowiedział wojskowym ukłoniem, Francuz zbliżył się i uściśnął dłonie najpierw pułkownika, następnie szeregowca.

- Amerykanie - przemówił kulawą angielszczyzną. - Wolność! Równość! Braterstwo!

„Dobry Boże! Patriota!” - pomyślał niechętnie Michael, bo po wizycie w kościele nie czuł sympatii do patriotów.

- W Ameryce byłem siedem razy - podjął starszy jegomość po francusku. - Kiedyś mówiłem po waszemu jak rodowity Anglik. Ale wszystko wywietrzało mi z głowy.

Pocisk eksplodował w pobliżu. Michael zapragnął gorąco, by Pavone nacisnął starter, ale pułkownik beztrudno oparł się o kierownicę i słuchał gadaniny Francuza.

- Za młodu pływałem w marynarce handlowej. Znam dużo miast amerykańskich: Nowy Jork, Brooklyn, Nowy Orlean, Baltimore, San Francisco, Seattle, Północną Karolinę. Jeszcze dzisiaj płynnie czytam po angielsku.

Mówiąc tak chwiały się lekko na nogach, toteż Whitacre doszedł do wniosku, że Francuz popił tego. Rzucił z ukosa dziwnie wylęknione spojrzenia, a wargi drżały mu pod wilgotnym, obwisłym wąsem.

- Podczas pierwszej wojny - ciągnął - Szwaby storpedowali mnie niedaleko Bordeaux. Spędziłem sześć godzin w Atlantyku. Sześć godzin w Atlantyku. - Do taktu szybko kiwał głową, co chwila wyglądał na bardziej pijanego.

Michael nerwowo zaszurał nogami dając pułkownikowi do zrozumienia, że pilno mu w drogę. Ale Pavone nie zareagował. Siedział bez ruchu. Cierpliwie słuchał Francuza, ten zaś paplał dalej i klepał dziupa, jak gdyby to był dzielny rumak.

- Za drugiej wojny zgłosiłem się znów do marynarki handlowej, na ochotnika.

Michael nieraz słyszał Francuzów określających walki w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku i upadek Francji jako „drugą wojnę”. Zatem obecna byłaby trzecią. Trochę za wiele, nawet na europejską wytrzymałość.

Francuz bębnił pięścią w maskę samochodu i mówił gniewnie:

- Powiedzieli w biurze, że jestem za stary, że powołają mnie, jeśli sytuacja będzie groźna. - Roześmiał się chrapliwie. - Widać dla tych młokosów z biura sytuacja nie była nigdy groźna. Wcale mnie nie powołali.

Rozejrzał się dokoła. Mętnym wzrokiem objął połyskującą w słońcu fasadę kościoła, spiętrzony na chodniku stos bagaży, zaśmiecony plac i ruiny domów.

- Ale mój syn służył w marynarce wojennej. Poległ w Oranie. Zabili go Anglicy. Cóż, nie mam żalu. Na wojnie jak na wojnie.

Pavone zrobił dyskretnie współczującą minę. Lekko dotknął ramienia starego.

- Jedyne dziecko - ciągnął spokojnie Francuz. - Jak był mały, opowiadałem mu często o Nowym Jorku i San Francisco. - Niespodziewanie podwinął lewy rękaw. - O, proszę spojrzeć!

Michael wychylił się z dżipa i zobaczył zielony tatuaż zdobiący stare, lecz krzepkie i napęczniałe mięśniami ramię. Nad romantycznymi chmurami sterczał gmach Woolwortha.

- Drapacz nieba w Nowym Jorku - objaśnił były marynarz. - Gmach Woolwortha. Zrobił na mnie kolosalne wrażenie.

Whitacre cofnął się i kilka razy stuknął obcasem w blaszaną podłogę wozu. Chciał skłonić pułkownika, żeby ruszył, nie osiągnął jednak zamierzonego skutku.

- Miły dowód sympatii i znakomity rysunek - powiedział Pavone do Francuza, ten zaś poważnie skinął głową i opuścił rękaw.

- Jestem zachwycony, że wy, Amerykanie, przyszedliście do nas nareszcie.

- Dziękuję - wtrącił Pavone.

- Jak pokazały się na niebie pierwsze amerykańskie samoloty, stałem na dachu i wymachiwałem rękami, chociaż Amerykanie rzucali bomby. A teraz... Teraz jesteście tu naprawdę. Doskonale rozumiem - dodał delikatnie - dlaczego marudziliście tak długo z przybyciem.

- Dziękuję - powtórzył pułkownik.

- Niech ludzie gadają, co chcą, ale wojna nie jest kwestią minut. A każda następna musi trwać dłużej niż poprzednia. Prosta arytmetyka wojenna. - Francuz żywo gestykulował podkreślając słowa.

- Nie twierdzą, że oczekiwanie było miłe. Nie wyobrażacie sobie, panowie, jak trudno żyć z dnia na dzień pod niemiecką władzą.

- Wyjął z kieszeni stary portfel z wytartej skóry, rozłożył go zamasyście i pokazał Amerykanom skrawek groszowej trójbarwnej chorągiewki schowany za poźółką przegródką z celuloideu. - Nie rozstawałem się z tym przez całą okupację, od pierwszego dnia.

- Z dumą spojrzął na wyblakłą tkaninę. - Gdyby znaleźli przy mnie taką szmatkę, na pewno już bym nie żył. Ale nie. Nosilem to w kieszeni cztery lata!

Westchnął i schował portfel.

- Teraz wracam prosto z frontu - oznajmił. - Ktoś powiedział mi, że na środku rzeki, akurat między Anglikami a Niemcami, leży na moście jakaś babina. „Idź, zobacz - poradził mi ten facet - może to będzie twoja stara”. Poszedłem i zobaczyłem. - Zająknął się, podniósł wzrok ku uszkodzonej wieży kościoła. - To była moja żona.

Zaczął znów głaskać i poklepywać dżipa. Obydwaj Amerykanie milczeli.

- Czterdzieści lat - podjął były marynarz. - Czterdzieści lat żyliśmy ze sobą. Było się razem na wozie i pod wozem. Mieszkaliśmy po tamtej stronie rzeki. Pewnie zostawiła w domu papugę albo kurę i postanowiła, że warto się tam wybrać. I cóż, Szwaby zastrzelili ją z karabinu maszynowego. Mój Boże! Strzelać z karabinu maszynowego do sześćdziesięcioletniej kobiety! Niemcy są niepoprawni! Leży teraz na moście głową w dół, a spódnice ma zadartą wyżej kolan. Kanadyjczycy nie dali mi pójść po nią. Powiedzieli, że muszę poczekać do końca bitwy. Mój Boże! Ubrana jest w nową świąteczną suknię.

Rozpłakał się i zaczął cmokać głośno, bo łzy pociekły mu na obwisłe wąsy.

- Czterdzieści lat! Widziałem ją pół godziny temu. A niech tam!

- Wyjął znów portfel, otworzył go i namiętnie, nieprzytomnie ucałował trójkolorowy skrawek za poźółkłym celuloidem. - A niech tam! A niech tam - powtarzał szlochając.

Wreszcie kiwając głową wsunął portfel do kieszeni. Jeszcze raz pogładził maskę dżipa i odwrócił się bez ukłonu, bez słowa pożegnania. Jak pijany szedł niepewnie ulicą wzdłuż rozszarpanych żaluzji sklepowych i zwałów kamiennego gruzu.

Michael patrzył za nim. Czuł dziwne pieczenie w ściągniętej bolesnym skurczem twarzy.

Pavone westchnął, nacisnął starter. Dżip ruszył wolno w stronę krańców miasta. Whitacre nadal obserwował okna, bacznie, lecz bez trwogi. Nie wiadomo dlaczego, był przekonany, że teraz nie zagrażają mu kule strzelców wyborowych.

Pod starym murem klasztoru nie było śniadego chłopca z Toronto. Pavone dodał gazu i szybko wyjechał za miasto. Mieli szczęście, że nie przystanęli na dawnym miejscu, bo nim oddalili się o trzysta jardów, usłyszeli wybuch za sobą. Jak na komendę odwrócili głowy. Nad szosą koło klasztornego muru wisiał kłęb dymu i pyłu.

Pavone i Whitacre wymienili spojrzenia, ale nie uśmiechnęli się ani odezwali. Pułkownik zwrócił wzrok na drogę i pochylił się nad kierownicą. Szczęśliwie minęli obserwowane i ostrzeliwane przez nieprzyjaciela tysiąc jardów. Pavone zatrzymał wóz i gestem ręki wskazał podwładnemu swoje miejsce.

Przełaząc na przód przez siedzenie, Michael obejrzał się raz jeszcze. Nic nie wskazywało, że za widnokretem leży miasto zburzone czy nie zburzone. Przy kierownicy poczuł się lepiej, nie rozpoczął jednak rozmowy. W żółtawym blasku popołudniowego słońca dżip sunął wolno ku amerykańskim liniom.

O pół mili dalej usłyszeli dziwne, chrapliwe dźwięki i zobaczyli wojsko maszerujące w luźnym szyku kolumnami po obu stronach szosy. Po chwili zorientowali się, że to kanadyjski batalion Piechoty Szkockiej posuwa się ku drodze, która skręca w lewo między łany pszenicy. Każdą kompanię prowadził kobziarz. Dalej widać było nad zbożem głowy i broń jakichś innych oddziałów sunących wolno w kierunku rzeki.

Na rozległej wyludnionej płaszczynie dźwięk szkockich kobz brzmiał teatralnie, natrętnie, nie na miejscu. Michael jechał bardzo wolno w stronę nadciągających żołnierzy. Poruszali się niemrawo, dźwigając granaty ręczne, pełne ładownice, skrzynki z amunicją do karabinów maszynowych. Pot występował ciemnymi plamami na grubych mundurach polowych. Na czele pierwszej kompanii, tuż za grąkiem, kroczył dowódca, rosły młody kapitan o czerstwej cerze i sumiastych rudych wąsach. W rękę trzymał krótką trzcinkę i idąc przed swoim oddziałem, butnie wybijał takt nogami, jak gdyby jętkliwe zawroscenie kobz było triumfalnym marszem.

Na widok dżipa oficer ożywił się i przyjaźnie machnął trzcinką. Nad jego głową Michael spojrzął ku szeregowym. Pod warstwą potu i kurzu czerwone twarze były skupione, nie uśmiechnięte. Nowy, czysty ekwipunek i mundury jak z igły świadczyły, że tych ludzi czeka pierwsza bitwa. Byli już zmęczeni, wyczerpani nerwowo.

Maszerowali w milczeniu, a ich miny wyrażały tępą mękę, jak gdyby nasłuchiwali czegoś - nie muzyki kobz ani odległego pomruku dział czy szurania własnych butów po asfalcie, lecz wewnętrznych głosów toczących niezmiernie ważny spór, który trzeba śledzić bacznie, aby choć w przybliżeniu ogarnąć głębię jego treści.

Kiedy dżip zrównał się z czołem oddziału, kapitan powitał Amerykanów szerokim uśmiechem dwudziestoletniego siłacza. Błysnął białymi zębami pod bujnym jedwabistym wąsem i chociaż był ledwie o pięć stóp, ryknął basem, który można by usłyszeć z odległości stu jardów.

- Pogoda dopisuje, co?

- Życzę szczęścia, kapitanie! Panu i pańskim ludziom - odpowiedział Pavone nie za donośnym, odpowiednio modulowanym tonem człowieka, który wraca z pola walki i całkowicie panuje nad swoim głosem.

Oficer uśmiechnął się życzliwie i jeszcze raz zamasyście machnął trzcinką. Dżip potoczył się wolno wzdłuż kompanii, której pochód zamykał lekarz. Niósł przewieszoną przez ramię torbę sanitarną, a spod hełmu oznaczonego czerwonym krzyżem wyglądała młoda twarz o wyrazie bolesnego zamyślenia i troski.

Dźwięki kobz milkły stopniowo i brzmiały niby echo odległego skrzeczenia mew, kiedy kompania skręciła między pszeniczne pola i malała coraz bardziej, jak gdyby ci zbrojni ludzie rozmyślnie, choć z zalem, tonęli w złotym, szumiącym morzu.

Michael zbudził się w swoim dole, bo artyleria przemówiła głośniejsze. Był przygnębiony. Czuł wilgotną, stęchlą woń ziemi i drażniący zaduch rozłożonego dokoła biwaku. Leżał bez ruchu w zupełnej ciemności, rozgrzany pod kocami, zbyt zmęczony, by się poruszyć. Łowił uchem przybliżającą się kanonadę. „Zwyczajny nalot - pomyślał klnąc Niemców. - I tak noc w noc. Bodaj to wszyscy diabli!”.

Działa grzmiały teraz bardzo blisko. Od czasu do czasu zachichotała złowroźnie głowica szrapnela. Częściej było słyhać kłaśnięcia uderzających o ziemię stalowych odłamków. Michael sięgnął za siebie i umieścił hełm na podbrzuszu. Z krawędzi nory ściągnął worek wypchany zapasową bielizną i troskliwie osłonił brzuch oraz piersi. Wreszcie skrzyżował ramiona i zakrywając twarz odetchnął zapachem rozgrzanego ciała i przepoconych długich rękawów podkoszulka. Zakończywszy te conocone praktyki, których wyuczył się w ciągu kilku tygodni w Normandii, pomyślał z

ulgą, że teraz niewiele mu grozi. Wszystkie cenne i najwrażliwsze miejsca zostały zabezpieczone, a rana w rękę lub w nogę nie byłaby wielkim nieszczęściem.

Leżał spokojnie. Bez zainteresowania słuchał huków, świstu i warczenia samolotowych silników. W głębokim dole było mu coraz bezpieczniej, wygodniej. W swoim czasie urządził sobie miłą i schludną podziemną sypialnię. Ściany wyłożył brezentem z rozbitego szybowca, rozpostarta na dnie płachta sygnałowa z lśniącego jedwabiu sprawiała wrażenie łąki wschodniego przepychu.

Michael począł się zastanawiać, która może być godzina, nie chciało mu się jednak szukać latarki i patrzeć na zegarek. Od trzeciej do piątej miał stać na warcie, irytował się więc trochę, bo nie wiedział, czy warto zasypiać.

Nalot trwał. Bombowce musiały być całkiem nisko, bo ostrzeliwano je z karabinów maszynowych. Nerwowe terkotanie akompaniowało hukowi dział i pracowitemu jękowi silników. Whitacre słuchał tych odgłosów i medytował: „Ile też przeżyłem nalotów? Dwadzieścia? Trzydzieści? Oczywiście, nie byłem wybranym, upatrzonym celem, ale trzydzieści razy lotnictwo hitlerowskie próbowało mnie zabić i nic z tego nie wyszło”.

Potem zaczął się bawić marzeniem o niezbyt ciężkiej ranie. Śliczna ośmiocalowa szrama w mięśniach nogi... Może na dokładkę jakieś takie pęknięcie kości podudzia. Oto z bohaterską miną wędruje peronem Grand Central Station w Nowym Jorku. Ma wszystko, czego potrzeba: kule pod pachami, Order Purpurowego Serca na piersi, papiery demobilizacyjne w kieszeni...

Drgnął lekko pod kocami i worek przesunął się miękkim, niemal ludzkim ruchem. Michael poczuł się prawie tak, jak gdyby leżała na nim kobieta. Nagle zapragnął kobiety - boleśnie, rozpaczliwie. Opadły go wspomnienia wszystkich dziewczyn, jakie kochał, i wszystkich miejsc, gdzie się to odbywało. Pierwsza była Louise. Miała szesnaście lat, ale dobrze wiedziała, czego chce. Jej pokój. Sobotni wieczór. Rodzice grają w brydża o trzy domy dalej. Na biurku koło łóżka książki szkolne i od początku do końca słuch wytężony, czy przypadkiem klucz nie zgrzytnie groźnie w zamku. W życiu Michaela nie brakowało kobiet noszących to imię. Znał ich dużo. Miał osobliwe szczęście do tego imienia. Początkująca gwiazdka od Warner Brothers, co z trzema koleżankami zajmowała wspólne mieszkanie w skromnej dzielnicy Hollywood. Kasjerka z restauracji przy Sześćdziesiątej Ulicy w Nowym Jorku. Wreszcie londyńska Louise i pokój oświetlony podczas nalotów gorącą,

szkarłatną luną piecyka elektrycznego. W tej chwili, przewracając się z boku na bok na twardej ziemi, kochał wszystkie Louise, wszystkie Mary, wszystkie Margaret. Przypominał sobie ich śmiech, ich gładką skórę na łopatkach i udach, słowa mówione w miłosnym uścisku.

Potem zaczął wspominać liczne kobiety, z których zrezygnował z takich lub innych względów, chociaż mógł je mieć niewątpliwie. Dziesięć lat temu Helen, wysoka blondynka, trącała go kolanem pod restauracyjnym stołem i szeptała kusząco, kiedy jej mąż odszedł po cygara. Ale Michael przyjaźnił się na uniwersytecie z mężem Helen, uległ więc szlachetnemu porywowi i wycofał się zgorszony. Teraz myślał o pulchnej jasnowłosej żonie przyjaciela i wił się w ciemnościach. Innym razem Florence przyszła do pana Whitacre'a z listem polecającym od jego matki, ponieważ pragnęła wstąpić do teatru. Była bardzo młoda i naiwnie wyzywająca. Kiedy przekonał się, że Florence jest dziewicą, osądził sentymentalnie, iż nie powinna oddawać się lekkomyślnie mężczyźnie, który nie kocha jej i nigdy nie pokocha. Obecnie kręcąc się pod żołnierskim workiem cierpiał na myśl o smukłej, nieśmiałej dziewczynie ze swojego rodzinnego miasta.

„Albo ta baletnica, specjalistka od tańców nowoczesnych, żona pianisty. Na zebraniach towarzyskich przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy udawała zalaną i bezczelnie na mnie leciała. Gdybym nie był wtedy zajęty nauczycielką z New Rochelle... Albo młoda osóbką z Louisiany. Miała trzech braci, chłopów atletycznej budowy i - co tu ukrywać - stchórzyłem przed nimi...

Albo nieznajoma, co w zimowy wieczór zrobiła takie oko na Jedenastej Ulicy. Albo ta młoda biodrzasta pielęgniarka z Halifaxu, kiedy to mój brat leżał w szpitalu ze złamaną nogą..."

Albo, albo, albo...

Michael z rozpaczą myślał o pięknych ciałach ofiarowanych mu i lekceważąco odrzuconych. Zgrzytał zębami pod wilgotnym brezentem i przeklinał szaleńczą wybredność minionych dni. „Idioto! - wymyślał sobie. - Kretynie! Głupi, pompatyczny ośle!"

Były również dziewczyny, z którymi raz poszedł do łóżka i na tym poprzestał. Katherine, Rachel, Faith, Elisabeth... Tyle cennych, uroczych godzin zmarnowanych lekkomyślnie, niepowrotnie! Whitacre jęknął boleśnie i z szaleńczą złością wpił palce w żołnierski worek.

„Mimo wszystko - zaczął pocieszać się wreszcie - wykorzystałem sporo okazji, a prawdę mówiąc, odtrąciłem niewiele chętnych pań. Czasami wstyd mi, kiedy spoglądam wstecz pod tym kątem. Wstyd mi, bo było ich tyle. Ale zadowolony jestem, że nie krępowałem się wtedy i skrupuły nie wchodziły mi w drogę. Jednakże po powrocie, jeżeli w ogóle wrócę, muszę się zmienić. Tamta część życia jest za mną! Teraz trzeba mi uczciwego, długotrwałego związku opartego na wzajemnym zaufaniu i wierności. Margaret! Tak, Margaret...”.

Od dawna unikał obrazu Margaret, lecz teraz w wilgotnej, zimnej norze, pod deszczem szrapnelowych odłamków, mógł myśleć tylko o niej.

„Jutro - postanowił - jutro muszę napisać. Słowo daję! Nie mam nawet pojęcia, co ona teraz robi. Ożenię się z nią, jak tylko wrócę”.

Uwierzył w jednej chwili, że panna Freemantle zachowa uczucia dla niego, że pobiorą się, wynajmą słoneczny dom za miastem, narobią dzieci, a on będzie pracował ciężko i na zawsze pożegna dawny, hulaszczy tryb życia. Może powinien rzucić teatr? W tej dziedzinie nie zbuduje zapewne nic wielkiego, jeżeli dotychczas nie zbudował. Może zajmie się polityką? Może objawi talent w tym kierunku? Byłe robić coś rozsądnego, celowego, z pożytkiem dla siebie, dla pechowców, co padną tej nocy na froncie, dla zgrzybiałych bab i dziadów z kościoła w Caen, dla zawiedzionego Kanadyjczyka z Toronto i wąsatego kapitana, który maszerując za kobziarzem ryknął tubalnie: „Pogoda dopisuje!”, i małej Francuzki proszącej przez pomyłkę o sardynki... Może da się stworzyć świat, w którym śmierć nie będzie najpospolitszym wydarzeniem, gdzie zniknie życie pośród rosnących wciąż cmentarzy, a ostatnie słowo nie przypadnie w udziale Urzędowi Opieki nad Grobami Wojennymi.

Jeżeli jednak chcę zdobyć na przyszłość prawo głosu, muszę na nie zapracować. Nie wolno przeżyć wojny jako kierowca pułkownika z Administracji Wojskowej. Tylko ludzie, co wrócą ze straszliwego, zawrotnego wiru walk frontowych, będą mogli mówić autorytatywnym tonem, ze szczerym przekonaniem, że naprawdę zapłacili za swe poglądy, nabyli je na własność raz na zawsze... Jutro - myślał Michael zapadając w drzemkę - jutro muszę poprosić tego Pavone o przeniesienie. I koniecznie trzeba napisać do Margaret... Niech wie o wszystkim... Niech się przygotuje...”.

Artyleria ucichła. Nieprzyjacielskie maszyny odleciały za linię frontu. Michael zepchnął z siebie worek, a hełm odłożył na miejsce. „Dobry Boże! - westchnął. - Ach, dobry Boże! Jak długo to potrwa?”.

Kolega, którego miał zmienić, wsunął głowę pod osłaniającą dół płachtę namiotową i pociągnął Michaela za palec od nogi.

- Wstawaj, Whitacre! Pora na spacer.

- Dobrze... Dobrze...

Michael odrzucił koce, wzdrygnął się i szybko zasznurował trzewiki. Potem naciągnął bluzę, sięgnął po pistolet maszynowy i dygocąc z chłodu wyszedł w ciemną noc. Było pochmurno. Siekła gęsta mżawka. Michael dobył spod namiotu i włożył płaszcz nieprzemakalny.

- Jestem. Idź spać - powiedział do swojego poprzednika, który stał oparty o dżipa i gawędził z żołnierzem pełniącym już służbę od godziny.

Z kolei Michael zajął miejsce obok drugiego wartownika i oparł się o bok samochodu. Trząśnięcie nerwowo, kłął deszcz, który ciekł mu za kołnierz i spływał po twarzy, i patrząc w wilgotny mrok widział wszystkie kobiety, o których myślał podczas nalotu. Wspomnił również Margaret. Próbował układać list do niej. Będzie to list wzruszający, tkliwy, serdeczny, szczery, pełen miłości. Musi przekonać Peggy, że oni dwoje są sobie niezbędni! Musi skłonić ją, by czekała na powrót kochanka do żalosnego, pogrążonego w chaosie świata powojennej Ameryki.

- Hej, Whitacre! Masz coś do picia? - zagadnął szeregowiec Leroy Keane, zmarznięty i przemokły od godziny.

- Niestety, nie - burknął Michael odsuwając się trochę.

Nie lubił Keane'a, skąpca i kłótnika, który na dobitkę miał opinię towarzysza przynoszącego pecha. Kiedy pierwszy raz wyjechał z obozu w Normandii, dżip został ostrzelany przez lotnika. Było dwóch rannych i zabity. Jednemu Keane'owi nie się nie stało.

- A nie masz choć aspiryny? - podjął natręt. - Łeb pęka mi z bólu.

- Poczekaj chwilkę.

Whitacre wrócił do swojego legowiska, przyniósł blaszaną rurkę z aspiryną i wręczył ją koledze, ten zaś wysypał na rękę i wrzucił do ust sześć pastylek. Michael patrząc na to poczuł suchą gorycz na języku.

- Nie popijasz wodą? - zapytał.

- Po co? - Keane wzruszył ramionami.

Był to rosły, grubokościsty mężczyzna po trzydziestce. Udawał wielkiego zucha, by podtrzymać chwałę rodziny, gdyż jego starszy brat brał udział w poprzedniej wojnie i został odznaczony Medalem Kongresu.

- Piekielny ból głowy - powiedział Keane zwracając rurkę. - Naturalnie z uporczywego zaparcia. Od pięciu dni nie miałem stolca.

Michael uśmiechnął się. Nie słyszał tego wyrażenia od dnia przybycia do Fort Dix. Mijając rząd dołów osłoniętych płachtami namiotowymi odszedł powoli w kierunku żywoplotu. Chciał odczepić się od natręta, ale ciężkie szuranie nóg w trawie powiedziało mu rychło, że żywił płonną nadzieję.

- Za młodu miałem strusi żołądek - mruknął posepnie Keane. - Ale cóż, zachciało mi się małżeństwa.

Michael nie podjął tematu. Bez słowa zawrócili koło oficerskiej latryny i szli własnym śladem.

- Żona spętała mi ręce i nogi - zaczął znów Keane. - Naturalnie uparła się, by zaraz mieć trójkę dzieci. Nie uwierzysz, Whitacre, że baba tak spragniona dzieci może być zimna jak lód. A moja żona jest zimna jak lód. Nie cierpi, jak się do niej przysuwam. No i dostałem zatwardzenia w sześć tygodni po ślubie. Od tego czasu ani przez dzień nie byłem zdrow. Żonaty jesteś, Whitacre?

- Rozwiedziony.

- Oj, gdyby mnie było stać, na pewno bym się rozwiódł. Przez tę cholereę zmarnowałem życie. Chciałem zostać pisarzem. Dużo znasz pisarzy, Whitacre?

- Niewielu.

- Ale żaden nie ma trojga bębnow, co? W tym sedno sprawy! Od samego początku złapała mnie w sidła. A jak wojna wybuchła, nie pozwalała mi wstąpić do wojska. Miałem piekielną robotę, zanim ją przekonałem. Rozumiesz, Whitacre, człowiek z takiej rodziny jak moja, z tradycjami starszego brata... Opowiadałem ci kiedy, jak mój brat zdobył medal?

- Opowiadałeś.

- Jednego dnia zabił jedenastu Niemców. Jedenastu! Rozumiesz? - Głos Keane'a zadźwięczał tonem podziwu i zawiści. - Miałem zamiar pójść do spadochroniarzy, ale żona dostała ataku histerycznego. Wszystko pasuje do siebie. Jest zimna

jak lód, nie szanuje tradycji, boi się, histeryzuje. No i na co teraz mogę liczyć? Pavone mnie nie znosi. Nigdy z nim nie wyjeżdżam. Byliście dziś na froncie, co?

- Aha - potwierdził Michael.

- A wiesz, co ja robiłem? - zapytał z goryczą brat bohatera odznaczonego Medalem Kongresu. - Siedziałem w obozie i wystukiwałem na maszynie rozmaite papierki. Oryginały z czterema kopiami, cholera! Wnioski awansowe, rozkazy wyjazdu, karty szpitalne. Jak Boga jedyne go kocham, cieszę się, że mój brat tego nie doczekał.

Leniwie przechadzali się pod ulewnym deszczem trzymając pistolety lufą ku ziemi, aby chronić je przed zamoknięciem. Krople wody gęsto kapały z hełmów.

- Muszę przyznać się do czegoś - podjął Keane. - Pamiętasz? Dwa tygodnie temu Niemcy omal nie przerwali frontu. Krążyły pogłoski, że my wejdziemy w skład głównej linii obrony. Wiesz, Whitacre, modliłem się wtedy, żeby Szwabom dopisało szczęście. Modliłem się, jak Boga jedyne go kocham! Przynajmniej wzięlibyśmy udział w prawdziwej bitwie.

- Okropny z ciebie dureń - wtrącił Michael, lecz Keane puścił mimo uszu tę uwagę.

- Mógłbym zostać wielkim żołnierzem - ciągnął przerywanym czkawką, ochrypłym głosem. - Bohaterem jak mój brat. Wiem na pewno! Byliśmy rodzonymi braćmi, chociaż on miał dwadzieścia lat więcej. Pavone dobrze zdaje sobie z tego sprawę i naumyślnie robi małe złośliwości. Każe mi siedzieć na tyłku przy maszynie do pisania, a innych bierze z sobą.

- Posłuchaj, ośle! - syknął Whitacre. - Kulka w łeb zrobiłaby ci diabelnie dobrze.

- Pewnie, że dobrze - odparł sucho Keane. - Co mi tam kulka! Jeżeli zginę, nie przekazuj nikomu moich ostatnich słów.

Michael chciał zobaczyć wyraz twarzy towarzysza, ale w ciemności było to niemożliwe. Nagle ogarnęła go fala współczucia dla biedaka dręczzonego zaparciem, opętanego przez brata bohatera i zimną jak lód żonę.

- Szkoda, że nie poszedłem do szkoły oficerskiej - gadał Keane.

- Byłby ze mnie wspaniały dowódca. Do tej pory miałbym własną kompanię i co najmniej Srebrną Gwiazdę. Mogę ręczyć! Chyba znam samego siebie? Wiem, że byłbym walecznym oficerem.

Głos wezbrany złością i szaleńczą pasją chrząkał monotonicznie pod ociekającymi deszczem drzewami. Po ostatnim zdaniu Michael nie mógł powstrzymać uśmiechu. „Waleczny” to przymiotnik niewłaściwy w tej wojnie. Posłużyć się nim z przekonaniem, z wiarą w jego znaczenie mógł jedynie człowiek pokroju Keane’a.

- Byłbym walecznym oficerem - powtórzył z mocą brata bohatera.

- Nauczyłbym żonę rozumu. Wyobraź sobie, przyjeżdżam do Londynu z baretkami na piersiach i biorę pod siebie baby. Która w łapy wpadnie! Nigdy jakoś nie miałem szczęścia w Londynie. Co chcesz? Szeregowiec!

Michael wzruszył ramionami na myśl o licznych szeregowcach, co doskonale sobie radzili z Angielkami. Dobrze wiedział, że Kean mógłby przyjechać dokądkolwiek, obwieszony wszystkimi baretkami i gwiazdami świata, a mimo to znajdowałby zimne jak lód kobiety w każdym barze i w każdej sypialni.

- Moja żona czuła, co w trawie piszczy - ciągnął Keane tonem skargi. - Dlatego właśnie namówiła mnie, żeby nie starać się o przyjęcie do szkoły oficerskiej. Wszystko z góry przewidziała. A ja zorientowałem się dopiero w Anglii, jaką zrobiła mi krzywdę. I co? Było za późno.

Michael zaczynał bawić się złośliwie kosztem człapiącego obok kolegi. Był mu wdzięczny za rozpraszanie myśli, odwracanie uwagi od własnych bolesnych problemów.

- Jak twoja żona wygląda? - zapytał podchwytliwie.

- Jutro pokażę ci fotografię. Przystojna. Zbudowana pierwsza klasa. Robi wrażenie kobiety najbardziej uczuciowej pod słońcem. Przy ludziach zawsze ożywiona, roześmiana. A niech się drzwi zamkną, niech zostaniemy sami, zaraz zmienia się w lodowiec. Nabierają nas baby. - Płaczliwy głos skarżył się w wilgotnym mroku. - Nabierają jak durni, zanim zdążymy zrozumieć, co się dzieje. I jeszcze jedno - wylewał ostatnie zwierzenia. - I jeszcze jedno, Whitacre. Ona zabiera mi całą forszę. Rozumiesz? To okropne. Siedzę tutaj beczynnie. Wspominam, ile złego mi narobiła, i... - głos mu się załamał - ...i bliski jestem szaleństwa. W boju mógłbym zapomnieć. Słuchaj, Whitacre. Ty masz fory. Pavone cię lubi. Pogadaj z nim o mnie. Dobrze?

- Co chcesz, żebyś mi powiedział?

- Albo niech mnie przeniesie do piechoty...

„Ten również - pomyślał Michael. - I to dla jakich powodów!”.

- ... albo bierze ze sobą na wyjazdy. Potrzeba mu właśnie takiego jak ja gościa. Nie boję się śmierci. Nerwy mam stalowe. Widzisz, kiedy lotnik zaczął walić do naszego dżipa i koledzy dostawali jeden po drugim, patrzyłem na nich tak chłodno, jak gdybym siedział w kinie i oglądał to wszystko na ekranie. Takiego właśnie gościa potrzebuje Pavone, co?

„Wątpię” - pomyślał Whitacre, ale nic nie powiedział.

- Pogadasz z nim? - nalegał Keane błagalnie. - Pogadasz, prawda? Ile razy sam zaczynam, Pavone przerywa mi w pół słowa. „Keane! Lista żołdu gotowa?” - pyta albo coś w ten deseń. I drań śmieje się. Ze mnie! - Głos Keane'a dźwięczał nutą nienawiści. - Przewrotną rozkosz sprawia mu myśl, że z jego rozkazu brat Gordona Keane'a siedzi w strefie etapów i na maszynie wypisuje formularze. Whitacre! Musisz z nim pogadać. Jak Boga jedyne go kocham, wojna się skończy, a ja nie będę w bitwie, jeżeli nikt się za mną nie wstawi.

- Zrobione. Pogadam z nim o tobie - zgodził się Michael i dorzucił szyderczo, dlatego zapewne, że Keane zachęcał do szyderstw i złośliwości każdego, z kim rozmawiał. - Ale mam w Bogu nadzieję, że jak zaczniesz wojować, nie trafię nigdy blisko ciebie.

- Dziękuję ci, Whitacre! - wybuchnął gorąco brat bohatera. - Stokrotnie dziękuję! Jak Boga jedyne go kocham, złoty z ciebie chłop, że zgodziłeś się pogadać o mnie z pułkownikiem. Nie zapomnę ci tego, Whitacre. Do śmierci nie zapomnę.

Michael przyspieszył kroku, a Keane zrozumiał to widać należycie, gdyż przez pewien czas trzymał się z dala i milczał. Ale pod koniec godziny, tuż przed swoją zmianą, dopędził Michaela.

- Chyba jutro zgłoszę się do lekarza i poproszę o coś na przeczyszczenie - oznajmił, jak gdyby przez długi czas rozmyślał nad tą decyzją. - Widzisz, jeden porządny stolec może odmienić wszystko na lepsze i zrobić ze mnie całkiem innego człowieka.

- Ze szczerego serca życzę ci powodzenia - odrzekł Whitacre z powagą.

- Dziękuję. Będziesz pamiętał o rozmowie z pułkownikiem, co?

- Będę. Wysunę propozycję, żebyś skoczył ze spadochronem na kwaterę główną generała Rommła.

- Dla ciebie to zabawne - warknął urażony Keane. - Nic dziwnego. Ale gdybyś pochodził z takiej rodziny jak moja, z takimi tradycjami...

- Pogadam z pułkownikiem - przerwał mu Michael. - A teraz obudź Stellevato i marsz pod koce. Zobaczymy się jutro rano.

- Rozmowa z takim jak ty człowiekiem to przyjemność i wielka ulga w ciężkim położeniu. Dziękuję, Whitacre. Jeszcze raz dziękuję - powiedział brat przedwcześnie zgasłego bohatera odznaczonego Medalem Kongresu i ciężkim krokiem odszedł wzdłuż linii indywidualnych namiotów, przy której końcu biwakował szeregowiec Stellevato.

Stellevato, niski, drobny Włoch, miał dziewiętnaście lat i chłopięcą twarz, ciemną i miękką jak pluszowe pokrycie sofy. Pochodził z Bostonu i mówiąc posługiwał się osobliwą mieszaniną przeciągłych romańskich samogłosek ze zgrzytliwym żargonem rozpowszechnionym w dzielnicach nad rzeką Charles. W cywilu trudnił się rozwożeniem lodu. Na posterunku wartowniczym stał zawsze oparty o maskę samochodu i nic nie mogło go poruszyć z miejsca. W Stanach odbywał służbę w piechocie, nabrał więc takiego wstrętu do maszerowania, że obecnie wsiadał do dżipa nawet po to, by odwiedzić latrynę odległą o pięćdziesiąt jardów. W Anglii stoczył zaciętą, bohaterską bitwę ze Służbą Zdrowia i przekonał ostatecznie władze wojskowe, iż ma płaską stopę, wobec czego nie nadaje się na linię. Przydział w charakterze kierowcy do pułkownika Pavone uważał za niepośledni triumf wojenny, ważniejszy niż wszystkie inne wydarzenia po ataku na Pearl Harbor.

Michael bardzo lubił tego chłopca, kiedy więc razem odbywali wartę, tkwili przez cały czas koło dżipa, palili papierosa po papierosie i wymieniali serdeczne zwierzenia. Jeden wygrzebywał z pamięci przypadkowe spotkania z gwiazdami filmowymi, które młody Włoch wielbił nabożnie. Drugi opisywał wyczerpująco rozwożenie lodu w Bostonie oraz spokojny żywot rodziny Stellevato - ojca, matki i trzech synów - w mieszkaniu przy Salem Street.

- Właśnie śniło mi się, że jestem w Stanach, jak mnie obudził ten skurwysyn Keane - rozpoczął Stellevato.

Stał mały, krzywy, otulony w płaszcz nieprzemakalny bez jednego guzika. Z bronią niedbale przewieszoną przez ramię wyglądał bardzo nie po wojskowemu.

- Z tym Keane'em coś nie tego. Przyłazi, ciągnie mnie za nogi jak glina, co spędza włóczęgę z ławki parku i robi piekielny harmider. Drze się, jakby chciał obudzić całą armię. „Wstawaj, chłopcze! - woła. - Leje jak z cebra. Ale trudno, musisz się trochę przejść. Jazda! Wstawaj! Wychodź na zimny, cholernie zimny deszcz”. Po co mi to mówi? Przecież i tak zobaczę, że pada. Ale ten drań lubi robić ludziom przykrości. No i sen o Stanach... Szkoda, że przerwał się w połowie... - Chłopiec mówił teraz tonem tkliwej zadumy. - Jechałem ciężarówką z moim starym. Był słoneczny letni dzień. Stary siedział koło mnie. Drzemał i kopał takie krótkie, czarne cygara. Nazywają się „Italo Balbo”. Znasz je pewnie?

- Znam - odpowiedział Whitacre. - Pięć sztuk za dziesięć centów.

- Aha, Italo Balbo latał dokądś samolotem z Włoch, bardzo dawno. Włosi uważają go za wielkiego bohatera i na jego cześć nazwali cygara.

- Słyszałem o nim - wtrącił Michael. - Zginął w Afryce.

- Naprawdę? Trzeba o tym napisać staremu. On nie umie czytać, ale Angelina, moja narzeczona, przychodzi i czyta rodzicom listy. No, więc mój stary kopci cygaro i drzemie. - Chłopiec wrócił znów do snu o letnim dniu w Bostonie. - Jedziemy bardzo wolno, bo musimy przystawać przed każdym domem. Stary otwiera oczy i mówi: „Słuchaj, Nikki, zanieś dziś pani Schwartz lodu za dwadzieścia pięć centów, ale powiedz, że musi bulić gotówką”. Słyszałem jego głos tak wyraźnie, jakbym naprawdę siedział za kierownicą. - Stellevato westchnął ciężko. - No więc złażę z wozu i biorę lód, i idę na piętro do mieszkania pani Schwartz, a stary krzyczy za mną: „Hej, Nikki! A wracaj zaraz! Nie bałamuć u tej pani Schwartz!”. Zawsze tak na mnie wrzeszczał, ale jak się rozespał, mogłem siedzieć na górze, ile chciałem. I tak nic nie wiedział. Pani Schwartz otwiera drzwi... Aha! W naszej dzielnicy była rozmaita klientela: Włosi, Irlandczycy, Polacy, Żydzi. Wszyscy bardzo mnie lubili. Nigdy byś nie uwierzył, ile whisky i kawowych biszkoptów, i rosółu z makaronem opychałem na trasie w dzień roboczy. - Westchnął znowu. - No więc drzwi otwiera pani Schwartz, ładna tłusta blondyna. Klepie mnie po gębie i mówi: „Gorąco dziś, Nikki. Wejdz. Dostaniesz szklankę piwa”. A ja na to: „Ojciec czeka na ulicy i jakoś dziś nie śpi”. Na to ona daje mi dwadzieścia pięć centów i każe przyjść o czwartej po południu. Zeszedłem do starego, a on robi złą minę i gada: „Nikki, musisz się nareszcie zdecydować. Jesteś

uczciwym kupcem czy zarodowym buhajem na farmie?". Ale jak zobaczył dwadzieścia pięć centów, roześmiał się i woła: „Rób, co chcesz, byleś przynosił forszę!”. A potem tak się jakoś stało, że samochód był pełny. Cała rodzina i moja narzeczona, Angelina, i jej matka... Wracaliśmy z plaży do domu, jak często w niedzielę. Trzymałem Angelinę za rękę, bo ona nigdy nie pozwalała na nic więcej. Mamy się pobrać, rozumiesz? Z jej matką inna sprawa... I znów się zmieniło. Wszyscy siedzimy dokoła stołu. Wszyscy! I ten brat, co jest w Guadalcanal, i drugi z Islandii. Stary nalewa z flaszki wino domowej roboty, a stara wnosi wielki półmisek *spaghetti*... I wtedy właśnie ten skurwysyn Keane pociągnął mnie za nogi... - Umilkł na chwilę. - Słowo daję, chciałbym doczekać końca tego snu.

Whitacre milczał taktownie, bo zorientował się, że chłopiec płacze. - Mieliliśmy dwie ciężarówki General Motors, żółto malowane - podjął Stellevato głosem wezbranym tęsknotą do kanarkowych samochodów ojca, ulic bostońskich, klimatu Massachusetts, tłustego ciała pani Schwartz, dotknięcia dłoni Angeliny, wina domowej roboty i braci rozprawiających nad niedzielnym półmiskiem *spaghetti*. - Firma się rozwijała. Kiedy stary przyjechał z Włoch i zaczynał interes, kupił osiemnastoletnią szkapę i używany wózek. A przed wojną mieliśmy już dwa samochody i myśleliśmy, żeby kupić trzeci i donając robotnika. Potem mnie i braci wzięli do wojska, musieliśmy więc sprzedać ciężarówki, a stary znów kupił konia, bo nie umie czytać ani pisać i nigdy by się nie nauczył prowadzić samochodu. Angelina pisze, że stary pokochał swojego konia. Jest srokaty i bardzo młody. Ma dopiero siedem lat. Ale zawsze to nie wóz General Motors. Naprawdę świetnie nam się wiodło. Na trasie miałem czternaście bab, które mogłem odwiedzać o każdej porze między dziewiątą rano a czwartą po południu. Trzymam zakład, Mike - głos chłopca zadźwięczał nutą młodzieńczej dumy - że nawet w Hollywood nie miałeś nigdy nic podobnego.

- Naturalnie, Nikki - przyznał poważnie Michael. - Nawet w Hollywood nie miałem nigdy nic podobnego.

- Jak wrócę, wszystko będzie inaczej - podjął trzeźwo Stellevato. - Ożenię się z Angeliną albo z kim innym, jeżeli Angelina puści mnie w trąbę. Będę miał dzieci i tylko jedną babę, a jak złapię tę cholereę na zdradzie, zadżgam widłami od lodu, i tyle!

„Trzeba napisać o tym do Margaret - pomyślał Michael. - Czternaście gotowych na wszystko bab na trasie i marzenie o jednej wiernej miłości w strudżonym wojną sercu”.

Opodal zaszeleściła płachta namiotowa. Michael zobaczył niewyraźną sylwetkę.

- Stój! Kto idzie? - zawołał.

- Pavone - odpowiedział głos z ciemności i dodał, jak gdyby pod wpływem nagłej refleksji: - Pułkownik Pavone. Kto ma wartę? - zapytał zbliżając się do Michaela i młodego Włocha.

- Whitacre. Stellevato.

- Jak się masz, Nikki? Dobrze ci się wiedzie?

- Pierwsza klasa, panie pułkowniku.

Głos chłopca był ciepły, życzliwy. Stellevato uwielbiał pułkownika, który uważał go bardziej za maskotkę niż żołnierza i od czasu do czasu opowiadał po włosku anegdoty o „starym kraju” i nieprzyzwoite kawały.

- A ty, Whitacre, jak się czujesz?

- Doskonale.

W deszczu i mroku zapanowała przyjacielska swoboda, niemożliwa przy świetle dnia między pułkownikiem a szeregowcami.

- To dobrze - powiedział Pavone i wsparł się o maskę dzipa obok wartowników. Zapalił papierosa nie osłaniając płomyka zapalki. W nagłym błysku ciemne, krzaczaste brwi zarysowały się groteskowo.

- Przyszedł mnie pan zmienić, panie pułkowniku? - odezwał się Stellevato.

- Nie, Nikki. I tak za dużo sypiasz. Jeżeli będziesz ciągle chrapał, nie dojdiesz do niczego.

- Do niczego nie chcę dojść. Chcę tylko wrócić do Bostonu.

- Zrozumiałe - wtrącił Michael. - I ja nie marzyłbym o niczym innym, gdybym miał taką trasę.

- Aha! Nikki zdążył ci już nałgać o tych czternastu babach - roześmiał się oficer.

- Przysięgam Bogu! - wybuchnął chłopiec.

- Jak żyję, nie spotkałem Włocha, który mówi prawdę o kobietach - powiedział Pavone. - Moim zdaniem, Nikki jest dziewicą.

- Mogę pokazać listy - oburzył się Stellevato.

- Panie pułkowniku! - Ciemność i żartobliwa atmosfera ośmieliły Michaela. - Mógłbym prosić o chwilę rozmowy? Oczywiście, jeżeli nie pilno panu pod koce.

- Nie mogę spać - odparł Pavone. - Naturalnie, z chęcią... Przejdźmy się trochę. A ty, Nikki, uważaj, żeby cię nie zaskoczyli spadochroniarze albo zazdrośni mężowie.

Lekko wziął Michaela pod rękę i oddalając się szepnął poufale:

- Wiesz, Mike, jestem przekonany, że Nikki wcale nie bluguje o swojej trasie. - Roześmiał się i dodał tonem bardziej serio:

- A tobie o co chodzi?

- Chciałbym prosić, panie pułkowniku... - zająknął się i pomyślał: „Psiakrew! Ciągłe trzeba o czymś decydować. Na każdym kroku”.

- Chciałbym prosić, panie pułkowniku, o przeniesienie do oddziału liniowego.

Kilkanaście kroków przeszli bez słowa.

- Co ci dolega? - zapytał oficer. - Melancholia?

- Nie wiem. Może... Ten kościół dzisiaj, Kanadyjczycy. Przypomniało mi się, po co jestem na wojnie.

- A więc wiesz, po co jesteś na wojnie. - Pavone roześmiał się sucho. - Szczęśliwy człowiek! - Umilkł na chwilę. - Kiedy byłem w wieku Nikkiego, kobieta zrobiła mi najgorszą krzywdę w życiu.

Michael przygryzł wargi. Był zły, że przełożony tak zlekceważył jego prośbę.

- Podczas nalotu leżałem w namiocie i raz jeszcze przypomniałem sobie wszystko - podjął Pavone. - Dlatego właśnie nie mogłem spać. Miałem dziewiętnaście lat i prowadziłem teatrzyk rewiowy w Nowym Jorku. Zarabiałem trzysta dolarów tygodniowo. W mieszkaniu przy Central Park South utrzymywałem dziewczynę. Piękną dziewczynę... - Miękkim tonem głosu wyraził żal, tęsknotę i podziw dla urody sprzed wielu lat. - Szalałem za nią. Pochłaniała całe moje dochody i zaprzętała mi głowę jak dzień długi. Kiedy facet ma dziewiętnaście lat i taką gębę jak ja, miłość łatwo przesłania zdrowy rozsądek. Nie widzi się wtedy najprostszyc rzeczy, które każdy windziarz i każda kolorowa pokojówka zrozumie, jak raz spojrzy na taką parę. Moja dziewczyna miała przyjaciółkę, rówieśnicę z Minneapolis. Pracowały w jednym nocnym klubie. Prawie co wieczór zabierałem je obie na kolację. Czułem się w tym towarzystwie całkiem dojrzałym mężczyzną... ba! wielkim człowiekiem. Śmiały się z

moich dowcipów, obsypywały dobrze pomyślanymi tanimi prezencikami... Kiwały nade mną głowami, ubolewały, że za tego piję i palę zbyt dużo cygar. Przy takich dwóch kobietach młokos może się czuć ważniejszy niż prezydent Stanów, toteż mając dziewiętnaście lat sądziłem, że jestem najbardziej udanym typem, jaki od wieków pojawił się w sąsiedztwie wyspy Manhattan. Ale jednego popołudnia wcześniej wróciłem do domu i obie dziwki przydybałem w łóżku. - Przystanął, zamyślił się, pogładził plandekę na wozie półciężarowym zaparkowanym pod drzewem. - Do śmierci nie zapomnę, jak spojrzały na mnie, kiedy wszedłem: zimno, martwo, pogardliwie... Potem moja dziewczyna zachichotała. Pamiętam pierwszą myśl, która przemknęła mi przez głowę: „Kpią sobie ze mnie, bo jestem śniadym południowcem”. Rzuciłem się na nie i tłukłem, póki mi ręce nie zdrętwiały. Uciekały, wywijają się, jak mogły, ale żadna gęby nie otwarła. Nie było płaczu, krzyku, próśb. Nic!... Tylko ganiały nago po pokoju, potykały się, przewracały... Żadna słowa nie pisnęła. Wreszcie odwróciłem się i wyszedłem. Na ulicy zdawało mi się, że całe miasto wie o mnie wszystko, a ludzie szepczą: „Patrzcie! To dureń. Facet do niczego jako mężczyzna”. Nie wiedziałem, gdzie oczy podziać. Poszedłem prosto do biura Francuskich Linii Oceanicznych i kupiłem bilet na okręt „Chamlain”, który odpływał następnego dnia. Przez cały rejs byłem zalany w pestkę, a do Paryża przyjechałem z czterdziestoma dolarami przy duszy... Od lat umykam przed tym obrazem. Boże! - Podniósł wzrok ku czarnym, deszczowym chmurom. - Dwadzieścia lat! A dziś w nocy budzę się w ziemnym dole podczas nalotu i czuję, że na wspomnienie o tym rumienię się od pięt do czubka głowy. Dziękuję, Mike, żeś mnie wysłuchał cierpliwie. - Zmienił ton na szorstki. - Jest wystarczająco ciemno, a może urznąłem się na tyle, że byłem w stanie opowiedzieć tę historię. Pomogło mi niezgorzej. Teraz idę spać.

- Panie pułkowniku - bąknął Michael. - Przedstawiłem moją prośbę o...

- Jaką prośbę? - Pavone odwrócił się gwałtownie.

- O przeniesienie do linii - dokończył z uczuciem głupiego heroizmu nie na miejscu.

- I ty umykasz przed jakimś obrazem? - roześmiał się cierpko oficer.

- Nie... Nic podobnego. - Ciemność ośmielała Michaela. - Po prostu chciałbym być naprawdę przydatny i...

- Co za egotyzm! - wybuchnął pułkownik i zdziwił towarzysza nutą pogardy w głosie. - Chryste! Jak ja nie cierpię żołnierzy-intelektualistów! Taki wyobraża sobie, że

armia nie ma teraz nic do roboty. Powinna tylko kombinować, by właśnie on mógł złożyć należytą ofiarę i zaspokoić swoje parszywe, malutkie sumionko! Nie podoba się wam służba? - zapytał ostro. - Uważacie, że szoferowanie to funkcja niegodna faceta z wyższym wykształceniem? Będziecie mieli satysfakcję dopiero wtedy, jak pocisk was wybebeszy? Panie Whitacre, armii nie obchodzą wasze problemy wewnętrzne. Armia skorzysta z waszych usług, jak i kiedy uzna za stosowne. Może będziecie potrzebni na jedną minutę w ciągu czterech lat. Ale przydacie się naprawdę i na pewno. Bardzo możliwe, że nie przeżyjecie tej minuty. A tymczasem nie obnoście swego salonowego sumienia i nie naprzykrzajcie się, żebym wam podstawił krzyż, na który chcecie się wdrapać. Jestem zajęty swoim oddziałem i pracą. Nie mam czasu ani sił myśleć o ofiarnych krzyżach dla niedowarzonych szeregowców z Harvardu!

- Nie studiowałem w Harvardzie - obruszył się Michael.

- Niech szeregowiec nie zawraca mi więcej głowy przeniesieniem. Dobranoc.

- Tak jest, panie pułkowniku. Dziękuję, panie pułkowniku.

Pavone powrócił się i szurając butami po wilgotnej trawie odszedł w stronę swojego namiotu.

„Skurwysyn! - pomyślał z urazą Michael. - Jeszcze jeden dowód, że nie można ufać żadnemu oficerowi”.

Leniwie włókł się wzdłuż linii namiotów - szarych widm w wilgotnym mroku. Był smutny i zniechęcony. Każdy fragment wojny jest zawsze zupełnie inny, niż człowiek sobie wyobraża.

Whitacre zatrzymał się przy swoim dole i wyciągnął ukrytą tam butelkę calvadosu. Pociągnął długi łyk, aż źle oczyszczony alkohol zapiekł go w krtani i przełyku.

„Najprawdopodobniej zdechnę na raka dwunastnicy w szpitalu polowym pod Cherbourgiem - myślał posępnie. - Pochowają mnie obok facetów z Pierwszej Dywizji i Dwudziestej Dziewiątej, co zginęli przy szturmowaniu bunkrów i podczas walk ulicznych w średniowiecznych miastach. W niedzielę Francuzi będą odwiedzać cmentarz i składać na moim grobie kwiaty w dowód żałoby i wdzięczności”.

Jednym łykiem wypił resztę trunku i pustą flaszkę wsunął pod płachtę namiotową.

„Calvados pomaga w ucieczce - medytował żałośnie, idąc dalej wzdłuż biwaku.
- A wszyscy przed czymś uciekamy: przed lesbijkami i rodzicami włoskiego lub

żydowskiego pochodzenia, przed zimną jak lód żoną, przed bratem odznaczonym Medalem Kongresu, przed służbą w piechocie i melancholijnymi wspomnieniami, przed własnym sumieniem i zmarnotrawionym życiem. Niemcy są o pięć mil. Chętnie dowiedziałbym się czegoś o ich ucieczkach. Dwie armie splecione walką na śmierć i życie uciekają w popłochu przed obrazami z błogosławionego okresu pokoju. Mój Boże! Cudownie byłoby dzisiaj zginąć!".

Spojrzał na wstający świt różowiejący blado nad nieprzyjacielskimi liniami.

Rozdział XXX

O dziewiątej rano zaczęły nadciągać samoloty: fortece B- 17 i B- 24, mitchelle, maraudery. Przez całe życie Ackerman nie widział tylu maszyn. Wyglądało to jak plakat kaptujący ochotników do lotnictwa - masowe, sunące w doskonałym szyku dowody niespożytej energii i niewyczerpanego bogactwa przemysłu Stanów Zjednoczonych. Noe stał w schronie ziemnym, który od tygodnia zamieszkiwał z Burneckerem. Ciekawie przyglądał się eskadrom.

- Najwyższy czas! - burknął zrzędlawie Burnecker. - Zastrane lotnictwo! Mogło chyba zacząć trzy dni temu.

Noe gapił się bez słowa. Wysoko w górze czarne chmurki niemieckich szrapneli pojawiły się między lśniącymi sylwetkami. Od czasu do czasu trafione maszyny łamały doskonały szyk formacji. Niektóre zawracały i wlokąc za sobą smugę dymu zmierzały ukosem w stronę bezpiecznych pól za amerykańskimi stanowiskami. Inne buchały ogniem, dziwnie bladym na tle lazuru, i bezkształtną masą dymu i płomieni spadały z wysokości wielu tysięcy stóp. Tu i ówdzie rozkwitały spadochrony i szybując nad polem bitwy przypominały białe jedwabne parasolki, akurat stosowne w słoneczny ranek francuskiego lata.

Burnecker miał słuszość. Natarcie powinno było rozpocząć się o trzy dni wcześniej. Ale pogoda nie dopisywała. Poprzedniego dnia lotnictwo próbowało szczęścia, kiedy jednak niebo się zachmurzyło, pierwsze maszyny wróciły wyrzuciwszy bomby, a piechota utkwiała w rowach i prowizorycznych schronach ziemnych.

- No, dziś słońca starczy, żeby z trzydziestu tysięcy stóp wytłuc całą niemiecką armię - podjął Burnecker.

Rozumując teoretycznie, atak z powietrza powinien do godziny jedenastej zniszczyć lub zdezorganizować wszelki opór na przedpolu koncentracji sił lądowych. Wówczas piechota ruszy z podstawy wyjściowej i otworzy wyłom dla broni pancernej, następnie zaś dla coraz to nowych dywizji, co przenikną głęboko na tyły nieprzyjaciela. Porucznik Green, dowódca kompanii, wytłumaczył to jasno podkomendnym. Zrazu żołnierze skłonni byli do sceptycyzmu, obecnie jednak podziwiając precyzyjne działanie kolosalnej floty powietrznej musieli uwierzyć, że wszystko pójdzie gładko.

„Dobry Boże! - myślał Noe. - Czekają nas coś w rodzaju defilady”.

Od powrotu zza niemieckich linii zamykał się w sobie, milczał i podczas nielicznych dni wypoczynku czy mniej lub więcej jałowych godzin na służbie izolował się zupełnie. Zabezpieczył się przed nienawiścią Racketta i kolegów, którzy mogli podzielać sierżanckie stanowisko. Teraz przyglądał się samolotom, słuchał eksplozji bomb i w pewnym sensie był wdzięczny Rickettowi. Dzięki niemu nie odczuwał potrzeby popisywania się, okazywania męstwa, gdyż sierżant wyraził się aż nazbyt dobitnie, że nie uzna człowieka w szeregowcu Ackermanie bez względu na to, czego szeregowiec Ackerman dokona. Niech w pojedynkę zdobędzie Paryż albo w ciągu doby wymorduje całą brygadę SS - i tak nic nie pomoże.

„Teraz - postanowił Noe - wszystko mi jedno. Płynę z nurtem. Nie prędeż ani wolniej, nie lepiej ani gorzej. Inni będą szli naprzód - ja z nimi. Inni będą uciekać - ja za nimi”. Stojąc w wilgotnym dole za żywoplotem z wiecznie zielonych krzewów, nasłuchiwał ech bombardowania i skowytu przelatujących nad głową amerykańskich pocisków. Dziwnie cieszyła go własna decyzja i wewnętrzny spokój - tragiczny, osiągnięty kosztem najdroższych nadziei, niosący jednak ulgę, odprężenie i bolesną wróżbę przetrwania.

Ciekawie obserwował samoloty, lecz od czasu do czasu zerkał przez zielony gąszcz w stronę stanowisk nieprzyjaciela i mimo woli współczuł Niemcom objętym granicami wytyczonymi na mapie lotnictwa. Sam był przykuty do ziemi, miał broń, co wyrzucała dwuuncyjowy pocisk na głupie tysiąc jardów, nienawidził więc wieku władzy maszyn, anonimowych powietrznych morderców; litował się nad ludźmi skulonymi w schronach, ogłuszonymi i zabijanymi przez tony materiałów wybuchowych. Spojrzał na stojącego obok Burneckera i z wyrazu twarzy wyczytał, że podobne myśli zaprzatają głowę przyjaciela.

- Boże! - szepnął Burnecker. - Mogliby dać spokój. Starczy! Całkiem starczy. Dostyc mielonego mięsa.

Niemiecka artyleria przeciwlotnicza została już zmuszona do milczenia. Bombowce płynęły w górę bezpiecznie i spokojnie jak na manewrach.

Nagle ogłuszający świst przeszył powietrze. Gruchnęło w pobliżu. Zadygotała zielona murawa. Burnecker chwycił Noego, pociągnął na dno dołu. Skuleni pod gradem kamieni, ziemi, połamanych gałęzi, nogi mieli splątane i stykali się hełmami. Głuchli od huku bomb wybuchających jedna po drugiej.

- O, skurwysyny! Latający rzeźnicy! Skurwysyny! - powtarzał Burnecker.

Dokoła rozlegały się wrzaski i jęki rannych, lecz niepodobna było wychylić się ze schronu pod ulewą bomb. Nad głowami silniki warczały pracowicie. Maszyny sumiennie, metodycznie spełniały swoje zadanie. Były obojętne, niedosiężne. Bezpieczni w nich ludzie ufali własnemu doświadczeniu i wiedzy i na razie przynajmniej cieszyli się zapewne z wyników, jakie zdawało się im, że osiągają.

- O, skurwysyny! - klął Burnecker. - Żywa noga stąd nie wyjdzie! Gównno ich to obchodzi! I tak żyją po pańsku, mają większe gaże. O, skurwysyny!

„Ostatnia krzywda, jaką robi mi wojsko - myślał Ackerman. - Samo mnie zakatrupi. Do Niemców nie ma zaufania. Nie powierzy im tak odpowiedzialnej roboty. Byle nie donieśli Hope, jak się to stało. Niech nie wie, że Amerykanie zamordowali jej męża...”.

Burnecker urągał dalej w przerwach między eksplozjami. Głos drżał mu od nienawistnej pasji.

- Dodatek za loty! - wołał. - Byłe buc sierżantem! Byłe buc pułkownikiem! Nordenowskie urządzenia celownicze. Cholera! Cud nowoczesnej techniki. Należało się tego spodziewać. Chryste Panie! Dranie zbombardowali raz Szwajcarię. To się nazywa precyzyjne bombardowanie! Skurwysyny nie potrafią odróżnić kraju od kraju. Skąd mają wiedzieć, czy to własne wojsko, czy wrogie?

Z odległości czterech cali wrzeszczał w twarz Noego, pienił się, opryskiwał go śliną. Ale Noe wiedział, że jego przyjaciel zachowuje się jak szaleniec, aby ich obu utrzymać przy zdrowych zmysłach i ostatniej nadziei życia, aby nie dopuścić do wyjścia ze stosunkowo bezpiecznej kryjówki.

- Gównno ich to obchodzi! - wrzeszczał Burnecker. - Wszystko im jedno, kogo rąbią. Mają zrzucić tyle a tyle ton bomb. Mogą poczęstować nawet własne matki. Gównno ich to obchodzi! Jakiś cholerny nawigator zalał się w nocy i miał dziś kaca. Pilno mu było do lekarza. No i o dwie minuty za wcześnie nacisnął guzik. Tak czy inaczej odbębni lot bojowy. Jeszcze pięć i koniec zabawy. Za miesiąc będzie w Stanach... Gołymi rękami zatłukę pierwszego drania ze skrzydłami, który mi się nawinie. Przysięgam Bogu Wszechmogącemu!

Nagle, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, bombardowanie ustało. Silniki warczały w górze, lecz maszynom przekazano widać poprawki, bo przelatywały niegroźnie, szukając dalszych celów.

Burnecker dźwignął się ciężko i wysunął głowę ze schronu.

- Dobry Boże! - westchnął rozglądając się dokoła.

Noe próbował wstać również, chociaż drżał i kolana uginały się pod nim. Ale przyjaciel zepchnął go na dno dołu.

- Siedź, gdzie ci dobrze - warknął. - Łapiduchy posprzątają rannych. Gównu cię to obchodzi. Prawie sami nowi, z uzupełnień. Siedź, gdzie ci dobrze. - Trzymał Noego za kark. - Dranie na pewno wróca. Znów zaczną rzucać bomby. Nas nie złapią na otwartym polu. - Przycupnął w dole i z pasją wpił palce w ramię przyjaciela. - Noe! Trzymajmy się razem. Ty i ja. Zawsze! Przynosimy sobie szczęście. Ja będę pilnował ciebie, ty mnie. Razem nic się nam nie stanie. Cała cholerna kompania może wyzdychać, ale nie ty ani ja... My wyjdziemy... Zobaczysz... Wyjdziemy!...

Nieprzypadkiem szarpał przyjaciela. Wzrok miał błędny, usta mu dygotały. Ochryply gardłowy głos dźwięczał wiarą umacnianą stopniowo podczas przeprawy z Anglii i w obłęzonej farmie, i w słonej wodzie kanału owej nocy, kiedy utonął Cowley.

- Musisz mi przyrzec, Noe - szeptał Burnecker. - Musisz mi przyrzec, że nie pozwolimy się złamać. Nigdy! Chociażby dranie wyprawiali z nami lichy wie co! Przyrzeknij, Noe! Przyrzeknij!

Noe płakał cicho, wzruszony mityczną wiarą przyjaciela i prostym faktem, że jest mu potrzebny. Łzy spływały po jego twarzy.

- Ach, Johnny, tak! Masz rację, Johnny - wyjąkał i w jednej chwili uwierzył wraz z Burneckerem, że przetrwają wszystko, jeżeli mocno będą trzymać się razem.

W dwadzieścia minut później ci z kompanii, którzy ocaleli, wyszli ze schronów i posunęli się na stanowiska opuszczone przed rozpoczęciem natarcia w obawie przed możliwymi pomyłkami lotnictwa. Następnie przedarli się za żywopłot i ruszyli zrytym bombami pastwiskiem w stronę nieprzyjacielskiego terenu, gdzie (rozumując teoretycznie) Niemcy powinni być wybici lub całkowicie zdeorganizowani.

Rzadka tyraliera poruszała się niechętnie. Żołnierze szli wolno po wydeptanej trawie. Karabiny i pistolety maszynowe trzymali w pogotowiu. „Czy to cała kompania? - myślał Noe przykro zaskoczony. - Tylko tyłu nas zostało? Gdzie świeże uzupełnienia? Dostaliśmy je dopiero tydzień temu. Nie oddały jeszcze strzału”.

Na sąsiednim polu druga tyraliera wlokła się równie ospale w kierunku tego samego rowu z wysokim nasypem, który wyraźną ciemną krechę przecinał zielony krajobraz. Artyleria strzelała nad głowami, lecz broni małokalibrowej nie było słychać.

Samoloty wróciły do Anglii zostawiwszy leje po bombach i pasma lśniącej lamety rzućane dla zmylenia nieprzyjacielskiego radaru. Słoneczne promienie załamywały się w srebrzystych zwojach rozsianych gęsto pośród ciemnej trawy. Nagłe błyski przykuwały raz po raz wzrok Noego, który starał się trzymać jak najbliżej Burneckera.

Wędrówka pod osłonę zbawczego nasypu zajęła sporo czasu, lecz dobiegła wreszcie końca. Samorzutnie, bez rozkazu, żołnierze „padli w płytkim rowie i chociaż nikt ich dotąd nie ostrzelał, ukryli się za stromym, porośłym trawą stokiem. Leżeli bez ruchu, utrudzeni, jak gdyby zdobyli cel natarcia po wielogodzinnych zapamiętałych walkach.

- Podnieście no dupy! Wojna jeszcze nie skończona! Ruszać się! Jazda z rowu! Żywo!

Rickett posługiwał się tym samym słownikiem i tonem, jakim zachęcał podwładnych do czyszczenia latryn w obozie na Florydzie lub do szturmowania gniazd karabinów maszynowych na wybrzeżu Normandii.

Noe i Burnecker tulili się do murawy. Chytrze nie spoglądali w stronę sierżanta. Udawali, że go nie ma w pobliżu, że w ogóle nie istnieje. Wstało trzech czy czterech „nowych”. Pobrzękując rynsztunkiem zaczęli piąć się leniwie na strome zbocze. Rickett poszedł za nimi, a kiedy stanął na wale, odwrócił się i znowu podniósł wrzask:

- Podnosić no dupy! Jazda z rowu! Podnieść dupy!

Ackerman i Burnecker dźwignęli się niechętnie i przebyli sześć stromych, śliskich stóp. Inni naśladowali ich stopniowo. Za nasypem było rozległe pole usiane trupami krów, dalej zaś żywopłot i rząd wysokich drzew. Przez chwilę stali patrząc przed siebie. „Nowi”, którzy uprzednio dali dobry przykład, pierwsi ruszyli naprzód.

Rickett stał na wale. Nadal ujadał gniewnie. Noe nienawidził go w tej chwili tak mocno i gorąco jak nigdy dotychczas. Z wysiłkiem postąpił kilka kroków.

Niespodziewanie karabiny maszynowe otwały ogień. Tysiące pocisków zachichotało wokół i ludzie zaczęli padać, nim Noe usłyszał nerwowe terkotanie długich serii.

Tyraliera zatrzymała się na moment. Żołnierze patrzyli ze zdziwieniem w stronę tajemniczego, ziejącego kulami żywopłotu.

- Naprzód! Naprzód! - Głos Ricketta wybijał się nad zgiełk. - Naprzód!

Polowa kompanii leżała już plackiem. Noe chwycił przyjaciela za ramię. Obydwaj zawrócili i zgięci w pół, skuleni przebiegli kilka jardów do nasypu. Z trudem chwytając oddech dali nurka w zieloną bezpieczną przystań. Koledzy jeden po drugim przesadzali wal i zdyszani, przerażeni, brzęcząc rymsztunkiem spadali do rowu. W górze Rickett chwiał się dziwnie, krzyczał coś, jak szaleniec wymachiwał rękami. Z szyi tryskała mu łukiem purpurowa struga. Nagle, trafiony powtórnie, schylił się i głową w dół runął na Noego opryskując mu twarz krwią. Noe cofnął się i odskoczył, chociaż Rickett obejmował go i kurczowo wpijał palec w szelki plecaka.

- O, skurwysyny! Przekłete skurwysyny! - powiedział wyraźnie ranny i rozluźniony uścisk zsunął się na dno rowu u nóg Ackermana.

- Nie żyje - oznajmił Burnecker. - Drań dograł się nareszcie.

Zsunął na bok ciało Ricketta, a Noe otarł tymczasem krew z twarzy.

Ogień ustal. Znow zapanowała cisza. Słyszać było tylko krzyki i jęki za wałem. Raz po raz ktoś wychylał głowę, aby zobaczyć, czy nie można pomóc rannym zostawionym na otwartym polu. Ale wówczas odzywały się karabiny maszynowe i z wierzchołka nasypu tryskały fontanny siecznej pociskami trawy. Nie było rady. Zdziesiątkowana, wyczerpana do cna kompania leżała beczynn timer w rowie.

- Lotnictwo, psiamać! - odezwał się Burnecker. - Wszelki opór miał być unicestwiony. Zniszczony! Zdezorganizowany. Tamci są całkiem zdezorganizowani, co? Gołymi rękami zatłukę pierwszego drania ze skrzydłami. Przysięgam Bogu!

Żołnierze leżeli cicho, oddychali coraz normalniej. Czekali, by ktoś inny zajął się jakoś dalszymi losami wojny. Niebawem jednak nadszedł porucznik Green. Noe słyszał piskliwy, dziewczęcy głos zbliżający się wzdłuż rowu.

- Tak nie można! - skrzeczał. - Musimy się ruszyć. Musimy iść naprzód. Naprzód! Naprzód! Nie można utknąć tutaj. Na lewym skrzydle pluton okrąża te piekielne kaemy. My musimy związać je od frontu. Śmiało! Powstań! Naprzód! Naprzód! Powstań!

Głos załamywał się, drgał nutą bezradności. Żołnierze nie patrzyli nawet na dowódcę. Lekceważyli jego obecność. Kryli twarze w chłodnej zielonej murawie.

Porucznik wspiał się na wał i z jego wierzchołka zaczął nawoływać, błagać, grozić. Nikt jednak nie drgnął. Noe przyglądał się ciekawie. Czekał, kiedy oficer padnie. Karabiny maszynowe zaterkotały znowu, lecz Green nie zważał na nie. Miotał się dalej i podskakując w miejscu wrzeszczał jak opętany:

- Spójrzcie! To nic trudnego! Spójrzcie! Do mnie! Naprzód! Do mnie!

Nagle dał susa z nasypu, wygrzebał się z rowu i odszedł przez pastwisko w kierunku tyłów. Wszyscy byli zadowoleni, że go nareszcie nie ma.

„Taki system będę stosował zawsze - myślał z otuchą Noe. - Co mi kto zrobi, jak się stąd nie ruszę? Postępuję tylko tak jak inni”.

Z prawej i z lewej dochodziły odgłosy zacieklej walki, lecz Noe i jego sąsiedzi nic nie widzieli i nie mogli się zorientować w rozwoju wydarzeń. W rowie było zacisznie, bezpiecznie. Niemcy nie mogli ich tam dosięgnąć, oni zaś nie mieli ochoty krzywdzić Niemców. Sytuacja zaczynała nabierać przyjemnych cech spokoju i trwałości. Aż ciepłej robiło się koło serca. W swoim czasie nieprzyjaciel wycofa się albo zostanie oskrzydłony przez jakieś oddziały. Wtedy nadejdzie pora, by wstać i ruszyć naprzód. Wtedy, ale nie wcześniej.

Burnecker wydobył i otworzył żelazną porcję.

- Paszтет cielęcy - powiedział rzeczowo, zlizując z noża pasek konserwy. - Co za szatan wymyślił to paskudztwo? - Odrzucił wzgardliwie pergaminową torebkę syntetycznego proszku cytrynowego. - Za nic! Choćbym konał z pragnienia.

Noe nie czuł chęci do jedzenia. Jak urzeczony patrzył w stronę trupa leżącego o pięć stóp. Rickett miał oczy szeroko otwarte, a na twarzy wyraz gniewu i poczucia władzy. Wielka paskudna rana rozdzierała mu szyję. Noe próbował wmówić w siebie, że cieszy go widok martwego wroga, lecz nie mógł sobie z tym poradzić. Sierżant umarł, przestał więc być brutalnym podoficerem, mordercą z zamiłowaniem, tyranem o zaciśniętych ustach pełnych zawsze przekleństw. Został jeszcze jednym poległym Amerykaninem, zgasłym przyjacielem, utraconym sojusznikiem.

Ackerman smutno pokiwał głową i odwrócił wzrok od Ricketta.

Porucznik Green nadchodził skrajem rowu, a towarzyszył mu jakiś wysoki mężczyzna. Nieznajomy szedł bardzo wolno i z zatroskaną miną przyglądał się opornym, skulonym w rowie żołnierzom.

- Boże Święty! Dwie gwiazdki! - mruknął Burnecker, kiedy oficerowie byli o kilkanaście kroków.

Noe usiadł z wrażenia. Przeżył w wojsku wiele miesięcy, lecz nigdy nie widział z tak bliska generała-majora.

- Generał Emerson - szepnął nerwowo Burnecker. - Czego tu chce, u diabła? Mógłby siedzieć w domu.

Generał skoczył zwinnie na darniowany stok i ukazując się Niemcom ruszył grzbietem wału. Szedł wolno, spokojnie przemawiał do żołnierzy, którzy tępo spoglądali nań z dołu. U pasa miał pistolet w kaburze, a pod pachą niósł krótką trzcinę.

Karabiny maszynowe zaczęły znów ujadać, ale generał nie przyspieszył kroku. Poruszał się lekko, posuwicie, jak sportowiec w doskonałej formie. Mówił płynnie do ludzi, których mijał.

„Niepodobna! - myślał Noe. - To ktoś przebrany. Green robi głupi kawał!”.

- Śmiało, chłopcy, śmiało! - brzmiał coraz bliżej głos opanowany, przyjazny, donośny. - Trudno. Musimy się ruszyć. Nie będziemy gnąć do wieczora w rowie. Trudno. Musimy się ruszyć. Trzymamy tutaj całą linię. Śmiało! Tylko do tamtych żywoplotów, chłopcy! Nie żądam wiele, prawda? No i co, synku? Nie chcesz chyba nocować za tym wałem?

Nagle Noe spostrzegł, że lewe ramię generała drgnęło, a krople krwi pociekły z rękawa. Ledwie widoczny grymas wykrzywił na moment usta. Łokieć silniej przycisnął trzcinę. Później generał szedł dalej równym, pewnym krokiem i mówił lekko zmienionym, bardziej przejmującym tonem. Niebawem przystanął nad Burneckerem i Noem.

- Jak tam, chłopcy? - zwrócił się do nich życzliwie. - Ktoś musi zacząć. Do żywoplotów niedaleko.

Ackerman nie mógł oderwać wzroku od długiej, smutnej, przystojnej twarzy, która mogłaby należeć do uczonego, intelektualisty, lekarza... Miał dziwne wrażenie, że armia oszukuje go, raz jeszcze bierze na fundusz, lecz wiedział również, że nie potrafi odmówić niczego takiemu człowiekowi. Nie byłby wówczas sobą, Noem Ackermanem. Podniósł się i w tej samej chwili poczuł, że Johnny staje za nim. Generał uśmiechnął się przelotnie, z uznaniem.

- Dobrze, chłopcy - powiedział i kilkakrotnie klepnął Noego po ramieniu.

Ackerman i Burnecker przesadzili nasyp, odbiegli piętnaście jardów i szukając osłony skryli się w leju. Noe odwrócił głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Generał stał na wale wyprostowany, obojętny na gęsty ogień. Dokoła żołnierze posuwali się przez pole krótkimi skokami.

„Generałowie - pomyślał mętnie Noe spoglądając w stronę stanowisk nieprzyjaciela. - Do dziś dnia nie wiedziałem, po co są w wojsku...". Wskoczył za przyjacielem z dołu, w chwili kiedy dwaj żołnierze dawali tam nura. Kompania lub - mówiąc ściślej - pozostałe pół kompanii szło wreszcie do natarcia.

Po kwadransie tyraliera osiągnęła linię żywoplotów, zza których tak niedawno strzelali Niemcy. Moździerze wstrzelały się tymczasem do stanowisk cekaemów i gdy zniszczyły jeden, inne wycofały się sprawnie przed nadejściem piechoty.

Ackerman padł na kolana i dysząc ciężko, oparł się o pomysłowo zamaskowane stanowisko, zniszczone teraz i rozdarte. Za workami z piaskiem był zdruzgotany karabin maszynowy i trzy niemieckie trupy. Jeden klęczał jeszcze za spandauem. Burnecker wyciągnął nogę i popchnął butem nieżywego człowieka, ten zaś zachwiał się lekko i upadł na bok. Noe odwrócił głowę, pociągnął z manierki łyk wody. Gardło miał spieczone z pragnienia. Od rana nie wystrzelił ani razu, lecz ręce i ramiona bolały go tak, jak gdyby wytrzymały setki odrzutów.

Spojrzał w przód przez gęste krzewy. Znów widział pole usiane lejami po bombach i zabitym bydłem, a o trzysta jardów dalej żywoplot, zza którego strzelały nieprzyjacielskie cekaemy. Westchnął ciężko, gdy spostrzegł, że porucznik Green nadchodzi i próbuje poderwać kompanię do natarcia. Przez chwilę zastanawiał się półprzytomnie, gdzie może być generał. Potem skoczył naprzód wraz z Burneckerem. Nim przebiegł trzy kroki, został trafiony, a przyjaciel odciągnął go w bezpieczne miejsce za żywoplotem.

Sanitariusz zjawiał się nadszodkownie prędko. Ale Noe krwawił obficie. Było mu zimno, głupio; pochyloną nad sobą twarz widział jak we śnie. Sanitariusz, niski, okrągły Grek, miał ciemne świdrowate oczy i rzadkie obwisłe wąsy. Otóż te oczy i wąsy zataczały w powietrzu niezależne kręgi, kiedy Grek z pomocą Burneckera robił transfuzję.

„Cuda nauki! - przypomniał sobie mgliście Noe. - W czasie tamtej wojny ranny był całkiem rzeński i prosił o papierosa, a w dziesięć minut nie żył. Dziś inna sprawa. Mamy wojnę w najlepszym gatunku, według najświeższej mody. Krwi można nie oszczędzać. Aha... Daje mi także morfinę. Jak to ładnie z jego strony. Kto by się spodziewał takich względów od Służby Zdrowia?"

Dziwnie było czuć gorącą sympatię dla zezowatego Greka ze Scranton w Pensylwanii, który przed wojną był kucharzem w samoobsługowej jadłodajni. Jaja na

szynce, parówki, zupa z puszek... Teraz daje krew z puszek... Dziwne... Konserwowana krew serdecznym węzłem łączy Markosa z Aten i Ackermana z Odessy. A dzieje się to wszystko w letni dzień, niedaleko ruin miasta Saint Lô, w starożytnej prowincji Normandii, pod okiem farmera z Iowy, niejakiego Burneckera, co klęczy obok i płacze, płacze, płacze...

- Noe! Ach, Noe! - szlochał chłopiec z Iowy. - Jak się czujesz, Noe? Lepiej ci? Lepiej?

Noe sądził, że uśmiecha się do przyjaciela, lecz uświadomił sobie rychło, iż mimo wysiłków twarz ma nieruchomą. Było mu strasznie zimno. Stanowczo za zimno, jak na piękny lipcowy dzień, na Francję, na młodego, zdrowego mężczyznę...

- Johnny - wyszeptał z trudem. - Nie martw się o mnie. Johnny! Uważaj na siebie... Ja... ja wrócę... Słowo daję... Wrócę...

Wojna wykonała karkołomny zwrot. Nie ma już urągania i przekleństw. Nie ma Ricketta, bo Rickett umarł opryskując krwią szeregowca Noego Ackermana. Jest za to mały zezowaty Grek o miękkim brzmieniu głosu i aksamitnych dłoniach, dziwny człeczyna z obwisłymi wusami i jakimś egzotycznym greckim imieniem. Jest szczupła, zatroskana twarz generała, co dostaje pieniądze za to, że z trzcinką w ręku spaceruje pod ogniem - twarz władcza i tragiczna, twarz człowieka, któremu niepodobna odmówić niczego. Jest rozpaczliwe łkanie Johnny'ego Burneckera, drogiego brata, któremu Noe przyrzekł, iż nie opuści go nigdy, bo nawzajem przynoszą sobie szczęście i zostaną przy życiu, chociaż cała kompania wyginie, co na pewno się stanie, gdyż przed kompanią leżą jeszcze niezliczone pola przecięte liniami niezliczonych żywoptotów. Tak! Armia zmieniła się raptownie i zmienia się nadal szybko, niepostrzeżenie w szaleńczy wir puszek z krwią, trzciniek, morfiny i łez...

Sanitariusze podnieśli nosze i szybko ruszyli ku tyłom. Noe z wysiłkiem dźwignął głowę, obejrzał się za siebie. Johnny Burnecker siedział na murawie. Zrzucił hełm i, pogrążony w żałobie, gorzko opłakiwał przyjaciela. Noe chciał zawołać, że koniec końców wszystko będzie dobrze, nie zdołał jednak wydobyć głosu z krtani. Opuścił głowę, zamknął oczy i półprzytomnie pozwalał nieść się dalej, gdyż nie mógł ścierpieć widoku porzuconego towarzysza.

Rozdział XXXI

Pod gorącymi promieniami słońca nieżywe konie zaczynały cuchnąć i pęcznieć. Zaduch padliny mieszał się z kwaśną szpitalną wonią zniszczonej kolumny sanitarnej. Szosę zaścieniało istne rumowisko: przewrócone furgony, rozsypane proszki dezynfekcyjne, pliki kancelaryjnych papierów, poszarpane, bezużyteczne czerwone krzyże. Zabitych i rannych uprzątnięto, lecz poza tym kolumna (pnąca się pod górę łagodnym stokiem wzgórza) wyglądała tak, jak pozostawiły ją bombowce nurkujące.

Christian ze schmeisserem w rękę szedł powoli poboczem w bezładnej grupie mniej więcej dwudziestu zupełnie nieznanym żołnierzom. Zebrał ich wczesnym rankiem, kiedy zawieruszył się gdzieś dorywczo zorganizowany pluton, którego dowództwo powierzono mu przed trzema dniami. Był pewien, że pluton poddał się w ciągu nocy, doznawał więc posępnej ulgi na myśl, że nie odpowiada już za tych ludzi i ich poczynania.

Ogarniała go złość i rozpacz, gdy patrzył na zmasakrowaną kolumnę sanitarną, której na nic się nie przydały godła czerwonego krzyża. Nienawidził młodych zuchów, którzy nadlecieli z szybkością czterystu mil na godzinę i dogнали wozy pełne chorych i konających, aby w przystępie szaleńczej furii niszczenia zmasakrować je torpedami powietrznymi i huraganem ognia broni pokładowej.

Mimo woli spojrzął na przygodnych towarzyszy i zorientował się, że nie dzielają jego gniewu. Została im tylko rozpacz. Okres gniewu mieli za sobą. Przeważnie bez broni, zgięci pod ciężkim rynsztunkiem mijali obojętnie szczątki kolumny sanitarnej i smród końskiej padliny. Podejrzliwie omiatali wzrokiem groźne bezchmurne niebo i wlekli się na wschód niby chore zwierzęta, co instynktownie szukają zacisznego, chłodnego miejsca, gdzie będzie można przywarować i zdechnąć. Kilku z nich nie pozbyło się obłądnego sknerstwa mimo chaosu ucieczki i śmierci. Ci dźwigali łupy. Ktoś piastował skrzypce ukradzione z mieszkania bezimiennego melomana. Stercząca z czyjś plecaka para srebrnych kandelabrow dowodziła niezbitości, iż mimo klęski nie wszyscy postradali wiarę w przyszłość i w wystawne kolacje przy łagodnym blasku świec. Jakiś olbrzym o przekrwionych oczach i zakurzonej szopie brudnych płowych włosów maszerował bez hełmu, lecz w chlebaku dźwigał wiele lubianych pudełek camemberta. Szedł szybko, bo był silny, a kiedy

wyprzedził Christiana, drażniący odór dojrzalego sera połączył się ze zgnilo-szpitalnym zaduchem.

Na czele kolumny stało osiemdziesięcimilimetrowe działo przeciwlotnicze zmontowane na platformie. Konie zastygły w dzikim, trwożnym cwale, a działo i jego podstawa były obficie zbryzgane krwią.

„Armia niemiecka - myślał posępnie Diestl. - Szkapy przeciwko samolotom”.

W Afryce uciekał również, lecz przynajmniej posługiwał się maszynami. Przypomnił sobie motocykl Hardenburga, włoski wóz sztabowy i samolot sanitarny, co nad Morzem Śródziemnym przewiózł go do Włoch. Przeznaczeniem armii niemieckiej jest bodaj cofanie się do coraz pierwotniejszych metod walki w miarę postępów wojny. Ersatz! Ersatz- benzyna, ersatz- kawa, ersatz- krew, ersatz- żołnierz...

Christianowi wydało się, że przez całe życie był w odwrocie. Nie pamiętał momentów posuwania się naprzód. Wierzył, że odwrót stanowi treść i normalną atmosferę wojny. Wciąż szedł do tyłu zgnębiony, wyczerpany, wciągając w nozdrza smród niemieckich trupów. Wciąż ściagały go śmigające po jasnym niebie maszyny, których broń zaczętnie sterczała ze skrzydeł, a piloci uśmiechali się drwiąco, bo im nic nie groziło, i mordowali ludzi po stu na minutę... Christian uskoczył na bok, gdyż usłyszał za sobą donośny klakson. Mały kryty samochód wyprzedził piechurów. Spod jego kół tryskały kamyki i piasek. Przez szyby widać było czerstwe, ogolone twarze. Jeden z pasażerów palił cygaro.

Nagle ktoś krzyknął. W górze ryknęły silniki. Diestl dał susa w pole i schronił się w głębokim dole, jakich wiele saperzy wykopali wzdłuż francuskich dróg, aby zapewnić bezpieczeństwo w takich właśnie chwilach. Przywarł do wilgotnej ziemi, ukrył głowę. Nie wając się podnieść wzroku nasłuchiwał szumu powracających samolotów i gęstych salw broni pokładowej. Nieprzyjacielskie maszyny tylko dwa razy przemknęły nad drogą i odleciały. Diestl podniósł się, wylazł z dołu. Nikt z jego przygodnych kompanów nie został ranny, ale mały kryty samochód palił się pod rozdartym drzewem. Dwaj jego pasażerowie leżeli na środku szosy. Dwaj pozostali płonęli na oblanych benzyną szczątkach kauczuku i obicia z imitacji skóry.

Christian zbliżył się wolno do ciał rozciągniętych twarzami w dół na asfalcie. Nie musiał dotykać ich, by upewnić się, że są martwe.

- Oficerowie - usłyszał głos za sobą. - Próbowali dać nogę.

Żołnierz splunął głośno.

Inni bez komentarzy mijali zwłoki i płonący samochód. Christian chciał krzyknąć, żeby pomogli mu odnieść na bok ciała, ale rozmyślił się po chwili. Mogłoby to wywołać sprzeczkę, a ostatecznie dwa trupy więcej lub mniej na szosie nie robiły w danych warunkach żadnej różnicy.

Leniwie pociągnął dalej na wschód, klnąc w duchu, że źle wyleczona noga zaczyna go zawodzić. Raz po raz pluł lub smarkał głośno, by jak najprędzej pozbyć się zapachu i smaku padliny i leków.

Następnego ranka los się uśmiechnął. W ciągu nocy Diestl odłączył się od przygodnych kompanów i powędrował wolno do krańców miasteczka, które zagradzając mu drogę leżało w księżycowej poświacie czarne, puste, na pozór wymarłe. Postanowił nie zapuszczać się w labirynt ulic nocą i samotnie, gdyż było bardziej niż prawdopodobne, że Francuzi upolują w ciemnościach pojedynczego Niemca, obedną go z broni, munduru i butów i rzucają za jakiś żywopłot, gdzie zgnije spokojnie. Ułożył się więc pod drzewem, oszczędnie zjadł część żelaznej porcji i spał do świtu. Następnie szybko przebył miasteczko, prawie biegnąc środkiem brukowanej jezdnii. Minął szary kościół, opuszczone żaluzje sklepów, nieodzowny pomnik zwycięstwa z palmami i bagnietami stojący przed ratuszem. Ludzi nie spotkał. Zdawać się mogło, że Francuzi zniknęli z powierzchni ziemi deptanej stopą niemieckiego odwrotu. Nawet psy i koty rozumiały zapewne, że bezpieczniej zaczekać w ukryciu, aż odpłynie wzburzona fala rozgromionego żołdactwa.

Szczyście dopisało Christianowi na przeciwległym krańcu miasteczka. Sapiąc z wysiłku szedł szybko i mijał ostatnie niebezpieczne domy, kiedy spostrzegł cyklistę, który wyjechał na szosę z bocznej drogi. Spieszył się widać, bo nie patrzył przed siebie i ostro pedałowal w stronę miasta. Christian zatrzymał się, wystąpił na środek szosy, czekał. Niebawem zorientował się, że nadjeżdża piętnasto- lub szesnastoletni chłopak z gołą głową, ubrany w błękitną koszulę oraz stare francuskie spodnie wojskowe. W mętym świetle brzasku przenikającym między dwa rzędy topoli rower podskakiwał na wybojach. Jego koła i nogi cyklisty rzucały na asfalt wydłużone, ruchliwe cienie.

Wyrostek dostrzegł Niemca z odległości trzydziestu kroków. Zatrzymał się raptownie.

- Chodź tutaj! Chodź! - zawołał Christian po niemiecku, bo zabrakło mu nagle francuskich słów. - Chodź! Nie bój się - dodał ochrypłym głosem, zbliżając się do cyklisty.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Młody Francuz był blady. Miał czarne kędzierzawe włosy i ciemne wystraszone oczy. Nagle szybkim, niemal zwierzęcym ruchem chwycił rower za przednie koło, odwrócił i zaczął odprowadzać biegiem, nim Christian zdążył ściągnąć schmeissera z ramienia. Po kilku krokach skoczył na siodełko, pochylił się i zaczął uciekać tak szybko, że pęd powietrza wydał w balon błękitną koszulę.

Nie zastanawiając się Diestl otworzył ogień i dosięgnął zbiega drugą serią. Rower potoczył się w rów, chłopiec zaś dał szczupaka na przeciwległe pobocze i leżał tam bez ruchu.

Christian pokuśtykał szybko wyboistą drogą. Buty stukały głośno w porannej ciszy. Nachylił się i podniósł rower. Spróbował go potoczyć w przód i do tyłu. Był nie uszkodzony. Potem spojrzął na chłopca, który leżał na boku, z odchyloną głową. Twarz pod ciemną czupryną była blada, bez wyrazu. Pod cienkim nosem sypał się delikatny puch wąsów. Purpurowa plama rosła wolno na plecach pokrytych wypłowiałą błękitną koszulą. Diestl postąpił parę kroków w stronę chłopca, lecz prędko zmienił zamiar. W mieście na pewno było słyhać strzały. Jeżeli ludzie nadbiegną i zastaną Niemca w takiej sytuacji, rozprawią się z nim bez ceregieli.

Wsiadł na rower i odjechał ku wschodowi. Po wielu dniach uciążliwej pieszej wędrowni ziemia uciekała teraz spod kół błyskawicznie, zdumiewająco łatwo.

„No, nie tylko oficerowie mają czym jechać” - pomyślał z ulgą Christian. Swobodnie poruszał nogami, ranny wietrzyk miło chłodził mu twarz, zielone, pokryte rosą drzewa i krzewy radowały oko. Francuskie szosy zdawały się stworzone dla rowerzystów. Nawierzchnie miały w znośnym stanie, a żadne strome stoki nie opóźniały jazdy. Bez trudu da się robić dwieście kilometrów dziennie!

Christian czuł się młody i silny. Po raz pierwszy od pamiętnego, dawno minionego dnia, kiedy ujrzał amerykańskie szybowce lądujące na francuskiej plaży, zaczynał wierzyć, że jakoś wyjdzie cało. W pół godziny później zjeżdżał na wolnym trybiku łagodnym stokiem między łanami dojrzewającej, jasnozłotej pszenicy. Nagle stwierdził ze zdziwieniem, że pogwizduje i nuci na zmianę wesołą, wakacyjną, nieokreśloną melodyjkę, która bezwiednie dobywa się z jego ust.

Przez cały dzień umykał ku wschodowi paryską szosą. Raz po raz wyprzedzał bezładne grupy żołnierzy wlokących się pieszo lub obsiadających farmerskie wozy wyładowane obrazami, meblami, baryłkami jabłecznika. W czterdziestym roku Christian widywał we Francji uchodźców, wówczas jednak wyglądało to bardziej naturalnie, gdyż uciekali przeważnie starcy, kobiety i dzieci. Nietrudno było też zrozumieć, dlaczego ratują materace, garnki, najrozmaitsze sprzęty gospodarskie. Opuszczali przecież własne siedziby i spodziewali się rozpocząć gdzieś na nowo życie domowe. Ale dziwnie było pomyśleć, że niemieccy żołnierze, uzbrojeni młodzi mężczyźni w mundurach, uchodzą w taki sposób, chociaż mogą się spodziewać tylko dwojakiego zakończenia: albo zostaną gdzieś zreorganizowani i jakimś cudem zmuszeni do walki, albo wpadną w ręce nieprzyjaciela, który podobno zdążył już oskrzydlić rozgromioną armię. W obydwu tych przypadkach oprawne malowidła z normandzkich zamków i ozdobne stojące lampy nie na wiele mogły się przydać. Z posepnymi, udreńczonymi twarzami rozgromieni wojacy płynęli szosami w kierunku Paryża - bez oficerów, organizacji, dyscypliny, zdani na łaskę i niełaskę pościgu amerykańskich samolotów i czołgów. Od czasu do czasu dymił francuski autobus z generatorem na węgiel drzewny, przepełniony brudnymi żołnierzami, którzy musieli niekiedy wysiadać, by pchać pod górę swój wehikuł. Rzadko spotykani oficerowie nie zabierali głosu. Byli równie bezradni i zgnębieni jak szeregowcy.

Tło dla tego wszystkiego stanowiły długie pogodne dni i uroczą wieś francuska w pełnym rozkwicie lata: słońce, świeża, powabna zieleń, farmerskie domy obrośnięte geranium kwitającym purpurowo i różowo.

Pod wieczór Diestl był zupełnie wyczerpany. Od lat nie siedział na rowerze, a przez pierwszych parę godzin pedałował zbyt szybko. Ponadto dwukrotnie ostrzelano go z zasadki i kiedy kule gwizdały mu nad głową, umykał co sił z kręgu niebezpieczeństwa. Wjeżdżając o zachodzie słońca na rynek sporego miasteczka, ledwie władał kierownicą i zataczał się po jezdni od chodnika do chodnika. Na pierwszy rzut oka spostrzegł nie bez przyjemności, że plac roi się od żołnierzy. Jedni siedzieli w kawiarniach lub leżeli zmęczeni na kamiennych ławkach, inni mozolili się nad popsutymi citroenami (model 1925), bezskutecznie próbując zmusić je, by ujechały bodaj kilka kilometrów. Nic złego nie mogło grozić w takim tłumie, przynajmniej do czasu.

Christian zeskoczył z roweru i spojrzał nań nienawistnie. Francuską maszynę zaczynał uważać za obdarzonego inteligencją podstępного wroga, co przez cały dzień

świadomie trząśł go, udrećzał, odzierał z resztek sił i kilka razy omal nie zrzucił na ostrzejszym zakręcie czy niespodziewanym wyboju. Szedł spiesźnie obok roweru. Nogi miał sztywne, utrudzone. Wymijał żołnierzy leżących i siedzących dokoła, ci zaś przez chwilę spoglądali tępo na jeszcze jednego zbiega i spuszczaali wzrok z wyrazem kamiennej obojętności. Christian mocno ścisnął kierownicę, bo dobrze wiedział, że każdy z tych obcych, niezycziwych ludzi zamordowałby go bez skrpułów, aby zdobyć dwa kółka i siodełko z wytartej skóry.

Najchętniej przespałby się kilka godzin, lecz nie chciał ryzykować. Po strzałach na szosie zdawał sobie sprawę, czym grozi samotny spoczynek nawet w najbardziej ustronnym, odludnym miejscu. Przed czyhającymi zewsząd Francuzami chroniła jedynie szybkość lub znaczna liczba. Gdyby zaś położył się w mieście, między kolegami, na pewno postradałby rower. Nie miał wątpliwości, że sam chętnie skorzystałby z okazji i ukradł środek lokomocji każdemu śpiącemu towarzyszowi broni, nawet generałowi Rommlowi. Biwakujący na rynku tłum zdrożonych, udrećzonych zbiegów trudno było podejrzewać o wrażliwe sumienie.

„Jeden głębszy - pomyślał Christian - postawi mnie na nogi i rozjaśni trochę we łbie”.

Nie rozstając się z rowerem wszedł w otwarte drzwi kawiarni. W głębi salki siedzieli jacyś żołnierze. Przelotnie, bez zdziwienia spojrzeli na nowo przybyłego, jak gdyby sierżanci armii niemieckiej wkraczali zazwyczaj do knajp prowadząc rower lub konia albo też popychając przed sobą samochód pancerny. Diestł oparł swój środek lokomocji o ścianę, a tylne koło przycisnął krzesłem. Później dopiero usiadł wygodnie i skinął na starego Francuza, który stał za szynkwasem.

- Koniak! - zawołał. - Podwójny!

Rozejrzał się po półciemnym lokalu. Na ścianach wisiały jak wszędzie dwujęzyczne rozporządzenia dotyczące sprzedaży trunków alkoholowych oraz duże napisy, że we wtorki i czwartki podaje się tylko aperitify. Christian przypomniał sobie jak przez sen, że jest właśnie czwartek, lecz czwartek zupełnie wyjątkowy, w który nie mają wagi nawet rozporządzenia francuskiego rządu z Vichy. A zresztą pan minister, autor owych rozporządzeń, umyka też i sam zapewne pokrzepiłby się chętnie kieliszkiem koniaku. Jedynym prawem obowiązującym w ten letni wieczór było prawo ucieczki, jedyną władzą - działa Pierwszej i Trzeciej Armii Amerykańskiej.

Dział tych nie było wprawdzie słyhać w tej części Francji, ale ich przeczuwana bliskość sprawowała już awansem srogie rządy.

Stary Francuz przyczłapał z małą szklaneczką koniaku. Miał rozwianą brodę biblijnego proroka, a z ust okropnie mu cuchnęły popsute zęby. Christian zirytował się. Czy nawet w knajpie musi prześladować ludzi ekliwy zaduch spróchniałych kości i gnijącego mięsa?

- Pięćdziesiąt franków - powiedział stary nachalnie i schylił się nad klientem nie wypuszczając szklanki z palców.

W pierwszej chwili Christian miał ochotę potargować się ze złodziejem o wyśrubowaną cenę, lecz zrezygnował szybko.

„Ach, ci Francuzi! - myślał. - Ze wszystkiego potrafią ciągnąć korzyści: ze zwycięstwa i klęski, ofensywy i odwrotu, sojusznika i wroga. Daj Boże, by Amerykanie trochę pobyli w tym kraju. Zobaczymy, jak gospodarze przypadną im do gustu”.

Rzucił na stół pięćdziesiąt franków - zmięty, brudny papierek puszczonej w obieg przez armię niemiecką. Był zdania, że franki niedługo już będą mu potrzebne, natomiast sędziwy knajpiarz spróbuje wydusić coś z nowych zdobywców na podstawie obietnicy wydrukowanej przez poprzednich.

Starzec złożył starannie i schował papierek, następnie zaś omijając wyciągnięte nogi gości wycofał się na posterunek za bufetem. Diestl obracał szklaneczkę w palcach. Bawił się, ale nie pił. Chwilowo wystarczało mu, że siedzi, daje odpoczynek strudzonym nogom i wygodnie prostuje plecy na twardym, drewnianym oparciu krzesła. Leniwie począł obserwować zebranych w kawiarni żołnierzy. Twarzy nie widział w mroku i nic nie mógł podsłuchać, gdyż Niemcy milczeli uparcie. Siedzieli bez ruchu, wyczerpani, zamyśleni albo powoli sączyli trunki, jakby nieprędko spodziewali się następnej okazji do popicia i chcieli jak najdłużej zachować na języku gryzący smak i ciepło alkoholu.

Christian zobaczył jak przez mgłę inną knajpę, w Rennes, bardzo, bardzo dawno, i czterech niemieckich żołnierzy. Mieli rozpięte bluzy i grube portfele. Zachowywali się butnie, hałaśliwie. Pili kiepskiego szampana. Dziś nikt nie pije szampana, nikt nie jest butny, hałaśliwy. A jeżeli się nawet ktoś odezwie, rzuca półgłosem kilka słów i otrzymuje równie zwięzłą, cichą odpowiedź. Tak. Nie. Czy doczekamy jutra? Cholera! Jak nas potraktują Amerykanie? Słyszałeś, co zrobili z dywizją pancerną Lehra? Co gada BBC? Gówno. Koniec! Kłapa! Kłapa! Koniec!

Leniwie bawiąc się szklaneczką Diestl próbował odgadnąć, co w ciągu lat stało się z pionierem, o którego niestosownym zachowaniu złożył w Rennes meldunek.

„Pewno zafasował wtedy miesiąc koszarniaka - pomyślał półsennie, kładąc dłoń na ramie roweru. - Dlaczego nikt nie da mi dziś koszarniaka? Jak by to było cudownie! Dlaczego nikt nie da miesiąca koszarniaka Pierwszej Armii Amerykańskiej albo Ósmej Flocie Powietrznej, albo wszystkim Austriakom w Wehrmachcie? Tak! Wszystkim Austriakom w Wehrmachcie! Miesiąc koszarniaka za niestosowne zachowanie!”.

Ocknął się i rozważnie pociągnął mały łyżeczek. Ohydny płyn wcale nie przypominał koniaku. Składał się chyba z wody zaprawionej przed trzema dniami źle oczyszczonym spirytusem. Francuzi! Ach, ci dranie Francuzi! Ze wstrętem spojrzął na dziadogę za szynkwasem. Na pewno od lat był na łaskawym chlebie, ale na ten tydzień wyciągnięto go z jakiejś nory, zapędzono do pracy. W normalnych warunkach szynk musieli prowadzić właściciele: krzepki, zażywny mieszczuch z pulchną, wiecznie spoconą żoną. W porę jednak poczuli pismo nosem i kiedy spostrzegli pierwsze piany niemieckiego odpływu, poruszyli staro i ustawili za bufetem. Rozumowali słusznie, że nawet Niemcy nie będą bryzgać jadem na taki nędzny okaz rodzaju ludzkiego. W tej chwili knajpiarz z żoną ukrywa się zapewne na bezpiecznym poddaszu. Żrą sznyce cielece z sałatą. Popijają mocnym winem. A może włożą razem do łóżka? (Christian przypomniał sobie Corinne z Rennes: dużo jędrnego ciała, wprawne ręce dójki, grube farbowane warkocze...). Knajpiarz i jego żona tulą się do siebie pod ciężką pierzyną i chichoczą na myśl o zgonionych żołdakach, z których „papa” wyciska w brudnym szynku grubą forszę. Chichoczą na myśl o niemieckich trupach rozsianych wzdłuż szosy i o Amerykanach, co błyskawicznie zbliżają się do ich miast i chętnie będą płacić jeszcze wyższe ceny za wodę ze źle oczyszczonym spirytusem.

Wyobrażając sobie to wszystko Christian nie odrywał wzroku od starca z brodą biblijnego proroka, ten zaś odpowiadał mu śmiałymi, pogardliwymi spojrzeniami. Miał gąbczastą, zrytą bruzdami twarz i małe jak paciorki czarne oczka - wyzywające i zaczepne.

„Jesteś stary - myślał Christian. - Zęby butwieją ci i śmierdzą, a kieszenie puchną od tysięcy bezwartościowych papierowych franków. Ale nie wątpisz, że przeżyjesz co najmniej połowę milczących młodych mężczyzn stłoczonych dziś w

szynku twojej córki. Ryczysz wewnętrznym śmiechem wyobrażając sobie okropny los tych prawie-jeńców i prawie-nieboszczyków, co o zmroku obsiedli poplamione stoły".

- Łaskawy pan rozkaże?... - zaskrzeczał stary tak wesoło, jak gdyby złowił uchem doskonały dowcip, którego nikt z obecnych nie dosłyszał.

- Łaskawy pan nic nie rozkaże - odburknął Christian.

„Cała bieda - myślał dalej - że Francuzów traktowaliśmy zbyt ślamazarnie. Dzieliliśmy ich na wrogów i przyjaciół. Pośrodku była pustka. Mordowaliśmy drani albo kochali. Resztę zapaskudziła polityka, korupcja, słabość. Dziś płacimy rachunek! Rozumiał to Hardenburg, chociaż leżał bez twarzy w szpitalu na Capri w jednym pokoju ze «Spalonym». Ale mężowie stanu nie rozumieli".

Stary Francuz przymknął oczy. Czarne, kpiarskie paciorki zakrył żółtymi pomarszczonymi powiekami, podobnymi do skrawków brudnego papieru. Odwrócił głowę, a Christian zrozumiał nagle, że został pokonany nie wiadomo jak i dlaczego. Napił się koniaku i odczuł pierwsze skutki działania alkoholu. Oczy mu się kleiły, zarazem jednak był mocny jak olbrzym z sennego marzenia, zdolny tylko do leniwych, groźnych ruchów i potężnych nieświadomych ciosów.

- Sierżancie! Wypijcie do dna to paskudztwo.

Głos był niski, znajomy. Diestl spojrzął spod oka na ciemną postać koło swojego stołu, ale niewiele widział w gęstym wieczornym mroku.

- Co? Dlaczego? - spytał półprzytomnie.

- Chciałbym z wami pogadać, sierżancie.

Głos dźwięczał pogodną, życzliwą nutą. Christian wyprostował się, potrząsnął głową i szeroko otworzył oczy. Nagle poznał natręta. Brandt! Pochylony nad nim, wymizerowany, w oficerskim mundurze i bez czapki, lecz niewątpliwie Brandt. I to Brandt uśmiechnięty!

- Brandt!

- Szszaa! - Położył rękę na ramieniu Diestla. - Dopij resztę i wyjdź.

Odwrócił się i zniknął za drzwiami, zaraz jednak stanął na chodniku. Christian widział przez okno plecy przyjaciela i ciągnącą właśnie jezdnią bezładną kolumnę jakiegoś oddziału roboczego. Jednym haustem wypił resztę koniaku i dźwignął się ciężko. Stary Francuz znowu mu się przyglądał. Diestl odepchnął krzesło, troskliwie ujął rower za rączki kierownicy i potoczył go w stronę wyjścia. Ale na progu obejrzał

się i jeszcze raz utkwiał wzrok w ironicznych czarnych paciorkach, co pamiętały rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty i Verdun, i Marnę z tamtej wojny. Starzec stał na tle plakatu drukowanego we Francji, lecz niewątpliwie zaprojektowanego przez Niemców. Ślimak z amerykańską i brytyjską flagą zamiast rożków pełznął ku górze po Półwyspie Apenińskim. Ironiczny napis głosił, że nawet ślimak zdążyłby już do Rzymu... Christian boleśnie odczuł tę ostatnią zniewagę. Może dziad zawiesił plakat kilka dni temu? Krzywił się. Chichotał. Chciał, żeby każdy niemiecki uciekinier patrzył na tę złośliwą karykaturę i cierpiał.

- Mam nadzieję, że koniak pójdzie łaskawemu panu na zdrowie - drżący głos zaskrzeczał niby śmiech w przytułku dla starców.

„Francuzi! - pomyślał Diestl. - Ach, ci dranie, Francuzi! Jeszcze raz nas dostali!”.

Wyszedł i stanął obok przyjaciela.

- Przejdźmy się - szepnął Brandt. - Wolno. Dokoła rynku. Nikt nie powinien słyszeć tego, co mam ci do powiedzenia.

Ruszyli wąskim chodnikiem wzdłuż rzędu osłoniętych żaluzjami witryn. Christian spostrzegł ze zdziwieniem, że fotoreporter zestarzał się okropnie od poprzedniego spotkania. Wychudł, mocno posiwił na skroniach, a koło ust i oczu miał głębokie bruzdy.

- Widziałem, jak wchodziłeś do kawiarni - zaczął po chwili Brandt. - Oczom nie chciałem wierzyć. Patrzyłem przez pięć minut, by upewnić się ostatecznie, że to ty. Na miłość boską, co się z ciebie zrobiło? Musiałeś dostać szkołę!

Diestl wzruszył ramionami. Był trochę zły na przyjaciela, który sam nie sprawiał wrażenia okazu zdrowia.

- Trochę mnie przerzucali tam i ówdzie. Ale co ty tu robisz?

- Zostałem odkomenderowany do Normandii. Zdjęcia inwazyjne. Rozumiesz? Jeńcy. Trupy francuskich kobiet i dzieci po amerykańskich bombardowaniach. Nic oryginalnego. No, idziemy, idziemy. Nie przystawaj, jak gdybyś nie miał nic do roboty, bo zaraz przyczepi się jakiś piekielny oficer i będzie próbował dokądś cię przydzielić. Nadgorliwców nigdzie nie brak. Może być nieprzyjemność.

Pewnym krokiem okrążali rynek, jak żołnierze udający się z czyjogoś rozkazu w jakieś miejsce. Szare kamienice czerwieniały od blasków wieczornej zorzy. Ciemne

sylwetki niemieckich uciekinierów snuły się na tle zamkniętych i przesłoniętych okien.

- Co masz zamiar robić? - zapytał Brandt.

Christian parsknął suchym, ochrypłym śmiechem. Po wielu dniach ucieczki, dyktowanej jedynie ruchami nieprzyjaciela, komiczne wydało mu się przypuszczenie, że on mógłby mieć własne, niezależne zamiary.

- Z czego się śmiejesz?

Fotoreporter spojrział na niego podejrzliwie, a Diestl zrobił minę serio, bo nagle przyszło mu do głowy, że nie usłyszy czegoś bardzo ważnego, jeżeli zacznie sprzeczkę z Brandtem.

- Z niczego. Słowo daję, z niczego. Jestem zmęczony. Dopiero co zająłem pierwsze miejsce w dziewięciodniowym wyścigu kolarskim na przełaj Europy. Nie bardzo wiem, co się ze mną dzieje. Ale już mi lepiej, znacznie lepiej.

- A zatem - natarł Brandt - co masz zamiar robić?

Zacząpnym, nerwowym tonem wskazywał, że fotoreporter jest bliski załamania.

- Co mam zamiar robić? Pedalować dalej do Berlina i pobić aktualny rekord.

- Na miłość boską! - wybuchnął Brandt. - Daj spokój żartom!

- Z prawdziwą satysfakcją odbywam wycieczkę przez historyczne prowincje starej Francji - ciągnął z humorem Diestl. - Nie masz pojęcia, jaka to frajda rozmawiać z historycznymi tubylcami w historycznych strojach i z granatami lub stenami w garści. Jeżeli jednak trafi się coś lepszego, może mnie to zainteresować.

- Posłuchaj - przerwał Brandt. - W stodole, o milę stąd, mam osobowy angielski wóz.

Diestl spoważniał. Opuściła go wszelka chęć do śmiechu.

- No, idziemy, idziemy - szepnął Brandt. - Mówiłem już, żeby nie przystawać. Chcę dotrzeć do Paryża, a mój kierowca zwiął w nocy. Bałwan dostał histerii, bo wczoraj ostrzelały nas samoloty. Pomaszerował prosto do Amerykanów.

- Nic nie rozumiem. - Christian starał się o spokojny, rzeczowy ton. - Dlaczego pętasz się tu od rana?

- Nie prowadzę wozu - westchnął fotoreporter. - Wyobraź sobie, jakoś się nie nauczyłem!

Tym razem Diestl nie mógł pohamować śmiechu.

- Mój Boże! Nowoczesny człowiek z epoki uprzemysłowienia!

- Nic zabawnego - obruszył się Brandt. - Po prostu jestem zbyt nerwowy. Spróbowałem w trzydziestym piątym roku i o włos się nie zabiłem.

„Jest zbyt nerwowy - pomyślał Christian ciesząc się z nieoczekiwanej przewagi nad człowiekiem, któremu dotąd świetnie się wiodło mimo wojny. - Słowo daję! Wybrał sobie odpowiedni wiek na zbytnią nerwowość!”.

- Czemu nie skaptowałeś na kierowcę jednego z tych? - Wskazał ręką żołnierzy odpoczywających na schodach ratusza.

- Nie mam do nich zaufania - mruknął posepnie i rozejrzał się dokoła. - Ach, gdybym powtórzył ci połowę plotek o oficerach mordowanych przez własnych podkomendnych... Mniejsza o to. Od rana tkwię w tej przeklętej mieścinie, kombinuję, co robić, i rozglądam się za gębą, która naprawdę budzi zaufanie. Ale widzisz, wszyscy wędrują kupą, wszyscy mają kolegów, przyjaciół. A w moim wozie są tylko dwa miejsca. Niech to diabli! Do jutra Amerykanie mogą być tutaj albo przetną drogę do Paryża. Christian! Przyznaję otwarcie, że jak cię zobaczyłem w knajpie, o mało nie krzyknąłem z radości. Powiedz mi - mocno ścisnął ramię przyjaciela - nie masz ze sobą nikogo? Jesteś sam?

- Nie martw się. Jestem sam jak palec.

Brandt stanął nagle. Nerwowym ruchem otarł pot z czoła.

- Mój Boże! - szepnął. - O tym nie pomyślałem. Prowadzisz wóz?

Kiedy rzucał to krótkie, niemądre pytanie, twarz skurczyła mu się wyrazem strachu, bo odpowiedź miała przecież stanowić o rozwiązaniu jego osobistego dramatu pośród tragedii rozgromionej armii. Christian odczuł groteskową, protekcjonalną litość. Delikatnie pogładził po ramieniu starzejącego się malarza.

- Bądź spokojny, kolego. Prowadzę wóz - odrzekł.

- Chwała Bogu! A... a pojedziesz ze mną?

Diestłowi zawirowało w głowie. Oto kusząca propozycja: bezpieczeństwo, szybkość, powrót do kraju, życie...

- Nic mnie nie zatrzyma - powiedział z mocą.

Uśmiechnęli się do siebie blado, jak dwaj rozbitkowie, którym dzięki wzajemnej pomocy udało się szczęśliwie dopłynąć do brzegu.

- No to ruszamy - ucieszył się fotoreporter.

- Zaraz, zaraz - zatrzymał go Christian. - Jest jeszcze rower. Dam komuś szansę wydostania się z matni. - Objął wzrokiem ciemne sylwetki kręcące się przed ratuszem; chciał nieznacznie upatrzeć szczęśliwca, któremu ocali życie.

- Nie! - Fotoreporter chwycił go za łokieć. - Rower i nam się przyda. Od Francuzów z farmy dostaniemy za niego prowiant na drogę.

Sierżant wahał się ledwie sekundę.

- Rzeczywiście! - ustąpił. - Że też takie proste rozwiązanie nie przyszło mi do głowy.

Z miasta wyszli szosą, którą przed pół godziną Christian przebył w odwrotnym kierunku. Teraz pieczołowicie prowadził rower, Brandt zaś oglądał się co chwila. Na pierwszym rozjeździe skręcili w polną drogę między żywopłoty z kwitnących głógów silnie pachnących w ciepłym wieczornym powietrzu. Nim minął kwadrans, zobaczyli porządny dom mieszkalny ozdobiony geranium, a opodał murowaną stodołę, gdzie Brandt pod stosem siana ukrył dwuosobowy samochód.

Fotoreporter słusznie twierdził, że rower może się przydać. Kiedy pod pierwszymi gwiazdami wyjeżdżali z podwórka farmy na wąską drogę, wieźli ze sobą koszyk jaj ugotowanych na twardo, w czasie gdy widłami odrzucali siano, szynkę, dużą bańkę mleka, pół główki sera, litr calvadosu, dwa litry jabłecznika i sześć sporych bochenków wiejskiego ciemnego chleba.

Mały sportowy wóz był dobrze utrzymany. Silnik warczał miarowo. W pogodną, jasną noc Christian siedział wygodnie za kierownicą i mijając białe plamy głógów skręcał na szosę. Miał pełny żołądek. Uśmiechał się do siebie. Chłopiec w błękitnej koszuli spotkany o świcie na pustkowiu przyniósł mu więcej szczęścia, niż należało oczekiwać.

Nie zatrzymując się minęli miasteczko. Na rynku ktoś krzyknął, nie wiedzieli jednak, czy to był rozkaz, by stanęli, czy prośba o podwiezienie, czy wymyślanie, że jadą za prędko i narażają pieszych. Christian dodał gazu i po chwili wóz mknął ciemną wstęgą asfaltu, co przecinała skąpaną w blaskach księżycy okolice i wiodła do Paryża oddalonego o dwieście kilometrów.

Brandt wysilał głos cienki i ochrypły ze zmęczenia. Chciał przekrzyknąć nocny wiatr omiatający mały, odkryty samochód.

- Koniec z Trzecią Rzeszą - mówił. - Nieodwołalny koniec. Tylko wariat może tego nie widzieć. Spójrz, co się dzieje. Klęska. Ostateczna klęska. Nic nikogo nie obchodzi. Milionowa armia wieje, jak popadło. Miliony żołnierzy bez oficerów, żywności, planu strategicznego, amunicji; pójdą do niewoli, kiedy nieprzyjaciel będzie miał na to czas i ochotę. Pójdą do niewoli albo zostaną zmasakrowani, jeżeli oszaleją i stawią opór. Niemcy nie są w stanie utrzymać armii. Może jacyś wodzowie zbiorą gdzieś niedobitków i zorganizują linię obronną. Ale to będzie gest. Nedorzeczny, romantyczny pogrzeb w stylu wikingów. Z Clausewitza i Wagnera, z tradycji Sztabu Generalnego i Zygryda wyniknie teatralno-cmentarny efekt. Bóg mi świadkiem, że patriota ze mnie nie gorszy niż inni. Jak umiałem, służyłem ojczyźnie we Włoszech, w Rosji i tutaj. Ale jestem człowiekiem zbyt cywilizowanym na to, co teraz chcą z nami wyprawiać. Nie wierzę w wikingów. Nie mam ochoty spłonąć na ofiarnym stosie Goebbelsa. Różnica między cywilizowaną istotą ludzką a bydlęciem polega między innymi na tym, że istota ludzka rozumie, kiedy przegrała, i stara się obmyślić drogę wyjścia. Posłuchaj, Christian. Krótco przed wojną ubiegałem się o obywatelstwo Rzeczypospolitej Francuskiej. Wycofałem podanie w ostatniej chwili. Byłem potrzebny niemieckiej ojczyźnie. Poszedłem na jej służbę. Staralem się, jak mogłem - rozprawiał z zapalem, próbował przekonać zarówno siebie, jak sąsiada o własnej prostolinijnej uczciwości i poczuciu zdrowego rozsądku. - Boże drogi! Ile zdjęć narobiłem! Ile wycierpiałem, co przeszedłem, żeby je zrobić! Cóż, dzisiaj zdjęcia są niepotrzebne. Nikt ich nie opublikuje. A gdyby nawet... W nikim nie wzbudzą już wiary, nikogo nie wzruszą. Na farmie, gdzie był samochód, zostawiłem aparat. Przehandlowałem go za dziesięć litrów benzyny. Wojna przestała być tematem dla fotografów, bo właściwie nie ma już wojny. Jest tylko wymiatanie zdobytego terenu. Niech się tym zajmą nieprzyjacielscy korespondenci. Wojsko wymiatane ze zdobytego terenu nie powinno uwieczniać klęski na taśmie filmowej. Trudno wymagać czegoś podobnego. Byłoby to śmieszne i głupie. Kiedy człowiek wstępuje do wojska... Rozumiesz, do każdego wojska... Państwo zawiera z nim swego rodzaju zasadniczą umowę. Podstawowy warunek tej umowy głosi, że armia może zażądać życia od żołnierza w razie potrzeby, lecz nie bez celu i sensu. Jeżeli rząd nie poprosi natychmiast o rozejm, na co się wcale nie zanosi, dowiedzie, że pogwałcił umowę ze mną i z całym wojskiem na terenie Francji. Nie mamy żadnych obowiązków wobec państwa. Absolutnie żadnych!

- Dlaczego opowiadasz mi to wszystko? - zapytał Christian i spoglądając przed siebie na białą wstęgę szosy, pomyślał: „Ma jakiś plan. Cóż, mogę się z nim nie wiązać”.

- Opowiadam ci to wszystko - odparł powoli Brandt - bo jak dostanę się do Paryża, zdezerteruję.

Przez minutę jechali bez słowa.

- Właściwie wyraziłem się nieściśle - podjął fotoreporter. - Nie ja zdezerteruję. Władze wojskowe zdezerterowały i rzuciły mnie na pastwę losu. Chcę formalnie potwierdzić istniejący już stan rzeczy.

Dezercja! Słowo to od dawna już dźwięczało Christianowi w uszach. Nieprzyjaciel rzucił z powietrza ulotki, zapraszał do niewoli, gwarantował bezpieczeństwo, dobre traktowanie... Krążyły też pogłoski o żołnierzach, którzy dali się skusić, lecz zostali ujęci... Wieszano ich na przydrożnych drzewach, w wiązkach po sześciu... Podobno w Niemczech rodziny dezercerów były rozstrzeliwane... Cóż, Brandt, człowiek samotny, ma większą swobodę ruchów. Nie naraża nikogo. W takim bałaganie nie wyjdzie na jaw, kto zdezerterował, kto poległ, kto walcząc po bohatersku dostał się do niewoli. W przyszłości, może w latach sześćdziesiątych, może nigdy, coś niecoś zacznie się wyjaśniać. Któż jednak troszczyłby się o tak dalekie sprawy? Christian przypomniał sobie amerykańskie ulotki.

- Dlaczego musisz być w Paryżu, aby zdezerterować? - zapytał. - Wystarczy zawrócić, poddać się pierwszemu amerykańskiemu oddziałowi.

- Zastanawiałem się nad takim rozwiązaniem - odrzekł poważnie Brandt. - Nie sądzę, że jestem lekkomyślny. Ale to zbyt ryzykowna historia. Oddziałom w pierwszej linii nie należy ufać. Żołnierze mogą być zdenerwowani, spragnieni krwi. Bóg wie dlaczego. Może strzelec wyborowy zastrzelił im niedawno kolegę? Może mają pośród siebie Żydów, których krewni cierpią w Buchenwaldzie? A zresztą, w dzisiejszej Francji nikt mi nie zaręczy, że dobrnę do Amerykanów lub Anglików. Pomyśl tylko! Stąd do Cherbourga byle żabojad ma broń i, póki czas, pragnie zabijać Niemców. O nie, bracie! Ja chcę zdezerterować, nie umrzeć.

„Rozsądny facet - pomyślał z uznaniem Diestl. - Potrafi wszystko przewidzieć, wykombinować z góry. Nic dziwnego, że dobrze mu się wiodło w wojsku. Robił takie zdjęcia, jakich potrzebowało Ministerstwo Propagandy. Miał pierwszorzędny

przydział w paryskiej redakcji. Długi czas kwaterował w luksusowym apartamencie i w ogóle opływał w dostatki".

- Pamiętasz moją przyjaciółkę, Simone? - zapytał fotoreporter.

- Co? - zdziwił się Diestl. - Nie rzuciłeś jej dotąd?

Brandt żył z Simone już w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, a Christiana poznał z nią podczas jego pierwszego urlopu w Paryżu. Poszli razem na kolację i Simone sprowadziła nawet koleżankę. Jakże miała na imię? Aha, Françoise, była lodowato zimna i nie kryła pod korcem niechęci do Niemców. Cóż, Brandtowi wiodło się w tej wojnie! Korzystał na dwie strony, bo nosząc mundur zdobywców był prawie obywatelem francuskim i po francusku gadał bez zająknięcia.

- Naturalnie, że nie rzuciłem Simone - obruszył się Brandt. - Dlaczego miałbym ją rzucić?

- Nie wiem... - uśmiechnął się Diestl. - No, nie bądź zły... Zdziwiłem się po prostu, że to trwa tak długo... Hm... Cztery lata... Podczas wojny...

Dobrze pamiętał Simone. Była bardzo ładna. Lecz wyobrażał sobie zawsze, że Brandt, mając tak wiele możliwości, szybko zmienia szampańskie kobiety.

- Chcemy się pobrać zaraz po zakończeniu tej piekielnej wojny - oznajmił fotoreporter stanowczym tonem.

Dopędzili właśnie długą kolumnę maszerującą rzędem po przydrożku. Promienie księżyca połyskiwały blado na żołnierskiej broni. Christian zwolnił.

- Oczywiście - bąknął. - Oczywiście... Masz słuszość... „Ach, ten Brandt - pomyślał zazdrośnie. - Szczęściarz z głową na karku. Nie był ranny. Ma za sobą przyjemną, wesołą wojnę, a przed sobą dostatnie, wygodne życie. Wszystko przygotowane, zaplanowane".

- Teraz walę prosto do Simone - ciągnął żywo oficer - zrzucam mundur i przebieram się po cywilnemu. Nosa nie wytknę z jej mieszkania, póki nie przyjdą Amerykanie. Wtedy, jak miną pierwsze dni podniecenia, Simone pójdzie do ich żandarmerii i zamelduje o mnie. Powie, że ma u siebie niemieckiego oficera, który chce się poddać. Amerykanie to ludzie bez zarzutu. Jeńców traktują po dżentelmeńsku. A zresztą, wojna skończy się rychło, uwolnią mnie więc, a ja ożenię się z Simone i znów zacznę malować.

„Wybraniec losu - medytował Diestl. - Cała przyszłość dowcipnie obmyślona: żona, kariera artystyczna, wszystko”.

- Słuchaj, Christian! - podjął gorąco Brandt. - Ta kombinacja i tobie się przyda.

- Co takiego? - zapytał Diestl z uśmiechem. - Czy Simone chce i mnie poślubić?

- Nie żartuj. Simone ma duże mieszkanie. Dwa pokoje sypialne. Możesz u niej przeczekać. Za porządnym z ciebie chłop, żebyś miał utonąć w wojennym bagnie. - Brandt zatoczył ręką szeroki łuk, jak gdyby chciał nim objąć żołnierzy wlokących się poboczem, brzemienne śmiercią niebo i walące się państwa. - I tak zrobiłeś swoje. Ba! więcej niż swoje. Dziś każdy, kto nie jest zdeklarowanym durniem, powinien ratować własną skórę. - Ostrożnie, błagalnym gestem dotknął ramienia sąsiada. - Posłuchaj, Christian. Od tamtego dnia na drodze do Paryża często cię wspominałem, niepokoiłem się o ciebie, myślałem, że gdybym mógł wyciągnąć z tego bałaganu tylko jednego żywego kolegę, wybrałbym ciebie. Po wojnie bardzo nam będą potrzebni tacy jak ty ludzie. Musisz się ratować. To obowiązek wobec ojczyzny. Jeżeli nawet sądzisz, że człowiek nie jest winien nic samemu sobie. Christian!... Zostaniesz ze mną? Zostaniesz?

- Czy ja wiem... Może...

Potrząsnął głową, aby spędzić sen z powiek, i ostrożnie wyminął ciężki samochód pancerny, który barykadował drogę. Trzech żołnierzy pracowało przy nim gorączkowo, świecąc sobie mdłym blaskiem ślepych latarek kieszonkowych.

- Czy ja wiem?... Może... Ale najpierw trzeba dostać się do Paryża. Tam będziemy mieli czas na myślenie, co dalej robić.

- Dostaniemy się do Paryża! - zawołał Brandt. - Teraz jestem pewien, absolutnie pewien!

Nazajutrz późnym wieczorem przyjechali do Paryża. Na ulicach ruch był nieznaczny i jak zwykle panowały ciemności. Na ogół jednak Christian nie widział zmian od swoich poprzednich odwiedzin w stolicy, na długo przed inwazją. Tak samo przemykały niemieckie wozy sztabowe, a od czasu do czasu spacerujący żołnierze wybuchali gromkim śmiechem lub migąło mdle światelko, gdy ktoś uchylił drzwi kawiarni. Mijając Plac Opery Christian zauważył, że paryskie prostytutki wytrwały na posterunku. Tłumnie snuły się w mroku i głośno zaczepiały szare sylwetki w mundurach.

„Świat handlowy nie próżnuje - pomyślał z goryczą. - Nieprzyjaciel może być o tysiąc kilometrów lub na krańcach miasta, w Algierze lub w Alençon... Wszystko jedno!"

Fotoreporter był teraz baczny, skupiony. Siedział wyprostowany, sapał głośno i wskazywał drogę w labiryncie zaciemnionych ulic. Christian przypomniał sobie jazdę z Brandtem paryskimi bulwarami. Hardenburg zajmował wtedy miejsce obok sierżanta Himmlera, który z miną zawodowego przewodnika wymieniał wszystkie godne uwagi miejsca, prowadził wóz i w wolnych chwilach sypał dowcipami. Był ożywiony, wesoły... Himmler - garść kości przysypanych afrykańskim piaskiem... Hardenburg - samobójca z Włoch. Ale Brandt i Diestl żyją, jadą tymi samymi ulicami, wdychają ten sam aromat starożytnej stolicy, mijają te same gmachy i pomniki stojące nad wieczną rzeką...

- Tutaj - szepnął fotoreporter. - Stań tutaj.

Christian zahamował i zgasił silnik. Był do cna wyczerpany, spostrzegł jednak, że są przed garażem o szeroko rozsuwanych wrotach i cementowanym zjeździe po równi pochylej.

- Poczekaj na mnie - rzucił Brandt wyskakując z wozu.

Zastukał do drzwi w lewym rogu zjazdu, a kiedy się otwarły, wszedł do garażu. Podobnie Himmler zniknął niegdyś za drzwiami burdelu... Mauretańskie draperie, butelki mrożonego szampana i zagadkowy uśmiech na purpurowych ustach brunetki. „Zwycięski żołnierz... w dniu zwycięstwa... Osobliwy gust..." - powiedziała drwiąco dziewczyna. A Brandt: „Niedługo przekonasz się, że osobliwi z nas ludzie. No, umykaj do roboty". Zielony jedwabny szlafrok w rękach sierżanta Himmlera, a później „1918" nagryzmołone kredą na murze...

„Ach, ci Francuzi! - przemknęło Christianowi przez jakieś odległe zakamarki mózgu. - jeszcze raz nas dostaną".

Przerażliwie zgrzytnęły rozsuwane wrota. Z półmrocznego garażu padł na zjazd ponury, żółtawy odblask. Brandt wyszedł spieszenie na chodnik i niespokojnie rozejrzał się po pustej ulicy.

- Wjeżdżaj! - rzucił szeptem. - Prędko!

Christian nacisnął starter, cofnął wóz, skrzył i szybko wjechał do obszernego garażu. Z trudem przeciskał się wąskim przejściem obok kilku ukrytych plandekami samochodów. Rozglądał się dokoła.

- W porządku - usłyszał za sobą głos fotoreportera. - Stój!

Zgasił silnik i wygramolił się z wozu. Brandt nadchodził z jakimś drugim mężczyzną, niskim, otyłym, ubranym w myśliwski kapelusz, który w ciemnym garażu sprawiał wrażenie groteskowe, a zarazem posępne.

Jegomość w myśliwskim kapeluszu okrążał wolno samochód. Raz po raz poszturchiwał go, obmacywał badawczo.

- Ujdzie - mruknął wreszcie po francusku i zniknął w małym kantorze, skąd dobywało się przyćmione światło niewidocznej lampy.

- Słuchaj - powiedział Brandt. - Sprzedałem wóz. Siedemdziesiąt pięć tysięcy franków. Przyda nam się ta forsa i starczy na parę tygodni. No, zbierajmy graty. Dalej pójdziemy pieszo.

Machnął plikiem banknotów. Christian nie widział ich dobrze, ale wyraźnie słyszał szelest papieru.

„Siedemdziesiąt pięć tysięcy franków! - myślał pomagając Brandtowi wyładować z wozu chleb, szynkę, ser i calvados. - Tego faceta nic nie zmoże! Na całym świecie ma stosunki handlowe i przyjaciół gotowych na każde skinienie”.

Człowiek w myśliwskim kapeluszu wrócił z dwoma jutowymi workami, w które Brandt i Diestl zaczęli ładować swoje zapasy. Francuz nie kwapił się z pomocą. Stał w gęstym cieniu i obserwował obojętnie, a kiedy pakowanie dobiegło końca, wprowadził Niemców na kilka stopni i otworzył drzwi.

- *Au revoir, monsieur* Brandt. Życzę miłego pobytu w Paryżu.

Głos był chłodny, bezbarwny, lecz dźwięczał ledwie uchwytną nutą szyderstwa i przestrogi. Christian miał ochotę chwycić Francuza za kark, pociągnąć do światła i obejrzeć dokładnie. Zatrzymał się nawet, ale towarzysz szarpnął go za rękaw i wyciągnął na chodnik. Drzwi zamknęły się za nimi. Klucz zachrobotał cicho w zamku.

- Tędy - powiedział Brandt i dźwigając na plecach worek z łupem skręcił w prawo. - To całkiem blisko.

Diestl włókł się za nim pustą, ciemną ulicą. Chciał zapytać o małego spasionego Francuza, dowiedzieć się, po co mu samochód i jak go wykorzysta. Postanowił jednak odłożyć to na później, gdyż był bardzo zmęczony. Brandt szedł szybko, bez słowa. Widać spieszył się do domu przyjaciółki.

Po drodze nie spotkali nikogo. Wreszcie fotoreporter zatrzymał się przed trzypiętrową kamienicą i nacisnął dzwonek. Nieprędko drzwi otworzyły się lub raczej uchyliły. Brandt szepnął coś przez szparę. Po drugiej stronie odpowiedział głos starej kobiety, zrazu opryskliwy, później, kiedy gość dał się poznać, ciepły i przyjazny. Szczęknął łańcuch. Drzwi otwarły się szeroko. Christian ruszył za swoim opiekunem. Minął zakutaną w płaszcz dozorczynię i po omacku znalazł pierwszy stopień.

„Ach, ten Brandt - myślał. - Wie dokładnie, do jakich drzwi zakłatać i co powiedzieć, żeby się otworzyły”.

Ktoś nacisnął guzik automatu. Błysnęło światło elektryczne. Christian zorientował się, że jest w solidnym, mieszczańskim domu, na czysto utrzymanych marmurowych schodach.

Po dwudziestu sekundach lampy zgasły i trzeba było iść po ciemku. Schmeisser Christiana zsunął się z ramienia i mocno stuknął o ścianę.

- Cicho! - syknął Brandt. - Uważaj!

Na następnym podeście przycisnął guzik i znowu włączyło się światło na dwadzieścia sekund.

„Oszczędni ci Francuzi” - pomyślał Diestl.

Na ostatnim piętrze fotoreporter zastukał cicho do drzwi. Odemknęły się zaraz, jak gdyby ktoś czekał niecierpliwie na ten znak. Smuga światła zalała podest i Christian ujrzał kobietę w powłóczystym szlafroku. Padła w ramiona Brandta i szlochając histerycznie zaczęła powtarzać:

- Jesteś!... *Chéri!*... Jesteś! Jesteś! Jesteś!... *Chéri!*

Christian stał nieporadnie pod ścianą. Gładził kolbę schmeissera i przyglądał się powitalnym uściskom, wyrażającym raczej ulgę niż namiętność. Były nieładne, łzawe, wzruszające. Podobnie żona mogłaby pieścić odzyskanego męża w zaciszu małżeńskiej sypialni; toteż intruz czuł się zawstydzony, zakłopotany.

Wreszcie Simone cofnęła się i przerywając sobie łkanie śmiechem odrzuciła w tył długie, proste włosy. Ale jedną ręką ścisnęła ramię kochanka, jak gdyby podejrzewała, że w każdej chwili może zniknąć.

- Teraz mam czas na honory domu - powiedziała miękko, melodyjnym głosem, który Christian doskonale pamiętał; z uśmiechem spojrzała na niego.

- Przypominasz sobie Diestla? - zapytał Brandt.

- Naturalnie! Oczywiście! - Żywo wyciągnęła rękę i mocno uścisnęła dłoń gościa. - Z radością pana witam. Często rozmawialiśmy o panu. Proszę. Proszę dalej. Nie będziemy przecież tu nocować.

Wszyscy weszli do przedpokoju i Francuzka zamknęła drzwi. Klucz zgrzytnął w zamku przytulnie, po domowemu. Goście pospieszyli za gospodynią do bawialni, gdzie pod oknem, na tle zasuniętej kotary stała kobieta w pikowanym szlafroku. Twarz miała w cieniu, bo tylko jedna niska lampa paliła się na stoliku koło kanapy.

- Rzućcie gdzieś swoje rzeczy... Ach, mój Boże, na pewno chcecie się umyć... No i umieracie z głodu, prawda? - paplała Simone w przypiływie niewieściej troskliwości. - Mamy trochę wina. Na taką okazję trzeba otworzyć butelkę. Françoise! Spójrz, kochanie, kto przyszedł! Jak to cudownie! Cudownie!

Françoise to ta nieprzyjaciółka Niemców. Diestl patrzył posępnie, jak kobieta opuszcza posterunek przed oknem i podaje rękę fotoreporterowi. Wydała mu się jeszcze ładniejsza niż wspomnienie - wysoka, smukła, z węzłem kasztanowatych włosów i prostym, kształtnym nosem nad stanowczo wykrojonymi ustami.

- Tak się cieszę, że wróciłeś - powiedziała i zwróciła się do drugiego gościa przyjaciółki. - Serdecznie witam, sierżancie Diestl.

- Gorąco uścisnęła mu dłoń.

- Co? Pani mnie pamięta? - zdziwił się wymawiając starannie francuskie słowa.

- Oczywiście. Nieraz pana wspominałam - odpowiedziała patrząc mu prosto w twarz.

„Zielonkawe, zagadkowe oczy - pomyślał Christian. - Dlaczego się uśmiecha? Co chce mi dać do zrozumienia mówiąc, że nieraz mnie wspominała?”.

- *Chéri* - Simone zwróciła się do Brandta. - Françoise mieszka u mnie od miesiąca. Wyeksmitowano ją z mieszkania. Naturalnie wasza armia!

Zrobiła czarującą, niby to zagniewaną minkę. Brandt wybuchnął śmiechem i pocałował kochankę. Przez chwilę gładziła go po ramionach, jak gdyby nie mogła się od niego oderwać. Christian zauważył, że Simone wygląda znacznie starzej. Nadal była szczupła i zwinna, ale dokoła oczu miała gęste zmarszczki, a jej cera zmatowiała i wyschła.

- Na długo panowie przyjechali? - zapytała Françoise.

Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie. Później Christian rozpoczął rzeczowym tonem:

- Jak dotąd, nasze plany nie są ustalone. Zapewne...

W tej chwili usłyszał piskliwy, niemal histeryczny śmiech. Chichot Brandta dźwięczał nutą szyderstwa i wstydlivej ulgi.

- Daj spokój, Christian! - zawołał fotoreporter. - Nie bądź taki diabelnie poprawny. Plany mamy ustalone. Chcemy doczekać tutaj końca wojny.

Wtedy Simone się załamała. Usiadła na brzeżku kanapy i kochanek musiał ją długo uspokajać i pocieszać. Christian spojrzał na Françoise i, jak mu się zdawało, dostrzegł w jej oczach błysk zimnego szyderstwa. Ale Françoise odwróciła się zaraz i przeszła dyskretnie na dawne miejsce pod oknem.

- Słowo daję - mówiła Simone - komiczna historia. Nie mam pojęcia, czemu beczę. Robię się całkiem podobna do mojej mamy, co płacze, kiedy jest szczęśliwa, płacze, kiedy jej smutno, płacze dlatego, że słońce świeci albo deszcz zaczyna padać. No, idźcie, idźcie już, chłopcy. Doprowadźcie się do porządku. A jak wrócicie, będę taka rozsądna, jak... jak nie wiem co!... I przygotuję wspaniałą kolację. Idźcie. Nie przyglądajcie mi się tak. Idźcie.

Brandt uśmiechał się niemądrze, rozczulajaco, niby dziecko, które wróciło do domu. Uśmiech ten raził na pomarszczonej inteligentnej twarzy, umazanej potem i pyłem długiej podróży z Normandii.

- No, jazda, Christian - rzucił fotoreporter. - Trzeba się z grubsza oskrobać.

Wyszli z bawialni, a Diestl spostrzegł ze zdziwieniem, że kobiety nie patrzyły na nich, kiedy opuszczali pokój.

W łazience, gdzie ze względu na trudności opałowe z kranów ciekła tylko zimna woda, Brandt zaczął gadać, kiedy jego towarzysz cudzym grzebieniem czesał ciemne włosy.

- Widzisz, jest w tej kobiecie coś, czego nie znalazłem dotychczas w żadnej... Coś, co mi szczególnie odpowiada... Ona mnie niczym nie razi... Śmieszne, prawda? Może inne oceniałem zbyt surowo. Każda była za chuda albo za próżna, albo trochę za głupia... Dwa, trzy tygodnie... Dłużej nie wytrzymałem... A Simone... Cóż, wiem, że jest sentymentalna... Widzę, że się starzeje. Widzę jej zmarszczki. Kocham ją za to. Brak jej sprytu. Kocham ją za to. Ma oczy na mokrym miejscu. Kocham ją za to. Choć jedną niewątpliwą korzyść przyniosła mi wojna - dodał tonem bardzo serio.

Potem, jak gdyby wstyd mu się zrobiło, że powiedział za wiele, odkręcił kran i głośno zaczął spłukiwać mydło z twarzy i szyi. Był nagi do pasa i Christian z ironicznym współczuciem spojrzał na sterczące żebra i łopatki przyjaciela, na ramiona szczupłe jak u słabowitego niedorostka.

„Ładny kochanek - myślał. - Ładny żołnierz! Że takie coś mogło przetrzymać cztery lata wojny!”.

Brandt wyprostował się i zakrył twarz ręcznikiem. Jego poważny, życzliwy głos zabrzmiał głucho przez tłumik włochatej tkaniny.

- Christian, zostaniesz ze mną, prawda?

- Przede wszystkim - odparł Diestl szeptem - co tu robi ta druga?

- Françoise? - fotoreporter machnął ręką. - Nie przejmuj się nią. Miejsca starczy. Możesz spać na kanapie... Albo - dodał z uśmiechem - dogadaj się z Françoise i kanapa będzie niepotrzebna.

- Nie chodzi mi o tłok.

Brandt sięgnął do kranu, żeby zakręcić wodę, ale Diestl chwycił go za rękę i rzucił szorstko.

- Zostaw to!

- Co z tobą, Christian? - zdziwił się fotoreporter.

- Ta Françoise nie cierpi Niemców. Może narobić nam zmartwienia.

- Nonsens! - Brandt zakręcił kran zdecydowanym ruchem. - Znam ją. Na pewno cię polubi. No, Christian! Powiedz, że zostaniesz z nami. Powiedz!

- Dobrze. Zostanę.

Oczy Brandta zabłysły radośnie, lecz ręka drżała mu lekko, kiedy klepał przyjaciela po ramieniu.

- Mamy spokój, Christian - szepnął. - Nareszcie mamy spokój.

Odwrócił się nieporadnie i naciągnąwszy koszulę wyszedł z łazienki. Diestlowi nie było pilno. Wolno wkładał koszulę. Starannie zapinał guziki. Raz po raz patrzył w lustro na zapadnięte oczy i głębokie bruzdy na policzkach. Studiował mapę strachu, trosk i przemęczenia, skreśloną wyraźnie na własnej twarzy. Potem przysunął się do lustra i z bliska obejrzał włosy. Siwizna gęsto upstrzyła czerń jasnymi pasmami - szczególnie na skroniach.

„Mój Boże! - pomyślał Christian. - Jeszcze nigdy tego nie spostrzegłem. Starzeję się, okropnie starzeję...”. Wstyd mu się zrobiło, że na chwilę uległ fali współczucia dla samego siebie, przemógł się więc, wyprostował i pewnym krokiem opuścił łazienkę.

W bawialni było zacisznie, przytulnie. Dyskretnie osłonięta lampka barwiła różowym odbłaskiem półciemny pokój i długą, smukłą sylwetkę wyciągniętą na miękkiej kanapie.

Brandt i Simone poszli już do łóżka. Mijając przedpokój trzymali się za ręce jak dobrze zdomowiona para. Po kolacji i niezbyt dokładnej opowieści o przeżyciach kilku ostatnich dni fotoreporter zaczął drzemać na krześle. Kochanka ujęła go pod ramię, dźwignęła i wyprowadziła uśmiechając się tklawie, niemal po macierzyńsku. Christian został sam z Françoise.

- Wojna skończona - bełkotał Brandt po drodze. - Wojna skończona, chłopcy! Teraz idę spać! Żegnaj, poruczniku Brandt, ozdobo sił zbrojnych Trzeciej Rzeszy! Żegnaj, wojaku! Jutro malarz-dekadent, twórca bezprzedmiotowych obrazów zbudzi się w cywilnym łóżku u boku żony. - Miękkim, półsennym gestem wyciągnął ręce w stronę Françoise. - Bądź dobra dla mojego druha! Kochaj go czule. To człowiek najlepszy z najlepszych. Silny, wrażliwy, zahartowany w ogniu. Prawdziwa przyszłość nowej Europy. Jeżeli w ogóle nastanie jakaś nowa Europa i będzie miała jakąś przyszłość... Kochaj go czule, Françoise!

Simone popychała go łagodnie ku drzwiom sypialni. Kiwała głową i powtarzała tklawym tonem:

- Od wina język mu się poplątał. Słowo daję! Od wina język mu się poplątał.

- Dobrej nocy! - zabrzmiał głos Brandta w przedpokoju. - Życzę wam dobrej nocy, najmilszy przyjaciele!

Potem drzwi się zamknęły i cisza nastąpiła w małej kobiecej bawialni, gdzie były meble z jasnego drewna i mroczne nocą lustra, i ozdobne poduszki o pastelowych barwach, i srebrna ramka z przedwojenną fotografią Brandta w baskijskim berecie i kraciastej wełnianej koszuli.

Diestl spojrział na Françoise. Leżała wsparta na poduszkach. Twarz miała w cieniu, ręce splecione za głową. Patrzyła w sufit. Pod pikowanym szlafrokiem ciało jej było nieruchome. Tylko od czasu do czasu prostowała stopę w atłasowym pantofelku

bez obcasa. Palcami wskazywała wałek kanapy i przybierała znów poprzednią pozę. Jak przez mgłę Christian przypomniał sobie inny pikowany szlafrok - krwistoczerwony, okrywający Gretchen Hardenburg, kiedy zobaczył ją pierwszy raz na progu solidnych dębowych drzwi berlińskiego mieszkania. Przez chwilę myślał, co dzieje się z nią teraz. Czy żyje? Czy jej dom stoi? Czy mieszka nadal ze szpakowatą, barczystą Francuzką?

- Biedny, zmęczony żołnierz - odezwała się Françoise z kanapy. - Bardzo zmęczony. Mówię o naszym poruczniku.

- Tak, zmęczony - przyznał Christian przyglądając się jej bacznie.

- Miał ciężkie przeżycia. Ostatnie tygodnie nie były przyjemne, prawda? - Wolno wyprostowała stopę.

- Niezbyt przyjemne.

- Amerykanie - ciągnęła Françoise bezdźwięcznym, spokojnym tonem - są potężni, mają całkiem świeże siły.

- Zapewne.

Kobieta poruszyła się lekko i jej smukłe kształty inaczej zarysowały się pod szlafrokiem.

- Tutejsza prasa powtarza ciągle, że sytuacja rozwija się zgodnie z planem. - Senny głos dźwięczał wyraźną nutą ironii. - Postępy nieprzyjaciela są chytrze opóźniane. W stosownej chwili nastąpi niespodziewane przeciwnatarcie. Prasa jest nastrojona bardzo optymistycznie. Pan Brandt powinien czytywać więcej gazet. - Parsknęła śmiechem, który byłby wdzięczny i ujmujący, gdyby rozmowa tyczyła innych spraw. - Pan Brandt nie sądzi, że nieprzyjaciel będzie zatrzymany. Przeciwnatarcie byłoby dla niego prawdziwą niespodzianką, prawda?

- Tak mi się zdaje - powiedział lakonicznie Christian i dodał w myśli: „Do czego ona zmierza?”.

- A co z panem? - szepnęła Françoise bardziej w ciche powietrze bawialni niż pod adresem Diestla.

- W pewnym sensie podzielam zdanie Brandta.

- Pan jest również zmęczony.

Usiadła i przywarła wzrokiem do Christiana. Usta jej ułożyły się w wyraz łagodnego współczucia, lecz pod ciężkimi powiekami czyhał w zielonych oczach utajony śmiech.

- Pewnie najchętniej poszedłby pan spać, prawda?

- Nie w tej chwili. Nieraz już byłem znacznie bardziej zmęczony.

- Nagle wydała mu się nieznośną myśl, że opuści go ta długonoga, zielonooka, drwiąca kobieta.

- Wspaniały z pana żołnierz. - Françoise położyła się znowu. - Opanowany, niestrudzony. Jak armia złożona z takich ludzi może przegrać wojnę?

Diestl patrzył na nią nienawistnie. Leniwym ruchem przekreśliła głowę na poduszkach, żeby go lepiej widzieć. Długie mięśnie pod białą skórą szyi drgnęły i nakreśliły nowy wzór światła i cieni. Między karkiem a półodsloniętym ramieniem ciało błysnęło matowo, niby kość słoniowa. Christian nie odrywał od niej wzroku i myślał, że z rozkoszą całowałby to miejsce.

- Znałam podobnego do pana chłopca - podjęła Françoise uśmiechając się tym razem bezpośrednio do niego. - To był Francuz. Mocny człowiek. Bezkompromisowy. Gorący patriota. Nigdy nie utyskiwał. Muszę przyznać, że bardzo go kochałam - głos zabrzmiał niższym, głębszym tonem. - Poległ w czterdziestym roku podczas odwrotu. Czy i pan chce zginąć, sierżancie?

- Nie. Nie chcę zginąć.

- To dobrze. - Pełne wargi ułożyły się w ledwie dostrzegalny uśmiech. - Zdaniem swojego przyjaciela jest pan najlepszym z najlepszych i przyszłością nowej Europy. Czy naprawdę uważa pan siebie za przyszłość nowej Europy?

- Brandt był pijany.

- Pijany? Możliwe. Na pewno nie chce się panu spać?

- Na pewno.

- Ale wygląda pan na bardzo zmęczonego.

- Nie jestem śpiący.

Françoise pokiwała głową.

- Niestrudzony, zawsze przytomny sierżant. Nie chce pójść do łóżka. Woli czuwać i kosztem osobistej ofiary bawić samotną francuską damę, która nie wie, co ze sobą robić, póki Amerykanie nie wkroczą do Paryża...

Zakryła oczy wierzchem dłoni. Luźny rękaw opadł i odsłonił szczupły przegub i długie spiczaste paznokcie.

- Jutro - podjęła - umieścimy pańskie nazwisko na liście kandydatów do Legii Honorowej drugiej klasy za usługi wyświadczone narodowi francuskiemu.

- Dość tego! - syknął Christian nie ruszając się z krzesła. - Proszę ze mnie nie kpić!

- Kpić z pana? - szepnęła głucho. - Nawet mi to w głowie nie powstało. Niech pan powie, sierżancie, jako żołnierz i znawca spraw wojskowych: ile czasu upłynie do przyjscia Amerykanów?

- Dwa tygodnie. Może miesiąc.

- Aa... Czeka nas zatem szereg interesujących dni.

- Tak.

- Chciałabym panu coś powiedzieć, sierżancie.

- Co takiego?

- Często wspominałam naszą wspólną kolacyjkę. Kiedy to było? W czterdziestym roku? W czterdziestym pierwszym?

- W czterdziestym.

- Miałam wtedy na sobie białą suknię, a pan pięknie wyglądał w paradnym mundurze. Wysoki, prosty, inteligentny, olśniewający. Prawdziwy młody bóg zmotoryzowanej wojny.

Françoise zachichotała.

- Znowu drwi pani ze mnie - obruszył się Diestl. - To nic przyjemnego.

- Wywarł pan na mnie kolosalne wrażenie - podniosła rękę, jak gdyby chciała zapobiec protestom, z którymi Christian wcale się nie kwapił. - Naprawdę kolosalne! Ale byłam dla pana lodowato zimna. - Znowu zadzwęczał krótki, stłumiony śmiech. - Nie ma pan wyobrażenia, ile starań kosztował mnie ten pozorny chłód. Przyznaję otwarcie, że nie jestem odporna na wdzięki młodych mężczyzn. A pan był wspaniały, sierżancie! - Senny, urzekający głos szemrał w półmrocznej, kulturalnie urządzonej bawialni: zdawał się odległy i nierealny. - Wspaniały! Upojony triumfem zdobywcy, arogancki, piękny. Nie brak mi woli, ale ostatkiem sił trzymałam się na wodzy. Teraz jest pan mniej arogancki. Prawda, sierżancie?

Christian pomiędzy snem a jawą płynął biernie z subtelnym, pachnącym, niebezpiecznym nurtem.

- Prawda - powiedział. - Teraz daleko mi do arogancji.

- Ustąpiła miejsca zmęczeniu - szepnęła kobieta. - Trochę pan osiwił... No i zauważyłam, że utyka pan na jedną nogę. A w czterdziestym roku niepodobna było uwierzyć, że pan się kiedyś zmęczy. „Ten człowiek może zginąć - myślałam. - Spłonąć w jednym wspaniałym wybuchu płomieni. Ale zmęczyć się? Nigdy!“. Cóż, dziś jest pan inny sierzancie, zupełnie inny. Według utartych pojęć trudno nazwać pana urodziwym. Kulawy mężczyzna w średnim wieku, o szpakowatych włosach i mizernej, zniszczonej twarzy. Muszę jednak coś wyznać, sierzancie. Dziwaczka ze mnie. Mam szczególne gusty. Obecnie nie błyszczy pan paradnym mundurem. Cerę ma pan ziemistą. Nikt nie dopatry się podobieństwa między panem a tamtym młodym bogiem zmotoryzowanej wojny. - Jeszcze raz zadźwięczał śmiech. - Ale to nic, sierzancie. Dzisiaj pociąga mnie pan silniej, nieporównanie silniej.

Umilkła. Głos działający niby opium rozplynał się w cieniach między spiętrzonymi poduszkami.

Christian wstał, zbliżył się i przez chwilę pochłaniał wzrokiem kobietę. Oczy miała szeroko otwarte, uśmiechnięte, błyszczące.

Szybko klęknął koło kanapy i zaczął całować Françoise.

Po ciemku leżał obok niej w łóżku. Rozsunięte kotary poruszały się lekko od podmuchów nocnego wietrzyka. Srebrne światło księżyca dobywało z mroku niewyraźne kontury toaletki i krzeseł zarzuconych ubraniami.

Christian miał za sobą płomiennie, świadome, upajające przeżycie - kamień milowy w wędrówce pośród kobiet. Gwałtowny przypływ pożądania i rozkoszy zmył godziny ucieczki i wszystkie związane z nią wspomnienia: smród kolumny sanitarnej, uciążliwy marsz, śmierć francuskiego chłopca, rower, piasek w zbolałych oczach podczas jazdy skradzionym samochodem, posępne szosy pełne niemieckich zbiegów... Wojna zniknęła. Odeszła z tego miękkiego łóżka i z pokoju skąpanego w księżycowym blasku. Christian zdawał sobie sprawę, że po raz pierwszy, i to pod koniec gry, ziściła się jego zapomniana z biegiem lat wiara we wspaniałą, niezwykłą, doświadczoną kobietę, którą spodziewał się znaleźć od dnia, gdy przybył do Francji.

Nieprzyjaciółka Niemców! Uśmiechnął się i zwrócił twarz w jej stronę. Poduszkę zakrywała pachnąca gęstwiną długich ciemnych włosów. Françoise leżała bez ruchu. Końcami palców dotykała lekko jego uda. W dyskretnym, bladym świetle oczy miała zagadkowe, głębokie.

- Widzę, że nie byłeś taki znów strasznie zmęczony - szepnęła.

Roześmiali się obydwójce. Christian dźwignął głowę, przywarł ustami do miejsca, gdzie szyja łączy się z ramieniem. Łakomie wdychał świeży zapach włosów i gładkiej, srebrzystej skóry.

- Coś muszę ci powiedzieć - podjęła Françoise - mimo wszystkich klęsk i odwrótów.

Przez otwarte okno wtargnął łoskot podkutych butów maszerującego oddziału. Miarowy wojskowy krok brzmiał niegroźnie, nie miał znaczenia w zacisznym pokoju pachnącym włosami i skórą kochanki.

- Wiedziałaś, że tak się stanie. Wiedziałaś od pierwszej chwili, jak cię zobaczyłam. To było straszne. Niewypowiedzianie straszne.

- Czemu czekałaś tak długo? - Spojrzał w górę na zawyły deseń, który kładły na suficie promienie księżyca załamane w lustrze. - Na Boga! Zmarnowaliśmy tyle czasu. Dlaczego wtedy tego nie zrobiłaś?

- Wtedy nie zadawałam się z Niemcami - odparła chłodno. - Uważałam, że zdobywcom nie wolno oddawać wszystkiego w kraju. Wierz lub nie wierz, wszystko mi jedno, ale jesteś pierwszym Niemcem, któremu pozwoliłam się dotknąć.

- Wierzę ci - powiedział z przekonaniem, bo rozumiał, że wśród licznych prawdopodobnych wad Françoise na pewno nie ma obłudy.

- Nie sądz, że łatwo mi to przychodziło. Nie jestem mniszką.

- Nie jesteś mniszką - powtórzył poważnie. - Tak. To pewne.

Francuzka nie roześmiała się, nie uśmiechnęła.

- Nie tylko ty byłeś - ciągnęła. - Tylu dorodnych chłopców! Taka różnorodność wspaniałych męskich typów. Ale ani jeden dotąd... ani jeden. Zdobywcom nic się nie dostało... Dopiero dzisiaj!

Diestl stropił się trochę.

- Aa... a skąd obecna zmiana? - zapytał niepewnie.

- O, teraz wszystko w porządku - wybuchnęła półsennym śmiechem. - Nie mam żadnych zastrzeżeń. Absolutnie żadnych. Kochanie! Nie jesteś już zdobywcą. Jesteś uciekinierem. - Oparła się na łokciu i pocałowała Christiana. - No, czas się zdrzemnąć, *chéri*.

Cofnęła się na swoją stronę łóżka i prawie natychmiast usnęła. Leżała na wznak z rękami opuszczonymi skromnie wzdłuż boków. Jej smukłe kształty rysowały się pod bielą prześcieradła. Równy, spokojny oddech wyraźnie było słychać w cichym pokoju.

Christian nie mógł zasnąć. Czuł się głupio, nieswojo. Leżał bez ruchu. Słuchał oddechu Françoise. Patrzył na księżyc, na sufit upstrzony jasnymi plamami. Ulicą nadchodził patrol. Zbliżający się miarowy łoskot podkutyh butów był tym razem groźny i miał znaczenie.

„Uciekinier! - myślał Diestl przypominając sobie głuchy, szyderczy śmiech, który towarzyszył temu słowu. - Christian Diestl, nie zdobywca, lecz uciekinier, otrzymał wreszcie prawo wstępu do łóżka paryżanki. Ach, ci Francuzi! Dostaną nas jeszcze raz! I co gorsza, zdają sobie z tego sprawę”.

Spod oka zerkał ku Françoise. Wydało mu się, że nawet we śnie pogardliwy, zwycięski uśmiech unosi kąciki pełnych, namiętych ust. Podparł się na łokciu. Nienawistnym wzrokiem obejmował piękny owal twarzy spoczywający na poduszce. Czuł, że gniew w nim wzbiera, że został oszukany, uwiedziony. Uwiedziony! I to w jak podstępny, szyderczy sposób! Dla jakich celów! A Brandt, pijany, przemęczony, pełen różowych nadziei, chrapie w sąsiednim pokoju. I on wpadł w pułapkę, bardzo podobną, ozdobioną również napisem „Made in France”.

Leżąc bezsennie zaczął nienawidzić Brandta za to, że z własnej woli przybiegł skwapliwie do pułapki. Przypominali mu się wszyscy, z którymi miał coś do czynienia, a którzy dziś nie żyją. Hardenburg, Kraus, Behr, dzielny francuski żołnierz walczący beznadziejnie na drodze do Paryża, chłopiec na rowerze, farmer rozstrzelany w piwnicy obok żółtej trumny, podkomendni z ostatniego plutonu w Normandii i ten półnagi Amerykanin, co w przystępie szaleńczej odwagi strzelał obok wysadzonego mostu gdzieś we Włoszech.

Dlaczego mają przetrwać ludzie słabi? Dlaczego wojna pochłania tylko mocnych? Obelżywym wyzwaniem dla wszystkich tamtych jest Brandt, cywilny spryciarz wylegujący się w jedwabiach francuskiego łóżka. Za dużo osób wie, do jakich drzwi kołatać i co powiedzieć, kiedy się uchylą. Najlepsi padli. Czy to powód, by

prosperowali gorsi? Śmierć jest skutecznym lekiem na wszystkie różowe nadzieje. W ciągu ostatnich czterech lat bliżsi niż Brandt przyjaciele marli u boku sierżanta Christiana Diestla. Czy zatem Brandt powinien żyć i pasożytować na kościach Hardenburga?

Cel uświęca środki. Ale czy celem ma być cywil Brandt? Po trzech czy czterech beztraskich miesiącach w obozie jeńców wróci do poczciwej francuskiej żonki. Będzie malował idiotyczne obrazki. Przez dwadzieścia powojennych lat będzie służył zwycięzcom, aby przebłagać ich za dzielnych nieżyjących ludzi, których w ostatniej chwili zdradził. Od początku Christian był wiernym towarzyszem śmierci. Czy dziś, u kresu, da się zwieść sentymentalnym względem przyjaźni i oszczędzi kogoś, kto na litość nie zasługuje? Czy nie nauczyły go niczego cztery lata zabijania?

Nagle poczuł, że nie ścierpi dłużej myśli o spokojnym śnie Brandta w sąsiednim pokoju, sam zaś nie wytrzyma w łóżku obok pięknej kobiety, która oszukała go tak upajająco i okrutnie. Bezszelestnie stanął na podłodze i bosy, nago zbliżył się do okna. Spojrzał na dachy pogrążonego we śnie miasta, na kominy jasne od księżycowego srebra, na wąskie, kręte uliczki pamiętające minione stulecia i poprzecinaną mostami, roziskrzoną w oddali rzekę. Jeszcze raz złowił uchem miarowe kroki - stłumione i odważne w martwym powietrzu nocy - i dostrzegł patrol u wylotu ulicy. Pięciu żołnierzy przemierzało nocą wrogie miasto. Szli powoli, ostrożnie. Byli narażeni na niebezpieczeństwo, słabi, prawie bezbronni, waleczni, bliscy, drodzy...

Diestl ubierał się spieszenie, bez hałasu. Raz jeden Françoise drgnęła i odrzuciła rękę w poprzek łóżka, jak gdyby szukała kochanka obok siebie, lecz się nie obudziła. Ramię sięgające w ciepłą jeszcze pustkę podobne było do białego węża.

Z butami w rękę Christian poczłapał do drzwi i odemknął je ostrożnie. Stojąc na progu odwrócił głowę. Françoise leżała tak, jak ją zostawił, jej wyciągnięta ręka zdawała się świadczyć o błogim, sennym nasyceniu i zapraszać pokonanego kochanka, który oczyma wyobraźni zobaczył na jej twarzy szydery, zwycięski uśmiech.

Wyszedł na schody i cicho zamknął za sobą drzwi mieszkania Simone.

W piętnaście minut później sierżant Diestl stał przed biurkiem pułkownika SS. W pogrążonym we śnie Paryżu kwatera główna SS nie spała. Jasno oświetlone pokoje, ustawiczna krzątanina na korytarzach, klekot maszyn do pisania i dalekopisów.

Wszystko to przypominało fabrykę pracującą pełną parą podczas nadliczbowych godzin nocnej zmiany.

Pułkownik za biurkiem, niski, szczupły mężczyzna, był bystry i czujny. Nosił grube okulary w rogowej oprawie, nie sprawiał jednak wrażenia oficera kancelaryjnego. Usta miał cienkie, bezbarwne, a jasnoniebieskie, powiększone oczy błyskały przenikliwie za soczewkami szkła. Przypominał oręż w każdej chwili gotowy do zadania ciosu.

- Bardzo pięknie, sierżancie - mówił. - Pojedziecie zaraz z porucznikiem von Schlainem, wskażecie ten dom i zidentyfikujecie dezertera oraz kobiety, które go ukrywają.

- Rozkaz, panie pułkowniku.

- Zupełnie słusznie przypuszczacie - podjął oficer - że wasz oddział macierzysty przestał istnieć. Pięć dni temu nieprzyjaciół doścignął go i doszczętnie zniszczył. Wykazaliście niemało sprytu i odwagi, że zdołaliście uratować życie.

Christian zdążył już zauważyć, że pułkownik posługuje się wprawnie techniką zbijania ludzi z tropu, nie wiedział więc, czy mówi serio, czy ironizuje. Czuł się więc nieswojo, lecz podejrzewał zarazem, że jego przypadek może być naprawdę wyjątkowy.

Pułkownik przeszył Christiana bystrym spojrzeniem zza okularów i mówił dalej:

- Każę wam, sierżancie, przygotować rozkaz wyjazdu do Niemiec. Tam po krótkim urlopie otrzymacie przydział do nowo formowanej jednostki. W bardzo niedługim czasie - ciągnął tonem bez wyrazu - ludzie tacy jak wy będą potrzebni na ojczyźstey ziemi. To wszystko, sierżancie. *Heil Hitler!*

Christian zasalutował i wyszedł z pokoju za porucznikiem von Schlainem, który również nosił okulary.

W małym samochodzie, poprzedzającym odkrytą ciężarówkę z żołnierzami, Christian zapytał sąsiada:

- Panie poruczniku, a... a co z nimi się stanie?

Von Schlain ziewnął i zdjął okulary.

- Jutro go rozstrzelamy - odparł. - Od dawna tracimy przynajmniej dziesięciu dezertersów dziennie, a teraz, podczas odwrotu, interesy ożywiły się znacznie. - Włożył na nos okulary i rozejrzał się dokoła. - Czy to ta ulica?

- Tak jest, panie poruczniku. Stop!

Mały wóz zatrzymał się przed dobrze zapamiętanym domem. Zgrzytnęły hamulce ciężarówki. Żołnierze zaczęli wyskakiwać na jezdnię.

- Nie wchodźcie lepiej na górę - rzucił sucho porucznik. - Mogłoby wam być nieprzyjemnie. Powiedzcie tylko, które piętro i które drzwi, a sam poradzę sobie gładko.

- Ostatnie piętro. Pierwsze drzwi na prawo.

- W porządku. To wystarczy. - Von Schlain mówił wielkopańskim, lekceważącym tonem, jak gdyby był zdania i głosił całemu światu, że armia źle wykorzystuje jego nieprzeciętne zdolności. Władczym gestem skinął na czterech żołnierzy, wszedł na parę stopni i bardzo silnie przycisnął guzik dzwonka.

Diestl stanął na krawężniku, oparł się o samochód, którym przyjechał z kwatery głównej SS. Słyszał dokładnie posępne brzęczenie dzwonka gdzieś w głębi uspiętego domu, w mieszkaniu dozorczyńni. Von Schlain uparcie przyciskał guzik i dzwonienie rozlegało się żalnym, nerwowym crescendo. Christian zapalił papierosa, zaciągnął się mocno.

„Przecież usłyszą na górze - pomyślał. - Ten von Schlain to kretyn”.

Wreszcie dozorczyńni uchyliła drzwi i powiedziała coś gniewnym, zaspanym głosem. Porucznik odszczeknął płynną francuszczyzną, a kiedy drzwi otworzyły się szeroko, wszedł do sieni na czele czterech żołnierzy. Drzwi zamknęły się za nimi.

Diestl spacerował tam i z powrotem koło samochodów. Palił zawzięcie. Puszczal gęste kłęby dymu. Zaczynało świtać. Błękitnoperłowe i srebrzyste blaski barwiły ulice i domy. Christian odczuwał to piękno i nienawidził serdecznie. Był zadowolony, że rychło pożegna Paryż i prawdopodobnie nie wróci tu już do końca życia. Niech się nim cieszą Francuzi, subtelni, chytry, zawsze zwycięscy Francuzi. On miał dosyć Paryża. To miasto wyglądało jak uroczą łąka, ale naprawdę było zdradzieckim bagnem. Kusilo wdziękiem i pięknymi nadziejami, lecz kryło w sobie pułapki podstępne, opatrzone w łakomą przynętę, fatalne dla człowieka o poczuciu godności własnej i honoru. Pozornie miękkie, tępiło każdy zwrócony przeciw sobie oręż. Pozornie radosne, wpędzało zdobywców w niezgłębioną melancholię. Dawno, na

początku wojny, Służba Zdrowia miała słuszość. Cyniczni ludzie nauki dawali żołnierzom jedyną broń stosowną dla zdobywców Paryża: trzy tubki salvarsanu.

Drzwi domu otwały się z łoskotem. Brandt w cywilnym płaszczu zarzuconym na pizamę wyszedł pomiędzy dwoma żołnierzami. Tuż za nim ukazały się Simone i Françoise w szlafrokach i domowych pantoflach. Simone szlochała konwulsyjnie, rozdzierająco, jak małe dziecko. Ale jej przyjaciółka spoglądała na eskortę wzrokiem zimnej pogardy.

Diestl zapatrzył się w fotoreportera, ten zaś odpowiedział mu tępym spojrzeniem. Twarz miał pozbawioną wyrazu, zmęczoną tylko i osowiałą po wyrwaniu z głębokiego snu. Christian poczuł wstręt do tej twarzy pomarszczonej, miękkiej, przesubtelnionej, oszukańczej, napiętnowanej nieuchwytną klęską...

„Słowo daję - pomyślał ze zdumieniem. - Ten typ nie wygląda nawet na Niemca!”.

- Zgadza się, panie poruczniku - powiedział do von Schlaina. - To on i te same kobiety.

Żołnierze wepchnęli Brandta na ciężarówkę i dość ostrożnie podnieśli tonącą we łzach rozhisteryzowaną Simone, która znalazłszy się na samochodzie, bezradnie wyciągnęła ręce do kochanka. Christian ostatecznie znienawidził dawnego przyjaciela, kiedy zobaczył tragiczny, miękki gest, jakim ujął i przytulił do policzka dłoń Simone - bezwstydnie, w obliczu kolegów, których chciał opuścić w dniu klęski.

Françoise nie przyjęła pomocy przy wspinaniu się na ciężarówkę. Przez chwilę patrzyła natarczywie na Christiana, później lekko pokiwała głową, bezradnie rozłożyła ręce i z wysiłkiem podciągnęła się sama.

„A widzisz - myślał Diestl nie odrywając od niej wzroku. - Jeszcze nie wszystko stracone, jeszcze zostało coś niecoś do wygrania...”.

Ciężarówka ruszyła. Christian wszedł do małego samochodu i zajął miejsce obok porucznika von Schlaina.

O świcie jechał paryskimi ulicami w stronę kwatery głównej SS.

Rozdział XXXII

Miasto wyglądało podejrzanie. Brakowało flag, które zdobiły okna wszystkich miejscowości po drodze z Coutances. Nie było improwizowanych transparentów na cześć oswobodzicieli, a dwaj Francuzi na widok dżipa uciekli do jakiejś sieni, chociaż Michael próbował ich przywołać.

- Zatrzymaj no - powiedział do Stellevato. - Coś tu nie bardzo.

Wóz stanął na szerokim rozjeździe u krańców miasta. Szosy, puste i zimne pod niebem chmurnego poranka, ciągnęły się w kilku kierunkach. Nie było widać ruchu na szarym asfalcie ani w miasteczku, gdzie okna pozamykano i osłonięto żaluzjami. Posępna, śmiertelna cisza zdawała się groźna po ruchliwym, gwamym miesiącu, kiedy wszystkie francuskie drogi roiły się od czołgów, kolumn transportowych, beczkowsów, armat i maszerujących oddziałów, kiedy w osiedlach tłumy mężczyzn i wystrojonych kobiet wiwatowały, śpiewały *Marsyliankę*, powiewały chorągiewkami przechowywanymi w ukryciu podczas okupacji.

- Co się stało, kolego? - zapytał Keane z tylnego siedzenia dżipa.

- Wjechaliśmy na ślepy tor?

- Diabli wiedzą! - odburknął Michael.

Sprzykrzył mu się niemiły towarzysz podróży wieziony od trzech dni z rozkazu pułkownika Pavone. Przez cały ten czas Keane paplał posępnie. Utyskiwał na ślamazarne metody prowadzenia wojny i listy żony, która raz po raz pisze, że wypłacane jej pieniądze absolutnie nie wystarczają na utrzymanie domu, gdyż wszystko wciąż drożeje. Dzięki tej gadaninie ceny masła, mięsa, pieczywa i dziecięcego obuwia utrwaliły się niezatarte w pamięci Michaela. „Jeżeli w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku zapyta mnie ktoś, ile kosztowało mielone mięso latem czterdziestego czwartego - myślał zirytowany - odpowiem bez wahania: sześćdziesiąt pięć centów funt”.

Wydobył i rozłożył na kolanach mapę. Za sobą usłyszał zgrzyt bezpiecznika pistoletu maszynowego. „Kowboj - obruszył się wewnętrznie. - Głupi, spragniony krwi kowboj!”.

Stellevato rozparł się obok Michaela na przednim siedzeniu. Palił papierosa. Hełm zsunął na tył głowy.

- Wiesz, co by mi teraz dobrze zrobiło? - odezwał się. - Butelka wina i fajna francuska dziwka.

Był zbyt młody, odważny lub głupi, by odczuć grozę pochmurnego ranka i dziwnej panoramy ulic i domów, zapewne jeszcze nie wyzwolonych.

- Miejscowość ta sama. Zgadza się. Ale coś tu paskudnie wygląda - burczał Michael zapatrzony w mapę.

Przed czterema dniami Pavone kazał mu odwieźć do dowództwa Dwunastej Armii torbę meldunków o kilkunastu miastach, gdzie ostatnio przeprowadził inspekcję. Meldunki dotyczyły stanu zakładów użyteczności publicznej, rezerw żywnościowych oraz liczby donosów na administrację cywilną powołaną przez miejscową ludność. Następnie Whitacre miał zameldować się u szefa w dowództwie pewnej dywizji piechoty. Tam jednak dowiedział się, że Pavone odjechał poprzedniego dnia i wyznaczył podwładnym spotkanie tego rana i właśnie w tym mieście, gdzie o godzinie dziesiątej miał przybyć z grupą szturmową złożoną z piechoty przewożonej i oddziałów broni pancernej.

Teraz dochodziła jedenasta, lecz prócz niewielkiej tablicy ze strzałką i napisem: „Punkt wodny”, nic nie wskazywało, by od lat był tam ktoś mówiący po angielsku.

- Jedziemy, kolego, jedziemy - odezwał się Keane. - Na co czekamy? Pilno mi zobaczyć Paryż.

Michael odłożył mapę i spojrzał na wyludnione ulice głowiąc się, co to wszystko może znaczyć.

- Nie zajęliśmy jeszcze Paryża - odburknął.

- Dziś rano BBC mówiło, że w Paryżu Niemcy prosili o zawieszenie broni. Sam słyszałem - powiedział Keane.

- Nie wiem. Mnie nie prosili.

Whitacre był zły, gdyż pod nieobecność pułkownika Pavone na nim ciążyła odpowiedzialność. Ostatnie trzy dni spędził przyjemnie i wesoło. Jechał beztrąsko przez rozświetowaną Francję. Był panem własnej woli. Nie podlegał niczym rozkazom. Ale jasno zdawał sobie sprawę, że to miasto jest dalekie od świętowania,

ponadto zaś dręczyło go przykre uczucie, że niewłaściwą decyzję powziętą w ciągu najbliższych piętnastu minut może przypłacić życiem własnym i towarzyszy.

- Bodaj to wszyscy diabli! - stuknął łokciem sąsiada. - Stellevato, zobaczymy, co się dzieje przy punkcie wodnym.

Dżip ruszył boczną uliczką w stronę widocznego w oddali mostku. Nad strumieniem był znów napis: „Punkt wodny”, a ponadto duży brezentowy zbiornik i przenośna pompa. Michael sądził zrazu, że nie ma tam ludzi, podobnie jak w całym mieście, zobaczył jednak hełm wychylający się ostrożnie ze schronu ziemnego. Młody blady żołnierz o zaspanych oczach był, jak zdawało się Michaelowi, bardzo wystraszony.

- Usłyszeliśmy wasz wóz - powiedział, a drugi żołnierz wyszedł z dołu i zbliżył się do dżipa.

- Co się tu dzieje? - zapytał Michael.

- Więcej wy nam możecie powiedzieć.

- Czy dziś o dziesiątej nie przeszła tędy grupa szturmowa?

- Nic tędy nie przeszło - odezwał się drugi żołnierz.

Był to niski, okrągły, czterdziestoletni mężczyzna o szczeciniastym, dawno nie golonym zarostcie.

- W nocy dotarła tutaj Czwarta Dywizja Pancerna - ciągnął śpiwnym szwedzkim akcentem. - Nas zostawiła, a sama skręciła na południe. Od tego czasu nic się nie działo. Tylko w mieście słyszeliśmy strzelaninę.

- Co się tam stało?

- Ode mnie nic się nie dowiesz, bracie. Mnie kazano pompować wodę ze strumienia, a nie prowadzić wywiad na własną rękę. Lasy roją się od Szwabów. No i Szwaby strzelają do żabojadów, a żabojady do nich. To nie mój interes. Ja czekam na posiłki.

- Jedźmy do miasta. Wszystko sami zobaczymy - wtrącił Keane.

- Zamknąłbyś gębę! - rzucił Michael najsroźszym, na jaki stać go było, tonem.

Odwrócił się i zmierzył Keane'a gniewnym wzrokiem, ten zaś spojrział żałośnie przez grube szkła okularów.

- Kombinowaliśmy już z kumplem, czy w ogóle nie zwiać - ciągnął niski, okrągły żołnierz. - Nikomu nic z tego, że siedzimy nad wodą niby kaczki. Rano

zawieruszył się tutaj jakiś żabojad. Gadał trochę po angielsku. Powiedział, że po tamtej stronie miasta jest ośmiuset Szwabów. Mają trzy czołgi. Podobno dziś chcą uderzyć i zrobić w tej dziurze porządek.

„Ładna historia! - pomyślał Michael. - Jasne, dlaczego nie ma flag”.

- Ośmiuset Szwabów! - zawołał Stellevato. - Wracamy do domu.

- Jak myślisz, kolego - zwrócił się do Michaela blady młodzieniec.

- Możemy tu siedzieć bezpiecznie?

- Bezpieczniej niż przy własnym kominku - wybuchnął Michael.

- Skąd, u licha, ja miałbym coś o tym wiedzieć?

- Tak się tylko spytałem. - Chłopak był wyraźnie urażony.

- A mnie się to nie podoba... wcale nie podoba - wtrącił żołnierz ze szwedzkim akcentem i niespokojnie spojrział na ulicę. - Dranie! Zostawili nas samych nad tym cholernym strumieniem. Nie mieli prawa tak nas urządzać. Nie mieli prawa!

- Nikki - zwrócił się Whitacre do młodego Włocha. - Zakręć no i stań przy drodze tak, żebyśmy mogli z miejsca bryknąć w razie potrzeby.

- A to co znowu? - szepnął Keane pochylając się do przodu. - Tchórz cię obleciał?

- Słuchaj no, generale Patton! - Michael starał się o ton jak najspokojniejszy. - Jeżeli będzie nam trzeba bohatera, nie zapomnimy o tobie. Zawracaj, Nikki!

- Wolalbym być w domu - mruknął Stellevato, ale wsiadł do dżipa i wykonał polecenie.

Następnie wydobyl pistolet maszynowy z pokrowca pod przednią szybą i kilka razy dmuchnął od niechcienia na celownik i muszkę. Niewiele to pomogło, bo kurz pokrywał broń grubą warstwą.

- No i co teraz robimy, kolego? - zapytał Keane gładząc lufę wielkimi piegowatymi łapami.

Michael spojrział na niego ze wstrętem i pomyślał: „Na pewno ten nieboszczyk brat dostał Medal Kongresu za czystą głupotę”.

- Zostaniemy tu trochę - odrzekł. - Poczekamy.

- Na co?

- Na pułkownika Pavone.

- A jak nie przyjedzie? - napierał dalej Keane.

- Postanowimy coś innego. Mam diabelnie szczęśliwy dzień! - Michael wzruszył ramionami. - Do zachodu słońca czekają mnie przynajmniej trzy decyzje!

- Moim zdaniem - podjął Keane - trzeba wypiąć się na pułkownika i walić prosto do Paryża. BBC powiada...

- Wiem, co powiada BBC - przerwał mu Whitacre - wiem, co ty powiadasz, ale ja powiadam, że zostaniemy tutaj i będziemy czekać.

Odszedł od Keane'a i usiadł na trawie pod niskim kamiennym murkiem biegnącym wzdłuż strumienia. Dwaj żołnierze porzuceni przez Czwartą Dywizję Pancerną zrobili niepewne miny, następnie zaś wrócili do swego schronu i wejście zakryli gałęziami. Stellevato ustawił pistolet maszynowy pod murkiem, położył się i zaraz usnął. Leżał na wznak. Oczy zasłonił rękami. Wyglądał jak nieżywy.

Keane usiadł na kamieniu. Wydobył ołówek i blok korespondencyjny i zaczął list do żony. Miał zwyczaj informować ją o wszystkim, co przeżył lub widział. Nie szczędził nawet mrożących krew w żyłach opisów ran i śmierci. „Niech wie, cholera, co się wyrabia na świecie - powtarzał często. - Jak zrozumie, co my tu przechodzimy, będzie pogodniej spoglądać na życie”.

Michael spojrzał w dal nad okrytą hełmem głową człowieka, który z odległości trzech tysięcy mil uczył swoją lodowatą żonę, by pogodniej spoglądała na życie. Szare, nie tknięte pociskami ściany domów i pozamykane okna bez chorągwi strzegły nadal tajemnicy.

Whitacre przymknął oczy. „Dlaczego do mnie nikt nie napisze listu? - pomyślał. - Może wtedy zrozumiałbym, co my tu przechodzimy”. Ostatni miesiąc tak obfitował w niezwykle i trudne do pojęcia wydarzenia, że na uporządkowanie ich, posegregowanie, wyłowienie właściwego sensu trzeba by było lat. Michael zdawał sobie niejasno sprawę, że to gorące francuskie lato i jazda w tumanach kurzu po wyboistych, ostrzeliwanych drogach i tłok na wszystkich szosach, i trójbarwne chorągiewki, i pocałunki dziewcząt, i kule strzelców wyborowych, i pożary - że wszystko to kryje w sobie głębokie i trwałe znaczenie. Ten miesiąc radosnych uroczystości, trudów i śmierci powinien obdarzyć człowieka kluczem do rozwiązania zagadki wojen i ucisku, zagadki Europy i Ameryki.

Od owej nocy, kiedy w Normandii pełnił służbę wartowniczą i Pavone tak bezwzględnie przywołał go do porządku, Whitacre stracił nadzieję, że może być

naprawdę przydatny. Obecnie pragnął tylko zrozumieć wojnę. Jak dotąd jednak nie potrafił sformułować ogólnych wniosków. Nie mógł powiedzieć: „Amerykanie zwyciężają, ponieważ są tacy a tacy... Tego rodzaju zachowanie zgadza się całkowicie z charakterem Francuzów... Zasadniczym błędem Niemców jest mylny pogląd na to lub owo”.

Zgiełk, zamęt, przemoc, ucisk - wszystko to tworzyło powikłany dramat o wielu wątkach, ustawicznie zaprzętało myśli Michaela. Nie dawało mu spać pomimo upałów i przemęczenia, prześladowało nawet w takich jak obecna chwila, kiedy wyczuwał grozę śmierci w spokoju i ciszy wyludnionego szarego miasteczka na drodze do Paryża.

Monotonne szemranie strumienia łączyło się z cichym, pracowitym skrzypieniem ołówka, którym Keane pisał list do żony. Michael przymknął oczy i oparł się o kamienny murek. Drzemał, gdyż miał za sobą wiele straconych godzin spoczynku, nie zapadał jednak w sen i przesiewał w myślach obłąkańcze zdarzenia minionych trzydziestu dni.

Przed wszystkim nazwy... Nazwy zalanych słońcem miast, wycięte ze stronic Prousta: Marigny, Coutances, St. Jean le Thomas, Avranches, Pontorson pojawiają się w nadmorskiej zaczarowanej krainie, spowitej w mgłę legend i piękna, a leżącej na pograniczu Normandii i Bretanii. Ciekawa rzecz, co schorowany Francuz zamknięty w wybitym korkiem pokoju miałby do powiedzenia o swoich ukochanych Prowincjach Nadmorskich podczas skwamego, śmiertelnego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku? Jakie uwagi na temat zmian dokonanych w architekturze czternastowiecznych kościołów przez stopiątki i bombowce nurkujące zamknąłby w swoich błyskotliwych, nieskończenie długich zdaniach? Jak reagowałby na widok końskich trupów w rowach pod żywo płotami z głogu i na dziwny zaduch metalu i padliny dobywający się ze spalonych czołgów? Jakie oryginalne, subtelne, beznadziejne zdania o nowych wędrówkach na drodze do Mont Saint Michel wygłaszałiby monsieur de Charlus lub madame de Guermentes?

Któregoś dnia odezwał się obok dżipa młody głos o wyraźnym akcencie ze Środkowego Zachodu: „Od pięciu dni łażę i łażę, a nie strzeliłem jeszcze ani razu. Tylko nie myśl, bracie, że jestem niezadowolony. Mnie tam wszystko jedno. Jak trzeba, mogę dreptaniem wygrać wojnę”.

A w Chartres, naprzeciwko katedry, jakiś starszawy kapitan o kwaśnej minie stał koło shermana i mówił: „Nie rozumiem, dlaczego ludzie plotą od lat o cudach tego kraju. Panie Jezu! Wszystko, co tu widziałem, potrafilibyśmy lepiej zrobić w Kalifornii”.

Na skrzyżowaniu szos, pośród saperów z wykrywaczami min, karzeł o czekoladowej cerze, ubrany w purpurowy fez, tańczy dla rozrywki czekających na wolny przejazd czołgistów. Żołnierze biją brawo i poją tancerza calvadosem darowywanym im po drodze przez ludność mijanych wiosek.

Na ulicy zbombardowanego miasteczka dwaj pijani starsi panowie wręczają Michaelowi i pułkownikowi Pavone spore bukiety piwonii i witając serdecznie oswobodzicieli pytają poważnie, dlaczego w dniu czwartego lipca, kiedy w okolicy nie było ani jednego Niemca, lotnictwo amerykańskie uważało za stosowne w ciągu pół godziny zrównać z ziemią miasto.

Albo ten niemiecki porucznik w obozie jeńców Pierwszej Dywizji! Za parę skarpetek pokazał na mapie dokładne rozmieszczenie swojej baterii, zdradzając tę tajemnicę żydowskiemu uchodźcy z Drezna, który obecnie służył w armii amerykańskiej i był sierżantem żandarmerii.

Sędziwy francuski farmer pracował ciężko przez całe rano, żeby na płocie swojej zagrody uwić z róż wielki napis: „*Welcome USA*”. A inni farmerzy z żonami i dziećmi okrywali leżące przy szosach ciała poległych żołnierzy kwiatami ze swoich ogrodów. Pod pagórkami piwonii, floksów, róż czy irysów śmierć wydawała się spokojna i piękna, a maszerująca piechota w milczeniu mijała wielobarwne kopczyki.

Tysiące, tysiące niemieckich jeńców i okropne wrażenie na myśl, że w ich twarzach nie ma nic, co by wskazywało, że oni właśnie przeorali Europę do głębi, wymordowali trzydzieści milionów ludzi, truli niewinnych w komorach gazowych, wieszali, palili, torturowali na polaci trzech tysięcy mil udreżonej ziemi. Twarze jeńców miały jedynie wyraz strachu i zmęczenia i należało przyznać uczciwie, że gdyby byli ubrani w amerykańskie mundury, mogliby wszyscy pochodzić z Cincinnati.

W małej osadzie niedaleko Saint Maló (jakże się nazywała?) pogrzeb partyzanta z francuskiego Ruchu Oporu. Artyleria grzmi ze wszystkich stron, a pochód całej ludności w najlepszych niedzielnych strojach sunie za kulawym karawanem i końmi przystrojonymi w czarne pióropusze. Na wzgórku u cmentarnej bramy wszyscy cisną się, żeby ścisnąć ręce krewnych zamordowanego bohatera. A na

zapytanie Michaela, kim był nieboszczyk, młody ksiądz, który celebrował nabożeństwo żałobne, odpowiada: „Nie wiem, przyjacielu. Ja nietutejszy”.

W Granville stary cieśla, który urodził się w Kanadzie, a ostatnio pracował przy niemieckich umocnieniach nadbrzeżnych, smutno kiwał głową: „Teraz już wszystko jedno, panie wojak. Przyszliście za późno. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, czterdziestym trzecim... tak! Wtedy wiwatowałem i radośnie ścisnął wam ręce. Cóż?... Za późno, panie wojak, za późno”. I wzruszył ramionami. W Cherbourgu piętnastoletni wyrostek złościł się na Amerykanów. „To półgłówki - wołał. - Zadają się tylko z tymi dziwkami, które żyły ze Szwabami. Demokraci, do licha! Gdzieś mam takich demokratów! Sam tymi rękami ogoliłem łby pięciu niemieckim kurwom. O, na długo przed inwazją! Kiedy to było niebezpieczne. Jak Boga kocham, wezmę się znów do golenia! Jak Boga kocham!”.

Burdel. Dziewczyny w krótkich spódniczkach, *madame* za ladą przyjmuje pieniądze od żołnierzy i powtarza rozdając ręczniki i kawałki antyseptycznego mydła: „Bądź grzeczny dla tej małej. Pamiętaj, drogi chłopcze, bądź grzeczny”. Żołnierze odchodzą do pokoi nie rozstając się z automatycznym karabinkiem lub pistoletem maszynowym.

Stellevato chrapał, ołówek Keane'a skrzypiał, szare miasteczko milczało uparcie. Michael wstał, poszedł na most i spojrzał w mętną, brunatną wodę sunącą wolno w dole. Chciał, żeby coś się stało, i to jak najprędzej. Niech ośmiuset Niemców rozpocznie atak lub, jeszcze lepiej, niech zjawi się ta grupa szturmowa, a z nią pułkownik Pavone. „Lepiej znoszę wojnę w otoczeniu setek żołnierzy - medytował Michael. - Wtedy wiem, że za nic nie odpowiadam, a tęgie, dobrze wyszkolone głowy będą się gdzieś nad moimi sprawami. Tutaj, na obrośniętym mchem starym mostku, nad bezimiennym strumieniem, w zapomnianej przez Boga i ludzi mieścinie czuję się samotny, opuszczony. Ośmiuset Niemców może przyjść i bez pardonu zastrzelić mnie. Nikogo to nie zmartwi. Nikt nie zapyta nawet, czy walczyłem, złożyłem broń albo dałem drapak. To prawie tak jak w cywilnym życiu. Nikogo nie obchodzi, czy człowiek zdechł, czy tłucze się jeszcze po świecie... No, grupie szturmowej i pułkownikowi daję pół godziny - postanowił. - Potem więcej, żeby na tyłach znaleźć jakiś amerykański oddział i przyczepić się do niego”.

Niechętnie spojrzał na szare, posępne niebo. Niskie, wzdęte chmury wyglądały złowroźnie. A dotychczas była taka śliczna pogoda! Słońce zdawało się zapowiedzią

szczęścia. Michael był pewien, że chybi go każdy strzelec wyborowy, i słusznie nie bał się śmierci, kiedy pod Avranches myśliwce ostrzeliwały szosę, on zaś skoczył do rowu i skrył się za trupem kaprała z broni pancernej. Był dobrej myśli nawet wówczas, gdy pod Saint Maló artyleria położyła ogień na dowództwo pułku. Dom dygotał od wybuchów. W ogrodzie żołnierze kryli się w lejach i dołach, a w pokoju pełnym aparatów telefonicznych, radiostacji i przemęczonych ludzi o zaczerwienionych oczach, generał, który właśnie przybył na inspekcję, wrzeszczał jak opętany: „Co, do jasnej cholery, robi obserwator w kubusiu¹?! Nie widzi tych dział, czy co? Połączyć się z nim! Powiedzieć mu, żeby zaraz zlokalizował stanowiska!”. Nawet wówczas Michael czuł, że cało wyjdzie z oparów.

Ale tego dnia coś się odmieniło. Nie było słońca i Whitacre nie wierzył w swoją pomyślną gwiazdę. Zdawało mu się, że bezpowrotnie minął wesoły, triumfalny pochód. Piękny podlotek śpiewający *Marsylianę* w barze w Nantes, spontaniczna manifestacja urządzona przez mieszkańców miasteczka Miniac na widok pierwszych piechurów, butelki koniaku rozdawane oswobodzicielom w Rennes, szpaler zakonnicy i małych dzieci wzdłuż szosy pod Le Mans, drużyna francuskich skautów, którzy z poważnymi minami maszerowali pod Alencon obok kolumn pancernych, spokojne rodziny, co korzystając ze słonecznej pogody uparcie kąpały się w wodach rzeki Vilaine, znaki „V”, flagi, dumni żołnierze z francuskiego Ruchu Oporu eskortujący jeńców - wszystko to zniknęło, jak gdyby należało do poprzedniej epoki. Dzień dzisiejszy zdawał się otwierać nową erę - erę posępną, złowieszczej szarzyzny.

Michael zwrócił się do Keane'a:

- Cóż, pojedziemy do miasta. Zobaczymy, co tam się święci.

- Dobra - powiedział Keane chowając za pazuchę blok z ołówkiem. - Znasz mnie, bracie. Ja jestem gotów na wszystko.

„Pewnie, że jesteś gotów” - pomyślał niezyczliwie Michael, zbliżył się do młodego Włocha i jak w drzwi zastukał w jego hełm.

Stellevato, pogrążony zapewne w gorących, niemoralnych marzeniach na temat rozwożenia lodu, jęknął z cicha.

- Daj mi spokój - mruknął.

¹ Kubuś - potoczna nazwa małego samolotu obserwacyjnego.

- Jazda! Wstawaj, chłopie! - Michael głośniejsz zastukał w stal hełmu. - Zaraz jedziemy wygrać wojnę.

Dwaj pancerniacz wyleźli ze swojego schronu.

- Zostawicie nas samych? - rzucił niski, okrągły żołnierz tonem głębokiej urazy.

- Dwaj przedstawiciele najlepiej wyszkolonej, najlepiej odżywionej, najlepiej uzbrojonej armii na świecie powinni w każdej chwili dać radę głupim ośmiu setkom szkopów - roześmiał się Whitacre.

- Dowcipniś z ciebie - obruszył się niski, okrągły żołnierz. - Jak można tak nas porzucać?

Michael wsiadł do dżipa.

- Nie martw się - powiedział. - Jedziemy tylko rozejrzeć się po mieście. Damy wam znać, jak będzie coś ciekawego.

- Dowcipniś z ciebie - mruknął niezadowolony pancerniak i spojrzał wymownie najpierw na swojego towarzysza, a później na samochód mijający most.

Ostrożnie, z palcami na cynglach wjechali na rynek, który zdawał się kompletnie wyludniony. Blaszane żaluzje pokrywały wystawy sklepów, drzwi kościoła były zamknięte naглуcho, a hotel sprawiał wrażenie nieczynnego od tygodni. Michael rozglądał się dokoła i czuł, że bezwiednie zaciska zęby. Nawet Keane tkwił bez ruchu i słowa na tylnym siedzeniu.

- No i co dalej? - zapytał szeptem kierowca.

- Stop! - odpowiedział Michael.

Stellevato przyhamował gwałtownie i zatrzymał się na środku placu brukowanego kocimi łbami.

Nagle zgrzytnęło coś i stuknęło głośnie. Whitacre podskoczył i uniósł pistolet maszynowy. Drzwi hotelu były szeroko otwarte i wylewał się z nich na rynek tłum ludzi. Niektórzy byli uzbrojeni w steny lub zatknięte za pas pistolety maszynowe. Pośród czapek i ciemnych czupryn mężczyzn kobiece chustki stanowiły jaskrawe, różnobarwne plamy.

- Żabojady - mruknął Keane. - Pewnie niosą nam klucze miasta. W jednej chwili dżip został otoczony, ale tym razem cywile nie mieli rozradowanych min i nie urządzali owacji. Najbliżej stanął jakiś jegomość w pumpach. Na ręku miał opaskę Czerwonego Krzyża, na głowie okrwawiony bandaż.

- Co się tu dzieje? - zapytał Michael po francusku.

- Lada chwila spodziewamy się Niemców - odpowiedziała kobieta w średnim wieku, niska, pękata, bezpłciowa istota w męskim swetrze i w męskich butach roboczych.

Mówiła po angielsku z silnym irlandzkim akcentem i Michael miał przez chwilę wrażenie, że ci ludzie robią mu jakiś złośliwy, niebezpieczny kawał.

- Jak przedarliście się do nas? - dodała.

- Po prostu wjechaliśmy do miasta. - Whitacre był zły, czuł niedorzeczną urazę do tych tchórzów. - Co się u was wyprawia?

- Po tamtej stronie miasta jest ośmiuset Niemców - wyjaśnił jegomość z opaską Czerwonego Krzyża.

- I trzy czołgi - uzupełnił Michael. - Słyszeliśmy już o tym. Czy dziś rano nie przechodziły tędy jakieś amerykańskie kolumny?

- Nie - odpowiedziała kobieta. - Przejeżdżała tylko niemiecka ciężarówka. Szwaby zastrzelili jednego z naszych. Nazywał się André Fouret. Było to o pół do ósmej. Później nic się nie działo.

- Jedziecie do Paryża? - odezwał się jegomość z opaską Czerwonego Krzyża.

Nie miał czapki na głowie. Długie ciemne włosy sterczały nad brudnym bandażem. Z workowatych pumpów wyglądały gołe łydki w krótkich skarpetkach i tenisówkach.

Michael spojrzał na niego i pomyślał: „Facet przebrał się chyba? To nie może być jego normalne ubranie”.

- No, gadajcie! - nacierał podejrzany typ zaglądając do dżipa. - Jedziecie do Paryża, co?

- Niewykluczone - bąknął Whitacre.

- Mogę was poprowadzić - ciągnął jegomość z opaską Czerwonego Krzyża. - Mam motocykl. Dopiero co stamtąd przyjechałem. To najwyżej godzina drogi.

- No, a ośmiuset Niemców i te trzy czołgi? - obruszył się Michael pewien, że grozi mu wciągnięcie w zasadzkę.

- Pojadę bocznymi drogami - odparł mężczyzna. - W tę stronę strzelali do mnie tylko dwa razy. Znam wszystkie miejsca zaminowane. Macie trzy pistolety

maszynowe. W Paryżu przyda nam się każda broń. Walczymy od trzech dni. Trzeba nam pomocy.

Tłum wokół dżipa przytakiwał kiwając poważnie głowami i gadał między sobą po francusku zbyt szybko, żeby Michael mógł zrozumieć.

- Chwileczkę, chwileczkę. - Whitacre położył dłoń na ramieniu kobiety w męskim swetrze. - Wszystko trzeba wyjaśnić od początku. Otóż, pani... ..

- Nazywam się Dumoulin. Jestem obywatelką irlandzką. W tym mieście mieszkam od trzydziestu lat. Bardzo się cieszę, że panowie do nas przyjechali, ale pytam otwarcie, czy macie zamiar nas bronić?

Michael bezradnie rozłożył ręce.

- Chętnie, pani Dumoulin, zrobimy wszystko, co w naszej mocy - odpowiedział dodając w myśli: „Sens tej piekielnej wojny kompletnie mi się wymyka...”.

- Macie też amunicję - podjął jegomość z opaską Czerwonego Krzyża zaglądając łakomie do dżipa, gdzie skrzynki amunicyjne tkwiły między tobołkami z pościelą. - Świetnie. Doskonale. Jedźcie za mną, a nie będziecie mieli żadnych kłopotów. Po prostu trzeba założyć opaski Czerwonego Krzyża, tak jak ja. Na pewno Niemcy nie będą do nas strzelać.

- Niech Paryż sam się o siebie troszczy - wybuchnęła pani Dumoulin. - My mamy własny problem: ośmiuset Szwabów!

- Zaraz, zaraz! Nie wszyscy razem! - Michael podniósł rękę uspokajającym gestem i pomyślał ze złością: „Oto sytuacja, o jakiej rozwiązaniu nie mówiono mi nic w Fort Benning”. - Przede wszystkim pragnę usłyszeć, czy ktoś widział na własne oczy tych ośmiuset Niemców?

- Jacqueline! - zawołała obywatelka irlandzka. - Opowiedz wszystko temu panu!

- Proszę mówić powoli - rzekł Whitacre. - Moja francuszczyzna pozostawia wiele do życzenia.

- Mieszkam o kilometr od miasta - zaczęła Jacqueline, krępa dziewczyna, której brakowało kilku przednich zębów. - W nocy stanął przed naszym domem szwabski czołg. Porucznik wylazł z niego i zażądał masła, chleba i sera. Powiedział, że radzi po przyjacielsku, by nie witać Amerykanów, bo oni przyjdą i pójdą, a nas zostawią na boskiej opiece. Później znów wrócą Niemcy i zastrzelą każdego, kto witał

Amerykanów, a on (niby ten porucznik) spodziewa się lada chwila ośmiuset ludzi. I Szwab miał rację - ciągnęła żywo dziewczyna. - Amerykanie zatrzymali się koło naszego domu i za godzinę nie było żywej duszy! Dobrze będzie, jeżeli do wieczora Niemcy nie spalą całego miasta i...

- Hańba! - przerwała jej pani Dumoulin. - Amerykanie nie mają Boga w sercu! Albo trzeba było przyjść i zostać, albo wcale nie przychodzić. Stanowczo domagamy się opieki i obrony!

- To zbrodnia! - zawołał jegomość z opaską Czerwonego Krzyża. - Lud pracujący Paryża ginie bez amunicji, Niemcy strzelają w łby robotnikom jak psom! A ci siedzą tu spokojnie na trzech pistoletach maszynowych i stosie ładunków!

- Panowie i panie! - Michael stanął w dżipie i przemówił donośnym, oratorskim tonem. - Pragnąłbym zwrócić uwagę na...

- Uwaga! Uwaga! - wrzasnął piskliwy kobiecy głos na skraju tłumu.

Whitacre odwrócił się gwałtownie. Na plac wjeżdżał powoli otwarty samochód. Stali w nim dwaj żołnierze w szarozielonych mundurach. Ręce trzymali podniesione nad głowami.

Tłum na rynku skamieniał. Milczał przez moment.

- Szwaby! - krzyknął ktoś. - Chcą się poddać!

W tej chwili niemiecki samochód prawie zrównał się z dżipem. Nagle dwie postacie z podniesionymi rękami skryły się wewnątrz wozu, który gwałtownie zwiększył szybkość. Nad zwiniętym z tyłu brezentem zamajaczył hełm. Sucho gruchnęła seria ze schmeissera. Przerażliwie wrzasnęli w tłumie ranni. Michael gapił się przez chwilę na umykający samochód. Potem schylił się i sięgnął po broń, lecz nie mógł sobie dać rady z bezpiecznikiem. Zdawało mu się, że to wszystko trwa godziny.

Wtem usłyszał za sobą terkot pistoletu maszynowego. Kierowca niemiecki wyrzucił w górę ręce, a wóz skręcił ostro, podskoczył na krawężniku chodnika i całym pędem uderzył w wystawę narożnego sklepu spożywczego. Głucho zgrzytnęła cienka blacha żaluzji. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Samochód przechylił się i upadł na bok wyrzucając na bruk dwie nieruchome postacie.

Whitacre odbezpieczył wreszcie broń. Stellevato, zlodowaciały z przerażenia, siedział bez ruchu z dłońmi na kole kierownicy.

- Co się stało? - szeptał nieprzytomnie. - Co się tu, u licha, wyprawia?

Michael spojrział przez ramię. Keane stał za nim z dymiącym pistoletem w ręku. Patrzył na upolowanych Niemców i głupkowato się uśmiechał odsłaniając żółte, długie zęby.

- No, dostali nauczkę! - mruknął.

W powietrzu czuć było cierpki zapach spalonego prochu.

Whitacre westchnął i rozejrzał się dokoła. Francuzi podnosili się ciężko jeden po drugim i stawali zapatrzeni w rozbity samochód. Na bruku zostały dwie nieruchome postacie. W jednej z nich Michael poznał Jacqueline. Spod zadartej wyżej kolan spódnicy wyglądały tłuste, żółte uda. Pani Dumoulin klęczała pochylona nad dziewczyną. Gdzieś w pobliżu słychać było głośnie kobiece zawrozczenie.

Michael wyskoczył z dżipa. Keane poszedł za jego przykładem. Ostrożnie, z bronią w pogotowiu, ruszyli przez rynek ku przewróconemu samochodowi.

„Keane! - pomyślał z goryczą Whitacre nie odrywając wzroku od dwóch rozciągniętych na bruku nieprzyjaciół. - Oczywiście, Keane musiał się popisać! Jest bystrzejszy ode mnie, szybszy. Ja wojowałem z bezpiecznikiem i Niemcy zwaliby do Paryża, nim zdążyłbym wystrzelić!”.

Niemców było czterech: trzech oficerów i kierowca, szeregowiec. Ten żył jeszcze. Wargi miał pokryte bańkami krwawej piany. Uparcie próbował odpełznąć na łokciach i kolanach, znieruchomiał jednak, gdy zobaczył nogi Michaela.

Keane zmierzył wzrokiem trupy oficerów.

- Gotowi - oznajmił ze swym drewnianym, pozbawionym humoru uśmiechem.
- Wszyscy trzej gotowi. Należy się nam przynajmniej Brązowa Gwiazda. Namów, Whitacre, starego, żeby nas przedstawił do odznaczenia. No, a co z tym będzie? - Czubkiem trzewika wskazał rannego kierowcę.

- Wygląda całkiem nietęgo - powiedział Whitacre i pochyliwszy się nad Niemcem, delikatnie dotknął jego ramienia. - Mówisz po francusku? - zapytał.

Ranny podniósł wzrok. Był bardzo młody. Miał osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Okrwawione, spieczone usta i bruzdy cierpienia wryte pod oczami nadawały jego twarzy żaloszny wyraz udręczonego zwierzęcia. Twierdząco skinął głową i bez słowa wykrzywił usta bolesnym skurczem. Strumień krwi trysnął na trzewiki Michaela.

- Nie ruszaj się - szepnął Whitacre nad uchem konającego chłopca. - Spróbujemy ci pomóc.

Ranny opadł na bok i wolno ułożył się na wznak. Leżał spokojnie nie odrywając zboląłego wzroku od twarzy Amerykanina.

Tymczasem Francuzi otoczyli pierścieniem rozbity samochód. Jegomość z opaską Czerwonego Krzyża zdążył już zawładnąć dwoma schmeisserami.

- Doskonale - mówił rozradowanym tonem. - Świetnie. Te pukawki bardzo przydadzą się w Paryżu. - Szybko nachylił się nad rannym kierowcą i wyrwał mu pistolet z kabury. - Nada się pierwszorzędnie! Mamy trochę ładunków odpowiedniego kalibru.

Chłopiec spojrział żałośnie na opaskę Czerwonego Krzyża.

- Doktorze... - wykrztusił wolno. - Proszę mnie ratować... Doktorze...

- Pomyłka - roześmiał się Francuz dotykając godła Czerwonego Krzyża. - To tylko przebranie. Dzięki niemu szczęśliwie mijalem waszych po drodze. Nie jestem lekarzem. O pomoc zwróć się, bracie, do kogoś innego.

Uniósł na stronę cenną zdobycz i zaczął badać szczegółowo, czy nie doznała uszkodzeń.

- Po co marnować czas dla tego wieprza? Lepiej od razu skrócić mu mękę. - Głos pani Dumoulin zabrzmiał ochryple, lodowato.

Nie wierząc uszom Whitacre spojrział na kobietę. Z ramionami skrzyżowanymi na piersiach stała nad głową rannego chłopca. Surowe twarze tłumu świadczyły, że Irlandka przemawia w imieniu wszystkich.

- Nie! - rzucił Michael. - To jeniec wojenny! Nasz jeniec! Amerykanie nie mordują jeńców!

- Doktora... - jęknął leżący na bruku Niemiec.

- Zabić go! - syknął ktoś za plecami pani Dumoulin.

- Widać Amerykanom żal amunicji - odezwał się inny głos. - To nic. Kamienie wystarczą.

- Co się z wami dzieje? - krzyknął Whitacre. - Czyście ludzie, czy dzikie zwierzęta? To ranny. Nie może zrobić wam nic złego. Opamiętajcie się! Skoczcie po rozum do głowy.

Mówił po francusku z trudem, przekładając wstręt i gniew na nieporadny, szkolny język. Irytował się. Daremnie szukał właściwych słów.

„Nie do wiary! - myślał spoglądając na panią Dumoulin. - Ta pulchna, krępa kobiecina, Irlandka, zaplątana nie wiecieczemu w wojnę Francuzów, namiętnie łaknie krwi i z pogardą odtrąca głos miłosierdzia".

- Idź, przyjrzyj się Jacqueline - rzuciła szorstko pani Dumoulin. - Spójrz na pana Alexandre... To ten drugi, co leży z kulą w płucach... Może wtedy zrozumiesz nas lepiej.

- Macie trzy trupy, czy to wam nie wystarczy?

- Nie! - Twarz kobiety była blada z furii, ciemne zaczerwienione oczy gorzały nienawiścią. - Może tobie wystarczy, ale nie nam! Ty nie przeżyłeś czterech lat okupacji! Nie patrzyłeś, jak Niemcy wyprowadzają i mordują twoich synów! Jacqueline nie była twoją sąsiadką! Jesteś Amerykaninem! Łatwo ci być litościwym. Nam trudniej. Trudniej! Trudniej!! - krzyczała przeraźliwie, wymachując pięściami przed nosem Michaela. - My nie Amerykanie! Nie chcemy być litościwi! Chcemy go zabić! Rozumiesz? Odwróć się, jeżeli masz za miękkie serce. Odwróć się! Nie zaszargasz swojego amerykańskiego głupiego sumienia. Odwróć się!

- Doktora... - jęknął znów rozciągnięty na bruku chłopiec.

- Za pozwoleniem...

Whitacre zwracał się do mozaik zięjących nienawiścią twarzy zgrupowanych za panią Dumoulin. Czuł, że on, cudzoziemiec, który kocha Francję, Francuzów, ich odwagę i cierpienia, nie powinien oponować tym ludziom na rynku ich własnego miasta.

- Za pozwoleniem - mówił, choć niejasno zdawał sobie sprawę, że zapewne oni mają rację, a powodem sporu w tak ważnej kwestii jest tylko jego chroniczny brak decyzji i odwagi. - Za pozwoleniem. Nie wolno przecież mordować rannego, bez względu na to, co...

Nagle usłyszał za sobą strzał i odwrócił się gwałtownie. Keane z palcem na cynglu stał nad głową nieruchomego już Niemca. Uśmiechał się martwo, głupkowato. Francuzi patrzyli teraz na dwóch Amerykanów z obojętną życzliwością.

- O co, u diabła, chodzi? - powiedział Keane zarzucając pistolet maszynowy na ramię. - Facet i tak dochodził. Chciałem zrobić przyjemność tej pani.

- Dobrze - rzuciła sucho Irlandka. - Dobrze. Bardzo dziękuję. Odwróciła się, a zgromadzeni za nią ludzie ustąpili na boki, by otworzyć jej drogę. Michael patrzył jak urzeczony na przysadzistą, krępa, niemal komiczną postać, zniekształconą przez

porody i niezliczone godziny nad balią i garnkami. Kaczym chodem przecinała szary plac i zatrzymała się dopiero nad trupem brzydkiej wyrobnicy, która leżała z poddartą spódnicą, wyzwolona raz na zawsze od swojej brzydoty i ciężkiej pracy.

Francuzi odchodzili jeden po drugim. Kilku poniosło do hotelu starszego mężczyznę z kulą w płucach. Amerykańscy żołnierze zostali wkrótce sami ze zwłokami niemieckich oficerów i dobitego chłopca. Michael spojrzął na towarzysza. Keane nachylił się nad kierowcą i rewidował mu kieszenie. Po chwili wyprostował się trzymając w ręku portfel.

- Książka żołdu - oznajmił. - Nazywał się Joachim Ritter. Miał dziewiętnaście lat. Od trzech miesięcy nie dostał żołdu. - Krzywo uśmiechnął się do Michaela. - Zupełnie jak w naszej armii! - Sięgnął do portfela i wyciągnął fotografię. - Spójrz! Joachim ze swoją dziewczynką! Całkiem apetyczna sztuczka, co?

Whitacre zwrócił tępy wzrok na zdjęcie zrobione niewątpliwie w jakimś lunaparku. Młody, dziarski żołnierz uśmiechał się pogodnie, a obok niego stała pulchna blondynka w wojskowej czapce swojego kawalera włożonej zawadiacko na jasne, krótko ostrzyżone włosy. U dołu było kilka słów nagryzmołonych atramentem po niemiecku.

- „Na zawsze twoja Elza” - powiedział Keane. - Tak tu napisane po niemiecku. Trzeba posłać to zdjęcie żonie. Niech je dla mnie przechowa. Będę miał miłą pamiątkę.

Błyszczący kartonik z lunaparku drżał w rękach Michaela, który miał szczerą chęć podrzeć go na strzępy. Nie cierpiał Keane'a. Zżymał się na myśl, że ten facet o żółtych zębach i długiej końskiej twarzy wróci do Stanów i kiedyś, po latach, będzie obracał w palcach fotografię i z satysfakcją wspominał dzisiejszy ranek. Ale zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu zniszczyć zdjęcia. Mógł brzydzić się Keane'em, musiał jednak przyznać, że uczciwie zarobił on na tę „miłą pamiątkę”. Zachował się po żołniersku. Potrafił opanować groźną sytuację w momencie, kiedy wszyscy skamienieli ze zgrozy, a szeregowiec Michael Whitacre wahał się i nieporadnie mocował z bezpiecznikiem.

„A ranny chłopiec... - myślał posepnie Michael. - Cóż, Keane postąpił chyba najwłaściwiej. Niewiele moglibyśmy pomóc temu Niemcowi, a gdyby został w mieście, Francuzi ukamienowaliby go zaraz po naszym odjeździe. Ponury sadysta spełnił w pewnym sensie wolę ludu, dla którego wyzwolenia przybyliśmy mimo wszystko do

Europy. Jednym strzałem przekonał udręczonych mieszczuchów, że sprawiedliwości stało się zadość i przynajmniej raz odplacono właściwą monetą za krzywdy znoszone przez nich od tak dawna. Powinienem się cieszyć, że miałem ze sobą Keane'a. Sam nigdy nie zdobyłbym się na to, co w gruncie rzeczy należało zrobić. Jesteśmy tu przecież po to, żeby zabijać Niemców. Żeby zabijać jak najwięcej Niemców. Dlaczego nie jestem zadowolony?"

Wyczerpany i smutny ruszył na środek placu, gdzie Stellevato czekał koło dżipa.

„Niedołęga - myślał gorzko po drodze. - Skończony niedołęga! Michael Whitacre, niegdyś ślamazarny cywil, a dziś żołnierz, co boi się zabijać. Nie dla mnie były przeznaczone pocałunki dziewcząt na szosach, róże i rozdawane hojnie butelki koniaku. Nie potrafię na to wszystko zarobić. Podczas radosnego pochodu od wybrzeża Francuzi witali owacyjnie Keane'a, prawdziwego mężczyznę, który potrafi z uśmiechem strzelić w łeb konającemu u jego stóp chłopcu, a potem schować na pamiątkę niemieckie zdjęcie. W dniach pomsty Keane jest właściwym typem zwycięskiego, walecznego, niosącego wolność Amerykanina".

Jegomość z opaską Czerwonego Krzyża przemknął na motocyklu. Wesołym ruchem ręki pożegnał Amerykanów. Był zadowolony, bo wioził broń i amunicję towarzyszom walczącym w Paryżu na improwizowanych barykadach. Michael nie odwrócił się, żeby spojrzeć na gołe łydki sterczące z workowatych pumpów i pokrwawione bandażę, które minęły szybko rozbity samochód i oddaliły się w stronę ośmiuset Niemców, zaminowanych skrzyżowań dróg i stolicy Francji.

- Boże święty! - odezwał się Stellevato rozdygotanym głosem o zabawnym włoskim akcencie. - Co za piekielny dzień. Jak się czujesz, Whitacre?

- Dobrze... Doskonale - odparł głucho Michael.

- Nikki - powiedział Keane. - Nie chcesz pójść tam, spojrzeć na Szwabów?

- Nie. Niech się nimi zajmą grabarze.

- Mógłbyś znaleźć miłą pamiątkę. Posłać rodzinie coś ciekawego z Francji.

- Moja rodzina nieciekawa niczego z Francji. Chodzi jej tylko o jedną pamiątkę: o mnie samego.

- Spójrz - podjął Keane podsuwając fotografię pod nos Włocha. - Ten szczeniak nazywał się Joachim Ritter.

Stellevato wziął zdjęcie i przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu.

- Biedna dziewczyna - westchnął wreszcie. - Biedna mała blondyneczka!

Whitacre miał szczerą chęć uścisnąć pocziwego chłopca. Stellevato zwrócił fotografię właścicielowi.

- Myślę - powiedział - że trzeba wrócić do punktu wodnego, powiedzieć tamtym frajerom, co się stało. Na pewno słyszeli strzały i cierpną teraz ze strachu.

Michael stanął już jedną nogą w wozie, lecz zatrzymał się nagle. Główną ulicą nadjeżdżał wolno dżip. Keane trzasnął zamkiem pistoletu maszynowego.

- Daj spokój - warknął Michael. - Tym razem to nasi.

Samochód zbliżył się bez pośpiechu i Michael poznał z radością Kramera i Morrisona, których przed trzema dniami zostawił z pułkownikiem Pavone. Francuzi, zgromadzeni teraz przed hotelem, obserwowali nowo przybyłych z kamienną obojętnością.

- Bywajcie, chłopcy! - zawołał Morrison. - Bawiliście się dobrze?

- Pierwszoklasnie! - odkrzyknął wesoło Keane.

- A tam co się stało? - zapytał Kramer wskazując ze zdziwieniem rozbitą samochód i niemieckie trupy. - Wypadek drogowy?

- Ja ich zastrzeliłem! - oznajmił głośno Keane i uśmiechnął się drętwo. - Niezgorzej jak na jeden dzień, co?

- Struga wariata? - rzucił Kramer pod adresem Michaela.

- Nie. To naprawdę jego robota.

- Panie Jezu! - Kramer spojrział z nowo zrodzonym szacunkiem na Keane'a, który od dnia lądowania w Normandii był pośmiewiskiem kolegów. - Stary cwaniak Keane! No i co ty na to? - zwrócił się do Morrisona.

- Ładna Administracja Wojskowa! - odparł zagadnięty. - Administracja nie powinna mieszać się w takie chryje.

- Gdzie Pavone? - zapytał Michael. - Przyjedzie tu przed wieczorem?

Morrison i Kramer gapili się na zabitych Niemców. Byli naprawdę pod wrażeniem, bo jak niemal wszyscy podwładni pułkownika Pavone nie oglądali jeszcze walk we Francji.

- Plany się zmieniły - odrzekł Kramer. - Grupa szturmowa poszła inną drogą. Pavone wysłał nas po ciebie. Jest teraz o godzinę stąd, w mieście, co się nazywa

Rambouillet. Wszyscy czekają na dywizję żabojadów, która ma maszerować pierwsza na defiladzie w Paryżu. Dobrze znamy drogę. Jedź za nami, Nikki.

Stellevato spojrzał pytająco na Michaela, który odburknął:

- W porządku, Nikki. Ruszamy.

Był osowiały, lecz zadowolony, że okres decydowania i dowodzenia zbliża się ku końcowi.

- Miasteczko wygląda całkiem nielecho - powiedział Kramer. - Jak myślisz, Whitacre? Żabojady nie skombinowałyby dla nas jakiegoś żarcia?

- Ślinka mi cieknie na myśl o befsztyku z frytkami na francuski sposób - dodał Morrison.

Michaelowi wydała się nagle nieznośna myśl o pozostaniu w tym mieście, pod ogniem zimnych, badawczych spojrzeń Francuzów, obok niemieckich trupów poniewierających się przed narożnym sklepem spożywczym.

- Musimy jak najprędzej zameldować się staremu - powiedział. - Może nas potrzebować.

- Najbardziej denerwuje mnie zawsze szeregowiec w roli dowódcy. Whitacre, nie dorosłeś stanowczo do swego wysokiego stanowiska - burknął Morrison, lecz posłusznie zawrócił wóz.

Stellevato podążył jego śladem. Michael siedział sztywno obok kierowcy. Starał się nie patrzeć w stronę hotelu, gdzie pani Dumoulin stała na czele gromady sąsiadów.

- *Monsieur!* - zabrzmiał nagle donośny, rozkazujący głos Irlandki.

- Hej, *monsieur!*

Michael westchnął.

- Stop - rzucił pod adresem kierowcy.

Stellevato zahamował i klaksonem dał znak Morrisonowi, który stanął również.

Pani Dumoulin ruszyła sprzed hotelu prowadząc nędznie odziany tłumek zmęczonych, przepracowanych farmerów i sklepikarzy. Niebawem stanęła przed Michaeliem. Skrzyżowała ramiona na pełnym, obwisłym biuście. Wiatr wydymał jej sweter na szerokich, płaskich biodrach.

- *Monsieur* - przemówiła - czy panowie zamierzają nas opuścić?

- Tak, łaskawa pani - odrzekł Michael. - Otrzymaliśmy właśnie rozkazy.

- A ośmiuset Niemców? - zapytała kobieta siląc się na ton opanowany i spokojny.

- Wątpię, żeby tu mieli wrócić.

- Wątpię, żeby tu mieli wrócić! - powtórzyła Irlandka przedrzeźniając złośliwie.

- Wątpię, żeby tu mieli wrócić! A jeżeli nie będą się liczyć z pańskimi wątpliwościami, *monsieur*? Jeżeli wrócą?

- Bardzo mi przykro, łaskawa pani - podjął cierpliwie Whitacre - ale naprawdę musimy jechać. Proszę się zastanowić. Jeżeli przyjdzie ośmiuset Niemców, jaką pomoc da miastu pięciu Amerykanów?

- Porzucacie nas! Dezerterujecie! - krzyknęła głośno pani Dumoulin. - Oni wrócą! Znajdą cztery niemieckie trupy! Wymordują całą ludność: mężczyzn, kobiety, dzieci! Nie wolno wam tchórzyc! Musicie zostać! Przygotować obronę!

Whitacre spojrział smętnie na dwa dżipy żołnierzy. On sam, Stellevato, Keane, Morrison, Kramer tkwią bezradnie pośrodku niewielkiego brzydkiego rynku. Z całej paczki tylko Keane strzelał bodaj raz w życiu do żywego człowieka. Ale Keane dobrze już spełnił zadanie na jeden dzień. Michael przeniósł niezyczliwy wzrok na panią Dumoulin, która stała przed nim jak krępe, opanowane pasją, nieładne uosobienie wyrzutów sumienia i poczucia zawilego obowiązku. „Wielki Boże! - pomyślał. - Jaką obronę przeciwko urojonemu niemieckiemu batalionowi może przygotować piątka takich wojowników?”.

- Łaskawa pani - powiedział. - Na nic się nie przyda biadanie. Nie możemy wam pomóc. Jesteśmy żołnierzami armii Stanów Zjednoczonych. Musimy stosować się do rozkazu i jechać tam, gdzie nas wzywają przełożeni.

Nad głową Irlandki spojrział na skupione, surowe twarze mieszczuchów. Starał się wyrazić wzrokiem swoją bezradność i współczucie, wszystkie dobre, życzliwe zamiary. Ale nie dostrzegł zrozumienia u tych posępnych ludzi, którzy byli przekonani, że przed zachodem słońca przyjdzie im zginąć pod gruzami spalonego miasta.

- Bardzo mi przykro, łaskawa pani - podjął Michael głosem zdławionym łzami - nic jednak nie poradzę i...

- Po co przyjechaliście do nas, jeżeli nie mieliście zamiaru zostać? - przerwała mu kobieta niespodziewanie spokojnym tonem. - W nocy amerykańskie czołgi.

Później, z rana, wy. Wojna czy nie wojna, nie wolno tak bezwzględnie traktować żywych ludzi.

- Nikki - szepnął Whitacre. - Wiejemy. Szybko.

- To zbrodnia - rzuciła pani Dumoulin za oddalającym się dżipem, przemawiając w imieniu wszystkich zdradzonych kobiet i mężczyzn.

- To zbrodnia niegodna cywilizowanych...

Michael nie dosłyszał końca zdania i ani razu nie odwrócił głowy, gdy jadąc za Morrisonem i Kramerem opuszczał przekłete miasto, by jak najprędzej wrócić do pułkownika Pavone.

Na stole liczne butelki szampana połyskiwały w płomykach setek świec stanowiących jedyne oświetlenie nocnego klubu. W sali było tłoczno. Z mundurami dziesięciu narodów mieszały się barwne, wzorzyste suknie, obnażone ramiona, wysoko upięte fryzury. Wszyscy mówili naraz, gdyż wyborny temat rozmów stanowiło wczorajsze wyzwolenie Paryża i defilada, która odbyła się tego popołudnia przy atrakcyjnym akompaniamencie niemieckich strzelców wyborowych ukrytych jeszcze tu i ówdzie na wysokich dachach. Ale znaczną część rozmów trzeba było prowadzić pełnym głosem, aby przekrzyczeć trzech muzykantów, którzy w kącie grali bardzo głośno: „Umykaj, stary, do Buffalo”.

Naprzeciwko Michaela siedział Pavone, uśmiechnięty, rozpromieniony, z cygarem w ustach. Ramieniem otaczał delikatnie kibić utlenionej damulki o zdumiewająco długich, przyprawionych rzęsach. Od czasu do czasu kordialnym gestem pozdrawiał Michaela, który zajmował miejsce między pięknie ubranym francuskim lotnikiem w średnim wieku a Ahearnem, korespondentem wojennym, który w swoim czasie przygotował dla „Collier's Magazine” studium o strachu. Przy stole było jeszcze dwóch amerykańskich dziennikarzy. Obydwaj mocno podpici prowadzili poważną rozmowę.

- Generale - mówił jeden z nich - osiągnąłem brzeg rzeki. Jakie są dalsze rozkazy?

- Sforsować tę cholerną rzekę.

- Niemożliwe, generale. Na tamtym brzegu stoi osiem dywizji pancernych.

- Pozbawiam pana dowództwa. Co dla pana niemożliwe, dla innego będzie możliwe.

- Skąd jesteś, bracie?

- Z Saint Louis.

- Łapa.

Z godnością uścisnęli sobie ręce.

- Pozbawiam pana dowództwa - zakończył korespondent w roli generała.

Wypili do dna szklanki i tępo zapatrzili się w tańczące pary.

- Boże drogi! - zawołał francuski lotnik, który podczas wojny trzykrotnie odbył przepisaną liczbę lotów bojowych, obecnie zaś pełnił funkcję oficera łącznikowego przy francuskiej dywizji pancerniej. - Boże drogi! To były czasy! - Mówił o roku tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym, kiedy bawił w Ameryce i niezbyt poważnie współpracował z jakąś firmą maklerską mieszczącą się przy Wall Street. - Miałem apartament przy Park Avenue i co czwartek urządzałem biby dla męskiego koła przyjaciół. Obowiązywał tylko jeden przepis: każdy musiał przyprowadzić dziewczynę, która jeszcze nigdy u mnie nie była. Boże drogi! - Francuz uśmiechnął się tkliwie.

- Setki kobiet przewinęły się przez to mieszkanko! - Smutno pokiwał głową wspominając dni młodości w okresie największego rozkwitu amerykańskich interesów. - A późną nocą jeździliśmy do Harlemu. Ach, te czarne dziewczuszki i muzyka! Dusza topnieje na samo wspomnienie. - Pociągnął szampana i promiennie uśmiechnął się do Michaela. - Sto Trzydziestą Piątą Ulicę znałem lepiej niż Place Vendôme. Wracam tam po wojnie, jak Boga jedyne go kocham!

- Zamyślił się na chwilę. - Może nawet zamieszkać przy Sto Trzydziestej Piątej Ulicy, kto wie?

Mulatka w czarnym koronkowym szalu przywędrowała od sąsiedniego stolika i ogniście pocałowała lotnika.

- Kochany poruczniku - powiedziała - taka jestem szczęśliwa, że widzę francuskiego oficera.

Lotnik wstał, uklonił się z godnością i poprosił Mulatkę do tańca. Zmiękła w jego ramionach i dała się poprowadzić na mały zatłoczony parkiet. Orkiestra grała rumbę. Porucznik, wytworny w swoim błękitnym mundurze, tańczył niczym

Kubańczyk. Wdzięcznie kołysał się w biodrach, a na przystojnej twarzy miał wyraz nieziemskiego upojenia.

- Whitacre! - krzyknął przez stół Pavone. - Będziesz dureń, jeżeli w ogóle wyjedziesz z tego miasta!

- Racja, panie pułkowniku - odpowiedział Michael. - Jak się wojna skończy, poproszę o zdemobilizowanie mnie na Polach Elizejskich.

W danym momencie mówił szczerze, gdyż od chwili, kiedy z zatłoczonej wojskowej ciężarówki zobaczył Wieżę Eiffla górującą nad paryskimi dachami, miał wrażenie, że znalazł się wreszcie w swojej prawdziwej ojczyźnie. W obłądnym wirze pocałunków, ściskania rąk, wylewnej wdzięczności chłonał zgłodniałym wzrokiem nazwy ulic, które fascynowały go od dzieciństwa. Rue de Rivoli, Place de l'Opéra, Boulevard des Capucins - czytał upojony i czuł, że wyzwala się od smutku i bolesnego poczucia winy. Właściwym wprowadzeniem do słynnego miasta zdawały mu się nawet sporadyczne utarczki w ogrodach i między zabudowaniami, kiedy to pozostali w Paryżu Niemcy wystrzelili przed poddaniem się resztki amunicji. Uroczystemu aktowi wyzwolenia dodawała smaku i dostojeństwa krew plamiąca chodniki i sanitariuszki z francuskiego Ruchu Oporu, które na prowizorycznych noszach odnosiły gdzieś zmarłych lub konających ludzi. Oczywiście nigdy nie zdoła odtworzyć dokładnie scen tych ostatnich dni. Będzie pamiętał tylko grad pocałunków, czerwien szminki na swojej koszuli, łyzy, gorące uściski i wspaniałe uczucie, że jest wielki, nieśmiertelny, kochany.

- Hej, wy! - odezwał się znów jeden z amerykańskich dziennikarzy.

- Rozkaz, panie generale - odpowiedział drugi.

- Gdzie jest teraz dowództwo Drugiej Dywizji Pancерnej?

- Nie wiem, panie generale. Dopiero co przyjechałem od czubków.

- Odmaszerować!

- Tak jest, panie generale.

Z godnością wypili do dna szklanki, a Michael usłyszał głos siedzącego obok Ahearna.

- Dokładnie sobie przypominam, że jak widzieliśmy się ostatnim razem, gawędziliśmy na temat strachu.

- Aha - przyznał Whitacre spoglądając życzliwie na czerwoną, ogorzałą twarz i poważne szare oczy. - Tak mi się zdaje. Jak tam teraz z popytem na strach wśród wydawców?

- Postanowiłem nie pisać tego studium - oznajmił żywo Ahearn. - Strach był stanowczo przeceniany. To wina literatów traktujących o tamtej wojnie, no i psychoanalityków. Strach zyskał powszechny respekt i znudził się wszystkim na śmierć. To czysto cywilna koncepcja. Na ogół żołnierz nie boi się tak, jak to nam wmawiają powieściopisarze. A prawdę mówiąc, obraz wojny jako sumy przeżyć nie do zniesienia jest błędny i z gruntu fałszywy. Ja obserwowałem wszystko dokładnie. Od początku miałem oczy szeroko otwarte. Wojna jest na ogół przyjemna i sprawia radość lwiej części biorących w niej udział mężczyzn. To raczej suma przeżyć moralnych i raczej zadowolających. Co najbardziej uderzyło pana podczas ostatnich miesięcy we Francji?

- Czy ja wiem? - rozpoczął Michael. - Chyba...

- Wesołość! - przerwał mu Ahearn. - Uczucie szaleńczego świętowania. Śmiech. Na fali śmiechu przepłynęliśmy trzysta mil bronionego przez wroga terenu. Mam zamiar napisać o tym dla „Collier's Magazine”.

- Doskonale - pochwalił Whitacre. - Będę czekał na pańskie dzieło.

- Jedyne autor, który kiedykolwiek powiedział prawdę o bitwie, to Stendhal - ciągnął Ahearn pochylając się tak, że z odległości sześciu cali ział na Michaela alkoholem. - Prawdę mówiąc, od początku historii literatury było tylko trzech pisarzy, których warto czytać po raz drugi: Stendhal, Villon i Flaubert.

- Wojna skończy się za miesiąc - grzmiał z drugiego końca stołu przystojny korespondent brytyjski. - Boleję nad tym. Koniecznie musimy jeszcze zakatrupić tysiące, miliony Niemców! Podczas walki można to zrobić hurtem, na gorąco. Jeżeli wojna się skończy, trzeba będzie zabijać na zimno, a obawiam się, że zarówno Anglicy, jak Amerykanie cofną się ze wstrętem przed taką robotą. Wówczas w sercu Europy zostanie wielka banda potencjalnych wrogów. Ja osobiście modłę się o jak najmniej korzystną dla nas zmianę sytuacji.

Jeden z grających zaczął śpiewać staranną angielszczyzną o potwornym akcencie:

Oh, sweet and lovely, lady be good,

Oh, lady be good to me...

- Stendhal ujął trafnie nieoczekiwany, szaleńczy, humorystyczny aspekt wojny - perorował Ahearn. - Czy przypomina pan sobie z jego dziennika anegdotę o pułkowniku, który podczas kampanii rosyjskiej tak dziwacznie poderwał i rozpalił swoich ludzi?

- Nie bardzo - mruknął Whitacre.

- Jak tam sytuacja? - zapytał jeden z amerykańskich dziennikarzy.

- Otaczają nas dwie pełne dywizje.

- Pozbawiam pana dowództwa. Jeżeli nie może pan sforsować tej choliernej rzeki, zrobi to ktoś inny. .

Znowu wypili z godnymi minami.

- Biedny, samotny żołnierz! - powiedziała wysoka ciemnowłosa dziewczyna w długiej sukni w kwiaty. Przed kwadransem Whitacre zerknął na nią ciekawie przez szerokość sali. Teraz stała pochylona nad stolikiem. Ręką przykrywała dłoń Michaela. W głębokim wycięciu stanika rysowały się kusząco kształtne, oliwkowe piersi.

- Nie zechce pan zatańczyć z wdzięczną paryżanką?

Michael uśmiechnął się do niej.

- Za pięć minut - szepnął. - Jak mi trochę ochłonie głowa.

- Dobrze - odpowiedziała z zalotnym uśmiechem. - Wie pan, gdzie siedzę?

- Naturalnie.

Obserwował dziewczynę, która falistą linią kwiatów przesuwiała się między tancerzami. „Ładna - pomyślał. - W sam raz dobra na potem. Muszę koniecznie obrobić paryżankę, żeby formalnie przypieczętować nasze wkroczenie do Paryża”.

- Można by pisać całe tomy o zachowaniu się kobiet i mężczyzn podczas wojny - ględził dalej Ahearn.

- Niewątpliwie - przyznał Michael.

Francuzka wróciła tymczasem do swego stolika i z dala uśmiechała się zachęcająco.

- Stosunki między osobami płci odmiennej są wtedy zdrowe i swobodne, gdy rozwijają się na romantycznym tle pośpiechu i tragedii - ciągnął pijany nudziarz. - Proszę dla przykładu wziąć pod uwagę mój przypadek. Mam w Detroit żonę i dwoje dzieci. Słowo daję, szanuję i poważam moją żonę, ale myśl o niej przyprawia mnie dziś o nudności. To niepokazna kobiecina, bez wdzięku, i ostatnio zaczyna szybko

łysieć. Tymczasem w Londynie żyłem z rozkoszną dziewiętnastoletnią Angielką, urzędniczką pewnego ministerstwa. Ta dziewczyna zna wojnę i orientuje się, co ja przeżywam. Jest mi z nią bardzo dobrze. Czy wolno mi twierdzić z podniesionym czołem, że chętnie wrócę do Detroit?

- Każdy ma swojego mola, co go gryzie - powiedział Michael przez prostą uprzejmość.

W drugim końcu sali rozległy się krzyki. Czterech młodych ludzi z karabinami i opaskami francuskiego Ruchu Oporu wywlekało z tłumu tancerzy eleganckiego młodzieńca, który nad okiem miał długą, silnie krwawiącą ranę.

- Łgarze! - wrzeszczał zalany krwią młodzieniec. - Bezczelni łgarze! Taki sam ze mnie kolaborant jak wszyscy, co się tutaj bawią!

Potęźnie dostał w kark od jednego z prześladowców, spuścił więc głowę i umilkł. Przy blasku świec oprawionych w kryształowe kinkiety czterej żołnierze francuskiego Ruchu Oporu ciągnęli jeńca na schody i do drzwi wyjściowych. Orkiestra zagrała hałaśliwiej niż dotychczas.

- Barbarzyńcy! - odezwał się niewieści głos po angielsku.

Czterdziestoletnia dama siedziała obok Michaela na krześle zwolnionym przez francuskiego lotnika. Miała długie, purpurowe paznokcie i prostą, elegancką czarną suknię. Była jeszcze bardzo przystojna.

- Wszystkich tych łobuzów należałoby aresztować. Szukają tylko pretekstów, żeby krzywdzić ludzi. Jutro zwrócę uwagę władzom amerykańskim, że trzeba ich rozbroić.

Akcent miała wyraźnie amerykański, toteż Ahearn i Whitacre spojrzeli na nią zdziwieni. Przyjaźnie skinęła głową dziennikarzowi i znacznie chłodniej Michaelowi, bo zorientowała się od razu, że nie jest oficerem.

- Nazywam się Mabel Kasper - podjęła. - Nie gapcie się tak na mnie. Pochodzę z Schenectady.

- Bardzo nam miło, Mabel - odrzekł uprzejmie Ahearn i ukłonił się nie wstając z miejsca.

- Dobrze wiem, co mówię - ciągnęła żywo dama z Schenectady, która niewątpliwie przekroczyła granicę trzeźwości o trzy lub cztery kolejki. - Od dwunastu

lat mieszkam w Paryżu. Ach, ile wycierpiałam! Pan jest korespondentem wojennym. Mogłabym panu opowiedzieć cuda, jak to było za Niemców.

- Cały zamieniam się w słuch - powiedział dobrze wychowany Ahearn.

- Trudności żywnościowe... System kartkowy... - Mabel Kasper naląła sobie pełną szklanę szampana i połowę pochłonęła jednym haustem. - Niemcy zarekwirowali mi mieszkanie i dali tylko piętnaście dni na usunięcie ruchomości. Na szczęście znalazłam prędko niezły apartament po jakimś żydowskim małżeństwie. Mąż nie żyje. Ale wyobraźcie sobie, panowie, dzisiaj po południu, drugiego dnia wolności, ta baba zjawiała się i zażądała, żeby zwrócić jej lokal! A kiedy się wprowadzałam, w mieszkaniu nie było nawet kulawego stołka. Postarałam się naturalnie o właściwe zaświadczenia. Przeczynałam taki właśnie koniec! Rozmawiałam już z pułkownikiem Harveyem z waszej armii. Jest przekonany, że wszystko będzie w porządku. Zna pan pułkownika Harveya?

- Nie przypominam sobie - bąknął Ahearn.

- Teraz czekają nas we Francji ciężkie czasy. - Dama wysuszyła do dna szklanę szampana. - Męty społeczne podnoszą głowę. Chuliganeria włóczy się po mieście z karabinami.

- Mówi pani o francuskim Ruchu Oporu? - zapytał Michael.

- Tak! Mówię o francuskim Ruchu Oporu - odparła z mocą.

- Przecież ci ludzie prowadzili całą walkę podziemną. - Whitacre podjął dyskusję i starał się przekrzyczeć zgłęb; mimo wszystko chciał dociec, do czego właściwie zmierza Mabel Kasper.

- Ach, ta walka podziemna! - dama parsknęła wytworną, zaprawioną niesmakiem ironią. - Walki podziemnej mam wyżej uszu. Brali w niej udział sami lenie, agitatorzy, nicponie. Hołota bez rodzin, które trzeba karmić, bez majątku, pracy... Porządni ludzie byli zajęci czym innym. Mieli pełne ręce roboty. A teraz wszyscy będziemy za to płacić, jeżeli wy nam nie pomożecie. Wyzwoliliście Francję od Niemców. Teraz musicie nas ochronić przed Francuzami i Rosjanami. - Wstała i godnie skinęła głową. - Mądrej głowie dość po słowie - zakończyła z chytrym uśmiechem.

Michael patrzył za Mabel Kasper która w swej skromnej czarnej sukni lawirowała chwiejnie między stłoczonymi stolikami.

- Wielki Boże! - westchnął. - Że też taka urodziła się w Schenectady!

- Wojna, jak już bodaj nadmieniałem, obfituje w zdumiewające problemy - powiedział sentencjonalnie Ahearn.

- Jak tam sytuacja? - przemówił znów jeden z amerykańskich dziennikarzy.

- Prawe skrzydło wisi, lewe się załamuje, środek ustępuje pod naciskiem przeważających sił. Rozpoczynam przeciwnatarcie - powiedział drugi.

- Pozbawiam pana dowództwa.

- Po wojnie - perorował przystojny korespondent brytyjski - kupię willę pod Biarritz i tam osiedlę się na dobre. Nie trawię angielskiego żarcia. Jak będę musiał lecieć do Londynu, obładuję samolot zapasami żywności i będę jadał tylko w pokoju hotelowym.

Pułkownik Pavone prowadził wykład przeznaczony dla dwóch młodziutkich oficerów amerykańskich, którzy - niewątpliwie bez przepustki - zwiali na jedną noc do Paryża ze swojej dywizji piechoty.

- Jeżeli można mieć w ogóle jaką nadzieję na przyszłość - perorował - szukać jej należy jedynie we Francji. Walczymy za Francję. Zgoda! Ale to nie wystarczy. Amerykanie muszą zrozumieć Francję, umocnić jej stanowisko, traktować ją pobłażliwie. To niełatwa historia, bo Francuzi są najbardziej kłopotliwym narodem świata. Nieustannie przysparzają kłopotu. Są szowinistyczni, wyniośli, rozumni, niezależni, wielcy. Gdybym był prezydentem Stanów Zjednoczonych, całą amerykańską młodzież wysyłałbym na dwa lata do Francji zamiast do naszych uniwersytetów. Chłopcy poznaliby gruntownie dobrą kuchnię i dobrą sztukę, a dziewczęta zgłębiłyby do dna zagadnienia seksualne i za pięćdziesiąt lat mielibyśmy cudowną Utopię nad brzegami Missisipi...

Po przeciwnej stronie sali brunetka w sukni w kwiaty bacznie obserwowała Michaela i uśmiechnęła się kusząco, gdy spostrzegła, że na nią spojrział.

- Wpływ irracjonalnych czynników na wojnę - zaczął znów Ahearn - to kwestia przegapiona w całej literaturze. Pozwolę sobie przypomnieć raz jeszcze Stendhalowskiego pułkownika...

- Co, u licha, zrobił ten Stendhalowski pułkownik? - zapytał sennie Whitacre, pogrążony błogo w oparach szampana, perfum, dymu, świec i pożądania.

- Jego ludzie załamali się moralnie - podjął dziennikarz wojskowym, rozkazującym tonem. - Lada chwila mogli rzucić się do ucieczki pod naporem Rosjan. Wówczas pułkownik zaklął dobitnie, podniósł szablę i krzyknął: „W tyłku mam dziurę

okrągłą jak jabłko! Za mną, chłopaki!". Żołnierze skoczyli za dowódcą i przepędzili Rosjan. To nonsens - ciągnął Ahearn. - Idealna nielogiczność. Ale pułkownik poruszył w sercach żołnierzy jakieś utajone sprężyny patriotyzmu i męstwa i na ów dzień przynajmniej wygrał.

- Ach - westchnął Michael - dzisiaj już nie ma takich pułkowników.

Pijany kapitan brytyjski zaśpiewał na całe gardło: „Na linii Zygryda będziemy wieszać nasze pranie!". Jego tubalny głos stłumił dźwięki muzyki. W jednej chwili inni podchwycili słowa żołnierskiej śpiewki. Orkiestra dała za wygraną. Przerwała melodię taneczną i poczęła akompaniować śpiewakom. Pijany kapitan - olbrzym o rumianej twarzy - chwycił w pół jakąś dziewczynę i ruszył między stoliki. Jedna po drugiej podrywały się pary i rzędem sunęły wolno i hałaśliwie pośród papierowych obrusów i błyszczących wiader z lodem. Niebawem utworzył się wąż co najmniej czterdziestu osób, rozkrzyczanych, podrygujących, z których każda opierała dłonie na biodrach poprzedniej. Przypominało to triumfalny taniec po uniwersyteckim meczu piłki nożnej, z tą jedynie różnicą, że zabawa odbywała się w niskiej, oświetlonej świecami sali i przy wtórze ogłuszającego ryku.

- Przyjemny widok - rozpoczął Ahearn - ale z literackiego punktu widzenia zbyt banalny, by mógł zainteresować. Całkiem zrozumiale i proste, że po zwycięstwie oswobodziciele i oswobodzeni muszą śpiewać i tańczyć. Ach, dlaczego nie byłem w carskiej willi w Sewastopolu, kiedy młodzi kadeci napełnili basen pływacki szampanem z piwnic samowładcy i tuzinami rzucali w pianę rozebrane do naga baletnice! W takiej atmosferze czekali na przybycie Czerwonej Armii i rozstrzelanie. Bardzo przepraszam - zmienił ton i wstał z poważną miną. - Muszę wziąć udział w tej hecy.

Pośliznął się na posadzce i ujął kibić Mabel Kasper z Schenectady, która kołysała biodrami okrytymi czarną taftą i śpiewała głośno. Była ostatnia w rzędzie.

Brunetka w sukni w kwiaty stanęła koło stołu. Uśmiechnęła się do Michaela i spojrzała nań wymownie.

- Teraz? - zapytała kładąc dłoń na jego dłoni.

- Teraz - odpowiedział.

Podniósł się i chwycił Francuzkę za rękę. Przyłączyli się do rozśpiewanych tancerzy. Dziewczyna zajęła miejsce przed Michaelem. Jej biodra pod cienkim jedwabiem były szczupłe, ruchliwe.

Cała sala uczestniczyła w zabawie. Długi, wrzaskliwy wąż mundurów i barwnych sukien wił się po parkiecie przed małym podium dla orkiestry, między stolikami... „Na linii Zygryda będziemy wieszać nasze pranie. Kochana mamó, przysyłaj brudną bieliznę!”.

Whitacre starał się przekrzyczeć innych. Z przyjemnością słuchał własnego schrypniętego głosu. Pieszczotliwie gładził smukłą kibić paryżanki, która w dniu tak uroczystym wybrała jego spośród tylu młodych oswobodzicieli. Płynął na fali muzyki, wykrzykiwał głupie, buńczuczne słowa, przypominał sobie, z jaką zjadliwą ironią Niemcy wytykali niegdyś Anglikom tę piosenkę zrodzoną we Francji w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Czuł, że tej nocy wszyscy mężczyźni są jego przyjaciółmi, wszystkie kobiety kochankami, że całe miasto należy do niego - zwycięzcy, triumfatora, który zasłużył na pełnię życia...

„Na linii Zygryda będziemy wieszać nasze pranie, jeżeli z linii Zygryda w ogóle coś zostanie!”.

Pośród kakofonii pijackich głosów Michael zrozumiał, że żył po to, żeby doczekać takiej chwili. Dla niej przebył ocean. Dla niej dźwigał karabin. Dla niej szczęśliwie uniknął śmierci.

Śpiew i taniec ustały nagle. Francuzka odwróciła się i pocałowała Michaela. Zwiotczała w jego ramionach, przywarła doń całym ciałem. Upoiła go zapachem wina i heliotropowych perfum. Dokoła Amerykanie śpiewali sentymentalną starą pieśń *Aula Lang Syne*, jak gdyby nawiedziły ich wesole, rozfiglowane upiory wszystkich noworocznych przyjęć, w których kiedykolwiek uczestniczyli.

Podstarzały pilot francuski, który w dwudziestym ósmym roku urządził wesole bibki przy Park Avenue i późną nocą lubił jeździć do Harlemu, który w Dywizjonie Lotaryńskim trzykrotnie odbył przewidzianą liczbę lotów bojowych i w ciągu lat stracił wszystkich przyjaciół, ostatecznie zaś wylądował w Paryżu - płakał śpiewając. Strumienie łez spływały mu bezwstydnie po przystojnej, zniszczonej twarzy.

„Nie wolno starych przyjaciół grzebać w niepamięci i nie powracać do nich myślami” - śpiewał obejmując za szyję pułkownika Pavone, stęskniony już zapewne do przyszłych wesółych dni na nowym kontynencie.

Brunetka namiętnie ucałowała Michaela, on zaś kołysał się do taktu pieśni tuląc w ramionach bezimienny dar wyzwolonego miasta...

Po kwadransie Whitacre z pistoletem maszynowym na pasie, brunetka w sukni w kwiaty, Pavone i jego utleniona dama szli Polami Elizejskimi. Byli niedaleko Łuku Triumfalnego, w dzielnicy, gdzie mieszkała dziewczyna Michaela, gdy nadciągnęły niemieckie bombowce. Pod drzewem stała zaparkowana ciężarówka, a więc Pavone i Michael postanowili przeczekać nalot siedząc na zderzaku tej ciężarówki pod czysto moralną osłoną bujnych liści.

W dwie minuty później Pavone nie żył, Whitacre zaś leżał na pachnącym smolnie asfalcie. Był zupełnie przytomny, ale nie wiedział, czemu nogi miał zupełnie bezwładne od bioder. Słyszał stłumione, jak gdyby bardzo odległe głosy i daremnie próbował odgadnąć, gdzie się podziała brunetka w sukni w kwiaty i co w ogóle zaszło. Przecież artyleria strzelała po drugiej stronie rzeki, a żadna bomba nie padła w pobliżu. Nagle przypomniał sobie ciemny kształt, który z rykiem silnika wypadł z przecznicy... Racja!... Samochód! Wszyscy znajomi po powrocie z Europy mówili zawsze: „Strzeż się francuskich kierowców”. Bezwiednie uśmiechnął się do siebie.

Michael nie mógł ruszać nogami, lecz swobodnie odwrócił głowę i w świetle elektrycznej latarki zobaczył twarz pułkownika. Była dziwnie blada, jak gdyby Pavone nie żył od dawna. Głos o amerykańskim akcencie mówił w pobliżu:

- Spójrz no, Amerykanin. Całkiem gotów. O, jak Pana Jezusa kocham, pełny pułkownik! A wygląda jak szeregowiec. Popatrz... popatrz...

Whitacre chciał powiedzieć coś mądrego i głębokiego o swoim przyjacielu pułkowniku Pavone, nie mógł wszelako wykrztusić słowa. Bezboleśnie stracił przytomność, w chwili gdy jacyś ludzie dźwigali go z ziemi, czyniąc to ostrożnie przez wzgląd na ciemność i szlochające kobiety.

Rozdział XXXIII

Przejsiowy Obóz Uzupełnień leżał na jałowej płaszczyźnie pod Paryżem, a składał się ze zbiorowiska namiotów i poniemieckich baraków. Na ścianach tych budowli, pod orłem ze swastyką, widniały jeszcze bardzo kolorowe podobizny krzepkich wyrostków, uśmiechniętych dziadków ciągnących piwo z glinianego kufła i bosych wiejskich dziewcząt rozrośniętych niczym perszerony. Niejeden amerykański żołnierz pragnął upamiętnić swój pobyt w tym zakazanym miejscu, o czym świadczyły liczne napisy na malowanych ścianach, takie na przykład jak: „Sierż. Joe Zachary, Kansas City, Missouri" albo „Meyer Greenberg, st. strz., Brooklyn, USA".

W listopadowym błocie tysiące ludzi oczekiwały przydziału do walczących dywizji celem uzupełnienia strat bojowych. Ludzie ci snuli się sennie, leniwie i, jak słusznie zaobserwował Michael, byli wcale niepodobni do innych amerykańskich żołnierzy, skorych zawsze do awantur i głośnych utyskiwań.

Michael stał przy wejściu do namiotu, w którym kwaterował. Tępo przyglądał się szarej mżawce i szarym postaciom w nieprzemakalnych płaszczach, wędrującym bez celu długimi, prostymi ulicami. „Ten obóz - myślał - jest kompletnie niehumanitarną instytucją. Porównać go można tylko ze stacją odbiorczą wielkich rzeźni w Chicago, gdzie bydlę zapędzone do zagród kręci się niespokojnie i wietrząc zaduch szlachtuza przeczuwa bliski koniec".

- Piechota, bodaj ją licho! - skarżył się w namiocie młody Speer. - Przez dwa lata dają mi spokój w Harvardzie. Oczywiście po studiach mam zostać oficerem. Ale nagle zmieniają się jakieś plany. Wszystko bierze w łeb. Szeregowiec piechoty po dwóch latach Harvardu. To mi dopiero armia!

- Rzeczywiście do chrzanu - przyznał życzliwie Krenek, sąsiad z najbliższego łóżka. - Trudno zaprzeczyć, że w naszej armii jest potworny bałagan. Wszystko zależy od znajomości.

- Ja mam wielkie znajomości - wybuchnął Speer. - Przecież inaczej nie dostałbym się do Harvardu. Ale nikt nie mógł nic poradzić, jak przyszło powołanie. Matka omal nie umarła z rozpacz.

- Mój Boże - westchnął cicho Krenek. - Paskudnie ci się nie powiodło. Taki zawód, bracie, dla ciebie i dla matki.

Whitacre odwrócił głowę. Był przekonany, że Krenek bierze na fundusz rozżalonego młodzika z Harvardu. Krenek, celowniczy cekaemu, służył w Pierwszej Dywizji... Był ranny na Sycylii, a potem w „Dniu D”. Obecnie trzeci raz miał znaleźć się na froncie. Michael uważnie spojrzał na źle dobraną parę. Ale nie! Mały, żyłasty, śniady cwaniak ze slumsów Chicago naprawdę współczuł bostońskiemu paniczekowi.

- Kto wie - wtrącił Michael - może wojna skończy się jutro.

- Masz jakie poufne wiadomości? - zapytał Krenek.

- Nie. Ale czytałem w „Stars and Stripes”, że Rosjanie walą naprzód po pięćdziesiąt mil dziennie.

- Ech, Rosjanie - rozczarował się cekaemista. - Nie licz, że wygrają za nas wojnę. Ostatecznie Pierwsza Dywizja weźmie Berlin i zakończy całą drakę. Wspomnisz moje słowa.

- Myślisz starać się o powrót do Pierwszej Dywizji? - zapytał Whitacre.

- Skąd znowu! - Krenek podniósł wzrok znad karabinu, który czyścił na swoim łóżku, i wolno pokręcił głową. - Chcę żywy wrócić z wojny. Pierwsza Dywizja jest dobra i wszyscy o tym wiedzą. Znadto się wslawiła. A na wojnie, bracie, rozgłos to zguba. Jak trzeba lądować na niebezpiecznej plaży, zdobyć trudne wzgórze, poprowadzić ważne natarcie, jest prosty sposób; wzywa się starą, wykrwawioną „Jedynkę”. Gdybyś miał dostać, bracie, przydział do Pierwszej Dywizji, lepiej z miejsca palnij sobie w łeb. Teraz chciałbym trafić do przyjemnej, nietęgiej dywizji, o której nigdy nikt nie słyszał, bo od Pearl Harbor nie zajęła ani jednego miasta. W „Jedynce” najlepsze, na co można liczyć, to rana. Dwa razy zarobiłem Purpurowe Serce i cały pluton gratulował mi i zazdrościł. Pierwsza Dywizja dostaje zawsze najlepszych generałów, najbardziej bojowych. Ciągłe walczy. Niczego się nie boi. A to dla żołnierza fatalne. Uchowałem się dotychczas, więc obrałem mądre motto: „Niech frajer chodzi w sławie”. - Schylił się i troskliwie począł wycierać naoliwione części karabinu.

- Jak właściwie jest w piechocie? - zapytał nerwowo Speer.

Był to przystojny blondynek o falujących włosach i łagodnych błękitnych oczach. Patrząc na niego widziało się długi szereg guwernantek i ciotek, które w sobotnie popołudnia prowadziły chłopczyka na popularne odczyty.

Cekaemista odpowiedział słowami piosenki:

Jak właściwie jest w piechocie?

Maszerujesz, zuchu, raz, dwa, trzy!

- Nie, nie! - obruszył się młodzian z Harvardu. - Pytam poważnie. Co się tam robi? Czy po prostu wysyłają człowieka na front i od razu każą walczyć?

- Jeżeli chcesz wiedzieć, bracie - odpowiedział Krenek - to w piechocie nie przyzwyczajają człowieka do walki stopniowo. Przynajmniej nie w starej, wykrwawionej „Jedynce”.

- A... - chłopiec zająknął się. - A... ty? W której byłeś dywizji?

Michael usiadł ciężko na swoim posłaniu.

- W żadnej. Trafiłem do Administracji Wojskowej.

- Administracja Wojskowa! - westchnął Speer. - Tam ja powinienem dostać przydział.

- Jakim cudem zarobiłeś Purpurowe Serce w Administracji Wojskowej? - zdziwił się weteran z „Jedynki”.

- W Paryżu przejechała mnie francuska taksówka - objaśnił Whitacre. - Miałem złamaną lewą nogę.

- W „Jedynce” nigdy nie dostałbyś za takie coś Purpurowego Serca - rzucił dumnie Krenek.

- Widzisz, leżałem w sali z dwudziestoma facetami. Jednego dnia przyszedł jakiś pułkownik i wyfasował wszystkim Purpurowe Serce.

- Pięć punktów bliżej zwolnienia - mruknął Krenek. - Może w swoim czasie będziesz, bracie, błogosławił tę taksówkę.

- Mój Boże! - obruszył się Speer. - Ładny system uzupełnień! Człowiek ze złamaną nogą dostaje przydział do piechoty!

- Nie mam już złamanej nogi - wyjaśnił łagodnie Whitacre. - Zrosła się. Zdaniem lekarzy nie wygląda zadowolająco z punktu widzenia kosmetyki, ale ma działać pod gwarancją, zwłaszcza w suchym klimacie.

- Niech i tak będzie - podjął młodzieniec z Harvardu. - Dlaczego jednak nie wracasz do Administracji Wojskowej?

- Jeżeli jesteś, bracie, sierżantem lub niżej - zabrał głos weteran z „Jedynki” - nikt nie zawraca sobie głowy odsyłaniem cię do jednostki macierzystej. Sierżant lub niżej to część wymienna.

- Dziękuję, Krenek - powiedział Michael poważnym tonem. - Przyjemniejszego komplementu nie usłyszałem od miesięcy. Wiem teraz, że się wszędzie mogę przydać.

- Jaki masz numer specjalności wojskowej? - zapytał cekaemista.

- Siedemset czterdzieści pięć - odpowiedział Michael.

- Siedemset czterdzieści pięć. Strzelec z karabinem lub peemem. To też specjalność. Część wymienna jak my wszyscy.

Nerwowy grymas niesmaku wykrzywił delikatne chłopięce wargi Speera. Widać młodzieniec z Harvardu niechętnie myślał o sobie jako o części wymiennej. Taka koncepcja nie odpowiadała autoportretowi malowanemu w latach aksamitnego życia wśród guwernantek i uniwersyteckich auli.

- Chyba są jakieś dywizje, do których dostać się lepiej niż do innych? - nacierał dalej Speer, zaprzątnięty całkowicie swoim osobistym problemem.

- Zginać można w każdej dywizji należącej do armii Stanów Zjednoczonych - odparł doświadczony Krenek.

- Chodzi mi o dywizję, gdzie człowieka łamią powoli, łagodnie. Nie od razu.

- Oj, frajerze, frajerze! - westchnął cekaemista pochylając się nad rozebrany karabinem. - Widocznie w Harvardzie nauczyli cię niestworzonych bredni o służbie w wojsku.

- Papuga! - Młodzik zwrócił się do kolegi, który nie brał dotychczas udziału w rozmowie, lecz bez ruchu leżał na swoim łóżku i szeroko otwartymi oczyma patrzył na wilgotne płótno namiotowe. - Papuga! W jakiej służyłeś dywizji?

Papuga nie drgnął, nie odwrócił wzroku.

- W artylerii przeciwlotniczej - odpowiedział suchym, drewnianym głosem.

Był to otyły, trzydziestopięcioletni mężczyzna o posępnej, naznaczonej ospą twarzy i długich ciemnych włosach. Całe dni leżał na łóżku i często nie wstawał nawet na posiłki. Jego bluzy i płaszcze miały wyblakłe już ślady po odprutych naszywkach starszego sierżanta. Nigdy nie uczestniczył w pogawędkach pod namiotem, lecz budził żywe zainteresowanie kolegów dzięki uporczywemu wpat-

rywaniu się w przestrzeń, skłonności do poszczenia i rzucającym się w oczy śladom degradacji.

- Artyleria przeciwlotnicza. - Krenek z uznaniem kiwnął głową.

- Ciepły przydział, wygodny.

- A co tutaj robisz? - nacierał dalej Speer, który czuł się nieswojo w listopadowy, deszczowy dzień i instynktownie wietrzył zaduch szlachtuza, szukał więc pociechy u wszystkich kolegów-weteranów.

- Dlaczego nie zostałeś w artylerii przeciwlotniczej?

- Jednego dnia zestrzeliłem trzy nasze myśliwce P47 - odparł Papuga nie spoglądając na młodzika z Harvardu.

W namiocie zapanowało kłopotliwe milczenie. Michael zapragnął nagle, by zdegradowany podoficer skończył na tym swoje zwierzenia. Ale stało się inaczej.

- Byłem przy działku czterdziestomilimetrowym - podjął wkrótce Papuga głuchym, bezbarwnym głosem. - Nasza bateria pilnowała lotniska myśliwców. Ściemniało się. O tej porze Niemcy wysyłali zwykle myśliwce, które ostrzeliwały nasze stanowiska z broni pokładowej. Od dwóch miesięcy nie miałem wolnego dnia, byłem zmęczony, bo w ogóle cierpię na bezsenność, a na domiar złego dostałem właśnie list od żony. Pisała, że będzie miała dziecko, a... a ja wyjechałem z kraju dwa lata wcześniej...

Michael przymknął oczy. Miał nadzieję, że Papuga umilknie wreszcie. Ale w jego sercu zapiekła się męka przeżywana samotnie. Skoro więc raz rozpoczął, nie mógł przerwać w połowie.

- Byłem w fatalnej formie i jeden dobry kumpel dał mi na pocieszenie pół butelki marc. To francuski trunek, który pędzą farmerzy. W smaku podobny do czystego spirytusu, a w gardle piecze jak sto diabłów. Sam wypilem wszystko od razu, a kiedy samoloty nadleciały bardzo nisko i ktoś zaczął wrzeszczeć, pomieszało mi się jakoś we łbie. Rozumiecie? Było prawie ciemno... O tej porze Niemcy... - westchnął i zakrył oczy wierzchem dłoni. - Zacząłem walić do tych maszyn. Rozumiecie, dobry ze mnie artylerzysta... A inne działa poszły za moim przykładem... A teraz opowiem wam coś najdziwniejszego... Ten trzeci... Dobrze widziałem znaki rozpoznawcze... Gwiazdę pod skrzydłami i cyfry na białym tle... ale... Ale nie mogłem przerwać ognia... Nie wiem dlaczego. Leciał bardzo nisko, prosto na mnie. Opuścił podwozie. Wyraźnie chciał lądować... Nie umiem wytłumaczyć, czemu strzelałem dalej. - Odślonił oczy i

opuścił rękę. - Dwa się spaliły. Trzeci miał krakę przy lądowaniu. W dziesięć minut później przyjechał pułkownik, dowódca lotniczej grupy operacyjnej. Całkiem młody facet. Znać tych naszych pułkowników lotnictwa? Dostał za coś Medal Kongresu, jak jeszcze był w Anglii. Naskoczył na mnie, no i zwietrzył alkohol. Myślałem, że mnie z miejsca zastrzeli. Cóż, ze swojego punktu widzenia miał rację. Nic nie mógłbym mu zarzucić i przed śmiercią nie czułbym do niego żalu.

Krenek z trzaskiem wsunął na miejsce zamek karabinu.

- Ale mnie nie zastrzelił - podjął bezdźwięcznie Papuga. - Musiałem tylko pojechać z nim na pole, gdzie leżały maszyny. Kazał mi się przypatrzeć, co zostało z dwóch spalonych pilotów. A trzeciego, co miał krakę, pomagałem nieść do namiotu doktora. Po drodze umarł.

Speer nerwowo przełknął ślinę, a Michaelowi przykro się zrobiło, że biedny chłopiec słucha takich rzeczy. Nie wyjdzie mu to na dobre, kiedy w niedalekiej przyszłości i bez stopniowego przygotowania do walki będzie musiał szturmować umocnienia linii Zygryda.

- Naturalnie poszedłem pod sąd wojenny, a ten pułkownik twierdził, że na pewno będę wisiał. Powtarzam, nie czuję do niego żalu i nie czułem ani przez moment. Co chcecie? Taki młody, gorący facet. Ale po kilku dniach komendant więzienia wzywa mnie i powiada: „Papuga, chcemy ci dać szansę. Zawiesimy na razie sprawę, jeżeli zgodzisz się pójść do piechoty”. Ja na to: „Zgadzam się na wszystko”. Zdjęli mi naszywki, a w dniu, kiedy odjeżdżałem do tego obozu, pułkownik przyszedł do mnie i powiedział: „Bodaj ci łeb urwało pierwszego dnia w piechocie!”.

Papuga umilkł i jak zwykle zapatrzył się tępo w wilgotne płótno namiotowe.

- Mam nadzieję, że nie dostaniesz przydziału do „Jedynki” - odezwał się Krenek.

- To dla mnie bez różnicy. Mogą mnie posłać, dokąd zechcą.

W tej chwili gwizdek przerwał rozmowę. Wszyscy wstali, sięgnęli po płaszcze nieprzemakalne i pokrowce na hełmy i szybko wyszli na wieczorny apel.

Znaczne uzupełnienia przybyły ostatnio do obozu prosto ze Stanów. Napęczniała, zbyt liczna, przypadkowo dobrana kompania stała na deszczu grzęznąc w gliniastym błocie. Żołnierze odpowiadali: „Jestem!”, gdy szef wyczytywał nazwiska. Wreszcie sierżant zameldował:

- Panie kapitanie, kompania L na zbiórce. Obecni wszyscy.

Oficer zasalutował i poszedł na kolację.

Ale szef nie zwolnił kompanii. Tam i z powrotem spacerował przed frontem. Zerkał spod oka na ociekające wodą płaszcze i zabłocone buty. Był szczupły, wysportowany. Twarz miał bladą i suchą. Na piersi nosił baretki trzech medali: za nienaganną służbę, za obronę Ameryki i za europejski teatr wojny, ale bez gwiazdek oznaczających kampanie. Po obozie krążyły słuchy, że przed wojną zarabiał jako męska kokota.

- Mam, chłopcy, kilka słów do powiedzenia, nim rozejdziecie się i wrąbiecie kolację - zaczął szef, a dwusereg przyjął tę obietnicę stłumionym, prawie niedoszły-szalnym westchnieniem, bo po długich miesiącach wojny wszyscy wiedzieli, że podoficer nie może mieć do powiedzenia nic, czego wysłucha się z przyjemnością.

- W ostatnich dniach mieliśmy w obozie trochę kłopotów - podjął sierżant. - Jesteśmy blisko Paryża i kilku cwaniakom strzeliło do głowy, że dobrze będzie bryknąć tam na parę dni i zabawić się z dziewczynkami. Może kto z was ma podobne plany, niech się więc dowie, że tamci cwaniacy nie dojechali do Paryża i nie bawili się z dziewczynkami. Są teraz w drodze na front, do Niemiec, i gotów jestem założyć się o pięć do jednego, że nigdy stamtąd nie wrócą.

Sierżant przechadzał się bez pośpiechu, spoglądał w ziemię, ręce trzymał w kieszeniach.

„Ładnie się rusza, z wdziękiem - pomyślał Michael. - I mundur nosi z wprawą i fantazją. Robi wrażenie żołnierza bez zarzutu”.

- Pamiętajcie, chłopcy - ciągnął szef niskim, łagodnym głosem - że Paryż jest zamknięty dla szeregowych z naszego obozu. Na wszystkich wiodących tam drogach i na wszystkich wjazdach do miasta czuwają posterunki żandarmerii i bardzo uważnie kontrolują dokumenty. Powtarzam, chłopcy: bardzo, bardzo uważnie!

Michael przypomniał sobie Fort Dix na Florydzie i dwóch rekrutów, którzy w pełnym rynsztunku maszerowali tam i z powrotem przed kompanijną kancelarią, płacąc w ten sposób za wypad do Trenton i parę kufla piwa. Stara, nieustająca walka w łonie armii. Więzione w klatkach zwierzęta próbują odzyskać swobodę na dzień, na godzinę, dla szklanki piwa, dla dziewczyny i otrzymują surowe, poniżające kary.

- Tu, na obczyźnie, władze wojskowe są wyrozumiałe. Nadzwyczaj wyrozumiałe - mówił sierżant. - Za lewy urlop nie grozi sąd wojenny, jak to ma miejsce w Stanach.

Nawet nic nie wpisuje się do ewidencji. Nie chcemy zapaskudzać nienaganych opinii. Po prostu łapiemy faceta i zaczynamy przeglądać zapotrzebowania uzupełnień. „Aha, mówimy, Dwudziesta Dziewiąta Dywizja miała najcięższe straty w tym miesiącu”. No i własnoręcznie wypisuję przydział i rozkaz wyjazdu.

- Ten skurwysyn to Peruwianczyk - szepnął jakiś głos za plecami Michaela. - Niejedno o nim słyszałem. Wyobraź sobie, nie ma nawet obywatelstwa. Peruwianczyk! I przemawia do nas w taki sposób!

Whitacre spojrział na szefa z nowym zainteresowaniem. Doprawdy! Śniady brunet. Ma nawet minę cudzoziemca. Nigdy jeszcze nie widział Peruwianczyka i przez chwilę bawił się myślą, że moknie na francuskim deszczu i słucha moralnych nauk Peruwianczyka, który przed wojną zarabiał jako męska kokota. „O, demokracjo! Niezbadane są twoje drogi!”

- Uzupełnieniami zajmuję się od dawna - perorował szef. - Za moich czasów przewinęło się przez ten obóz pięćdziesiąt, może siedemdziesiąt tysięcy szeregowców. Dobrze wiem, co wam świta w głowach. Czytujecie gazety, słuchacie radiowych przemówień. Wszyscy wciąż powtarzają: „Nasi dzielni żołnierze na froncie!”. „Bohaterowie w khaki!”. No i zdaje się wam, że bohaterom wszystko wolno. Mogą jeździć na lewe urlopy do Paryża, mogą urzynać się jak bydlaki, mogą za pięćset franków łapać syfa od francuskiej kurwy za barakiem kantyny Czerwonego Krzyża. Tak wam się zdaje, chłopcy. Ale ja powiem wam coś innego. Zapomnijcie o gazeciarskich bredniach. To dobre dla cywilów w kraju, nie dla was. Dla faceta, co w fabryce samolotów zarabia cztery dolary na godzinę. Dla pocziwca z biernej obrony przeciwlotniczej w Minneapolis, który jedną łapą maca butelkę whisky, a drugą przystojną, kochającą żonę. Żadni z was bohaterowie, chłopcy! Jesteście śmiecie! Zrozumiano? Śmiecie! Dlatego właśnie znaleźliście się tutaj. Nie potrzeba was gdzie indziej. Nie potraficie pisać na maszynie ani stroić radia, ani sumować długich kolumn cyfr. Żaden z was nie nadaje się do biura, do fabryki, do niczego. Nikt nie chce oglądać takich typów w Stanach. Jesteście szumowinami armii, a ja dokładnie wiem o tym. Ja nie czytam gazet. Nie troszczę się, co gadają w Waszyngtonie. To nie dla mnie, nie dla was. Nikogo nie obchodzi, czy wrócicie do kraju, czy nie wrócicie. Jesteście uzupełnienia. A w wojsku uzupełnienia to najpodlejsza granda, od której gorsze są tylko uzupełnienia wtórne. Zrozumiano? Na froncie grzebie się co dzień tysiąc takich jak wy, a w obozach uzupełnień ja i podobni do mnie faceci, co się niczym nie gorączkują, przeglądają spisy imienne i posyłają na front nowy tysiąc.

Gadam to wszystko, chłopcy, dla waszego dobra, bo chcę, żebyście wiedzieli, na jakich nogach stoicie. Mamy dziś w obozie całą bandę nowych, którzy nie otarli jeszcze gąb po piwie z kantyny w Kilmer. Im przede wszystkim chcę wszystko z miejsca wyjaśnić. Nie zaprzatajcie więc sobie łbów Paryżem, bo to się na nic nie zda. Wracajcie do namiotów. Porządnie czyście karabiny i piszcie ostatnie instrukcje dla rodzin. A do Francji przyjedźcie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Może wtedy Paryż nie będzie zamknięty dla szeregowców.

Żołnierze stali sztywno, w milczeniu. Szef zatrzymał się przed frontem i z uśmiechem spojrział na dwuszeręg. Miał na głowie miękką połowę czapkę w oficerskim futerale z celofanu.

- Dziękuję, żeście mnie wysłuchali uważnie - powiedział. - Teraz wiemy wszyscy, czego się trzymać. Bacność! Rozejść się!

Sprężystym krokiem odmaszerował ulicą, a szeregi złamały się szybko.

- Muszę zaraz napisać do matki - odezwał się nerwowo Speer drepcąc obok Michaela, żeby wziąć z namiotu przybory do jedzenia. - Dobrze zna senatora z Massachusetts.

- Oczywiście - przytaknął uprzejmie Michael. - Musisz zaraz napisać.

- Whitacre!

Michael odwrócił się. Zobaczył drobną, jak gdyby znajomą postać niknącą w fałdach zbyt obszernego płaszcza przeciwdeszczowego. Przysunął się bliżej i mimo zmierzchu poznał złamany nos, bliznę na czole, pełne, szerokie usta rozchylone w przyjaznym uśmiechu.

- Ackerman! - zawołał.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Nie byłem pewien, czy mnie poznasz - podjął Noe.

Głos miał niski, stłumiony, o wiele mniej młodzieńczy, niż Michael zachował w pamięci. Na wychudzonej twarzy gościa dojrzały wyraz opanowania i spokoju.

Whitacre uradował się szczerze, bo w tłumie obcych spotkał wreszcie znajomego, z którym łączyły go niegdyś prawie przyjacielskie stosunki. Jak gdyby dzięki niespodziewanemu uśmiechowi szczęścia znalazł pośród wrogów wiernego sojusznika.

- Jak Boga kocham! - zawołał. - Cieszę się, że cię widzę! Jak Boga kocham!

- Idziesz na kolację? - zapytał Ackerman zaopatrzone już w przybory do jedzenia.

- Tak. Skoczę tylko do namiotu. Chodź ze mną. - Ujął Noego pod rękę i zdziwił się, że pod śliską, nieprzemakalną tkaniną jest tak niewiele ciała i kości.

- Dobra - zgodził się Ackerman i ramię w ramię ruszyli w stronę namiotu Michaela.

- Wspaniałe nauki moralne - powiedział Whitacre. - Czuję się tak, jak gdybym przed kolacją zlikwidował niemieckie gniazdo karabinu maszynowego.

Noe uśmiechnął się smutno.

- Ach, wojsko! Wszystkie szarże lubią wygłaszać mowy.

- Ulegają nieodpartej pokusie - powiedział Michael. - Pięciuset ludzi stoi w dwuszeregu. Nikt nie może odejść ani nic odpowiedzieć... W takich warunkach chyba i ja kropnąłbym mównicę.

- A co byś powiedział? - zainteresował się Ackerman.

Michael zamyślił się na chwilę.

- Boże, miej nas w opiece - podjął tonem bardzo serio. - Powiedziałbym: Boże, miej w opiece wszystkich żyjących na tej ziemi mężczyzn, kobiety i dzieci.

Zniknął w namiocie, a kiedy wrócił z przyborami do jedzenia, dwaj przyjaciele ruszyli wolno w stronę długiej kolejki, która ustawiła się tymczasem przed barakiem mieszczącym kuchnię i jadalnię.

W jadalni Noe zdjął płaszcz i błysnął Srebrną Gwiazdą przypiętą do górnej kieszeni bluzy. Michaelowi wstyd się trochę zrobiło.

„Na pewno nie dostał tego za potrącenie przez taksówkę - pomyślał. - Mały Noe Ackerman... Zaczynaliśmy razem. Był na tyle rozsądny, że postanowił o nic nie zabiegać w wojsku... Cóż, widać zmienił zamiar”.

- Przypiął mi to generał Montgomery - powiedział Noe zauważywszy, że Whitacre przygląda się jego odznaczeniu. - Ja dostałem Srebrną Gwiazdę i mój przyjaciel Johnny Burnecker. W Normandii. Przedtem wysłali nas do składnicy materiałowej po nowiuteńkie mundury. Był także Patton i Eisenhower. W dowództwie dywizji mieliśmy bardzo sympatycznego oficera operacyjnego. On to dla nas przeforsował. Uroczystość odbyła się czwartego lipca. Rozumiesz? Taki pokaz

przyjaźni brytyjsko-amerykańskiej. - Uśmiechnął się. - Generał Montgomery dał mi dowód przyjaźni w postaci Srebrnej Gwiazdy. Zawsze to pięć punktów do zwolnienia.

W dużej sali stoły były gęsto obsadzone. Noe i Michael znaleźli miejsca i zabrali się do odgrzewanych konserw popijając cienką kawą.

- To granda! - odezwał się Krenek z końca stołu. - Wojsko objada cywilów. Przeznaczone dla nich befsztyki idą do puszek.

Nikt nie roześmiał się ze starego dowcipu, którym Krenek posługiwał się przy stole już w Luizjanie, Ferianie, Palermo...

Michael jadł z apetytem gawędząc z Noem o latach wypełniających lukę między Florydą a Przejściowym Obozem Uzupełnień. Z powagą oglądał fotografię młodszego Ackermana. („Dwanaście punktów do zwolnienia - powiedział Noe. - Ma już siedem zębów”). Słuchał, jak zginęli Colwey, Donnelly, Ricke, jak załamał się kapitan Colclough. Wbrew wszelkim przewidywaniom zatęsknił niby do rodziny do starej kompanii, którą tak chętnie żegnał na Florydzie.

Noe zmienił się bardzo. Nie był już nerwowy i chociaż wychudł strasznie i kasłał co chwila, sprawiał wrażenie człowieka o ustalonej równowadze wewnętrznej. Cechował go jakiś dojrzały spokój i dzięki niemu zdawał się znacznie starszy od Michaela. Mówił cicho, z umiarem, bez dawnej goryczy i nieopanowanego zaciętrzewienia.

„Jeżeli wyjdzie cało z wojny - pomyślał Whitacre - będzie przygotowany do cywilnego życia bez porównania lepiej niż ja”.

Umyli przybory do jedzenia i paląc ze smakiem pięciocentowe fasowane cygara wyszli w wilgotny mrok. Menażki wesoło pobrzękiwały w takt kroków.

W obozie wyświetlano tego dnia film z Ritą Hayworth, toteż wszyscy współlokatorzy Noego poszli oglądać cud kolorowej techniki. Dwaj dawni znajomi usiedli w pustym namiocie na łóżku Ackermana i ćmiąc cygara patrzyli na spirale błękitnawego dymu unoszące się ciężko w chłodnym powietrzu.

- Wyjeżdżam jutro - oznajmił Noe.

- Aa... - westchnął Whitacre.

Nagle poczuł się osierocony, pokrzywdzony przez wojsko, które pozwala spotkać się starym kolegom po to, by ich rozdzielić za dwanaście godzin.

- Wciągnęli cię na listę?

- Nie. Po prostu wyjeżdżam.

- Na lewo? - zainteresował się Michael i puścił wielki kłęb cygarowego dymu.

- Tak.

„Dobry Boże! - pomyślał Michael. - Facet nasiedział się już w więzieniu. Czy to mu nie wystarczy?”

- Do Paryża? - zapytał.

- Nie. Paryż mnie nie ciągnie.

Noe nachylił się i wyjął z worka dwie paczki listów starannie owiązane sznurkami. Położył na łóżku plik kopert, niewątpliwie adresowanych kobiecą ręką.

- Od żony - powiedział. - Pisuje do mnie codziennie. A te... - delikatnie pogładził ręką drugą paczkę - od Burneckera. Johnny odzywa się za każdym razem, jak ma kilka wolnych minut. A każdy list kończy słowami: „Koniecznie musisz do nas wrócić”.

- Aha - mruknął Michael i przypomniał sobie Burneckera.

Jak przez mgłę zobaczył wysokiego, grubokościstego chłopca o dziewczęcej cerze i gęstych jasnych włosach.

- Johnny dostał istnej manii - podjął Ackerman. - Jest przekonany, że jeżeli wrócę do niego i będziemy razem, obydwaj cało wyjdziemy z wojny. To cudowny człowiek. Lepszego nie spotkałem, jak żyję. Muszę do niego wrócić.

- Ale dlaczego wyjeżdżasz na lewo? - zdziwił się Michael.

- Możesz zameldować się w kancelarii z prośbą o przydział do dawnej kompanii.

- Próbowałem. Ale ten Peruwiańczyk... Rozumiesz?... Powiedział, żebym nie zawracał dupy, bo jest zanadto zajęty. Że to nie biuro podróży i pojedę tam, dokąd on mnie wyśle. - Listy Burneckera zaszeleściły cicho pod ręką Noego. - Ogoliłem się, wyprasowałem mundur, przypiąłem Srebrną Gwiazdę. Wszystko to nie zrobiło na szefie żadnego wrażenia. Nie ma rady. Więcej jutro po śniadaniu.

- Wkopiesz się fatalnie - przestrzegł Whitacre.

- Nie. Co dzień ktoś to robi. Wczoraj dał nogę jeden kapitan z czwartego rejonu. Zabrał tylko torbę oficerską. Resztę gratów chłopcy sprzedali Francuzom. Jeżeli nie wędrujesz do Paryża, nic ci nie grozi. Żandarmeria daje spokój facetom, którzy jadą w stronę frontu. Widzisz, porucznik Green... Słyszałem, że został kapitanem... Porucznik

Green dowodzi kompanią C. To człowiek pierwsza klasa. Wszystko załatwi formalnie. Na pewno będzie bardzo zadowolony, jak mnie zobaczy.

- Wiesz, gdzie jest kompania?

- Dowiem się. To nic trudnego.

- Nie strach ci, że wpadniesz? - zapytał Michael. - Zuch z ciebie. Po tylu przykrościach w Stanach...

Noe uśmiechnął się blado.

- Bracie, po Normandii armia Stanów Zjednoczonych nie wymyśli niczego, co mogłoby być dla mnie przykrością.

- Niepotrzebnie się wychylasz.

- Co robić! Jak w szpitalu upewniłem się, że nie umrę, zaraz napisałem Burneckerowi, że do niego wracam. Czeka na mnie. - Głos Ackermana dźwięczał nutą tak stanowczą, że Michael zrezygnował z dalszej dyskusji.

- Szczęśliwej drogi - powiedział. - Pozdrów ode mnie kolegów.

- Nie wiejesz ze mną?

- Co?

- Powiadam ci, jedź! - zawołał Noe. - W kompanii, gdzie cię znają, masz znacznie większe szanse uratowania całej skóry. Nie szukasz chyba śmierci na wojnie, co?

- Nie szukam. Oczywiście.

Michael uśmiechnął się blado. Nie miał zamiaru mówić Noemu o czasach, kiedy było mu zupełnie obojętne, czy wyjdzie z życiem. Nie miał zamiaru mówić o beznadziejnych, deszczowych nocach w Normandii, kiedy czuł się zupełnie niepotrzebny, a wojna wydawała mu się rosnącym wciąż cmentarzem, pracującą bez przerwy fabryką trupów. Nie miał zamiaru mówić o posępnych, szpitalnych dniach w Anglii, gdzie wśród zmasakrowanych odpadków z pól bitew cierpiał zdany na łaskę i niełaskę znieczulonych lekarzy i pielęgniarek. Nie dostał nawet jednodniowej przepustki do Londynu. Służba Zdrowia nie uważała go nigdy za człowieka, lecz za opieszale gojącą się nogę, którą trzeba jako tako wykurować, żeby jej właściciela posłać co prędzej na front.

- Oczywiście. Nie szukam śmierci - powiedział. - Chcę żyć w dniu zakończenia wojny. Chociaż, mówiąc otwarcie, mam przeczucie, że w pięć lat później wszyscy z żalem będziemy myśleć o pociskach, co nas chybiły.

- Ja nie! - zawołał z mocą Noe. - Wiem na pewno, że mnie to nie grozi.

- Tak... tak... - westchnął Whitacre. - Niepotrzebnie zacząłem z tej beczki. Przepraszam.

- Trafisz gdzieś jako uzupełnienie - podjął Ackerman - i między żyjącymi ludźmi znajdziesz się w paskudnej sytuacji. Każdy będzie się tam czuł odpowiedzialny za życie starych kumpli. Wszyscy będą próbowali chronić się wzajemnie. Co to znaczy? Brudna, niebezpieczna robota przypadnie z reguły uzupełnieniom. Sierżanci nie będą nawet zaprzętać sobie głowy twoim nazwiskiem. Nie będą chcieli nic o tobie wiedzieć. Podstawią cię po prostu na miejsce jakiegoś dawnego znajomego, a potem zaczekają na nowe uzupełnienie. W obcej kompanii będziesz sam jak palec. Wyślą cię na każdy patrol, wszystkiemu ty będziesz winien. Jeżeli można będzie ocalić albo ciebie, albo kogoś z dawnych ludzi... Jak sądzisz? Co się stanie?

Noe mówił z pasją. Nie odrywał od twarzy Michaela płomiennych ciemnych oczu. Whitacre był głęboko wzruszony jego życzliwą troską.

„Prawdę mówiąc - myślał - na Florydzie mało mu pomogłem w kłopotach, a dla jego żony nie byłem wielką pociechą w Nowym Jorku. Ciekawe, czy ta szczupła, ciemnowłosa kobietka potrafiłaby zrozumieć to, co jej mąż mówi dziś na błotnistej równinie pod Paryżem? Czy choć trochę zdaje sobie sprawę, jak dziwacznymi drogami chodzą myśli mężczyzny, który pragnie przeżyć posępną zimę na obczyźnie i wrócić kiedyś, aby wziąć żonę w ramiona i przytulić do serca nieznanego syna... Co właściwie wiadomo w Ameryce o wojnie? Co korespondenci wojenni mogliby napisać o tym Przejściowym Obozie Uzupełnień? Jak wyglądałby taki reportaż zamieszczony na pierwszej stronie, podpisany imieniem i nazwiskiem dziennikarza?”

- W wojsku trzeba mieć przyjaciół - ciągnął Noe. - Nie możesz dopuścić, by Peruwiańczyk wysłał cię dokądkolwiek, gdzie nikomu nie będzie zależeć na tobie i żaden przyjaciel cię nie osłoni.

- Dobrze. Idę z tobą - szepnął Michael i delikatnie położył dłoń na szczupłym ramieniu Noego.

Ustał, lecz nie dlatego, by szukać przyjaciół czy też ratować skórę.

Rozdział XXXIV

Za Château-Thierry Michael i Noe przysiedli się do młodego kapelana podróżującego dżipem. W szary, chmurny dzień pomniki na rozległych cmentarzach i pozostałe z czasów tamtej wojny zasięki z drutu kolczastego sprawiały wrażenie opuszczenia i zaniedbania.

Kapelan mówił bardzo dużo miękkim akcentem południowca. Miał przydział w grupie operacyjnej myśliwców P51, obecnie zaś jechał do Reims, aby złożyć zeznanie w obronie pewnego pilota, który odpowiadał przed sądem wojennym.

- Trudno o przyjemniejszego chłopca - mówił. - No i biedak ma całkiem ładną przeszłość. Dwadzieścia dwa loty bojowe, jedno pewne strącenie, dwa prawdopodobne. Uważacie, pułkownik osobiście mnie prosił, bym nie pchał się na świadka, ale uważam to za chrześcijański obowiązek i wygarnę swoje przed sądem.

- A co ten gość przeszkrobał? - zapytał Whitacre.

- Zblamował się na zabawie tanecznej Czerwonego Krzyża - objaśnił kapelan. - Podczas występów artystycznych wysikał się na podłogę.

Michael odpowiedział uśmiechem.

- Pułkownik twierdzi, że to zachowanie niegodne oficera - ciągnął kapelan. - Racja! Ale chłopak był mocno pod gazem i nie wiem, słowo daję, co mu strzeliło do łba. Jego sprawą jestem żywo zainteresowany. Osobiście prowadzę korespondencję z oficerem, który podjął się obrony. To człowiek bardzo na miejscu. Należy do Kościoła Episkopalnego, a przed wojną pracował u adwokata w Portland. Tak, moi drodzy, pułkownik nie przeszkodzi mi wygarnąć prawdy i dobrze zdaje sobie z tego sprawę. Ładna historia! - zawołał kapelan z oburzeniem. - Pan pułkownik Button stanowczo nie powinien czepiać się biednego chłopca i ciągnąć go do sądu pod takim zarzutem. Każdy, ale nie on! Powiem w sądzie, jak się spisał pan pułkownik Button na balu w Dallas, w kraju, w sercu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, pośród amerykańskich kobiet! Wierzcie albo nie wierzcie, ale pan pułkownik Button, ubrany w paradny mundur, odlał się do doniczki z filodendronem na sali balowej w eleganckim podmiejskim hotelu. Widziałem na własne oczy! Cóż, oficer sztabowy...

Wszyscy trzymaliśmy język za zębami. Sprawa nie wyszła na jaw. Teraz jednak wyjdzie. Moja w tym głowa!

Deszcz zaczął padać na stare umocnienia ziemne i spróchniałe paliki, które w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku podtrzymywały druty kolczaste. Kapelan zwolnił, bo niedobrze widział przez mokrą przednią szybę. Noe, który siedział obok niego, zajął się gorliwie ręczną przecieraczką. Mijali właśnie mały, oparkaniony cmentarz, gdzie spoczywali Francuzi polegli podczas odwrotu w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Na kilku mogiłach leżały spłowiałe, zestarzałe kwiaty. Pośrodku stało oszklone pudło z figurką jakiegoś świętego. Michael odwrócił wzrok od wymownego południowca i pomyślał o zawitych drogach wojny.

Kapelan zahamował nagle i tylnym biegiem wjechał na polną drogę wiodącą na cmentarzyk.

- Zrobię ciekawe zdjęcie do mojego albumu - powiedział. - Zgodzicie się oczywiście pozować na tle tych nagrobków, prawda?

Michael i Noe wysiedli z dżipa i ustawili się przed ogrodzeniem. „*Pierre Sorel, soldat première classe, né 1921, mort 1940*” - głosił napis na jednym z krzyżów. Sztuczne laurowe liście i ciemne wstęgi wieńca płowiały na słońcu i mokły podczas deszczów przez długie cztery lata. Dziś tworzyły bezkształtną, zielonkawoczną masę.

- Fotografować zacząłem na początku wojny - mówił kapelan dobywając z futerału błyszczącą leicę. - Mam z górą tysiąc zdjęć. To będą kiedyś cenne dokumenty. Trochę w lewo, chłopcy, trochę w lewo. O, tak. Doskonale! - Aparat szcęknął cicho, a południowiec ciągnął z dumą: - Znakomity aparat, pierwsza klasa. Robi zdjęcia przy każdym świetle. Kupiłem go za dwa kartony papierosów od szwabskiego jeńca. Tylko Niemcy potrafią robić dobre aparaty. Mają cierpliwość, której nam brakuje. No, chłopcy, dajcie teraz adresy swoich rodzin w Stanach. Poślę im odbitki, żeby wasi bliscy zobaczyli na własne oczy, jak dobrze wyglądacie i jak tęgo się czujecie.

Noe podyktował adres Hope u jej ojca w Vermont, a kapelan zapisał go starannie do notesu w czarnej skórkowej okładce ze złożonym krzyżem.

- Bardzo dziękuję, księżo kapelanie - powiedział Michael. - Mną się proszę nie kłopotać. Nie warto.

Wolał, żeby jego rodzice nie oglądali fotografii, na której chudy, mizerny i zmoknięty stoi w źle dopasowanym mundurze na tle przydrożnego cmentarza młodych Francuzów poległych przed czterema laty.

- Nonsens, drogi chłopcze! - obruszył się wymowny południowiec. - Musisz przecież mieć kogoś, komu twoja podobizna zrobi przyjemność. Nie wyobrażasz sobie, jakie miłe listy dostaję od ludzi, którym posyłam zdjęcia ich dzielnych wojaków! Taki przystojny, młody mężczyzna! Na pewno jakaś dziewczyna chętnie postawi twoją fotografię na nocnym stoliku.

- Panna Margaret Freemantle - podyktował Whitacre po krótkim namyśle. - Dziesiąta Ulica 26, Nowy Jork.

„Właśnie coś takiego przyda się jej na nocny stolik” - pomyślał z ironią.

Kapelan pilnie notował adres, Whitacre zaś wyobrażał sobie pokój przy cichej bocznej uliczce w Nowym Jorku i chwilę, gdy Margaret otrzyma jego zdjęcie i uprzejmy bilecik od nieznanego.

„Może wreszcie zdobędzie się na list - myślał. - Chociaż nie mam pojęcia, co mogłaby mieć do napisania i co ja bym jej odpowiedział... Najlepsze pozdrowienia i milion całusów z Francji przesyła wiernie zakochany Michael Whitacre (numer specjalności wojskowej siedemset czterdzieści pięć), aktualnie moknący na deszczu koło krzyża z napisem: «Pierre Sorel, *né* 1921, *mort* 1940». Wiedzie mi się doskonale, a tobie życzę...”.

Noe i Michael zajęli znów miejsca w dziupie, a kapelan wyjechał ostrożnie ze śliskiej, błotnistej dróżki, zrytej gąsienicami czołgów i tysiącem kół ciężkich wojskowych pojazdów.

- Vermont - uśmiechnął się kapelan do Noego. - Ładne, spokojne strony. W sam raz dla takiego młodego zucha jak ty. Prawda?

- Nie będę tam mieszkał po wojnie - odpowiedział Ackerman. - Chcę się osiedlić w stanie Iowa.

- Dlaczego nie w Teksasie? - zainteresował się gościnnie wymowny południowiec. - Tam przynajmniej nie brak miejsca. Człowiek oddycha swobodnie. Masz bliskich w Iowie?

- Mam. Pochodzi stamtąd mój najlepszy kumpel w oddziale. Nazywa się Johnny Burnecker. Jego matka znalazła domek, który będziemy mogli wynająć za czterdzieści dolarów miesięcznie. A wuj jest wydawcą gazety. Przyjmie mnie, jak się tylko zgłoszę. Cały interes już ubity.

- Dziennikarstwo, hę? - zainteresował się kapelan. - Ciekawa, ruchliwa praca. No i forsy jak lodu.

- Nie w tej gazecie. To skromne piśmiśko. Wychodzi tylko raz na tydzień w nakładzie osiem tysięcy dwieście egzemplarzy.

- Na początku wystarczy - pocieszył Noego kapelan. - W sam raz odskoczni do lepszej roboty w większym mieście.

- Nie szukam odskoczni, księżo kapelanie. Nie chcę mieszkać w większym mieście. Nie mam żadnych ambicji. Pragnę do końca życia zostać w prowincjonalnym miasteczku w Iowie z żoną, synem i najlepszym przyjacielem, Burneckerem. Jak zatęsknię za podróżami, zrobię spacer do urzędu pocztowego.

- Gadanie! - obruszył się kapelan. - Zobaczyłeś, chłopcze, szeroki świat. Prowincjonalne miasteczko wyda ci się nudne. Nie wytrzymasz długo.

- Na pewno wytrzymam - powiedział Noe operując pracownicę ręczną wycieraczką. - Nigdy mi się tam nie znudzi.

- W takim razie zupełnie do mnie niepodobny - roześmiał się wymowny południowiec. - Ja również pochodzę z małego miasta i dzisiaj nudzę się na kredyt. Choć, prawdę mówiąc, nikt w kraju nie czeka na mnie z utęsknieniem. Dzieci nie mam, a jak wojna wybuchła i doszedłem do wniosku, że powinienem zaciągnąć się do wojska, moja żona powiedziała: „Ashton, musisz wybierać: albo ja, albo Korpus Kapelanów. Nie chcę siedzieć sama w domu i przez pięć lat myśleć, że ty, swobodny niczym ptaszek, wałęsasz się po świecie i kombinujesz z Bóg wie jakimi babami. Mnie nie nabierzesz!”. Tłumaczyłem, jak umiałem, że mówi głupstwa, ale to niewiasta bardzo uparta. Byłem pewien, że w dniu kiedy wrócę do domu, ona rozpocznie kroki rozwodowe. Możecie mi wierzyć, chłopcy, że wybór był ciężki... Cóż - westchnął z miną filozofa. - Ostatecznie ułożyło się nie najgorzej. W Dwunastym Szpitalu Polowym mam bardzo przyjemną pielęgniarkę, która potrafi jakoś koić moje troski. - Uśmiechnął się. - Przy tej dziewczynie i zamiłowaniu do fotografii brak czasu na wspomnianie żony. Póki zostanie mi kobieta na pociechę w chwilach załamania i dostateczna ilość filmów, żeby robić zdjęcia, wytrzymam jakoś wszystko, co może mnie spotkać.

- Właśnie! Jak ksiądz kapelan zdobywa filmy? - zapytał Michael. Zdziwiło go wspomniane tysiąc zdjęć do albumu, gdyż wiedział, jak trudno dostać w kantine choć jedną rolkę miesięcznie.

Wymowny południowiec zrobił przebiegłą minę i wskazującym palcem stuknął się w czoło.

- Trzeba mieć tu! - powiedział. - Przyznaję, że z początku było bardzo trudno. Ale poradziłem sobie. Poradziłem pierwszorzędnie. Mam teraz najlepsze filmy w świecie. Widzicie, kiedy chłopcy wracają z lotów bojowych, oficer techniczny grupy obcina w ciemni nie zużyte końce taśm wydobytych z aparatów pokładowych. Nigdy nie uwierzycie, jakie zapasy można dzięki temu zdobyć! Wprawdzie ostatni oficer techniczny robił różne trudności i już, już miał poskarżyć się pułkownikowi, że kradnę własność rządową. W żaden sposób nie mogłem go przekonać, o co właściwie chodzi...
- Uśmiechnął się smutno i dodał: - Ale teraz skończyły się moje kłopoty.

- Jak się ksiądz kapelan wyplątał? - rzucił ciekawie Whitacre.

- Widzisz, chłopcze, ten oficer techniczny odbywał czasami loty bojowe. Był dobrym, wspaniałym pilotem myśliwskim! Razu jednego zestrzelił messerschmitta i żeby się pochwalić, wracając zrobił beczkę nad wieżą radiostacji. Biedak, pomylił się o dwie stopy. Potem musieliśmy go zbierać po całym lotnisku. Możecie wierzyć, chłopcy, że nad jego trumną odprawiłem nabożeństwo żałobne, jakim nie może się chyba pochwalić nikt z Korpusu Kapelanów Armii. Prawdziwe, pełne, uroczyste nabożeństwo, bez żadnych skrótów i uproszczeń. - Uśmiechnął się chytrze. - No, teraz mam filmów, ile dusza zapagnie!

Michael szeroko otworzył oczy. Przez moment sądził, że kapelan jest pijany. Ale nie! Wóz prowadził pewnie, spokojnie. Musiał być trzeźwy niczym sędzia podczas rozprawy.

„Ach, to wojsko! - pomyślał Whitacre. - Każdy kombinuje jakoś dziwacznie, na swój własny sposób”.

Przemoczona postać wyszła spod osłony drzewa i podniosła rękę. Kapelan zwolnił, zatrzymał dżipa. Na szosie stał porucznik lotnictwa ubrany w marynarską kurtkę i uzbrojony w pistolet maszynowy.

- Do Reims? - zapytał.

- Siadaj pan! - zaprosił gościnnie wymowny południowiec. - O tam, z tyłu! Bardzo proszę! Wóz kapelana zatrzymuje się przed każdym wędrowcem na wszystkich drogach.

Lotnik zajął miejsce obok Michaela i samochód ruszył pod rześzystym deszczem. Whitacre zerkał spod oka na sąsiada. Był bardzo młody, ale poruszał się jakoś sennie, nieporadnie, a dziwnie skompletowany mundur źle na nim leżał. Porucznik zauważył niebawem, że jest pod obserwacją.

- Zastanawia się pan, co tutaj robię? - bąknął.

- Nie, nie - zaprotestował spieszenie Whitacre, bo nie nęciła go towarzyska pogawędka. - Skąd znowu!

- Mam piekielne trudności z odnalezieniem mojego pułku szybowców - podjął lotnik. - Nie wiem, gdzie stacjonuje.

Michael zdziwił się trochę, w jaki sposób można zgubić cały pułk szybowców, i to na ziemi, ale nie podtrzymał tematu.

- Brałem udział w hecy pod Arnhem - ciągnął porucznik. - Zestrzelili mnie w Holandii, za niemieckimi liniami.

- Naturalnie, jak zawsze, Anglicy zawalili sprawę - cierpko wtrącił kapelan.

- Naprawdę? - obojętnie zapytał pilot. - Dawno nie czytałem gazet.

- Jak to się właściwie stało? - zainteresował się Whitacre, bo trudno mu było wyobrazić sobie, że ten blady chłopiec o łagodnych rysach został zestrzelony z szybowcem za niemieckimi liniami.

- To był mój trzeci lot bojowy. Lądowanie na Sycylii, lądowanie w Normandii, no i teraz. Dowództwo obiecywało, że to nasza ostatnia akcja. - Uśmiechnął się blado. - Jeżeli o mnie chodzi, prawie spełniła się ta wróżba. - Wzruszył ramionami i wzdrygnął się nerwowo w swym przemoczonym mundurze. - Nie wierzę w takie bujdy! Przed końcem wojny na pewno każą nam jeszcze lądować w Japonii. A ja nie palę się do roboty. Wcale się nie palę. Z początku myślałem, że straszny ze mnie pistolet, gotów jak nie na sto zadań bojowych. A gdzie tam! Jak pierwszy raz zobaczyłem obrywające się skrzydło, odwróciłem głowę i na mdłości mi się zebrało. Ledwie zdążyłem wyskoczyć. Wtedy powiedziałem sobie: „Słuchaj, Francis O'Brien, nie nadajesz się na wojaka”.

- Francis O'Brien - ożywił się wymowny południowiec. - Pewnie pan katolik?

- Tak, proszę pana, katolik - odpowiedział pilot szybowca.

- Chciałbym wysłuchać pańskiej opinii w pewnej sprawie - podjął kapelan. - Otóż w Normandii, w wiejskim kościele mocno nadwerężonym naszą artylerią, znalazłem małą fisharmonię. Kazałem ją przywieźć do obozu, żeby urozmaicić trochę niedzielne nabożeństwo, i w rozkazie dziennym umieściłem punkt, że poszukuję organisty. W całej grupie nikt nie mógł się podjąć tego zadania prócz jednego sierżanta z obsługi technicznej, rusznikarza. To był Włoch i katolik, ale na fisharmonii

grał niczym Horowitz na fortepianie. Do kalikowania wziąłem młodego Murzyna i w pierwszą niedzielę urządziłem nabożeństwo jak nigdy. Wszyscy byli zachwyceni innowacją. Nawet pułkownik przyszedł i śpiewał pieśni religijne. Mówię panu, ryczał niby buhaj na wiosnę! Ale w następną niedzielę Włoch nie pokazał się wcale, a kiedy odnalazłem go po południu i zapytałem, co się stało, odpowiedział, że sumienie zabrania mu przygrywać podczas heretyckich nabożeństw. Pan, panie O'Brien, jest katolikiem i oficerem, proszę więc powiedzieć, czy pańskim zdaniem ten sierżant zachował się po chrześcijańsku i zgodnie z nakazami waszej wiary?

Pilot szybowca westchnął cicho. Widać było, że nie czuje się na siłach, by wydać miarodajny sąd o zawilej kwestii religijnej.

- Cóż, księżę kapelanie - zaczął po chwili - nakaz sumienia to sprawa czysto indywidualna i...

- A pan grałby dla mnie na fisharmonii? - natarł ostro wymowny południowiec.

- Niewątpliwie, księżę kapelanie.

- Pewnie pan niemuzykalny, co?

- Tak jest, księżę kapelanie. Niemuzykalny.

- O to właśnie chodzi! - westchnął smętnie kapelan. - W całej grupie tylko ten jeden makaroniarz potafił grać na fisharmonii. Od tego czasu musiałem odprawiać nabożeństwa bez muzyki.

Przez długi czas jechali w milczeniu wśród moknących na deszczu winnic i śladów poprzedniej wojny.

- Panie poruczniku - odezwał się wreszcie Michael, którego intrygował blade, nieśmiały młodzik. - Proszę nie opowiadać, jeżeli przykro panu o tym mówić, ale bardzo ciekaw, jak pan wy dostał się z Holandii?

- Wcale mi nie przykro o tym mówić - odezwał się O'Brien bezbarwnym tonem.

- Kiedy zobaczyłem, że prawe skrzydło odpada, zasygnalizowałem holującemu samolotowi, że zwalniam linkę. Z trudnością siadłem na jakimś polu i nim wylazłem z szybowca, żołnierze, których przewoziłem, rozproszyli się na wszystkie strony, bo z zabudowań odległych o tysiąc jardów waliły do nas cekaemy. Biegłem co sił w nogach i po drodze odrywałem z munduru skrzydła, żeby je jak najprędzej wyrzucić, bo Niemcy nie patyczkują się podobno ze schwytanymi lotnikami. Rozumie pan? Masowe naloty, rozmaite omyłki, wielkie straty wśród ludności cywilnej... W każdym razie lepiej nie wpaść do niewoli ze skrzydłami na mundurze. Przez trzy dni leżałem w

rowie, aż w końcu nadszedł jakiś farmer i przyniósł mi trochę jedzenia. Jeszcze tej samej nocy przeprowadził mnie przez linię placówek i oddał w ręce brytyjskiego oddziału rozpoznawczego. Stamtąd odesłano mnie na tyły i wreszcie znalazłem się na amerykańskim niszczycielu. Dzięki temu mam na sobie kurtkę marynarską. Okręt myszkował po Kanale przez całe dwa tygodnie. Wielki Boże! Jak żyję, tak nie chorowałem! Ostatecznie wysadzono mnie na ląd w Southampton i autostopem dotarłem łatwo do dawnego miejsca postoju. Tam dowiedziałem się, że moją grupę przed tygodniem przesunięto do Francji. Ja zostałem uznany za zaginionego, a wszystkie moje rzeczy odpłynęły już do kraju. Bogu tylko wiadomo, co wycierpiała matka, kiedy otrzymała taką wiadomość. Cóż dalej? Nikt nie kwapił się z wydaniem mi rozkazów, bo pilot szybowcowy to tylko utrapienie, jeżeli nie ma w planie większych działań spadochronowych. Władze obozowe twierdziły, że nie mają prawa dysponować moją osobą ani płacić mi, ani wystawić rozkazu podróży. - O'Brien zachichotał cicho, bez złośliwości. - Słyszałem, że moja grupa stacjonuje gdzieś w pobliżu Reims, postarałem się więc o miejsce na frachtowcu, który wiozł do Cherbourga amunicję i żelazne porcje. Potem na własną rękę wyskoczyłem na dwa dni do Paryża. Ale co z tego? Porucznik bez gaży przez dwa miesiące może z takim samym powodzeniem być w grobie jak w Paryżu... Teraz staram się jechać dalej... Oto cała historia.

- Wojna - wtrącił sentencjonalnie wymowny południowiec - stwarza niekiedy zawiłe problemy.

- Ja tam się nie skarżę - podchwycił żywo pilot szybowcowy.

- Słowo daję, księżę kapelanie, do nikogo nie mam żalu. Byle nie kazali mi czwarty raz lądować za nieprzyjacielskimi liniami! Jestem zadowolony i nie przejmuję się niczym, a władze mogą mnie wysłać, dokąd zechcą, póki wierzę, że ostatecznie wrócę do swoich pieluch.

- Do czego? - zdumiał się Michael.

- Do pieluch - wyjaśnił pilot szybowcowy i uśmiechnął się chytrze. - W Green Bay prowadzimy z bratem niewielką, ale dobrze prosperującą fabryczkę. Mamy dwie ciężarówki. Obecnie brat się wszystkim zajmuje, ale raz po raz pisze, że coraz trudniej zdobyć tkaninę bawełnianą jakiegokolwiek gatunku. Bardzo mnie to trapi. Ostatnie pięć listów przed lądowaniem wysłałem do rozmaitych fabryk tekstylnych w Stanach. Pytałem, czy mogłyby dostarczać nam choć trochę towaru.

„We wszystkich dziedzinach życia trafiają się bohaterowie” - pomyślał skromnie Michael wjeżdżając do Reims.

Na skrzyżowaniach ulic stały posterunki żandarmerii, a przed katedrą parkowały liczne pojazdy wojskowe. Michael spostrzegł, że Noe kurczy się na miejscu obok kierowcy, przerażony zapewne, iż utknie w ruchu i bałaganie strefy przyfrontowej. Mimo to Michael nie mógł się oprzeć pokusie i patrzył ciekawie na obłożoną workami z piaskiem katedrę, której witraże wyjęto, by przechować je w bezpiecznym miejscu. Jak przez mgłę pamiętał, że w szkółce elementarnej w Ohio złożył dziesięć centów na odbudowę tej katedry po barbarzyńsku zburzonej podczas tamtej wojny. Teraz gapiąc się z kapelańskiego dżipa na strzelistą budowlę, mógł stwierdzić z zadowoleniem, że jego ofiara nie poszła na marne.

Wóz zatrzymał się przed Rejonową Komendą Zaopatrzenia i Transportu.

- Niech pan teraz wysiądzie, poruczniku - powiedział kapelan - pójdzie tutaj i zażąda odstawienia do swojej grupy, bez względu na to, gdzie obecnie stacjonuje. Niech pan nie zapomina, że trzeba mówić stanowczym tonem i głośno. Gdyby pan nie wskórał, proszę poczekać na mnie. Wrócę za piętnaście minut i zagrozę w tej komendzie, że wyślę raport do Waszyngtonu, jeżeli nie obejdą się z panem po ludzku.

O'Brien wygramolił się z samochodu i z niepewną, zatroskaną miną stanął przed szeregiem odrapanych, szarych kamienic. Widać było, że wątpi w skuteczne działanie Rejonowej Komendy Zaopatrzenia i Transportu.

- Nie! Mam lepszy pomysł! - zawołał wymowny południowiec.

- Przed chwilą minęliśmy kawiarnię. Zmarzył pan i przemókł. Na pewno podwójny koniak posłuży panu i jako tako wzmocni nerwy. Tam się spotkamy. Pamiętam nawet nazwę: „Aux Bons Amis”.

- Dziękuję - bąknął niepewnie lotnik. - Wolę zaczekać tutaj.

Kapelan zerknął spod oka na O'Briena. Potem sięgnął do kieszeni, wydobył pięćsetfrankowy banknot i powiedział wręczając go porucznikowi:

- Prawda... Zapomniałem, że od dwóch miesięcy nie brał pan gaży...

Lotnik uśmiechnął się z zażenowaniem, ale pieniądze przyjął.

- Dziękuję, serdecznie dziękuję - mruknął i szybko ruszył w stronę kawiarni.

- A teraz - podjął żywo kapelan naciskając starter - wywieziemy dwóch podejrzanych ptaszków za kordon żandarmerii.

- Jak to? - zapytał niedorzecznie Michael.

- Przecież podróżujecie na własną rękę! Macie to jasno wypisane na gębach.
Chłopcze - zwrócił się do sąsiada. - Przetrzyj no trochę szybę!

Noe i Michael jechali uśmiechnięci przez stare, posepne miasto. Po drodze minęli sześć posterunków kontrolnych. Jeden z żandarmów zaszalutował widząc dziupa ślizgającego się po mokrym asfalcie. Michael z poważną miną odpowiedział wojskowym ukłonem.

Rozdział XXXV

Whitacre i Ackerman zbliżali się do linii frontu i spotykali coraz przyjemniejszych ludzi. Kiedy było już słyhać nieustanny pomruk dział wiodących rozmowy nad jesiennymi polami bitew w Rzeszy, każdy mówił uprzejmym, życzliwym tonem, chętnie zapraszał wędrowców na posiłki lub noclegi, częstował mocnymi trunkami, pokazywał fotografie żony i pytał grzecznie, czy mógłby w zamian obejrzeć ich rodzinne zdjęcia. Michaelowi wydawało się, że wkroczywszy w strefę wojennych gromów pożegnał dziedzinę samolubstwa, nerwowej nieufności, złych manier dwudziestego wieku, jednym słowem, świat, w którym tkwił dotychczas mniemając, iż rodzaj ludzki zawsze postępował w zbliżony sposób.

Nie było żadnych trudności ze zdobywaniem miejsc w samochodach podróżujących w stronę frontu. Wszystkie zatrzymywały się na pierwsze skinienie.

Porucznik ze Służby Rejestracji Grobów tłumaczył zawodowo przygodnym pasażerom, jak jego podwładni rewidują kieszenie trupów, a zawartość układają na dwie kupki. Jedna zawiera listy z domu, kieszonkowe wydania Pisma świętego, legitymacje, odznaczenia przeznaczone do wysyłki pod adresem okrytych żałobą rodzin. Druga - kości, karty, prezerwatywy, szczere listy angielskich dziewcząt, wspominających bez ogródek rozkoszne noce na łąkach pod Salisbury lub w londyńskich hotelikach. Te typowo żołnierskie drobiazgi niszczy się później, by nie kalać pamięci bohaterów poległych na polu chwały. Porucznik - przed wojną ekspedient z działu damskiego obuwia Magnina w San Francisco - opisywał również trudności, na jakie napotyka jego oddział przy zbieraniu i ustalaniu tożsamości zwłok poszarpanych przez furię nowoczesnej wojny.

- Posłuchajcie, chłopcy - mówił na zakończenie. - Zawsze noście jeden znak rozpoznawczy w kieszonce od zegarka. Przy bliskim wybuchu głowa łatwo odpada, no i łańcuszek zsuwa się z szyi. Ale w dziewięciu przypadkach na dziesięć nieboszczyk zostaje w spodniach, możemy więc zidentyfikować go i imiennie wciągnąć na listę strat.

- Dzięki za dobrą radę - powiedział Michael i wraz z Noem wysiedli z dżipa.

W dalszą drogę zabrał ich kapitan żandarmerii, który zorientował się zaraz, że ma do czynienia z dezertkami. zaproponował, że weźmie ich do swojej kompanii i załatwi przydział drogą służbową, gdyż w danej chwili ma stan katastrofalnie niski.

Część podróży odbyli nawet w wozie dowodzenia dwugwiazdkowego generała, którego dywizję wycofano z pierwszej linii na pięciodniowy odpoczynek. Generał miał dobronudszą, ojcowską minę, wydatny brzuch i cerę taką, jaką widuje się u wcześniaków przechowywanych w nowoczesnych szpitalach w inkubatorach.

- Skąd jesteście, chłopcy? - zapytał uprzejmie, lecz podchwytliwie. - Do jakiej zmierzacie jednostki?

Whitacre z dawnego nawyku nie ufał wyższym oficerom, zaczął więc łamać głowę nad nieszkodliwym kłamstwem. Ale Noe odpowiedział szczerze:

- Jesteśmy dezertkami, panie generale. Zwaliśmy z Przejściowego Obozu Uzupełnień i zmierzamy do naszej dawnej kompanii. Koniecznie musimy się tam dostać.

Generał wyrozumiale skinął głową i z uznaniem zerknął na Srebrną Gwiazdę Noego.

- Mam coś dla was, chłopcy - podjął tonem sprzedawcy proponującego klientowi kupno za bezcen lamp na stolik brydżowy. - W mojej dywizji są także braki. Może wstąpicie? Przekonacie się, jak się wam u nas spodoba. Osobiście każę załatwić wszystko papierkowo.

Michael uśmiechnął się na myśl o nie znanej dotąd armii - bardziej giętkiej, przychylnej, mniej formalistycznej. Noe jednak odmówił stanowczo:

- Bardzo dziękuję, panie generale, ale przyrzekłem kolegom, że na pewno do nich wrócę.

Generał znów kiwnął głową.

- Rozumiem wasze stanowisko - powiedział. - W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku sam poruszyłem niebo i piekło, żeby wrócić ze szpitala do starego oddziału. W każdym razie możecie wstąpić na obiad. Dziś niedziela. W kasynie dowództwa będziemy chyba mieli kury.

Echa grzmotu działa za odległymi wzgórzami były coraz głośniejsze, a Whitacre nabierał stopniowo przekonania, że wreszcie znajdzie szczere koleżeństwo, powszechną otwartość serc, bezimienne, nieartykułowane „tak” płynące z miliona

gardzieli. Marzył o tym przed wstąpieniem do wojska, dotychczas jednak raz po raz spotykało go rozczarowanie. Obecnie wyczuwał gdzieś przed sobą, pośród ustawicznego ognia artylerii, Amerykę, jakiej daremnie szukał na amerykańskim kontynencie - Amerykę umęczoną i konającą, lecz należącą do przyjaciół i dobrych sąsiadów, kraj, w którym człowiek może odrzucić raz na zawsze przycywilizowane wątpliwości, książkowy cynizm, realistyczne cierpienia i pokornie, radośnie utonąć w poczuciu wspólnoty... Noe, na którego czekał wierny druh, Johnny Burnecker, trafił już do tej krainy. Jasno dowodził tego śmiały, spokojny ton, jakim rozmawiał zarówno z sierżantami, jak z generałami. Wygnańcy, którzy pędzą życie w błocie i wśród ciągłej obawy, znaleźli ojczyznę pod jednym przynajmniej względem lepszą niż ta, z której zostali wyrwani. Na kresach niemieckiej ziemi rodzi się zboczona krwią i zryta pociskami demokracja. Utopia bez bogaczy i nędzarzy. Całe życie płynie tam we wspólnocie. Żywność jest rozdawana według potrzeb, nie według zawartości portfela. Światło, opał, mieszkanie, przewóz, opiekę lekarską i pochówek otrzymują wszyscy na koszt państwa, i to na zasadach absolutnej równości - biali i kolorowi, chrześcijanie i żydzi, pracodawcy i robotnicy. Środki produkcji - w danym przypadku karabiny, pistolety maszynowe, cekaemy, moździerze, bazooki, działa - znajdują się w rękach mas. Jest to idealny, chrześcijański socjalizm, gdzie wszyscy pracują dla wspólnego dobra, a klasę próżnującą stanowią jedynie umarli.

Punkt dowodzenia kapitana Greena mieścił się w niewielkim farmerskim domu, któremu ścięty spiczasty dach nadawał pozór średniowiecznej kamieniczki z kolorowego filmu rysunkowego. Dom został tylko raz trafiony, a dziurę załatano wyjętymi z zawiasów drzwiami z sypialnego pokoju. Tuż koło ściany, po stronie osłoniętej przed nieprzyjacielem, zaparkowano dwa dżipy. W każdym z nich spał brodaty żołnierz, szczelnie owinięty kocami i z czołem osłoniętym hełmem wspierającym się na nosie. Działa grzmiały tu głośniejsz niż dotychczas, a od czasu do czasu w górze chichotały pociski. Wiał zimny wiatr, drzewa stały nagie, droga i okoliczne pola tonęły w błocie, a oprócz dwóch śpiących w dżipach żołnierzy nie było wokół widać żywej duszy.

„Zupełnie jak na każdej innej farmie w listopadzie - pomyślał Whitacre. - Gospodarz oddał ziemię na pastwę żywiołów, sam zaś drzemie po całych dniach i śni o wiosnie, która musi nadejść”.

Zdumiewającym wydawał mu się fakt, że wraz z Ackermanem zlekceważył regulaminy służby, przewędrował pół Francji, szybko jak strzała sunął pośród dział, ciężarówek i maszerujących oddziałów i zawiłym labiryntem dróg przybył do tak cichego, zaniedbanego, na pozór niegroźnego miejsca. Armia, korpus, dywizja, pułk, batalion... Ominęli cały łańcuch dowództw, zsunęli się po nim w dół, jak marynarz po linie z węzłami, by wylądować wreszcie w punkcie dowodzenia kompanii, a kiedy się tam znaleźli, Michael zaczął być niespokojny. Spoglądał na drzwi domu i myślał, że zapewne postąpili głupio i narazili się na więcej przykrości, niż było warto. Armia to przecież organizacja najbardziej formalistyczna pod słońcem, a oni beztrąsko ominęli wszelkie formalności. Takie przestępstwo musi być dokładnie określone w artykułach *Wojskowego kodeksu karnego*. Ackerman nie zaprzętał sobie głowy zbędnymi wątpliwościami. Pomimo błota ostatnie trzy mile przebył żwawym, sprężystym krokiem, a teraz ze skupionym uśmiechem na drżących lekko ustach pchnął drzwi i wszedł do domu. Michael podążył wolno jego śladem. Kapitan Green odwrócony plecami do drzwi rozmawiał przez telefon polowy.

- Front mojej kompanii - mówił - to kpiny, panie majorze. Tak jesteśmy rozciągnięci, że w każdym miejscu może przejechać fura w czwórkę koni. Potrzeba mi uzupełnień. Co najmniej czterdziestu ludzi. Słucham.

Michael usłyszał płynący po drucie głos dowódcy batalionu, natarczywy i gniewny. Green wyłączył odbiór i znów zaczął mówić:

- Tak jest, panie majorze. Rozumiem, że dostaniemy uzupełnienia, jak ten przeklęty korpus uzna za stosowne je przysłać. Ale jeżeli Szwaby uderzą przedtem, prześlizną się przez nas niczym piskorz przez kaczkę. Co mam zrobić w razie nagłego uderzenia? Słucham.

Michael znów usłyszał dwa krótkie, urywane dźwięki.

- Tak jest, panie majorze - odpowiedział kapitan. - Rozumiem. Skończone, panie majorze.

Rzucił słuchawkę i spojrzał na kaprała siedzącego przy zaimprovizowanym biurku.

- Wiecie, co mi major powiedział? - zapytał smętnie. - Żeby mu zameldować, jak Szwaby uderzą. Komik! Stworzył nową specjalność wojskową. Zostaliśmy „oddziałem meldunkowym”. - Niechętnie machnął ręką i odwrócił się do Michaela i Noego. - O co chodzi?

Noe milczał. Green przyjrzał mu się uważniej, a potem z bladym uśmiechem wyciągnął rękę.

- Ackerman! Myślałem, żeś od dawna w cywilu.

- Nie, panie kapitanie. Nie jestem w cywilu. To Whitacre. Chyba go pan sobie przypominasz?

Oficer zmierzył Michaela bystrym spojrzeniem.

- Tak, oczywiście - powiedział wysokim, przyjemnym, prawie kobiecym głosem.

- Z Florydy. Co przeskrobaliście, chłopcy, że odesłano was z powrotem do kompanii C?

Uścisnął dłoń Michaela.

- Nikt nas nie odesłał, panie kapitanie - zabrał głos Noe. - Daliśmy dęba z Przejściowego Obozu Uzupełnień. Jesteśmy dezerterami.

- Doskonale - uśmiechnął się Green. - O nic się nie martwcie. To bardzo ładnie z waszej strony... bardzo, bardzo ładnie. Chociaż nie mam pojęcia, dlaczego może komuś zależeć na powrocie do tej piekielnej kompanii. Od tygodnia nie dostałem uzupełnień. Wy jesteście pierwsi. Zaraz załatwi się formalnie wasz przydział.

Widać było, że jest wzruszony i zadowolony. Bezwiednie głaskał Noego po ramieniu serdecznie, niemal macierzyńskim ruchem.

- Panie kapitanie, czy Johnny Burnecker jest gdzieś w pobliżu? - Noe starał się mówić spokojnie, obojętnie, ale nie bardzo mu się to udawało.

Green odwrócił się. Kapral zaczął bębnić palcami po blacie zaimprovizowanego biurka.

„Zaraz stanie się coś okropnego - pomyślał Michael. - Boję się najbliższych dziesięciu minut”.

- Zapomniałem w pierwszej chwili - odezwał się wreszcie Green - że z Burneckerem żyłeś bardzo blisko.

- Tak... panie... kapitanie - wyjąkał Noe.

- Nie wiesz nawet, że został sierżantem - podjął kapitan. - A później, we wrześniu, starszym sierżantem i dowódcą plutonu. Twój Johnny Burnecker to żołnierz jak sto diabłów.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Widzisz, Noe... Johnny Burnecker oberwał wczoraj w nocy. Rozumiesz... Zabłąkany pocisk... Od pięciu dni kompania nie miała strat... prócz niego.

- Poległ, panie kapitanie? - zapytał Noe.

- Nie.

Michael spostrzegł, że Noe rozprostowuje zaciśnięte w pięści dłonie.

- Nie - powtórzył Green. - Nie poległ. Bez chwili zwłoki ewakuowaliśmy go do tyłu.

- Panie kapitanie! - zawołał Noe. - Wolno mi prosić pana o łaskę? O wielką łaskę!

- Słucham.

- Czy... Czy pan kapitan da mi przepustkę? Muszę się z nim zobaczyć... Pomówić.

- Chyba odstawiono go już do szpitala polowego - powiedział cicho Green.

- Muszę się z nim zobaczyć, panie kapitanie - podjął Ackerman szybko, natarczywie. - To sprawa bardzo ważna. Nie wyobraża pan sobie nawet, jak niesłychanie ważna. Do szpitala polowego tylko piętnaście mil. Widzieliśmy go. Mijaliśmy go po drodze. Panie kapitanie! Stracę najwyżej dwie godziny. Nie będę marudził. Ręczę, że nie będę marudził. Wrócę niedługo, jeszcze przed wieczorem. Chcę tylko pomówić z nim przez kwadrans. Panie kapitanie! Nasza rozmowa może wiele zmienić i...

- Zgoda! - powiedział Green i przy swoim stole napisał szybko kilka słów. - Masz przepustkę, Noe. Idź na podwórko i powiedz Berensonowi, że ma cię zaraz odwieźć i przywieźć.

- Dziękuję - szepnął Noe zdławionym, ledwie dosłyszalnym głosem. - Bardzo dziękuję, panie kapitanie.

- Ale bez skoków na boki - podjął Green patrząc na zawieszoną na ścianie mapę, osłoniętą celofanem i pokreśloną różnokolorowymi kredkami. - Dżip będzie nam potrzebny wieczorem.

- Bez skoków na boki, panie kapitanie. Przyrzekam. - Noe ruszył w stronę drzwi, lecz odwrócił się po paru krokach. - Panie kapitanie...

- Słucham.

- On... ciężko ranny?

- Tak, Noe - odrzekł oficer głuchym tonem. - Bardzo, bardzo ciężko.

Po chwili Whitacre usłyszał, że dżip rusza i odjeżdża błotnistą drogą. Wydało mu się, że to dławi się i krztusi silnik motorówki. - Whitacre - powiedział Green. - Możesz zaczekać tu, póki on nie wróci.

- Dziękuję, panie kapitanie.

Oficer zmierzył go znów byстрыm wzrokiem.

- No i jakoś zrobili z ciebie żołnierza? - zapytał.

- Do niczego - odparł Michael po chwili zastanowienia.

Green uśmiechnął się smutno. Wyglądał w tej chwili jak stojący za ladą ekspedient, zmęczony po gorączkowym ruchu przed świętami Bożego Narodzenia.

- Będę o tym pamiętał - powiedział.

Zapalił papierosa, szeroko otworzył drzwi i stanął na szarym, wypłowiałym tle jesiennego krajobrazu. Z daleka dobiegło stłumione warczenie dżipa.

- Ach - westchnął kapitan. - Niepotrzebnie go wyprawilem. Żołnierz nie powinien patrzeć na śmierć przyjaciół, kiedy jemu samemu nic nie grozi.

Zamknął drzwi i wrócił na swoje miejsce za stołem, a kiedy telefon zadzwonił, podniósł słuchawkę. Michael usłyszał znów zniekształcony, ale rozkazujący głos dowódcy batalionu.

- Nie, panie majorze - odpowiedział po chwili Green. - Od siódmej rano nie było ognia broni małokalibrowej. Będę meldował, jeżeli coś zajdzie.

Odłożył słuchawkę i zapatrzył się w spirale, które dym z jego papierosa kreślił na tle mapy terenowej.

Noe wrócił dobrze po zmroku. Dzień upłynął spokojnie, bez ruchu patroli. Nad głowami skowyczały wprawdzie pociski artyleryjskie, wydawało się jednak, że nie interesuje to wcale żołnierzy z kompanii C, którzy przychodzili od czasu do czasu z meldunkami dla kapitana Greena.

Przez całe popołudnie Michael drzemał w kącie dziwiąc się nowej wojnie, oglądanej w zwolnionym tempie, tak bardzo różnej od zaciekłych walk w Normandii i szaleńczego pościgu po przełamaniu niemieckich linii. Wszystko odbywało się sennie, jak gdyby nutę przewodnią w tej orkiestrze grały inne instrumenty. Przede wszystkim chodziło o obronę przed zimmem, jakie takie jedzenie i możliwą w polu higienę, a

ustawiczny problem kapitana Greena stanowiły niebezpieczne luki na pierwszej linii coraz dotkliwszy brak uzupełnień.

Michael wspominał z niedowierzaniem oszałamiający ruch i zgiełk z czasu wędrówki w stronę frontu. Tysiące szeregowych, setki zaaferowanych oficerów, obładowane dzipy, ciężarówka, wagony towarowe! A wszystko to pracuje bez wytchnienia dlatego jedynie, by utrzymać garstkę zagubionych, sennych, powolnych żołnierzy, dobrze zakorzenionych i bezpiecznych na zapomnianym, martwym odcinku. Przypomniawszy sobie prośby kapitana Greena o bodaj czterdziestu ludzi z uzupełnień.

„W wojsku - myślał - znajdzie się wszędzie przynajmniej cztery ręce do każdej roboty: w Służbie Zaopatrzenia, w kancelariach wyższych dowództw, w propagandzie, szpitalach i oddziałach transportowych. Tylko tutaj, w obliczu wroga, stany są niepełne. Tylko tutaj, podczas smutnej jesiennej szarugi, w wilgotnych schronach ziemnych, armia zdaje się reprezentować zdziesiątkowany, zubożały naród żebraków. Prezydent Stanów powiedział niegdyś, że trzecia część Amerykanów jest niedożywiona i mieszka w opłakanych warunkach. Zapewne z racji jakichś cudów z podziałem dóbr społecznych oddziały frontowe należą wyłącznie do tej właśnie trzeciej części Amerykanów”.

Nagle usłyszał dzipa nadjeżdżającego wolno w mroku. Ze względu na zaciemnienie okna były zasłonięte kocami i koc wisiał na drzwiach. Ten właśnie koc odchylił się na moment. Wszedł powoli Noe, a za nim Berenson. Do izby wtargnął strumień chłodnego nocnego powietrza.

Ackerman zamknął za sobą drzwi i ciężko oparł się o ścianę. Kapitan Green spojrzał na niego badawczo.

- No i co? - zapytał stłumionym głosem. - Widziałeś go, Noe?
- Widziałem. - Ackerman miał głos ochryply i słaby.
- Gdzie jest?
- W szpitalu polowym.
- Myślą go dalej ewakuować?
- Nie, panie kapitanie. Nie myślą go dalej ewakuować.

Berenson usiadł w kącie i z chlebaka wy dostał żelazną porcję.

Z chrzęstem rozdarł karton i papierowe opakowanie. Zaczął jeść hałaśliwie. Łakomie miażdżył w zębach twarde suchary.

- Żyje jeszcze? - szepnął niepewnie Green.

- Tak, panie kapitanie. Jeszcze żyje.

Green westchnął. Zorientował się, że Noe woli nie rozmawiać.

- Chwała Bogu - powiedział. - Bądź dobrej myśli, Noe. Jutro rano poślę was obu do drugiego plutonu. A teraz wypijcie się dobrze.

- Dziękuję, panie kapitanie - bąknął Ackerman. - I jeszcze raz dziękuję za dżipa.

Potoczył dokoła błędnym wzrokiem. Potem szarpnął drzwi i wyszedł. Michael wstał myśląc z żalem, że od chwili powrotu przyjaciół nawet nań nie spojrzali. Pospieszył jego śladem w wilgotny mrok jesiennej nocy i raczej wyczuł, niż zobaczył Noego. Stał oparty o ścianę. Jego płaszcz nieprzemakalny szeleścił cicho na wietrze.

- Noe...

- Jestem... - Głos był bez wyrazu, spokojny, zmęczony, głuchy. - Michael...

Stali obok siebie bez słowa. Patrzyli w dal, gdzie na widnokręgu wytryskiwały co chwila nikłe błyski. Armaty pracowały wytrwale jak nocna zmiana w fabryce.

- Wyglądał wcale nieźle, przynajmniej na twarzy - zaczął nareszcie Noe zdyszany szepem. - Ktoś ogolił go z rana. Podobno o to prosił. Dostał w kręgosłup. Lekarz powiedział od razu, że Johnny może się zachować dziwacznie. Ale poznał mnie, jak wszedłem. Uśmiechnął się, rozplakał... Widzisz, płakał już raz, kiedy ja zostałem ranny...

- Wiem - wtrącił Michael. - Mówiłeś.

- Potem zasypał mnie pytaniami... różnymi pytaniami. Jak mi było w szpitalu? Czy byłem w Paryżu? Czy mam nowe fotografie mojego malca? Pokazywałem mu zdjęcie na trawniku, które Hope przysłała mi miesiąc temu. Powiedział, że dzieciak jest pierwsza klasa, bo wcale niepodobny do ojca. Potem mówił, że miał niedawno list od matki. Z tym domem za czterdzieści dolarów miesięcznie interes ostatecznie ubity... I jego matka wie, gdzie można tanio kupić używaną lodówkę... Może poruszać tylko głową. Od ramion w dół jest sparaliżowany.

Przez chwilę stali w milczeniu. Patrzyli na błyski wystrzałów. Słuchali miarowego grzmotu przerywanego raz po raz kapryśnymi podmuchami listopadowego wiatru.

- Tłok mają w szpitalu - podjął Ackerman. - Na sąsiednim łóżku leży porucznik. Młody chłopak z Kentucky. Mina urwała mu piętę. Powiada, że jest bardzo zadowolony, bo sprzykrzyło mu się być zawsze tym pierwszym, który wychyla łeb zza każdego wzgórza we Francji i w Niemczech i ściąga na siebie ogień nieprzyjaciela.

Znowu zapadła cisza.

- W życiu miałem tylko dwóch przyjaciół - ciągnął Noe. - Prawdziwych przyjaciół. Roger Cannon śpiewał często:

Wiem, robisz oczko jak ta lala

I kulinarny talent los także ci dal.

Ale czy forsa nie nawala,

To tylko wiedzieć bym chciał.

Zginął na Filipinach. Drugim był Johnny Burnecker. Inni mają ich dziesiątki. Łatwo zawierają przyjaźnie i potrafią utrzymywać je latami. Ja nie. To moja wina i zdaję sobie z tego sprawę. Diabelnie mało mam do zaoferowania.

W oddali błysnęło nagle i płomienie strzeliły wysoko. Pożar wyglądał dziwnie i niepokojąco na tle czarnego krajobrazu w strefie, gdzie potarcie zapalniczki po zmierzchu groziło ogniem własnych kolegów, gdyż nikły odbłask mógł zdradzić nieprzyjacielowi stanowiska.

- Siedziałem na łóżku i trzymałem Burneckera za rękę. - Głos Noego brzmiał sucho, monotennie. - Mniej więcej po piętnastu minutach biedak spojrzał na mnie bardzo dziwnie. „Wynoś się! - zawołał. - Nie myśl, że ci się pozwolę zamordować!”. Próbowałem go uspokoić, ale krzyczał dalej, że przysłano mnie po to tylko, żeby z nim skończyć. Jak był zdrow i mógł się bronić, mnie nie było w pobliżu. A teraz leży sparaliżowany i kiedy nikt nie będzie widział, uduszę go na pewno. Dobrze mnie poznał, bo od początku miał podejrzenia. Porzuciłem go przecież, kiedy mnie najbardziej potrzebował, a dziś szykuję się do morderstwa. Potem zaczął ryczeć, że mam przy sobie nóż. Inni też podnieśli wrzask, a ja nie mogłem uciszyć ani ich, ani Burneckera. W końcu przyszedł lekarz i z miejsca mnie wyprosił. Jak wychodziłem z namiotu, Johnny Burnecker wołał, żeby nie wpuszczać do niego mordercy z nożem.

Na chwilę głos Noego ucichł. Michael nie mógł oderwać wzroku od pożaru niemieckiej farmy. Mglisto wyobrażał sobie pierzyny, haftowane obrusy, porcelanowe cacka, albumy z fotografiami, domowy egzemplarz *Mein Kampf*, stoły

kuchenne, gliniane kufle... Wszystko to pochłaniały płomienie w jasnym kręgu otoczonym gęstym mrokiem.

- Doktor był wyjątkowo uprzejmy - ciągnął Noe. - Jakiś poczciwy starowina z Tucson. Mówił, że przed wojną specjalizował się w leczeniu gruźlicy. Wyjaśnił mi, dlaczego Johnny jest taki, i tłumaczył, że nie trzeba brać do serca tego, co Johnny gada. Odłamek granatu złamał mu kręgosłup, co wywołało zwyrodnienie systemu nerwowego. Nie ma żadnej nadziei. Tak mówił lekarz. Zwyrodnienie systemu nerwowego - powtórzył Noe, jak gdyby był urzeczony groźnym określeniem. - Nie ma ratunku. Będzie z nim coraz gorzej i gorzej, póki nie umrze - wzdrygnął się. - Paranoja... Lekarz powiedział, że w jeden dzień całkiem normalny chłopak może stać się zaawansowanym paranoikiem. Mówił też o manii wielkości i schizofrenii... Johnny wytrzyma nie więcej jak trzy dni, a przed śmiercią będzie zupełnym szaleńcem... Tak mówił doktor... Dlatego nie transportują go dalej, do szpitala specjalistycznego. Przed odjazdem zajrzałem jeszcze raz do namiotu. Miałem nadzieję, że trafię na okres spokoju. Zdaniem doktora było to całkiem prawdopodobne. Ale jak Johnny mnie spostrzegł, zaczął znowu krzyczeć, że idzie morderca...

Michael i Noe stali ramię w ramię, oparci o zimną, wilgotną ścianę z kamienia, za którą kapitan Green kłopotał się o uzupełnienia. W oddali płomienie strzelały wyżej i wyżej, ogarniając widocznie wciąż nowe belki domu i sprzęty niemieckiego farmera.

- Mówiłem ci już - podjął Noe - jakie znaczenie Johnny Burnecker przypisywał naszej przyjaźni. Wierzył, że obydwaj wyjdziemy cało, jeżeli będziemy razem...

- Aha - wtrącił Michael.

- Tyleśmy już przeszli - mówił Noe. - Byliśmy odcięci i przedarliśmy się jakoś. A w „Dzień D” nic się nam nie stało, choć artyleria niemiecka uszkodziła barkę...

- Aha - powtórzył Michael.

- Gdybym nie marudził, gdybym trafił tu o dzień wcześniej, Johnny Burnecker przeżyłby wojnę.

- Nie gadaj głupstw! - rzucił szorstko Whitacre i pomyślał: „Nie! Takiego brzemienia nie uniesie ten chłopiec!”.

- Nie gadam głupstw - podjął spokojnie Ackerman. - Działalem opieszale. Marnotrawiłem czas. Przez pięć dni wałęsałem się po tym przeklętym obozie.

Poszedłem do Peruwiańczyka, chociaż z góry wiedziałem, że mi odmówi. Po prostu leniłem się, marudziłem...

- Noe! Przestań bredzić!

- A ta podróż na front ile zajęła czasu? - ciągnął Ackerman lekceważąc napomnienia towarzysza. - Zatrzymywaliśmy się na noclegi. Całe popołudnie poszło na marne, kiedy ten generał zaprosił nas na obiad. Za porcję kury pozwoliłem umrzeć najlepszemu przyjacielowi!

- Stul pysk! - krzyknął Michael i chwyciwszy Noego za ramiona potrząsnął nim mocno. - Stul pysk! Pleciesz jak maniak! Żebyś nigdy nie powtarzał takich nonsensów w mojej obecności! Nie chcę ich słuchać!

- Puść mnie - powiedział spokojnie Noe. - Puść i nie szarp. Bardzo przepraszam. Nie ma powodu, dla którego musiałbyś wysłuchiwać moich żalów. Zrozumiałem to dopiero teraz.

Michael opuścił ręce. „Jeszcze raz - pomyślał - zawiodłem tego nieszczęśliwego chłopca”. Noe wzdrygnął się nerwowo.

- Zimno - szepnął. - Wracajmy pod dach.

Whitacre poszedł za nim niechętnie do izby mieszczącej punkt dowodzenia.

Następnego dnia rano kapitan Green przydzielił ich do plutonu, w którym kolegowali na Florydzie. Z dawnej czterdziestki zostało jeszcze trzech ludzi. Ci zgotowali nowo przybyłym serdeczne powitanie i dowiedli wielkiej delikatności uczuć, gdyż przy Noem unikali rozmów o Johnnym Burneckerze.

Rozdział XXXVI

- No i zapytali tego szeregowca: „Co zrobiłbyś, bracie, gdyby cię odesłali do domu?” - mówił Pfeiffer.

Pfeiffer, Noe i Michael przycupnęli na zagrzebanym do połowy kłocu za niskim kamiennym murkiem. W menażkach mieli klopsy w zawieszonym sosie, makaron i brzoskwinie z puszki. Był to pierwszy od trzech dni ciepły posiłek, wszyscy więc chwalili kucharzy, że podciągnęli kuchnię połową tak blisko. W bezlistnym, zrytym przez artylerię brzeźniaku czekali żołnierze ustawieni w łamaną linię, rozmieszczeni co dziesięć jardów, aby wybuch pocisku nie mógł narobić wielkiej szkody. Kolejka posuwała się szybko, gdyż kucharze sprawnie wydzielali porcje.

- „Co zrobiłbyś, bracie, gdyby cię odesłano do domu?” - powtórzył Pfeiffer zapchanymi ustami. - Facet pomyślał chwilkę... Ale wy to na pewno znacie?

- Nie - zaprzeczył uprzejmie Whitacre.

Pfeiffer żywo pokiwał głową. Był bardzo kontent.

- Najpierw, powiada ten szeregowiec, zdjąłbym buty. Potem przyrznąłbym żonę. A potem zrzuciłbym rynsztunek. - Zarechotał krótko i urwał nagle. - Bujasz, Whitacre! Musiałeś to już słyszeć.

- Słowo daję, nie - uspokoił go Michael.

„Dowcipna konwersacja przy stole - pomyślał. - Pośród biesiadników widzimy przedstawicieli świata artystycznego i wojskowych na krótkim urlopie po ważnych zadaniach frontowych. Starszy szeregowiec Pfeiffer, osobistość szeroko znana w kołach bookmacherskich Kansas i nieobca lokalnym sądom karnym, zabawia towarzystwo analizą problemów życia powojennego. Jeden z gości, reprezentant teatru amerykańskiego w zachodniej Europie, żując brzoskwinie z puszki (nasz przysmak narodowy) wyraził na własny użytek następujące poglądy: w czasie kampanii perskiej Filipa, szeregowiec Anacreon z Macedonii słuchał niewątpliwie podobnej anegdoty gdzieś w okolicach dzisiejszego Bagdadu. Gajus Publius, centurion w legiach Cezara, opowiadał coś równie błyskotliwego drugiego dnia po lądowaniu na wybrzeżach Brytanii. W przeddzień bitwy pod Austerlitz Julian Saint-Crique, chorąży z Korpusu jazdy Murata, do łez rozśmieszał kolegów dosłownym

tłumaczeniem tego powiedzonka. Wytrawny znawca historii spojrzawszy z troską na swoje oblepione błotem buty i zastanawiając się, czy palce u nóg już mu gniją, napomknął nieśmiało, że dowcip jest niezupełnie nowy. Wytrawny znawca historii zwrócił się z tym zastrzeżeniem do starszego sierżanta Robinsona z Walijskich Strzelców Piesznych pod Ypres lub do feldfebla Fugelheimera pod Tannenbergiem, lub do sierżanta Vincenta O'Flaherty z amerykańskiej Piechoty Morskiej podczas kilkuminutowego postoju przy szosie w Lesie Aragońskim".

- Kawał pierwsza klasa - zaopiniował Michael.

- Wiedziałem, że się wam spodoba - powiedział uradowany Pfeiffer i otarł z brody resztki klopsików, makaronu i gęstego syropu. - Do pioruna! Człowiek musi się pośmiać czasami!

Starannie wyczyścił menażkę piaskiem i papierem toaletowym, który zawsze nosił przy sobie. Wstał i poszedł do graczy w kości roztasowanych za okopconym kominem, jedynym śladem farmy, która przetrwała trzy poprzednie wojny. Było tam trzech żołnierzy, porucznik i dwaj sierżanci z Ośrodka Łączności Korpusu. Przyjechali niedawno dżipem, zapewne na wycieczkę turystyczną. Teraz grali z wielkim zapałem i, jak się wydawało, mieli moc pieniędzy, które nie zaszkodziłyby w kieszeni piechura.

Michael przeciągnął się i zapalił papierosa. Odruchowo skurczył i rozprostował palce u złamanej nogi, aby przekonać się, czy nie drętwieją. Było mu przyjemnie, gdyż podjadł dobrze i na godzinę czuł się bezpieczny.

- Jak wrócimy do Stanów - zwrócił się do Noego - zaproszę na kolację ciebie i twoją żonę. Znam włoską knajpę przy Trzeciej Alei, na piętrze. Zajadasz tam, bracie, i gapisz się na pociągi kolejki napowietrznej. Przejeżdżają akurat na poziomie stołu. Befszyki podają grube jak pięści. Każemy je słabo wysmażyć...

- Hope nie lubi słabo wysmażonego befszyka - wtrącił poważnie Noe.

- W porządku! Będzie miała taki, jaki zechce. Posłuchaj! Najpierw antipasto, a później befszyki, pulchne, soczyste, takie, co wzdychają, jak ich dotkniesz nożem. Do tego *spaghetti* i zielona sałata, i czerwone kalifornijskie wino. A na deser rumowe ciastka i *café expresso*... czarna niczym smoła, z kawałkiem skórki cytrynowej. Ja stawiam! Pewnego wieczoru po przyjeździe do kraju. Naturalnie możecie przyjść z małymi. Posadźmy go na wysokim krzeselku.

- Nie. Małego zostawimy w domu. - Ackerman uśmiechał się pogodnie.

Whitacre był naprawdę zadowolony, bo w ciągu trzech miesięcy spędzonych w kompanii C Noe uśmiechał się rzadko. Mówił niewiele. Twarz miał zazwyczaj skupioną. Na swój milczący sposób przywiązał się do Michaela. Obserwował go krytycznym wzrokiem starego wiarusa, służył radą i przykładem. Opiekował się nim nawet wówczas, gdy musiał wysilać cały spryt, by ratować własne życie. Nawet w grudniu, gdy kompanię załadowano spiesznie na ciężarówkę i bez ładunku i składu rzucono przeciw czołgom, które wyłoniły się nagle ze stanowisk nieprzyjaciela, w założeniu zupełnie zdemoralizowanego i niezdolnego do akcji zaczepnej. Teraz nazywa się tę bitwę „likwidacją zagonu”. Należy ona do przeszłości. Ale wtedy, w terenie, było naprawdę gorąco. Whitacre pamięta dokładnie tylko jeden szczegół. Siedzi skulony w jamie, którą Noe kazał mu pogłębić o dwie stopy, chociaż Michael był zmęczony, a kaprys przyjaciela uważał za przesadną ostrożność. Niemiecki czołg nadjeżdża gołym polem, zbliża się, podskakuje... Nie ma pocisków do bazooki, a samobieżne działko przeciwpancerne płonie w niedalekim sąsiedztwie... Można zrobić tylko jedno: dać nurka w jamę... Kierowca czołgu spostrzegł widać niknącą głowę, bo skręcił, żeby przejechać Michaela... Z karabinów maszynowych czołg nie mógł go dosięgnąć... Ach, ta nieskończenie długa minuta! Nad głową siedemdziesięcotonowa maszyna... Łoskot gąsienic... Grad ziemi i kamyczków na hełmie i plecach... Michael wrzeszczy na całe gardło, ale w huczącej ciemności nie słyszy własnego głosu... Dziś wydaje się to koszmarem, o jakim żołnierz winien porozmawiać z psychoanalitykiem ze Służby Zdrowia. Trudno uwierzyć, by coś podobnego mogło się naprawdę przytrafić mężczyźnie po trzydziestce, który mieszkał niegdyś wygodnie w centrum Nowego Jorku, jadał w tak wielu dobrych restauracjach, miał w szafie pięć eleganckich tweedowych garniturów i w słoneczne dni chętnie jeździł powoli Piątą Aleją, siedząc przy kierownicy odkrytego wozu... A skoro się już przytrafiło, po tym łośkocie stalowych gąsienic o kilka cali nad głową niepodobna sobie wyobrazić normalnego życia... Niepodobna sobie wyobrazić, że ktoś, kto przeżył takie piekło, zdoła kiedyś chociażby myśleć o wnie, befsztykach, Piątej Alei... Michael został zmuszony przez Noego do wykopania jamy wystarczająco głębokiej, by zapewnić bezpieczeństwo. Czołg go nie zmiążdżył, lecz jak gdyby zburzył most wiodący do cywilnego życia... Została tylko ziejąca szczelina, ciemna otchłań wypełniona jedynie halucynacjami... Whitacre wspominał później często ten czołg, umykający spiesznie wśród pióropuszy ziemi unoszonej przez granaty, które wybuchały dookoła. Wspominał czołg i zdawał sobie sprawę, że w tym momencie został wreszcie

żołnierzem. Uprzednio był zaledwie istotą przebraną w mundur, odwołaną na krótko z innego życia...

„Stars and Stripes” - codzienne pismo dla amerykańskich sił zbrojnych - nazywało tę bitwę „likwidacją zagonu”. Padło w niej wielu ludzi, a Liège i Antwerpia były poważnie zagrożone. Armii wyrażono uznanie z racji pięknej postawy i błyskawicznej reakcji, różne zaś przykre rzeczy mówiono dyskretnie o Montgomerym, który przyjaźń anglo-amerykańską propagował obecnie nie tak gorąco jak w dniu czwartego lipca, gdy Noemu przypinał Srebrną Gwiazdę... Likwidacja zagonu przyniosła uczestnikom brązową gwiazdkę za kampanię, czyli dalsze pięć punktów do zwolnienia... Ale Whitacre pamiętał dobrze tylko moment, kiedy dźwięczał mu w uszach szorstki, rozkazujący głos: „Nic mnie nie obchodzi, że jesteś zmęczony. Musisz wykopać jeszcze dwie stopy...”. A potem zgrzyt i łoskot gąsienic nad zabłoconym hełmem.

Michael zerknął z ukosa w stronę przyjaciela. Noe spał siedząc, oparty o kamienny murek. Ostatnio tylko we śnie wyglądał młodo. Jego skąpa, bardzo jasna bródka przedstawiała się niepozornie w porównaniu z bujnym, ciemnym zarostem Michaela, godnym trampa, który pod wagonami odbył podróż z Vancouveru do Miami. W oczach Noe miał zwykle skupiony smutek starości. Teraz jednak powieki były opuszczone i Whitacre po raz pierwszy zwrócił uwagę na delikatne, podwinięte rzęsy, gęste i złociste na końcach. Dzięki tym rzęsom szczególnie łagodny wyraz cechował górną część twarzy Noego. Michael odczuł falę wdzięczności i współczucia dla dobrego kolegi, który spał otulony ciężkim, poplamionym płaszczem, a końcami palców w wełnianych rękawiczkach dotykał lufy automatycznego karabinka. Patrząc na przyjaciela Whitacre uprzytomnił sobie, z jak niesłychanym trudem ten wądry chłopiec zachowuje godność i powagę, zdobywa się na szybkie, śmiałe żołnierskie decyzje, walczy odważnie, z regulaminową precyzją. A wszystko dlatego, by uchronić życie w czasie i miejscu, gdzie śmierć porywa na chybił trafił dziesiątki najbliższych sąsiadów. Delikatne, złociste rzęsy zatrzepotały lekko na tle zniekształconej pięściami twarzy i Michael pomyślał ze wzruszeniem o czasach, kiedy Hope musiała nieraz patrzeć na tę nieodpowiednią, raczej dziewczęcą ozdobę i uśmiechać się z tkliwym, prawie radosnym smutkiem. Ile lat liczy Noe? Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia cztery? Mąż, ojciec, doświadczony żołnierz... Miał tylko dwóch przyjaciół i obydwóch stracił... Potrzeba mu przyjaźni jak innym powietrza i dlatego właśnie zadreęczając się tęsknotą nie szczędzi rozpaczliwych wysiłków, by utrzymać przy życiu nieporadnego, starzeją-

cego się gamonia nazwiskiem Whitacre, który zdany na własne siły na pewno zdążyłby już nadeprnąć na minę albo na szczycie wzgórza pokazać się strzelcowi wyborowemu, albo przez niedbałe lenistwo zginąć pod czołgiem w nie dość głębokiej jamie. Czerwone wino kalifornijskie i befsztyki zamajaczyły po drugiej stronie czarnej otchłani wypełnionej dotychczas jedynie halucynacjami. Pierwszy wieczór w kraju... Ja stawiam! To niemożliwe, a jednak musi przyjść kiedyś... Michael przymknął oczy. Bolesnie odczuł brzemień tragicznej odpowiedzialności.

Od grupki grających w kości przyplłynął głos:

- Niech będzie tysiąc franków. Liczy się wyżej dziewiątki.

Whitacre otworzył oczy, wstał cicho i z karabinem w ręku poszedł trochę pokibicować.

Pfeiffer rzucał i szczęście widać mu dopisywało. W ręku miał plik banknotów. Porucznik ze Służby Zaopatrzenia trzymał się na uboczu, ale sierżanci grali. Porucznik był ubrany w galowy płaszcz oficerski, ciemnokawowy, doskonale skrojony. Będąc ostatni raz w Nowym Jorku Michael widział taki płaszcz w oknie wystawowym firmy Abercrombie i Fitch. Wszyscy trzej mieli na nogach spadochroniarskie buty, chociaż nie ulegało wątpliwości, że nigdy w życiu nie skakali z niczego wyższego niż stółek barowy. Byli tędzy, wysocy, starannie ogoleni, czysto ubrani, wypoczęci. Brodaci piechurzy sprawiali przy nich wrażenie nędznych, niedożywionych okazów niższej rasy.

Goście mówili głośno, stanowczym tonem, a poruszali się energicznie, co dziwnie kontrastowało z cichym, skromnym, nieporadnym zachowaniem ludzi ściągniętych na godzinę z wysuniętych stanowisk, żeby zjeść pierwszy od trzech dni ciepły posiłek.

„Gdybym szukał żołnierzy do szturmowego pułku, co ma zdobywać miasta, utrzymywać przyczółki mostowe i stawiać czoło broni pancernej - myślał Michael - bez wahania wybrałbym tych przystojnych, zdrowych byków. Oczywiście w wojsku kombinuje się jakoś inaczej. Faceci o tubalnych głosach i wspaniale rozwiniętych mięśniach pracują w przytulnych kancelariach, pięćdziesiąt mil za linią frontu. Wystukują na maszynach papierki i troskliwie dorzucają węgiel do buchającego żarem żelaznego piecyka, jaki stoi na środku pokoju, żeby pisarzy chronić przed zimowym chłodem". Przypomniał sobie mowę, którą sierżant Houlihan z drugiego plutonu zwykł witać świeże uzupełnienia.

- Niech to lichy! - mówił Houlihan. - Dlaczego do piechoty trafiają sami faceci z kategorią F 4 ? Dlaczego kwatermistrzowie dostają wszystkich mistrzów w dźwiganiu ciężarów, turniejowych strzelców i innych rekordzistów Ameryki? Gadajcie no, chłopaki! Jest między wami choć jeden, co waży więcej niż sto trzydzieści funtów?

Naturalnie była w tym przesada, a sierżant Houlihan wygłaszał takie przemówienia z chytryości. Wiedział, że rozśmieszy nowych i z miejsca zyska ich sympatię. Jednakże przy dysponowaniu ludźmi niedorzeczność wiele miała do powiedzenia. To pewne!

Przyglądając się graczom Whitacre zauważył, że porucznik wydobyl z kieszeni butelkę i pociągnął długi łyk. Pfeiffer zmierzył go bystrym wzrokiem i zagrzechał kostkami w oblepionej błotem ręce.

- Poruczniku - odezwał się. - Co pan ma w kieszeni?

Oficer roześmiał się głośno.

- Koniak, czyli po naszymu brandy - objaśnił.

- Wiem, że koniak to po naszymu brandy - powiedział Pfeiffer. - Co pan chce za to?

Porucznik spojrział na plik banknotów w garści piechura.

- Ile tam tego? - zapytał.

Pfeiffer policzył pieniądze.

- Dwa tysiące franków. Jak obszył czterdzieści dolarów. No i co? Przyda mi się flaszka dobrego koniaku. Rozgrzeje stare gnaty.

- Cztery tysiące - rzucił chłodno oficer. - Cztery tysiące franków i koniak pański.

Pfeiffer zerknął spode łba na porucznika Służby Zaopatrzenia. Splunął powoli. Później przemówił do trzymanyh w ręku kości:

- Kostki, kosteczki, miłe córeczki! Papie zasycha w gardle. Papa powinien się napić. - Położył przed sobą dwa tysiące franków.

Sierzanci z nowymi błyszczącymi gwiazdami w kole na rękawach pochyłili się nad nim.

- Kostki, kosteczki, miłe córeczki - podjął brodaty piechur.

- Dzień jest chłodny. Papa musi się rozgrzać. - Pieszczotliwym ruchem, jak gdyby to były delikatne płatki kwiatów, wysunął kostki z dłoni. - No, odczytajmy - powiedział bez uśmiechu. - Siedem! Bierz pan forszę, poruczniku. Butelka moja.

Znów splunął i wyciągnął rękę.

- Doskonale. - Oficer podał mu flaszkę i zgarnął pieniądze.

- Bardzo się cieszę, że przyjechaliśmy tutaj.

Pfeiffer pił długo, ze smakiem. Koledzy przyglądali mu się w milczeniu, ubawieni i trochę zawstydzeni jego rozrzutnością. Kiedy skończył, starannie zakorkował flaszkę i schował do kieszeni płaszcza.

- Dzisiaj w nocy mam pójść do natarcia - powiedział wojowniczo.

- Po diabła forsować rzekę z czterema tysiącami w kieszeni? Jeżeli Szwaby mnie zatłuką, zginie żołnierz z kałdunem pełnym szlachetnego trunku.

Usprawiedliwiwszy się w taki sposób, zarzucił karabin na ramię i odszedł sprężystym krokiem.

- Służba Zaopatrzenia - odezwał się jeden z kibicujących piechurów. - Teraz wiem, dlaczego tak się nazywa.

Oficer wybuchnął beztroskim śmiechem. Widocznie nie miał zwyczaju brać do siebie krytycznych uwag. Michael zapomniał, że człowiek może śmiać się w taki sposób, pogodnie, bez wyraźnego powodu, dając po prostu upust rezerwom dobrego humoru. Ludzi zdolnych do takiego śmiechu można zapewne znaleźć pięćdziesiąt mil za frontem. Nikt z obecnych nie zawtórował porucznikowi.

- Powiem wam teraz, chłopcy, w jakim celu przyjechaliśmy do was - podjął porucznik ze Służby Zaopatrzenia.

- Ja zgadnę! - zawołał Crane z plutonu Michaela. - Przysłał was oddział Informacji i Oświaty. Macie kwestionariusze. Czy dobrze się czujesz w wojsku? Czy zadowolony jesteś z rodzaju wykonywanej pracy? Czy w ciągu ostatniego roku chorowałeś więcej niż trzy razy na gonoreę?

Porucznik znów się roześmiał.

„Facet strasznie skory do śmiechu” - pomyślał Michael mierząc go nieprzychylnym wzrokiem.

- Nie, nie! - podjął wesół oficer. - Sprowadzają nas sprawy handlowe. Słyszeliśmy, że w tej okolicy nietrudno o pierwszorzędne pamiątki wojenne. Widzicie, dwa razy na miesiąc jeżdżę do Paryża, a tam jest doskonały rynek na taki towar jak niemiecka broń, aparaty fotograficzne, lornetki. Gotowi jesteśmy płacić dobre ceny. No i co, chłopcy? Macie coś do sprzedania? Robimy interes?

Przez chwilę piechurzy spoglądali na siebie bez słowa.

- Mam śliczny karabin garanda - odezwał się Crane. - Chętnie się z nim rozstanę za pięć tysięcy franków. Albo - ciągnął z niewinną miną - może być bluza polowa. Podniszczona, ale ma zabytkową wartość.

Porucznik jeszcze raz zachichotał. Niewątpliwie bawiła go wycieczka na front. Dobrze wykorzystywał wolny dzień.

„Napiszę o tym do swojej dziewczyny w Wisconsin - pomyślał Whitacre. - Komiccy w tej piechocie. Trochę z gruba ciosani, ale komiccy pierwsza klasa!”.

- Mniejsza o to - powiedział oficer. - Sami się rozejrzemy. Podobno w zeszłym tygodniu były tu jakieś walki. Powinno się poniewierać dużo towaru.

Piechurzy znowu spojrzeli po sobie.

- Dużo - przytaknął chłodno Crane. - Nie zmieści się do dzipa. Będzie pan największym bogaczem w Paryżu.

- Którędy droga na front? - rzucił żywo porucznik. - Chciałbym tam wpaść na moment.

Jeszcze raz zapadła głucha, lekko zdyszana cisza.

- Droga na front - powtórzył z głupią frazą Crane. - Chciałby pan wpaść tam na moment?

- Tak! Nie słyszeliście, co mówiłem? - Porucznik tracił stopniowo dobry humor.

- Tędy, panie poruczniku. - Crane wskazał kierunek ręką. - Prawda, chłopcy, że tędy?

- Tak jest, panie poruczniku - potwierdzili chórem chłopcy.

- Niepodobna zabłądzić - dodał Crane.

Porucznik zdążył tymczasem zorientować się w sytuacji.

- Hej, wy - zwrócił się do Michaela, który nie zabrał dotąd głosu. - Możecie mi powiedzieć, którą drogą na front?

- Na front... - zaczął Whitacre.

- Pójdzie pan porucznik tą drogą - przerwał mu Crane. - Tak z półtorej milki. Potem na stoku będzie lasek. Wdrapie się pan na grzbiet wzgórza, spojrzysz przed siebie i trochę w dół i zobaczysz rzekę. To właśnie front, panie poruczniku.

- Prawdę mówi? - zapytał podejrzliwie oficer.

- Tak jest, panie poruczniku - potwierdził Michael.

- Dobra! - Porucznik uwierzył widać ostatecznie, bo zwrócił się do jednego z sierżantów: - Louis, wóz zostawimy tutaj. Pójdziemy pieszo. Zablokuj silnik.

- Rozkaz, panie poruczniku!

Sierżant podniósł maskę dzipa, wyjął pazur rozdzielacza i odłączył kilka kabelków. Porucznik zbliżył się również do samochodu, wziął pustą torbę oficerską i przerzucił przez ramię.

- Michael - odezwał się spod murku Noe. - Chodź. Pora na nas.

Whitacre skinął głową. Miał ochotę zatrzymać porucznika ze Służby Zaopatrzenia, poradzić mu, by umykał co tchu do swojej zacisznej kancelarii z ciepłym piecykiem. Omal tego nie zrobił, ale w ostatniej chwili postanowił, że się nie będzie wtrącać. Leniwie ruszył z miejsca i dogonił Noego, który grzązał w błocie idąc poboczem w stronę odległego o półtorej mili odcinka kompanii.

Drugi pluton zajmował stanowiska w dogodnym siodle na grzbiecie pasma wzgórz równoległego do rzeki. Mimo braku liści zarośla i gęsto podszyte kępy drzew dawały niezłą osłonę, ludzie mogli się więc poruszać stosunkowo swobodnie. Z grzbietu widać było strome, upstrzone krzakami zbocze i wąskie, gołe pole nad rzeką, a po drugiej jej stronie podobne pasmo wzgórz obsadzone przez Niemców. Głucha cisza spowijała zimowy krajobraz. Ciemna, mętna woda płynęła między oblodzonymi brzegami, a w miejscach, gdzie napotykała zatopione kloce, kreśliła jaśniejsze, oleiste smugi. Głucha cisza spowijała obydwie zbocza, zarośla i płaty brudnego śniegu. Nocami wybuchała od czasu do czasu strzelanina, ale za dnia teren był zbyt niebezpieczny dla patroli, panował więc swego rodzaju milczący rozejm. Pierwsza linia nieprzyjacielska ciągnęła się jakoby w odległości mniej więcej tysiąca dwustu jardów i tak wytyczono ją na mapach w odległym, bajecznie bezpiecznym dowództwie dywizji.

Drugi pluton tkwił na miejscu od dwóch tygodni i gdyby nie nocne wymiany strzałów (ostatnia zdarzyła się przed trzema dniami), można by sądzić, że Niemców w ogóle nie ma po tamtej stronie rzeki. Zdaniem Michaela, nikt nie wiedział na pewno, czy zabrawszy sprzęt nie odeszli cichaczem.

Ale sierżant Houlihan był innego zdania. Miał nosa do Niemców. Niektórzy umieją poznać na pierwszy rzut oka oryginał starej holenderskiej szkoły. Inni na podstawie smaku wina potrafią określić, że to produkt jakiejś mało znanej winnicy

pod Dijon - zbiór z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego. Specjalnością dowódcy drugiego plutonu byli Niemcy. Houlihan miał twarz irlandzkiego naukowca - długą, suchą, inteligentną, o wysokim czole. Oczyma wyobraźni widzi się podobne twarze myśląc o dublińskim uniwersytecie i gronie przyjaciół Joyce'a. Houlihan obserwował często grzbiet wzgórz po drugiej stronie rzeki i kryjąc się w zaroślach, powtarzał zatroskanym tonem:

- Jest tam gdzieś gniazdo. Jest na pewno. Dranie, dobrze zamaskowali karabin maszynowy. Siedzą po cichu i czekają na nas.

Dotychczas kwestia ta nie miała żywotnego znaczenia. Pluton nie wychodził na przedpole, gdyż dla patroli rzeka stanowiła przeszkodę nie do przebycia. Jeżeli więc karabin maszynowy czał się istotnie, nie zagrażał bezpieczeństwu ludzi ukrytych za grzbietem wzgórza. Moździerzy Niemcy widocznie nie mieli, a w każdym razie nie zdradzali ich stanowisk w lasach za pasmem wzgórz. Przewidywano jednak, że tego dnia po zmroku saperzy przerzucą most pontonowy, a kompania kapitana Greena sforsuje szeroką na pięćdziesiąt jardów rzekę i nawiąże styczność z nieprzyjacielem obsadzającym wzgórza na przeciwległym brzegu. Nad ranem inne oddziały przejmą inicjatywę i poprowadzą dalsze natarcie. W dywizji plan ten musiał uchodzić za dobrze obmyślany, nie podobał się jednak Houlihanowi, który obserwował wciąż przez lornetkę czarną, lodowato zimną rzekę i ciągnące się za nią ciche wzgórza, pokryte zaroślami i upstrzone płatami śniegu.

Kiedy Noe, Michael, Pfeiffer i Crane nadeszli, Houlihan rozmawiał z Greenem przez telefon polowy przymocowany rzemieniem do drzewa.

- Panie kapitanie - mówił - całkiem mi się to nie podoba. Za wielka cisza. Na tamtym grzbiecie jest gdzieś dobrze zamaskowany karabin maszynowy. Głowę daję. W nocy szkopy rzucą „choinki” we właściwej chwili. Będą nas mieli jak na patelni. Pięćset jardów gołego pola i mostu. Słucham.

Głos kapitana zamamrotał słabo w słuchawce.

- Tak jest, panie kapitanie - podjął sierżant. - Jak wypenetruję ten kaem, będę meldował.

Westchnął i odłożył słuchawkę. Przez chwilę patrzył na drugą stronę rzeki z zatroskaną miną myśliciela. Bezwiednie przygryzał wargi i mlaskał.

- Kapitan powiada - odezwał się wreszcie - że zaraz mamy wysłać patrol. Trzeba pokazać się szkopom, w razie potrzeby zejść nad samą rzekę i ściągnąć ogień.

Rozumiecie? Wtedy stąd, z góry, wypatrzymy źródło ognia i damy znać do kompanii, a dalej moździerze zrobią swoje. - Podniósł lornetkę do oczu i w szarym świetle popołudnia obserwował niewinnie wyglądający grzbiet za wodą.

- Kto na ochotnika? - rzucił od niechcienia.

Michael rozejrzał się dokoła. Siedmiu żołnierzy pilnie słuchało sierżanta. Teraz wszyscy przywarowali w płytkich wnękach strzeleckich. Nagle zainteresowali się żywo własną bronią, grudkami wykopanej ziemi, deseniem, jaki kreślą nagie gałązki pobliskiego krzaka.

„Trzy miesiące temu zapewne bym się wyrwał - pomyślał Whitacre. - Chciałbym dowieść czegoś niedorzecznego, okupić jakieś winy. Ale Noe nauczył mnie rozumu”.

Uważnie zaczął oglądać paznokcie. Milczał.

Houlihan westchnął i znów zapadła cisza. Upłynęła minuta. Wszyscy myśleli intensywnie, obrazowo o chwili, kiedy szperacz patrolu ściągnie na siebie ogień niemieckiego cekaemu.

- Sierżancie! - zabrzmiał nagle melodyjny głos. - Można tam wejść do was?

Michael podniósł wzrok. Porucznik ze Służby Zaopatrzenia i dwaj jego towarzysze podróży wspinali się niezdarnie stromym zboczem wzgórza. Uprzejme pytanie zawisło w powietrzu nad ludźmi skulonymi w strzeleckich wnękach, szaleńczo beztroskie, niedorzeczne, farsowe.

Houlihan odwrócił się zdziwiony. Oczy miał wąskie niby szpareczki.

- Sierżancie - szepnął Crane - facet przyjechał zbierać pamiątki wojenne. Chce je wieźć na sprzedaż do Paryża.

Houlihan poruszył wydatną szczęką o kruczoczarnej brodzie. Jego długą, suchą twarz ożywił na chwilę zagadkowy wyraz.

- Oczywiście, panie poruczniku! - zawołał żywo z ledwie uchwytną ironią. - To zaszczyt dla nas. Prawdziwy zaszczyt.

Porucznik dyszał po niezbyt forsownej wspinaczce. Chętnie też skorzystał z pomocnej ręki Houlihana.

„Nie jest w tak dobrej formie, jak by się zdawało - pomyślał Whitacre. - Widać w Służbie Zaopatrzenia zaniedbał ostatnio grę w polo”.

- Mówiono mi, że tutaj jest front - odezwał się oficer kładąc szczególny nacisk na ostatnim słowie. - Czy to prawda, sierżancie?

- W pewnym sensie tak, panie poruczniku - odrzekł Houlihan.

Inni słuchali w milczeniu.

- Co za spokój! - podjął gość i podejrzliwie rozejrzył się dokoła.

- Dwie godziny bez jednego strzału! Nie myli się pan, sierżancie?

Houlihan roześmiał się dyskretnie.

- Coś panu porucznikowi powiem - szepnął tonem zwierzenia.

- Na mój głupi rozum, Niemcy wycofali się tydzień temu. Śmiało mógłby pan pójść spacerkiem stąd do Renu.

Michael spojrzał zdziwiony na dowódcę plutonu. Houlihan miał twarz pogodną, dziecięcą szczerą. Przed wojną był konduktorem autobusu kursującego po Piątej Alei. Takich sztuczek nie mógł nauczyć się jeżdżąc do Placu Waszyngtona i z powrotem.

- Świetnie - ucieszył się oficer. - Powiem otwarcie, że znacznie u was ciszej niż w naszym Ośrodku Łączności. Prawda, Louis?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Nie kręcą się zaafierowani pułkownicy - ciągnął porucznik.

- Nie zwracają głowy. I człowiek nie musi się golić codziennie.

- Słusznie, panie poruczniku - przyznał Houlihan. - My nie musimy golić się codziennie.

Oficer spojrzał na stok opadający ku rzece.

- Słyszałem - podjął poufałym tonem - że tu, w dole, łatwo znaleźć różne niemieckie pamiątki wojenne.

- Oczywiście, panie poruczniku. Naturalnie. O, na tym na przykład polu gęsto leżą hełmy i porzucona broń, i doskonałe aparaty fotograficzne.

„No, teraz przeholował - pomyślał Whitacre. - Stanowczo przeholował!”. Zerknął na gościa ze Służby Zaopatrzenia, by zobaczyć, z jaką miną przyjmuje drwiny, ale na czerstwej, rumianej twarzy dostrzegł jedynie wyraz chciwości. „Kto takiemu dał stopień oficerski?” - dodał bezgłośnie.

- Louis, Steve - rzucił dziarsko oficer. - Zejdziemy na dół. Rozejrzemy się trochę.

- Momencik, panie poruczniku - zmitygował go ostrożny Louis.

- Momencik. Czy tam przypadkiem nie ma min?

- Ani jednej. Pod gwarancją - zapewnił Houlihan.

Piechurzy tkwili spokojnie w swoich wnękach. Milczeli. Uparcie spoglądali w ziemię.

- Pozwoli pan, sierżancie - podjął oficer - że zejdziemy na dół i pomyszkujemy kwadransik po tym polu?

- Oczywiście, panie poruczniku - zgodził się Houlihan. - Pan będzie łaskaw czuć się jak u siebie w domu.

„Teraz - pomyślał Michael - powie, że to kpiny, że bierze ich na fundusz. Przekonają się sami, jacy z nich idioci, i prędko wrócą na tyły”.

Ale Houlihan stał bez ruchu.

- Będzie pan miał nas na oku. Prawda, sierżancie?

- Na pewno, panie poruczniku. Będę was miał na oku.

- Dziękuję. Jazda, chłopcy!

Nieporadnie rozgarniając krzaki zaczął schodzić zboczem. Dwaj sierżanci podążali za nim.

Whitacre odwrócił głowę w stronę przyjaciela. Noe przewiercał go uporczywym, rozkazującym spojrzeniem ciemnych oczu starego człowieka. Dawał w ten sposób znać, że trzeba czekać i milczeć. Groził.

„Ostatecznie - pomyślał ugodowo Whitacre - to jego pluton, nie mój. Poznał tych wszystkich ludzi dawniej i lepiej”. Niechętnie zwrócił wzrok ku stokowi wzgórza i rzece. Porucznik w pięknym płaszczu i jego towarzysze schodzili niezręcznie śliskim zboczem. Od czasu do czasu czepiali się krzewów i pni drzew. „Nie - pomyślał Michael - Nie dbam, co o mnie pomyślą w plutonie. Nie dopuszczę do tego. Nie mogę dopuścić!”.

- Houlihan! - Staął obok sierżanta, który z napięciem obserwował grzbiet wzgórza po drugiej stronie rzeki. - Houlihan! Tak nie można! Nie wolno! Nie pozwolisz im zejść mżej! Houlihan!

- Stul pysk! - syknął szeptem sierżant. - Nie ucz mnie, co mam robić. Ja dowodzę plutonem, nie ty!

- Idą na pewną zgubę - nacierał dalej Whitacre zapatrzony uparcie w sylwetki ślizgające się po brudnym śniegu.

- Dobrze im tak! - zawołał Houlihan, a Michael przeląkł się wyrazu nienawiści i pogardy, jaki wykrzywił subtelną, myślącą twarz o cienkich wargach. - Może wolałbyś inne rozwiązanie, co? Dlaczego nie mogą nigdy ginąć takie skurwysyny? Są przecież w wojsku, co? Pamiątek im się zachciało!

- Musisz ich zatrzymać - podjął Whitacre ochrypłym głosem. - Jeżeli tego nie zrobisz, złożę meldunek. Przysięgam Bogu, że złożę meldunek i...

- Stul pysk, Whitacre - przerwał mu Noe.

- Złożysz meldunek. Pięknie - Houlihan bacznie obserwował przeciwny brzeg. - A może sam chcesz pójść na patrol? I jeszcze przed wieczorem wyciągnąć kopyta, co? Może wolisz, żeby zginął Ackerman albo Pfeiffer, albo Crane? Naturalnie! Lepiej narazić przyjaciół niż te spalone świny z Zaopatrzenia. Zbyt im dobrze na świecie, żeby mieli umierać. O to ci chodzi, co? - Nagle zmienił ton i spokojnie, rzeczowo zwrócił się do podkomendnych: - Nie patrzeć, chłopcy, na tych frajerów na polu. Obserwować grzbiet wzgórza. Obserwować jak cholera! Będą tylko dwie, trzy krótkie serie. Nie wolno ich przegapić. Potem nie spuszczać z oka tego miejsca i określić je dokładnie. Zrozumiano? No i co, Whitacre? Chcesz jeszcze, żebym ich zawrócił?

- Ja... - zaczął Michael i w tej chwili usłyszał strzały, zorientował się więc, że jest za późno.

Na polu nad rzeką ciemnokawowy płaszcz osunął się wolno na ziemię. Louis i Steve zawrócili pędem, lecz nie odbiegli daleko.

- Sierżancie. - Głos Noego był chłodny, opanowany. - Wiem, skąd kaem strzelał. Dwadzieścia jardów w prawo od dużego drzewa. Koło dwóch krzaków, co sterczą trochę wyżej niż inne. Widzisz?

- Widzę - odpowiedział Houlihan.

- Dokładnie dwa albo trzy jardy w lewo od tego bliższego krzaka.

- Na pewno? Ja akurat przegapiłem.

- Na pewno.

Whitacre zrozumiał nagle, że podziwiał i nienawidził Noego. „Boże - pomyślał. - Ile ten chłopak nauczył się od Florydy!”.

- No, jak tam? - zwrócił się Houlihan do Michaela. - Masz jeszcze zamiar złożyć meldunek?

- Nie. Nie złożę meldunku.

- Oczywiście. - Przyjaźnie poklepał Whitacre'a po ramieniu. - Wiedziałem z góry.

Raźno podszedł do telefonu polowego, połączył się z punktem dowodzenia kompanii i na użytek moździerzy podał dokładne położenie gniazda niemieckiego karabinu maszynowego.

Znowu zapanowała kompletna cisza szarego zimowego popołudnia. Trudno było uwierzyć, że tak niedawno szczeknął karabin maszynowy i zginęło trzech ludzi.

Whitacre odwrócił głowę w stronę przyjaciela. Noe klęczał na jednym kolanie. Kolbę karabinu oparł na błotnistym gruncie. Twarzą przywarł do lufy. Był podobny do pioniera ze starej ryciny, osadnika z czasów walki z Indianami, gdzieś w Kentucky czy Nowym Meksyku. Wyzywająco spoglądał na Michaela. Oczy gorzały mu zawziętym, bezwstydnym blaskiem.

Michael spuścił wzrok i ciężko usiadł na ziemi. Dopiero w tej chwili ogarnął cały sens słów, których Ackerman nie szczędził, by w Obozie Uzupełnień wytłumaczyć, że w wojsku można żyć tylko tam, gdzie się ma przyjaciół.

Przed wczesnym zimowym zmierzchem moździerze otworzyły ogień. Dwa pierwsze strzały były za krótkie, więc Houlihan podał przez telefon poprawki. Trzeci pocisk wyładował dokładnie we wskazanym miejscu. Tak samo czwarty. Na grzbiecie, po drugiej stronie rzeki poruszyły się zarośla. Jak gdyby ktoś próbował wydostać się z gęstwiny, lecz nie zdążył i upadł. Potem uspokoiło się wszystko.

- Gotowe, panie kapitanie - zameldował Houlihan przez telefon. - Jeszcze jedna „pigula” w to samo miejsce. Na dobrą wróżbę!

Moździerz ulokował jeszcze jedną pigułę w tym samym miejscu - na dobrą wróżbę. Ale po wybuchu nic już nie poruszyło się w zaroślach.

Gdy się ściemniło, przybyła kompania saperów dźwigając pontony i bale. Michael z innymi pomagał ściągać ciężki materiał nad brzeg rzeki. Po drodze mijali

kilkakroć ciemnokawową plamę. Wiedział, że to płaszcz porucznika ze Służby Zaopatrzenia i starał się nie patrzeć. Saperzy pracowali w lodowatym mroku i uporali się z prawie połową mostku, kiedy na niebie rozkwitła pierwsza „choinka”. Działa odezwały się po obydwu stronach. Niemiecki ogień broni małokalibrowej był chaotyczny i przypadkowy, a moździerz tłumili go skutecznie. Pociski artyleryjskie padały rzadko, niecelnie, jak gdyby nieprzyjaciel oszczędzał amunicji, a koncentracja ognia na grzbiecie wzgórz utrudniała pracę wysuniętych obserwatorów. Mostu nie trafiono ani razu. Trzech saperów zostało rannych już na przeciwległym brzegu, a wszyscy inni byli złani wodą rozpryskiwaną przez bliskie wybuchy.

„Choinki” oświetlały rzekę niesamowitym błękitnym blaskiem, w którym zajęci pracą ludzie wydawali się dłudzy i ciency, a ruchy mieli podobne do owadów. Nieliczna szpica plutonu przebiegła mostem, lecz Lawson został trafiony i runął do wody. Drugą ofiarą był Mukowski.

Michael przycupnął obok Noego. Czuł na ramieniu hamującą dłoń przyjaciela. Bacznie obserwował ludzi, którzy kolejno przemykali na drugi brzeg po wąskich, śliskich deskach. Ktoś potknął się, upadł w poprzek i leżał bez ruchu. Inni musieli przez niego skakać. Michael czuł, że jego ramię drży pod palcami Noego.

„Nie - myślał z rozpaczą. - To niepodobieństwo. Nikt nie może wymagać ode mnie takich rzeczy. Nie ma prawa”.

- Naprzód! - szepnął Ackerman. - Teraz!

Whitacre nie drgnął. Pocisk wybuchnął w rzece o dziesięć stóp od mostu. Ciemna fontanna przesłoniła na chwilę rannego czy trupa leżącego na chwiejnych, rozdygotanych deskach.

Michael poczuł na karku silne uderzenie pięści.

- Naprzód! - krzyczał Noe. - Naprzód, skurwysynu! Teraz! Teraz!

Whitacre poderwał się i skoczył przed siebie. Ledwie stąpnął na oślizłe drewno, pocisk eksplodował przy końcu mostu. Michael nie wiedział, czy most istnieje jeszcze, nie zawahał się jednak i biegł co sił. Na drugiej stronie znalazł się błyskawicznie.

- Tędy, tędy! - odezwał się głos w ciemności. - Za mną!

Whitacre posłusznie ruszył za tym głosem, potknął się i wylądował w dole, gdzie zastał już kompana.

- Dobrze - szepnął mu w ucho Noe. - Teraz siedź tu, aż się reszta przeprawi.

Michael przytknął policzek do wilgotnej ziemi. Z lubością chłodził zroszoną potem skórę. Odpoczywał. Oddychał z coraz mniejszą trudnością. Po chwili wytknął głowę i zobaczył niewyraźne sylwetki przemykające mostem pośród wysokich gejzerów. Głęboko wciągnął powietrze. „Zrobiłem swoje - pomyślał. - Odbylem przeprawę pod ogniem. Stać mnie było! Potrafię tyle co inni. - Ze zdziwieniem poczuł, że się uśmiecha, odwrócił więc wzrok w stronę niewidocznych Niemców i zakończył: - Jeszcze będzie ze mnie żołnierz jak wszyscy diabli!”.

Rozdział XXXVII

Z daleka wyglądało to nieźle, prawie jak zwykły obóz wojskowy położony malowniczo wśród zielonych, rozległych pól na tle łagodnych wzgórków porośniętych lasem. Oczywiście baraki były bardziej skupione, a podwójny płot z drutu kolczastego i wyżki rozmieszczone w równych odstępach wyjaśniały wszystko. No i zaduch!... Już w odległości dwustu metrów powietrze zatruwał smród tak gęsty, jak gdyby gazy miały lada chwila przybrać postać stałą.

Nie odstraszyło to Christiana. W jasny, wiosenny ranek kuśtykał szybko drogą wiodącą do głównej bramy. Musiał posilić się i zasięgnąć wiadomości. Może w obozie ktoś słucha radia albo ma łączność telefoniczną z jakimś istniejącym jeszcze dowództwem? Może znajdzie się tam rower? Z iskierką nadziei Christian przypomniał sobie odwrót we Francji. Ale w pobliżu drutów skrzywił się z niesmakiem.

„Cóż - medytowałem. - Dobrze opanowałem technikę wycofywania się na własną rękę. To umiejętność bardzo przydatna wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Jestem czołowym nordyckim specjalistą w dziedzinie opuszczania topniejących oddziałów wojskowych. W każdym pułkowniku zwietrzę skłonność do kapitulacji o dwa dni wcześniej, niż sam pułkownik uprzytomni sobie, co w nim kiełkuje”.

Diestl nie chciał się poddać, chociaż składanie broni wystąpiło nagle jako zjawisko powszechne i miliony żołnierzy poświęcały czas wyłącznie na obmyślanie korzystnych sposobów trafienia do niewoli. W ciągu ostatniego miesiąca znakomita większość rozmów w wojsku obracała się dokoła tego właśnie tematu. W zbombardowanych osiedlach, w beznadziejnie odosobnionych gniazdach oporu, wzdłuż głównych szlaków komunikacyjnych i na przedpolach większych miast wszelkie dyskusje zbaczały nieodmiennie na jeden tor... Nie było mowy o nienawiści do lotnictwa, które zrównało z ziemią odwieczne miasta. Nikt nie pragnął pomścić tysięcy kobiet i dzieci gnijących pod gruzami. Za to słyszało się co chwila: „Bez kwestii, najlepiej poddać się Amerykanom. Na drugim miejscu stoją Anglicy, a na trzecim Francuzi, chociaż z nimi interes niepewny. No, ale jeżeli wpadniesz w ruskie łapy, jak nic powędrujesz na Syberię”. I mówili to kawalerowie Żelaznego Krzyża

pierwszej klasy lub Medalu Hitlera, bojownicy z Afryki i leningradzkiego frontu, żołnierze, co przetrwali cały odwrót spod Sainte Mère Eglise... Ohydne!

Wszyscy dokoła byli pewni amerykańskiej szlachetności, ale Christian nie podzielał ich wiary. Uważał, że to nowy mit stworzony na pociechę przez naród od wieków żyjący mitami. Wspomnił twarz spadochroniarza wiszącego na normandzkim drzewie - okrutną i zawziętą nawet po śmierci. Wspomnił kolumnę sanitarną: zdruzgotane furgony i martwe konie w uprzęży... Piloci myśliwców musieli widzieć czerwone krzyże, musieli zdawać sobie sprawę z ich znaczenia... A jednak się nie wahali. Amerykanie nie złożyli też dowodów szlachetności nad Berlinem, Monachium, Dreznem i setką innych niemieckich miast. Dosyć! Christian nie myślał ulegać dłużej mitom. A zresztą, Amerykanie niczego przecież nie obiecują. Wciąż powtarzają przez radio, że wszyscy niemieccy zbrodniarze zapłacą za swoje winy. W najlepszym razie oznacza to lata w obozach jenieckich lub brygadach pracy - lata, w czasie których Amerykanie będą przesiewać donosy płynące z całej Europy, jak długa i szeroka. A co się stanie, jeżeli jakiś Francuz z Normandii zapamiętał nazwisko Christiana? Jeżeli wyjdzie na jaw, że po zamordowaniu Behra sierżant Diestl zadenuncjował dwóch niewinnych ludzi i był w sąsiednim pokoju, gdy ich torturowano? Trudno odgadnąć, jakie rejestry prowadził Ruch Oporu, jak szczegółowe ma wiadomości. Albo ta dziwka, Françoise... Bogu tylko wiadomo, co powie. Na pewno mieszka teraz w Paryżu i żyje z jakimś amerykańskim generałem, i sący mu jad do uszu.

„Naturalnie, nie wiem, czy mnie będą szukać imiennie - przemyślał często Christian. - Jeżeli jednak wpadnę raz w ich ręce, byle pomyłony Francuz może niby to mnie poznać i oskarżyć o zbrodnie, których nigdy nie popełniłem. Kto mi wtedy uwierzy na słowo? Kto pomoże udowodnić, że jestem niewinny? I jeszcze jedno! Jak Amerykanie zechcą, oddadzą milion jeńców Francuzom - do rozbijania pól minowych i odbudowy zniszczonych miast. Lepsze wszystko niż lata we francuskich rękach... Nikt z nich nie wyjdzie żywy”.

Śmierć nie pasowała do planów Christiana. W ciągu ostatnich pięciu lat nauczył się wiele. Po wojnie może się bardzo przydać, nie wolno mu więc kapitulować przedwcześnie. Naturalnie, trzeba będzie przywarować na trzy lub cztery lata. Łasić się do zdobywców. Niebawem do Austrii znów zaczną zjeżdżać turyści i narciarze. Zapewne Amerykanie zorganizują tam wielkie obozy wypoczynkowe. Można przecież zarabiać na życie ucząc amerykańskich poruczników telemarku i christianii. A

później... No, zobaczymy, jak to będzie później. Człowiek, który potrafi fachowo zabijać i zręcznie manewrować rozjuszonymi bestiami, na pewno stanie się potrzebny w pięć lat po wojnie, jeżeli do tej pory zdoła uchronić całą skórę.

Diestl nie miał pojęcia, jak przedstawia się sytuacja w jego rodzinnym mieście. Jeżeli jednak zdąży tam przed nieprzyjacielem, przebierze się po cywilnemu i wymyśli jakąś prawdopodobną legendę. Był niedaleko od domu, w sercu Bawarii, a zarysy znajomych gór błękitniały na widnokręgu. „Wojna staje się coraz wygodniejsza - pomyślał ironicznie. - Niejeden stoczy ostatnią, decydującą walkę w ogródku przed własnym domem”.

Przy bramie stał jeden wartownik - niski, pękaty mężczyzna po pięćdziesiątce. Z opaską Volkssturmu i karabinem wyglądał pociesznie i żałośnie zarazem. Minę miał nieszczęśliwą.

„Volkssturm - pomyślał wzgardliwie Diestl. - To był naprawdę świetny pomysł! Hitlerowski dom starców, jak mówiono złośliwie. Gazety rozpisywały się, radio bębniło ustawicznie, że teraz, gdy zagłada grozi wszystkim domom, każdy mężczyzna piętnasto- lub siedemdziesięcioletni będzie walczył z najeźdźcą jak rozjuszony lew. To było pokrzepiające. Ale zasiedziali sklerotyczni panowie z Volkssturmu nie dosłyszeli widać zdania o rozjuszonym lwie. Jeden strzał nad głowami, a cały ich batalion podnosił ręce w górę i szczekał zębami. Trzeba tylko biedaków pędzić do obozu jeńców. Jeszcze jeden mit! W dwa tygodnie nie można zrobić wojska z podtatusiałych jegomościów oderwanych od biur i z dzieci wyciągniętych ze szkół. Retoryka - myślał Diestl spoglądając na zatroskanego starszego pana w workowatym mundurze - retoryka opętała Niemców. Chcieliśmy przeciwstawić retorykę i mity wszystkim dywizjom pancernym i flotom powietrznym, całej benzynie, artylerii i amunicji świata. Hardenburg od dawna to rozumiał, ale Hardenburg odebrał sobie życie. Tak! Po wojnie przydadzą się ludzie wolni od retoryki i raz na zawsze uodpornieni przeciw mitom”.

- *Heil Hitler* - powiedział wartownik i zsalutował niezdarnie.

Heil Hitler! Dobry kawał! Christian nie trudził się oddaniem ukłonu.

- Co się tu dzieje? - zapytał.

- Czekamy.

- Na co?

Wartownik wzruszył ramionami. Uśmiechnął się cierpko.

- Jakie wiadomości? - zapytał z kolei.

- Amerykanie dopiero co kapitulowali - powiedział Diestl. - Jutro kolej na Rosjan.

Na moment grubas prawie uwierzył. Twarz rozjaśnił mu nagły blask radości. Ale połapał się szybko.

- Ma pan dobry humor - mruknął smutno.

- Doskonały! Właśnie wracam z wiosennego urlopu.

- Myśli pan, że Amerykanie przyjdą dzisiaj? - zapytał niepewnie wartownik.

- Mogą tu być za dziesięć minut albo za dziesięć dni, albo dziesięć tygodni. Trudno przewidzieć, co zrobią Amerykanie.

- Mam nadzieję - podjął starszy jegomość - że przyjdą niedługo. W każdym razie są lepsi niż...

„Ten także!” - pomyślał Christian i uciął krótko: - Wiem! Są lepsi niż Rosjanie i lepsi niż Francuzi.

- Wszyscy tak mówią - bąknął wartownik.

- Bodaj was licho! - Christian pociągnął nosem. - Jak możecie znieść ten zaduch?

- Śmierdzi, prawda? Ale jestem tu od tygodnia. Nic już nie czuję.

- Od tygodnia? - zdziwił się Diestl. - Tylko?

- Tak. Dawniej był tu cały batalion SS. Nasza kompania złuzowała go przed tygodniem. Jedna głupia kompania! Chwała Bogu, że jeszcze żyjemy.

- Co tam za jedni? - zapytał Diestl wskazując ruchem głowy baraki.

- Jak wszędzie. - Grubas wzruszył ramionami. - Żydzi, Rosjanie, trochę politycznych. Jacyś ludzie z Jugosławii, z Grecji, Bóg wie skąd. Dwa dni temu zamknęliśmy ich w barakach. Czują, że coś się święci. Mogliby być niebezpieczni. Rozumie pan? Jedna głupia kompania... Jak zechcą, zmiotą nas w piętnaście minut. Są ich tysiące. Przed godziną okropnie hałasowali. - Odwrócił się i spojrzał podejrzliwie na pozamykane baraki. - Teraz siedzą cicho. Bóg wie, co przeciw nam knują.

- Dlaczego tu tkwicie? - zainteresował się Christian.

- Nie wiem. Czekamy. - Wartownik znów wzruszył ramionami i uśmiechnął się głupkowato.

- Otwieraj bramę - rzucił Diestl. - Chcę wejść.

- Wejść! - zdumiał się grubas. - Po co?

- Jestem z Komendy Głównej Kraft Durch Freude z Berlina. Spisuję miejscowości odpowiednie na letnie wczasy. Ktoś mi bardzo zachwalał wasz obóz. No, otwieraj! Muszę dostać coś do zjedzenia i popytać, czy nie pożyczysz mi ktoś roweru.

Wartownik dał ręką znak koledze, który stał na wyżce i od początku ciekawie obserwował gościa. Brama uchyliła się wolno.

- Roweru pan nie znajdzie - podjął grubas. - Jak esesmani odchodzili, zabrali wszystko, co ma kółka.

- Zobaczę - odburknął Christian.

Minął podwójną bramę i przez cuchnący obóz ruszył w kierunku ładnego domku w tyrolskim stylu, gdzie mieściła się komenda obozu koncentracyjnego. Przed domkiem był zielony trawnik i bielone kamienie. Pośrodku trawnika tkwił maszt z flagą wesoło trzepocącą na porannym wietrze. Z baraków o oknach zabitych deskami dobywał się głuchy, stłumiony, nieludzki pomruk, jak gdyby tony nowo wynalezionej instrumentu obliczonego na dźwięki zbyt chrapliwe i niemelodyjne dla organów. W zagrodach z drutu kolczastego nie było widać ludzi.

Diestl wszedł na kamienne, starannie wyszorowane schody tyrolskiego domku i pchnął drzwi.

Przede wszystkim poszukał kuchni, gdzie od posepnego sześćdziesięcioletniego kucharza w mundurze dostał kawałek kiełbasy i kubek gorącej kawy zbożowej.

- Jedz na zdrowie, chłopcze - zachęcał go kucharz. - Kto wie, czy będziemy jeszcze jedli na tym świecie.

Po korytarzu komendy obozu wałęsało się kilku starców w źle skompletowanych mundurach Volkssturmu. Karabiny trzymali niewprawnie i widać było, że chętnie rozstaliby się z nimi. Czekali również, jak wartownik przy bramie. Posepnie gapili się na niespodziewanego gościa, a Christian czuł w ich wzroku niechęć do swojej młodości i jak gdyby pretensję za przegraną wojnę. Hitler pysznił się zawsze, że młode pokolenie stanowi jego wielką siłę. A dziś pseudożołnierze, wydarci z domów w przeddzień tragicznego końca, krzywili się z niesmakiem i wyrazem pomarszczonych twarzy dawali do zrozumienia, co myślą o młodzieży, która narobiła tyle złego.

Christian szedł pewnym krokiem, wyprostowany. Swobodnie niósł schmeissera. Z chłodną, obojętną miną mijał próżnujących na korytarzu dziadów. Stał dopiero przed drzwiami komendanta. Zastukał energicznie i wszedł do kancelarii. Więzień w pasiaku zamiatał podłogę. Przy stole siedział beczynnie kapral.

- Chciałbym pomówić z panem komendantem - rzekł Christian.

Oficer widoczny przez otwarte drzwi skinął zza biurka zapraszającym gestem.

Komendant był stary. Diestl nie widział nigdy tak zgrzybiałego porucznika. Wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat. Twarz miał jak gdyby ulepioną z przegniłego sera. Na uprzejme pytanie odpowiedział głuchym, rozdygotanym głosem:

- Nie, nie, sierzancie. Nie mam rowerów. Nic nie mam. Nawet żywności. Esesmani zostawili nas bez niczego. Otrzymałem tylko rozkaz, żeby obsadzić obóz i utrzymywać porządek. Wczoraj udało mi się połączyć z Berlinem. Jakiś kretyńca kazał wystrzelać niezwłocznie wszystkich więźniów. - Porucznik roześmiał się posepnie.

- Praktyczna rada, co? Jedenaście tysięcy ludzi! Później nie mogłem dostać żadnego połączenia. - Spojrzał ciekawie na gościa. - A pan z frontu?

- Nie nazwałbym tego frontem w ścisłym tego słowa znaczeniu - uśmiechnął się Diestl.

- Ha! - westchnął komendant. - Tamta wojna wyglądała zupełnie inaczej. Wycofywaliśmy się planowo. Cała moja kompania wkroczyła do Monachium w zwartym szyku i z bronią. Inny był porządek, zupełnie inny. - Głos porucznika zabrzmiał wyraźnym tonem przygany dla młodego pokolenia Niemców, którzy nie potrafili przegrać wojny planowo i w porządku, jak ich ojcowie.

- Panie poruczniku - powiedział Diestl. - Widzę, że pan naprawdę nie może mi pomóc. Trzeba iść dalej.

- Zaraz, zaraz, sierzancie...

Christian pomyślał, że zgrzybiały porucznik pragnie zatrzymać go bodaj na moment, bo jest samotny w schludnie, starannie zamiecionym pokoju, gdzie w oknach trzepocą kolorowe firanki, pod ścianą stoi kanapa kryta pluszem, nad nią zaś wisi utrzymany w błękitnych tonach widoczek Alp w zimowej szacie.

- Zaraz, zaraz, sierzancie! Czy Amerykanie mogą przyjść dzisiaj? Jak pan sądzi?

- Trudno przewidzieć, panie poruczniku. Nie słuchał pan radia?

- Radia... - Komendant westchnął. - Wiadomości są sprzeczne. Dziś rano Berlin podawał, że według nie sprawdzonych pogłosek nad Elbą wywiązały się walki między Rosjanami i Amerykanami. Czy to możliwe? - Ożywił się nagle. - Jak pan sądzi? Wszyscy dobrze wiemy, że wcześniej czy później to nieuniknione... Co?

„Mit - pomyślał Christian. - Nowy samobójczy mit!”.

- Oczywiście, panie poruczniku - powiedział z przekonaniem. - Nie zdziwię się wcale, jeżeli te pogłoski okażą się prawdą.

Postąpił w stronę drzwi, lecz zatrzymał się, gdyż usłyszał podejrzany hałas.

Głuchy pomruk, jak gdyby wzburzonego morza, wzrastał się, szturmował otwarte okna, z każdą chwilą przybierał na sile. Nagle gruchnęło kilka strzałów. Christian skoczył do okna. Dwaj ludzie w mundurach kłusowali ciężko w stronę tyrolskiego domu. Byli otyli jak panowie z plakatów reklamujących monachijskie piwo, więc wysiłek fizyczny nie przychodził im łatwo. Trudno się dziwić, że po drodze rzucili karabiny. Zza węgła jednego z baraków wybiegł człowiek w obozowym pasiaku, później trzech, później cała zgraja. Christianowi wydało się, że setki prześladowców ścigają dwóch wartowników. Pierwszy więzień zatrzymał się na chwilę i podniósł karabin. Nie strzelał jednak. Trzymając broń w ręku rzucił się w dalszy pościg. Był wysoki, długonogi. Z przerażającą szybkością doganiał zbiegów. Po chwili zamachnął się karabinem jak maczugą i zwałił z nóg jednego z żołnierzy. Drugi zorientował się widać, że do komendy obozu jest daleko i nie zdoła schronić się w tej bezpiecznej przystani, położył się więc na drodze. Kładł się powoli, niby słoń w cyrku. Najprzód klęknął, a potem nie opuszczając bioder pochylił głowę, jak gdyby chciał ją ukryć w ziemi. Więzień zamachnął się znowu i kolbą roztrzaskał mu czaszkę.

- Boże! Dobry Boże! - szeptał porucznik przy oknie.

Tłum otoczył świeże trupy, pokrył je zupełnie. Bez krzyków i wrzawy tratował ofiary. Więźniowie odpychali się wzajemnie, by znaleźć dostęp i kopnąć nienawistny mundur.

Komendant odskoczył od okna i chwiejnie oparł się o ścianę.

- Jedenaście tysięcy ludzi - jęknął. - Za dziesięć minut wszyscy będą na swobodzie.

Od bramy padło kilka strzałów. Trzy czy cztery pasiaki osunęły się na ziemię, lecz na zabitych i rannych nikt nie zwracał uwagi. Od tłumu oderwała się liczna grupa i z głuchym, nieartykułowanym rykiem ruszyła w stronę bramy.

Inne baraki zaczęły wypływać nowe hordy, które pojawiały się nagle jak stada byków w filmach o tematyce hiszpańskiej. Tu i ówdzie więźniowie chwyтали wartownika i w jednej chwili mordowali wspólnymi siłami. Na korytarzu rozległy się krzyki. Stary porucznik sięgnął drżącą ręką do pistoletu i unosząc drogie wspomnienia o planowej, porządnej klęsce w tamtej wojnie, wybiegł, by zebrać jakoś swoje wojsko.

Christian odszedł od okna. Próbował myśleć szybko, logicznie. Przeklinał się w duchu, że idiotycznie wpadł w pułapkę. Uchronił życie w tak wielu bitwach, potrafił nie dać się czołgom, działom, doskonale wyszkolonym przeciwnikom, a dzisiaj dobrowolnie wplątał się w taką matnię!

Szybko zajrzał do kancelarii i zobaczył, że kapo jest sam i stoi koło okna.

- Chodź tu!

Kapo zmierzył go chłodnym wzrokiem i wolno wszedł do pokoju komendanta.

Diestl zamknął drzwi, uważnie przyglądając się więźniowi. Na szczęście był odpowiedniego wzrostu.

- Rozbieraj się!

Bez słowa i nie spiesząc się wcale więzień zdjął bawełniany pasiak i zaczął zsuwać spodnie. Hałas przed tyrolskim domem wzmógł się nagle. Znowu huknęło kilka strzałów.

- Prędeziej! - rozkazał Diestl.

Kapo zrzucił spodnie. Był bardzo chudy. Stał pośrodku pokoju w szarym od brudu podkoszulku z workowego płótna.

- Bliżej! - rzucił Diestl, a kiedy jego rozkaz został wykonany, podniósł pistolet maszynowy i końcem lufy uderzył więźnia między oczy.

Człowiek w brudnym podkoszulku cofnął się o krok i upadł. Christian chwycił go za kark i przez cały pokój powlókł przed drzwi schowka. Otworzył je i wepchnął zemdlonego do głębokiej szafy w murze, gdzie wisiał płaszcz oficerski i dwa mundury.

Zatrzasnął drzwi i wrócił po leżące na podłodze obozowe łąchy. Zaczął rozpinać guziki swojej bluzy, usłyszał jednak zgiełk pod oknami, a w korytarzu podejrzane krzyki. Przestraszył się, że nie zdąży w porę. Szybko wciągnął drugą parę spodni i z trudem ubrał się w pasiastą bluzę, którą zapiął starannie aż pod brodę. Potem przejrzał się w lustrze wiszącym na drzwiach schowka. Munduru nie było widać.

Należało jeszcze wyszukać kryjówkę dla broni. Po krótkim namyśle Diestl wsunął schmeissera pod kanapę. Mógł tam leżeć bezpiecznie. Na razie wystarczy nóż spadochroniarski ukryty pod pasiakiem cuchnącym jodoformem i zastarzałym potem.

Christian wyjrzał oknem. Wciąż nowe bandy wyłamywały drzwi baraków i zaczynały uganiać się po obozie. Od czasu do czasu zabijano jeszcze wartowników. Na tyłach tyrolskiego domku grzmiała bezładna strzelanina. W odległości stu metrów liczna gromada szturmowała wrota budynku podobnego do stodoły. Wrota padły, tłum runął do wnętrza i niebawem więźniowie poczęli wracać stamtąd jedząc surowe kartofle i mąkę, która jak puder bielila im ręce i twarze. Opodał jakiś olbrzym w pasiaku przykłęknął nad wartownikiem. Trzymał go między kolanami i dusił oburącz. W pewnej chwili więzień zostawił żywego jeszcze żołnierza i utworował sobie drogę do magazynu, skąd wyszedł z rękami pełnymi kartofli.

Christian kopnięciem otworzył okno i bez wahania przesadził parapet. Przez moment wisiał na końcach palców. Później skoczył. Upadł na kolana, ale zerwał się szybko. Wokół roily się setki ubranych tak jak on ludzi. Zgiełk i zaduch były nie do wytrzymania.

Diestl wyjrzał zza węgła i ruszył w stronę bramy.

Oparty o ścianę tyrolskiego domku stał wysoki mężczyzna z jednym okiem; drugi oczodół był pusty. Bystro spojrział na Christiana i poszedł za nim. Nie ulegało wątpliwości, że zrodziły się w nim podejrzenia. Christian starał się nieznacznie przyspieszyć kroku, ale w zwartej cizbie nie mógł pozbyć się jednookiego draba.

Strażnicy broniący tyrolskiego domu poddali się tymczasem i parami wychodzili z głównych drzwi, Więźniowie, jak gdyby upojeni świeżo odzyskaną swobodą, przycichli na moment i gapili się na swoich byłych dozorców. Wreszcie rosły, łysy mężczyzna dobył z kieszeni zardzewiały nóż. Krzyknął coś po polsku, chwycił najbliższego jeńca i jął podrzynać mu gardło. Nóż był tępy i operacja zajęła sporo czasu. Żołnierz nie bronił się, nie krzyczał. Widocznie męka i śmierć tak spowszedniały w tym piekle, że nawet ofiara, bez względu na to kim była, przyjmowała swój los filozoficznie. Od dawna piętrzyły się niezliczone dowody, iż błaganie o litość nie odniesie skutku, nikt więc nie chciał trudzić się na próżno. Po-chwycony wartownik, pięćdziesięcioletni jegomość o wyglądzie drobnego urzędniczka, przywarł do swojego mordercy i z odległości sześciu cali patrzył mu w

oczy, dopóki zardzewiałe ostrze nie przecięło wreszcie tętnicy. Wtedy cicho osunął się na trawnik.

Było to jak gdyby hasłem do dalszych egzekucji. Wobec niedostatku broni wielu strażników po prostu zdeptano. Christian patrzył jak urzeczony. Bał się drgnąć, nie śmiał zdradzić nic wyrazem twarzy, gdyż jednooki olbrzym stał tuż za nim, napierał na jego plecy.

- Ty, słuchaj...

Diestl poczuł na ramieniu dłoń jednookiego. Uprzytomnił sobie, że przez pasiak łatwo wymacać mundur.

- Ty, słuchaj... Chcę z tobą pogadać...

Zgrzybiały komendant stał oparty o ścianę koło głównych drzwi tyrolskiego domu. Bezradnie wyciągnął przed siebie ręce, jak gdyby się osłaniał. Zgłodniali, wychudzeni jak szkielety więźniowie byli na razie zbyt zmęczeni, żeby go zamordować. Christian zdecydował się nagle. Roztrącił gęstą ciżbę, podbiegł do porucznika i chwycił go za bluzę na piersiach.

- Boże! - wrzasnął donośnie oficer. - Wielki Boże!

Jego głos zabrzmiał dziwnie, bo poprzednie ofiary umierały w milczeniu.

Christian dobył spod pasiaka nóż spadochroniarski. Jedną ręką przyparł komendanta do ściany, drugą poderżnął mu grdykę.

Rozległ się zdławiony krzyk i gulgotanie, jak gdyby ktoś płukał gardło. Christian otarł nóż o bluzę porucznika i pozwolił mu upaść. Potem zerknął przez ramię, aby przekonać się, czy jest jeszcze pod obserwacją. Ale jednooki drab zniknął w tłumie. Widocznie był zadowolony.

Diestl odetchnął z ulgą i nie wypuszczając noża z ręki wszedł do tyrolskiego domku. Na schodach i w przedsionku leżały trupy. Wszędzie uwijali się świeżo oswobodzeni więźniowie. Darli papiery, rozbijali biurka, krzesła.

W pokoju komendanta zastał kilku ludzi w pasiakach. Drzwi schowka były otwarte. Półnagi kapo leżał nieprzytomny, tak jak go Christian zostawił. Więźniowie pili kolejno koniak z karafki znalezionej na biurku. Ostatni opróżnił ją i rzucił w zawieszony na ścianie widoczek Alp utrzymany w błękitnych tonach.

Christian spostrzegł, że nikt nie zwraca na niego uwagi, schylił się więc, by wydobyć schmeissera spod kanapy. Spokojnie wyszedł na korytarz i utorował sobie

drogę do głównych drzwi. Pistolet maszynowy niósł jawnie, bez obawy, gdyż wielu wałęsających się bez celu ludzi w pasiakach posiadało teraz broń. Wzdłuż obozowej drogi szedł wolno, nie opuszczając ruchliwych gromad więźniów. Wolał nie odłączać się od nich, bo jakieś bystre oczy mogły dostrzec, że włosy ma dłuższe niż inni, a na kościach znacznie więcej mięsa.

Tak znalazł się przy bramie. Tłusty wartownik, który powitał go i wpuścił, leżał teraz na drutach kolczastych. Martwą twarz wykrzywił mu jak gdyby uśmiech. Opodal więźniowie stali tłumnie, lecz prawie nikt nie opuszczał obozu. Widocznie w granicach swoich skromnych możliwości dokonali dzieła wystarczającego na jeden dzień: wyłamanie się z baraków zaspokoilo chwilowo potrzebę wolności. Spokojnie stali przed otwartą szeroko bramą. Patrzyli na zielony krajobraz falistej okolicy i na szosę, którą niebawem nadciągną Amerykanie i powiedzą im, co mają robić. A może tak związały ich z obozem najgłębsze przeżycia, że teraz, po wyzwoleniu, nie byli w stanie rozstać się z miejscem, gdzie cierpieli i dokonali zemsty?

Christian roztrącił grupkę otaczającą zamordowanego wartownika. Ze schmeisserem na pasie ruszył żywo szosą w stronę Amerykanów. Obawiał się iść w przeciwnym kierunku, w głąb Niemiec, gdyż ludzie skupieni przy bramie mogli go jeszcze doścignąć, zatrzymać...

Maszerował szybko, utykając po trosze. Głęboko wciągał rześwe, wiosenne powietrze, aby oczyścić płuca z obozowego smrodu. Był bardzo zmęczony, nie zwalniał jednak kroku. W bezpiecznej odległości, kiedy nie mogli go już dostrzec ludzie w pasiakach, skręcił z szosy i szerokim łukiem przez pola szczęśliwie okrążył obóz. W zielonym zagajniku, gdzie pachniało sosnowym igliwem, a na murawie różowiały i czerwieniały drobne leśne kwiaty, zobaczył przed sobą pustą, skąpaną w słonecznym blasku drogę. Ale był zbyt wyczerpany, żeby iść dalej. Ściągnął cuchnące jodoformem i zastarzałym potem łachy kapo, zwinął je w kłęb i rzucił pod rozłożystą leszczynę. Potem ułożył się wygodnie i głowę oparł na skarpie jak na poduszce. Młoda, zielona murawa pachniała świeżo i wiosennie. W górze, między gałęziami, dwa ptaszki ćwierkały radośnie i trzepotały skrzydełkami. Przelatując z blasku w cień i z powrotem były granatowe, raz złociste.

Christian westchnął, przeciągnął się i usnął.

Rozdział XXXVIII

Kolumna zatrzymała się opodal szeroko otwartej bramy i żołnierze na lorach umilkli. Sam zaduch był po temu wystarczającym powodem, nie mówiąc nawet o widoku, jaki przedstawiały trupy rozrzucone koło bramy i za drutami oraz bandy odzianych w brudne pasiaki głodomorów, którzy poruszali się leniwie i niby przerażająca powódź ogarniali lory i dżipa kapitana Greena.

Nie hałasowali wiele. Jedni płakali, inni próbowali się uśmiechać, lecz płacz czy śmiech nie wpływały na zmianę wyrazu trupich twarzy i głęboko zapadniętych oczu. Wydawać się mogło, że tragedia tych stworzeń przekroczyła zasięg normalnych ludzkich reakcji i zeszała do poziomu zwierzęcej rozpacz; że utarte grymasy radości, smutku, powitania nie leżą w granicach prymitywnych możliwości nędzarzy. Michael patrzył na martwe, nieruchome maski i odgadywał, że ten czy ów jest przekonany, iż się uśmiecha. Lecz domysł taki wymagał raczej intuicyjnego odczuwania.

Widma w pasiakach nie starały się nawiązywać rozmów. Ostrożnie dotykały blaszanych pudeł samochodów, żołnierskich mundurów, broni, jak gdyby nowa, oszałamiająca prawda mogła przeniknąć do ich świadomości jedynie za pośrednictwem chudych palców.

Green wydał rozkaz, by samochody zostały pod strażą na szosie, sam zaś poprowadził kompanię przez tłum uwolnionych heftlingów i na jej czele wolno wkroczył do obozu.

Michael i Noe weszli do najbliższego baraku tuż za kapitanem. Drzwi były wyrwane z zawiasów, okna przeważnie wybite. Mimo to ponure wnętrze wypełniał smród nieznośny dla ludzkich nozdrzy. W zatęchłym mroku, słabo rozjaśnionym gdzieniegdzie smugami wiosennego słońca, leżały stosy wychudłych ciał. Najpotworniejsze wrażenie sprawiał ruch, jaki niekiedy objawiał się w tych kłębowiskach: powolne zgięcie ręki, drgnięcie powiek odsłaniające rozgorączkowane oczy, bolesny skurcz sinych ust na twarzy człowieka, który, jak się zdawać mogło, nie żył od kilku dni. W głębi baraku jeden z konających oderwał się od stosu łachmanów i kości i na kolanach i rękach zaczął pełznąć w stronę drzwi. Bliżej ktoś wstał i niby niezdarna marionetka ruszył ku Amerykanom. Widocznie sądził, że się uśmiecha, gdyż na twarzy miał okropny grymas. Rękę wyciągnął przed siebie niedorzecznie pospolitym

gestem powitania. Ale nie dotarł do oswobodzicieli. Z przyjaźnie wyciągniętą dłonią opadł na zawalane odchodami deski. Kiedy Michael pochylił się nad nim, więzień już nie żył.

Whitacre klęczał obok człowieka, który umarł tak cicho i łatwo, a jakiś głos wewnętrzny powtarzał w nim obłędnie: „Ośrodek świata. Ośrodek świata. Ośrodek świata. Jestem teraz w ośrodku świata... w ośrodku świata...”

Trup był nagi. Pod skórą rysowały się dokładnie wszystkie kości. Mierzył pełne sześć stóp wzrostu, lecz nie mógł ważyć więcej niż siedemdziesiąt pięć funtów. Dlatego wydawał się karykaturalnie długi, jak gdyby urągał wszelkim zasadom proporcji ciała ludzkiego i normalnej perspektywy.

Nagle gruchnęły strzały. Michael z Noem wybiegli na dwór za kapitanem Greenem.

Trzydziestu dwóch strażników, zabarykadowanych dotychczas w murowanym budynku obozowego krematorium, poddało się na widok Amerykanów. Crane miał szczerzy zamiar wystrzelać wszystkich i zdążył nawet dwóch zranić, zanim Houlihan odebrał mu pistolet maszynowy. Jeden siedział na ziemi i płakał głośno. Dłońmi przyciskał brzuch, krew tryskała mu obficie między palcami. Był niezmiernie otyły, a na karku miał gruby wałek tłuszczu charakterystyczny dla piwoszów. Sprawiał wrażenie różowego, rozkapryszonego malca, który siedząc na dywanie w dziecinnym pokoju skarży się płaczem na niesprawiedliwość piastunki.

Crane stał między dwoma kolegami, którzy wykręcali mu ręce do tyłu. Dyszał ciężko. Nieprzytomnie toczył oczyma. Kiedy Green kazał odprowadzić strażników i dla bezpieczeństwa zamknąć ich w tyrolskim domku, Crane szarpnął się i kopnął rannego w brzuch Niemca. Grubas zaszlochał jeszcze głośniej. Czterej ludzie z wysiłkiem odnieśli go do komendy obozu.

Green mało mógł zrobić. W każdym razie umieścił dowództwo kompanii w kancelarii komendanta obozu i wydał szereg jasnych, prostych rozkazów. Zdawać się mogło, że w armii Stanów Zjednoczonych kapitanowie piechoty trafiają codziennie w chaos „ośrodka świata” i zaprowadzają tam porządek. Green wysłał swojego dżipa po ekipę sanitarną i odpowiednią ilość żelaznych porcji. Żywność kompanii kazał wyładować i złożyć pod strażą w tyrolskim domku, polecając zarazem, aby karmić na razie tylko chorych bliskich śmierci głodowej, których rozesłane patrole znajdą w

poszczególnych barakach. Jeńców niemieckich umieścił przy końcu korytarza za drzwiami swojego pokoju, gdzie nie groziło im niebezpieczeństwo.

Whitacre (wraz z Noem pełnili funkcje gońców dowódcy) słyszał, jak jeden z Niemców skarżył się w płynnej angielszczyźnie Pfeifferowi, który z karabinem w ręku pilnował byłych strażników:

- Dzieje się krzycząca niesprawiedliwość. Służbę w obozie pełniłmy przez tydzień. Nikt z nas nie dręczył heftlingów. Od lat był tu batalion SS. Esesmani są odpowiedzialni za wszystkie okrucieństwa i zbrodnie. Ale cóż? Esesmani są teraz na swobodzie albo trafili do amerykańskiego obozu jeńców, gdzie popijają sok pomarańczowy.

Żale starego Niemca były niewątpliwie słuszne, lecz Pfeiffer odpowiedział tylko:

- Stul pysk, bo cię kopnę w zęby.

Wyzwoleni heftlingowie mieli swój obrany potajemnie przed tygodniem komitet wykonawczy powołany do zarządzania obozem. Dowiedziawszy się o tym Green wezwał przewodniczącego komitetu. Był to drobny, chudy człeczyna po pięćdziesiątce. Gładko operował szkolną angielszczyznę z bardzo osobliwym akcentem. Nazywał się Zolum i przed wojną pracował w albańskiej służbie dyplomatycznej. Powiedział Greenowi, że w obozie spędził przeszło trzy lata. Był zupełnie łysy i miał ciemne, paciorkowate oczka połyskujące w twarzy, która mimo wychudzenia zachowała ślady pulchności. Zolum potrafił rozkazywać i wiele pomógł Greenowi wyznaczając spośród silniejszych heftlingów oddziały robocze, które wnosiły z baraków ciała, chorych zaś segregowały na umierających, poważnie zagrożonych i przypadki mniej niebezpieczne. Z rozkazu Greena tylko poważnie zagrożeni mieli otrzymać posiłek ze szczupłych kompanijnych zapasów i resztek znalezionych w prawie pustych magazynach obozu. Umierających położono szeregiem przy drodze, aby mogli spokojnie wyzionąć ducha radując się słońcem i łagodnym wiosennym powiewem.

Popołudnie mijało. Michael patrzył na jaki taki ład, który Green zaprowadzał ze swoją spokojną, zwyczajną, niemal zakłopotaną miną, i z godziny na godzinę nabierał więcej szacunku dla niepokąźnego oficera o wysokim dziewczęcym głosie. Pojął tego dnia, że w świecie kapitana wszystko jest pewne, ustalone, że nie ma tam nic, czego me zdołałby naprawić uczciwy, zdrowy rozsądek i rzetelna praca, choćby to

było bagno nieprawości i nędzy pozostałe po „tysiącleciu” nowej niemieckiej ery. Słuchając zwięzłych, rzeczowych rozkazów, jakie Green wydawał Albańczykowi, sierżantowi Houlihanowi, Polakom, Rosjanom, Żydom i niemieckim komunistom, Whitacre zdawał sobie sprawę, że jego dowódca nie uważa, by robił coś nadzwyczajnego, z czym nie potrafiłby uporać się na jego miejscu każdy absolwent Oficerskiej Szkoły Piechoty w Fort Benning.

Kapitan załatwiał rozmaite sprawy gładko, bez nerwów, jak gdyby opracowywał tygodniowy rozkład zajęć w kancelarii w Georgii, a Whitacre patrząc na to był zadowolony, że nie dostał się do szkoły oficerskiej. „Za nic nie poradziłbym sobie - myślał. - Zakryłbym twarz rękami i płakał, póki ktoś nie zabrałby mnie z tego miejsca”.

Green nie płakał. Nie biadał nad własnym losem. Nikomu nie wyrażał współczucia. Z godziny na godzinę jego chłodny, beznamiętny głos brzmiał coraz ostrzej, coraz bardziej po wojskowemu.

Michael obserwował również przyjaciela. Noe miał twarz poważną, skupioną, obojętną. Zdawać się mogło, że dba o jej wyraz, jak mógłby ktoś dbać o kosztowny strój kupiony za ostatnie pieniądze i zbyt cenny, by porzucić go nawet w najbardziej niezwykłych warunkach. Tylko raz idąc z Michaelem wzdłuż rzędu beznadziejnie chorych, ułożonych na gołej ziemi, Noe przystanął.

„Teraz - pomyślał Whitacre zerkając spod oka na towarzysza - teraz się załamie”.

Noe patrzył na wychudłych, półnagich, okrytych wrzodami ludzi, konających i obojętnych już na zwycięstwo i wyzwolenie. Twarz drgnęła mu i lodowata maska omal nie spadła. Ale Noe zapanował nad sobą. Przymknął oczy, bezwiednie otarł usta wierzchem dłoni i powiedział ruszając z miejsca:

- No, chodźmy. Czego tu sterczymy?

Kiedy wrócili do pokoju komendanta, przed Greenem stał zgrzybiały mężczyzna. W każdym razie wyglądał na starca. Plecy miał zgarbione, a żółte dłonie bardzo chude, niemal przezroczyste. Ale w obozie wszyscy sprawiali wrażenie starców lub istot w nieokreślonym wieku.

- Nazywam się - mówił ów człowiek z trudem szukając angielskich słów - nazywam się Joseph Silverson. Jestem rabinem... jedynym rabinem w tym obozie.

- Słucham? - rzucił szorstko kapitan Green nie odrywając wzroku od sporządzanego właśnie zapotrzebowania na leki i środki opatrunkowe.

- Nie chciałbym zajmować czasu panu oficerowi - ciągnął rabin. - Ale mam wielką prośbę...

- Słucham? - powtórzył Green, ale nie spojrzał na petenta. Zdjął hełm i bluzę polową. Pas z rewolwerem zawiesił na oparciu krzesła. Wyglądał jak zapracowany urzędniczek sprawdzający faktury w magazynie towarowym.

- Wiele tysięcy Żydów - mówił Silverson powoli i uważnie - zginęło w tym obozie. Kilkuset z tamtych - przezroczystą ręką wskazał niepewnie okno - umrze jeszcze dzisiaj w nocy albo jutro...

- Boleję nad tym, panie rabinie - powiedział Green. - Ale cóż? Robię wszystko, co w mojej mocy.

- Oczywiście. - Rabin żywo skinął głową. - Wiem dobrze. Dla tamtych nic nie da się zrobić. Nie w materialnym sensie, dla ich ciała. Ja to rozumiem, wszyscy rozumieją, nawet oni. Ogarnia ich cień śmierci, a staraniami otoczyć trzeba przede wszystkim żywych. Nie są nawet nieszczęśliwi. Umierają jako ludzie wolni. To przecież wielka pociecha. Przyszedłem tutaj, żeby prosić o... - zawahał się - ... o luksus.

Michael odgadł, że rabin sili się na uśmiech. Jego zapadłe, wielkie zielonkawe oczy błysnęły pod zorany zmarszczkami wysokim czołem.

- Pragnąłbym zgromadzić wszystkich Żydów, chorych czy zdrowych, i koło tamtych - znowu wyciągnął w stronę okna pergaminową rękę - co konają na placu, odprawić nabożeństwo. Żałobne modły za umarłych w obozie i umierających.

Michael spojrzał na Noego, który obojętnie i trzeźwo patrzył na kapitana Greena.

Oficer nie podniósł wzroku, przestał tylko pisać, ale głowę miał pochyloną, jak gdyby usnął nagle.

- Nigdy nie było tutaj naszego nabożeństwa - podjął cicho rabin - a tak wiele tysięcy pomarło, że...

- Pan kapitan pozwoli... - odezwał się albański dyplomata, tak pomocny dotychczas przy wykonywaniu rozkazów Greena.

Stał teraz koło rabina, pochylony układowie w stronę biurka. Mówił płynnie, wyraźnie, dyplomatycznie.

- Nie chciałbym się wtrącać, panie kapitanie. Doskonale zdaję sobie sprawę, dlaczego rabin Silverson wystąpił ze swą prośbą. Ale, moim zdaniem, pora jest nieodpowiednia. Jestem Europejczykiem. Spędziłem w tym obozie długi okres. Znane mi są problemy, których pan kapitan zapewne nie ogarnia. Jak już wspomniałem, nie chciałbym się wtrącać, uważam jednak, że publiczne odprawianie izraelskich modłów w obozie byłoby niewskazane... W najwyższym stopniu niewskazane...

Albańczyk urwał. Czekał na odpowiedź Greena. Ale kapitan milczał. Siedział za biurkiem. Nieznacznie poruszał głową, jak gdyby z trudem budził się z drzemki.

- Pan kapitan, być może, nie zna dokładnie nastrojów - podjął szybko dyplomata. - Nastrojów, że się tak wyrażę, ogólnoeuropejskich. Nie zamierzam rozstrzygać, czy to dobrze, czy źle, lecz zbliżone nastroje działają nawet w takich jak ten obozach. To fakt niezaprzeczony. Jeżeli pan kapitan zezwoli rabinowi na odprawienie nabożeństwa, nie ręczę za następstwa. Muszę ostrzec pana kapitana, uważam to za swój obowiązek. Mogą wyniknąć zamieszki, panie kapitanie. Groźne zamieszki. A nawet rozlew krwi. Ludzie zaprotestują i...

- Ludzie zaprotestują - powtórzył Green spokojnie, bezbarwnym tonem.

- Tak jest, panie kapitanie - podchwycił żywo Albańczyk. - Ludzie zaprotestują. Mogę za to ręczyć.

Michael spojrzał znów na Noego. Maskę skupienia topniała wolno na jego twarzy. Zastępował ją wyraz rozpacz i zgrozy. Green wstał i zwrócił się do rabina.

- Ja ze swej strony - powiedział chłodno - mogę ręczyć za coś innego. Ręczę, że za godzinę odprawi pan modły na placu apelowym. Ręczę, że na dachu tego budynku staną karabiny maszynowe i na mój rozkaz otworzą ogień do każdego, kto zechce przeszkadzać w nabożeństwie. A tobie - spojrzał na albańskiego dyplomata - ręczę, że pójdziesz pod klucz, jeżeli jeszcze raz pokażesz się tutaj. Skończyłem.

Albańczyk wycofał się z pokoju komendanta. Na korytarzu zatupotały jego szybko oddalające się kroki. Rabin uklonił się z godnością.

- Bardzo dziękuję, panie oficerze - powiedział.

Green wyciągnął rękę, a Silverson uściśnął ją z szacunkiem i wolno odszedł śladem Albańczyka. Kapitan stał przez chwilę zapatrzony w okno.

- Ackerman - odezwał się wreszcie. - Przez dwie godziny nie będziesz tu potrzebny. Ani ty, Whitacre. Moglibyście przejść się trochę za obozem. Spacer na świeżym powietrzu dobrze wam zrobi.

- Dziękuję, panie kapitanie. - Noe odwrócił się i wyszedł.

- Whitacre - podjął oficer spoglądając wciąż w okno - zaopiekujesz się nim, prawda?

- Tak jest, panie kapitanie.

Michael dogonił Noego. Szli ramię w ramię bez słowa. Słońce było już nisko i na północnych wzgórzach kładło podłużne smugi czerwonego cienia. Przy szosie opustoszała farma, cicha i bezludna, drzemała w blasku zachodu. Dom mieszkalny musiał być niedawno malowany, a świeżo bielony mur okalający podwórko barwił się bladawym błękitem. Wysoko w górze wracająca do bazy eskadra myśliwców mignęła srebrzyście w ukośnych promieniach słońca. Po drugiej stronie szosy ciągnął się piękny mieszany las. Pnie starych sosen i grabów kreśliły czarne sylwetki na jasnozielonym tle wiosennych listków. Na ziemi, pośród kwiatów, mieniła się szachownica światła i cieni. Obóz został daleko, a powietrze nagrzane całodziennym słońcem było tutaj aromatyczne, pachnące igliwem. Gumowe podeszwy trzewików szeleściły cicho, nie po wojskowemu na asfalcie wąskiej drogi ciągnącej się między dwoma dość głębokimi rowami. Przyjaciele minęli drugą farmę o zaryglowanych drzwiach i osłoniętych oknach. Michael miał wrażenie, że jakieś oczy obserwują ich przez szpary. Nie bał się jednak. Na podstawie dotychczasowych obserwacji oceniał, że w Niemczech zostały tylko dzieci. Miliony dzieci, a także kobiety i żołnierze-kalecy. Była to ludność uprzejma, niewojownicza. Amerykańskie czołgi i dżipy witała równie niemrawym machaniem rąk, jak ciężarówki, które odstawiały Niemców do obozów jenieckich.

Po zaśmieconym podwórku spacerowały trzy gęsi. „Dobry obiad na dzień Bożego Narodzenia - pomyślał leniwie Whitacre. - Gęś nadziewana ostrygami. A do tego borówki”.

Przypomniawszy sobie dębową boazerię i sceny z oper Wagnera malowane na ścianach restauracji Ruchowa, przy Czternastej Ulicy w Nowym Jorku.

Przyjaciele oddalali się od farmy. Gęsty starodrzew rósł teraz po obydwu stronach drogi. Pachniało zdrowiem i wiosną. Młoda trawa przebijała brunatny kobierzec zeszłorocznych liści.

Noe nie przemówił od progu kancelarii Greena, toteż Michael wzdrygnął się na dźwięk głosu, który zabrzmiał przy akompaniamencie szelestu kroków na asfalcie.

- Jak się czujesz? - rzucił Noe.

Whitacre zastanowił się chwilę.

- Jestem zabity - odpowiedział wreszcie. - Zabity, ranny, zaginiony.

Następne dwadzieścia jardów przeszli bez słowa.

- Okropnie było, prawda? - podjął Ackerman.

- Okropnie.

- Człowiek mógł spodziewać się najgorszego - ciągnął Noe - ale nie mógł przewidzieć, że to będzie tak wyglądało.

- Nie mógł przewidzieć - zgodził się znów Michael.

- Ludzie... Prawdziwi ludzie...

Przez moment szli w milczeniu. Słuchali szelestu gumowych zelówek na asfaltowej szosie w głębi Niemiec, biegnącej niby kościelna nawa między kolumnami starych drzew w szacie wiosennej zieleni.

- Mój stryj - odezwał się Ackerman - brat ojca, trafił do jednego z takich obozów. Widziałeś piece?

- Widziałem.

- Oczywiście nigdy go nie widziałem... Mówię o stryju. - Noe trzymał rękę na pasie karabinka; wyglądał jak wyrostek wracający z polowania na króliki. - Mieli jakieś nieporozumienia z ojcem. W Odessie, w tysiąc dziewięćset piątym roku. Mój ojciec był szalony. Ale znał się na takich sprawach. Pochodził przecież z Europy. Opowiadałem ci kiedy o ojcu?

- Nigdy - rzekł Whitacre.

- Zabity, ranny i zaginiony - wyrecytował wolno Noe.

Maszerowali równo, bez pośpiechu, żołnierskim miarowym krokiem, po trzydzieści cali.

- Pamiętasz - podjął Noe - w Obozie Uzupelnień twierdziłeś, że w pięć lat po wojnie będziemy ubolewać nad każdym pociskiem, który nas chybił?

- Pamiętam.

- A teraz nie zmieniłeś zdania?

- Nie wiem - odpowiedział uczciwie Whitacre po chwili wahania.

- Dzisiaj w obozie przyznałem ci rację. Kiedy ten Albańczyk zaczął gadać, w zupełności zgadzałem się z tobą. Nawet nie dlatego, że jestem Żydem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Jako człowiek... prawdziwy człowiek... Kiedy ten Albańczyk zaczął gadać, byłem gotów wyjść na korytarz i w łeb sobie palnąć.

- Rozumiem - powiedział Michael. - Czułem się podobnie.

- Potem Green wygarnął swoje. - Noe zatrzymał się, powiódł wzrokiem po zielonych wierzchołkach drzew połyskujących złotem w promieniach słońca. - Ręczę... Ręczę... Ręczę... - westchnął cicho. - Nie wiem jak ty, ale ja łączę wielkie nadzieje z osobą kapitana Greena.

- Ja również - przyznał Whitacre.

- Po wojnie - Noe bezwiednie podniósł głos - Greenowie będą rządzić światem, a nie tacy jak ten przeklęty Albańczyk.

- Niewątpliwie.

- Ludzie, prawdziwi ludzie wezmą władzę w ręce! - Noe wołał teraz, jak gdyby na środku drogi wygłaszał wielką mowę do niemieckich drzew. - Prawdziwi ludzie! Nie zabraknie kapitanów Greenów. To nie wyjątek. Podobnych mu są krocie! - Stał wyprostowany, głowę przechylił do tyłu, krzyczał niby szaleniec; zdawać się mogło, że wszystko, co przez długie miesiące dławził i z chłodnym wyrachowaniem zamykał w sobie, znalazło wreszcie ujście. – Prawdziwi ludzie!

Noe grzmiał donośnie, jak gdyby te dwa wyrazy stanowiły magiczne zaklęcie przeciwko śmierci i męce, jak gdyby były potężną tarczą dla jego żony i syna, zapłatą za lata cierpień, gwarancją lepszego jutra...

- Prawdziwi ludzie! Pełno ich na świecie.

Wtedy właśnie Michael usłyszał strzały.

Christian był już przytomny od pięciu lub sześciu minut, kiedy usłyszał głosy. Przedtem spał twardo, a w chwili przebudzenia zorientował się po kształtach cieni, że jest późne popołudnie. Ale był zbyt zmęczony, by zaraz się ruszyć. Leżał na wznak, patrzył w bladozielony baldachim nad sobą i słuchał leśnych szmerów: wiosennego brzęczenia owadów, ćwierkania ptactwa w gęstwinie gałązek, cichego szelestu liści na łagodnym wietrzyku. W górze przeciągała eskadra samolotów. Było je słychać, lecz

korony drzew przesłaniały widok. Jak to zdarzało się często i od dawna, szum silników przypomniał Christianowi nieprzebrane zasoby, dzięki którym wrogowie wygrywają wojnę.

„Nic dziwnego - myślał z goryczą po raz setny. - Żołnierze z nich nietędy, ale cóż to znaczy? Z taką liczbą czołgów i samolotów zwyciężyć potrafi nawet armia starych bab i weteranów z wojny francusko-pruskiej. Ach, gdybyśmy mieli bodaj trzecią część ich sprzętu, od trzech lat byłoby po zabawie! Ten zasmarkany porucznik z obozu biadał, że nie potrafimy przegrywać wojny planowo i w porządku, jak jego pokolenie. Gdyby mniej biadał i pracował trochę lepiej, może sprawy wyglądałyby odmiennie. Więcej godzin w fabrykach zamiast masowych wieców i świąt partyjnych, a nad głową warczałyby teraz niemieckie samoloty; porucznik nie leżałby martwy przed własną kancelarią, a ja nie kryłbym się, nie szukał nory niby lis tropiony przez sforę psów”.

Nagle usłyszał kroki zmierzające w jego stronę. Znajdował się o dziesięć metrów od szosy i z ukrycia miał dobre pole widzenia w kierunku obozu. Z daleka zobaczył Amerykanów. Przyglądał się im ciekawie, zrazu bez wzruszenia. Szli miarowo. Obydwaj byli uzbrojeni. Wyższy trzymał karabinek w ręku, drugi niósł broń na pasie. Na głowach mieli te swoje groteskowe hełmy, chociaż szrapnele nie groziły do czasu przyszłej wojny. Nie spoglądając ani w lewo, ani w prawo, rozmawiali głośno, jak gdyby nie brali pod uwagę, że w pobliżu może znajdować się Niemiec dość odważny, by stanowić niebezpieczeństwo dla zdobywców.

Jasne było, że wkrótce podejną na odległość dziesięciu metrów. Christian cicho przygotował pistolet maszynowy, w tej chwili jednak trzeźwiej ocenił sytuację. Na pewno w pobliżu kręcą się setki Amerykanów. Zwabieni strzałami zbiegną się zewsząd i nic już nie pomoże. Szlachetni Amerykanie nie obejmą swoją szlachetnością nieprzyjaciela strzelającego z ukrycia.

Nagle Amerykanie stanęli. Byli mniej więcej w odległości sześćdziesięciu metrów, lecz dzięki nieznacznemu zakrętowi szosy znajdowali się akurat na wprost małego kopca, za którym przywarował Christian. Rozmawiali bardzo głośno, a właściwie niższy z nich krzyczał na całe gardło. Christian usłyszał nawet i zrozumiał słowa niedorzeczne na pozór. Amerykanin raz po raz powtarzał:

- Prawdziwi ludzie! Prawdziwi ludzie!

Diestl zmierzył ich nienawistnym wzrokiem. Czują się w Niemczech jak we własnym domu. Bez ubezpieczenia odbywają przechadzki. W sercu Bawarii wygłaszają mowy po angielsku. Liczą na letnie urlopy w Alpach, na noce w hotelach turystycznych z miejscowymi dziewczętami. O, dziewcząt na pewno nie braknie! Amerykanie nie wiedzą, co to Volkssturm. Wszyscy są młodzi, najedzeni, w wybornej formie. Mają porządnie zelowane buty, całe mundury, naukowo opracowany system odżywiania, silne lotnictwo, kolumny sanitarne o trakcji motorowej... A jak się skończy cała heca, wrócą do swojej spasionej ojczyzny obładowani wojennymi pamiątkami. Zabiorą hełmy poległych Niemców, Żelazne Krzyże zdarte z martwych piersi, zdjęcia zburzonych miast i fotografie kobiet wyszperane w kieszeniach zabitych żołnierzy. Wrócą do swojej spasionej ojczyzny, co nigdy nie słyszała strzałów, gdzie nie zadrżała ani jedna ściana i ani jedna szyba nie pękła od wstrząsu.

Ich spasiona ojczyzna! Nietknięta! Niedoścześnie!

Christian poczuł, że usta wykrzywia mu grymas obrzydzenia. Powoli uniósł schmeissera. Dwóch więcej... Dlaczego sobie żałować?... Biorąc na muszkę bliższego z Amerykanów - tego, co krzyczał - Diestl zaczął nucić z cicha.

„Zaraz przestaniesz się drzeć, przyjacielu” - pomyślał dotykając palcem spustu i nagle przypomniał sobie, że Hardenburg podśpiewywał w bardzo zbliżonych okolicznościach, gdy z grzbietu afrykańskiego wzgórza obserwował angielski oddział przy śniadaniu...

Uśmiechem skwitował dawne wspomnienie. Było zabawne. Potem, gdy miał już nacisnąć cyngiel, zawahał się na moment. Wyobraził sobie innych Amerykanów, którzy zbiegną się zwabieni odgłosem strzałów i niewątpliwie go zabiją. Pokiwał głową. Na sekundę przymknął oczy. „A niech to diabli! - pomyślał. - Gra warta świeczki”.

Pewnie nacisnął spust. Po dwóch wystrzałach nastąpiło zacięcie. Christian wiedział na pewno, że trafił jednego z drani. Nim jednak zdążył usunąć z podajnika tkwiącą na sztorc łuskę i podnieść wzrok, obydwaj Amerykanie zniknęli. Na środku szosy leżał tylko karabin. W pobliżu muszki, na lufie, połyskiwała złotem słoneczna plama. Bezpośrednio po strzałach Christian widział, jak wyższy Amerykanin szybko zawraca, lecz teraz droga była zupełnie bezludna. „Do licha! - pomyślał gniewnie. - Spartoliłem robotę!”.

Bacznie nastawił uszu, ale nie usłyszał nic na drodze ani w lesie. Tamci nie mieli widać towarzystwa. A teraz został jeden, bo ten, co oberwał, nie ruszy się, jeżeli nawet żyje.

„Za to ja muszę się żwawo ruszać - myślał Diestl. - Ten zdrowy łatwo się zorientuje, z jakiego mniej więcej kierunku padły strzały. Może tu przyjść... Albo i nie przyjdzie... Chyba raczej nie przyjdzie... Amerykanie nie lubią wychylać się w takich przypadkach. Mają swój styl. Wolą czekać na lotnictwo, broń pancerną, artylerię. Trudno sobie wyobrazić, żeby w tym cichym lesie, na pół godziny przed zmrokiem, znalazły się na zawołanie czołgi albo działa. Jest tylko jeden człowiek z karabinem. Nie! Ten facet nie będzie mnie tropił. Dzisiaj, pod koniec wojny, wszelkie ryzyko wyda mu się niedopuszczalnym głupstwem. Jeżeli ranny umarł do tej pory - rozważał dalej Christian - żywy biegnie teraz co sił w nogach, żeby ze swojego oddziału sprowadzić posiłki. Jeżeli jednak ranny żyje, towarzysz musi się nim zająć, a niosąc go lub prowadząc nie zdoła iść szybko ani cicho i będzie doskonałym celem. - Diestl uśmiechnął się krzywo. - Jeden na deser i wycofam się z wojny”.

Uważnie spojrzął w stronę obozu na pustą szosę i porzucony na asfalcie karabinek. Pilnie przetrząsnął wzrokiem gęste podszycie lasu ciemniejącego coraz bliższym zmięchem. Wszędzie panowała cisza i pustka. Nic nie zdradzało obecności człowieka.

Schylony, stąpając ostrożnie, Christian wycofywał się łukiem w głąb lasu.

Michael miał prawą rękę drętwą. Uprzytomnił to sobie dopiero wtedy, gdy schylił się, żeby ułożyć Noego na murawie. Teraz pamiętał. Pocisk trafił w kolbę karabinka, wyrwał mu go z ręki i aż do ramienia przejął ją dojmującym bólem. W pierwszej chwili zajęty odciąganiem przyjaciela w zarośla Whitacre nie myślał o niczym. Obecnie, gdy klęknął nad rannym, zrozumiał, że ta drętwa stwarza nowy i groźny element sytuacji.

Noe miał ranę w boku szyi, tuż nad obojczykiem. Krwawił obficie, ale oddychał jeszcze - krótko, z przerwami. Był nieprzytomny. Whitacre schylił się i nałożył opatrunek, lecz cienki bandaż nie zmniejszył krwotoku. Ackerman leżał na plecach. Hełm zsunął mu się z głowy i upadł na kępę bladoróżowych kwiatów rosnących nisko nad ziemią. Noe miał dawny, obojętny i skupiony wyraz twarzy. Opuszczone powieki i podwinięte, jasne przy końcach rzęsy nadawały jej dziewczęcy niemal charakter

wrażliwej młodości. Policzki były blade, delikatne, pokryte rzadkim złotawym zarostem.

Michael niedługo przypatrywał się rannemu. Myślał opornie, z wysiłkiem: „Nie mogę go tu zostawić i nie mogę zabrać, bo z takim ciężarem na plecach będę się wolno ruszał i stanowił wymarzony cel dla Szwaba”.

W górze coś zaszeleściło. Whitacre odskoczył gwałtownie i zadarł głowę. Przypomnił sobie nagle, gdzie jest i że zabójca Noego prawdopodobnie skrada się tropem drugiego Amerykanina. Tymczasem był to ptak, który kołysząc się na cienkiej gałązce spoglądał z wysokości drzewa na chłodne cienie kładące się w dole. Za chwilę jednak mógł się pojawić uzbrojony, żądny krwi człowiek.

Michael schylił się. Ostrożnie dźwignął przyjaciela i ściągnął mu z ramienia karabinek. Jeszcze raz spojrzął na rannego i wolno odszedł w las. Przez chwilę słyszał ciężki, świszczący oddech.

„Trudno - myślał - oddychasz czy nie oddychasz, musisz, biedaku, zostać przez pewien czas bez opieki. Pewnie i ja dostanę kulą w łeb, ale nie mam wyboru. Muszę znaleźć faceta, który strzelił dwa razy, nim on mnie znajdzie. Nie widzę innego ratunku. Dla Noego. Dla siebie”.

Czuł, że serce bije mu szybkim rytmem. Co chwila ziewał sucho, nerwowo. Dręczyła go niemal pewność, że musi zginąć.

Nisko schylony szedł ostrożnie. Rozglądał się dokoła. Często przystawał za grubymi pniami, by nasłuchiwać. Łowił uchem własny oddech, ćwierkanie ptactwa, senne brzęczenie owadów, rechot żaby w jakiejś niedalekiej wodzie, szmer liści poruszanych łagodnym powiewem. Nie słyszał jednak odgłosów kroków ani pobrzękiwania rynsztunku, ani szcęknięcia zamkiem karabinu.

Oddalał się od szosy, zagłębiał w las. Był coraz dalej od miejsca, gdzie Noe leżał z raną w szyi, a jego hełm zsunięty z czoła spoczywał na kępie różowych leśnych kwiatów. Nie obmyślał swoich poruszeń. Czuł instynktownie, że bliskość drogi grozi niebezpieczeństwem, bo las jest tam rzadszy i widoczność lepsza.

Ciężkie buty szurały na grubej warstwie zeszłorocznych liści. Od czasu do czasu trzasnęła gałąź ukryta pod tym kobiercem. Michael irytował się na własne niedołęstwo, chociaż jednak szedł bardzo wolno, nie potrafił ruszać się bez hałasu. Raz po raz przystawał. Nasłuchiwał. Ale na tle szmerów, zwyczajnych pod wieczór w lesie, nie chwycił żadnych podejrzanych dźwięków. Starał się skoncentrować myśl na

Szwabie. Kto to był? Co teraz robił? Być może dał ognia i ulotnił się co prędzej. Powędrował prosto w stronę austriackiej granicy. Dwa strzały, jeden Amerykanin. Niezły wynik jak na jeden z ostatnich dni wojny. Sam Hitler nie powinien wymagać więcej. A jeżeli to wcale nie żołnierz, lecz oszalały dziesięcioletni smarkacz napompowany bredniami o walkach partyzanckich, uzbrojony w karabin z tamtej wojny, który wyszperał na strychu? Michael zląkł się nagle, że spotka bosego chłopaka z bujną czupryną, dziecięcą twarzą i trzy razy za długim karabinem... Co wtedy? Zastrzelić dzieciaka? Sprawić mu tęgie lanie?

Sunąc wolno przez zielonawy i brunatny cień leśny Whitacre rozgarniał gęste zarośla, żeby robić jak najmniej hałasu, i bezwiednie niemal modlił się o spotkanie nie z dzieckiem, lecz z dorosłym mężczyzną. Mimo wszystko miał nadzieję, że to będzie żołnierz w mundurze i z bronią, dojrzały człowiek, który tropi go również i odważnie podejmie walkę.

Przełożył karabinek do lewej ręki, żeby sprawdzić, jak działa zdętwiała dłoń. Czucie wracało do niej z wolna kłującymi jak szpilki falami bólu. Michael przestraszył się, że w stanowczej chwili palce nie będą dostatecznie sprawne. Podczas długiego szkolenia nikt go nigdy nie uczył, jak radzi sobie żołnierz w podobnej sytuacji. Wiele mówiono o zasadach walki w ramach drużyny czy plutonu, o teorii natarcia, szukaniu naturalnej osłony, niepokazywaniu się na tle widnokregu i pokonywaniu przeszkód z drutu kolczastego. Teraz szedł ciągle naprzód i wypatrując uważnie podejrzanych ruchów w gęstwinie, zastanawiał się bezosobowo, czy wyjdzie cało z opałów... Biedny niezaradny Amerykanin! Umiał poprawnie salutować, znał się na mustrze zwartej, marszu zbliżania i najnowocześniejszych metodach zapobiegania chorobom wenerycznym. Ale u szczytu swej kariery wojskowej, w decydującej chwili błędził po omacku i improwizował, gdyż stanął wobec problemu nie objętego regulaminami wojskowymi. Jak wytropić i zabić Niemca, który przed chwilą zastrzelił ci najlepszego przyjaciela? Czemu jednego Niemca? Przecież padły dwa strzały. Szwabów może być dwóch, sześciu, dziesięciu... Może obsadzili przepisową łamaną linię wnek strzeleckich i spokojnie czekają na Amerykanina? Uśmiechnięci słuchają odgłosu kroków coraz bliższych i bliższych?

Whitacre zatrzymał się nagle. Przez chwilę miał ochotę wrócić, ale przecząco pokręcił głową. Nie rozumował. Nie obmyślał planu. Nic konkretnego nie wpłynęło na jego decyzję. Po prostu przełożył broń do ścierpniętej ręki i podjął swój powolny, hałaśliwy marsz w nieznaną.

Pień przerzucony nad wąskim jarem wydawał się dostatecznie mocny. Chociaż spróchniały tu i ówdzie, był bardzo gruby. Rozpadlina mierzyła nie więcej niż sześć stóp szerokości i była głęboka na trzy lub cztery stopy. Na dnie tkwiły omszałe kamienie, ledwie widoczne pod grubą pokrywą chrustu i zeszlórocznych liści. Przed prowizoryczną kładką Whitacre przystanął. Jeszcze raz nastawił uszu. Wiatr ustał i w lesie panowała głucha cisza. Mogło się zdawać, że od lat to ustronie nie widziało ludzi... „Ludzie! Prawdziwi ludzie!...”. Dosyć! Później przyjdzie pora na wspomnienia.

Wstąpił na pień. Był w połowie drogi, gdy śliskie, spróchniałe drewno drgnęło i zaczęło się uginać. Michael rozpaczliwie zamachał rękami, przypomniał sobie, że nie wolno krzyczeć, i runął do rozpadliny. Jęknął, kiedy wyciągniętymi rękami trafił na omszałe głązy. Uderzył policzkiem o jakąś ostrą krawędź. Poczłł gwałtowny ból. Nie to jednak było najgorsze. Przy upadku narobił wiele hałasu. Pień złamał się z głośnym trzaskiem, na dnie zachręściły suche gałęzie i liście, a hełm spadł mu z głowy i z brzękiem potoczył się po kamieniach.

„Karabin - pomyślał nieprzytomnie Michael. - Gdzie się podział karabin?”. Stojąc na czworakach szukał omackiem broni, gdy w pobliżu zadudniły kroki. Ktoś biegł szybko, z hałsem, prosto w jego stronę.

Whitacre zerwał się zwinnie. Wychylił głowę. W odległości pięćdziesięciu stóp zobaczył ciemną plamę na tle zieleń. Człowiek przedzierał się przez gęste podszycie. Pistolet maszynowy trzymał w pogotowiu. Spoglądał na Michaela. Celował do niego.

Pierwsza seria chybiła. Zryła brzeg jaru tuż przed skamieniałym, zapatrzonym w nieprzyjaciela Whitacre'em. Kamyki i odpryski ziemi boleśnie cięły go po twarzy. Niemiec biegł dalej. Strzelał spod pachy. Michael dał nurka w rozpadlinę. Odruchowo sięgnął po granat wiszący u pasa. Wyrwał zapalnik i podniósł się śmiało. Niemiec był bliżej, bardzo blisko. Michael policzył do trzech, rzucił granat i znowu ukrył głowę. Skurczył się. Przywarł kurczowo do zbocza rozpadliny.

„Dzięki ci, Boże! - westchnął tuląc twarz do miękkiej, wilgotnej ziemi. - Nie zapomniałem policzyć!”.

Zdawało mu się, że wieki czeka na wybuch. Wreszcie odłamki stali świsnęły mu nad głową. Zagrzechotały o pnie pobliskich drzew. Z szelestem zawirowały w powietrzu liście.

Michael nie był zupełnie pewien, odniósł jednak wrażenie, że hukowi eksplozji towarzyszył krzyk.

Odczekał kilka sekund. Potem ostrożnie wysunął głowę. W pobliżu nie było nikogo. Mętna smuga dymu wiła się pod zielonym sklepieniem lasu. Na ziemi ciemnobrunatna plama znaczyła miejsce, gdzie wybuch odrzucił ściółkę i wierzchni pokład próchnicy. Na tym koniec! Dopiero po chwili Michael zauważył lekkie drganie zarośli i uprzytomnił sobie, że Niemiec uciekł tamtędy. Schylił się, podniósł karabinek leżący między dwoma okrągłymi kamieniami. Zerknął na muszkę i celownik. Nie były nawet oblepione ziemią. Zdziwił się trochę, że ręce ma pokaleczone, a kiedy dotknął bolącego policzka, umazał palce krwią i błotem.

Ciężko wydzwignął się z rozpadliny. Prawe ramię dokuczało mu nieznośnie, a broń ślizgała się w okrwawionych rękach. Nie kryjąc się, nie próbując stąpać cicho, Michael wyszedł na polankę, minął miejsce, gdzie wylądował jego granat. O kilka kroków dalej spostrzegł zmięty łachman wiszący na młodym świerczku. Był to strzep niemieckiego munduru - zboczony krwią, wilgotny.

Wolno podszedł do krzaka, który drgał przed chwilą. Liście były zbryzgane krwią. Obficie zbryzgane.

„No, nie ujdzie daleko - pomyślał Whitacre. - Zaraz osłabnie w nogach”.

Teraz nawet mieszczuch mógł łatwo wytropić umykającego lasem Niemca. Zgnieciona murawa i dobrze widoczne purpurowe plamy wskazały Michaelowi miejsce, gdzie ranny upadł i dźwignął się z ziemi wrywając z korzeniami malutki świerczek. Powoli, lecz nieubłaganie Michael Whitacre zbliżał się do Christiana Diestla.

Christian usiadł ciężko. Oparł się o pień starego drzewa, zwrócony twarzą w stronę nadciągającego wroga. Pod drzewem było cieniście i chłodno, ale promienie zachodzącego słońca sączyły się przez korony drzew i kładły złociste plamy na zaroślach, którymi zbieg przywędrował w to miejsce. Chropowata kora stanowiła mocne oparcie. Christian próbował dźwignąć prawą rękę ze schmeisserem, ale wysiłek przekraczał jego możliwości. Niechętnie odepchnął broń i przywarł wzrokiem do luki między zaroślami. Wiedział, że tam ukaże się Amerykanin. „Granat - medytował ospale. - Komu by przyszło do głowy?... Niezdarny Amerykanin... Wali się jak wół do dołu... A potem z kryjówki... granatem...”.

Oddychał z trudem. Ucieczka... Ciągła ucieczka... Ale dziś koniec! Myśl pracowała leniwie, zacinała się niby zespół trybów z powyłamywanymi zębami... Francuska wiosna, lasek na drodze do Paryża... Trup młodego Ślązaka... Usta

splamione wiśniowym sokiem... Hardenburg na motocyklu... Hardenburg bez twarzy... Głupi, półnagi Amerykanin strzela spod wysadzonego mostku we Włoszech. Strzela na oślep, dopóki nie uspokoi go karabin maszynowy... Gretchen... Corinne... Françoise... Francuzi jeszcze raz nas dostaną... Wódka w sypialni Gretchen... Koniak i wina w kredensie... Czarne koronki... Broszka z granatami... Francuz wyrrywający pistolet z kabury Behra, kiedy samolot... Samolot... Wciąż samoloty!... Setki, tysiące samolotów! „Posłuchaj! Kiedy człowiek wstępuje do wojska, wojsko zawiera z nim swojego rodzaju umowę...”. Kto to powiedział? Kiedy? Czy i on nie żyje?... Stary dziad ze spróchniałymi cuchnącymi zębami żąda pięćdziesiąt franków za kieliszek podłego koniaku... „Ważniejszą kwestią jest Austria” i „Cel uświęca środki”. Czy to był cel? Jakie uświęcał środki? Młoda Amerykanka na ośnieżonym alpejskim stoku... „Jeszcze jeden na deser i wycofam się z walki...” Głupi, lekkomyślny, odważny Amerykanin wyniesie życie z tej przygody... Czy to szczęście, zbieg okoliczności, wola boża? „1918” nagryzmołone kredą na kościelnym murze... Tak! Francuzi wiedzieli. Wiedzieli od początku.

Tryby o wyłamanych zębach zgrzytały głucho. Robiło się coraz zimniej. Smugi słonecznego blasku przenikały do lasu jak gdyby przez wąskie, zielonawe okna. Były z każdą minutą cieńsze i cieńsze...

Dwa ładunki i zaciął się przeklęty schmeisser. Ostatecznie musiał się kiedyś zaciąć. Cała moja kompania wkroczyła do Monachium w szyku zwartym i z bronią... Wtedy był inny porządek... Okazuje się, że najważniejsza sprawa to zdobyć rower. Jak długo człowiek może biec? Jak długo? Christiana ogarnęła fala tkliwego współczucia dla samego siebie.

Wówczas zobaczył wroga. Amerykanin nie zachowywał środków ostrożności. Śmiało zbliżał się w zielonawym półmroku. Nie był bardzo młody i wcale nie miał wojskowej postawy. Zatrzymał się przed Christianem.

Sierżant Diestl uśmiechnął się po raz ostatni...

- *Welcome to Germany* - dobył z pamięci angielskie słowa.

Spokojnie patrzył, jak Amerykanin podnosi karabin i naciska cyngiel.

Whitacre łatwo trafił na miejsce, gdzie zostawił przyjaciela. Noe już nie oddychał. Leżał pośród kwiatów. Przez moment Michael przyglądał mu się w

gęstniejącym mroku. Potem dźwignął go, zarzucił na ramiona i nie zatrzymując się po drodze, spieszenie wrócił do obozu.

Od żadnego z kolegów nie przyjął pomocy. Sam niósł ciało do końca, gdyż czuł, że Noego Ackermana musi własnoręcznie dostarczyć kapitanowi Greenowi.